



Jaume Cabré

W Y Z N A J Ę



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym



Jaume
Cabré

W Y Z N A J Ę

Przełożyła z języka katalońskiego ANNA SAWICKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

OD TŁUMACZKI

Jaume Cabré – filolog, członek Katalońskiej Akademii Nauk, wykładowca uniwersytecki i jeden z najpoczytniejszych pisarzy katalońskich – konsekwentnie buduje wewnętrzną logikę narracji, często odchodząc od zasad edytorskich i przyzwyczajień Czytelników.

W polskim wydaniu zachowano urwane, niezakończone wielokropkiem zdania, na przykład „Pytałeś mnie, co zna” (s. 88). Poza tym często przed przytoczeniem wypowiedzi nie ma znaków interpunkcyjnych, jak w zdaniu: „Zanim Feliks Ardèvol oświadczył profesorowi Boschowi chęć porozmawiać o twojej córce” (s. 55). Pozorne niezręczności stylistyczne „Ojciec... ojcu” (s. 16) wynikają z wielokrotnego powracania do tych samych motywów – z reguły kontekst wypowiedzi ujawnia się dopiero w kolejnym wariacie.

W powieści użyto cytatów w obcych językach. Jest na przykład lekko zmodyfikowany fragment wiersza galicyjskiej poetki Rosalíi de Castro: “teno medo dunha cousa que vive e que non se ve. Teno medo á desgracia traidora que ven, e que nunca se sabe ónde ven. Adrianie, ónde estás” (dosłownie: „boję się czegoś, co jest, choć tego nie widać. Boję się podstępnego nieszczęścia, które nadejdzie nie wiadomo skąd. Adrianie, gdzie jesteś”, s. 757). Zgodnie z wolą Autora cytaty i wypowiedzi w języku obcym nie zostały przetłumaczone ani wyróżnione kursywą. Kursywa zarezerwowana jest dla tytułów i dla narracji współczesnej, odróżnionej graficznie (na wzór wydań katalońskiego i hiszpańskiego) od wspomnień głównego bohatera. Wśród wtopionych w tekst cytatów dociekliwy czytelnik odnajdzie zapewne odniesienia do włoskiej opery, do Szymborskiej, Dantego, Homera, Pascala, Rilkego, do Gabriela Garcíi Márqueza oraz wielu autorów hiszpańskich i katalońskich.

Imiona głównych bohaterów powieści (Adrià, Fèlix, Carolina, Lola Xica) zostały spolszczone; pozostawiono w oryginale przydomek małżonków Guerxo (dosłownie: „Kaprawy”) i Guerxa („Kaprawa”). Germańska etymologia słowa Ardèvol (dosłownie: „odporna roślina”) pozwala na użycie kilku wariantów językowych tego nazwiska – kilkakrotnie pojawia się ono w formie włoskiej, Ardevole, a raz w wersji niemieckiej, Hartbold. Wielka miłość głównego bohatera, Sara Voltes-Epstein, nie wymawia „r”, stąd jej imię, kiedy się przedstawia, przybiera formę Saha. Decyzją tłumaczki, zaaprobowaną przez Autora, obraźliwy epitet „marika” zachowany jest w oryginalnym brzmieniu tak długo, jak długo młodociany bohater nie domyśla się jego znaczenia; znika w rozdziale szesnastym, kiedy Adrian jest już uświadomiony.

Pozostawiono w tekście nietłumaczone te toponimy, które można odnaleźć na aktualnym planie Barcelony (np. Casal del Metge) czy na mapie (jak położony w Pirenejach opuszczony klasztor Sant Pere del Burgal), natomiast Santa Maria dai Ciüf de Pardàc została spolszczona jako Matka Boska Kwietna, ponieważ w tym wypadku Autor wybrał miejscowości patronkę arbitralnie, sugerując się eufonią, a nie stanem rzeczywistym.

Anna Sawicka

ANNA SAWICKA – iberystka, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor „Studiów Iberystycznych”, tłumaczy z języka katalońskiego i hiszpańskiego. Przez pięć lat była lektorem języka polskiego i wykładowcą literatury polskiej na Uniwersytecie Barcelońskim. Zajmuje się m.in. literaturą i kulturą katalońską (*Drogi i rozdroża kultury katalońskiej*, 2007). Ma w dorobku przekłady kilku katalońskich dramaturgów (Sergi Belbel, Josep Maria Benet i Jornet, Carles Batlle, Josep Pere Peyró, Lluís Cunillé, Guillem Clua) oraz opowiadania Pere Caldersa i Javiera Tomeo (*Minihistorie*, 2009),

średniowieczny brewiarz mistyczny Ramona Llulla (*Księga Przyjaciela i Umiłowanego*, 2003), a także powieści Alberta Sancheza Piñola (*Chłodny dotyk*, 2006), Lluisa-Antona Baulenasa (*Za worek kości*, 2008), Marii Àngels Anglady (*Skrzypce z Auschwitz*, 2010) i Eduarda Mendozy (*Miasto cudów*, 2010).

KSIĄŻKA UHONOROWANA
Nagrodą Krytyki Hiszpańskiej, 2011
Nagrodą pisma „Serra d’Or”, 2011

AUTOR NAGRODZONY TYTUŁEM
Premi d’Honor de les Lletres Catalanes
dla najlepszego pisarza katalońskiego

SPIS TREŚCI

[OD TŁUMACZKI](#)

[I. A CAPITE...](#)

[II. DE PUERTIA](#)

[III. ET IN ARCADIA EGO](#)

[IV. PALIMPSESTUS](#)

[V. VITA CONDITA](#)

[VI. STABAT MATER](#)

[VII. ...USQUE AD CALCEM](#)

[DRAMATIS PERSONAE](#)

[PRZYPISY](#)

[Metryczka książki](#)

Dla Margaridy

A capite...

Ja będzie niczym.

CARLES CAMPS MUNDÓ

Dopiero wczoraj wieczorem, idąc zmoczonymi deszczem ulicami Vallcarki, zrozumiałem, że przyjscie na świat w tej rodzinie było niewybaczalnym błędem. Nagle dotarło do mnie, że zawsze byłem sam, że nigdy nie mogłem liczyć ani na rodziców, ani na żadnego Boga, gdy trzeba było rozwiązać jakiś problem, chociaż w miarę, jak dorastałem, nauczyłem się przerzucać ciężar swojego myślenia i odpowiedzialność za czyny na bliżej nieokreślone wierzenia i przeróżne lektury. Wczoraj, we wtorek wieczorem, kiedy w strugach deszczu wracałem od doktora Dalmau, doszedłem do wniosku, że jest to wyłącznie moja sprawa. Że moje sukcesy i błędy zależą tylko ode mnie. Potrzebowałem sześćdziesięciu lat, żeby to odkryć. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz i pojmiesz, jaki czuję się opuszczony i samotny, i jak bezgranicznie za tobą tęsknię. Mimo dzielącej nas odległości jesteś moim wzorem. Mimo paniki, nie chwytam się brzytwy, żeby się utrzymać na powierzchni. Mimo pewnych sugestii radzę sobie bez wierzeń, bez kapłanów, bez ogólnie przyjętych zasad, które miałyby mi ułatwić drogę nie wiadomo dokąd. Czuję się stary; dama z kosą już na mnie kiwa. Widzę, że przestawiła czarnego gońca na szachownicy i zaprasza mnie uprzejmie do gry. Wie, że mam już niewiele pionków. Jednak jutro jeszcze nie nadeszło i zastanawiam się, którą figurą zrobić ruch. Zostałem sam na sam z kartką papieru, to moja ostatnia szansa.

Nie ufaj mi zanadto. Wiem, że w tym gatunku, jakim są wspomnienia pisane dla jednego czytelnika, łatwo kłamać, więc zawsze spadnę na cztery łapy, jak kot, ale postaram się za dużo nie zmyślać. Wszystko wyglądało właśnie tak, a nawet jeszcze gorzej. Wiem, że już dawno powinienem był ci o tym opowiedzieć, ale teraz też mi trudno i nie wiem, jak się do tego zabrać.

Naprawdę wszystko zaczęło się ponad pięćset lat temu, kiedy tamten udręczony mężczyzna postanowił wstąpić do klasztoru Sant Pere del Burgal. Gdyby tego nie zrobił lub gdyby przeor, wielebny Józef od Świętego Bartłomieja, stanowczo mu odmówił, nie opowiadałbym ci teraz tego wszystkiego. Ale nie potrafię cofnąć się aż tak daleko. Zacznę od tego, co bliżej. Dużo bliżej.

– Ojciec... Wiesz, synu... Ojcu...

Nie, nie; od tego też nie chcę zaczynać, nie. Najlepiej zacząć od gabinetu, w którym piszę, przed twoim wspaniałym autoportretem. Ten gabinet to mój świat, moje życie, moje uniwersum, w którym jest wszystko poza miłością. Kiedy biegałem po domu w krótkich spodenkach, z rękami odmrożonymi od jesiennych i zimowych chłódów, wolno mi było tu wchodzić tylko przy wyjątkowych okazjach. Chyba że się zakradłem i wszedłem ukradkiem. Znałem tu wszystkie zakamarki i przez parę lat rozkładałem za sofą swój partyzancki obóz, który ciągle musiałem zwijać, żeby nie nakryła mnie Mała Lola podczas sprzątania. Natomiast zawsze, kiedy wchodziłem tam oficjalnie, musiałem zachowywać się tak, jakbym przyszedł z wizytą, i trzymać ręce z tyłu, podczas gdy ojciec pokazywał mi rękopis znaleziony w upadającej księgarni berlińskiej; przyjrzyj się, tylko uważaj, nie dotykaj, żebyś nie musiał na ciebie krzyknąć. Adrian zaintrygowany pochylił się nad rękopisem.

– To po niemiecku, prawda? – Bezwiednie wyciągnął rękę, tak jakoś mimochodem.

– Pst! Uważaj, co robisz! – Uderzył go po palcach. – Co mówiłeś?

– Że to po niemiecku, prawda? – Rozcierał bolącą dłoń.

– Tak.

– Chcę się nauczyć niemieckiego.

Feliks Ardèvol z dumą spojrział na syna i powiedział wkrótce będziesz mógł zacząć, mój synu.

Ściśle rzecz biorąc, to nie był rękopis, był to plik pożółkłych kartek: na pierwszej stronie ozdobne litery układały się w tytuł: *Der begrabene Leuchter. Eine Legende.*

– Kto to jest Stefan Zweig?

Ojciec z lupą w dłoni, skoncentrowany na jakimś dopisku na marginesie pierwszego akapitu, zamiast odpowiedzieć mi to pisarz, synu, rzekł tylko no wiesz, to taki jeden, co jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu popełnił samobójstwo w Brazylii. Przez długi czas o Stefanie Zweigu wiedziałem tylko tyle, że to ktoś, kto popełnił samobójstwo w Brazylii, jakieś dziesięć czy dwanaście, trzynaście, czternaście czy piętnaście lat temu, aż wreszcie mogłem przeczytać rękopis i dowiedzieć się czegoś więcej.

Wtedy skończyła się wizyta i Adrian wyszedł z gabinetu upomniany, żeby nie hałasował: w domu nigdy nie wolno było biegać ani krzyżeć, ani rozmawiać, bo ojciec zawsze albo siedział z lupą nad jakimś rękopisem, albo przeglądał mapy średniowieczne, albo rozmyślał, gdzie zdobyć jakieś nowe okazy, które by go przyprawiły o drżenie rąk. Jediną dozwoloną mi czynnością zakłócającą ciszę była gra na skrzypcach. Jednak nie mógł poświęcić całego dnia na ćwiczenie XXIII arpeggio ze zbioru *O livro dos exercicios da velocidade*, z powodu którego znienawidziłem panią Trullols, ale nie skrzypce. Nie, to nie była nienawiść. Jednak Trullols była bardzo namolna i uparcie nalegała na ćwiczenie XXIII.

– Może bym zagrał coś innego dla odmiany.

– Tu – uderzała nuty końcem smyczka – znajdziesz wszystkie trudności w pigułce, zebrane na jednej stronie. To ćwiczenie jest po prostu genialne.

– Ale ja...

– Na piątek masz wykuć na blachę ćwiczenie dwudzieste trzecie. Łącznie z taktem dwudziestym siódmym.

Czasem pani Trullols była uparta jak osioł. Ale na ogół dało się z nią wytrzymać. A chwilami było nawet przyjemnie.

Bernat uważał podobnie. Kiedy przerabiałem *O livro dos exercicios da velocidade*, jeszcze go nie znałem. Ale zgadzaliśmy się obaj co do pani Trullols. Musiała być świetnym dydaktykiem, chociaż, o ile mi wiadomo, nie przeszła do historii. Chyba powinienem się skupić, bo wszystko mi się miesza. Tak, o wielu sprawach już wiesz, zwłaszcza o tych, które ciebie dotyczą. Ale są takie zakamarki duszy, które pozostają nieznanne, bo nie da się poznać do końca drugiego człowieka, choćby nie wiem co.

Mimo że sklep prezentował się okazale, lubiłem go mniej niż gabinet ojca. Może dlatego, że za każdym razem kiedy tam wchodziłem, a zdarzało się to rzadko, miałem wrażenie, że cały czas jestem obserwowany. Ale sklep miał swoje dobre strony – tam mogłem się przyglądać pięknej Cecylii, w której byłem bez pamięci zakochany. Miała świetliste włosy blond, zawsze kunsztownie upięte, i wydatne wargi w kolorze krwistej czerwieni. Wiecznie czymś zajęta – albo przeglądała katalogi i wyceny, albo wypisywała etykiety, albo z uśmiechem, w którym pokazywała piękne zęby, obsługiwała nielicznych klientów.

– Mają państwo instrumenty muzyczne?

Mężczyzna nawet nie zdjął kapelusza. Stał przed Cecylią i obrzucał spojrzeniem lampy, kandelabry, krzesła z wiśniowego drewna z delikatną intarsją, dwuosobowe kanapy z początku XIX wieku, wazony z dowolnej epoki i dowolnej wielkości... Na mnie nawet nie spojrział.

– Niewiele, ale gdyby pan był uprzejmy pójść za mną...

Na to „niewiele” składała się para skrzypiec i altówka; nie brzmiały może najlepiej, ale zachowały oryginalne struny z jelit, które jakimś cudem się nie zerwały. Była też poobijana tuba, dwa wspaniałe sakshorny i trąbka, w którą strażnik dął desperacko, żeby ostrzec mieszkańców sąsiednich dolin, że pali się las Paneveggio, i ogłosić, że mieszkańcy Pardàcu proszą o pomoc sąsiadów z Siròru, San Martino, a nawet z Welschnofen, niedawnych pogorzalców, z Moeny i Soragi, których już zapewne zaalarmowała woń tej klęski żywiołowej z roku pańskiego 1690, kiedy ziemia była okrągła dla prawie wszystkich i, jeśli tylko nieznanne choroby, dzicy bezbożnicy i bestie morskie i lądowe, mróz, burze i ulewne deszcze nie przeszkodziły, statki, które znikwały na zachodzie, wracały ze wschodu, przywożąc marynarzy wychudłych i zmizerniałych, ze wzrokiem błędnym od prześladowających ich nocnych koszmarów. Latem

roku pańskiego 1690 wszyscy mieszkańcy Pardàcu, Moeny, Siròru, San Martino, wszyscy, poza niedołączonymi, biegli oglądać przez łązy żywioł, który obracał wniwecz ich życie, jednym bardziej, innym mniej. Przerażający pożar, na który patrzyli bezradnie, pochłonał stopy użytecznego drewna. Kiedy na szczęście deszcze ugasiły ogień, Jachiam, czwarty syn Muredy z Pardàcu, najbardziej rozgarnięty z całego rodzeństwa, przeszukał dokładnie cały zniszczony las, wypatrując miejsc oszczędzonych przez płomień i pni, które nadawały się do wykorzystania. Schodząc z boczem Wąwozu Niedźwiedziego, przykucnął, żeby ulżyć kiszkom w pobliżu przewróconego, spalonego na węgiel świerku. Jednak to, co zobaczył, odsunęło na dalszy plan potrzeby fizjologiczne: leżały tam żywiczne smolniki zawinięte w szmatę, która wydzielala zapach kamfory czy innej dziwnej substancji. Ostrożnie rozwinął strzępy szmat oszczędzonych przez ten piekielny pożar, który zniszczył jego przyszłość. Odkrycie oszołomiło go: szmata na wierzchu smolnych polan zachowała brudnozielony kolor i lamówkę z żółtego, przybrudzonego sznura – dubletu, kaftana noszonego przez Bulchanija Brocię, grubasa z Moeny. Kiedy znalazł jeszcze dwa tobołki z ubraniem, całkiem strawionym przez pożar, zrozumiał, że Bulchanij, ten potwór, spełnił swoją groźbę zrujnowania rodziny Muredów, a wraz z nią całej wsi Pardàc.

– Bulchanij.

– Z psami nie rozmawiam.

– Bulchanij.

Posępny ton głosu Jachiamy sprawił, że się odwrócił. Bulchanij z Moeny miał okazały brzuch, który, gdyby tylko jego właściciel żył dłużej i nadal dobrze się odżywiał, mógłby mu kiedyś służyć za podpórkę dla ramion.

– Czego chcesz, do cholery?

– Gdzie twój kaftan?

– A tobie co do tego?

– Dlaczego go już nienosisz? Pokaż mi go.

– Spieprzaj, zasańcu. Myślisz, że skoro wy wdepnęliście w gówno, to teraz cała Moena ma skakać, jak nam zagracie? Co? – Z nienawiścią w oczach wymierzył w niego palec. – Nie mam zamiaru niczego pokazywać. I spieprzaj stąd, bo mi zasłaniasz słońce, wypierdku.

Jachiam, czwarty syn Muredy, z zimną furią wyciągnął nóż do korowania, który zawsze nosił za pasem, i wbił w bandzioch Bulchanija Brocii, grubasa z Moeny, jakby był pniem klonu, który trzeba oczyścić. Bulchanij otworzył usta i oczy zrobiły mu się wielkie jak pomarańcze. Bardziej niż bólem zaskoczony był samym faktem, że ten gówniarz z Pardàcu ośmielił się go tknąć. Kiedy Jachiam Mureda z obrzydliwym plaśnięciem wyciągnął nóż czerwony od krwi, Bulchanij opadł na krzesło, jakby przez ranę uszło z niego powietrze.

Jachiam spojrział w lewo i w prawo, droga była wolna. Naiwny, rzucił się biegiem w kierunku Pardàcu. Kiedy minął ostatni dom w Moenie, uświadomił sobie, że garbuska przy młynie, dźwigająca mokre pranie, która wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, mogła wszystko widzieć. Zamiast przejechać jej nożem po gardle, żeby zamknęła oczy, przyspieszył tylko kroku. Mimo że był drwalem umiejącym najlepiej ocenić śpiewność drzew, mimo że nie skończył jeszcze dwudziestu lat, jego życie zostało zrujnowane.

Rodzina stanęła po jego stronie; natychmiast powiadomili sąsiadów z San Martino i z Siròru o dowodach świadczących, że to Bulchanij był podpalaczem, który z zawiści zniszczył ich las, gdy tymczasem cała Moena uznała, że nie ma co liczyć na sprawiedliwość; bez żadnych pośredników ludzie sami zaczęli ścigać nikczemnika, Jachiamy Muredę.

– Synu – powiedział stary Mureda, patrząc na niego tak smutno jak nigdy dotąd. – Musisz uciekać. – Wręczył mu sakiewkę z połową złota, które zbierał, pracując przez trzydzieści lat w lesie Paneveggio. Żaden z braci nawet nie pisał i stary oświadczył ceremonialnie, że choćbyś był najbardziej wyspecjalizowanym w akustyce brakarzem, z najlepszym słuchem do śpiewności drewna, Jachiamie,

synu, serce ty moje, czwarty potomku tego nieszczęsnego rodu, twoje życie więcej jest warte niż najlepszy klon, jaki kiedykolwiek udało nam się sprzedać. A poza tym unikniesz nędzy, która teraz na nas spadnie, bo Bulchanij z Moeny pozbawił nas drewna.

– Ojczy, ja...

– Szybko, bierz nogi za pas i uciekaj, kieruj się na Welschnofen, bo na pewno będą cię szukać w SirÒrze. Rozpuścimy plotkę, że ukryłeś się albo tam, albo w Tonadichu. Tu, w dolinach, nie będziesz bezpieczny. Musisz wyruszyć w drogę, daleką drogę, jak najdalej od Pardàcu. Uciekaj, synu, i niech Bóg ma cię w swojej opiece.

– Ależ ojczy, ja chcę tu zostać. Chcę pracować w lesie.

– Las nam spalili, dziecko. Gdzie ty chcesz pracować?

– Nie wiem; ale umrę, jeżeli opuszczę doliny!

– Jeżeli nie uciekniesz tej nocy, sam cię zabiję. Rozumiesz?

– Ojczy...

– Nie pozwolę, żeby ktokolwiek z Moeny skrzywdził mojego syna.

I Jachiam od Muredów z Pardàcu pożegnał ojca i ucałował jednego po drugim wszystkich braci: Agna, Jenna, Maxa i ich żony. Zebrali się wszyscy – Hermes, Josef, Theodor i Micurà; Ilse, Erica i ich mężowie, i jeszcze Katharina, Matilde, Gretchen i Bettina, żeby go pożegnać w milczeniu, i kiedy już był w drzwiach, mała Bettina powiedziała Jachiam, a on się odwrócił i zobaczył, że dziewczynka trzyma w ręce medalik z Matką Boską Kwietną, patronką Pardàcu, ten, który matka wręczyła jej przed śmiercią. Jachiam bez słowa popatrzył na braci, a potem na ojca, który potakująco skinął głową. Wtedy podszedł do Bettiny, wziął medalik z jej rąk i powiedział Bettino, moja mała, będę nosił ten klejnot aż do śmierci, choć nie wiedział, że naprawdę tak się stanie. A Bettina ujęła jego twarz w swoje dłonie, powstrzymując łzy. Jachiam wyszedł z domu z zaczerwienionymi oczami, wyszeptał krótką modlitwę nad grobem matki i pochłoneła go noc i wieczny śnieg, aby mógł zmienić swoje życie, historię i wspomnienia.

– Czy to wszystko, co państwo mają?

– To jest sklep antykwaryczny – odpowiedziała Cecylia tym swoim surowym tonem, który onieśmiała mężczyzn. I dodała z lekką ironią: – Może pójdzie pan do lutnika?

Podobała mi się Cecylia, kiedy była zła. Robiła się wtedy jeszcze ładniejsza. Ładniejsza od mojej mamy. Mamy z dawnych czasów.

Z tego miejsca widziałem biuro pana Berenguera. Słyszałem, jak Cecylia odprowadza zawiedzionego klienta, który ciągle miał na głowie kapelusz, a kiedy zadzwieczał dzwonek nad drzwiami i usłyszałem, że Cecylia żegna mężczyznę, życząc miłego dnia, pan Berenguer podniósł głowę i puścił do mnie oko.

– Adrianie.

– Tak.

– Kiedy po ciebie przyjdą? – zapytał, podnosząc głos. Wzruszyłem ramionami. Nigdy nie wiedziałem, kiedy powinienem być w tym czy innym miejscu. Rodzice nie chcieli, bym zostawał sam w domu, i kiedy oboje wychodzili, przyprowadzali mnie do sklepu. Mnie to odpowiadało, bo miałem dobrą rozrywkę, oglądając nieprawdopodobne przedmioty, które lata świetności miały już za sobą, a teraz czekały cierpliwie na drugą, trzecią czy czwartą szansę. A ja wyobrażałem sobie ich życie w różnych domach i doskonale się przy tym bawiłem.

Zawsze w końcu przychodziła po mnie Mała Lola, zawsze w pośpiechu, bo musiała przyrządzić kolację, a nie wstawiła jeszcze gorącego dania. Dlatego wzruszyłem ramionami, gdy pan Berenguer zapytał, kiedy po mnie przyjdą.

– Chodź no tu – powiedział, wskazując mi białą kartkę. – Siądź przy stole Tudorów i narysuj coś.

Nigdy tego nie lubiłem, bo do rysowania się nie nadaję, mam dwie lewe ręce. Dlatego podziwiałem twój talent, który wydawał mi się czymś cudownym. Pan Berenguer kazał mi rysować, bo przeszkadzała mu moja bezczynność, choć to wcale nie była prawda, gdyż zajmowałem się myśleniem. Ale z panem

Berenguerem nie można było dyskutować. Tak więc siedząc przy stole Tudorów, zajmowałem się czymkolwiek, żeby tylko dał mi spokój. Wyciągnąłem z kieszeni Czarnego Orła i spróbowałem go narysować. Biedny Czarny Orzeł, gdyby zobaczył siebie na papierze... A właśnie, Czarny Orzeł nie zdążył jeszcze poznać szeryfa Carsona, bo zdobyłem go dziś rano, wymieniając się z Ramonem Collem na harmonijkę Weissa. Gdyby mój ojciec się o tym dowiedział, chyba by mnie zabił.

Pan Berenguer był jedyny w swoim rodzaju; trochę się go bałem, kiedy się uśmiechał. Cecylię traktował, jakby była bezużyteczną służącą, czego nie mogłem mu wybaczyć. Ale on najwięcej wiedział o moim ojcu, który dla mnie pozostawał zagadką.

Statek Santa Maria przybił do portu w Ostii w mglisty poranek drugiego czwartku września. Podróż z Barcelony była gorsza niż wszystkie wyprawy Eneasza w poszukiwaniu przeznaczenia i wiecznej chwały. Neptun nie okazał się dla niego życzliwy i na pokładzie Santa Marii nie tylko dostarczył rybom pożywienia, ale też zmieniła mu się cera: czerstwa i rumiana twarz wieśniaka z La Plany przybrała błądy odcień mistycznej zjawy.

Sam biskup Josep Torras i Bages uznał, że w osobie tego inteligentnego, pobożnego i ułożonego seminarzysty, zdobywającego znakomite oceny, przejawiającego prawdziwe zamiłowanie do nauki i mającego wiedzę zaskakującą w tak młodym wieku, dostali drogocenny kwiat, który potrzebuje bujnego ogrodu, gdyż w skromnym warzywniaku seminarium w Vic zwiędnie i utraci ten dar inteligencji, której Bóg mu nie poskąpił.

– Nie chcę jechać do Rzymu, Ekscelencjo. Chcę się poświęcić nauce, bo

– Właśnie dlatego wysyłam cię do Rzymu, ukochany synu. Znam dobrze nasze seminarium i wiem, że taka inteligencja jak twoja u nas się tylko zmarnuje.

– Ależ, Ekscelencjo...

– Bóg cię powołał do wyższych celów. Twój profesorowie stanowczo tego żądają – powiedział, nieco teatralnym gestem wymachując dokumentem, który trzymał w ręce.

Urodzony w folwarku Can Ges, w miejscowości Tona, jako potomek przykładowej rodziny, syn Andreu i Rosalii, w wieku lat sześciu był już gotów do rozpoczęcia nauki i zdecydował się na karierę duchowną, wstępując do pierwszej klasy Łaciny, prowadzonej przez księdza Jacinta Garrigósa. Postępy, jakie natychmiast poczynił, były tak wybitne, że kiedy przyszła kolej na Retorykę i miał wygłosić dysertację na temat *Oratio Latina*, która to mowa, jak Ekscelencja wie z własnego doświadczenia – mieliśmy bowiem zaszczyt zaliczać go do wychowanków naszego seminarium – jest jedną z pierwszych wprawek literackich, przeznaczoną dla najwybitniejszych uczniów, biegłych w wymowie. Ale to wyróżnienie kłóciło się z ograniczeniami jego wieku, zwłaszcza z mizerną posturą jedenastolatka. Z tego powodu, kiedy zebrany dano możliwość wysłuchania poważnej rozprawy retorycznej, którą Feliks Ardèvol wygłosił w języku Wergiliusza, trzeba było ustawić drobnego, światłego mówcę na sporym stołku, żeby mogła go dostrzec publiczność, ze wzruszonymi rodzicami i bratem siedzącymi w pierwszym rzędzie. W ten sposób Feliks Ardèvol i Guiteres rozpoczął triumfalnie karierę naukową, prowadzącą przez Matematykę, Filozofię i Teologię, na poziomie porównywalnym z tak wybitnymi absolwentami seminarium, jak znakomici ojcowie Jaume Balmes i Urpià, Antoni Maria Claret i Clarà, Jacint Verdager i Santaló, Jaume Collell y Bancells, profesor Andreu Duran czy wreszcie Wy, Wasza Ekscelencjo, Biskupie naszej ukochanej diecezji, którego osoba przynosi nam zaszczyt.

Oby cnota naszej wdzięczności objęła też naszych przodków, jak nas poucza Pan Nasz słowami „Laudemus viros gloriosos et parentes nostros in generatione sua” (Syr, 44,1). Umocnieni tą wiarą sądzimy, że nie popełniamy błędu, prosząc usilnie Waszą Ekscelencję o zgodę dla naszego studenta, seminarzysty Feliksa Ardèvola i Guiteres, na odbycie studiów teologicznych w Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim.

– Nie masz wyboru, synu.

Feliks Ardèvol nie odważył się przyznać, że nienawidzi statków, że urodził się i zawsze mieszkał na lądzie, daleko od morza. Ponieważ nie umiał sprzeciwić się biskupowi, podjął tę ciężką przeprawę.

W jakimś zaułku portu w Ostii, pośród przegniłych drewnianych skrzyń i szczurzych odchodów, zwymiotował całą swoją bezradność i prawie wszystkie wspomnienia z przeszłości. Przez kilka sekund oddychał ciężko, aż wreszcie wyprostował się, wytarł usta chusteczką, energicznie wytrzepał podrózną sutannę i spojrzął w kierunku świetlanej przyszłości. Tak jak kiedyś Eneasza, teraz on przybył do Rzymu.

– To jest najlepszy pokój w tej bursie.

Feliks Ardèvol odwrócił się zaskoczony. Na progu stał student w habicie dominikańskim, niski i korpulentny, pocący się od nadmiaru własnego tłuszczu, i uśmiechał się do niego serdecznie.

– Feliks Morlin z Liège – powiedział nieznanemu i cofnął się o krok w głąb celi.

– Feliks Ardèvol z Vic.

– Och! Mój imiennik! – zawołał, śmiejąc się, i wyciągnął do niego rękę.

Od pierwszej chwili przypadli sobie do gustu. Morlin potwierdził, że to najatrakcyjniejszy pokój w całej bursie, i zapytał go, jakiego miał protektora. Ardèvol twierdził, że żadnego, że na portierni ten gruby, łysy stróż spojrzął tylko na jego papiery, powiedział Ardevole?, cinquantaquattro i wręczył mu klucz. Nawet na niego nie spojrzął. Morlin mu nie uwierzył, ale uśmieł się serdecznie.

W ciągu tygodnia, jaki pozostał do rozpoczęcia zajęć, Morlin przedstawił mu ośmiu czy dziesięciu studentów drugiego roku, swoich znajomych, i poradził, żeby nie spoufalął się z nikim, kto nie studiuje w Gregorianum lub w Instytucie Biblijnym, bo to strata czasu; pokazał, jak wyjść niepostrzeżenie z budynku, tak, żeby nie zwrócić na siebie uwagi cerbera; poradził, żeby przygotował sobie cywilne ubranie na wypadek, gdyby musieli przejść się po mieście incognito; pokazał też innym nowym studentom pierwszego roku najważniejsze budynki i najkrótszą drogę z bursy do Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Mówił po włosku z akcentem francuskim, ale całkiem poprawnie. Wygłosił im też wykład na temat konieczności zachowania dystansu w stosunku do jezuitów z Gregorianum, bo jak nie będziesz się miał na bacności, niepostrzeżenie przenicują ci mózg. Ot tak: pstryk!

Dzień przed inauguracją wszyscy nowi i starzy studenci, pochodzący z różnych stron, zgromadzili się w ogromnej sali reprezentacyjnej w Palazzo Gabrielli-Borromeo, siedzibie Gregorianum, i Pater Decanus Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego z Collegio Romano, Daniele D'Angelo, S.J., nienaganną łaciną uświadomił im, jaki to przywilej i jak wielkie macie szczęście, mogąc studiować na którymkolwiek z fakultetów Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, et cetera, et cetera, et cetera. Mieliśmy zaszczyt przyjmować sławnych studentów, wśród których było nawet kilku ojców świętych, żeby wymienić tylko ostatniego z nich, nieodżałowanego papieża Leona XIII. Wymagamy od was tylko wysiłku, wysiłku i wysiłku. Tu się studiuje, studiuje, studiuje i uczy się od najlepszych znawców Teologii, Prawa Kanonicznego, Duchowości, Historii Kościoła, et cetera, et cetera, et cetera.

– Ojca D'Angelo nazywają tu D'Angelodangelodangelo – wyszeptał mu Morlin do ucha, jakby go informował o czymś przykrym.

A kiedy skończą naukę i rozproszą się po świecie, i wrócą do swoich krajów, swoich seminariów, do swoich zakonów i zostaną prezbiterami, o ile jeszcze nimi nie są, wtedy wyda owoc ziarno zasiane w tym przybytku. Et cetera, et cetera, et cetera, plus piętnaście minut praktycznych ogłoszeń, może nie aż tak praktycznych jak te Morlina, ale przydatnych w życiu codziennym. Feliks Ardèvol pomyślał, że mogło być gorzej; że orationes latinae z Vic czasem były nudniejsze niż ten oparty na zdrowym rozsądku spis instrukcji, jaki im zaprezentowano.

Pierwsze miesiące kursu, aż do Bożego Narodzenia, minęły bez wstrząsów. Feliks Ardèvol podziwiał przede wszystkim jasność umysłu ojca Faluby, pół-Węgry, pół-Słowaka, jezuita o nieograniczonej kulturze biblijnej, i zdyscyplinowany umysł ojca Pierre'a Blanc, nieprzystępnego, który oblał Morlina na końcowym egzaminie i nie przyjął jego pracy z teologii mariańskiej, mimo że też pochodził z Liège, tak jak Morlin. Zdobył zaufanie Draga Gradnika, obok którego siedział na zajęciach z trzech

przedmiotów. Ten gigantyczny Słoweniec, który przybył z seminarium w Lublanie, miał ogorzałą twarz i szeroki, potężny byczy kark, który zdawał się rozsádzać koloratkę. Mało ze sobą rozmawiali, choć tamten mówił biegle po łacinie. Ale obaj byli nieśmiali i starali się skierować swoją energię na sprawdzanie, co się kryje za wszystkimi drzwiami, które się przed nimi otwierały w trakcie studiów. Podczas gdy malkontent Morlin poszerzał krąg przyjaciół i znajomych, Ardèvol zamykał się w cinquantaquattro, najlepszym pokoju w bursie, i odkrywał nowe światy, studiując paleografię papirusów i innych dokumentów biblijnych, zapisanych egipską demotyką, pismem koptyjskim, greką czy aramejskim, przynoszonych przez ojca Falubę, tego, który ich uczył kochać rzeczy materialne. Zniszczony rękopis, powtarzał, jest bezużyteczny dla nauki. Trzeba go konserwować i ratować, nie licząc się z kosztami. A praca konserwatora jest tak samo ważna jak praca naukowca, który go odczytuje. I nie dorzuczał et cetera, et cetera, et cetera, bo on zawsze wiedział, co ma do powiedzenia.

– Idioci – zawyrokował Morlin, kiedy się z nim podzielił wrażeniami. – Tacy jak on są szczęśliwi tylko z lupą w ręku, nad pogryzionymi przez myszy, zatęchłymi papierami na stole.

– Ja też się do nich zaliczam.

– Komu są potrzebne martwe języki? – zapytał, używając swojej pompatycznej łaciny.

– Ojciec Faluba mówił, że ludzie nie mieszkają w kraju, mieszkają w języku. A kiedy odzyskujemy dawne języki...

– Sciocchezze. Stupiditates. Jedynym martwym językiem, który żyje, jest łacina.

Doszli do połowy ulicy Via di Sant' Ignazio. Ardèvol w sutannie, a Morlin w habicie. Po raz pierwszy Ardèvol spojrział na przyjaciela ze zdziwieniem. Zatrzymał się i zapytał, zmieszany, o jego credo. Morlin też się zatrzymał i wyjaśnił, że został dominikaninem, bo czuł głęboką potrzebę pomagania innym i służenia Kościołowi. I że nic go nie cofnie z tej drogi, jednakże służyć Kościołowi powinno się w sposób konkretny, nie przez studiowanie rozsypujących się papierów, lecz wpływając na ludzi, którzy z kolei wpływają na życie... Tu przerwał i dokończył: et cetera, et cetera, et cetera, i obaj przyjaciele wybuchnęli śmiechem. W tym momencie Karolina przeszła obok niego po raz pierwszy, ale żaden z nich nie zwrócił na nią uwagi. A ja, kiedy wracałem do domu z Małą Lolą, musiałem ćwiczyć grę na skrzypcach, podczas gdy ona robiła kolację, a wszystkie inne pomieszczenia były pogrążone w ciemności. Niezbyt mi się to podobało, bo w każdej chwili mógł wyskoczyć jakiś złoczyńca ukryty za drzwiami, i dlatego zawsze trzymałem w kieszeni Czarnego Orła, ponieważ ojciec zdecydował lata temu, że w domu nie będzie medalików, szkaplerzy, świętych obrazków ani mszalików, a Adrian Ardèvol, mały chłopczyk, czuł wewnętrzną potrzebę niewidzialnego wsparcia. I pewnego dnia, zamiast grać na skrzypcach, zostałem w jadalni, obserwując zauroczony, jak słońce, odpływające na zachód, w kierunku Trespui, wywołuje magiczne barwy na wiszącym nad kredensem obrazie, który przedstawiał opactwo Santa Maria de Gerri. To światło zawsze mnie fascynowało i inspirowało do wymyślania niesamowitych historii, więc nie słyszałem, że otwierają się drzwi wejściowe, aż nagle ojciec odezwał się głośno tuż obok mnie i okropnie mnie przestraszył.

– Co ty tu robisz, dlaczego tracisz czas? Lekcje odrobione? Nie musisz ćwiczyć gam? Nie masz nic do roboty? Co?

Adrian jak niepyszny wrócił do swego pokoju, a serce mu jeszcze waliło bum-bum-bum i tylko dlatego nie zazdrościł innym dzieciom, które rodzice całowali na dzień dobry, że nie wierzył w istnienie takich rodziców.

– Carsonie: przedstawiam ci Czarnego Orła z dzielnego plemienia Arapaho.

– Witaj.

– Hauk.

Czarny Orzeł złożył na policzku szeryfa Carsona pocałunek, o którym nie pomyślał ojciec, i Adrian postawił ich obu, na koniach, na nocnej szafce, żeby mogli się lepiej poznać.

– Zauważyłem, że jesteś osowiały.

– Po trzech latach studiowania teologii – powiedział zamyślony Ardèvol – nie udało mi się odgadnąć, co cię naprawdę interesuje. Doktryna łaski?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – upomniał się Morlin.

– To nie było pytanie. Wiarygodność chrześcijańskiego objawienia?

Morlin nie odpowiedział i Feliks Ardèvol dalej nalegał.

– Dlaczego studujesz teologię w Gregorianum, skoro teologia cię nie...

Zwiększył się dystans między nimi a pozostałymi studentami, którzy wracali z uniwersytetu do bursy.

W ciągu dwóch lat studiowania Chrystologii i Soterologii, Metafizyki I, Metafizyki II, Bożego Objawienia i wysłuchiwanie złośliwości najbardziej wymagających profesorów, zwłaszcza Levinskiego, tego od Bożego Objawienia, który uznał, że Feliks Ardèvol nie spełnia pokładanych w nim nadziei ze względu na nikłe postępy w jego dyscyplinie, Rzym niewiele się zmienił. Pomimo wojny, która wstrząsnęła Europą, miasto nie było otwartą raną, trochę tylko zubożało. Studenci Papieskiego Uniwersytetu studiowali, jakby nic się nie działo, obojętni na konflikt i na dramaty, jakie za sobą pociągał. Nie wszyscy. Oni zdobywali w tym czasie wiedzę i cnoty. Nie wszyscy.

– A ciebie?

– Teodycea i grzech pierworodny już mnie nie interesują. Nie chcę usprawiedliwiać Boga. Trudno mi się pogodzić z tym, że dopuszcza zło.

– Już parę miesięcy temu zacząłem to podejrzewać.

– Ty też?

– Nie: zacząłem podejrzewać, że się pogubiłeś. Zajmij się lepiej obserwowaniem świata, tak jak ja. Dobrze się bawię na Wydziale Prawa Kanonicznego. Stosunki prawne między Kościołem a społeczeństwem świeckim; Sankcje Karne w Kościele, Dobra doczesne Kościoła, Charyzmat Instytucji życia konsekrowanego, Consuetudine canonica...

– O czym ty mówisz!?

– Nauki spekulacyjne to strata czasu; przy nich kodyfikacje to powiew świeżego powietrza.

– Nie, nie! – zawołał Ardèvol. – Lubię aramejski, jestem podekscytowany, kiedy widzę rękopisy, kiedy mogę zrozumieć różnice morfologiczne między nowoaramejskim bothan i nowoaramejskim barzani. Albo kiedy zgłębiam tajniki koy sanjaq Surat lub mlahso.

– Wiesz? Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Na pewno studujemy na tym samym uniwersytecie? Na tym samym wydziale? Jesteśmy obaj w Rzymie? Co?

– Nieważne. Gdyby tylko ojciec Levinski nie był moim profesorem, chciałbym się dowiedzieć, ile się da, o chaldejskim, babilońskim, samarytańskim, o...

– Na co ci to?

– A tobie co z tego przyjdzie, że wiesz, jaka jest różnica między małżeństwem zawartym, skonsumowanym, legalnym, fałszywym, ważnym i nieważnym?

Obaj wybuchnęli śmiechem na środku Via del Seminario. Jakaś przestraszona kobieta w ciemnym ubraniu podniosła wzrok na dwóch młodych kleryków, którzy swobodnie sobie żartują, uwłaczając podstawowym zasadom skromności.

– Dlaczego jesteś taki osowiały, Ardevole? To nie jest pytanie retoryczne.

– A ciebie co interesuje, tak naprawdę?

– Wszystko.

– A teologia?

– Stanowi część wszystkiego – odpowiedział Morlin, unosząc ramiona, jakby zamierzał pobłogosławić fasadę Biblioteki Casanatense, wraz z dwudziestoma nieświadomymi niczego osobami, które w tym momencie miał przed sobą. Ruszył naprzód tak szybko, że Feliks Ardèvol ledwo za nim nadązał.

– Pomyśl tylko o wojnie w Europie – mówił dalej Morlin, wyciągając energicznie rękę w kierunku

Afryki. I dodał po cichu, jakby się bał szpiegów: – Italia musi pozostać neutralna, bo Trójprzymierze to tylko pakt obronny, mówi Italia.

– To my, alianci, wygramy wojnę – odpowiedziała Entente Cordiale.

– Nie mam w tym żadnego interesu, dotrzymuję tylko danego słowa – oświadczyła Italia z godnością.

– Obiecujemy ci odzyskanie Trydentu, Istrii i Dalmacji.

– Powtarzam – upierała się Italia z jeszcze większą godnością, przewracając oczami – że dla Italii neutralność to kwestia honoru.

– Dobrze: jeżeli do nas przystąpisz, ale dzisiaj, nie jutro, jasne? Jeśli przyłączysz się natychmiast, dostaniesz pełny pakiet utraconych prowincji: Górną Adygę, Trydent, Wenecję Julijską, Istrię, Rijekę, Niceę, Korsykę, Malte i Dalmację.

– Gdzie mam podpisać? – zapytała Italia. I dodała z błyskiem w oku: – Niech żyje Entente! Precz z mocarstwami Europy Środkowej! I tylko tyle, Feliksie, na tym polega polityka. Tak dla jednych, jak dla drugich.

– A wielkie ideały?

Teraz Feliks Morlin zatrzymał się i wzniosł oczy ku niebu, przygotowując się do wygłoszenia sentencji godnej wyrzycia w marmurze:

– Polityka międzynarodowa to nie wielkie międzynarodowe ideały: to wielkie międzynarodowe interesy. Italia bardzo dobrze to rozumiała; gdy tylko stanęła po właściwej, czyli po naszej stronie, natychmiast ofensywa w Trydencie zniszczyła piękne lasy, dar Boży, kontratak, bitwa pod Caporetto, trzysta tysięcy zabitych; Piave, przełamanie frontu w Vittorio Veneto, zawieszenie broni w Padwie, powstaje Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, twór, który nie przetrwa nawet dwóch miesięcy, mimo że nosi szumną nazwę Jugosławii, i przepowiadam, że odzyskane regiony to marchewka, którą zaraz alianci zabiorą. A Italia obudzi się z ręką w nocniku. Ponieważ wszyscy ciągle się biją, wojna nie może się ostatecznie zakończyć. Ale jeszcze doczekamy się prawdziwego przeciwnika, gdy się tylko obudzi.

– Kto to taki?

– Bolszewicki komunizm. A jak nie teraz, to zobaczysz za parę lat.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Czytam prasę, słucham właściwych ludzi. Zawieranie odpowiednich znajomości to sztuka. Gdybyś wiedział, jak niechlubną rolę odegrał w tych sprawach Watykan...

– A kiedy znajdujesz czas na studiowanie duchowego wpływu sakramentów na duszę albo doktryny łaski?

– To, co robię, to też nauka, drogi Feliksie. W ten sposób przygotowuję się do właściwej służby Kościołowi. W Kościele muszą być teolodzy, politycy, a nawet jeden czy drugi nawiedzony uczony, taki jak ty, który patrzy na świat przez lupę. Dlaczego jesteś osowiały?

Przez chwilę szli w milczeniu, ze spuszczonej głowami, pograżeni we własnych myślach. Nagle Morlin stanął jak wryty i powiedział no nie!

– Co?

– Już wiem, co ci jest! Wiem, czemu jesteś osowiały.

– Ach, tak?

– Jesteś zakochany.

Feliks Ardèvol i Guiteres, student czwartego roku Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, który swoją błyskotliwą karierę ugruntował, kończąc dwukrotnie rok akademicki z pierwszą lokatą, otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zaraz je zamknął. Przypomniał sobie, jak w Poniedziałek Wielkanocny, w ostatnim dniu ferii z okazji Wielkiego Tygodnia, gdy już skończył dysertację na temat *Vico, verum et fatum reciprocantur seu convertuntur*, o niemożności zrozumienia wszystkiego, w ostrej opozycji do Feliksa Morlina, który sprawiał wrażenie, jakby rozumiał wszystkie dziwne mechanizmy

społeczne, a do Vico był nastawiony negatywnie, przechodził przez Piazza di Pietra, i tam zobaczył ją po raz trzeci. Olśniewająca. Stado gołębi, ze trzydzieści sztuk, tworzyło między nimi barierę. Podszedł bliżej; zobaczył, że trzyma w ręku paczkę, a kiedy się do niego uśmiechnęła, dokładnie w tym momencie świat stał się jaśniejszy, harmonijny, szczodry i czysty. Natychmiast przeprowadził logiczne rozumowanie: to piękno, tyle piękna, nie może być dziełem diabła. Piękno pochodzi od Boga, a uśmiech był anielski, czyli też boski. Przypomnił sobie ten drugi raz, kiedy Karolina pomagała ojcu rozładować wóz stojący przed sklepem. Czyż te słodkie plecy miałyby się ugiąć pod ciężarem szorstkich drewnianych skrzynek, wypełnionych po brzegi jabłkami? Nie mógł na to pozwolić; pomógł jej i oboje, bez słowa, pod ironicznym spojrzeniem muła przeżuwanego obrok, wyładowali trzy skrzynki, a on, podziwiając nieskończony pejzaż jej oczu, nie zauważył wystającego progu i cały sklep Saveriano Amato zaniemówił na widok studenta uniwersytetu, kleryka, kapłana, seminarzysty, który podkasuje sutannę jak byle tragarz i wpatruje się w dziewczynę mrocznym wzrokiem. Trzy skrzynki jabłek, prawdziwy dar niebios w czasie wojny, to trzy chwile szczęścia u boku piękna; dopiero później rozejrzał się wokół siebie i stwierdził, że jest w sklepie signora Amato, powiedział buona sera i wyszedł, nie mając odwagi odwrócić się, żeby na nią spojrzeć, a za nim pospieszyła matka dziewczyny, która ukradkiem wcisnęła mu do ręki dwa czerwone jabłka; natychmiast zakwitły mu na twarzy rumieńce, bo wyobraził sobie dwie cudowne piersi Karoliny. Albo kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, Karolina, Karolina, Karolina, najpiękniejsze imię na świecie, wtedy jeszcze jako dziewczynę bezimienną, która minęła go i dokładnie w tym momencie skręciła nogę w kostce, aż krzyknęła z bólu, biedne dziecko, i o mało nie osunęła się na ziemię. Towarzyszył mu wtedy Drago Gradnik, który w ciągu dwóch lat od rozpoczęcia nauki na Wydziale Teologicznym urósł jeszcze z pół piędzi i zwiększył masę ciała o sześć czy siedem funtów żywej wagi, a teraz już od trzech dni myślał tylko o jednym, o argumentie ontologicznym świętego Anzelma, tak jakby już nic innego na świecie nie mogło udowodnić istnienia Boga, chociażby piękno tej słodkiej istoty. Nie dotarło do niego, że ten niefortunny krok mógł się okazać bardzo bolesny. Feliks Ardèvol ujął delikatnie w dłoń nogę niezrównanej Adalaisy, Beatrice, Laury, na wysokości kostki, żeby pomóc jej złapać równowagę, a w chwili, gdy dotknął jej nóżki, przez kręgosłup przepłynął mu prąd elektryczny silniejszy niż w łuku elektrycznym na Wystawie Światowej i podczas gdy pytał, czy boli panią, signorina, chciał się na nią rzucić i natychmiast ją pojąć, i po raz pierwszy w życiu poczuł pilne, bolesne, bezlitosne i przeraźliwe pożądanie seksualne. Tymczasem Drago Gradnik patrzył w drugą stronę, rozmyślając o argumentach świętego Anzelma i o innych racjonalnych dowodach na istnienie Boga.

– Ti fa male?

– Grazie, grazie mille, ojciec... – powiedziała słodkim głosem dziewczyna o niezbadanej głębi oczu.

– Jeżeli Bóg obdarzył nas inteligencją, to rozumiem, że wiara nie wyklucza używania rozumu. Prawda, Ardevole?

– Come ti chiami (prześliczna moja nimfo)?

– Karolina, ojciec. Grazie.

Karolina, jakie piękne imię; nie mogłabyś się nazywać inaczej, najdroższa.

– Ti fa ancora male, Karolino (o niezrównana piękności)? – zapytał ponownie, zmartwiony.

– Rozum. Przez rozum do wiary. Czy to jest herezja? Co, Ardevole?

Posadził ją na ławce i tam ją musiał zostawić, bo nimfa, cała w pąsach, zapewniła go, że zaraz będzie tamtędy przechodzić jej matka, i dwaj studenci poszli dalej, ale podczas gdy Drago Gradnik w swojej nosowej łacinie powątpiewał, czy wszystko da się sprowadzić do świętego Bernarda, czy może to, co powiedział Teilhard de Chardin, warte jest przemyślenia, on nagle przyłapał się na tym, że ciągle podnosi do twarzy dłoń, próbując na niej odszukać muśnięcie bogini o imieniu Karolina.

– Ja miałbym być zakochany? – Odwrócił się w stronę Morlina, który obserwował go z szelmowskim uśmiechem.

– Wszystkie objawy na to wskazują.

- Co ty o tym możesz wiedzieć?
- Też przez to przechodziłem.
- I jak się z tym uporałeś? – w głosie Ardèvola brzmiała nutka nadziei.
- Nie z tym, ale z nią. Na niej. Do skutku, aż mi przeszło, a wtedy precz.
- Nie gorsz mnie.
- Takie jest życie. Jestem grzesznikiem i bardzo tego żałuję.
- Zakochanie jest bezkresne, nie ma granic. Ja nie mógłbym...
- O mój Boże, ale cię wzięło, Feliksie Ardevole!

Ardevole nie odpowiedział. Przed nim unosiło się stado gołębi, w Poniedziałek Wielkanocny, na Piazza di Pietra. Niecierpiąca zwłoki potrzeba kazała mu się przebić przez dżunglę gołębią, żeby dotrzeć do Karoliny, która mu wręczyła paczuszkę.

- Il gioiello dell’Africa – powiedziała nimfa.
- A skąd wiedziałaś, że ja...
- Codziennie pan tędy przechodzi. Codziennie.

W tym momencie, Mateusz dwadzieścia siedem, wiersz pięćdziesiąt jeden, zasłona przybytku rozdarła się na dwoje z góry na dół; ziemia zadrżała i skały zaczęły pękać. Groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy umarli, powstało.^[1]

Tajemnica Boga i Słowa Wcielonego.

Tajemnica Marii Dziewicy, Matki Bożej.

Tajemnica wiary chrześcijańskiej.

Tajemnica Kościoła ludzkiego i niedoskonałego; boskiego i wiecznego.

Tajemnica miłości młodej kobiety. Otrzymana w prezencie paczuszka już od dwóch dni stoi na stole w cinquantaquattro, ale dopiero trzeciego dnia ośmieliłem się ją rozwinąć z zewnętrznej warstwy papieru. W środku jest zamknięte puzderko. O, mój Boże. Jestem na granicy przepaści.

Odczekał do soboty. Większość studentów była w swoich pokojach. Część wyszła na spacer lub rozproszyła się po różnych rzymskich bibliotekach, gdzie poirytowani szukali odpowiedzi na pytanie o naturę zła i dlaczego Bóg na nie pozwala, pytali o irytującą przyczynę istnienia szatana, o właściwą interpretację Pisma Świętego lub o moment pojawienia się neumy w zapisie chorału gregoriańskiego i ambrożyjańskiego. Feliks Ardèvol był sam w cinquantaquattro, przy stole, z którego usunął książki. Wszystko miało być na swoim miejscu; nic go nie wyprowadzało z równowagi bardziej niż irytujący stos rzeczy w nieładzie, które natychmiast wyrzucał do śmieci, czy przedmioty nie na swoim miejscu, lub takie, które przyciągały wzrok, ponieważ nie były odpowiednio ułożone, lub... Zastanowił się, czy przypadkiem nie staje się maniakiem. Myślę, że tak; że to już wtedy się zaczęło; obsesja ojca na tle materialnego porządku. Myślę, że brakiem spójności intelektualnej nigdy się nie przejmował. Natomiast książka, która leżała na stole, a powinna leżeć na półce, czy papier porzucony na kaloryferze, to było coś, czego nie dało się wytłumaczyć i wybaczyć. Nic nie mogło zakłócać optycznej harmonii i wszyscy musieliśmy stać na baczność, a zwłaszcza ja, i musiałem codziennie, codziennie, odkładać na miejsce wszystkie zabawki, którymi się bawiłem w ciągu dnia, z czego uchodzili cało tylko szeryf Carson i Czarny Orzeł, bo spali nielegalnie ze mną i ojciec nigdy się o nich nie dowiedział.

Pokój cinquantaquattro był już czysty jak patena. Feliks Ardèvol stał przy oknie i patrzył na strumienie sutann, które wpływały i wypływały z bursy. Na zamkniętą dorożkę przejeżdżającą przez Via del Corso, która kryła w sobie jakieś nieprzyzwoite, irytujące sekrety. Na dziecko, które ciągnęło za sobą blaszane wiaderko, wywołując niepotrzebny, irytujący hałas. Drżał z lęku i dlatego wszystko go irytowało. Na stole leżał niecodzienny przedmiot, przedmiot, któremu nie wyznaczył jeszcze miejsca. Zielone puzderko, подарowane przez Karolinę, z gioiello dell’Africa w środku. Jego przeznaczenie. Poprzysiągł sobie, że zanim zadzwonią na dwunastą dzwony w kościele Santa Maria, albo wyrzuci puzderko, albo je

otworzy. Albo się zabije. Jedno z trzech.

Bo co innego żyć dla nauki, przebijając się przez pasjonujący świat paleografii, starych rękopisów; uczyć się języków, którymi nikt się nie posługuje, gdyż wieki temu zastygły na dobre w zmurszałych papirusach, oknach, wydobywających je z niepamięci; tropić różnice między paleografią średniowieczną a starożytną, cieszyć się, że na wielkim świecie można jeszcze studiować sanskryt i języki azjatyckie, kiedy tamte mu się znudzą, ale gdybym kiedyś miał syna, chciałbym, żeby...

A właściwie dlaczego przyszło mi teraz na myśl, że chciałbym mieć syna? – obruszył się, nie, raczej się zirytował. I znów spojrzął na puzderko, samotne na stole w czyściutkim pokoju cinquantaquattro. Feliks Ardèvol strzepnął nieistniejący pyłek z fałd sutanny, potarł palcem szyję pod zaciśniętą koloratką i usiadł przy stole. Za trzy minuty odezwą się dzwony kościoła Santa Maria. Nabrał powietrza i podjął pierwszą decyzję: na razie nie popełni samobójstwa. Wziął do ręki puzderko, ostrożnie, jak dziecko, które przynosi do domu gniazdo ściągnięte z drzewa, żeby pokazać matce zielonkawę jajka czy bezbronne pisklęta, będą je karmił, mamó, nie martw się, złapię dla nich dużo mrówek. Jak spragniony jeleń, o mój Boże. W jakiś sposób przeczuwał, że podjęte teraz kroki pozostawią w jego duszy nieodwracalny ślad. Dwie minuty. Drżącymi palcami próbował rozwiązać czerwoną wstążkę, ale tylko mocniej zaciskał węzeł, nie z powodu niezręczności nieszczęsnej Karoliny, lecz przez własne nerwy. Minuta i trzydzieści sekund. Podszedł do umywalki po brzytwę. Rozłożył ją szybkim ruchem. Minuta piętnaście sekund. Przeciął okrutnie tę wstążkę, której czerwień nie miała sobie równych wśród wszystkich barw, jakie widział w ciągu swojego długiego życia, bo w wieku dwudziestu pięciu lat czuł się stary i zmęczony i wolałby, żeby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego, żeby przydarzyło się jakiemuś innemu Feliksowi, który na pewno potrafiłby sobie z tym poradzić bez... Minuta! Usta suche, ręce spoczone, kropla potu spływa po policzku, a jeszcze wczoraj... Za dwie sekundy dzwony kościoła Santa Maria in Via Lata zadzwonią na dwunastą. I kiedy w Wersalu banda amatorów ogłosiła, że właśnie skończyła się wojna, i wysuwając z przejścia koniuszek języka podpisywała rozejm, wprawiając w ruch mechanizm, który stanie się zarzewiem nowej, efektywnej wojny za parę lat, jeszcze bardziej krwawej i bliższej absolutnego zła, wojny, do której Bóg nigdy nie powinien był dopuścić, w tym samym czasie Feliks Ardèvol i Guiteres otworzył zielone puzderko. Niezręcznymi ruchami odsunął różową watę i w momencie, gdy zabrzmiało pierwsze uderzenie, Angelus Domini nuntiavit Mariae, rozplakał się.

Wyjść z bursy incognito było stosunkowo łatwo. Z Morlinem, Gradnikiem i dwoma lub trzema innymi zaufanymi kolegami uprawiali ten proceder już wiele razy, całkiem bezkarnie. Kiedy wychodzili w świeckim ubraniu, Rzym otwierał przed nimi wiele drzwi, innych niż te, które otwierał przed sutannami. W zwykłym ubraniu mogli wejść nawet do takiego muzeum, gdzie przyzwoitość nie pozwoliłaby im pokazać się w sutannie. Mogli napić się kawy na Piazza Colonna i w jeszcze odleglejszych okolicach, przyglądając się przechodniom; ze dwa, trzy razy Morlin zabrał go, swojego ukochanego ucznia, z wizytą do ludzi, których jego zdaniem powinien poznać. Przedstawiał go jako Feliksa Ardevole, uczonego, który zna osiem języków, przed którym rękopisy nie mają żadnych tajemnic, a badacze otwierali wtedy swoje sejfy i mógł zobaczyć na własne oczy oryginalny rękopis *Mandragory*, coś wspaniałego, czy rozsypujące się papirusy, związane z dziejami Machabeuszy. Jednak dziś, kiedy Europa zawierała pokój, uczonego Feliksa Ardevole po raz pierwszy wychodził w tajemnicy nie tylko przed władzami bursy, ale i przed swoimi kolegami. W swetrze i czapce, pod którymi ukrywał swoje klerykalne nawyki. Jak strzała pomknął w stronę sklepu warzywnego signora Amato i stanął na czatach, licząc upływające godziny. Z puzderkiem w kieszeni patrzył na przechodzących ludzi, beztrojskich i szczęśliwych, wolnych od trawiącej go gorączki. Widział matkę Karoliny i jej młodszą siostrę. Wszystkich, poza swoją ukochaną. Gioiello, prymitywny medalik, na którym niewprawna ręka wygrawerowała romańską Matkę Boską, a przy niej ogromne drzewo, coś jakby świerk, a na rewersie jedno słowo, Pardàc. Z Afryki? Czy to mógł być medalik koptyjski? Dlaczego powiedziałem moja

ukochana, skoro nie mam prawa, żeby... poczuł, że go dławi świeże powietrze. Zaczęły bić dzwony i Feliks, który jeszcze o niczym nie wiedział, uznał, że to hołd, który wszystkie kościoły w Rzymie składają jego potajemnej, niedozwolonej i grzesznej miłości. Ludzie przystawali zdziwieni, może szukali Abelarda, ale zamiast patrzeć w jego stronę i wskazywać go palcami, pytali, co takiego musiało się wydarzyć, żeby wszystkie dzwony Rzymu były o trzeciej po południu, inaczej niż co dzień, co się dzieje? Mój Boże... a jeśli to koniec wojny?

Wtedy pojawiła się Karolina Amato. Wyszła z domu z rozwianą krótką czupryną, przeszła przez jezdnię i skierowała się dokładnie tam, gdzie na nią czekał Feliks, mimo że tak świetnie się zakamuflował. A kiedy stanęła przed nim, podarowała mu radosny, milczący uśmiech. On przełknął ślinę, ścisnął puzderko, które trzymał w dłoni ukrytej w kieszeni, otworzył usta i nic nie powiedział.

– Ja ciebie też – odpowiedziała. Dzwony ciągle dzwoniły. – Podoba ci się?

– Nie wiem, czy mogę go przyjąć.

– Jest mój, ten gioiello. Podarował mi go wujek Sandro, kiedy się urodziłam. Przywiózł go z Egiptu. Teraz jest twój.

– A co na to twoja rodzina?

– Był mój, teraz jest twój: rodzina nic nie powie. To dowód mojej miłości.

Wzięła go za rękę. W tym momencie niebo spadło na ziemię i Abelard skoncentrował się na dotyku skóry Heloizy, a ta przez górę śmieci pociągnęła go do bezimiennego vicolo, który dla niego miał różany zapach miłości; znaleźli otwarte drzwi i wpadli do jakiegoś domu, gdzie nie było nikogo. Dzwony nadal były i kobieta z sąsiedztwa krzyczała przez okno nuntio vobis gaudium magnum, Elisabetta, la guerra è finita! Ale kochankowie przystępowali teraz do rozegrania własnej, najważniejszej potyczki i nie słyszeli tej proklamacji.

De pueritia

Dobry wojownik nie powinien ciągle zakochiwać się we wszystkich squaw, które napotka na swojej drodze, nawet jeśli upiększą się barwami wojennymi.

CZARNY ORZEŁ

Nie patrz tak na mnie. Wiem, że trochę zmyślam, ale to nie znaczy, że kłamię. Zapamiętałem na przykład, że próbowałem sobie stworzyć coś w rodzaju domu pod łóżkiem w moim dawnym pokoju, przekształconym obecnie w dział Historii i Geografii. To moje najdawniejsze wspomnienie. Było mi tam całkiem wygodnie, a przede wszystkim dobrze się bawiłem, patrząc na nogi wszystkich, którzy wchodzili, mówiąc Adrian, synku, gdzie się podziewasz, albo Adrian, czas na podwieczorek. Gdzie się schowałeś? Świetna zabawa. Tak, zawsze okropnie się nudziłem, bo mój dom nie był domem dla dzieci ani moja rodzina nie nadawała się do wychowywania kogokolwiek. Matka się nie liczyła, ojca pochłaniały całkowicie transakcje kupna i sprzedaży, a mnie tymczasem zżerała zazdrość, byłem zazdrosny o każdą kolejną rycinę czy wazon z delikatnej porcelany. Matka... wydawało mi się, że matka zawsze ma się na baczności; czujnie rozglądała się wokół siebie, mimo że miała po swojej stronie Małą Lolę. Teraz rozumiem, że czuła się obco w tym domu. Mieszkanie należało do ojca; matka była w nim zaledwie tolerowana. Kiedy ojciec zmarł, wreszcie mogła swobodnie odetchnąć i z jej spojrzenia znikł niepokój, chociaż nadal starała się nie patrzeć mi w oczy. Zmieniła się. Zastanawiam się, dlaczego. Zastanawiam się też, dlaczego moi rodzice byli razem. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek się kochali. W ich domu nigdy nie było miłości. Ja byłem tylko przypadkową konsekwencją wydarzeń.

To ciekawe: chciałbym opowiedzieć o tylu sprawach, a tymczasem gubię się w dywagacjach i tracę czas na refleksje, które przyprawiłyby o ślinotok samego Freuda. Może dlatego, że wszystkiemu winne są moje relacje z ojcem. Może dlatego, że zmarł z mojej winy.

Pewnego dnia, kiedy byłem trochę starszy i przebywałem właśnie na zdobytym podstępem terytorium w gabinecie ojca, między sofą a ścianą, które zajęli moi Indianie i kowboje, wszedł ojciec, a za nim ktoś, kogo rozpoznałem po głosie, niby miłym, ale jednocześnie budzącym grozę. Po raz pierwszy usłyszałem pana Berenguera poza sklepem, tu mówił inaczej; od tamtej chwili słuchanie go straciło dla mnie urok, i w sklepie, i poza nim. Znieruchomiałem, postawiłem szeryfa Carsona na podłodze, ale koń Czarnego Orła, który zazwyczaj zachowywał się cicho, upadł na ziemię z hałasem. Przestraszyłem się; na szczęście nieprzyjaciel niczego nie zauważył. Ojciec powiedział przed panem nie muszę się tłumaczyć.

– Ja uważam, że tak.

Pan Berenguer usiadł na sofie, która pod jego ciężarem przesunęła się w stronę ściany, i naraził mnie na heroiczny wybór, czy dać się zgnieść, czy ujawnić kryjówkę. Usłyszałem, jak postukuje w papierośnicę i zaraz potem rozległ się lodowaty głos ojca w tym domu obowiązuje zakaz palenia. Wtedy pan Berenguer powiedział, że domaga się wyjaśnień.

– Pan dla mnie pracuje – ironia w głosie ojca – chyba się nie mylę?

– Udało mi się zdobyć dziesięć grafik, bez zdecydowanych protestów poszkodowanych. Przemyciłem te dziesięć grafik przez trzy granice, z własnej inicjatywy załatwiłem ekspertyzę, a teraz mi pan mówi, że je sprzedał bez konsultacji ze mną. A to był Rembrandt, zdaje pan sobie sprawę?

– Kupujemy i sprzedajemy, taki mamy sposób zarabiania na kurewskie życie.

To o kurewskim życiu usłyszałem po raz pierwszy. Bardzo mi się spodobało; ojciec wymówił potrójne r: kurrewskie, myślę, że był wkurzony. Domyśliłem się, że pan Berenguer skwitował to uśmiechem; w tym czasie umiałem już interpretować ciszę i byłem pewien, że pan Berenguer się uśmiechnął.

– A, dzień dobry, panie Berenguer – głos matki – Feliksie, nie widziałeś chłopca?

– Nie.

Sytuacja patowa. Jak mam się teraz wyślizgnąć zza sofę, znaleźć się po przeciwnej stronie domu i udawać, że niczego nie słyszałem? Zadałem to pytanie szeryfowi Carsonowi i Czarnemu Orłu, ale w tej

sprawie nie mogłem na nich liczyć. Mężczyźni milczeli, czekając, aż matka opuści gabinet i zamknie za sobą drzwi.

– Miłego dnia.

– Miłego dnia, proszę pani. – Głos znów zabrzmiał nieprzyjemnie. – Czuję się oszukany. Domagam się specjalnej prowizji. – Cisza. – Żądam.

Guzik mnie obchodziła sprawa prowizji. Żeby opanować drżenie, tłumaczyłem w myślach całą rozmowę na francuski, francuski zmyślony, a z tego wynika, że musiałem wtedy mieć siedem lat. Czasem tak robiłem, żeby się uspokoić, bo kiedy się denerwowałem, ruszałem się w sposób niekontrolowany, a w ciszy panującej w gabinecie usłyszeliby mnie, gdybym narobił zamieszania. C'est mon droit. Vous travaillez pour moi, monsieur Berenguer. Oui bien sûr, mais j'ai de la dignité, moi!

Z oddali dobiegał głos matki, wołającej Adrian, chłopcze! Mała Lolu, nie widziałas go? Dieu sait où est mon petit Hadrien!

Nie pamiętam tego dokładnie, ale mam wrażenie, że pan Berenguer wyszedł wzburzony, a ojciec pozbył się go zdawkowym na dobre i na złe, panie Berenguer, czego nie potrafiłem przetłumaczyć na francuski. Tylko w mojej wyobraźni matka mówiła do mnie mon petit Hadrien.

W każdym razie mogłem już wyjść z ukrycia i w czasie, gdy ojciec odprowadzał gościa do drzwi, zdążyłem zatrzeć za sobą ślady; prowadząc partyzanckie życie, rozwinąłem niezwykle umiejętności kamuflażu i mogłem przebywać w kilku miejscach naraz.

– Tu jesteś! – Matka pojawiła się na balkonie, z którego obserwowałem zapalające się na ulicy światła samochodów, bo tamte czasy utrwaliły mi się w pamięci jako wieczny zmierzch. – Nie słyszałeś, że cię wołam?

– O co chodzi? – W dłoni trzymałem szeryfa na gniadym koniu, niby że wracał z prerii.

– Trzeba przymierzyć szkolny fartuszek. Nie słyszałeś, że cię wołam?

– Fartuszek?

– Pani Angeleta podłużyła ci rękawy. – Tonem nieznoszącym sprzeciwu rozkazała: – Chodź.

W prasowni pani Angeleta, z igłą w ustach, oceniała fachowym okiem długość nowych rękawów.

– Za szybko rośniesz, chłopcze.

Matka wyszła pożegnać pana Berenguera. W prasowni zjawiała się Mała Lola po czyste koszule, a ja tymczasem stałem w fartuchu bez rękawów, co często zdarzało mi się w dzieciństwie.

– I za bardzo wycierasz łokcie – podsumowała mnie pani Angeleta, która musiała wtedy mieć z tysiąc lat.

Zamknęły się drzwi mieszkania. Słyszac kroki ojca oddalające się w stronę gabinetu, pani Angeleta pokręciła śnieżnobiałą głową.

– Ostatnio ma wielu gości.

Mała Lola nie reagowała; udawała, że nie słyszy. Tymczasem pani Angeleta przypięła szpilkami rękaw do fartucha i dodała:

– A czasem słyszę krzyki.

Mała Lola wzięła koszule, nie komentując słów szwaczki. Pani Angeleta jeszcze mruknęła:

– Ciekawe, o czym tak rozmawiają...

– O kurrewskim życiu – palnąłem bez zastanowienia.

Koszule, które niosła Mała Lola, upadły na ziemię; pani Angeleta ukłuła mnie igłą w ramię, a Czarny Orzeł odwrócił się i patrząc spod przymkniętych powiek, omiół wzrokiem wyschniętą ziemię aż po horyzont. On pierwszy dostrzegł w oddali chmurę pyłu. Wcześniej niż Szybki Królik.

– Zbliżają się trzej jeźdźcy – powiedział. Nikt się nie odezwał. Jaskinia chroniła ich wprawdzie przed bezlitosnym letnim żarem, ale nikt, żadna squaw, żadne dziecko, nie miał siły zainteresować się, kim są przybysze i jakie mają zamiary. Czarny Orzeł dał znak ledwie dostrzegalnym mrugnięciem. Trzej wojownicy zeszli na dół, tam, gdzie pasły się konie. Szedł za nimi, nie spuszczać oka z chmury kurzu.

Jechali prosto na jaskinię, nie kryjąc swoich zamiarów. Jak ptak, który chce wyprowadzić w pole rabusia i odciąga go od gniazda, używając różnych sztuczek, tak on i jego trzej ludzie skierowali się na zachód, żeby zwrócić na siebie uwagę przybyszów. Obie grupy spotkały się koło pięciu dębów. Przybyszami byli biali mężczyźni; jeden jasnowłosy, pozostali dwaj mieli ciemną karnację. Ten z gęstymi wąsami zeskoczył zręcznie z siodła i uśmiechnął się, rozkładając szeroko ręce.

– Ty jesteś Czarny Orzeł – upewnił się, nadal trzymając ręce daleko od ciała, na znak pokojowych zamiarów.

Wielki wódz plemienia Południowych Arapaho, na ziemiach położonych w pobliżu rzeki Washity, Żółtej Ryby, potwierdził lekkim skinieniem głowy, siedząc na koniu tak nieruchomo, że nie drgnął mu ani jeden włos, i zapytał, kogo mamy zaszczyt gościć, a ten z czarnymi wąsami znów się uśmiechnął, wykonał żartobliwy ukłon i powiedział jestem szeryf Carson z Rockland, położonego w odległości dwu dni od waszego terytorium.

– Wiem, gdzie postawiliście swoją wioskę – odpowiedział obojętnym tonem legendarny wódz. – Na ziemiach Paunisów. – Splunął na ziemię.

– A to są moi pomocnicy – wskazał Carson, nie domyślając się, co oznaczało to splunięcie. – Szukamy zbiegłego przestępcy. – Teraz on splunął, ciekaw, co z tego wyniknie.

– Co takiego zrobił, że uznajecie go za przestępcę? – zapytał wódz Arapaho.

– Znasz go? Widziałeś gdzieś?

– Pytałem, co zrobił, że uważacie go za przestępcę.

– Zabił klacz.

– I pozbawił czci dwie kobiety – dodał blondyn.

– No tak, jasne, to też – przyznał szeryf Carson.

– A dlaczego szukacie go tutaj?

– Bo pochodzi z plemienia Arapaho.

– Mój lud mieszka wiele dni na zachód i na wschód, w stronę zimna i w stronę gorąca. Dlaczego przyjechałeś właśnie tu?

– Wiesz, kim jest. Chcemy, żebyś go wydał w ręce sprawiedliwości.

– Mylisz się, szeryfie Carson. Ten zabójca nie należy do plemienia Arapaho.

– Ach, nie? A ty skąd wiesz?

– Nikt z plemienia Arapaho nie zabiłby klaczy.

Wtedy zapaliło się światło i Mała Lola kiwnęła na niego ręką, dając znak, że ma wyjść ze schowka. Przed Adrianem stała matka, w barwach wojennych na twarzy, i nie patrząc na niego, nie spluwając w jego stronę, powiedziała Lolu, każ mu umyć twarz, do czysta. Wodą z mydłem. A jak to nie pomoże, to dolej parę kropel ługu.

Czarny Orzeł dzielnie zniósł tortury, żaden jęk nie wydobył się z jego gardła. Kiedy Mała Lola skończyła i wycierała mu twarz ręcznikiem, spojrział jej prosto w oczy i zapytał Mała Lolu, możesz mi powiedzieć, co to znaczy pozbawić kobietę czci?

Kiedy miałem siedem, osiem lat, byłem przekonany, że decyduję o swoim życiu. Jedną z najrozsądniejszych decyzji było zdanie się na matkę w kwestiach dotyczących mojej edukacji. Ale najwyraźniej nie tak się przedstawiały sprawy. Przekonałem się o tym tego samego wieczora, kiedy chcąc się dowiedzieć, jak zareaguje ojciec na moje zabawy, przygotowałem się do szpiegowania rozmowy w jadalni. To nie było trudne, ponieważ mój pokój sąsiadował z jadalnią przez ścianę. Oficjalnie wcześniej poszedłem spać, żeby ojciec, wracając z pracy, zastał mnie w łóżku. To był najlepszy sposób na uniknięcie awantury, która przybrałaby niebezpieczny obrót, gdybym użył w obronie własnej argumentu, że to o kurrewskim życiu usłyszałem od niego, i zamiast zarzutu masz niewyparzony język, który trzeba wyszorować szarym mydłem, usłyszałbym a skąd do kurwy nędzy wiesz, że powiedziałem

kurrewskie życie, ty bezczelny kłamczuchu? Co? Co? Może mnie śledziłeś? A ja pod żadnym pozorem nie mogłem wyłożyć kart na stół, bo stosując uniki stałem się jedyną osobą w domu, przed którą żaden kąć nie miał tajemnic, żadna rozmowa, dyskusja czy szloch z niewyjaśnionej przyczyny, jak wtedy, kiedy Mała Lola przez tydzień bez przerwy płakała, starannie ukrywając gnębiące ją ogromne cierpienie, kiedy wychodziła ze swojego pokoju. Minęło wiele lat, zanim zrozumiałem, jaki był powód tych łez, ale wtedy dotarło do mnie tylko tyle, że w życiu bywają zmartwienia, które mogą trwać cały tydzień, i trochę mnie zaniepokoiła ta perspektywa.

W każdym razie podsłuchiłem rozmowę rodziców, przykładając ucho do dna szklanki przystawionej do ściany. W głosie ojca dało się wyczuć zmęczenie, a kiedy matka poskarżyła się, że jestem bardzo niegrzeczny, ojciec, nie okazując zainteresowania szczegółami, powiedział to już postanowione.

– Co zostało postanowione? – przerażony głos matki.

– Zapisalem go do szkoły jezuitów przy ulicy Casp.

– Ależ, Feliksie... Przecież...

W tym dniu przekonałem się, że w domu rządzi ojciec. I że moja edukacja zależy wyłącznie od niego. W myślach zanotowałem sobie, że mam sprawdzić w *Britannice*, co to takiego ci jezuiti. Ojciec wytrzymał wzrok matki bez słowa, aż w końcu ona zdecydowała się przerwać milczenie:

– Dlaczego do jezuitów? Ty nie jesteś wierzący i...

– Wysoka jakość nauczania. Musimy zadbać o skuteczność. Mamy tylko jednego syna i nie możemy go zmarnować.

Niby tak, faktycznie, mieli tylko jednego syna. Chociaż nie, nie o to chodziło. Jasne było tylko to, że nie mogli sobie pozwolić na marnotrawstwo. Dlatego ojciec dodał coś o językach, co mi przypadło do gustu.

– Co powiedziałeś?

– Dziesięć języków.

– Nasz syn to nie jakieś monstrum.

– Ale może się ich nauczyć.

– A dlaczego dziesięciu?

– Bo ojciec Levinski z Gregorianum znał dziewięć. Nasz syn musi być lepszy.

– Niby z jakiego powodu?

– Bo powiedział mi przy kolegach, że się nie nadaje, bo mój aramejski, po całym roku studiowania pod kierunkiem Faluby, był daleki od doskonałości.

– Nie żartuj sobie: rozmawiamy o wykształceniu naszego syna.

– Nie żartuję: mówię o wykształceniu mojego syna.

Wiem, że matka musiała poczuć się niezręcznie, kiedy ojciec w jej obecności mówił o mnie jako o swoim synu. Ale wtedy wydawało mi się, że matka myślała o czym innym, bo zaczęła oponować, że nie da zrobić ze mnie dziwoląga, i z odwagą, o jaką jej nie podejrzewałem, powiedziała słyszysz? Nie chcę, żeby mój syn skończył jako jarmarczne dziwowisko, które musi być lepsze niż ojciec Luwowski.

– Levinski.

– Monstrum Levinski.

– Wielki teolog i biblista. Monstrum erudycji.

– Nie, musimy o tym porozmawiać spokojnie.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Przecież właśnie to robili: spokojnie rozmawiali o mojej przyszłości. A ja byłem coraz spokojniejszy, bo o kurrewskim życiu nie było ani słowa.

– Kataloński, hiszpański, francuski, niemiecki, włoski, angielski, łacina, greka, aramejski i rosyjski.

– Co to ma być?

– Dziesięć języków, które powinien poznać. Trzy pierwsze już zna.

– Nie, francuski sam wymyśla.

– Ale sobie radzi, da się go zrozumieć. Mój syn może zrobić wszystko, co zamierza. A języki dadzą mu

dodatkowy atut. Nauczy się dziesięciu.

– Musi się też bawić.

– Już jest duży. Kiedy przyjdzie czas na studia, już będzie je znał. – I dodał, wzdychając zmęczony: –

Porozmawiamy o tym kiedy indziej, dobrze?

– Ma dopiero siedem lat, na litość boską!

– Toteż nie wymagam od niego, żeby od razu brał się za aramejski. – Bębnił palcami w blat stołu, dając do zrozumienia, że dyskusja skończona: – Zacznie od niemieckiego.

Podobał mi się ten plan, bo z *Britannicą* już sobie nieźle radziłem z pomocą słownika, no problem, natomiast niemiecki to była czarna magia. Bardzo byłem ciekaw deklinacji, chciałem wejść w świat języków, które zmieniają końcówki słów w zależności od funkcji, jaką pełnią w zdaniu. Nie ujmowałem tego w taki sposób, ale prawie: musiałem być nieznośnie przemądrzały.

– Nie, Feliksie, nie możemy popełnić tego błędu.

Usłyszałem głośne splunięcie.

– Słucham?

– Co to takiego aramejski? – zapytał tubalnym głosem szeryf Carson.

– Nie wiem dokładnie. Trzeba będzie sprawdzić.

Byłem dziwnym dzieckiem, przyznaję. Kiedy teraz to sobie przypominam i patrzę na malca, który słucha o swojej przyszłości, przytulając szeryfa Carsona i dzielnego wodza Arapaho, i martwi się tylko, żeby się nie wydało, że podsłuchiwał, myślę, że byłem nie tylko trochę dziwny, ale że był ze mnie naprawdę rzadki okaz.

– To nie jest błąd. Już wybrałem nauczyciela dla chłopca. Przyjdzie na pierwszą lekcję niemieckiego.

– Nie.

– Nazywa się Romeu; to bardzo wartościowy młody człowiek.

Zmartwiłem się. Nauczyciel w domu? Przecież dom był mój; tylko ja wiedziałem o wszystkim, co się w nim działo: nie potrzebowałem niewygodnych świadków. Nie, nie podobał mi się ten jakiś Romeu, który będzie wtykał swój nos w nasze sprawy, mówiąc o, jak to ładnie mieć własną bibliotekę, choć masz dopiero siedem lat, i inne gówna w tym rodzaju, powtarzane przez dorosłych, którzy do nas przychodzili. Wykluczone.

– I będzie studiował trzy kierunki.

– Co takiego?

– Prawo i historię. – Cisza. – I jeszcze jeden, który sam wybierze. Ale przede wszystkim prawo, bo najbardziej się przydaje, żeby sobie radzić na tym zaszczurzonym świecie.

Stuk, stuk, stuk, stuk, stuk, stuk. Moja stopa zaczęła się poruszać sama z siebie, stuk, stuk, stuk, stuk. Nienawidziłem prawa. Nie macie pojęcia, jak bardzo. Nie wiedziałem dokładnie, o co w nim chodzi, ale i tak śmiertelnie go nienawidziłem.

– Je n'en doute pas – disait ma mère. – Mais est-ce qu'il est un bon pédagogue, le tel Gomeu?

– Bien sûr, j'ai reçu des informations confidentielles qui montrent qu'il est un individu parfaitement capable en langue allemande. Allemande? Tedesque? Et en la pédagogie de cette langue. Je crois que...

Powoli się uspokajałem. Stopa przestała się poruszać w niekontrolowany sposób i usłyszałem, że matka wstaje i pyta: a co z grą na skrzypcach? Ma ją porzucić?

– Nie. Ale schodzi na dalszy plan.

– Nie zgadzam się.

– Dobranoc, kochanie – odpowiedział ojciec, rozkładając gazetę, którą zwykle przeglądał o tej porze.

Czyli miałem zmienić szkołę. O cholera. Bałem się. Na szczęście szeryf Carson i Czarny Orzeł będą ze mną. Skrzypce schodzą na drugi plan? A czemu aramejski będzie dopiero później? Tej nocy trudno mi było zasnąć.

Zdaję sobie sprawę, że wszystko mi się myli. Nie wiem, czy miałem siedem, osiem czy dziewięć lat. Ale kiedy rodzice zauważyli mój talent do języków, już mi nie odpuścili. Zaczęło się od francuskiego pewnego lata, które spędziłem w Perpignan u ciotki Aurory, gdzie wszyscy przy pierwszej lepszej okazji przechodzili z gardłowego katalońskiego na francuski; dlatego teraz, kiedy mówię po francusku, mam południowy akcent, który tam sobie przyswoiłem i zachowałem przez całe życie, do czego się przyznaję z dumą. Nie pamiętam, ile miałem wtedy lat. Później uczyłem się niemieckiego; co do angielskiego, sam nie wiem. Chyba zaraz potem. To nie tak, że chciałem się ich uczyć. To przychodziło samo.

Kiedy teraz zbieram myśli, żeby ci to wszystko opisać, wyobrażam sobie swoje dzieciństwo jako długie i nudne niedzielne popołudnie, kiedy snułem się po domu, próbując wśliznąć się do gabinetu; przypuszczałem, że byłoby zabawnie mieć jakieś rodzeństwo, odkrywałem, że czytanie też w końcu staje się nudne, kiedy ma się Enidy Blyton po dziurki w nosie, martwiłem się, że następnego dnia trzeba iść do szkoły, i to było najgorsze. Nie dlatego, że bym się bał szkoły, nauczycieli i rodziców, tylko z powodu dzieci. Ja w szkole bałem się kolegów, bo patrzyli na mnie jak na dziwoląga.

– Mała Lolu.

– Co?

– Co mam robić?

Mała Lola przestawała wycierać ręce czy malować usta i patrzyła na mnie.

– Mogę iść z tobą? – Adrian patrzył na nią z nadzieją.

– Nie, skądże, tylko byś się nudził!

– Ale ja tu się nudzę.

– Włącz radio.

– To głupie.

Wtedy Mała Lola wkładała płaszcz i wychodziła z pokoju, który zawsze nią pachniał, i po cichu, tak żeby nikt jej nie usłyszał, podpowiadała mi powiedz matce, żeby cię zabrała do kina. A głośno dodawała miłego popołudnia, do widzenia, otwierała drzwi, puszczała do mnie oko i wychodziła; ona mogła dobrze się bawić w niedzielne popołudnia, ciekawe jak, a ja musiałem snuć się po mieszkaniu jak potępieniec.

– Mamo.

– Co.

– Nie, nic.

Matka uniosła głowę znad czasopisma, dopiła resztkę kawy i spojrzała na mnie:

– Mów, synu.

Bałem się poprosić ją, żeby mnie zabrała do kina. Bardzo się bałem, do dziś nie rozumiem, dlaczego. Moi rodzice byli zbyt poważni.

– Nudzę się.

– Poczytaj sobie. Jak chcesz, możemy powtórzyć francuski.

– Chodźmy do wesołego miasteczka, na Tibidabo.

– Teraz? Trzeba było mówić rano.

Nigdy nie wybraliśmy się na Tibidabo, w żadną niedzielę, ani rano, ani po południu. Musiałem użyć wyobraźni, zawsze kiedy koledzy opowiadali, jak tam jest, o mechanicznych cudёнkach, tajemniczych automatach, wieżach, zderzających się autach i... sam nie wiem, czym jeszcze. To było miejsce, gdzie rodzice zabierają dzieci. Moi nie zabierali mnie ani do zoo, ani na spacer nad morzem. Za bardzo byli drętwi. I nie kochali mnie. Tak mi się wydaje. Nadal się zastanawiam, po co mnie mieli.

– Ale ja chcę na Tibidabo!

– Co to za krzyki? – upomniał mnie ojciec z gabinetu. – Uważaj, żebyś nie musiał cię ukarać.

– Nie chcę powtarzać francuskiego!

– Powiedziałem, że zasłużysz na karę!

Czarny Orzeł doszedł do wniosku, że to było bardzo niesprawiedliwe, i podzielił się swoją refleksją ze mną i z szeryfem. Żeby się nie zanudzić na śmierć, a przede wszystkim żeby uniknąć kary, wziąłem skrzypce i zacząłem ćwiczyć arpeggio, ozdobniki, których główną zaletą jest ich trudność; naprawdę ciężko jest osiągnąć dobre brzmienie. W moich uszach skrzypce brzmiały fatalnie, dopóki nie poznałem Bernata. Porzuciłem ćwiczenie w połowie.

– Ojczy, czy mógłbym zagrać na storionim?

Ojciec podniósł głowę. Jak zwykle oglądał pod lupą jakiś dziwny papier.

– Nie – odpowiedział. I pokazał mi to, co leżało przed nim na stole: – Popatrz, jakie to piękne.

To był bardzo stary rękopis z krótkim tekstem zapisanym nieznanym mi alfabetem.

– Co to takiego?

– Fragment Ewangelii świętego Marka.

– A co to za język?

– Aramejski.

– Słyszysz, Czarny Orle? Aramejski! Aramejski to bardzo stary język. Język papirusów i pergaminów.

– Czy mógłbym się go nauczyć?

– W stosownym czasie – powiedział z nieskrywaną satysfakcją; ponieważ na ogół wszystko przychodziło mi łatwo, więc on, czemu nie, chwalił się zdolnym synem. Chciałem wykorzystać dobry moment:

– Mogę zagrać na storionim?

Feliks Ardèvol popatrzył na niego w milczeniu. Odsunął lampę z lupą. Adrian stuknął nogą w podłogę:

– Tylko raz. Ojczy, proszę...

Kiedy ojciec się denerwuje, patrzy tak, że można się przestraszyć. Adrian wytrzymał jego spojrzenie tylko kilka sekund. Musiał zamknąć oczy.

– Nie rozumiesz, co znaczy nie? Niet, nein, no, ez, non, ei, nem. Mówi ci to coś?

– Ei i nem?

– Fiński i węgierski.

Kiedy Adrian wychodził z gabinetu, odwrócił się wściekły i wygłosił straszną groźbę:

– Jak tak, to ja nie będę się uczył aramejskiego.

– Zrobisz, co ci każe – uświadomił mu ojciec pewnym siebie, lodowatym tonem człowieka, który wie, że zawsze będzie tak, jak on powie. I wrócił do studiowania rękopisu, do aramejskiego, do lupy.

Tego dnia Adrian postanowił prowadzić podwójne życie. Miał już tajne schowki, ale teraz zdecydował się poszerzyć granice podziemnego królestwa. Postawił przed sobą wielkie zadanie: odkryje kod sejfu i pod nieobecność ojca będzie grać na storionim; na pewno nikt się nie dowie. Potem włoży skrzypce do futerału i szybko schowa je do sejfu, zacierając w ten sposób ślady zbrodni. I żeby nikt nie odgadł jego planów, poszedł ćwiczyć arpeggio; nie zdradził się słowem ani przed szeryfem, ani przed wodzem Arapaho, pogrążonymi w poobiedniej drzemce na nocnej szafce.

Zapamiętałem ojca jako starego człowieka. Natomiast matka to była matka. Szkoda, że mnie nie kochała. Adrian wiedział o niej tylko tyle, że dziadek, młody wdowiec, który został sam z małym dzieckiem, wychował ją tak, jak umiał, rozglądając się rozpaczliwie wokół w poszukiwaniu gotowej instrukcji, jakie wyznaczyć dziecku miejsce w swoim życiu. Babcia Vicenta zmarła młodo, mama miała wtedy sześć lat. Mogła o niej zachować najwyżej mgliste wspomnienie, a ja jestem zdany na dwie fotografie, na których została uwieczniona: zdjęcie ślubne zrobione w salonie fotograficznym Caria, przedstawiające młodych i atrakcyjnych nowożeńców, wystrojonych z ostentacją kogoś, kto się wybiera do fotografa, i zdjęcie babci z mamą na ręku, na którym uśmiecha się niewesoło, jakby wiedziała, że nie dożyje jej pierwszej komunii, z wypisanym na twarzy pytaniem, dlaczego mam umierać młodo i przetrwać tylko na fotografii w kolorze sepia dla wnuka, który ponoć będzie cudownym dzieckiem, ale ja go już nie poznam. Matka wychowywała się sama. Nikt nigdy nie zabrał jej na Tibidabo i pewnie dlatego nie przyszło jej do głowy, że ja chciałem wiedzieć, co to takiego te żywe automaty, o których słyszałem, że poruszają się, kiedy się wrzuca monetę, i sprawiają wrażenie prawdziwych ludzi.

Matka wychowywała się sama, w latach dwudziestych, kiedy zabijano ludzi na ulicy, cała Barcelona była w kolorze sepia, a dyktatura Primo de Rivery zasnuwała goryczą wzrok jej mieszkańców. Kiedy dziadek Adrian zrozumiał, że dziewczynka rośnie i trzeba jej wytłumaczyć sprawy, na których on się nie zna, bardzo odległe od paleografii, sprowadził do domu córkę Loli, którą babcia Vicenta darzyła zaufaniem i która nadal zajmowała się domem, od ósmej rano do ósmej wieczorem, mimo że jej pani już nie żyła. Córka Loli, dwa i pół roku starsza od mojej matki, też miała na imię Lola. Lolę matkę nazywano Dużą Lolą. Biedna kobieta nie doczekała proklamowania republiki. Na łożu śmierci przekazała swój testament córce. Opiekuj się Carme, jakby chodziło o twoje własne życie, i Mała Lola została na dobre przy mojej matce. Do czasu, kiedy matka odeszła. Różne Lole w naszej rodzinie pojawiają się i znikają, kiedy ktoś umiera.

Nadzieja, jaką niosły ze sobą postulaty republikańskie, ucieczka króla, proklamowanie Republiki Katalońskiej i przepychanki z rządem centralnym, sprawiła, że w Barcelonie sepia zamieniła się w szarość, a ludzie chodzili po ulicach, trzymając ręce w kieszeni, kiedy było zimno, ale nie zważając na chłód, pozdrawiali się, częstowali papierosami nieznajomych i uśmiechali się do siebie, bo mieli nadzieję; nadzieję na co, nie wiedzieli, ale zawsze jakąś nadzieję. Feliks Ardèvol, obojętny na sepie i szarość, wyjeżdżał i wracał, podróżując ze swoim cennym towarem; przyświecał mu jeden cel: powiększyć zbiory, zaspokoić wieczne pragnienie, nie tyle kolekcjonera, co raczej ciułacza. Tło szare czy w kolorze sepia było mu obojętne. Interesowało go tylko to, co służyło gromadzeniu kolekcji. Dlatego zwrócił uwagę na doktora Adriana Boscha, wybitnego paleografa z Uniwersytetu w Barcelonie, uczonego, o którym mówiono, że bezbłędnie i bez zastanowienia potrafi datować obiekty. To była znajomość korzystna dla obu stron i Feliks Ardèvol stał się częstym gościem w gabinecie doktora Boscha na uniwersytecie, aż w końcu zaczęło to przeszkadzać niektórym asystentom. Feliks Ardèvol wolał spotykać się z doktorem Boschem w jego domu niż na uczelni. Niby nic ważnego, ale nie czuł się dobrze, wchodząc do tamtego szacownego gmachu. Mógł tam spotkać dawnych kolegów z Gregorianum; co więcej, dwóch profesorów filozofii, dwóch kanoników, pamiętało go jeszcze z seminarium w Vic i mogliby się dziwić, że tak często odwiedza wybitnego paleografa, i życzliwie zainteresować się, czym się teraz zajmujesz, Ardèvol? Czy to prawda, że rzuciłeś wszystko dla kobiety? Że zrezygnowałeś ze świetlanej przyszłości teologa i znawcy sanskrytu z powodu jakiejś spódniczki? Naprawdę? Było o tym głośno! Żebyś wiedział, Ardèvol, jakie rzeczy ludzie o tobie opowiadali! A co się z nią stało, z tą

słynną Włoszką?

Zanim Feliks Ardèvol oświadczył profesorowi Boschowi chęć porozmawiać o twojej córce, już od sześciu lat był w centrum jej zainteresowania; zawsze kiedy dziadek Adrian przyjmował u siebie Feliksa Ardèvola, ona otwierała mu drzwi. Skończyła siedemnaście lat w roku proklamowania republiki; wtedy też uświadomiła sobie, że podoba się jej sposób, w jaki pan Ardèvol zdejmował kapelusz na dzień dobry. Zawsze pozdrawiał ją jak się masz, ślicznotko. Bardzo jej to pochlebiało. Jak się masz, ślicznotko. Aż wreszcie zainteresowała się kolorem oczu pana Ardèvola. Ciemnobrązowe. I angielską lawendą, która pachniała tak pięknie, że można było się w niej zakochać.

Wkrótce nadeszły złe czasy – trzy lata wojny. Barcelona utraciła kolor sepii i szarości i przybrała kolor ognia, grozy, głodu, bombardowań i śmierci. Feliks Ardèvol całymi tygodniami przebywał w podróży, nie dając znaku życia; mimo że uniwersytet działał, we wszystkich aulach wisiała w powietrzu groza. A kiedy nastał pokój, złowieszczy pokój, Franco zlustrował większość profesorów, którzy nie wybrali emigracji; uniwersytet, teraz wyłącznie w języku hiszpańskim, bez kompleksów popisywał się ignorancją. Ale pozostawały wyspy, takie jak Instytut Paleografii, mało istotny z perspektywy zwycięzców. Pan Feliks Ardèvol znów zaczął się pojawiać, przynosząc różne obiekty. Obaj je klasyfikowali, datowali i sprawdzali autentyczność, a Feliks sprzedawał towar na całym świecie. Zyskiem dzielili się między sobą; przydawał się dodatkowy zarobek w ciężkich czasach. Jednak wykładowcy, którzy przeszli przez frankistowskie czystki, krzywo patrzyli na tego handlarza, bo panoszył się w instytucie, jakby był profesorem. W instytucie i w domu doktora Boscha.

W czasie wojny Carme Bosch rzadko miała okazję go widywać. Jednak kiedy wojna się skończyła, pan Ardèvol znów zaczął odwiedzać jej ojca i obaj zamykali się w gabinecie, a ona zajmowała się w tym czasie swoimi sprawami i mówiła Mała Lolu, teraz nie pójdę kupować sandałów, a Mała Lola wiedziała, że to dlatego, że pan Ardèvol jest w domu i rozmawia o starych papierach z panem, i uśmiechając się pod nosem, mówiła jak chcesz, Carme. W tym czasie ojciec, praktycznie nie pytając jej o zdanie, zapisał ją do otwartej ponownie Szkoły Bibliotekarek, a te trzy lata, które w niej spędziła, praktycznie tuż obok domu, bo mieszkali przy ulicy Àngels, były najszcześniejszym okresem w jej życiu. Poznała tam koleżanki, które obiecały jej, że będą się spotykać, choćby wszystko u nich się zmieniło, wyszły za mąż i tak dalej, ale później przestała się z nimi widywać, nawet z Pepitą Masrierą. Zaczęła pracować w bibliotece uniwersyteckiej; ciągnęła wózki z książkami, starała się bez powodzenia upodobnić do surowej pani Canyameres i raz po raz spotykała na swojej drodze pana Ardèvola, który przypadkiem zaczął teraz częściej zaglądać do biblioteki i mówił jaka jesteś śliczna, a ona tęskniła za koleżankami ze studiów, zwłaszcza za Pepitą Masrierą.

– Ciemnobrązowy to żaden kolor.

Mała Lola patrzyła na Carme z ironią, czekając na odpowiedź.

– Tak. Taki ładny brąz. Jak ciemny miód, jak eukaliptus.

– Jest w wieku twojego ojca.

– Nie! Jest siedem i pół roku młodszy.

– Skoro tak, to już nic nie mówię.

Pan Ardèvol, mimo czystek, też patrzył nieufnie na starych i nowych profesorów. Ci ostatni nie mieli zamiaru się wtrącać do jego spraw uczuciowych, bo najprawdopodobniej o nich nie słyszeli, ale chętnie by go ostrzegli, przyjacielu, poruszasz się po śliskim terenie. Feliks Ardèvol nie miał ochoty tłumaczyć się ze wszystkiego komuś na pozór kulturalnemu, kto spoglądał na niego z ironią i wymownym milczeniem dawał do zrozumienia, że nie prosi, żeby mu cokolwiek wyjaśniać. Aż pewnego dnia zdecydował: koniec, nie mam ochoty żyć w stresie; poszedł prosto do komisariatu na Via Laietana i powiedział profesor Montells z paleografii.

– Kto taki?

- Profesor Montells z paleografii.
- Montells de Paleografia – zapisywał powoli komisarz. – A imię?
- Eloi. Nazwisko matki...
- Eloi Montells de Paleografia, już mam oba nazwiska.

W kancelarii komisarza Plasencii pomalowanej na brudnooliwkowy kolor znajdowała się szafa na akta oraz portrety Franco i José Antonia na popękanej ścianie. Przez brudną szybę można było śledzić ruch samochodów na Via Laietana. Ale pana Feliksa Ardèvola nie interesowały teraz głupstwa. Zapisywał pełne dane doktora Eloi Montellsa, łącznie z nazwiskiem panięńskim matki, Ciurana, zatrudnionego w Katedrze Paleografii, wychowanka Gregorianum, tak jak on, tyle że w innym czasie, który patrzył na niego krzywo za każdym razem, kiedy odwiedzał doktora Boscha w interesach, dla niego niedostępnych.

- A co to za jeden?
- Nacjonalista kataloński. Komunista.

Komisarz gwizdnął i powiedział no no no... I ktoś taki przed nami się uchowal?

Pan Ardèvol nie odpowiedział na pytanie, które miało charakter retoryczny, a poza tym lepiej było nie mówić, że uchowal się dzięki zwykłej policyjnej indolencji.

– To już drugi profesor, którego pan denuncjuje. To dziwne – stukał ołówkiem w stół, jakby chciał wysłać wiadomość alfabetem Morse’a. – Pan przecież nie jest profesorem, prawda? Dlaczego pan to robi?

Żeby oczyścić teren. Żeby poruszać się swobodnie, nie narażając się na niedyskretne spojrzenia.

– Z patriotyzmu. Niech żyje Franco.

Było ich więcej. Trzech lub czterech. A wszyscy okazywali się katalońskimi nacjonalistami i komunistami. Na próżno powoływali się na swoje bezwarunkowe poparcie dla reżimu i ze świętym oburzeniem dziwili się głośno ja miałbym być komunistą? Nic im nie pomogło wykrzykiwanie niech żyje Franco, w obecności komisarza, bo więzienie Modelo musiało się wykazać nieprzerwaną aktywnością, dlatego trafiali tam niepoprawni zwyrodnialcy, którzy nie skorzystali ze wspianalomyślności Generalissimusa i uparcie trwali w błędzie. Po kilku celnych doniesieniach wokół doktora Boscha zrobiło się dużo pustego miejsca; on sam nie miał o niczym pojęcia i nadal dostarczał informacji temu obrotnemu mężczyźnie, który tak bardzo go podziwiał.

Jakiś czas po aresztowaniu profesorów Feliks Ardèvol na wszelki wypadek zamiast w pokoju uniwersyteckim zjawil się w domu doktora Boscha, wprawiając w zachwyt Carme Bosch.

– Jak się masz, ślicznotko?

Dziewczyna, która piękniała z każdym dniem, odpowiadała uśmiechem i skromnie spuszczała oczy, zawsze tak samo, dzięki czemu te oczy stały się jedną z najbardziej ekscytujących tajemnic, jakie Feliks Ardèvol chciał pilnie rozwikłać. Niemal tak ekscytującą jak bezpański rękopis Goethego.

– Przynoszę ci dzisiaj większą robotę i lepiej płatną – z tymi słowami wszedł do gabinetu profesora Boscha. Dziadek Adrian zabrał się do ekspertyzy, poświadczania autentyczności i inkasowania należności bez zadawania zbędnych pytań w stylu, słuchaj, Feliks, skąd u diabła ty to wszystko bierzesz? Jak do tego dotarłeś, co?

Patrząc, jak gość wyciąga papiery, dziadek Adrian przetał binokle. Dopóki rękopis nie znajdzie się na biurku, spektakl nie może się rozpocząć.

- Tekstura gotycka – stwierdził doktor Bosch; założył okulary i łakomym wzrokiem obrzucił rękopis, który tamten położył na stole. Wziął go do ręki i przez dłuższą chwilę oglądał dokładnie z każdej strony.
- Jest niekompletny – przerwał nazbyt przedłużające się milczenie.
- Z wieku czternastego?
- Tak. Widzę, że robisz postępy.

W tym czasie Feliks Ardèvol już zdążył zorganizować sieć wywiadowczą, pozwalającą na wytropienie wszelkiego rodzaju cennych papierów, papirusów, pergaminów luźnych i w plikach, zalegających na zagraconych, zakurzonych półkach archiwów, bibliotek, instytucji kulturalnych, ratuszy i parafii w różnych miejscach Europy. Młody pan Berenguer, jak najprawdziwszy rasowy tropiciel, całe dni spędzał, przeszukując owe zbiory i na miejscu dokonywał pierwszej oceny, którą następnie przekazywał przez zawodne telefony tamtych czasów. W zależności od tego, jaka zapadła decyzja, dawał parę groszy właścicielom, jeśli nie udało się wykorzystać ich nieuwagi, i przekazywał dokument Ardèvolowi, który dokonywał ekspertyzy wspólnie z doktorem Boschem. Wszyscy na tym korzystali, pamięć o rzeczach również. Wszyscy. W ciągu dziesięciu lat przeszło przez jego ręce dużo makulatury, bardzo dużo. Ale od czasu do czasu zdarzał się prawdziwy rarytas, jak egzemplarz wydania z 1876 roku *L'après-midi d'un faune* z ilustracjami Maneta, w którym zachowały się odręczne dopiski Mallarmégo, na pewno ostatnie słowa, jakie napisał, i które przetrwały na strychu skromnej biblioteki miejskiej w Valvins. Albo trzy czy cztery pergaminy, kompletne i w dobrym stanie, z korpusu kancelaryjnego Joana II, cudem ocalone z masy spadkowej wystawionej na licytację w Göteborgu. Trafiały się trzy, cztery takie perełki w ciągu roku. To dla nich Ardèvol pracował dniami i nocami. Powoli, w samotności wielkiego mieszkania, jakie wynajął w dzielnicy Eixample, dojrzał pomysł, żeby założyć sklep antykwaryczny, w którym można by wystawić to wszystko, co zostawało po odłowieniu pereł. Ta decyzja pociągała za sobą następną: przejmowanie całej masy spadkowej, nie tylko rękopisów. Dzbany, bongosy, osiemnastowieczne meble zaprojektowane przez Chippendale'a stojaki na parasole, broń... wszystko, co powstało dawno temu i obecnie nie służyło już do niczego. W ten sposób w jego domu pojawił się pierwszy instrument muzyczny.

Lata mijały; pan Ardèvol, mój ojciec, odwiedzał regularnie profesora Boscha, mojego dziadka, którego jeszcze zdążyłem poznać, kiedy byłem mały. Carme, moja matka, skończyła dwadzieścia dwa lata i pewnego dnia pan Feliks Ardèvol powiedział swemu koledze chcę porozmawiać o twojej córce.

– Coś jej się stało? – lekko przestraszony doktor Bosch spojrzął na przyjaciela, zdejmując binokle.

– Chcę się z nią ożenić. Jeśli nie masz nic przeciw temu.

Doktor Bosch wstał i wyszedł do ciemnego przedpokoju, zdezorientowany, przekładając z ręki do ręki binokle. Ardèvol stał kilka kroków dalej i obserwował go z uwagą. Po paru minutach nerwowego miotania się po przedpokoju odwrócił się i spojrzął na Ardèvola, nie doceniając jego ciemnobrązowych oczu.

– Ile masz lat?

– Czterdzieści cztery.

– A Carme ma najwyżej osiemnaście czy dziewiętnaście.

– Dwadzieścia dwa i pół. Twoja córka skończyła dwadzieścia dwa lata.

– Jesteś pewien?

Cisza. Doktor Bosch włożył binokle, jakby miał zamiar sprawdzić gdzieś wiek córki. Spojrzął na Ardèvola, otworzył usta, zdjął binokle i patrząc w nieokreślonym kierunku, wyszeptał pod nosem z podziwem, jakby miał przed sobą papirus ptolemejski, Carme skończyła dwadzieścia dwa lata...

– Już parę miesięcy temu.

W tym momencie otworzyły się drzwi mieszkania i weszła Carme w towarzystwie Małej Loli. Popatrzyła na obu mężczyzn stojących w milczeniu na środku przedpokoju. Mała Lola zabrała koszyk z zakupami i znikła, a Carme przypatrywała się im, zdejmując płaszcz.

– Czy coś się stało? – zapytała.

Bardzo długo nie przejmowałem się ponurym charakterem ojca. Byłem nim zafascynowany i chciałem, żeby on był ze mnie zadowolony. A przede wszystkim pragnąłem zasłużyć na jego podziw. Potrafił być brutalny – tak, złośliwy też – i wcale mnie nie kochał. Ale ja go uwielbiałem. I to pewnie z tego powodu tak ciężko mi teraz o nim mówić. Żeby go nie usprawiedliwiać. Ani nie oskarżać.

Jedną z nielicznych sytuacji, o ile w ogóle nie jedyną, kiedy ojciec przyznał mi rację, powiedział bardzo dobrze, wydaje mi się, że masz słuszość, zachowałem w swojej pamięci jak puzderko ze skarbem. Bo na ogół to inni, my wszyscy byliśmy w błędzie w każdej sprawie. Rozumiem, że matka wybrała oglądanie życia z balkonu. Ale ja byłem mały i chciałem być zawsze tam, gdzie coś się dzieje. Więc kiedy ojciec stawiał przede mną nieosiągalne cele, brałem to za dobrą monetę. Chociaż tych zasadniczych w końcu nie zrealizowałem. Nie studiowałem prawa; ukończyłem tylko jeden kierunek, ale za to poświęciłem praktycznie całe życie nauce. Nie gromadziłem żmudnej kolekcji dziesięciu czy dwunastu języków, żeby pobić rekord ojca Levinskiego z Gregorianum; nauczyłem się ich bez trudności dlatego, że taką miałem fantazję. I chociaż mam z ojcem niewyrównane porachunki, nigdy nie zabiegałem o to, żeby czuł się ze mnie dumny tam, gdzie się teraz znajduje, czyli moim zdaniem nigdzie, bo podobnie jak on też nie wierzę w życie wieczne. Zamiary mojej matki, zawsze na drugim planie, też spełżyły na niczym. No, może nie całkiem. Bardzo długo nie wiedziałem, że matka ma wobec mnie jakieś zamiary, ale ukrywa je przed ojcem.

Tak więc byłem jedynakiem obserwowanym przez rodziców, którzy po inteligentnym dziecku spodziewali się błyskotliwych wyników. Tak można podsumować moje dzieciństwo: wysoko ustawiona poprzeczka. Poprzeczkę miałem wysoko we wszystkim, nawet w jedzeniu z zamkniętymi ustami, bez opierania łokci na stole i bez przerywania rozmów dorosłym, choć zdarzały się takie dni, kiedy miałem dość, i wtedy nawet Carson i Czarny Orzeł nie potrafili mnie uspokoić i powstrzymać przed wybuchem złości. Dlatego zawsze, kiedy Mała Lola miała coś do załatwienia w Dzielnicy Gotyckiej, korzystałem z okazji, żeby jej towarzyszyć w zakupach, i czekałem na nią, chłonąc wszystko szeroko otwartymi oczami.

W miarę jak dorastałem, coraz bardziej fascynował mnie sklep ojca: niepokoił mnie i dostarczał silnych emocji. W domu mówiliśmy o nim sklep, żeby nie komplikować, ale tak naprawdę był to samowystarczalny, kompletny świat i można było w nim zapomnieć, że za jego ścianami toczy się jakieś życie. Od strony ulicy Palla, naprzeciwko ponurej fasady kościoła, którym nie interesowała się ani kuria, ani władze miasta, znajdowało się wejście. Kiedy otwierałeś drzwi, odzywał się dzwoneczek, którego dźwięk słyszę do dziś, uprzedzający Cecylię lub pana Berenguera o wizycie klienta. W tym momencie zaczynała się orgia wrażeń, głównie wzroku i węchu. Z wyjątkiem dotyku, ponieważ Adrianowi surowo zakazano bezpośredniego kontaktu z czymkolwiek, ty chyba masz wzrok w palcach, pamiętaj, żebyś absolutnie niczego nie dotykał, bo pożałujesz. Niczego to niczego, rozumiesz mnie, Adrianie, chłopcze? Ponieważ nic znaczy nic, spacerowałem z rękami w kieszeniach wąskim przejściem i tylko przyglądałem się obiektom, wśród których był polichromowany anioł, nadgryziony przez korniki, obok połączanej miski Marii Antoniny. Był też gong, który należał do dynastii Ming i wart był fortunę. Adrian marzył, żeby weń uderzyć chociaż raz, zanim umrze.

– A to do czego służy?

Pan Berenguer najpierw spojrział na japoński sztylet, potem na mnie i uśmiechnął się:

– To japoński puginał kaiken, używany przez samurajki wyznające bushido.

Adrian aż otworzył usta z wrażenia. Pan Berenguer sprawdził, że Cecylia jest zajęta polerowaniem

waz z brązu, i pochylając się nad chłopcem tak nisko, że czuć było jego nieświeży oddech, wyszeptał:

– To taki sztylet, który służył walecznym Japonkom do odbierania sobie życia. – Spojrzał, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Ponieważ jednak chłopiec pozostał niewzruszony, dokończył beznamiętnym tonem: – Okres Edo, szesnasty wiek.

Jasne, że Adrian był pod wrażeniem, ale jak się ma osiem lat, tak jak ja wtedy, umie się kontrolować emocje, podobnie jak moja matka, kiedy ojciec zamykał się w gabinecie i oglądał przez lupę swoje rękopisy, a w domu nie wolno było podnosić głosu, bo ojciec czytał w gabinecie i nie wiadomo było, o której z niego wyjdzie na kolację.

– Nie. Zaczekaj z podawaniem, dopóki nie wyjrzy z gabinetu.

Mała Lola wracała do kuchni, mrużąc pod nosem, już ja bym nauczyła rozumu tego fagasa, kto to widział, żeby cały dom musiał się podporządkować jego lupie. A jeżeli ja akurat byłem obok tego fagasa, wsłuchiwałem się, jak czyta:

A un vassalh aragones. / Be sabetz lo vassalh qui es, / El a nom. N'Amfos de Barbastre. / Ar aujatz, senher, cal desastre. / Li avenc per sa gilozia.

– Co to jest?

– *La reprensió dels gelosos*. Upomnienie zazdrośników. Nowelka.

– To starokataloński?

– Nie. Prowansalski.

– Brzmi podobnie.

– Bardzo.

– Co znaczy zazdrośnik?

– Napisał ją Ramon Vidal de Besalú. Wiek trzynasty.

– Coś takiego, ale stara. Co znaczy zazdrośnik?

– Foliał 132 z kancjonarza prowansalskiego z Karlsruhe. Drugi znajduje się w Bibliotece Narodowej w Paryżu. Ten jest mój. Jest twój.

Adrian zrozumiał to jak zachętę i wyciągnął rękę. Ojciec ukłukł wyciągniętą dłoń i bardzo mnie zabolalo. Nawet mnie nie ostrzegł słowami masz wzrok w palcach. Nadal pochylał się z lupą i powtarzał co za traf, że życie dostarczyło mi w tych dniach tyle radości.

Japoński sztylet do babskich samobójstw, podsumował Adrian. I kontynuował swój obchód aż do ceramicznych donic. Grafiki i rękopisy zostawił na koniec, ponieważ czuł dla nich respekt.

– Może byś nam kiedyś pomógł, widzisz, ile tu mamy pracy.

Adrian obrzucił wzrokiem sklep, w którym nie było klientów, i uśmiechnął się grzecznie do Cecylii.

– Jak tylko ojciec mi pozwoli – powiedział.

Chciała mu coś odpowiedzieć, ale po chwili zmieniła zdanie i została z otwartymi ustami. Z iskiem w oku powiedziała tylko no, daj mi całusa.

Pocałowałem ją, bo nie chciałem robić afery. W ubiegłym roku byłem w niej szczerze zakochany, ale teraz zaczynała mnie krępować ta jej mania całowania. Chociaż byłem jeszcze dzieckiem, w moim życiu zaczął się już okres głębokiej awersji do całusów, jakbym miał co najmniej ze dwanaście czy trzynaście lat; zawsze byłem cudownym dzieckiem w sprawach drugorzędnych. Od ósmego czy dziewiątego roku życia, bo tyle wtedy miałem, ta niechęć do całowania utrzymała się u mnie aż do... no dobrze, ty wiesz najlepiej, jak długo. A może jeszcze nie wiesz. A właśnie, co miałaś na myśli, mówiąc sprzedawcy encyklopedii „zmieniłam swoje życie”?

Przez chwilę Adrian i Cecylia obserwowali ludzi przechodzących ulicą, którzy nie zwracali uwagi na ich okno wystawowe.

– Zawsze jest tu coś do roboty – powiedziała Cecylia, jakby czytała mi w myślach. – Jutro opróżnimy mieszkanie z biblioteką. Będzie niezłe zamieszanie.

Wróciła do polerowania brązu. Woń netolu przeniknęła aż do mózgu Adriana, i musiał się odsunąć

na bezpieczną odległość. Dlaczego te japońskie kobiety muszą sobie odbierać życie, pomyślał.

Teraz widzę, że rzadko chodziłem myszkować do sklepu. Myszkować to za dużo powiedziane. Było mi przykro, zwłaszcza gdy podchodziłem do działu instrumentów muzycznych. Raz, kiedy byłem trochę starszy, spróbowałem zagrać na skrzypcach, ale kiedy kątem oka zarejestrowałem, co się dzieje za moimi plecami, i dojrzałem milczącą dezaprobatę w spojrzeniu pana Berenguera, słowo honoru, naprawdę przeszył mnie lęk. Nigdy więcej już tego nie próbowałem. Pamiętam, że instrumenty gromadziły się tam przez lata, oprócz skrzydłówek, tub i trąbek, dobry tuzin skrzypiec, sześć wiolonczeli, dwie altówki i trzy szpinety, a do tego jeszcze gong dynastii Ming, tamburyn etiopski i coś w rodzaju ogromnego, nieruchomego węża, który nie wydawał żadnego dźwięku; jak się później dowiedziałem, to był serpent. Na pewno ktoś te instrumenty kupował i przybywały nowe, bo w tym zbiorze zachodziły zmiany, ale nie co do ilości instrumentów, która utrwaliła mi się w pamięci. Czasami zaglądali do naszego sklepu skrzypkowie z teatru operowego Liceo i negocjowali – zazwyczaj z marnym skutkiem – cenę instrumentu, który chcieli nabyć. Ojciec nie uważał muzyków za pożądaných klientów, bo u nich zawsze krucho z pieniędzmi; chcę mieć do czynienia z kolekcjonerami, którym zależy na obiektach: tacy, co to kradną coś, czego nie mogą kupić, to najlepsza klientela.

– Dlaczego?

– Bo płacą tyle, ile zażądam, i są zadowoleni. A potem wracają z wywieszonym językiem, bo chcą więcej.

Ojciec znał się na tym.

– Muzykowi instrument potrzebny jest do grania. Kiedy go dostanie, używa go. Kolekcjoner nie używa instrumentu: może ich mieć z dziesięć, tylko po to, żeby je głaskać. Albo musnąć wzrokiem. To mu wystarcza do szczęścia. Kolekcjonerowi instrument nie jest potrzebny do grania, tylko do pieszczot.

Ojciec był bardzo inteligentny.

– Muzyk kolekcjoner? Prawdziwa gratka, ale taki mi się nie trafił.

Kiedy Adrianowi wydawało się, że już są w pełnej komitywie, poskarżył się, że Herr Romeu jest nudny jak niedzielne popołudnie, a w odpowiedzi ojciec przeszył go takim wzrokiem, że nawet teraz, choć mam sześćdziesiąt lat, dreszcz przechodzi mi po plecach.

– Coś ty powiedział?

– Że Herr Romeu...

– Nie, nudny jak co?

– Nie wiem.

– Dobrze wiesz.

– Jak niedzielne popołudnie.

– Bardzo dobrze.

Ojciec zawsze miał rację. Wydawało się, że ta chwila ciszy, jaka zapanowała, była mu potrzebna, żeby znaleźć w kieszeni miejsce na moje słowa, które chciał włączyć do swojej kolekcji. Kiedy już je tam umieścił, wrócił do przerwanej rozmowy.

– Dlaczego uważasz, że jest nudny?

– Cały czas mam powtarzać deklinacje i końcówki, które znam na pamięć. Każe mi mówić: ten ser z krowiego mleka jest dobry, gdzie go kupiłeś? Albo: mieszkam w Hanowerze i nazywam się Kurt. A ty skąd jesteś? Podoba ci się Berlin?

– A ty czego chciałbyś się uczyć?

– Nie wiem. Chciałbym przeczytać jakąś zabawną historyjkę. Chcę czytać Karola Maya po niemiecku.

– Bardzo dobrze, wydaje mi się, że masz słuszość.

Pozwolę sobie powtórzyć: bardzo dobrze, wydaje mi się, że masz słuszość. Muszę to podkreślić: to był jedyny raz w życiu, kiedy przyznał mi rację. Gdybym był fetyszystą, oprawiłbym to zdanie w ramki i zapisał dzień i godzinę, kiedy zostało wypowiedziane. Uwieczniłbym je na czarno-białej fotografii.

Następnego dnia nie miałem lekcji, bo Herr Romeu został zwolniony. Adrian poczuł się bardzo ważny, jakby los innych ludzi spoczywał w jego rękach. To był mój wielki wtorek. Tym razem było mi na rękę, że ojciec potrafi przywołać wszystkich do porządku. Musiałem mieć wtedy jakieś dziewięć czy dziesięć lat i bardzo wygórowane poczucie własnej godności. Czy może raczej brak poczucia śmieszności. Zwłaszcza teraz, kiedy spoglądał wstecz, Adrian Ardèvol zdawał sobie sprawę, że nawet kiedy był mały, nie był prawdziwym dzieckiem. Kiedy inni przechodzili infekcje i przeziębienia, on celował we wszystkim, co przedwcześnie. Doprawdy, żał mi siebie. Ale i tak nie docierały do mnie szczegóły, które dopiero teraz potrafię zinterpretować. Kiedyś, jeszcze przed oficjalnym otwarciem sklepu, zanim Cecylia zdążyła poprawić przed lustrem fryzurę, odwiedził ojca klient, który miał do niego sprawę, a kiedy obaj przeszli do biura, nieznajomy, patrząc mu w oczy, powiedział panie Ardèvol, nie mam zamiaru niczego kupować, co obudziło czujność ojca.

– W takim razie po co pan przyszedł?

– Żeby uprzedzić, że pańskie życie jest w niebezpieczeństwie.

– Ach tak? – Uśmiechnął się z niesmakiem.

– Tak.

– A mogę wiedzieć, dlaczego?

– Na przykład, może pana zainteresować, że doktor Montells już wyszedł z więzienia.

– Nie wiem, o kim pan mówi.

– I sporo nam opowiedział.

– Jakim nam? Kim jesteście?

– Powiedzmy, że pan nam się naraził, denuncjując go jako katalońskiego nacjonalistę i komunistę.

– Ja?

– Pan.

– Nie jestem donosicielem. Coś jeszcze? – zapytał, podnosząc się z krzesła.

Gość pozostał na swoim miejscu. Rozsiadł się wygodnie i bardzo powoli zabrał się do zwijania skręta. Potem go zapalił.

– Tu się nie pali.

– Mnie wolno. – Prawą ręką wskazał swój papieros. – Poza tym wiemy, że doniósł pan na trzy inne osoby. Wszyscy oni pozdrawiają pana, jedni z domu, inni z więzienia. Niech pan teraz uważa w ciemnych zaułkach, mogą być niebezpieczne.

Zdusił papierosa na drewnianym blacie stołu, niczym w ogromnej popielniczce, wypuścił dym prosto w twarz pana Ardèvola, wstał i wyszedł z biura. Feliks Ardèvol patrzył, jak w tym miejscu przypala się drewno, nie robiąc nic, żeby temu zapobiec. Jakby to była jego pokuta.

Wieczorem, w domu, żeby otrząsnąć się z przykrych wrażeń, ojciec zawołał mnie do gabinetu i w nagrodę, w nagrodę za to, że byłem wyjątkiem stawiającym wymagania nauczycielom – tego mogłem się spodziewać po moim synu – pokazał mi złożony pergamin, zapisany po obu stronach, jak się okazało, akt fundacyjny klasztoru Sant Pere del Burgal, i powiedział synu (marzyło mi się, żeby po tym synu dodał jeszcze „w którym pokładam wielkie nadzieje”, skoro już byliśmy w takiej komitywie), ten dokument został napisany ponad tysiąc lat temu, a teraz jest w naszych rękach... Ej, ej, spokojnie, ja go wezmę. Prawda, że jest piękny? Pochodzi z czasów, kiedy powstał tamten klasztor.

– Gdzie to jest?

– W Pallars. Kojarzysz ten pejzaż Urgella w jadalni?

– Przedstawia klasztor Santa Maria de Gerri.

– Tak, tak. Burgal jest jeszcze wyżej. Jakieś dwadzieścia kilometrów w stronę zimna. – Patrząc na pergamin: – Akt założycielski klasztoru Sant Pere del Burgal. Opat Delligat prosi hrabiego Ramona z Tuluzy o immunitet dla swojego niewielkiego klasztoru, który przetrwał setki lat. Jestem wzruszony, trzymając w rękach świadectwo tak długiej historii.

Wyobraziłem sobie to, o czym mówił ojciec, i uświadomiłem sobie, że pomyślał: ten dzień jest zbyt jasny, zbyt wiosenny jak na Boże Narodzenie. Właśnie pochowali czcigodnego ojca przeora, świętej pamięci Józefa od Świętego Bartłomieja, na wilgotnym, ciasnym cmentarzu klasztoru Sant Pere. Życie, które wiosną rozkwitnie na delikatnej, wilgotnej trawie tysiącami kolorowych guziczków, teraz spoczywało przyduszone lodem. Pochowali ojca przeora, a wraz z nim ostatni argument przeciwko zamknięciu klasztoru. Opactwo Sant Pere del Burgal, kiedy jeszcze śniegi padały obfitsze, cieszyło się prawem egzempcji. Od zamierzchłych czasów opata Delligata przechodziło różne koleje losu; miało momenty pomyślne, kiedy aż trzydziestu mnichów podziwiała wspaniały spektakl, jaki dzień w dzień tworzyły wody Noguery na tle lasu Poses; wychwalali Pana, dziękowali mu za jego dzieła i przeklinali Szatana za chłód, który trawił ciała i mroził dusze całej wspólnoty. Sant Pere del Burgal przeżywał też trudne chwile, kiedy nie było co mleć we młynie, a nieledwie sześciu czy siedmiu starych i chorych zakonników musiało samotnie podołać wszystkim zadaniom, jakie każdy mnich wypełnia od momentu wstąpienia do zakonu aż do chwili, gdy znajdzie się na cmentarzu, tak jak się właśnie stało z ojcem przeorem. A teraz pozostawał przy życiu tylko jeden depozytariusz długiej pamięci.

Po odmówieniu krótkiego, anemicznego responsorium oraz szybkim, żałobnym pobłogosławieniu skromnej trumny brat Julian z Sau, który pełnił rolę celebransa, odprawił pięciu wieśniaków z Escaló, uczestniczących w tej smutnej uroczystości. Na próżno wypatrywał braci z opactwa Santa Maria de Gerri, którzy mieli potwierdzić zamknięcie klasztorowego terytorium. Dotrą już po fakcie, jak zawsze, kiedy byli potrzebni.

Brat Julian z Sau przekroczył próg maleńkiego klasztoru Sant Pere. Znalazł się we wnętrzu kościoła. Ze łzami w oczach wyciągnął młotek i dłuto, żeby przebić kamień w ołtarzu głównym i wydobyć zeń niewielki drewniany relikwiarz, kryjący szczątki świętych. Ogarnął go strach, bo pierwszy raz w życiu był sam. Zupełnie sam. Bez żadnego brata. Jego kroki rozbrzmiewały donośnie w wąskim korytarzu. Rzucił okiem na maleńki refektarz. Jedna z ławek przysuniętych do ściany wyżłobiła wgłębienie w brudnym gipsie. Nie warto było jej odsuwać. Otarł łzę i ruszył w kierunku swojej celi. Stamtąd spojrzął przez okno na ukochany pejzaż, który znał na pamięć, każdą gałąź, każde drzewo. Na pryczy leżała Święta Skrzynia, a na jej dnie spoczywał już akt erekcyjny klasztoru; teraz umieścił w niej również relikwiarz ze szczątkami nieznanymi świętych, którzy towarzyszyli im przez całe wieki w czasie mszy i codziennych śpiewów. Włożył jeszcze kielich i patenę, należące do wspólnoty. A także dwa klucze, jedyne, jakie klasztor Sant Pere del Burgal posiadał: klucz do kościoła i do kłauzury. Długie lata wychwalania Pana sprowadzały się do solidnej skrzyni z jałowcowego drewna, która stawała się w tym momencie jedynym świadectwem historii zdesakralizowanego klasztoru. W kącie na sienniku leżały dwa zawiniątka z jego dobytkiem: dwie sztuki ubrania, coś w rodzaju szalika i brewiarz. I sakiewka z nasionami świerku i klonu, pamiątka po dawnym życiu, o którym wolałyby zapomnieć, kiedy jeszcze był bratem Michałem i należał do zakonu dominikanów. Wtedy, w pałacu jego ekscelencji, żona Guerxa z Salt zatrzymała go przy kuchni i powiedziała proszę, bracie Michale, macie tu świerkowe i piniowe orzeszki, i skrzydlaki klonu.

– A po co mi one?

– Nic innego nie mogę wam ofiarować.

– A dlaczego miałybyś mi cokolwiek ofiarowywać? – niecierpliwiał się brat Michał.

Kobieta pochyliła głowę i powiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem Jego Ekscelencja zgwałcił mnie; chcę się zabić, żeby nie dowiedział się mój mąż, bo wtedy to on mnie zabije.

Oszołomiony brat Michał musiał wyjść na korytarz, żeby przysiąc na bukszpanowej ławce.

– Co ty mówisz – zwrócił się do kobiety, która poszła za nim, a teraz stała naprzeciwko.

Guerxa milczała, bo nie miała już nic do dodania.

– Nie wierzę ci, wierutna kłamczucho. Tobie chodzi tylko o to...

– Kiedy się powieszę na zmurszałej belce, to mi uwierzycie? – Teraz wpatrywała się w niego

wzrokiem, którego można było się przestraszyć.

– Ależ, kobieto...

– Chcę, żebyście mnie rozgrzeszyli z tego grzechu, bo zamierzam się zabić.

– Nie jestem kapłanem.

– Ale chyba możecie... Pozostała mi tylko śmierć. Ale to przecież nie moja wina, chyba Bóg mi wybaczy. Prawda, bracie Michale?

– Samobójstwo to wielki grzech. Uciekaj stąd! Odejdź jak najdalej!

– A niby dokąd miałyby się udać samotna kobieta? Co?

Brat Michał chciałby się teraz znaleźć gdzieś daleko, na końcu świata, nie zważając na niebezpieczeństwa, jakie tam czyhają.

W celi w Sant Pere del Burgal brat Julian wysypał na rękę nasiona, które mu podarowała zdesperowana kobieta, choć nie umiał udzielić jej duchowego wsparcia. Następnego dnia znaleziono ją na zmurszałej belce w wielkiej stodole. Powiesiła się na różańcu z piętnastu tajemnic, przypasanym zazwyczaj do habitu jego ekscelencji, który gdzieś się zawieruszył dwa dni wcześniej. Z jego rozkazu samobójczyni odmówiono pochówku w poświęconej ziemi, a Guerxo z Salt został wypędzony z pałacu, ponieważ dopuścił, by jego żona swoim czynem obraziła niebiosa. Mąż sam znalazł ją rankiem i próbował rozerwać różaniec w szalonej nadziei, że Guerxa jeszcze oddycha. Kiedy brat Michał dowiedział się o tym, zapłakał gorzko i modlił się, wbrew zakazom przełożonego, za zbawienie duszy zdesperowanej kobiety oraz złożył przyrzeczenie przed Bogiem, że nigdy nie straci tych nasion klonu i świerku, które będą mu ciągle przypominać o jego tchórzliwym milczeniu. Jeszcze raz popatrzył na leżącą na dłoni pamiątkę, która przetrwała dwadzieścia lat, aż do momentu, gdy w jego życiu dokonał się kolejny zwrot – przejście do klasztoru Santa Maria de Gerri. Schował piniowe orzeszki do kieszeni benedyktyńskiego habitu. Popatrzył przez okno. Pewnie byli już blisko, ale nie dostrzegał żadnego ruchu w oddali. Zawiązał byle jak zawiniątko z ubraniem. Tej nocy żaden mnich nie będzie spał w klasztorze w Burgalu.

Niosąc przed sobą Świętą Skrzynię, dreptał od celi do celi, zaczynając od brata Marcela, brata Marcina, brata Adriana, ojca Ramona, ojca Bazylego, ojca Józefa od Świętego Bartłomieja, a kończąc na własnej skromnej celi na końcu wąskiego korytarza, położonej najbliżej wirydarza i furty klasztornej, do której został przypisany, można powiedzieć, od pierwszego dnia pobytu w klasztorze. Potem jeszcze zajrzał do pralni, do skromnego kapitulacza, do kuchni i znów do refektarza, gdzie ławka nadal wbijała się w gipsową ścianę. Kiedy znalazł się w wirydarzu, rozplakał się z rozpacz; trudno mu było się pogodzić, że taka była wola Boża. Szukał ukojenia w klasztornej kaplicy, do której wszedł, żeby się pożegnać na zawsze z długimi latami benedyktyńskiego życia. Uklęknął przed ołtarzem, przytrzymując jedną ręką Świętą Skrzynię. Po raz ostatni oglądał postaci namalowane w apsydzie. Prorocy i archaniołowie. Święty Piotr i święty Paweł, święty Jan i inni apostołowie oraz Matka Boża, wszyscy wychwalali, wraz z archaniołami, surowego Pantokratora. Poczł się winny, winny z powodu wygaśnięcia kultu w skromnym klasztorze w Sant Pere del Burgal. Wolną ręką bił się w piersi, mówiąc confiteor, Domine. Confiteor, mea culpa. Postawił Świętą Skrzynię na ziemi i pochylił się, żeby ucałować posadzkę, po której wiele pokoleń mnichów stąpało na chwałę Boga wszechmogącego, spoglądającego na nich surowo z góry.

Wstał, podniósł Świętą Skrzynię, popatrzył po raz ostatni na święte malowidła i wycofał się tyłem do drzwi. Kiedy już znalazł się na zewnątrz, energicznie zatrasnął oba skrzydła, po raz ostatni przekręcił klucz i umieścił go w Świętej Skrzyni. Tych ukochanych malowideł na ścianach nie będą oglądać oczy ludzkie aż do momentu, gdy Jachiam z Pardàcu otworzy zmurszałe drzwi jednym pchnięciem ręki, prawie trzysta lat później.

Wtedy brat Julian przypomniał sobie dzień, kiedy pierwszy raz uderzył pięścią w bramę klasztoru Sant Pere. Nogi same go tam przyniosły, utrudzone pośpiechem, niewolne jeszcze od lęku. Intra muros

klasztoru żyło wtedy piętnastu mnichów. O Boże, Panie Wiecznej Chwały, jak bardzo wtedy tęsknił, choć nie miał prawa odczuwać nostalgii za czymś, czego nigdy dobrze nie poznał, za tymi dniami, w których wszyscy mnisi mieli co robić i każdy miał swoje zadanie. Kiedy zapukał do tych drzwi, błagając o przyjęcie, miał za sobą lata, gdy nie troszcząc się o bezpieczeństwo, zdał się na łaskę królestwa strachu, jaki zawsze towarzyszy uciekinierowi. Tym bardziej, jeśli ten ostatni sam podejrzewa, że zbłądził, ponieważ Jezus mówił nam o miłości i dobroci, a ja nie wypełniłem tego przykazania. Był posłuszny generalnemu inkwizytorowi; ojciec Mikołaj Eymeric był jego przełożonym i wszystko się działo w imię Boże i dla dobra Kościoła i prawdziwej wiary, ale ja nie mogłem, nie mogłem, bo Jezus był coraz dalej; a kimże wy jesteście, bracie Michale, głupi, świecki braciszku, żeby pytać, gdzie jest Jezus? Pan i Bóg Nasz jest w ślepych, bezwarunkowym posłuszeństwie. Bóg jest ze mną, bracie Michale. A kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Patrzcie mi w oczy, kiedy do was mówię! Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Wtedy brat Michał postanowił uciec, wołał niepewność, a może nawet piekło niż zbawienie za cenę wyrzutów sumienia. W końcu uciekł, zrzucił habit dominikański i wstąpił do królestwa strachu; pielgrzymował do Ziemi Świętej, żeby otrzymać rozgrzeszenie, tak jakby na tym czy na tamtym świecie przebaczenie grzechów było możliwe. Jeżeli to były grzechy. W stroju pielgrzymim był świadkiem wielu nieszczęść, skrucha popychała go naprzód; składał puste obietnice, ale nie zaznawał spokoju, bo jeżeli nie słuchasz głosu zbawienia, pokój nigdy nie zagości w twojej duszy.

– Gdzie ty się pchasz z rękami!

– Ależ ojcze... Tylko chciałem dotknąć pergaminu. Powiedziałaś, że jest też mój.

– Tylko tym palcem. Uważaj.

Adrian przysunął nieśmiało rękę, wyciągając jeden palec, i dotknął pergaminu. Wydawało mu się, że jest we wnętrzu klasztoru.

– No już, dość, bo pobrudzisz.

– Jeszcze trochę, ojcze.

– Czy ty nie rozumiesz, co znaczy dość? – krzyknął ojciec.

Cofnąłem rękę, jakby pergamin parzył, pewnie dlatego, że kiedy dawny zakonnik wrócił z podróży do Ziemi Świętej z duszą postarzałą, ciałem wychudłym, ogorzałą twarzą i spojrzeniem twardym jak diament, jeszcze czuł w sobie piekło. Nie odważył się zbliżyć do domu swoich rodziców ani sprawdzić, czy jeszcze żyją; zaczął błądzić po drogach w pielgrzymiej szacie, prosząc o jałmużnę i wydając ją natychmiast w karczmach na najgorsze trunki, żeby przedwczesna śmierć wymazała wszystko z pamięci. Również zatracał się w grzechach cielesnych, obsesyjnie szukając w nich zapomnienia i odkupienia, którego nie dostąpił, czyniąc pokutę. Był prawdziwie zagubioną duszą. Dobrotliwy uśmiech brata Juliana z Carcassonne, furtiana z opactwa benedyktyńskiego w Grassie, do którego bramy zapukał, prosząc o gościnę na jedną noc podczas mroźnej zimy, oświecił mu nagle, nieoczekiwanie dalszą drogę. Ta jedna noc wytchnienia wydłużyła się do dziesięciu dni modlitwy w kościele opactwa, na kolanach, przy najbardziej oddalonej od zakonnych stalli ścianie. W klasztorze Santa Maria de la Grassa usłyszał po raz pierwszy o Burgalu, wspólnocie tak odległej od świata, że ponoć nawet deszcz docierał tam zmęczony i nie miał siły niczego przemoczyć. Zachował w pamięci uśmiech brata Juliana, który mógł być wyrazem szczęścia z ukrytego głęboko tajemnego skarbu, i za radą mnichów z Grassy wyruszył w drogę, najpierw do opactwa Santa Maria de Gerri. Wyposażony w to, co miał na sobie, i jeszcze w sakwę z jedzeniem, którą dostał od miłosiernych braci, oraz tajemniczy, pełen szczęścia uśmiech, skierował się w stronę górskiej krainy wiecznych śniegów, świata wiecznego milczenia, gdzie przy odrobinie szczęścia mógłby wreszcie dostąpić odpuszczenia grzechów. Przemierzył doliny, pokonał przełęcze i zamoczył zdarte sandały w lodowatej wodzie strumieni, które powstawały z topniejących górskich śniegów. W opactwie Santa Maria de Gerri usłyszał, że faktycznie klasztor Sant Pere del Burgal jest bardzo niefortunnie odizolowany od świata i nie ma pewności, czy myśli docierają tam kompletne. Uzyskał zapewnienie, że decyzja, jaką podejmie w twojej sprawie tamtejszy przeor, zostanie zaaprobowana przez tutejszego

ojca opata.

I tak po wielu tygodniach wędrówki, postarzały, mimo że nie przekroczył jeszcze czterdziestki, zapukał głośno do furty klasztoru Sant Pere. Był chłodny zmierzch; mnisi skończyli właśnie wieczorne nieszpory i zabierali się do kolacji, jeśli kolacją można nazwać talerz ciepłej wody. Udzielili mu gościny i zapytali o cel wizyty, a on ich błagał, żeby mu pozwolili wstąpić do ich małej wspólnoty; nie przyznał się do swego cierpienia, powiedział tylko, że chciałby służyć Kościołowi Świętemu, wykonując w pokorze każdą pracę jako świecki braciszek, ostatni z ostatnich, pod okiem Pana i Boga Naszego. Ojciec Józef od Świętego Bartłomieja, który już wtedy był przeorem, spojrzął mu w oczy i odgadł sekret jego duszy. Przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy trzymali go w nędznej chatce u wrót klasztoru. Ale jemu zależało na ochronie, jaką niesie ze sobą habit, na bezpieczeństwie życia zgodnego ze świętą regułą benedyktyńską, która przemienia ludzi i zapewnia pokój wewnętrzny stosującym ją braciom. Dwadzieścia dziewięć razy prosił, by pozwolili mu zostać jednym z mnichów, i dwadzieścia dziewięć razy ojciec przeor, patrząc mu w oczy, odmawiał. Aż nadszedł pewien szczęśliwy, deszczowy piątek, kiedy po raz trzydziesty poprosił o przyjęcie do wspólnoty.

– Nie dotykaj go, do cholery, czy ty wzrok masz w palcach?

Komitywa z ojcem zadrżała w posadach, o ile już wcześniej nie zarysowały się na niej pęknięcia.

– Ale ja tylko...

– Ani ale, ani wcale. Chcesz oberwać, co? Chcesz oberwać?

Upłynęło wiele lat od tamtego piątku. Wstąpił do klasztoru w Burgalu jako postulant i kiedy minęły trzy mroźne zimy, złożył śluby jako świecki zakonnik. Przyjął imię Julian na pamiątkę tamtego uśmiechu, który dokonał w nim przemiany. Nauczył się dbać o spokój swojej duszy i o równowagę umysłu; nauczył się kochać życie. Wprawdzie ludzie diuka z Cardony czy hrabiego Hugo Rogera często najeżdżali dolinę i niszczyli nieswoje dobra, to z bezpiecznej wysokości klasztoru bliżej było do Boga i bożego pokoju. Wkroczył na trudną ścieżkę mądrości. Nie znalazł na niej szczęścia, mimo uporczywych poszukiwań, ale osiągnął pogodę ducha, która doprowadziła go prostą drogą do równowagi, i nauczył się tego uśmiechu. Niektórzy bracia byli przekonani, że pokorny braciszek Julian dreptał już po gościńcach świętości.

Słońce bezskutecznie próbowało ogrzać ziemię. Braci z klasztoru Santa Maria de Gerri ciągle nie było widać; pewnie zatrzymali się na noc w Soler. Mimo nieskutecznych wysiłków słońca Burgal wydawał się najzimniejszym miejscem na świecie. Wieśniacy wrócili do Escaló parę godzin temu, ze spuszczonymi głowami, bez nadziei na zapłatę. Zamknął bramę wielkim kluczem, z którym nie rozstawał się przez lata jako brat furtian; teraz miał go oddać w opactwie. Non sum dignus, powtarzał, ściskając klucz, w którym zawierała się pięćsetletnia historia ciągłości życia zakonnego w Burgalu. Pozostał na zewnątrz, sam; siedział pod drzewem orzechowym i trzymał na kolanach Świętą Skrzynię, czekając na braci z Gerri. Non sum dignus. A jeżeli zechcą spędzić noc w Burgalu? Reguła świętego Benedykta surowo zakazuje, by w klasztorze mieszkał samotny mnich, dlatego ojciec przeor, kiedy poczuł się chory, kazał zawiadomić opactwo w Gerri, żeby podjęto odpowiednie kroki. Już od osiemnastu miesięcy ojciec przeor i on byli jedynymi mnichami w klasztorze. Ojciec odprawiał mszę, a on uczestniczył w niej pobożnie; przestrzegali obaj liturgii godzin, ale już nie śpiewali, bo ćwierkanie wróbli było donośniejsze niż ich zmęczone, fałszujące głosy. Poprzedniego dnia wczesnym popołudniem, kiedy śmierć zabrała czcigodnego przeora po dwóch dniach wysokiej gorączki, znów został sam na świecie. Non sum dignus.

Ktoś wspinał się stromą ścieżką od strony Escaló, bo droga z Estaron była zimną niedostępną. Nareszcie. Wstał, otrzepał habit i zrobił kilka kroków ścieżką w dół, trzymając mocno Świętą Skrzynię. Zastanowił się: może powinien był okazać im gościnność i otworzyć bramę? Cała jego wiedza na temat procedury zamknięcia długiej historii wspólnoty monastycznej ograniczała się do paru wskazań, jakich mu udzielił ojciec przeor na łożu śmierci. Bracia z Gerri wspinali się powoli; widać było, że są zmęczeni. Trzej mnisi. Odwrócił się ze łzami w oczach, żeby po raz ostatni spojrzeć na klasztor, i zaczął

schodzić w dół, by zaoszczędzić braciom ostatniej stromizny. Tym gestem odsyłał w niepamięć odległe wspomnienie dwadziestu jeden lat w Burgalu. Żegnaj, Sant Pere, żegnaj, zimna woda śpiewająca w wąwozach. Żegnajcie, lodowate góry, w których znalazłem pogodę ducha. Żegnajcie, bracia zakonni, żegnajcie, wieki śpiewów i modlitw.

– Bracia, pokój wam w dniu Narodzenia Pańskiego.

– Pokój Pański niech będzie z tobą.

– Już go pochowaliśmy.

Jeden z braci ściągnął kaptur. Szlachetne czoło kazało się domyślać ojca po ślubach wieczystych, może ekonoma albo opiekuna nowicjatu. Uśmiechnął się do niego tak, jak w dawnych czasach uśmiechał się brat Julian. Pod peleryną nie miał habitu, tylko rycerską kolczugę. Towarzyszyli mu brat Mateusz i brat Maur z klasztoru w Gerri.

– Kim jest zmarły? – zapytał rycerz.

– Ojciec przeor. Zmarłym jest ojciec przeor. Nie zawiadomiono was, że...

– Jak się nazywa? Jak się nazywał?

– Józef od Świętego Bartłomieja.

– Bogu niech będą dzięki. A więc wy jesteście bratem Michałem z Susquedy.

– Nazywam się brat Julian. Jestem brat Julian.

– Brat Michał. Dominikanin heretyk.

– Kolacja na stole.

W drzwiach gabinetu pojawiła się głowa Małej Loli. Ojciec odprawił ją lekceważącym gestem i spokojnie kontynuował głośną lekturę artykułów aktu erekcyjnego, trudnych do zrozumienia przy pierwszym czytaniu. Nie odpowiadając Małej Loli, polecił mi:

– Czytaj od tego miejsca.

– Ale te litery są jakieś dziwne...

– Czytaj – ojciec uciął dyskusję, zniecierpliwiony i rozczarowany, że z syna taki mięczak. Wtedy Adrian zaczął czytać słowa, które w starannej łacinie średniowiecznej zapisał opat Delligat, mało co z nich rozumiejąc i snując w myślach ciąg dalszy swojej historii.

– Tak... Imię brata Michała pozostało w dawnym życiu, podobnie jak zakon świętego Dominika, o którym zdążyłem zapomnieć. Jestem teraz nowym człowiekiem, odmieniłem się – spojrzał mu w oczy, tak jak patrzył ojciec przeor. – Czego ode mnie chcecie, bracie?

Mężczyzna o szlachetnym czole upadł na kolana i w krótkiej cichej modlitwie podziękował Bogu, a następnie pobożnie się przeżegnał; trzej mnisi zrobili to samo, z szacunkiem. Mężczyzna wstał.

– Trudno było was odnaleźć. Pewien święty brat inkwizytor nakazał was stracić za herezję.

– Jesteście w błędzie.

– Czcigodny panie – odezwał się jeden z mnichów, którzy mu towarzyszyli, chyba brat Mateusz, poważnie zaniepokojony. – Przyszliśmy tu, żeby odebrać klucz do klasztoru i Świętą Skrzynię oraz by odprowadzić brata Juliana do Gerri.

Brat Julian, jakby teraz sobie o niej przypomniał, wręczył mu Skrzynię, którą dotychczas przyciskał do siebie.

– Nigdzie go nie będziecie odprowadzać – uciął stanowczo ten ze szlachetnym czołem. Zwrócił się do brata Juliana: – Nie jestem w błędzie. Mam wam powiedzieć, kto was skazał.

– Nazywam się Julian z Sau i, jak widzicie, jestem benedyktynek.

– Brat Mikołaj Eymeric wydał na was wyrok. Rozkazał mi, żebym wam przypomniał jego imię.

– Mylicie mnie z kimś.

– Brat Mikołaj zmarł dawno temu. Ale ja żyję i wreszcie będę mógł ukoić moją skołataną duszę. W imię Boże.

W obecności przerażonych mnichów z Gerri ostatni mnich z Burgalu, nowy człowiek, odmieniony,

który po wielu ciężkich latach odnalazł pogodę ducha, zdążył tylko zobaczyć w coraz słabszym świetle zimowego słońca błysk sztyletu, zanim ten pogrzył się w jego piersi. Aż się udławił całym długo gromadzonym resentymentem. Wypełniając święty rozkaz, szlachetny rycerz odciął mu język i włożył go do pudełka z kości słoniowej, które zabarwiło się na czerwono. Czystząc sztylet suchymi liśćmi orzechowca, zdecydowanym, gromkim głosem krzyknął na obu zdrewniałych z przerażenia mnichów:

– Ten człowiek nie ma prawa do poświęconej ziemi.

Potoczył wokół siebie zimnym wzrokiem i wskazał klepisko za klasztorem.

– Tam. I bez krzyża. Taka jest wola Pana.

Widząc, że mnisi nie ruszają się z miejsca, sparaliżowani przerażeniem, mężczyzna o szlachetnym czole stanął nad nim, kopiąc nieruchome ciało brata Juliana, i zawołał z pogardą:

– Pochowajcie to ścierwo!

Ojciec, po odszyfrowaniu sygnatury dokumentu opata Delligata, złożył go ostrożnie i powiedział jak się dotyka takiego pergaminu, człowiek może sobie wyobrazić całą epokę. Nie sądzisz?

Ja oczywiście dotknąłem pergaminu, tym razem pięcioma zachłannymi palcami. Cios, jaki ojciec wymierzył mi w plecy, był bolesny i upokarzający. Walczyłem ze sobą, żeby się nie rozpłakać, a tymczasem ojciec, obojętny na moje cierpienie, odsunął lupę i schował rękopis w sejfie.

– Na kolację, biegiem – polecił mi, zamiast przypieczętować pakt z synem, który potrafi czytać średniowieczną łacinę. W drodze do jadalni ukradkiem otarłem dwie ulotne łyzy.

Tak, przyjście na świat w tej rodzinie było niewybaczalnym błędem. A to był dopiero początek nieszczęść.

– Mnie Herr Romeu odpowiadał.

Byli przekonani, że śpię, dlatego oboje mówili podniesionym głosem.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Jasne. Można się ze mną nie liczyć. Ja tu tylko sprzątam!

– To ja się poświęcam dla Adriana!

– A ja niby co robię? – Ironiczny, urażony głos matki zabrzmiał nieco ciszej: – I bardzo cię proszę, nie krzycz.

– To ty krzyczysz!

– Czy ja się nie poświęcam dla chłopca, co?

W gęstej, ciężkiej ciszy nabrały przyspieszenia neurony ojca, który po przemyśleniu zgodził się z matką.

– Ty też, oczywiście.

– Co za wspałałomyślność, wielkie dzięki.

– Ale to nie znaczy, że masz rację.

Sięgnąłem po szeryfa Carsona, bo przewidywałem, że będzie mi potrzebne duchowe wsparcie. Na wszelki wypadek wezwałem jeszcze Czarnego Orła. Ostrożnie, bezszelestnie otworzyłem drzwi pokoju i zostawiłem je lekko uchylone. Nie było czasu na niebezpieczną wyprawę do kuchni w poszukiwaniu szklanki. Teraz słyszałem ich lepiej. Czarny Orzeł pogratulował mi pomysłu. Szeryf Carson się nie odzywał; żuł coś jakby gumę, ale to chyba raczej był tytoń.

– W porządku, niech się uczy gry na skrzypcach, niech ci będzie.

– Mówisz to, jakbyś robił mi łaskę.

– Kobieto, o co ci chodzi?

– W porządku, niech się uczy grać na skrzypcach, niech ci będzie. – Muszę przyznać, że matka, przedrzeźniając ojca, trochę przesadziła, nawet bardzo. Ale mnie się to podobało.

– Jeżeli tak do tego podchodzisz, to zrezygnujemy ze skrzypiec i zajmiemy się poważnymi sprawami.

– Pożalujesz, jeśli pozbawisz chłopca instrumentu.

– Grozisz mi?

– To ty mi grozisz.

Cisza. Carson splunął na ziemię, a ja pogroziłem mu palcem.

– Chłopiec musi się uczyć potrzebnych rzeczy.

– A które twoim zdaniem są potrzebne?

– Łacina, greka, historia, niemiecki i francuski. Na początek.

– Ależ on ma dopiero jedenaście lat, Feliksie!

Jedenaście lat. Wydaje mi się, że wcześniej powiedziałem osiem czy dziewięć; czas płynie, również na tych stronach. Na szczęście matka zawsze wiedziała, ile mam lat. Wiesz, na czym polega problem? Że nie mam czasu ani ochoty, żeby to wszystko poprawiać. Muszę szybko skończyć, jak w młodości, kiedy wszystko, co pisałem, wydawało mi się pilne. Ale obecny pośpiech wynika z czego innego. Co nie znaczy, że piszę szybko.

Matka powtórzyła:

– Chłopiec ma jedenaście lat i uczy się francuskiego w szkole.

– J'ai perdu la plume dans le jardin de ma tante to jeszcze nie francuski.

– A co? Może hebrajski?

– Ma czytać Racine'a.

– O mój Boże.

– Bóg nie istnieje. I mógłby być lepszy z łaciny. W końcu uczy się u jezuitów, do cholery!

To dotyczyło mnie bezpośrednio. Ani Czarny Orzeł, ani szeryf Carson nawet nie pisnęli. Oni nigdy nie chodzili do jezuitów przy ulicy Casp. Nie wiedziałem, czy są dobrzy, czy źli. Ale, według ojca, łacina u nich nie była na odpowiednim poziomie. Miał rację: przerabialiśmy dopiero drugą deklinację i nudziłem się okropnie, bo inne dzieci nie odróżniały jeszcze dopełniacza od celownika.

– Co znów wymyśliłeś?

– Co sądzisz o Liceum Francuskim?

– Nie. Chłopiec pozostanie w Casp. Feliks, przecież to jeszcze dziecko! Nie możemy go przenosić z miejsca na miejsce, jak było w stadzie twojego brata.

– Dobrze, cofam, co powiedziałem. Zawsze w końcu wychodzi na twoje – skłamał ojciec.

– A sport?

– Tym się nie martw. Jezuici mają dużo boisk, prawda?

– I muzyka.

– Dobrze, dobrze. Ale priorytety muszą być zachowane. Adrian będzie wielkim uczonym i kropka. Znajdę kogoś na miejsce Casalsa.

Casals zajął miejsce Herr Romeu i pięć rozpaczliwych lekcji wystarczyło, żeby zaplątał się na dobre w dywagacjach na temat skomplikowanej składni języka niemieckiego i nie wiedział, jak z tego wybrnąć.

– Nie trzeba. Daj mu odetchnąć.

Dwa dni później ojciec wezwał mnie do swego gabinetu, usiadł na krześle i w obecności matki, która zajęła miejsce na sofie, tuż przed moją szpiegowską bazą, ustawił mnie na baczność i przedstawił mi szczegółowo moją przyszłość, słuchaj uważnie, bo nie zamierzam dwa razy powtarzać: że jestem zdolnym chłopcem, że trzeba wykorzystać moje predyspozycje intelektualne i skoro ci Einsteinowie ze szkoły nie umieli ich docenić, on im osobiście przemówi do rozumu.

– Dziwię się, że mimo wszystko jesteś całkiem do wytrzymania – powiedziałaś mi kiedyś.

– Dlaczego? Bo uchodzę za osobę inteligentną? Zawsze wiedziałem, że taki jestem. Tak jak inni są wysocy, grubi czy czarnowłosi. Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Tak jak msze i kazania religijne, które trzeba było znosić ze świętą cierpliwością i które robiły wrażenie na Bernacie. Bernat... Chyba ci jeszcze o nim nie mówiłem. I wtedy ojciec wyciągnął królika z kapelusza:

– A teraz zaczniemy solidne korepetycje z niemieckiego z nauczycielem z prawdziwego zdarzenia. Żaden Romeu, Casals czy ktoś w tym guście.

– Ale ja...

– I dodatkowe lekcje francuskiego.

– Ojczy, ale ja chciałbym...

– Ty nic nie chcesz. I uprzedzam cię – wycelował we mnie palec jak pistolet – na końcu będzie aramejski.

Rzuciłem okiem na matkę, szukając u niej pomocy, ale spuściła wzrok, nagle zainteresowana posadzką. Musiałem bronić się sam. Krzyknąłem:

– Nie chcę się uczyć aramejskiego! – To było kłamstwo. Protestowałem, bo było tego za dużo naraz.

– Chcesz, nawet bardzo – odpowiedział mi zimny, cichy, bezlitosny głos.

– Nie.

– Ze mną się nie dyskutuje.

– Nie chcę się uczyć aramejskiego! Ani niczego więcej!

Ojciec położył rękę na czole, jakby miał nieznośną migrenę, i zaczął mówić cichutko, wpatrując się

w stół, to ja się dla ciebie poświęcam, żebyś mógł zostać najlepszym studentem, jaki kiedykolwiek studiował w Barcelonie, a ty tak mi się odpłacasz? – Przedrzeźniał mnie, coraz bardziej podnosząc głos: – Nie chcę się uczyć aramejskiego? – Jeszcze głośniej: – Co?

– Ja chcę się uczyć...

Cisza. Matka podniosła głowę, z nadzieją. Carson w kieszeni poruszył się, zaciekawiony. Nie wiedziałem, czego chcę się uczyć. Wiedziałem tylko, że nie mogę się zgodzić, by przedwcześnie przygnietli mi głowę ciężką płytą. Minęło kilka męczących chwil namysłu i w końcu musiałem improwizować:

– ...bo ja chcę być lekarzem.

Cisza. Rodzice wymienili pytające spojrzenia.

– Lekarzem?

Przez kilka sekund ojciec oczyma wyobraźni oglądał moją przyszłość jako lekarza. Matka chyba też. Pewnie przesadziłem. Przecież mdleję na samą myśl o krwi. Ojciec po chwili wahania przysunął krzesło do stołu, tak jakby chciał wrócić jak najszybciej do przerwanej lektury.

– Nic z tego: ani lekarzem, ani zakonnicy. Będziesz wielkim humanistą i kropka.

– Ojczy.

– Synu, jestem zajęty. Idź trochę pohłasować na swoich skrzypcach.

Matka cały czas miała wzrok utkwiony w ziemi, zainteresowana kolorowymi płytkami posadzki. Zdrajczyni.

Adwokat, lekarz, architekt, chemik, inżynier drogowy, dentysta, adwokat, inżynier przemysłowy, optyk, farmaceuta, adwokat, fabrykant, inżynier tekstylny lub bankier to były zawody, jakie inni rodzice wybierali dla swoich dzieci.

– Kilkakrotnie wymieniałś adwokata.

– Bo to jedyny zawód dla humanisty. A dzieci tymczasem wolałyby się uczyć na węglarza, malarza, stolarza, latarnika, robotnika, pilota, pasterza, piłkarza, stróża, alpinistę, ogrodnika, maszynistę, spadochroniarza, motorniczego, strażaka i papieża w Rzymie.

– Natomiast nigdy żaden ojciec nie powiedział synu, kiedy dorośniesz, będziesz humanistą.

– Nigdy. Ale w moim domu byli sami dziwacy. W twoim zresztą też.

– Mhm... – odpowiedziałaś mi jak ktoś, kto przyznaje, że ma niewybaczalny defekt, ale woli nie wchodzić w szczegóły.

Mijały dni, a matka milczała, jakby czekała, przyczajona, na swoją kolej. Czyli wróciłem do lekcji niemieckiego z trzecim już profesorem, Herr Oliveresem, młodym człowiekiem, który pracował u jezuitów, ale musiał sobie dorobić do pensji. Rozpoznałem Herr Oliveresa natychmiast, bo chociaż uczył starsze klasy, pewnie potrzebował dodatkowych paru groszy i zawsze zgłaszał się do pilnowania w czwartkowe popołudnia wszystkich ukaranych za spóźnienie; spędzał czas przewidziany na karę, czytając książki. Miał solidną metodę nauczania języka.

– Eins.

– Ains.

– Zwei.

– Sbai.

– Drei.

– Draii.

– Vier.

– Fia.

– Fünf.

- Fünf.
- Nein: fünf.
- Fünf.
- Nein: Föööüüf.
- Föööüüf.
- Sehr gut!

Natychmiast zapomniałem o czasie straconym z Herr Romeu i Herr Casalsem i załapałem, o co chodzi w niemieckim. Pasjonowały mnie dwie rzeczy: że słownictwo nie było romańskie, czyli dla mnie to była nowość, a przede wszystkim podobały mi się w tym języku deklinacje, takie jak w łacinie. Wkrótce zacząłem się dopominać o zadania ze składni i profesor nie mógł wyjść z podziwu, ale ja zawsze chciałem dobrać się do języków od strony twardego jądra ich struktury. Pytać o godzinę można na migi. Tak, lubiłem się uczyć języków.

– Jak postępuje nauka niemieckiego? – zapytał mnie ojciec, niecierpliwy, już po pierwszej lekcji z nowym profesorem, Oliveresem.

– Aaaalso, eigentlich gut – odpowiedziałem, udając brak zainteresowania tematem. Kątem oka, niezbyt dokładnie, zauważyłem coś jakby uśmiech na twarzy ojca. To była moja zapłata, bo wydaje mi się, że chociaż nigdy bym się do tego nie przyznał, wtedy stawałem na głowie, żeby zrobić na nim wrażenie.

– Czego prawie nigdy nie udawało ci się osiągnąć.

– Nie zdążyłem.

Herr Oliveres okazał się człowiekiem kulturalnym i nieśmiałym, mówił po cichu, nigdy porządnie się nie golił, w tajemnicy pisywał wiersze i palił bardzo śmierdzący tytoń, ale świetnie potrafił wyjaśniać wewnętrzne mechanizmy językowe. I już na drugiej lekcji wprowadził schwache Verben. A na piątej wręczył mi w zaufaniu, jakby chodziło o świńskie zdjęcie, jeden z *Hymnen* Hölderlina. Ojciec chciał, żeby Herr Oliveres przeegzaminował mnie z francuskiego, żeby sprawdzić, czy nie trzeba się do niego przyłożyć, a po egzaminie Monsieur Oliveres oświadczył, że z francuskim jest wszystko w porządku i że można poprzestać na lekcjach w szkole, a w takim razie, ta jedna wolna godzina... Jak u pana z angielskim, Mister Oliveres?

Tak, z wielu powodów przyjście na świat w tej rodzinie było błędem. Przykro mi, że ojcu wystarczała świadomość, iż jestem jego synem. Nie zauważył, że jestem dzieckiem. A matka wpatrywała się w posadzkę i nie wtrącała się do rozgrywek między nami. A przynajmniej tak mi się wydawało. Dobrze, że miałem Carsona i Czarnego Orła. Oni prawie zawsze byli po mojej stronie.

Było wczesne popołudnie. Przeciągnęły się zajęcia, które pani Trullols miała z inną grupą uczniów, a ja czekałem na swoją kolej. Obok mnie siedział chłopiec wyższy ode mnie, który miał już lekki meszek pod nosem, zapowiedź wąsów, i pojedyncze włoski na nogach. No, mówiąc szczerze, był dużo ode mnie wyższy. Kiedy brał do ręki skrzypce, wydawało się, że chce je przytulić; patrzył przed siebie, starając się unikać mojego wzroku, ale Adrian powiedział cześć.

– Cześć – odpowiedział Bernat, nie patrząc w jego stronę.

– Chodzisz do pani Trullols?

– Aha.

– Pierwszy rok?

– Trzeci.

– Ja też. Pójdziemy razem. Pokażesz mi swoje skrzypce?

W tym czasie, chyba pod wpływem ojca, skrzypce podobały mi się bardziej jako przedmiot niż jako źródło muzyki. Ale Bernat patrzył na mnie nieufnie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest właścicielem guarneriusa, którym lepiej się nie chwalić. Ale ponieważ ja otworzyłem futerał i pokazałem mu swoje skrzypce do ćwiczeń, w kolorze ciemnoczerwonym, które miały dźwięk bardzo pospolity, nie pozostawało mu nic innego, jak zrobić to samo. Przybrałem pozę pana Berenguera:

– Francuskie, z początku wieku. – I dodałem, patrząc mu w oczy: – Z serii zadedykowanej Madame d'Angoulême.

– Po czym poznałeś? – Bernat, niemal obrażony, ze zdziwienia aż otworzył usta.

Od tego dnia Bernat mnie podziwiał. Z najgłępszego z możliwych powodów: to żadna sztuka zapamiętywać przedmioty, żeby je opisywać i klasyfikować. Wystarczy mieć ojca zwariowanego na tym punkcie. Niby skąd wiem, co?

– Po werniksie, po kształcie, po brzmieniu...

– Wszystkie skrzypce są identyczne.

– Tak ci się wydaje. Każdy egzemplarz ma swoją historię. Składają się na nią, poza lutnikiem, który je stworzył, wszyscy wirtuozi, którzy na nich grali. Te skrzypce nie należą do ciebie.

– A właśnie, że tak!

– Nie. Jest dokładnie na odwrót. Popatrz:

Ojciec kiedyś mi to wyjaśnił, trzymając w rękach storioniego. Pokazał mi go niechętnie i powiedział, nie zdając sobie sprawy z wagi swoich słów, uważaj, to jedyny taki przedmiot na świecie. Storioni pod moim dotykiem ożył. Wydawało mi się, że czuję przeznaczone dla mnie delikatne bicie serca. Tymczasem ojciec z błyskiem w oku mówił wyobraź sobie, że te skrzypce przeżyły przygody, których nigdy nie poznamy, grały w salach koncertowych i domach, do których nie trafimy, i dzieliły wszystkie radości i smutki muzyków, którzy się nimi posługiwali. Ile wysłuchały rozmów, ile doświadczyły muzyki... Jestem pewien, że mogłyby nam opowiedzieć mnóstwo wzruszających historii, stwierdził z dozą niezwykłego cynizmu, którego wtedy nie wyczułem.

– Pozwól mi ich dotknąć, ojcze.

– Nie. Dopóki nie skończysz ósmej klasy szkoły muzycznej. Wtedy będą twoje. Słyszysz? Twoje.

Przysiągłbym, że serce storioniego na te słowa zabiło mocniej. Nie umiałem rozstrzygnąć, z radości czy ze smutku.

– Popatrz, to jest tak jakby... jakby ci to powiedzieć; posłuchaj, to jest prawie żywa istota, ma nawet własne imię, tak jak ty czy ja.

Adrian popatrzył na ojca z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy ten przypadkiem go nie nabiera.

– Imię własne?

– Tak.

– To jak się nazywa?

– Vial.

– Co znaczy Vial?

– A co znaczy Adrian?

– No wiesz... Hadrianus to nazwisko rzymskiej rodziny, która pochodziła z Hadrii nad Adriatykiem.

– Cholera, nie to miałem na myśli.

– Pytałeś mnie, co zna

– Tak, tak, tak... No więc te skrzypce nazywają się Vial i kropka.

– Ale dlaczego właśnie Vial?

– Wiesz, czego się nauczyłem, synu?

Adrian spojrzał rozczerowany na ojca, który wykręcał się od odpowiedzi na pytanie. Nie znał jej i nie chciał się do tego przyznać. Miał ludzkie słabości, ale je ukrywał.

– Czego się nauczyłeś?

– Że to nie skrzypce należą do mnie, tylko ja do nich. Jestem jednym z wielu, z którymi miały do czynienia. W ciągu swojego długiego życia służyli storioniemu różni wirtuozi. A dziś są u mnie, chociaż ja mogę na nie tylko popatrzeć. Dlatego tak mi zależało, żebyś nauczył się grać i kontynuował długą historię tego instrumentu. Tylko dlatego musisz się uczyć grać. Tylko dlatego, Adrianie. Muzyka nie musi ci się podobać.

Mój ojciec, z wrodzoną elegancją, wykręcił kota ogonem i twierdził teraz, że uczę się grać z jego inicjatywy, a nie na życzenie matki. Mój ojciec, z wrodzoną elegancją, dysponował losami innych. A jednak ja w tamtym momencie drżałem ze wzruszenia, mimo że sens wszystkich jego zakazów sprowadzał się do tego ostatniego, od którego włos się jeżył na głowie: muzyka nie musi ci się podobać.

– Z którego jest roku? – zapytałem.

Ojciec kazał mi zajrzeć przez prawą efę. Laurentius Storioni Cremonensis me fecit 1764.

– Pozwól mi wziąć je do rąk.

– Nie. Możesz rozmyślać o historiach, jakie kryją w sobie te skrzypce. Ale ręce trzymaj z daleka.

Jachiam Mureda pozwolił się wyprzedzić obydwu wozom i mężczyznom, którzy zmierzali do Grassy, prowadzeni przez Blonda z Cazilhacu. Schował się w ustronnym miejscu, żeby ulżyć kiszkom. Miał chwilę spokoju. Wozy z deskami oddalały się powoli w kierunku zarysowującej się przed nimi sylwetki klasztoru otoczonego murem obalonym uderzeniem pioruna. Od trzech lat ukrywał się w Carcassonne przed gniewem ludzi z Moeny, a los właśnie znów zamierzał spłatać mu figła. Oswoił się z łagodnym brzmieniem języka prowansalskiego. Przyzwyczyił się, że nie codziennie je się tutaj ser, ale najtrudniej było mu się pogodzić z brakiem lasów i gór na wyciągnięcie ręki; owszem, były, ale tak daleko, w takiej odległości, że wydawały się nieprawdziwe. Kiedy się wypróżniał, zrozumiał nagle, że tęskni nie za pejzażem Pardàcu, ale za ojcem, Muredą z Pardàcu, i za wszystkimi Muredami: za Agno, Jennem, Maxem, Hermesem, Josefem, Theodorem, Micurą; Ilsa, Eriką, Kathariną, Matildą, Gretchen i małą Bettiną, która podarowała mi medalik z Matką Boską Kwietną, patronką drwali z Pardàcu, żebym nigdy nie czuł się samotny. Podczas tego srania tak się rozzałił i rozpłakał, że ściągnął z szyi medalik, żeby lepiej się przyjrzeć majestatycznej Matce Bożej przedstawionej frontalnie, z wątłym dzieciątkiem w ramionach i bujnym świerkiem w tle, który przypominał mu bór w pobliżu strumienia Travignolo, w jego ukochanym Pardàcu.

Naprawa zniszczeń okazała się skomplikowana, ponieważ najpierw trzeba było wyburzyć chwiejący się fragment muru. W ciągu dwóch dni postawił tak solidne rusztowanie, że zasłużył na pochwałę stolarza klasztornego, brata Gabriela, który miał dłonie wielkie jak stopy, kiedy trzeba było ciąć i rąbać, lecz

delikatne jak wargi, kiedy przychodziło ocenić jakość drewna. Natychmiast znaleźli wspólny język. Zakonnik, wielki gaduła, zainteresował się, skąd tak dobrze zna się na drzewach, skoro jest zwykłym stolarzem, a wtedy Jachiam, uwolniony od lęku przed zemstą, po raz pierwszy od czasu ucieczki powiedział nie jestem stolarzem, bracie Gabrielu. Jestem wyspecjalizowanym w akustyce brakarzem. Mój zawód polega na ocenianiu śpiewności drewna, wybieraniu odpowiednich drzew i właściwych fragmentów pnia, które później posłużą mistrzom lutniczym do wytworzenia idealnego instrumentu, czy to będzie violetta, skrzypce czy cokolwiek innego.

– A co ty robisz, stworzenie Boże, pracując przy budowie?

– To bardzo skomplikowane.

– Uciekasz przed jakimś lękiem.

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem.

– Nie mam prawa się wtrącać, uważaj tylko, żebyś nie uciekał przed samym sobą.

– Nie, myślę, że nie. A dlaczego?

– Ponieważ ten, który ucieka przed samym sobą, widzi zawsze, że drepce mu po piętach cień jego wroga, i nie może przestać uciekać, aż padnie z wycieńczenia.

– Twój ojciec jest skrzypkiem? – zapytał Bernat.

– Nie.

– Bo ja... No, ale skrzypce naprawdę są moje – bronił się.

– Nie powiedziałem, że nie są twoje. Mówię tylko, że to ty należysz do skrzypiec.

– Mówisz dziwne rzeczy.

Zapanowała cisza. Słyszeli, jak pani Trullols podnosi głos, żeby upomnieć jakiegoś ucznia, który niemiłosiernie fałszował.

– Ale rzępoli – odezwał się Bernat.

– Tak. – Cisza. – Jak się nazywasz?

– Bernat Plensa. A ty?

– Adrian Ardèvol.

– Jesteś kibicem Barcy czy Espanyol?

– Barcy. A ty?

– Też.

– Co kolekcjonujesz?

– Samochody.

– Kurczę. Masz potrójne ferrari?

– Nie. Nikt nie ma.

– Chcesz powiedzieć, że w ogóle nie istnieje?

– Mój ojciec twierdzi, że nie.

– Kurczę, kurczę, kurczę. – Niepocieszony: – Naprawdę?

Obaj chłopcy zamilkli, myśląc o reprodukcji ferrari Juana Manuela Fangio, która miała się składać z trzech części, o ile w ogóle istniała, a ta wątpliwość zaboląła ich jak cios w żołądek. I obaj mężczyźni, też w milczeniu, patrzyli, jak pnie się w górę mur Grassy, dzięki solidnemu rusztowaniu, które skonstruował Jachiam. Po namyśle brat Gabriel zapytał:

– A z jakiego drewna robisz te instrumenty?

– Sam ich nie robię, nigdy nie robiłem. Sprzedawałem tylko drewno pierwszej jakości. Moje było najlepsze. Zgłaszali się po nie mistrzowie z Cremony i mieli pełne zaufanie do towaru, który przygotowaliśmy ja i mój ojciec. Sprzedawaliśmy im drewno ścięte podczas styczniowego nowiu, jeśli chcieli bez żywicy, lub w pełni lata, jeśli zależało im na materiale harmonijnym, mocniejszym. Ojciec nauczył mnie rozpoznawać najbardziej śpiewne drzewa pośród setek innych. Tak, ja się tego nauczyłem od ojca, a on odziedziczył tę umiejętność po swoim, który pracował dla rodziny Amati.

– Nie słyszałem o nich.

Wtedy Jachiam z Pardàcu zaczął mu opowiadać o rodzicach, o braciach i o lesistym pejzażu Alp Tyrolskich. I o Pardàcu, który ci z doliny nazywają Predazzo. Poczł ulgę, jakby odbył spowiedź przed świeckim braciszkiem. Nie mówił o ucieczce i o niebezpieczeństwie, bo nie miał wyrzutów sumienia z powodu zabójstwa. Wszak ten Bulchanij z Moeny był świnią i mordercą, który z zawiści spalił ich przyszłość. Wbiłby nóż w jego brzuch choćby i dziesięć tysięcy razy, gdyby tylko nadarzyła się sposobność. Jachiam, zatwardziały grzesznik.

– O czym myślisz, Jachiam? Widzę nienawiść na twojej twarzy.

– O niczym, tylko jestem smutny. Wspomnienia. Bracia.

– Mówiłeś, że masz liczne rodzeństwo.

– Tak. Najpierw pojawiliśmy się na świecie my, ośmiu chłopców, i kiedy już rodzice zwątpili, zaczęły się rodzić córki, aż sześć.

– A ilu was przeżyło?

– Wszyscy.

– To prawdziwy cud.

– To zależy. Theodor nie chodzi, Hermes ma przyćmiony umysł, ale wielkie serce, a Bettina, najmłodsza, jest ślepa.

– Biedna matka.

– Nie żyje. Umarła w połogu z ostatnim dzieckiem, które też nie przeżyło.

Brat Gabriel zamilkł z szacunku dla tamtej kobiety, prawdziwej męczennicy. Wolał zmienić temat:

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, jakie drewno nadaje się na instrumenty. Które jest najlepsze?

– Dobre instrumenty, które wyrabiają w Cremonie mistrzowie lutniczego fachu, to kombinacja różnych gatunków.

– Nie chcesz mi powiedzieć.

– Nie.

– Wszystko jedno, i tak się dowiem.

– Jak?

Brat Gabriel puścił do niego oko i wrócił do klasztoru, wykorzystując moment, kiedy robotnicy z pomocnikami, znużeni długim dniem pracy przy kamieniach, które trzeba było wciągać na górę za pomocą linowego krążka, schodzili z rusztowania przed zmierzchem, czekając na skromny posiłek i odpoczynek, najlepiej bez żadnych snów.

– Któregoś dnia zabiorę storioniego na lekcję.

– Ani mi się waż, jeśli nie chcesz się przekonać na własnej skórze, jak wygląda prawdziwe lanie.

– To po co go mamy?

Ojciec odłożył skrzypce na stół, oparł ręce na biodrach i spojrzał na mnie.

– Po co go mamy, po co go mamy... – przedrzeźniał mnie.

– Tak. – Teraz naprawdę się rozżłościłem. – Po co go mamy, skoro zawsze leży w futerale zamknięty w sejfie i nawet nie możemy go oglądać?

– Mam po to, żeby mieć. Rozumiesz?

– Nie.

– Heban, pewien rodzaj świerku, który tu nie występuje, i klon.

– Kto to bratu powiedział? – zdumiał się Jachiam z Pardàcu.

Brat Gabriel zabrał go do klasztornej zakrystii. W kącie stała ukryta w futerale viola da gamba z jasnego drewna.

– Co ona tu robi?

– Dojrzewa.

– W klasztorze?

Brat Gabriel machnął ręką, co znaczyło: długo by o tym mówić.

– Ale jak się bratu udało odgadnąć?

– Nigdy wcześniej nie zastanawiałem się, z czego są zrobione instrumenty – myślał głośno, zdumiony własną opieszałością.

– Jak brat do tego doszedł?

– Po zapachu.

– Niemożliwe. Drewno jest wyschnięte i pachnie werniksem.

W tym dniu Jachiam Mureda w zamkniętej zakrystii uczył się odróżniać rodzaje drewna również po zapachu i pomyślał, jaka szkoda, jaka szkoda, że nie mogę o tym opowiedzieć domownikom, zaczynając od ojca, który umarłby ze zmartwienia, gdyby mi się coś stało. Ale by się ucieszyli Agno, Jenn i Max, którzy już od dawna są na swoim, Hermes półgłówek, Josef, kulawy Theodor, Micurà, Ilse i Erica, siostry zameżne; Katharina, Matilde, Gretchen i mała Bettina, moja ślepa siostrzyczka, która podarowała mi medalik od matki, kawałek Pardàcu, który zawsze mam przy sobie.

Dopiero po sześciu tygodniach, kiedy już rozbierali rusztowanie, brat Gabriel przyznał się, że wie o czymś, co go powinno bardzo ucieszyć.

– O czym?

Odciągnął go daleko od robotników pracujących przy rusztowaniu i powiedział, nachylając się do jego ucha, że zna pewien stary klasztor, zapomniany przez Boga i ludzi, który otoczony jest świerkowym lasem, tym rodzajem czerwonego świerku, który tak ci się podoba.

– Cały las?

– Bór świerkowy. Ze dwadzieścia świerków i majestatyczny klon. Bezpańskie drzewa. Jeszcze pięć lat temu nikt się do nich nie przyznawał.

– W jakim sensie bezpańskie?

– Ten las należy do opuszczonego klasztoru. – Dodał po cichu: – Ani w Grassie, ani w Santa Maria de Gerri nie doliczyliby się, gdyby zniknęły ze dwa drzewa.

– Dlaczego brat mi o tym mówi?

– Nie chciałbyś wrócić do rodziny?

– Pewnie, że bym chciał. Wrócić do ojca i zastać go jeszcze przy życiu. Chciałbym znów zobaczyć Agno, Jenn i Maxa, którzy już są na swoim, i Hermesa, półgłówek...

– Tak, tak, tak, tego i tamtego. Josefa i wszystkich świętych. Ale trochę porządnego drewna bardzo by wam ułatwiło życie.

Jachiam z Pardàcu już nie wrócił do Carcassonne. Wyjeżdżając z Grassy w towarzystwie Blonda z Cazilhacu, paru ludzi i pięciu mułów, które ciągnęły wozy, wyposażony w sakiewkę z pieniędzmi zarobionymi podczas ucieczki, przez Arieję i przełęcz Salau podążył przed siebie w ślad za marzeniem.

Dotarli do Sant Pere del Burgal siedem czy osiem dni później, już pod koniec lata, wąską drogą od strony Escaló, którą w zimnych czasach pradziadków, ich pradziadków i pradziadków tamtych pradziadków nadciągnął emisariusz śmierci. Wyrosły przed nimi na wzgórzu zaniedbane, rozsypujące się mury klasztoru. Kiedy zaszedł z drugiej strony, stanął jak wryty. Zdumiony, odkrył wierną kopię lasu Paneveggi, jeszcze przed pożarem. Wspaniała świerczyna, dziesięć czy piętnaście ogromnych świerków, a pośrodku, niczym król, klon odpowiedniej grubości. Podczas gdy jego ludzie utrudzeni podróżą odpoczywali, Jachiam westchnął na intencję brata Gabriela z Grassy i ostukał wszystkie drzewa, żeby usłyszeć, jak śpiewają, zgodnie z naukami ojca, a potem je obwąchał, tak jak go nauczył brat Gabriel. To były chwile prawdziwego szczęścia. Później, podczas długiej sjesty, obszedł opuszczone pomieszczenia, aż dotarł do zamkniętych drzwi kościoła. Jedno pchnięcie ręką i zmurszałe, przegniłe

drzwi ustąpiły. Wnętrze było tak ciemne, że tylko pobieżnie obrzucił je wzrokiem, a potem śladem swoich towarzyszy udał się na drzemkę.

Zamieszkali w murach samotnego klasztoru pod zmurszałym, przegniłym dachem; zaopatrywali się w żywność u wieśniaków z Escaló i Estaron, którzy zachodzili w głowę, czego tamci mogli szukać w ruinach Burgalu. Poświęcili cały miesiąc na budowę solidnych wozów do transportu; pracowali na dole, nad rzeką, gdzie droga była prosta. Jachiam obejmował wszystkie pnie po kolei, po uprzednim usunięciu dolnych gałęzi. Ostukiwał je otwartą dłonią i przykładał do nich ucho, na oczach swoich ludzi, którzy zaskoczeni milczeli sceptycznie. Kiedy wozy były gotowe, Jachiam z Pardàcu zdecydował, który świerk zetnie oprócz klonu. Chociaż od lat nie uprawiał swego zawodu, był pewien, że to drzewo rośnie wyjątkowo równomiernie, i nie miał wątpliwości, że będzie śpiewać. Jachiam całymi godzinami oglądał tajemnicze malowidła w apsydzie kościołka, przedstawiające jakieś nieznanne historie. Prorocy i archaniołowie, święty Piotr, patron kościoła, i święty Paweł, święty Jan i inni apostołowie z Matką Bożą, wszyscy wychwalali, wraz z archaniołami, surowego Pantokratora. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia.

Potem przystąpili do ścinania wybranego świerku. Tak: drzewo rośnie równomiernie, z przerwami na zimę, która musiała tam bardzo doskwierać, przede wszystkim dlatego, że trwała bez końca. Drzewo miało jednakową gęstość słoików w każdym pierścieniu, rok po roku. Mój Boże, co za drewno. Kiedy drzewo już leżało ścięte, nie przejmując się nieufnym spojrzeniem ludzi, swoich pomocników, jeszcze raz obmacał, obwąchał i opukał pień, żeby się upewnić, które partie są najlepsze. Zaznaczył kredą dwa odcinki, jeden długości dwunastu stóp, drugi dziesięciu. W tych miejscach drewno śpiewało najczyściej. Wyciął je, mimo że nie był to okres styczniowego nowiu, najlepsza w ogólnej opinii pora dokonywania wyboru drewna na dobre skrzypce. Jednakże Muredowie sprawdzili, że jeśli tylko nie ma korników, trochę żywicy konserwuje drewno, które ma odbyć długą podróż.

– Coś mi się wydaje, że mnie nabierasz – powiedział Bernat.

– Jak sobie chcesz.

Zapadła cisza. Ale uczeń za ścianą nadal fałszował, tak bardzo fałszował, że już lepiej było zagłuszyć go rozmową. Po dłuższej chwili odezwał się Adrian:

– Jak sobie chcesz. Ale ciekawiej jest myśleć, że to skrzypce decydują, bo są żywe.

Po paru dniach odpoczynku zabrali się do klonu. Był ogromny, mógł mieć ze dwieście lat. Liście już żółkły, zapowiadając pierwsze śniegi, które tym razem już go nie przykryją. Wiedział, że część położona najbliżej korzeni jest najlepsza, dlatego piłowali bardzo nisko, chociaż ludzie narzekali, że to niepotrzebne utrudnienie. Musiał im obiecać dodatkowe dwa dni odpoczynku przed podjęciem dalszej podróży. Cięli tuż nad ziemią. Tak nisko, że w pewnej chwili Blond z Cazilhacu, czymś zaintrygowany, wziął kilof, żeby dostać się do korzeni.

– Chodź, musisz coś zobaczyć – zakłócił mu jego codzienny rytuał podziwiania magicznych malowideł apsydy.

Mężczyźni okopali już praktycznie całe drzewo. Pomiędzy korzeniami były kości, czaszka, włosy ludzkie i resztki ciemnego ubrania, zniszczonego przez wilgoć.

– Kto mógł wpaść na pomysł grzebania człowieka pod drzewem! – zawołał jeden z mężczyzn.

– To musi pochodzić z dawnych czasów.

– Nie pochowali go pod drzewem – sprostował Blond z Cazilhacu.

– Jak to nie? – Jachiam spojrzał na niego zdziwiony.

– Nie widzisz? To drzewo wyrasta z człowieka, jeśli to faktycznie był człowiek. Wykarmił to drzewo swoją krwią i swoim ciałem.

Tak. To drzewo wyrosło z brzucha kościotrupa. Adrian zbliżył twarz do twarzy ojca, żeby musiał na niego spojrzeć, żeby mu odpowiedział:

– Ojcie, chcę tylko dotknąć, żeby usłyszeć dźwięk. Tylko cztery gamy. Tylko trochę. Ojcie, proszę!...

– Nie. Nie znaczy nie. Dość już tego – odmówił zdecydowanie Feliks Ardèvol, unikając spojrzenia syna.

Wiesz, co myślę? Że z tym gabinetem, który jest całym moim światem, jest podobnie jak ze skrzypcami: przez całe życie zmieniają się w nim ludzie – mój ojciec, ja... ty, uwieczniona na autoportrecie, i nie wiadomo, kto jeszcze, bo nie da się zrozumieć przyszłości. Czyli nie, a nie znaczy nie, Adrianie.

– Nie wiesz, że nie znaczy tak? – powie mi kiedyś rozżłoszczony Bernat, wiele lat później.

– Widzisz? – odezwał się ojciec innym tonem. Odwrócił skrzypce i pokazał mu spód instrumentu.

Wskazał jedno miejsce, bez dotykania. – Ta cienka rysa... kto ją zrobił? Jak do tego doszło? W wyniku uderzenia? Specjalnie? Kiedy? Gdzie?

Delikatnie wyjął instrument z moich rąk i powiedział sam do siebie, jak we śnie, to mi wystarcza do szczęścia. Dlatego tak mi się tu podoba... Ruchem głowy wskazał cały gabinet, wszystkie skarby, które tu trzymał. A potem delikatnie odłożył Viala do futerału, a ten do lochu, czyli do sejfu.

W tym momencie otworzyły się drzwi klasy pani Trullols. Bernat odezwał się do mnie tak cicho, żeby go nie usłyszała profesorka:

– Co za głupota: nie należę do skrzypiec. Są moje: kupił mi je ojciec w sklepie Parramona. Za sto siedemdziesiąt pięć peset.

I zamknął futerał. W tej chwili wydał mi się bardzo niesympatyczny. Taki młody i już na bakier z tajemniczością. Nie ma mowy o przyjaźni między nami. Wykluczone. Kaputt. Potem okazało się, że też chodzi do Casp, o jedną klasę wyżej. I że się nazywa Bernat Plensa i Punsoda. Pewnie już o tym wspominałem. Również o tym, że był sztywny, jakby go wykąпали w brylantynie i zapomnieli wypłukać. A po szesnastu minutach musiałem przyznać, że ten antypatyczny typ, wróg tajemniczości, który nigdy nie zostanie moim przyjacielem, niejaki Bernat Plensa i Punsoda, ma coś takiego, że ze skrzypiec za trzydzieści pięć duros, kupionych u Parramona, potrafi wydobyć dźwięk niezwykle subtelny, nieosiągalny dla mnie nawet w marzeniach. Pani Trullols patrzyła na niego z satysfakcją, a ja tymczasem myślałem, jakie mam gówniane skrzypce. I wtedy przysięgłem sobie, że uciszę na zawsze jego, skrzypce Madame d'Angoulême i tę brylantynę, w której się wykąpał; mam wrażenie, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym nigdy tak nie pomyślał. Na razie resentment powolutku dojrzewał w mojej głowie. Aż trudno uwierzyć, jakie niewiarygodne tragedie potrafią się wykluc z całkiem niewinnych myśli.

Bernat, w połowie schodów, wymacał ręką w kieszeni wibrującą komórkę. To Tekla. Przez kilka sekund zastanawiał się, odebrać czy nie. Odsunął się na bok, żeby przepuścić schodzącą sąsiadkę, której bardzo się spieszyło. Z głupią, złośliwą satysfakcją wpatrywał się przez parę sekund w świecący ekran, jakby spodziewał się zobaczyć uwięzioną wewnątrz Teklę, która sra na wszystko. Schował telefon do kieszeni i po chwili stwierdził, że przestał wibrować. Tekla zapewne przypomniała sobie, że może jeszcze coś od niego wyciągnąć. Za pośrednictwem operatora poczty głosowej oświadczyła właśnie dom w Llancà pół roku dla mnie, pół dla ciebie. A na to operator, co pani sobie wyobraża, przecież nigdy pani tam nie była, a jeśli nawet, to z dezaprobatą wypisaną na twarzy, którą zawsze uprzykrzała pani życie Bernatowi! No i co pani na to? Brawo dla sieci Orange, pomyślał Bernat. Zatrzymał się parę sekund na podeście pierwszego piętra, żeby złapać oddech, a kiedy już odpoczął, przycisnął dzwonek.

– Rzzrrzzrrzzrrzz.

Tak długo musiał czekać na jakąś reakcję wewnątrz mieszkania, że miał czas pomyśleć o Tekli, o Llorençie i o nieprzyjemnej rozmowie, jaką odbyli poprzedniej nocy. Ktoś nadchodził, szurając nogami. Wyrwał go z zamyślenia dźwięk przekręcanego w zamku klucza i skrzypnięcie powoli otwierających się drzwi. Adrian, przyglądając mu się zza wąskich okularów do czytania, przekreślił kontakt w przedpokoju i wpuścił go do środka. Światło odbiło się na jego łysinie.

– Znów przepaliła się żarówka na schodach – powiedział na powitanie.

Bernat go uścisnął, ale Adrian nie zareagował. Zdjął okulary i powiedział dziękuję, że przyszedłeś, przepuszczając go przed sobą.

– Jak się masz?

– Źle. A ty?

– Źle.

– Napijesz się czegoś?

– Nie. Tak. Już nie piję.

– Już nie pijemy, nie pieprzymy, nie objadamy się, nie chodzimy do kina, nie porusza nas żadna książka, wszystkie kobiety są dla nas za młode, już nam nie staje i nie wierzymy tym, którzy chcą zbawić kraj.

– Dobry program.

– A jak tam Tekla?

Wprowadził go do gabinetu. Za każdym razem, kiedy tam wchodził, Bernat rozglądał się z autentycznym podziwem. Przez kilka sekund zatrzymał spojrzenie na autoportrecie, ale nic nie powiedział.

– O co mnie pytałeś?

– Jak się miewa Tekla.

– Bardzo dobrze. Rewelacyjnie.

– Bardzo się cieszę.

– Adrian.

– Co.

– Stary, nie pieprz.

– Dlaczego?

– Dlatego, że dwa dni temu powiedziałem ci, że się rozstajemy, że walczymy na śmierć i życie...

- Cholera...
- Nie pamiętasz?
- Nie. Jestem taki zamyślony...

– Roztargniony jak prawdziwy mędrzec.

Adrian zamilkł; żeby przerwać ciszę, Bernat powtórzył rozstajemy się, w naszym wieku, a jednak się rozstajemy.

– Przykro mi. Ale to dobra decyzja.

– Jeśli chcesz znać prawdę, mnie już wszystko jedno. Czuję się tym zmęczony.

Kiedy usiedli, Bernat stuknął ręką w kolano i zapytał, sztucznie podekscytowany, powiedz no, skąd ten pośpiech i taka niecierpliwość?

Adrian wbił w niego wzrok na długie sześćdziesiąt sekund. Bernat wytrzymał spojrzenie, aż wreszcie uświadomił sobie, że wpatrujący się w niego Adrian tak naprawdę jest nieobecny.

– Co z tobą? – Pauza. Przyjaciel błędził gdzieś myślami. – Adrian? – Zaniepokoił się. – Co ci jest?

Adrian przelknął ślinę i spojrzał smutno na przyjaciela. Szybko odwrócił wzrok.

– Jestem chory.

– Coś takiego.

Cisza. Całe życie, twoje i cudze, pomyślał Bernat, staje ci przed oczami, kiedy ktoś, kogo kochasz, oznajmia ci, że jest chory. Adrian wydawał się nieobecny. Bernat próbował zapomnieć na chwilę o tej pieprzonej dziwce Tekli, przez którą nie mam spokojnego dnia, tygodnia ni miesiąca, i zapytał, ale co masz na myśli? Co ci jest?

– Upływa mi termin ważności.

Cisza. Długie sekundy ciszy.

– Ale o co chodzi, do cholery, umierasz, to coś poważnego, mogę jakoś pomóc, no, nie wiem, powiedz coś, no?

Gdyby nie ta pieprzona separacja z Teklą, nigdy by nie zareagował w ten sposób. Bernat poczuł się zażenowany własnymi słowami, chociaż z drugiej strony widział, że nie wywarły one na Adrianie najmniejszego wrażenia, bo przyjął je z uśmiechem.

– Tak, możesz coś zrobić. Chcę cię prosić o przysługę.

– Jasne, oczywiście. Ale jak się czujesz? Co ci jest?

– Trudno to wyjaśnić. Wysyłają mnie do kliniki czy czegoś w tym rodzaju.

– Kurczę, przecież dobrze wyglądasz. Masz taką zdrową cerę, że można się zesrać z zazdrości.

– Musisz mi wyświadczyć przysługę.

Wstał i zniknął wewnątrz mieszkania. Trzeba się uzbroić w cierpliwość, pomyślał Bernat. Z jednej strony Tekla, z drugiej Adrian hipochondryk i te jego tajemnice.

Wrócił Adrian hipochondryk z tajemnicą w postaci sporego pliku papierów. Położył je na stoliku przed Bernatem.

– Musisz tego pilnować, żeby nie zginęło.

– Czekaj, czekaj, czekaj... Od jak dawna jesteś chory?

– Mówiłem ci: już od jakiegoś czasu.

– Nic o tym nie wiedziałem.

– Ja też nie wiedziałem, że rozstajesz się z Teklą, choć sam ci to parę razy sugerowałem. Zawsze wolałem myśleć, że jakoś się dogadaliście. Mogę mówić dalej?

Ludzie, którzy są serdecznymi przyjaciółmi, umieją się pokłócić i pogodzić i potrafią przemilczeć pewne rzeczy, żeby nie zmuszać przyjaciela do pomocy. Tak powiedział Adrian trzydzieści pięć lat temu i Bernat doskonale to pamiętał. W myśli przeklął życie za to, że nas prześladowe śmiercią na każdym kroku.

– Przepraszam, ale jestem... Jasne, że możesz, mów, mów.

– Kilka miesięcy temu wykryto u mnie proces degeneracji mózgu. A teraz są dalsze postępy.

– O kurwa.

– Tak.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– Wyleczyłbyś mnie?

– Jestem twoim przyjacielem.

– Dlatego cię wezwałem.

– Możesz mieszkać sam?

– Mała Lola przychodzi codziennie.

– Caterina.

– Tak. I zostaje do późna. Zostawia mi gotową kolację.

Adrian wskazał stos kartek i powiedział jesteś nie tylko przyjacielem, ale i pisarzem.

– Niespełnionym – uciął sucho Bernat.

– To ty tak twierdzisz.

– I mam powody. Cholera, ty sam bez przerwy mi o tym przypominasz.

– Krytykowałem cię, jak pamiętasz, ale nigdy nie powiedziałem, że jesteś nieudacznikiem.

– Ale tak myślałeś.

– Ty nie masz pojęcia, co się tam wewnątrz dzieje – odpowiedział Adrian poirytowany, dotykając czoła obiema rękami.

– Od lat nic nie publikuję.

– Ale nie przestałeś pisać, prawda?

Cisza. Adrian nalegał:

– Niedawno przyznałeś się publicznie, że piszesz powieść. Tak czy nie?

– Kolejna porażka. Przerwałem pisanie. – Odetchnął głęboko i zapytał: – No to powiedz, czego ode mnie oczekujesz.

Adrian podniósł stos kartek i przyjrzał im się uważnie, jakby widział je po raz pierwszy. Spojrzał na Bernata i wręczył mu cały pakiet. Teraz zobaczył wyraźnie: gruby plik kartek zapisanych odręcznie po obu stronach.

– Liczy się tylko jedna strona.

– Pisana zielonym atramentem?

– Aha.

– A ta druga? – Przeczytał na pierwszej stronie: – Problem zła.

– To nic ważnego. Takie tam głupoty. Bez żadnej wartości – Adrian uciął temat.

Bernat przejrzał zielone strony, zdziwiony, usiłując się oswoić z niewyraźnym pismem przyjaciela.

– Co to takiego? – zapytał wreszcie, unosząc głowę.

– Nie wiem. Moje życie. Moje życie i różne dywagacje.

– Jak to się stało, że ja... Nie znałem cię z tej strony.

– Wiem. Nikt mnie nie znał.

– Chcesz poznać moją opinię?

– Nie. No tak, jak mi powiesz, będzie wspaniale. Ale... chciałem cię prosić, błagam cię, żebyś to przepisał na komputerze.

– Jeszcze nie otworzyłeś tego, który dostałeś ode mnie w prezencie.

Adrian usprawiedliwił się nieokreślonym gestem:

– Ale brałem lekcje u Llorença.

– Z których nic nie wynikło. – Przejrzał plik kartek. – Część napisana zielonym atramentem nie ma tytułu, jak widzę.

– Bo nie wiem, jak to nazwać. Może ty mógłbyś mi pomóc.

- Jesteś zadowolony? – zapytał Bernat, podnosząc plik.
- Nie o to chodzi, czy jestem zadowolony, czy nie. Zresztą, to mój pierwszy raz...
- Zaskoczyłeś mnie.
- Sam siebie zaskoczyłem, ale musiałem to zrobić.

Adrian odchylił się w fotelu. Bernat przewracał kartki jeszcze przez chwilę, a potem odłożył je na bok.

- Powiedz mi, jak się czujesz. Czy mogę coś dla ciebie zrobić...
- Nie, dziękuję.
- Ale jak się czujesz?
- Teraz dobrze. Ale proces się rozwija. Może się tak zdarzyć...

Adrian zastanawiał się, czy mówić dalej. Patrzył przed siebie, na ścianę, gdzie wisało zdjęcie obu przyjaciół z plecakami przewieszonymi przez ramię, jeszcze z włosami na głowie, bez brzuchów; to było w Bebenhausen, kiedy byli młodzi i umieli się uśmiechać do aparatu. A na górze, na honorowym miejscu, autoportret, jak ołtarz. Mówił dalej cichym głosem:

- Może być tak, że za parę miesięcy już cię nie rozpoznam.
- Nie.
- Tak.
- O kurwa.
- Tak.
- I jak będziesz sobie radził?

– Później o tym spokojnie porozmawiamy.

– Dobrze. – Bernat stuknął palcem w plik kartek: – Tym się nie przejmuj. Sądziś, że odczytam twoje pismo? Wiesz już, co chcesz z tym zrobić?

Adrian mówił długo, prawie na niego nie patrząc. Bernat miał wrażenie, że słucha penitenta, który się spowiada. Kiedy skończył, siedzieli w milczeniu, patrząc, jak zapada zmrok. Może myśleli o swoim niespokojnym życiu. O tym wszystkim, czego sobie nie powiedzieli, o dawnych obelgach i kłótniach, o tych okresach, kiedy się nie widywali. Zastanawiali się, czemu życie zawsze kończy się niechcianą śmiercią. Bernat myślał zrobić dla ciebie wszystko, o co mnie poprosisz. Adrian sam już dobrze nie wiedział, o czym myśli. Wtedy odezwał się telefon w kieszeni Bernata, w niewłaściwym momencie.

– Co to takiego?

– Nic, moja komórka. Wiesz, my, ludzkie istoty, używamy komputera, podarowanego przez serdecznego przyjaciela. Mamy też telefon komórkowy.

– Kurczę, to odbierz. Telefony są po to, żeby je odbierać.

– Nie, to na pewno Tekla. Może poczekać.

Znów zapanowało między nimi milczenie. Czekali, aż przestanie brzęczeć telefon, który nie dawał za wygraną, wtrącając się bez zaproszenia do ich milczącej rozmowy. Bernat myślał to na pewno Tekla, która znów będzie mu wiercić dziurę w brzuchu. W końcu brzęczenie ucichło. Powróciły myśli i wypełniły milczenie obu mężczyzn.

– Poza tym u nas w domu nie ma żadnych rękopisów – upierał się Bernat. Wyszli z konserwatorium, na rogu ulicy Bruc i València, i mieli zdecydować w połowie drogi, do czyjego domu teraz pójść.

– Wiem, co mówię.

– I nasze mieszkanie jest mniejsze w porównaniu z twoim.

– Tak. A ten piękny taras to pryszcz?

– Ja bym wolał mieć brata.

– Ja też.

Przez chwilę szli w milczeniu, teraz w kierunku domu Bernata, z zamiarem powrotu pod dom Adriana, już drugi raz w tym dniu, żeby oddalić moment rozstania. W milczeniu przeżywali tęsknotę za bratem, którego nie mieli, i rozważali tajemnicę, dlaczego tacy Roig, Rull, Soler i Pàmies mogą mieć po troje, pięcioro, czworo czy sześcioro rodzeństwa, a oni żadnego.

– Tak, ale mieszkanie Rulla to chlew, czworo w jednym pokoju, łóżka piętrowe. Ciągłe ktoś krzyczy.

– Dobrze, dobrze, zgoda. Ale przynajmniej coś się dzieje.

– Nie wiem. Zawsze jest jakiś uprzykrzony młodszy brat.

– Tak.

– Albo starszy.

– Phi.

Adrian próbował też powiedzieć, że zazdrości mu rodziców, sam nie wie, dlaczego, no, że przynajmniej nie kontrolują go przez cały dzień.

– A właśnie, że tak. Bernat, dzisiaj jeszcze nie grałeś na skrzypcach. A praca domowa? Czyżby nic wam nie zadawali? Dziecko, co ty robisz z butami, że je tak niszczysz? I tak przez cały boży dzień.

– Żebyś ty wiedział, jak jest u mnie.

– Jak?

Pokonując po raz trzeci trasę między naszymi domami doszliśmy do wniosku, że nie da się ustalić, który z nas był bardziej nieszczęśliwy. Ale ja pamiętałem, że kiedy przychodziłem do Adriana, jego matka otwierała mi drzwi z uśmiechem i mierzwiła mi ręką włosy na głowie. Moja matka nawet mnie nie zapytała jak ci poszło, Adrian, bo otwierała mi zawsze Mała Lola, która tylko szczypała mnie w policzek, a cały dom był pogrążony w ciszy.

– Widzisz? Twoja matka śpiewa, kiedy ceruje skarpetki.

– I co z tego?

– Moja nie. W domu nie wolno śpiewać.

– No nie.

– No tak. Jestem nieszczęśliwy.

– Ja też. Ale ty masz same celujące i Bóg wie co jeszcze.

– To nie moja zasługa. Nauka jest prosta.

– Gówno prawda.

– Faktycznie: gra na skrzypcach nie przychodzi mi łatwo.

– Nie mówię o skrzypcach, mówię o szkole: gramatyka, geografia, fizyka i chemia, matma, przyroda, ta cholerna łacina, to miałem na myśli. Skrzypce to łatwizna.

Mogę się mylić co do konkretnych dat, ale ty rozumiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię, że obaj byliśmy bardzo nieszczęśliwi. Teraz, kiedy do tego wracam, wydaje mi się, że tak wyglądają raczej problemy wieku dojrzenia niż dziecinne zmartwienia, ale jestem przekonany, że odbyłem taką rozmowę

z Bernatem, kiedy spacerowaliśmy między jego domem a moim, nie zwracając uwagi na nieustanny ruch samochodów na ulicy València, Llúria, Bruc, Girona i Mallorca, w samym sercu dzielnicy Eixample, do której sprowadzał się cały mój świat, kiedyś i teraz, z wyjątkiem paru podróży. Pamiętam też, że Bernat miał kolejkę elektryczną, a ja nie. Gry na skrzypcach uczył się z własnej woli. A przede wszystkim, kiedy rodzice go pytali Bernat, kim chcesz być, jak dorośniesz?, wolno mu było odpowiedzieć jeszcze nie wiem.

– Zastanów się nad tym – zamykał temat pan Plensa, jak zawsze w pogodnym nastroju.

– Tak, ojcze.

I to było wszystko, wyobrażasz sobie? Jego pytali, kim chcesz być, kiedy dorośniesz, a mnie ojciec powiedział któregoś dnia słuchaj uważnie, bo nie zamierzam tego powtarzać, teraz się dowiesz, kim masz być w przyszłości. Wyznaczył mi trasę szczegółowo, zakręt za zakrętem. Teraz tylko brakowało, żeby wtrąciła się matka, sam już nie wiem, co było gorsze. Nie skarżę się, tylko ci opowiadam. Ale struna była już tak napięta, że nie umiałem o tym rozmawiać nawet z Bernatem. Słowo honoru, naprawdę. Bo przez kilka ostatnich lekcji niemieckiego nie nadażalem z zadaniami domowymi, a tymczasem pani Trullols wymagała ode mnie półtorej godziny ćwiczeń dziennie, żeby opanować pierwsze trudności dwudźwięków. Nienawidziłem dwudźwięków; jak chcesz, żeby brzmiała jedna struna, odzywają się trzy, a kiedy potrzebujesz dwóch, odzywa się tylko jedna i doprowadza cię do stanu, kiedy najchętniej rozbiłbyś skrzypce o ścianę, bo przerastają cię palcówki, a gdy włączysz płytę, dostajesz zawrotu głowy, słysząc, jak doskonale sobie radzi taki Josif Robertowicz Heifetz, a ja chciałbym być Heifetzem z trzech powodów: po pierwsze, na pewno jego pani Trullevičius nie truła mu Jasza, to nie tak, trzeci palec musi iść z całą dłonią, nie możesz go zostawić na pastwę losu na podstrunnicy, na miłość boską, Jasza Ardèvol! Po drugie, bo wszystko mu się udawało; po trzecie, bo na pewno nie miał takiego ojca jak mój, i po czwarte, uważałem, że bycie cudownym dzieckiem to poważna choroba, z której on się wyleczył jakimś nieznanym mi sposobem, a ja przeżyłem tylko dzięki temu, że w gruncie rzeczy nie byłem cudownym dzieckiem, wbrew temu, co sądził mój ojciec.

– Hauk.

– Słucham cię, Czarny Orle.

– Powiedziałaś trzy.

– Trzy co?

– Trzy powody, dla których chciałbyś być Jaszą Heifetzem.

Cóż, chwilami przestaję się kontrolować. Od kiedy zacząłem pisać, jestem coraz bardziej rozkojarzony. Nie wiem, czy uda mi się doprowadzić tę opowieść do końca.

Jasnym punktem w moim mrocznym dzieciństwie był niespożyty talent pedagogiczny ojca, który pewnego dnia, kiedy Mała Lola próbowała się za mną wstawić, powiedział cholera, o co wam wszystkim chodzi?! Że przez niemiecki i skrzypce miałby się nie uczyć angielskiego? Co? Krzywda mu się dzieje? Co? A poza tym, kim ty jesteś, żeby mi mówić... I po co ja w ogóle z tobą rozmawiam?

Mała Lola wyszła z gabinetu wściekła, że ojciec próbował ją upokorzyć. Wszystko się zaczęło od zapowiedzi ojca, że mam sobie zarezerwować poniedziałki na lekcje angielskiego; będzie mi ich udzielać Mister Prats, bardzo wartościowy młody człowiek, a ja z wrażenia otworzyłem usta, bo nie wiedziałem, co powiedzieć, bo przecież bardzo mi zależało na angielskim, ale nie chciałem, żeby ojciec... Oczekiwałem reakcji matki, ale ona skupiła się na bukietach warzyw na talerzu, a Mała Lola wyszła z pustą tacą do kuchni. Matka nawet nie pisnęła, musiałem się bronić sam, więc tylko wymamrotałem, że potrzebuję czasu na granie, bo dwudźwięki są bardzo...

– Wymówki. Dwudźwięki... Popatrz, jak gra byle skrzypek. Nie wmówisz mi, że nie możesz być zwykłym skrzypkiem.

– Mam za mało czasu.

– Wymyśl coś, przecież jesteś młody. Albo daj sobie spokój ze skrzypcami, tyle ci powiem.

Następnego dnia matka odbyła naradę z Małą Lolą, ale nie mogłem podsłuchiwać, bo nie miałem bazy szpiegowskiej w prasowalni. Po kilku dniach od tej narady Mała Lola postawiła się mojemu ojcu. To było wtedy, kiedy wyszła z gabinetu wściekła, że ojciec próbował ją upokorzyć. Ale była jedyną osobą, która mogła sobie pozwolić na konfrontację z ojcem bez większego ryzyka. A ja w poniedziałek przed feriami świątecznymi już nie mogłem włączyć się z Bernatem po ulicach.

– One.

– Łan.

– Two.

– Tu.

– Three.

– Thrii.

– Four.

– Foa.

– Four.

– Fuoa...

– Fffoouur.

– Fffoooa.

– It's all right!

W angielskim fascynowała mnie wymowa, zawsze cudownie nieprzewidywalna, kiedy się patrzyło na zapis słów. Niewiarygodna wydawała mi się też prostota morfologiczna tego języka. I subtelny związek leksyki z językiem niemieckim. Mister Prats był bardzo nieśmiały, nawet nie odważył się spojrzeć mi w oczy, kiedy dał mi do czytania pierwszy tekst, szkoda gadać jaki, powiem ci tylko tyle, że nie miał nic wspólnego z dobrym gustem. Zresztą osądź sama: intryga polegała na dochodzeniu, czy ołówek jest na stole czy pod stołem, a w wyniku niespodziewanego zwrotu akcji rzeczony ołówek trafił w końcu do mojej kieszeni.

– Jak tam lekcje angielskiego? – zapytał zniecierpliwiony ojciec dziesięć minut po pierwszych zajęciach, przy kolacji.

– It's all right – odpowiedziałem obojętnym tonem. A w duchu wściekałem się, bo w gruncie rzeczy, wbrew ojcu, już się nie mogłem doczekać, kiedy się dowiem, jak jest jeden, dwa, trzy, cztery po aramejsku.

– Mogę prosić o drugą? – spytał Bernat, który zawsze umiał zadbać o swoje interesy.

– Jak najbardziej.

Mała Lola dała mu dwie kromki chleba z czekoladą; a po chwili wahania mnie też dołożyła jeszcze jedną. Po raz pierwszy w kurrewskim życiu nie musiałem kraść.

– Nie nakruszcie na podłogę.

Obaj chłopcy wyszli z kuchni, a idąc do pokoju, Bernat zapytał powiedz, o co chodzi, co?

– To wielka tajemnica.

Kiedy już byliśmy u mnie, otworzyłem na środkowej stronie album z obrazkami samochodów wyścigowych i nie zaglądając do środka, skupiłem się na wyrazie jego twarzy. Na szczęście zrobił wielkie oczy.

– No nie!

– Tak.

– Więc jednak istnieje.

– Tak.

Potrójne zdjęcie Juana Manuela Fangio za kierownicą ferrari. Tak jak słyszysz, najdroższa: zdjęcie

Fangia złożone z trzech części.

– Mogę go dotknąć?

– Ale uważaj.

Bernat tak miał: kiedy coś mu się podobało, musiał tego dotknąć. Podobnie jak ja. Zawsze taki był. I taki pozostał. Ja zresztą też. Adrian zadowolony napawał się zazdrością przyjaciela, który dotykał opuszkami palców potrójnego zdjęcia Fangia w czerwonym ferrari wszech czasów, najszybszym na świecie, jeśli nie brać pod uwagę przyszłości.

– Ustaliliśmy, że nie istnieje... Jak je zdobyłeś?

– Ma się te kontakty.

Kiedy byłem mały, taki właśnie miałem styl. Wydaje mi się, że starałem się naśladować ojca. A może pana Berenguera. W tym przypadku moje kontakty sprowadzały się do bardzo owocnego niedzielnego przedpołudnia na straganach ze starzyzną na placu przed halą targową Sant Antoni. Można tam znaleźć wszystko, wystarczy łut szczęścia, poczynając od bielizny Joséphine Baker aż po zbiór wierszy Josepa Marii Lópeza-Picó, zadedykowany Jeroniemu Zanné. I potrójne zdjęcie Fangia, którego ponoć nie miał jeszcze żaden chłopiec w Barcelonie. Za każdym razem, kiedy ojciec mnie tam zabierał, starał się odwrócić moją uwagę od tajemniczych transakcji, jakie prowadził z paroma panami z nieodłącznym niedopałkiem w ustach i rękami w kieszeni, z rozbieganym wzrokiem. Potem notował jakieś sekrety w notesie, który znikał natychmiast w jego kieszeni.

Pożegnali zdjęcie smutnym westchnieniem, zamykając album. Teraz musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać w pokoju Adriana. O czymś trzeba było rozmawiać, dlatego Bernat zdecydował się zapytać o to, co go męczyło już od dawna, a w domu przykazali mu, Bernat, lepiej się do tego nie mieszaj. W końcu wypalił prosto z mostu:

– Dlaczego nie chodzisz do kościoła?

– Mam pozwolenie.

– Czyje? Pana Boga?

– Nie: ojca Anglady.

– O kurczę. Ale dlaczego nie chodzisz?

– Nie jestem chrześcijaninem.

– O kurczę!... – Milczenie i konsternacja. – To można nie być chrześcijaninem?

– Tak przypuszczam. Ja nie jestem.

– To kim jesteś? Buddystą? Japończykiem? Komunistą? Co?

– Nikim.

– To można być nikiem?

Nie znałem dobrej odpowiedzi na to pytanie, kiedy mi je stawiano w dzieciństwie, bo mnie samego ten temat niepokoił. Można być nikiem? Ja będzie niczym. Będę jak zero, które nie jest liczbą naturalną ani całkowitą, ani racjonalną, ani realną, ani złożoną, tylko neutralnym elementem w sumie liczb całkowitych? Obawiam się, że będę czymś jeszcze mniejszym: kiedy mnie nie będzie, stanę się zbędny, jeśli w ogóle kiedykolwiek byłem – jestem – potrzebny.

– Hauk. Pogubiłem się.

– Daj sobie z tym spokój, to dla ciebie za trudne.

– Nie, jeśli chodzi o mnie...

– Lepiej nic nie mów, Czarny Orle.

– Wierzę w Wielkiego Ducha Manitu, który napełnia prerię stadami bizonów, daje ludziom deszcz i śnieg, porusza słońce, które nas ogrzewa, i ukrywa je na czas snu; sprawia, że wieje wiatr, wiedzie rzeki ich korytem, naprowadza oko orła na ofiarę i przepęlnia odwagą wojownika, gotowego umrzeć za swój lud.

– Hej! Gdzie jesteś, Adrianie?

Adrian zamrugał powiekami i powiedział tu, z tobą, rozmawiamy o Bogu.

– Czasem się wyłączasz.

– Ja?

– Rodzice mówią, że to dlatego, że jesteś mądrą.

– Gównu nie mądrą. Wolałbym mieć...

– Lepiej nie zaczynaj, dobrze?

– Oni ciebie kochają.

– A twoi rodzice nie?

– Nie: podsumowują mnie. Mierzą mi iloraz inteligencji. Mają zamiar wysłać mnie do Szwajcarii, do takiej specjalnej szkoły, żebym zrobił trzy klasy w ciągu roku.

– Kurczę, ale fajnie! – Popatrzył na mnie kątem oka. – No nie?

– Nie. Dyskutują o mnie, ale miłości nie ma w tym wcale.

– E tam. Ja nie lubię całowania...

Kiedy matka powiedziała Mała Lolu, idź do Rosy po fartuchy, zrozumiałem, że wybiła nasza godzina. Jak dwaj złodzieje, jak Pan, kiedy po nas przyjdzie, weszliśmy na zakazane terytorium. W całkowitym milczeniu wślizgnęliśmy się do gabinetu ojca, uważając na dźwięki dochodzące z głębi mieszkania, gdzie matka i pani Angeleta robiły przegląd odzieży. Minęło parę minut, zanim oswoiliśmy się z ciemnością i duszną atmosferą panującą w gabinecie.

– Czuję jakąś dziwną woń – powiedział Bernat.

– Ciiii – odezwałem się teatralnym szeptem, bo najbardziej zależało mi na tym, żeby zrobić wrażenie na Bernacie, teraz kiedy zaczynaliśmy być przyjaciółmi. Powiedziałem mu, że to nie żadna dziwna woń, tylko ciężar historii, którą emanowały przedmioty należące do kolekcji; nie zrozumiał mnie, a ja też nie byłem wcale pewien, czy to, co mówię, jest prawdą.

Kiedy wzrok oswoił się z ciemnością, Adrian najpierw zobaczył z satysfakcją oczarowaną twarz Bernata, wdychającego nie jakąś dziwną woń, tylko ciężar historii zaklętej w przedmiotach, które teraz zaczynał rozpoznawać. Dwa stoły, jeden zawalony rękopisami, nad nim dziwna lampa, która jednocześnie była... Co to jest? Aha, lupa, o kurczę... I mnóstwo starych książek. W głębi biblioteczka z jeszcze starszymi książkami, a po lewej ściana z kolekcją miniatur.

– Są bardzo cenne?

– Och!

– Co: och?

– To szkic Vayredy – Adrian pokazał z dumą niedokończony obrazek.

– Aha.

– Wiesz, kim jest Vayreda?

– Nie. Dużo kosztuje?

– Bardzo dużo. A to jest grafika Rembrandta. To nie jest jedyny egzemplarz, bo w przeciwnym razie...

– Aha.

– Wiesz, kto to Rembrandt?

– Nie.

– A ten, taki mały...

– Bardzo ładny.

– Tak. Ten jest najcenniejszy.

Bernat przysunął twarz do gardenii Abrahama Mignona w bladożółtym kolorze, jakby je chciał powąchać. No, powiedzmy: jakby chciał wywąchać cenę.

– Ile jest wart?

– Tysiące peset.

– Coś takiego! – Po chwili zastanowienia: – Ile tysięcy?

– Nie wiem, ale bardzo dużo.

Wolałem utrzymywać go w niepewności. To był dopiero początek, zostawał jeszcze główny punkt programu. W tym celu pociągnąłem go przed oszkloną szafę. Reakcja była natychmiastowa: o cholera, a co to takiego?

– To japoński damski puginał kaiken, używany przez bushi – oznajmił z dumą Adrian.

Kiedy Bernat otwierał szafę, ja zaniepokojony rzuciłem okiem na drzwi wejściowe; wziął do ręki puginał kaiken, używany przez samurajki wyznające bushido, identyczny jak ten w sklepie, obejrzał go z zainteresowaniem, podszedł do drzwi balkonowych, żeby lepiej widzieć, i wyciągnął go z futerału.

– Ostrożnie – powiedziałem tajemniczym głosem, bo wydawało mi się, że trzeba wzmocnić wrażenie, które nie okazało się tak piorunujące, jak oczekiwałem.

– Co znaczy puginał kenbuszi?

– To taki sztylet, który służył walecznym Japonkom do odbierania sobie życia. – I dodał szeptem: – Narzędzie samobójstwa.

– Ale dlaczego musiały popełniać samobójstwo? – zapytał ten głupek bez zaskoczenia i bez emocji w głosie.

– No bo... – Odwołując się do wyobraźni, zdobyłem się na komentarz: – To na wypadek, gdyby im się nie ułożyło w życiu, gdyby przegrały. – I wyciągnąłem ostateczny argument: okres Edo, szesnasty wiek.

– Waw.

Wpatrywał się uważnie, jakby w myślach odtwarzał scenę samobójstwa walecznej Japonki kenbuszi. Adrian wyjął mu puginał z rąk, włożył do futerału i odłożył na miejsce, do szafy z precjozami, z przesadną, ostentacyjną ostrożnością. Bezszelestnie zamknął szafę. W tym momencie podjął decyzję, że musi definitywnie pokonać przyjaciela. O ile wcześniej miałem jeszcze jakieś skrupuły, wtedy całkiem straciłem zdrowy rozsądek, chcąc przełamać wstrzemięźliwość Bernata w okazywaniu emocji. Położyłem palec na ustach, nakazując całkowite milczenie, zapaliłem żółtą lampę w kącie pokoju i ustawiłem cyfry w kolejności: sześć, jeden, pięć, cztery, dwa, osiem. Ojciec nigdy nie zamykał sejfu na klucz, tylko ustawiał tę kombinację. Otworzyłem tajemną komnatę skarbów Tutenchamona. Jakieś starożytne zwoje, dwa zamknięte puzderka, mnóstwo kopert z dokumentami, trzy pliki banknotów w kącie i, na górnej półce, futerał skrzypiec z niewyraźną plamą na wierzchu. Wyciągnąłem go bardzo ostrożnie. Otworzyłem futerał, a wtedy ukazał się, w całej okazałości, nasz storioni. Jeszcze piękniejszy niż zwykle. Umieściłem go pod światłem i podsunąłem Bernatowi efę pod sam nos.

– Przeczytaj to – poleciłem.

– Laurentius Storioni Cremonensis me fecit. – Podniósł głowę, oczarowany. – A co to znaczy?

– Przeczytaj do końca – upomniałem go, wykazując świętą cierpliwość.

Bernat znów się pochylił nad otworem rezonansowym skrzypiec, żeby przyjrzeć się, co jest wewnątrz. Po uważnym obejrzeniu pudła odczytał jeden, siedem, sześć, cztery.

– Tysiąc siedemset sześćdziesiąt cztery – poprawił go Adrian.

– O cholera... Pozwól mi zagrać. Zobaczymy, jaki ma dźwięk.

– Tak, a potem mój ojciec ześle nas na galery. Możesz tylko dotknąć palcem.

– Dlaczego?

– Bo to najcenniejszy obiekt w całym domu, wystarczy?

– Cenniejszy niż te żółte kwiaty kogośtam?

– O wiele cenniejszy. Bez porównania.

Bernat ostrożnie dotknął instrumentu palcem, ale nim zdążyłem zareagować, już poruszył strunę D i wydobył dźwięk, słodki i aksamitny.

– Trochę za niski.

– Czyżbyś miał słuch absolutny?

- Jaki?
- Skąd wiesz, że jest za niski?
- Bo powinien być ociupinkę wyższy, niewiele, tylko troszkę.
- O kurczę, ale ci zazdroszczę! – Chociaż tego wieczoru to ja chciałem zrobić wrażenie na Bernacie, okrzyk podziwu spontanicznie wyrwał mi się spod serca.
- Dlaczego?
- Bo masz absolutny słuch.
- Co to znaczy?
- Nieważne. – I wracając do punktu wyjścia: – Tysiąc siedemset sześćdziesiąt cztery, dotarło?

– Tysiąc siedemset sześćdziesiąt cztery... – W jego głosie usłyszałem szczerzy podziw i o to mi właśnie chodziło. Znów je przytulił, zmysłowo, jak wtedy, gdy powiedział już je skończyłem, Mario, najdroższa. A ona wyszeptala jestem z ciebie dumna. Lorenzo pogładził instrument, przekonany, że zadrżał pod jego ręką, aż Maria poczuła się zazdrosna. Podziwiał doskonałość budowy instrumentu, rytm jego krzywizn, przesuując dłonią po powierzchni. Położył go na stole w pracowni i oddalił się na tyle, że przestał czuć intensywny zapach cudownej kompozycji drewna świerkowego i klonowego, żeby podziwiać z dumą efekt końcowy. Mistrz Zosimo pouczał go, że dobre skrzypce nie tylko mają pięknie brzmieć, ale też muszą być przyjemne dla oka i wierne proporcjom, bo to przesądza o ich wartości. Odczuwał satysfakcję, na którą rzuciła cień niepewność co do ceny, jaką przyjdzie mu zapłacić za drewno. Tak, czuł się usatysfakcjonowany. To były pierwsze skrzypce, które od początku do końca wykonał w pełni samodzielnie; wiedział, że są bardzo dobre.

Lorenzo Storioni uśmiechnął się z ulgą. Wiedział też, że po nałożeniu werniksu dźwięk uzyska odpowiednią barwę. Nie rozstrzygnął jeszcze, czy najpierw pokazać je mistrzowi Zosimowi, czy od razu zaproponować je Monsieur La Guitte; mówili, że kupiec ma już dość Cremony i szykuje się do powrotu do Paryża. Ostatecznie przeważyło poczucie lojalności wobec mistrza i udał się do pracowni Zosima Bergonziego z instrumentem jeszcze bladym niczym trup w prowizorycznej trumnie. Trzy głowy podniosły się na jego widok, przerywając pracę. Mistrz zrozumiał w lot, co oznacza uśmiech na twarzy jego dawnego ucznia, zostawił na podpórce płytę dolną wiolonczeli, którą właśnie polerował, i żeby lepiej obejrzeć instrument, podprowadził Lorenza do okna wychodzącego na ulicę, gdzie było najjaśniej. Lorenzo bez słowa wyciągnął instrument z sosnowego futerału i pokazał go mistrzowi. Najpierw Zosimo przeciągnął ręką po płycie dolnej i górnej. Przekonał się, że wszystko odbyło się tak, jak przewidział parę miesięcy wcześniej, kiedy w tajemnicy obdarował swojego ucznia Lorenza niezwykłym drewnem, chcąc sprawdzić, czy naprawdę przyswoił sobie jego nauki.

- Naprawdę dajecie mi je w prezencie? – upewniał się przejęty Lorenzo Storioni.
- Mniej więcej.
- Ale to jest tamto drzewo...
- Tak. Przywiezione przez Jachiamą z Pardàcu. Teraz jest w najlepszej formie.
- Chciałbym poznać jego cenę, mistrzu.
- Mówię ci, żebyś się nie przejmował. Kiedy zrobisz pierwszy instrument, podam ci cenę.

To drewno nie było prezentem. W roku pańskim 1705, wiele lat temu, zanim jeszcze młody Storioni przyszedł na świat, kiedy ziemia stawała się coraz bardziej okrągła, zatwardziały grzesznik Jachiam Mureda z Pardàcu po pokonaniu wielkiej odległości dotarł do Cremony w towarzystwie Blonda z Cazilhacu, z wozem załadowanym drewnem, na pierwszy rzut oka bezwartościowym, co oszczędziło im wielu przykrości w trakcie niekończącej się wędrówki. Jachiam był wtedy silnym, trzydziestoparoletnim mężczyzną o mrocznym spojrzeniu, w którym wyrażała się determinacja, z jaką podchodził do życia. Zostawił Blonda z towarem w bezpiecznej odległości od miasta, a sam udał się tam zwawym krokiem. Kiedy dotarł do dębowego lasu, zбочzył z drogi. Po przejściu paru metrów szybko znalazł dobre miejsce, żeby spokojnie ulżyć swoim kiszkom. Kiedy przykucnął i bezmyślnie rozglądał się wokół, zauważył

porzucone łąchmany. Te bezańskie szmaty przypomniały mu o przeklętym kaftanie Bulchanija z Moeny i o nieszczęściu, jakie z jego powodu spadło na Muredów z Pardàcu i które być może teraz odwróci się, dzięki odrobinie szczęścia i wytrwałej pracy. Srał i płakał, nie mogąc opanować nerwów. Kiedy się uspokoił, z lżejszym ciałem i w doprowadzonym do porządku znoszonym ubraniu, wkroczył do miasta i skierował się prosto do pracowni Stradivariiego, tak jak to robił wielokrotnie jako młody chłopak. Zapytał od razu o mistrza Antonia. Powiedział mu, że słyszał o jego problemach z zaopatrzeniem w drewno po pożarze w Paneveggio sprzed piętnastu lat.

– Kupuję teraz gdzie indziej.

– Wiem. Z lasów Słowenii. Zdajecie sobie sprawę, że instrumenty, które z niego wyrabiacie, mają głuchy dźwięk.

– Innego nie ma.

– Ależ jest. U mnie.

Problem z zaopatrzeniem najwyraźniej bardzo już musiał doskwierać Stradivariemu, bo poszedł za nieznanym aż do miejsca, gdzie ukryli wóz, na przedmieściach Cremony. Towarzyszył mu Omobono, najbardziej małomówny ze wszystkich synów, i jeden uczeń, Bergonzi. Wszyscy trzej oglądali drewno, odcinali kawałki, przeżuwali je, ukradkiem wymieniali spojrzenia, a Jachiam, syn Muredy, patrzył na nich zadowolony, pewny swego, podczas gdy tamci oglądali bez końca pocięte przez niego pnie. Było już ciemno, kiedy mistrz Antonio zaatakował Jachiamą:

– Skąd wzięłeś to drewno?

– Z bardzo daleka. Pochodzi z zachodu, z bardzo zimnego miejsca.

– Jaką mam pewność, że go nie ukradłeś?

– Musicie mi zaufać. Przez całe życie pracowałem w drzewie, umiem słuchać, jak śpiewa, umiem rozpoznać po zapachu, umiem dokonać wyboru.

– To bardzo dobre drewno i znakomicie zabezpieczone. Gdzie nauczyłeś się zawodu?

– Jestem synem Muredy z Pardàcu. Zapytajcie mojego ojca.

– Pardàc?

– Tu w dolinie mówicie Predazzo.

– Mureda z Predazzo nie żyje.

Po policzkach Jachiamy nagle popłynęły łzy. Co za ból, ojciec nie żyje, nie zobaczy mojego powrotu do domu z dziesięcioma sakiewkami złota, żeby już nigdy nie musiał pracować żaden z moich braci i sióstr: Agno, Jenn, Max, Hermes niespełna rozumu, Josef, Theodor, który nie może chodzić, Micurà; Ilse, Erika, Katharina, Matilde, Gretchen i ślepa Bettina, moja mała siostrzyczka, która podarowała mi medalik z Matką Boską Kwietną, patronką Pardàcu, prezent, jaki otrzymała od matki leżącej na łożu śmierci.

– Zmarł? Mój ojciec?

– Ze zgryzoty po pożarze lasu. Ze zgryzoty po śmierci syna.

– Którego syna?

– Jachiamy, najlepszego z Muredów.

– Ja jestem Jachiam.

– Jachiam utonął w głębinach Forte Buso podczas pożaru. – Spojrzał na niego z ironią: – Jeśli jesteś synem Muredy, powinieneś o tym pamiętać.

– To ja jestem Jachiam, syn Muredy z Pardàcu – upierał się Jachiam, syn Muredy z Pardàcu, podczas gdy Blond z Cazilhacu z zainteresowaniem śledził ich rozmowę, starając się nie uronić ani słowa, chociaż mówili trochę za szybko, jak na jego możliwości.

– Wiem, że mnie oszukujesz.

– Nie. Niech pan spojrzy, mistrzu.

Ściągnął medalik z szyi i pokazał mistrzowi Stradivariemu.

– Co to ma być?

– Matka Boża Kwietna, patronka drwali. Patronka Muredów. Należał do mojej matki.

Stradivari wziął medalik i przyjrzał mu się uważnie. Majestatyczna Matka Boska i drzewo.

– To świerk, mistrzu.

– Świerk w tle. – Oddał mu medalik. – I to ma być dowód?

– Dowodem jest drewno, które wam proponuję, mistrzu Antonio. Jeśli go nie chcecie, zaproponuję je

Guarneriemu albo weźmie je ktoś inny. Jestem utrudzony. Chcę wrócić do domu, sprawdzić, czy żyją jeszcze wszyscy moi bracia. Chcę się przekonać, czy żyją Agno, Jenn, Max, Hermes bez piątej klepki, Josef, kulawy Theodor, Micurà; Ilse, Erika, Katharina, Matilde, Gretchen i mała Bettina, która podarowała mi medalik.

Kiedy Antonio Stradivari uświadomił sobie, że Guarneri może wykorzystać okazję, nie poskapił grosza i wynagrodził go sownie za cały ładunek, który zaoszczędzi mu problemów, kiedy już będzie się nadawał do użytku, po latach spokojnego dojrzewania w magazynie. Miał zabezpieczoną przyszłość. Dlatego skrzypce, które miał wykonać dwadzieścia lat później, należą do najlepszego okresu jego działalności. Nie mógł jeszcze tego wiedzieć. Ale zdawali sobie z tego sprawę Omobono i Francesco, którzy jeszcze po śmierci mistrza wycinali kolejne deseczki z tego tajemniczego drewna, z aptekarską oszczędnością. A kiedy tamci dwaj odeszli, pracownia przeszła w ręce Carla Bergonziego, razem z ukrytym w jakimś zakamarku tajemniczym drewnem. Bergonzi z kolei przekazał sekret obu swoim synom. Teraz młodszy Bergonzi, już jako mistrz Zosimo, oglądał pierwszy instrument młodego Lorenza w świetle, jakie rzucało okno wychodzące na Cucciatta. Zajrzał do środka:

– Laurentius Storioni Cremonensis me fecit, tysiąc siedemset sześćdziesiąt cztery.

– Dlaczego napisałeś, że jesteś z Cremony?

– Bo jestem z tego dumny.

– To będzie twoja sygnatura. Masz ją umieszczać we wszystkich zrobionych przez siebie skrzypcach.

– Zawsze będę dumny z tego, że urodziłem się w Cremonie, mistrzu Zosimo.

Zadowolony mistrz zwrócił zwłoki autorowi, który je umieścił w trumnie.

– Nie mów nikomu, skąd wzięłeś drewno. Teraz szukaj, gdzie się da, nowego, żeby sobie zrobić zapas.

I nie targuj się o cenę, jeśli poważnie myślisz o przyszłości.

– Tak, mistrzu.

– I nie pokpij sprawy złym werniksem.

– Wiem, jak się do tego zabrać, mistrzu.

– Wiem, że wiesz. Ale nie pokpij.

– Ile się należy za drewno, mistrzu?

– Tylko przysługa.

– Co mistrz rozkaże.

– Zostaw w spokoju moją córkę. Jest za młoda.

– Co takiego?

– To, co słyszałeś. Żeby nie musiał powtarzać dwa razy. – Wyciągnął rękę w kierunku futerału. –

Albo oddawaj mi skrzypce i niewykorzystane drewno.

– No, ale ja...

Był tak blady jak jego pierwsze skrzypce. Nie odważył się podnieść wzroku na mistrza i w milczeniu opuścił pracownię Zosima Bergonziego.

Lorenzo Storioni zamknął się w swojej pracowni na kilka tygodni, na czas werniksowania skrzypiec i pracy nad nowym instrumentem, a jednocześnie rozważał cenę, jakiej zażądał Zosimo. Kiedy dźwięk uzyskał już odpowiednią barwę, Monsieur La Guitte, który przedłużył swój pobyt w Cremonie, mógł podziwiać, zaintrygowany, ten lekko przyciemniony kolor, jaki miał się stać firmowym znakiem instrumentów Storioniego. Podał je mizernemu, milczącemu chłopcu, który wziął smyczek do ręki i zaczął

grać. Po twarzy Lorenza Storioniego popłynęły łzy, wywołane pięknym dźwiękiem i myślą o Marii. Dźwięk był jeszcze piękniejszy niż ten, który jemu udało się osiągnąć. Mario, kocham cię. Ile było łez, o tyle florenów wzrosła cena, jaką wyznaczył na początku.

– Tysiąc florenów, Monsieur La Guitte.

La Guitte przez dziesięć niezręcznych sekund patrzył mu prosto w oczy. Dyskretnie rzucił okiem na mizernego chłopca, oszczędnego w mowie, który wyraził pozytywną opinię, spuszczając powieki, a Storioni pomyślał, mogłem bardziej wyśrubować cenę, tego muszę się dopiero nauczyć.

– Nie możemy się już spotykać, kochana Mario.

– To cała fortuna – powiedział La Guitte, pogardliwie wydymając wargi.

– Wielmożny pan wie, że są tego warte. – I w akcie największej desperacji Lorenzo zabrał skrzypce. – Jeśli pan ich nie chce, jestem umówiony z innymi kupcami w przyszłym tygodniu.

– Dlaczego, Lorenzo, ukochany?

– Mój klient chce stradivariusa lub guarneriego... Pan jeszcze jest nieznaną. Storioni! Connais pas.

– Za dziesięć lat każdy będzie chciał mieć własnego storioniego. – Włożył skrzypce do futerału.

– Twój ojciec zabronił nam się spotykać. Dlatego podarował mi drewno.

– Osiemset – dotarł do niego głos Francuza.

– Nie! Ja cię kocham. Kochamy się!

– Dziewięćset pięćdziesiąt.

– Tak, kochamy się, ale jeżeli twój ojciec nie chce, żebyśmy... ja nie mogę...

– Dziewięćset, bo mi się spieszy.

– Ucieknijmy, Lorenzo!

– Zgoda. Dziewięćset.

– Uciec? Jak chcesz uciec z Cremony, gdzie właśnie zakładam własny warsztat?

Rzeczywiście, bardzo mu się spieszyło. Monsieur La Guitte nie mógł się doczekać, kiedy wyjedzie z Cremony z nowymi instrumentami, które tu zakupił. Nic go tu już nie trzymało, poza względami namiętnej, ciemnowłosej Kariny. Uznał, że to będą dobre skrzypce dla Monsieur Leclaira.

– Załóż warsztat w innym mieście!

– Z dala od Cremony? Nigdy w życiu!

– Lorenzo, jesteś zdrajcą! Lorenzo, ty tchórze! Już mnie nie kochasz.

– Jeśli w przyszłym roku wrócę z nowymi zamówieniami, dasz mi okazyjną cenę – uprzedził La Guitte.

– Ależ tak, kocham cię, Mario. Z całego serca. Tylko nie rozumiesz, że...

– Zgoda, Monsieur La Guitte.

– Jest jakaś inna kobieta, prawda? Zdrajca!

– Ależ nie! Wiesz, jaki jest twój ojciec. Mam związane ręce i nogi.

– Tchórz!

La Guitte zapłacił bez dalszych dyskusji. Był przekonany, że w Paryżu Leclair bez targowania się zapłaci mu pięć razy więcej, i poczuł satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Szkoda tylko, że to już ostatni tydzień sypiania ze słodką Kariną.

Storioni również czuł satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Było mu smutno, bo wcześniej nie przyszło mu do głowy, że gdy się sprzedaje instrument, to się go traci z oczu na zawsze. I że wykonanie instrumentu w jego przypadku oznaczało rezygnację z miłości. Ciao, Mario. Tchórz. Ciao, najdroższa. Nie masz mi nic do powiedzenia? Ciao: zawsze będę o tobie pamiętał. Wymieniłeś mnie na drewno w dobrym gatunku, Lorenzo, obyś szczeł tu i teraz! Ciao, Mario, nie masz pojęcia, jak mi przykro. Oby zgniło to drewno albo spłonęło w pożarze. Jeszcze większego pecha miał Monsieur Jean-Marie Leclair z Paryża, zwany Leclair l'Âiné, zwany tonton Jean – jak dla kogo – ponieważ nie dość, że musiał zapłacić zawyżoną cenę, jakiej od niego zażądano, to jeszcze, jak to mówią, nie nacieszył się tym słodkim, aksamitnym dźwiękiem, jaki wydobył z instrumentu Bernat, potracając nieopatrznie strunę D.

Wtedy przytrafił mi się jeden z wielu w moim życiu napad nieobliczalnego szaleństwa, kiedy sobie uświadomiłem, że mógłbym wykorzystać przewagę muzyczną Bernata dla własnej korzyści, ale żeby to osiągnąć, musiałem przygotować teatralny efekt. Kiedy mój nowy przyjaciel pieścił opuszkami palców futerał storioniego, wypaliłem nieoczekiwanie dla samego siebie, jeżeli nauczysz mnie vibrato, będziesz mógł zabrać je do domu.

– O kurczę!

Bernat się uśmiechnął, ale po upływie kilku sekund mina mu zrzędła i poważnym tonem oświadczył:

– Przykro mi, ale tego nie da się zrobić: vibrato nie można nauczyć, vibrato trzeba samemu wyczuć.

– Można nauczyć.

– Trzeba wyczuć.

– No to nie dostaniesz storioniego.

– Nauczę cię vibrato.

– Musisz to zrobić teraz.

– Niech będzie teraz. Ale potem zabieram storioniego.

– Dziś się nie da. Muszę to przygotować. Innym razem.

W ciszy, bez wymiany spojrzeń, odbyła się kalkulacja między wartością magicznego dźwięku a brakiem zaufania do mojej osoby.

– Innym razem to tak jak nigdy. Kiedy?

– W przyszłym tygodniu. Przyrzekam.

W moim pokoju, przed pulpitem, na którym leżał Ševčík z gamami i z arpeggio, otwarty na stronie przekłętą ćwiczenia XXXIX, które, zdaniem pani Trullols, było absolutnie genialnym podsumowaniem wszystkiego, czego powinienem się w życiu nauczyć, przed i po tym, jak już opanuję dwudźwięki, stali już z pół godziny – Bernat, który wydłużał dźwięki w słodkim i harmonijnym vibrato, i Adrian, który go obserwował. Widząc, że Bernat zamyka oczy, kiedy się koncentruje na dźwięku, myślał, żeby osiągnąć vibrato, muszę zamknąć oczy, i próbował, z zamkniętymi oczami... ale dźwięk, jaki wydobywał ze skrzypiec, był wątpy, fałszywy, jak wyciągnięty psu z gardła. Zamykał oczy i zaciskał powieki z całych sił, ale dźwięk mu się wymykał.

– Wiesz co? Za bardzo się przejmujesz.

– To ty się przejmujesz.

– Ja? Dlaczego tak sądzisz?

– Tak, bo jeżeli mnie nie nauczysz, możesz zapomnieć o storionim. Ani w przyszłym tygodniu, ani nigdy.

To był szantaż moralny. Ale Bernat sam już nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić poza tym, żeby już nigdy więcej nie mówić, że vibrato nie można nauczyć, tylko trzeba wyczuć. Kazał mu zwrócić uwagę na położenie ręki, na sekwencję ruchów ręki.

– Hej, ty, nie ucieraj majonezu strunami. Zrelaksuj się!

Adrian nie bardzo wiedział, o co chodzi z tym relaksem, ale się zrelaksował; przymknął oczy i wyczuł wreszcie vibrato na końcu długiego c na drugiej strunie. Zapamiętałem to na całe życie, bo wydawało mi się, że zaczynam rozumieć, jak sprawić, żeby dźwięk śmiał się i płakał jednocześnie. Gdyby nie to, że stał przede mną Bernat i że w domu nie wolno było tego robić, gdyby nie ta przeszkoda, wydałbym triumfalny okrzyk radości.

Mimo tego objawienia, które pamiętam do dzisiaj, mimo uczucia bezgranicznej wdzięczności, jakie czułem do świeżo pozyskanego przyjaciela, nie odważyłem się opowiedzieć mu ani o wodzu plemienia Arapaho, ani o Carsonie przeżuwającym tabakę, bo nie wypadało, by taki pieszczoch losu, o którym wszyscy wiedzieli, że jest wyjątkowo uzdolniony, zadawał się z wodzem Arapaho i z twardelem szeryfem z gęstą brodą. Tylko zastygłem z otwartymi ustami, hołubiąc wspomnienie dźwięku, który j a

wydobyłem z m o i c h skrzypiec do nauki. To była druga struna w pierwszej pozycji: wibrację dźwięku c Adrian osiągnął drugim palcem. Była siódma wieczór, nie pamiętam już którego dnia jesieni czy zimy roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego w Barcelonie, w mieszkaniu, z którym pozostałem związany przez całe życie, przy ulicy València, w samym sercu dzielnicy Eixample, w centrum świata, a ja myślałem wtedy, że dotknąłem nieba, nie mając nawet pojęcia o piekle, które było na wyciągnięcie ręki.

To była wyjątkowa niedziela, ponieważ ojciec od rana miał dobry humor. Rodzice zaprosili na kawę doktora Prunésa, najlepszego, zdaniem ojca, spośród żyjących paleografów, z małżonką, najlepszą żoną najlepszego spośród żyjących paleografów. Puściła do mnie oko, ale nie zrozumiałem, w czym rzecz, chociaż wiedziałem, że puszczanie oka odsyła do jakiegoś istotnego podtekstu, który był dla mnie nieuchwytny z powodu nieznamości kontekstu. Wydaje mi się, że już cię uprzedziłem, jaki byłem wtedy nieznośnie przemądrzały w formułowaniu sądów.

Rozmawiali o wybornej kawie i o delikatnej porcelanie, nadającej kawie jeszcze lepszy smak, i o rękopisach, a od czasu do czasu tę miłą konwersację przerywało niezręczne milczenie. Ojciec postanowił temu zaradzić. Na tyle głośno, żebym usłyszał w swoim pokoju, wydał mi polecenie:

– Chodź tu, chłopcze. Słyszysz mnie?

Jasne, że go słyszał. Ale Adrian miał złe przeczucia.

– Chłopczeeee!

– Tak? – niepewnie odezwał się mój głos, jakby musiał pokonać dużą odległość.

– Chodź no tu do nas.

I Adrian musiał tam pójść. W oczach ojca koniak rozpalił iskierki, państwo Prunés patrzyli na niego z sympatią, a matka dolewała kawy, nie przeczuwając nadciągającej katastrofy.

– Tak. Witam, dzień dobry.

Goście wymamrotali coś pod nosem na powitanie i nastawiając się na atrakcje, skierowali wzrok na pana Ardèvola. Ojciec wycelował palec w moją pierś i polecił:

– Policz po niemiecku.

– Ojciec...

– Rób, co ci każe. – Ogniki, jakie koniak rozpalił w jego oczach, rozżarzyły się pełnym blaskiem.

Matka dolewała wybornej kawy do delikatnej porcelany, nadającej kawie jeszcze lepszy smak.

– Eins, zwei, drei.

– Powoli, powoli – powstrzymał mnie ojciec. – Od początku.

– Eins, zwei, drei, vier, fünf, sechs, sieben, acht, neun, zehn – zatrzymałem się na dziesięciu.

– I co dalej? – surowo upomniał się ojciec.

– Elf, zwölf, dreizehn, vierzehn.

– Et cetera, et cetera, et cetera – trzykrotnie powtórzył ojciec, jakby był ojcem D’Angelo.

I kontynuował przesłuchanie jeszcze bardziej stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem: – Teraz po angielsku.

– Feliks, wystarczy – odezwała się wreszcie matka.

– Powiedziałem: po angielsku. – Przywołał matkę do porządku: – Nie słyszałaś?

Na kilka sekund zapadła cisza, ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

– One, two, three, four, five, six, seven, eight, nine, ten.

– Świetnie, chłopcze – wpadł w zachwyt najlepszy spośród aktualnych przedstawicieli światowej paleografii, a jego żona nie odezwała się, tylko biła brawo, aż ojciec im przerwał, mówiąc czekajcie, czekajcie, czekajcie, i znów wymierzył we mnie palec.

– Teraz po łacinie.

– No nie... – z podziwem i zazdrością odezwał się najlepszy spośród żyjących paleografów.

Spojrzałem na ojca, potem na matkę, która czuła się niezręcznie, ale nie podnosiła wzroku znad kawy, wyrecytowałem unus una unum, duo duae duo, tres tria, quattuor, quinque, sex, septem, octo, novem,

decem. – I dodałem, błagalnym głosem: – Ojcze...

– Nikt cię nie pytał o zdanie – uciął stanowczo ojciec, sprawdzając reakcję doktora Prunésa, który z wrażenia powtarzał tylko coś takiego, coś takiego.

– To prawdziwy klejnot – wypowiedziała się żona doktora Prunésa.

– Feliks... – głos matki.

– Ojcze... – mój głos.

– Cicho tam! – głos ojca. I do gości: – To jeszcze nic. Strzelił palcami w moim kierunku i rozkazał krótko: – Teraz po grecku.

– Heis mia hen, duo, treis tria, tettares tessares, pente, hex, hepta, octo, ennea, deka.

– Zna-ko-mi-cie! – Państwo Prunés nagrodzili mnie oklaskami; wciągnął ich ten spektakl.

– Hauk.

– Nie teraz, Czarny Orle.

Ojciec zmierzył mnie obiema rękami, od góry do dołu, jak rybak, który się chwali świeżo złowionym trofeum, i powiedział z dumą:

– Dwanaście lat. – I do mnie, nie patrząc w moją stronę: – No, możesz już iść.

Zamknąłem się w swoim pokoju; miałem żal do matki, że nie zrobiła nic, żeby obronić mnie przed tą ženadą. Pograżyłem się w lekturze Karola Maya, żeby o wszystkim zapomnieć. Z niemrawego, niedzielnego popołudnia zrobił się wieczór, a potem noc. Czarny Orzeł i dzielny Carson uszanowali moje cierpienie i oszczędzili mi komentarzy.

Aż któregoś dnia poznałem prawdziwą twarz Cecylii. Zajęło mi to sporo czasu. Kiedy zadzwieczał dzwonek przy drzwiach sklepu, Adrian, który oficjalnie, w wersji przeznaczonej dla matki, brał udział w treningu drugiej drużyny piłki ręcznej w szkole, a w wersji dla pana Berenguera odrabiał lekcje w kąciku na zapleczu przeznaczonym na rękopisy, podniósł głowę znad trzynastowiecznego łacińskiego pergaminu, z którego prawie nic nie rozumiał, co nie umniejszało emocji nielegalnej lektury. Dzwonek. Natychmiast przyszło mi do głowy, że to ojciec nieoczekiwanie wrócił z Niemiec i że zaraz zacznie się awantura; szykuj się, jak wybrnąć z misternie uknutej intrygi, kiedy cię atakują z trzech stron. Przy drzwiach dostrzegłem Cecylię, która właśnie wchodziła; pan Berenguer, wkładając płaszcz, mówił coś do niej szybko. Chwilę później wyszedł bez pożegnania z kapeluszem w ręce i z zagniewaną miną; najwyraźniej gdzieś mu się spieszyło. Cecylia jeszcze przez chwilę stała nieruchomo przy wejściu, nie zdejmując płaszcza, i nad czymś się zastanawiała. Nie wiedziałem, czy mam jej powiedzieć cześć, Cecylia, czy czekać, aż sama mnie zauważy. Nie, lepiej się odezwać, bo będzie zdziwiona, że nie pokazałem się wcześniej. A co z rękopisem? Lepiej nie, nie, lepiej pozostać w ukryciu, aż... a może lepiej poczekać i zobaczyć, co... Chyba powinienem przejść w myślach na francuski.

Zdecydowałem, że pozostanie w ukryciu, w chwili gdy Cecylia z westchnieniem weszła do biura, ściągając po drodze płaszcz. Nie wiem, dlaczego, ale tego dnia miałem wrażenie, że coś wisi w powietrzu. Cecylia nie wychodziła z biura. Nagle usłyszałem, że ktoś płacze. Ona płakała w biurze, a ja chciałem zapaść się pod ziemię, bo teraz już nie powinna się dowiedzieć, że niedyskretnie podsłuchałem jej płacz. Ludzie dorośli czasami płaczą. A gdybym tak poszedł ją pocieszyć? Było mi przykro, bo Cecylia była u nas bardzo szanowana i nawet matka, która traktowała z pogardą wszystkie kobiety odwiedzające ojca, o Cecylii zawsze mówiła dobrze. Poza tym, kiedy jest się dzieckiem, płacz osoby dorosłej robi wrażenie. Tak więc Adrian najchętniej zapadłby się teraz pod ziemię. Wybrała numer, gwałtownie kręcąc tarczą telefonu. Wyobrażałem sobie, jaka jest wściekła, zdenerwowana, i nie docierało do mnie, że grozi mi niebezpieczeństwo, bo lada moment wyjdzie i zamknie sklep, a ja zostanę w środku, pogrzebany żywcem.

– Jesteś tchórzem. Nie, nie, nie przerywaj mi: jesteś tchórzem. Zawracałeś mi głowę przez pięć lat śpiewką, tak, Cecylio, w przyszłym miesiącu wszystko jej powiem, obiecuję. Tchórz. Przez pięć lat mamieś mnie obietnicami. Pięć lat! Nie jestem dzieckiem.

Zgadzałem się z nią w tej ostatniej kwestii. Codo reszty, nie bardzo wiedziałem, w czym rzecz. A Czarny Orzeł niestety został w domu, na nocnej szafce, beztriosko pograżony w poobiedniej drzemce.

– Nie, nie, nie! Teraz ja mówię: nigdy nie zamieszkamy razem, bo ty mnie nie kochasz. Nie, nie odzywaj się, teraz masz mnie wysłuchać. Powiedziałam, żebyś zamilkł! Możesz sobie wsadzić gdzieś te wszystkie piękne słówka. Skończyło się. Słyszysz? Co?

Adrian, siedząc przy stole z rękopisami, nie wiedział, co się skończyło i czy to ma z nim jakiś związek, nie rozumiał, dlaczego dorośli zawsze robią problem z tym, dlaczego mnie nie kochasz, bo on właśnie odkrył, że miłość to coś wstrętnego, te pocałunki i cała reszta.

– Nie. Nie chcę tego słuchać. Co takiego? Odłożę słuchawkę, jak mi się zechce. Nie, mój panie. Rzygam już twoimi kłamstwami.

Pierwszy raz słyszałem, że ktoś mówi o kłamstwach, używając czasownika *rotar* – odbijać się, rzygać – od łacińskiego *ructare*, formy frekwentatywnej czasownika (*e*)*rugere*. Pikanteria polegała na tym, że usłyszałem te słowa z ust osoby z mojego otoczenia, teoretycznie dobrze wychowanej. Z czasem utrwaliła się forma *ruptare*, od której wywodzi się cała późniejsza ewolucja. Cecylia odłożyła słuchawkę z takim impetem, że o mało nie rozbiła telefonu. Zaraz zajęła się metkowaniem nowego towaru i wprowadzaniem go do ksiąg inwentarzowych; wyglądała poważnie, w okularach, i nic nie wskazywało na to, jakie emocje przeżywała przed chwilą. Bez problemu udało mi się wyjść tylnymi drzwiami i wrócić, wchodząc od ulicy, powiedzieć cześć, Cecyljo, i przekonać się, że nie było ani śladu łez na tej jak zawsze zadbanej twarzy.

– Co tu robisz, skarbie?

Odjęło mi mowę, bo zobaczyłem teraz tę kobietę w nowym świetle.

– O jaki prezent prosileś Trzech Króli?

Wzruszyłem ramionami, bo w domu nie obchodziliśmy święta Trzech Króli, bo Królami są rodzice i źle jest popadać w prymitywne przesady, dlatego kiedy po raz pierwszy usłyszałem o Trzech Królach, o ekscytującym oczekiwaniu na prezenty, ja już czekałem z rezygnacją na to, co według decyzji ojca miało być moim prezentem czy prezentami z okazji tego święta, a co nie pozostawało w żadnym związku z moimi wynikami w szkole, bo zakładano, że tu nie będzie niespodzianek, ani z moim zachowaniem, bo je też uważano za coś oczywistego. Ale zwykle dostawałem jakąś zabawkę, która kłóciła się z poważnym nastrojem panującym w domu.

– Prosiłem o... – Przypomniałem sobie, że ojciec coś wspominał o samochodzie z syreną, tylko żeby mi nie przyszło do głowy bawić się nią w domu – prosiłem o samochód z syreną.

– No chodź, daj mi całusa – zdecydowała Cecylia i wyciągnęła do mnie ramiona.

Ojciec wrócił po tygodniu z Bremy z dzbanem mykeńskim, który miał tułać się przez wiele lat po naszym sklepie, i jeśli dobrze zrozumiałem, zdobył również mnóstwo pożytecznych papierów, w tym parę kandydatek na prawdziwe perełki w postaci pierwszych wydań oraz rękopisów współczesnych, no i jeszcze jeden z czternastego wieku, który miał dołączyć do elitarnego zbioru ulubionych skarbów ojca. Pod jego nieobecność było parę dziwnych telefonów, ktoś go szukał w domu i w pracy. A on, jakby mu było zupełnie obojętne to, co miało się zdarzyć za parę dni, powiedział mi patrz, patrz, jakie to cenne, i pokazał mi jakieś zeszyty: to był rękopis jednej z ostatnich rzeczy, które napisał Proust, fragment *À la recherche*. Plik zapisany drobnym pismem, dopiski na marginesie, notatki, strzałki, karteluszeki przypięte spinaczami. No, przeczytaj to.

– Nic z tego nie rozumiem.

– No dalej, chłopcze! To końcówka. Ostatnie strony; ostatnie zdanie; nie mów mi, że nie wiesz, jak się kończy *Recherche*.

Nie odpowiedziałem. Ojciec sam doszedł do wniosku, że przeciągnął strunę, i szybko zmienił front:

– Nie mów mi, że jeszcze nie znasz francuskiego!

– Oui, bien sûr: ale nie mogę odcyfrować charakteru pisma!

To nie była poprawna odpowiedź, bo ojciec, bez żadnych komentarzy, zamknął zeszyt i schował go w sejfie, mrużąc przez zęby muszę podjąć jakąś decyzję, bo tych kapitalnych zbiorów mamy w domu za dużo. A ja usłyszałem letalnych i pomyślałem o trupach.

- Ojciec... Wiesz, synu. Ojcu...
- Co? Co mu jest?
- No więc... odszedł do nieba.
- Ale niebo nie istnieje!
- Ojciec nie żyje.

Większe wrażenie zrobiła na mnie wyjątkowo blada twarz matki niż ta wiadomość. Wydawało mi się, że to ona nie żyje. Była tak blada, jak skrzypce młodego Lorenza Storioniego, zanim zostały pokryte werniksem. Miała bardzo smutne oczy. Nigdy nie słyszałem matki mówiącej takim tonem. Nie patrząc na mnie, ze wzrokiem wbitym w płamę nad łóżkiem myślała głośno a ja nie pocałowałam go, gdy wychodził z domu. Być może ten pocałunek ocaliłby mu życie. Zdaje się, że dodała ma, na co zasłużył, ale bardzo cicho, więc pewnie mi się przesłyszało.

Ponieważ nie rozumiałem, o co jej chodzi, na wszelki wypadek zamknąłem się w nieposprzątanym pokoju, przytulając do siebie karetkę Czerwonego Krzyża, którą mi przynieśli Trzej Królowie, i cichutko płakałem w domu, w którym zawsze obowiązywała cisza, bo ojciec albo studiował rękopisy, albo czytał, albo umierał.

Nie pytałem matki o szczegóły. Nie mogłem zobaczyć ojca po śmierci, ponieważ powiedziano mi, że miał wypadek, że potrafiła go ciężarówka na szosie Arrabassada, daleko od Ateneum, i że, no, po prostu, nie możesz go zobaczyć, pod żadnym pozorem. A ja się martwiłem, bo musiałem natychmiast odszukać Bernata, zanim mój świat się zawali, zanim zamkną mnie w więzieniu.

- Chłopcze, czemu ojciec miał przy sobie twoje skrzypce?
- Co takiego?

– Po co były ojcu twoje skrzypce? – powtórzyła pytanie Mała Lola.

Umierałem ze strachu, że teraz wszystko wyjdzie na jaw, ale zdobyłem się na kłamstwo:

- Chciał je wziąć ze sobą. Nie mówił, po co. – I całkiem już zdesperowany: – Ojciec był jakiś dziwny.

Kiedy kłamię, co mi się często zdarza, mam wrażenie, że wszyscy to widzą. Krew mi uderza do głowy, wydaje mi się, że mam rumieńce, rozglądam się wokół siebie w obawie, że brak spójności zdemaskuje fikcję, którą właśnie tworzę... zdaję sobie sprawę, że jestem w cudzych rękach, i za każdym razem dziwię się, że inni tego nie widzą. Nie, matkę łatwo nabrać, ale nie Małą Lolę. A jednak tym razem niczego nie zauważyła. Kłamstwo to tajemnicza sprawa. Teraz, już jako człowiek dorosły, nadal się czerwienię, kiedy kłamię, i słyszę głos pani Angelety, która w dniu, gdy się zarzekałem, że to nie ja ukradłem kawałek czekolady, złapała mnie za rękę, kazała mi otworzyć pięść i pokazała matce i Małej Loli kompromitujące czekoladowe plamy na mojej dłoni. Zacisnęła mi palce ze słowami łatwiej dogonić kłamcę niż kulawego, zapamiętaj to sobie na zawsze, Adrianie. Nadal to pamiętam, choć już mi stuknęła sześćdziesiątka z okładem. Moje wspomnienia wyryte zostały w marmurze, pani Angeleto, i przekształca się w marmur. Ale tym razem nie chodziło o skradzioną kostkę czekolady. Zrobiłem smutną minę, co przyszło mi tym łatwiej, że naprawdę było mi smutno, i powiedziałem ja nic nie wiem, i zacząłem płakać, bo ojciec umarł, i...

Mała Lola wyszła na korytarz i słyszałem, że z kimś rozmawia, a zaraz potem jakiś obcy mężczyzna, który śmierdział tytoniem, nie mówił po katalońsku i nie zdjął płaszcza, a kapelusz trzymał w ręce, wszedł do mojego pokoju i zapytał jak się nazywasz.

- Adrian.
- Dlaczego ojciec wziął twoje skrzypce? – zapytał jak na męczącym przesłuchaniu.

– Nie wiem, przysięgam.

Mężczyzna pokazał mi drewniane resztki mojego instrumentu do ćwiczeń.

– Poznajesz?

– Mhm. To są... to były moje skrzypce.

– Prosił cię o nie?

– Tak – skłamałem.

– Bez żadnych wyjaśnień?

– Nie. Tak.

– Grał na skrzypcach?

– Kto?

– Twój ojciec.

– Nie, skądże.

Trudno było się nie uśmiechnąć na samą myśl o ojcu grającym na skrzypcach, też coś. Śmierdzący tytoniem mężczyzna w płaszczu, z kapeluszem w dłoni, spojrział na matkę i na Małą Lolę, które w milczeniu kiwały głowami. Wskazał kapeluszem karetkę Czerwonego Krzyża, którą trzymałem w rękach, i powiedział jaki ładny samochód. Potem wyszedł z pokoju. Zostałem sam na sam z moimi kłamstwami, niczego nie rozumiejąc. Z wnętrza karetki Czarny Orzeł spojrział na mnie z politowaniem. Wiem, co myśli o kłamczuchach.

Pogrzeb był ponury; pełno było poważnych mężczyzn, którzy ściągnęli kapelusze z głów, i kobiet, które ukrywały twarz pod delikatną mantylką. Przyjechali kuzyni z Tony i jacyś bliżej nieznanymi dalsi krewni ze strony rodziny Bosch z Amposty. Po raz pierwszy w życiu poczułem, że jestem w centrum zainteresowania, ubrany na czarno i uczesany z przedziałkiem, bardzo starannie, bo Mała Lola zaaplikowała mi podwójną dawkę brylantyny, żebym ładnie wyglądał. Na koniec pocałowała mnie w czoło, tak jak powinna całować matka, która dotychczas tego nie robiła, więc tym bardziej teraz, skoro w ogóle na mnie nie patrzy. Powiedziano mi, że ojciec jest w tej ciemnej skrzyni, ale nie mogłem tego sprawdzić. Mała Lola twierdziła, że był bardzo pokaleczony i że lepiej nie oglądać go w takim stanie. Biedny ojciec – całymi dniami siedział wśród swoich książek i precjozów, a umarł z ran. Życie jest idiotyczne. A może te rany zadał puginał kaiken z naszego sklepu? Nie: podobno to był wypadek.

Przez następne dni żyliśmy za zaciągniętymi zasłonami, a wszystkie rozmowy prowadzone były szeptem. Zajmowała się mną Lola, a matka całymi godzinami siedziała przed pustym fotelem ojca, tam, gdzie zwykle oboje pili kawę. Tym razem jednak niczego nie piła; to nie była właściwa pora. Bardzo to wszystko skomplikowane, a ja nie wiedziałem, czy mam usiąść w tym drugim fotelu, żeby matka mnie dostrzegła. Kiedy mówiłem do niej ej, mam, brała mnie za rękę, ale nadal wpatrywała się w tapetę i nie odzywała się, więc myślałem, po co się wysilać; nie siadałem w fotelu ojca, przekonany, że na smutek nie ma lekarstwa. Ale ja też byłem smutny, tyle że w przeciwieństwie do niej miałem oczy szeroko otwarte. Było mi bardzo przykro, że matka nie zwraca na mnie uwagi. Później się do tego przyzwyczaiłem. Mam wrażenie, że od tamtej chwili już nigdy na mnie nie spojrziała. Może domyślała się, że to wszystko moja wina, i dlatego nie chciała mnie znać. Patrzyła na mnie tylko wtedy, gdy wydawała polecenia. Zajęła się mną Mała Lola. Do czasu.

Pewnego dnia, bez uprzedzenia, matka przyniosła do domu nowe skrzypce do nauki, ładne, proporcjonalne, dobrze brzmiące. Wręczyła mi je właściwie bez słowa i, oczywiście, nie patrząc mi w oczy. Miało się wrażenie, że jest roztargniona i działa odruchowo. Jakby myślała przed działaniem lub po działaniu, ale nigdy w trakcie. Minęło sporo czasu, nim zacząłem ją rozumieć. Znów ćwiczyłem, po długiej przerwie.

Pewnego dnia, kiedy grałem u siebie w pokoju, naciągnąłem burdon z taką furją, że pękł. Wtedy zerwałem jeszcze dwie struny i udałem się do salonu ze słowami mam, musisz ze mną pójść do sklepu

Beethovena. Skończyły mi się struny. Spojrzała na mnie. No, umówmy się, spojrzała mniej więcej w moją stronę, bez słowa. Kiedy powtórzyłem jej, że muszę kupić nowe struny, zza jakiejś kotary wyłoniła się Mała Lola i obiecała, że ze mną pójdzie, ale musisz mi powiedzieć, jakie to mają być struny, bo dla mnie wszystkie wyglądają jednakowo.

Pojechaliśmy metrem. Mała Lola opowiadała mi, że urodziła się w dzielnicy Barceloneta i że często, kiedy spacerowała z koleżankami, padała propozycja: wybierzmy się do Barcelony, i w dziesięć minut już były w nadmorskiej części Rambli; spacerowały tą ulicą w górę i w dół i śmiały się jak głupie, zakrywając usta, żeby chłopcy nie widzieli, że się śmieją; według niej była to lepsza rozrywka niż kino. I jeszcze, że nigdy jej nie przyszło do głowy, że w tym małym, ciemnym sklepie sprzedaje się struny do skrzypiec. Poprosiłem jedną strunę G, dwie E, i jedną A firmy Pirastro, na co ona, że to było proste, mogłeś mi zapisać na kartce i sama bym załatwiła. Na co ja, że nie, że matka zawsze zabierała mnie ze sobą na wszelki wypadek. Mała Lola zapłaciła, a gdy wyszliśmy ze sklepu Beethovena, schyliła się, żeby pocałować mnie w policzek, i popatrzyła w kierunku dolnej części Rambli z nostalgią, ale nie zasłoniła sobie ust ręką, bo już się nie śmiała jak głupia. Wtedy zaświtała mi myśl, że być może straciłem też matkę.

Kilka tygodni po pogrzebie przyszli do domu jacyś panowie, którzy mówili tylko po hiszpańsku, a matka znów była blada jak trup i znów szeptała z Małą Lolą po kątach, a ja poczułem się pominięty; wtedy w przypływie odwagi zapytałem matkę, co się dzieje. Po raz pierwszy od wielu dni naprawdę na mnie spojrzała. Powiedziała to za poważne dla ciebie, synu, to bardzo poważna sprawa. Lepiej, żebyś... i wtedy weszła Mała Lola i odprowadziła mnie do szkoły. Zauważyłem, że niektóre dzieci dziwnie na mnie patrzą, inaczej niż zwykle. A Riera podszedł do mnie podczas długiej przerwy i zapytał pochowali ją? Ja na to: kogo? A on, czy ją też pochowali... Na co ja kogo niby mieli pochować? Riera uśmiechnął się, zadowolony z siebie, i powiedział, to musi być okropne, zobaczycie odciętą głowę, co? I dalej swoje, pochowaliście ją, tak? Nic z tego nie rozumiałem i na wszelki wypadek przeszedłem na słoneczną stronę boiska, gdzie chłopcy wymieniali się obrazkami, i od tego czasu unikałem Riery.

Nigdy nie umiałem zachowywać się jak moi rówieśnicy. Po prostu: nie byłem taki jak oni. Mój przypadek, zdaniem Pujola, był beznadziejny, bo lubiłem się uczyć historii, łaciny i francuskiego; lubiłem chodzić do szkoły muzycznej, gdzie pani Trullols uczyła mnie techniki gry; ćwiczyłem gamy i wyobrażałem sobie, że stoję przed pełną salą, a wtedy efekt był nieco lepszy. Kto by tam przejmował się rękami, po wielu godzinach same wiedzą, co mają robić. Czasami improwizowałem. Lubiłem to wszystko, lubiłem też brać Encyklopedię Espasa i przeglądać hasła. Potem w szkole, kiedy pan Badia zadawał pytanie na jakikolwiek temat, Pujols pokazywał mi palcem i mówił, że zostałem oddelegowany przez kolegów do udzielania odpowiedzi w ich imieniu. Kiedy odpowiadałem na te pytania, czułem się głupio, jak mała w klatce wystawiona na widok publiczny. Traktowali mnie podobnie jak mój ojciec. Ten drań Esteban, który siedział ławkę za mną, za każdym razem, kiedy dobrze odpowiedziałem, nazywał mnie dziewczyną, aż któregoś dnia specjalnie powiedziałem panu Badii, że nie wiem, jaki jest pierwiastek kwadratowy ze stu czterdziestu czterech, i musiałem wejść do łazienki, żeby wymiotować, a Esteban poszedł za mną, zobaczył, że wymiotuję, i powiedział, sam widzisz, że jesteś baba. Dopiero kiedy umarł ojciec, zauważyłem, że zaczęli inaczej na mnie patrzeć, jakbym urósł w ich oczach. Mimo wszystko wydaje mi się, że zazdrościłem tym dzieciom, które nie chciały się uczyć i od czasu do czasu oblewały jakiś przedmiot. W szkole muzycznej było inaczej, bo od razu brałeś skrzypce do rąk, starając się wydobyć z nich jak najlepszy dźwięk i słyszałeś nie, nie, jesteś głuchy jak pień, najpierw posłuchaj. I pani Trullols brała m o j e skrzypce i wydobywała z nich dźwięk tak piękny, że choć była stara i chuda, niewiele brakowało, żebym się w niej zakochał. Dźwięk był aksamitny; wydawało się, że pachnie jak jakiś kwiat, nie wiem jaki, ale do tej pory czuję jego zapach.

– Nigdy mi się nie uda osiągnąć takiej barwy. Mimo że już wychodzi mi vibrato.

– Wszystko w swoim czasie.

– Tak, ale ja nigdy...

– Nigdy nie mów nigdy, Ardèvol.

Ta rada muzyczna i intelektualna, chociaż została fatalnie sformułowana, sprawdziła się najlepiej ze wszystkich, które otrzymałem w życiu, w Barcelonie i w Niemczech. Po jakimś miesiącu dźwięk wyraźnie się poprawił. Jeszcze niczym nie pachniał, ale już przypominał aksamit. Teraz sobie myślę, że chyba nie poszedłem od razu po pogrzebie ani do szkoły, ani na lekcje muzyki. Najpierw spędziłem parę dni w Tonie, z kuzynami. A kiedy wróciłem, próbowałem dociec, jaki był przebieg wydarzeń.

Siódmego stycznia doktor Feliks Ardèvol wybierał się na spotkanie z jakimś kolegą z Portugalii, który był przejazdem w Barcelonie.

– Gdzie?

Doktor Ardèvol uprzedzał właśnie Adriana, że po powrocie sprawdzi, czy zrobił porządek w pokoju, bo jutro koniec wakacji. Spojrzał na żonę.

– Co powiedziałaś? – Użył surowego tonu belfra, którym nie był, zakładając kapelusz. Ona przełknęła ślinę, jak uczennica, którą nie była. Ale powtórzyła pytanie:

– Gdzie masz się spotkać z Pinheirem?

Mała Lola, wchodząca w tym momencie do jadalni, wyczuła napięcie i zawróciła do kuchni. Feliks Ardèvol odczekał trzy czy cztery upokarzające dla niej sekundy, na tyle długie, że Adrian zdążył spojrzeć raz na ojca, raz na matkę i wyczuć, że coś jest nie tak.

– A dlaczego cię to interesuje?

– No, już dobrze... Nic nie mówiłam.

Matka odeszła korytarzem w głąb mieszkania, rezygnując z ucałowania ojca na pożegnanie. Zanim dotarła na terytorium, gdzie urzędowała pani Angeleta, usłyszała za sobą mamy się spotkać w Ateneum – i jeszcze z naciskiem – jeśli nie masz nic przeciwko temu. Potem jednak dodał z wyrzutem, jakby chciał ją ukarać za tę niesłychaną ciekawość:

– I nie wiem, o której wrócę.

Zniknął w gabinecie, tylko na chwilę. Usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi, a potem nieco głośniejsze niż zwykle trzaśnięcie potwierdziło, że ojciec wyszedł. Zaległa cisza. Adrian zdrętwiał, bo ojciec zabrał, o mój Boże, ojciec zabrał skrzypce. Futerał, a w środku skrzypce szkolne. Działając odruchowo, Adrian poczekał na właściwy moment, zdobył się na odwagę i zakradł się do gabinetu jak złodziej, jak Pan wejść do domu twego, błagając Boga, którego nie ma, żeby matce nie przyszło do głowy wejść w tym momencie; wyszeptał sześć jeden pięć cztery dwa osiem i otworzył sejf: nie było w nim skrzypiec. Chciałem umrzeć. Zacząłem się zastanawiać, jak to wszystko naprawić, i na wszelki wypadek zamknąłem się w swoim pokoju, czekając na powrót ojca, który wpadnie jak burza ze słowami kto mnie chciał wkurzyć? Kto ma dostęp do sejfu, co? Co? Mała Lola?

– Ale ja przecież...

– Carme?

– Na litość boską, Feliksie.

Wtedy spojrzę na mnie i zapyta: Adrian? A ja zacznę beznadziejnie plątać się w zeznaniach, jak zwykle, i ojciec wszystkiego się domyśli. Stojąc dwa kroki przede mną, zacznie krzyczeć tak głośno, że będzie go słyhać na ulicy Bruc, choź no tutaj, a ponieważ nie ruszę się z miejsca, krzyknie jeszcze głośniejsze mówię, że masz tu podejść! Biedny Adrian spuści wtedy głowę z miną niewiniątka i nie będzie mu do śmiechu, oj, nie będzie. Ale zamiast tego był tylko telefon, a później matka weszła do pokoju ze słowami... Wiesz... Synu... Ojcu... A on na to: co? Co mu jest? I wtedy ona: no, więc odszedł do nieba. A on zaprotestował, bo przecież nieba nie ma.

– Ojciec nie żyje.

Pierwszym uczuciem była ulga: skoro ojciec nie żyje, nie robi mi awantury. A potem przyszło mi

do głowy, że to grzech tak myśleć. I że chociaż niebo nie istnieje, powinienem czuć się podłym grzesznikiem, ponieważ byłem pewny, że ojciec zmarł z mojego powodu.

Pani Carme Bosch, żona Ardèvola, musiała dokonać oficjalnej identyfikacji, przykrej i bolesnej, czy zwłoki bez głowy to ciało jej męża: znamię na... tak, jest znamię. Tak, i dwa pieprzyki. A on był już tylko zimnym ciałem, które nie mogło nikogo strofować, ale tak, na pewno, nie ma wątpliwości, tak, to mój mąż, pan Feliks Ardèvol i Guiteres, tak.

– Z kim miał się spotkać?

– Pinheiro. Z Coimbry. Profesor z Coimbry, tak. Horacio Pinheiro.

– Zna go pani?

– Widziałam go parę razy. Kiedy jest w Barcelonie, zazwyczaj zatrzymuje się w hotelu Colón.

Komisarz Plasencia dał znak mężczyźnie z wąsikami, który wyszedł bezszelestnie. Wtedy popatrzył na tę kobietę, której wdowieństwo było tak świeżej daty, że nawet nie była w żałobie, bo zabrali ją pół godziny temu i powiedzieli musi pani pojechać z nami, a ona na to, ale co się stało, na co obaj mężczyźni przykro nam, ale nie możemy o tym rozmawiać, wtedy ona włożyła elegancki czerwony płaszcz, uprzedziła Małą Lolę, żeby pamiętała o podwieczorku dla chłopca, ja zaraz wrócę, a teraz siedziała w czerwonym płaszczu, wpatrywała się pustym wzrokiem w rysę na biurku komisarza i myślała to niemożliwe. A na głos zadawała rozpaczliwe pytanie czy możecie mi wyjaśnić, co się stało?

– Ani śladu, panie komisarzu – odezwał się ten z cienkim wąsikami.

Ani w Ateneum, ani w hotelu Colón, ani w żadnym innym miejscu w Barcelonie nie było śladu po profesorze Pinheiro. A jak zadzwonili do Coimbry, usłyszeli przerażony głos w słuchawce; doktor Horacio da Costa Pinheiro zdołał tylko wydusić z siebie jak-jak-jak jak to możliwe, że-że-że... przecież doktor Ardèvol, przecież jeżeli... Och, co za horror. Tak, proszę pana, jeżeli, jeżeli... to na pewno nie jest pomyłka? Bez głowy? To skąd wiecie, że... Ale uważa pan, że nie... Ależ to niemożliwe.

– Ojciec... Synu, ojciec poszedł do nieba.

Wtedy zrozumiałem, że umarł przeze mnie. Nikomu nie mogłem się do tego przyznać. Mała Lola, matka i pani Angeleta szukały ubrania dla zmarłego i co chwilę wybuchały płaczem, a ja tymczasem czułem się podle, jak tchórz i morderca. Dużo gorsze epitety przychodziły mi wtedy do głowy, ale ulotniły się już z pamięci.

Następnego dnia po pogrzebie matka nagle znieruchomiła, przestała nerwowo pocierać ręce i poprosiła Małą Lolę podaj mi wizytówkę komisarza Plasencii. Adrian usłyszał, jak rozmawia przez telefon i mówi chodzi o to, że mamy w domu bardzo cenne skrzypce. Komisarz zjawił się u nas, a matka przywołała pana Berenguera na pomoc.

– Nikt nie zna kodu do sejfu?

Komisarz odwrócił się i spojrzał na matkę, na pana Berenguera, na Małą Lolę i na mnie, bo ja też śledziłem całą sytuację, stojąc za progiem gabinetu.

Pan Berenguer zapytał o datę urodzin matki i moich, a później przez kilka minut wypróbował różne kombinacje cyfr.

– Nic z tego – powiedział zmartwiony. Stojąc w korytarzu, miałem na końcu języka sześć jeden pięć cztery dwa osiem, ale nie mogłem się przyznać, żeby nie padło na mnie podejrzenie o udział w morderstwie. A ja nie byłem podejrzany. Ja po prostu byłem winny. Siedziałem więc cicho, choć było mi bardzo trudno zachować milczenie. Komisarz zadzwonił z telefonu w gabinecie i już po chwili zobaczyliśmy jakiegoś grubego faceta, który pocił się i sapał, kiedy się schylał, ale miał bardzo delikatny dotyk; w kompletnej ciszy szukał stetoskopem kombinacji, a wyniki zapisywał ukradkiem na kartce. Z satysfakcją otworzył sejf ceremonialnym gestem i z trudem się wyprostował, ustępując miejsca innym.

W środku leżał storioni, nagi, bez futerału, i patrzył na mnie z ironią. Wtedy przyszła kolej na pana Berenguera, który założył rękawiczki, wziął instrument, obejrzał go uważnie w świetle stołowej lampy, podniósł głowę, uniósł prawą brew, a następnie uroczyście oświadczył matce, komisarzowi, grubemu panu, który ocierał pot z czoła, szeryfowi Carsonowi, Czarnemu Orłu, wodzowi Arapaho, i mnie, stojącemu po drugiej stronie drzwi:

– Mogę państwa zapewnić, że to są skrzypce znane jako Vial, skonstruowane przez Lorenza Storioniego. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Bez futerału? Zawsze je przechowywał bez futerału? – zapytał komisarz śmierzdzący tytoniem.

– Wydaje mi się, że nie – głos matki. – Wydaje mi się, że wkładał go do sejfu w futerale.

– Ale po co wziął futerał, otworzył, zostawił skrzypce w sejfie, zamknął go, poprosił syna o skrzypce do ćwiczeń i włożył je do futerału cennych skrzypiec? Po co?

Rozejrzał się wokół. Jego wzrok padł na mnie; stałem na progu i z całych sił usiłowałem opanować drzenie i ukryć strach. Wpadłem w panikę. Przez kilka sekund patrzył na mnie tak, jakby znalazł klucz do tej zagadki. Już wyobrażałem sobie, że będę musiał mówić po francusku przez całe kurrewskie życie.

Nie wiem, co się stało, nie wiem, co zamierzał mój ojciec. Nie wiem, dlaczego, skoro wybierał się do Ateneum, znaleźli go na szosie Arrabassada. Wiem tylko, że to ja go popchnąłem ku śmierci, i dziś, pięćdziesiąt lat później, nadal tak uważam.

Któregoś dnia matka wreszcie otrząsnęła się i zaczęła patrzeć przytomnie. Zauważyłem podczas kolacji, a Mała Lola była świadkiem, że przez chwilę mi się przypatrywała, jakby chciała coś powiedzieć, a ja się zatrząsałem ze strachu, bo byłem przekonany, że usłyszę wiem o wszystkim, wiem, że ojciec nie żyje przez ciebie, a teraz cię zadenuncjuję na policji, ty zbrodniarzu, a ja na to, ależ mam, przecież ja, ja, ja nie chciałem tego zrobić, ja nie... wtedy Mała Lola spróbuje nas pogodzić, bo jej rolą było uspokajanie wszystkich, co robiła, oszczędnie używając słów i gestów, bo w domu niewiele się rozmawiało; Mała Lolu, powinienem był zachować cię przy sobie na całe życie.

A matka nadal na mnie patrzyła i nie wiedziałem, jak mam się zachować. Wydaje mi się, że od śmierci ojca znienawidziła mnie. Przedtem też nie darzyła mnie jakimś specjalnym uczuciem. Ciekawe, skąd w naszym domu wzięła się ta oschłość we wzajemnych relacjach? Dziś myślę, że wynikało to ze stylu, jaki narzucił ojciec. Wtedy, podczas kolacji, a musiało to być w kwietniu czy w maju, matka patrzyła na mnie bez słowa. Nie wiedziałem, co było gorsze: matka, która nigdy na ciebie nie spojrzy, czy matka, która cię oskarża. I w tym momencie wypowiedziała swoje straszne oskarżenie:

– Jak tam lekcje skrzypiec?

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, co mam odpowiedzieć, ale na wszelki wypadek się spociłem.

– Dobrze. Jak zwykle.

– Bardzo się cieszę. – Jej oczy prześwidrowały mnie na wylot. – Jesteś zadowolony z pani Trullols?

– Tak. Bardzo.

– A z nowych skrzypiec?

– No, wiesz...

– Co ma znaczyć no wiesz? Jesteś zadowolony czy nie?

– Mhm.

– Mhm czy tak?

– Tak.

Cisza. Spuściłem wzrok, a Mała Lola wykorzystwała ten moment, żeby wynieść do kuchni pusty półmisek po fasolce szparagowej i udawać, że ma dużo pracy w kuchni; po prostu stchórzyła.

– Adrianie.

Spojrzałem na nią zgaszonym wzrokiem. Ona obserwowała mnie jak za dawnych czasów i w końcu zapytała: dobrze się czujesz?

– Mhm.

– Jesteś smutny.

– Mhm.

Teraz mnie dobije, wskazując palcem moją czarną duszę.

– Nie zajmowałam się tobą ostatnio.

– Nie szkodzi.

– Owszem, szkodzi.

Mała Lola wróciła z półmiskiem smażonej ryby, daniem, którego szczerze nienawidziłem, a matka na ten widok przywołała na twarz coś w rodzaju uśmiechu i powiedziała no to mamy rybę.

Tym oskarżeniem zakończyła naszą rozmowę. Zjadłem wtedy na kolację całą porcję ryby, jaka znalazła się na moim talerzu, a później jeszcze wypłem szklankę mleka i kiedy już miałem iść spać, zauważyłem, że matka czegoś szuka w gabinecie ojca; wydaje mi się, że weszła tam po raz pierwszy od jego śmierci. Chciałem sprawdzić, co robi, bo dla mnie każdy pretekst był dobry, żeby zajrzeć do gabinetu. Na wszelki

wypadek zabrałem ze sobą Carsona. Matka pochylała się nad sejfem i czegoś w nim szukała. Vial był już teraz na zewnątrz, zawieszony na ścianie. A ona wyjmowała papiery, oglądała je okiem laika i układała je starannie na podłodze.

- Czego szukasz?
- Papierów. Dotyczących sklepu. I Tony.
- Jak chcesz, mogę ci pomóc.
- Nie, bo sama nie wiem, czego szukam.

Byłem zachwycony, bo udało mi się nawiązać rozmowę z matką; krótką, ale jednak rozmowę. I pomyślałem, jak to dobrze, że ojciec nie żyje, bo teraz ja i ona możemy ze sobą rozmawiać. Nie chciałem tak myśleć, to złe skojarzenie przyszło mi do głowy mimo woli. Ale prawda jest taka, że począwszy od tego dnia, oczy matki zaczęły błyszczeć.

Wtedy wyciągnęła trzy czy cztery pudełeczka i położyła je na stole. Podeszedłem bliżej. Otworzyła jedno z nich: w środku było złote pióro ze złotą stalówką.

- Coś takiego – powiedziałem z podziwem.

Matka zamknęła pudełko.

- To złoto?
- Nie wiem. Przypuszczam, że tak.
- Nigdy tego nie widziałem.
- Ja też nie.

I natychmiast zagryzła wargi. Odłożyła na miejsce futerał ze złotym piórem, o którym nie wiedziała wcześniej, i otworzyła następne pudełko, mniejsze, w kolorze zielonym. Drżącymi rękami odsunęła na bok różową watę.

Po latach zrozumiałem, że matce nie było wcale łatwo w życiu. Że małżeństwo z ojcem to nie był dobry pomysł, mimo że z taką elegancją ściągał kapelusz na jej widok i mówił jak się masz, ślicznotko. Że na pewno byłaby szczęśliwsza z jakimś innym mężczyzną, który nie miałby zawsze racji, który czasami by się mylił albo śmiał z byle powodu. Wszyscy w domu żyliśmy pod presją nadętej powagi, przykrytej dla niepoznaki cienką warstwą życiowej energii ojca. Co prawda w dzieciństwie spędzałem całe dni na obserwacji i byłem bardzo spostrzegawczy, muszę jednak przyznać, że choć słyszałem jakieś dzwony, nie wiedziałem, w którym kościele. Dlatego, żeby dobrze zakończyć tę sensacyjną noc, podczas której już wydawało mi się, że odzyskałem matkę, zapytałem mamę, czy mógłbym poćwiczyć na Vialu? Matka zamarła. Przez chwilę wpatrywała się w ścianę, a ja pomyślałem, oj, znowu się zaczyna, już nigdy na mnie nie spojrzysz. Ale ona uśmiechnęła się niepewnie i powiedziała pozwól mi się zastanowić. Stwierdziłem, że chyba jednak coś się zmienia na lepsze. Owszem, zmieniło się, ale nie tak jak chciałem. Jednak gdyby stało się inaczej, nigdy bym cię nie poznał.

Czy zauważyłaś, że całe nasze życie to nieodgadniony zbieg okoliczności? Z milionów plemników ojca tylko jeden zapładnia odpowiednie jajeczko. To, że ty się urodziłaś, że urodziłem się ja, to naprawdę niezwykle zbieg okoliczności. Mogliśmy przyjść na świat jako milion różnych ludzi, innych niż ty czy ja. Przypadkiem jest również to, że oboje lubimy Brahmsa. Że w twojej rodzinie było tylu zmarłych i że tak niewielu twoich krewnych przeżyło. Wszystko jest przypadkiem. Gdyby tor naszych genów, a potem naszego życia, na jednym z miliona możliwych zakrętów skierował się w inną stronę, nie powstałyby te słowa, nie wiadomo dla kogo zapisane. Coś straszego!

Od tamtej nocy wszystko zaczęło się zmieniać. Matka na długie godziny zamykała się w gabinecie, jakby była ojcem, tyle że bez lupy, i przeglądała wte i wewte wszystkie dokumenty zdeponowane w sejfie, dzięki temu, że sekretny kod, sześć jeden pięć cztery dwa osiem już został ujawniony. Czuła tak wielką odrazę do obyczajów ojca, że nie wysiliła się, żeby zmienić tę kombinację, za co byłem jej

wdzięczny, ot tak, bez powodu. Całe godziny trawiła na przeglądaniu papierów albo na rozmowach z jakimiś nieznanymi panami, którzy zakładali i zdejmowali okulary, podnosząc wzrok znad dokumentów, żeby spojrzeć na matkę; wszyscy mówili bardzo cicho, wszyscy byli tacy poważni, że ani ja, ani Carson, ani nawet małowówny Czarny Orzeł niewiele z tego rozumieliśmy. Po kilku tygodniach dyskretnych rozmów, rad szeptanych na ucho, rekomendacji, wysoko unoszonych brwi i krótkich, dosadnych komentarzy, matka zebrała wszystkie dokumenty i zamknęła je w sejfie, sześć jeden pięć cztery dwa osiem, a tylko kilka z nich odłożyła do ciemnej teczki. I dopiero wtedy zmieniła kombinację. Następnie włożyła czarny płaszcz na czarną sukienkę, wzięła głęboki oddech i nieoczekiwanie pojawiła się w sklepie, gdzie zaskoczona Cecylia powiedziała dzień dobry, pani Ardèvol. Skierowała się prosto do biura pana Ardèvola, weszła bez pukania i delikatnie położyła rękę na widełkach telefonu, przerywając rozmowę, którą właśnie prowadził przestraszony pan Berenguer.

– Co do cholery...

Pani Ardèvol uśmiechnęła się i zajęła miejsce naprzeciwko pana Berenguera, który bardzo poirytowany usiadł w szarym fotelu Feliksa. Położyła ciemną teczkę na stole.

– Dzień dobry, panie Berenguerze.

– Rozmawiałem z Frankfurtem. – Gwałtownie uderzył pięścią w blat stołu. – Tak trudno było mi uzyskać to połączenie, do jasnej cholery!

– Właśnie na to nie mogę pozwolić. Muszę z panem porozmawiać.

I rozmawiali o wszystkim. Okazuje się, że matka wiedziała o wiele więcej, niż można było przypuszczać. Panie Berenguerze, prawie połowa towaru w sklepie jest moją własnością.

– Pani?

– Tak, moją osobistą własnością. Jako spadek po moim ojcu, doktorze Adrianie Boschu.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ja też wiem o tym dopiero od paru dni. Mój mąż nie był zbyt skrupulatny w tych sprawach. Ale mam dokumenty, które to potwierdzają.

– A jeśli to już zostało sprzedane?

– Należy mi się zysk.

– Ale to jest taki handel, który

– O tym właśnie chciałam porozmawiać. Od tego momentu ja poprowadzę sklep.

Pan Berenguer patrzył na nią z otwartymi ustami. Uśmiechnęła się smutno i powiedziała chcę zobaczyć księgi rachunkowe. Natychmiast.

Minęło parę sekund, zanim dotarło to do pana Berenguera. Wstał i poszedł tam, gdzie urzędowała Cecylia, a kiedy po zdawkowej, ale stanowczej i konkretnej wymianie zdań wrócił, dźwigając stos ksiąg rachunkowych, pani Ardèvol, siedząc w szarym fotelu Feliksa, dała znak, że pozwala mu wejść.

Matka wróciła do domu rozdygotana i kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi, ściągnęła czarny płaszcz, ale już nie miała siły, żeby go powiesić, tylko rzuciła na ławeczkę przy wejściu i poszła prosto do swojego pokoju. Słyszając, że płacze, uznałem, że lepiej będzie nie mieszać się do spraw, o których nie miałem bladego pojęcia. Później przez dłuższą chwilę rozmawiała z Małą Lolą w kuchni i widziałem, że Lola położyła rękę na jej dłoni takim gestem, jakby chciała dodać jej otuchy. Potrzebowałem wielu lat, żeby odtworzyć z elementów układanki ten obraz, który widzę jeszcze teraz, jak scenę namalowaną przez Hoppera. Zarejestrowałem w głowie całe swoje dzieciństwo niczym slajdy z obrazami Hoppera, emanujące zaraźliwą, tajemniczą samotnością. Siebie widzę na nich jako jedną z tych postaci, która siedzi na niepościelonym łóżku, z książką porzuconą na pustym krześle, albo wygląda przez okno czy też tkwi przy pustym stole i wpatruje się w gładką ścianę. Bo w moim domu wszystkie sprawy załatwiała się szeptem i najbardziej donośnym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, poza moimi ćwiczeniami portamento, był stukot wysokich obcasów, kiedy matka wkładała buty przed wyjściem z domu. Hopper twierdził,

że maluje to, czego nie potrafi wyrazić słowami, a ja piszę, używając słów, bo mimo iż te obrazy stoją mi przed oczyma, nie umiałbym ich namalować. Wszystko widzę podobnie jak on, przez okna lub niedomknięte drzwi. I w końcu doszedłem do tego, czego wtedy nie rozumiałem. A czego nie wiem, zmyślam, i to też jest prawda. Wiem, że mnie zrozumiesz i że mi wybaczysz.

Dwa dni później pan Berenguer musiał przenieść rzeczy do swojego kantorka, za japońskimi pugiłami, a Cecylia z trudem ukrywała satysfakcję, udając, że nie dostrzega takich drobiazgów. Teraz to matka rozmawiała z Frankfurtem, a ta zmiana pozycji na planszy, jak mniemam, atak wieżą i królową, spowodowała, że pan Berenguer zdecydował się na coś, co było frontalnym atakiem przez zaskoczenie, i wytoczył największe możliwe działo. Zawodnicy wagi ciężkiej z antykwariatu przy ulicy Palla wypowiedzieli sobie wojnę, w której wszystkie chwytaki były dozwolone.

Matka zawsze sprawiała wrażenie męczennicy, osoby zdominowanej, dyskretnej, która nigdy na nikogo, poza mną, nie podniosła głosu. Ale kiedy umarł ojciec, zmieniła się; nigdy bym jej nie podejrzewał, że tak świetnie wszystko zorganizuje i poprowadzi interes twardą ręką. Sklep znów złapał wiatr w żagle, sterując w kierunku ekskluzywnego jubilerstwa, co pozwalało na większą elastyczność, a pana Berenguera naraziło na upokarzającą konieczność podziękowania swojemu wrogowi za podwyżkę, o którą nie prosił, na dodatek opatrzoną groźnym komentarzem wkrótce będą chciała odbyć z panem dłuższą rozmowę. Kiedy matka zakasała rękawy i nabrała powietrza, przyszła kolej na mnie i rozumiałem, że lekko nie będzie.

Nic wtedy nie wiedziałem o sekretnych działaniach mojej matki. Dowiedziałem się dużo później, bo w domu do zwierzeń służył papier, a rozmawialiśmy ze sobą tylko wtedy, kiedy już naprawdę nie dało się uniknąć bezpośredniej konfrontacji twarzą w twarz. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że matka zachowała się jak nowa Magdalena Giralt. Nie żądała głowy męża tylko dlatego, że odzyskała ją natychmiast, gdy tylko została odnaleziona. Ona żądała głowy jego zabójcy. W każdą środę, niezależnie od tego, co się działo w sklepie czy w domu, wkładała czarne, żałobne ubranie i udawała się do komisariatu przy ulicy Llúria, który prowadził dochodzenie w sprawie śmierci ojca, a tam pytała o komisarza Plasencię. Komisarz zapraszał ją do swojego biura, gdzie w powietrzu wisiał odurzający smród tabaki. Domagała się sprawiedliwości w imieniu męża, który nigdy jej nie kochał. Zawsze, po uprzejmym pozdrowieniu, zadawała pytanie, czy są nowe ustalenia w sprawie Ardèvola, a sztywny jak kołek komisarz nie zapraszając, żeby usiadła, odpowiadał nie, proszę pani. Przecież umówiliśmy się, że dam znać, jak coś będziemy wiedzieli.

– Nie można pozbawić kogoś głowy ot, tak sobie, nie zostawiając żadnego śladu.

– Zarzuca nam pani brak kompetencji?

– Rozważam ewentualność złożenia skargi do wyższej instancji.

– Grozi mi pani?

– Do widzenia, panie komisarzu.

– Do widzenia. I proszę pamiętać, że zawiadomimy panią w stosownym czasie.

Czarna wdowa wychodziła z biura, a komisarz wyładowywał wściekłość na górnej szufladzie biurka, którą nerwowo otwierał i zamykał; tymczasem inspektor Ocaña wchodził bez pytania i mówił co, znów była ta namolna baba, a komisarzowi tym razem nie chciało się komentować nawet tego, że taka elegancka kobieta tak nieporadnie mówi po hiszpańsku. To powtarzało się w każdą środę, w każdą środę, w każdą środę. W każdą środę, o godzinie, o której Caudillo udzielał audiencji w pałacu w Prado, a Pius XII w Watykanie, komisarz Plasencia przyjmował czarną wdowę, pozwalał jej się wygadać, a kiedy wychodziła, wkurzony, wyładowywał gniew, szarpiąc górną szufladę biurka.

Kiedy miała już dość komisarza, pani Ardèvol wynajęła najlepszego na świecie detektywa, jeśli wierzyć reklamie umieszczonej w poczekalni tak ciasnej, że wywoływała klaustrofobię. Najlepszy detektyw na świecie zażądał zapłaty za miesiąc z góry, całego miesiąca na dochodzenie i miesięcznego

moratorium na wizyty w komisariacie. Pani Ardèvol zapłaciła, cierpliwie czekała przez miesiąc i wstrzymała się w tym czasie od składania wizyt komisarzowi. Po miesiącu znów spędziła dłuższą chwilę w klaustrofobicznej poczekalni, aż została ponownie przyjęta przez ciągle jeszcze najlepszego na świecie detektywa.

– Niech pani usiądzie, pani Ardèvol. – Najlepszy detektyw na świecie nie podniósł się z krzesła, ale przynajmniej poczekał, aż klientka usadowi się wygodnie w fotelu. Dzielił ich stół.

– Mamy coś? – zapytała, zaciekawiona.

Najlepszy detektyw na świecie zamiast odpowiedzi przez kilka minut bębnił palcami po stole, być może w tym samym rytmie, w jakim płynęły jego myśli, a może w innym, bo myśli najlepszych detektywów na świecie są nieodgadnione.

– No więc... Co mamy? – powtórzyła nabzdyczona matka.

Ale tamten nadal groźnie bębnił palcami przez kolejną minutę. Odchrząknęła i głosem tak skwaszonym, jakby miała przed sobą pana Berenguera, zapytała po co mnie pan wezwał, panie Ramis?

Ramis. Najlepszy detektyw na świecie nazywał się Ramis. Dopiero teraz przypomniało mi się jego nazwisko. W momencie, gdy zacząłem o nim opowiadać. Detektyw Ramis spojrział na swoją klientkę i powiedział zamykam sprawę.

– Co?

– To, co pani słyszała. Odmawiam prowadzenia sprawy.

– Ale przecież przyjął pan zlecenie zaledwie parę dni temu!

– Miesiąc temu, proszę pani.

– Nie przyjmuję do wiadomości tej decyzji. Zapłaciłam i mam prawo do...

– Jeśli zajrzy pani do umowy – uciął – zobaczy pani, że w punkcie dwunastym przewidziana jest możliwość odstąpienia od niej przez obie strony.

– A jaki pan podaje powód?

– Jestem bardzo zajęty.

W biurze zapanowała cisza. W sali obok też. Ani jedna maszyna nie wystukiwała raportów.

– Nie wierzę.

– Słucham?

– Okłamuje mnie pan. Czemu odstępuje pan od śledztwa?

Najlepszy detektyw na świecie wstał, wyciągnął spod skoroszytu kopertę i położył ją przed matką.

– Oddaję pani moje honorarium.

Pani Ardèvol zerwała się, z pogardą spojrzała na kopertę i nie dotknąwszy jej, wyszła, stukając głośno obcasami. Usłyszała za sobą, nie bez satysfakcji, jak z zatrzaśniętych z użyciem przesadnej siły drzwi wypada szyba i z hukiem rozbija się na kawałki.

O tym wszystkim i o innych szczegółach, które teraz nie przychodzą mi do głowy, dowiedziałem się o wiele później. Natomiast pamiętam, że wtedy potrafiłem już czytać całkiem skomplikowane teksty w języku niemieckim i angielskim; mówiono, że moja łatwość do języków jest zdumiewająca. No, niech tam: ja zawsze uważałem ją za coś całkiem oczywistego, ale rozumiem, że na tle innych rzeczywiście mogłem się wyróżniać. Z francuskim nie było żadnego problemu, a do włoskiego doszedłem praktycznie sam i mogłem swobodnie czytać, chociaż ze złym akcentem. I jeszcze była łacina z *De bello Gallico*, a poza tym oczywiście kataloński i hiszpański. Chciałem zacząć się uczyć rosyjskiego lub aramejskiego, ale w tym momencie wkroczyła matka i powiedziała nie ma mowy. Mają mi wystarczyć te języki, które już znam, bo powinienem coś robić w życiu, a nie tylko klepać językiem jak papuga.

– Mamo, ale papugi

– Wiem, co mówię. Nie udawaj, że mnie nie rozumiesz.

– Nie rozumiem cię.

– To rusz głową!

Ruszyłem głową. Przestraszyłem się zwrotu, jaki miał się dokonać w moim życiu. Było oczywiste, że chce usunąć ślady, jakie ojciec pozostawił w mojej edukacji. Dlatego wyjęła storioniego, którego strzegła w sejfie nowa, jej tylko znana kombinacja, siedem dwa osiem zero sześć pięć, i podając mi go, oświadczyła, że od nowego miesiąca koniec ze szkołą muzyczną i lekcjami u pani Trullols; teraz zostaniesz uczniem Joana Manlleu.

– Co?

– To, co słyszałeś.

– Co to za jeden ten Joan Manlleu?

– Najlepszy z najlepszych. Rozpoczniesz karierę wirtuoza.

– Ja nie chcę robić kar

– Ty sam nie wiesz, czego chcesz.

Tu matka się myliła, wiedziałem, że chcę być... Może program ojca, który miał polegać na studiowaniu przez cały boży dzień wszystkiego, co napisano na świecie, śledzeniu z bliska kultury i myślenia o kulturze, nie w pełni mnie satysfakcjonował. Nie, nie całkiem mnie zadowalał, ale lubiłem czytać i lubiłem uczyć się nowych języków i... No dobrze, zgoda. Nie wiedziałem, czego chcę. Ale wiedziałem, czego nie chcę.

– Nie chcę robić kariery wirtuoza.

– Mistrz Manlleu powiedział, że się nadajesz.

– A skąd on wie? Odgadł na odległość?

– Słyszał cię parę razy, kiedy ćwiczyłeś.

Okazało się, że plan zatrudnienia Joana Manlleu został misternie ukartowany. Żeby uzyskać zgodę mistrza, matka zaprosiła go na podwieczorek w porze moich ćwiczeń i oboje, dyskretni, niewiele mówili, a dużo słuchali. Mistrz Manlleu natychmiast zrozumiał, że może zażądać każdej ceny, więc nie miał żadnych oporów. Matka nawet nie pisnęła i zatrudniła go. Wszystko przebiegło tak szybko, że nie przyszło jej do głowy zapytać o zdanie Adriana.

– A co mam powiedzieć pani Trullols?

– Pani Trullols już wie.

– Tak? I co powiedziała?

– Że jesteś nieoszlifowanym diamentem.

– Nie chcę. Nie umiem. Nie chcę się męczyć. Nie. Zdecydowanie, definitywnie nie i nie. – To była jedna z niewielu sytuacji, kiedy odważyłem się podnieść na nią głos: – Zrozumiałaś, mamó? Nie!

Od początku następnego miesiąca rozpocząłem lekcje z mistrzem Manlleu.

– Zostaniesz wielkim skrzypkiem i kwita – powiedziała matka, kiedy ją przekonałem, żeby zostawić storioniego w domu, a chodzić po świecie z nowym instrumentem ze sklepu Parramona. Adrian z rezygnacją poddał się drugiej reformie edukacyjnej. Czasem tylko marzył o tym, żeby uciec z domu.

Wiele się działo po śmierci ojca i minęło sporo dni, nim wróciłem do szkoły. Spędziłem nawet kilka tygodni wakacji w nietypowej porze w Tonie, z kuzynami, którzy zaskoczyli mnie dziwnym milczeniem i spojrzeniami wymienianymi między sobą, gdy im się wydawało, że na nich nie patrzę. W którymś momencie przyłapałem Xeviego i Quika na zagorzałej dyskusji na temat dekapitacji, prowadzonej szeptem, ale z takim przejęciem, że ten donośny szept wszędzie było słychać. Z kolei Rosa podczas śniadania podsuwała mi największą kromkę, zanim zdążył po nią sięgnąć któryś z jej braci. A ciocia Leo zmierzwiła mi włosy ze dwanaście razy, aż pomyślałem sobie, że mógłbym zostać w Tonie na stałe przy cioci, gdyby życie mogło być niekończącym się latem poza Barceloną, w tym magicznym miejscu, w którym możesz sobie zabrudzić kolana i nikt ci o to nie robi awantury. A wujek Cinto, kiedy wracał do domu z pola cały zakurzony albo utyłany w błocie czy nawozie, tylko spuszczał wzrok, bo wiadomo, że mężczyznom nie wypada płakać, ale widać było, że bardzo przeżywał śmierć brata. Samą śmierć i jej dziwne okoliczności.

Wróciłem do domu w chwili, kiedy ustalano warunki obecności wielkiego Joana Manlleu w moim życiu, i znów zacząłem chodzić do szkoły, gdzie zadebiutowałem w roli sieroty bez ojca. Kiedy brat Climent odprowadzał mnie do klasy, szczypał mnie w ramię paluchami żółtymi od tabaki, dając w ten bolesny sposób wyraz swojej sympatii, uznania i współczucia. Kiedy byliśmy już na miejscu, wspaniałomyślnym gestem wskazał mi drzwi, mówiąc, że mogę wejść, mimo że trwa lekcja, bo nauczyciel został uprzedzony. Kiedy przekroczyłem próg, skierowały się na mnie z ciekawością czterdzieści trzy pary oczu, a pan Badia, który właśnie wyjaśniał subtelną różnicę między podmiotem a dopełnieniem bliższym, jak mogłem wywnioskować ze zdania, które właśnie wypowiadał, przerwał swój wywód i powiedział wejdz, Ardèvol, siadaj. Na tablicy zobaczyłem zdanie „Jan pisze list do Piotra”. Musiałem przejść przez całą salę, zanim dotarłem do swojej ławki. Czułem się zażenowany; byłoby lepiej, gdyby Bernat chodził do tej samej klasy, niestety, on był w drugiej, a ja jeszcze nudziłem się w pierwszej, słuchając tych głupot na temat dopełnienia bliższego i dalszego, które również wyjaśniali nam na łacinie, a mimo to, o dziwo, byli jeszcze koledzy, którzy nie potrafili tego zrozumieć. Rull, gdzie jest w tym zdaniu dopełnienie bliższe?

– Jan. – Pan Badia nawet nie drgnął. Rull nieufnie, przewidując podstęp, głęboko się zamyślił i podniósł głowę: – Piotr?

– Nie. Fatalnie. Nic nie zrozumiałeś.

– Ach, nie! Pisze!

– Siadaj, ofiaro.

– Już wiem! Już wiem, panie psorze, o kurczę, wiem, to chodzi o list, prawda?

Kiedy pojęcie dopełnienia bliższego było już całkiem jasne i zaczynaliśmy zgłębiać tajniki dopełnienia dalszego, zdałem sobie sprawę, że od jakiegoś czasu czterech czy pięciu kolegów uważnie mi się przypatruje. Wnioskując z usytuowania ławek, byli to Massana, Esteban, Riera, Torres, Escaiola, Pujol i chyba jeszcze siedzący za mną Borrell, bo ktoś mnie stukał w plecy. Wyczułem, że były to spojrzenia... podziwu? Nie, była to dziwna kombinacja różnych emocji.

– Słuchaj, mały – powiedział Borrell podczas przerwy – możesz z nami zagrać. – I dodał, przewidując oplakane skutki: – Ale stań na środku, żeby nie przeszkadzać.

– Ale ja nie lubię grać w piłkę.

– A nie mówiłem – wtrącił się Esteban, który również wchodził w skład delegacji. – Ardèvol woli skrzypce, od razu widać, że to „marika”.

I zaraz się zmył, bo mecz już się zaczął, bez członków delegacji. Borrell z rezygnacją poklepał mnie parę razy po plecach i odszedł bez słowa. Ja szukałem Bernata w tłumie pierwszej, drugiej i trzeciej klasy, które podzieliły boisko na sektory i rozgrywały na nim dwanaście różnych meczów, i jakoś się nie mylili, która piłka jest czyja. Powiedział „marika”. Rosjanie mówią Marijka na dziewczyny, którym na imię Maria, ale byłem pewien, że Esteban nie zna rosyjskiego.

– „Marika”? – Bernat patrzył gdzieś w dal i usiłował się skupić, mimo hałasu, jaki robili podekscytowani piłkarze. No... Rosjanie mówią Marijka na Marię.

– To akurat wiem.

– Najlepiej sprawdź w słowniku. Myślisz, że będę ci wyjaśniał wszystko, co...

– To wiesz czy nie wiesz?

Było wtedy bardzo zimno i wszyscy bez wyjątku mieli zaczerwienione ręce i nogi poniżej krótkich spodni, z wyjątkiem nas, bo nosiliśmy rękawiczki na wyraźne polecenie pani Trullols, która twierdziła, że granie na skrzypcach, kiedy się ma odmrożone dłonie, to prawdziwa męka.

Pierwsze dni w szkole po śmierci ojca były dziwne. Zwłaszcza od momentu kiedy Riera zaczął mówić otwarcie o odciętej głowie mojego ojca, co, jak się okazało, dodawało mi prestiżu, do którego nikt inny nie mógł pretendować. Wybaczyli mi nawet moje oceny i stałem się dla nich równym gościem. A kiedy nauczyciele zadawali pytania, Pujols już się nie wrywał, że to ja mam odpowiadać w imieniu klasy, a wtedy sam ojciec Valero, wobec ogólnego milczenia, decydował no, mów, Ardèvol, żeby jakoś wybrnąć z beznadziejnej sytuacji, a ja odpowiadałem. To była duża różnica.

Chociaż nie chciał się przyznać, że nie wie, co znaczy „marika”, Bernat był dla mnie autorytetem, zwłaszcza od śmierci ojca. Dotrzymywał mi towarzystwa i tylko dzięki niemu nie czułem się dziwakiem. Ale niestety on też był wyjątkowym dzieckiem, nie takim jak pozostali chłopcy w szkole, którzy byli normalni, bili się, powtarzali klasę i przynajmniej niektórzy z piątej i paru z czwartej po kryjomu podpalali. Ponieważ nie byliśmy w tej samej klasie i rzadko widywaliśmy się w szkole, nasza przyjaźń z konieczności miała charakter nieoficjalny, partyzancki. Ale tamtego dnia Bernat, który przysiadł na moim łóżku, miał łzy w oczach i drżały mu wargi, bo to, co właśnie usłyszał, było zbyt okrutne. Spojrzał na mnie z nienawiścią i powiedział to zdrada. A ja na to to nie ja, Bernat, to matka tak zdecydowała.

– A ty nie możesz się zbuntować, co? Nie możesz powiedzieć, że musisz się uczyć u pani Trullols, bo inaczej...

Bo inaczej nie będziemy razem chodzić na muzykę, chciał powiedzieć, ale się powstrzymał, bo nie był przecież małym dzieckiem. Niesforne łzy były bardziej wymowne niż słowa. Bardzo trudno jest być dzieckiem, które udaje dorosłego; udawać, że guzik cię obchodzi to, co guzik obchodzi dorosłych, i uświadomić sobie, że jednak bardzo cię obchodzi, ale musisz robić dobrą minę, bo jeśli inni odkryją ten jeden czy dwa guziki, będą się z ciebie śmiać i powiedzą, jakie z ciebie dziecko, Bernat, Adrian, chłopcze. A jeśli to będzie Esteban, powie ci baba, jesteś baba. Nie, teraz powie ci „marika”, jesteś „marika”. Sypał nam się już wąż, a wraz z nim rosło przeświadczenie, że życie jest niezmiernie trudne. Ale jeszcze nie pokazało, jakie potrafi być wkurzające; jeszcze cię nie poznałem.

Jedliśmy podwieczorek w milczeniu. Mała Lola bez pytania dała nam podwójną porcję czekolady. Przez chwilę siedzieliśmy na łóżku cicho, przeżuując kromki chleba i patrząc w bardzo skomplikowaną przyszłość. Potem zaczęliśmy ćwiczyć, w ten sposób, że ja naśladowałem to, co grał Bernat, niekoniecznie zgodnie z partyturą, żeby trochę urozmaicić nudne zadania. Ale było nam smutno.

– Patrz, patrz, patrz, patrz!...

Bernat aż otworzył usta z wrażenia, odłożył smyczek na pulpit i podszedł do okna w pokoju Adriana. Świat od razu się zmienił, cierpienie nie było już tak dokuczliwe; przyjaciel mógł robić co chciał ze swoimi nauczycielami muzyki, krew znów zaczynała krążyć w żyłach. Bernat patrzył na oświetlone

okno po przeciwnej stronie podwórka, przysłonięte tylko przezroczystą firanką. Za nią widać było nagi damski biust. Nagi biust? Kto to jest? Co?

To była Mała Lola. Pokój Małej Loli. Mała Lola rozebrana. No, tylko od góry. Przebierała się. Pewnie szykowała się do miasta. Rozebrana? Adrianowi wydawało się, że... Nie widać było dokładnie, ale zaciągnięta firanka tylko podsycala emocje.

– To u sąsiadów. Nie znam jej – odpowiedziałem niechętnie, starając się tak wykonać przedtakt taktu osiemnastego, żeby nadażyć za Bernatem. No, jeszcze raz, może teraz nam się uda.

Bernat ponownie stanął za pulpitem dopiero wtedy, gdy Lola skończyła się ubierać. Ćwiczenie dobrze im poszło, ale Adriana uraził entuzjazm przyjaciela i samo podglądanie Loli... Kobięce piersi są... Widział je po raz pierwszy, ale przez firankę...

– Nigdy nie widziałeś gołej babki? – zapytał Bernat, gdy skończyli ćwiczenie.

– Obaj widzieliśmy przed chwilą, nie?

– No, widziałem i nie widziałem. Trzeba porządnie obejrzeć. I całą.

– Wyobrażasz sobie gołą panią Trullols?

Powiedziałem tak, żeby odwrócić uwagę od Małej Loli.

– Nie mów głupstw!

Wyobrażałem ją sobie setki razy, nie dlatego, żeby była ładna. Była wysoka, chuda i miała długie palce. Mówiła miłym głosem i patrzyła ci w oczy, kiedy z tobą rozmawiała. Natomiast kiedy grała na skrzypcach, wtedy tak, wtedy wyobrażałem ją sobie nagą. Wszystko przez to brzmienie, tak piękne, że... Przez całe życie mieszałem różne rzeczy. Nie mówię tego z dumą, raczej z powściągliwą rezygnacją. Chociaż bardzo się starałem tworzyć osobne kategorie, i tak w końcu kojarzyłem wszystko ze wszystkim, tak jak teraz, kiedy do ciebie piszę, a łyż są moim atramentem.

– Nie przejmuj się, Adrianie – pocieszała mnie pani Trullols. – Manlleu to wybitny skrzypek. – I zmierzwiła mi włosy ręką. Na pożegnanie kazała mi zagrać lento, z pierwszej sonaty Brahmsa, a kiedy skończyłem, pocałowała mnie w czoło. Taka była pani Trullols. Ja natomiast nie zauważyłem wtedy, że powiedziała nie martw się, Manlleu to wybitny skrzypek, a nie Manlleu to wybitny pedagog. A Bernat zrobił poważną minę i udawał, że nie chce mu się płakać. Tylko mnie wymknęły się trzy czy cztery łyż. Mój Boże. Ten smutek spowodował, że kiedy znaleźli się pod domem Bernata, Adrian powiedział, że daje mu w prezencie storioniego, a na to Bernat, naprawdę? A Adrian, tak, chcę, żebyś miał po mnie piękną pamiątkę. Naprawdę? – powtórzył tamten, nie wierząc własnym uszom. A Adrian, masz to jak w banku. A co na to twoja matka? Ona ma co innego na głowie. Cały dzień spędza w sklepie. Kiedy następnego dnia Bernat wrócił do domu, serce waliło mu bum, bum, bum, jak dzwony w kościele Niepokalanego Poczęcia na mszę o dwunastej, i kiedy stanął przed matką, powiedział mamó, mam niespodziankę, i otworzył futerał, a pani Plensa poczuła charakterystyczny zapach antyków; serce jej zamarło i zapytała skąd wzięłeś te skrzypce, synu? A on odpowiedział z nonszalancją, jak Cassidy James, kiedy Dorothy go spytała, skąd się wziął tamten koń:

– To bardzo długa historia.

Miał rację. Kiedy cała Europa pachniała prochem i gruzami, Rzym nie był wyjątkiem. Zatrzymał się, żeby przepuścić szybkiego amerykańskiego jeepa, który podskakiwał na wyboistych, zrujnowanych ulicach, nie zwalniając na zakrętach, i ruszył dalej szybkim krokiem w kierunku kościoła Santa Sabina. Tam Morlin przekazał mu kontakt: Ufficio della Giustizia e della Pace. Chodzi o portiera, niejakiego signora Falegnami. Uważaj, może być niebezpieczny.

– Dlaczego niebezpieczny?

– Bo jego wygląd jest mylący. Ale ma problemy.

Feliks Ardèvol szybko znalazł ten powiązany zapewne z Watykanem urząd w centrum Borgo, na obrzeżach papieskiego miasta. Mężczyzna, który otworzył mu drzwi, tęgi, wysoki, z dużym nosem i niespokojnym spojrzeniem, zapytał, kogo szuka.

– Obawiam się, że właśnie pana, Signor Falegnami?

– Dlaczego pan tak mówi? Czego pan się obawia?

– Tak mi się powiedziało. – Feliks Ardèvol próbował się uśmiechnąć. – Wydaje mi się, że ma pan coś interesującego do pokazania.

– O szóstej wieczorem zamykają biuro – pokazał głową szklane drzwi, zza których dochodziło przyćmione światło. – Niech pan czeka na zewnątrz, na ulicy.

O szóstej wyszło trzech mężczyzn, jeden w sutannie, i Feliks poczuł się jak na tajemnej randce. Tak jak czuł się w Rzymie przed laty, kiedy jeszcze można było sobie pozwolić na sny, marzenia i jabłka w sklepie warzywnym signora Amato, które sprawiały, że czuł się jak w raj. Wtedy wystawił głowę mężczyzna o niespokojnym spojrzeniu i dał znak, że można wejść.

– Nie idziemy do pańskiego domu?

– Ja tutaj mieszkam.

Mężczyzna sapał z wysiłku, kiedy pokonywali prawie po omacku okazałe schody, a ich kroki odbijały się echem w tej dziwnej instytucji. Na trzecim piętrze, na końcu długiego korytarza otworzył drzwi i zapalił słabe światło. W progu uderzył ich zaduch niewietrzonego pomieszczenia.

– Proszę wejść – powiedział mężczyzna.

Było tam wąskie łóżko, szafa z ciemnego drewna, zabite deskami okno i umywalka. Mężczyzna otworzył szafę i wyjął z niej skrzypce w futerał. Łóżko posłużyło mu za stół. Otworzył futerał. Wtedy Feliks Ardèvol zobaczył je po raz pierwszy.

– To storioni – powiedział mężczyzna o niespokojnym spojrzeniu.

Storioni. Feliksowi Ardèvolowi nic nie mówiła ta nazwa – storioni. Nie wiedział, że Lorenzo Storioni, kiedy skończył, pogładził instrument, przekonany, że zadrżał pod jego ręką, i wtedy postanowił pokazać go dobremu mistrzowi Zosimowi.

Mężczyzna o niespokojnym spojrzeniu zapalił lampkę i zachęcił Feliksa, żeby podszedł bliżej. Laurentius Storioni Cremonensis me fecit, przeczytał na głos.

– A skąd mam wiedzieć, czy jest autentyczny.

– Chcę za niego pięćdziesiąt tysięcy amerykańskich dolarów.

– To żaden dowód.

– To jest cena. Mam problemy i dlatego...

Widział już wielu takich, którzy mieli problemy. Ale inaczej wyglądały problemy w trzydziestym ósmym czy trzydziestym dziewiątym, a inaczej pod koniec wojny. Oddał skrzypce mężczyźnie i poczuł niezmierną pustkę w sercu; dokładnie tak samo czuł się sześć czy siedem lat wcześniej, kiedy przeszła przez jego ręce altówka Nicoli Galliana. Coraz łatwiej przychodziła mu ocena wartości na podstawie oględzin przedmiotu, który zdawał się ożywać w jego rękach. To mogło być próbą jego autentyczności. Ale pan Ardèvol, kiedy w grę wchodziła duża gotówka, nie polegał wyłącznie na intuicji i poetyckich skojarzeniach. Zrobił wszystko, żeby zachować zimną krew, i w myśli dokonał szybkiej kalkulacji. Uśmiechnął się:

– Wrócę jutro i dam panu odpowiedź.

Przypominało to bardziej wypowiedzenie wojny niż odpowiedź. Na wieczór umówił się u Bramanta z ojcem Morlinem i z tym obiecującym młodym człowiekiem, niejakim Berenguerem, wysokim, szczupłym, poważnym i skrupulatnym, który, jak się okazało, był ekspertem w wielu dziedzinach.

– Uważaj, Ardevole – ostrzegał ojciec Morlin.

– Umieję sobie radzić, mój drogi.

– Nie daj się zwieść pozorom. Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Możesz się targować, zarabiać na życie, ale nie ponizaj go, bo to niebezpieczne.

– Wiem, co robię. Sam mogłeś się o tym przekonać, prawda?

Ojciec Morlin dłużej nie nalegał, po prostu zamilkł i już nie wtrącał się do rozmowy. Berenguer,

obiecujący młody człowiek, znał trzech lutników w Rzymie, ale zaufanie miał tylko do jednego, Saveria Jakiegośtam. Pozostali dwaj...

– Przyprowadź mi go jutro.

– Proszę zwracać się do mnie przez pan, panie Ardèvol.

Następnego dnia pan Berenguer, Feliks Ardèvol i Saverio Jakiśtam zapukali do drzwi mężczyzny o niespokojnych oczach. Weszli ze zbiorowym uśmiechem na ustach, po stoicku znieśli zaduch panujący w pokoju, a pan Saverio Jakiśtam przez pół godziny obwąchiwał skrzypce i oglądał je przez lupę, dokonując niezrozumiałych czynności przyrządami, które przyniósł w lekarskiej walizeczce. Sprawdzał też brzmienie.

– Ojciec Morlin zapewniał mnie, że jesteście panowie ludźmi godnymi zaufania – powiedział zniecierpliwiony Falegnami.

– Jestem osobą godną zaufania. Ale nie chcę dać się nabrać.

– Cena nie jest wygórowana. Odpowiada ich wartości.

– Zapłacę panu tyle, ile są warte, a nie tyle, ile pan chce.

Pan Falegnami wziął podręczny notesik i coś w nim sobie zanotował. Zamknął go i rzucił niecierpliwe spojrzenie na Ardèvola. Ponieważ w pomieszczeniu nie było okna, przez które można by wyglądać, skierował wzrok na dottore Jakiegośtam, opukującego delikatnie w tym momencie drewnianą płytę górną i dolną, ze stetoskopem na uszach.

Wyszli z tamtej ponurej klitki wieczorem. Pan Jakiśtam szedł szybkim krokiem, patrząc w dal i mówiąc do siebie. Feliks Ardèvol obserwował kątem oka pana Berenguera, który udawał, że cała ta sprawa go nie dotyczy. Kiedy doszli do Via Crescenzo, pan Berenguer pokręcił przecząco głową i zatrzymał się. Pozostali dwaj zrobili to samo.

– O co chodzi?

– Nie: to zbyt niebezpieczne.

– To autentyczny storioni – powiedział rozentuzjasmowany Saverio Jakiśtam. – Powiem więcej.

– Dlaczego twierdzi pan, że to niebezpieczne, panie Berenguer? – Feliksowi Ardèvolowi coraz bardziej podobał się ten młody człowiek, na pierwszy rzut oka trochę zbyt sztywny.

– Kiedy zwierz jest osaczony, zrobi wszystko, żeby się uratować. Ale potem może gryźć.

– Co jeszcze ma pan do powiedzenia, panie Jakiśtam? – zapytał Feliks, zwracając się chłodno do lutnika.

– Powiem więcej.

– To niech pan wreszcie mówi.

– Te skrzypce mają imię własne. To Vial.

– Słucham?

– To jest Vial.

– Teraz się pogubiłem.

– Tak się nazywają. To imię własne. Niektóre instrumenty mają własne imię.

– To zwiększa ich wartość?

– Nie o to chodzi, Signor Ardevole.

– O to, o to przede wszystkim. Mają większą wartość?

– To pierwsze skrzypce, jakie zbudował. Jasne, że to się przekłada na cenę.

– Zbudował kto?

– Lorenzo Storioni.

– A skąd to imię? – zapytał pan Berenguer, zaintrygowany.

– Guillaume-François Vial, zabójca Jeana-Marie Leclaira.

Signor Jakiśtam wykonał gest, który Feliks skojarzył ze świętym Dominikiem objaśniającym z ambony bezmiar Bożej miłości. Tymczasem Guillaume-François Vial postąpił krok naprzód i wyszedł z cienia,

żeby pasażer powozu mógł go zobaczyć. Woźnica zatrzymał konie dokładnie przed nim. Otworzyły się drzwi i Monsieur Vial wskoczył do środka.

– Dobry wieczór – powiedział La Guitte.

– Już może pan je przynieść, Monsieur La Guitte. Wuj zgodził się na tę cenę.

La Guitte zaśmiał się w duchu, dumny, że miał nosa. I żeby się upewnić:

– Mówimy o pięciu tysiącach florenów.

– Mówimy o pięciu tysiącach florenów – uspokoił go Monsieur Vial.

– Jutro dostarczę panu do rąk własnych skrzypce słynnego Storioniego.

– Niech pan mnie nie nabiera, Monsieur La Guitte: Storioni nie jest sławny.

– W Italii, w Neapolu, we Florencji... o nikim innym się nie mówi.

– A w Cremonie?

– Bergonzi i inni nie są zadowoleni, że pojawił się ten nowy warsztat. Wszyscy mówią, że Storioni to nowy Stradivari.

Jeszcze wymienili półgłosem trzy czy cztery banały, coś w stylu, oby to wpłynęło na obniżenie cen, które osiągnęły niebotyczny poziom. Wiem, co mówię. Pożegnali się. Vial wysiadł z powozu La Guitte'a przekonany, że tym razem się uda.

– Mon cher tonton!... – wykrzyknął z przesadną emfazą, wchodząc do salonu następnego dnia rano. Jean-Marie Leclair nie uznał za stosowne podnieść głowy; nadal wpatrywał się w płomienie na kominku.

– Mon cher tonton – powtórzył Vial, z nieco mniejszym entuzjazmem.

Leclair odwrócił się w jego stronę. Nie patrząc mu w oczy, zapytał, czy przyniósł skrzypce. Vial położył je na stole. Palce Leclaire natychmiast pospieszyły ku instrumentowi. Wprost z malowidła na ścianie wyłonił się służący z ptasim nosem, który przyniósł smyczek, i Leclair przez dobrą chwilę sprawdzał wszystkie możliwości dźwiękowe storioniego na fragmentach trzech swoich sonat.

– Są bardzo dobre – powiedział na koniec. – Ile cię kosztowały?

– Dziesięć tysięcy florenów, a ponadto nagroda, którą otrzymam od wuja – pięćset monet za zdobycie tego klejnotu.

Władczym gestem Leclair odprawił służących. Położył rękę na ramieniu siostrzeńca i uśmiechnął się.

– Prawdziwy skurwysyn z ciebie. Nie wiem, skąd taki się wzięłeś, synu parszywej suki. Czy masz to po matce, czy po tym łajdaku, twoim ojcu.

– Dlaczego? Przecież ja... – Ostra wymiana spojrzeń. – Zgoda. Mogę wyrzec się nagrody.

– Czy ty sądzisz, że po tych wszystkich oszustwach, jakie nazbierały się przez lata, jeszcze mam do ciebie zaufanie?

– To dlaczego wuj kazał, żebym...

– Żeby cię sprawdzić, ty głupi synu zdechłej, parszywej suki. Tym razem nie unikniesz więzienia. – Odczekał parę sekund, żeby uzyskać lepszy efekt: – Nie domyślasz się, jak bardzo czekałem na tę chwilę.

– Zawsze wuj pragnął mojej zguby, tonton Jean. Wuj mi zazdrości.

Leclair spojrzał na niego, zdziwiony. Po dłuższej chwili:

– Czego twoim zdaniem miałbym ci zazdrościć, ty wszawy, zafajdany wypierdku?

Vialowi, który poczerwieniał jak piwonia, zabrakło refleksu, żeby się popisać szybką ripostą.

– Lepiej nie wchodźmy w szczegóły – odezwał się, żeby coś powiedzieć.

Leclair patrzył na niego z pogardą.

– Ja nie mam nic przeciwko szczegółom: wygląd fizyczny? Postawa? Obycie? Urok osobisty? Talent? Postawa moralna?

– Skończmy już tę rozmowę, tonton Jean.

– Skończymy, kiedy ja powiem. Inteligencja? Kultura? Majątek? Zdrowie?

Leclair wziął do ręki skrzypce i zaimprovizował pizzicato. Spojrzał na instrument z szacunkiem:

– Skrzypce są bardzo dobre, ale są mi zupełnie obojętne, rozumiesz? Potrzebne mi były tylko po to,

żeby cię wsadzić do więzienia.

– Wuj jest złym człowiekiem.

– A z ciebie kawał skurwysyna, którego w końcu udało mi się zdemaskować. Wiesz co? – Uśmiechnął się demonstracyjnie, zbliżając swoją twarz na odległość dłoni do twarzy siostrzeńca. – Skrzypce sobie zatrzymam, ale za taką cenę, jaką mi poda La Guitte.

Pociągnął pas dzwonka i przez ukryte w tapecie drzwi do pokoju wszedł służący z ptasim nosem.

– Zawiadom komisarza. Niech przyjdzie najszybciej, jak tylko będzie mógł. – I do siostrzeńca: – Siadaj, poczekamy na Monsieur Bójarta.

Nie zdążyli usiąść. Guillaume-François Vial w tym momencie podszedł do kominka, chwycił pogrzebacz i wbił w głowę swego ukochanego tontona. Jean-Marie Leclair, zwany Aîné, nie mógł już nic powiedzieć. Upadł i nawet nie jęknął, z pogrzebaczem wbitym w głowę. Krew trysnęła na drewniany futerał skrzypiec. Vial, ciężko dysząc, odruchowo otarł ręce o płaszcz i powiedział nie wiesz, jak bardzo czekałem na tę chwilę, tonton Jean. Rozejrzał się wkoło, wziął skrzypce, włożył je do poplamionego futerału i wyszedł przez balkon połączony z tarasem. Kiedy uciekał w biały dzień, przyszło mu jeszcze do głowy, że trzeba złożyć wizytę, niezbyt przyjacielską, panu La Guitte.

– O ile wiem – ciągnął dalej signor Jakiśtam, który zatrzymał się na środku ulicy – tych skrzypiec nikt nigdy nie używał systematycznie: są jak Messias Stradivariiego, rozumiecie panowie?

– Nie – odpowiedział zniecierpliwiony Ardèvol.

– Chcę powiedzieć, że to dodaje im wartości. Ślad po nich zaginął w tym samym roku, w którym powstały i trafiły w ręce Guillaume’a-François Viala. Być może później miał je ktoś, kto na nich grał, ale ja nic o tym nie wiem. A teraz znajdujemy je tutaj. To instrument bezcenny.

– To właśnie chciałem usłyszeć, caro dottore.

– Naprawdę to pierwszy instrument? – wtrącił się, zaintrygowany, pan Berenguer.

– Tak.

– Na pana miejscu zrezygnowałbym, panie Ardèvol. To duże pieniądze.

– Czy jest ich wart? – zapytał Feliks Ardèvol, patrząc na pana Jakiegośtam.

– Zapłaciłbym bez wahania. Gdybym je miał. Za ten przepiękny dźwięk.

– Guzik obchodzi mnie dźwięk.

– I wyjątkową wartość symboliczną.

– A, to faktycznie ma swoją cenę.

– I natychmiast zwrócimy skrzypce właścicielowi.

– Ależ on mi je dał w prezencie! Słowo honoru, tato!

Pan Plensa włożył płaszcz, dyskretnym spojrzeniem porozumiał się z żoną, wziął futerał i energicznym ruchem głowy nakazał Bernatowi, żeby szedł za nim.

Na czoło żałobnego orszaku, który niósł małą trumienkę, wysuwały się czarne myśli Bernata, przeklinającego moment, w którym pokazał matce autentycznego storioniego, żeby się przed nią popisać, a ta plotkara, jak tylko ojciec wrócił do domu, musiała mu powiedzieć popatrz, Joan, co takiego ma nasz chłopak. A pan Plensa najpierw rzucił okiem, potem dokładnie obejrzał, a po chwili milczenia powiedział ja pierdolę, skąd wytrzasnąłeś te skrzypce?

– Mają piękny dźwięk, tato.

– Tak, ale ja ciebie pytam, skąd do licha je wzięłeś.

– Joan, proszę!

– No już, Bernat. To nie są żarty. – Zniecierpliwiony: – Skąd je wzięłeś?

– Znikąd; to znaczy, dostałem je. Dostałem je od właściciela.

– A kim jest ten właściciel idiota?

– Adrian Ardèvol.

– To skrzypce Ardèvolów?

Cisza: matka i ojciec wymienili szybkie spojrzenia. Ojciec westchnął, wziął skrzypce, włożył je do futerału i powiedział natychmiast je oddamy właścicielowi.

To ja otworzyłem jej drzwi. Na progu stała kobieta młodsza od matki, bardzo wysoka, miała słodkie oczy, umalowane wargi, a jej twarz na mój widok przybrała sympatyczny wyraz. Od razu ją polubiłem. No nie, więcej niż polubiłem, prawdę mówiąc, zakochałem się w niej na zabój, na śmierć i życie, i miałem wielką ochotę zobaczyć ją nagą.

– Ty jesteś Adrian?

Skąd znała moje imię? Co za dziwny akcent.

– Kto przyszedł? – dobiegł głos Małej Loli z głębi mieszkania.

– Nie wiem – odpowiedziałem i uśmiechnąłem się do zjawy. Ona też się uśmiechnęła, puściła do mnie oko i zapytała, czy to matka.

Mała Lola weszła do przedpokoju, a widząc, jaką zjawa zrobiła minę, pomyślałem, że wzięła ją za matkę.

– To Mała Lola – wyjaśniłem.

– Signora Ardèvol? – zapytała anielskim głosem.

– Jesteś Włoszką! – odkryłem.

– Świetnie! Uprzedzono mnie, że jesteś bardzo rezolutnym chłopcem.

– Kto cię uprzedził?

Ponieważ matka od samego rana była w sklepie, walcząc o swoje i pilnując porządku, zjawa oświadczyła Małej Loli, że nie ma nic przeciwko temu, żeby na nią czekać tak długo, jak będzie trzeba. Mała Lola obojętnym gestem wskazała jej ławkę w przedpokoju i zniknęła. Kobieta usiadła, spojrzała na mnie, błysnął bardzo piękny złoty krzyżyk na jej szyi i zapytała come stai. Odpowiedziałem jej bene z czarującym uśmiechem, trzymając pod pachą futerał, bo właśnie wychodziłem na lekcję, a mistrz Manlleu tolerował tylko własną niepunktualność.

– Ciao! – pożegnałem się nieśmiało, otwierając drzwi. A mój anioł, nie ruszając się z ławki, wysłał mi w powietrzu pocałunek, który trafił prosto w serce i poruszył mnie do głębi. Czerwone wargi ułożyły się do bezgłośnego ciao, które odbiło się głośnie echem w moim sercu. Zamknąłem drzwi cichutko, żeby nie spłoszyć zjawy.

– Dziecko, nie przeciągaj dźwięków! Wychodzą ci rytmy negroidalne, epileptyczne, odpowiednie dla instrumentów dętych!

– Co?

– Patrz, patrz, patrz!

Mistrz Manlleu wyrwał mi skrzypce i sparodiował moje portamento z taką przesadą, że nie miało ono z moją grą nic wspólnego. Trzymając skrzypce pod brodą, powiedział takie portamento to gównno. Rozumiesz? Wariactwo, demencja, brud i chlew!

A ja już tęskniłem za panią Trullols, choć minęło dopiero dziesięć minut trzeciej lekcji z mistrzem Manlleu. Później, żeby zrobić wrażenie, powiedział, że on, kiedy był w jego wieku, och, ja w twoim wieku: byłem cudownym dzieckiem z prawdziwego zdarzenia. W twoim wieku grałem Maxa Brucha i nikt mnie tego nie uczył.

I znów wyrwał mu skrzypce i zaczynał sooooooosiresolsiila#faasool. Siresolsiiietcetera, no, pięknie.

– To jest prawdziwy koncert, a nie te zasrane ćwiczenia, które przerabiasz.

– A mógłbym grać Maxa Brucha?

– Dziecko, ty chcesz się zabierać do Brucha? Masz jeszcze mleko pod nosem. – Oddał mu skrzypce, podszedł krok bliżej i żebym go dobrze usłyszał, krzyknął głośno: – Gdybyś był mną, to co innego. Ale ja jestem niepowtarzalny. – I jeszcze dodał surowo: – Ćwiczenie dwudzieste drugie. Bez złudzeń, Ardèvol: Bruch był przeciętnikiem, któremu przypadkiem się udało. – Potrząsnął głową, urażony życiową niesprawiedliwością: – Gdybym ja mógł się poświęcić komponowaniu...

Ćwiczenie dwudzieste drugie, dei portamenti, służyło ćwiczeniu portamento, ale mistrz Manlleu, gdy tylko usłyszał pierwsze dźwięki, znów się na mnie wkurzył i wrócił do tematu swojego wcześniej ujawnionego geniuszu, tym razem na przykładzie koncertu Bartóka, który on w wieku piętnastu lat znał na wrywki.

– Trzeba ci wiedzieć, że dobry wykonawca oprócz zwykłej pamięci ma jeszcze pamięć szczególną, dzięki której zna nie tylko partię solisty, ale również partyturę orkiestry. Jeśli tego nie osiągniesz, nic z ciebie nie będzie; lepiej zajmij się kręceniem lodów albo zapalaniem lamp na ulicy. Tylko żebyś nie zapomniał ich później zgasić.

Tak więc nie zostawało mi nic innego jak dla świętego spokoju wykonać ćwiczenie na portamento bez portamento. Portamento ćwiczyłem później sam w domu. A Bruch był przeciętnikiem. Żebym przypadkiem o tym nie zapomniał, ostatnie trzy minuty trzeciej lekcji z mistrzem Manlleu odbyły się w przedpokoju jego mieszkania; ja stałem, z szyją okręconą szalikiem, podczas gdy on obsrywał cygańskich skrzypków, grających w barach i nocnych lokalach, którzy wyrządzają wielką krzywdę młodzieży, zachęcając ją do grania zbędnego i przesadnego portamento. Od razu widać, że chcą w ten sposób zrobić wrażenie na kobietach. Tak się nie gra portamento, tak tylko może popisywać się jakiś „marika”. Do następnego piątku, smarkaczu.

– Dobranoc, mistrzu.

– I zapamiętaj, wryj sobie w mózgu rozżarzone żelazem to, co tu usłyszałeś i co jeszcze ode mnie usłyszysz na każdej lekcji. Nie wszyscy dostępują przywileju studiowania pod moim kierunkiem.

Przynajmniej się potwierdziło, że pojęcie „marika” miało wyraźny związek ze skrzypcami. Ale na próżno sprawdzałem znaczenie w słowniku; takiego słowa nie znalazłem i wątpliwości pozostały. Bruch był pewnie takim sobie „mariką”. Tak przypuszczałem.

W tamtym czasie Adrian musiał być świętym człowiekiem, obdarzonym bezgraniczną cierpliwością, i tylko dlatego lekcje z mistrzem Manlleu nie wydawały mu się tak beznadziejne, jak wydają mi się teraz, kiedy spisuję te wspomnienia dla ciebie. Robiłem, co mi kazał; pamiętam, minuta po minucie, te wszystkie lata, które spędziłem pod jego jarzmem. A przede wszystkim po dwóch czy trzech sesjach zaświtała mi w głowie myśl, która dręczyła mnie później przez całe życie, że od solisty wymaga się tylko doskonałego wykonania. Może być łajdakiem, ale ma być doskonałością jako wirtuoz. Tak jak mistrz Manlleu, który posiadał wszystkie możliwe wady, ale grał rewelacyjnie.

Problem pojawił się dopiero, kiedy porównałem jego interpretację z grą mojego przyjaciela – dostrzegłem różnicę między doskonałością Manlleu i autentycznością Bernata. Z tego powodu teraz bardziej zainteresowała mnie sama muzyka. Nie rozumiem, czemu Bernat nie wykorzystuje swojego daru i obsesyjnie naraża się na rozczarowanie, pracowicie wyduszając z siebie książkę za książką, mimo oczywistej literackiej impotencji. Obaj mamy wyjątkowy talent do narażania się na rozczarowanie.

– Przecież ty nie popełniasz błędów! – protestował zbulwersowany Bernat, kiedy przed pięćdziesięciu laty dzieliłem się z nim swoimi wątpliwościami.

– Ale potrzebna mi jest świadomość, że wolno mi je popełnić. – Zdumiony Bernat nie wiedział, co na to odpowiedzieć. – Nie rozumiesz?

Z tego właśnie powodu porzuciłem skrzypce. Ale to osobna historia. Kiedy szliśmy razem do szkoły, zdawałem Bernatowi szczegółową relację z lekcji u mistrza Manlleu. Nigdy nie mogliśmy zdążyć na czas, bo w połowie ulicy Aragó, w dymie lokomotyw, który pokrywał sadzą fasady budynków, Bernat próbował grać bez skrzypiec, tak jak mnie uczył Manlleu, zwracając na siebie uwagę przechodniów,

a później stosował te wskazówki w domu i dzięki temu w każdą środę i piątek brał darmowe lekcje z drugiej ręki u wielkiego Manlleu.

– Dostaniecie karę w czwartek po południu. To już trzecie spóźnienie w ciągu ostatnich dwóch tygodni, chłopcy. – Woźny z jasnymi wąsami stał w drzwiach i uśmiechał się, zadowolony, że nas przyłapał.

– Ale...

– Żadne ale. – Potrząsnął zniechęconym notesem i wyciągnął ołówek spod fartucha: – Nazwisko i klasa.

W czasach mistrza Manlleu zamiast po kryjomu buszować w papierach świętej pamięci ojca, zamiast iść do Bernata odrabiać lekcje albo zaprosić go, żeby odrabiać lekcje u mnie, spędzaliśmy czwartkowe popołudnia w drugiej B, razem z innymi dwunastoma czy piętnastoma nieszczęśnikami, którzy nad otwartym podręcznikiem musieli odpokutować spóźnienia, podczas gdy Herr Oliveres albo profesor Rodrigo pilnowali nas, ze znużoną miną siedząc za katedrą.

A kiedy wracałem do domu, matka wypytywała mnie o lekcje z mistrzem i zadawała podchwytliwe pytania, żeby się upewnić, czy da się zorganizować w niedługim czasie jakiś olśniewający recital, słyszysz, Adrian?, z utworami pierwszej kategorii w repertuarze, bo tak jej najwidoczniej obiecał Manlleu, zapewniając, że to realne.

– Jakimi na przykład?

– *Sonata Kreutzerowska*. Sonaty Brahmsa – usłyszałem któregoś dnia.

– Ależ mam, to niemożliwe!

– Nic nie jest niemożliwe – odpowiedziała tak, jak kiedyś pani Trullols, która mi powiedziała nigdy nie mów nigdy, Ardèvol. Mimo że rada była bardzo podobna, nie zrobiła na mnie wrażenia.

– Nie umiem grać tak, jak ty byś sobie życzyła, mam.

– Będziesz grać doskonale.

Po czym wychodziła z pokoju w pół słowa, równie zręcznie jak ojciec nie dopuszczając do sprzeciwu, nie chcąc słuchać o tym, że nienawidzę doskonałości, jakiej wymaga się od wirtuoza, i podobnych argumentów; po prostu przechodziła na terytorium pani Angelety, a mnie było trochę smutno, bo mimo że matka znów ze mną rozmawiała, unikała patrzenia mi w oczy i bardziej ją interesowały moje postępy w grze niż przemożna chęć zobaczenia nagiej kobiety czy plamy na prześcieradle niewiadomego pochodzenia, chociaż wolałbym, żeby to akurat nie stało się tematem rozmowy. No i jak mam teraz ćwiczyć w domu i portamenti, skoro nie zagrałem jeszcze żadnego portamento?

W domu? Dopiero na schodach przypomniałem sobie o moim aniele, którego pozostawiłem bezdusznie na pastwę losu, dyskutując z Manlleu o murzyńskich rytmach. Przeskakiwałem po dwa stopnie, obawiając się, że mój anioł pewnie już odleciał, czego nie mógłbym sobie wybaczyć; niecierpliwie zastukałem do drzwi, a kiedy otworzyła mi Lola, odsunąłem ją, żeby spojrzeć na ławkę. Karminowy uśmiech znów mnie powitał słodkim ciao i poczułem, że jestem najszczęśliwszym skrzypkiem na świecie.

Trzy godziny po tym, jak objawiła się w naszym domu ta cudowna zjawia, przyszła matka, wyraźnie czymś zmartwiona, a kiedy zobaczyła anioła w przedpokoju, spojrzała wymownie na Małą Lolę, która wyszła jej na spotkanie, dając do zrozumienia, że wszystko jest jasne, i nie tracąc czasu na zbędne prezentacje, od razu wpuściła gościa do gabinetu ojca. Po trzech minutach zza drzwi zaczęły dochodzić krzyki.

Czym innym jest dokładne śledzenie rozmowy, a czym innym zrozumienie, o co w niej chodzi. System szpiegowski, jaki stosował Adrian, żeby wiedzieć, co się działo w gabinecie ojca, był bardzo skomplikowany i trzeba go było zmieniać, w miarę jak przybywało mu kilogramów i centymetrów, ponieważ nie mógł już po prostu schować się za sofą. Kiedy usłyszałem pierwsze krzyki, uznałem, że muszę w jakiś sposób bronić mojego anioła przed gniewem matki. Przez garderobę można było się

dostać na galerię od strony podwórza, obok pralni, na którą wychodziło zawsze zamknięte okno gabinetu, z szybami z rżniętego szkła. Przez to okno padało teraz światło na ciemny, zabudowany balkon. Skuliłem się pod parapetem, żeby podsłuchać rozmowę. Tak jakbym był przy niej obecny. W domu zawsze było mnie wszędzie pełno. Prawie wszędzie. Matka pobladała po przeczytaniu listu i utkwiała wzrok w ścianie.

– Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

– Ponieważ odziedziczyłam folwark Casic w Tonie.

– Słucham?

Zamiast odpowiedzi mój anioł podał jej kolejny dokument, w którym notariusz Garolera z Vic potwierdzał przejęcie na własność drogą darowizny domu, stodoły, stawu i trzech działek rolnych przez Daniełę Amato, urodzoną w Rzymie 25 grudnia 1919 roku, córkę Karoliny Amato i nieznanego ojca.

– Folwark Casic w Tonie? – Zaprotestowała stanowczo: – On nie był własnością Feliksa.

– Był. A teraz jest mój.

Matka starała się powstrzymać drżenie ręki, w której trzymała dokument. Pogardliwym gestem oddała go właścicielce.

– Nie wiem, co chce pani w ten sposób osiągnąć. O co pani chodzi?

– O sklep. Mam do niego prawo.

Z tonu głosu wydedukowałem, że mój anioł powiedział te słowa z uśmiechem tak rozkosznym, że nasza mnie chęćka zacałować ją na śmierć. Gdybym był na miejscu matki, dałbym jej sklep i całą resztę, pod warunkiem, że nigdy nie przestanie się uśmiechać. Ale matka, zamiast dać jej cokolwiek, zaczęła się śmiać, udając, że robi to szczerze, fałszywym śmiechem, który od niedawna włączyła do swojego repertuaru. Przestraszyłem się, bo poznałem ją teraz jako osobę bezlitosną, wcale nie anielską; dotychczas widziałem ją albo ze spuszczonym wzrokiem w obecności ojca, albo zimną i nieobecną, kiedy debiutowała w roli wdowy i zaczynała planować moją przyszłość. Ale nie miałem okazji zobaczyć, jak pstryka palcami, żądając ponownie dokumentu potwierdzającego własność folwarku Casic, żeby później oświadczyć, po chwili milczenia, gównu mnie obchodzi ten kurrewski dokument.

– To dokument notarialny. Mam również prawo do mojej części sklepu. Po to przychodzę.

– Mój adwokat przekaże pani odpowiedź odmowną na każdą pani propozycję. Wykluczając wszelkie roszczenia.

– Jestem córką pani męża.

– Równie dobrze może pani być córką Raquel Meller. To jakaś bujda.

Mój anioł powiedział nie, pani Ardèvol, to nie bujda. Rozejrzała się wokoło, uważnie, i powtórzyła, to nie bujda: piętnaście lat temu byłam już w tym gabinecie. Wtedy też nie poproszono mnie, żebym usiadła.

– Co za niespodzianka, Karolino – powitał je Feliks Ardèvol i aż otworzył usta z wrażenia, całkiem zbity z tropu. Nawet jego głos zaczął się łamać, taki był zaskoczony. Wpuścił obie kobiety i od razu zabrał je do gabinetu, zanim Mała Lola, zajęta przeprowadzką i układaniem posagu Carme, zdążyła zauważyć tych niefortunnych gości.

Wszyscy troje stali w gabinecie, a tymczasem w całym domu panował bałagan, tragarze wnosili meble matki, komodę babci, lustro z przedpokoju, które Feliks zgodził się umieścić w garderobie; ludzie wchodzili i wychodzili, a Małej Loli wystarczyły zaledwie dwie godziny, żeby poznać dom pana Ardèvola co do kafelka, o mój Boże, jakie porządne mieszkanie będzie miała nasza panienka. Drzwi do gabinetu pozostawały zamknięte, ukrywając gości, których wizyta wcale go nie ucieszyła, chociaż Lola i tak nie mogłaby się wtrącać do spraw pana Feliksa.

– Jesteś zajęty? – zapytała starsza z kobiet.

– Bardzo. – Podniósł ręce. – Mamy tu teraz straszne zamieszanie. – Oschłym tonem: – Czego chcesz?

Wybuchnęła szczerym śmiechem. Nie wiedział, gdzie podziać oczy. Żeby wybrnąć z niezręcznej sytuacji, Feliks wskazał młodą kobietę ruchem głowy i zapytał, mimo że się domyślał odpowiedzi, kim

jest ta piękna panienka?

– Twoją córką, Feliksie.

– Karolino, ja...

Karolina śledziła na bieżąco prawie wszystko, co się z nim działo od chwili, gdy jej seminarzysta, któremu tak dobrze patrzyło z oczu, wykręcił się jak tchórz, kiedy położyła jego rękę na swoim brzuchu.

– Ależ przespaliśmy się raptem trzy czy cztery razy! – protestował zaniepokojony, blady, przestraszony, przerażony, spocony.

– Dwanaście – odpowiedziała z powagą. – Wystarczyłby nawet jeden raz.

Cisza. Ukryć przerażenie. Spojrzeć w przyszłość. Poszukać awaryjnego wyjścia. Patrzeć dziewczynie prosto w twarz i słyszeć, jak mówi z isierką radości w oczach prawda, że się cieszysz, Feliksie?

– Jeszcze jak.

– Feliks, będziemy mieli dziecko!

– Świetnie. Co za radość.

A następnego dnia uciekł z Rzymu, porzucając studia w połowie. Najbardziej mu było żal, że nie usłyszy końcowego wykładu ojca Faluby.

– Feliks Ardèvol? – nie mógł uwierzyć biskup Muñoz, otwierając usta ze zdumienia. – Feliks Ardèvol i Guiteres? – Z powątpiewaniem pokręcił głową. – To niemożliwe.

Siedział za stołem w swoim gabinecie, a ksiądz Ayats stał przed nim z teczką w ręce, usłużny do przesady, co zawsze złościło jego ekscelencję. Przez balkon pałacu dochodziło skrzypienie nadmiernie przeładowanego wozu i krzyk kobiety karcącej dziecko.

– A jednak możliwe. – Sekretarz biskupa nie potrafił ukryć satysfakcji. – Na nieszczęście naprawdę to zrobił. Zostawił ciężarną kobietę i...

– Proszę mi oszczędzić szczegółów – poprosił biskup.

Wprowadzony w najdrobniejsze detale sprawy wielbny Muñoz udał się na modlitwę w stanie wielkiego poruszenia; szeptał sam do siebie, zgorszony, co za szczęście, że biskup Torres i Bages nie doczekał tego wstydu i nie dowiedział się, do czego jest zdolny ten, który w powszechnym mniemaniu był dumą biskupstwa, a tymczasem ksiądz Ayats spuszczał skromnie oczy, bo on, i owszem, od dawna wiedział, że ten Ardèvol to fałszywa perła. Bardzo sprytny, filozof z bożej łaski, dobry do tego i owego, ale przede wszystkim kawał łobuza.

– Skąd wiedziałaś, że jutro się żenię?

Karolina nie odpowiedziała. Jej córka tak była zaabsorbowana wpatrywaniem się w tego pana, który miał być jej ojcem, że nie śledziła toku rozmowy. Karolina spojrzała na Feliksa i zobaczyła mężczyznę, który brzydko się postarzał – przytył, stracił dawny wdzięk, miał ciemniejszą skórę i zmarszczki wokół oczu – i uśmiechnęła się w duchu.

– Twoja córka ma na imię Daniela.

Daniela. Wygląda jak jej matka, kiedy ją poznałem.

– Tamtego dnia, w tym miejscu – ciągnął dalej mój anioł – pani mąż pod przysięgą przeznaczył dla mnie jako darowiznę folwark Casic. A kiedy wrócili państwo z Majoroki, darowizna została przeprowadzona formalnie.

Podróż na Majorkę, dni spędzone z mężem, który już nie zdejmował kapelusza na jej widok, bo przez cały dzień byli razem, i z tego samego powodu nie mógł jej mówić jak się masz, ślicznotko. A może i mógł, ale tego nie robił. Początkowo mąż odnosił się do niej z atencją, ale z czasem pogrążył się w swoich myślach i w milczeniu; wiesz, synu, nigdy mi się nie udało zrozumieć, co takiego robi twój ojciec, rozmyślając i milcząc całymi dniami. Tak sobie rozmyślał i milczał przez całe życie. Tylko od czasu do czasu narażał się na jego krzyk czy uderzenie ktoś, kto mu się nawinał w momencie, kiedy przypominał sobie o tamtej włoskiej dziwce, i proszę, tak się za nią stęsknił, że dał jej folwark Casic w prezencie.

– Skąd pani wiedziała, że mój mąż nie żyje?

Mój anioł spojrział matce prosto w oczy, nie zwracając uwagi na jej pytanie:

– Obiecał mi. Nie, przysiągł, że będę jednym ze spadkobierców.

– Już chyba pani wie, że nie figuruje w testamencie.

– Nie przypuszczał, że tak szybko umrze.

– Do widzenia. Proszę pozdrowić matkę.

– Ona też już nie żyje.

Matka nie powiedziała przykro mi ani nic w tym stylu. Otworzyła drzwi gabinetu, a mój anioł jeszcze raz powtórzył, odwracając się w jej stronę:

– Część sklepu należy do mnie i będę walczyć do upadłego, żeby go od

– Do widzenia.

Drzwi wyjściowe zostały zatrzęsnięte tak gwałtownie, jak w dniu, kiedy ojciec wyszedł z domu prosto na pewną śmierć. Ja, prawdę mówiąc, niewiele z tego zrozumiałem. Miałem tylko niejasne podejrzenie sam nie wiem czego. W tamtych czasach ablativus absolutus nie miał dla mnie tajemnic, ale życie, i owszem. Matka wróciła do gabinetu i starannie zamknęła za sobą drzwi; przez chwilę przeglądała zawartość sejfów, aż znalazła zielone pudełko, usunęła warstwę różowej waty i wyciągnęła łańcuszek z zawieszonym na nim bardzo ładnym złotym medalikiem. Włożyła go z powrotem do pudełka i wyrzuciła do kosza. Później siadła na sofie i wybuchnęła płaczem, wypłakując całą złość i żal, jakie zbierały się w niej od dnia zamążpójścia, a łzy wywołane mieszaniną smutku i wściekłości miały gorzki smak.

Byłem bardzo sprytny. W towarzystwie przebiegłego Czarnego Orła (tak, wiem, że to dziecinada, ale czasami potrzebowałem moralnego wsparcia), kiedy wszyscy już spali, wślizgnąłem się do gabinetu ojca i po omacku przewracałem zawartość kosza tak długo, aż natrafiłem na sześcian pudełka. Kiedy wziąłem je do ręki, dzielny Arapaho gestem powstrzymał mnie przed popełnieniem nieostrożności. Stosując się do jego poleceń, zapaliłem lampę z lupą, otworzyłem pudełko i wyciągnąłem z niego medalik. Pudełko zamknąłem i bezszelestnie umieściłem na dnie kosza. Adrian zgasił lampę i wycofał się, z łupem w ręce, do swojego pokoju. Kiedy zamknął za sobą drzwi, wbrew niepisanej zasadzie, że drzwi w domu mają być tylko przymknięte, nigdy całkiem zamknięte, zapalił nocną lampkę, gestem podziękował Czarnemu Orłu i już mógł dać upust swojej ciekawości, która go przyprawiła o palpacje. Medalik przedstawiał Matkę Boską wygrawerowaną niewprawną ręką, najwyraźniej zainspirowaną jakąś romańską rzeźbą; trochę przypominała Morenetę z Montserrat, z wątłym dzieciątkiem w ramionach. Tło, co ciekawe, przedstawiało na dalszym planie ogromne drzewo z bujną koroną. Rewers medalika, gdzie spodziewał się znaleźć wyjaśnienie tej tajemnicy, był gładki, poza jednym słowem, Pardàc, wygrawerowanym niewprawną ręką w dolnej części. I nic więcej. Wąchałem medalik, szukając na nim zapachu mojego anioła, ponieważ, nie wiedząc, jak i dlaczego, byłem przekonany, że jest blisko związany z moją wielką, jedyną i wieczną włoską miłością.

Matka spędzała całe przedpołudnia w sklepie. Przekraczając próg, unosiła brwi i nie opuszczała ich aż do chwili wyjścia. Z miejsca uznała wszystkich za wrogów, którym nie można ufać. Okazuje się, że to dobra metoda. Na początek zaatakowała pana Berenguera i odniosła sukces, ponieważ nieoczekiwany atak nie dał mu czasu na przygotowanie obrony i nie wiedział, jak ma zareagować. Kiedy był zgrzybiałym starcem, sam mi to powiedział, nawet z odrobiną podziwu dla swego osobistego wroga. Nigdy nie przypuszczałem, że twoja matka wie, co to weksel, albo że potrafi odróżnić drewno hebanowe od wiśniowego. Ale umiała to wszystko i dużo wiedziała o pokątnych transakcjach, które twój ojciec

– Pokątnych transakcjach?

– Mówiąc wprost, całkiem nielegalnych.

Tak więc matka chwyciła cugle sklepu i zaczęła rozkazywać ty rób to, a pan tamto, nie patrząc im w oczy.

– Pani Ardèvol – zwrócił się do niej któregoś dnia pan Berenguer, wchodząc do biura pana Ardèvola, które bezskutecznie próbował przekształcić w biuro pana Berenguera. Wymówił jej nazwisko, pani Ardèvol, z nieukrywany gniewem. Spojrzała na niego, unosząc jedną brew, bez słowa.

– Wydaje mi się, że przysługują mi jakieś prawa, nabyte w ciągu lat pracy na najwyższym profesjonalnym poziomie. To ja jestem tu ekspertem, ja podróżuję, skupuję, wiem, za ile kupić i za ile sprzedać. Umieję się targować, a jak trzeba, potrafię mydlić oczy. Ja! Pani mąż zawsze miał do mnie zaufanie! To niesprawiedliwe, żebym teraz... Ja znam się na tej pracy!

– To proszę ją wykonywać. Ale począwszy od tego momentu, i ja będę panu wyznaczać zadania. Na przykład: w Turynie z trzech konsoli proszę kupić dwie, chyba że tę trzecią dadzą panu w prezencie.

– Lepiej kupić wszystkie trzy. Dzięki temu uzyskamy lepszą c

– Dwie. Powiedziała Ottavianiemu, że odbierze je pan jutro.

– Już jutro?

Nie, żeby nie lubił podróżować, skądże znowu, nawet bardzo lubił. Ale wyjazd do Turynu na parę dni oznaczał konieczność pozostawienia sklepu na pastwę tej jędzy.

– Tak, jutro. Cecylia pójdzie kupić bilety dziś po południu. I proszę wrócić pojutrze. Jeśli będzie pan uważał, że trzeba podjąć decyzję inną, niż została ustalona, proszę to ze mną uzgodnić telefonicznie.

Sklep funkcjonował teraz na innych zasadach. Pan Berenguer był tak zaskoczony, że od paru tygodni nie zamykał ust ze zdziwienia. A Cecylia od paru tygodni dyskretnie starała się ukryć niewinny uśmiešek; no, może niezbyt dyskretnie, bo jednak chciała dać do zrozumienia panu Berenguerowi, że zauważyła, jak bardzo tym razem powinęła mu się noga. Jakaż słodka jest zemsta.

Jednak pan Berenguer widział to inaczej i tego samego ranka, zanim pani Ardèvol zjawiała się w sklepie, żeby przewrócić wszystko do góry nogami, stanął przed Cecylią, oparł ręce na stole, pochylił się w jej stronę i zapytał a ty z czego się śmiesz, do jasnej cholery?

– Z niczego. Tyle że wreszcie ktoś tu robi porządek i wprowadza dyscyplinę.

Pan Berenguer zastanawiał się, czy wymierzyć jej policzek, czy raczej ją udusić. Spojrzała mu w oczy i dodała dlatego się śmieję, do jasnej cholery.

To była jedna z tych nielicznych sytuacji, kiedy pan Berenguer stracił panowanie nad sobą. Okrążył stół i chwycił ją tak niefortunnie i z taką siłą, że zwichnął jej ramię; Cecylia aż krzyknęła z bólu. Dlatego, kiedy pani Ardèvol weszła do sklepu, punktualnie o dziesiątej, panowała tam cisza tak gęsta, że można ją było kroić żyłką, cisza po burzy.

– Dzień dobry, pani Ardèvol.

Cecylia nie mogła poświęcić uwagi właścicielce, bo w tym samym momencie pojawiła się klientka z niecierpiącą zwłoki potrzebą zakupu dwóch krzeseł pasujących do komody na zdjęciu, o, widzi pani, z takimi nóżkami jak tu, dobrze?

– Niech pan przyjdzie do mojego biura, panie Berenguer.

Uzgodnili szczegóły podróży do Turynu w pięć minut. Następnie pani Ardèvol otworzyła aktówkę pana Ardèvola, wyciągnęła z niej skoroszyt, rozłożyła na stole i nie patrząc na swoją ofiarę, powiedziała teraz niech mi pan wyjaśni, dlaczego to, to i to się nie zgadza. Klient płaci dwadzieścia, a przez kasę przechodzi piętnaście.

Pani Ardèvol zaczęła bębnić palcami po blacie, z premedytacją naśladowując gest najlepszego detektywa na świecie. Następnie spojrzała na pana Berenguera i podsunęła mu pod nos to, to i to, potwierdzenie setek transakcji uszczuplających zysk firmy. Pan Berenguer z odrazą rzucił okiem na pierwsze „to” i miał dość. Jakim cudem ta baba do tego doszła...

– Pomogła mi Cecylia – powiedziała matka, jakby czytała w jego myślach, tak jak czytała w moich. Sama bym na to nie wpadła.

Dwie przekłete dziwki, jedna warta drugiej. Tak to jest, kurwa, jak się pracuje z babami.

– Od kiedy pan uprawia ten nielegalny proceder na niekorzyść firmy?

Milczenie godne Jezusa przed Piłatem.

– Od zawsze?

Milczenie przewyższające godnością milczenie Jezusa.

– Będę musiała pana zadenuncjować.

– Robiłem to za zgodą pana Ardèvola.

– Oj, bo uwierzę.

– Wątpi pani w mój honor?

– Oczywiście! Z jakiego powodu mój mąż miałby panu pozwolić nas oszukiwać?

– To nie oszustwo: to poprawianie cen.

– Więc z jakiego powodu mój mąż miałby panu pozwolić na poprawianie cen?

– Ponieważ uznał, że moja pensja była zbyt niska w stosunku do zasług dla firmy.

– To czemu jej panu nie podniósł?

– O to jego trzeba zapytać. Przepraszam. Ale tak to funkcjonowało.

– Ma pan jakiś dokument, który by to potwierdzał?

– Nie. Wszystko było na gębę.

– A więc będę musiała pana zadenuncjować.

– Wie pani, czemu Cecylia dała pani te paragony?

– Nie.

– Bo chce mnie pogrążyć.

– Dlaczego? – Matka, zaintrygowana, usadowiła się wygodniej w fotelu.

– To stara historia.

– Proszę usiąść. Mamy czas. Pański samolot odlatuje po południu.

Pan Berenguer usiadł. Pani Ardèvol oparła brodę na dłoni. Spojrzała mu w oczy, żeby go zachęcić do mówienia.

– Szybko, Cecylio, mamy mało czasu.

Cecylia uśmiechnęła się obleśnie, tak jak uśmiechała się wtedy, gdy nikt jej nie widział, i pozwoliła panu Ardèvalowi wziąć się za rękę i pociągnąć do biura, właśnie tu.

– Gdzie jest Berenguer?

– W Sarrià. Opróżnia mieszkanie państwa Pericas-Sala.

– Nie wysłaliście tam Cortésa?

– Nie miał zaufania do spadkobierców. Chcą ukryć przed nami to i owo.

- Co za szczury. Rozbierz się.
- Drzwi są otwarte.
- To bardziej emocjonujące. Rozbieraj się.

Cecylia stała naga na środku biura, ze spuszczonej oczami i tym swoim uśmiechem niewiniątka. Nie opróżniałem mieszkania państwa Pericas-Sala, bo spis inwentarzowy ograniczał im pole manewru i pozwalał wyegzekwować wszystko, co do pinezki. A ta bezwstydnica siedziała na tym biurku i robiła dobrze pani mężowi.

- Coraz lepiej ci idzie.
- Ktoś może wejść.
- Ty rób swoje. Jeśli ktoś przyjdzie, ja się nim zajmę. Wyobrażasz to sobie?

Zaczęli się śmiać jak wariaci, nie zważając na bałagan, jaki robili wokół siebie. Wtedy spadł na ziemię kałamarz, widzi pani tę plamę?

- Kocham cię.
- Ja ciebie też. Pojedziesz ze mną do Bordeaux.
- A sklep?
- Pan Berenguer się nim zajmie.
- Przecież on nie wie nawet, gdzie
- Ty rób swoje. Pojedziesz do Bordeaux i będziemy sobie używać każdej nocy.

Wtedy zadzwonił dzwonek w drzwiach i wszedł klient zainteresowany kupnem broni japońskiej, którą już oglądał w ubiegłym tygodniu. Podczas gdy Feliks go obsługiwał, Cecylia robiła co mogła, żeby doprowadzić się do porządku.

- Możesz się zająć tym panem, Cecylio?
- Chwileczkę, panie Ardèvol.

Bez bielizny pod ubraniem, próbując zatrzeć ślad szminki rozmazanej po całej twarzy, Cecylia wyszła z biura mocno zarumieniona i dała znak klientowi, żeby poszedł za nią, a tymczasem Feliks rozbawiony obserwował całą scenę.

- Czemu pan mi to opowiada, panie Berenguer?
- Żeby pani wiedziała o wszystkim. Ten romans trwał wiele lat.
- Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.
- To jeszcze nie wszystko. Przykra sprawa.
- Słucham; już panu mówiłam, że mamy czas.

– Jesteś tchórzem. Nie, nie, nie przerywaj mi: jesteś tchórzem. Przez pięć lat zawracałeś mi głowę śpiewką tak, Cecylio, w przyszłym miesiącu wszystko jej powiem, obiecuję. Tchórz. Przez pięć lat mamieś mnie obietnicami. Pięć lat! Nie jestem dzieckiem. (...) Nie, nie, nie! Teraz ja mówię: nigdy nie zamieszkamy razem, bo ty mnie nie kochasz. Nie, milcz, masz mnie wysłuchać. Powiedziałam ci, zamknij się! Możesz sobie wsadzić gdzieś te twoje piękne słówka. Skończyło się. Słyszysz? Co? (...) Nie. Nie chcę tego słuchać. Odłożę słuchawkę, jak mi się zechce. Nie, mój panie. Rzygam już twoimi kłamstwami.

- Już panu powiedziałam, że nie wierzę w ani jedno pańskie słowo. Wiem, co mówię.
- Jak pani sobie życzy. Rozumiem, że mam poszukać pracy gdzie indziej.
- Nie. Co miesiąc będzie mi pan oddawał to, co pan ukradł, i nadal może pan tu pracować.
- Wolę odejść.
- W takim przypadku zadenuncjuję pana, panie Berenguer.

Matka wyciągnęła z portfela kartkę z jakimiś liczbami.

– To pańska pensja od dziś. A tu, o proszę, ta część, którą będę panu potrącać jako zwrot długu. Jestem zdecydowana odzyskać wszystko co do grosza, a z więzienia byłoby trudno. Co pan na to, panie Berenguer?

Pan Berenguer otwierał i zamykał usta jak ryba. A musiał jeszcze znieść nad sobą oddech pani

Ardèvol, która wstała i pochylając się nad stołem, mówiła mu prosto w twarz, łagodnym tonem, a gdyby przydarzyło mi się coś dziwnego, to niech pan nie zapomina, że wszystkie informacje i instrukcje dla policji zostały zdeponowane w sejfie u pewnego notariusza w Barcelonie, dwudziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, podpisane Carme Bosch d’Ardèvol. Iks, iks, iks, notariusz, potwierdzam. I po kolejnej chwili ciszy powtórzyła i co pan na to, panie Berenguer?

A skoro już zebrała się na odwagę i przewyciężyła wstyd, z równym tupetem poprosiła o audiencję u gubernatora cywilnego Barcelony, znieawidzonego Acedo Colungi. Wchodząc w rolę wdowy po generale Moraguesie, pani Carme Bosch d’Ardèvol domagała się sprawiedliwości od osobistego sekretarza gubernatora.

– Sprawiedliwości w jakiej sprawie?

– Chodzi o zabójstwo mojego męża.

– Najpierw muszę się dowiedzieć, o czym pani mówi.

– W formularzu, który kazano mi wypełnić, wyjaśniłam, z jakiego powodu proszę o audiencję, ze wszystkimi szczegółami. – Pauza. – Przeczytał pan?

Sekretarz gubernatora zajrzał do papierów na biurku. Przeczytał je z uwagą. Czarna wdowa, starając się oddychać spokojnie, pomyślała, co ja tu robię, narażając się dla mężczyzny, który lekceważył mnie od samego początku i przez całe kurrewskie życie nigdy mnie nie kochał.

– Bardzo dobrze – powiedział sekretarz. – A czego pani oczekuje?

– Chcę rozmawiać z jego ekscelencją gubernatorem cywilnym.

– Już pani rozmawia ze mną, a to na jedno wychodzi.

– Chcę rozmawiać z gubernatorem osobiście.

– Niemożliwe, niech pani to sobie wybije z głowy.

– Ale...

– Nic z tego.

Nic nie wskórała. Kiedy wychodziła z gmachu, w którym urzędował gubernator cywilny, na trzęsących się z bezsilnej wściekłości nogach, postanowiła, że da już sobie spokój. Może większy wpływ na tę decyzję miało pojawienie się mojego anioła stróża niż arogancja frankistowskiej władzy. A także docierające z różnych stron wkurzające sugestie, że Feliks był jakimś rozbuchanym lubieżnikiem. A może wreszcie doszła do wniosku, że nie warto było domagać się sprawiedliwości dla kogoś, kto był dla niej niesprawiedliwy. Może to było tak. A może inaczej. No dobrze, przyznaję się: nie mam zielonego pojęcia; zaraz po moim ojcu największą zagadką w moim życiu, zanim poznałem ciebie, była moja matka. Ale stało się inaczej: upłynęły zaledwie dwa dni, a już sytuacja trochę się zmieniła, a wraz z nią również uległy zmianie jej plany, i na ten temat mam informacje z pierwszej ręki; nie muszę niczego zmyślać.

– Rzzrzzrzzrzzrzzrzz.

Ja otworzyłem drzwi. Matka wróciła przed chwilą po awanturze w sklepie i zdaje się, że była w łazience. Wszedł komisarz Plasencia, poprzedzony smrodem tabaki.

– Zastałem panią Ardèvol? – Skrzywił się jakoś dziwnie, jakby chciał się do mnie uśmiechnąć. – My się już chyba znamy, prawda? – powiedział.

Matka wpuściła komisarza i jego śmierzącą aurę do gabinetu. Serce waliło jej bum, bum, bum, a mnie bim, bam, bom, bo musiałem zwołać pilną naradę z udziałem Czarnego Orła i Carsona, bez wierzchowców, żeby uniknąć hałasu. Balkon, na który wychodziło okno gabinetu, zajmowała akurat Mała Lola, dlatego zdobyłem się na szaleństwo i wślizgnąłem się jak złodziej za sofę, w chwili, kiedy matka i policjant siadali, głośno szurając krzesłami. Wtedy po raz ostatni wykorzystałem sofę jako bazę szpiegowską: nogi niestety za bardzo mi urosły. Matka jeszcze wyszła na chwilę; musiała uprzedzić Małą Lolę, żeby im nikt nie przeszkadzał, nawet gdyby spłonął sklep, słyszysz, Lolu? Szybko wróciła i zamknęła drzwi, z całą naszą piątką w środku.

– Słucham pana, panie komisarzu.

– Zdaje się, że chciała pani podważyć moje kompetencje w oczach Jego Ekscelencji gubernatora cywilnego.

– Niczego nie podważam ani nie krytykuję. Po prostu domagam się informacji, która mi się należy.

– Więc teraz dowie się pani o wszystkim i zobaczymy, czy wykaże pani zrozumienie sytuacji.

– Zobaczymy – powiedziała z ironią. W milczeniu biłem jej brawo, tak jak oklaskiwała mnie kiedyś najlepsza żona najlepszego paleografa na świecie.

– Przykro mi, ale muszę panią uprzedzić, że jeżeli zaczniemy grzebać w życiu pani męża, znajdziemy bardzo nieprzyjemne rzeczy. Chce pani słuchać?

– Jak najbardziej.

Myślę, że po zjawieniu się mojego włoskiego anioła (dotknąłem z miłością medalika, który ukrywałem na szyi) matka była już przygotowana na wszystko. Dlatego dodała proszę mówić, panie komisarzu.

– Uprzedzam, że potem pani powie, że wszystko sobie zmyśliłem. Nie uwierzy mi pani.

– Niech pan jednak spróbuje.

– Bardzo dobrze.

Komisarz zrobił pauzę, a następnie zaczął jej wyłuszczać prawdę i tylko prawdę. Powiedział, że pan Feliks Ardèvol był przestępcą, który prowadził dwa domy publiczne w Barcelonie i wpłatał się w ponurą aferę prostytuowania nieletniej. Czy wie pani, co to takiego dziwka, proszę pani?

– Proszę mówić dalej.

– Il fait déjà beaucoup de temps que son mari mène une double vie, madame Agdevol. Deux prostíbuls (prostiboules?) z l'agreujant (agreujant?) de faire, de... de... d'utiliser des filles de quinze ou seize ans. Je suis désolé d'être obligé de parler de tout ça.

Na szczęście przeszedł mi skurcz stopy, bo mój francuski dziś nie zdał egzaminu, i znów mogłem wrócić do trudnej, cedzonej przez zęby hiszpańszczyzny komisarza. Wydawało mi się, że Carson puścił do mnie oko, kiedy zauważył, że udało mi się opanować skurcz.

– Chce pani, żebym mówił dalej?

– Bardzo proszę.

– Zdaje się, że to po prostu była zemsta ojca jednej z tych dziewcząt, które pani mąż nakłaniał do prostytucji. Bo przed umieszczeniem ich w domu publicznym, najpierw sam je wypróbował. Rozumie mnie pani? – Z odrobiną emfazy: – Rozdziewiczał je.

– Hauk.

– Tak.

– To już mamy dwa słowa.

– Tak: dom publiczny i rozdziewiczyć.

– Takie to przerażające, że aż trudno uwierzyć. Niech pani się postawi na miejscu tych dziewcząt. Czy ojca tych dziewcząt. Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Wykluczone, panie komisarzu.

– Jeśli pani sobie życzy, możemy się rozejrzeć i odnaleźć tego zdesperowanego ojca, który zniknął, kiedy już sam wymierzył sprawiedliwość. Ale w każdej chwili może wyjść na jaw mało budujące życie pani męża.

Cisza. Moja stopa zaczyna bouger encore une fois. Coś słyhać. Pewnie komisarz odkłada niedozwolone cygaro. Nagle odzywa się głos matki.

– Wie pan co, panie komisarzu?

– Tak?

– Miał pan całkowitą rację. Nie uwierzyłam w ani jedno pańskie słowo. Zmyśla pan. Nie wiem tylko, po co.

– A widzi pani? Widzi pani? Uprzedzałem, że tak będzie. – Podnosząc głos: – Mówiłem czy nie? Co?

– To żaden argument.

– Ja, jeśli nie obawia się pani konsekwencji, mogę pociągnąć ten wątek. Jakie brudy znajdziemy... to wiedziałyby tylko pani mąż.

– Do widzenia, panie komisarzu. Muszę przyznać, że pan się starał.

Matka wyrażała się jak Old Shatterhand, z łobuzerskim wdziękiem. Podobało mi się. Carson i Czarny Orzeł nie wierzyli własnym oczom; zrobiło to na nich takie wrażenie, że wieczorem Czarny Orzeł zapytał, czy nie mógłby się odtąd nazywać Winnetou, ale się nie zgodziłem. Matka powiedziała do widzenia, chociaż jeszcze oboje siedzieli! Od kiedy zaczęła wszystkich tresować w sklepie, nabrała teatralnych manier. Dlatego komisarzowi nie pozostało nic innego jak wstać, bełkocząc coś pod nosem. A mnie dręczyła wątpliwość, czy to, co komisarz powiedział o ojcu, czego zresztą nie zrozumiałem, było prawdą czy nie.

– Hauk.

– Tak. Pierwsze to dom publiczny, a to drugie?

– Rozkulbaczyć? – zasugerował Carson.

– Nie wiem. Coś w tym rodzaju.

– No to sprawdźmy dom publiczny. Tak, w encyklopedii Espasy.

– Dom publiczny: zamtuz, lupanar albo burdel.

– O kurczę. Musimy sprawdzić w innym tomie zamtuz.

– Zamtuz: dom publiczny, burdel, przybytek kobiet lekkich obyczajów.

Cisza. Wszyscy trzej spojrzeli po sobie zdezorientowani.

– A lupanar?

– Lupanar: zamtuz, burdel, dom publiczny. Kurczę, w kółko to samo. Miejsce lub dom, który służy za schronienie ludziom, którzy źle się prowadzą.

– No to burdel.

– Burdel: zamtuz, lupanar.

– Cholera.

– Ej, zaczekaj. Dom lub miejsce, w którym uwłacza się przyzwoitości, hałasując i bałaganiąc.

A więc ojciec miał zamtuzy, czyli hałaśliwe domy dla publiczności. I z tego powodu mieliby go zabić?

– A gdybyśmy sprawdzili „rozkulbaczyć”?

– A jak jest „rozkulbaczyć” po hiszpańsku?

Zamilkli na chwilę. Adrian był zdezorientowany.

– Hauk.

– Tak.

– W tym wszystkim nie chodzi o hałas, tylko o seks.

– Na pewno?

– Na pewno. Kiedy wojownik zaczyna dorastać, szaman wprowadza go w tajniki seksu.

– Kiedy ja będę dorastać, nikt mnie nie wprowadzi w tajniki seksu.

Cisza zabarwiona goryczą. Usłyszałem energiczne splunięcie.

– Mów, Carsonie.

– Gdybym tak mógł mówić.

– No mów, do cholery.

– Nie. Nie można, ze względu na wiek.

Szeryf Carson miał rację. Nigdy nie byłem w odpowiednim wieku na cokolwiek. Albo byłem za młody, albo jestem za stary.

– Włóż ręce do ciepłej wody. Wyciągnij, wyciągnij, żeby ci za bardzo nie zmiękły. Ruszaj się. Nie denerwuj się. Uspokój się. Ruszaj się. Oddychaj głęboko. Stań. Właśnie tak. Bardzo dobrze. Pomyśl o tym, co będzie, jak się zaczniesz. Wyobraź sobie, jak wychodzisz na scenę, jak się kłaniasz. Świetnie. No, ukłoń się. Nie, człowieku, nie tak, cholera. Musisz się pochylić, jakbyś chciał się ukorzyć przed publicznością. Ech, nie naprawdę. Tylko tak, żeby publiczność uwierzyła w twoją pokorę; ale jak już wzniesiesz się na takie wyżyny jak ja, będziesz wiedział, że ty jesteś najlepszy, a inni powinni padać przed tobą na kolana. Mówiłem, żebyś się nie denerwował. Wytrzymaj ręce; chcesz się przeziębic? Weź skrzypce. Przytul je, zapanuj nad nimi, pamiętaj, że ty im rozkazujesz, a one mają podporządkować się twojej woli. Myśl o pierwszych taktach. Tak, bez smyczka, pomyśl, jak go prowadzisz. Świetnie. A teraz możesz sobie ćwiczyć gamy.

Mistrz Manlleu wyszedł z garderoby na miękkich nogach, a ja wreszcie mogłem odetchnąć. Gamy mnie uspokajały, dźwięki płynęły bez przeszkód, bez zgrzytów, smyczek płynnie prześlizgiwał się po strunach, odmierzałem kalafonię, oddychałem głęboko. I wtedy Adrian Ardèvol powiedział sobie nigdy więcej, to było dla niego torturą, nie nadawał się do pokazywania na scenie jak towar na wystawie, może ktoś kupi i zapłaci paroma oklaskami. Z sali koncertowej dochodziły dźwięki preludium Chopina, w bardzo ładnym wykonaniu; wyobraził sobie piękną dziewczynę, pieszczącą klawisze pianina; nie wytrzymał, zostawił skrzypce w otwartym futerale i wyszedł; zobaczył ją zza kurtyny, tak, to była dziewczyna, była więcej niż piękna; zakochał się w niej na zabój, od pierwszego wejrzenia; w tej samej chwili zapragnął być jej fortepianem. Kiedy nieziemska dziewczyna skończyła i ukłoniła się, Adrian zaczął klaskać entuzjastycznie i wtedy poczuł niecierpliwy dotyk czyjejś ręki na swoim ramieniu.

– Co do cholery tu robisz? Przecież teraz twoja kolej!

Odprowadzając go do garderoby, mistrz Manlleu powiedział, co myśli o moim braku profesjonalizmu, o dwunasto- czy trzynastoletnim gówniarzu, który nie wykazuje żadnego entuzjazmu przed swoim pierwszym recitalem, twoja matka i ja poświęcamy się dla ciebie, a ty gdzieś się włóczysz. Tyle osiągnął, że naprawdę zacząłem się denerwować. Kazał mi przywitać się z panią Marí, która już czekała gotowa do wyjścia na scenę (Widzisz? To się nazywa profesjonalizm!), a pani Marí puściła do mnie oko i powiedziała nie przejmuj się, grałeś bardzo dobrze, a teraz pójdzie ci jeszcze lepiej. Żebym tylko nie przyspieszał na początku: ty nadajesz tempo, a ona się dostosuje, nie spiesz się. Tak jak na ostatniej próbie. Wtedy Adrian poczuł oddech mistrza Manlleu na swojej piersi:

– Oddychaj. Nie patrz na publiczność. Ukłoń się elegancko. Stopy lekko rozstawione. Patrz w głąb sali i zaczynaj, nawet jeśli akompaniatorka nie jest jeszcze gotowa. Ty tu rządzisz.

A ja wolałbym się dowiedzieć, kim jest ta dziewczyna, która grała przede mną, żeby ją pozdrowić albo dać jej całusa, albo rzucić się jej na szyję, albo wachać jej włosy, ale najwidoczniej ci, którzy skończyli, wychodzili z drugiej strony, a ja usłyszałem zapowiedź młody talent Adrian Ardèvol i Bosch, przy fortepianie Antònia Marí. Czyli teraz powinniśmy wyjść na scenę i zauważyłem, że Bernat, który mi przysięgał nie martw się, naprawdę, Adrian, uspokój się, nie przyjdę, obiecuję, oczywiście siedział w pierwszym rzędzie, ten „marika”, i, jak mi się wydawało, ironicznie uśmiechał się pod nosem. Na dodatek przyszedł ze swoimi rodzicami, co za kretyn. Obok matka, w towarzystwie dwóch mężczyzn, których nie znałem. Oraz mistrz Manlleu, który teraz dołączył do towarzystwa i szeptał jej coś na ucho. Sala wypełniona w połowie nieznanymi ludźmi. Poczułem pilną potrzebę pójścia do łazienki. Powiedziałem pani Marí na ucho, że muszę zrobić siku, a ona mnie uspokoiła, że nikt nie wyjdzie, dopóki mnie nie usłyszy.

Adrian Ardèvol nie skierował się do łazienki. Poszedł do garderoby, zamknął skrzypce w futerale i tam je zostawił. Kiedy biegł do wyjścia, zaszedł mu drogę Bernat, który patrzył na niego przerażony i mówił dokąd to, dzikusie. A on na to do domu. Bernat: zwariowałaś? Adrian: musisz mi pomóc. Powiedz, że zabrali mnie do szpitala czy coś w tym rodzaju; wyszedł z sali koncertowej Casal del Metge wprost na nocny ruch na Via Laietana; poczuł, że strasznie się poci, i poszedł prosto do domu. Minęła bardzo długa godzina, zanim się dowiedział, że Bernat zachował się jak na przyjaciela przystało; wrócił i powiedział matce, że źle się czuję i że zabrali mnie do szpitala.

– Do jakiego szpitala, na litość boską?

– Skąd mam wiedzieć; trzeba zapytać taksówkarza.

Na środku korytarza stał mistrz Manlleu i wydawał sprzeczne polecenia, całkiem wytrącony z równowagi obecnością towarzyszących mu nieznanym, którzy z trudem powstrzymywali się od śmiechu, a dalej była zaporą w postaci Bernata, któremu zawdzięczam, że powstrzymał napór na tyle długo, żeby po wyjściu na zewnątrz nie zdążyli zobaczyć, jak biegnę przed siebie ulicą Via Laietana.

Godzinę później już byli na miejscu, ponieważ Mała Lola zdradziła mnie; widząc, że wracam do domu jak zbity pies, ta idiotka zadzwoniła do Casal del Metge – dorośli tak mają, że pomagają sobie nawzajem – a teraz matka kazała mi wejść do gabinetu, gdzie również zaprosiła mistrza Manlleu, i zamknęła drzwi. To było straszne. Matka: co ty sobie wyobrażasz. Ja, że już nigdy nie dam się namówić. Matka: co ty sobie wyobrażasz; a mistrz załamuje ręce, powtarzając nie do wiary, nie do wiary. Ja: że koniec, że mam już dość, że chcę mieć czas na czytanie; matka: nie, będziesz grał na skrzypcach, a jak dorośniesz, podejmiesz decyzję; ja: właśnie ją podjąłem. Matka: w wieku trzynastu lat nie możesz decydować; ja, oburzony: trzynaście i pół!, a mistrz tylko załamuje ręce i powtarza nie do wiary, nie do wiary; matka: co ty sobie wyobrażasz, już po raz drugi czy trzeci, i jeszcze dodała ja tu wydaję fortunę na lekcje, a ty... na to mistrz Manlleu, który zrozumiał aluzję, wtrącił się, że lekcje wcale nie były drogie. Owszem, kosztowały swoje, ale biorąc pod uwagę jego pozycję, to wcale nie było dużo; na to matka: moim zdaniem są drogie, i to bardzo. Na to mistrz Manlleu, że jeśli są za drogie, to niech pani sama sobie radzi, pani i pański syn, żaden z niego Ojstrach. A matka odparowywała: nie ma mowy, sam pan powiedział, że chłopiec się nadaje i że robi pan z niego skrzypka. Tymczasem ja byłem już spokojniejszy, bo piłka była teraz na ich boisku i nawet nie musiałem tłumaczyć ich rozmowy na francuski. W tym momencie Mała Lola, pettegola delatora, wsadziła głowę do gabinetu, informując, że jest pilny telefon z Casal del Metge, a matka wychodząc, powiedziała, żeby mi nikt się stąd nie ruszał, zaraz wracam, i wtedy mistrz Manlleu zbliżył swoją twarz do mojej i powiedział pieprzony tchórz, miałeś sonatę wykutą na blachę, a ja mu na to, że wszystko mi jedno, że nie chcę grać przed publicznością. A na to on: co Beethoven by o tym pomyślał? Ja: Beethoven już nie żyje i o niczym się nie dowie. Na to on: niedowiarek. Ja: „marika”. Zapadła gęsta cisza w trudnym do określenia kolorze.

– Co powiedziałaś?

Staliśmy nieruchomo, jeden naprzeciwko drugiego. Wtedy wróciła matka. Mistrz Manlleu, z otwartymi ustami, jeszcze nie mógł dojść do siebie. Matka powiedziała, że za karę wolno mi wychodzić z domu tylko do szkoły i na lekcje skrzypiec. A teraz marsz do pokoju; jeszcze się okaże, czy dostaniesz dziś kolację, czy obędziesz się bez. No już. Mistrz Manlleu trwał nadal z otwartymi ustami i wzniesioną ręką. Nie nadał za gniewem, który dusiliśmy w sobie ja i moja matka.

W akcie buntu zamknąłem drzwi do pokoju, nie przejmując się tym, co na to matka. Otworzyłem skrzynkę ze skarbami, gdzie poza Czarnym Orłem i Carsonem, którzy mogli swobodnie z niej wychodzić, ukrywałem wszystkie swoje sekrety. O ile sobie przypominam, był tam podwójny maserati, szklane kule, które nastrajały marzycielsko, i anielski medalik, kiedy nie nosiłem go na szyi, jako wspomnienie po moim aniele i jego karminowym uśmiechu wypowiadającym ciao, Adriano. Adrian wyobrażał sobie, że jej odpowiada ciao, angelo mio.

Kazał mu przyjść do zakurzonej sali, w której dzieciarnia odbywała lekcje solfeżu, w sąsiednim budynku. Kiedy znalazł się w ciemnym, spokojnym korytarzu, ucichły krzyki kolegów uganiających się za piłką, przytłumione warstwą kurzu zalegającego na podłodze. W głębi korytarza, w ostatniej sali, paliło się słabe światło.

– No proszę, oto i nasz artysta.

Ojciec Bartrina był kościstym mężczyzną, wysokim i chudym, w za luźnej, ale przykrótkiej sutannie, spod której wystawały zniszczone spodnie. Ponieważ z powodu wzrostu musiał ciągle się schylać, miało się wrażenie, jakby zamierzał rzucić się na swojego rozmówcę. Ale tak naprawdę był miły w obejściu i pogodził się już z tym, że żadnego ucznia nie zdoła zainteresować solfeżem. Jednak był nauczycielem muzyki, więc uczył, czego musiał uczyć, koniec kropka. Miał tylko problem z zachowaniem choćby pozorów autorytetu, ponieważ wszyscy uczniowie, nawet ci, którzy fałszowali albo nie mieli pojęcia, w którym miejscu zapisać fa, nigdy nie powtarzali klasy z powodu muzyki. To sprawiało, że szedł przez życie, wzruszając ramionami, byle do przodu, w towarzystwie ogromnej tablicy z czterema czerwonymi pięcioliniami, na których przedstawiał absurdalną różnicę między nutą czarną (która namazana była białą kredą) a białą (kółeczko obramujące czarny kolor tablicy). I tak przemijali uczniowie i mijały lata.

– Dzień dobry.

– Słyszałem, że grasz na skrzypcach.

– Tak.

– I że nie chciałeś wyjść na scenę w Casal del Metge.

– Tak.

– Dlaczego?

Adrian przedstawił mu swoją teorię na temat doskonałości, jakiej się wymaga od wykonawcy.

– Nie wykręcaj się doskonałością. Po prostu miałeś tremę.

Teraz ojciec Bartrina przedstawił mu teorię na temat tremy artystów, którą wyczytał w jakimś angielskim piśmie muzycznym. Nie. To nie to samo, pomyślałem. Ale trudno było mu to wytłumaczyć. Nie, żebym się bał; ja po prostu nie chcę dążyć do doskonałości. Nie chcę poświęcić się zawodowi, który wyklucza możliwość błędu czy wątpliwości.

– Błędy i wahania zawsze towarzyszą wykonawcy, ale tylko na próbach. Kiedy gra przed publicznością, już przewyciężył wątpliwości. Koniec kropka.

– Zawracanie głowy.

– Co takiego?

– Przepraszam. Nie zgadzam się. Za bardzo kocham muzykę, żeby ją uzależniać od złej pozycji palca.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści i pół.

– Nie rozumiesz jak dziecko.

Strofował mnie? Na próżno próbowałem wyczytać intencję z jego spojrzenia.

– Dlaczego nie przystępujesz do komunii?

– Nie jestem ochrzczony.

– O mój Boże.

– Nie jestem katolikiem.

– To kim jesteś? – Ostrożnie, dając Adrianowi czas na zastanowienie. – Protestantem? Żydem?

– Nikim. Jak wszyscy w moim domu.

– Powinniśmy o tym spokojnie porozmawiać.

– Moi rodzice uzyskali zgodę szkoły na niepodejmowanie dyskusji na ten temat.

– O mój Boże. – I sam do siebie: – Muszę to sprawdzić.

Wtedy znów przyjął ton oskarżycielski:

– Słyszałem, że masz ze wszystkiego oceny celujące.

– No tak. Ale to nie moja zasługa – próbowałem się bronić.

– Dlaczego?

– Bo wszystko łatwo mi przychodzi. Mam dobrą pamięć.

– Tak?

– Tak. Wszystko pamiętam.

– Możesz grać bez nut?

– Oczywiście. Jeśli wcześniej raz przeczytam partyturę.

– Niesamowite.

– Nie. Bo nie mam absolutnego słuchu. Plensa ma.

– Kto taki?

– Plensa z czwartej C. Też gra na skrzypcach.

– Plensa? Taki wysoki blondyn?

– Aha.

– On gra na skrzypcach?

Czego mógł chcieć ten facet. Po co to całe przesłuchanie? Do czego zmierzał? Kiwnąłem głową, że tak, zastanawiając się, czy te zwierzenia mogą zaszkodzić Bernatowi.

– Słyszałem, że znasz kilka języków.

– Nie.

– Nie?

– No... francuskiego... uczymy się w szkole.

– Od roku, ale słyszałem, że ty już mówisz po francusku.

– Ale... – No i jak mam się z tego tłumaczyć?

– Niemiecki.

– No, ja...

– Angielski.

Mówił jak ktoś, kto drąży otwartą ranę, jakby mnie przyłapał in flagranti, więc Adrian zaczął się bronić. Musiał przyznać, że tak, że angielski też.

– Sam się go nauczyłeś.

– Nie – odpowiedziałem z ulgą. – To kłamstwo. Mam korepetycje.

– A mnie powiedziano, że...

– Nie, nie, to chodziło o włoski. – Skruszony: – Włoskiego sam się uczę.

– Niewiarygodne.

– Nie, to bardzo proste. Słownictwo romańskie. Jak się zna kataloński, hiszpański i francuski, reszta sama przychodzi; chcę powiedzieć, że to łatwe.

Ojciec Bartrina spojrział na niego surowo, jakby się zastanawiał, czy ten smarkacz nie nabija się z niego. Adrian, żeby go udobruchać, powiedział:

– Ale na pewno mam złą wymowę we włoskim.

– Ach tak?

– Tak. Włosi stawiają akcenty toniczne tam, gdzie ja bym nigdy nie postawił.

Po bardzo długiej minucie milczenia:

– Kim chcesz być, jak dorośniesz?

– Nie wiem. Chcę czytać. Studiować. Sam nie wiem.

Cisza. Ojciec Bartrina zrobił parę kroków w stronę balkonu. Z przepastnych fałd sutanny wyciągnął śnieżnobiałą chusteczkę i otarł nią wargi, zamyślony. Na ulicy Llúria był duży ruch, wyły klaksony samochodów stojących w korku. Ojciec Bartrina odwrócił się do chłopca, który ciągle stał wyprostowany na środku sali. Pewnie dopiero teraz to sobie uświadomił:

– Siadaj, siadaj.

Przysiadłem na pulpicie, nie bardzo wiedząc, o co chodzi temu facetowi. Podszedł do mnie i usiadł na sąsiedniej ławce. Spojrzał mi w oczy.

– Ja gram na fortepianie.

Cisza. Już wcześniej się domyślałem, bo na lekcji grał akordy na pianinie, gdy przysypialiśmy, ćwicząc czytanie nut. W ten sposób uatrakcyjniał lekcje. Ciężko mu było wydusić z siebie, czego ode mnie chce. W końcu się zdecydował:

– Moglibyśmy poćwiczyć razem *Sonatę Kreutzerowską* na akademii z okazji zakończenia roku szkolnego. Co ty na to? W Pałacu Muzyki! Nie chciałbyś zagrać w Pałacu Muzyki?

Milczałem. Wyobrażałem sobie, jak wszystkie dzieci przezywają mnie „mariką”, podczas gdy próbuję osiągnąć doskonałość na scenie. To gorsze niż piekło.

– To ta sama, którą miałeś zagrać w Casal del Metge. Musisz ją znać na pamięć, prawda?

Po raz pierwszy w trakcie rozmowy zarysowało się na jego twarzy coś w rodzaju uśmiechu, jakby chciał mnie zachęcić, przekonać, żebym powiedział tak. Ja jeszcze milczałem, bo przyszła mi do głowy genialna myśl. Pomyślałem sobie, że on jako muzyk mógłby mi pomóc, i zapytałem: ojciec Bartrina, czy na ojca też wołają „marika”?

Adrian Ardèvol i Bosch, z trzeciej A, na trzy dni został zawieszony w prawach ucznia z bliżej nieznanych powodów, których nie chciano podać matce. Kolegom powiedziano, że mam anginę. A kiedy zapytałem Bernata, czy jest „mariką” tak jak ja, facet się wściekł.

– Ty jesteś „mariką”?

– Skąd mam wiedzieć? Esteban twierdzi, że tak, bo gram na skrzypcach. To znaczy, że ty też. I ojciec Bartrina, jeżeli to również dotyczy fortepianu.

– I Jascha Heifetz.

– Tak przypuszczam. I Pau Casals.

– Tak. Ale mnie nikt tak nie nazywał.

– Bo nie wiedzą, że grasz na skrzypcach. Bartrina nie wiedział.

Zanim doszli do szkoły muzycznej, obaj przyjaciele zatrzymali się, nie zwracając uwagi na ożywiony ruch na ulicy Bruc. Bernatowi coś przyszło do głowy:

– Może byś zapytał o to matkę?

– A ty czemu nie zapytasz swojej? Albo ojca, skoro go masz. Co?

– Ale to nie mnie zawiesili za nazwanie kogoś „mariką”.

– A gdybyśmy zapytali pani Trullols?

Tamtego dnia Adrian postanowił pójść na lekcję do pani Trullols, w nadziei, że mistrz Manlleu obrazi się na dobre. Nauczycielka ucieszyła się na jego widok; stwierdziła, że zrobił postępy, i nie wspomniała o incydencie w Casal del Metge, o którym na pewno słyszała. Nie zapytali pani Trullols o tajemnicze słowo „marika”. Nauczycielka denerwowała się, że wszyscy tego dnia fałszują jej na złość, chociaż to nie była prawda. Na dodatek, zanim przyszła nasza kolej, zobaczyliśmy jakiegoś chłopca, młodszego od nas, zdaje się, że nazywał się Claret, który ją odwiedził i który grał na skrzypcach, jakby miał dwadzieścia lat. Ja w takiej sytuacji czuję się beznadziejnie i wcale mnie to nie motywuje.

– Ach, a ja przeciwnie. Wkurzam się i biorę się do roboty.

– Będiesz wielkim skrzypkiem, Bernat.

– Ty też.

To nie jest normalne, żeby dwaj chłopcy w wieku Bernata i Adriana rozmawiali w ten sposób. Ale skrzypce, kiedy je bierzesz do ręki, mają moc zmieniania ludzi.

Wieczorem Adrian skłamał, mówiąc matce, że powodem zawieszenia go na trzy dni było naśmiewanie się z profesora, który czegoś nie wiedział. Matka, która miała na głowie sklep i anielskie machinacje

Danieli, mojego uśmiechniętego anioła, powiedziała bez przekonania parę słów reprimendy, w duchu zdroworozsądkowym. Powiedziała powinieneś pamiętać, że Bóg cię obdarzył nieprzeciętną inteligencją. Nie zapominaj, że to nie twoja zasługa, tylko efekt działania natury. Adrian zwrócił uwagę, że kiedy umarł ojciec, matka zaczęła mówić o Bogu, chociaż na razie jeszcze mieszała go z przyrodą. No, zobaczymy. Może się jeszcze okazać, że Bóg istnieje, a ja o niczym nie wiem.

– Dobrze, mamó. To się więcej nie powtórzy. Przepraszam.

– Nie mnie: masz przeprosić profesora.

– Tak, mamó.

Nie zapytała, o którego profesora chodzi, co właściwie Adrian mu powiedział i co mu odpowiedział profesor. Myślami była gdzie indziej. Gdy tylko skończyli kolację, zamknęła się w gabinecie ojca, gdzie na stole przeznaczonym na inkunabuły rozłożyła księgi rachunkowe.

Podczas gdy Mała Lola sprzątała ze stołu i porządkowała kuchnię, Adrian kręcił się przy niej, udając, że chce jej pomóc, i kiedy się upewnił, że matka jest pochłonięta pracą w gabinecie, wszedł do kuchni, zamknął za sobą drzwi i szybko, zanim nieśmiałość każe mu się wycofać, zapytał Lolę, czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego w szkole nazywają mnie „mariką”?

Trudno mi było zasnąć. Sama świadomość, że mam możliwość oświecić Bernata, który zawsze potrafił wyjaśnić coś, czego nie uczono w szkole, pozbawiła mnie snu. Słyszałem, jak dzwony w kościele Niepokalanego Poczęcia biją na jedenastą i jak nocny stróż stuka laską w metalową bramę kamienicy Solà, a odgłos tego stukania niesie się echem po całej dzielnicy. W czasach, kiedy rządził Franco i Ziemia dla nas znów była płaska, w dzieciństwie, kiedy jeszcze ciebie nie znałem, Barcelona, gdy zapadała noc, stawała się miastem pogrążonym we śnie.

Et in Arcadia ego

Kiedy byłem młody, walczyłem, żeby być sobą; teraz wystarczy mi, że jestem, kim jestem.

JOSEP MARIA MORRERES

Adrian Ardèvol bardzo wydorósł. Czas zrobił swoje. Nie tylko wiedziałem już, że „marika” to pedał, ale nawet udało mi się zgłębić znaczenie teodycei. Czarny Orzeł, wódz Arapaho i dzielny szeryf Carson pokrywali się kurzem na półce obok książek Salgariego, Karola Maya, Zane’a Greya i Jules’a Verne’a. Ale nie uwolniłem się od apodyktycznego nadzoru matki. Przyzwyczajony do posłuszeństwa, stałem się skrzypkiem dysponującym niezłą techniką, ale pustym w środku. Taki drugorzędny wariant Bernata. Moja niechlubna ucieczka przed pierwszym recitalem dla publiczności została zinterpretowana przez mistrza Manlleu, który się nie poddawał, jako przejaw mojego geniuszu. Nasze stosunki w zasadzie się nie zmieniły, z jednym wyjątkiem: od tamtego wieczoru czuł się upoważniony do obrażania mnie, kiedy tylko przyszła mu ochota. Nigdy z mistrzem Manlleu nie rozmawialiśmy o muzyce. Rozmawialiśmy tylko o repertuarze skrzypcowym i o wielkich nazwiskach, takich jak Wieniawski, Nardini, Viotti, Ernst, Sarasate, Paganini, a przede wszystkim Manlleu, Manlleu i Manlleu, a ja wtedy miałem ochotę zapytać mistrza, kiedy zaczniemy grać prawdziwą muzykę? Ale wiedziałem, że tylko wywołałbym w ten sposób burzę, która skrupiłaby się na mnie. Mówił tylko o repertuarze, o swoim repertuarze. O ułożeniu rąk. O pozycji stóp. I jaki strój jest najodpowiedniejszy do ćwiczenia. Czy stopy należy ustawiać à la Sarasate–Sauret, Wieniawski–Wilhelmi, Ysaÿe–Joachim czy, tylko dla wybranych, w pozycji Paganini–Manlleu. Ty powinieneś naśladować styl Paganini–Manlleu, ponieważ chcę, abyś dołączył do wybranych, mimo że, niestety, nie mogłeś zostać cudownym dzieckiem, ponieważ ja za późno pojawiłem się w twoim życiu.

Powrót na lekcje mistrza Manlleu po rejteradzie Adriana, po uzgodnieniu nowego, znacznie wyższego honorarium, które zgodziła się płacić pani Ardèvol, był trudnym przeżyciem, ponieważ na początku lekcje odbywały się w całkowitym milczeniu, pod znakiem ciężkiej twarzy mistrza, pragnącego wykształcić namiastkę geniusza z chłopca zagubionego z powodu słabego charakteru. Powoli, krok po kroku, udzielając wskazówek i poprawiając błędy, wrócił z czasem do swojej naturalnej gadatliwości, aż wreszcie któregoś dnia powiedział przynies storioniego.

– Po co, mistrzu?

– Chciałbym na nim zagrać.

– Muszę zapytać matki. – Adrian stał się ostrożny, nauczony tyłoma nieszczęściami.

– Wyrazi zgodę, jeśli powiesz, że to moje osobiste życzenie.

Matka stwierdziła chyba zwariowałeś, co ty sobie wyobrażasz, masz swojego parramona, nie zawracaj głowy. Adrian nalegał jeszcze, ale otrzymał odpowiedź kiedy mówię nie, to znaczy nie. Dopiero wtedy rzucił od niechcienia, że to osobista prośba i życzenie mistrza Manlleu.

– Od tego trzeba było zacząć – odpowiedziała z powagą. Z wielką powagą, ponieważ matka i syn już od paru lat byli na wojennej stopie i każda okazja była dobra, żeby wykopać wojenny topór, do tego stopnia, że Adrian jej kiedyś powiedział jak będę pełnoletni, odejdę z domu. Na to ona: a z czego będziesz się utrzymywał? Na to on: z pracy rąk własnych, ze spadku po ojcu, nie wiem. Na to ona: to najpierw się dowiedz, zanim sobie pójdiesz.

I w kolejny piątek zjawiłem się u mistrza ze storionim. Mistrz nie tyle chciał na nim zagrać, co raczej porównać. Zagrał tarantelę Wieniawskiego na moim storionim; zabrzmiała naprawdę bardzo, bardzo dobrze. A później, z błyskiem w oku, chcąc zrobić na mnie wrażenie, pokazał mi coś w tajemnicy: guarneriusa z 1702 roku, który należał do samego Mendelssohna. I zagrał na nim tę samą tarantelę, która zabrzmiała naprawdę bardzo, bardzo dobrze. Z wyrazem triumfu na twarzy oświadczył, że jego guarnerius brzmiał dziesięć razy lepiej niż mój storioni. I zwrócił mi go z poczuciem pełnej satysfakcji.

- Mistrzu, nie chcę być skrzypkiem.
- Siedź cicho i ucz się.
- Mistrzu: mówię, że nie.
- Co na to powiedzą twoi wrogowie?
- Ja nie mam wrogów.

– Synu – powiedział, siadając w fotelu, w którym słuchał mojej gry. – Wszyscy, którzy teraz studiują grę na skrzypcach na zaawansowanym poziomie, są twoimi wrogami. I znajdą sposób, żeby cię pograżyć.

Wróciliśmy do ćwiczenia vibrato, vibrato plus trino, do szukania flażoletów, do martelé i do tremolo... a ja z każdym dniem byłem coraz smutniejszy.

- Mamo, nie chcę być skrzypkiem.
- Synu: jesteś skrzypkiem.
- Chcę zrezygnować.

W odpowiedzi na moją rezygnację zorganizowali mi recital w Paryżu. Żebyś mógł się przekonać, jakie wspaniałe życie mają skrzypkowie, synu.

– Ja miałem pierwszy recital w wieku ośmiu lat – myślał głośno mistrz Manlleu. – Ty musiałeś czekać do siedemnastu. Nigdy mnie nie dościgniesz. Ale powinieneś przynajmniej starać się zbliżyć do mojego geniuszu. Pomogę ci pokonać tremę.

– Ale ja nie chcę być skrzypkiem. Chcę czytać. I nie mam tremy.

– Bernat, nie chcę być skrzypkiem.

– Nie mów takich rzeczy, bo się pogniewam. Grasz zajebiście i bez wysiłku. To tylko trema.

– Uważam, że dobrze jest umieć grać na skrzypcach, ale nie chcę być skrzypkiem. Nie chcę i już. I nie mam tremy.

– Rób jak chcesz, ale nie rezygnuj z lekcji.

Bernatowi nie zależało ani na moim zdrowiu psychicznym, ani na mojej przyszłości. Bernat po prostu brał dzięki mnie lekcje u Manlleu, tyle że z drugiej ręki. Robił postępy w technice gry i nie nudził się ani nie obrzydził sobie instrumentu, ani nie czuł zgagi w żołądku, bo ja mu oszczędzałem przykrości bezpośredniego kontaktu z Manlleu. A na dodatek dawał mu teraz lekcje sam Massià, z bezpośredniej rekomendacji pani Trullols.

Wiele lat później, przed plutonem egzekucyjnym, Adrian Ardèvol zrozumiał, że jego awersja do kariery solisty była po prostu formą buntu przeciw matce i mistrzowi Manlleu. I kiedy głos zaczął wymykać mu się spod kontroli z powodu mutacji, powiedział mistrzowi Manlleu: chcę grać muzykę.

– Co takiego?

– Chcę grać Brahmsa, Bartóka, Schumanna. Nienawidzę Sarasatego.

Mistrz Manlleu znów popadł w milczenie na parę tygodni, prowadząc lekcje tylko za pomocą gestów, aż wreszcie któregoś piątku położył przed nim na pianinie gruby na dwie dłonie stos nut i powiedział bardzo proszę, zmieniamy repertuar. To był ten jedyny raz, kiedy mistrz Manlleu mu ustąpił. Ojciec ustąpił mu raz, a na dodatek przyznał mu rację. Mistrz Manlleu powiedział tylko proszę bardzo, zmieniamy repertuar. I z zemsty za konieczność przyznania mi racji strzepnął łupież prosto na swoje ciemne spodnie i powiedział dwudziestego w przyszłym miesiącu w sali koncertowej Debussy'ego w Paryżu. *Sonata Kreutzerowska*, sonata Césara Francka, trzecia Brahmsa i jeszcze jakiś Wieniawski i Paganini jako numer popisowy na bis. Zadowolony?

Widmo tremy, ogromnej tremy, którą oczywiście czułem, choć zręcznie ukrywałem ją pod piękną teorią, że to miłość do muzyki nie pozwalała mi, et cetera; widmo tremy znów się pojawiło i Adrian cały się spocił.

– Kto będzie grał na fortepianie?

– Jakiś akompaniator. Znajdę ci kogoś.

– Nie. To musi być ktoś... Fortepian, który mi towarzyszy, jest tak samo ważny.

– Bzdury: to ty rządysz. Tak czy nie? Znajdę ci odpowiedniego pianistę. Trzy próby. A teraz czytamy nuty. Zaczynamy od Brahmsa.

I Adrian zaczął zdawać sobie sprawę, że być może faktycznie gra na skrzypcach jest sposobem na życie, na ogarnięcie tajemnic samotności, na zrozumienie, że rzeczywistość nigdy nie nadaża za pragnieniem, na zbadanie, co stało się z ojcem, z jego winy.

Odpowiednim pianistą okazał się mistrz Castells, dobry muzyk, nieśmiały, gotów schować się pod klawiszami przy najmniejszym upomnieniu mistrza Manlleu. Adrian szybko się zorientował, że Castells stanowią część operacji finansowej pani Ardèvol, która wydała ciężkie pieniądze, żeby umożliwić synowi koncert w Paryżu. W kameralnej sali Pleyel na sto miejsc zajętych było najwyżej czterdzieści foteli. Muzycy podróżowali bez towarzysztwa, żeby się nie rozpraszać. Pan Castells i Adrian trzecią klasą. Mistrz Manlleu w pierwszej, bo musiał się skoncentrować na licznych sprawach, jakie miał na głowie. Walczyli z bezsennością, czytając nuty. Adrian dobrze się bawił, słuchając, jak mistrz Castells śpiewa i daje mu znak, kiedy ma wejść, a on udawał, że gra, i też nucił, idąc za jego przykładem; to był genialny system, żeby zgrać wejścia. W tym momencie wszedł steward, żeby przygotować łóżka, i zaraz wyszedł przekonany, że trafił do przedziału wariatów. Kiedy minęli Lyon, już po zgaszeniu światła, mistrz Castells zwierzył mu się, że mistrz Manlleu trzyma go krótko i dlatego prosi Adriana o przysługę, żeby wynegocjował dla nich obu zgodę na spacer przed koncertem po mieście... bo on chciał się spotkać z siostrą, a mistrz Manlleu nie pozwala łączyć jednego z drugim, rozumiesz?

Paryż był wymysłem mojej matki, żebym nie zrezygnował ze skrzypiec. Ale nie wiedziała, że odmieni w ten sposób moje życie. Tam cię poznałem. Dzięki temu wymysłowi. Ale nie w sali koncertowej, tylko wcześniej, podczas tajnej eskapady, na którą wybrałem się z panem Castellsem, w kawiarni Condé. Miał się tam spotkać z siostrą, która przyprowadziła ze sobą siostrzenicę, czyli ciebie.

– Saha Voltes-Epstein.

– Adrian Ardèvol-Bosch.

– Rysuję.

– Czytam.

– Nie jesteś skrzypkiem?

– Nie.

Zaczął się śmiać i otwarło się przede mną niebo w kawiarni Condé. Twój wujostwo rozmawiali z zaangażowaniem o swoich sprawach i tego nie zauważyli.

– Błagam, nie przychodź na koncert – poprosiłem. Po raz pierwszy w życiu zdobyłem się na szczerość i dodałem cichutko umieram ze strachu. Najbardziej mi się w tobie spodobało to, że nie przyszłaś na koncert. Wtedy się zakochałem. Zdaje się, że nigdy nie przyznałem ci się do tego.

Koncert był udany. Adrian grał zwyczajnie, bez nerwów, wiedząc, że nigdy więcej nie zobaczy ludzi, którzy przyszli go posłuchać. A mistrz Castells okazał się znakomitym partnerem, bo kiedy zawahałem się ze dwa razy, dostosował się do mnie wprost idealnie. Adrian wtedy pomyślał, że gdyby miał takiego mistrza, granie byłoby przyjemnością.

Poznaliśmy się jakieś trzydzieści czy czterdzieści lat temu, ja i Sara. Osoba, która była światłem mojego życia i przez którą wylałem gorzkie łzy. Siedemnastoletnia ciemnowłosa dziewczyna z warkoczami, która mówiła po katalońsku z akcentem francuskim, jak się mówi w Roussillon, z akcentem, którego nigdy się nie pozbyła. Sara Voltes-Epstein, za którą zawsze tęskniłem i która pojawiała się czasami w moim życiu. Dwudziestego września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego któregoś. Od krótkiej rozmowy w kawiarni Condé minęły dwa lata do następnego spotkania, do którego też doszło przypadkiem. Znów przy okazji koncertu.

Wtedy Ksenia stanęła przed nim i powiedziała jeśli chodzi o mnie, nie ma sprawy.

Bernat spojrział jej w oczy, ciemne jak noc. Ksenia. Powiedział tylko, zgoda, chodźmy do mnie. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Ksenia.

Parę miesięcy temu Bernat i Tekla zerwali ze sobą w wyniku długiego, pedantycznego procesu, w którym obie strony nie szczędziły sił i środków, by zakończyć ten związek w sposób burzliwy, traumatyczny, nadmiernie bolesny, agresywny i najeżony szczegółami świadczącymi o małostkowości, zwłaszcza ze strony kobiety; nie wiem, co w niej widziałem, w tej krowie. Jak mogłem dzielić z nią życie, no wiesz, aż trudno w to uwierzyć. Z kolei Tekla opowiadała, że ostatnie miesiące ich wspólnego życia były prawdziwym piekłem, ponieważ Bernat całymi dniami siedział przed lustrem, nie, nie, nie zrozum mnie źle: zajmował się tylko sobą, jak zwykle, tylko on się liczył w domu, zainteresowany wyłącznie tym, jak wypadł jego koncert; przejmował się beznadziejnymi krytykami – jak można nie wspomnieć ani słowem o naszym subtelnym wykonaniu – skrzypcami, czy aby są odpowiednio zabezpieczone w sejfie, a może powinniśmy wymienić sejf na nowy, w końcu skrzypce są najcenniejszym meblem w tym domu, rozumiesz, Teklo?, jeżeli nie wbijesz sobie tego do głowy, będzie źle, a najbardziej zranił mnie jego absolutny brak taktu i uczucia w stosunku do Llorença. Tego nie mogłam tolerować. W końcu zaczęłam protestować. Aż wreszcie dałam mu kopa w tyłek i wyrok rozwiązał sprawę parę miesięcy temu. Potworny egoista, przekonany, że jest wielkim artystą, a tak naprawdę jest tylko żalonym zerem, pieprzonym idiotą, który oprócz grania na skrzypcach gra na nerwach; ubzdurał sobie, że jest najlepszym pisarzem na świecie, i facet mówi mi masz, przeczytaj, powiedz, co sądzisz. Niechbym tylko spróbowała mieć jakieś uwagi, wtedy całymi dniami udowadniałby mi, jak bardzo się mylę, bo jedyną osobą, która się na tym zna, jest on.

– Nie wiedziałam, że coś pisał.

– Nikt o tym nie wiedział: nawet jego wydawca, wyobrażasz sobie? To, co pisze, jest gównem warte, nudne, pretensjonalne... I tak dalej. Do tej pory nie mogę zrozumieć, co ja w nim widziałam, w tym dupku. A na dodatek spędziłam z nim całe życie!

– Dlaczego porzuciłaś grę na fortepianie?

– Przestałam grać, sama nie wiem kiedy. Po części dlatego, że...

– Bernat nie porzucił skrzypiec.

– Porzuciłam pianistykę, bo najważniejsza w domu była kariera Bernata, jasne? To się stało wiele lat temu, jeszcze zanim na świecie pojawił się Llorenç.

– Typowe.

– Nie rób z siebie feministki; rozmawiamy po przyjacielsku, nie wkurzaj mnie, dobrze?

– Ale czy nie widzisz, że rozstawać się w waszym wieku...

– I co z tego? Jak jesteś młoda, to nie, ponieważ jesteś za młoda. Jak jesteś stara, dlatego nie, że jesteś za stara. Wcale nie jesteśmy tacy starzy. Życie jeszcze przede mną. Połowa życia, jasne?

– Jesteś bardzo zdenerwowana.

Nie bez powodu: to rozstanie, które Bernat dokładnie zaplanował, zakładało, że to ona opuści dom. Wtedy ona bez namysłu chwyciła skrzypce i wyrzuciła przez okno. Cztery godziny później została zawiadomiona, że jej mąż złożył doniesienie o dokonaniu przez nią znacznego uszczerbku majątku, i musiała biegiem szukać adwokata, który ją zwymyślał, jakby była dzieckiem, i uprzedził niech pani nie prowadzi takiej gry, pani Plensa, sytuacja jest poważna, jeśli pani chce, mogę się podjąć prowadzenia tej sprawy, ale musi pani stosować się do moich wskazań.

– Jeżeli jeszcze zobaczę te pieprzone skrzypce, wyrzucę je ponownie przez okno, choćby mnie mieli wsadzić do więzienia.

– W ten sposób daleko nie zajedziemy. Chce pani, żebym panią reprezentował?

– Oczywiście. Po to tu przyszłam.

– To proszę słuchać: bardzo dobrze, jeśli będziecie się państwo kłócić, nienawidzić i rzucać w siebie talerzami. Talerzami, nie skrzypcami. Popęłniła pani poważny błąd.

– Chciałam go zranić.

– I to się pani udało, ale zaszкодziła pani sobie w idiotyczny sposób, jeśli mam być szczery.

Następnie przedstawił jej strategię, którą należało zastosować.

– Opowiadam ci o moich nieszczęściach, bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

– Powinnaś się wyplakać, nie duś wszystkiego w sobie. Dobrze ci to zrobi. Wiem coś o tym.

– Sędzią była kobieta, i we wszystkim przyznała jej rację. Popatrz, jaka niesprawiedliwa potrafi być sprawiedliwość. Tylko nałożyła na nią grzywnę za zniszczenie skrzypiec. Grzywnę, której nie zapłaciła i nie ma zamiaru kiedykolwiek zapłacić. Po czteromiesięcznej kuracji w warsztacie lutniczym Bagué dźwięk już nie jest taki sam.

– To był dobry instrument?

– Jeszcze jak. Mirecourt z końca dziewiętnastego wieku. Thouvenel.

– Dlaczego nie wyegzekwujesz tej grzywny?

– Nie chcę mieć nic wspólnego z Teklą. Teraz nienawidzę jej z całego serca. Posunęła się do tego, że nastawia przeciwko mnie mojego syna. To jest prawie tak niewybaczalne jak zniszczenie skrzypiec.

Cisza.

– Chciałem powiedzieć, odwrotnie.

– Tak, zrozumiałam.

W dużych miastach zdarzają się tu i ówdzie uliczki i ciche zakątki, w których nocą kroki odbijają się echem, gdzie można odnieść wrażenie, że wszystko jest jak dawniej, kiedy było nas niewiele, znaleźliśmy się nawzajem i pozdrawiali na ulicy. W czasach, kiedy jeszcze Barcelona nocą udawała się na spoczynek, Bernat i Ksenia szli pustym pasażem Permanyer, który należał do innego świata, i przez kilka minut skoncentrowali się na słuchaniu własnych kroków – stukotu obcasów wystrojonej Kseni. Wystroiła się, mimo że ten wywiad był właściwie improwizacją. Obcasy stuknęły o bruk. Oczy miała ciemne jak noc. Poruszała się z niewymuszonym wdziękiem.

– Rozumiem twój ból – powiedziała Ksenia, kiedy doszli do ulicy Llúria, gdzie przywitał ich pisk opon szybko przejeżdżającej taksówki – ale lepiej, żebyś nie zaprzętał sobie tym głowy. Lepiej o tym nie mówić.

– Sama mnie zapytałaś.

– Nie miałam pojęcia...

Bernat otwierając drzwi mieszkania, powiedział okrążyłem cały świat, żeby wrócić do Born, i powiedział jej, że mieszkał w tej dzielnicy, kiedy był mały, a teraz, kiedy się rozstali, przez przypadek tutaj wrócił. Cieszę się, że znów jestem w miejscu, z którym wiąże się tyle wspomnień. Chcesz whisky czy coś w tym rodzaju?

– Nie piję.

– Ja też nie, ale mam dla gości.

– Może być woda.

– Popatrz, jaka pazerna, nie pozwoliła mi nawet zostać w moim mieszkaniu. Musiałem inaczej sobie radzić. – Rozłożył szeroko ręce, jakby chciał nimi objąć całe mieszkanie. – Ale jestem zadowolony z powrotu do mojej dzielnicy. Tędy.

Ręką wskazał jej kierunek i wszedł pierwszy, żeby zapalić światło:

– Myślę, że w życiu odbywamy drogę w jedną stronę, a potem wracamy do początków. Kiedyś przychodzi czas na powrót do korzeni. O ile śmierć nie stanie na przeszkodzie.

To było obszerne pomieszczenie, w założeniu przeznaczone na jadalnię. Stała w nim sofa i fotel przed okrągłym stolikiem, dwa pulpity z nutami, trzy instrumenty w szafie i zawalone papierami biurko z komputerem. Naprzeciwko ściana pełna książek i nut. Całe życie Bernata w pigułce.

Ksenia otworzyła torbę i wyciągnęła z niej magnetofon, który postawiła przed Bernatem.

– Widzisz? Jeszcze się nie urządziłem, ale tu będzie salon.

– Przyjemny pokój.

– Ta wredna Tekla nie pozwoliła mi zabrać ani jednego mebla. Wszystko kupiłem w Ikei. Ikea w moim wieku. Cholera, ty to nagrywasz?

Ksenia wyłączyła magnetofon. Zapytała tonem, którego wcześniej u niej nie słyszał:

– Chcesz rozmawiać o swojej wrednej żonie czy o swoich książkach? Pytam, żeby wiedzieć, czy mam włączyć magnetofon, czy go schować.

Zapadła cisza tak głęboka, że odbijały się w niej hukiem ich własne kroki. Ale przecież nie przemierzali teraz żadnej odludnej uliczki. Bernat usłyszał bicie własnego serca i zdał sobie sprawę, jak bardzo się ośmieszył. Odczekał, aż umilknie hałas motoru przejeżdżającego ulicą Llúria.

– Touché.

– Nie znam francuskiego.

Bernat wyszedł, zawstydzony. Wrócił z butelką wody nieznanej marki i z dwiema szklankami z Ikei.

– Woda z chmur Tasmanii. Będzie ci smakować.

Przez pół godziny wymieniali banalne uwagi na temat opowiadań i procesu ich powstawania. Że trzecie i czwarte są najlepsze w tym zbiorze. Powieść? Nie, nie, wolę krótki dystans. Kiedy już się uspokoił, nawiązał ponownie do sceny, jaką jej urządził, mówiąc o swojej pieprzonej eks; wstydził się, ale sprawa była jeszcze świeża i nie mógł zrozumieć ani pogodzić się z tym, że mimo wydania ciężkiej gotówki na adwokata sąd stanął po stronie Tekli prawie we wszystkim; przykro mi, że ci tym zawracam głowę, ale musisz zrozumieć, że pisarze, w ogóle artyści, też są ludźmi.

– Nigdy w to nie wątpiłam.

– Touché po raz drugi.

– Już mówiłam, że nie znam francuskiego. Czy moglibyśmy porozmawiać o procesie powstawania twoich utworów?

Długo rozmawiali na ten temat. Bernat opowiedział jej o początkach, dawno, dawno temu, o tym, że pisze bez pośpiechu. Dużo czasu mija, zanim uznam, że książka jest gotowa. W przypadku Plazmy to trwało dobre trzy lata.

– Nie do wiary!

– Tak. Książka właściwie powstawała sama. Jakby ci to wyjaśnić...

Cisza. Rozmawiali tak już parę godzin i skończyli butelkę wody z chmur Tasmanii. Ksenia słuchała zauroczona. Ulicą Llúria przejeżdżały od czasu do czasu jakieś pojedyncze samochody. W domu było przyjemnie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Bernat poczuł się dobrze we własnym mieszkaniu, w obecności kogoś, kto go słuchał zamiast krytykować, tak jak robił nieszczęsny Adrian przez całe życie.

Nagle poczuł zmęczenie wywołane napięciem kilkogodzinnej rozmowy. Za wszelką cenę trzeba unikać starości.

Ksenia rozsiadła się wygodnie w fotelu z Ikei. Wyciągnęła rękę, jakby chciała wyłączyć magnetofon, ale zmieniła zdanie.

– Teraz chciałabym poruszyć temat... podwójnej osobowości, muzyka i pisarza.

– Nie jesteś zmęczona?

– Owszem. Ale dawno już nie miałam okazji przeprowadzać wywiadu tak... no, takiego.

– Bardzo dziękuję. Ale musimy to odłożyć do jutra. Jestem...

Wiedział, że pryśnie magia wyjątkowej chwili, ale nie mógł nic na to poradzić. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, kiedy ona zbierała swoje rzeczy, i oboje zastanawiali się, czy to dobry moment, żeby ciągnąć dalej, czy lepiej zachować ostrożność, aż wreszcie Bernat powiedział, przykro mi, że cię poczęstowałem tylko wodą.

– Była znakomita.

Najchętniej zaciągnąłbym cię do łóżka.

– Umówimy się na jutro?

– Jutro mi nie pasuje. Pojutrze.

Do łóżka, i to natychmiast.

– Dobrze. Może być tutaj, jeśli ci to nie przeszkadza.

– Zgoda.

– I będziemy rozmawiać o wszystkim.

– O wszystkim.

Milczenie. Uśmiechnęła się, on też.

– Poczekaj, wezwę taksówkę.

Byli gotowi. Patrzyli na siebie bez słowa; w jej spojrzeniu była spokojna noc. W jego oczach bliżej nieokreślona szarość, efekt sekretów nie do końca wyznanych. Jednak ona odjechała, tą pieprzoną taksówką, która zawsze musi wszystko popsuć. Przedtem Ksenia zostawiła mu na policzku ulotny pocałunek, tuż obok ust. Musiała wspiąć się na palce, żeby dosięgnąć jego twarzy. Jaka była urocza, stojąc na paluszkach. Stał na progu domu i patrzył, jak taksówka zabiera Ksenię z jego życia, co najmniej na dwa dni. Dotknął tego miejsca, dokładnie obok ust. Uśmiechnął się. Po raz pierwszy od dwóch lat.

Za drugim razem było im łatwiej. Ksenia zdjęła płaszcz, nie pytając o zgodę, położyła sprzęt do nagrywania na stole i czekała cierpliwie, aż Bernat, który odszedł w głąb mieszkania z komórką, zakończy przeciągającą się rozmowę z kimś, kto musiał być adwokatem. Mówił cicho, z trudem hamował gniew.

Ksenia oglądała grzbiety książek na półkach. Z boku stało pięć tytułów opublikowanych przez Bernata Plensę; nie czytała dwóch pierwszych. Sięgnęła po najstarszy. Na pierwszej stronie była dedykacja dla jego Muzy, ukochanej Tekli, która tak bardzo mu pomogła w stworzeniu tych opowieści, Barcelona, 12 lutego 1977. Ksenia uśmiechnęła się mimo woli. Odstawiła książkę na miejsce, obok pozostałych dzieł zebranych Bernata Plensy. Na biurku stał uśpiony komputer z ciemnym ekranem. Poruszyła myszką i ekran się zaświecił. Na ekranie był otwarty dokument. Tekst, nad którym pracował. Siedemdziesiąt stron. Bernat Plensa pisał powieść i nic jej nie powiedział, wręcz przeciwnie, odżegnywał się, że nie będzie już żadnych powieści. Rzuciła okiem w stronę korytarza. Z głębi mieszkania dochodził przyciszony głos Bernata, pochłoniętego rozmową. Siadła przed ekranem i zaczęła czytać Bernat kupił bilety i schował je do kieszeni. Zatrzymali się przed plakatem zapowiadającym koncert. Obok niego jakiś młody człowiek w czapce, która zakrywała mu twarz, owinięty szalikiem, tupał dziarsko, żeby się rozgrzać, i uważnie studiował program dzisiejszego koncertu. Inny mężczyzna, gruby, w długim płaszczu, domagał się zwrotu pieniędzy za bilety, z którymi miał jakiś problem. Tamci poszli tymczasem w kierunku ulicy Sant Pere més Alt i stracili okazję, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kiedy wrócili pod Pałac Muzyki, było już po wszystkim. Plakat, który zapowiadał wykonanie *II Koncertu g-moll* Prokofiewa na skrzypce i orkiestrę przez Jaschę Heifetza i Orkiestrę Miasta Barcelony pod dyrekcją Eduarda Toldrà, już był przekreślony agresywnym napisem *Żydzi raus*, namazanym smołą, i swastyką, z której ramion kapwały krople smoły; atmosfera stała się ponura, ludzie starali się nie patrzeć sobie w oczy, a ziemia była coraz bardziej płaska. Później dowiedziałem się,

że stała za tym bojówka falangistowska i że akurat wtedy patrol wysłany z komisariatu przy Via Laietana, dosłownie dwa kroki od sali koncertowej, oddalił się od wejścia do Pałacu Muzyki, bo policjanci poszli na kawę, a Adrian poczuł przemożną chęć, żeby wyjechać gdzieś do Europy, na północ, gdzie, jak mówią, ludzie są czysti, wykształceni, wolni, inteligentni i szczęśliwi i mają kochających rodziców, którzy nie umierają z ich powodu. Co za gówniany kraj przypadł nam w udziale, powiedział, patrząc na bazgroły na plakacie, ociekającym nienawiścią. Wtedy pojawił się patrol żandarmerii i usłyszał, no już, proszę się rozejść, nie robić mi tu zbiegowiska, każdy w swoją stronę, a Adrian i Bernat, podobnie jak pozostali gapie, oddalili się, tak na wszelki wypadek.

Mimo że widownia była wypełniona, w Pałacu Muzyki panowała absolutna cisza. Ciężko było precyzyjnie się do dwóch wolnych foteli w środku rzędu na parterze, na które mieliśmy bilety.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedział Adrian nieśmiało, siadając obok ślicznej dziewczyny, która patrzyła na niego z uśmiechem.

– Adrian? Adrian Jakiś tam?

Wtedy cię rozpoznałem. Nie miałaś warkoczy i wyglądałaś jak prawdziwa kobieta.

– Sara Voltes-Epstein! – zawołałem zachwycony. – Ty tutaj?

– A jak ci się wydaje?

– No nie, chciałem powiedzieć...

– Tak – przerwała mi ze śmiechem i położyła dłoń na mojej ręce ze swobodą, która zadała mi śmiertelny cios. – Teraz mieszkam w Barcelonie.

– To jest – powiedziałem, kręcąc głową w obie strony: – Bernat, mój kolega. Sara.

Bernat i Sara uprzejmie ukłonili się sobie nawzajem.

– Co za historia z tym plakatem... – skomentował Adrian, z tym swoim niezwykłym talentem do popełniania gaf. Sara zrobiła nieokreślony gest i skoncentrowała się na czytaniu programu. Nie odrywając od niego wzroku, zapytała:

– Jak ci się udał koncert?

– Ten w Paryżu? – Nieco zażenowany: – Dobrze. Normalnie.

– Nadal czytasz?

– Tak. A ty nadal rysujesz?

– Tak. Będę miała wystawę.

– Gdzie?

– W parafii... – Uśmiechnęła się. – Nie, nie. Nie chcę, żebyś przychodził.

Nie wiem, czy rzeczywiście nie chciała, czy to był żart. Adrian siedział jak sparaliżowany i nie miał odwagi spojrzeć jej w twarz, tylko nieśmiało się uśmiechnął. Powoli gasły światła, ludzie zaczęli klaskać, mistrz Toldrà wyszedł na estradę i usłyszała kroki Bernata, który wracał z głębi mieszkania. Wtedy Ksenia ustawiła komputer w stan uśpienia i wstała z krzesła. Udawała, że ogląda grzbiety książek, i kiedy Bernat wszedł do salonu, zrobiła znudzoną minę.

– Przepraszam – powiedział, wskazując telefon.

– Nowe problemy?

Zmarszczył brwi. Widać było, że nie ma ochoty o tym rozmawiać. A może przekonał się, że nie powinien rozmawiać o tym z Ksenią. Usiedli i przez kilka sekund panowało niezręczne milczenie; oboje uśmiechali się, nie patrząc na siebie.

– Jak czuje się muzyk, który uprawia literaturę? – zapytała Ksenia, stawiając miniaturowy magnetofon na okrągłym stoliku.

Spojrzał na nią nieobecny wzrokiem, błędząc myślami wokół tamtego przygodnego pocałunku, tak blisko ust.

– Nie wiem. Proces był powolny, ale nieuchronny.

Kłamał w żywe oczy. Proces twórczy był cholernie powolny, spontaniczny i kapryśny, a ty wolałbyś, żeby wszystko przyszło nagle. Bernat pisał już od lat i od lat Adrian powtarzał mu, że to, co pisze, jest nieciekawe, nijakie, przewidywalne i zbędne; po prostu, żeby lepiej sobie odpuścił. Jeśli wolisz nie przyjmować tego do wiadomości, twoja sprawa.

– Tylko tyle? – powiedziała Ksenia, nieco urażona. – Proces był powolny, ale nieuchronny? Kropka? Mam wyłączyć magnetofon?

– Słucham?

– Gdzie jesteś?

– Tu, z tobą.

– Nie.

– Mam traumę muzyczną.

– Co przez to rozumiesz?

– Mam ponad sześćdziesiąt lat, jestem zawodowym skrzypkiem i wiem, że sobie poradzę, bo jak się gra w orkiestrze, zawsze jakoś to będzie. Ale ja chciałbym być pisarzem, rozumiesz?

– Przecież jesteś.

– Nie takim, jak bym chciał.

– Pracujesz teraz nad czymś?

– Nie.

– Nie?

– Nie. Dlaczego?

– Tak tylko pytam. Co chciałeś powiedzieć, mówiąc, że nie jesteś takim pisarzem, jak byś chciał?

– Chciałbym poruszać ludzi.

– Ale grając na skrzypcach...

– Jest nas pięćdziesięciu w orkiestrze. Nie jestem solistą.

– Przecież czasem uprawiasz muzykę kameralną.

– Czasami.

– A dlaczego nie jesteś solistą?

– Nie każdy, kto by chciał, może nim zostać. Nie ten wymiar, nie ten temperament, a pisarz zawsze jest solistą.

– To problem ego?

Bernat Plensa wziął magnetofon Kseni, obejrzał go, znalazł przycisk i wyłączył. Odstawił na stolik ze słowami jestem chodzącą przeciętnością.

– Nie przejmuj się tym imbecylem, który

– Poza tym imbecylem byli inni, którzy byli uprzejmi powiedzieć mi to samo na łamach prasy.

– Wiesz, że krytycy to...

– To co?

– To pedały.

– Ja mówię poważnie.

– Teraz lepiej rozumiem, skąd u ciebie ta skłonność do hysterii.

– O cholera. Strzelasz ostrą amunicją.

– Chcesz być doskonały. A skoro nie... wkurzasz się albo wymagasz doskonałości od innych z twojego otoczenia.

– Pracujesz dla Tekli?

– Tekla to temat zakazany.

– Co cię teraz ugryzło?

– Chcę cię sprowokować do reakcji, może się uda – odpowiedziała Ksenia. – Chcę uzyskać odpowiedź na moje pytanie.

– Jakie pytanie?

Bernat zauważył, że Ksenia znów włączyła magnetofon i postawiła go ostrożnie na stole.

– Jak się czuje muzyk, który uprawia literaturę? – powtórzyła.

– Nie wiem. Proces był powolny, ale nieuchronny.

– Już to mówiłeś.

Naprawdę proces twórczy był cholernie powolny, spontaniczny i kapryśny, a ty wolałbyś, żeby wszystko przyszło nagle. Bernat pisał już od lat i od lat Adrian powtarzał mu, że to, co pisze, jest nieciekawe, nijakie, przewidywalne i zbędne; czyli że wszystkiemu winien był Adrian.

– Jestem o krok od podjęcia decyzji o zerwaniu z tobą wszelkich relacji. Nie lubię ludzi nieznośnych.

To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie.

Nigdy jeszcze od początku znajomości nie patrzył jej prosto w oczy. Teraz zobaczył w nich ciemną, spokojną noc.

– Nie lubię być nieznośny. Przepraszam.

– Możemy popracować?

– Proszę. I dziękuję za ostrzeżenie.

– Pierwsze i ostatnie.

Kocham cię, pomyślał. A więc musiał być doskonały, żeby zatrzymać na parę godzin te śliczne oczy. Kocham cię, powtórzył.

– Jak czuje się pisarz, który uprawia literaturę.

Zakochałem się w twoim uporze.

– Czuje się... Czuję się... w dwóch światach jednocześnie... i oszałamia mnie to, że nie wiem, który jest dla mnie ważniejszy.

– A musisz to wiedzieć?

– Nie mam pojęcia. Chodzi o to, że...

Tęgo wieczoru nie wzywali taksówki. A po dwóch dniach Bernat zebrał się na odwagę i poszedł odwiedzić przyjaciela. Caterina, już ubrana do wyjścia, otworzyła mu drzwi i powiedziała cicho, nie jest w dobrej formie.

– Dlaczego?

– Muszę przed nim chować prasę z poprzedniego dnia.

– Dlaczego?

– Bo jak nie zauważę, jest gotów przeczytać trzykrotnie tę samą gazetę.

– Coś takiego...

– Jest bardzo pracowity, więc żal mi, żeby marnował czas na czytanie w kółko tego samego, rozumie mnie pan?

– Dobrze robisz.

– Co to za konspiracja?

Odwrócili się. Adrian wyszedł z gabinetu i przyłapał ich na rozmowie prowadzonej półgłosem.

– Rzzrzzrzzrzzrzz.

Caterina wykorzystała moment otwierania drzwi Plàcidzie, żeby uniknąć odpowiedzi na pytanie, a tymczasem Adrian zaprosił Bernata do swojego gabinetu. Obie kobiety przekazały sobie pałeczkę w cichej wymianie zdań i Caterina powiedziała głośno do jutra, Adrianie!

– Co robisz? – zapytał Adrian.

– Przepisuję na komputerze, kiedy mam czas. Idzie mi wolno.

– Wszystko rozumiesz?

– Mhm. Bardzo mi się podoba.

– Dlaczego mówisz mhm?

– Bo masz charakter pisma jak lekarz, a na dodatek stawiasz małe litery. Muszę czytać każdy akapit

parę razy, żeby się nie pomylić.

– Cholera. Przykro mi...

– Nie, nie, nie... Robię to z dużą przyjemnością. Ale nie zawsze mogę się tym zająć, oczywiście.

– Dostarczyłem ci dużo roboty, prawda?

– Nie. Nie ma o czym mówić.

– Dobry wieczór, Adrianie – powiedziała z uśmiechem jakaś młoda, nieznana kobieta, zaglądając do gabinetu.

– Witaj, dobry wieczór.

– Kto to taki? – zapytał po cichu zdziwiony Bernat, kiedy kobieta już wyszła.

– No wiesz, jedna z tych. Teraz nie zostawiają mnie samego ani w dzień, ani w nocy.

– Coś takiego.

– Tak jak widzisz. Jak byśmy byli na Ramblach.

– Lepiej, żebyś nie był sam, prawda?

– Tak. Szczęście, że Mała Lola wszystko potrafi zorganizować.

– Caterina.

– Co?

– Nie, nic.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie. Później Bernat zapytał go, co czyta; Adrian rozejrzał się wokoło, dotknął ręką tomiku leżącego przed nim na biurku i wykonał nieokreślony gest, którego Bernat nie potrafił zinterpretować. Wstał i wziął tomik do ręki.

– O, poezja!

– Co?

Bernat potrząsnął książką.

– Czytasz poezję.

– Zawsze czytywałem.

– No popatrz, a ja nie.

– To wiele wyjaśnia.

Bernat roześmiał się, bo trudno było się gniewać na chorego Adriana. Powtórzył nie mogę zrobić nic więcej, nie mogę szybciej przepisywać twojego rękopisu.

– Dobrze...

– Chcesz, żebym go oddał w ręce jakiegoś profesjonalisty?

– Nie! – Ożywił się, gestykulował, zmienił się wyraz jego twarzy, kolor skóry. – W żadnym razie! To może zrobić tylko przyjaciel. Nie chcę... Sam nie wiem... To bardzo osobiste i... Może po przepisaniu uznaję, że nie nadaje się do druku.

– Nie mówiłeś, że chcesz to powierzyć wydawcy, Baućie?

– Jak przyjdzie czas, to porozmawiamy.

Zapadła cisza. W głębi mieszkania ktoś przetrząsał szuflady lub coś hałaśliwie przestawiał. Zdaje się, że w kuchni.

– Plàcida, wreszcie sobie przypomniałem! Ta dziewczyna ma na imię Plàcida. – Zadowolony: – Widzisz? Mogą sobie mówić, co chcą, a ja mam jeszcze dobrą pamięć.

– Ach – powiedział Bernat, przypominając sobie o czymś. – To, co jest na odwrocie twojego rękopisu, wiesz, to, co zapisałeś czarnym atramentem, też jest bardzo ciekawe.

Przez chwilę Adrian się zawahał.

– A co to jest? – zapytał, lekko przestraszony.

– Refleksja na temat zła. No, nawet więcej: studium na temat historii zła, tak bym to ujął. Zatyłowałaś go Problem zła.

– Och, nie. Już o tym zapomniałem. Nie: to jest coś... nie wiem: bez duszy.

– Nie. Myślę, że też możesz to opublikować. Jak chcesz, mogę ci przepisać.

– Współczuję ci. To moja porażka w dziedzinie myśli. – Zamilkł na długie sekundy. – Nie potrafiłem wyrazić nawet połowy z tego, co miałem w głowie.

Wziął do ręki tomik poetycki. Otworzył go i zamknął; czuł się niezręcznie. Znow go odłożył na stół i dokończył myśl, dlatego pisałem na odwrocie, żeby to zniszczyć.

– To dlaczego tego nie wyrzuciłeś?

– Nigdy nie wyrzucam żadnego papieru.

Cisza długa i niespieszna, jak niedzielne popołudnie, zawisła w gabinecie nad głowami obu przyjaciół. Cisza właściwie pozbawiona znaczenia.

Ucieszyłem się, że mam już za sobą szkołę i maturę. Bernat skończył rok wcześniej, a teraz oddawał się ciałem i duszą grze na skrzypcach, chociaż zapisał się też na wydział humanistyczny, bez większego przekonania. Adrian podejmował studia na uniwersytecie z przekonaniem, że od tego momentu wszystko będzie łatwiejsze. Ale to, co tam zastał, to były prawdziwe wertepy i zarośla najeżone kolcami, nie wspominając o niskim poziomie studentów, których przerażał Wergiliusz, a na hasło Owidiusz wpadali w panikę. I jeszcze policja na patio i rewolucja w aulach. Przez jakiś czas przyjaźniłem się z niejakim Gensaną, bardzo zainteresowanym literaturą, który aż otworzył usta ze zdumienia, kiedy na jego pytanie, czym chciałbym się zajmować, odpowiedziałem, że historią idei i kultury.

– Ej, Ardèvol, nikt nie mówi, że chciałby być historykiem idei.

– Ja tak.

– Jesteś pierwszą osobą, od której słyszę coś takiego. Cholera. Historia idei i kultury. – Spojrzał na mnie nieufnie. – Nabierasz mnie, co?

– Nie. Chciałbym wiedzieć wszystko. To, co wiadomo teraz, i to, co kiedyś. I dlaczego wiedziano o czymś lub jeszcze nie wiedziano. Rozumiesz?

– Nie.

– A ty kim chcesz być?

– Nie wiem – odpowiedział Gensana. Nieokreślonym gestem wskazał czoło. – W głowie świergocze mi wiele wróbli. Ale na coś się zdecyduję, zobaczysz.

Trzy ładne, uśmiechnięte dziewczyny przeszły obok nich, kierując się na lektorat z greki. Adrian spojrzął na zegarek i pomachał Gensanie ręką, zostawiając mu rozważanie nad sensem zajmowania się historią idei i kultury. Poszedłem za ładnymi, uśmiechniętymi dziewczynami. Odwróciłem się przed wejściem do sali. Gensana jeszcze rozmyślał nad przyszłością Ardèvola. A kilka miesięcy później, podczas bardzo zimnej jesieni, Bernat, który wtedy był już w ósmej klasie skrzypiec, poprosił, żebym wybrał się z nim do Pałacu Muzyki, posłuchać Jaschy Heifetza. Że była to wyjątkowa okazja i że profesor Massià opowiadał mu, jak dyrygent, mistrz Toldrà, starał się przewyciężyć niechęć Heifetza do występowania w kraju, gdzie panował reżim faszystowski, aż w końcu tamten uległ namowom i przyjął zaproszenie. Adrian, który w większości życiowych spraw jeszcze nie stracił dziewictwa, poruszył ten temat z mistrzem Manlleu po wyczerpującej sesji poświęconej grze unisono, a ten, po paru sekundach zastanowienia, powiedział, że nie znał skrzypka bardziej aroganckiego, zimnego, odrażającego, głupiego, drętowego, odpychającego, wyniosłego i godnego pogardy niż Jascha Heifetz.

– Ale czy dobrze gra, mistrzu?

Mistrz Manlleu patrzył w nuty nieprzytomnym wzrokiem. Miał w ręce skrzypce i odruchowo zaczął grać pizzicato. Spojrzał przed siebie. Po bardzo długiej przerwie:

– To uosobienie doskonałości.

Może dotarło do niego, że to, co powiedział, było zbyt szczere i, żeby osłabić wrażenie, dodał:

– Po mnie to najlepszy z żyjących skrzypków. – Stuknął smyczkiem w pulpit. – No już, gramy dalej.

Cała sala klaskała. Wyraźnie było słyhać, że oklaski są bardziej serdeczne niż zwykle, ponieważ ludzie w jarzmie dyktatury uczą się wyrażać treści między wierszami i między oklaskami, za pomocą niewinnych gestów; widzą mężczyznę w trenczu z cienkim wąsikiem, który wygląda na tajniaka, i, uwaga, przypatrz mu się, czemu tak anemicznie klaszcze. Ludzie nauczyli się rozumieć ten język, wymuszony strachem, który próbował ze strachem walczyć. Ja to tylko przeczuwałem, bo nie miałem ojca, a matkę

całkowicie pochłaniał sklep; interesowały ją tylko moje postępy w graniu, którym przypatrywała się przez lupę, a Mała Lola nie chciała rozmawiać o tych sprawach, bo w czasie wojny zabili jej kuzyna anarchistę i teraz nie dawała się sprowadzić na śliski grunt ulicznej polityki. Powoli gasły światła i ludzie zaczęli klaskać, kiedy mistrz Toldrà wyszedł na scenę i zmierzał bez pośpiechu do pulpitu dyrygenta. W półmroku zauważyłem, że Sara zapisywała coś w swoim programie, a następnie podała mi go, prosząc o mój, żeby nie zostać z niczym. Jakieś cyfry. Telefon! Podałem jej swój program jak ostatni kretyn, bez wpisania swojego numeru. Skończyły się oklaski. Dostrzegłem, że Bernat ze swego fotela śledzi uważnie wszystko, co robię. Zapadła cisza.

Toldrà dyrygował uwerturą *Coriolan*, którą słyszałem wtedy po raz pierwszy i która od razu przypadła mi do gustu. Kiedy wyszedł ponownie, prowadził za rękę Jaschę Heifetza, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest po jego stronie czy coś w tym rodzaju. W każdym razie Heifetz w sposób arogancki, zimny, odrażający, głupi, drętwy, odpychający, wyniosły i pogardliwy skinął głową. Nawet nie próbował ukrywać, że jest urażony. Potrzebował trzech długich minut, żeby strząsnąć z siebie oburzenie, a w tym czasie mistrz Toldrà stał, nie rozglądając się na boki, i cierpliwie czekał, aż tamten da mu znak, że można zaczynać. I zaczęli. Pamiętam, że nie zamknąłem ust przez cały koncert. I że przy *andante assai* płakałem, nie wstydząc się łez; czułem fizyczną rozkosz, słuchając taktów dwudzielnych skrzypiec wybijających się na tle orkiestrowej trioli. I później, kiedy temat przejmuje orkiestra, albo na końcu, słuchając rogu i nieśmiałego *pizzicato*. Przepiękne. A Heifetz był człowiekiem, który mnie podbił całkowicie: skromnym, naturalnym, miłym i oddanym służbie pięknu. Adrianowi wydawało się, że oczy Heifetza podejrzanie błyszcząły. Bernat, jak zauważyłem, tłumiał głęboki szloch. A w przerwie podniósł się z fotela i powiedział muszę tam pójść, żeby go pozdrowić.

– Nie wpuszczaj cię.

– Spróbuję.

– Zaczekaj – powiedziała Sara.

Wstała i dała nam znak, żebyśmy poszli za nią. Obaj spojrzeliśmy na siebie zdziwieni. Weszliśmy po schodkach za lożą boczną i stanęliśmy w drzwiach. Woźny przyjął nas postawą *vade retro*, ale Sara, z uśmiechem, pokiwała do mistrza Toldrà, który rozmawiał z jednym z muzyków i chyba wyczuł gest Sary, bo odwrócił się, a kiedy nas dostrzegł, powiedział cześć, księżniczko, co tu robisz? Jak tam mama?

Podszedł bliżej i pocałował ją w policzek. Na nas nawet nie spojrzął. Mistrz Toldrà powiedział jej, że Heifetz był głęboko dotknięty napisami, którymi pomazano wokół cały Pałac, i że z tego powodu odwołał jutrzejszy koncert i wyjeżdża z kraju. To nie najlepszy moment, żeby zawracać mu głowę, rozumiesz?

Po koncercie, na ulicy, sami mogliśmy się przekonać, że faktycznie, na plakacie i na murze, wszędzie widniały nabazgrane smołą napisy w języku hiszpańskim wyprasające Żydów z kraju.

– Ja na jego miejscu nie odwoływałbym jutrzejszego koncertu – powiedział Adrian, przyszły historyk idei, nie mając pojęcia o historii ludzkości. Sara powiedziała mu na ucho, że bardzo się spieszy, dodała jeszcze zadzwonić, a Adrian nie zdążył zareagować, bo głowę miał ciągle pełną Heifetza, i tylko powiedział tak, tak i dziękuję.

– Rzucam skrzypce – powiedziałem przed sprofanowanym plakatem, przed Bernatem, który nie wierzył własnym uszom, i przed samym sobą, powtarzającym ciągle, jak sięgnę pamięcią, że rzucam skrzypce.

– Ale przecież... Ale przecież... – Bernat wskazywał głową Pałac, jakby chciał powiedzieć, czy trzeba lepszych argumentów niż

– Rzucam skrzypce. Nigdy nie będę grał tak jak on.

– Ucz się.

– Gówno. Rzucam. To niemożliwe. Kończę siódmą klasę, zdaję egzamin i rzucam to. Dość. *Assez. Schluss. Basta.*

– Kim była tamta panna?

– Która?

– Ta! – Wskazał głową aurę Sary, która jeszcze się nie rozviała. – Ta, która doprowadziła nas do mistrza Toldrà, jak Ariadna. Ta, która cię nazwała Adrian Jakiśtam, królu. Ta, która ci powiedziała zadzwonić do mnie...

– O co ci właściwie chodzi?

– O co mi chodzi? Grozisz, że rzucisz skrzypce.

– Tak. Definitywnie. Ale ja ci nie grożę: po prostu zostawiam to.

Rzecz w tym, że po koncercie Prokofiewa Heifetz, który tak się przeobraził, że nawet wydawał się wyższy i silniejszy, mimo swojej arogancji uraczył publiczność trzema tańcami żydowskimi, a w moich oczach stał się jeszcze wyższy, z jeszcze silniejszą aurą. Wtedy znów się skupił i zagrał nam Ciacconę z *Partity d-moll*, którą, pomimo wszelkich starań, udało mi się usłyszeć tylko raz z płyty, w wykonaniu Eugène'a Ysaÿe'a. To były perfekcyjne minuty. Byłem na wielu koncertach, ale dla mnie ten stał się koncertem założycielskim, koncertem, który otworzył mi drogę do piękna i zamknął mi drogę do skrzypiec, wyznaczył koniec mojej krótkiej kariery wykonawcy.

– Jesteś zawszonym kretynem – wypowiedział swoją opinię Bernat, który już wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy sam się zmierzy z ósmym poziomem, nie mogąc liczyć na moją obecność w niższej klasie. Sam na sam z mistrzem Massià. – Zawszonym kretyn.

– Nie, jeśli nauczę się być szczęśliwy. Już dostrzegłem światło w tunelu: koniec z męczarnią, przyszedł czas, żeby rozkoszować się muzyką, której dostarczają mi ci, którzy się na tym znają.

– Zawszonym kretyn, a na dodatek tchórz.

– Tak. Prawdopodobnie tak. Teraz mogę już grać, nie narażając się na dodatkowy stres.

Przechodnie, w zetknięciu z falą zimna, jaka nadciągnęła z gór, od strony Jonqueres, stali się mimowolnymi świadkami jednej z trzech sytuacji, kiedy mój przyjaciel Bernat stracił panowanie nad sobą. To było straszne. Na środku ulicy zaczął krzyczeć i wymieniać, licząc na palcach: niemiecki, angielski, kataloński, hiszpański, francuski, włoski, greka, łacina! W wieku dziewiętnastu lat możesz czytać w jednym, dwóch, trzech, czterech, pięciu, sześciu, siedmiu, ośmiu językach, a boisz się rozpocząć ósmy stopień gry na instrumencie, kretynie? Gdybym to ja miał twoją głowę, ty pieprzony palancie!

Wtedy zaczęły cichutko opadać płatki śniegu. Nigdy wcześniej nie widziałem śniegu w Barcelonie; nigdy przedtem nie widziałem Bernata tak wzburzonego. Nigdy nie widziałem Bernata tak bezradnego. Nie wiem, czy ten śnieg padał dla niego czy dla mnie.

– Popatrz – powiedziałem.

– Gównu mnie obchodzi śnieg. Źle robisz.

– Boisz się stawiać czoło mistrzowi Massià beze mnie.

– Tak, i co z tego?

– Ty jesteś skrzypkiem z powołania, ja nie.

Bernat niższym tonem powiedział nie myśl sobie, zawsze jestem na granicy wytrzymałości. Uśmiecham się, kiedy gram, ale nie dlatego, żebym się czuł szczęśliwy, tylko żeby ukryć panikę. Niestety, skrzypce są równie zdradzieckie jak waltornia: w każdej chwili możesz wydobyć fałszywy dźwięk. Ale nie porzucam gry jak jakiś wypierdek. Chcę dojść do dziesiątego poziomu i wtedy zobaczymy, czy zrezygnuję, czy nie. Poczekaj do dziesiątego.

– Bernat, uwierz mi: przyjdzie taki dzień, kiedy grając na skrzypcach, będziesz się uśmiechał z radości.

Poczułem się jak Jezus Chrystus wygłaszający przepowiednię, która, jeśli wziąć pod uwagę, jak się sprawy potoczyły... no więc, nie wiem, co mam powiedzieć.

– Zrezygnuj po dziesiątej klasie.

– Nie. Po czerwcowych egzaminach, z poczucia przyzwoitości. Ale jak mnie będziesz dalej wkurzał, rzucam natychmiast i gdzieś mam przyzwoitość.

Śnieg nadal padał. Aż do mojego domu nie zamieniliśmy ani słowa. Zostawił mnie pod drewnianą ciemną bramą bez pożegnania, bez żadnego życzliwego gestu.

Z Bernatem pokłóciłem się parę razy w życiu. To było pierwsze poważne starcie, pierwsze, po którym zostały blizny. Ferie zimowe upłynęły w niezwykłej aurze, w przysypanym śniegiem pejzażu. W domu była milcząca matka, Mała Lola, która zajmowała się wszystkim, i ja. Spędzałem coraz więcej czasu w gabinecie ojca, przestrzeni, która z każdym dniem przyciągała mnie coraz bardziej, zdobytej w nagrodę za wyniki w nauce i objętej przeze mnie na własność. Zaraz po świętym Stefanie poszedłem się przejść po białym mieście i natknąłem się na Bernata, który mieszkał przy ulicy Bruc, jak szedł przed siebie na nartach, ze skrzypcami na plecach. Dostrzegł mnie, ale poszedł dalej bez słowa. Wyznaję, że miałem napad zazdrości, bo od razu pomyślałem, ciekawe, do kogo idzie grać, ten skurczybyk, a do mnie nawet się nie odezwie. Adrian miał wtedy jakieś dziewiętnaście czy dwadzieścia lat, ale pod wpływem infantylnej zazdrości postanowił go śledzić; niestety, biegnąc, nie mógł nadążyć za nartami i wkrótce widział już tylko przed sobą figurkę jak z szopki, gdzieś na wysokości Gran Via. Był żaloszny, kiedy zdyszany, próbując złapać oddech przez szalik, patrzył na przyjaciela, który go opuszczał. Nigdy się nie dowiedziałem, dokąd się wybierał tamtego dnia, a oddałbym... chciałem powiedzieć, oddałbym pół życia, ale dzisiaj takie powiedzenie w moich ustach nie ma najmniejszego sensu. Ale co tam, oddałbym pół życia nawet i dzisiaj, żeby się dowiedzieć, do czyjego domu poszedł grać tamtego dnia podczas zimowych ferii, kiedy Barcelonę pokrywała gruba warstwa niespodziewanego śniegu.

Wieczorem, zdesperowany, wywróciłem kieszenie płaszcza, marynarki i spodni, klęcząc jak szewc, bo nie mogłem znaleźć programu koncertu.

– Sara Voltés-Epstein? Nie. Nic mi to nie mówi. Sprawdź może w parafii Betlem, oni tam organizują takie imprezy.

Obszedłem ze dwadzieścia parafii, brodząc w coraz brudniejszym śniegu, aż wreszcie ją znalazłem, w dzielnicy Poble Sec, w bardzo skromnej parafii, w sali jeszcze skromniejszej, prawie pustej, której trzy ściany były pokryte niesamowitymi rysunkami węglem. Sześć czy siedem portretów i jakiś pejzaż. Zrobiło na mnie wrażenie smutne spojrzenie na portrecie zatytułowanym *Wuj Chaim*. I pies, prawdziwe чудо. I dom nad morzem, zatytułowany *Plaža w Porlligat*. Ileż razy podziwiałem te rysunki, Saro. Ta dziewczyna była prawdziwą artystką. Sara. Przez pół godziny nie pisałem ani słowa, aż wreszcie trafił mnie prosto w pierś, niczym zarzut, jej głos, przecież cię prosiłam, żebyś tu nie przychodził.

Odwróciłem się, mając na czubku języka jakieś usprawiedliwienie, ale wydobyłem z siebie tylko nieśmiało przechodziłem tędy i. Uśmiechnęła się na znak, że mi wybacza. I cichym, niepewnym głosem zapytała:

– Co o tym sądzisz?

– Mamo.

– Co? – odezwała się, nie podnosząc głowy znad papierów leżących na biurku przeznaczonym do czytania dokumentów i rękopisów.

– Słuchasz mnie?

Była pochłonięta lekturą ekspertyzy finansowej dokonanej przez Caturłę, prawnika, któremu zleciła uporządkowanie spraw dotyczących sklepu. Nie miała dla mnie czasu, ale ja wiedziałem: teraz albo nigdy.

– Rzucam skrzypce.

– Bardzo dobrze.

Nie odrywała się od ekspertyzy finansowej, która musiała być niezwykle fascynująca. Kiedy Adrian wychodził z gabinetu, oblany zimnym potem i z duszą na ramieniu, usłyszał, jak składają się okulary, które zdjęła matka, z charakterystycznym klik-klak. Na pewno na niego patrzyła. Adrian odwrócił się. Tak, patrzyła, z okularami w jednej ręce i plikiem sprawozdań w drugiej.

– Co powiedziałeś?

– Że rzucam skrzypce. Skończę siódmą klasę i na tym poprzestanę.

– Nie ma mowy.

– Już zdecydowałem.

– Nie jesteś w odpowiednim wieku, żeby podejmować takie decyzje.

– Jestem, jak najbardziej.

Matka odłożyła sprawozdanie Caturli i wstała. Jestem pewien, że zastanawiała się, jak by sobie poradził ojciec z tym buntem. Na początek zdecydowała się użyć niskiego, złowieszczonego tonu groźby.

– Przystąpisz do egzaminów siódmego poziomu, potem zrobisz ósmą klasę, jeszcze dwa lata wirtuozerii i, jak przyjdzie czas, rozpoczniesz studia w Julliard School albo tam, gdzie zdecydujemy, ja i mistrz Manlleu.

– Mamo: nie chcę się poświęcić karierze wykonawcy.

– Bo?

– Bo nie daje mi szczęścia.

– Nie urodziliśmy się po to, żeby być szczęśliwi.

– Ja tak.

– Mistrz Manlleu mówi, że się nadajesz.

– Mistrz Manlleu mną gardzi.

– Mistrz Manlleu prowokuje cię, żeby cię pobudzić.

– Taka jest moja decyzja. Musisz się z nią pogodzić – odważyłem się oświadczyć matce.

To było wypowiedzenie wojny. Ale nie dało się tego przeprowadzić inaczej. Wyszedłem z gabinetu ojca, nie oglądając się za siebie.

– Hauk.

– Tak?

– Zaczynaj już malować sobie twarz jak wojownik, który wstępuje na wojenną ścieżkę. Czarny i biały od ust do uszu i dwie żółte kreski od góry do dołu.

– Nie kpij sobie ze mnie, nie widzisz, że jestem roztrzęsiony?

Adrian zamknął się w swoim pokoju, zdecydowany nie ustąpić ani na krok. Jak wojna, to wojna.

Przez kilka tygodni w domu słyszało się tylko głos Małej Loli, jedynej osoby usiłującej zachować

pozory normalności. Matka zawsze w sklepie, ja na uniwersytecie, a przy cichej kolacji Mała Lola patrzyła to na jedno, to na drugie; oboje wpatrywaliśmy się w talerze. Te kilka dni były tak ciężkie do zniesienia i tak okrutne, że nawet radość, że cię odnalazłem, została zagłuszona przez kryzys skrzypcowy.

Burza rozpełtała się w dniu, kiedy miałem lekcję z mistrzem Manlleu. Tego ranka, przed wyjściem do sklepu, matka odezwała się do mnie po raz pierwszy od tygodnia, nie patrząc w moim kierunku, jak wtedy, kiedy zmarł ojciec:

– Zabierz storioniego na lekcję.

Przyszedłem do domu mistrza z Vialem i już w korytarzu, kiedy szliśmy do sali muzycznej, usłyszałem, jak słodkim głosem proponuje możemy zmienić repertuar, dostosować do twojego gustu. Co ty na to, mały?

– Jak skończę siódmą klasę, przestanę studiować skrzypce. Czy to dotarło do wszystkich? Mam w życiu inne priorytety.

– Przez całe życie, każdego dnia, będziesz żałował błędnej decyzji (matka).

– Tchórz (Manlleu).

– Nie zostawiaj mnie samego, stary (Bernat).

– Negroidalny partacz (Manlleu).

– Przecież grasz lepiej niż ja! (Bernat).

– Pedał (Manlleu).

– A te godziny, które poświęciłeś na granie, to nic? Chcesz je wyrzucić na śmietnik? (matka).

– Kapryśny jak Cygan (Manlleu).

– I co chcesz robić? (matka).

– Studiować (ja).

– Możesz to łączyć z graniem, nie? (Bernat).

– Studiować co? (matka).

– Bękart (Manlleu).

– Pedał (ja).

– Uważaj, bo cię zostawię na lodzie (Manlleu).

– Czy ty w ogóle wiesz, co chcesz studiować? (matka).

– Hauk (Czarny Orzeł, dzielny wódz Arapaho).

– Ej, pytałam, co chcesz studiować. Medycynę? (matka).

– Niewdzięcznik (Manlleu).

– Kurczę, Adrian, przestań się wygłupiać! (Bernat).

– Historię (ja).

– Ha! (matka).

– Co? (ja).

– Umrzesz z głodu. I z nudów (matka).

– Historię!?! (Manlleu).

– Tak (matka).

– Ale przecież historia... (Manlleu).

– Cha, cha... Mnie pan nie musi mówić (matka).

– Zdrajca!! (Manlleu).

– Chcę też studiować filozofię (ja).

– Filozofię? (matka).

– Filozofię? (Manlleu).

– Filozofię? (Bernat).

– Jeszcze gorzej (matka).

- Dlaczego gorzej? (ja).
- W ostateczności możesz zostać adwokatem (matka).
- Nie. Nienawidzę norm regulujących życie (ja).
- Jesteś okropny (Bernat).
- Ty się buntujesz dla zasady. Taki masz podły charakter, prawda? (Manlleu).
- Chcę zrozumieć ludzkość, studiując ewolucję kultury (ja).
- Jesteś okropny, już ci mówiłem. Idziemy do kina? (Bernat).
- Tak, chodźmy. Do którego? (ja).
- Do Publi (Bernat).
- Nie rozumiem cię, synu (matka).
- Półgłówek (Manlleu).
- Historia, filozofia... Czy ty nie widzisz, że to niczemu nie służy? (matka).
- Mamo, nie mów tak!... Wstyd tego słuchać (ja).
- Historia, filozofia... Czy nie widzisz, że to niczemu nie służy? (Manlleu).
- Co pan może wiedzieć! (ja).
- Arogant! (Manlleu).
- A muzyka? Do czego służy? (ja).
- Zarobisz na niej mnóstwo pieniędzy, spójrz na to w ten sposób (Manlleu).
- Historia, filozofia... Czy ty nie widzisz, że to niczemu nie służy? (Bernat).
- Ty quoque? (ja).
- Co? (Bernat).
- Nie, nic (ja).
- Podobał ci się film? (Bernat).
- Och (ja).
- Och czy ach? (Bernat).
- Ach (ja).
- To niczemu nie służy! (matka).
- Mnie się podoba (ja).
- A sklep? Nie chcesz się nim zająć? (matka).
- O tym pomówimy później (ja).
- Hauk (Czarny Orzeł, dzielny wódz Arapaho).
- Kurczę, nie teraz, nie zawracaj głowy (ja).
- Ponadto chcę jeszcze studiować języki (ja).
- Angielski ci wystarczy (Manlleu).
- Jakie języki? (matka).
- Chcę lepiej poznać łacinę i grekę. I zacząć hebrajski, aramejski i sanskryt (ja).
- Niesłychane! Martwisz mnie, synu... (matka).
- Łacina, greka i co jeszcze? (Manlleu).
- Hebrajski, aramejski i sanskryt (ja).
- Masz nierówno pod sufitem, mały (Manlleu).
- To zależy (ja).
- Stewardesy w samolotach mówią po angielsku (Manlleu).
- Co takiego? (ja).
- Zapewniam cię, że nie potrzebujesz aramejskiego, żeby lecieć samolotem na koncert do Nowego Jorku (Manlleu).
- Nadajemy na różnych falach, mistrzu Manlleu (ja).
- Obmierzły gówniarz! (Manlleu).

– Może przestałby mnie pan już obrażać, co? (ja).

– Teraz rozumiem! Jestem dla ciebie niedościgłym wzorem (Manlleu).

– Nie, skądże znowu! (ja).

– Co ma znaczyć to „nie, skądże znowu”? Ej! Co chcesz powiedzieć przez to „nie, skądże znowu”? (Manlleu).

– Co powiedziałem, to powiedziałem (ja).

– Zimny, arogancki, odrażający, głupi, drętwy, odpychający, wyniosły i godny pogardy! (Manlleu).

– Bardzo dobrze, jak pan sobie życzy (ja).

– Co powiedziałem, to powiedziałem (Manlleu).

– Bernat (ja).

– Co? (Bernat).

– Pójdziemy się przejść na molo? (ja).

– Chodźmy (Bernat).

– Gdyby twój ojciec podniósł głowę! (matka).

Przykro mi, ale w dniu, kiedy matka, w samym środku naszej wojny, wypowiedziała te słowa, nie mogłem powstrzymać gromkiego, przesadnego śmiechu. Wiem, że Mała Lola, która słuchała wszystkiego z kuchni, też uśmiechnęła się mimo woli. Matka zbladła; za późno uświadomiła sobie sens swoich słów. Wszyscy byliśmy wyczerpani i nie ciągnęliśmy tego dalej. To był siódmy dzień wojennych potyczek.

– Hauk (Czarny Orzeł, dzielny wódz Arapaho).

– Odczep się, jestem zmęczony (ja).

– W porządku. Ale powinieneś wiedzieć, że prowadzicie wojnę pozycyjną, na wyczerpanie przeciwnika, jak pierwsza wojna światowa; i żebyś miał świadomość, i wziął pod uwagę, że walczysz na trzech frontach (Czarny Orzeł, dzielny wódz Arapaho).

– Masz rację. Ale ja wiem, że nie chcę być wybitnym solistą (ja).

– A przede wszystkim nie mieszaj taktyki ze strategią (Czarny Orzeł, dzielny wódz Arapaho).

Szeryf Carson splunął tabaką na ziemię i powiedział broń się, do jasnej cholery. Jeżeli chcesz spędzić życie, czytając, twoja sprawa, twoja i twoich książek. A inni mogą cię pocałować w dupę. Wiem, co mówię.

– Dziękuję, Carsonie (ja).

– Nie ma za co (szeryf Carson).

Minął siódmy dzień i wszyscy poszliśmy spać, zmęczeni napięciem, z utęsknieniem czekając na zawieszenie broni.

Tej nocy po raz pierwszy śniła mi się Sara.

Ze strategicznego punktu widzenia dobrze się stało, że wojska Trójprzymierza starły się ze sobą: Turcja przeciwstawiła się Niemcom w domu mistrza Manlleu. To było korzystne dla Ententy, która miała czas, żeby wylizać się z ran i zacząć konstruktywnie myśleć o Sarze. Kroniki powiadają, że bitwa między dawnymi sprzymierzeńcami była okrutna i krwawa, a krzyki dało się słyszeć aż pod domem mistrza Manlleu. Wygarnęła mu wszystko, co się nzbierało przez wiele lat milczenia, i oskarżyła go, że nie potrafił zatrzymać chłopaka, któremu jeszcze w głowie ćwierkają wróble, ale który ma niezwykle predyspozycje intelektualne.

– Niech pani nie przesadza.

– Mój syn jest niezwykle uzdolniony. Nie wiedział pan? Nie wyrażam się dostatecznie jasno?

– W tym domu jest tylko jedna osoba niezwykle uzdolniona, pani Ardèvol.

– Mój syn potrzebował ręki, która by mu wskazała właściwy kierunek. Pańskie ego, panie Manlleu...

– Mistrzu Manlleu.

– Widzi pan? Pańskie ego zakłóca panu obraz rzeczywistości. Trzeba zweryfikować pańskie

honorarium.

– Nie zgadzam się. Winien jest ten pani niezwykle uzdolniony syn.

– Niech pan nie kpi, to żalosne.

Wtedy już mogli przejść do obelg (okropna, negroidalna wiedźma, Cyganicha, zimna, arogancka, odrażająca, głupia, drętwa, nadęta i obmierzła, tchórzliwa i pedalska z jednej strony. Z drugiej tylko żalosny).

– Co pani powiedziała?

– Żalosny. – I powtórzyła, zbliżając do niego twarz: – Ża-łos-ny!

– Nie życzę sobie, żeby mnie pani obrażała. Oskarżę panią przed sądem.

– To będzie prawdziwa przyjemność napuścić na pana paru adwokatów. Jak tak, to nie zapłacę panu za kolejny miesiąc. Dla mnie może pan... Dla mnie... Porozmawiam z Yehudi Menuhinem.

Ponoć doszło do rękoczynów. Idąc za matką korytarzem, przekonywał ją, że Menuhin jest nijaki i dziesięć razy droższy. Matka zmierzała do drzwi, a on dawał wyraz swemu oburzeniu. Wie pani, jak wyglądają lekcje tego całego Menuhina? Wie pani, co on robi?

Kiedy usłyszała, jak zatrzaśnięte przez nią drzwi mieszkania Manlleu zamykają się z hałasem, rozłoszczona Carme Bosch już wiedziała, że rozwiało się bezpowrotnie jej marzenie, żeby zrobić z Adriana najlepszego skrzypka na świecie. Ubolewam nad tym, Mała Lolu. Zapewniłem Bernata, że się przyzwyczai, i obiecałem, że zawsze będę z nim grał, kiedy tylko zechce, czy to u mnie, czy u niego, bez różnicy. Dopiero wtedy mogłem odetchnąć i skupić się wyłącznie na rozmyślaniu o tobie.

Et in Arcadia ego. Chociaż Poussin malował swój obraz przekonany, że te słowa wypowiada śmierć, obecna wszędzie, nawet w miejscach szczęśliwych, ja zawsze uważałem, że to ego odnosi się do mnie: to ja byłem w Arkadii, Adrian miał swoją Arkadię. Ten smutny, łysy, żałosny, tchórzliwy facet z brzuszkiem żył kiedyś w jednej z Arkadii, a miałem ich wiele, z których pierwszą jest pewna osoba – ty i twoja obecność. Tę Arkadię utraciłem na zawsze. Zostałem wypędzony przez anioła z płonącym mieczem. Adrian zasłaniał przyrodzenie, myśląc teraz będę musiał pracować i zarabiać na życie, sam, bez ciebie, moja Saro. Ale Arkadia jako miejsce to Tona, najbrzydsza i najpiękniejsza wieś na świecie, gdzie spędziłem piętnaście wakacji. Przeskakiwałem z tarasu na taras położonego na stromym zboczu folwarku Can Casic; tarzałem się w kłujących kłosach, ukrywając się w stogu przed Xevim, Quico czy Rosą, moimi nieodłącznymi kompanami podczas ośmiu tygodni letnich wakacji z dala od Barcelony, od dzwonoń kościoła Niepokalanego Poczęcia, od żółto-czarnych taksówek i tego wszystkiego, co mi przypominało szkołę, z dala najpierw od rodziców, a potem już tylko od matki, z dala od książek, których Adrian nie mógł zabrać ze sobą. Albo wspinałem się na wyścigi do zamku, żeby zobaczyć z góry folwark Can Ges, pola, a w oddali domy, wszystko w pomniejszeniu, jak figurki w szopce. Na pierwszym planie stogi na tarasach i folwark Can Casic, ten mniejszy, ze stodołą nadgryzioną zębem czasu, też jak w szopce. Jeszcze dalej góry jak wycięte z korka, Collsacabra na północnym wschodzie i Montseny na wschodzie. My też byliśmy w tej szopce: krzyczeliśmy, bo czuliśmy się panami świata, zwłaszcza Xevi, starszy ode mnie o sześć lat, z którym przegrywałem w każdej konkurencji, do momentu, kiedy zaczął pomagać ojcu przy krowach i przestał się z nami bawić. Quico też był lepszy ode mnie, ale raz udało mi się zwyciężyć w wyścigach do białej ściany. Co prawda dlatego, że się potknął, ale wygrałem uczciwie. A Rosa była bardzo ładna i też była ode mnie lepsza we wszystkim. W domu ciotki Leo żyło się inaczej niż u nas. Bez samotnych rozważań, bez milczenia. Tam ludzie ze sobą rozmawiali i patrzyli sobie w oczy. To był bardzo duży dom, w którym ciotka Leo rządziła uzbrojona w fartuch, zawsze nieskazitelny, w beżowym kolorze. Can Ges, dom rodzinny Ardèvolów, był ogromny, miał co najmniej trzynaście pokoi, przewiewnych latem i wyposażonych we wszelkie miejskie wygody przydatne zimą, w odpowiedniej odległości od zagrody dla krów, stajni dla koni, z frontową ścianą skierowaną na południe, z ozdobnym gankiem, który był najlepszym miejscem na świecie do lektury i najlepszym miejscem do gry na skrzypcach, a wtedy cała trójka kuzynów, niby przypadkiem, zjawiała się, żeby mnie posłuchać, a ja, zamiast robić ćwiczenia, popisywałem się repertuarem przyjemniejszym dla ucha, a któregoś dnia kos przysiadł na gzymsie ganku, obok doniczki z geranium, i przyglądał mi się, jak gram drugą sonatę z *Second livre de sonates* Leclaira, pełną ozdobników, które najwyraźniej przypadły ptakowi do gustu, sonatę, którą pani Trullols poleciła mi przygotować na początek roku w szkole muzycznej przy ulicy Bruc. Tonton Leclair, kiedy zapisał ostatnią nutę, dmuchnął na rękopis, bo skończył mu się proszek do posypywania atramentu. Później wstał z uczuciem satysfakcji, wziął skrzypce i wykonał utwór, nie zaglądając do nut, zastanawiając się nad ewentualną kontynuacją tego znakomitego motywu. Mlasnął, zadowolony z siebie. Usiadł. Na ostatniej, wolnej stronie na dole wykaligrafował starannym pismem: „Dedykuję tę sonatę mojemu kochanemu siostrzeńcowi, Guillaume-François, synowi mojej najdroższej siostry Annette, w dniu jego narodzin. Oby los był dla niego pomyślny podczas wędrówki przez tę dolinę łez”. Przeczytał, co napisał, znowu podmuchał i skłął w duchu wszystkich swoich służących, którzy nie potrafili zadbać o jego przybory do pisania. W folwarku Can Ges wszyscy znali swoje obowiązki. Wszyscy, na przykład ja, byli dobrze traktowani, dopóki robili, co do nich należało. A latem, w Can Ges, moim obowiązkiem było tylko odżywiać się po bożemu, bo te miejskie

dzieci są takie chude, popatrz no, jakie blade dziecko do nas przysłali, biedactwo. Moi kuzyni byli ode mnie starsi: Rosa, najmłodsza, o trzy lata. Byłem czymś w rodzaju rozkapryszonego beniaminka, którego należało tuczyć mlekiem prosto od krowy i porządną kiełbasą. I chlebem z oliwą. I chlebem zmieszonym z winem i cukrem. I boczkiem. Wujka Cinto najbardziej martwił niezdrowy zwyczaj Adriana zamykania się na całe godziny i czytania książek, w których zamiast świętych obrazków były same litery, a to u chłopca w wieku siedmiu, dziesięciu czy dwunastu lat naprawdę niepokoiło. Ale wtedy ciotka Leo kładła delikatnie rękę na ramieniu wujka, a ten od razu zmieniał temat rozmowy i mówił, że Xevi ma mu towarzyszyć dziś po południu, bo przyjdzie Prudenci do krów.

– Ja też chcę pójść.

– Nie.

– A ja?

– Ty tak.

Rosa obraziła się, że Adrian, młodszy od niej, mógł iść, a ona nie.

– To przykry widok, córeczko – pocieszała ją ciotka Leo.

A ja poszedłem zobaczyć, jak Prudenci wsadzał pięść i całą rękę do tyłka Blanki, a potem mówił coś wujkowi, co Xevi notował na kartce, a Blanca muczała obojętna na problemy, jakie

– Uwaga, uwaga, uwaga, ona sika! – krzyczał podekscytowany Adrian.

Mężczyźni odsunęli się, nie przerywając rozmowy o swoich sprawach, ale ja zostałem w pierwszym rzędzie łoży, bo srająca i sikająca krowa to był jeden z ciekawszych spektakli, jakie życie oferowało mi w Tonie. Albo sikający muł z Can Casic. Warto było to zobaczyć na żywo, dlatego myślę, że wujostwo niesprawiedliwie traktowali Rosę, pozbawiając ją tego spektaklu. Było jeszcze więcej rzeczy wartych zobaczenia, jak na przykład łowienie kijanek w rzece, w pobliżu Clot de Matamonges. Potem wracaliśmy, niosąc w butelce trofeum w postaci ośmiu czy dziesięciu ofiar.

– Biedne zwierzątko.

– Ależ ciociu, będę je codziennie karmił.

– Biedne zwierzątko.

– Będę im dawał chleb, naprawdę.

– Biedne niebożęta.

Chciałem zobaczyć, jak zamieniają się w żaby, albo, najczęściej, w martwe kijanki, bo nie pamiętaliśmy, żeby im zmieniać wodę, ani nie zastanawialiśmy się, co miałyby jeść w butelce. Albo gniazda jaskółek na ganku domu. Albo gwałtowne burze. Apoteozą była młócka na klepisku w Can Casic, już nie cepami, ale za pomocą młockarni, która oddzielała ziarno, formowała snopki i wypełniała całe otoczenie i moje wspomnienia słomianym kurzem. Et in Arcadia ego, Adrian Ardèvol. Nikt mi nie odbierze tych wspomnień. Teraz sobie myślę, że ciotka Leo i wujek Cinto musieli być bardzo dobrymi ludźmi, bo po kłótni między braćmi zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. To było dawno temu. Adriana jeszcze nie było na świecie. Dowiedziałem się o tym, ponieważ kiedy skończyłem dwadzieścia lat, zdecydowałem się spędzić jakieś trzy, cztery tygodnie w Tonie, żeby nie zostać latem w Barcelonie sam na sam z matką, jeśli mnie przyjmiecie. Również dlatego, że Sara, z którą widywałem się w tajemnicy przed jej i moją rodziną, musiała jechać z rodzicami do Cadaqués, a ja poczułem się smutny i samotny.

– Co ma znaczyć „jeśli mnie przyjmiecie”? Nigdy tak nie mów – usłyszałem urażony głos ciotki Leo. – Kiedy przyjedziesz?

– Jutro.

– Nie ma twoich kuzynów. To znaczy jest Xevi, ale on całe dni spędza przy gospodarstwie.

– Liczyłem się z tym.

– Josep i Maria z Can Casic zmarli tej zimy.

– Och, nie.

– A Viola zdechła ze zgryzoty. – Milczenie po drugiej stronie kabla. Na pocieszenie: – Oboje byli już bardzo starzy. Josep chodził zgarbiony wpool, biedaczek. Suka też była stara.

– Tak, bardzo mi przykro.

– Zabierz ze sobą skrzypce.

Matce zakomunikowałem, że ciotka Leo zaprosiła mnie i że nie wypadało odmówić. Matka nie powiedziała ani tak, ani nie. Odnosiliśmy się do siebie z dystansem i niewiele rozmawialiśmy. Ja spędzałem czas na nauce i czytaniu, a ona w sklepie. A kiedy była w domu, patrzyła na mnie z wyrzutem, że dla kaprysu zrezygnowałem z fantastycznej kariery skrzypka.

– Słyszałaś, mamó?

Widać w sklepie, jak zwykle, były problemy, o których nie chciała ze mną rozmawiać. I dlatego, nie patrząc w moją stronę, powiedziała zawieź im jakiś drobiazg.

– Jaki na przykład?

– Nie wiem, cokolwiek. Sam wybierz.

Tak więc pierwszego dnia mojego pobytu w Tonie wybrałem się do miasteczka z rękami w kieszeniach, żeby poszukać jakiegoś prezentu w sklepie Berdagué. A kiedy już byłem na rynku, zobaczyłem ją przy stoliku gospody Racó, ze szklanką orszady w dłoni, uśmiechniętą, jakby na mnie czekała. Nie, ona naprawdę tam na mnie czekała. Nie od razu ją skojarzyłem, ale po chwili, no proszę! Przecież już ją kiedyś widziałem, kto to jest, kto to jest, kto to jest. Pamiętam ten uśmiech.

– Ciao – powitała mnie.

Wtedy ją rozpoznałem. Już nie była moim aniołem, ale miała ten sam anielski uśmiech. Teraz stała się dojrzałą, urodziwą kobietą. Gestem zaprosiła mnie do swojego stolika, a ja posłusznie usiadłem.

– Mój kataloński jest jeszcze słaby.

Zaproponowałem, żebyśmy rozmawiali po włosku. Wtedy zapytała caro Adrià, sai chi sono, vero?

Nie wstąpiłem do sklepu Berdagué po prezent dla ciotki Leo. Przez godzinę ona sączyła orszadę, a on przełykał ślinę. Mówiła bez przerwy i wyjaśniła mi wszystko, o czym Adrian nie wiedział albo udawał, że nie wie, bo mimo jego ukończonych dwudziestu lat, w domu nigdy się o tym nie rozmawiało. To ona, na rynku w Tonie, powiedziała, że ja i mój anioł jesteśmy rodzeństwem.

Patrzyłem na nią z lekka oszołomiony. Po raz pierwszy ktoś to nazwał po imieniu. Odgadła przyczynę mojego zmieszania.

– È vero – potwierdziła.

– To jak w serialu. – Wolałem się nie przyznawać, jakie to na mnie wywarło wrażenie.

Nie dała się zbić z tropu. Stwierdziła, że ze względu na różnicę wieku mogłaby być moją matką, ale jest moją przyrodnią siostrą, i pokazała mi akt urodzenia czy coś w tym rodzaju, gdzie Feliks Ardèvol przyznawał się do ojcostwa niejakiej Danieli Amato, czyli właśnie jej, co mogła potwierdzić paszportem, którego nie omieszkała mi pokazać. A więc faktycznie na mnie czekała, przygotowana do rozmowy, z gotową dokumentacją. Tym samym potwierdziło się to, co przeczuwałem, ale nikt mi tego wcześniej nie powiedział; że ja, stuprocentowy jedynak, miałem starszą siostrę, dużo starszą siostrę. W tym momencie poczułem się oszukany przez ojca, przez matkę i przez Małą Lolę, zagubiony wśród tylu sekretów. Wydaje mi się, że miałem pretensje nawet do szeryfa Carsona, który nigdy mi tego nie sugerował. Siostra. Przyjrzałem się jej: była równie piękna jak wtedy, kiedy zjawiała się w naszym domu pod postacią anioła, ale teraz była czterdziestosekstoletnią kobietą, a na dodatek moją siostrą. Nie bawiliśmy się razem w czasie nudnych niedzielnych popołudni. Raczej dotrzymywałyby towarzystwa Małej Loli; śmiałyby się i zakrywały dłońmi usta za każdym razem, kiedy ktoś by na nie spojrział.

– Ale ty jesteś w wieku mojej matki – powiedziałem bez związku.

– Trochę młodsza. – Wyczułem lekką irytację w tonie jej głosu.

Miała na imię Daniela. Powiedziała mi, że jej matka... opowiedziała mi piękną historię miłosną, a ja nie mogłem uwierzyć, że ojciec był zakochany, milczałem i słuchałem, słuchałem opowieści

i próbowałem wyobrazić to sobie, i nie wiem, z jakiego powodu zaczęła nagle opowiadać o układach między obu braćmi, bo ojciec, zanim trafił do seminarium w Vic, nauczył się, z łaski swojej i bez gadania, przesiewać zboże, młócić cepem, jak Bóg przykazał, i obmacywać brzuch Estrelli, żeby sprawdzić, kiedy do diabła wreszcie będzie miała cielaka. Dziadek Ardèvol uczył obu synów zaprzęgać muły i pouczał, że nie będzie deszczu z ciemnych chmur, które nadciągały od strony Collsuspina, bo zawsze przechodziły bokiem. Wujek Cinto, który miał dziedziczyć ze względu na starszeństwo, z większą gorliwością przykładał się do pracy w gospodarstwie. Także do kwestii zarządzania ziemią, zbiorami i parobkami. Natomiast nasz ojciec, kiedy tylko mógł, chodził z głową w obłokach, rozmyślając i czytając ukradkiem po kątach, tak jak ty. Zdesperowani rodzice wysłali ojca do seminarium w Vic, kiedy już był, choć bez przekonania, niezłe przeskolonym wieśniakiem. Wtedy faktycznie obudziła się w nim chęć do nauki i wziął się do łaciny i greki oraz pochłaniał opowieści pisane przez wielkich mistrzów. Nad seminarium unosił się jeszcze duch Verdaguera i co drugi seminarzysta próbował swoich sił w poezji, ale nie nasz ojciec, nie: on chciał zgłębić tajniki filozofii i teologii, które zbyt oszczędnie mu dawkowano.

– A ty skąd to wszystko wiesz?

– Sam opowiadał mojej matce. Nasz ojciec w młodości był bardzo rozmowny. Dopiero później zamknął się jak parasol i zamienił w mumię.

– Co dalej?

– Wysłali go do Rzymu, bo okazało się, że jest bardzo zdolny. Moja matka zaszła z nim w ciążę. Uciekł z Rzymu, bo był tchórzem. Potem ja się urodziłam.

– O kurczę... Jak w serialu – upierałem się przy swoim.

Daniela, zamiast się pogniewać, uśmiechnęła się łobuzersko i wróciła do przerwanej opowieści. Dowiedział się od niej, że ojciec pokłócił się z bratem.

– Z wujkiem Cinto?

– Pocałuj mnie w dupę. Nie mam zamiaru żenić się z jakąś flądą – krzyknął oburzony Feliks, oddając mu zdjęcie.

– Ale żyłbyś sobie jak król! Oba gospodarstwa świetnie prosperują. Wszystko dokładnie sprawdziłem. Będiesz mógł zajmować się swoimi książkami, do cholery, tak jak lubisz, czego chcesz więcej?

– Czemu tak ci zależy na moim małżeństwie?

– Rodzice mnie o to prosili, na wypadek, gdybyś kiedyś zrzucił sutannę... żebyś się ożenił; żebym ja się o to postarał.

– Przecież ty sam jesteś kawalerem! Czemu mi zawracasz...

– Ożenię się. Mam już na oku taką...

– Jakby to były krowy.

– Ja się nie obrażam. Mama wiedziała, że trudno cię będzie przekonać.

– Ożenię się, kiedy mi się spodoba. Jeśli w ogóle się zdecyduję.

– Mogę ci poszukać ładniejszej – powiedział Cinto, chowając zdjęcie najstarszej córki państwa Puig.

Wtedy nasz ojciec obcesowo zażądał wypłacenia swojej części spadku, bo chciał się osiedlić w Barcelonie. Nie obyło się bez krzyków; padały słowa ciężkie jak kamień, rzucone w zły wierz. Bracia zaczęli na siebie patrzeć z nienawiścią, ale nie doszło do rękoczynów. Feliks dostał swoją część i obaj przez parę lat żyli, nie wiedząc nic o sobie. Dopiero upór ciotki Leo sprawił, że ojciec zgodził się przyjechać na ślub wujka. Ale dystans między braćmi już się nie zmniejszył. Jeden kupował ziemię w okolicy, hodował bydło, wyrabiał paszę; drugi w tym czasie wydawał spadek na tajemnicze podróże po Europie.

– Jakie tajemnicze podróże?

Daniela dopiła do końca orszadę, nie dodając nic więcej. Adrian poszedł zapłacić, a kiedy wrócił, zaproponował może byśmy się trochę przeszli, a tymczasem Tori, właściciel gospody Racó, przecierając

stół brudną ścierką, zrobił taką minę, jakby myślał, do diaska, ta Francuzka jest bardzo apetyczna.

Kiedy wyszli na plac, Daniela stanęła przed nim i założyła ciemne okulary, które nadawały jej wygląd nowoczesny i zdecydowanie cudzoziemski. Podeszła do niego bliżej i rozpięła mu guzik koszuli, jakby byli w wielkiej zażyłości.

– Scusa – powiedziała.

Tori z gospody Racó pomyślał sobie, jakim cudem taki szczył, kurwa, zdołał przygruchać sobie taką szykowną Francuzkę. Pokręcił głową, zdziwiony, jak szybko świat biegnie do przodu, a tymczasem Daniela przyglądała się łańcuszkowi z medalikiem.

– Nie wiedziałam, że jesteś wierzący.

– To nie jest kwestia wiary.

– Madonna z Pardàcu to Matka Boska.

– To pamiątka.

– Po kim?

– Nie wiem dokładnie.

Daniela powstrzymała uśmiech, pogładziła medalik opuszkami palców i wypuściła z dłoni. Adrian schował go pod koszulą, niezadowolony, że ktoś ośmielił się naruszyć jego intymność. Dlatego dodał to nie twoja sprawa.

– To zależy.

Nie rozumiał, o co jej chodzi. Poszli przed siebie bez słowa.

– Ładny ten medalik.

Jachiam zdjął go z szyi, pokazał jubilerowi i powiedział to złoto. Łańcuszek też.

– Nie ukradłeś go?

– Nie! Podarowała mi go mała Bettina, moja niewidoma siostra, żebym nigdy nie czuł się samotny.

– A dlaczego chcesz go sprzedać?

– To takie dziwne?

– Owszem... W końcu to pamiątka rodzinna...

– Rodzina... Bardzo mi brakuje mojego ojca, Muredy z Pardàcu, i wszystkich Muredów: Agno, Jenna, Maxa, Hermesa, Josefa, Theodora, Micury; Ilsy, Eriki. Kathariny, Matildy, Gretchen i ślepej Bettiny. Tęsknię też za widokiem moich rodzinnych stron.

– Dlaczego tam nie wrócisz?

– Bo są jeszcze ludzie, którzy źle mi życzą, i rodzina zawiadomiła mnie, że bezpieczniej będzie, jeżeli...

– Tak... – powiedział złotnik, pochylając głowę, żeby lepiej przyjrzeć się medalikowi, średnio zainteresowany problemami Muredów.

– Wysłałem ojcu dużo pieniędzy, żeby pomógł całemu rodzeństwu.

– Aha.

Przyglądał mu się jeszcze przez chwilę. Potem oddał medalik właścicielowi.

– Pardàc to Predazzo? – zapytał, patrząc mu w oczy, jakby nagle przyszło mu coś do głowy.

– Ludzie z doliny mówią Predazzo, owszem. Ale to Pardàc... Nie chce pan go kupić?

Jubiler przecząco pokręcił głową.

– Potrzebuję pieniędzy.

– Jeżeli spędzisz u mnie zimę, nauczę cię zawodu, a jak stopnieją śniegi, pójdiesz, dokąd zechcesz. Ale nie sprzedawaj medalika.

W domu tego dobrego człowieka Jachiam nauczył się, jak topić metal, żeby wyrabiać z niego pierścionki, medaliony i kolczyki. Przez kilka miesięcy zżerała go tęsknota, aż do czasu, kiedy mistrz, kręcąc głową, zapytał go, jakby wracał do przerwanej rozmowy:

– Komu powierzyłeś pieniądze?

- Jakie pieniądze?
- Te, które wysłałeś rodzinie.
- Zaufanemu człowiekowi.
- Z Prowansji?
- Tak, a dlaczego?
- Nie, nic, nic...
- Dlaczego?
- Nie, tylko słyszałem, że... Nie, nic.
- Co słyszeliście?
- Jak się nazywał tamten człowiek?
- Ja mówiłem na niego Blond. Blond z Cazilhacu. Dlatego, że miał bardzo jasne włosy.
- Zdaje się, że nie dali mu dotrzeć...
- Co?
- Zabili go. I okradli.
- Kto?
- Ludzie z gór.
- Z Moeny?
- Wydaje mi się, że tak.

Tego samego ranka, z zapłatą za zimowe miesiące w kieszeni, Jachiam poprosił jubilera o błogosławieństwo i wyruszył w góry, żeby się dowiedzieć, co się stało z pieniędzmi Muredów i z nieszczęsnym Blondem. Zaślepiiony wściekłością szedł szybko i nie myślał o zachowaniu choćby minimalnej ostrożności. Piątego dnia dotarł do Moeny. Stał na rynku i zaczął wołać niech wyjdzie rodzina Brocia. Brocia, który to usłyszał, zawiadomił kuzyna, a ten następnego kuzyna i kiedy zebrało się ich dziesięciu, wyszli na plac, schwytali Jachiam i zaciągnęli go nad rzekę. Krzyk grozy nie dotarł do Pardàcu. Medalik z Matką Boską Kwietną zachował sobie jako trofeum ten z Brociów, który pierwszy go dostrzegł.

– Pardàc jest w Trydencie – zauważył Adrian.

– Natomiast w domu – odpowiedziała zamyślona Daniela – zawsze słyszałam, że przywiózł go z Afryki wujek marynarz, którego nie zdążyłam poznać.

Pokonali całą trasę do cmentarza i do kaplicy Matki Bożej z Lourdes bez słowa, a łagodne popołudnie uprzyjemniało im spacer. Po półgodzinnym milczeniu, siedząc na kamiennej ławce w parku przed kaplicą, Adrian, który nabrał już do niej zaufania, wskazał ukryty pod koszulą medalik i zapytał chcesz, żebym ci go oddał?

– Nie. Jest twój. Strzeż go.

Kiedy słońce, kończąc swoją dzienną wędrówkę, wydłużyło cienie w parku, Adrian zapytał, co miała na myśli, mówiąc o tajemniczych podróżach ojca.

Zatrzymał się w hotelu w dzielnicy Borgo, pięć minut od Bazyliki Świętego Piotra w Watykanie, przy Passetto. Hotelik był dyskretny, skromny i tani; nazywał się Bramante, a prowadziła go rzymska matrona, z tych, co to potrafią utrzymać porządek żelazną ręką. Miało się wrażenie, że czas się dla niej zatrzymał w okresie przejściowym między Lipcem a Sierpniem. Kiedy już się urządził w ciasnym i wilgotnym pokoju, którego okno wychodziło na Vicolo delle Palline, z pierwszą wizytą udał się do ojca Morlina, który, kiedy go zobaczył, obserwował go parę sekund, stojąc w drzwiach klasztoru Santa Sabina i usiłując sobie przypomnieć, kim może być ten mężczyzna... no nie!

– Feliks Ardevole! – zawołał. – Il mio omonimo! Vero?

Feliks Ardèvol potwierdził i pokornie ucałował rękę zakonnika, który pocił się pod ciężkim habitem. Morlin, spojrzawszy mu w oczy, zawahał się i zamiast zaprowadzić go do którejś rozmównicy lub do wirydarza, wybrał pusty korytarz, gdzie biel ścian od czasu do czasu zakłócał jakiś obraz bez większej

wartości. Korytarz był długi, z niewielką ilością drzewi. Ścisząc instynktownie głos, jak za dawnych czasów, zapytał czego chcesz, a Feliks Ardèvol odpowiedział potrzebne mi są kontakty, tylko kontakty. Chcę założyć sklep; myślę, że możesz mi pomóc w zdobyciu asortymentu pierwszej jakości.

Przeszli jeszcze kawałek w milczeniu. Co ciekawe, w tym pustym miejscu ani kroki, ani głos nie wywoływały echa. Ojcu Morlinowi musiało bardzo zależeć na dyskrecji, skoro przyprowadził go aż tutaj. Minęli kolejne dwa obrazy i Morlin, ocierając pot z czoła, zatrzymał się przy bardzo skromnym *Zwiastowaniu* i spojrzał mu w oczy:

– Jak ci się udało wyjechać? Teraz, kiedy macie u siebie wojnę?

– Mogę wjeżdzać i wyjeżdzać bez problemów. Mam swoje sposoby. I mam kontakty.

Ojciec Morlin gestem dał do zrozumienia, że wolałby nie znać szczegółów.

Rozmawiali długo. Pomysł Feliksa Ardèvola był prosty: od paru lat wielu obywateli niemieckich, austriackich i polskich, zaniepokojonych planami Hitlera, szukało sposobu, żeby zmienić otoczenie.

– Interesują cię bogaci Żydzi.

– Uciezka to zawsze okazja dla antykwariusza. Zaprowadź mnie do ludzi, którzy mają zamiar emigrować do Ameryki. Ja zajmę się resztą.

Doszli do końca korytarza. Znajdowało się tam okno wychodzące na surowy wirydarz, którego jedyną ozdobą były krwistoczerwone pelargonie w doniczkach ustawionych na ziemi. Feliksowi trudno było wyobrazić sobie dominikanina, jak podlewa te rzędy doniczek. Po drugiej stronie niewielkiego wirydarza następne okno, podobne do poprzedniego, idealnie kadrowało kopułę Świętego Piotra, jakby specjalnie po to zostało tam umieszczone. Feliks Ardèvol pomyślał, że dobrze byłoby mieć na własność i to okno, i ten widok. Po kilku sekundach rozmarzenia wrócił na ziemię. Morlin zapewne przyprowadził go tu, żeby mu zaimponować.

– Potrzebuję trzech, czterech adresów, wraz z informacją o sytuacji właścicieli.

– Dlaczego zakładasz, drogi Ardevole, że wiem coś na temat, który cię interesuje?

– Mam swoje źródła: poświęcam wiele godzin na zbieranie informacji i dzięki temu wiem, że ciągle poszerzasz krąg znajomości.

Ojciec Morlin poczuł się dotknięty tą uwagą, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Skąd to nagłe zainteresowanie cudzą własnością?

Już miał na końcu języka ponieważ moja praca to moja pasja, ponieważ kiedy znajdę przedmiot, który mnie zainteresuje, cały mój świat sprowadza się do tego przedmiotu, czy to figurka, obraz, papier czy płótno. A świat pełen jest przedmiotów, które same w sobie nie potrzebują żadnego usprawiedliwienia. Są przedmioty, które...

– Zostałem kolekcjonerem. – Poprawił się: – Jestem kolekcjonerem.

– Kolekcjonerem czego?

– Kolekcjonerem. – Rozłożył ręce, jak święty Dominik, kiedy głosił kazania z ambony. – Szukam pięknych przedmiotów.

Ojciec Merlin naturalnie dysponował informacjami. Jeśli był na świecie ktoś, kto wiedział wszystko, nie ruszając się prawie z klasztoru Santa Sabina, to właśnie ojciec Feliks Morlin, przyjaciel dla przyjaciół i, jak powiadano, niebezpieczny dla tych, do których się zraził. Ardevole był przyjacielem, więc niebawem doszli do porozumienia. Wcześniej jednak Feliks Ardèvol musiał wysłuchać kazania o ciężkich czasach, w których przyszło im żyć, wbrew ludzkiej woli, i dla świętego spokoju kiwał głową święte słowa, święte słowa, więc gdybyś ich obserwował z zewnątrz, pomyślałbyś, że odmawiają litanie różańcowe. A ciężkie czasy, jakie przeżywała Europa, zmusiły wielu ludzi, żeby skierować wzrok na Amerykę, i dzięki ojcu Morlinowi Feliks Ardèvol spędził kilka miesięcy, zanim wielki pożar ogarnął Europę, na podróżowaniu, żeby ocalić meble przed całkiem prawdopodobnym trzęsieniem ziemi. Pierwszy kontakt doprowadził go do ulicy Tiefer Graben, w Innere Stadt w Wiedniu. Był to bardzo ładny dom, nie za duży, ale z pewnością bardzo pojemny. Przycisnął dzwonek i uśmiechnął się sympatycznie

do kobiety, która otworzyła drzwi z niepewnym wyrazem twarzy. Pierwszy kontakt pozwolił mu na wykupienie całego umeblowania, które po wyłączeniu pięciu wartościowych przedmiotów odsprzedał za podwójną cenę, nie wyjeżdżając z Wiednia, praktycznie nie przekraczając granicy Ringu starego miasta. Po tak spektakularnym sukcesie mogła mu uderzyć do głowy woda sodowa, ale Feliks Ardèvol był nie tylko inteligentny, ale i sprytny. Dlatego postępował ostrożnie. W Norymberdze kupił kolekcję obrazów z siedemnastego i osiemnastego wieku: dwa płótna Fragonarda, jeden wyblakły Watteau i trzy obrazy Rigauda. Myślę, że wśród nich był chłopiec z żółtymi pelargoniami; obraz, który odłączył od pozostałych. W Pontegradelli, w pobliżu Ferrary, po raz pierwszy miał w rękach instrument muzyczny wielkiej wartości. Była to altówka, dzieło Nicoli Galliana z Neapolu. Kiedy rozważał zakup, żałował, że nie miał okazji nauczyć się gry na tego rodzaju instrumentach. Trzeba było odczekać w milczeniu, aż sprzedający skrzypek, niejaki Davide Fiordaliso, o którym wiedział z dobrego źródła, że został zwolniony z Filharmonii Wiedeńskiej po wprowadzeniu nowej ustawy rasowej, a obecnie zarabiał na życie, grając w kawiarni w Ferrarze, cichym głosem oznajmił due milioni. Wymienił spojrzenia z signorem Arrau, który ponad godzinę oglądał altówkę przez lupę, a teraz dawał mu znak, że oględziny wypadły pomyślnie. Feliks Ardèvol wiedział, że w tym momencie należało zwrócić obiekt właścicielowi ze zde gustowaną miną i zaproponować absurdalnie niską kwotę. Zrobił to, ale czuł ogromną przykrość, ryzykując, że altówka przejdzie mu koło nosa. Trzeba jeszcze raz spokojnie przemyśleć tę strategię. Czym innym jest kupowanie i sprzedawanie z zachowaniem zimnej krwi, a czym innym urządzenie sklepu, jeśli faktycznie do tego dojdzie. Kupił altówkę za duecentomila lire. Nie przyjął od właściciela, któremu trzęsły się ręce, zaproszenia na kawę, bo na wojnie obowiązuje zasada, że nie patrzy się w oczy swojej ofierze. Zdobył instrument Galliana. Signor Arrau przypuszczał, zastrzegając, że instrumenty nie są jego mocną stroną, że może uzyskać za altówkę trzykrotne przebicie, jeśli dyskretnie rozpuści plotkę, że jest do sprzedania, i nie będzie mu zależało na czasie. Zaproponował Feliksowi, że przedstawi mu jego krajana, signora Berenguera, utalentowanego młodzieńca, który osiągnął niesłychaną precyzję w ocenie wartości instrumentów i który, jak tylko się skończy wojna w Hiszpanii, bo przecież kiedyś musi się skończyć, ma zamiar wrócić do ojczyzny.

Zastosował się do rady przewidującego ojca Morlina i wynajął magazyn w niewielkiej miejscowości w pobliżu Zurychu. Tam trzymał sofy, kanapy, konsole, Fragonardy, krzesła chippendale i płótna Watteau. I altówkę Galliana. Nie mógł przypuszczać, że pewnego dnia instrument strunowy, na pozór bardzo do niej podobny, doprowadzi go do zguby. Jednego tylko był pewien – że sklep to jedno, a jego prywatna kolekcja, zawierająca najbardziej wartościowe obiekty z katalogu, to całkiem inna sprawa.

Od czasu do czasu wracał do Rzymu, do hoteliku Bramante, spotykał się z Morlinem, rozmawiał z nim o ewentualnych klientach, o przyszłości, a Morlin dawał mu do zrozumienia, że wojna w Hiszpanii nie skończy się nigdy, bo cała Europa jest o krok od wielkiego wstrząsu, a wielki wstrząs to wielka niewygoda. Trzeba skorygować mapę Europy, a najszybszym sposobem, żeby tego dokonać, są bomby i okopy, powiedział z obojętną rezygnacją.

– A skąd ty to wiesz?

Nie przyszło mu do głowy żadne mądrzejsze pytanie. Weszliśmy z Danielą na drogę prowadzącą do zamku od strony Barri, tę, którą wybierało się zazwyczaj, kiedy w grupie był ktoś starszy, komu ciężko by było wspiąć się skalistą drogą z drugiej strony.

– Jaki wspaniały widok – powiedziała.

Stojąc przed zamkową kaplicą, mieli przed sobą La Planę w całej okazałości i Adrianowi przemknęła przez głowę ulotna myśl o jego Arkadii.

– Skąd ty tyle wiesz o moim ojcu?

– Bo to również mój ojciec. Jak się nazywa ta góra naprzeciwko?

– Montseny.

– Och, nie wydaje ci się, że to wszystko wygląda jak presepe?

Co ty możesz wiedzieć o moich szopkach, których nigdy nie robiliśmy w domu, pomyślałem. Ale Daniela miała rację – w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek Tona sprawiała wrażenie szopki i Adrian odruchowo wskazał ręką w dół:

– Folwark Can Ges.

– Tak. I folwark Can Casic.

Poszli dalej w kierunku Wieży Mauretańskiej. W środku odór gówna i moczu. Na zewnątrz wiatr i pejzaż. Adrian przysiadł na brzegu urwiska, żeby nie stracić niczego ze spektaklu, jaki tworzyła przed nimi natura. Dopiero wtedy przyszło mu do głowy prawidłowe pytanie:

– Dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

Usiadła obok niego i nie patrząc w jego stronę, powiedziała bo są rodzeństwem, bo lepiej, żeby się rozumieli, bo jest właścicielką folwarku Can Casic.

– Wiem. Matka mi powiedziała.

– Mam zamiar zburzyć zabudowania, pozbyć się brudu, zbiornika na deszczówkę, gnoju i smrodu zbutwiałej słomy. I wybudować tam nowe domy.

– Nie wiesz, w co się ładujesz.

– Przyzwyczaisz się.

– Viola zdechła ze zgryzoty.

– Kim jest Viola?

– To suka z folwarku Can Casic. Ciemnobeżowa, z czarnym pyskiem i opadającymi uszami.

Daniela nie rozumiała, o co mu chodzi, ale nie dopytywała się. Adrian przyglądał się jej w milczeniu parę sekund.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Powinieneś wiedzieć, kim był nasz ojciec.

– Nienawidzisz go.

– Adrianie, nasz ojciec nie żyje.

– Ale go nienawidzisz. Po co przyjechałaś do Tony?

– Żeby porozmawiać z tobą bez udziału twojej matki. Żeby porozmawiać o sklepie. Kiedy będzie do ciebie należał, chciałabym zostać współniczką.

– Dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Negocjuj z moją matką...

– Z twoją matką nie da się rozmawiać. Dobrze o tym wiesz.

Słońce znikło już za Colluspina i nagle poczułem w sobie pustkę. Powoli zmierzchało, słyszałem coś jak granie świerszczy. Coraz wyraźniej świecił na niebie niecierpliwy księżyc, od strony Collsacabry. Powiedziała, że sklep kiedyś będzie mój?

– Takie jest prawo życia, w końcu przejdzie na ciebie. Wcześniej czy później.

– Odwal się.

Powiedział to po katalońsku. Z miny, jaką zrobiła, wynikało, że doskonale rozumiała, ale uśmiechnęła się na znak, że nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Mam ci jeszcze więcej do opowiedzenia. A właśnie, które skrzypce przywiozłeś?

– Nie zamierzam wiele ćwiczyć. Prawdę mówiąc, już zdecydowałem, że rezygnuję z nauki. Zabrałem je tylko na życzenie ciotki Leo.

Ponieważ zaczęło się ściemniać, musieli zejść na dół. Z zemsty poprowadził ją skalistą ścieżką po drugiej stronie góry; szedł długimi krokami, lekceważąc urwisko, a ona, mimo wąskiej spódnicy, podążała za nim, jakby zejście nie nastęczało jej szczególnych trudności. Księżyc stał już wysoko na niebie, kiedy dotarli do granicy wyznaczonej przez drzewa otaczające mur cmentarza.

– Ale które skrzypce zabrałeś?

– Te do ćwiczeń. Dlaczego?

– O ile wiem – ciągnął dalej signor Jakiśtam, który zatrzymał się na środku ulicy – na tych skrzypcach

nigdy nikt nie grał systematycznie: są jak Messias Stradivariiego, rozumiecie, panowie?

– Nie – odpowiedział zniecierpliwiony Ardèvol.

– Chcę powiedzieć, że to dodaje im wartości. Ślad po nich zaginął w tym samym roku, w którym powstały i trafiły w ręce Guillaume’a-François Viala. Być może później miał je ktoś, kto na nich grał, ale ja nic o tym nie wiem. A teraz znajdujemy je tutaj. To instrument bezcenny.

– To właśnie chciałem usłyszeć, caro dottore.

– Naprawdę to pierwszy instrument? – wtrącił się, zaintrygowany, pan Berenguer.

– Tak.

– Na pana miejscu zrezygnowałbym, panie Ardèvol. To duże pieniądze.

– Czy jest ich wart? – zapytał Feliks Ardèvol, patrząc na Jakiegoś tam.

– Zapłaciłbym bez wahania. Gdybym je miał. Za ten przepiękny dźwięk.

– Guzik obchodzi mnie dźwięk.

– I wyjątkową wartość symboliczną.

– A to faktycznie ma swoją cenę.

Rozstali się, bo zaczynało padać. Pożegnali się, kiedy signor Jakiś tam od razu na ulicy zainkasował honorarium za ekspertyzę. Zniszczenia wojenne, a do tego jeszcze miliony zabitych i całe miasta w gruzach nie sprzyjały bawieniu się w ceregiele; interesy, które czasem przesądzały o czymś życiu, zwykło się załatwiać na stojąco, w dyskretnym miejscu gdzieś za rogiem. Pożegnali się, kiedy Feliks Ardèvol powiedział zgoda, weźmie pod uwagę radę pana Berenguera, owszem, pięćdziesiąt tysięcy dolarów to za duża forsa. Bardzo dziękuję obu panom. Do zobaczenia, gdyby mieli jeszcze kiedyś się spotkać. Pan Berenguer, zanim skręcił za róg, jeszcze się odwrócił, żeby obserwować Ardèvola. Udawał, że zapala nieistniejącego papierosa, żeby mieć pretekst do obserwacji. Feliks Ardèvol nie dał po sobie poznać, że poczuł na plecach jego spojrzenie.

– Kim jest pan Falegnami?

Znów był w klasztorze Santa Sabina. Wrócili do korytarza zwierzeń, gdzie nie było echa. Ojciec Morlin spojrzął na zegarek i energicznie pociągnął za sobą Ardèvola na ulicę.

– Do cholery, Morlin, przecież pada!

Ojciec Morlin otworzył ogromny wiejski parasol, ujął Ardèvola pod ramię i zaczęli się przechadzać przed fasadą klasztoru, niczym penitent i spowiednik w trakcie spowiedzi, jakby dominikański braciszek udzielał pocieszenia i porady nieszczęsnemu śmiertelnikowi z nieczystym sumieniem; chodzili tam i z powrotem przed fasadą Santa Sabina, na pozór rozmawiając o niewierności, czynach lubieżnych, grzesznych uczuciach zazdrości czy gniewu, ojciec, nie spowiadałem się już od wielu lat, a ludzie, którzy ich mijali, byli bardzo zbudowani tym widokiem.

– To portier w Ufficio della Giustizia e della Pace.

– To już wiem. – Dwa kroki między kałuzami. – Kim on jest, powiedz? Skąd ma tak cenne skrzypce?

– Aha, więc naprawdę są cenne...

– Dostaniesz prowizję za pośrednictwo.

– Wiem, ile za nie żąda.

– Zdaję sobie sprawę. Ale nie wiesz, ile mu zapłacę.

– Nie nazywa się Falegnami: to Zimmermann.

Popatrzył na niego z ukosa. Po kilku następnych krokach w milczeniu, ojciec Morlin zaczął badać teren:

– Nie wiesz, o kogo chodzi, prawda?

– Jestem przekonany, że Zimmermann też nie jest jego prawdziwym nazwiskiem.

– Lepiej, żebyś nadal nazywał go Falegnami. Możesz mu zaproponować jedną czwartą tego, co zażądał. Ale uważaj, żeby nie poczuł się oszukany, bo...

– Bo może być niebezpieczny.

Amerykański jeep przemknął jak burza przez Corso i ochlapał poły habitu i spodnie.

– Zastrany skurwysyn, niech go szlag – powiedział Ardèvol, nie podnosząc głosu. Morlin zde gustowany pokręcił głową.

– Drogi przyjacielu – powiedział z enigmatycznym uśmiechem, jakby odczytywał przyszłość – kiedyś zgubi cię twój charakter.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nie jesteś tak silny, jak ci się wydaje. Rzeczywistość cię przerosła.

– Kim jest ten Zimmermann?

Feliks Morlin wziął pod rękę przyjaciela. Szum kropel deszczu padających na parasol nie zagłuszył jego słów.

Na zewnątrz ulewa, pod wpływem wielkiego chłodu, przeszła w cichą, gęstą śnieżycę. Wewnątrz mieszkania Höss, kontemplując tęczy kolor wina we wzniesionym kieliszku, odpowiedział tak, przyszedłem na świat w zamożnej i bardzo religijnej rodzinie, a dzięki niezłomnym zasadom moralnym, jakie mi wpojono, przezwyciężyłem ludzkie słabości i wziąłem na siebie ciężki obowiązek niezłomnego obrońcy ojczyzny przeciw wewnętrznym wrogom, stosując się do rozkazów samego Führera i do szczegółowych wytycznych Reichsführera Himmlera. To wino jest znakomite, doktorze.

– Dziękuję – odpowiedział doktor Voigt, nieco znużony całym tym gadaniem. To dla mnie zaszczyt, że mogłem je panu zaproponować w tej namiastce domu – dodał. Z każdym dniem czuł coraz większą odrazę do tych groteskowych typów pozbawionych kultury osobistej.

– Całkiem wygodna ta namiastka – zauważył Oberlagerführer.

Jeszcze jeden łyk. Na zewnątrz śnieg litościwie przykrywał wstydlive miejsca ziemi grubym, zimnym prześcieradłem. Rudolf Höss kontynuował.

– Dla mnie rozkazy są święte, choćby wydawały się nie wiem jak trudne, ponieważ jako oficer SS muszę być gotów do całkowitego poświęcenia mojej osoby wypełnianiu obowiązków, jakie nakłada na mnie ojczyzna.

Bła, bła, bła, bła, bła.

– Oczywiście, panie Obersturmbannführerze Höss.

Wtedy Höss zrelacjonował mu tę żalosalną historię o żołnierzu Brunonie jakimś tam, pokrzykując niczym Dietmar Kehlmann w Berlinertheater i zakończył słynną frazą zabierzcie stąd to ścierwo. Doktor Voigt zdawał sobie sprawę, że tamten opowiada to już co najmniej po raz dwudziesty, zawsze z tym samym okrzykiem na końcu.

– Moi rodzice, jako gorliwi katolicy w luterańskich i kalwińskich Niemczech, chcieli zrobić ze mnie księdza. Sam się nad tym długo zastanawiałem.

Podły zazdrośnik.

– Byłby pan dobrym kapłanem, Obersturmbannführerze Höss.

– Przypuszczam, że tak.

I zarozumiałym.

– Jestem tego pewien: cokolwiek pan robi, efekt jest zawsze znakomity.

– To, co pan przedstawia jako moją zaletę, może też być moim przekleństwem. Zwłaszcza teraz, kiedy ma nas odwiedzić Reichsführer Himmler.

– Dlaczego?

– Ponieważ jako Oberlagerführer czuję się odpowiedzialny za wszelkie niedostatki systemu. Na przykład, z ostatniej dostawy cyklonu zostało puszek tylko na dwa, najwyżej trzy razy, a intendent nie uprzedził mnie w porę ani sam nie złożył zamówienia. A teraz, proszę, szukaj protekcji i ściągaj ciężarówkę, które są potrzebne gdzie indziej, i trzymaj się na wodzy, żeby nie zbesztać intendenta, bo w Auschwitz wszyscy żyją na granicy wytrzymałości.

– Myślę, że doświadczenie wyniesione z Dachau...

– Z psychologicznego punktu widzenia różnica jest kolosalna. W Dachau mieliśmy więźniów.

– Wiem, że wielu tam umierało i nadal umiera.

Ten doktor to kretyn, pomyślał Höss. Trzeba nazwać rzeczy po imieniu.

– Tak, panie Sturmbannführerze Voigt, ale Dachau to obóz dla więźniów. Auschwitz-Birkenau w założeniu jest obozem stworzonym i nastawionym na eksterminację szczurów. Gdyby nie fakt, że Żydzi nie są ludźmi, myślałbym, że żyjemy w piekle, którego bramą jest komora gazowa, a przeznaczeniem piece krematoryjne i ich płomienie czy groby wykopane w lesie, w których spalamy nadwyżki, ponieważ nie radzimy sobie z tą ilością towaru, jaki nam przysyłają. Nigdy jeszcze nie rozmawiałem o tym z nikim spoza obozu, doktorze.

Ale się zagalopował, nadęty kretyn!

– Dobrze, że pan się przede mną otworzył, panie Obersturmbannführerze Höss.

Dobrze jest się wygadać, choćby tylko przed tym głupim, zarozumiałym doktorkiem, pomyślał Höss.

– Mam nadzieję, że z racji uprawianego zawodu umie pan dochować tajemnicy, bo gdyby Reichsführer się dowiedział...

– Naturalnie. Pan, chrześcijanin, wie, że psychiatra jest jak spowiednik. Jak spowiednik, którym mógł pan zostać.

– Moi ludzie muszą być silni, żeby realizować zadania, do których zostali powołani. Któregoś dnia pewien żołnierz po trzydziestce, a nie jakiś młokos, rozplakał się w baraku, na oczach swoich kolegów.

– I co dalej?

– Bruno, Bruno, ocknij się!

Niewiarygodne, że Oberlagerführer, Obersturmbannführer Rudolf Höss przy drugiej kolejce znów wrócił do tej sceny, ze wszystkimi szczegółami. Po czwartym czy piątym kieliszku, spoglądając przed siebie szklanym wzrokiem, zaczął mówić od rzeczy i wtedy wymknęło mu się, że ma na oku pewną żydowską dziewczynę. Doktor nie okazał zgorszenia, ale pomyślał, że ta informacja jest bardzo interesująca i może ją wykorzystać jako oręż w ciężkich czasach. Dlatego nazajutrz pogadał z Gefreitem Hänschem i poprosił go uprzejmie, żeby go oświecił, kogo Obersturmbannführer miał na myśli. Sprawa była prosta: chodziło o jego służącą. Zapisał to sobie w notesiku na wszelki wypadek.

Po kilku dniach znów przyszedł czas na selekcję towaru, całego tego gówna. Doktor Voigt przyglądał się z bezpiecznej odległości, jak żołnierze w sposób nieznoszący sprzeciwu dawali kobietom do zrozumienia, że muszą się rozstać z dziećmi. Widział, jak doktor Budden wybiera dziesięcioro chłopców i dziewczynek, które mu były potrzebne do eksperymentu, i wtedy zwrócił uwagę na zapłakaną, kaszlącą staruszkę. Podszedł bliżej.

– Co to takiego?

Położył rękę na futerał, ale ta stara krowa cofnęła się o krok i wtedy wkurzył się, co ta kurwa sobie myśli, do cholery. Ponieważ tak mocno uczepliła się futerału, że nie sposób go było wyrwać, Sturmbannführer Voigt wyciągnął pistolet, wymierzył w szarą, przywiedłą pierś kobiety i wystrzelił, a to jedno słabe paf! ledwo dało się słyszeć pośród ogólnego lamentu. Co za świnią, obryzgała krwią futerał skrzypiec. Doktor rozkazał Emmanuelowi, żeby go wyczyścił i natychmiast przyniósł mu do gabinetu, po czym oddalił się, chowając broń do kabury, odprowadzany przez kilka par oczu przerażonych takim okrucieństwem.

– To ten tego – odezwał się Emmanuel, kilka minut później, kładąc mu futerał na biurku. Sam futerał był dobrej jakości. Dlatego przyciągnął uwagę doktora Voigta. Dobry futerał nie kryje złego instrumentu. Kto wydał pieniądze na warstwę zewnętrzną, wcześniej wydał je na instrument. A jeśli instrument jest dobry, zabierasz go wszędzie, dokądkolwiek byś jechał, nawet do Auschwitz.

– Otwórz jakoś ten zamek.

– W jaki sposób, panie majorze?

– Sam pomyśl, wykombinuj coś. – Nagle się przeraził. – Tylko nie strzelaj!

Adiutant majora posłużył się nieregulaminową brzytwą, który to szczegół nie uszedł uwagi Voigta; zapisał go w swoim notesie na wszelki wypadek. Dał mu znak, żeby opuścił gabinet, i z dreszczykiem emocji otworzył futerał. Owszem, w środku były skrzypce, ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że to przedmiot bez jakiegokolwiek... nie, zaczekaj. Wziął go do ręki i przeczytał, co było w środku: Laurentius Storioni Cremonensis me fecit 1764. Ciekawe, co to mogło znaczyć.

Ten głupi prostak Höss umówił się z nim na trzecią. Zmarszczył brwi i ośmielił się oświadczyć, że jako gość obozu nie miał pan prawa urządzać spektakularnej egzekucji w strefie rejestracji i selekcji, doktorze Voigt.

– Nie chciała wykonać polecenia.

– Co miała?

– Skrzypce.

– Mogę zobaczyć?

– Nie są wiele warte, panie Obersturmbannführerze.

– Nie szkodzi, chcę je zobaczyć.

– Nie ma tam nic interesującego, może mi pan wierzyć.

– To rozkaz.

Doktor Voigt otworzył apteczną szafę i powiedział cicho, uśmiechając się uprzejmie:

– Do pańskiej dyspozycji, panie Obersturmbannführerze.

Oglądając instrument i jego blizny, Rudolf Höss powiedział szkoda, że nie znam żadnego muzyka, żeby się dowiedzieć, ile te skrzypce są naprawdę warte.

– Proszę nie zapominać, panie Obersturmbannführerze, że to ja je znalazłem.

Rudolf Höss podniósł głowę, zdziwiony niestosownym, obcesowym tonem doktora Voigta. Dał tamtemu parę sekund, żeby zauważył, że on zauważył to, co było do zauważenia, choćby nie do końca rozumiał, w czym rzecz.

– Przecież sam pan twierdził, że nie mają żadnej wartości?

– Nie mają. Ale to mój kaprys.

– A ja mam zamiar je sobie zatrzymać, doktorze Voigt. Jako rekompensatę za...

Nie wiedział, jaka to miała być rekompensata. Stąd to zawieszenie głosu w momencie, gdy zamykał instrument w futerał.

– Co za obrzydliwość. – Wskazał ręką. – To krew tamtej kobiety, prawda?

Odstawił skrzypce pod ścianę.

– Przez pański głupi żart będę musiał wymienić futerał.

– Ja się tym zajmę; instrument jest mój.

– Myli się pan, drogi przyjacielu, to ja go sobie zatrzymam.

– Nie zatrzyma pan, panie Obersturmbannführerze.

Rudolf Höss złapał futerał za uchwyt, jakby zamierzał posłużyć się nim w bójce. Teraz już był pewien, że instrument jest wiele wart. Bezcelność majora na to wskazywała. Uśmiechnął się, ale uśmiech szybko zamarł mu na ustach, kiedy usłyszał słowa doktora Voigta i poczuł jego oddech spod wydatnego nosa, blisko swojej twarzy:

– Nie może go pan zatrzymać, bo pana zadenuncjuję.

– Z jakiego powodu? – zmieszał się Höss.

– Sześćset piętnaście tysięcy czterysta dwadzieścia osiem.

– Co takiego?

– Elizawieta Mejrewa.

– Co takiego?

– Numer sześćset piętnaście tysięcy czterysta dwadzieścia osiem. Sześć, jeden, pięć, cztery, dwa, osiem. Elizawieta Mejrewa. Pańska służąca. Reichsführer Himmler nie zawaha się przed karą śmierci dla pana, jak się dowie, że utrzymywał pan stosunki seksualne z Żydówką.

Höss, czerwony jak piwonია, odrzucił gwałtownie skrzypce na stół.

– Tyle dla ciebie jest wart sekret spowiedzi, ty skurwysynu.

– Nie jestem księdzem.

Skrzypce zabrał doktor Voigt, który w Auschwitz był tylko przejazdem, nadzorując żelazną ręką eksperymenty prowadzone przez doktora Buddena, tego sztywnego Obersturmführera, który sprawiał wrażenie, jakby któregoś dnia połknął kij od szczotki i jeszcze go nie wysrał. I dwóch innych lekarzy w stopniu porucznika, którzy brali udział w najradykałniejszym badaniu, jakie kiedykolwiek prowadzono w przeszłości czy przyszłości – sprawdzali granice wytrzymałości na ból. Z kolei Höss przeżył kilka dni z duszą na ramieniu, zastanawiając się, czy Aribert Voigt, ten wyrafinowany złodziej i pedał, który ma gdzieś zasady, będzie trzymać język za zębami.

– Pięć tysięcy dolarów, panie Falegnami.

Niespokojne, już prawie szkliste spojrzenie mężczyzny zmierzyło się ze wzrokiem Feliksa Ardèvola.

– Kpi pan sobie ze mnie?

– Nie. Niech pan słucha, dobrze? Wezmę je za trzy tysiące, panie Zimmermann.

– Chyba pan zwariował.

– Nie. Albo mi je pan sprzeda za tę kwotę, albo... No, myślę, że władze byłyby bardzo wdzięczne za informację, że doktor Aribert Voigt, Sturmbannführer Voigt, żyje i ukrywa się kilometr od Watykanu, prawdopodobnie w porozumieniu z jakąś ważną watykańską szyczą. A na dodatek próbuje robić interesy, sprzedając skrzypce zrabowane w Auschwitz.

Pan Falegnami, zdenerwowany, wyciągnął salonowy, damski pistolet i wymierzył. Feliks Ardèvol nie ruszył się z miejsca. Demonstracyjnie uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową, jakby się poczuł zdegustowany tą sceną:

– Jest pan sam. Jak się pan pozbędzie mojego ciała?

– Z prawdziwą przyjemnością zajmę się rozwiązaniem tego problemu.

– Zostanie panu jeszcze jeden, poważniejszy: jeżeli nie wyjdę stąd na własnych nogach, ci, którzy na mnie czekają na dole, będą wiedzieli, co trzeba zrobić. – Wskazując pistolet, upomniał go surowo: – A teraz wezmę skrzypce za dwa tysiące. Nie wie pan, że jest jedną z dziesięciu osób najpilniej poszukiwanych przez aliantów? – blefował tonem, jakim karci się niegrzeczne dziecko.

Doktor Voigt patrzył, jak Ardèvol wyciąga zwitek banknotów i kładzie je na szafce. Prerażony, opuścił pistolet, nie wierząc własnym oczom:

– Tu jest tylko tysiąc pięćset!

– Niech pan nie wystawia na próbę mojej cierpliwości, panie Sturmbannführerze Voigt.

To był doktorat Feliksa Ardèvola z przeprowadzania transakcji. Pół godziny później żwawym krokiem podążył ulicą ze skrzypcami w ręku, zadowolony, że tak dobrze mu poszło; tylko serce biło mu trochę szybciej niż zwykle.

– Naruszyłeś właśnie najświętsze prawo stosunków dyplomatycznych.

– Słucham?

– Zachowałeś się jak słoń w sklepie z porcelaną.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Brat Feliks Morlin gniewnie zmarszczył brwi i oburzonym głosem rzucił:

– Nie do mnie należy osądzanie ludzi. Pan Falegnami był pod moją opieką.

– Ale to prymitywny skurwysyn.

– Był pod moją opieką!

– Dlaczego chronisz zbrodniarzy?

Feliks Morlin zatrzasnął drzwi przed nosem Feliksa Ardèvola, który nie mógł zrozumieć jego gwałtownej reakcji.

Wychodząc z klasztoru Santa Sabina, założył kapelusz i podniósł klapy płaszcza. Nie wiedział, że już nigdy nie zobaczy tego niezwykłego dominikanina.

– I co mam ci na to powiedzieć?

– Wiem jeszcze niejedno o naszym ojcu.

Było już ciemno. Musieli przejść nieoświetlonymi ulicami i uważać, żeby się nie potknąć na koleinach wyżłobionych w wyschniętym błocie przez koła wozów. Daniela pocałowała go w czoło, gdy doszli do Can Ges, i przez kilka sekund Adrian znów widział w niej tego anioła, którym była w jego wspomnieniach, bez skrzydeł i bez aureoli. Wtedy sobie uświadomił, że wszystkie sklepy są zamknięte i że ciotka Leo nie dostanie żadnego prezentu.

Twarz miała tragiczne rysy. Ale największe wrażenie robiło jasne, szczere spojrzenie, które mnie oskarżało. Albo, jeśli spojrzeć z innej perspektywy, błagało o przebaczenie. Domyśliłem się wielu nieszczęść, zanim Sara cokolwiek mi opowiedziała. A wszystkie te nieszczęścia zawierały się w kreskach naszkicowanych węglem na grubym papierze.

– Ten rysunek zrobił na mnie największe wrażenie – powiedziałem. – Chętnie bym go poznał.

Uświadomiłem sobie, że Sara nie skomentowała moich słów, ograniczając się tylko do ukrycia portretu pod pejzażem z Cadaqués. Oglądaliśmy go w milczeniu. Milczenie panowało w całym ogromnym mieszkaniu, do którego weszliśmy nieomal ukradkiem, korzystając z nieobecności rodziców. W ogóle nikogo tam nie było. Zamożny dom. Taki jak mój. Jak złodziej, jak w dniu Pańskim, wejść do twojego domowego ogniska jak złodziej.

Nie odważyłem się zapytać, dlaczego musieliśmy pójść tam w dniu, kiedy nie było nikogo. Poznanie otoczenia tej delikatnej dziewczyny, która uśmiechała się melancholijnie, było dla Adriana wielką frajdą. Z każdym dniem coraz głębiej wchodziła w jego życie, przenikała go aż do szpiku kości. Pokój Sary był większy niż mój, dwa razy większy. I bardzo ładny: z tapetą, która przedstawiała gęsi i wiejski domek, taki jak Can Ges w Tonie, tyle że ładniejszy, czysty, bez much i smrodu; wyglądał jak ilustracja bajki; tapeta dziecięcego pokoju, która przetrwała, mimo że dziewczynka miała już... nie wiem, ile masz lat, Saro.

– Dziewiętnaście. A ty dwadzieścia trzy.

– Skąd wiesz, że mam dwadzieścia trzy lata?

– Masz to wypisane na twarzy.

I przykryła pejzaż z Cadaqués nowym rysunkiem.

– Bardzo ładnie rysujesz. Pozwól mi spojrzeć jeszcze raz na tamtego mężczyznę.

Znów położyła na wierzchu portret wujka Chaima. To spojrzenie, te rysy, ta aura smutku.

– Mówiłaś, że to twój wujek?

– Tak. Już nie żyje.

– Kiedy umarł?

– Tak naprawdę to wujek mojej matki. Nie znałam go. To znaczy, byłam bardzo mała, kiedy...

– To jak...

– Ze zdjęcia.

– Dlaczego chciałaś go sportretować?

– Żeby ocalić jego historię.

Stali w kolejce do pryszniców. Gawryłow, ten sam, który podczas podróży bydłącym pociągiem ogrzewał dwie dziewczynki podróżujące bez żadnej bratniej duszy, odwrócił się do doktora Epsteina i powiedział prowadzą nas na śmierć, a doktor Epstein szeptem, żeby go nie dosłyszeli inni, odparł to niemożliwe, pan chyba zwariował.

– To nie ja zwariowałem, doktorze, to tamci. Niech pan to wreszcie przyjmie do wiadomości!

– Wszyscy do środka. Tędy, mężczyźni po tej stronie. Dzieci mogą być z kobietami, oczywiście!

– Nie, nie; złóżcie ubranie i pamiętajcie numer wieszaka, jak wrócicie spod pryszniców, jasne?

– Skąd jesteś? – zapytał wujek Chaim, patrząc w oczy tego, który wydawał polecenia.

– Nie wolno nam z wami rozmawiać.

– Kim jesteście? Też jesteście Żydami, prawda?

– Cholera, macie zakaz. Nie komplikuj mi życia. – I głośno: – Zapamiętajcie numer wieszaka.

Kiedy wszyscy mężczyźni powoli przesuwali się w stronę pryszniców, gdzie już czekała grupa nagich kobiet, wszedł do przebieralni oficer SS; miał cienki wąsik i kaszłał sucho. Zapytał jest tu jakiś lekarz? Doktor Chaim Epstein posunął się krok naprzód w stronę pryszniców, ale Gawryłow, który stał obok, powiedział niech pan nie będzie głupi, doktorze, ma pan teraz szansę.

– Cicho.

Wtedy Gawryłow odwrócił się i wskazując blade plecy Chaima Epsteina, powiedział er ist ein Arzt, mein Oberleutnant, a Herr Epstein przeklął towarzysza niedoli, który posuwał się dalej w stronę pryszniców z nieco weselszym spojrzeniem, gwizdząc pod nosem czardasza Istvána Rózsavölgyi.

– Ty jesteś lekarzem? – zwrócił się do niego oficer.

– Tak – odpowiedział zrezygnowany, ale przede wszystkim zmęczony. Mimo że miał dopiero pięćdziesiąt lat.

– Ubieraj się.

Epstein powoli się ubierał, podczas gdy pozostali mężczyźni wchodzili pod prysznic, zaganiani przez więźniów pełniących rolę pasterzy, patrzących przed siebie szarym, zmęczonym wzrokiem.

Podczas gdy Żyd się ubierał, oficer niecierpliwie kręcił się po szatni. Zaczął kaszleć, może po to, żeby zagłuszyć zduszone krzyki przerażenia, jakie dochodziły spod pryszniców.

– Co to? Co się tam dzieje?

– No już, wystarczy – poganiał go zaniepokojony oficer, kiedy tamten wciągnął spodnie na rozpiętą koszulę.

Wyprowadził go na zewnątrz, na bezlitosny chłód Oświęcimia, i weszli do budki strażniczej, skąd wygonił leniuchujących w niej strażników.

– Zbadaj mnie – rozkazał, wkładając mu w rękę stetoskop.

Epstein nie od razu się zorientował, o co chodzi oficerowi, który już rozpinał koszulę. Założył powoli stetoskop na uszy i po raz pierwszy od wyjazdu z Drancy poczuł, że ma jakiś autorytet.

– Proszę usiąść – polecił, wchodząc w rolę lekarza.

Oficer usiadł na ławce. Chaim osłuchiwał go uważnie, a to, co usłyszał, pozwoliło mu wyobrazić sobie nacieki siejące spustoszenie w płucach. Kazał mu zmienić pozycję, osłuchiwał piersi i plecy. Kazał mu wstać ponownie, tylko dla przyjemności wydawania rozkazów oficerowi SS. Przyszło mu do głowy, że dopóki go osłuchuje, nie wyślą go pod prysznic, spod którego dochodziły przerażające krzyki. Gawryłow miał rację.

Z nieukrywaną satysfakcją, patrząc pacjentowi prosto w oczy, powiedział, że musi go zbadać dokładniej.

– Czyli jak?

– Genitalia, nerki.

– Dobrze, dobrze...

– Czy czuje pan ból bez widocznej przyczyny w tym miejscu? – zapytał, stukając w nerki swoimi palcami jak z żelaza.

– Kurwa, uważaj!

Doktor Epstein pokręcił głową, dając do zrozumienia, że jest zmartwiony.

– Co mi jest?

– Ma pan gruźlicę.

– Jesteś pewien?

– Bez cienia wątpliwości. Choroba jest już bardzo zaawansowana.

– No a tutaj, kurwa, w ogóle się mną nie przejmują. To poważne?

– Jeszcze jak.

– To co mam robić? – zapytał, wrywając mu stetoskop z rąk.

– Ja wysłałbym pana do sanatorium. To jedyne, co pozostało. – Dodał, wskazując na jego poźółtkę

palce: – I żadnego palenia, na litość boską.

Oficer przywołał strażników i kazał odprowadzić mężczyznę pod prysznic, ale jeden z nich dał mu znak, że już skończyli, że to była ostatnia tura. Wtedy zapiął płaszcz i krzyknął, oddalając się w stronę budynków, ciągle dręczony uporczywym kaszlem:

– Odprowadźcie go do baraku dwudziestego szóstego.

W ten sposób przeżył. Ale często mówił, że ocalenie życia może być gorsze niż śmierć.

– Trudno sobie wyobrazić takie potworności.

– A jeszcze wszystkiego nie wiesz.

– Opowiedz mi.

– Nie. Nie mogę.

– Proszę.

– Chodź, pokażę ci obrazy w salonie.

Sara pokazała mu obrazy w salonie, pokazała zdjęcia rodzinne, cierpliwie odpowiadała na pytania, kim jest każdy z uwiecznionych na fotografii, ale kiedy przyszła pora, żeby się zbierać, bo w każdej chwili ktoś mógł wrócić do domu, powiedziała musisz już iść. Wiesz co? Odprowadzę cię kawałek.

I w taki oto sposób nie poznałem twojej rodziny.

Żadna sztuka nie była uprawiana i rozwijana przez sofistów z większym zaangażowaniem niż retoryka. Sara. W retoryce sofistyka dostrzegała idealny instrument dominacji nad ludźmi. Sara, dlaczego nie chciałaś mieć dzieci? Dzięki sofistyce i retoryce publiczne wystąpienia stały się literaturą, ponieważ dostrzeżono w nich dzieła godne utrwalenia na papierze. Sara. Od tego momentu przygotowanie retoryczne stało się niezbędną w karierze państwowej, ale retoryka objęła również swoim zasięgiem całą prozę, a szczególnie historiografię. Sara, jesteś dla mnie tajemnicą. To pozwala zrozumieć, dlaczego w IV wieku w literaturze królowała proza, a nie poezja. Zaskakujące. Ale logiczne.

– Cholera, stary, nigdzie nie mogę cię znaleźć, gdzie się podziewasz?

Adrian, pochłonięty lekturą w bibliotece uniwersyteckiej, podniósł głowę znad książki Wilhelma Nestlego, otwartej na piętnastym rozdziale, na Izokratesie i nowej edukacji, i jak ktoś oślepiiony po wyjściu z mroku, dopiero po kilku sekundach rozpoznał twarz przyjaciela w świetle stołowej lampki, przysłoniętej zielonym kloszem. Ktoś poprosił o ciszę i Bernat, siadając na krześle po przeciwnej stronie, musiał zniżyć głos, żeby zapytać, Adrian, co z tobą, od miesiąca słyszę Adriana nie ma, wyszedł, nie wiem dokąd? Całymi dniami nie ma go w domu. Cholera, stary... Żeby nawet w domu nie wiedzieli, gdzie się obracasz!...

– Sam widzisz. Uczę się.

– Gówno prawda; to ja tu przesiaduję całymi godzinami.

– Ty?

– Tak. Rozglądam się za ładnymi dziewczynami.

Ciężko było opuścić czwarty wiek przed Chrystusem, zwłaszcza że Bernat wyciągał go stamtąd, żeby mu robić zarzuty.

– Co u ciebie?

– Kim jest ta dziewczyna, która przyczepiła się do ciebie jak kleszcz?

– Kto tak twierdzi?

– Wszyscy. Gensana opisał mi ją ze szczegółami: szczupła, ciemne proste włosy, ciemne oczy, studiuje na Akademii Sztuk Pięknych.

– Skoro wiesz wszystko...

– To ta z Pałacu Muzyki? Ta od Adriana Jakiegoś tam?

– Tak. Zadowolony?

– Kurczę, teraz się okazuje, że jesteś zakochany.

– Możecie się wreszcie zamknąć?

– Przepraszam. – Do Bernata: – Wyjdziemy?

Spacerowali po dziedzińcu i Adrian po raz pierwszy powiedział komuś, że jest definitywnie, absolutnie, straceńczo i bezwarunkowo zakochany w tobie, Saro. Tylko nie mów nic u mnie w domu.

– Aha, czyli to sekret, którego nie zna nawet Mała Lola?

– Taką mam nadzieję.

– Ale prędzej czy później...

– Będę się zastanawiał, jak przyjdzie to prędzej czy później.

– Skoro tak, to pewnie nie zechcesz wesprzeć kogoś, kto do tej pory był twoim najlepszym przyjacielem, a teraz został zdegradowany i jest tylko znajomym, bo cały świat sprowadza się do tamtej słodkiej dziewczyny, która ma na imię... jak jej na imię?

- Mireia.
- Kłamczuch. Nazywa się Saha Voltes-Epstein.
- To po co mnie pytasz? Ma na imię Sara.
- A ty dlaczego skłamałeś? Ej, co ty tam ukrywasz? Cholera jasna, już nie jestem twoim Bernatem?
- Kurczę, chyba trochę przesadziłeś.
- Nie przesadziłem, tylko widzę, że życie przed Sarą nie ma dla ciebie żadnej wartości.

Bernat wyciągnął rękę i Adrian, zaskoczony, odruchowo ją uścisnął:

– Bardzo mi miło, panie Ardèvol. Nazywam się Bernat Plensa i Pusonda i jeszcze parę miesięcy temu byłem twoim najlepszym przyjacielem. Czy mogę prosić o audiencję?

– Nie przeginaj.

– Bo co?

– Masz nierówno pod sufitem.

– Nie. Jestem rozczarowany: przyjaciele są zawsze na pierwszym miejscu. Koniec kropka.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– I tu się mylisz.

Próżno doszukiwać się zwartego systemu filozoficznego u Izokratesa. Bierze wszystko, co uważa za pożyteczne, nieważne skąd. Czysty synkretyzm, żadnej systematycznej filozofii. Sara. Bernat spojrział na niego i stanął przed nim, zagradzając mu drogę:

– O czym myślisz?

– Nie wiem. Mam w głowie wiele...

– Co za dno, patrzeć na zakochanego faceta.

– Nie wiem, czy jestem zakochany.

– Kurwa, nie jesteś definitywnie, absolutnie, straceńczo i bezwarunkowo zakochany? Kurczę, dosłownie przed chwilą słyszałem taką deklarację.

– Ale tak naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy nie czułem takiego... takiego..., no wiesz?, nie wiem, jak ci to opisać.

– Już ja wiem, że tak.

– Co tak?

– Że jesteś zakochany.

– Przecież ty nigdy nie byłeś.

– A skąd wiesz?

Usiedli na ławce na dziedzińcu i Adrian pomyślał, że sofiści interesowali Izokratesa, ale tylko wybiórczo: na przykład Ksenofanes i jego koncepcja postępu w kulturze (będę musiał poczytać Ksenofanesa). A jego zainteresowanie Filipem Macedońskim wynikało z odkrycia, jak ważna jest jego postać dla dziejów. Ciekawe.

– Bernat.

Bernat, udając, że go nie słucha, patrzył w bok. Adrian nalegał:

– Bernat.

– Co.

– Co z tobą?

– Czarno to widzę.

– Dlaczego?

– W czerwcu mam egzamin z dziewiątej klasy, a jestem zupełnie zielony, zielony, zielony, zielony.

– Przyjdę cię posłuchać.

– Chcesz powiedzieć, że nie będziesz wtedy zajęty tą absorbującą dziewczyną?

– Jak chcesz, przyjdź do mnie albo ja do ciebie i pogramy razem.

– Nie chcę cię odciągać od flirtowania z wymarzoną Mireją.

W rzeczywistości ateńska szkoła Izokratesa oferowała nie filozofię, lecz to, co w Rzymie określano mianem humanitas, a co dziś nazwalibyśmy kulturą ogólną, czyli wszystko to, co pomijał Platon i jego Akademia. O, cholera. Chciałbym to zobaczyć przez dziurkę od klucza. I zobaczyć Sarę i jej rodzinę.

– Przysięgam, że przyjdę cię posłuchać. Jak chcesz, ona też przyjdzie.

– Nie. Tylko przyjaciele.

– Ale z ciebie skurczybyk.

– Hauk.

– O co chodzi?

– Na mur beton.

– Niby co?

– To, że jesteś zakochany.

– A ty skąd wiesz?

Wódz Arapaho zamilkł z godnością. Czy ten gówniarz spodziewał się, że teraz wyłoży przed nim jak na tacy swoje doświadczenia i uczucia? Carson splunął na ziemię i przejął pałeczkę:

– To widać na kilometr. Matka i wszyscy inni musieli już zauważyć.

– Matka nic nie widzi poza sklepem.

– Akurat.

Izokrates, Ksenofanes. Sara. Bernat. Synkretyzm. Egzamin w klasie skrzypiec. Sara. Filip Macedoński. Sara. Sara. Sara.

Sara. Dni, tygodnie, miesiące przy tobie, z szacunkiem dla tego odwiecznego milczenia, w które często zapadałaś. Jesteś dziewczyną o spojrzeniu smutnym, ale cudownie pogodnym. A ja miałem coraz więcej zapału do nauki, wiedząc, że później cię zobaczę i zatopię się w twoich oczach, zawsze na ulicy, jedząc zapiekanki na placu Sant Jaume czy spacerując alejkami parku Ciutadella, w naszej szczęśliwej konspiracji, nigdy w twoim czy moim domu, chyba że byliśmy pewni, że nikogo nie będzie, bo nasz sekret miał pozostać tajemnicą dla obu rodzin. Nie wiedziałem, dlaczego właściwie; ale ty wiedziałaś. A ja pozwalałem się unosić nieprzerwanemu szczęściu przez tyle dni, nie zadając pytań.

Adrian pomyślał, że byłoby świetnie, gdyby potrafił napisać coś takiego jak *Griechische Geistesgeschichte*. Taki mógłby być jego plan na przyszłość: myśleć i pisać jak Wilhelm Nestle. Miał jeszcze wiele innych pomysłów, bo te miesiące były intensywne, inicjacyjne, żywe, heroiczne, niepowtarzalne, epickie, wspaniałe i nadzwyczajne, kiedy Sara wypełniała jego myśli i jego życie, potęgując jego siły i chęci, żeby się uczyć, tylko się uczyć, z dala od codziennych ataków policji na wszystko, co miało jakiś związek ze studentami, a studenci, wiadomo, to komuniści, masoni, nacjoniści katalońscy i Żydzi, cztery wielkie plagi, które frankizm starał się wykorzenić za pomocą pałek i broni. Ta czerń nie istniała dla ciebie i dla mnie; my spędzaliśmy całe dni na nauce, na planowaniu przyszłości, na zatapianiu się w głębi twoich oczu i na wypowiedaniu słów Kocham cię, Saro, Kocham cię, Saro, Kocham cię, Saro.

– Hauk.

– Co znowu?

– Powtarzasz się.

– Kocham cię, Saro.

– Ja ciebie też, Adrianie.

Nunc et semper. Adrian westchnął, zadowolony. Czy był zadowolony? Czasem nawet sam zadawałem sobie pytanie, czy życie przynosiło mi satysfakcję. W tamtych miesiącach, kiedy czekałem na Sarę, muszę wyznać, że owszem, byłem usatysfakcjonowany i chciało mi się żyć, bo za parę minut zza rogu, na którym była cukiernia, miała się wyłonić szczupła kobieta z prostymi, ciemnymi włosami, o ciemnych oczach, studentka Akademii Sztuk Pięknych, w uroczej szkockiej spódniczce, z uśmiechem na twarzy, który działał jak balsam, i powie mi cześć, Adrian, po czym nastąpi chwila wahania, czy pocałować się na środku ulicy; wiedziałem, że wszyscy będą na mnie patrzeć, na nas patrzeć, pokazywać nas palcami i mówić jesteście jak ptaki wyfruwające z gniazda, wy, tajemni kochankowie... Pochmurny i szary dzień dla mnie był promienisty. Dziwne, już dziesięć po ósmej. Dotąd zawsze była punktualna, tak jak ja. A czekam już dziesięć minut. Musi być chora. To na pewno angina. Potrącił ją taksówkarz i zbiegł z miejsca wypadku. Spadła na nią doniczka z szóstego piętra, mój Boże, trzeba będzie sprawdzić wszystkie szpitale w Barcelonie. Patrz, już jest! Nie: to inna szczupła kobieta, z prostymi włosami w ciemnym kolorze, ale oczy miała jasne, umalowane usta i jakieś dwadzieścia lat starsza; ominęła przystanek tramwajowy i na pewno nie nazywała się Sara. Starał się myśleć o czymś innym. Podniósł głowę. Platany na Gran Via wypuszczały nowe liście, co nie robiło żadnego wrażenia na przejeżdżających tamtędy samochodach. Co innego ja! Cykl życia! Wiosna... Nowe liście. Znów spojrzałem na zegarek. Niesłychane, dwadzieścia minut spóźnienia. Przejechały kolejne trzy czy cztery tramwaje i mimo woli ulegał jakiemuś dziwnemu przeczuciu. Sara. Co się dzieje ó redor de min? Co się dzieje, dlaczego eu non sei? Mimo przeczucia Adrian Ardèvol spędził na kamiennej ławce Gran Via dwie godziny, czekając na przystanku tramwajowym, wpatrując się w cukiernię na rogu, błądząc myślami daleko od *Griechische Geistesgeschichte* i wyobrażając sobie tysiące nieszczęść, których ofiarą mogła być Sara. Nie wiedział, co robić. Nad Sarą złożoną chorobą, córką króla dobrego, wszyscy medycy się głowią, nie rozumieją, dlaczego. Nie było sensu dłużej czekać. Ale nie wiedział, co dalej. Co począć ze swoim życiem teraz, gdy Sara nie przyszła na umówione spotkanie. Nogi same go zaniósły pod jej dom, mimo surowego zakazu wydanego przez ukochaną, ale on musiał tam być w momencie, kiedy przyjedzie po nią ambulans. Przez zamkniętą bramę dostrzegł portiera rozkładającego korespondencję do skrzynek. Jakaś niewysoka kobieta jeździła odkurzaczem po dywanie w holu. Portier skończył

poprzednią czynność i otworzył bramę. Szum odkurzacza dotarł do jego uszu jak obelga. Ubrany w coś w rodzaju śmiesznego fartucha, mężczyzna spojrział w niebo, czy spodziewać się deszczu, czy pogoda jeszcze się utrzyma. A może czekał na ambulans... Córko, kochana córko, co ci jest, moje dziecię? Matko, o moja matko, sama to dobrze wiecie. Nie był całkiem pewny, który to balkon... Portier zwrócił uwagę na tego młodego próżniaka, który od kilku minut obserwował budynek, i popatrzył na niego nieufnie. Adrian udawał, że czeka na taksówkę; może na tę, która ją potrafiła. Przeszedł parę kroków w dół ulicy. Teño medo dunha cousa que vive e non se ve. Teño medo á desgracia traidora que ven, e que nunca se sabe ónde ven. Sara, ónde estás.

– Sara Voltes?

– A kto pyta? – głos pozwalał się domyślać eleganckiej, pewnej siebie, wystrojonej i dumnej osoby.

– Nie, tak tylko. Z parafii... W sprawie rysunków, wystawy rysunków.

Kurde, jak się tworzy na poczekaniu jakąś historyjkę, zanim się ją opowie, powinno się ją przemyśleć. Nie możesz zrobić pierwszego kroku, a potem stać z otwartą gębą, bez dalszego ciągu historyjki, kretynie. Z parafii. W sprawie rysunków. Żałosne. Przerazająco żałosne. Nic więc dziwnego, że głos eleganckiej, pewnej siebie, wystrojonej i dumnej osoby odpowiedział chyba pan się pomylił, i odłożył delikatnie, kulturalnie, omdlewającym gestem słuchawkę domofonu, a ja wkurzyłem się na siebie, bo nie potrafiłem stanąć na wysokości zadania. To musiała być jej matka. Trucizną jesteście wy, matko, wszak zabić mnie chcecie, córko, o, moja córko, spowiadać się będziecie. Adrian odłożył słuchawkę w poczuciu własnej śmieszności. W głębi mieszkania Mała Lola przeglądała zawartość szaf, bo trzeba było zmienić pościel. Na dużym stole w gabinecie ojca Adrian miał stos książek, ale jego uwagę pochłaniał wyłącznie milczący telefon, który nie potrafił mu powiedzieć, gdzie się podziewa Sara.

Akademia Sztuk Pięknych! Nigdy tam nie był. Nie wiedział, gdzie to jest i czy w ogóle istnieje coś takiego. Zawsze spotykaliśmy się w neutralnym miejscu, tak jak chciałaś, czekając na dzień, kiedy słońce zabłyśnie na horyzoncie. Kiedy wyszedłem z metra na przystanku Jaume I, zaczęło padać, a ja nie miałem parasola, bo nigdy nie chodziłem z parasolem po Barcelonie, i teraz nie zostawało mi nic innego, jak idiotycznie podnieść klapy marynarki. Stałem na placu Verònica przy dziwnym budynku w stylu neoklasycystycznym, który widziałem pierwszy raz w życiu. Ani śladu Sary, ani w środku, ani na zewnątrz, w żadnym korytarzu, sali czy pracowni. Kojarzyłem jeszcze akademię Llotja w dawnych sukiennicach, ale teraz w tamtym budynku nie było ani sukiennic, ani akademii. Byłem już całkiem przemoknięty, kiedy przypomniałem sobie o Szkole Massana, a tam, przy samym wejściu, dostrzegłem ją pod osłoną ciemnego parasola, tyłem do mnie; śmiała się i rozmawiała z jakimś chłopakiem. Miała żółtą apaszkę, w której było jej do twarzy. Nie wiedzieć czemu, wspięła się na palce i pocałowała chłopca w policzek, a tymczasem Adrian poczuł po raz pierwszy brutalne ukłucie zazdrości, jakby coś go złapało za gardło. Wtedy chłopiec wszedł do szkoły, a ona odwróciła się i zaczęła iść w moją stronę. Serce chciało mi wyskoczyć i poszukać sobie innego właściciela, a moje niedawne szczęście rozpływało się we łzach rozczarowania. Nie pozdrowiła mnie, nie zwróciła na mnie uwagi, bo to nie była Sara. Szczupła dziewczyna z prostymi, ciemnymi włosami, ale oczy miała jasne, a przede wszystkim to nie była Sara. A ja, wystawiając się na deszcz, znów poczułem się najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

– Nie, bo ja... jestem tym kolegą z akademii, który...

– Wyjechała.

– Słucham?

– Wyjechała.

Czy to był ojciec? Nie wiedziałem, czy ma jakiegoś starszego brata, czy mieszka z nimi jeszcze jakiś wujek, poza wspomnieniem wujka Chaima.

– Ale... dokąd wyjechała?

– Sara przeprowadziła się do Paryża.

Kiedy najszczęśliwszy człowiek na świecie odkładał słuchawkę, poczuł, że jego oczy same, mimowolnie, zaczynają rzewnie płakać. Nic z tego nie rozumiał, jak to możliwe, że Sara, skoro nic mi nie powiedziała. Z dnia na dzień, Saro. Przecież kiedy widzieliśmy się w piątek, umówiliśmy się na przystanku tramwajowym! Czterdziestki siódemki, tak jak zwykle... I czego ona szuka w tym Paryżu? Co? Dlaczego uciekła? Co ja takiego jej zrobiłem?

Adrian przez dziesięć dni, czy padało, czy świeciło słońce, każdego ranka punktualnie o ósmej zjawiał się na umówione spotkanie na przystanku, w nadziei, że stanie się cud, że Sara nie będzie musiała wyjeżdżać do Paryża, ale że w końcu, widzisz, już jestem, tylko chciałam sprawdzić, czy naprawdę mnie kochasz, sam nie wiem po co, tak sobie, sprawdzę tylko, czy przyjdzie, zanim przejedzie pięć tramwajów. Aż wreszcie, kiedy przyszedł na przystanek jedenastego dnia, uznał, że dość już tego oglądania przejeżdżających tramwajów, do których nigdy nie wsiądą oboje. Nigdy więcej noga moja nie stanęła na tym przystanku, Saro. Nigdy więcej.

W konserwatorium dzięki wierutnym kłamstwom zdobyłem adres mistrza Castellsa, który kiedyś tam pracował. Wykombinowałem, że skoro byli spokrewnieni, może znać paryski adres Sary. Jeżeli faktycznie była w Paryżu. Jeśli była żywa. Dzwonek do drzwi mieszkania mistrza Castellsa miał dwa dźwięki: do-fa. Niecierpliwie zagrałem na nim do-fa, do-fa, do-fa i zdjąłem palec, przerażony, że tak słabo kontroluję własne uczucia. A może z innego powodu: raczej po to, żeby nie denerwować mistrza, żeby mi nie powiedział nie rozmawiam z tobą, jesteś źle wychowany. Nikt nie otwierał drzwi, żeby podać adres Sary i życzyć mi powodzenia.

– Do-fa, do-fa, do-fa.

Nic. Adrian próbował jeszcze przez parę minut, po czym rozejrzał się wokół, zastanawiając się, co teraz. Wpadł na pomysł, żeby zadzwonić do sąsiadów z tego samego piętra, których dzwonek był tak samo brzydki i nijaki jak u nas. Natychmiast, jakby tylko na to czekała, otworzyła drzwi gruba kobieta w jasnoniebieskim szlafroku, na którym miała kuchenny fartuch w kwiatuszki. Spiorunowała mnie wzrokiem. Ręce na biodrach, wyzywająca postawa:

– Słucham – powiedziała.

– Czy może pani wie, gdzie... – Wskazał drzwi za sobą, do mieszkania mistrza Castellsa.

– Ten pianista?

– Właśnie.

– Dzięki Bogu, już umarł... – Spojrzała w głąb mieszkania i zawołała: – Kiedy to było, Taiu?

– Sześć miesięcy, dwanaście dni i trzy godziny temu! – dobiegł z daleka zachrypnięty głos.

– Sześć miesięcy, dwanaście dni i... – wołając do środka: – ile godzin?

– Trzy! – odpowiedział zachrypnięty głos.

– I trzy godziny – powtórzyła kobieta Adrianowi. – Dzięki Bogu, nareszcie mamy spokój i możemy sobie słuchać radia. Nie wyobraża pan sobie, jak hałasował na tym swoim pianinie, dzień w dzień, o dowolnej porze. – Jakby sobie coś przypomniała: – A czego pan od niego chce?

– Czy nie ma...

– Rodziny?

– Aha.

– Nie. Sam mieszkał. – Do środka mieszkania: – Prawda, że nie miał rodziny?

– Nie: tylko to cholerne pianino, pierdolony skurwysyn – odpowiedział zachrypnięty głos Taio.

– A w Paryżu?

– W Paryżu?

– Tak. Jego krewni z Paryża...

– Nie mam pojęcia. – Z niedowierzaniem: – Ten facet miałby mieć krewnych w Paryżu?

– Tak.

– Nic o tym nie wiem. – Dodała, podsumowując: – Dla nas jest martwy i pogrzebany.

Kiedy został sam na tym podeście oświetlonym migotliwą żarówką, Adrian uzmysłowił sobie, że zamykało się przed nim wiele drzwi. Wrócił do domu i wtedy zaczął się dla niego trzydziestodniowy post na pustyni. Nocą śnił, że jechał do Paryża i na środku ulicy wykrzykiwał jej imię, ale hałas pojazdów zagłuszał jego zdesperowany głos, a on budził się spocony, zalany łzami, nie rozumiejąc świata, który jeszcze tak niedawno wydawał mu się przyjazny. Przez kilka tygodni nie wychodził z domu. Grał na storionim i udało mu się z niego wydobyć smutny dźwięk, ale czuł, że palce mu się rozleniwiły. Chciał czytać Nestlego, ale nie potrafił. Mimo że droga Eurypidesa od retoryki do prawdy wydała mu się tak emocjonująca przy pierwszej lekturze, teraz nie widział w niej nic szczególnego. Eurypides był Sarą. W jednej kwestii Eurypides miał rację: rozum ludzki nie potrafi przewyciężyć irracjonalnej siły pierwotnych emocji. Nie mogą się uczyć, nie mogą myśleć. Muszę płakać. Bernat, przyjdź.

Nigdy jeszcze Bernat nie widział swojego przyjaciela w tak fatalnej kondycji. Zdziwił się, że problemy sercowe mogą tak głęboko człowieka poruszyć. Chciał mu pomóc, ale nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w leczeniu sercowych dolegliwości i powiedział Adrian, spójrz na to inaczej.

– Jak?

– Że skoro uciekła w taki sposób, bez słowa...

– To co?

– To znaczy, że jest nie

– Zabraniam ci ją obrażać. Zrozumiałeś?

– Bardzo dobrze. Jak sobie życzysz. – Rozejrzał się po pokoju, rozkładając ręce. – Czy ty nie widzisz, jak cię załatwiła? Nawet żalostnej kartki Adrian, chłopcze, znalazłam sobie innego, jest od ciebie przystojniejszy, kurde! Nie rozumiesz, że tak się nie robi?

– Przystojniejszy i mądrzejszy, też mi to przyszło do głowy.

– Przystojniejszych od ciebie jest na pęczki, ale mądrzejszych...

Cisza. Od czasu do czasu Adrian kręcił głową na znak protestu, chcąc powiedzieć, że nic z tego nie rozumie.

– Chodźmy do domu jej rodziców; powiemy szanowni państwo Voltes-Epstein, co się tu do cholery dzieje? Co ukrywacie? Gdzie jest Saha, i tak dalej. Co o tym sądzisz?

Siedzieliśmy w gabinecie ojca, który teraz był mój. Adrian wstał i podszedł do ściany, na której po kilku latach znajdzie się twój autoportret. Oparł się o nią, jakby chciał połaskotać przyszłość. Znów pokręcił głową: pomysł Bernata nie był zbyt subtelny.

– Chcesz, żebym ci zagrał *Ciacconę*? – Bernat spróbował innej metody.

– Tak. Zagraj na Vialu.

Bernat zagrał świetnie. Mimo bólu i udręki Adrian wysłuchał w skupieniu interpretacji swojego przyjaciela i doszedł do wniosku, że była bardzo poprawna, ale że czasami Bernat ma problem, bo nie wie, jak wyrazić duszę. Miał coś takiego, że jego wykonaniom brakowało autentyczności. A mnie dręczyły własne zmartwienia i nie potrafiłem darować sobie analizy estetycznej.

– Lepiej się czujesz?

– Tak.

– Podobało ci się?

– Nie.

Powinienem był się zamknąć, wiem. Ale to było silniejsze ode mnie. Pod tym względem jestem podobny do matki.

– Dlaczego nie? – Zmienił się nawet ton jego głosu na ostrzejszy, ostrożny, czujny...

– Nieważne, zostawmy to.

– Nie, bardzo bym chciał wiedzieć.

– Dobrze, zgoda.

Mała Lola była w głębi mieszkania. Matka w sklepie. Adrian opadł na sofę. Stojąc przed nim wyprostowany, ze storionim w ręce, Bernat czekał na wyrok, a Adrian zaczął no więęć wykonanie było perfekcyjne czy prawie perfekcyjne, jeśli chodzi o technikę, ale nie sięgasz do samej istoty, mam wrażenie, że boisz się prawdy.

– Jesteś stuknięty. Czym jest prawda?

Jezus zamilkł zamiast odpowiedzieć, a tymczasem Piłat, zniecierpliwiony, wyszedł. Ale ponieważ sam dobrze nie wiem, czym jest prawda, poczułem się zobligowany do odpowiedzi.

– Nie wiem. Rozpoznaję ją, kiedy mam z nią do czynienia. A w tobie jej nie czuję. Rozpoznaję ją w muzyce i w poezji. W opowiadaniu. W malarstwie. Ale tylko czasami.

– Kurrewska zazdrość.

– Tak. Przyznaję się, że ci zazdroścuję; ja nie potrafiłbym tak zagrać.

– Kurde, strzelasz ostrymi nabojami.

– Twoim zadaniem jest uchwycenie i wyrażenie prawdy.

– No ładnie.

– Przynajmniej masz jakiś cel. Ja nie mam.

Mówiąc krótko, to przyjacielskie spotkanie, w którym jeden przyjaciel pocieszał drugiego, skończyło się poważną kłótnią na temat prawdy w estetyce, pieprz się, tak jak słyszysz, pieprz się. Teraz rozumiem, dlaczego od ciebie uciekła ta Saha Vóltes-Epstein. Bernat wyszedł, głośno trzaskając drzwiami. Po paru sekundach Mała Lola wsadziła głowę do gabinetu, żeby zapytać, co się stało?

– Nic, tylko Bernat bardzo się spieszył; wiesz, on jest zawsze w biegu.

Mała Lola spojrzała na Adriana, który uważnie oglądał skrzypce, odwracając wzrok od swojego nieszczęścia. Już miała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Wtedy Adrian uświadomił sobie, że ona ciągle tam jest, jakby chciała pogadać.

– Co takiego? – zapytał z miną niezachęcającą do dalszej rozmowy.

– Nic. Wiesz co? Pójdę zrobić kolację, bo twoja matka niebawem wróci ze sklepu.

Wyszła, a ja zabrałem się do usuwania kalafonii ze skrzypiec i poczułem smutek przenikający aż do szpiku kości.

– Chyba zwariowałeś, synu.

Matka siadła w fotelu, w którym zawsze piła kawę. Adrian rozpoczął rozmowę w najgorszy możliwy sposób. Czasem się zastanawiam, dlaczego częściej nie odsyłano mnie do diabła. Zamiast oświadczyć jej mamę, zdecydowałem, że będę kontynuować studia w Tybindze, i usłyszeć, jak mówi w Niemczech? Czy ci tu źle, synu? Zamiast tego, zacząłem mamę, muszę ci coś powiedzieć.

– Co takiego? – Przestraszona, usiadła w fotelu, w którym zwykle piła kawę; przestraszyła się, bo już od lat żyliśmy pod jednym dachem, nie widząc potrzeby rozmawiania ze sobą, a już zwłaszcza zaczynania rozmowy od mamę, muszę ci coś powiedzieć.

– Jakiś czas temu rozmawiałem z niejaką Danielą Amato.

– Z kim rozmawiałeś?

– Z moją przyrodnią siostrą.

Matka wstała, jakby ją ktoś ukłuł. Nastawiłem ją przeciw sobie na dalszy ciąg rozmowy: osioł, cholerny osioł, który nie umie chodzić po świecie.

– Nie masz przyrodniej siostry.

– Ukrywaliście to przede mną, co nie znaczy, że jej nie mam. Daniela Amato, z Rzymu. Mam jej adres i telefon.

– Co to, konspiracja?

– Akurat. Niby dlaczego?

– Nie ufaj tej złodziejce.

– Mówiła mi, że chce mieć udział w sklepie.

– Wiesz, że ci sprzątnęła sprzed nosa Can Casic?

– Jeśli dobrze zrozumiałem, dostała go od ojca, niczego nie ukradła.

– Jest jak wampir. Chciałaby przejąć sklep.

– Nie. Chce mieć swój udział.

– A jak ci się wydaje, dlaczego?

– Nie wiem. Bo należał do ojca?

– A teraz jest mój i moja odpowiedź na każdą propozycję, którą złoży ta wymalowana kurwa, brzmi nie.

No, nieźle zaczęliśmy. Nie powiedziała kurrrwa, ponieważ użyła tego słowa w formie rzeczownikowej, nie przymiotnikowej, jak poprzednim razem, kiedy słyszałem ten epitet z jej ust. Spodobało mi się językowe wyrefinowanie mojej matki. Nie przysiadając ani na chwilę, chodziła po jadalni w milczeniu i zastanawiała się, czy powinna kontynuować rzucanie obelg, czy zmienić front. Kontynuowała, zmieniając front:

– To wszystko, co miałeś mi do powiedzenia?

– Nie. Chciałem ci też powiedzieć, że odchodzę z domu.

Matka znów usiadła w fotelu, w którym zawsze piła kawę.

– Chyba zwariowałeś, synu. – Cisza. Nerwowe drżenie rąk. – Tu niczego ci nie brakuje. Masz do mnie pretensje?

– Nie. Dlaczego miałbym mieć pretensje?

Nerwowo zacisnęła dłonie. Musiała głęboko odetchnąć, żeby się uspokoić, i dopiero wtedy położyła wyprostowane dłonie na spódnicy.

– A sklep? Nie masz zamiaru zająć się nim kiedyś?

- Nie interesuje mnie.
- Kłamiesz. To twoje ulubione miejsce.
- Nie. Podobają mi się przedmioty w sklepie. Ale sama praca...

Wydawało mi się, że dostrzegłem w jej wzroku coś w rodzaju niechęci.

- Chcesz mi zrobić na złość. Jak zwykle.

Dlaczego nigdy nie było miłości między mną i matką? To dla mnie tajemnica. Przez całe życie zazdrościłem normalnym dzieciom, które mogły powiedzieć och, mamo, ależ mnie boli kolano, a matka umiała odpędzić ból jednym pocałunkiem. Moja matka tego nie potrafiła. Kiedy ośmielałem się poskarżyć na stłuczone kolano, zamiast próbować sama zrobić cud, natychmiast przekazywała mnie w ręce Małej Loli i czekała zniecierpliwiona, aż moje nadzwyczajne umiejętności intelektualne zaowocują cudami innego rodzaju.

- Źle ci tu?

– Zdecydowałem, że będę kontynuował studia w Tybindze.

– W Niemczech? Z tutejszych nie jesteś zadowolony?

– Chcę uczyć się na wykłady Wilhelma Nestle.

Dla porządku muszę wyjaśnić, że nie miałem pojęcia, czy Nestle wykładał w Tybindze. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem nawet, czy jeszcze żyje. Faktem jest, że kiedy miała miejsce ta rozmowa, nie żył już od ponad ośmiu lat. Ale owszem: kiedyś wykładał w Tybindze i dlatego zdecydowałem, że chcę tam studiować.

- Kto to taki?

– Filozof. Historyk filozofii. Chcę też poznać Coşeriu.

Tym razem nie blefowałem. Słyszałem, że był nieznośny, ale genialny.

- Co to za jeden?

– Językoznawca. Jeden z największych filologów naszego stulecia.

– Te studia nie przyniosą ci szczęścia, synu.

Faktycznie: patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, muszę przyznać jej rację. Tylko ty byłaś moim szczęściem; ty również naraziłaś mnie na największe cierpienia. Wiele razy czułem, że szczęście było blisko; miałem różne powody do radości. Napawałem się chwilami spokoju, czułem niezmierną wdzięczność wobec świata i wobec niektórych osób. Byłem blisko pięknych rzeczy i pięknych idei. Czasem odczuwam pokusę posiadania cennych przedmiotów, dzięki czemu rozumiem obsesję mojego ojca. Ale ponieważ byłem w takim, a nie innym wieku, uśmiechnąłem się pewny siebie i oświadczyłem nikt nie powiedział, że szczęście to obowiązek. I zamilkłem, z poczuciem satysfakcji.

- Jaki ty jesteś głupi.

Spojrzałem na nią, całkiem rozbrojony. Jej cztery słowa wystarczyły, żebym się poczuł jak śmieć. Wtedy zaatakowałem ją z premedytacją:

– To przez was taki jestem. Chcę studiować, nieważne, czy da mi to szczęście, czy nie.

Taki właśnie antypatyczny był Adrian Ardèvol. Gdybym teraz mógł zacząć życie od nowa, zacząłbym od szukania szczęścia, a następnie, gdyby to było możliwe, ochroniłbym je pancerzem i już niczego innego bym nie pragnął przez całe życie. Gdyby syn odpowiedział mi tak, jak ja odpowiadałem mojej matce, oberwałby porządnego kuksańca. Ale nie mam dzieci. Przez całe życie sam byłem synem. Saro, dlaczego nigdy nie chciałaś mieć dzieci?

– Ty po prostu chcesz być jak najdalej ode mnie.

– Nie – skłamałem. – Dlaczego miałyby mi na tym zależeć?

– Najwidoczniej chcesz uciec.

– Skądże znowu! – kolejne kłamstwo. – Dlaczego miałbym uciekać?

– Może sam mi to wyjaśnisz?

Nawet zamroczony alkoholem nie opowiedziałbym jej o Sarze, o tym, że chciałem zapaść się pod

ziemię, zacząć wszystko od nowa, przewrócić Paryż do góry nogami, o obu wizytach u państwa Voltes-Epstein, aż za trzecim podejściem ojciec i matka wreszcie mnie przyjęli i wyjaśnili mi, bardzo uprzejmie, że ich córka z własnej woli wyjechała do Paryża, ponieważ, cytuję jej słowa, chciała być jak najdalej od pana, bo bardzo ją pan skrzywdził. Więc sam pan rozumie, że nie jest mile widziany w tym domu.

– Ale ja przecież...

– Młodzińcze, niech pan nie będzie nachalny. Nie mamy nic przeciwko panu – skłamał – ale proszę zrozumieć, że naszym obowiązkiem jest obrona córki.

Byłem zdesperowany i nic z tego nie rozumiałem. Pan Voltes wstał i dał mi znak, żebym zrobił to samo. Powoli usłuchałem. Nie mogłem powstrzymać łez, bo z natury jestem płaczkliwy, ale te mnie paliły, jakby były z kwasu siarkowego i żłobiły bruzdy na upokorzonych policzkach.

– To jakieś nieporozumienie.

– My tak nie uważamy – odpowiedziała gardłowym katalońskim matka Sary (wysoka, z włosami w kolorze, który kiedyś był ciemny, a teraz lekko przyprószonego bielą, ciemnooka, jak fotografia Sary o trzydzieści lat starszej). – Sara nie chce o panu słyszeć absolutnie nic, nic i nic.

Wychodziłem już z salonu, zmuszony jednoznacznym gestem pana Voltesa. Zatrzymałem się:

– Nie zostawiła dla mnie żadnego listu, żadnej kartki?

– Nie.

Wyszedłem z mieszkania, w którym bywałem po kryjomu, kiedy Sara mnie kochała, nie żegnając się z gospodarzami, dobrze wychowanymi, ale niewzruszonymi. Wyszedłem, z trudem powstrzymując łzy. Za mną cicho zamknęły się drzwi i przez chwilę stałem na podeście, jakbym w ten sposób mógł być bliżej Sary. Wtedy rozplakałem się na dobre.

– Nie chcę uciekać i nie mam powodów, żeby to robić. – Zrobiłem pauzę, żeby osiągnąć lepszy efekt. – Rozumiesz mnie, mam?

Skłamałem po raz trzeci i przysięgłbym, że w tym momencie usłyszałem pianie koguta.

– Zrozumiałam cię doskonale. – Patrząc mi w oczy: – Posłuchaj, Adrianie.

Pierwszy raz nie zwróciła się do mnie synu, tylko po imieniu. Po raz pierwszy w życiu. Dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego któregoś.

– Słucham.

– Jak nie chcesz, nie musisz pracować. Zajmij się grą na skrzypcach i swoimi książkami. Kiedy umrę, sklep może poprowadzić pełnomocnik.

– Nie mów o śmierci. A ze skrzypcami skończyłem.

– Jak powiedziałaś? Że dokąd chcesz jechać?

– Do Tybingi.

– A gdzie to jest?

– W Niemczech.

– Dlaczego akurat tam?

– Coşeriu.

– Kto to taki?

– Czyżbyś nie spędzał życia na uczelni, uganiając się za dziewczynami? System, norma, mowa.

– No powiedz, kto to jest?

– Rumuński językoznawca, chcę chodzić na jego wykłady.

– Tak, teraz coś kojarzę.

Zamilkł, zmartwiony. Ale długo nie wytrzymał:

– Kurde, a tu nie możesz studiować? Przecież jesteś w połowie studiów, z celującymi ocenami ze wszystkich przedmiotów?

Oszczędziłem mu bajeczki, że chcę być uczniem Nestlego, bo kiedy spotkałem Bernata w barze

uniwersyteckim, w hałasie, tłoku, w pośpiechu, nad białą kawą, już wiedziałem, że Wilhelm Nestle od dawna nie żyje. To tak, jakbym sfałszował cytat w przypisie.

Nie odzywał się do mnie przez dwa dni, po czym przyszedł do nas ćwiczyć przed egzaminem, jakbym był profesorem. Kiedy Adrian otworzył mi drzwi, Bernat wyciągnął oskarżycielsko palec zamiast powitania:

– Nie pomyślałeś o tym, że w Tybindze wykłady odbywają się w języku niemieckim?

– Wenn du willst, kannst du mit dem Storioni spielen – odpowiedział Adrian z lodowatym uśmiechem, wpuszczając go do środka.

– Nie wiem, co powiedziałeś, ale się zgadzam.

I w czasie gdy nacierał smyczek koncentratem kalafonii, dozując ją ostrożnie, żeby nie przesycić włosów, wycedził przez zęby, że byłoby uprzejmię z mojej strony, gdybyśmy o tym porozmawiali.

– Dlaczego?

– Stary, zdaje się, że jestem twoim przyjacielem.

– Dlatego teraz ci mówię.

– Najlepszym przyjacielem, ofiarno! Powinieneś mi powiedzieć przyszedł mi do głowy szalony pomysł spędzenia kilku tygodni w Tybindze, a ty co o tym sądzisz, mój najlepszy przyjacielu? Nie umiesz tak rozmawiać?

– Powiedziałbyś, żebym to sobie wybił z głowy. Taką rozmowę mamy już za sobą.

– Niezupełnie taką.

– Ty byś chciał, żebym zawsze był pod ręką.

Zamiast odpowiedzi Bernat rozłożył nuty na stole i zaczął grać pierwszą część koncertu Beethovena. Ja pominąłem uwerturę, wziąłem na siebie partię orkiestry, według wyciągu na fortepian, naśladowując nawet dźwięk niektórych instrumentów. Na koniec czułem się wyczerpany, ale szczęśliwy i wzruszony, ponieważ Bernat zagrał bezbłędnie, dając z siebie więcej niż tylko perfekcję. Tak jakby chciał mi pokazać, że nie spodobał mu się mój ostatni komentarz. Kiedy skończył, z szacunku nie przerywałem ciszy, która zapadła.

– I jak?

– Dobrze.

– Tylko tyle?

– Bardzo dobrze. Inaczej.

– Inaczej?

– Inaczej. Jeśli dobrze słyszałem, dałeś się pochłonać muzyce.

Milczeliśmy. Usiadł i ocierał pot z czoła. Spojrzał mi w oczy:

– Ty po prostu chcesz uciec. Nie wiem, od kogo, ale chcesz uciec. Mam nadzieję, że nie ode mnie.

Rzuciłem okiem na pozostałe nuty.

– Uważam, że to znakomity pomysł, te cztery utwory mistrza Massià. Kto ci będzie akompaniował?

– Nie pomyślałeś nigdy, że wybrałeś sobie nudne studia, o tych ideach i tak dalej?

– Joan Massià zasługuje na uwagę. Te utwory są bardzo ładne. Mnie najbardziej podoba się *Allegro spirituosso*.

– Poza tym, dlaczego chcesz chodzić na wykłady językoznawcy, skoro masz zamiar studiować historię kultury?

– Uważaj na *Ciacconę*, jest najeżona pułapkami.

– Ty skurczybyku, proszę cię, nie wyjeżdżaj.

– Tak – powiedział. – Z Akademii Sztuk Pięknych.

– A co to takiego?

Lodowata, nieufna postać pani Voltés-Epstein speszzyła go. Przełknął ślinę i powiedział trzeba jeszcze

dopełnić formalności, żeby sfinalizować przeniesienie na uczelnię i do tego potrzebny jest adres.

– Nie brakuje żadnych dokumentów.

– Ależ tak, brakuje. Nie ma polisy recydywistycznej.

– A co to takiego? – wydawała się autentycznie zaintrygowana.

– Nic. Drobiazg. Ale musi ją podpisać zainteresowany. – Sprawdził w papierach i rzucił obojętnym tonem: – Zainteresowana.

– Proszę mi zostawić dokumenty i...

– Nie, nie. Nie jestem upoważniony. Może po prostu poda mi pani nazwę szkoły w Paryżu, do której przeniesiono wpis...

– Nie.

– W Akademii Sztuk Pięknych nie mają tej informacji. – Poprawił się. – Nie mamy jej.

– Kim pan jest?

– Słucham?

– Moja córka nigdzie się nie przenosiła. Kim pan jest?

– I zamknęła mi drzwi przed nosem, stary. Buch!

– Przejrzała cię.

– Tak.

– O kurde.

– Tak.

– Dzięki, Bernat.

– Czuję się... Na pewno mogłem to lepiej rozegrać.

– Nie, nie. Zrobiłeś, co mogłeś.

– A ja jestem na siebie wściekły, stary.

Gęstą ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał Adrian, mówiąc przykro mi, ale chyba będę musiał sobie popłakać.

Bernat zakończył egzamin naszą *Ciacconą* z drugiej suity. Słyszałem ją tyle razy w jego wykonaniu... I zawsze miałem mu coś do zarzucenia, jakbym to ja był wirtuozem, a on uczniem. Zaczął nad nią pracować, kiedy usłyszeliśmy ją w Pałacu Muzyki w wykonaniu Heifetza. Dobrze. Doskonale. Ale tym razem znów grał bezdusznie, może był zdenerwowany egzaminem. Jego interpretacja nie wyrażała duszy, tak jakby ostatnia próba u mnie w domu zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu była tylko mirażem. Bernat, kiedy stał przed publicznością, tracił twórczego ducha, a brak iskry bożej próbował nadrobić pracą i determinacją, z dobrym, ale nadmiernie przewidywalnym efektem. Tak właśnie było: mój najlepszy przyjaciel był do bólu przewidywalny, nawet w swoich wyskokach.

Skończył występ egzaminacyjny zlany potem, z całą pewnością przekonany, że świetnie sobie poradził. Trzej członkowie komisji, którzy siedzieli z kwaśnymi minami podczas dwugodzinnego koncertu, naradzili się w kilka sekund i jednogłośnie postanowili dać mu ocenę celującą, a do tego każdy z nich indywidualnie złożył mu gratulacje. Pani Trullols, która siedziała na widowni, poczekała, aż matka Bernata uściśnie syna, z całym rytuałem, który praktykują wszystkie matki poza moją, a potem wzruszona, bo niektórzy profesorowie się wzruszają, pocałowała go w policzek i słyszałem, jak mówiła, z tym swoim profetycznym talentem, Bernat, jesteś najlepszym z moich uczniów. Przed tobą świetlana przyszłość.

– Fenomenalnie – powiedział Adrian.

Bernat skończył rozluźnianie smyczka i spojrzał na przyjaciela. W milczeniu schował smyczek i zamknął futerał. Adrian powtórzył: rewelacja, stary, gratuluję.

– Powiedziałem ci wczoraj, że jestem twoim przyjacielem. I że ciebie uważam za przyjaciela.

– Tak. Niedawno mówiłeś nawet najlepszym przyjacielem.

– Właśnie. A najlepszego przyjaciela się nie oszukuje.

– Słucham?

– Odrobiłem pańszczyznę i tyle. Brak mi élan.

– Dzisiaj grałeś świetnie.

– Ty byś to lepiej zagrał.

– Coś ty! Od dwóch lat nie miałem skrzypiec w rękach!

– Skoro ten skurczybyk, mój najlepszy przyjaciel, nie ma odwagi powiedzieć mi prawdy i woli powtarzać za innymi...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Adrian, proszę, nie okłamuj mnie nigdy więcej. – Otarł pot z czoła. – Twoje uwagi są bardzo bolesne i oburzające.

– No wiesz, ja...

– Ale tylko ty mówisz mi prawdę. – Puścił do niego oko. – Auf Wiedersehen.

Kiedy już miałem w ręce bilet na pociąg, zrozumiałem, że wyjazd na studia do Tybingi to było coś więcej niż troska o przyszłość. Wyznaczał koniec dzieciństwa, opuszczenie mojej Arkadii. Tak, tak: byłem samotnym, nieszczęśliwym dzieckiem rodziców niewrażliwych na wszystko, co nie miało związku z moją inteligencją, którzy nie zastanawiali się, czy przypadkiem nie miałbym ochoty wybrać się na Tibidabo zobaczyć automaty, które po wrzuceniu monety poruszały się jak ludzie. Ale kiedy jest się dzieckiem, ma się umiejętność wyczucia zapachu kwiatu rozkwitającego na toksycznym bagnie. Uszczęśliwia cię pudło po damskim kapeluszu, które staje się pięcioosiową ciężarówką. Kupując bilet do Stuttgartu, wiedziałem, że skończył się dla mnie wiek niewinności.

Palimpsestus

Nie ma takiej organizacji, która potrafiłaby się obronić przed ziarnkiem piasku.

MICHEL TOURNIER

Dawno temu, kiedy Ziemia była jeszcze płaska, a zuchwali podróżnicy docierali na koniec świata i pogrążali się w zimnej mgłę lub spadali z ciemnej skały w przepaść, żył pewien święty mąż, który postanowił poświęcić swoje życie Bogu, Panu Naszemu. Nazywał się Mikołaj Eymeric, wywodził się z narodu katalońskiego i osiągnął zaszczytny tytuł profesora Świętej Teologii zakonu kaznodziejskiego w klasztorze w Gironie. Dzięki gorliwości religijnej stanął na czele Inkwizycji, którą rządził żelazną ręką, na pohybel heretyckiej perfidii, na ziemiach Katalonii i Królestwa Walencji. Mikołaj Eymeric urodził się w Baden-Baden 25 listopada 1900 roku; dość szybko uzyskał stopień Obersturmbannführera SS i po znakomitym wywiązaniu się z obowiązków Oberlagerführera podczas organizacji obozu w Auschwitz w 1944 roku wrócił tam, żeby wziąć obóz w cugle i rozwiązać problem węgierski. W oficjalnym dekrete stwierdzał, że księga *Philosophica amoris* Ramona Llulla, zatwardziałego Katalończyka rodem z Majoroki, jest owocem heretyckiej perwersji, i tym samym uznawał za winnych herezji tych wszystkich, którzy w Walencji, Alcoy, Barcelonie czy Saragossie, w Alcañizie, Montpellier czy w jakimkolwiek innym miejscu, poprzez lekturę, rozpowszechnianie, nauczanie, kopiowanie czy myślenie zetknęli się z cuchnącą herezją, podejrzaną doktryną Ramona Llulla, która nie od Chrystusa pochodzi, lecz od samego diabła. Co potwierdzam własnym podpisem 13 lipca 1367 roku.

– Nadaj bieg sprawie. Czuję, że mam gorączkę, a nie chciałbym się położyć do łóżka, zanim...

– Możecie na mnie liczyć, Ekscelencjo.

Brat Mikołaj, spocony z gorączki i z upału, otarł czoło i popatrzył, jak brat Michał z Susquedy, jego młody sekretarz, przepisuje swoim starannym pismem dalszy ciąg oskarżenia, a następnie przebiegł przez ulicę rozpaloną piekielnym słońcem tak szybko, że nie zdążył nawet złapać tchu, aby pogrążyć się natychmiast w nieco chłodniejszej ciemności kaplicy świętej Agaty. Na środku kaplicy upadł na kolana i z pokorą pochylił głowę przed Bogiem obecnym w Najświętszym Sakramencie, po czym przemówił tak o Panie, dodaj mi siłę, nie pozwól, by ludzka natura osłabiła moją gorliwość, nie pozwól, by przez kalumnie, podszepty, zazdrość i kłamstwa doznała uszczerbku moja odwaga. O Panie, teraz sam król śmiał skrytykować moje czyny, których celem jest obrona jedynej i prawdziwej wiary. Wzmocnij moją stanowczość, abym nigdy nie przestał Ci służyć, wypełniając misję surowego przestrzegania prawdy. Brat Mikołaj powiedział amen, które zabrzmiało lekko jak westchnienie myśli, ale pozostał jeszcze na klęczkach i w tej modlitewnej postawie czekał, aż palące słońce zejdzie łagodnie za linię gór na zachodzie. Nie myśląc o niczym, pozostawał w bezpośredniej więzi z Panem Prawdy.

Kiedy przygasło światło wpadające przez okno, brat Mikołaj opuścił kaplicę z taką samą energią, z jaką do niej wszedł. Na zewnątrz łapczywie wciągnął w płuca zapach tymianku i siana, który wydzielala ziemia nagrzana w ciągu dnia tak gorącego, że najstarsi staruszkowie nie pamiętali podobnego upału. Znow otarł pot z czoła, które aż parzyło, i skierował się do budynku z szarego kamienia na końcu uliczki. Przy wejściu musiał powściągnąć swoją niecierpliwość, bo właśnie ona, zawsze ta sama kobieta, w towarzystwie Guerxa z Salt, który był jej mężem, wносиła worek brukwi, większy niż ona sama, przez bramę pałacu.

– Czy muszą korzystać z tej bramy? – zwrócił się zirytowany do brata Michała, który wyszedł mu na spotkanie.

– Wejście od ogrodu jest zalane wodą, Ekscelencjo.

Osłłym tonem brat Mikołaj Eymeric zapytał, czy wszystko jest gotowe, i zmierzając długimi krokami w kierunku sali przesłuchań, wezwał w myślach Boga, o Panie, całą moją energię poświęcam, żeby bronić twojej Prawdy dniem i nocą. Dodaj mi siłę, bo kiedy na końcu stanie się światłość, Ty będziesz

mnie sądził, a nie ludzie.

Już po mnie, pomyślał Josep Xarom. Nie mógł wytrzymać czarnego spojrzenia tego diabelskiego inkwizytora, który wparował do sali jak burza, wykrzyczał swoje pytanie, a teraz niecierpliwie oczekiwał na odpowiedź.

– Jakie hostie? – zapytał po chwili doktor Xarom, zdławionym z przerażenia głosem.

Inkwizytor wstał, otarł czoło i po raz trzeci, od kiedy wszedł do sali przesłuchań, powtórzył pytanie ile zapłaciłeś Jaume Malli za święte hostie, które od niego dostałeś.

– Nic o tym nie wiem. Nie wiem, co to za jeden ten Jaume Malla. Nic nie wiem o żadnych hostiach.

– Chcesz przez to powiedzieć, że uważasz się za Żyda.

– No... Tak, Ekscelencjo, jestem Żydem, jak sami wiecie. Moja rodzina i wszystkie rodziny w naszej dzielnicy jesteście pod ochroną króla.

– W tych ścianach jedyną ochroną jest Bóg. Zapamiętaj to sobie na zawsze.

Adonai, o Najwyższy, gdzie jesteś teraz, gdy ciebie szukam, pomyślał zacny doktor Josep Xarom, wiedząc, że grzeszy brakiem zaufania do Najwyższego.

Przez godzinę, która zdawała się nie mieć końca, brat Mikołaj ze świętą cierpliwością, pomimo bólu głowy i wrzenia wewnętrznych humorów, usiłował zbadać tajemnicę strasznego grzechu, który popełniła ta odrażająca kreatura, za pomocą poświęconych hostii, co szczegółowo opisywał jakże fortunny donos, ale Josep Xarom cały czas powtarzał to samo, że urodził się w żydowskiej dzielnicy i całe życie tam mieszkał, że opanował sztukę medycyny i pomagał przyjść na świat dzieciom w swojej dzielnicy i poza nią, że jego życie sprowadzało się do wykonywania tego zawodu i na tym koniec.

– I chodziłeś do synagogi podczas waszego sabatu.

– Niedawno król nam tego zabronił.

– Nie do króla należy decydowanie o tym, co się dzieje w głębi duszy. Jesteś oskarżony o praktykowanie strasznych zbrodni przy użyciu poświęconych hostii. Co masz na swoją obronę?

– Kto mnie oskarża?

– Nie musisz tego wiedzieć.

– Chyba jednak powinienem. W zależności od tego, kto rzucił na mnie tę kalumnię, mogę udowodnić, jakie ma powody, żeby

– Insynuujesz, że dobry chrześcijanin może kłamać? – brat Mikołaj tak się zgorszył, że aż mu dech zaparło.

– Tak, Ekscelencjo. Jeszcze jak.

– To pogarsza twoją sytuację, jeśli bowiem ubliżasz chrześcijaninowi, ubliżasz Jezusowi Chrystusowi, Panu i Bogu naszemu, którego uśmierciłeś własnymi rękami.

O Adonai, Panie Najwyższy i miłosierny, ty jesteś jedynym Bogiem.

Nie patrząc w jego kierunku, z pogardą, jaką do niego czuł, naczelny inkwizytor Mikołaj Eymeric, ocierając dłonią zafrasowane czoło, zwrócił się do strażników pełniących służbę, aby poddali opornego więźnia torturom i przyprowadzili go za godzinę z podpisanym zeznaniem.

– Jakie tortury, Ekscelencjo? – zapytał brat Michał.

– Madejowe łoże na czas credo in unum deum. A gdyby były potrzebne haki, to na dwa paternostry.

– Ekscelencjo...

– A jeśli to mu nie odświeży pamięci, powtarzajcie tak długo, jak będzie trzeba.

Podszedł do brata Michała z Susquedy, który już od jakiegoś czasu nie podnosił wzroku, i szeptem kazał mu oświecić tego Jaume Mallę, że jeśli jeszcze kiedyś sprzeda czy podaruje hostię jakiemuś Żydowi, będzie miał ze mną do czynienia.

– Nie wiemy, kim jest ten Jaume Malla. – Nabierając powietrza: – Może nawet nie istnieje.

Ale święty mąż nie dosłyszał jego słów, bo skoncentrował się na okropnym bólu głowy, który ofiarował Panu Bogu Naszemu jako pokutę.

Po zastosowaniu madejowego łoża i rzeźnickich haków, które mu podziurawiły ciało i zerwały ścięgna, medyk Josep Xarom z Girony wyznał, że tak, tak, tak, na Boga Najwyższego, zrobiłem to, kupiłem je od tego człowieka, o którym mówicie, tak, tak, ale przestańcie już, na litość boską.

– I co z nimi zrobiłeś? – Brat Michał z Susquedy, siedząc przed madejowym łóżem, starał się nie patrzeć na spływającą z niego krew.

– Nie wiem. Powiem, co chcecie, ale zlitujcie się, już mnie nie rozciągajcie, ja...

– Uważajcie, bo jak nam zemdleje, koniec z zeznaniem.

– Co za różnica? Przecież już się przyznał.

– Jak sobie chcesz. Potem będziesz się tłumaczył przed bratem Mikołajem, tak, ty, rudzielcu, i powiesz mu, że więzień podczas tortur spał, a zapewniam cię, że rozciągnie was na tym samym madejowym łożu pod zarzutem wtykania kija w koła Bożej sprawiedliwości. Was obu. – Rozdrażniony: – Nie wiecie, jaki jest Jego Ekscelencja?

– Panie, ale my przecież...

– Tak. A ja będę notariuszem przy waszych torturach. No już, do roboty.

– No dobrze: chwyc go za włosy, o tak. No, jeszcze raz pytam: co zrobiłeś z poświęconymi hostiami? Słyszysz? Ej! Ej, Xarom, ty zasrany padalcu.

– Nie będę tolerować żadnych nieprzyzwoitych słów w siedzibie Świętej Inkwizycji – oburzył się brat Michał. – Zachowujcie się, jak przystało na dobrych chrześcijan.

Ponieważ światło dnia całkiem już zgasło, salę oświetlał płomień pochodni równie chybotliwy jak dusza Xaroma, słuchającego w stanie półświadomości wniosków wysokiego trybunału, odczytanych mocnym głosem Mikołaja Eymerica w obecności świadków. Został skazany na karę śmierci i oczyszczenie przez ogień w wigilię świętego Jakuba Apostoła, ponieważ nie wykazał skruchy i odmówił nawrócenia, które oszczędziłoby mu jeśli nie śmierci ciała, to przynajmniej śmierci duszy. Brat Mikołaj, potwierdziwszy wyrok własnym podpisem, poinstruował brata Michała:

– Nie zapomnijcie, że skazańcom trzeba wcześniej odciąć język.

– Nie wystarczy knebel, Ekscelencjo?

– Skazańcom trzeba wcześniej odciąć język – upominał ze świętą cierpliwością brat Mikołaj. – Nie będę tolerował żadnych zaniedbań.

– Ależ, Ekscelencjo...

– Mają swoje sposoby, gryzą knebel, wypluwają... A ja sobie życzę, żeby heretycy byli cicho od chwili, kiedy doprowadza się ich do stosu przed podpaleniem, bo gdyby zachowali możliwość mowy, mogliby ciężko zgorszyć złorzeczeniem i bluźnierstwami wszystkich uczestniczących w uroczystości.

– Tu nigdy nic takiego się nie zdarzyło...

– Ale w Lleidzie tak. I dopóki ja sprawuję ten urząd, nigdy do tego nie dopuszczę. – Wbił w niego tak czarne, że aż świdrujące oczy, i powtórzył ciszej: – Nigdy do tego nie dopuszczę. – Znów podniósł głos: – Patrzcie mi w oczy, kiedy do was mówię, bracie Michale! Nigdy.

Wstał i wyszedł szybko z pomieszczenia, nie patrząc ani na sekretarzy, ani na skazańca, ani na pozostałych uczestników, bo miał zaproszenie na kolację do pałacu biskupiego, a już był spóźniony; samopoczucie psuł mu intensywny tego dnia upał, ból głowy i gorączka, która trawiła jego ciało.

Na zewnątrz ulewa, pod wpływem wielkiego chłodu, przeszła w cichą, gęstą śnieżycę. Kontemplując tęczy kolor wina we wzniesionym kieliszku, odpowiedział swemu amfitrionowi istotnie, przyszedłem na świat w zamożnej i bardzo religijnej rodzinie, a dzięki niezłomnym zasadom moralnym, jakie mi wpojono, przewyciężyłem ludzkie słabości i wzięłem na siebie ciężki obowiązek niezłomnego obrońcy

ojczyzny przeciw wewnętrznym wrogom, stosując się do rozkazów samego Führera i do szczegółowych wytycznych Reichsführera Himmlera. To wino jest znakomite, doktorze.

– Dziękuję. To dla mnie zaszczyt, że mogłem je panu zaproponować w tej namiastce domu.

– Całkiem wygodna ta namiastka.

Jeszcze jeden łyk. Na zewnątrz śnieg litościwie przykrywał wstydlive miejsca ziemi grubym, zimnym prześcieradłem. Wino dawało przyjemne ciepło. Obersturmbannführer Rudolf Höss, który urodził się w Gironie podczas deszczowej jesieni 1320 roku, w owych odległych czasach, kiedy Ziemia była płaska, a zuchwali podróżnicy szeroko otwierali oczy, kiedy powodując się ciekawością i wyobraźnią, odważyli się wystawić nos za koniec świata, czuł się zaszczycony tym sam na sam z szacownym, dobrze sytuowanym doktorem Voigtem i śpieszno mu było pochwalić się tym, mimochodem, przed którymś z kolegów. Życie jest piękne. Zwłaszcza teraz, gdy Ziemia znów jest płaska, a oni, dzięki jasnemu spojrzeniu Führera, pokazują ludzkości, gdzie jest siła, władza, prawda i przyszłość, a przy okazji uczą, że skuteczne osiągnięcie ideału jest nie do pogodzenia z jakąkolwiek formą współczucia. Siła Reichu nie miała już granic i kazała patrzeć na czyny wszystkich Eymericów, których zna historia, jak na dziecięce zabawy. Wino zainspirowało go do wygłoszenia subtelnej sentencji:

– Dla mnie rozkazy są święte, choćby wydawały się nie wiem jak trudne, ponieważ jako oficer SS muszę być gotowy do całkowitego poświęcenia mojej osoby wypełnianiu obowiązków, które nakłada na mnie ojczyzna. Dlatego w 1334 roku, kiedy miałem czternaście lat, wstąpiłem do kaznodziejskiego zakonu dominikańskiego w moim rodzinnym mieście, w Gironie, i poświęciłem całe życie głoszeniu Prawdy. Mówią o mnie, że jestem okrutny, król Piotr mnie nienawidzi, zazdrości mi i chciałby mnie zniszczyć, ale ja pozostaję niewzruszony, bo nie bronię ani króla, ani ojca, ani matki i nie uznaję wysokiego urodzenia, jeśli wiara, której służę, nakazuje mi postąpić inaczej, bo Prawda jest dla mnie najważniejsza na świecie. Z moich ust usłyszycie jedynie prawdę, Wasza Wielbność.

Wielebny biskup sam osobiście napełnił kielich brata Mikołaja, a ten umoczył usta, obojętny na to, co pije, i rozgniewany ciągnął byłem skazany na wygnanie i pozbawiony urzędu inkwizytora z rozkazu króla Piotra. Pewnie nie wiecie, że kiedy zostałem wybrany na wikariusza generalnego zakonu dominikanów tu, w Gironie, ten przeklęty król wywarł presję na Ojca Świętego Urbana, aby odrzucił moją nominację.

– Nie wiedziałem o tym.

Wielebny biskup miał wygodne krzesło, ale siedział wyprostowany, czujny, i w milczeniu przyglądał się, jak generalny inkwizytor ociera pot z czoła rękawem habitu. Po długich dwóch paternostrach odezwał się:

– Dobrze się czujecie, Ekscelencjo?

– Tak.

Biskup wypił łyk wina.

– Jednakże, Ekscelencjo, znów wracacie na urząd wikariusza generalnego.

– To moja niezłomna wiara w Boga i jego święte miłosierdzie sprawiły, że przywrócono mi urząd i godność generalnego inkwizytora.

– Na chwałę Bożą.

– Tak, ale teraz król grozi mi nowym wygnaniem i po przyjacielsku doniesiono mi, że chce mnie zabić.

Biskup głęboko się zamyślił. Wreszcie jego wielbność nieśmiało podniósł palec i powiedział król Piotr ma wam za złe obsesyjne potępianie dzieła Llulla...

– Llull? – krzyknął Eymeric. – Czytaliście choćby parę jego stron, Wasza Wielbność?

– No, ja... Więc... tak, mhm.

– I co?

Pod czarnym spojrzeniem Eymerica, gotowym prześwidrować duszę na wylot, jego wielbność z trudem przełknął ślinę:

– Nie wiem, co wam powiedzieć. Co do mnie... Czytałem.. W końcu, nie wiedziałem, że... –

I wreszcie skapitulował: – Ja nie jestem teologiem.

– Ja też nie jestem inżynierem, ale udało mi się sprawić, żeby krematoria w Birkenau były cały czas sprawne, mimo że pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę. Udało mi się również zadbać, aby moi ludzie, którzy kontrolują to stado szczurów, jakim jest Sonderkommando, nie zwariowali.

– Jak pan to osiągnął, czcigodny panie Oberlagerführerze Höss?

– Nie wiem. Głosząc Prawdę. Wskazując wszystkim spragnionym duszom, że doktryna ewangeliczna jest tylko jedna, a moją świętą misją jest przestrzeganie, by błąd i perfidia nie podkopywały fundamentów Kościoła. Dlatego nie spocznę, póki nie wykorzenie wszystkich herezji, a najlepszym sposobem jest eliminowanie zatwardziałych i nowych heretyków.

– Jednakże król...

– Najwyższy inkwizytor generalny i wikariusz zakonu, przybyły z Rzymu, dobrze to rozumie. Znając niechęć króla Piotra do mojej osoby, uznał, że mimo wszystko powinienem kontynuować misję potępiania wszystkich pism, książka po książce, tego haniebnego i niebezpiecznego Ramona Llulla. Nie zakwestionował żadnego procesu, jaki wszczęliśmy w tych latach, a podczas jakże wzruszającej mszy świętej w kazaniu wskazał moją pokorną osobę jako wzór do naśladowania dla wszystkich, od pierwszego do ostatniego Oberlagerführera. Niech teraz sobie mówi co chce król Walencji i Katalonii, Aragonii i Majorki. Wtedy poczułem, że źródłem mojego szczęścia jest wierność przysiędze najświętszej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek złożyłem czy miałem złożyć w moim życiu. Jedynym problemem, ewentualnie, mogła być tamta kobieta.

– Jest coś, co... – Biskup po chwili wahania ostrożnie podniósł palec. – Uwaga: nie twierdzę, że nie zasługują na śmierć. – Spojrzał na kolor wina w swoim kieliszku i wydał mu się czerwony jak płomień. – Czy nie można ich...

– Czego nie można?

– Czy koniecznie muszą umierać w ogniu?

– Taka jest powszechna, sprawdzona praktyka całego Kościoła Chrystusowego. Tak, muszą umierać w ogniu, Wasza Wielbność.

– To straszna śmierć.

– W tej właśnie chwili zżera mnie gorączka, a mimo to nie skarżę się i bez przerwy pracuję dla dobra Świętego Kościoła, matki naszej.

– Nadal uważam, że śmierć w płomieniach jest straszna.

– Ale zasłużona! – wybuchnął gniewem jego ekscelencja. – Straszniejsze jest bluźnierstwo i trwanie w błędzie. Czyż nie tak, Wasza Wielbność? – A ja tymczasem oglądałem pusty wirydarz, zatopiony w myślach. Uświadomiłem sobie, że jestem sam. Rozejrzałem się wokół. Gdzie się podziała Kornelia?

Grupa turystów, cierpliwa i zdyscyplinowana, czekała na rogu wirydarza w Bebenhausen, poza Kornelią, która... Teraz ją dostrzegłem: spacerowała zamyślona, sama, środkiem wirydarza, jak zwykle nieprzewidywalna. Pożerałem ją wzrokiem i wydaje mi się, że ona czuła się obserwowana. Zatrzymała się, stojąc do mnie tyłem, i skierowała się w stronę grupy, z którą czekaliśmy, aż zbierze się nas odpowiednia liczba, aby rozpocząć zwiedzanie. Pomachałem do niej, jednak albo nie zauważyła, albo udała, że mnie nie widzi. Kornelia. Na fontannie tuż przede mną przysiadła zięba, napiła się wody i pożegnała się trelem. Adriana przeszedł dreszcz.

Wieczorem w wigilię świętego Jakuba Josep Xarom mógł się pocieszać tylko tym, że zostało mu oszczędzone spojrzenie brata Mikołaja, obrońcy Kościoła, który leżał na swoim posłaniu złożony uporczywą gorączką. Jednak względny umiar brata Michała z Susquedy, notariusza i asystenta inkwizytora generalnego, nie oszczędził mu żadnego bólu, żadnego cierpienia, żadnego horroru. Niespiesznie rozpraszał ciemności świt dnia świętego Jakuba, ciepły po dniach bezlitosnego słońca, kiedy dwie kobiety i mężczyzna, prowadząc trzy muły obciążone workami i sakwami pełnymi

wspomnień, z pięciorgiem małych dzieci, opuszczali żydowską dzielnicę, uciekając brzegiem Teru, w ślad za dwiema rodzinami, które wyjechały dwa dni wcześniej. Pozostawiali za sobą, w dumnym i niewdzięcznym mieście Gironie, tak bliskim ich sercu, ślad szesnastu pokoleń Xaromów i Meirów. Jeszcze unosił się w powietrzu haniebnym dym, wraz z którym odchodził nieszczęsny Josep, ofiara zawiści anonimowego donosiciela. Dolça Xarom, jedyne z dzieci, które obudziło się na tyle wcześnie, żeby spojrzeć po raz ostatni na dumne mury katedry odcinające się na tle gwieździstego nieba, płakała cichutko, w rytmie mulego człapania, nad tyłoma sprawami, które skończyły się w ciągu jednej nocy. Zaufany człowiek czekał na nich w Estartit, w łodzi wynajętej przez nieszczęsnego Josepa i przez Massota Bonsenyora parę dni wcześniej, kiedy czuli już, że zbliża się nieszczęście, przeczuwali je, nie wiedząc, skąd, jak i kiedy na nich spadnie. Unoszona ciepłym wiatrem zachodnim łódź oddaliła się od koszmaru. Następnego dnia wieczorem zawinęła do portu Ciutadella na Majorce, zabrała na pokład kolejnych sześć osób, i trzy dni później dobiła do brzegu w Palermo na Sycylii, gdzie dochodzili do siebie przez pół tygodnia po chorobie morskiej wywołanej wysoką falą, jaką powitało ich Morze Tyrreńskie. Kiedy już odzyskali siły, korzystając z pomyślnych wiatrów, przemierzali Morze Jońskie i dotarli do albańskiego portu Durrësi, gdzie wysiadło na ląd sześć rodzin. Uciekając od łez, szukały one miejsca, w którym nikogo nie będą obrażać ich szabasowe szepty. A ponieważ zostali wspaniale przyjęci przez żydowską wspólnotę w Durrësi, postanowili się tam osiedlić.

Dolça Xarom, mała uciekinierka, która doczekała się tam dzieci, wnuków i prawnuków, w wieku osiemdziesięciu lat potrafiła jeszcze wywołać utrwalony w pamięci obraz cichych uliczek w żydowskiej dzielnicy Girony i bryłę chrześcijańskiej katedry, odcinającą się na tle gwieździstego nieba, za mglistą zasłoną łez. Mimo nostalgii rodzina Xarom Meir mieszkała i nieźle sobie radziła przez następnych dwanaście pokoleń w Durrësi, a uparty czas sprawił, że nadszedł moment, gdy zbladło wspomnienie o przodku spalonym przez niewiernych gojów, a jego ślad zatarł się prawie całkiem w pamięci synów synów ich synów, podobnie jak nazwa niegdyś ukochanej Girony. Pewnego pięknego dnia roku patriarchów 5420, haniebnego chrześcijańskiego roku 1660, Emanuel Meir dał się skusić dobrej handlowej passie na Morzu Czarnym. Emanuel Meir, ósmy praprawnuk uciekinierki Dolcy, przeprowadził się do hałaśliwej Warny bułgarskiej nad Morzem Czarnym w czasach, kiedy rządziła tam Wysoka Porta. Moi rodzice, jako gorliwi katolicy w luterzańskich w większości Niemczech, chcieli zrobić ze mnie księdza. Sam się nad tym długo zastanawiałem.

– Byłby pan dobrym kapłanem, panie Obersturmbannführerze Höss.

– Przypuszczam, że tak.

– A ja to wiem: cokolwiek pan robi, efekt jest zawsze znakomity.

Obersturmbannführer Höss napuszył się, słysząc ten jakże zasłużony komplement. Chciał wzmocnić wrażenie i podkreślić wagę spraw:

– To, co pan przedstawia jako moją zaletę, pewnie mnie wpędzi do grobu. Zwłaszcza teraz, kiedy ma nas odwiedzić Reichsführer Himmler.

– Dlaczego?

– Ponieważ jako Oberlagerführer czuję się odpowiedzialny za wszelkie niedostatki systemu. Na przykład, z ostatniej dostawy cyklonu zostało puszek tylko na dwa, najwyżej trzy razy, a intendent nie uprzedził mnie w porę ani sam nie złożył zamówienia. A teraz proszę, szukaj protekcji i ściągaj ciężarówkę, które są potrzebne gdzie indziej, i trzymaj język na wodzy, żeby nie zbesztać intendenta, bo w Oświęcimiu, przepraszam, w Auschwitz, wszyscy żyją na granicy wytrzymałości.

– Myślę, że doświadczenie wyniesione z Dachau...

– Z psychologicznego punktu widzenia różnica jest kolosalna. W Dachau mieliśmy więźniów.

– Wiem, że wielu tam umierało i nadal umiera.

– Tak, doktorze Voigt, ale Dachau to obóz koncentracyjny dla więźniów. Auschwitz-Birkenau z założenia jest obozem nastawionym na eksterminację szczurów. Gdyby nie fakt, że Żydzi nie są ludźmi,

myślałbym, że żyjemy w piekle, którego bramą jest komora gazowa, a przeznaczeniem płomienie pieców krematoryjnych i groby kopane w lesie, w których spalamy całą resztę, ponieważ nie radzimy sobie z tą ilością towaru, jaki nam przysyłają. Nigdy jeszcze nie rozmawiałem o tym z nikim spoza obozu, doktorze.

– Dobrze, że pan się przede mną otworzył, Obersturmbannführerze Höss.

– Jest pan profesjonalistą, więc liczę na dyskrecję, żeby Reichsführer...

– Naturalnie. Pan jako chrześcijanin wie... Psychiatra jest jak spowiednik. Jak spowiednik, którym sam pan mógł zostać.

Przez moment, w przyływie szczerości, Oberlagerführer Höss rozważał możliwość opowiedzenia mu o tamtej kobiecie, jednak mimo że pokusa była silna, opanował się i nawet o niej nie wspomniał. Ale naprawdę niewiele brakowało. Powinien bardziej uważać na wino. Zaczął się rozwodzić nad kolejną kwestią. Moi ludzie muszą być silni, żeby zrealizować zadania, do których zostali wyznaczeni. Któregoś dnia pewien żołnierz już po trzydziestce, a nie jakiś młokos, rozplakał się w baraku, na oczach kolegów.

Doktor Voigt rzucił okiem na swego gościa, udając zdziwienie; odczekał, aż tamten wypije duszkiem kolejny kieliszek, i po paru sekundach milczenia zadał pytanie, którego tamten nie mógł się doczekać:

– I co dalej?

– Bruno, Bruno, ocknij się!

Ale Bruno nie słyszał, cały czas krzyczał, a ból wychodził mu ustami i oczami i Rottenführer Mathäus musiał zawiadomić zwierzchników, bo nie wiedział, co robić, i po upływie trzech minut sam Oberlagerführer, Obersturmbannführer Rudolf Höss stawiał się osobiście w chwili, gdy żołnierz Bruno Lübke wyciągnął pistolet i przyłożył go sobie do ust, nie przestając krzyczeć. Żołnierz SS! Stuprocentowy esesman!

– Bacność, żołnierzu! – zawołał Obersturmbannführer Höss. Ale ponieważ żołnierz cały czas krzyczał i tylko głębiej pchał sobie rewolwer do gardła, jego zwierzchnik zrobił ruch, jakby mu zamierzał przeszkodzić, i wtedy Bruno Lübke wystrzelił, mając nadzieję, że pójdzie prosto do piekła i zapomni raz na zawsze o Birkenau, o popiele, którym musieli oddychać, i o spojrzeniu tej dziewczynki, wypisz wymaluj jak jego Ursula, którą wepchnął do komory gazowej dziś po południu i później zobaczył, jak jakiś żydowski szczur z Sonderkommando obcina jej włosy i rzuca na stos przed krematorium.

Höss spojrział z pogardą na leżącego na ziemi żołnierza i na kałużę bladej krwi, jaka wypłynęła z tego tchórzliwego szakala, po czym wykorzystał okazję i zaimprovizował przed oszołomionymi żołnierzami mowę, podkreślając, że największa duchowa pociecha i radość bierze się z całkowitego przekonania, że twoje czyny są realizacją woli Bożej, w imię której bronimy świętej wiary katolickiej i apostołskiej przed licznymi nieprzyjaciółmi, którzy nie spoczną, póki jej nie zniszczą, bracie Michale. I jeśli jeszcze kiedykolwiek zawahacie się i zaczniecie ze mną publicznie dyskutować, czy trzeba czy nie trzeba amputować język skazańcom, którzy wyznali swoją winę, to mimo że doceniam wartość waszych usług, zapewniam, że nie zawaham się was oskarżyć przed wyższymi instancjami o chwiejność i słabość, niegodne funkcjonariusza trybunału Świętej Inkwizycji.

– Powodowało mną miłosierdzie, Ekscelencjo.

– Mylicie miłosierdzie ze słabością. – Brat Mikołaj aż się zatrząsł, z trudem hamując złość. – Jeśli nadal będziecie się upierać, popełnicie winę bardzo poważnego nieposłuszeństwa.

Brat Michał pochylił głowę, drżąc ze strachu, i z duszą na ramieniu słuchał, jak jego przełożony dodał zaczynam was podejrzewać o chwiejność, nie z powodu słabego charakteru, ale przez pobłażanie heretykom.

– Na litość boską, Ekscelencjo!

– Nie używajcie imienia Bożego nadaremno. Wspomnicie moje słowa, że przez tę słabość staniecie się zdrajcą i wrogiem Prawdy.

Brat Mikołaj zakrył twarz dłońmi i przez chwilę pogrążył się w modlitwie. Z głębi jego refleksji odezwał się głuchy głos, który mówił my jesteśmy jedynym okiem wrażliwym na grzech, my jesteśmy

strażnikami ortodoksji, bracie Michale, mamy rację i jesteście prawdą, i choćby nie wiem, jak bardzo surowa wydawała się kara, którą nakładamy na heretyka – i na jego ciało, i na jego pisma, jak to było w przypadku niegodnego Lulla, którego niestety nie udało mi się wysłać na stos – to pamiętajcie, że realizujemy prawo i sprawiedliwość, co nie jest występkiem, ale wielką zasługą. Poza tym przypominam wam, że jesteście odpowiedzialni tylko przed Bogiem, nie przed ludźmi. Jeżeli szczęśliwsi są ci, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, bracie Michale, o wiele szczęśliwsi są ci, którzy wcielają w życie prawo, zwłaszcza, jeśli jest dla was jasne, że nasza misja została ściśle określona przez naszego wspaniałego Führera, a on ma pełne zaufanie do nieskazitelności, patriotyzmu i niezłomności ducha swoich esesmanów. Czyżby którykolwiek z was wątpił w mądrość Führera? Zamilkł na chwilę i chodząc pomiędzy nimi, patrzył na nich z góry, wyzywająco. A może któryś wątpi w umiejętność podejmowania decyzji naszego Reichsführera Himmlera? Co mu powiecie, kiedy zjawi się tu pojutrze? No co? I zakończył po efektownej pauzie, trwającej całe pięć sekund: zabierzcie stąd to ścierwo!

Wypili jeszcze ze dwa kieliszki, a może cztery czy pięć, a on opowiadał dalej, sam już dobrze nie wiedział o czym, unosząc się na skrzydłach euforii, jakich dodawało mu wspomnienie tamtej heroicznej sceny.

Rudolf Höss wyszedł z rezydencji doktora Voigta podniesiony na duchu i trochę zawiany. Nie przejmował się, że Birkenau to piekło, martwiła go ludzka słabość. Mimo uroczystych przysięg, jakie złożyli tamci mężczyźni i kobiety, nie potrafili znieść śmierci oglądanej z bliska. Nie mieli duszy ze stali i dlatego często się mylili, a nie ma gorszego sposobu działania niż powtarzanie tego samego z powodu... Nie, to okropne. Na szczęście nie wspomniał nawet o istnieniu tamtej kobiety. Uświadomiłem sobie, że chcąc nie chcąc, obserwowałem kątem oka Kornelię, czy nie uśmiechała się do kogoś ze zwiedzających albo... Nie chciałem uchodzić za zazdrosnego faceta, pomyślałem sobie. Ale to jest dziewczyna, która... Teraz! W końcu zebrało się dziesięć osób i mogło się zacząć oprowadzanie. Do wirydarza wszedł przewodnik i powiedział klasztor Bebenhausen, który będziemy teraz zwiedzać, został założony przez Rudolfa i z Tybingi w 1180 roku, a w 1806 został sekularyzowany. Szukałem wzrokiem Kornelii. Właśnie znalazła się przy jakimś przystojnym chłopaku, który się do niej uśmiechał. Spojrzała na mnie, w końcu. W Bebenhausen było zimno. Co znaczy sekularyzowany?, zapytał niski, łysy mężczyzna.

Tamtej nocy Rudolf i Hedwig Höss nie skorzystali z praw małżeńskich. Za dużo miał zmartwień, a i rozmowa z doktorem Voigtem nie dawała mu spokoju. A jeśli się wygadał? Jeżeli trzeci lub czwarty czy siódmy kieliszek na tyle rozwiązał mu język, że zaczął podejmować tematy, których nigdy nie poruszał? Bo jego obsesyjna perfekcja organizatora zawalała się jak domek z kart z powodu ogromnych błędów popełnianych przez jego podwładnych w ostatnich tygodniach i w żaden, ale to w żaden sposób nie mógł dopuścić do tego, żeby sam Reichsführer Himmler doszedł do wniosku, że nie może na nim polegać, a wszystko się zaczęło, kiedy wstąpiłem do zakonu kaznodziejskiego, powodując się niewzruszoną wiarą w dyrektywy Führera. W nowicjacie, prowadzeni zręczną ręką brata Anselma Coponsa, nauczyliśmy się podchodzić z niewzruszonym sercem do ludzkich słabości, ponieważ każdy esesman powinien umieć oddać całą swoją osobowość na wyłączną służbę Führerowi. A bracia kaznodzieje tam właśnie odgrywali zasadniczą rolę, gdzie chodziło o wykorzenie wewnętrznych zagrożeń. Dla prawdziwej wiary heretyk jest tysiąc razy bardziej niebezpieczny niż poganin. Heretyk żywi się nauczaniem Kościoła, które wyssał z mlekiem matki, a jednocześnie jego zatruta, podejrzanie cuchnąca natura wprowadza rozkład do nabożnej struktury świętych instytucji. W 1941 roku, aby rozwiązać problem raz na zawsze, podjęta została decyzja, żeby się zdystansować od dziecinnych praktyk Świętej Inkwizycji i zaplanować eksterminację wszystkich Żydów bez wyjątku. To, co miało być potworne, niech będzie potworne bez żadnych ograniczeń. A to, co miało być okrutne, niech będzie takie w stopniu absolutnym, ponieważ teraz dochodziła do głosu historia. Oczywiście, cel tak trudny

do osiągnięcia, tak bohaterski wyczyn, mógł być dziełem tylko prawdziwych bohaterów, z żelaznym sercem i stalową wolą. A ja, jako brat kaznodzieja posłuszny i zdyscyplinowany, zabrałem się do roboty. Aż do 1944 roku tylko kilku lekarzy i ja wiedzieliśmy, jaki był ostateczny cel Reichsführera: zacząć od chorych i dzieci i wykorzystać tych, którzy jeszcze mogli pracować, wyłącznie z powodów ekonomicznych. Zabrałem się do realizacji zadania z niezłomną wolą, by wiernie spełnić przysięgę, jaką złożyłem SS. Dlatego Kościół nie uważa Żydów za pogan, lecz za heretyków, którzy żyją wśród nas, uporczywie trzymając się swojej herezji, która zaczyna się od ukrzyżowania przez nich Jezusa, Pana Naszego, i która ciągle utrzymuje się wszędzie tam, gdzie uparcie odmawiają odstąpienia od swoich błędnych wierzeń, od składania w ofierze dzieci chrześcijańskich i od wymyślania odrażających ataków na sakramenty święte, jak w przypadku, o którym teraz mowa, profanacji poświęconych hostii przez perfidnego Josepa Xaroma. Z tego powodu rozkazy, jakie wydałem każdemu Schutzhaftlagerführerowi we wszystkich obozach podległych Auschwitz, były surowe: droga była wąska, uzależniona od przepustowości pieców krematoryjnych, plon nazbyt obfity, tysiące, tysiące szczurów, a rozwiązanie leżało w naszych rękach. Rzeczywistość, która nigdy nie dorasta do czystego ideału, jest taka, że krematoria I i II nie mogą spalić więcej niż dwa tysiące sztuk na dobę i żeby nie doprowadzić do awarii, nie wolno przekroczyć tej liczby.

– A pozostałe dwa? – zapytał doktor Voigt przy czwartym kieliszku.

– Z trzecim i czwartym mam prawdziwy krzyż pański: nie osiągają tysiąca pięciuset sztuk na dobę. Bardzo się zawiodłem na nowych modelach. Gdyby zwierzchnicy słuchali tych, którzy się na tym znają... Tylko proszę tego nie traktować jako krytyki naszych władz, doktorze – zastrzegł się przy kolacji, chyba przy piątym kieliszku. – Kiedy mamy przed sobą realizację tak wielkiego zadania, każde uczucie w rodzaju współczucia nie tylko musi zostać wykorzenione z umysłu esesmanów, ale wręcz trzeba za nie surowo karać, dla dobra ojczyzny.

– A co robicie z... odpadami?

– Ładujemy popiół do ciężarówek i wyrzucamy do Wisły. Każdego dnia rzeka niesie tony popiołu do morza, które jest jak śmierć, jak nas uczyli klasycy łacińscy podczas niezapomnianych lekcji brata Anselma Coponsa w nowicjacie, w Gironie.

– Co takiego?

– Jestem tylko zastępcą protokolanta, Ekscelencjo.

– Ale co takiego przeczytałeś mi przed chwilą, nieszczęśniku?

– No, że... że Josep Xarom przeklął was, zanim płomienie...

– Nie ucięto mu języka?

– Brat Michał zabronił. Na mocy swojego autorytetu.

– Brat Michał? Brat Michał z Susquedy? – Dramatyczna pauza na pół zdrowaśki. – Sprowadźcie tu to ścierwo.

Reichsführer Heinrich Himmler, który przyjechał z Berlina, okazał się bardzo wyrozumiały. Ten mądry człowiek wziął pod uwagę napięcie, w jakim żyli ludzie Rudolfa Hössa i elegancko, ach, jakże elegancko, przeszedł do porządku nad brakami, którymi ja się zadreczam. Nie miał zastrzeżeń co do dziennego przerobu, aczkolwiek dostrzegłem na jego szlachetnym czole cień troski, bo jak się zdaje, rozwiązanie kwestii żydowskiej jest sprawą pilną, a my dopiero jesteśmy w połowie drogi. Nie zakwestionował żadnej z moich inicjatyw i podczas wzruszającej ceremonii w obecności wyższej kadry obozu postawił moją skromną osobę za wzór, jakim powinni się kierować w swoim postępowaniu wszyscy, od pierwszego do ostatniego oficera trybunału Inkwizycji. Mogłem się uznać za człowieka szczęśliwego, ponieważ byłem wierny najświętszym przysięgom, jakie złożyłem kiedykolwiek w życiu. Jedynym problemem, ewentualnie, mogła być tamta kobieta.

W środę, kiedy Frau Hedwig Höss wyszła z grupą kobiet, żeby zrobić zakupy spożywcze

w miasteczku, Obersturmbannführer Höss czekał, aż przyjdzie do domu więźniarka eskortowana przez strażniczkę. Pomyślał, że te oczy, ta twarz taka słodka, te ręce tak doskonałe sprawiają wrażenie, jakby należały do prawdziwej istoty ludzkiej. Udał, że ma zaległą pracę na biurku, i obserwował ją, gdy zamiatała podłogę, która, choć sprzątano ją skrupulatnie dwa razy dziennie, zawsze była pokryta cienką warstwą popiołu.

– Ekscelencjo... Nie wiedziałam, że pan tu jest.

– Nie szkodzi, rób swoje.

Wreszcie, po tylu dniach napięcia, ukradkowych spojrzeń, obsesyjnych, diabelskich wyobrażeń, coraz silniejszych i trudniejszych do opanowania, demon ciała zapanował nad żelazną wolą brata Mikołaja Eymerica, który, mimo świętego habitu, jaki nosił, powiedział dość, dłużej nie wytrzymam, i obłąpił kobietę od tyłu, zaciskając dłonie na jej kuszących piersiach, i wtulił szacowną brodę w jej szyję, obiecując sobie tysiące przyjemności. Kobieta zamarła, opuściła wiązkę chrustu i stała bez ruchu, sztywno, nie wiedząc, co robić, przyciśnięta do ściany w ciemnym korytarzu, w rozterce, czy ma krzyczeć, brać nogi za pas, czy przeciwnie, powinna wyświadczyć bezcenną przysługę Kościołowi.

– Podnieś spódnicę – powiedział Eymeric, odczepiając różaniec z piętnastu tajemnic, którym miał przepasany habit.

Więźniarka numer 615428 z transportu A27 z Bułgarii, która w styczniu 1944 roku w ostatniej chwili uniknęła komory gazowej, ponieważ ktoś zdecydował, że będzie się nadawała do pracy w domu, teraz nie śmiała podnieść wzroku na nazistowskiego oficera, sparaliżowana strachem, i znów pomyślała nie, Panie Boże, Najwyższy i miłosierny. Obersturmbannführer Höss, nie tracąc panowania nad sobą, powtórzył rozkaz. Ponieważ nie zareagowała, powodowany raczej niecierpliwością niż brutalnością, popchnął ją w stronę fotela, zdarł z niej ubranie i zbliżył swoją twarz do jej twarzy, do jej oczu o słodkim wejrzeniu. Kiedy wszedł w nią, w ekstazie wywołanej dzikim pięknem, które było efektem osłabienia i wyniszczenia organizmu, wiedział już, że więźniarka numer 615428 przylgnęła do jego skóry na zawsze. Numer 615428 miał pozostać najgłębszym sekretem w jego życiu. Wstał pospiesznie, znów panując nad sytuacją, poprawił habit, powiedział do kobiety ubierz się, sześć, jeden, pięć, cztery, dwa, osiem. Szybko. Następnie dał jej do zrozumienia, że nic się nie stało, i postraszył, że jeżeli komukolwiek się wygada, uwięzi Guerxa z Salt, jej męża, a także jej syna i matkę, a ją oskarży o czary, bo nie jesteś niczym innym jak czarownicą, która usiłowała mnie uwieść swoimi podstępными sztuczkami.

Przez kilka kolejnych dni sytuacja się powtarzała. Więźniarka numer 615428 musiała klęczeć naga, podczas gdy Obersturmbannführer Höss w nią wchodził. Jego ekscelencja Mikołaj Eymeric przypomniał kobiecie, dysząc ciężko, że jeśli cokolwiek powiesz temu nieszczęśnikowi Guerxowi z Salt, skończysz na stosie jako czarownica, bo rzuciłaś na mnie urok, a numer 615428 nie mogła odpowiedzieć ani tak, ani nie, i tylko płakała z przerażenia.

– Widziałaś gdzieś mój różaniec od habitu? – krzyczał jego ekscelencja. – Biada ci, jeśli mi go ukradłaś.

Aż do momentu, kiedy ten idiota doktor Voigt zainteresował się jego skrzypcami i przekroczył granicę, której żaden inkwizytor generalny nie powinien przekraczać. Mimo to Voigt wygrał konfrontację i Oberlagerführer Eymeric musiał rozstać się z instrumentem, rzucając go na stół.

– Tyle dla ciebie jest wart sekret spowiedzi, skurwysynu.

– Nie jestem księdzem.

Voigt odzyskał skrzypce z pazernych rąk, a Rudolf Höss wychodząc, ostentacyjnie trzasnął drzwiami i pospieszył do kaplicy w siedzibie inkwizycji, gdzie przez dwie godziny na klęczkach płakał nad swoją słabością, która kazała mu ulec pokusie ciała, aż nowy sekretarz główny, zaniepokojony jego nieobecnością na pierwszym przesłuchaniu, odszukał go w tym budującym stanie świętej modlitwy i pobożności. Brat Mikołaj powstał z klęczek, zakomunikował sekretarzowi, że dziś już nie wróci, i skierował się do biura rejestracji.

– Więźniarka numer 615428.

– Zaraz znajdę, panie Obersturmbannführerze. Tak. Transport A27 z Bułgarii z trzynastego stycznia bieżącego roku.

– Jak się nazywa?

– Elizawieta Mejrewa. No, to jedna z niewielu, która figuruje w kartotece.

– Co o niej wiemy?

Gefreiter Hänsch zajrzał do kartoteki i przeczytał dane z karty Elizawieta Mejrewa, osiemnaście lat, córka Lazera Mejrewy i Sary Mejrewy z Warny. Nie ma nic więcej. Jakiś problem, panie Obersturmbannführerze?

Słodka Elizawieto, masz oczy czarodziejki, oczy czarownicy, usta jak świeży owoc, szkoda, że jesteś taka chuda.

– Ma pan na nią jakąś skargę, panie Obersturmbannführerze?

– Nie, nie... Ale jeszcze dziś proszę ją odesłać i zastosować w stosunku do niej pilny tryb dyscyplinarny.

– Zostało jej szesnaście dni do odsłużenia w komando służby domowej w

– To rozkaz, panie Gefreiterze.

– Ja nie mogę...

– Nie wie pan, co to rozkaz zwierzchnika, panie Gefreiterze? I proszę wstać, kiedy do pana mówię.

– Tak jest, panie Obersturmbannführerze!

– Wykonać rozkaz!

– Ego te absolvo a peccatis tuis, in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, panie Obersturmbannführerze.

– Amen – odpowiedział brat Mikołaj, całując z pokorą haftowany złotą nitką krzyż na stole czcigodnego ojca spowiednika, z błogosławieństwem i ulgą w duszy po przyjęciu sakramentu pokuty.

– Wy, katolicy, wygodnie się urządziliście ze spowiedzią – powiedziała Kornelia na środku wirydarza, rozkładając szeroko ramiona, żeby lepiej wykorzystać wiosenne słońce.

– Nie jestem katolikiem. Nie jestem wierzący. A ty?

Kornelia wzruszyła ramionami. Kiedy nie miała gotowej odpowiedzi, wzruszała ramionami i milczała. Adrian zrozumiał, że poruszył niewygodny temat.

– Patrząc na to z boku – powiedziałem – bardziej mi odpowiada wasze, luterańskie podejście: Boża łaska zbawia was bez pośredników.

– Nie lubię rozmawiać na te tematy – ucięła Kornelia, spięta.

– Dlaczego?

– Bo mi się kojarzą ze śmiercią, sama nie wiem! – Wzięła go pod rękę i wyszli z klasztoru Bebenhausen. – Chodź, bo spóźnimy się na autobus.

Siedząc w autobusie, Adrian patrzył przez okno, ale nie skupiał się na pejzażu. Zaczął myśleć o Sarze, co zdarzało mu się zawsze, kiedy przestawał się kontrolować. Upokarzała go świadomość, że jej rysy powoli zacierały się w pamięci. Oczy miała ciemne, ale czy były czarne, czy ciemnobrązowe? Saro, jaki kolor miały twoje oczy? Saro, dlaczego odeszłaś? Kornelia ujęła jego dłoń, a on smutno się uśmiechnął. Wieczorem zrobią rundę po miejskich kawiarniach Tybingi; najpierw pójdą na piwo, a jak już będzie miał dość, na gorącą herbatę i na kolację do Deutsches Haus, bo poza studiowaniem i koncertami Adrian nie miał pomysłów, co innego można by robić w Tybindze. Czytać Hölderina. Słuchać Coşeriu, jak się wyżywa na tym tępaku Chomskym, na gramatyce generatywnej i jak mówi, co myśli o ich matce.

Kiedy wysiedli przed Brechtbau, Kornelia powiedziała mu na ucho nie przychodź do mnie dziś wieczorem.

– Dlaczego?

– Bo będę zajęta.

Nie dała mu całusa na pożegnanie, a kiedy odeszła, Adrian poczuł w głębi duszy coś jak zawrót głowy. A to wszystko z twojej winy, ponieważ rzuciłaś mnie, nie zostawiając mi żadnego celu w życiu, po paru zaledwie miesiącach chodzenia ze mną, Saro. Przy tobie żyłem z głową w obłokach, a ty byłaś najlepszym, co mogło mi się przydarzyć, dopóki nie uciekałaś, i Adrian, kiedy się znalazł w Tybindze, daleko od bolesnego wspomnienia, spędził cztery miesiące na desperackim studiowaniu, bez powodzenia próbując zapisać się na jakieś zajęcia Coşeriu, ale przynajmniej mógł go słuchać ukradkiem, uczęszczając na wszystkie jego wykłady, seminaria, pogadanki i otwarte zebrania organizowane w Brechtbau, niedawno otwartym budynku, czy w jakimkolwiek innym miejscu, zwłaszcza w Bursie, a kiedy nagle nadchodziła zima i elektryczny piecyk w jego pokoju okazywał się niewystarczający, nie odrywał się od nauki, żeby nie myśleć o Sarze, Saro, dlaczego odeszłaś bez słowa, a kiedy smutek był zbyt dojmujący, szedł na spacer brzegami rzeki Neckar, z nosem zmarzniętym na sople, aż do wieży Hölderlina, i wtedy pomyślał, że jeśli nie znajdzie na to lekarstwa, zwariuje z miłości. Aż któregoś dnia śnieg zaczął się topić i pejzaż powoli przybierał kolor zielony, a on wolałby nie być smutny, żeby docenić różne odcienie zieleni. A ponieważ nie miał najmniejszego zamiaru wracać do domu, żeby spędzić lato z matką coraz bardziej mu obcą, zdecydował się zmienić tryb życia na trochę weselszy, chodzić na piwo z kolegami z bursy, bywać w Clubhausie uniwersyteckim, śmiać się bez powodu i oglądać w kinie nudne, niewiarygodne historie, a przede wszystkim nie umierać z miłości, i z nieznaną dotąd ekscytacją spojrzał świeżym wzrokiem na koleżanki ze studiów i zauważył, że bez kurtek i czapek wyglądały całkiem atrakcyjnie, i w ten sposób powoli zacierało się wspomnienie twarzy Sary uciekinierki, ale nie ulatniały się pytania, które zadawałem sobie przez całe życie, aż do tej pory, co miałaś na myśli, mówiąc uciekłam z płaczem, przestraszona, nie, znów ta sama sytuacja, to niewiarygodne. Ale na historii estetyki Adrian usiadł za dziewczyną, która miała czarne, lekko kręcone włosy i przyprawiające o zawrót głowy spojrzenie; nazywała się Kornelia Brendel i pochodziła z Offenbach. Zwrócił na nią uwagę, bo wydała mu się nieosiągalna. Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła mu się tym samym i zaraz poszli na kawę do baru uniwersyteckiego, a ona nie mogła się nadziwić, że nie ma nawet cienia obcego akcentu, naprawdę myślałam, że jesteś Niemcem, coś niesamowitego. A po kawie poszli razem na spacer do tego parku, gdzie właśnie wybuchła wiosna, i Kornelia została pierwszą kobietą, z którą poszedłem do łóżka, Saro, i obejmowałem ją, udając, że... Mea culpa, Saro. Coraz bardziej ją kochałem, chociaż czasami mówiła coś, czego nie rozumiałem. Nauczyłem się wytrzymać jej spojrzenie. Kornelia mi się podobała. Spędziliśmy w ten sposób parę miesięcy. Przyłgnałem do niej desperacko. Dlatego zaniepokoiłem się, kiedy na początku następnej zimy, kiedy wracaliśmy z klasztoru w Bebenhausen, powiedziała nie przychodź do mnie dziś wieczorem.

– Dlaczego?

– Bo będę zajęta.

Nie dała mu całusa na pożegnanie, a kiedy odeszła, Adrian poczuł w głębi duszy coś jak zawrót głowy, bo nie wiedział, czy wypada mu na to zareagować ej, ej, co to ma znaczyć, że będziesz zajęta? Czy może lepiej zachować ostrożność i uznać, że jest dorosła i nie musi się przed nim tłumaczyć. A może jednak? Jest chyba twoją dziewczyną, nie? Kornelio Brendel, czy chcesz Adriana Ardèvola i Boscha za swego chłopaka? Czy Kornelii Brendel wolno mieć sekrety?

Adrian pozwolił, żeby Kornelia odeszła ulicą Wilhelmstrasse, nie domagając się wyjaśnień, bo prawdę mówiąc, to on miał przed nią tajemnice: na przykład dotychczas nie wspomniał jej o Sarze. No dobrze, ale po dwóch minutach już żałował, że pozwolił jej odejść bez walki. Nie było jej ani na grece, ani na filozofii doświadczenia. Ani na otwartym seminarium z filozofii moralnej, którego nie opuszczała pod żadnym pozorem. Wstydząc się tego, co robię, udałem się na Jakobsgrasse i stanąłem, strając się nie rzucać w oczy, coraz bardziej zawstydzony, na rogu ulicy Schmiedtorstrasse, jakbym czekał na dwunastkę. Przejechało ich z dziesięć czy dwanaście, a ja nadal tam tkwiłem, choć nogi mi

zdrętwiały od chłodu, usiłując odkryć sekret Kornelii.

O piątej po południu, kiedy już byłem przemarznięty od serca w dół, pojawiła się Kornelia i jej sekret. Szła w tym samym co zawsze płaszczu, piękna, cała Kornelia. Sekretem był wysoki, jasnowłosy, przystojny, wesoły chłopak, którego widziałem w wirydarzu Bebenhausen i który teraz ją całował przed wejściem do budynku. Całował o wiele lepiej niż ja. I tu zaczęły się problemy. Nie dlatego, że ją śledziłem, ale dlatego, że ona to zauważyła; kiedy zasłaniała okna w pokoju, dostrzegła Adriana na rogu przed domem, zmarzniętego, patrzącego na nią z niedowierzaniem, z przerażeniem w oczach, na przystanku dwunastki. Tej nocy płakałem na ulicy, a kiedy dotarłem do domu, znalazłem list od Bernata, który do mnie nie pisał od miesięcy, a teraz informował mnie, że szaleje ze szczęścia, że ona ma na imię Tekla i że przyjedzie mnie odwiedzić, czy chcę, czy nie.

Od kiedy wyjechałem do Tybingi, moje stosunki z Bernatem ochłodziły. Nie piszę listów, no, powiedzmy, nie pisałem, gdy byłem młody. On pierwszy dał znak życia, wysyłając z Palmy samobójczą pocztówkę, z tekstem podanym jak na tacy frankistowskiej cenzurze: gram na trąbce dla naszego pułkownika i sobie na nerwach, kiedy nie pozwalają nam wyjść, a innym, kiedy gram na skrzypcach. Znienawidziłem pieprzone życie, pieprzonych wojskowych i ten pieprzony reżim. A co u ciebie? Nie podawał, na jaki adres mam mu odpowiedzieć, więc napisałem na adres rodziców. Wydaje mi się, że coś mu wspomniałem o Kornelii, ale bardzo ogólnie. Ale latem wybrałem się do Barcelony i wykorzystałem pieniądze z konta, które założyła mi matka, żeby przekonać, kogo trzeba, a Toti Dalmau, który już był lekarzem, załatwił mi kilka badań w Szpitalu Wojskowym, dzięki którym otrzymałem zaświadczenie, że moje problemy z krążeniem nie pozwalają mi służyć ojczyźnie. Adrian w sprawie, którą uznał za słuszną, poruszył nitki korupcji. I nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Żadna dyktatura nie ma prawa od nikogo oczekiwać, że poświęci jej półtora roku czy dwa lata swojego życia, amen.

Chciał przyjechać z Teklą. Powiedziałem, że mam tylko jedno łóżko i że bla bla bla, co było kłamstwem, bo spokojnie mogliby zatrzymać się w schronisku. A potem okazało się, że Tekla nie może przyjechać, bo spadło na nią wiele obowiązków, co znaczyło, jak mi później wyjaśnił, że rodzice dziewczyny nie pozwolili na wspólną podróż z tym za wysokim chłopakiem z długimi włosami i smutnym spojrzeniem. Ucieszyłem się, że nie przyjedzie z dziewczyną, bo nie moglibyśmy sobie szczerze pogadać, a więc Adrian był wtedy do tego stopnia zazdrosny, że aż zapierało mu dech i najchętniej by powiedział ale po co ci kobieta, skoro przyjaciele mają być zawsze na pierwszym miejscu; wiesz, co chcę przez to powiedzieć, głupcze? Przyjaciele! A nie powiedziałem tego przez kurrewską zazdrość i rozpacz wywołaną świadomością, że moje obecne problemy kardiologiczne przybierały ten sam obrót co w twoim przypadku, najdroższa. Z jedną różnicą: odkryłem sekret Kornelii. Sekrety. A ty... Ciągłe się zastanawiałem, dlaczego uciekłaś do Paryża. No więc przyjechał sam, miał ze sobą skrzypce i wielką ochotę, żeby się wygadać. Odniosłem wrażenie, że jeszcze trochę urósł. Już był ode mnie wyższy o dłoń. I zaczynał patrzeć na świat z trochę mniejszą niecierpliwością. Czasem nawet zdarzało mu się uśmiechnąć, ot tak, bez powodu, jakby był zadowolony z życia.

– Czyżbyś był zakochany?

Wtedy uśmiechnął się szerzej. Tak, był zakochany. Zupełnie stracił głowę. Nie tak jak ja, beznadziejnie zagubiony z powodu jakiejś Kornelii, której wystarczył moment nieuwagi, żeby zainteresować się innym, wszak w jej wieku trzeba zbierać nowe doświadczenia. Zazdrościłem Bernatowi spokojnego uśmiechu. Ale było coś, co mnie zaniepokoiło. Kiedy się do mnie wprowadził, na składanym łóżku otworzył futerał skrzypiec. Mniej lub bardziej profesjonalni skrzypkowie w futerałach mają zawsze dużo więcej niż skrzypce; mają tam pół życia: dwa lub trzy smyczki, kalafonię do strun, jakieś zdjęcie, nuty w bocznej kieszeni, komplet strun i tę jedną jedyną recenzję, która ukazała się w lokalnej prasie. Bernat miał tylko skrzypce, jeden smyczek i nic więcej. Ach, i jeszcze kartonową teczkę. To właśnie ją otworzył w pierwszej kolejności. Był w niej jakiś tekst byle jak spięty, który mi podał. Masz, czytaj.

– Co to jest?

– Opowiadanie. Jestem pisarzem.

Zaniepokoił mnie sposób, w jaki wymówił słowa „jestem pisarzem”. A właściwie niepokoił mnie przez całe życie. Z typowym dla siebie brakiem taktu oczekiwał, że przeczytam to natychmiast. Wziąłem plik papieru, oeniłem jego grubość, spojrzałem na tytuł i powiedziałem no wiesz, muszę to przeczytać spokojnie.

– Oczywiście, oczywiście. Wyjdę się przejść.

– Nie. Przeczytam to w nocy, w stosownej do czytania porze. Opowiedz mi, jaka jest Tekla.

Powiedział, że jest no, taka i taka, że ma słodkie dołeczki w policzkach, że poznał ją w konserwatorium opery Liceu; ona grała na fortepianie, a on pierwsze skrzypce w kwintecie Schumanna.

– A najlepsze jest to, że gra na fortepianie i ma na imię Tekla.

– Wyrósł z tego. Dobrze gra?

Gdyby to od niego zależało, nigdy byśmy nie ruszyli się z domu, więc włożyłem kurtkę, powiedziałem idziemy i zabrałem go do Deutsches Haus, gdzie jak zawsze były tłumy. Rozglądałem się dyskretnie, czy przypadkiem nie zobaczę Kornelii z jednym z nowych doświadczeń, dlatego też niezbyt uważnie słuchałem Bernata, który najpierw mnie zapytał, czy może ja też przeżywam to co on, i mówił tęsknię za tobą, bo ja nie chcę jechać do Europy studiować i...

– Mylisz się.

– Wolę odbyć podróż wewnętrzną. Dlatego zacząłem pisać.

– Źle rozumiesz. Powinieneś podróżować. Poszukać mistrza, który otrzepie z ciebie cały nagromadzony kurz.

– To coś jest obrzydliwe.

– Nie: to jest Sauerkraut.

– Co takiego?

– Bigos. W końcu się przyzwyczaisz.

Jak na razie, ani śladu Kornelii. Kiedy zjadłem połowę kiełbasy, poczułem się bardziej komfortowo i już prawie o niej nie myślałem.

– Chcę rzucić skrzypce – powiedział, chyba po to, żeby mnie sprowokować.

– Zabraniam ci.

– Czekasz na kogoś?

– Nie, dlaczego?

– No bo jesteś... No wiesz, jakbyś na kogoś czekał.

– Dlaczego chcesz rzucić skrzypce?

– A ty dlaczego rzuciłeś?

– Przecież wiesz. Nie umiem grać.

– To tak, jak ja. Nie wiem, czy pamiętasz: moja interpretacja nie wyraża duszy.

– Studiując za granicą, odnajdziesz ją. Zgłoś się na lekcje do Kremmera albo do tego drugiego, Perlmanna. Może postaraj się o przesłuchanie u Sterna. Cholera, stary, w Europie pełno jest wielkich mistrzów, których nie znamy. Trzeba wykrzesać z siebie więcej ognia. I żaru. Albo jedź do Ameryki.

– Nie mam przyszłości jako solista.

– Drocysz się.

– Nie gadaj, bo nie rozumiesz. Siebie samego nie przeskoczę.

– Zgoda. Ale przynajmniej możesz być porządnym skrzypkiem w orkiestrze.

– Ciągle jeszcze mam apetyt na więcej.

– To zależy od ciebie: zaryzykujesz albo nie. A apetyt możesz zaspokoić zza pulpitu.

– Nie. Nie mam już złudzeń.

– A kameralistyka? Nie daje ci szczęścia?

Bernat zawahał się; zastanawiał się nad tym pytaniem, patrząc w ścianę. Zostawiłem go w tym stanie, ponieważ w tym momencie dostrzegłem Kornelię, która właśnie wchodziła z nowym doświadczeniem pod rękę, a ja śledziłem ją wzrokiem i chciałem się zapaść pod ziemię. Udając, że mnie nie dostrzega, zajęła miejsce za nami. Poczułem za sobą pustkę.

– Chyba tak.

– Słucham?

Bernat spojrział na mnie zdziwiony. Powtórzył cierpliwie:

– Chyba faktycznie kameralistyka daje mi satysfakcję bliską szczęściu.

Kameralistykę Bernata tego wieczoru miałem, prawdę mówiąc, głęboko w dupie. Priorytetem była ta pustka, która wbijała mi się cierniem w plecy. W końcu odwróciłem się, niby rozglądając się za jasnowłosą kelnerką. Kornelia śmiała się, wybierając kiełbaski z karty. Nowe doświadczenie miał jakże nienawistne, zupełnie nie na miejscu, okropne wąsy. Całkowite przeciwieństwo wysokiego blondyna, który był jej tajemnicą sprzed dziesięciu dni.

– Co się z tobą dzieje?

– Ze mną? A co się ma dziać?

– Nie wiem. Jesteś jakby...

Wtedy Adrian uśmiechnął się do przechodzącej kelnerki i poprosił o więcej chleba, potem spojrział

na Bernata i powiedział mów, mów, przepraszam, ale ja właśnie...

– No więc przy muzyce kameralnej chyba faktycznie...

– Widzisz? A nie mógłbyś zagrać z Teklą kompletu sonat skrzypcowych Beethovena?

Szpilki wbijały się w moje plecy tak głęboko, że nie zastanawiałem się, czy mówię do rzeczy.

– Tak, mógłbym. I co dalej? Kto nas zaprosi na koncert? Albo na nagranie dwunastu longplayów? Co?

– No wiesz... Sama satysfakcja wykonania... Przepraszam cię na chwilę.

Wstałem, żeby pójść do łazienki. Przeszedłem obok Kornelii i jej nowego doświadczenia, spojrzałem na nią, podniosła głowę, zauważyła mnie, powiedziała cześć i wróciła do wybierania kiełbasek z karty. Cześć. Tak po prostu. Po tym, jak przysięgała ci wieczną miłość czy coś w tym rodzaju, po tym, jak się tobą zabawiała, bierze sobie nowe doświadczenie i kiedy się spotykacie, mówi cześć i wraca do wybierania kiełbasek z karty. Miałem ochotę doradzić jej, proszę pani, moja Bratwurst jest całkiem niezła. Idąc do toalety, słyszałem, jak to jej nowe doświadczenie z okropnym akcentem bawarskim pyta, kim jest ten facet od bigosu? Nie dosłyszałem odpowiedzi Kornelii, bo właśnie przechodziły kelnerki z pełnymi tacami i musiałem się cofnąć.

Trzeba było przeskoczyć najeżoną kolcami siatkę, żeby pospacerować nocą po cmentarzu. Było bardzo zimno, ale nam obu dobrze to zrobiło, po tej ilości piwa, jaką w siebie właliśmy, on z powodu kameralistyki, ja wzbogacony o znajomość nowych doświadczeń. Mówiłem mu o zajęciach z hebrajskiego i o przedmiotach z filozofii, które robiłem równoległe z filologią, o mojej decyzji, żeby spędzić życie na studiowaniu; jeśli będę mógł wykładać na uniwersytecie, to świetnie, jeśli nie, będę erudytą na własny użytek.

– A w jaki sposób zamierzasz zarabiać na życie? Jeśli w ogóle potrzebujesz na nie zarabiać.

– Zawsze mogę się do ciebie wprosić na kolację.

– Iloma mówisz językami?

– Nie rzucaj skrzypiec.

– Już prawie się zdecydowałem.

– To dlaczego zabrałeś je ze sobą?

– Żeby ćwiczyć palcówki. W niedzielę gram u Tekli.

– To chyba dobrze, nie?

– Nie wiem. Ale muszę zrobić dobre wrażenie na jej rodzicach.

– Co będziecie grać?

– Césara Francka.

Zamilkliśmy na całą minutę i jestem pewien, że w tym czasie obaj przypominaliśmy sobie początek sonaty Francka, ten elegancki dialog między dwoma instrumentami, wstęp do jeszcze większych rozkoszy.

– Żałuję, że rzuciłem skrzypce – powiedziałem.

– Próżny żal ponieważ, ty dupku.

– Mówię, bo nie chcę, żebyś za parę miesięcy żałował i mnie przeklinał, że cię nie ostrzegałem.

– Wydaje mi się, że chcę być pisarzem.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyś pisał. Ale nie trzeba zaraz rezygnować z

– Tylko bez paternalizmu, dobrze?

– Idź do diabła.

– Dowiedziałeś się czegoś o Sarze?

Doszliśmy w milczeniu do końca alejki, aż do grobu Franza Grübbe. Uświadomiłem sobie, że słusznie zrobiłem, nie wspominając mu o Kornelii i o moich cierpieniach. W tym czasie już lubiłem czuwać nad tym, jakie wrażenie robię na innych.

Bernat spojrzał na mnie jeszcze raz pytająco, ale nie nalegał. Mróz był ostry jak brzytwa, aż mi łzawiły oczy.

– Wracamy? – zaproponowałem.

– Kim był ten Grübbe?

Adrian patrzył zamyślony na masywny krzyż.

Franz Grübbe, 1918–1943. Lothar Grübbe, zbulwersowany, drżącą ręką usunął gałąź jeżyny, którą ktoś tam położył niczym obelgę. Gałązka drasnęła go w rękę, ale nie skojarzył tego z polną różyczką Schuberta, bo nad jego myślami już od dawna krążyło złe fatum. Z miłością położył na grobie bukiet róż białych jak dusza jego syna.

– Szukasz kłopotów – odezwała się Herta, która mimo wszystko zdecydowała się mu towarzyszyć. Te kwiaty krzyczą.

– Nie mam nic do stracenia. – Wyprostował się. – Wręcz przeciwnie: w nagrodę dostałem dzielnego syna, bohatera i męczennika.

Rozejrzał się wokół siebie. Wydychane powietrze przybierało formę gęstej chmury. Wiedział, że do wieczora białe róże, jego krzyk buntu, zamarzną. Ale minął dobry miesiąc, od kiedy pochowali Franza, a on obiecał Annie składać na jego grobie kwiaty szesnastego każdego miesiąca, dopóki ona sama nie zacznie chodzić. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla swego dzielnego syna, bohatera i męczennika.

– To ktoś ważny, ten Grübbe?

– Co?

– Dlaczego tu się zatrzymałeś?

– Franz Grübbe, tysiąc dziewięćset osiemnaście, tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy.

– Kto to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Kurde, ale sakramencki mróz w tej Tybindze. Zawsze tu tak zimno?

Lothar Grübbe milczał niezadowolony od momentu dojścia Hitlera do władzy i okazywał to milczące niezadowolenie sąsiadom, którzy udawali, że nie widzą niezadowolonego Lothara Grübbe, i komentowali ten człowiek szuka guza, a on, niezadowolony, rozmawiał ze swoją Anną podczas samotnych spacerów po parku i mówił jak to możliwe, że nikt się nie buntuje, to niewiarygodne. A kiedy Franz wrócił z uniwersytetu, gdzie tracił czas, studiując prawo, które miało zostać zniesione przez Nowy Porządek, świat mu się zawalił, bo jego Franz, z błyskiem emocji w oku oświadczył tato, stosując się do dyspozycji i woli Führera, zgłosiłem się do SS i wszystko wskazuje na to, że zostanę przyjęty, bo mogłem udowodnić, że nie splamiliśmy się od pięciu czy sześciu pokoleń. A tymczasem Lothar zmieszany, zбитy z tropu, powiedział co oni ci zrobili, synu, jak to możliwe, że...

– Ojczy: wchodzimy w Nową Erę Mocy, Energii, Światła i Przyszłości. Et cetera, ojczy. Chcę, żebyś się z tego cieszył.

Entuzjazm syna doprowadził Lothara do łez, a ten płacz syn wypomniał mu jako słabość. Wieczorem przedstawił wszystko Annie i powiedział wybaczone, Anno, to moja wina, jestem winny, bo pozwoliłem mu studiować z dala od domu, zarazili go tam faszyzmem, kochana Anno. Lotharowi Grübbe zostało wiele czasu na lamentowanie, ponieważ pewnego dnia młody Franz, który znów przebywał z dala od domu, żeby uniknąć pełnego wyrzutów spojrzenia ojca, ograniczył się tylko do zawiadomienia go entuzjastycznym telegramem, że JAKĄŚ PIEPRZONĄ TRZECIĄ KOMPANIĘ WAFFEN-SS CZEGOŚ TAM, TATO, WYSYŁAJĄ WŁAŚNIE NA FRONT WSCHODNI, STOP. NARESZCIE BĘDĘ MÓGŁ POŚWIĘCIĆ ŻYCIE ZA MOJEGO FÜHRERA, STOP. NIE PŁACZ PO MNIE, GDYBYM POLEGŁ. STOP. BĘDĘ ŻYŁ WIECZNIE W WALHALLI. STOP. Lothar płakał i postanowił zatrzymać to w tajemnicy, i tej nocy nie powiedział Annie, że otrzymał TELEGRAM OD FRANZA, PEŁNY NIENAWISTNYCH DUŻYCH LITER.

Drago Gradnik musiał pochylić swoje ogromne ciało, żeby dosłyszeć anemiczny głos urzędnika

pocztowego w Jesenice, w pobliżu rzeki Sava Dolinka, której wody wezbrały na skutek wiosennej odwilży.

– Co pan mówi?

– Ten list nie dotrze do adresata.

– Dlaczego? – głos jak grzmot.

Dziadek w okienku pocztowym założył okulary i przeczytał na głos: Feliks Ardèvol, 283 València ulica, Barcelona, Szwajcaria. Po czym oddał list olbrzymowi.

– Zaginie po drodze, kapitanie. Wszystkie listy w worku są adresowane wyłącznie do Lublany.

– Jestem sierżantem.

– Wszystko jedno: zaginie tak czy tak. Jest wojna. Nie zauważył pan?

Gradnik, wbrew swoim obyczajom, groźnie wymierzył palec w urzędnika i powiedział, używając najniższego i najmniej przyjemnego głosu z repertuaru swoich możliwości: pan teraz pošlini znaczek za pięćdziesiąt para, przyklei go na kopercie, postawi pieczętkę, włoży list do tego worka, który mam zabrać, i pozwoli, żeby odleciał. Zrozumiano?

Chociaż wołali go z zewnątrz, Gradnik czekał, aż obrażony mężczyzna zastosuje się do rozkazów podstarzałego partyzanta. Na koniec włożył kopertę do worka, gdzie dołączył do skromnej korespondencji adresowanej do Lublany. Olbrzymi sierżant chwycił worek i wyszedł na słoneczną ulicę. Dziesięciu zniecierpliwionych mężczyzn wołało go z ciężarówki, której kierowca na jego widok włączył silnik. Na przyczepie leżało już sześć czy siedem podobnych worków i Vlado Vladić, który palił papierosa, usadowiony wygodnie między nimi, odezwał się kurwa, sierżancie, mieliście tylko odebrać worek.

Ciężarówka z pocztą i z piętnastoma partyzantami nie mogła ruszyć z miejsca. Nieoczekiwanie zajechał jej drogę Citroën, z którego wysiadło trzech partyzantów z następującą wiadomością: w tę Niedzielę Palmową, kiedy w Chorwacji i Słowenii wspomina się triumfalny wjazd Chrystusa do Jerozolimy na grzbiecie osła, trzy kompanie SS-Division Reich postanowiły przewyższyć Bożego Syna postępowaniem technicznym i zmotoryzowane wkroczyły do Słowenii, a tymczasem Luftwaffe dokonywała dzieła zniszczenia w centrum Belgradu, podczas gdy rząd, z królem na czele, spieszył, aż się kurzyło, towarzysze. Nadszedł czas, żeby oddać życie za wolność. Pojedziecie do Kranjskiej Gory stawiać opór dywizji Waffen-SS. A Drago Gradnikowi przeszło przez myśl, że wybiła godzina śmierci, chwala niech będzie Panu. Umrę w Kranjskiej Gorze podczas beznadziejnej próby zatrzymania dywizji Waffen-SS. Nie skarżył się, bo nigdy w życiu tego nie robił. Od momentu, gdy powiesił sutannę na kołku i zgłosił się do oddziału partyzantów w najbliższej okolicy, żeby służyć ojczyźnie, wiedział, że robi błąd, ale nie mógł postąpić inaczej, wobec zła, jakie miał wokół siebie; kiedy z jednej strony grozili ustasze Pavelića, a z drugiej diabelskie SS, teologia musiała pilnie ustąpić smutnej konieczności. Dotarli do Kranjskiej Gory, nie spotkawszy po drodze żywej duszy, niektórzy zastanawiali się nawet, na ile otrzymana informacja była wiarygodna; ale na wylocie szosy do Borovškiej stał dowódca bez dystynkcji, z chorwackim akcentem i dwudziestodniowym zarostem, który im powiedział nadeszła godzina prawdy, to walka na śmierć i życie z nazizmem; wy jesteście partyzancką armią, która walczy o wolność przeciw faszyzmowi. Żadnej litości dla wroga, tak jak on nie miał litości dla swoich przeciwników i nie będzie miał litości dla nas. Drago Gradnik chciał dokończyć na wieki wieków amen. Ale się powstrzymał, bo dowódca bez dystynkcji właśnie przedstawiał dokładny plan dla każdego stanowiska obrony. Gradnik zdążył pomyśleć, że teraz tak, po raz pierwszy w życiu będzie musiał zabijać.

– Biegiem, zapieprzajcie na skały. Powodzenia!

Większość naszych ludzi z karabinami maszynowymi, granatnikami i moździerzami zajęła już dogodne pozycje. Strzelcy musieli wspiąć się na górę, jak orły. Dwunastu z nich sprawnie ulokowało się na pozycjach obronnych – z wyjątkiem wielebnego Gradnika, który sapał jak wieloryb. Każdy miał na wyposażeniu karabin i tylko trzynaście zapasowych magazynków. Jak wam się skończą naboje,

rzucacie kamieniami, a jak podejda bliżej, skręćcie im kark, róbcie wszystko, żeby ich nie dopuścić do miasteczka. Jeśli miałeś na wyposażeniu karabin Mosina-Naganta z celownikiem optycznym, mogłeś celnie strzelać. Mogłeś też patrzeć, śledzić, obserwować, a nawet nawiązać kontakt wzrokowy z tym, kogo miałeś zabić.

Kiedy już wydawało mu się, że udusi go własna zadyszka, jakaś ręka podciągnęła go w górę na ostatnim odcinku. To był Vlado Vladić, który wcześniej zajął pozycję obserwacyjną i namierzył zakręt na drodze. Powiedział sierżancie, musimy dbać o kondycję. Nad głowami, nad skałą latały spłoszone wilgi, jakby chciały swoim ćwierkaniem zwrócić na nich uwagę Niemców. Spędzili w milczeniu te kilka minut, których on potrzebował dla złapania oddechu.

– Co pan robił przed wojną, panie sierżancie? – zapytał serbski partyzant, koszmarnie kaleczący język słoweński.

– Byłem piekarzem.

– Akurat. Pan był księdzem.

– Skoro wiesz, dlaczego pytasz?

– Chciałbym się wypowiedzieć, ojcze.

– Jesteśmy na wojnie. Nie jestem kapłanem.

– Właśnie, że tak.

– Nie. Zgrzeszyłem przeciwko nadziei. To ja powinienem się wypowiedzieć. Rzuciłem

Nagle zamilkł: zza zakrętu wyjeżdżała tankietka, a za nią dwa, cztery, osiem, dziesięć, dwanaście, o kurwa, o mój Boże. Dwadzieścia czy trzydzieści, czy może tysiąc samochodów opancerzonych pełnych żołnierzy. A za nimi ze trzy czy cztery kompanie piesze. Wilgi nadal świergotały, obojętne na nienawiść i strach.

– Kiedy się zacznie zawierucha, proszę księdza, proszę celować w porucznika po prawej stronie, a ja w tego po lewej. Niech ksiądz go trzyma cały czas na celowniku.

– To ten wyższy, szczupły?

– Aha. Proszę robić to, co ja.

Tak wygląda naprawdę śmiertelne niebezpieczeństwo, pomyślał Gradnik ze ściśniętym sercem.

Idąc za ostatnim pojazdem na czele swojego oddziału, młody esesman Obersturmführer Franz Grütbe śledził wzrokiem skały po lewej stronie, nad którymi krążyły jakieś nieznanne ptaki. Patrzył w górę, nie po to, żeby wypatrzeć tam wroga, raczej wyobrażając sobie Szczytny Moment, W Którym Cała Europa Będzie Rządzona Przez Naszego Dalekowzrocznego Führera, A Niemcy Staną Się Wzorem Idealnego Społeczeństwa, Które Niższe Narody Powinny Starać Się Naśladować. Za tą właśnie skałą po lewej stronie, prawie naprzeciwko pierwszych domów Kranjskiej Gory, setka partyzantów wtopionych w pejzaż czekała na sygnał chorwackiego dowódcy. Sygnałem miała być pierwsza salwa karabinów maszynowych wymierzona w pojazdy. Drago Gradnik, urodzony w Lublanie trzydziestego sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego roku, uczył się najpierw w jezuickim kolegium w swoim mieście, gdzie postanowił poświęcić życie Bogu, i z pobożności wstąpił do seminarium diecezjalnego w Wiedniu, a później, ze względu na nieprzeciętne możliwości intelektualne, został wysłany do Rzymu, gdzie miał studiować teologię na Uniwersytecie Gregoriańskim i egzegezę biblijną w Papieskim Instytucie Biblijnym, gdyż jego powołaniem była realizacja wielkich dzieł w łonie Kościoła Świętego, Matki Naszej. Teraz przez ciągnącą się bez końca minutę trzymał na celowniku swojego naganta nienawistnego młodego oficera SS, patrzącego w górę z dumą zdobywcy. Otwierał drogę dla swojej kompanii?, dla oddziału?, dla patrolu?, który za wszelką cenę trzeba było zatrzymać.

I zaczęła się bitwa. Od początku widać było, że żołnierze są zaskoczeni oporem, którego się nie spodziewali tak daleko od Lublany. Gradnik bez emocji śledził przez celownik optyczny ruch swojej przyszłej ofiary i myślał Drago, jeżeli naciśniesz spust, nie będziesz miał wstępu do rajy. Masz teraz

kontakt wzrokowy z człowiekiem, którego powinieneś zabić. Pot mu zalewał oczy, ale nie dał się oślepić. Był zdeterminowany, żeby za wszelką cenę utrzymać ofiarę w wizjerze teleskopowym. Wszyscy żołnierze w końcu załadowali broń, ale nie wiedzieli, gdzie celować. Największe szkody poniosły pojazdy opancerzone i ich załogi.

– Teraz, proszę księdza!

Obaj wystrzelili jednocześnie. Oficer Gradnika był do niego zwrócony twarzą, z karabinem przygotowanym do strzału, i rozglądał się, nie wiedząc, jak ma strzelać. Esesman oparł się o stok na poboczu drogi i nagle wypuścił z rąk karabin, i znieruchomiał, obojętny na wszystko, co się działo wokół niego, z twarzą poczerwieniałą od krwi. Młody Obersturmführer Franz Grübbe nie miał czasu pomyśleć ani o Chwalebnej Walce, ani o Nowym Porządku, ani o Świetlanej Przyszłości, które zapewniał swoją śmiercią tym, co przeżyją, bo odstrzelono mu pół głowy i już nie mógł się zastanawiać nad nieznanymi ptakami ani skąd wychodzą strzały. Wtedy Gradnik stwierdził, że jest mu obojętne, czy zamyka sobie drogę do rajów, bo trzeba było robić to, co robił. Załadował naganta. Celownikiem optycznym przeczesał szeregi wroga. Jakiś sierżant SS krzykiem próbował zaprowadzić porządek wśród swoich żołnierzy. Wymierzył w szyję, żeby go uciszyć, i wystrzelił. Na zimno, nie tracąc panowania nad sobą, przeładował ponownie i zlikwidował jeszcze kilku podoficerów.

Przed zachodem słońca kolumna Waffen-SS wycofała się, pozostawiając zabitych i rozbite pojazdy. Partyzanci zeszli z gór, jak sępy, żeby przeszukać zwłoki. Od czasu do czasu słychać było lodowaty szcęk pistoletu dowódcy bez dystynkcji, który dobijał rannych, z kamienną twarzą.

Wszyscy partyzanci otrzymali rozkaz, żeby przeszukać trupy i zabrać broń, amunicję, buty i skórzane kurtki. Drago Gradnik, popychany nieokreśloną siłą, wyszedł na spotkanie swojej pierwszej ofiary. Ten młody człowiek z pocziwym spojrzeniem oczu zalanych krwią, wpatrzonych w dal, ciągle siedział oparty o zbocze, w rozbitym hełmie, z czerwoną twarzą. Nie miał z nim szans. Wybacz, synu, powiedział. Wtedy zobaczył, jak Vlado Vladić i dwaj inni towarzysze zbierają nieśmiertelniki; zawsze tak robili, żeby utrudnić wrogowi identyfikację poległych. Kiedy dotarli do jego ofiary, gwałtownie ściągnęli z niego blaszkę. Wtedy Gradnik zareagował:

– Zaczekaj! Oddaj mi to!

– Proszę księdza, musimy...

– Powiedziałem, że masz mi to dać!

Vladić wzruszył ramionami i podał mu nieśmiertelnik.

– To pana pierwszy zabity, co?

Poszedł dalej. Drago Gradnik obejrzał nieśmiertelnik. Franz Grübbe. Pierwszy człowiek, którego zabił, nazywał się Franz Grübbe i był młodym SS-Obersturmführerem; blondyn, miał zapewne niebieskie oczy. Wyobraził sobie przez moment samego siebie, jak idzie z wizytą do wdowy albo do rodziców zmarłego, żeby ich pocieszyć i wyznać na klęczkach to ja zabiłem, to byłem ja, confiteor. Schował nieśmiertelnik do kieszeni.

Wzruszyłem ramionami, stojąc przed tamtym grobem i powtórzyłem chodź, wracajmy, zimno tu zajebiście. A na to Bernat, jak chcesz, ty tu rządź, zawsze rządziłeś w moim życiu.

– Stary, nie pieprz.

Ponieważ zeszywnieliśmy z zimna, przeskoczyłem ogrodzenie cmentarza, by wrócić do świata żywych, tak niezręcznie, że rozdarłem spodnie. Zostawiliśmy zmarłych pogrążonych w samotności, w zimnie i w ciemności ich wieczystych historii.

Nie przeczytałem jego tekstu; Bernat zasnął, ledwo przyłożył głowę do poduszki; musiał być skonany po podróży. Ja przed snem wolałem rozmyślać o zderzeniu kultur w czasie upadku Cesarstwa Rzymskiego; zastanawiałem się, czy coś takiego byłoby możliwe w obecnej Europie. Ale te pogodne dywagacje zakłóciły Kornelia i Sara, zjawiając się bez uprzedzenia, i poczułem dojmujący smutek. Nie będziesz miał odwagi, żeby zwierzyć się twemu najlepszemu przyjacielowi.

Wygrała opcja Bebenhausen, bo Adrian miał akurat dzień historyczny i

– Nie: ty masz życie historyczne. Dla ciebie wszystko jest historią.

– W każdej sprawie historia pozwala zrozumieć stan obecny. A mam dziś dzień historyczny i dlatego jedziemy do Bebenhausen, bo, jak twierdzisz, zawsze ja rządę.

Zimno było niewyobrażalne. Biedne, bezlistne drzewa na Wilhelmstrasse, przed uczelnią, trwały na posterunku, czekając na lepsze czasy.

– Nie mógłbym tu mieszkać. Zesztywniałyby mi ręce i nie mógłbym grać...

– Czemu tak się przejmujesz, przecież masz zamiar rzucić skrzypce.

– Opowiadałem ci, jaka jest Tekla?

– Tak. – Rzucił się biegiem do autobusu. – Szybciej, to nasz!

W autobusie było równie zimno jak na zewnątrz, ale ludzie rozpinali płaszcze. Bernat zaczął opowiadać o słodkich dołeczkach w policzkach, które wyglądają jak

– Wyglądają jak dwa pępuszki, już mówiłeś.

– Ej, jak nie chcesz, żebym...

– Nie masz jakiegoś zdjęcia?

– Kurczę, nie. Nie pomyślałem o tym.

W rzeczywistości Bernat nie miał zdjęcia Tekli, bo jeszcze jej nie sfotografował, bo nie miał aparatu, i Tekla też nie miała, więc nie mogła mu pożyczyć, ale nieważne, nie męczy mnie mówienie o niej.

– A mnie męczy.

– Nie wiem, czemu jeszcze z tobą rozmawiam, ty antypatyczny typie.

Adrian otworzył teczkę, która stanowiła intymną część jego ja, i pokazał plik papierów, które z niej wyciągnął.

– Bo czytam twoje wymysły.

– No i jak, już przeczytałeś?

– Jeszcze nie.

Adrian spojrział na tytuł i na nim się zatrzymał. Bernat obserwował go kątem oka. Żaden z nich nie zauważył, że prosta droga przecinała właśnie dolinę porośniętą po obu stronach jodłowym lasem, poprószonym śniegiem. Minęły dwie nieskończenie długie minuty, podczas których Bernat głowił się, czy z faktu, że potrzebował tyle czasu na przeczytanie tytułu, wynika, że... Może wywołuje w nim skojarzenia; może przenosi go w inny świat, tak jak mnie, kiedy zapisałem go na pierwszej stronie. Ale Adrian wpatrywał się w pięć słów, które miał przed sobą, i myślał nie wiem, dlaczego nie mogę pójść i powiedzieć Kornelio, dajmy sobie spokój, skończyło się. Zachowałaś się jak świnia, chyba się ze mną zgodzisz? Teraz skoncentruję się wyłącznie na tęsknocie za Sarą. Wiedział, że te myśli są zwodnicze, że kiedy tylko zobaczy Kornelię, będzie miękki jak wosk, otworzy usta i zrobi wszystko, co mu każe, chociażby odesłała go do diabła, bo właśnie czeka na nowe doświadczenie, mój Boże, czemu jestem takim safandulą.

– Podoba ci się? Prawda, że jest dobry?

Adrian wrócił na ziemię. Wstał, zaalarmowany:

– Hej, przecież to już tutaj!

Wysiedli na przystanku przy szosie. Przed nimi rozciągało się zamrożone Bebenhausen. Jakaś siwowłosa kobieta wysiadła z nimi i pozdrowiła ich uśmiechem. Adrianowi nagle coś przyszło do głowy. Zapytał, czy nie mogłaby im zrobić zdjęcia, tym aparatem, widzi pani? Postawiła koszyk na ziemi, wzięła aparat i powiedziała oczywiście, gdzie mam nacisnąć?

– Tutaj. Jest pani bardzo uprzejma.

Obaj przyjaciele ustawili się tak, żeby było widać miasteczko, które sprawiało wrażenie niegościnnego, pod cienką warstwą lodu. Kobieta zrobiła zdjęcie i powiedziała gotowe. Adrian wyjął

z jej ręk aparat i podniósł kosz. Gestem wskazał jej, żeby szła przed siebie, a on poniesie jej kosz na górę. Wszyscy troje maszerowali drogą w stronę pierwszych domów.

– Ostrożnie – powiedziała kobieta – oblodzony asfalt jest zdradliwy.

– Co ci powiedziała? – zapytał Bernat, nastawiając uszu.

W tym momencie poślizgnął się, stawiając krok, i usiadł na środku drogi.

– No właśnie to – odpowiedział Adrian i wybuchnął śmiechem.

Bernat wstał, upokorzony, wymamrotał jakieś przekleństwo, ale nadrabiał miną. Kiedy dotarli na górę, Adrian oddał kosz.

– Turyści?

– Studenci.

Podał jej rękę i przedstawił się: Adrian Ardèvol, bardzo mi miło.

– Herta – odpowiedziała kobieta. Oddaliła się, niosąc kosz w jednej ręce. Dzielnie walczyła o zachowanie równowagi na śliskiej drodze.

Mróz był większy niż w Tybindze. Był obsceniczny. Stojąc w cichym, spokojnym wirydarzu, czekali, aż punktualnie o dziesiątej oprowadzi ich przewodnik. Pozostali amatorzy zwiedzania czekali w sieni, która lepiej chroniła przed zimnem. Deptali po kruchej warstwie lodu, którą pozostawił nocny przymrozek.

– Jak tu ładnie – powiedział zachwycony Bernat.

– Bardzo lubię to miejsce. Byłem tu już sześć czy siedem razy, wiosną, latem, jesienią... To prawdziwy relaks.

Bernat westchnął z satysfakcją i zapytał jak możesz nie wierzyć, patrząc na piękno i pokój, jakie panują w tym wirydarzu.

– Ci, którzy tu mieszkali, wielbili Boga mściwego i okrutnego.

– Mógłbyś okazać więcej szacunku.

– Wierz mi, Bernat, mówię to z bólem, wcale nie żartuję.

Kiedy przestawali mówić, słychać było tylko pęknięcie kruchego lodu pod ich stopami. Żaden ptak nie miał ochoty tam przemarznąć. Bernat odetchnął głęboko, wypuszczając gęsty obłok pary jak z lokomotywy. Adrian wrócił do tematu:

– Bóg chrześcijański jest okrutny i mściwy. Jeśli popełnisz błąd i nie żałujesz, skazuje cię na wieczne piekło. Wydaje mi się to tak niewspółmierne, że nie chcę wchodzić z nim w żadne układy.

– Ale...

– Ale co.

– Przecież to Bóg miłości.

– A ja mam w to uwierzyć: będziesz się smażyć w piekle, bo opuściłeś mszę albo coś ukradłeś sąsiadowi. Nie widzę, gdzie tu miłość.

– Patrzysz na to tendencyjnie.

– Nie mówię, że nie: to moja specjalność. – Przerwał gwałtownie. – Są inne sprawy, które bardziej mnie dręczą.

– Jakie na przykład?

– Zło.

– Co?

– Zło. Dlaczego twój Bóg na nie zezwala? Nie wykorzenia zła: ogranicza się do ukarania złoczyńcy ogniem piekielnym. Dlaczego nie oszczędza nam zła? Umiesz na to odpowiedzieć?

– No... Nie... Bóg szanuje ludzką wolność.

– W to każą ci wierzyć sprytni księża; dla nich też jest niezrozumiała opieszałość Boga wobec zła.

– Złoczyńca zostanie ukarany.

– Bardzo dowcipne: ale najpierw popełni wszystkie możliwe błędy.

– Nie wiem, Adrian, kurde, nie umiem z tobą rozmawiać. Brak mi argumentów, sam wiesz... Jestem wierzący i tyle.

– Przepraszam; nie chciałem cię... Ale to ty wywołałeś temat.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się niewielka grupa odkrywców, z przewodnikiem na czele, gotowa do rozpoczęcia zwiedzania.

– Klasztor Bebenhausen, który będziemy teraz zwiedzać, został założony przez Rudolfa i z Tybingi w tysiąc sto osiemdziesiątym, a w tysiąc osiemset szóstym został sekularyzowany.

– Co znaczy sekularyzowany? (kobieta w grubych, plastikowych okularach i wiśniowym płaszczu).

– Powiedzmy, że przestał być używany jako klasztor. – Wtedy przewodnik elegancko im się podlizał, mówiąc, że są ludźmi kulturalnymi, skoro przedkładają architekturę dwunastego i trzynastego wieku nad sznapsa czy kufel piwa. I dalej mówił, że w różnych okresach dwudziestego wieku organizowano tu zebrania lokalnych i regionalnych organizacji politycznych, aż do momentu, kiedy rząd federalny podjął decyzję o całkowitej rewaloryzacji, aby zwiedzając, można było oglądać wierną rekonstrukcję z czasów, gdy w klasztorze mieszkała liczna wspólnota cystersów. – Tego lata rozpoczną się prace rewaloryzacyjne. A teraz będą państwo uprzejmi pójść za mną tam, gdzie znajdował się klasztorny kościół. Proszę uważać na schodach. Ostrożnie. Niech pani się trzyma poręczy, bo jeśli pani upadnie i złamie sobie nogę, straci pani okazję wysłuchania moich wspaniałych opowieści. – Dziewięćdziesiąt procent grupy zareagowało uśmiechem.

Przemarznięci turyści weszli do kościoła, zachowując ostrożność na schodach. Kiedy znaleźli się w środku, Bernat zauważył, że w gronie dziewięciu sopli lodu nie było Adriana. Podczas gdy siwowłose przewodnik mówił ten kościół, który zachował jeszcze wiele śladów późnego gotyku, jak na przykład to sklepienie, które mamy nad głowami, Bernat wyszedł z kościoła i wrócił na wirydarz. Zobaczył, że Adrian siedzi na kamieniu białym od śniegu, odwrócony tyłem, zatopiony w lekturze... tak, czytał jego kartki! Obserwował go niecierpliwie. Żałował, że nie ma aparatu, bo bez wahania uwieczniłby tę chwilę, w której Adrian, jego mentor duchowy i intelektualny, człowiek, do którego miał największe zaufanie i któremu najmniej ufał w życiu, pochłonięty był lekturą fikcji, którą on stworzył z niczego. Przez chwilę poczuł się ważny i przestał odczuwać zimno. Wrócił do kościoła. Grupa stała pod oknem, uszkodzonym z niewiadomego powodu, a wtedy jeden ze zmarzniętych zapytał ilu mnichów mieszkało tu w czasie największego rozkwitu.

– W wieku piętnastym prawie stu – odpowiedział przewodnik.

Tyłu, ile stron ma moje opowiadanie – skojarzył Bernat. I wyobraził sobie, że przyjaciel musi już być na szesnastej stronie, gdzie Eliza oświadcza, że jedyne, co jej zostało, to ucieczka z domu.

– Dziecko, dokąd ty pójdziesz? – przeraził się Amadeusz.

– Nie nazywaj mnie dzieckiem – oburzyła się Eliza, odrzucając do tyłu włosy szybkim ruchem głowy.

Kiedy się gniewała, robiły się jej w policzkach dołeczki, jak małe pępuszki, na widok których Amadeusz tracił głowę i zapominał języka w gębie.

– Słucham?

– Nie może pan tu być sam. Proszę dołączyć do grupy.

– W porządku – odpowiedział Bernat, unosząc ramiona na znak niewinności i pozostawiając swoje postacie na łasce uważnej lektury Adriana. Stał na końcu grupy, która właśnie schodziła po schodach, proszę uważać na stopnie, przy tej temperaturze mogą się okazać zdradliwe. Adrian ciągle siedział w wirydarzu, obojętny na ostre powietrze i przez kilka chwil Bernat był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Zdecydował się zapłacić ponownie i powtórzyć trasę z nową grupą zwiedzających ze zziębniętymi

twarzami. W wirydarzu Adrian siedział nieruchomo, zaczytany, nie podnosząc głowy. Może zamarzył? – przestraszył się Bernat. Nie uświadamiał sobie, że najbardziej byłoby mu żal, gdyby skostniały z zimna Adrian nie dokończył lektury jego opowiadania. Patrzył na niego kątem oka, słuchając, jak przewodnik mówi, tym razem po niemiecku, że klasztor Bebenhausen, który będziemy teraz zwiedzać, został założony przez Rudolfa i z Tybingi w tysiąc sto osiemdziesiątym, a w tysiąc osiemset szóstym został sekularyzowany.

– Co znaczy sekularyzowany? (młody mężczyzna, wysoki i szczupły, wbity w kurtkę w kolorze wściekłego błękitu).

– Powiedzmy, że przestał być używany jako klasztor. – Wtedy przewodnik elegancko im się podlizął, mówiąc, że są ludźmi kulturalnymi, skoro przedkładają architekturę dwunastego i trzynastego wieku nad sznapsa czy kufel piwa. I dalej mówił, że w różnych okresach dwudziestego wieku organizowano tu zebrania lokalnych i regionalnych organizacji politycznych, aż do momentu, kiedy rząd federalny podjął decyzję o całkowitej rewaloryzacji, aby można było zwiedzać i oglądać wierną rekonstrukcję z czasów, gdy w klasztorze mieszkała liczna wspólnota cystersów. – Tego lata rozpoczną się prace rewaloryzacyjne. A teraz będą państwo uprzejmi pójść za mną tam, gdzie znajdował się klasztorny kościół. Proszę uważać na schodach. Ostrożnie. Niech pani się trzyma poręczy, bo jeśli pani upadnie i złamie sobie nogę, straci pani okazję wysłuchania moich wspaniałych opowieści. – Dziewięćdziesiąt procent grupy zareagowało uśmiechem. Bernat usłyszał, że facet mówi ten kościół, który zachował jeszcze wiele śladów późnego gotyku, na przykład to sklepienie, które mamy nad głowami, ale te słowa dotarły do niego już w drzwiach, bo ukradkiem wycofał się, wrócił do wirydarza i ukrył się za kolumną. Nie: Adrian nie zamarzył, bo właśnie przewracał kartkę, przeszedł go dreszcz i znów się skoncentrował. Strona czterdzieści lub czterdzieści pięć, ocenił Bernat. A Adrian czytał, starając się, żeby Sara i Kornelia nie zmieniły się w Elizę, i nie chciał się stamtąd ruszyć mimo zimna. Czterdzieści lub czterdzieści pięć, to moment, kiedy Eliza jedzie rowerem pod górę przez Cantó, z rozwianymi włosami; teraz mi przyszło do głowy, że jeśli jedzie pod górę, to nie może odrzucać włosów do tyłu, zajęta pedałowaniem. Muszę to poprawić. Gdyby zjeżdżała z góry, to co innego. Dobrze, zmienię tak, żeby zjeżdżała w dół przez Cantó, z rozwianym włosiem. No, no, musi mu się podobać, nawet nie zwraca uwagi na zimno. Starając się poruszać bezszelestnie, dołączył do grupy, która właśnie zgodnie jak jeden mąż podnosiła głowy, żeby podziwiać kasetony, prawdziwy cud markietażu, a jakaś kobieta z włosami w kolorze słomy powiedziała wunderbar i spojrzała na Bernata, jakby oczekiwała od niego zajęcia stanowiska w kwestii estetycznej. Bernat, nadmiernie podekscytowany, kiwnął głową trzy czy cztery razy, ale nie odważył się powiedzieć wunderbar, bo na kilometr można by rozpoznać, że nie jest Niemcem, a on nie chciał się wyróżniać. Przynajmniej do momentu, aż Adrian mu powie co i jak, a on zacznie skakać i krzyczeć, szalony z radości. Kobieta z włosami w kolorze słomy była usatysfakcjonowana wieloznacznym gestem Bernata i powtórzyła wunderbar, tym razem cichutko, sama do siebie.

Kiedy po raz czwarty zwiedzał klasztor, cicerone, który już od pewnego czasu przyglądał się Bernatowi nieufnie, podszedł do niego bliżej i spojrzał mu w oczy, jakby chciał w nich wyczytać, czy ten milczący, samotny turysta nabija się z niego, czy padł ofiarą entuzjazmu wywołanego czarami Bebenhausen, czy może oczarowały go jego opowieści. Bernat, zamieniony w kłębek nerwów, z entuzjazmem oglądał dyptyk, a przewodnik pokręcił głową, cmoknął i rozpoczął klasztor Bebenhausen, który będziemy teraz zwiedzać, został założony przez Rudolfa i z Tybingi w tysiąc sto osiemdziesiątym, a w tysiąc osiemset szóstym został sekularyzowany.

– Co znaczy sekularyzowany? (młoda, ładna kobieta, ubrana jak Eskimoska, z nosem zaczerwienionym od mrozu).

Kiedy wrócili do wirydarza, napatrzywszy się na kasetonowy strop, Bernat, ukryty między turystami zamienionymi w sople lodu, ocenił, że chyba już dotarł do strony osiemdziesiątej i że Eliza musiała już

opróżnić staw, skazując na śmierć dwanaście złotych rybek podczas wzruszającej sceny, w której zdecydowała się ukarać nie ciała, lecz uczucia dwóch chłopców, pozbawiając ich rybek. To było preludium nieoczekiwanego zakończenia, z którego był, nieskromnie mówiąc, szczególnie zadowolony.

Nie było więcej grup. Bernat został w wirydarzu i przestał udawać, że nie patrzy na Adriana, który w tym momencie odkładał stronę sto trzecią, po czym złożył całość i przez chwilę w zamyśleniu oglądał zamarznięte bukszpany, które miał przed sobą. Nagle wstał i wtedy dostrzegłem Bernata, który patrzył na mnie, jakbym był duchem, z dziwnym wyrazem twarzy, mówiąc myślałem, że zamarzęś. Wychodziliśmy w milczeniu, aż Bernat zapytał, czemu nie chciałem przejść tej trasy z przewodnikiem, ale uspokoilem go, że nie ma potrzeby, znam ją na pamięć.

– Ja też – odpowiedział.

Kiedy już byliśmy na zewnątrz, stwierdziłem, że muszę natychmiast napić się gorącej herbaty.

– No i co?

Adrian popatrzył zdziwiony na przyjaciela, który podbródkiem wskazał plik kartek w jego dłoni. Minęło osiem czy dziesięć tysięcy męczących sekund. Wtedy Adrian, nie patrząc Bernatowi w oczy, powiedział to jest złe, bardzo złe. Brakuje w tym życia, nie uwierzyłem w żadne emocje twoich bohaterów. Nie wiem czemu, ale uważam, że to jest bardzo złe. Nie wiem, kim jest Amadeusz, a najgorsze jest to, że wcale mnie to nie obchodzi. O Elizie nawet nie wspomnę.

– Żartujesz. – Bernat, blady jak matka, kiedy mi oświadczyła, że ojciec poszedł do nieba.

– Nie. Zastanawiam się, dlaczego upierasz się przy pisaniu, skoro masz muzykę...

– Kawał z ciebie skurczybyka.

– Nie trzeba było dawać mi tego do czytania.

Następnego dnia siedzieli w autobusie, którym mieli dojechać do stacji w Stuttgarcie, bo coś było nie tak z pociągami w Tybindze i każdy z nich osobno podziwiał pejzaż; Bernat obwarował się nieprzyjnym, upartym milczeniem, przypieczętowaną obrażoną miną, której postanowił nie zmieniać od czasu pouczającej wizyty w klasztorze Bebenhausen.

– Kiedyś mi powiedziałeś, że najlepszego przyjaciela się nie oszukuje. Przypomnij sobie, Bernat. Kurwa, przestań wreszcie grać obrazonego.

Powiedział to głośno, bo używanie katalońskiego w autobusie z Tybingi do Stuttgartu dawało rzadkie poczucie wyizolowania i bezkarności.

– Słucham? Mówiłeś coś do mnie?

– Tak. I dodałeś jeszcze, skoro ten skurwysyn, mój najlepszy przyjaciel, nie ma odwagi powiedzieć mi tego i woli powtarzać za innymi, och, Bernat, świetnie, co za rozkosz... Wiem, że brak mi szczypty magii. A ty nie powinieneś mnie okłamywać. Adrian, proszę, nie okłamuj mnie nigdy więcej. Bo przestaniemy być przyjaciółmi. Pamiętasz? To twoje słowa. A później jeszcze dodałeś, że jestem jedyną osobą, która mówi ci prawdę. – Popatrzył na niego z boku. – I nigdy nie przestanę tego robić, Bernat. – Patrząc przed siebie, dokończył: – O ile mi starczy sił.

Autobus pokonał parę kolejnych, mglistych i wilgotnych kilometrów.

– Gram, bo nie umiem pisać. – Bernat wypowiedział te słowa, wyglądając przez okno.

– Teraz mi się podobasz! – zawołał Adrian. I zmierzył spojrzeniem panią siedzącą naprzeciwko, jakby chciał zasięgnąć jej opinii. Kobieta odwróciła wzrok w stronę szarego, smutnego i dżdżystego pejzażu, który zbliżał ich do Stuttgartu: śródziemnomorscy krzykacze; to na pewno Turcy. Zapadła długa cisza, aż wyższy z tureckich młokosów rozluźnił mięśnie twarzy i spojrzał spod oka na swojego towarzysza podróży:

– Teraz ci się podobam? Co masz na myśli?

– Prawdziwa sztuka rodzi się z jakiejś frustracji. Nie tworzy się w stanie szczęścia.

- Jeśli rzeczywiście tak jest, to ze mnie artysta całą gębą.
- Ech, przecież jesteś zakochany, nie zapominaj.
- Masz rację. Ale tylko serce działa jak trzeba – uściślił Kemal Bernat. – Cała reszta to gówno.
- Zamienię się z tobą natychmiast – Izmael Adrian powiedział to szczerze.
- Zgoda. Ale nie możemy tego zrobić. Jesteśmy skazani na wzajemną zazdrość.
- Ciekawe, co sobie myśli ta pani, która siedzi naprzeciwko?

Kemal obserwował ją, podczas gdy ona całą uwagę skupiała na pejzażu za oknem, teraz już miejskim, ale nadal szarym i deszczowym. Kemal ucieszył się, że może zmienić minę, bo choćbyś był najbardziej obrażony, trudno cały czas mieć napiętą twarz. Jak ktoś, kto objawia złotą myśl, oświadczył:

- Nie wiem. Ale założę się, że ma na imię Ursula.

Ursula spojrzała na niego. Otworzyła i zamknęła torebkę, pewnie żeby ukryć zmieszanie, pomyślał Kemal.

- I ma syna w naszym wieku – dodał Izmael.

Kiedy zaczęła się góra, wóz zaskrzypiał i woźnica z całych sił przyłożył koniom batem. Podjazd był zbyt stromy, aby pokonać go z obciążeniem dwudziestu mężczyzn na wozie, ale zakład to zakład.

- Już może pan sięgnąć do kieszeni, sierżancie! – zawołał woźnica.

- Jeszcze nie dotarliśmy na miejsce.

Żołnierze, którzy nie mogli się doczekać, kiedy sierżant przegra zakład, wstrzymali oddech, jakby w ten sposób mogli pomóc biednym bydłom wspiąć się na górę, aż do pierwszych domów Vet. Jazda była powolna jak agonia i kiedy wreszcie dotarli na szczyt, woźnica zaśmiał się i powiedział Allah jest wielki, a ja i moje muły też! I co pan na to, sierżancie?

Sierżant wręczył monetę woźnicy, a Kemal i Izmael dyskretnie się uśmiechnęli. Żeby otrząsnąć się z doznanego upokorzenia, podoficer zaczął krzyczeć:

- Wszyscy wysiadać. Niech się teraz mają na baczności ormiańscy zbrodniarze!

Woźnica zapalił cygaretkę i zadowolony przyglądał się, jak żołnierze, uzbrojeni po zęby, wysiadają z wozu i ruszają w stronę pierwszego domu Vet, gotowi na wszystko.

- Adrianie?

- Tak.

- Gdzie się podziewałeś?

- Co?

Adrian patrzył przed siebie. Ursula poprawiła żakiet i znów skupiła się na tym, co za oknem, pozornie niezainteresowana zachowaniem młodych Turków.

- Może jednak ma na imię Barbara.

- Co? – Z trudem wrócił do autobusu. – Tak. Albo Ulrike.

- Gdybym wiedział, że tak to będzie wyglądało, tobym nie przyjechał.

- Gdybyś wiedział co?

- Że nie spodoba ci się moje opowiadanie.

- Napisz je od nowa. Ale pisz z perspektywy Amadeusza.

- Główną bohaterką jest Eliza.

- Na pewno?

Milczenie młodych Turków. Po chwili:

- Zrób tak, żeby to było widać: opowiadasz z punktu widzenia Amadeusza i...

- Dobrze, dobrze, dobrze. Napisz to od nowa.

Na peronie Bernat i Adrian uścisnęli się, a Frau Ursula pomyślała, no, no, ach, ci Turcy, żeby tak w środku dnia, i udała się do sektora B, położonego kawałek dalej.

Bernat, trzymając mnie ciągle w ramionach, powiedział jestem ci wdzięczny, choć jesteś skurwysynem, naprawdę.

- Naprawdę wdzięczny czy naprawdę skurwysynem?
- Naprawdę trafiłeś w sedno, mówiąc o frustracji.
- Przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz, Bernat.

Musieli rzucić się biegiem, bo nie zauważyli, że trzeba było się udać do sektora C. Frau Ursula już zajęła miejsce i widząc, jak biegną, pomyślała, Matko Boska, jacy oni dziwni.

Bernat zdyszany wbiegł do wagonu. Minęła dobra minuta i zauważyłem, że ciągle stoi, rozmawia z kimś, gestykuje, poprawia plecak i pokazuje bilet. Teraz nie wiem, czy mam wsiąść, żeby mu pomóc, czy pozwolić, żeby sam sobie radził, i nie peszyć go. Bernat pochylił się, żeby wyjrzeć przez okno, i przesłał mu uśmiech. Usiadł zmęczony i znów na niego spojrział. Kiedy żegnasz serdecznego przyjaciela na stacji, powinieneś odejść w momencie, kiedy wsiada do wagonu. Ale Adrian przegapił ten moment. Odwzajemnił mu uśmiech. Obaj odwrócili wzrok. Obaj jednocześnie popatrzyli na zegar. Trzy minuty. Zebrałem się na odwagę, pokiwałem ręką na pożegnanie, bez widocznej reakcji z jego strony, i odszedłem, nie oglądając się za siebie. Zanim wyszedłem z dworca, kupiłem „Frankfurter Allgemeine” i czekając na autobus powrotny, przejrzałem gazetę, próbując skupić się na czymś innym niż błyskawiczna wizyta Bernata w Tybindze. Na stronie 12 tytuł na jedną kolumnę i krótka notatka. „Psychiatra zamordowany w Bambergu”. Bamberg? Bawaria. Mój Boże, dlaczego ktoś miałby zabijać psychiatrę?

- Herr Aribert Voigt?
- We własnej osobie.
- Nie byłem umówiony. Przepraszam.
- Nie szkodzi, proszę wejść.

Doktor Voigt kulturalnym gestem zaprosił śmierć do środka. Przybysz usiadł na skromnym krześle w poczekalni, a doktor wszedł do gabinetu, mówiąc zaraz pana przyjmę. Do poczekalni dochodził szelest układanych papierów i szuflad, które otwierają się i zamykają. Wreszcie doktor wyjrzał z gabinetu i powiedział śmierci, żeby weszła do środka. Przybysz usiadł tam, gdzie mu wskazano, a doktor zajął swoje miejsce.

- Słucham pana – powiedział.
- Przyszedłem pana zabić.

Zanim doktor Voigt zdążył się poruszyć, przybysz wstał i przyłożył mu do skroni pistolet Star. Doktor pochylił głowę pod naporem lufy.

– Nic pan na to nie poradzi, doktorze. Sam pan wie, że śmierć jak chce przyjsć, to przyjdzie. Nie umawia się na wizytę.

- A pan co, poeta? – odezwał się, nie ruszając głową, unieruchomioną tuż nad biurkiem, cały spocony.
- Signor Falegnami, Herr Zimmermann, doktor Voigt... Zabijam pana w imieniu ofiar pańskich nieludzkich eksperymentów w Auschwitz.
- A gdybym panu powiedział, że pomylił pan osobę?
- Bardzo śmieszne. Niech pan sobie daruje.
- Zapłacę panu podwójnie.
- Nie zabijam dla pieniędzy.

W ciszy krople potu spływały doktorowi po nosie, jakby był w saunie z Brigitte. Śmierć uznała, że trzeba wyjaśnić pewne kwestie.

– Owszem, zabijam dla pieniędzy. Ale nie w pana przypadku. Voigt, Budden i Höss. Co do Hössa, nie zdążyliśmy. Pana i Buddena zabijają wasze własne ofiary.

- Proszę o przebaczenie.
- Teraz naprawdę umieram ze śmiechu.
- Mogę pana naprowadzić na trop Buddena.
- O, na dodatek zdrajca. Czekam na informacje.
- Za cenę życia.

– Za darmo.

Doktor Voigt zdusił szloch. Próbował się opanować, ale to było ponad jego siły. Zamknął oczy i wbrew sobie zaczął płakać z wściekłości.

– No już! Niech pan już kończy! – krzyknął.

– Spiesz się panu?

– Czego pan chce?

– Teraz poddamy pana eksperymentowi. Jednemu z tych, których pan dokonywał na swoich myszach. Albo na dzieciach.

– Nie.

– Tak.

– Kto tu jest? – chciał podnieść głowę, ale pistolet mu to uniemożliwił.

– Przyjaciele, proszę się nie przejmować. – Cmoknął zniecierpliwiony. – Informacja o Buddenie, szybko.

– Nic o nim nie wiem.

– O! Czyżby chciał pan go chronić?

– Gównu mnie obchodzi ten cały Budden. Żałuję tego, co zrobiłem.

– Niech pan podniesie głowę – powiedziała śmierć, chwytając go za podbródek i butalnie unosząc w górę jego twarz. – Pamięta pan?

Przed nim pojawiły się ciemne, milczące cienie, jak na wystawie w salce parafialnej, trzymające tablicę ze zdjęciami: mężczyźni pozbawieni oczu, zapłakany chłopiec z kolanami jak przepołowiony owoc, kobieta, której wykonano cesarskie cięcie bez znieczulenia. I parę innych, których sobie nie przypominał.

Doktor Voigt znów zaczął płakać i wołać o pomoc i ratunek. Uciszył go dopiero huk strzału.

„Psychiatra zamordowany w Bambergu”. „Doktor Aribert Voigt został zamordowany strzałem w głowę w swoim gabinecie w bawarskim mieście Bamberg”. Od niedawna byłem w Tybindze. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty drugi lub siedemdziesiąty trzeci, nie jestem pewien. Tylko tego jestem pewien, że przez te lodowate miesiące cierpiałem przez Kornelię. O Voigtcie nic nie wiedziałem, bo jeszcze nie przeczytałem aramejskiego rękopisu, ani nie wiedziałem o wielu sprawach, które teraz znam, ani nie zamierzałem pisać do ciebie listu. Kilka tygodni później miałem egzaminy. Każdego dnia cierpiałem z powodu nowych sekretów Kornelii. Może nie przeczytałem tego w gazecie, Saro. Ale to było mniej więcej wtedy, kiedy ktoś zabił psychiatrę w Bambergu, a ja nawet nie przypuszczałem, że tamten człowiek bardziej był związany z moim życiem niż Kornelia i jej sekrety. Jakie dziwne jest życie, Saro.

Oskarżam się o to, że nie dość płakałem, kiedy zmarła mi matka. Całą moją uwagę przyciągała wtedy konfrontacja z Coșeriu, jednym moim idolem, który wyzywał się na moim drugim idole, Chomskym, ale co ciekawe, nie powoływał się przy tym na Bloomfielda. Wiedziałem, że robi to specjalnie, żeby nas sprowokować, ale w dniu, kiedy kpił sobie z *Language and Mind*, Adrian Ardèvol miał ograniczoną cierpliwość, zniechęcony do życia i tym podobnych spraw, i dlatego powiedział pod nosem, cicho i po katalońsku, już wystarczy, Herr Professor, już wystarczy, nie musi pan tego ciągle powtarzać. Wtedy Coșeriu spojrział na mnie z drugiej strony stołu i dedykował mi najbardziej surowe spojrzenie ze swego katalogu, aż pozostałych jedenastu kolegów zdrętwiało z wrażenia.

– Co wystarczy? – odparował mój cios, po niemiecku.

Wtedy zamilkłem jak tchórz. Speszyło mnie jego spojrzenie i perspektywa ośmieszenia się przed grupą. A także wspomnienie gratulacji, które mi złożył, kiedy mnie przyłapał na lekturze *Mitul reintegrării*. Wtedy mnie pochwalił Eliade jest dobry, kiedy nie unika myślenia; dobrze, że pan to czyta.

– Proszę przyjść po zajęciach do mojego gabinetu – powiedział po rumuńsku, nieco ciszej. I dalej prowadził seminarium, jakby nic się nie stało.

O dziwo, kiedy Adrian wchodził do gabinetu Coșeriu, nie ugięły się pod nim nogi. Dokładnie tydzień wcześniej pokłócił się z Augustą. Augusta zajęła miejsce Kornelii, z którą nie miał okazji się pokłócić, bo nie tłumacząc się przed nim, odeszła z nowym doświadczeniem, koszykarzem dwa metry dziesięć wzrostu, nowym nabytkiem jakiegoś ważnego klubu w Stuttgarcie. Znajomość z Augustą była bardziej wyważona i przebiegała bez wstrząsów, ale Adrian postanowił trochę się od niej zdystansować po paru kłótniach z błahych przyczyn. Stupiditates. Teraz był w złym humorze i czuł się upokorzony samym lękiem przed wymianą spojrzeń z Coșeriu, dlatego nie zadrzały mi nogi.

– Proszę siadać.

Było zabawnie, bo Coșeriu mówił po rumuńsku, a Ardèvol odpowiadał mu po katalońsku, nie wypadając z konwencji wzajemnej prowokacji, która zaczęła się już na trzecich zajęciach, kiedy Coșeriu skarcił ich jak to jest, że nie macie żadnych pytań, i Ardèvol, który miał jedno na końcu języka, po raz pierwszy zabrał głos w sprawie immanencji w badaniach językowych i Coșeriu do końca seminarium rozwijał odpowiedź na to pytanie, mnożąc każdy szczegół przez dziesięć, a ja to odebrałem jak największy skarb, hojny prezent od genialnego, choć nieprzystępnego profesora.

Było zabawnie, bo rozumieli się znakomicie, mówiąc każdy w swoim języku. Było zabawnie, bo okazało się, że obaj wyobrażali sobie seminarium, które prowadził mistrz, jako coś w rodzaju ostatniej wieczerzy w kościele Santa Maria delle Grazie, Jezus i dwunastu apostołów, wszyscy skupieni na słowach mistrza, na każdym jego geście, poza Judaszem, który miał własne plany.

– A kto jest Judaszem?

– Pan, oczywiście. Jaki kierunek pan studiuje?

– Jestem wolnym strzelcem. Historia, filozofia, trochę filologii i językoznawstwa, trochę teologii, greka, hebrajski... W przerwach między Brechtbau a Burse.

Cisza. Po chwili Adrian wyznał, że czuje duży... duży niedosyt, bo chciałbym wszystko studiować.

– Wszystko?

– Wszystko.

– Tak. Chyba pana rozumiem. Jaki jest pana status na uczelni?

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w sierpniu będę się doktoryzował.

– Czemu poświęcony jest pański doktorat?

– Piszę o Vico.

– Vico?

– Giambattista Vico.

– Świetnie.

– No tak... ja... Ciągłe bym coś dodawał, poprawiał... Nie potrafię uznać rozprawy za zakończoną.

– Termin oddania pracy wyznaczy koniec pisania. – Podniósł rękę, jak wtedy, kiedy chciał powiedzieć coś ważnego: – Cieszę się, że chce pan odkurzyć Vico. Moim zdaniem nie powinien pan poprzestać na tym jednym doktoracie.

– Jeśli tylko będę mógł zostać dłużej w Tybindze, na pewno tak zrobię.

Ale nie mogłem zostać dłużej w Tybindze, bo kiedy wróciłem do mieszkania, już na mnie czekał rozpaczliwy telegram Małej Loli, która donosiła chłopcze, Adrianie, synku. Stop. Twoja matka nie żyje. Stop. A ja nie wylałem ani jednej łzy. Wyobraziwszy sobie życie bez matki, stwierdziłem, że będzie takie samo jak dotychczas, i odpowiedziałem nie płacz, droga Mała Lolu, stop. Jak to się stało? Przecież nie chorowała?

Było mi wstyd zadawać takie pytania na temat matki: nic o niej nie wiedziałem od miesięcy. Od czasu do czasu jakiś telefon, krótka, lapidarna rozmowa, co słyhać, jak się miewasz, nie pracuj tyle, no, uważaj na siebie. Co takiego ma w sobie sklep, że odmóżdża wszystkich, którzy się nim zajmują.

Tak, była chora, synku, już od paru tygodni, ale nie pozwoliła cię zawiadomić, tylko w przypadku, gdyby było gorzej, wtedy... nie zdążyliśmy, tak szybko to się stało. A była taka młoda. Tak, zmarła dziś rano; przyjeżdżaj natychmiast, na litość boską, synku, Adrianie. Stop.

Straciłem dwa wykłady Coşeriu, żeby wziąć udział w pogrzebie, który, zgodnie z wolą zmarłej, miał charakter religijny, w towarzystwie postarzałej, zasmuconej ciotki Leo i Xeviego, i Quica z żonami oraz Rosy, która zaczęła opowiadać, że jej mąż nie mógł przyjechać bo... Rosa, proszę cię, daj spokój, nie musisz się tłumaczyć. Cecylia, elegancka jak zwykle, uszczypnęła mnie w policzek, jakbym miał osiem lat i ukrywał w kieszeni szeryfa Carsona. Błysk w oku pana Berenguera przypisywałem cierpieniu i konsternacji, ale później przekonałem się, że wprost przeciwnie: nie posiadał się z radości. Poszedłem po Małą Lolę, która usiadła daleko, w towarzystwie nieznanym mi kobiet, i zabrałem ją do ławki przeznaczonej dla rodziny, gdzie rozplakała się na dobre, a ja wtedy poczułem dojmujący smutek śmierci. Było dużo obcych ludzi, cały tłum. Zdziwiłem się, że matka miała tylu znajomych. Modliłem się słowami litanii mamó, umarłaś i nie wyjaśniłaś mi, czemu ty i ojciec byliście dla mnie tacy nieczuli; umarłaś i nie powiedziałaś, czemu byliście dla siebie nawzajem tacy obcy; umarłaś i nie wytłumaczyłaś, czemu nigdy nie chciałaś poważnego śledztwa w sprawie śmierci mojego ojca; umarłaś i nie wyznałaś, mamó, czemu nigdy mnie nie kochałaś. Wymyśliłem tę modlitwę, bo jeszcze nie przeczytałem jej testamentu.

Od wielu miesięcy Adrian nie bywał w swoim mieszkaniu. Teraz wydało mu się jeszcze bardziej wyciszone niż zwykle. Trudno mi było wejść do pokoju rodziców. Jak zawsze pozostawał w półmroku; łóżko bez pościeli, odsłonięty materac; szafa, toaletka, lustro, wszystko na swoim miejscu, jak przez całe moje życie, brakowało tylko ojca w złym humorze i matki pogrążonej w milczeniu.

Mała Lola siedziała przy stole jeszcze w żałobnym ubraniu i nieobecny wzrokiem wpatrywała się w pustkę. Nie mogąc liczyć na jej pomoc, Adrian sam krzątał się w kuchni, szukając w szafkach wszystkiego, co potrzebne do zrobienia herbaty. Lola była tak przygnębiona, że nie podniosła się i nie powiedziała dziecko, powiedz, czego chcesz, a ja ci przygotuję. Nie, Mała Lola patrzyła w nieskończoność, która zaczynała się tuż za ścianą.

– Spróbuj się napić.

Mała Lola odruchowo podniosła filiżankę i przełknęła łyk herbaty, błędząc myślami gdzieś daleko. Po cichu wyszedłem z kuchni, przyłoczony cierpieniem Loli, które wypełniło puste miejsce przeznaczone na mój ból po śmierci matki. Owszem, Adrian był smutny, ale nie cierpiał i nawet miał z tego powodu

wyrzuty sumienia. Kiedyś, po śmierci ojca, czuł lęk zmieszany z poczuciem winy; teraz, w obliczu nowej, nieoczekiwanej śmierci, miał wrażenie, że jest osobą postronną, jakby nie miał z nią nic wspólnego. W jadalni podniósł żaluzje, żeby wpuścić światło dzienne. Na wiszący nad kredensem pejzaż Modesta Urgella padało światło z balkonu w sposób tak naturalny, że wydawało się, jakby emanowało z obrazu. Dzwonniczka klasztoru Santa Maria de Gerri de la Sal jaśniała w blasku zachodzącego, prawie czerwonego słońca. Tę trzypiętrową konstrukcję z pięcioma dzwonami, która go inspirowała do marzeń, oglądał nieskończenie wiele razy w długie, nudne, niedzielne popołudnia. Zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, że w połowie mostu zatrzymał się, aby ją podziwiać. Nigdy nie oglądał czegoś podobnego; teraz zrozumiał, że musiało być prawdą to, co opowiadano o niedawnej zamożności klasztoru, który wzbogacił się na wydobywaniu soli. Żeby lepiej mu się przyjrzeć, musiał zrzucić kaptur, a wtedy jego szlachetne, wysokie czoło zajaśniało tym samym blaskiem co dzwonniczka, w świetle słońca zachodzącego za Trespui. Pomyślał, że o tej wieczornej porze mnisi powinni już zasiadać do podwieczorku.

Kiedy mnisi upewnili się, że pielgrzym nie jest szpiegiem nasłanym przez hrabiego, przyjęli go z prostą, niewyszukaną, ale praktyczną benedyktyńską gościnnością. Od razu zaprowadzono go do refektarza, gdzie cała wspólnota w ciszy spożywała skromny posiłek, słuchając napisanej marną łaciną opowieści o przykładowym życiu świętego Ota, biskupa Urgellu, który, jak się właśnie dowiedział, był pochowany tu, w klasztorze Santa Maria. Smutek widoczny na twarzach trzydziestu mnichów wyrażał najprawdopodobniej nostalgię za tamtymi szczęśliwymi czasami.

Następnego dnia z samego rana, jeszcze przed wschodem słońca, dwaj mnisi wyruszyli na północ, z zamiarem dotarcia w ciągu dwóch dni do klasztoru Sant Pere del Burgal, skąd mieli zabrać Świętą Skrzynię, ponieważ mały, wysoko położony nad tą samą rzeką co Santa Maria klasztor śmierć pozbawiła ostatnich mnichów, ku wielkiej rozpaczy zgromadzenia.

– Jaki jest powód waszej podróży? – zapytał uprzejmie po kolacji ojciec przeor solnego opactwa, przechadzając się z gościem po wirydarzu, który nie chronił przed zimnym wiatrem znad Noguery.

– Szukam jednego z waszych braci.

– Z tej wspólnoty?

– Tak, ojczcie. Mam dla niego wiadomość w pewnej osobistej, rodzinnej sprawie.

– A kim jest ten, do którego podróżujecie z daleka?

– Brat Michał z Susquedy.

– Nie ma tu żadnego mnicha o takim imieniu, panie.

Zauważywszy nagły dreszcz, jaki przeszył tamtego, próbował zatuszować sytuację nieokreślonym gestem i dodał mamy w tym roku chłodną wiosnę, panie.

– Brat Michał z Susquedy, który przez pewien czas należał do zakonu świętego Dominika.

– Zapewniam was, że nikogo takiego tu nie ma, panie. A jaką wiadomość chcecie mu przekazać?

Szlachetny brat Mikołaj Eymeric, generalny inkwizytor królestwa Aragonii, Walencji, Majorcki i Pryncypatu Katalońskiego, spoczywał na łożu śmierci w klasztorze w Gironie, pod opieką bliźniaków, świeckich braciszków, którzy okładali go mokrymi prześcieradłami, żeby zbić gorączkę, szepcząc przy tym modlitwy. Chory uniósł się, słysząc skrzypnięcie drzwi. Widać było, że trudno mu skupić w jednym miejscu osłabiony wzrok.

– Ramon de Nolla? – mówił w gorączce – to wy?

– Tak, Wasza Ekszelencjo – odpowiedział rycerz, kłaniając się nisko przed łóżem chorego.

– Zostawcie nas samych.

– Ależ Ekszelencjo! – zaprotestowali obaj bracia równocześnie.

– Powiedziałem, żebyście nas zostawili samych – wyrzucił z siebie słowa z energią, która jeszcze budziła grozę, mimo iż osłabienie nie pozwalało mu krzyczeć. Obaj połajani bracia opuścili celę bez słowa. Eymeric, unosząc się na łóżku, spojrział na rycerza:

- Nadarza się wam okazja, by odprawić pokutę.
- Bogu niech będą dzięki!
- Musicie stać się zbrojnym ramieniem Świętego Trybunału.
- Dobrze wiecie, że zrobię wszystko, byle tylko otrzymać przebaczenie.
- Jeżeli odprawicie naznaczoną przeze mnie pokutę, Bóg wam przebaczy, oczyści waszą duszę i uwolni was od wewnętrznej udręki.

- Niczego innego nie pragnę, Ekscelencjo.
- To mój dawny osobisty sekretarz trybunału.
- Kim jest i gdzie mieszka?

– Nazywa się brat Michał z Susquedy. Został skazany na śmierć za bunt i zdradę Świętego Trybunału. Od tamtej sprawy minęło już wiele lat, ale żadnemu z moich agentów jak dotąd nie udało się go wytropić. Zdecydowałem się powierzyć misję wam, rycerzowi.

Zaczął kaszleć, najpewniej z powodu pasji, jaką wkładał w swoje słowa. Jeden z braci pielęgniarzy zajrzał do celi, ale Ramon de Nolla obcesowo zatrzaskał mu drzwi przed nosem. Brat Mikołaj dodał jeszcze, że zbieg nie ukrywa się w Susquedzie, że widziano go w Cardonie, a nawet jeden z agentów trybunału odkrył, że wstąpił do zakonu świętego Benedykta, ale nie wiedział, w którym jest klasztorze. Dał mu kilka wskazówek, jak ma zrealizować tę świętą misję. Nieważne, że ja tego nie dożyję, nieważne, że miną lata, zanim go znajdziecie, ale wtedy powiedzcie mu, że wymierzacie mu karę w moim imieniu. Wbijcie mu sztylet w serce, wyrwijcie język i przynieście mi go tutaj. Jeżeli będę martwy, złóżcie go na moim grobie, niech tam zgnije, z woli Boga, Pana Naszego.

- A wtedy moja dusza zostanie oczyszczona ze wszystkich win?
- Amen.

– To osobista sprawa, ojcie przeorze – upierał się przybysz, kiedy dotarli w milczeniu do rogu zimnego wirydarza klasztoru Santa Maria.

W ramach gościnności benedyktyńskiej, po sprawdzeniu, że nie stanowi żadnego zagrożenia, dopuszczono szlachetnego rycerza do ojca opata, któremu powtórzył szukam jednego z waszych braci, ojcie opacie.

- Którego?
- Brata Michała z Susquedy, ojcie opacie.
- Nie ma tu żadnego brata o takim imieniu. A czego od niego chcecie?
- To sprawa osobista, ojcie opacie. Rodzinna. Bardzo ważna.
- No to odbyliście podróż na próżno.

– Zanim został mnichem w zakonie świętego Benedykta, przez jakiś czas był zakonikiem dominikańskim.

– Ach, już wiem, o kogo wam chodzi – przerwał mu opat. – Właśnie... Jest w klasztorze Sant Pere del Burgal, w pobliżu Escaló. Brat Julian z Sau dawno temu był dominikaninem.

- Chwała Bogu najwyższemu! – ucieszył się Ramon de Nolla.
- Pewnie nie zastaniecie go żywego.
- Co chcecie przez to powiedzieć? – przestraszył się szlachetny rycerz.
- W Sant Pere zostało dwóch mnichów, a wczoraj dowiedzieliśmy się, że jeden od nas odszedł. Nie wiem, czy umarł ojciec przeor, czy brat Julian. Posłańcy sami nie byli pewni.

– Więc... Jak mógłbym...

– Nasza reguła nakazuje zamykać klasztor, jeśli zostaje w nim tylko jeden mnich, choćby serce krwawiło z bólu.

– Rozumiem. Ale jak mógłbym...

– Trzeba czekać na lepsze czasy.

– Tak, ojcie opacie. Ale jak mógłbym sprawdzić, czy żyje ten brat, którego szukam?

– Wysłałem właśnie dwóch mnichów po Świętą Skrzynię i po ostatniego mnicha. Dowiedzie się, kiedy wrócą.

Zamilkli, obaj zatopieni we własnych myślach. Milczenie przerwał ojciec opat:

– Jakie to smutne. Trzeba zamknąć klasztor, w którym przez prawie sześćset lat istnienia świata każdego dnia sławione było imię Boże w liturgii godzin.

– To smutne, ojcze opacie. Wyruszam w drogę, żeby dogonić waszych mnichów.

– Nie warto. Poczekajcie na nich tutaj. Wrócą za dwa, trzy dni.

– Nie, ojcze opacie. Mam pilną sprawę.

– Jak chcecie, panie: oni doprowadzą was do celu.

Oburącz zdjął obraz ze ściany w jadalni i podszedł z nim do coraz słabszego światła wpadającego przez drzwi balkonowe. *Santa Maria de Gerri*, obraz Modesta Urgella. W wielu domach poczesne miejsce w jadalni zajmowała kiepska reprodukcja ostatniej wieczerzy, a u nas tę rolę pełniło płótno Urgella. Z obrazem w rękach Adrian udał się do kuchni i powiedział Mała Lolu, nie możesz mi odmówić: zatrzymaj ten obraz dla siebie.

Mała Lola, która ciągle siedziała zamyślona przy stole w kuchni, wpatrując się w ścianę, spojrzała na Adriana.

– Co takiego?

– To dla ciebie.

– Dziecko, nie wiesz, co mówisz. Twój rodzice...

– Wszystko jedno: teraz ja tu rządzę. Daję ci go w prezencie.

– Nie mogę go przyjąć.

– Dlaczego?

– Jest za drogi. Nie mogę.

– Nie: boisz się, że matka by tego nie pochwałała.

– Wszystko jedno. Tak czy inaczej, nie mogę go przyjąć.

Stałem z odrzuconym obrazem w rękach.

Powiesiłem go na miejscu, z którego nigdy się nie ruszał, i jadalnia znów wyglądała jak zawsze. Krążyłem po mieszkaniu bez celu, aż dotarłem do gabinetu ojca i matki i odruchowo zabrałem się do przeglądania zawartości szuflad. Przy tej czynności Adrian zaczął myśleć. Po dwóch godzinach przesiadywania w gabinecie wstał i udał się do prasowni.

– Mała Lolu.

– Co takiego.

– Muszę wrócić do Niemiec. Zajmie mi to jeszcze sześć czy siedem miesięcy, zanim skończę.

– Nie przejmuj się.

– Ja się nie przejmuję, tylko proszę, zostań tu: tu jest twój dom.

– Nie.

– Ten dom jest bardziej twój niż mój. Mnie do szczęścia wystarczy gabinet...

– Wprowadziłam się tu trzydzieści jeden lat temu, żeby opiekować się twoją matką. Po jej śmierci nie mam tu nic do roboty.

– Zostań, Mała Lolu.

Pięć dni później mogłem przeczytać testament. W rzeczywistości odczytał go notariusz Cases, w obecności mojej, Małej Loli i ciotki Leo. A kiedy cienkim głosem mężczyzna oświadczył moją wolą jest, by obraz zatytułowany *Santa Maria de Gerri*, dzieło Modesta Urgella, własność naszej rodziny, został przekazany, bez żadnych opłat, mojej wiernej przyjaciółce Dolors Carrió, którą zawsze nazywaliśmy Małą Lolą, jako skromny dowód wdzięczności za wsparcie, jakiego mi udzielała przez całe życie, ja zacząłem się śmiać, Mała Lola wybuchnęła płaczem, a ciotka Leo patrzyła zdezorientowana

na nas oboje. Pozostała część testamentu była bardziej skomplikowana, poza osobistym listem zamkniętym w zalakowanej kopercie, który kontratenor przekazał mi do rąk własnych, a który zaczynał się od słów Kochany Adrianie, mój najdroższy synu, słów, których od niej nie usłyszałem ani razu przez całe moje kurrewskie życie.

Kochany Adrianie, mój najdroższy synu.

Na tym kończyła się sentymentalna wylewność mojej matki. Dalej były już tylko instrukcje, jak mam postępować ze sklepem. Że moim moralnym obowiązkiem jest przejęcie nad nim pieczy. Wyjaśniała też szczegółowo, na czym polegał niezwykły układ, jaki utrzymywała z panem Berenguerem, trzymając go w potrzasku spłaty dawnego nadużycia, która miała trwać jeszcze rok. Ten sklep był oczkiem w głowie twojego ojca, a teraz, kiedy mnie zabrakło, ty musisz się nim zainteresować. Ale ponieważ wiem, że zawsze robiłeś i będziesz robić to, na co masz ochotę, wcale nie jestem przekonana, że postąpisz, jak ci mówię, że podwiniesz rękawy, wejdiesz do sklepu i pokażesz wszystkim, gdzie ich miejsce, tak jak ja zrobiłam po śmierci twego ojca. Nie chcę o nim mówić nic złego, ale to był romantyk. Ja wprowadziłam porządek w sklepie, urządziłam go z sensem, żeby stał się dobrze prosperującym interesem, z którego mogliśmy się utrzymać my oboje, przy pomocy zaledwie dwóch nowych pracowników, jak ci wiadomo. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś nie chciał zatrzymać sklepu, ale ponieważ ja już tego nie zobaczę, Bóg z tobą. A później udzielała mi bardzo dokładnych instrukcji, jak postępować z panem Berenguerem, i prosiła, żebym się do nich zastosował. Po czym wracała do spraw osobistych i wyjaśniała, że dlatego kreśli dziś te linijki, dnia dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku, ponieważ lekarz właśnie potwierdził, że jest mało prawdopodobne, żeby długo pożyła. Kazałam, żeby ci nie przeszkadzano w nauce, dopóki nie przyjdzie czas. Ale piszę do ciebie, bo chciałabym, żebyś wiedział, oprócz tego, o czym pisałam wcześniej, jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze: wróciłam do Kościoła. Kiedy wyszłam za mąż za twego ojca, byłam osobą ni z puchu, ni z mięsa, podatną na wpływy, i kiedy twój ojciec oświadczył mi, że najprawdopodobniej Bóg nie istnieje, powiedziałam, ach tak, to świetnie. Potem bardzo mi brakowało religii, zwłaszcza po śmierci mojego ojca i po śmierci Feliksa, kiedy samotnie musiałam decydować, co z tobą zrobić.

– Co ze mną zrobić? Kochać mnie.

– Kochałam cię, synu.

– Na dystans.

– W domu zawsze byliśmy mało wylewni, oziębli, co nie znaczy, że byliśmy złymi ludźmi.

– Mamo: czemu mnie nie kochałaś, nie patrzyłaś mi w oczy, nie pytałaś, co chcę robić.

– A śmierć twojego ojca wszystko popsuła.

– Mogłaś mi to okazać.

– Nigdy ci nie wybaczyłam, że porzuciłeś skrzypce.

– Nigdy ci nie wybaczyłem, że zmuszałaś mnie, żebym był najlepszy.

– Bo jesteś najlepszy.

– Nie. Jestem inteligentny, no, może wyjątkowo uzdolniony. Ale nie mogę robić wszystkiego. Ani nie mam obowiązku być najlepszym. Ty i ojciec pomyliliście się co do mnie.

– Twój ojciec nie.

– Kończę doktorat i nie mam zamiaru zapisywać się na prawo. I nie nauczyłem się rosyjskiego.

– Na razie.

– Dobrze. Tak, na razie.

– Nie dyskutuj ze mną, bo jestem martwa.

– Zgoda. A co jeszcze twoim zdaniem powinienem wiedzieć? A właśnie: mamo, czy Bóg istnieje?

– Umieram z wieloma cierniami w sercu. Największy to zagadka, kto zabił twojego ojca i dlaczego.

– Co zrobiłaś, żeby się dowiedzieć?

– Teraz wiem, że mnie podsłuchiwałaś ukryty za sofą. Nie wiedziałam, że wiesz o sprawach, o których

nie powinieneś wiedzieć.

– Wydaje ci się. Tak naprawdę udało mi się tylko dowiedzieć, co to takiego lupanar, a nie, kto zabił mi ojca.

– Uwaga, uwaga, nadciąga czarna wdowa! – krzyknął przerażony inspektor Ocaña, wystawiając głowę z kancelarii komisarza.

– Na pewno?

– Nie przepędziłeś jej na dobre?

– Co za pieprzona baba.

Komisarz Plasencia schował do szuflady resztki kanapki, wstał i spojrzał przez okno na samochody na Via Laietana. Odwrócił się, kiedy poczuł obecność kobiety w drzwiach.

– Co za niespodzianka.

– Dobry wieczór.

– Dawno pani tu nie...

– Tak. Ale... przeprowadziłam własne śledztwo i...

Na biurku, w popielniczce, niedopalone, zgaszone cygaro zasmradzało powietrze.

– I co?

– Aribert Voigt, panie komisarzu. Porachunki handlowe, panie komisarzu. Albo, jeśli pan woli, porachunki osobiste, ale żadnych burdela ani zgwałconych dziewczynek. Nie wiem, czemu wymyśliliście tę żalostną historię.

– Ja zawsze wykonuję rozkazy.

– A ja nie, panie komisarzu. I mam zamiar podać was do sądu za ukrywanie

– Niech mnie pani nie rozśmiesza! – przerwał jej obcesowo policjant. – Hiszpania, na szczęście, nie jest krajem demokratycznym. Tu my rządzymy, ci dobrzy.

– Wkrótce dostanie pan wezwanie. Jeśli winien jest ktoś na górze, pociągniemy za odpowiednie nitki.

– Jakie nitki?

– Kto pozwolił bezkarnie grasować temu zabójcy. I kto nie przeszkodził mu w ucieczce.

– Niech pani nie będzie naiwna. Nie znajdzie pani żadnych nitek, bo ich nie ma.

Komisarz wyjął cygaro z popielniczki, potarł zapałkę i zapalił. Gęsty, niebieskawy obłok na chwilę zakrył mu twarz.

– Mamo, dlaczego nie poszłaś z tym do sądu?

Komisarz Plasencia usiadł, wypuszczając dym przez nos i usta. Matka wolała przed nim stać.

– Oczywiście, że są! – zawołała matka.

– Proszę pani, jestem zajęty – uciał komisarz, mając na myśli niedojedzoną kanapkę.

– Nazista, który sobie żyje spokojnie. O ile jeszcze nie umarł.

– Nazwiska. Gadanie bez nazwisk to rzucanie słów na wiatr.

– Nazista. Aribert Voigt. Przecież podaję panu nazwisko!

– Żegnam panią.

– W dniu zbrodni mąż powiedział mi, że idzie do Ateneum spotkać się z jakimś Pinheiro...

– Mamo, dlaczego nie poszłaś z tym do sądu?

– ...ale nie było żadnego spotkania z Pinheiro. Zadzwonił do niego jakiś komisarz.

– Nazwiska. Proszę pani, w Barcelonie jest wielu komisarzy.

– To był podstęp. Aribert Voigt działał pod osłoną hiszpańskiej policji.

– Za takie słowa może pani pójść do więzienia.

– Mamo, dlaczego nie poszłaś z tym do sądu?

– Voigt wymknął się spod kontroli. Chciał zaszkodzić mojemu mężowi. Myślę, że chciał go zastraszyć. Ale w końcu go zabił i zniszczył.

– Proszę pani, niech pani nie bredzi.

– Zamiast go zatrzymać, wydaliliście go z kraju. Prawda, że tak to wyglądało, komisarzu Plasencia?

– Proszę pani, naczytała się pani powieści.

– Zapewniam pana, że nie.

– Jeśli nie przestanie pani mnie wkurzać i zawracać głowy policji, damę słowo, że źle się to dla pani skończy. Przekona się pani, pani kochanka i pani syn. Choćby się pani ukryła na końcu świata.

– Mamo, czy ja dobrze słyszę?

– Czego nie dosłyszałeś?

– To o twojej kochance.

Komisarz przechylił się do tyłu, żeby lepiej ocenić efekt, jaki wywarły jego słowa. Dorzucił jeszcze groźbę:

– Z łatwością mogę rozpowszechnić tę informację w pani środowisku. Do widzenia, pani Ardèvol. I proszę tu więcej nie przychodzić. – Spojrzał na resztki niedokończonej kanapki w otwartej szufladzie i zatrasnął ją z furią, tym razem w obecności czarnej wdowy.

– Tak, tak, mamo, ale skąd wiedziałaś, że to o burdelach i gwałtach było kłamstwem?

Matka, mimo że była martwa, zamilkła. W napięciu czekałem na odpowiedź. Minęła wieczność, zanim usłyszałem:

– Wiem i już.

– To mi nie wystarczy.

– Dobrze. – Dramatyczna pauza, potrzebna, jak przypuszczam, żeby zebrać się na odwagę. – Niemal od początku naszego małżeństwa, już po twoim poczęciu, u twojego ojca zdiagnozowano całkowitą impotencję seksualną. Od tamtego czasu był całkowicie niezdolny do erekcji. To było powodem jego zgorzknienia. Naszego zgorzknienia. Nie pomogli ani lekarze, ani żalosne wizyty u wyrozumiałych pań. Twój ojciec był, jaki był, ale nie mógłby zgwałcić żadnej dziewczynki, bo w końcu znienawidził seks i wszystko, co się z nim wiązało. Myślę, że dlatego zamykał się wśród przedmiotów kultu.

– Jeżeli tak się sprawy przedstawiały, dlaczego nie poszłaś z tym do sądu? Szantażowali cię?

– Tak.

– Twoją kochanką?

– Nie.

Matka zamykała ten testament listą wskazówek o charakterze ogólnym i nieśmiałym wyznaniem uczucia na końcu, które wyrażało się w słowach żegnaj, ukochany synu. A ostatnie zdanie, będę nad tobą czuwać w niebie, zawsze uważałem za subtelnie ukrytą groźbę.

– No, no... – odezwał się pan Berenguer, zadowolony i zrelaksowany, strącając jakiś nieistniejący pyłek z nogawki nieskazitelnych spodni. – A więc zdecydowałeś się zakasać rękawy i zabrać się do pracy.

Siedział w gabinecie matki, z miną zdobywcy jakiegoś cennego terytorium, a wtargnięcie roztargnionego Ardèvolątka z nieprzytomną miną wyrwało go z rozmyślań. Zdziwił się, że chłopiec wszedł do jego gabinetu bez pukania. Dlatego powiedział no, no.

– O czym chcesz rozmawiać?

Adrian chciał rozmawiać o wszystkim. Ale najpierw, z typową dla siebie niezręcznością, zaczął od ustalenia zasad harmonijnej współpracy:

– Przede wszystkim nie chcę pana więcej widzieć w sklepie.

– Co takiego?

– Dobrze pan słyszał.

– Znasz układ, jaki zawarłem z twoją matką?

– Ona już nie żyje. Ale owszem, znam.

– Nie sądzę: podpisałem porozumienie, które mnie zobowiązuje do przepracowania jeszcze jednego

roku w sklepie. Został mi kolejny rok na galerach.

– Odpuszczam panu. Chcę, żeby pan się stąd wyniósł jak najdalej.

– Nie wiem, co was wszystkich ugryzło w tej rodzinie, że macie taki podły charakter...

– Niech mnie pan nie poucza, panie Berenguer.

– Pouczać nie mam zamiaru, ale mogę poinformować. Wiesz, że twój ojciec był prawdziwym sępem?

– Mniej więcej. A pan był hieną, która się tuczyła przy jego uczcie.

Pan Berenguer uśmiechnął się tak szeroko, że odsłonił w uśmiechu złoty kieł.

– Twój ojciec był bezlitosnym drapieżnikiem i nie miał względów dla nikogo, gdy w grę wchodził zakup czy bezceremonialny rekwirunek.

– Dobrze, niech będzie rekwirunek. Ale pan jeszcze dziś zabierze swoje rzeczy, bez prawa wstępu do sklepu.

– Cholera... – Napiął twarz, żeby ukryć zaskoczenie słowami młodego Ardèvola. – I ty śmiesz mnie nazywać hieną. Kim jesteś, żeby...

– Jestem synem króla dżungli, panie Berenguer.

– Taki sam z ciebie skurwysyn jak twoja matka.

– Do widzenia, panie Berenguer. Jutro zadzwoni do pana nowy administrator, a jak będzie trzeba, stawia się w towarzystwie adwokata, który jest o wszystkim poinformowany.

– Wiesz, że twój majątek pochodzi z łupiestwa?

– Pan jeszcze tutaj?

Na szczęście dla mnie pan Berenguer uznał, że jestem twardy jak kamień młyński, podobny do matki; pomylił mój zrezygnowany fatalizm z głęboką obojętnością, co go rozbroiło, a mnie dodało sił. W milczeniu zabrał to, co chyba całkiem niedawno umieścił w szufladzie biurka matki, i wyszedł z gabinetu. Widziałem, jak przewraca wszystko do góry nogami; zauważyłem, że Cecylia, udając, że szuka czegoś w katalogu, śledziła zaintrygowana szamotaninę hieny. Wkrótce zrozumiała, co się stało, i jej twarz rozjaśnił szeroki, szminkowy uśmiech.

Pan Berenguer z całych sił trzasnął drzwiami, starając się stłuc w nich szybę, ale mu się nie udało. Dwaj nowi sprzedawcy chyba nie zorientowali się, w czym rzecz. Pan Berenguer po trzydziestu jeden latach pracy potrzebował niespełna godziny, żeby zniknąć ze sklepu i, jak przypuszczałem, również z mojego życia. Wtedy zamknąłem się na klucz w gabinecie rodziców. Zamiast domagać się dowodów i sprawdzać poszlaki wyczynów króla dżungli, rozplakałem się. Następnego dnia, zamiast domagać się wiedzy i podążać tropami, przekazałem sklep w ręce administratora i wróciłem do Tybingi, bo nie chciałem tracić kolejnych wykładów Coşeriu. Dowody i poszlaki.

Ostatnie miesiące w Tybindze spędziłem, oswajając się z myślą, że będę tęsknić za tym miastem, za pięknym pejzażem Badonii-Wirtembergii i Schwarzwaldy, za tym wszystkim; bo Adrian miał ten sam problem, co Bernat: był szczęśliwszy, biegając z wywieszonym językiem za czymś nieosiągalnym, niż patrząc na to, co miał w rękach. Myślał tylko, jak, cholera, będę żyć z dala od tego pejzażu, kiedy, kurczę, wrócę do Barcelony. Kończył wtedy rozprawę o Vico, która miała mu dostarczać tyle intelektualnych podniet, żeby wystarczyło ich na całe życie. Była czymś w rodzaju atomowego stosu, w którym zdeponował wszystkie swoje przemyślenia. Z tego powodu, ukochana, nie chciałem tracić czasu na dowody i poszlaki, mogące zakłócić rytm mojego życia i studiów. Dlatego starałem się nie myśleć o nich za wiele, aż w końcu udało mi się całkiem je usunąć z mojej głowy.

– Jest... Nie, nie jest błyskotliwa: jest głęboka; jest zachwycająca. A pański niemiecki jest doskonały – powiedział Coşeriu w dzień po obronie. – Najważniejsze, żeby pan nie przestał studiować. A gdyby zdecydował się pan na językoznawstwo, proszę mi dać znać.

Adrian nie wiedział, że Coşeriu spędził dwa dni i jedną bezsenłą noc, nie odrywając się od lektury egzemplarza jednego z członków komisji. Dowiedziałem się o tym parę lat później, z ust doktora Kamenka. Ale w tamtym dniu Adrian mógł tylko zastygnąć w bezruchu, sam, na korytarzu, patrząc, jak Coşeriu odchodzi, i nie docierało do niego, że tamten człowiek uścisnął go i powiedział, że go podziwia, nie, nie jego, podziwia to, co napisał. Coşeriu docenił, że

– Co ci jest, Ardèvol?

Stał jak wryty na korytarzu dobre pięć minut i nie zauważył, że podszedł do niego Kamenek.

– Ja? Co?

– Dobrze się czujesz?

– Ja? Tak... Tak, tak. Tylko...

Nieokreślony gest ręką wskazywał, że sam dobrze nie wie, co się z nim dzieje. Kamenek zapytał go, czy ma zamiar zostać w Tybindze i dalej studiować, czy ma inne plany, i usłyszał, że Adrian ma wiele zobowiązań, które go ograniczały, co nie było prawdą, bo miał gdzieś sklep; tęsknił tylko za gabinetem ojca, rozważał też możliwość tęsknoty za mroźnym pejzażem Tybingi. Chciałem być bliżej wspomnień o Sarze; teraz bez ciebie czułem się jak kastrat. Z tych wszystkich powodów zaczynałem rozumieć, że nigdy nie uda mi się osiągnąć szczęścia. Że z całą pewnością nikt go nie potrafi osiągnąć. Szczęście było zawsze przede mną, na wyciągnięcie ręki, ale nieosiągalne, z całą pewnością nieosiągalne dla wszystkich. Pomimo radości, jakich czasem życie mu dostarczało, jak w tym dniu, kiedy zadzwonił do niego Bernat i nie przejmując się tym, że od sześciu miesięcy oficjalnie byli na siebie obrażeni, powiedział dasz wiarę? Umarł wreszcie, ten zgniły trup! Tutaj wszyscy wyciągają szampana z lodówki, żebyś wiedział. I wtedy powiedział najwyższy czas, żeby Hiszpania wszystko sobie przemyślała, uwolniła się od swoich problemów i prosiła o przebaczenie za wszystkie możliwe błędy historyczne.

– Oj.

– Co? Nie mam racji?

– Tak. Ale chyba nie znasz Hiszpanii.

– Zobaczysz, zobaczysz. I na tym samym oddechu: – Ach, mam jeszcze dla ciebie niespodziankę.

– Jesteś w ciąży?

– Nie, nie kpj sobie. Sam zobaczysz. Poczekaj parę dni.

I odłożył słuchawkę, bo połączenie z Niemcami kosztowało fortunę, a on dzwonił z automatu, w euforii, myśląc umarł Franco, umarł potwór, umarł wilk, umarł robal, a wraz z nim jego trucizna. Są

takie chwile, że nawet przyzwoici ludzie cieszą się z czyjejś śmierci.

Bernat nie kłamał: poza potwierdzeniem śmierci dyktatora, która następnego dnia znalazła się na pierwszych stronach wszystkich gazet, pięć dni później otrzymałem lakoniczny list polecony następującej treści: Kochany molu książkowy: pamiętasz? to jest złe, bardzo złe. Brakuję w tym zycia, nie uwierzyłem w władne emocje. Nie wiem czemu, ale uważam, że to jest bardzo złe. Nie wiem, kim jest Amadeusz, a najgorsze jest to, że wcale mnie to nie obchodzi. O Elizienawet nie wspomnę. Pamiętasz? No więc to opowiadanie pozbawione wiarygodnych emocji właśnie otrzymało nagrodę Recull de Blanes. Przyznana przez inteligentne jury. Jestem szczęśliwy. Twój przyjaciel Bernat.

A ja bardzo się z tego cieszę, odpowiedział mu Adrian. A lenie zapominaj, że jeżeli nie poprawiłeś, nadal jesteś słabe. Twój przyjaciel Adrian. Na co Bernat odpowiedział mi pilnym telegramem następującej treści: pocałuj mnie w dupę stop. Twój przyjaciel Bernat stop.

Kiedy wróciłem do Barcelony, zaproponowano mi wykład z historii estetyki i kultury na Uniwersytecie Barcelońskim i powiedziałem tak, bez zastanowienia, choć nie było mi to do niczego potrzebne. To nawet zabawne, że po czterech latach spędzonych za granicą znalazłem pracę w mojej dzielnicy, dziesięć minut spacerkiem od domu. I zaraz pierwszego dnia, kiedy poszedłem do Instytutu porozmawiać o szczegółach mojego zatrudnienia, poznałem Laurę. Pierwszego dnia! Blondynka, raczej niska, miła, uśmiechnięta, ale, o czym jeszcze nie wiedziałem, kryła w sobie jakiś smutek. Zapisła się na piąty rok i pytała o jakiegoś wykładowcę, chyba nazywał się Cerdà, który, jak się okazało, był promotorem jej pracy, właśnie na temat Coşeriu. Ach, i jeszcze niebieskie oczy. I przyjemny głos. Ręce nerwowe, niezbyt zadbane. I bardzo interesujący zapach wody kolońskiej czy perfum – dotąd nie wiem, czym jedno różni się od drugiego. Adrian uśmiechnął się, a ona powiedziała cześć, pracujesz tu? Na to on: jeszcze nie wiem. A ty? Na to ona: pewnie, że bym chciała!

– Nie powinieneś być wracać.

– Dlaczego?

– Twoja przyszłość jest w Niemczech.

– Czy to nie ty sprzeciwiałeś się mojemu wyjazdowi? A jak tam skrzypce?

– Zgłosiłem swoją kandydaturę do miejskiej orkiestry Barcelony.

– To świetnie, prawda?

– Zależy, jak na to patrzeć. Będę muzykiem z pensją urzędnika.

– Nie: skrzypkiem w bardzo obiecującej orkiestrze.

– Jeżeli mnie przyjmą. – Po chwili wahania. – I żenię się z Teklą. Będziesz moim przyjacielem?

– Jak najbardziej. Kiedy się pobieracie?

Tymczasem to i owo się wydarzyło. Musiałem sprawić sobie okulary do czytania, a włosy zaczęły mnie opuszczać bez powodu. Mieszkałem sam w ogromnym mieszkaniu w dzielnicy Eixample, w otoczeniu kartonów książek sprowadzonych z Niemiec; ciężko mi było się zabrać do ich klasyfikacji i ustawiania, między innymi dlatego, że miałem za mało miejsca na półkach. Najważniejsze, co się wydarzyło, to moja porażka w przekonywaniu Małej Loli do pozostania ze mną.

– Żegnaj, Adrian, synku.

– Jest mi bardzo przykro, Mała Lolu.

– Chcę zacząć żyć na własny rachunek.

– Ja to rozumiem. Ale to nadal jest twój dom.

– Poszukaj sobie gosposi, tak będzie najlepiej.

– Nie, nie. Jeżeli nie ty... To niemożliwe.

Czy płakałem po odejściu Małej Loli? Nie. Kupiłem sobie wtedy porządne pianino i zainstalowałem je w pokoju rodziców, który powoli przejmowałem na własność. Szeroki korytarz zastawiony kartonami nierozpakowanych książek zamienił się w regularny tor przeszkód.

– Ale... Tylko się nie gniewaj, dobrze?

– Słucham.

– Masz gdzie mieszkać?

– Oczywiście. Choć nie mieszkałam tam setki lat, mam mieszkanie w dzielnicy Barceloneta. Teraz je odmalowałam.

– Mała Lolu.

– Co takiego?

– Nie obraż się, ale ja... Chciałbym ci coś ofiarować. Na znak wdzięczności.

– Odebrałam zapłatę za wszystkie dni razem i każdy z osobna, spędzone w tym domu.

– Nie to miałem na myśli. Chciałem powiedzieć...

– No więc nic nie musisz mówić.

Lola wzięła mnie pod rękę i zaprowadziła do jadalni; pokazała mi puste miejsce po obrazie Modesta Urgella.

– Twoja matka zrobiła mi prezent, na który nie zasługuję.

– Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić...

– Uporządkować książki, bo tak się nie da żyć.

– Lolu, nie żartuj. Co mogę zrobić dla ciebie?

– Pozwolić mi odejść. Mówię poważnie.

Uścisnąłem ją i uświadomiłem sobie, że... to niesamowite, Saro, ale wydaje mi się, że bardziej kochałem Małą Lolę niż własną matkę.

Mała Lola odeszła z domu, a tramwaje przestały hałasować na ulicy Llúria, bo w ostatnich latach frankizmu władze miejskie optowały za bezpośrednim zanieczyszczeniem i zastąpiły wszystkie tramwaje autobusami, nie usuwając torów, które stały się idealną ślizgawką, pułapką dla motorów. A ja zamknąłem się w domu z zamiarem dalszego studiowania i zapominania o tobie. Urządziłem się w pokoju rodziców i spałem w tym samym łóżku, w którym urodziłem się za dwadzieścia siódma rano we wtorek trzydziestego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego.

Bernat i Tekla pobrali się, szczerze w sobie zakochani, z nadzieją w oczach, a ja byłem ich drużbą. Podczas przyjęcia weselnego, w ślubnych strojach, zagrali gościom pierwszą sonatę Brahmsa, ze wszystkimi niuansami i bez partytury. Byłem zielony z zazdrości... Bernat i Tekla mieli przed sobą całe życie, a ja patrzyłem na szczęście przyjaciela z radością i z zazdrością. Zatęskniłem za Sarą, przypomniałem sobie jej niewytłumaczalną ucieczkę i szczerze zazdrościłem Bernatowi, życząc im obojgu całego szczęścia świata na wspólną drogę życia, a oni wyruszyli, uśmiechnięci i pewni siebie, w podróż poślubną, zaczynając wykuwać, systematycznie i z poświęceniem, własne nieszczęście.

Przez kilka miesięcy, kiedy oswajałem się z wykładaniem dla studentów słabo zainteresowanych historią kultury i z dzikim, pozbawionym lasów, pejzażem dzielnicy Eixample, brałem lekcje gry na fortepianie u pani ani trochę niepodobnej do pani Trullols, ale równie jak ona skutecznej. Zostało mi jeszcze sporo niezagospodarowanego czasu.

– hād.

– hadh.

– trēn.

– trén.

– tlāt.

– tláth.

– arba.

– árba.

- arba.
- árba.
- arba!
- arba!
- Raba taua!

Lekcje aramejskiego wpływały na mnie uspokajająco. Pani Gombreny na początku narzekała na moją wymowę, ale w końcu przestała poruszać ten temat, nie wiem, czy z powodu moich postępów, czy dała za wygraną.

Ponieważ dłużyły mu się środy, Adrian zapisał się na wstęp do sanskrytu, który otworzył mu okno na nowy świat, przede wszystkim ze względu na przyjemność, jaką było słuchanie doktora Figueresa, gdy ostrożnie szukał etymologii i wykazywał sieć powiązań między różnymi językami indoeuropejskimi. Również uprawiał slalom w korytarzu, omijając kartony z książkami, których lokalizację znał tak dobrze, że nawet po ciemku wymijał je bez problemu. Znużony czytaniem, grałem na storionim tak długo, aż potlał się ze mnie strużkami, jak z Bernata w dniu egzaminu. Dni stały się krótkie i myślałem o tobie, już tylko przygotowując kolację, kiedy przestawałem się kontrolować. Kładłem się do łóżka z nutką smutku, a przede wszystkim z pytaniem bez odpowiedzi, dlaczego, Saro. Tylko dwukrotnie musiałem się spotkać z administratorem sklepu, bardzo dynamicznym, który natychmiast zorientował się w mojej sytuacji. Za drugim razem powiedział mi, że Cecylia odchodzi na emeryturę, i chociaż niewiele nas łączyło, zrobiło mi się smutno. Trudno w to uwierzyć, ale Cecylia częściej szczypała mnie w policzek czy mierzwiła mi włosy niż rodzona matka.

Po raz pierwszy poczułem mrowienie w palcach, kiedy Morral, stary księgarz z hali targowej Sant Antoni, znajomy ojca, powiedział doktorze, mam wrażenie, że zechce pan pójść ze mną, żeby coś zobaczyć.

Adrian, który przeglądał stos książek z serii „A Tot Vent”, od jej powstania aż do wybuchu wojny domowej, i dla rozrywki czytał dedykacje nieznanym autorów dla nieznanym adresatów, zdziwiony podniósł głowę.

- Słucham?

Księgarz wstał i ruchem głowy dał mu znak, żeby poszedł za nim. Pstryknął palcami na mężczyznę z sąsiedniego straganu, dając mu znak, żeby był uprzejmy popilnować dobytku pod jego nieobecność. W pięć minut pokonali w milczeniu odległość z hali do ciemnych schodów w wąskim domu przy ulicy Comte Borrell, gdzie, jak sobie przypominał, był już kiedyś z ojcem. Na pierwszym piętrze Morral wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. Mieszkanie było pogrążone w ciemności. Zapalił słabą żarówkę, której światło nie docierało do podłogi, i pokonując w czterech krokach wąski korytarz, wszedł do pokoju, gdzie najważniejszym meblem była szafa z dużymi, ale wąskimi szufladami, jak te, których używają artyści do przechowywania swoich grafik. W pierwszym odruchu zastanowiłem się, jak się udało wnieść taki szeroki mebel przez tak wąski korytarz. Światło w pokoju było silniejsze niż przy wejściu. Wtedy Adrian zauważył stół na środku i lampkę, którą Morral też zapalił. Otworzył jedną z szuflad i wyciągnął z niej plik papierów, które umieścił pod lampką. Wtedy poczułem szybsze bicie serca, ssanie w brzuchu i mrowienie w opuszkach palców. Pochyliliśmy się obaj nad rarytasem, który leżał przede mną: luźne kartki zawinięte w papier pakunkowy. Założyłem okulary, żeby niczego nie przegapić. Ciężko mi było przyzwyczać się do dziwnej kaligrafii tego rękopisu. Przeczytałem na głos *Discours de la méthode. Pour bien conduire la raison, et chercher la vérité dans les sciences*. I nic więcej. Nie odważyłem się dotknąć kartek. Powiedziałem tylko no nie.

- Tak.
- To niemożliwe.
- Prawda, że jest pan zainteresowany?
- Skąd u diabła pan to wytrzasnął?

Zamiast odpowiedzi Morral przewrócił pierwszą kartkę. Po chwili powtórzył byłem pewny, że to pana zainteresuje.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Bo jest pan podobny do ojca. Wiem, co pana może zainteresować.

Adrian miał przed sobą oryginalny rękopis *Discours de la méthode*, spisany przed 1637 rokiem, w którym został opublikowany wspólnie z innymi dziełami: *Dioptrique*, *Les Météores* i *Géometrie*.

– Cały? – zapytał.

– Cały. To znaczy... brakuje... niewiele, dwóch stron.

– A skąd mam wiedzieć, czy to nie fałszerstwo?

– Kiedy usłyszysz cenę, nie będzie pan miał wątpliwości, że jest autentyczny.

– Nie: będę tylko wiedział, że jest bardzo drogi.

Mężczyzna zaczął grzebać w teczce opartej o nogę stołu, wyciągnął z niej jakieś papiery i wręczył je Adrianowi.

Pierwsze osiem czy dziesięć lat serii „A Tot Vent” musiało poczekać na inną okazję. Adrian spędził całe popołudnie, przeglądając rękopis, sprawdzając wszystko z certyfikatem autentyczności i zastanawiając się, skąd u diaska wypłynął ten klejnot, aż doszedł do wniosku, że może lepiej będzie nie zadawać zbyt wielu pytań.

Nie zadałem żadnego pytania, które by nie było bezpośrednio związane z autentycznością rękopisu, i w końcu zapłaciłem fortunę po miesiącu wahań i dyskretnych konsultacji. To był pierwszy rękopis, jaki sam nabyłem, spośród dwudziestu składających się na moją kolekcję. W domu miałem już trofea mojego ojca: dwadzieścia luźnych kartek z *Recherche*, kompletny rękopis *The Dead Joyce’a*, kilka stron Zweiga, takiego jednego, co popełnił samobójstwo w Brazylii, i akt konsekracji klasztoru Sant Pere del Burgal przez opata Delligata. Tamtego dnia zrozumiałem, że opętał mnie ten sam demon co mojego ojca. Ssanie w brzuchu, mrowienie w palcach, suchość w ustach... to wszystko towarzyszyło wątpliwościom co do autentyczności i prawdziwej wartości rękopisu, obawie, żeby nie przegapić okazji, pragnieniu, żeby wejść w jego posiadanie, lękowi, czy aby nie przepłacam, i panice, że jeśli zaproponuję za mało, potem będę patrzeć bezradnie, jak się oddala bezpowrotnie z mojego życia...

Discours de la méthode był moim pierwszym ziarenkiem piasku.

Ziarnko piasku najpierw jest źdźbłem w oku, później powoduje swędzenie palców i pieczenie w żołądku; wpycha się do kieszeni, a jeśli ma się pecha, zamienia się w głąz obciążający sumienie. Wszystko w życiu i w opowiadaniu tak się zaczyna, kochana Saro, od niegroźnego ziarnka piasku, na które nie zwraca się uwagi.

Wszedłem tam, jakbym wchodził do świątyni. Albo do labiryntu. Albo do piekła. Od czasu wypędzenia pana Berenguera do zewnętrznych ciemności, nie powstała tam moja noga. Ciągłe odzywał się ten sam dzwonek nad drzwiami anonsujący wejście. Ten sam dzwonek przez całe życie. Przywitało go życzliwe spojrzenie Cecylii, ciągle jeszcze za ladą, jakby się nigdy stamtąd nie ruszała. Jakby była obiektem wystawionym na sprzedaż, oczekującym na odpowiednio zamożnego kolekcjonera. Jak zawsze elegancka i umalowana. Nie ruszając się z miejsca, jakby czekała tam na mnie godzinami, poprosiła o całusa, jak wtedy, kiedy miałem dziesięć lat. Zapytała, jak się masz, synku, dobrze, odpowiedział, a ty?

– Czekamy tu na ciebie.

Adrian rozejrzył się wokół. W głębi jakaś nieznana mu dziewczyna cierpliwie czyściła miedziane przedmioty.

– Jeszcze nie przyszedł – powiedziała. Wzięła go za rękę, przyciągnęła bliżej i nie mogła oprzeć się pokusie przejechania ręką po jego włosach, tak jak Mała Lola. – Pojaśnią ci.

– Owszem.

– Z każdym dniem coraz bardziej upodabniasz się do ojca.

– Tak uważasz?

– Masz narzeczoną?

– Ech.

Otworzyła szufladę i zaraz ją zamknęła. Chwila ciszy. Może zastanawiała się, czy zadać to pytanie.

– Czemu tu nie pomyszkujesz?

– Pozwalasz mi?

– Ty tu rządzisz – odpowiedziała, rozkładając ręce. Przez chwilę Adrian miał wrażenie, że mu się oddawała.

Po raz ostatni rozejrzałem się po sklepowym uniwersum. Przedmioty się zmieniły, ale atmosfera i zapach były takie same. Zobaczył ojca, jak grzebie w dokumentach, pana Berenguera, rozmyślającego o wielkich sprawach i spoglądającego w kierunku drzwi wejściowych, Cecylię, wystrojoną i umalowaną, młodszą, uśmiechającą się do klientki, która kłóci się dla zasady, żeby zbić cenę wspaniałego biurka w stylu chippendale, ojca, jak wzywa pana Berenguera do gabinetu, jak się z nim zamyka i długo rozmawiają nie wiedzieć o czym, czy raczej wiadomo o czym. Wróciłem do Cecylii, która rozmawiała przez telefon. Kiedy skończyła, stanąłem przed nią:

– Kiedy odchodzisz na emeryturę?

– Na Boże Narodzenie. Nie chcesz zająć się sklepem, prawda?

– Nie wiem – skłamałem. – Pracuję na uniwersytecie.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

Odniosłem wrażenie, że chciała mi coś powiedzieć, ale w tej właśnie chwili wszedł pan Sagrera, przepaszając za spóźnienie, witając się z Cecylią i wskazując mi ręką, żebym udał się do gabinetu, wszystko naraz. Za zamkniętymi drzwiami administrator omówił sytuację i podał wartość, jaką miał aktualnie sklep. I chociaż mnie o to nie pytasz, muszę ci powiedzieć, że to interes opłacalny i przyszłościowy. Jediną przeszkodą był pan Berenguer, ale ty sam zrobiłeś z nim porządek. Przechylił

się do tyłu na krzesło, żeby dodać wagi swoim słowom:

- Interes opłacalny i przyszłościowy.
- Chcę go sprzedać. Nie chcę zajmować się handlem.
- A co w tym złego?
- Panie Sagrera...
- Ty tu rządysz. To twoje ostatnie słowo?
- Tak, panie Sagrera, to moje ostatnie słowo.

Wtedy pan Sagrera wstał, podszedł do sejfu i otworzył go. Zdziwiłem się, że pan Sagrera ma klucz do sejfu, a ja nie mam. Wyciągnął z niego kopertę.

- To od twojej matki.
- Do mnie?
- Powiedziała, żebym ci dał, jak zajrzysz do sklepu.
- Ale ja nie chcę...
- Kiedy zajrzysz do sklepu; nie kiedy zdecydujesz się go przejąć.

Koperta była zamknięta. Otworzyłem ją w obecności pana Sagrery. List nie zaczynał się od słów kochany Adrianie, mój najdroższy synu ani w ogóle nie miał żadnego nagłówka, nawet Adrian, uważaj, co robisz. To była lista instrukcji, zimna, ale praktyczna, porady, które okazały się nadzwyczaj przydatne.

Chociaż początkowo nie miałem takiego zamiaru, parę dni czy tygodni później, nie pamiętam dokładnie, uczestniczyłem w nielegalnej aukcji. Morral, księgarz z hali targowej Sant Antoni, wręczył mi adres z tajemniczą miną. Może niepotrzebna była ta tajemniczość, bo przynajmniej na pozór nie było tam żadnej ochronnej selekcji. Dzwoniłeś, ktoś ci otwierał i wchodziłeś do garażu w przemysłowej dzielnicy Hospitalet. W środku znajdowała się oszklona witryna, jak u jubilera, umiejętnie podświetlona, na której wyeksponowano obiekty. Na sam ich widok znów poczułem mrowienie i oblał mnie pot, jak zawsze, kiedy chciałem coś nabyć. I suchość w ustach. Wydaje mi się, że tak samo czuje się hazardzista przy automacie do gry. Lwia część przedmiotów, które ci pokazywałem jako zbiory mojego ojca, pochodziła z moich zakupów. Na przykład moneta wartości pięćdziesięciu dukatów z szesnastego wieku, która teraz warta jest miliony. Właśnie tam ją kupiłem. Nieźle nadszarpnęła zawartość mojej kieszeni. Później, na innych licytacjach albo drogą pospiesznej wymiany z ręki do ręki, przypominającej skok w przepaść, z innym kolekcjonerem obsesjonatem, zdobyłem pięć złotych florenów, monety wybite w Perpignan w czasach Jakuba III, króla Majorki. Co za przyjemność móc zamknąć je w dłoni i słuchać, jak brzęczą. Trzymając monety w garści, przypominałem sobie, jak ojciec wykladał mi historię Viala i różnych użytkowników, którzy przewinęli się w jego życiu, posługując się nim, próbując z niego wydobyć jak najlepszy dźwięk, szanując go i czcząc. Albo trzynaście złotych ludwików, wspaniałych, które w mojej ręce wydają taki sam dźwięk jak ten, który na starość koił nerwy Guillaume’a-François Viala. Mimo niebezpieczeństwa, jakim było trzymanie storioniego w domu, polubił instrument i nie chciał się z nim rozstać, dopóki nie dotarło do niego, że Monsieur La Guitte rozpuścił plotkę, że skrzypce słynnego Lorenza Storioniego mogą mieć jakiś związek z zabójstwem, wiele lat temu, Monsieur Leclaira. Wtedy tamte cenne skrzypce zaczęły palić mu ręce i dyskretna przyjemność posiadania stała się koszmarem. Postanowił pozbyć się ich jak najdalej od Paryża. Kiedy wracał z Antwerpii, po udanej, korzystnej sprzedaży, razem z futerałem przybrudzonym krwią zniechęconego tonton Jeana, skrzypce zamieniły się w bezpieczną sakiewkę z koziej skóry, wypełnioną złotymi ludwikami. Jakiż piękny ta sakiewka wydawała dźwięk. Przez głowę przemknęła mu myśl, że sakiewka jest jego przyszłością, kryjówką, triumfem nad chamstwem i próżnością tonton Jeana. Teraz już nikt nie będzie mógł go kojarzyć ze skrzypcami, które nabył Herr Arcan z Antwerpii. Tak samo dźwięczały złote ludwiki, kiedy ja nimi potrząsałem.

– Chciałabyś pojechać do Rzymu?

Laura spojrzała na mnie zdziwiona. Byli na dziedzińcu uniwersyteckim, pośród studentów, on z rękami w kieszeni, ona z pełną teczką, z którą wyglądała jak pan mecenas, gotowa do rozstrzygnięcia trudnej sprawy, tuż przed wejściem na salę sądową, a ja tymczasem tonąłem w spojrzeniu jej niebieskich oczu. Laura już nie była studentką spragnioną wiedzy. Była teraz asystentką lubianą przez studentów. Nadal miała niebieskie spojrzenie i kryła w sobie jakiś smutek. Adrian wpatrywał się w nią z niepewną miną, bo nakładały mu się na siebie twój wizerunek, Saro, i obraz tej kobiety, która, jak zauważył, nie miała szczęścia do chłopaków, z którymi chodziła.

– Słucham?

– Muszę tam jechać służbowo... Najwyżej pięć dni. Moglibyśmy wrócić w przyszły poniedziałek i nie przepadłyby ci żadne zajęcia.

Tak naprawdę to była całkowita improwizacja. Już od dawna Adrian zdawał sobie sprawę, że nie wie, jak zbliżyć się do tych niebieskich oczu. Chciałem zrobić pierwszy krok, ale nie wiedziałem, jak. Obawiałem się też, że podejmując tę decyzję, postąpię nielojalnie w stosunku do twojego wspomnienia. I wtedy przyszedł mu do głowy ten niewyszukany fortel; niebieskie spojrzenie rozweseliło się, a Adrian usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział Laurę bez uśmiechu. Zaskoczyła go jej reakcja: tak, jasne.

– Co jasne?

– Że jadę z tobą do Rzymu. – Spojrzała na niego niepewnie. – O to ci chodziło, tak?

Roześmiali się oboje, a on pomyślał, znów pakujesz się w kabałę, przecież nie masz zielonego pojęcia, jaka jest Laura, oprócz tego, że ją kojarzysz z błękitem.

W momencie startu i lądowania po raz pierwszy chwyciła go za rękę, i uśmiechając się nieśmiało, przyznała się, że panicznie boi się samolotów, na co on zareagował czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. Zrobiła nieokreślony gest, no wiesz, tak jakoś wyszło, co on zinterpretował po swojemu, że warto było narazić się na stres, żeby jechać z Ardèvolem do Rzymu; poczułem się dumny ze swojej siły przyciągania, droga Saro, chociaż chodziło tylko o młodziutką, dobrze zapowiadającą się asystentkę.

Rzym to nie igraszka, przeciwnie, to totalny chaos na ulicach, w którym rej wodzili taksówkarze samobójcy, jak ten, który dowiózł nas w rekordowym czasie z hotelu do zapchanej samochodami Via del Corso. Przed sklepem warzywnym rodziny Amato wyeksponowane w pełnym świetle dnia skrzynki pełne apetycznego towaru przyciągały wzrok przechodniów. Przedstawił się mężczyźnie z krótką brodą, który właśnie obsługiwał wymagającą klientkę, a ten wręczył mu wizytówkę i wskazał kierunek: w górę ulicy, w stronę Piazza del Popolo.

– Mógłbyś mi powiedzieć, co tu robimy?

– Zaraz się dowiesz.

– No dobrze, chciałabym zrozumieć, na czym polega moja rola.

– Na dotrzywaniu mi towarzystwa.

– Dlaczego?

– Bo się boję.

– Fantastycznie. – Musiała biec, żeby nadążyć za Adrianem, który stawiał długie kroki. – To może mi wyjaśnisz, w jakim filmie gramy, co?

– Patrz, już jesteśmy na miejscu.

Trzy bramy dalej przycisnął dzwonek domofonu i natychmiast rozległ się dźwięk wskazujący, że zamek został otwarty, jakby tu już na nich czekano. Na górze w drzwiach mieszkania czekał na nich mój anioł, który od dawna przestał nim być, z chłodnym uśmiechem. Adrian ucałował gospodynię i wskazał ją poufałym gestem Laurze:

– To moja przyrodnia siostra. Pani Daniela Amato.

A następnie przedstawił Laurę Daniela:

– To mój adwokat.

Laura zareagowała właściwie, wręcz fantastycznie. Nie drgnęła jej ani jedna rzęsa. Obie kobiety przez moment mierzyły się wzrokiem, jakby nawzajem szacowały siły, jakie trzeba będzie wytoczyć w starciu. Daniela zaprosiła ich do zadbanego salonu, gdzie na poczesnym miejscu stał kredens w stylu Sheratona, który z całą pewnością przeszedł kiedyś przez nasz sklep, a na nim zdjęcie młodziutkiego ojca z bardzo ładną dziewczyną, trochę podobną do Daniela. Domyśliłem się, że to legendarna Karolina Amato, rzymska miłość ojca, figlia del fruttivendolo Amato. Na fotografii była młodą kobietą o intensywnym spojrzeniu i delikatnej skórze. Doznałem dziwnego uczucia, mając przed sobą córkę tej dzierlatki, która w wieku pięćdziesięciu lat nie próbowała ukryć zmarszczek na twarzy. Moja przyrodnia siostra nadal była piękną i elegancką kobietą. Zanim zaczęliśmy rozmawiać, wysoki jak tyczka chłopak z krzaczastymi brwiami wniósł kawę na tacy.

– To mój syn, Tito – wyjaśniła Daniela.

– Piacere di conoscerti – powiedziałem, podając mu rękę.

– Nie wysilaj się – odpowiedział, stawiając delikatnie tacę na stoliku. – Mój ojciec jest z Vilafranki.

Wtedy Laura zaczęła piorunować mnie wzrokiem, pewnie uznała, że tego już za wiele, nie dość, że ubrałem ją w adwokacką togę, to teraz jeszcze miała wziąć udział w konwersacji z włoską częścią mojej rodziny, która była jej całkiem obojętna. Uśmiechnąłem się do niej i uspokajająco pogłaskałem po rękę; co o dziwo poskutkowało, jeden jedyny raz w życiu. Biedna Laura: wydaje mi się, że powinienem ze wszystkiego się przed nią wytłumaczyć, ale chyba już nie zdążę.

Kawa była wspaniała. Warunki sprzedaży sklepu również. Laura ograniczyła się do słuchania; ja podałem cenę, Daniela rzuciła Laurze dwa krótkie spojrzenia i zauważyła, że tamta dyskretnie przecząco powoli kręci głową, bardzo profesjonalnie. Mimo to, próbowała się targować:

– Nie odpowiada mi ta propozycja.

– Przepraszam – wtrąciła się Laura, a ja spojrzałem na nią zdziwiony. – Kontynuowała znużonym głosem: – To jedyna oferta, o jakiej może z panią rozmawiać pan Ardèvol.

Spojrzała na zegarek, jakby jej się spieszyło, i zamilkła z poważną miną. Minęło parę sekund, zanim Adrian zareagował i dodał, że do propozycji dołączona jest lista przedmiotów, które zostaną wycofane ze sklepu, zanim przejdzie on w twoje ręce. Daniela czytała powoli listę, którą jej wręczyłem, a ja tymczasem puściłem oko do Laury, bez wzajemności; nie chciała wyjść z roli poważnej pani mecenas.

– A obraz Urgella, który macie w domu? – podniosła głowę Daniela.

– To własność rodziny: nie należy do wyposażenia sklepu.

– A skrzypce?

– Również. Wszystko jest udokumentowane.

Laura podniosła rękę, jakby chciała prosić o głos, i z wystudiowaną, znużoną pozą, patrząc Danieli w oczy, powiedziała, pani musi zdawać sobie sprawę, że mowa jest o sklepie, którego wartość jest niemożliwa do oszacowania.

Och, Lauro.

– Co takiego?

Lepiej już nic nie mów.

– Czym innym jest przedmiot, czym innym jego wartość.

W złą godzinę powiedziałem chciałabyś pojechać do Rzymu, Lauro.

– Brawo. I co z tego?

– Że z każdym dniem rośnie jego wartość.

Lepiej, żebyś nie brnęła dalej.

– I?

– Czym innym jest cena, jaką państwo uzgodnią. – Laura mówiła, nie patrząc w moją stronę, jakby

mnie tam nie było. Kiedy ja powtarzałem w duchu zamilcz, bo wszystko popsujesz, do jasnej cholery, ona tymczasem ciągnęła dalej cokolwiek państwo uzgodnią w kwestii ceny, nigdy nie zbliżycie się nawet do wartości rzeczywistej.

– A tak z czystej ciekawości, pani mecenas, mogłaby mi pani powiedzieć, jaka jest ta rzeczywista wartość sklepu?

Też byłem ciekaw, Lauro. Ale może być lepiej już nas nie pogrążała, co?

– Nikt tego nie wie. Tyle a tyle peset to cena oficjalna. Żeby dojść do ceny rzeczywistej, trzeba dodać ciężar historii.

Cisza. Jakbyśmy musieli przetrwać te mądre słowa. Laura odgarnęła włosy z czoła, założyła je za uszy i pewnym siebie tonem, którego u niej wcześniej nie słyszałem, pochylając się w stronę Daniela, oświadczyła nie rozmawiamy przecież o jabłkach i bananach, pani Amato.

Nadal milczeliśmy. Wiedziałem, że Tito stoi za drzwiami, zdradzał go cień z krzaczastymi brwiami. Natychmiast wyobraziłem sobie, że on też jest osobą ogarniętą obsesją na punkcie przedmiotów, tak jak kiedyś mój ojciec, później matka, teraz ja, jak Daniela... Zarażony rodzinną obsesją. Cisza była tak gęsta, jakbyśmy wszyscy naraz usiłowali oszacować ciężar historii.

– Zgoda. Resztę uzgodnią adwokaci – zdecydowała Daniela, oddychając głęboko. Spojrzała na Laurę i powiedziała z lekką ironią historię będziemy przeliczać na miliony lirów kiedy indziej, jak będziemy w lepszym nastroju, pani mecenas.

Dopóki nie usiedliśmy jedno naprzeciw drugiego, nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. Minęły trzy kwadranse ciszy trudnej do oszacowania, ponieważ pogubił się zupełnie przy tej dziewczynie w kolorze słońca i błękitu. Kiedy już usiedli, zamówili i czekali, też w milczeniu, aż im przyniosą pierwsze danie. Laura nawinęła na widelec stos spaghetti, który natychmiast ześlizgnął się na talerz, i powiedziała:

– Jesteś skurczybykiem. – Pochylona nad talerzem, próbowała zjeść jedyny długi makaron, który ostał się na widelcu.

– Ja?

– Tak, rozmawiam z tobą.

– Dlaczego?

– Ani nie jestem twoim adwokatem, ani nie potrzebowałeś adwokata. – Odłożyła widelec na talerz. – A propos, rozumiem, że sprzedajecie antyki.

– Aha.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Miałaś się nie odzywać.

– Nikt mi nie dał instrukcji obsługi tej podróży.

– Przepraszam, to moja wina.

– Tak.

– Ale byłaś świetna w tej roli.

– Żebyś wiedział: miałam zamiar wszystko popsuć i uciec stamtąd biegiem, bo z ciebie kawał skurwysyna.

– Masz rację.

Laurze udało się złowić następny makaron, a ja, zamiast się przejąć jej słowami, pomyślałem, że w tym tempie nigdy nie skończy jedzenia. Chciałem wytłumaczyć jej teraz wszystko, o czym nie mówiłem wcześniej:

– Matka zostawiła mi dokładne wskazówki, jak mam sprzedać sklep Danieli, krok po kroku. Nawet poinstruowała mnie, jak mam się poruszać i gdzie mam patrzeć.

– A więc odgrywałeś teatr.

– W pewnym sensie. Ale ty byłaś ode mnie lepsza.

Oboje wpatrywali się w talerze, aż Adrian odłożył widelec i zakrył pełne usta serwetką.

– Wartość ciężaru historii! – zawołał i wybuchnął śmiechem.

Kolacja przebiegała dalej przy rwącej się co chwila konwersacji.

– Czyli twoja matka zostawiła ci instrukcję.

– Tak.

– A ty się do niej zastosowałaś.

– Tak.

– Zauważyłam... no, nie wiem, że byłeś jakiś inny.

– Inny niż co?

– Inny niż zwykle.

– A zwykle jaki jestem?

– Nieobecny. Zawsze jesteś myślami gdzie indziej.

Czekając na deser, w milczeniu sięgali po oliwki, nie wiedząc, o czym ze sobą rozmawiać. Aż Adrian powiedział, nie przypuszczałem, że była taka przewidująca.

– Kto?

– Moja matka.

Laura odłożyła widelec na stół i spojrzała mu w oczy.

– Dotarło do ciebie, że czuję się potraktowana instrumentalnie? – wróciła do poprzedniego tematu. – Zrozumiałeś to, po tym wszystkim, co ci powiedziałam?

Przyjrzałem się jej uważnie i zauważyłem, że błękitne spojrzenie robi się wilgotne. Biedna Laura: objawiła mi właśnie wielką prawdę o swoim życiu, a ja nie chciałem tego zrozumieć.

– Wybacz mi. Nie potrafiłbym zrobić tego sam.

Tamtej nocy Laura i ja kochaliśmy się, bardzo czule, bardzo ostrożnie, jakbyśmy się bali zrobić sobie krzywdę. Zaintrygowana obejrzała medalik, który Adrian miał na szyi, ale nic nie powiedziała. A potem rozpłakała się: po raz pierwszy Laura-śmieszka ujawniła przede mną swoją smutną naturę. Nie wtajemniczyła mnie w swoje problemy sercowe. Ja też o nic nie pytałem.

Po spacerze po Muzeach Watykańskich i po godzinie spędzonej na podziwianiu w milczeniu Mojżesza w Bazylice św. Piotra w Okowach, patriarcha postąpił krok naprzód, trzymając przed sobą tablice z wypisanym Prawem, a kiedy zbliżył się do swego ludu i zobaczył, że czci złotego cielca i tańczy wokół niego, rozpałił się gniew Mojżesza i wypuścił z rąk swoich na ziemię kamienne tablice, na których Jahwe wyrył swoim boskim pismem zasady nowego przymierza, jakie zawarł ze swoim ludem, i potłukły się na kawałki. Aaron pochylił się, żeby podnieść jeden kanciasty odprysk na pamiątkę, nie za duży, nie za mały, a tymczasem Mojżesz doniosłym głosem wołał: bando leniuchów, co mi tu do jasnej cholery wyczyniacie, czcząc fałszywych bogów za moimi plecami, kurewscy popaprańcy! A lud boży odpowiedział, wybacz Mojżeszu, to się więcej nie powtórzy. A on odpowiedział nie ja wam będę wybaczał, tylko Bóg miłosierny, przeciw któremu zgrzeszyliście, czcząc fałszywych bożków. Tym samym zasłużyliście na kamienowanie. Wszyscy. A kiedy wychodzili w południe na oślepiające rzymskie słońce, rozmyślając o kamieniach i rozbitych płytach, przypomniałem sobie, zupełnie bez związku, że sto lat temu, w roku hidzry tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym, w małym mieście Al-Hiswa przyszła na świat zapłakana dziewczynka, z twarzą jasną jak światło księżycy, a matka na jej widok powiedziała moja córeczka jest błogosławieństwem Miłosiernego Allacha; jest piękna jak księżyc i olśniewająca jak słońce, a ojciec, kupiec Azizzadeh, świadom delikatnego stanu swojej żony, zapytał, starając się ukryć przed nią swoją obawę, jakie nadamy jej imię, droga żono, a ona odpowiedziała nazwiemy ją Amani, a ludzie z Al-Hiswa będą ją nazywać piękną Amani, i zamilkła wyczerpana wysiłkiem, jakim było dla niej wydobyć z siebie paru słów, a jej małżonek Azizzadeh, z gorzkimi łzami w ciemnych oczach,

upewniwszy się wcześniej, że wszystko jest w porządku, wręczył białą monetę i koszyk daktyli akuszerce; spojrział zmartwiony na swoją żonę, a czarna chmura zawisła nad jego myślami. Azizzadeh usłyszał jeszcze prośbę matki wyrażoną łamiącym się głosem: jeśli umrę, strzeż złotego klejnotu na moją pamiątkę.

– Ty nie umrzesz.

– Posłuchaj. Kiedy z pięknej Amani popłynie pierwsza krew, podarujesz jej ten klejnot ode mnie. Żeby miała po mnie pamiątkę, drogi mężu. Pamiątkę po matce, której nie starczyło sił, by... – Zaczęła kaszleć.

– Przysięgnij – nalegała.

– Przysięgam ci, moja żono.

Akuszerka znów weszła do pokoju i powiedziała potrzebny jej odpoczynek. Azizzadeh pokręcił głową i wrócił do sklepu doglądać wyładunku pistacji i orzechów z Libanu, które właśnie dostarczono. Ale choćby zobaczył wyryte na takich tablicach jak te, na których dostali Prawo niewierni synowie Musy, którzy nazywają siebie narodem wybranym, Azizzadeh nigdy by nie uwierzył, jaki smutny koniec czeka piękną Amani za piętnaście lat, chwała niech będzie Bogu miłosiernemu.

– O czym myślisz?

– Słucham?

– Widzisz teraz, że myślami ciągle błędzisz gdzieś daleko?

Wyruszyliśmy do Barcelony pociągiem i dotarliśmy w środę: Laura pierwszy raz w życiu opuściła dwa zajęcia, bez uprzedzenia. Bastardes, który musiał się czegoś domyślać, nie robił jej wyrzutów. Ja, po operacji Rzym, wiedziałem już, że mogę sobie studiować, na co tylko przyjdzie mi ochota, prowadząc skromną liczbę zajęć, tyle tylko, żeby zachować kontakt ze środowiskiem akademickim. Czułem się tak, jakby, pomijając problemy sercowe, otworzyło się przede mną niebo. Pod warunkiem, że żaden apetyczny rękopis nie stanie na mojej drodze.

Adrian pozbył się ciężaru dzięki pomocy swojej oschłej matki, która pamiętając, jak bardzo jest niepraktyczny, nawet po śmierci czuwała nad synem, tak jak wszystkie matki na świecie, poza moją. Na samą myśl o tym czuję wzruszenie i zastanawiam się, czy jednak chwilami nie odczuwała do mnie czegoś w rodzaju miłości. Co się tyczy ojca, teraz już wiem na pewno, że czasami mnie podziwiał, ale jestem przekonany, że nigdy mnie nie kochał. Byłem jednym z wielu przedmiotów z jego wspaniałej kolekcji. Ten jeden z wielu przedmiotów wrócił z Rzymu z zamiarem zrobienia porządków, bo miał już dość potykania się o kartony książek sprowadzonych z Niemiec, których jeszcze nie otworzył. Zapalił światło i stała się światłość. Wezwał Bernata, żeby mu pomógł zaplanować idealny porządek, jakby Bernat był Platonem, a on Peryklosem, a mieszkanie w dzielnicy Eixample hałaśliwymi Atenami. Obaj mędracy zdecydowali, że w gabinecie pozostaną rękopisy, inkunabuły, które kiedyś kupię, delikatne przedmioty, książki rodziców, płyty, nuty oraz najczęściej używane słowniki, i oddzielili wody na dole od wód na górze, i powstało niebo z chmurami, oddzielone od wód pod sklepieniem. W sypialni rodziców, którą udało mu się przerobić na własną, zmieściła się poezja oraz wydawnictwa muzyczne, i zebrał wody spod nieba w jedno miejsce tak, że ukazała się powierzchnia sucha, a tę suchą powierzchnię nazwał ziemią, a zbiorowisko wód morzem i oceanem. W dziecięcym pokoju, pilnowanym nieustannie przez szeryfa Carsona i dzielnego Czarnego Orła, zawsze na straży na nocnej szafce, opróżnili z książek, które mu towarzyszyły w dzieciństwie, wszystkie regały, nie wnikając w ich zawartość, a ich miejsce zajęła historia, od niepamiętnych czasów aż po dzień dzisiejszy. A także geografia, a na ziemi pojawiły się drzewa i nasiona, wydające trawy i kwiaty.

– A co to za kowboje?

– Nie dotykaj!

Nie miał odwagi przyznać się, że nic nie zamierzał z nimi zrobić. To by było niesprawiedliwe. Powiedział tylko no, kiedyś ich wyrzucę.

– Hauk.

– Słucham.

– Wstydzisz się nas.

– Nie teraz, jestem bardzo zajęty.

Usłyszałem, jak szeryf, ukryty za wodzem Arapaho, splunął na ziemię z pogardą, zamiast komentarza.

Trzy długie korytarze w mieszkaniu zostały przeznaczone na prozę literacką uporządkowaną według języków. Planas otrzymał zamówienie na nowe regały, które ciągnęły się bez końca. W korytarzu do sypialni – języki romańskie. W korytarzu idącym od przedpokoju – języki słowiańskie i nordyckie, a w najszerszym korytarzu w głębi mieszkania – języki germańskie i anglosaskie.

– Jak możesz czytać w tak dziwnym języku? – zapytał nagle zaskoczony Bernat, wymachując egzemplarzem powieści *Пешчанук* Danilo Kiša.

– Trzeba się uzbroić w cierpliwość. Jak się zna rosyjski, serbski nie jest wcale taki trudny.

– Jak się zna rosyjski... – wymamrotał pod nosem Bernat, obrażony. Odłożył książkę na właściwe miejsce i wycedził przez zęby: – To żaden problem.

– W jadalni umieścimy krytykę literacką oraz teorię literatury i sztuki.

– Albo usuniesz szkło, albo cały kredens. – Wskazał ręką na ścianę, nie komentując białej plamy nad kredensem. Adrian spuścił oczy i powiedział: oddaję całe szkło w prezencie do sklepu. Mogą je sobie sprzedawać; niech się nacieszą. W ten sposób będę miał do dyspozycji powierzchnię trzech ścian. I tak powstały ryby i pływające istoty żywe i wszystkie potwory morskie. A pustkę, jaką pozostawił na ścianie

nieobecny obraz klasztoru Santa Maria de Gerri Modesta Urgella, zapełnili Welles, Warren, Kayser, Berlin, Steiner, Eco, Benjamin, Ingarden, Frye, Canetti, Lewis, Fuster, Johnson, Calvino, Mira, Todorov, Magris i inne przyjemności.

– Ile znasz języków?

– Nie wiem. Wszystko jedno. Jak już znasz kilka, zawsze możesz czytać w tak wielu, że tracisz rachunek.

– No proszę, właśnie to miałem na końcu języka – ironizował Bernat, nieco urażony. Po chwili, kiedy razem przesuwali kolejny mebel: – Nie przyznałeś się, że uczysz się rosyjskiego.

– A ty, że przygotowujesz drugi koncert Bartóka.

– Skąd wiesz?

– Mam swoje źródła. W prasowni umieszczę

– Prasownię zostaw w spokoju. – Przez Bernata przemówił głos zdrowego rozsądku. – Musisz umówić się z kimś, kto ci będzie odkurzał, prasował i zajmował się podobnymi sprawami. Taka osoba musi mieć swoje miejsce.

– Sam się tym zajmę.

– Gówno prawda. Wynajmij kogoś.

– Umiem usmażyć omlet, ugotować ryż, zrobić jajecznicę, przygotować makaron i inne kluski, wszystko, co chcesz. Omlet z ziemniakami. Sałatki. Warzywa z ziemniakami.

– Mówimy o ważniejszych sprawach: prasowaniu, szyciu, praniu. O krokietach i pieczonym kapłonie.

Co za nuda. Ale w końcu dał się przekonać Bernatowi i zatrudnił całkiem jeszcze młodą, energiczną kobietę, która miała na imię Caterina. Przychodziła w poniedziałki, zostawała do obiadu i dokładnie sprzątała całe mieszkanie. Prasowała. Szyła. Prawdziwe słońce w tych ciemnościach.

– Dobrze, ale do gabinetu proszę nie wchodzić. Zgoda?

– Jak pan sobie życzy – powiedziała, wchodząc i obrzucając całość fachowym okiem. – Ale powinien pan wiedzieć, że to największe skupisko kurzu.

– Nie jest tak źle, nie przesadzajmy...

– Skupisko kurzu, pełne tych srebrzystych paskudztw, które rozmnażają się w książkach.

– Nie przesadzaj, Mała Lolu.

– Caterina. Przynajmniej te stare książki trzeba odkurzyć.

– Mowy nie ma.

– To niech pan chociaż pozwoli zamieść i zmyć podłogę – targowała się dalej Caterina.

– Dobrze. Ale nie dotykaj niczego na stole.

– Nie mam takiego zamiaru – skłamała.

Mimo dobrych intencji zadeklarowanych na początku, Caterina musiała dzielić prasownię z albumami i encyklopediami, które zajęły ścianę wolną od szaf. Na nic się nie zdało ostentacyjne kręcenie nosem.

– Nie widzi pani, że już nigdzie nie ma miejsca? – Adrian negocjował błagalnym tonem.

– A przecież mieszkanie do małych nie należy. Po co panu tyle książek?

– Żeby je zjeść.

– Szkoda, takie ładne mieszkanie, a ścian nie widać.

Caterina obejrzała prasownię w nowej wersji i westchnęła będą musiała przyzwycząić się do pracy w sąsiedztwie książek.

– Nie przejmuj się, Mała Lolu. W ciągu dnia zachowują się spokojnie.

– Caterina – poprawiła Caterina, patrząc na niego spod oka, niepewna, czy sobie z niej żartuje, czy brak mu piątej klepki.

– A to wszystko, co przywiozłeś z Niemiec, to jaki dział? – zapytał któregoś dnia Bernat, dotykając nieufnie czubkami palców jednego z kartonów.

– Głównie filologia i filozofia. I trochę powieści. Böll, Grass, Faulkner, Mann, Llor, Capmany, Roth, takie tam.

– Gdzie chcesz to postawić?

– Filozofię w przedpokoju, razem z matematyką i astronomią. Filologię i językoznawstwo w pokoju Małej Loli. A powieści trafią do stosownych korytarzy.

– No to gotowe.

– Z jaką orkiestrą będziesz grał Bartóka?

– Z moją. Chcę prosić o przesłuchanie.

– Fajnie, nie?

– Zobaczymy, jak zabrzmii flet.

– Raczej skrzypce.

– Tak. Musisz zamówić więcej półek.

Zamówił, a Planas cieszył się jak dziecko, że nie słabnie zapal Adriana do porządkowania domu. W czwartym dniu stworzenia Caterina odniosła ważne zwycięstwo, ponieważ uzyskała od Pana zgodę na odkurzenie wszystkich książek w mieszkaniu, poza gabinetem. Zdecydowała, że w zamian za niewielką podwyżkę będzie przychodzić również w czwartki rano, co dawało gwarancję, że każda książka zostanie odkurzona raz w roku. Adrian odpowiedział jak sobie życzysz, Mała Lolu, ty lepiej się na tym znasz niż ja.

– Caterina.

– A ponieważ zostało jeszcze wolne miejsce, w pokoju gościnnym będzie religia, teologia, etnologia i klasyka grecko-rzymska.

W tym momencie Pan oddzielił wody i pozostawił suchą ziemię, i stworzył morza i oceany.

– Powinieneś... Co wolisz, psy czy koty?

– Nie, nie, nic. – Z naciskiem: – Nic.

– Nie chcesz, żeby ci tu srały, co?

– Nie, nie w tym rzecz.

– Jasne, skoro tak twierdzisz... – zgodził się Bernat z ironią w głosie, odkładając stos książek na ziemię. – Ale przydałoby ci się jakieś zwierzę do towarzystwa.

– Nie chcę, żeby mi tu ktoś umierał, rozumiesz? – powiedział, wypełniając drugi regał naprzeciwko łazienki prozą w językach słowiańskich. I zaroiła się ziemia od zwierząt domowych i dzikich, które zostały stworzone, i widział, że były dobre.

Siedząc na ciemnej podłodze w korytarzu, z nostalgią wracali do dzieciństwa:

– O kurczę, Karol May. Ja też mam cały komplet.

– Popatrz: Salgari. Dziesięć, nie: dwanaście powieści.

– I Verne. Ja miałem wydanie z ilustracjami Dorégo.

– Gdzie je trzymasz?

– Nie mam pojęcia.

– I Enid Blyton. Słaba jest. Ale przeczytałem wszystko, co napisała, ze trzydzieści razy.

– Co zrobisz z *Przygodami Tintina*?

– Nie chcę ich wyrzucać. Ale nie mam pojęcia, gdzie je położyć.

– Masz jeszcze dużo miejsca.

A wtedy Pan rzekł tak, mam wiele miejsca, ale chcę je zostawić na nowe książki, które będę kupował. Teraz mam problem, gdzie wstawić Karola Maya i Jules'a Verne'a, rozumiesz? A tamten go zrozumiał. I ujrzeni, że w łazience było jeszcze trochę wolnej ściany między szafką a sufitem, i Planas, podekscytowany, wykonał im podwójną, solidną półkę, na której zmieściła się cała dziecięca literatura.

– Czy ta półka się nie zawali?

– Gdyby spadła, to zobowiązuję się przyjść i zostać na stałe, żeby ją osobiście podtrzymywać.

– Jak Atlas.

– Słucham?

– Jak kariatyda.

– No, nie wiem. Ale zapewniam pana, że nie spadnie. Może pan srać spokojnie. Przepraszam. Chcę powiedzieć, żeby się pan nie przejmował.

– A w małej ubikacji prasa.

– Dobry pomysł – pochwalił Bernat, przenosząc dwadzieścia kilo historii starożytnej korytarzem, który zajmowała proza w językach romańskich, do dziecięcego pokoju Adriana.

– A w kuchni książki kucharskie.

– Musisz mieć bibliografię, żeby usmażyć jajko?

– To książki matki, nie chcę ich wyrzucać.

Wypowiadając słowa uczynmy człowieka na Nasz obraz i podobieństwo, pomyślał o Sarze. O Laurze. Nie, o Sarze. Nie, o Laurze. Nie wiem, w każdym razie o kimś pomyślał.

A siódmego dnia Adrian i Bernat odpoczywali i zaprosili Teklę, by obejrzała dzieło stworzenia, a po zwiedzaniu zasiedli w fotelach w gabinecie. Tekla, która była wtedy w ciąży z Llorençem, podziwiała ich trud i zasugerowała mężowi zobaczmy, czy któregoś dnia zdecydujesz się uporządkować swoje rzeczy w naszym domu. Pili herbatę kupioną w sklepie Múrria, naprawdę znakomitą. Nagle Bernat podskoczył, jakby usiadł na pinezce:

– Gdzie trzymasz storioniego?

– W sejfie.

– Wyciągnij go. Powinien mieć dostęp powietrza. Musisz na nim grać, żeby nie przygasł jego głos.

– Owszem, gram. Próbuję odzyskać dawny poziom. Gram na nim namiętnie i zaczynam kochać ten instrument.

– Ten storioni daje się kochać bez powodu – wycedził Bernat przez zęby. – Ma niesamowity dźwięk.

– Prawda, że również grasz na pianinie? – zainteresowała się Tekla.

– Na poziomie podstawowym. – Tonem usprawiedliwienia: – Jak się mieszka samemu, ma się dużo czasu dla siebie.

Siedem dwa osiem zero sześć pięć. Vial był jedynym przedmiotem przechowywanym w sejfie. Kiedy go wyjmował, miał wrażenie, że instrument pobladł od długiego przebywania w kazamatach.

– Biedaczek. Dlaczego nie umieścisz go z inkunabułami w szafie?

– Dobry pomysł. Ale ze względu na warunki ubezpieczenia...

– Pieprzyć ubezpieczenie. Kto miałby ci go ukraść?

Adrian wręczył skrzypce przyjacielowi gestem, który w założeniu miał być uroczysty. Zagraj coś, poprosił. Bernat dostroił instrument, zwracając uwagę na re, i zagrał dwie fantazje Beethovena tak, że domyślaliśmy się orkiestry w tle. Ja uważałem, nadal uważam, że grał rewelacyjnie, tak, jakby dojrzał w tym czasie, który spędziliśmy daleko od siebie, i pomyślałem, że gdyby nie obecność Tekli, powiedziałbym mu stary, czemu się upierasz przy pisaniu, choć pisanie ci nie wychodzi, i nie poświęcisz się temu, co robisz naprawdę dobrze, co?

– Nie wkurzaj mnie – brzmiała odpowiedź Bernata, kiedy mu przedstawiłem mój punkt widzenia tydzień później. A Pan podziwiał swoje dzieło i orzekł, że było bardzo dobre, bo miał cały wszechświat w domu, mniej więcej zgodny z uniwersalną klasyfikacją dziesiątną. I powiedział książkom bądźcie płodne i mnożcie się, abyście uczyniły sobie dom poddanym.

– Nigdy nie widziałam tak wielkiego mieszkania – powiedziała ze szczerym podziwem Laura, jeszcze zanim zdążyła zdjąć płaszcz.

– Możesz tu powiesić.

– Ani tak ciemnego.

– Ciągłe zapominam podnieść żaluzje. Zaczekaj.

Pokazał jej to, co w całym mieszkaniu najbardziej się nadawało do pokazania, a kiedy weszli do gabinetu, nie mógł się oprzeć pokusie zademonstrowania swojej największej dumy.

– Coś takiego, to skrzypce?

Adrian wyciągnął je z szafy i podał dziewczynie do rąk. Widać było, że nie wie, co z nimi zrobić. Wtedy umieścił instrument pod lupą i zapalił światło.

– Przeczytaj, co jest w środku.

– Laurentius Storioni Cremonensis... – odczytywała z trudem, ale i z zapałem – me fecit w tysiąc siedemset sześćdziesiątym czwartym. Niesamowite. – Podniosła głowę z podziwem. – To musiało cholernie... chciałam powiedzieć bardzo dużo kosztować.

– Tak przypuszczam. Nie wiem.

– Nie wiesz? – Z otwartymi ze zdziwienia ustami oddała instrument, jakby jej parzył rękę.

– Nie chcę wiedzieć.

– Dziwak z ciebie, Adrian.

– Tak.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Podoba mi się ta dziewczyna. Ale zawsze, kiedy o nią zabiegam, myślę o tobie, Saro, i zastanawiam się, co sprawiło, że na drodze naszej miłości, która miała być wieczna, stanęło tyle przeszkód. W tamtym momencie jeszcze nie potrafiłem tego zrozumieć.

– Grasz na skrzypcach?

– E tam. Trochę.

– No, zagraj coś.

– Och.

Zorientowałem się, że Laura nie znała się za dobrze na muzyce. Pomyliłem się: w ogóle się nie znała. Ale ponieważ wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, zagrałem jej z pamięci, trochę przy tym improwizując, intermezzo *Medytacje* z opery *Thaïs*, bardzo efektowny kawałek. Z zamkniętymi oczami, bo nie pamiętałem dokładnie układu palców i musiałem się skoncentrować. A kiedy Adrian otworzył oczy, Laura płakała szczerymi, błękitnymi łzami i patrzyła na mnie tak, jakbym był jakimś bogiem czy potworem; zapytałem Lauro, co się dzieje, nie wiem, odpowiedziała, chyba się wzruszyłam, tu mnie coś ścisnęło, położyła rękę na żołądku; to efekt rewelacyjnego brzmienia skrzypiec, odpowiedziałem. W tym momencie już dłużej nie mogła się powstrzymać i rozplakała się na dobre. Była naprawdę śliczna, kiedy rozmazał jej się tusz, a ja dopiero wtedy zauważyłem, że miała dyskretny makijaż. Ale tym razem nie potraktowałem jej instrumentalnie, tak jak w Rzymie. Przyszła, ponieważ rano zapytałem ją chcesz przyjść na oblewanie mojego mieszkania? A ona, wychodząc zdaje się z lekcji greki, zdziwiła się co, przeprowadziłeś się? Ja na to, że nie. Na to ona, urządzasz imprezę? Znów ja nie, ale wszystko w domu zmieniłem, i...

– Będzie dużo gości?

– Mnóstwo.

– Kto taki?

– No ty i ja.

Przyszła. Kiedy uspokoiła się po spontanicznym szlochu, siedziała jeszcze przez chwilę zamyślona na sofie, za którą szpiegowałem całymi godzinami w towarzystwie szeryfa Carsona i jego dzielnego przyjaciela.

Na nocnej szafce w dziale historii i geografii trzymał straż Czarny Orzeł. Kiedy tam weszliśmy, wzięła go do ręki i obejrzała, a dzielny wódz Arapaho nie pisnął ani słowa, i odwróciła się do mnie, chcąc coś powiedzieć, ale Adrian udał, że nic nie zauważył, i szybko zmieniła zamiar. Pocałowałem ją. Całowaliśmy się. Bardzo czule. Potem odprowadziłem ją do domu, przekonany, że myślę się co do tej

dziewczyny i że najprawdopodobniej robię jej krzywdę. Ale jeszcze nie wiedziałem, dlaczego.

A właściwie wiedziałem. Ponieważ w niebieskich oczach Laury szukałem twoich czarnych oczu uciekinierki, a czegoś takiego żadna kobieta nie może wybaczyć.

Schody były ciemne i wąskie. Im wyżej wchodziłem, tym gorsze miałem samopoczucie. Dom wyglądał jak zabawka, domek dla lalek pozbawiony światła. Trzecie piętro, mieszkanie numer jeden. Dzwonek, naśladujący dźwięk dzwonu, zrobił ding, a potem dong. Później zapadła cisza. Dochodziły tylko krzyki dzieci na wąskiej, ciemnej ulicy położonej na krańcach dzielnicy Barceloneta. Kiedy już doszedłem do wniosku, że musiałem się pomylić, najpierw z mieszkania dobiegł jakiś słaby szum, a później drzwi otworzyły się cichutko, powoli. Nigdy ci tego nie mówiłem, Saro, ale to był z pewnością najważniejszy dzień w moim życiu. Oparta o drzwi, zniszczona chorobą, postarzała, ale jak zwykle zadbana i schludna, przez chwilę w milczeniu patrzyła mi w oczy, jakby się zastanawiała, skąd się tam wziąłem. Wreszcie zareagowała, otworzyła drzwi na oścież i cofnęła się, żeby wpuścić mnie do środka. Wkrótce całkiem wyłysiejesz, powiedziała, zamykając za mną.

Weszliśmy do małego pomieszczenia, które było jednocześnie jadalnią i salonem. Na ścianie, na poczesnym miejscu, obraz Urgella przedstawiający klasztor Santa Maria de Gerri, oświetlony późnym słońcem, które zachodziło za Trespuí. Adrian zaczął się usprawiedliwiać: dowiedziałem się, że jesteś chora i...

- A jak się dowiedziałeś?
- Przez znajomego lekarza. Jak się czujesz?
- Czuję się zaskoczona twoją obecnością.
- Nie, pytam o zdrowie.
- Umieram. Napij się herbaty?
- Tak.

Znikła w korytarzu. Kuchnia była na wyciągnięcie ręki. Adrian patrzył na obraz, jakby odnalazł starego znajomego, który mimo upływu lat zupełnie się nie zmienił. Odetchnął głęboko i poczuł zapach wiosennego pejzażu, a nawet udało mu się dosłyszeć szum rzeki i poczuć chłód, jakiego doznał Ramon de Nolla, kiedy tam dotarł w poszukiwaniu swojej ofiary. Stał tak, wpatrując się w obraz, aż poczuł za sobą obecność Małej Loli. Przyniosła dwie filiżanki na tacy. Adrian zwrócił uwagę na skromny wystrój tego maleńkiego mieszkanka, które spokojnie w całości zmieściłoby się w jego gabinecie.

- Dlaczego nie zostałeś ze mną?

– Tu mi dobrze. To jest mój dom, był, zanim zaczęłam towarzyszyć twojej matce, i później. Nie narzekam. Słyszysz? Nie narzekam. Przeżyłam już siedemdziesiąt lat, więcej niż twoi rodzice, i żyłam, jak chciałam.

Usiedli przy stole. Łyk herbaty. Adrian dobrze się czuł w ciszy. Po chwili:

- To nieprawda, że łysieję.
- Tak mówisz, bo nie widzisz siebie z tyłu. Wyglądasz, jak franciszkanin.

Adrian uśmiechnął się. To była ta Mała Lola, jaką znał. Nadal pozostała jedyną osobą na świecie, która nigdy nie kręciła nosem zde gustowana.

- Bardzo dobra ta herbata.
- Dostałam twoją książkę. Trudno się czyta.
- Wiem, ale chciałem, żebyś ją miała na własność.
- Co robisz poza tym, że pisziesz i czytasz?
- Gram na skrzypcach. Całymi godzinami, dniami i miesiącami.
- No proszę! To dlaczego wtedy je rzuciłeś?
- Dusiałem się. Wtedy musiałem dokonać wyboru, albo ja, albo skrzypce. Wybrałem siebie.

– Jesteś szczęśliwy?

– Nie. A ty?

– Tak. Bardzo. Nie całkiem.

– Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Tak. Dlaczego jesteś taki niespokojny?

– No bo... cały czas myślę, że gdybyś sprzedała obraz, mogłabyś kupić większe mieszkanie.

– Dziecko, ty nic nie rozumiesz.

Zamilkli. W spojrzeniu, jakim objęła obraz Urgella, widać było, że nawykła do oglądania tego pejzażu i do nieświadomionego odczuwania chłodu, jaki przeszywał do szpiku kości uciekiniera, brata Michała z Susquedy, kiedy szukał w nim schronienia z dala od groźby Bożej sprawiedliwości, na drodze do Buralu. Upłynęło w ciszy dobre pięć minut, kiedy pili herbatę i wspominali, każde osobno, różne chwile ze swego życia. Wreszcie Adrian Ardèvol spojrzął jej w oczy i powiedział Mała Lolu, bardzo cię kocham, jesteś bardzo dobrym człowiekiem. Wypiła ostatni łyk herbaty, spuściła głowę i odczekała chwilę w ciszy, zanim zaczęła mówić, że to, co jej przed chwilą powiedział, to nieprawda, bo twoja matka nakazała mi Mała Lolu, musisz mi pomóc.

– O co chodzi, Carme? – spłoszył ją dziwny ton głosu.

– Znasz ją?

Położyła na kuchennym stole zdjęcie ładnej dziewczyny, ciemnowłosej i ciemnookiej. – Widziałaś ją kiedyś?

– Nie. Co to za jedna?

– Dziewczyna, która próbuje zawrócić w głowie Adrianowi.

Carme usiadła obok Małej Loli i wzięła ją za rękę.

– Muszę cię prosić o przysługę – powiedziała.

Kazała mi was śledzić, ciebie i Sarę, żeby się upewnić, czy było prawdą to, co ustalił wynajęty przez nią detektyw. Tak: trzymaliście się za rączki na przystanku tramwaju 47 na Gran Via.

– Carme, oni się kochają – powiedziała.

– To niebezpieczne – upierała się Carme.

– Twoja matka wiedziała, że ta dziewczyna chciała cię omotać.

– O mój Boże – westchnął Adrian. – Co znaczy, że chciała mnie omotać?

Mała Lola spojrzała zdziwiona na Carme i powtórzyła pytanie:

– Co znaczy, że chce go omotać? Carme, nie widzisz, że oni się kochają, co?

Tym razem pytanie padło w trakcie rozmowy w gabinecie pana Ardèvola. Stały naprzeciw siebie, a Carme przyznała się kazałam sprawdzić rodzinę tej panny: nazywają się Voltès-Epstein.

– I co z tego?

– Są Żydami.

– Aha. – Pauza. – I co z tego?

– Nie mam nic przeciwko Żydom, nie w tym rzecz. Ale Feliks... Ach, moja droga, nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Spróbuj.

Carme zrobiła parę kroków, otworzyła drzwi, jakby chciała się upewnić, czy Adrian jeszcze nie wrócił, choć to akurat wiedziała doskonale, zamknęła drzwi i powiedziała cicho, że Feliks prowadził jakieś interesy z jej rodziną i...

– I co?

– No i pokłócili się. Powiedzmy, że bardzo się poróżnili.

– Carme, Feliks już nie żyje.

– Ta dziewczyna stanęła nam na drodze, żeby namącić. Jestem przekonana, że interesuje ją sklep. – I dodała szeptem: – Nie chodzi jej o Adriana.

– Carme...

– Jest bardzo wrażliwy. Chodzi z głową w chmurach i łatwo go wodzić za nos.

– Jestem przekonana, że dziewczyna nic nie wie o sklepie.

– Jesteś naiwna. Dobrze nas znają.

– Tego nie możesz być pewna.

– Tak. Dwa tygodnie temu była w sklepie z jakąś panią, przypuszczam, że ze swoją matką.

Zanim zadały pytanie, najpierw się rozejrzały, jak często robią klienci, ale bez pośpiechu, jakby chciały oszacować wszystko, całą wartość handlową. Carme wypatrzyła je ze swojego gabinetu i od razu rozpoznała dziewczynę, z którą potajemnie spotykał się Adrian: wtedy poszczególne elementy układanki trafiły na swoje miejsce i zrozumiała, że za tajemniczością tamtej dziewczyny coś się kryje, jakiś niejasny cel. Zajął się nimi Cecylia, od której Carme usłyszała później, że są cudzoziemkami, najprawdopodobniej Francuzkami, wniosując po wymowie „pahasole” i „lustho”, bo pytały o stojak na parasole i dwa lustra, ale zauważyła, że nie interesuje ich tak naprawdę żaden konkretny przedmiot, jakby tylko chciały się rozejrzeć. Rozumie mnie pani, pani Ardèvol? Tego samego wieczoru Carme Bosch zadzwoniła do agencji Espelletta, chciała mówić z właścicielem i zleciła nową sprawę, bo nie mogła tolerować, żeby ktoś wykorzystywał uczucia jej syna do jakichś ciemnych interesów. Tak, jeśli to możliwe, ten sam detektyw.

– Ale skąd... Matka... Przecież spotykaliśmy się z Sarą w tajemnicy!

– No widzisz... – Mała Lola spuściła głowę i wbiła wzrok w ceratę na stole.

– Jak mogła podejrzewać, że...

– Mistrz Manlleu. Kiedy mu powiedziałeś, że definitywnie rzucasz skrzypce.

– Co powiedziałaś? – Uniosły się gęste, białe, nastroszone brwi, jak burzowe chmury nad oczami, które wychodziły z orbit zaniepokojonego, oburzonego mistrza Manlleu.

– Że jak się skończy kurs, zdaję egzaminy i zostawiam skrzypce. Na zawsze.

– To przez tę dziewczynę, która ci zawraca głowę.

– Jaką dziewczynę?

– Nie udawaj Greka. Widziałeś kiedyś, żeby normalni ludzie trzymali się za rączki przez całą czwartą symfonię Brucknera? Co?

– No dobrze, ale...

– Z daleka rzucaliście się w oczy, papużki nierozłączki, usadowieni na parterze, jak polukrowane gołąbki na torcie.

– To nie ma nic wspólnego z decyzją o

– To ma wiele wspólnego z decyzją o. Ta harpia ma na ciebie zły wpływ. Musisz to przerwać w porę. Zanim ochłonałem z oburzenia na taką bezczelność, zdążył jeszcze mnie dobić:

– Masz się ożenić ze skrzypcami.

– Pan wybaczy, mistrzu. To moje życie.

– Jak sobie życzysz, mądralo. Ale uprzedzam cię, że skrzypiec nie rzucisz.

Adrian Ardèvol zamknął futerał, robiąc przy tym więcej hałasu, niż trzeba. Wstał i spojrzał geniuszowi prosto w oczy. Teraz był od niego pół dłoni wyższy.

– Skrzypce już mi zobojeźniały, mistrzu Manlleu, czy się to panu podoba, czy nie. Matka też się dzisiaj dowie.

– O! Czyli że byłeś uprzejmy najpierw mnie poinformować.

– Tak.

– Nie zostawisz skrzypiec. Za parę miesięcy będziesz mnie błagał na kolanach, a ja ci powiem, bardzo mi przykro, dziecko, mam grafik wypełniony. I wtedy będziesz żałował. – Spiorunował go wzrokiem. – Wychodziłeś już, prawda?

Później natychmiast powiadomił matkę, że stanęła ci na drodze jakaś dziewczyna, a Carme wyciągnęła

wniosek, że wszystkiemu winna była Sara, i uznała ją za swojego wroga.

– O mój Boże.

– Również z powodu, o którym... To, co ci mówiłam o rodzinie Epstein, że...

– O mój Boże.

– Prosiłam ją, żeby tego nie robiła, ale napisała list do matki Sary.

– Co jej napisała? Czytałaś?

– Jakies wymysły, przypuszczam, że było tam coś złego na twój temat. – Długa cisza, spędzona na oglądaniu ceraty na stole. – Nie czytałam go.

Rzuciła okiem na Adriana, który szeroko otworzył oczy, zdumione i pełne łez, i znów skoncentrował się na ceracie.

– Matka chciała trzymać tę dziewczynę na dystans, daleko od twojego życia. I od sklepu.

– Ta dziewczyna ma na imię Sara.

– Tak, przepraszam, Sara.

– O mój Boże.

Krzyki dzieci na ulicy stopniowo cichły. Światło na zewnątrz też słabło. Tysiąc lat później, kiedy w jadalni panował już półmrok, Adrian, który bawił się filiżanką, spojrzał na Małą Lolę.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Byłam lojalna wobec twojej matki. Naprawdę, Adrian, chłopcze: bardzo mi przykro.

Mnie jest jeszcze bardziej przykro, dlatego że wyszedłem z domu Małej Loli bardzo urażony, prawie bez pożegnania, i nie powiedziałem jej Lolu, martwię się twoją chorobą. Pożegnałem się zdawkowo i nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Huitième arrondissement; quarante-huit rue Laborde. Dość ponura kamienica czynszowa, z fasadą osmaloną dymem. Przycisnął dzwonek i drzwi otworzyły się, wydając suchy, ostrzegawczy dźwięk. Na skrzynce na dole sprawdził, że musi się wdrapać na sixième étage. Wolał iść, niż jechać windą, żeby wyładować nadmiar energii wywołany paniką. Kiedy dotarł na miejsce, musiał odczekać parę minut, aż uspokoiło się bicie serca i wyrównał oddech. Przycisnął dzwonek, który odezwał się bszbzbzbz, jakby wzywał do zachowania dyskrecji. Na podeście było dość ciemno, a drzwi ciągle były zamknięte. Ciche kroki? Tak? Otworzyły się.

– Cześć.

Na mój widok zastygłaś z otwartymi ustami. Nie wyobrażasz sobie, jak waliło mi serce na twój widok, po tylu latach. Znać było upływ czasu; nie chcę powiedzieć, że się postarzałaś, ale byłaś starsza, choć ciągle urocza. Piękna dojrzałą urodą. I wtedy pomyślałem sobie, że nikt nie miał prawa odbierać nam młodości, tak jak nam się przydarzyło. Za tobą, na konsoli, stał piękny bukiet kwiatów, ale ich kolor wydał mi się smutny.

– Saro.

Milczała. Rozpoznała mnie oczywiście, ale nie byłem tu oczekiwany. Źle trafiłem, nie zostałem dobrze przyjęty. Już idę, przyjdę innym razem, kocham cię, chciałbym, chcę z tobą porozmawiać o... Saro.

– Czego chcesz?

Jak sprzedawca encyklopedii, który wie, że ma pół minuty, żeby tak się zaprezentować, by sceptyczny klient nie zamknął mu drzwi przed nosem, tak Adrian otworzył usta i zmarnował trzynaście sekund, zanim wyduślił z siebie oszukali nas, zostałaś oszukana, uciekłaś, bo opowiedziano ci o mnie jakieś straszne rzeczy. To było kłamstwo. I równie straszne rzeczy o moim ojcu. To była prawda.

– A list, w którym nazwałeś mnie parszywą Żydówką i kazałeś mi się wypchać moją nadętą rodziną, to co?

– Nigdy nie wysyłałem do ciebie żadnego listu! Przecież mnie znasz!

– Nie.

Encyklopedia jest bardzo przydatna w każdej kulturalnej rodzinie, takiej jak pańska, szanowna pani.

– Saro. Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że to były intrygi mojej matki.

– W samą porę. Kiedy to było?

– Dawno! Ale ja się o tym dowiedziałem pięć dni temu! Tyle dni potrzebowałem, żeby cię zlokalizować! To ty zniknęłaś!

Dzieło tego rodzaju zawsze się przyda, pani, mężowi i dzieciom. Ma pani dzieci? Ma pani męża? Wyszłaś za mąż, Saro?

– Myślałem, że uciekłaś z powodu własnych problemów, i nie mogłem się dowiedzieć, gdzie cię szukać. Nawet twoi rodzice...

W dwudziestu dwóch bardzo wygodnych ratach. A dziesięcioma tomami będzie się pani mogła cieszyć już od pierwszego dnia.

– Twoja rodzina nienawidziła mojego ojca, ponieważ...

– Nie musisz mi tego wyjaśniać.

Może pani zatrzymać ten tom, żeby go sobie obejrzeć. Wróć, no nie wiem, w przyszłym roku, ale proszę się nie gniewać.

– Ja nic o tym nie wiedziałem.

– Ten list, który napisałeś... Sam osobiście wręczyłeś go mojej matce. – Ręka przytrzymująca drzwi

zadrżała, jakby lada moment miała mi je zamknąć przed nosem. – Tchórz!

– Nie napisałem żadnego listu. To wszystko kłamstwo! Niczego nie dawałem twojej matce. Przecież nawet nie pozwoliłaś mi jej poznać!

Desperacki atak przed wycofaniem się; niech pani nie udaje, szanowna pani, że nie jest pani osobą kulturalną i zainteresowaną tym, co się dzieje na świecie!

– Pokaż mi go! Nie umiesz rozpoznać mojego pisma? Nie zorientowałaś się, że jesteś oszukiwana?

– Pokaż mi go... – powtórzyła z sardonicznym uśmiechem. – Porwałam go na kawałki i spaliłam: ociekał nienawiścią.

Mój Boże, nóż się otwiera w kieszeni. Co mam począć, co mam począć?

– Nasze matki manipulowały nami.

– Troszczę się o dobro mojego syna i myślę o jego przyszłości – oświadczyła pani Ardèvol.

– A ja o dobro mojej córki – odpowiedziała lodowato pani Voltes-Epstein. – Nie jestem bynajmniej zainteresowana, by utrzymywała stosunki z pani synem. – Z nieprzyjaznym uśmiechem: – Już sam fakt, że jest synem swojego ojca, przekreśla go w moich oczach.

– Więc nie ma o czym mówić: czy może pani wysłać gdzieś córkę na jakiś czas?

– Nie będzie mi pani rozkazywać, co mam robić.

– Dobrze. Proszę przekazać córce list od mojego syna.

Podawała jej zamkniętą kopertę. Rachel Epstein zastanowiła się przez moment, ale wzięła ją do ręki.

– Może go pani przeczytać.

– Niech mi pani nie mówi, co mam robić.

Rozstały się chłodno; doskonale się zrozumiały. A pani Voltes-Epstein otworzyła list, zanim przekazała go Sarze, oczywiście, że tak, Adrianie.

– Nie napisałem do ciebie żadnego listu...

Na podeście szóstego piętra przy ulicy Laborde w huitième arrondissement zapanowała cisza. Schodząca z góry sąsiadka ze śmiesznym pieskiem pozdrowiła Sarę niewyraźnym gestem, a ta odpowiedziała jej roztargnionym skinieniem głowy.

– Czemu nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie zadzwoniłaś? Nie zrobiłaś mi awantury?

– Uciekłam z płaczem, powtarzając nie, nie zniosę tego ponownie, to niemożliwe.

– Ponownie?

Miałaś teraz łzy w oczach, wywołane wspomnieniem tamtej nieznaney historii.

– Już mnie spotkała podobna przykrość. Nim cię poznałam.

– Mój Boże. Saro, jestem niewinny. Ja też odchorowałem twoją ucieczkę. Dopiero pięć dni temu dowiedziałem się, dlaczego to zrobiłaś.

– A jak mnie odnalazłeś?

– Przez tę samą agencję, która nas śledziła. Kocham cię. Tęskniłem za tobą każdego dnia. Pytałem o ciebie twoich rodziców, ale nie chcieli mi powiedzieć ani gdzie jesteś, ani dlaczego uciekłaś. To było straszne.

Stali ciągle na podeście szóstego piętra w huitième arrondissement, w otwartych drzwiach, przez które padało światło na sylwetkę Adriana, a ona ciągle nie zapraszała go do środka.

– Kocham cię. Chcieli zniszczyć naszą miłość. Rozumiesz?

– Zniszczyli ją.

– Nie rozumiem, jak mogłaś uwierzyć w to, co usłyszałaś.

– Byłam bardzo młoda.

– Miałaś już dwadzieścia lat!

– Adrian, zrozum, miałam tylko dwadzieścia lat. – Z wahaniem: – ...Powiedzieli mi, co mam robić, a ja to zrobiłam.

– A ja?

- Tak, owszem. Ale to było straszne. A twoja rodzina...
- Co.
- Twój ojciec... to, co zrobił.
- Nie jestem moim ojcem. To nie moja wina, że jestem synem swojego ojca.
- Trudno mi było tak na to spojrzeć.

Kobieta chce zamknąć drzwi, a on z pewnym siebie uśmiechem mówi szanowna pani, zapomnijmy o encyklopedii, i sięga po ostatnią deskę ratunku: słownik encyklopedyczny w jednym tomie, znakomita pomoc w nauce dla dzieci szanownej pani. Życie jest takie kurrewskie, że na pewno masz gromadkę dzieci.

- Dlaczego wtedy do mnie nie zadzwoniłaś?
- Musiałam sobie ułożyć życie. Adrian, muszę zamknąć drzwi.
- Co znaczy ułożyć sobie życie? Wyszłaś za męża?
- Adrian, dość tego.

I kobieta zamknęła drzwi. Ostatni obraz, jaki zapamiętał, to były smutne kwiaty w wazonie. Na podeście skreślił z listy nazwisko niedoszłej klientki, przeklinając swój zawód złożony z wielu niepowodzeń i rzadkich sukcesów.

Przed zamkniętymi drzwiami zostałem sam na sam z duszą pogrążoną w ciemności. Nie miałem ochoty na spacer po mieście de la lumière; wszystko mu zobojętniało. Adrian Ardèvol wrócił do hotelu, rzucił się na łóżko i rozplakał się. Przez chwilę zastanawiał się, czy lepiej stłuc lustro w szafie, które odzwierciedlało jego cierpienie, czy rzucić się z balkonu. Zdecydował się na telefon, ze łzami w oczach i zwątpieniem w głosie.

- Słucham.
- Cześć.
- Cześć, gdzie się podziewasz? Dzwoniłam do domu, ale...
- Jestem w Paryżu.
- Ach.
- Tak.
- Tym razem nie potrzebowałaś adwokata?
- Nie.
- Co ci jest?

Adrian milczał przez parę sekund, teraz sobie uświadomił, że mieszał oliwę z wodą.

- Adrian, co z tobą? – A ponieważ cisza za bardzo się przeciągała, próbowała coś z niego wyciągnąć:
- Masz we Francji jakąś przyrodną siostrę?
- Nie, nic, nic się nie dzieje. Wydaje mi się, że trochę za tobą tęsknię.
- Bardzo dobrze. Kiedy wracasz?
- Jutro rano wsiadam do pociągu.
- Mogę wiedzieć, co robisz w Paryżu?
- Nie.
- Ach, bardzo pięknie – odpowiedziała Laura śmiertelnie obrażonym tonem.
- Zgoda... – Adrian był nastawiony pokojowo. – Przyjechałem, żeby zobaczyć oryginał *Della pubblica felicità*.
- Co to takiego?
- Ostatnia książka, jaką napisał Muratori.
- Ach.
- O co chodzi?
- Nie, nic. Jesteś kłamczuch.
- Tak.

I Laura odłożyła słuchawkę.

Żeby zatrzeć wspomnienie wyrzutu w głosie Laury, włączył telewizor.

Trafiłem na belgijską stację nadającą w języku flamandzkim. Zostawiłem ją, bo chciałem się przekonać, jaki jest mój poziom znajomości niderlandzkiego. I wtedy usłyszałem wiadomość. Zrozumiałem ją doskonale, tym bardziej że przerażające obrazy nie pozostawiały żadnych wątpliwości, ale Adrian nawet nie mógł przypuszczać, że to ma z nim cokolwiek wspólnego. We wszystko jestem zamieszany. Myślę, że jestem odpowiedzialny za mało optymistyczny zwrot w dziejach ludzkości.

Fakty, zgodnie z tym, co zeznali świadkowie wypytywani przez lokalną prasę, a co później powtórzyła prasa belgijska, przedstawiały się w sposób następujący. Turu Mbulaka (Thomas Lubanga Dyilo, Matongué, Kinszasa, zamieszkały w Yumbu-Yumbu) został przyjęty do szpitala Bebenbeleke dwunastego, w dniu zamachu, z powodu silnych bólów jamy brzusznej. Doktor Müss zdiagnozował u niego zapalenie otrzewnej, polecił sprawę Bogu i przeprowadził w trybie pilnym operację w prymitywnej sali operacyjnej szpitala. Postawił sprawę jasno: do sali operacyjnej nie może wejść żaden ochroniarz, ani uzbrojony, ani nieuzbrojony, również nie wejdzie tam żadna z trzech żon pacjenta ani jego najstarszy syn, i że na czas operacji musi zdjąć okulary słoneczne. I nie dlatego zajął się nim w trybie pilnym, że był wodzem plemienia, ale dlatego, że był w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Turu Mbulaka ryknął, żeby, kurrrwa, pozwolili wreszcie działać lekarzowi, bo on zwija się z bólu i nie chce zemdleć, a mężczyzna, który traci przytomność z bólu, przestaje być czujny i może zostać pokonany przez swoich wrogów.

Narkoza, jaką mu zaaplikowała jedyna pielęgniarka w szpitalu, która się znała na anestezjologii, osłabiła jego czujność o godzinie trzynastej zero trzy. Operacja trwała dokładnie godzinę, a dwie godziny po jej zakończeniu pacjent został przewieziony na salę ogólną (w Bebenbeleke nie było oiomu). Wybudzony z narkozy stwierdził, że brzuch go boli jak cholera, co u diabła pan mi zrobił? Doktor Müss nie przejął się groźbami pacjenta – w życiu słyszał już niejedną taką śpiewkę – i wyrzucił ochroniarzy z sali szpitalnej. Mogą sobie czekać na zielonej ławce przy wejściu, bo pan Turu Mbulaka teraz musi wypocząć. Żony wodza przyniosły czyste prześcieradła, wachlarze od upału i telewizor na baterie, który umieściły w nogach łóżka. Ponadto dużo jedzenia, którego pacjent przez najbliższe pięć dni nie mógł nawet tknąć.

Doktor Müss do końca dyżuru był bardzo zajęty, przyjmując pacjentów w przychodni. Z każdym dniem wiek coraz bardziej dawał mu się we znaki, ale on udawał, że tego nie zauważa, i pracował tyle co zawsze. Kazał wszystkim pielęgniarkom, poza tą, która właśnie miała dyżur, żeby poszły odpocząć, nie czekając na koniec zmiany; często tak robił, żeby rano przystąpiły do pracy w dobrej formie, przygotowane na wszystko, co dzień mógł przynieść. Mniej więcej w tym momencie przyszedł do niego jakiś nieznajomy cudzoziemiec, z którym rozmawiał nie wiadomo o czym ponad godzinę w zamkniętym gabinecie. Robiło się już ciemno. Przez okno dochodziło gdakanie jakiejś spłoszonej kury. Kiedy księżyc wystawił nos od strony Moloa, dało się słyszeć głuchy trzask. To mógł być strzał. Obaj ochroniarze, jakby poruszeni precyzyjnym mechanizmem, zerwali się na równe nogi z zielonej ławki, na której palili, wyciągnęli broń i rozejrzeli się zdziwieni. Teraz dźwięk dobiegł z innej strony. Co robimy, idziemy obaj, ty zostań, ja pójdę. No, dobrze, ty idź, ja tu zostanę na wszelki wypadek, nie?

– Obierz mi to mango – zawołał Turu Mbulaka do trzeciej żony, na moment przed tym, jak rozległ się strzał, o ile to był strzał.

– Doktor powiedział, że... – Na sali praktycznie nic nie było słychać, ani ewentualnego strzału, ani rozmowy, bo telewizor robił właśnie wiele hałasu wokół uczestnika konkursu, który nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co bardzo rozśmieszyło publiczność.

– Co tam doktor może wiedzieć. Chce, żebym cierpiał. – Spojrzał w telewizor i machnął ręką z pogardą: – Banda ignorantów – powiedział, mając na myśli zawodnika. I do trzeciej żony: – Obierz mi mango, no już.

W chwili, gdy Turu Mbulaka zatapiał zęby w zakazanym owocu, zaczęła się tragedia: do sali

pograżonej w półmroku wszedł uzbrojony mężczyzna i puścił serię z karabinu do Turu Mbulaka; zmiażdżył mango i podziurawił biednego pacjenta tak, że groźna rana chirurgiczna stała się tylko drobiazgiem niewartym wspomnienia. Zabójca namierzył precyzyjnie trzy bezbronne żony, przebiegł wzrokiem całą salę, trzymając wszystkich na muszce, prawdopodobnie szukając pierworodnego, po czym wyszedł. Dwadzieścioro obłożnie chorych czekało z rezygnacją na dobiecie, ale tym razem tchnienie śmierci ich nie dosięgło. Zabójca, który zdaniem jednych ukrywał twarz pod żółtą, zdaniem innych pod niebieską chustką, zręcznie się ulotnił pod osłoną nocy. Niektórzy zapewniali, że słyszeli dźwięk silnika samochodowego, inni woleli się nie wypowiadać i do tej pory drżeli na samą myśl o tym, co się stało, a prasa w Kinszasie dodała, że zabójca czy zabójcy załatwili jeszcze dwóch niekompetentnych ochroniarzy Turu Mbulaka, jednego na szpitalnym korytarzu, drugiego na zielonej ławce, którą pobrudził swoją krwią. Zabili również pielęgniarkę kongijską i lekarza ze szpitala Bebenbeleke, doktora Müssa, który zaniepokojony hałasem wszedł do sali ogólnej i pewnie przeszkadzał zabójcom. A może nawet próbował udaremnić atak, z typową dla siebie pogardą dla niebezpieczeństwa, przekonując, że dopiero co operował tego człowieka. Albo zwyczajnie zabili go strzałem w głowę, zanim zdążył otworzyć usta. Nie, według innego świadka, strzałem w usta. Nie, w serce. W głowę. Każdy pacjent bronił swojej wersji kolejnych epizodów tragedii, choćby nawet niczego nie widział; słowo honoru, że chustka zabójcy była zielona, albo może żółta, przysięgam. Przy tej samej okazji paru chorych, wśród nich dziecko, dosięgły strzały przeznaczone dla plemiennego wodza Turu Mbulaka. Tyle na temat zaskakującego ataku w strefie, gdzie Europa aktualnie nie miała żadnych interesów do załatwienia. Kanał VRT poświęcił sprawie osiemdziesiąt sześć sekund, ponieważ były prezydent Giscard d'Estaing, kiedy wybuchła sensacja, że pobrudził sobie ręce, prowadząc handel diamentami z cesarzem Bokassą, odbył podróż do Afryki, odwiedził prowincję Kwilu i nadłożył drogi, aby odwiedzić szpital w Bebenbeleke, ze względu na sławę, jaką już zdążył uzyskać, mimo niechętniej postawy założyciela, który świata nie widział poza pracą. Giscard sfotografował się z doktorem Müssem, z pochyloną głową, pograżonym w myślach o czekających go obowiązkach. I z pielęgniarkami z Bebenbeleke; i z jakimś malcem z białymi ząbkami, który je demonstrował, robiąc miny, a znalazł się w kadrze przypadkiem, bo stał tuż za oficjalną delegacją. To było całkiem niedawno. Adrian wyłączył telewizor. Brakowało mu tylko tej wiadomości, żeby go całkiem pograć.

Dwa dni później prasa francuska i belgijska poświęciły masakrze w szpitalu w Bebenbeleke naczelne miejsce w kronice wydarzeń, z całym bogactwem szczegółów: w zamachu na wodza plemiennego Turu Mbulaka, postać szanowaną, znienawidzoną, wychwalaną i budzącą grozę w całej okolicy, zginęło siedem osób: pięć z orszaku kacyka oraz pielęgniarka i dyrektor szpitala, doktor Eugen Müss, znany ze swojej działalności na rzecz chorych, prowadzonej od trzydziestu lat w zakątku świata zagubionym między Beleke i Kikongo. Wszyscy zadają sobie pytanie, co teraz będzie ze szpitalem, który doktor założył w latach pięćdziesiątych... i jakby mimochodem, niczym wiadomość z ostatniej chwili, pozbawiona znaczenia, w ostatnich słowach komunikatu pojawiła się informacja, że w odpowiedzi na bestialski zamach na Turu Mbulaka doszło do zamieszek w Yumbu-Yumbu, w wyniku których zmarło dwanaście osób, zarówno zwolenników, jak i przeciwników tej polemicznej postaci, na wespół przywódcy wojennego, na wespół kacyka, wytworu procesu dekolonizacyjnego, który prowadziło państwo belgijskie.

Trzysta czterdzieści trzy kilometry na północ od hotelu, w którym Adrian całymi godzinami marzył, że Sara do niego przyjdzie i poprosi, żeby zaczęli od nowa, a on zapyta, skąd wiedziałaś, że zatrzymałem się właśnie tutaj, a na to ona, że skontaktowała się z detektywem, z którego pomocy skorzystałaś, żeby mnie odszukać, ale ponieważ jej ciągle nie było, nie schodził ani na śniadanie, ani na kolację, ani się nie golił, ani nie dbał o siebie, bo tylko chciał umrzeć i dlatego płakał bez przerwy; trzysta czterdzieści trzy kilometry od cierpiącego Adriana dziennik „Gazet van Antwerpen” wypadł z czyichś drżących rąk. Gazeta upadła na stolik, obok filiżanki z lipową herbatką. Przed telewizorem nadającym tę samą

wiadomość. Mężczyzna odsunął dziennik, który teraz spadł na ziemię, i spojrzął na swoje ręce. Drżały w sposób niekontrolowany. Zakrył twarz i rozplakał się tak, jak ostatni raz płakał przed trzydziestu laty. Piekło zawsze jest gotowe, żeby wcisnąć się do jakiegoś zakątka naszej duszy.

Wieczorem temat powrócił w drugim programie VRT, tym razem z naciskiem na postać założyciela szpitala. A jednocześnie poinformowano, że o dziesiątej w nocy wyświetlony zostanie film dokumentalny, który parę lat temu VRT poświęciła doktorowi z okazji odmowy przyjęcia nagrody Króla Baldwina, spowodowanej charakterem tego wyróżnienia, które nie przewidywało żadnej dotacji na utrzymanie szpitalu w Bebenbeleke. Odmówił też dlatego, że nie miał zamiaru podróżować do Brukseli po odbiór jakiejś nagrody, gdyż w szpitalu był bardziej potrzebny niż gdziekolwiek indziej.

O dziesiątej w nocy drżąca ręka wcisnęła włącznik starego telewizora. Słychać było smutne westchnienie. Na ekranie plansza *60 minut* i zaraz potem obrazy nakręcone ukrytą kamerą, przedstawiające doktora Müssa, jak idzie w stronę szpitala, przed którym stoi pomalowana na zielono ławka, bez śladów krwi, i zwraca się do kogoś, że nie ma potrzeby nagrywania żadnego reportażu, że w tym szpitalu jest mnóstwo roboty i nie ma czasu do stracenia.

– Reportaż może wam bardzo pomóc – słychać było głos Randy Oosterhoff, lekko zadyszanej, ledwie nadążającej z ukrytą kamerą za doktorem.

– Jeżeli chcecie złożyć jakąś darowiznę, szpital będzie wam bardzo wdzięczny. – Wskazał ruchem głowy za siebie: – Dziś mamy serię szczepień, to bardzo ciężki dzień dla wszystkich.

– Możemy poczekać.

– Bardzo proszę.

Wtedy pojawił się tytuł: *Bebenbeleke*. A później, na tle prymitywnych urządzeń szpitala, pielęgniarki tak zaabsorbowane wykonywanymi czynnościami, że nawet nie podnosiły głowy, zaaferowane, oddane pracy z nadludzkim poświęceniem. A na drugim planie doktor Müss. Komentator wyjaśniał, że doktor pochodził z jakiegoś miasteczka nad Bałtykiem i że trzydzieści lat temu osiadł w Bebenbeleke, jak to się mówi, w jednej koszuli, i kamień po kamieniu budował ten szpital, który służy, chociaż w zakresie niewystarczającym, mieszkańcom ogromnego regionu Kwilu.

Mężczyzna o drżących rękach wstał i podszedł do telewizora, żeby go wyłączyć. Znał ten reportaż na pamięć. Westchnął.

Dwa lata temu wyświetlili go po raz pierwszy. Mimo że on rzadko oglądał telewizję, akurat wtedy miał włączony odbiornik. Zapamiętał doskonale, że jego uwagę przyciągnął ten dynamiczny wstęp, typowo dziennikarski, przedstawiający doktora Müssa spieszącego się do jakiegoś pilnego przypadku, odpędzającego dziennikarzy słowami, że nie ma czasu na nic poza...

– Znam tego człowieka – powiedział mężczyzna o drżących rękach. Nic mu nie mówiło ani Bebenbeleke, ani nazwy Beleke i Kikongo. Ale ta twarz, twarz doktora... Twarz, która kojarzyła mu się z bólem, z jego jedynym, wielkim bólem, chociaż nie wiedział, w jaki sposób. Wróciło rozdzierające wspomnienie jego kobiet, małej Trude, mojej zaginionej Truu, Amelietje, której spojrzenie oskarżało o bezradność mężczyznę, który powinien ocalić je wszystkie, i teściowej, która kaszłała cały czas i przyciskała do siebie skrzypce, i mojej Berty, z Juliet w ramionach, cały ten niewyobrażalny horror. Pod koniec reportażu – a zadał sobie trud, by obejrzeć go w całości – dowiedział się, że w tej wiecznie niestabilnej politycznie strefie Bebenbeleke był jedynym szpitalem w promieniu kilkuset kilometrów. Bebenbeleke. I lekarz, którego twarz źle mu się kojarzyła. Wtedy, już przy napisach, przypomniał sobie, gdzie i w jakich okolicznościach poznał doktora Müssa; brata Müssa, mnicha trapistę o łagodnym spojrzeniu.

Ojciec przeor poczuł się zaalarmowany, kiedy poufną informację o bracie Robercie, czterdzieści dziewięć kilo, ojcie, chudy jak patyk, ojcie, a jego oczy straciły blask, otrzymał od zaniepokojonego brata pielęgniarza, który nie wiedział, co ma robić. Ja...

– W jego oczach nigdy nie było blasku – wyrwało się nieopatrznie ojcu przeorowi, który natychmiast

uświadomił sobie, że w ten sposób uwłaczał miłosierdziu w stosunku do jednego z braci ich wspólnoty.

– Ale ja już naprawdę nie wiem, co mam robić. Wywaru z mięsa i ryb dla chorych prawie nie bierze do ust. Jedzenie się marnuje.

– A posłuszeństwo?

– Stara się, jak może, ale mu nie wychodzi. Jakby stracił chęć do życia. Przeciwnie, wygląda, jakby mu się spieszyło do Pana Boga, za przeproszeniem, jeśli mam być szczery.

– Musicie mówić, jak jest, bracie. Do tego obliguje was ślub posłuszeństwa.

– Brat Robert – wyrzucił z siebie brat pielęgniarz, przetarłszy uprzednio chusteczką spoconą łysinę, żeby opanować drżenie głosu – chce umrzeć. A ponadto, ojcz...

Schował chusteczkę gdzieś między fałdami habitu i zaczął wtajemniczać ojca przeora w nieznanne mu sprawy, bo ojciec Maarten, opat, który wyraził zgodę na przyjęcie brata Roberta do Zakonu Cystersów Ściślejszej Obserwancji w Achel, tuż przy chłodnych, krystalicznych wodach Tongelreep, idealnym miejscu dla kogoś, kto pragnie ugasić cierpienia duszy udręczonej grzechami innych i własną słabością, wolał zabrać ten sekret do grobu. Opactwo Świętego Benedykta w Achel było idyllicznym miejscem, w którym Matthias Alpaerts, przyszedłszy brat Robert, mógł nauczyć się pracy rolnika i oddychać czystym powietrzem przy krowim nawozie, gdzie mógł się nauczyć, jak warzyć sery czy sporządzać wyroby z miedzi, jak zamiatać zakurzone zakątki wirydarza czy jakiegokolwiek pomieszczenia, wyznaczonego mu do sprzątania, w całkowitej ciszy, która towarzyszyła dwadzieścia cztery godziny na dobę mnichom trapistom, jego braciom. Bez trudu przyzwyczał się do codziennej pobudki o trzeciej nad ranem, najchłodniejszej porze nocy, by udać się, na sztywnych od chłodu stopach, w sandałach, które nie dawały żadnej ochrony przed zimnem, na matutinę, z którą budził się nowy dzień, może też nowa nadzieja. A później wracał do celi, na godzinę czytań, która często oznaczała dla niego godzinę tortury, bo staowało mu przed oczami wszystko, co przeżył, bez litości dla jego zdruzgotanej duszy, a Bóg dzień po dniu odgradzał się od niego milczeniem, jak wtedy, kiedy byli w piekle. Dlatego dzwon, który wzywał na jutrznię, był nieśmiałym głosem nadziei, a podczas mszy konwentualnej o szóstej, na tyle, na ile pozwalała mu skromność, wpatrywał się w swoich braci, żywych, pobożnych, i modlił się razem z nimi jednym głosem, powtarzając nigdy więcej, Panie, nigdy więcej. Chyba najbardziej zbliżony do szczęścia stan przeżywał, rozpoczynając czterogodzinną pracę na farmie. Szeptem wyznawał swoje przerażające sekrety krowom podczas dojenia, a one odpowiadały mu intensywnym spojrzeniem, pełnym miłosierdzia i zrozumienia. Wkrótce nauczył się wyrabiać ser z ziołami tuinkruiden, taki aromatyczny, i w wyobraźni widział, jak dzieli go między tysiące wiernych, wypowiadając słowa ciała Chrystusa, chociaż nie wolno mu było udzielać komunii, bo sam wybłagał, żeby uszanowano jego wolę nieskładania ślubów, nawet czasowych; czuł się nikim i tylko potrzebny był mu kącik, w którym mogłyby modlić się na kolanach do końca życia, tak jak kiedyś brat Michał z Susquedy, inny uciekinier, kiedy wstępował do zakonu w Sant Pere del Burgal parę wieków wcześniej. Po czterech godzinach w krowim gównie, spędzonych na przerzucaniu snopków siana, przerywał pracę na modlitwę tercji, a później, po uprzednim umyciu rąk i twarzy, żeby nie obrazić smrodem innych braci, wchodził do kościoła jak do azylu chroniącego przed złem i odmawiał z braćmi sekstę, modlitwę południową. Kilkakrotnie zwierzchnicy musieli mu zabronić codziennego zmywania naczyń, bo to zajęcie było obowiązkowe dla wszystkich członków wspólnoty bez wyjątku, więc musiał pohamować, przez wzgląd na święte posłuszeństwo, swoją chęć służenia innym, i o drugiej po południu wracali do azylu, jakim był kościół, by odmówić nonę, i jeszcze zostawały dwie godziny przeznaczone na pracę, już nie przy krowach; kiedy on zajmował się nawożeniem i wypalaniem zielska, krowy doił brat Paulus, i znów musiał się umyć, inaczej niż bracia, którzy pracowali w bibliotece i którzy co najwyżej płukali zakurzone palce po zakończeniu pracy, i być może zazdrościli braciom zmuszonym do aktywności fizycznej, podczas gdy oni tracili w zamknięciu wzrok i pamięć. Druga godzina czytań, po południu, była długim preludium, którego zwieńczenie stanowiły nieszpory śpiewane o szóstej. Pora kolacji, podczas której udawał, że je, przechodziła w kompletę, kiedy wszyscy

gromadzili się w kościele, w ciemnościach rozpraszanych tylko płomieniem dwóch świec, które oświetlały obraz Matki Bożej z Achel. A kiedy dzwony klasztoru Świętego Benedykta biły na godzinę ósmą, kładł się do łóżka, tak jak jego bracia, z nadzieją, że dzień jutrzejszy będzie dokładnie taki sam, jak ten, który przeżył, a za nim następny, i tak na wieki wieków.

Ojciec przeor patrzył na brata pielęgniarza z otwartymi ustami. Że też właśnie teraz opat Manfred musiał wyjechać na parę dni! Że też musiano zwołać kapitułę generalną dokładnie w tym dniu, kiedy brat Robert popadł w stan otępienia, z którego nie potrafiła go wydobyć ograniczona wiedza brata pielęgniarza. Dlaczego, Boże na wysokościach. Dlaczego zgodziłem się być przeorem.

– Ale żyje, prawda?

– Tak. W stanie katatonii. Tak mi się wydaje. Mówisz mu wstań, to wstaje; każesz usiąść, siada. Każesz mówić, zaczyna płakać.

– To nie jest katatonia.

– Proszę mnie zrozumieć, ojcze: skaleczenia, otarcia, złamania i zwichnięcia, grypy, przeziębienia i ból brzucha, proszę bardzo, ale co się tyczy ducha...

– Jaka jest wasza rada, bracie?

– Ja, ojcze...

– Tak, jaka jest wasza rada?

– Musi go zobaczyć prawdziwy lekarz.

– Doktor Geel nie będzie wiedział, co zrobić.

– Mam na myśli prawdziwego lekarza.

Tak się szczęśliwie złożyło, że ojciec opat Manfred na trzecim zgromadzeniu kapituły generalnej podzielił się swoim zmartwieniem z innymi opatami, powtarzając to, co mu przekazał przez telefon wystraszony, odległy głos przeora. Opat z Marienwaldu oświadczył wtedy, że jeżeli zachodzi taka konieczność, to w jego klasztorze jednym z mnichów jest lekarz, który mimo swojej wyjątkowej pokory i zupełnie o to nie zabiegając, zyskał sławę w klasztorze i poza nim. Leczy choroby ciała i ducha. I że brat Eugen Müss jest do jego dyspozycji.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat, od tamtego szesnastego kwietnia roku Pańskiego tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego, kiedy udało mu się wstąpić do opactwa Świętego Benedykta w Achel, gdzie stał się bratem Robertem, Matthias Alpaerts przekraczał granice opactwa. Otwarte dłonie spoczywające na kolanach drżały mu wyjątkowo mocno. Przerażonym wzrokiem patrzył przez brudną szybę citroena stromberga, jak oddala się jego azyl. Samochód podskakiwał na polnej drodze, kierując się w stronę burzliwego świata, od którego chciał uciec na zawsze. Brat pielęgniarz od czasu do czasu spoglądał na niego dyskretnie, a on, czując na sobie jego wzrok, zajął się obserwowaniem karku milczącego kierowcy. Podróż do Heimbach trwała cztery i pół godziny, podczas których brat pielęgniarz, chcąc przerwać uparte milczenie, zdążył odmówić szeptem, zagłuszonym hukiem rozregulowanego gaźnika, modlitwy tercji, seksty i nony, aż dotarli do bram Marienwaldu w momencie, gdy dzwony, jakże innym tonem niż w Achel, o Panie, wzywały wspólnotę na wieczorną modlitwę.

Dopiero następnego dnia po jutrzni pokazano mu miejsce na twardej ławce w poczekalni w kącie szerokiego, jasno oświetlonego korytarza. Kilka wypowiedzianych po niemiecku przez pielęgniarza życzliwych słów zabrzmiało w jego uszach niczym okrutne rozkazy. Brat pielęgniarz, pomocnik brata Müssa, w towarzystwie pielęgniarza z Achel zniknął za drzwiami. Pewnie potrzebne było wstępne rozeznanie. W każdym razie zostawili go samego, zdanego na pastwę wszystkich lęków, a potem brat Müss wprowadził go do cichego gabinetu, gdzie obaj usiedli po przeciwnych stronach biurka, i poprosił go, formułując pytanie całkiem poprawnie po niderlandzku, żeby mu opowiedział o swoim cierpieniu, a brat Robert badawczo spojrział mu w oczy i gdy napotkał łagodne spojrzenie, eksplodował jego ból i zaczął mówić wyobraź sobie, że jesz obiad w domu, z żoną, teściową i trzema córeczkami, teściowa

trochę niezdrowa, na stole nowy obrus, w biało-niebieską kratę, bo dziś obchodzi urodziny mała Amelietje, najstarsza. A kiedy to już z siebie wydusił, brat Robert mówił nieprzerwanie przez godzinę, na jednym oddechu, nie prosząc o szklankę wody, ze wzrokiem wbitym w nieskazitelny blat biurka, nie zauważając smutnego spojrzenia brata Eugena Müssa. I kiedy mu opowiedział całą swoją historię, dodał jeszcze i od tej pory szedłem przez życie ze zwieszoną głową, płacząc nad moim tchórzostwem i próbując jakoś naprawić wyrządzone przeze mnie zło, aż wpadłem na pomysł, by ukryć się tam, gdzie wspomnienia nie będą mogły mnie prześladować. Musiałem znów porozmawiać z Bogiem. Chciałem wstąpić do zakonu kartuzów, ale oni próbowali mnie przekonać, że to nie jest dobry pomysł. Od tamtej chwili zacząłem kłamać i pukając do innych drzwi, już nie wspominałem o przyczynach swojego bólu ani go nie okazywałem. Po każdej rozmowie byłem mądrzejszy o to, co należy mówić, a co przemilczeć, więc kiedy zapukałem do drzwi opactwa Świętego Benedykta w Achel, byłem pewien, że nikt nie będzie miał zastrzeżeń do mojego późnego powołania, i poprosiłem o zgodę, jeśli tylko nie byłoby to sprzeczne ze ślubem posłuszeństwa, abym mógł się poświęcić pokornej pracy w klasztorze. Począwszy od tego dnia zacząłem trochę, niewiele, rozmawiać z Bogiem i nauczyłem się wyzalać krowom.

Doktor Müss wziął go za rękę. Siedzieli tak, w milczeniu, może dziesięć, może dwadzieścia minut; i wtedy brat Robert zaczął oddychać spokojniej i powiedział, po tylu latach milczenia w klasztorze, znów wspomnienia rozsadzają mi głowę.

– Bracie Robercie, trzeba być przygotowanym, że od czasu do czasu to będzie się powtarzać.

– Nie mogę tego znieść.

– Zniesiesz z Bożą pomocą.

– Bóg nie istnieje.

– Jestem mnichem trapistą, bracie Robercie. Próbujesz mnie zgorszyć?

– Błagam Boga o przebaczenie, ale nie rozumiem jego wyroków. Bo jeżeli On jest miłością...

– Tym, co ci pozwoli zachować człowieczeństwo, jest świadomość, że nigdy nie wyrządziłeś takiego zła jak to, które ci drąży duszę. Jak to, które tobie uczyniono.

– Mnie, nie: Truu, Amelii, małej Julietje, mojej Bercie i zakatarzonej teściowej.

– Masz rację: ale tobie też wyrządzono zło. Heroizm polega na tym, że człowiek odpłaca dobrem, kiedy doznaje zła.

– Gdybym miał teraz przed sobą winnych... – Zaszlochał. – Nie wiem, co bym zrobił, ojczu. Nie sądzę, bym potrafił im wybaczyć, przysięgam...

Brat Eugen Müss zapisywał coś na małym karteluszk. Brat Robert spojrział mu w oczy, a tamten odwzajemnił spojrzenie, jak w tamtej chwili, kiedy doktor Müss oganiał się od dziennikarzy, mówiąc, że nie ma czasu do stracenia, i nie wiedząc o ukrytej kamerze, popatrzył prosto w obiektyw, który utrwalił to jego spojrzenie. A wtedy Matthias Alpaerts zrozumiał, że musi jechać do Bebenbeleke, gdziekolwiek by to było, by odnaleźć spojrzenie, które mogło przynieść mu spokój, bo od wielu dni wspomnienia znów rozsadały mu głowę.

Pierwsze, co cię czeka, gdy docierasz do Bebenbeleke, to odkrycie, że nie ma żadnej miejscowości o takiej nazwie. Tak się nazywa szpital, zbudowany na pustym terenie, wiele mil na północ od Kikwit, wiele mil na południe od Yumbu-Yumbu, w znacznej odległości od Kikongo i Beleke. Szpital jest otoczony szałasami, które różni pacjenci zbudowali w pobliżu ośrodka i z których korzystają, bez żadnej oficjalnej decyzji w tej sprawie, krewni chorych, kiedy hospitalizacja przeciąga się kilka dni, a z tych szałasów rozwinęły się nowe, z których część zamieszkują ludzie luźno albo w ogóle niezwiązani ze szpitalem. Z tych szałasów po latach powstanie wioska Bebenbeleke. Nie przeszkadzało doktorowi Müssowi, że kury spokojnie sobie grzebały wokół szpitala, a czasami, mimo zakazu, również na terenie lecznicy. Bebenbeleke to wioska zbudowana na cierpieniu – w odległości pół kilometra od szpitala, w kierunku na Djilo, za białą skałą jest cmentarz dla chorych, którzy przegrali walkę z chorobą. Wskaźnik

niepowodzeń doktora Müssa.

– Opuściłem zakon po paru miesiącach – powiedział Matthias Alpaerts. – Wstąpiłem, myśląc, że okaże się lekarstwem, i opuściłem go przekonany, że jest najlepszym z lekarstw. Ale czy w klasztorze, czy poza nim, wspomnienia nie blakną.

Doktor Müss usiadł z nim na zielonej ławce, jeszcze niepoplamionej krwią, tuż przy wejściu, i wziął go za rękę, tak jak trzydzieści lat wcześniej w gabinecie w opactwie Marienwald.

– Dziękuję za chęć pomocy, bracie Müss – powiedział Matthias Alpaerts.

– Przykro mi, że nie umiałem być bardziej skuteczny.

– Bardzo mi brat pomógł. Teraz jestem świadomy i kiedy wspomnienia znów rozsadzają mi głowę, trochę łatwiej mi się przed nimi bronić.

– Często się to panu zdarza?

– Częściej, niżbym chciał, bracie Müss. Ponieważ...

– Proszę nie nazywać mnie bratem: już nie jestem zakonnikiem – przerwał mu doktor Müss. – Wkrótce po naszym spotkaniu zwróciłem się do Rzymu o dyspensę.

Żeby przerwać wymowne milczenie dawnego brata Roberta, dawny brat Müss musiał wyjaśnić, że opuścił zakon powodowany pragnieniem pokuty, a także, Boże odpuść, przekonany, że może być bardziej przydatny, czyniąc dobro wśród opuszczonych, niż odmawiając w zamknięciu liturgię godzin.

– Rozumiem.

– Nie chcę broń Boże krytykować życia zakonnego. Taki był wtedy stan mojego ducha i przełożeni wykazali zrozumienie.

– Jest pan świętym człowiekiem, działając tu, na tym pustkowiu.

– To wcale nie jest pustkowie. Ani ja nie jestem świętym. Jestem lekarzem, dawnym zakonnikiem, i tylko wykonuję zawód lekarza. Staram się naprawiać krzywdy.

– Mnie dręczy zło.

– Wiem. Ale ja mogę tylko naprawiać krzywdy.

– Chcę tu zostać jako pański pomocnik.

– Jest pan za stary. Ma pan z siedemdziesiąt lat, prawda?

– Nieważne. Mogę być przydatny.

– To niemożliwe.

Ton głosu doktora Müssa nagle stał się oschły. Tak jakby tamten głęboko go zranił. Rękę Matthiasa Alpaerts zaczął drżeć i schował je do kieszeni, żeby tamten nie zauważył.

– Od kiedy trzęsą się panu ręce? – Doktor Müss wskazywał ukryte dłonie, a Matthias z trudem powstrzymał grymas niechęci. Wyciągnął ręce przed siebie; drżały wyjątkowo mocno.

– Kiedy nachodzą mnie wspomnienia. Czasem wydaje mi się niemożliwe, żeby aż tak się trzęsły, wbrew mojej woli.

– Nie mógłby pan być tu przydatny z powodu drżenia rąk.

Matthias Alpaerts spojrział mu w oczy; ten komentarz był, oględnie mówiąc, okrutny.

– Mogę być przydatny na różne sposoby – odparł, urażony. – Mogę na przykład kopać ziemię. W klasztorze Achel nauczyłem się zawodu rolnika.

– Bracie Robercie... Matthias... Proszę nie nalegać. Proszę wracać do domu.

– Nie mam domu. Tu mógłbym pomóc.

– Nie.

– Nie przyjmuję odpowiedzi odmownej.

Wtedy brat Müss wziął Matthiasa Alpaerts pod ramię i zabrał go na kolację. Jak co wieczór do jedzenia była tylko kleista papka z prosa, którą doktor odgrzał na palniku. Zasiadli do jedzenia w gabinecie, używając biurka jako stołu jadalnego. Doktor Müss otworzył szafkę, wyciągnął dwa talerze, a Matthias zauważył, że coś chowa, chyba brudną szmatkę, za plastikowymi kubkami. Podczas posiłku,

który spożywali bez apetytu, doktor wyjawiał mu, z jakiego powodu nie jest możliwe, żeby został i pomagał mu, w charakterze pielęgniarza-amatora, ogrodnika, kucharza czy rolnika, uprawiającego ziemię, która nie wydawała owoców, dopóki nie spocieleś się do krwi.

O północy, kiedy wszyscy spali, Matthiasowi Alpaertsowi nie drżały ręce, kiedy wszedł do gabinetu doktora Müssa. Otworzył szafkę obok okna i z pomocą małej latarki znalazł to, czego szukał. Obejrzał szmatkę w słabym, niepewnym świetle. Przez długą minutę wahał się, bo nie był pewien, czy ją rozpoznaje. Całe drżenie przeniosło się teraz na serce, które chciało mu uciec przez gardło. Kiedy usłyszał pianie koguta, podjął decyzję i odłożył materiał na swoje miejsce. Czuł mrowienie w palcach, takie samo mrowienie, jakie czuł Feliks Ardèvol i jakie ja też zaczynałem odczuwać, kiedy upragniony przedmiot oddalał się bezpowrotnie. Mrowienie i drżenie opuszków palców. Mimo że choroba Matthiasa Alpaertsza była innej niż nasza natury.

Odjechał przed wschodem słońca, ciężarówką, która przywiozła z Kikongo lekarstwa, żywność i kroplę nadziei dla chorych z tej rozległej strefy, która moczyła stopy w rzece Kwilu.

Wróciłem z Paryża ze spuszczoną głową i z podwiniętym ogonem. W tym czasie Adrian miał wykład z historii myśli współczesnej dla licznego grona studentów, nastawionych sceptycznie z powodu opinii, na jaką sobie zasłużył u kolegów z Uniwersytetu Barcelońskiego – nieprzystępnego-antypatycznego-uczonego-który-chodzi-własnymi-drogami-i-nigdy-ale-to-nigdy-nie-da-się-zaprosić-na-kawę-i-na-zebrania-też-nie-przychodzi-bo-jest-ponad-dobrem-i-złem – podzielonych na zwolenników i przeciwników po opublikowaniu prawie potajemnie dwóch dość prowokacyjnych esejów, *Rewolucja francuska* i *Marks?*, dzięki którym cieszył się umiarkowanym prestiżem. Pograżyły go całkowicie dni spędzone w Paryżu i nie miał ochoty mówić na temat Adorna, bo wszystko było mu obojętne.

Nie myślałem o tobie, Mała Lolu, bo w mojej głowie była wyłącznie Sara. Aż do chwili, gdy zadzwoniła do mnie jakaś bliżej nieokreślona krewna i powiedziała moja kuzynka nie żyje; przed śmiercią zostawiła adresy, kogo trzeba według niej zawiadomić. Podała jeszcze informację o miejscu i godzinie i wymieniliśmy kondolencje i kilka formułek grzecznościowych.

Na pogrzeb przyszło ze dwadzieścia osób. Mgliście kojarzyłem trzy, cztery twarze, ale nie mogłem z nikim się przywitać, nawet z tą bliżej nieokreśloną kuzynką. Dolors Carrió i Solegibert „Mała Lola” (1910–1982), urodzona i zmarła w dzielnicy Barceloneta, przyjaciółka matki, dobra kobieta, która robiła mi świństwo, bo prawdziwą i jedyną rodziną Małej Loli była moja matka. I prawdopodobnie była jej kochanką. Nie potrafiłem cię pożegnać z takim uczuciem, na jakie, mimo wszystko, zasługiwałaś.

- Ej, ej, ale ile to lat temu, pewnie ze dwadzieścia, od kiedy się rozstaliście?
- Uważaj, nie rozpędzaj się, jakie dwadzieścia! I nie rozstaliśmy się: rozdzielono nas.
- Pewnie już ma wnuki.
- Jak sądzisz, dlaczego nie szukałem innej kobiety?
- Prawdę mówiąc, nie wiem.
- Już ci mówię: codziennie, no, prawie codziennie, kiedy kładę się spać, wiesz, o czym myślę?
- Nie.
- Myślę, że zaraz zadzwoni dzwonek, ding dong.
- Twój dzwonek ma dźwięk rzzzzzzzzzz.
- Dobrze: rzzzzzzzzzz, otwieram, a tam stoi Sara i mówi mi, że odeszła z jakiegoś tam powodu, czy chcesz, żebym znów wróciła do twojego życia, Adrianie.
- Ej, ej, stary, nie płacz. Nie myśl już o niej. Widzisz? Jak się zastanowić, to nawet lepiej się stało, nie uważasz?

Bernat czuł się niezręcznie wobec tej nieoczekiwanej wylewności Adriana.

Pytającym gestem wskazał szafę, Adrian wzruszył ramionami, co Bernat zinterpretował rób co chcesz, wyciągnął Viala i zagrał mu kilka fantazji Telemanna, po których poczułem się lepiej, dziękuję, Bernat, przyjacielu.

- Jak musisz sobie jeszcze popłakać, to płacz, dobrze?
- Dziękuję za przyzwolenie – uśmiechnął się Adrian.
- Jesteś miękki, jak z wosku.
- Pograżyła mnie świadomość, że obie matki manipulowały naszą miłością, a my daliśmy się nabrać.
- Dobrze. Obie matki nie żyją, a ty możesz nadal...
- Co mogę nadal?
- Nie wiem. Tak mi się powiedziało...
- Zazdrość ci równowagi emocjonalnej.

- Tak ci się tylko wydaje.
- Tak, tak. Ty i Tekla, pim pam.
- Nie mogę się dogadać z Llorençem.
- Ile ma lat?
- Jest w wieku przekory.
- Nie chce grać na skrzypcach?
- Skąd wiesz?
- Ten problem nie jest mi obcy.

Adrian zamyślił się przez moment. Pokręcił głową: wydaje mi się, że życie jest źle urządzone, powiedział w formie konkluzji. A w niedzielę, niczym ktoś, kto szuka zapomnienia w pijaństwie, pofolgował sobie w hali targowej Sant Antoni, gdzie niby przypadkiem zabłądził w okolice straganu Morrala, który dał mu znak, żeby szedł za nim. Tym razem było to dziesięć pierwszych stron rękopisu *Renée Mauperin* Goncourtów, starannie wykaligrafowanych, z niewielkimi poprawkami na marginesie, który to rękopis, jak mnie zapewniał Morral, należał do Jules’a.

– A pan się zna na literaturze?

– Ja tylko sprzedaję różne rzeczy: książki, obrazki, rękopisy i gumę do żucia Bazooka, nie wiem, czy jasno się wyrażam.

– Ale jak do diabła pan to zdobywa?

– Gumę do żucia?

Morral, oszczędny w słowach, nie wyjawiał mi swojego systemu. Milczenie było dla niego gwarancją bezpieczeństwa – gwarantowało mu rolę niezbędnego pośrednika.

Kupiłem kartki z rękopisu Goncourtów. I zaraz pojawiły się, w ciągu kilku tygodni, jakby na mnie czekały, rękopisy luźnych kartek z Orwella, Huxleya i Pavese. Adrian kupił je wszystkie, mimo że teoretycznie był przeciwny takiemu niekontrolowanemu kupowaniu. Ale nie mógł się oprzeć pojedynczej kartce z datą ósmego lutego, nie wiadomo, którego roku, z *Il mestiere di vivere*, gdzie była mowa o niejkiej Guttuso i o nadziei na życie z kobietą, która na ciebie czeka, która będzie z tobą spać, która cię ogrzewa, dotrzymuje ci towarzystwa i sprawia, że życie ma sens, moja Saro, której nie mam i nigdy mieć nie będę. Jakże bym mógł przejść obojętnie wobec takiej strony? Jestem pewien, że Morral dostrzegał moje drżenie i uzależniał cenę od jego intensywności. Jestem przekonany, że bardzo trudno oprzeć się pokusie posiadania oryginałów poruszających tekstów. Zapisany papier, charakter pisma, ruch ręki, atrament, wszystkie te materialne świadectwa, przez które wyraża się duchowa idea, zaczyn dzieła sztuki lub dzieła myśli uniwersalnej, tekstu, który przenika czytelnika i go przemienia. Trudno powiedzieć nie, kiedy ma się do czynienia z takim cudem. Dlatego nie zastanawiałem się długo, gdy Morral jako pośrednik przedstawił mi kogoś, kogo nie poznałem z nazwiska, a kto chciał sprzedać za szaloną cenę dwa wiersze Ungarettiego, *Soldati* i *San Martino del Carso*, poemat o miasteczku w ruinach, których przyczyną nie było destrukcyjne działanie czasu, ale wojna. È il mio cuore il paese più straziato. Moje serce również, kochany Ungaretti. Co za melancholia, co za cierpienie, co za radość, że można wziąć do ręki papier, który autor wykorzystał, by przekształcić w dzieło sztuki pierwszą intuicję. Zapłaciłem żadaną cenę, prawie się nie targując, i wtedy Adrian usłyszał suche splunięcie na ziemię i rozejrzał się wokół siebie.

– Słucham cię, Carsonie.

– Hauk. Ja też mam coś do powiedzenia.

– Proszę bardzo, mówcie.

– Mamy problem – odezwali się obaj jednocześnie.

– Jaki?

– Nie zauważyłeś?

– Nie chcę niczego zauważać.

- Sprawdziłeś, ile wydałeś na rękopisy w ostatnich latach?
- Kocham Sarę, a ona odeszła, bo oszukały ją nasze matki.
- Na to nic już nie poradzisz. Inaczej ułożyła sobie życie.
- Jeszcze jedno whisky, proszę. Podwójne.
- Wiesz, ile wydałeś?
- Nie.

Rozległo się brzęczenie ręcznej kasy. Nie wiem, czy obsługiwał ją dzielny wódz Arapaho, czy ponury kowboj. Po kilku sekundach ciszy podali mi do wiadomości skandaliczną sumę, którą

- Dobrze, już dobrze, to się więcej nie powtórzy. Zadowoleni?
- Proszę spojrzeć, panie doktorze – powiedział Morral któregoś dnia – to Nietzsche.
- Nietzsche?
- Pięć stron z *Die Geburt der Tragödie*. A właśnie, co to może znaczyć?
- Narodziny tragedii.

– Tak przypuszczałem – zgodził się Morral, dłubiąc wykałaczką w zębach, bo właśnie skończył obiad.

Zamiast dostrzec w tym tytule przepowiednię, poświęciłem dobrą godzinę na dokładne oglądanie tych pięciu stron. Kiedy Adrian skończył oględziny, podniósł głowę i zawołał skąd do diabła pan to wytrzasnął? Po raz pierwszy usłyszał odpowiedź na to pytanie:

- Kontakty.
- Ach tak. Kontakty...
- Owszem. Kontakty. Jeśli jest popyt, rękopisy pojawiają się jak grzyby po deszczu. Zwłaszcza, gdy się gwarantuje autentyczność towaru, tak jak u nas.

- My, czyli kto?
- Jest pan zainteresowany czy nie?
- Ile?
- Tyle.
- Tyle?
- Tyle.
- O cholera.

Ale już czuł pieczenie, mrowienie w palcach i w głowie.

- Nietzsche. Pięć pierwszych stron z *Die Geburt der Tragödie*, co znaczy koniec tragedii.
- Narodziny.
- To właśnie miałem na myśli.
- Skąd pan bierze tyle tych pierwszych stron?
- Cały rękopis byłby nieosiągalny.
- Chce pan powiedzieć, że ktoś go dzieli na kawałki, żeby... – Przerażony: – A gdybym chciał więcej?

Gdybym chciał całą książkę?

- Najpierw musi pan usłyszeć cenę. Ale wydaje mi się, że lepiej zacząć od tego, co mamy w rękach.

Jest pan zainteresowany?

- Jak najbardziej!
- Cenę pan już zna.
- Tyle minus tyle.
- Nie. Tyle.
- Jednak minus tyle.
- Teraz lepiej. Chyba się dogadamy.
- Hauk.
- Nie teraz, do cholery!
- Słucham?

– Nie, nic, mówiłem do siebie. Dogadaliśmy się?

Adrian zapłacił tyle minus tyle i wyniósł pięć pierwszych stron Nietzschego, wraz z przemożną potrzebą kontynuowania negocjacji z Morralem w sprawie nabycia całego rękopisu, jeśli rzeczywiście ma do niego dostęp. Wtedy stwierdził, że może nadszedł moment, żeby porozmawiać z panem Sagrerą, ile mu zostało pieniędzy, żeby się przekonać, czy ochy i achy Carsona i Czarnego Orła były uzasadnione. Ale Sagrera poradził mu, żeby zainwestował: szkoda trzymać pieniądze na koncie.

– Nie wiem, co innego mógłbym z nimi zrobić.

– Kupować nieruchomości.

– Nieruchomości?

– Tak. I malarstwo. To znaczy obrazy.

– No, wie pan... Ja kupuję rękopisy.

– A co to takiego?

Pokazał mu swoją kolekcję. Pan Sagrera obejrzał ją, kręcąc nosem, a po głębokim zastanowieniu stwierdził, że to zbyt ryzykowne.

– Dlaczego?

– To za delikatne. Mogą to pogryźć szczury albo te srebrzyste insekty.

– Nie mam szczurów. A rybkami zajmuje się Mała Lola.

– Hauk.

– Co znowu?

– Caterina.

– Tak, dziękuję.

– Nalegam: kupując mieszkanie, kupuje się coś solidnego, co nigdy nie traci wartości.

Ponieważ wolał zaoszczędzić sobie tej rozmowy, Adrian Ardèvol nie rozmawiał z panem Sagrerą ani o mieszkaniach, ani o szczurach. Ani o pieniądzach, które wydał na pożywienie dla rybków.

Parę nocy później znów miałem powód do płaczu, chociaż tym razem nie z powodu miłości. Chociaż nie: właśnie z miłości. W skrzynce pocztowej znalazłem zawiadomienie wysłane przez niejakiego Calafę, notariusza z Barcelony, osobę mi zupełnie nieznaną, i natychmiast przyszło mi do głowy, że są jakieś problemy ze sprzedażą sklepu, jakieś Bóg wie jakie problemy rodzinne, bo nigdy nie miałem zaufania do notariuszy, mimo że teraz wchodzę w rolę notariusza życia, które coraz mniej do mnie należy. O czym to ja mówiłem: ach tak, notariusz Calaf, człowiek mi nieznanym, który trzymał mnie w niepewności przez pół godziny w pretensjonalnym saloniku. Spóźniwszy się pół godziny, wszedł do pretensjonalnego saloniku, nie przeprosił za spóźnienie, nie spojrzał mi w oczy, pogłodził gęstą, białą brodę i poprosił o dowód osobisty. Oddał mi go z grymasem, który odczytałem jako wyraz rozczarowania i zdegustowania.

– Pani Maria Dolors Carrió zadysponowała, że będzie pan depozytariuszem części jej spadku.

Ja miałem dziedziczyć po Małej Loli? Była milionerką, a spędziła całe życie jako służąca, na dodatek w rodzinie takiej jak moja? O mój Boże.

– A co też takiego mianowicie miałbym po niej odziedziczyć?

Notariusz spojrzał na mnie spod oka; na pewno musiałem zrobić na nim złe wrażenie, ale serce miałem jeszcze przepełnione przykrością, która mnie spotkała w Paryżu i która zmieniła całe moje życie, i było mi obojętne, co myśli o mnie całe kolegium notarialne. Notariusz znów pogłodził się po brodzie, pokręcił głową i przeczytał akt notarialny, który miał przed sobą, przesadnie akcentując samogłoski nosowe:

– Obraz niejakiego Modesta Urgella, datowany na rok tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt dziewięć.

Mała Lola okazała się bardziej uparta niż ja.

Po załatwieniu formalności i zapłaceniu podatku Adrian znów zawiesił obraz niejakiego Urgella,

przedstawiający klasztor Santa Maria de Gerri, na ścianie, której nie chciał zakryć żadnym innym obrazem ani regałem. Smutny blask zachodzącego słońca ciągle padał od strony Trespui. Adrian odsunął krzesło od stołu w jadalni i usiadł. Przez dłuższy czas wpatrywał się w obraz, jakby chciał zaobserwować powolny ruch słońca. Kiedy wrócił z klasztoru Santa Maria de Gerri, popłakał się.

Uniwersytet, wykłady, możliwość wyczytania w książkach wszystkiego o życiu... Wielką przyjemnością było nieoczekiwane odkrycie jakiegoś tytułu w domowej bibliotece. Nie doskwierała mu samotność, bo cały czas był zajęty. Dwa eseje, które opublikował, wywołały surową krytykę tych paru osób, które je przeczytały. Po drugim ukazała się zjadliwa recenzja w „El Correo Catalán”, którą Adrian wyciął i schował do teczek. W gruncie rzeczy był zadowolony, że wywołał tak silne emocje. Na ogół jednak patrzył na wszystko obojętnie, bo co innego go dręczyło, a cała reszta była tylko dziecinną zabawą. Od czasu do czasu grałem na moim ukochanym storionim, chociażby po to, żeby nie przygasł jego głos; również dlatego, że chciałem poznać historie, które pozostawiły blizny na jego skórze. Niekiedy wracałem nawet do pasaży pani Trullols i trochę za nią tęskniłem. Jak mogły się potoczyć losy tamtych ludzi. Co się dzieje z panią Trullols...

– Zmarła – poinformował go Bernat, z którym teraz znów czasem się spotykał. – Powinieneś się ożenić – dodał niczym dziadek Ardèvol, który snuł plany matrymonialne w Tonie.

– Dawno zmarła?

– Niedobrze, że jesteś sam.

– Bardzo mi dobrze samemu. Przez cały dzień czytam i uczę się. Gram na skrzypcach i na pianinie. Czasami pozwalam sobie na jakiś kaprys w sklepie Múrria: drogi ser, foie gras czy wino. Czego można chcieć więcej? Domem zajmuje się Mała Lola.

– Caterina.

– Tak, Caterina.

– Wspaniale.

– To właśnie chciałem robić.

– A seks?

Żadnego seksu. Tylko sprawy sercowe. Dlatego zakochał się straceńczo i beznadziejnie w dwudziestu trzech studentkach i dwóch koleżankach, ale nie robił postępów, bo... no dobrze, poza Laurą, która, koniec końców, ponieważ...

– Na co zmarła pani Trullols?

Bernat wstał i pytającym gestem wskazał szafę. Adrian dał mu ręką znak proszę bardzo. I Bernat zagrał szatańskiego czardasza, gotowego poderwać do tańca nawet rękopisy, a potem słodkiego, trochę przesłodzonego walca, ale w bardzo dobrym wykonaniu.

– Cudownie brzmi – powiedział z podziwem Adrian. Biorąc do ręki Viala, z odrobiną zazdrości w głosie: – Jak się zajmiesz kameralistyką, poproś, żebym ci go pożyczył.

– Och, co za odpowiedzialność.

– Co z tego? Jaka pilna sprawa sprowadza cię do mnie?

Bernat chciał, żeby przeczytał opowiadanie, które właśnie skończył, i wyczułem, że znów będziemy mieć problemy.

– Nie porzuciłem pisania. Mimo że ciągle mi je odradzasz.

– Bardzo dobrze.

– Ale obawiam się, że masz rację.

– W jakiej sprawie?

– Że to, co piszę, nie ma duszy.

– Dlaczego nie ma?

– Gdybym ja to wiedział...

– Może dlatego, że nie jest to właściwa dla ciebie forma wyrazu.

Wtedy Bernat wyjął mi z rąk Viala i zagrał *Caprice basque* Sarasate, popełniając sześć czy siedem kardynalnych błędów. Kiedy skończył, powiedział widzisz? Skrzypce nie są właściwą dla mnie formą wyrazu.

– Specjalnie się pomyliłeś. Znam cię, stary.

– Nigdy nie będę solistą.

– Nie musisz być. Jesteś muzykiem, grasz na skrzypcach, zarabiasz w ten sposób na życie. Czego chcesz więcej, do cholery?

– Chcę zdobyć miłość i podziw, nie środki utrzymania. A grając w concertino jako drugi skrzypek nie zapiszę się w ludzkiej pamięci.

– Orkiestra się zapisze w ludzkiej pamięci.

– Chcę być solistą.

– Nie możesz! Sam to powiedziałeś.

– Dlatego chcę pisać: pisarz zawsze jest solistą.

– Nie sądzę, żeby to był właściwy powód uprawiania literatury.

– W moim przypadku jest.

Tak więc dostałem opowiadanie, a właściwie zbiór opowiadań, przeczytałem i po paru dniach powiedziałem chyba najlepsze jest to trzecie, to z komiwojażerem.

– To wszystko?

– Tak, wszystko.

– Nie znalazłeś w nich duszy ani czegoś w tym rodzaju?

– Ani duszy, ani niczego w tym rodzaju. Przecież dobrze wiesz!

– Jesteś zgorzkniały, bo odsądzają od czci i wiary to, co ty piszesz. A mnie się podoba, wiesz?

Od czasu tego oświadczenia Bernat nie zwracał już głowy Adrianowi swoją twórczością. Opublikował trzy zbiory opowiadań, które nie poruszyły świata literackiego i prawdopodobnie nie poruszyły też żadnego czytelnika. Zamiast szukać szczęścia w orkiestrze, wołał się zamartwiać. A ja wykładałem o szczęściu. Tak jakbym był w tej dziedzinie ekspertem. Tak jakby szczęście było w życiu przedmiotem obowiązkowym.

Zajęcia w tym dniu przebiegały normalnie, nawet całkiem nieźle. Mówiłem o muzyce, jaką komponowano w czasach Leibniza. Przeniosłem się ze studentami tropem Leibniza do Hanoweru, na fali muzyki Buxtehudego, a konkretnie słuchając wariacji na klawesyn na temat arii *La Capricciosa* (Bux WV 250). Poprosiłem, żeby się zastanowili, czy przypominały im pewne dzieło późniejsze (ej, ale tylko trochę późniejsze) innego muzyka, o wiele bardziej znanego. Cisza. Adrian wstał i cofnął taśmę w magnetofonie, żeby mogli jeszcze przez minutę posłuchać grającego na klawesynie Trevora Pinnocka.

– Wiecie, o jaki utwór mi chodzi? – Cisza. – Nie? – upewnił się.

Jeden ze studentów patrzył przez okno. Inni wpatrywali się pilnie w notatki. Jedna dziewczyna przecząco pokręciła głową. Żeby im pomóc, zaczął mówić o Lubece z tego okresu i znów zapytał nadal nie wiecie? W końcu opuścił poprzeczkę skandalicznie nisko i ustąpił: no dobrze, nie pytam o utwór, podajcie mi przynajmniej autora. Wtedy odezwał się student siedzący w jednym ze środkowych rzędów, który chyba rzadko bywał na jego wykładach; nie podnosząc ręki, zapytał Jan Sebastian Bach?, właśnie w taki sposób, pytającym tonem, a Adrian się ucieszył: brawo! A utwór ma podobną strukturę. Jeden temat, ten, który wam powtórzyłem, nadaje charakter całej wariacji... Wiecie co? Przed środowymi zajęciami sprawdźcie, o jakim utworze mowa. I nie zapomnijcie przesłuchać go parę razy.

– A jeśli nie zgadniemy, o który utwór chodzi? – zapytała ta sama dziewczyna, która wcześniej powiedziała, że nie wie.

– To numer 988 w jego katalogu. Zadowoleni? Jeszcze jakaś podpowiedź?

Mimo ustępstw, na które musiałem pójść, w tamtych czasach nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wykład trwał pięć godzin. Chciałem także, żeby studenci zawsze byli żywo zainteresowani i żeby mi zadawali pytania, nad którymi musiałbym się zastanawiać aż do następnych zajęć, żeby dobrze przygotować się do odpowiedzi. Ale Adrian musiał się zadowolić tym, co miał. Studenci wyszli z ławek i skierowali się do wyjścia. Wszyscy poza tym, który odgadł odpowiedź, a teraz nie opuszczał swego miejsca w ławce. Adrian, wyłączając magnetofon, zagadnął go wydając mi się, że rzadko bywasz na moich wykładach. Ponieważ tamten nie odpowiedział, podniósł głowę i zauważył, że chłopak się uśmiecha.

– Jak się nazywasz?

– Nie jestem twoim studentem.

– To co tu robisz?

– Słucham. Nie poznajesz mnie?

Wstał i szedł na dół, bez teczek i notatek, do katedry profesorskiej. Adrian zdążył umieścić wszystkie papiery w swojej teczce, a teraz jeszcze wpychał do niej magnetofon.

– Nie. A powinienem?

– No wiesz... Formalnie jesteś moim wujem.

– Ja, twoim wujem?

– Tito Carbonell – przedstawił się, podając rękę. – Widzieliśmy się w Rzymie, u mojej matki, kiedy sprzedawałeś jej sklep.

Adrian przypomniał sobie: milczący wyrostek z krzaczastymi brwiami, który podsłuchiwał za drzwiami i który zmienił się teraz w pewnego siebie przystojniaka.

Adrian zapytał go o matkę, usłyszał, że ma się dobrze, po czym rozmowa zaczęła więdnąć. I wtedy padło pytanie:

– Dlaczego przyszedłeś na mój wykład?

– Chciałem cię lepiej poznać przed złożeniem propozycji.

– Jakiej propozycji?

Tito upewnił się, że w sali nie ma nikogo poza nimi, i wtedy powiedział chcę kupić storioniego.

Adrian spojrzał na niego zdziwiony. Zareagował dopiero po chwili.

– Nie jest do sprzedania – powiedział wreszcie.

– Jak usłyszysz ofertę, wystawisz go na sprzedaż.

– Nie chcę go sprzedać. Nie słucham ofert.

– Dwieście tysięcy duros.

– Powiedziałem ci, że nie jest na sprzedaż.

– Dwieście tysięcy duros to sporo grosza.

– Nawet gdybyś mi dawał dwa razy tyle. – Zbliżył twarz do jego twarzy: – Nie-jest-na-sprzedaż. –

Wyprostował się. – Zrozumiałeś?

– Doskonale. Dwa miliony peset.

– Ty słuchasz tego, co się do ciebie mówi?

– Mając dwa miliony w portfelu, możesz prowadzić wygodne życie, zamiast uczyć ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia o muzyce.

– Mówisz, że masz na imię Tito?

– Tak.

– Tito: nie.

Wziął teczkę i ruszył do wyjścia. Tito Carbonell nie ruszył się z miejsca. Może Adrian spodziewał się, że tamten nie pozwoli mu wyjść. Widząc, że droga wolna, odwrócił się.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Ze względu na sklep.

- Mhm. To dlaczego tej oferty nie składa mi twoja matka?
- Ona jest zajęta czym innym.
- Aha. A więc ona o niczym nie wie.
- Może pan sobie myśleć, co chce, profesorze Ardèvol.
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia sześć – skłamał, chociaż o tym dowiedziałem się dużo później.
- I prowadzisz własną politykę w sklepie?
- Dwa miliony sto tysięcy peset, moje ostatnie słowo.
- Twoja matka powinna o tym wiedzieć.
- Dwa i pół miliona.
- Ty nie słuchasz tego, co się do ciebie mówi, prawda?
- Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie chcesz ich sprzedać...

Adrian otworzył usta i zaraz je zamknął. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie wiedział, dlaczego nie chce sprzedać Viala, skrzypiec, które były tak blisko różnych nieszczęść, na których grał coraz częściej. Może z powodu opowieści ojca, może z powodu historii, które sobie wyobrażałem, dotykając drewna. Saro, czasami wystarczyło mi dotknięcie powierzchni palcem, żeby się przenieść w czasy, kiedy to drzewo rosło, nawet nie podejrzewając, że pewnego dnia nadany mu zostanie kształt, który je przemieni w skrzypce, w storioniego, w Viala. Nie mówię tego, żeby się usprawiedliwiać, ale Vial był dla mnie czymś w rodzaju bramy do wyobraźni. Gdyby Sara tu była, gdybym mógł ją widywać codziennie... może wszystko inaczej by wyglądało... jasne, że... obym sprzedał je wtedy, kiedy mnie namawiał Tito, nawet za sto peset. Ale o tym jeszcze nie miałem pojęcia.

- Co? – zapytał uparty Tito Carbonell. – Dlaczego nie chcesz ich sprzedać?
- Obawiam się, że to nie twoja sprawa.

Wyszedłem z sali, czując coś zimnego na karku, jakbym czekał na zdradziecki strzał. Tito Carbonell nie strzelił mi w plecy, a ja miałem fałszywe wrażenie, że udało mi się ocalić życie.

Minęło parę tysięcy lat od Stworzenia Świata, porządkującego według Klasyfikacji Dziesiątej książki w moim domu, a ja jeszcze nie przekopałem się przez dokumenty w gabinecie ojca. Adrian przeznaczył trzecią szufladę szafy z rękopisami na koperty z mnóstwem niesklasyfikowanych papierów, które nie miały nic wspólnego ze sklepem i nie zostały zarejestrowane w księdze wejść prowadzonej przez pana Ardèvola; księga rejestracyjna dawała przedsmak rozkoszowania się przedmiotami, których tropieniu poświęcił wiele dni, może nawet lat. Wszystko w bibliotece miało swoje miejsce. Prawie wszystko. Poza dokumentami niesklasyfikowanymi, które zostały odłożone na bok. Adrian zgromadził wszystkie te papiery w trzeciej szufladzie, obiecując sobie, że je przejrzy, gdy tylko będzie miał wolną chwilę. Minęło parę lat, podczas których Adrian najwidoczniej nie znalazł takiej chwili.

Wśród różnych papierów w trzeciej szufladzie była także korespondencja. Dziwne, że człowiek tak skrupulatny jak jego ojciec uznał korespondencję za materiał nienadający się do zaklasyfikowania ani nie zostawił sobie kopii własnych odpowiedzi, zatrzymał tylko listy, które sam otrzymał. Zajmowały kilka wypchanych do niemożliwości starych teczek kartonowych. Były tam odpowiedzi jakiegoś Morlina na prośby ojca, jak się domyślam, w sprawach zawodowych. Było też pięć bardzo dziwnych listów, napisanych nieskazitelną łaciną, pełnych trudnych do rozszyfrowania aluzji, jakiegoś księdza, który nazywał się Gradnik. Pochodził z Lublany i bardzo się przejmował kryzysem wiary, dręczącym go od lat. Z tego, co pisał, wynikało, że studiował razem z moim ojcem w Gregorianum, a teraz dopominał się o pilną konsultację w sprawach teologicznych. Ostatni list utrzymany był w innym tonie. Datowany: Jesenice, jesień 1941 roku; tekst zaczynał się od słów prawdopodobnie ten list do ciebie nie dotrze, ale muszę go napisać; jesteś jedyną osobą, która zawsze mi odpisuje, nawet wtedy, gdy czułem się wyjątkowo samotny jako proboszcz i grabarz w zasypanej śniegiem i skutej lodem wiosce w okolicy Kamnika, której nazwę postanowiłem na zawsze wymazać z pamięci. Pewnie to mój ostatni list; bardzo możliwe, że umrę lada moment. Już rok temu zrzuciłem sutannę. Nie z powodu jakiejś kobiety. Wszystko sprowadza się do tego, że straciłem wiarę. Wypływała ze mnie kropla za kroplą i nie potrafiłem jej zatrzymać. To moja wina: confiteor. Od ostatniego listu, który do ciebie wysłałem, po twoich słowach otuchy, które bardzo mi pomogły, mogę już mówić o tym w sposób bardziej obiektywny. Stopniowo zdawałem sobie sprawę, że to, co robię, nie ma najmniejszego sensu. Ty musiałeś wybierać między miłością, której nie potrafiłeś się oprzeć, a życiem konsekrowanym. Na mojej drodze nie stanęła żadna kobieta, która zawróciłaby mi w głowie. Wszystkie moje problemy są wytworem umysłu. Minał już rok od podjęcia tej ważkiej decyzji. Teraz, kiedy cała Europa ogarnięta jest wojną, stwierdzam, że miałem rację. Nic nie ma sensu, Bóg nie istnieje, a ludzie muszą się bronić na własną rękę przed destrukcyjnym działaniem czasu. Słuchaj, drogi przyjacielu: jestem tak bardzo przekonany o słuszności mojej decyzji, że poszedłem jeszcze dalej w tym kierunku: parę tygodni temu zaciągnąłem się do ludowego wojska. Krótko mówiąc, zamieniłem sutannę na karabin. Jestem bardziej użyteczny, starając się ocalić moich ludzi przed Złem. Zniknęły wątpliwości, przyjacielu Ardèvol. Lata temu mówiłem o Złu, Duchu Nieczystym, o szatanie... i nie potrafiłem zrozumieć natury Zła; dywagowałem na temat różnic między złem zawinionym, złem cierpienia, złem metafizycznym, złem fizycznym, złem absolutnym i złem relatywnym, a przede wszystkim na temat przyczyny sprawczej. Studiowałem i rozmyślałem po to, żeby potem słuchać beginek w mojej parafii, które spowiadały się ze strasznego przestępstwa niezachowania ścisłego postu od północy do momentu przyjęcia porannej komunii. Mój Boże, wszystko we mnie buntowało się tak nie może być, tak nie może być, Drago, nie na tym polega sens życia, jeśli rzeczywiście chcesz być użyteczny dla ludzkości. Uświadomiłem to sobie z całą wyrazistością, kiedy jakaś matka

spytała mnie proszę księdza, dlaczego Bóg pozwala, żeby moja córeczka umierała w takich cierpieniach, dlaczego Bóg nic nie robi. A ja nie wiedziałem, co odpowiedzieć, i kiedy dotarło do mnie, że właśnie jej wygłaszam kazanie na temat przyczyny sprawczej Zła, zamilkłem zawstydzony, poprosiłem ją o wybaczenie i powiedziałem po prostu, że nie wiem. Powiedziałem nie wiem, Andreja, wybac mi, ale nie wiem. Może cię to rozśmieszy, szanowny Feliksie Ardèvol, autorze długich listów, obrońco egoistycznego cynizmu, na którym, jak twierdzisz, zbudowałeś swoje życie. Dręczyły mnie wątpliwości, bo czułem się bezradny wobec tych łez, ale to już minęło. Teraz już wiem, gdzie jest Zło. A nawet Zło absolutne. Nazywa się Himmler. Nazywa się Hitler. Nazywa się Pavelić. Nazywa się Luburić i Jasenovac, makabryczny wynalazek Luburića. Nazywa się Schutzstaffel i Abwehr. Wojna wyciąga na wierzch najbardziej bestialskie skłonności natury ludzkiej. Ale Zło istnieje niezależnie od wojny i nie potrzebuje żadnej entelechii – zależy od ludzi. Dlatego moim nieodłącznym towarzyszem od paru tygodni jest karabin z celownikiem optycznym, ponieważ zdaniem dowódcy jestem dobrym strzelcem. Wkrótce włączymy się do walki. Wtedy urwę głowę Złu i nie wzdragam się przed tą myślą. Niech no tylko pojawi się w zasięgu celownika jakiś nazista, ustasz czy po prostu, przebac mi, Panie Boże, wrogi żołnierz. Narzędziem Zła jest Lęk i absolutne Okrucieństwo. Dowódcy chcąc zasiać w nas nienawiść, opowiadają nam tak straszne rzeczy o wrogu, że wszyscy chcielibyśmy już stanąć z nim twarzą w twarz. Któregoś dnia zabiję człowieka i mam nadzieję, że nie będę mieć skrupułów. Dołączyłem do oddziału, w którym najwięcej jest Serbów mieszkających w chorwackich wioskach, bo musieli uciekać ze strachu przed ustaszami; nas, Słoweńców, jest czterech w oddziale; są też jacyś Chorwaci, którzy wierzą w wolność. Nie mam na razie żadnego stopnia, ale niektórzy mówią do mnie sierżancie, bo widać mnie z daleka: tak, ciągle jestem wysoki i gruby. Słoweńcy nazywają mnie księdzem, bo któregoś dnia się upiłem i musiałem się wygadać, sam sobie jestem winien. Jestem zdecydowany zabijać, zanim mnie zabiją. Nie czuję żadnych wyrzutów sumienia i nie żałuję tego, co robię. Możliwe, że zginę w którejś potyczce, teraz, kiedy, jak mówią, wojsko niemieckie zmierza na południe. Wszyscy wiemy, że każda operacja wojskowa musi zostawić żniwo śmierci, również w naszych szeregach. Tu, na wojnie, staramy się nie nawiązywać przyjaźni. Wszyscy stanowimy jedność, bo zależy nam od siebie nawzajem; tak więc oplakuję śmierć tego, który wczoraj jadł obok mnie śniadanie, ale nie zdążyłem go zapytać, jak mu na imię. No, jednak przed tobą zdejmę maskę: czuję panikę na myśl, że mam kogoś zabić. Nie wiem, czy będę umiał. Ale Zło to konkretne osoby. Mam nadzieję, że będę dzielny i że nie zadrży mi serce, kiedy trzeba będzie nacisnąć spust.

Piszę do ciebie ze słoweńskiej wioski, która nazywa się Jesenice. Nakleję znaczki na liście, jakby nie było wojny. I zabiorę go ze sobą na ciężarówkę, która dziś jest pełna worków z korespondencją, bo dopóki nie rozpocznie się prawdziwy konflikt, każą nam zająć się czymś pożytecznym i nie marnować czasu. Ale ten list powierzę Jančarowi, jedynej osobie, która może sprawić, żeby do ciebie dotarł. Oby wspomógł go Bóg, w którego nie wierzę. Proszę, żebyś odpowiedź zaadresował jak zawsze na pocztę w Mariborze. Jeśli mnie nie zabiją, będę czekał niecierpliwie na twój list. Czuję się taki samotny, kochany Feliksie Ardèvolu. Śmierć przejmuję zinnem, a ja coraz częściej czuję dreszcze. Twój przyjaciel Drago Gradnik, były ksiądz, były teolog, który wyrzekł się błyskotliwej kariery w kurii biskupiej w Lublanie, a może i w Rzymie. Twój przyjaciel, który teraz jest strzelcem wyborowym w partyzantce i który nie może się doczekać, kiedy wyrwie Zło wraz z korzeniami.

Były tam też odpowiedzi ośmiu czy dziesięciu antykwariuszy, kolekcjonerów i handlarzy starociami z całej Europy na konkretne zamówienia ojca. I kilka listów od doktora Wuanga z Szanghaju, który zapewniał nieporadną angielszczyzną, że tamten fortunny rękopis (bez podania, jaki) nigdy nie przechodził przez jego ręce, i życzył mu długiego i szczęśliwego życia, powodzenia w interesach oraz szczęśnej, nieustającej pomyślności w sprawach osobistych, rodzinnych i uczuciowych. Stwierdziłem, że pozdrowienia doktora Wuanga mnie też dotyczą. Było jeszcze wiele innych najróżniejszych dokumentów.

Pewnego deszczowego, nudnego popołudnia, kiedy skończyłem poprawianie prac egzaminacyjnych i nie byłem w nastroju do zastanawiania się nad filozofią języka, postanowiłem ponudzić się w domu, nic nie czytać, porozglądać się po prostu. W teatrach nie było nic ciekawego, na muzykę nie miałem ochoty, a progu kina nie przekroczyłem od tylu lat, że wolałem nie sprawdzać, czy ciągle jeszcze kręcą filmy w kolorze. Ziewając, pomyślałem, że to odpowiedni moment, żeby ostatecznie zrobić porządek w tamtych pozostawionych przez ojca papierach. Tak więc z Tetralogią na adapterze zabrałem się do dzieła. Najpierw wpadł mi w ręce list jakiegoś Morlina, który mieszkał w Rzymie i chyba był księdzem, chociaż tego wtedy jeszcze nie wiedziałem na pewno. W tym momencie, bez konkretnego powodu, poczułem nagle chęć przesledzenia niejasnych epizodów z życia ojca. Nie chodziło mi o wyjaśnienie okoliczności jego śmierci, ale o mnie. Każdy kontakt z jego osobistymi papierami przynosił jakąś drobną niespodziankę, która miała związek z moją osobą. O tym piszę do ciebie od wielu tygodni, jak w amoku, jak nigdy dotąd. Widać wyraźnie, że pies, który mnie goni, wkrótce mnie dosięgnie. Może dlatego wyciągam teraz z pamięci różne fragmenty, bo kiedy przyjdzie na nie kolej, trudno mi będzie uporządkować je tak, żeby były zrozumiałe. Dlatego postanowiłem kontynuować selekcję makulatury. W ciągu paru godzin, ciągle jeszcze słuchając wstępu (już nadszedł moment, kiedy rozwścieczeni Wotan i Loge kradną pierścień i Nibelung wypowiada straszliwą zapowiedź nieszczęść, jakie spadną na każdego, kto go włoży na palec), uporządkowałem korespondencję i szkice różnych przedmiotów, narysowanych przez ojca, jak przypuszczam. Minęło dobre półtorej godziny i Brunhilda zdążyła już wbrew woli Wotana pomóc w ucieczce biednej Zyglindzie, kiedy odkryłem kartkę z hebrajskim tekstem, dwie pożółkłe strony tego holenderskiego formatu, którego dziś już się nie używa, zapisane atramentem, dobrze znanym mi charakterem pisma mojego ojca. Myślałem, że znajdę tam coś z fascynujących go ciekawostek, ale kiedy zacząłem czytać, stwierdziłem, że najwyraźniej mój hebrajski trochę już zardzewiał i uniemożliwiał mi płynną lekturę tekstu. Po pięciu minutach bezowocnych wysiłków i ciągłego zaglądania do słowników czekała mnie niespodzianka. To nie był tekst napisany po hebrajsku, tylko po aramejsku, zakamuflowany, ukryty pod alfabetem hebrajskim. Dziwnie się go czytało, bo byłem przyzwyczajony do zapisywania aramejskiego alfabetem syryjskim. Trzeba było się przestawić. Wystarczyła minuta, żebym sobie uświadomił dwie rzeczy: po pierwsze, że pani doktor Gombreny zrobiła dobrą robotę i całkiem nieźle radziłem sobie z aramejskim; po drugie, że nie była to kopia jakiegoś starożytnego tekstu, tylko list ojca adresowany do mnie. Do mnie! Mój ojciec, który za życia zwrócił się do mnie bezpośrednio może z pięćdziesiąt razy, i prawie zawsze słowami co to za krzyki, do cholery, napisał tekst adresowany do syna, którego zawsze lekceważył. Stwierdziłem też, że ojciec radził sobie z aramejskim o wiele lepiej niż ja. Kiedy już dotarłem do końca, Zygfyrd, dzielny syn Zygliny, z tym okrucieństwem, jakie charakteryzuje bohaterów, zabił Mimego, Nibelunga, który go wychował, a teraz chciał go zdradzić. Las bohaterów, aramejski list, wszystko ociekało krwią. Adrian, pochylony nad biurkiem, nie patrząc w tekst, rozmyślał o tych strasznych rzeczach, o których przeczytał, i nie pamiętał, że trzeba odwrócić na drugą stronę płytę, która od ponad pół godziny obracała się na gramofonie. Tak jakby postaci powtarzały w nieskończoność te same czynności, przy akompaniamencie cichego zgrzytu igły. Był wstrząśnięty, podobnie jak Zygfyrd, dokonany odkryciem. List zaczynał się od słów kochany synu Adrianie. Powierzam ci ten sekret, mając nikłą nadzieję, że pewnego dnia, kiedyś w odległej przyszłości, dowiesz się, co się stało. Najprawdopodobniej list przepadnie na zawsze wśród papierów, które powoli będą niszczały, zdane na pastwę żarłocznych srebrnych rybików, towarzyszących zawsze bibliotekom, w których są stare książki. Jeśli go czytasz, to znaczy, że zachowałeś moje papiery, zrealizowałeś wyznaczony przeze mnie cel i nauczyłeś się hebrajskiego i aramejskiego. A jeśli znasz hebrajski i aramejski, zostałeś dokładnie takim uczonym, jakiego sobie wymarzyłem. Czyli że postawiłem na swoim wbrew twojej matce, która chciała z ciebie zrobić skrzypka dekadenta. (Ścisłe rzecz biorąc, w aramejskim była mandola, nie skrzypce, ale złośliwa intencja ojca była oczywista). Chcę, żebyś wiedział, że jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że nie wróciłem

do domu, żeby go zniszczyć. Nie wiem, czy w wersji oficjalnej będę ofiarą wypadku, ale ty powinieneś wiedzieć, że zostałem zamordowany, a moim mordercą jest Aribert Voigt, nazistowski lekarz, uczestnik okrutnych działań – oszczędzę ci szczegółów – który chce odzyskać teraz skrzypce Storioniego, zdobyte przeze mnie podstępem. Wychodzę więc z domu, żeby jego gniew was nie dosięgnął, jak ptak, który udając rannego, odciąga drapieżnika jak najdalej od swoich piskląt. Nie szukaj mordercy. Kiedy będziesz to czytał, na pewno minie już wiele lat od jego śmierci. Nie szukaj też skrzypiec; nie warto. Nie szukaj tego, co ja odnalazłem w wielu przedmiotach z mojej kolekcji: satysfakcji z posiadania czegoś rzadkiego. Staraj się uchronić przed tym nigdy niezaspokojonym, destrukcyjnym pragnieniem, zmuszającym do podejmowania działań, których później będziesz żałował. Jeśli żyje jeszcze twoja matka, oszczędź jej tych rewelacji. Żegnaj. Pod spodem było jeszcze postscriptum, od którego zaczęło się moje nieszczęście. Postscriptum głosiło to Aribert Voigt mnie zabił. Wyrwałem Viala z jego szponów poplamionych krwią. Wiem, że wypuścili go na wolność i że, z całą pewnością, będzie mnie szukać. Voigt to zło wcielone. Ja też jestem złem, ale Voigt to Zło absolutne. Jeśli umrę śmiercią gwałtowną, nie wierz tym, którzy będą mówić o wypadku. Voigt. Nie chcę, żebyś się mścił, synu. Nie będziesz mógł tego zrobić, oczywiście; bo kiedy będziesz to czytał, jeśli w ogóle to przeczytasz, Voigt już od dawna będzie się smażył w piekle. Jeśli mnie zabili, to znaczy, że Vial, nasz storioni, zniknął z domu. Jeżeli z tego powodu będzie się mówiło o Voigcie lub o naszych skrzypkach, chcę, żebyś wiedział, że udało mi się sprawdzić, do kogo instrument należał, zanim Voigt go skonfiskował: jego właścicielką była Netje de Boeck, Belgijka. Z całego serca życzę Voigtowi, żeby źle skończył i żeby ktoś, nie wiem kto, nie dał mu spać spokojnie aż do śmierci. Ale nie chcę, żebyś to był ty, nie chcę obciążać cię swoimi sprawami. Obciążyleś mnie, ojcze, i to jak, pomyślał Adrian, przekazując mi rodzinną chorobę, mrowienie w palcach, kiedy pożądam jakiegoś przedmiotu. Tekst aramejski kończył się lakonicznym żegnaj, synu. Najprawdopodobniej były to ostatnie słowa, jakie napisał. Nic w rodzaju kocham cię, synu. Pewnie dlatego, że mnie nie kochał.

Bezgłośne obroty płyty na gramofonie towarzyszyły konsternacji Adriana, który sam się dziwił, jak mało go zaskoczyła widoczna w liście wątpliwa moralność ojca. Minęła dłuższa chwila, zanim zaczął zadawać sobie pytania, na przykład, dlaczego nie chciał ujawnienia, że zabił go nazista, jakiś Voigt. Może nie chciał, żeby wypłynęły przy okazji inne sprawy? Niestety, uważam, że to była właściwa przyczyna. Wyobrażasz sobie, jak się czułem, Saro? Jak idiota. Ja, który zawsze myślałem, że ułożyłem sobie życie wbrew wszystkim, a teraz okazuje się, że zrobiłem tylko to, co mój despotyczny ojciec zaplanował od samego początku. Do wtóru tego dziwnego uczucia włączyłem sobie początek *Götterdämmerung*, gdzie trzy Norny, córki Erdy, zebrały się przy skale Brunhildy, żeby rozciągać struny przeznaczenia, z taką samą cierpliwością, jak mój ojciec, który nie pytał o zdanie ani mnie, ani mojej matki. Ale jedna struna przeznaczenia, wyrażonego w pośmiertnej dyspozycji mojego ojca, pękła w sposób nieoczekiwany, potwierdzając to, czego najbardziej się obawiałem: że ponoszę odpowiedzialność za jego straszną śmierć.

– Ej, ej, ej! Powiedziałaś, że na trzy dni! – Nigdy wcześniej nie widziałem Bernata w stanie takiego wzburzenia. – Mam je dopiero od trzech godzin!

– Przykro mi, przysięgam, przepraszam. Teraz. Albo teraz, albo mnie zabiją, przysięgam.

– Nie dotrzymujesz słowa. Ja ciebie nauczyłem vibrato.

– Vibrato samo wychodzi, nie da się go nauczyć – odpowiedziałem zdesperowany. W wieku dwunastu lat nie byłem przekonujący w doborze argumentów. Mówiłem dalej, bardzo przestraszony: – Nakryją nas i ojciec wsadzi mnie do więzienia. I ciebie też. Wyjaśnię ci to, przysięgam.

Obaj jednocześnie odłożyli słuchawkę. Musiał tłumaczyć się przed Małą Lolą czy przed matką, że zostawił u Bernata pracę domową.

– Pamiętaj, żeby nie schodzić z chodnika.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedział obrażony.

Spotkali się przed cukiernią Solà. Otworzyli futerały i dokonali zamiany na rogu ulic València i Llúria,

nie zwracając uwagi na hałasujący tramwaj, który z wysiłkiem ciągnął wagony w górę ulicy Llúria. Bernat oddał mu storioniego, a on zwrócił skrzypce Madame d'Angoulême i tłumaczył się, opowiadając, że ojciec wpadł gwałtownie do pracowni i nie zamknął za sobą drzwi. Ze swojego pokoju spanikowany Adrian widział, jak otwiera sejf, wyciąga z niego futerał i ponownie zamyka, nie sprawdzając, czy w futerałe są te skrzypce, które tam powinny być, a ja, daję słowo, nie wiedziałem, co zrobić, bo gdybym mu wtedy powiedział, że skrzypce są u ciebie, wyrzuciłby mnie przez balkon, wiesz, nie wiem, co by się stało, ale...

Bernat zmierzył go lodowatym wzrokiem:

– Wymyśliłeś to sobie.

– Nie, naprawdę! Do futerału włożyłem moje skrzypce do ćwiczeń, żeby niczego nie zauważył, otwierając sejf...

– Nie jestem dzieckiem, żeby uwierzyć w takie bajki.

– Ale ja ci przysięgam! – zapewniał zdesperowany Adrian.

– Jesteś gówniarzem, który nie umie dotrzymać słowa.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Patrzyłem bezradnie na mojego wkurzonego przyjaciela, który był już wtedy wyższy ode mnie o pół głowy. W moich oczach wyglądał jak mściwy olbrzym. Olbrzym znów się odezwał:

– I sądzisz, że jak wróci, otworzy sejf i zobaczy storioniego, nie będzie zadawał pytań?

– To co mam twoim zdaniem zrobić? No?

– Ucieknijmy. Do Ameryki.

Tym Bernat mnie ujął, tą spontaniczną solidarnością. Obaj uciekamy do Ameryki, super. Nie uciekli do Ameryki, a Adrian nie zdążył zapytać ej, Bernat, jak się gra na storionim, czujesz różnicę, warto mieć zabytkowe skrzypce? Nie dowiedział się też, czy jego rodzice coś zauważyli, czy... Tylko powtarzał zabije mnie, przysięgam, że mnie zabije, musisz mi je oddać. Bernat odszedł bez słowa i miał wypisane na twarzy, że nie wierzy w tę dziwną historię, która dopiero zaczynała się komplikować.

Dzień Pański przyjdzie jak złodziej w nocy. Sześć jeden pięć cztery dwa osiem. Adrian odłożył storioniego do sejfu, zamknął, zatarł ślady swojego nieopatrznego kroku i opuścił gabinet. W jego pokoju Carson i Czarny Orzeł, których przerosły okoliczności, spuścili oczy i udawali, że go nie widzą. Został z pustym futerałem, a żeby jeszcze bardziej skomplikować sytuację, dwa razy zajrzała do niego Mała Lola i zapytała w imieniu matki, czy nie zamierza tego dnia ćwiczyć. Za drugim razem zaczął się usprawiedliwiać, że zrobił mu się odcisk na palcu, o tu... widzisz?, nie może dziś grać.

– Pokaż no ten palec – zażądała matka, wkraczając niespodziewanie w momencie, kiedy właśnie wklejał trzy obrazki, które udało mu się kupić w niedzielę w hali targowej Sant Antoni.

– Nic tu nie widzę – powiedziała la crudele.

– Ale to mnie boli.

Matka pokręciła głową, jakby trudno jej było uwierzyć, że jej nie nabieram, i wyszła bez słowa. Na szczęście nie otworzyła futerału. Teraz pozostawało już tylko nastawić się na kosmiczną awanturę ojca.

Mea culpa. Zmarł przeze mnie. Chociaż i tak zginąłby z rąk tego jakiegoś Voigta. Taksówka zostawiła go samego na trzecim kilometrze i wróciła do Barcelony. Tą zimową porą dzień szybko zaczynał przygasać. Sam jeden na szosie. Podstęp, zasadzka. Nie zdawałeś sobie z tego sprawy, ojcze? Może wydawało ci się, że to był jakiś kiepski żart i tyle. Feliks Ardèvol po raz ostatni patrzył na Barcelonę rozciągającą się u jego stóp. Szum motoru. Od strony Tibidabo nadjeżdżał samochód z zapalonymi światłami. Zatrzymał się obok i wysiadł z niego signor Falegnami, szczuplejszy, z większą łysiną, z tym samym dużym nosem i błyszczącymi oczami. Towarzyszyli mu dwaj muskularni mężczyźni i szofer, który do nich dołączył. Wszyscy patrzyli na niego z odrazą. Falegnami obcesowo wyciągnął rękę po skrzypce. Ardèvol wręczył mu je, a tamten wszedł do samochodu, żeby sprawdzić zawartość futerału. Wyszedł

zaraz ze skrzypcami w rękę:

– Masz mnie za idiotę?

– Nie rozumiem, o co chodzi? – Wyobrażam sobie, że ojciec był raczej zirytowany niż wystraszony.

– Gdzie jest storioni?

– Do jasnej cholery, przecież trzyma go pan w rękę!

W odpowiedzi Voigt podniósł skrzypce do góry i roztrzaskał je o skałę na poboczu drogi.

– Co pan robi? – przeraził się ojciec.

Voigt podstawiał mu pod nos rozbite skrzypce. Płyta górna rozpadła się w drzazgi i widać było wyraźnie sygnaturę instrumentu: Firma Parramon, ulica Carme. Jediną osobą, która niczego nie rozumiała, musiał być ojciec.

– To niemożliwe! Sam wyjmowałem je z sejfu!

– Durniu, ktoś musiał ci go ukraść dawno temu!

Mogę sobie wyobrazić złośliwy uśmieszek ojca, towarzyszący jego odpowiedzi jeśli rzeczywiście tak się stało, drogi Signor Falegnami, to nie mam pojęcia, gdzie może teraz się znajdować ten wspaniały instrument.

Voigt dał znak, unosząc brew, i jeden z mężczyzn uderzył go pięścią w żołądek: ojciec zgiął się wpół, próbując złapać oddech.

– Wytęż pamięć, Ardèvol.

Ale ponieważ ojciec nie mógł wiedzieć, że w tym momencie Vial był w rękach Bernata Plensy i Punsoda, ulubionego ucznia pani Trullols w szkole muzycznej w Barcelonie, nie mógł wytężyć pamięci. Na wszelki wypadek powtórzył tylko przysięgam, że nie wiem.

Voigt wyjął damski pistolet, idealny do noszenia w kieszeni.

– Chyba się zabawimy – powiedział, pokazując pistolet: – Pamiętasz go?

– Jak najbardziej. A pan pozostanie bez skrzypiec.

Jeszcze jeden cios w żołądek, ale warto było. Jeszcze raz ciało zgięło się wpół. Jeszcze raz zabrakło mu tchu, a w oczach i w grymasie ust widać było przerażenie. Co było potem, nie wiem. Zimowy zmierzch szybko zamienił się w bezkarną noc i wtedy dokończyli pastwienia się nad ojcem w sposób, którego wolę sobie nie wyobrażać.

– Hauk.

– Kurczę, skąd się tu wzięliście?

– Nawet gdyby ojciec przyniósł im Viala, i tak by go załatwili.

– Czarny Orzeł ma rację – włączył się Carson. – Już był martwy, że tak powiem. – Energicznie splunął na ziemię. – On zdawał sobie z tego sprawę, wychodząc z domu.

– Dlaczego nie zajrzał do futerału?

– Za bardzo był przejęty, żeby sprawdzać, czy w środku jest Vial.

– Dziękuję, przyjaciele. Ale nie sądzę, żeby mi to pomogło.

Voigt torturował mojego ojca, dotrzymując rycerskiego słowa honoru, jakie dał Morlinowi w Damaszku, że nie spadnie mu włos z głowy, bo ojciec był już wtedy łysy jak jajko. To nie mogło się skończyć inaczej. Tak jak Brunhilda nieświadomie wysłała Zygfyda na śmierć, ujawniając jego słaby punkt wrogom, tak ja, wymieniając skrzypce, wydałem na śmierć ojca, który mnie nie kochał. Żeby uczcić pamięć tego drania, jakim był Zygfyd Ardèvol, Brunhilda przyrzekła, że skrzypce na zawsze zostaną w domu. Tak, przysięgła, żeby zachować pamięć o nim. Ale muszę się przyznać, że przysięgłem również z tego powodu, że na samą myśl, że mógłbym je stracić, czułem mrowienie w palcach. Aribert Voigt. Brunhilda. Mój Boże. Confiteor.

– Rrzzrrzzrrzzrrzz.

Adrian był właśnie w toalecie, zatopiony w lekturze *Le forme del contenuto*, kiedy usłyszał wyraźne rrzzrrzzrrzzrrzz. Pewnie to posłaniec ze sklepu Múrria, jak zwykle nie w porę. Minęła dłuższa chwila, zanim usłyszał ponownie rrzzrrzzrrzzrrzz i pomyślał, że trzeba by wymienić dzwonek na coś bardziej nowoczesnego. Na przykład ding dong byłoby weselsze.

– Rrzzrrzzrrzzrrzz.

– Już idę, cholera jasna.

Z książką Umberto Eco pod pachą otworzył drzwi i zobaczył ciebie, ukochana, stojącą na schodach, bardzo poważną, z niewielkim bagażem; utkwiałaś we mnie swoje ciemne oczy i przez dobrą minutę staliśmy tak naprzeciw siebie, ona na schodach, on w mieszkaniu, z ręką na drzwiach, oswajając się z niespodzianką. Po upływie tej nieskończonej długiej minuty jedyne, co mu przyszło do głowy, to pytanie czego chcesz, Saro. To się nie mieści w głowie: zdobyłem się tylko na pytanie czego chcesz, Saro.

– Czy mogę wejść?

Możesz wejść do mojego życia, możesz zrobić, co zechcesz, Saro najdroższa.

Ale ona tylko przeszła przez próg. Postawiła walizkę na podłodze. Zanosilo się na kolejną minutę ciszy, z tą różnicą, że teraz staliśmy naprzeciw siebie w przedpokoju, aż Sara powiedziała chętnie napiłabym się kawy. Wtedy zauważyłem, że trzyma w ręce żółtą różę.

Goethe ostrzegał: jeżeli jakieś postaci próbują w wieku dojrzałym zrealizować marzenia młodości, szykują sobie zgubę. Dla kogoś, kto nie poznał czy nie rozpoznał szczęścia w stosownym czasie, później, żeby nie wiem jak się wysilał, nie ma już szans. Miłość odnaleziona w wieku dojrzałym to w najlepszym wypadku czuła powtórka dawnych szczęśliwych chwil. Edward i Otylia przeszli do jadalni na kawę. Ona porzuciła różę na stole, w wystudiowanym nieładzie.

– Bardzo dobra ta kawa.

– Tak. Ze sklepu Múrria.

– Jeszcze istnieje sklep Múrria?

– Jak najbardziej.

– O czym myślisz?

– Nie chcę... – Naprawdę, Saro, nie wiedziałem, co powiedzieć. Dlatego od razu przeszedłem do rzeczy: – Czy wróciłaś, żeby ze mną zostać?

Postać Sary, która przyjechała z Paryża, to nie ta sama dwudziestoletnia Sara z Barcelony; wiadomo, ludzie przeżywają metamorfozę. Postaci również. Goethe dokładnie mi to wyjaśnił, ale Adrian był Edwardem, a Sara Otylią. Czas przeciekł im między palcami; również z winy rodziców. *Attractio electiva duplex* działa jak chce.

– Muszę postawić jeden warunek. Nie gniewaj się. – Otylia spuściła oczy.

– Jaki?

– Żebyś zwrócił to, co przywłaszczył sobie twój ojciec. Nie gniewaj się.

– Przywłaszczył?

– Tak. Twój ojciec wzbogacił się przez wymuszenie, wykorzystując sytuację wielu ludzi. Przed, w czasie i po wojnie.

– Ale ja...

– Sądzisz, że dzięki czemu rozkręcił interes?

– Sprzedałem sklep – powiedziałem.

– Naprawdę? – zdziwiła się Sara. Sprawiała wrażenie, jakby ją mimo wszystko rozczarowała ta wiadomość.

– Nie chcę zajmować się handlem ani nigdy nie aprobowałem metod stosowanych przez ojca.

Cisza. Sara wypła łyk kawy i spojrzała mu w oczy. Prześwidrowała go wzrokiem i Adrian poczuł się zmuszony do dalszych wyjaśnień:

– Posłuchaj: sprzedałem sklep z antykami i starociami. Nie wiem, które z nich mój ojciec zdobył nieuczciwie. Zapewniam cię, że to nie dotyczy większości obiektów. Zerwałem z całą tą historią – skłamałem.

Sara nie odzywała się z dziesięć minut. Myślała, patrzyła przed siebie, ale nie zwracała uwagi na Adriana; obawiałem się, że obmyśla inne niemożliwe do spełnienia warunki, szukając pretekstu, żeby znów uciec. Żółta róża leżała na stole, przysłuchując się naszej rozmowie. Spojrzałem Sarze w oczy, ale ona, nie unikając mojego wzroku, była tak pochłonięta swoimi myślami, że w ogóle nie zwracała uwagi na moją obecność. To było coś nowego w twoim zachowaniu, Saro, coś, co ci się zdarzało tylko w wyjątkowych chwilach; takiej cię nie znałem.

– Dobrze – powiedziała tysiąc lat później. – Możemy spróbować. – Wypiła jeszcze jeden łyk kawy. Byłem tak zdenerwowany, że wypłem w tym czasie trzy filiżanki, gwarantując sobie bezsenną noc. Teraz już patrzyła mi w oczy, szczerze aż do bólu, i powiedziała mam wrażenie, że życie nieźle ci dokopało.

– Tak.

Adrian wziął ją za rękę i zaprowadził do gabinetu, do szafy z rękopisami.

– To nowy mebel – skomentowałaś.

– Masz dobrą pamięć.

Adrian wyciągnął dwie górne szuflady z rękopisami; to były moje skarby, sam ich dotyk przyprawiał o dreszcz emocji: Kartezjusz, Goncourtowie... i powiedziałem to wszystko moje, kupione za moje pieniądze, bo lubię kolekcjonować, lubię mieć i lubię kupować, sam już nie wiem, co bardziej. To moje, kupione, a nie przywłaszczzone.

Użyłem wszystkich tych słów, mając świadomość, że najprawdopodobniej kłamię. Natychmiast zapadła ponura, mroczna cisza. Nie miałem odwagi spojrzeć jej w oczy. Ale ponieważ cisza ciągle trwała, w końcu odważyłem się podnieść na nią wzrok. Płakała w milczeniu.

– Co ci jest?

– Przepraszam. Nie przyszłam tu po to, żeby cię osądzać.

– Zgoda. Ale ja też chciałbym, żeby wszystko było jasne.

Delikatnie wytarła nos, a ja darowałem sobie komentarz no dobrze, właściwie to nie wiem, jak Morral zdobywa te rękopisy, jakimi sposobami.

Otworzyłem dolną szufladę, gdzie były kartki z *Recherche*, z rękopisu Zweiga i akt konsekracji Sant Pere del Burgal. Już miałem jej powiedzieć, że tamte rękopisy należały do ojca i prawdopodobnie zostały zdobyte nieucz... kiedy zamknęła szufladę i powtórzyła wybac mi, nie mam prawa cię osądzać. A ja milczałem jak szmata.

Trochę oszołomiona, usiadłaś przy stole do pracy, na którym leżała otwarta książka, chyba *Masse und Macht* Canettiego.

– Ten storioni został kupiony legalnie – znów skłamałem, wskazując szafę z instrumentami.

Spojrzała na mnie, zapłakana, chcąc mi wierzyć.

– Zgoda – powiedziałaś.

– A ja nie jestem moim ojcem.

Uśmiechnęłaś się niepewnie i powiedziałaś wybac mi, wybac mi, wybac, że wtargnęłam w ten sposób do twojego domu.

– Do naszego, jeśli zechcesz.

– Nie wiem, czy masz jakąś... Czy masz... no, nie wiem, jakiś związek, który... – Nabrała powietrza: –

Czy jest jakaś inna kobieta. Nie chciałabym zniszczyć czegoś, co...

– Przecież pojechałem do Paryża, żeby cię odszukać. Nie pamiętasz?

– Tak, ale...

– Nie ma innej kobiety – skłamałem po raz trzeci, jak święty Piotr.

Na tych fundamentach zbudowaliśmy na nowo nasz związek. Wiem, że popełniłem nieostrożność, ale chciałem ją zatrzymać za wszelką cenę. Rozejrzała się wokół. Jej wzrok przyciągnął ten fragment ściany, gdzie były obrazki. Podeszła bliżej. Podniosła rękę i tak jak ja, kiedy byłem dzieckiem, dotknęła delikatnie dwoma palcami miniatury Abrahama Mignona, przedstawiającej bukiet okazałych żółtych gardenii w porcelanowym wazonie. Nie powiedziałem jej nie patrz palcami, tylko uśmiechnąłem się, szczęśliwy. Odwróciła się, westchnęła i powiedziała nic się nie zmieniło. Jest tak, jak w moich wspomnieniach, każdego dnia, od zawsze. Podeszła do mnie, spojrzała pogodnym już wzrokiem i zapytała dlaczego do mnie przyjechałeś?

– Żeby wyjaśnić, jak było naprawdę. Nie mogłem się pogodzić, że przez tyle lat myślałaś, że cię obraziłem.

– Ja...

– I dlatego, że cię kocham. A ty dlaczego przyjechałaś?

– Nie wiem. Ale też cię kocham. Może przyjechałam, żeby... Nie, nic.

– Mów. – Wziąłem jej dłonie w swoje ręce, by ją zachęcić do mówienia.

– Więęęęc... żeby naprawić moją chwiejność dwudziestolatki.

– Też nie mogę cię osądzać. Było, jak było.

– A także...

– Co?

– Także dlatego, że nie mogłam zapomnieć twojego spojrzenia, tam na schodach w moim domu.

Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Wiesz, jak wyglądałeś? – zapytała.

– Jak sprzedawca encyklopedii.

Wybuchnęła śmiechem, twoim śmiechem, Saro! I powiedziała tak, tak, tak, właśnie tak. Ale zaraz się opanowała i powiedziała wróciłam, bo cię kocham, tak. Jeśli tylko chcesz. Nie myślałem już o tym, że za dużo dziś nakłamałem. Nawet nie potrafiłem się przyznać, że wtedy, w huitième arrondissement, kiedy stałem przed tobą, a ty trzymałaś rękę na klamce, jakbyś była gotowa w każdej chwili zatrzaskać mi drzwi przed nosem, wpadłem w panikę; nigdy ci tego nie powiedziałem. Wtedy nie dałem tego po sobie poznać, jak szanujący się sprzedawca encyklopedii. W najgłębszej skrytości mojego serca pojechałem do Paryża, do ciebie, pod numer czterdzieści osiem ulicy Laborde, żeby od ciebie usłyszeć, że nie chcesz mnie znać i chcesz zamknąć ten rozdział w życiu bez poczucia winy, i mieć dobry powód do płaczu. Ale Sara, która najpierw w Paryżu powiedziała, że nie, następnie zjawiała się w Barcelonie i powiedziała miałabym ochotę na kawę.

Adrian siedział na wózku ustawionym na progu i patrzył na gabinet. W rękach ścisnął kurczowo brudną szmatkę, której nikomu nie pozwolił sobie odebrać. Adrian patrzył na gabinet. Długa, dłużąca się dla wszystkich minuta. Odetchnął głęboko i powiedział jestem gotowy; dla niego ta minuta była bardzo krótka. Jonatan chwycił wózek silną ręką, z widocznym zniecierpliwieniem, i skierował się z nim do drzwi wyjściowych. Adrian wskazał ręką Xeviego i powiedział Xevi. Wskazał Bernata, który miał łzy w oczach, i powiedział Bernat, wskazał Ksenię i powiedział Tekla. A kiedy Caterinę nazwał Małą Lolą, pierwszy raz w życiu Caterina go nie poprawiła.

– Będzie pan pod dobrą opieką, proszę się nie martwić – powiedział ktoś z rozbitków.

Cała kompania schodziła w milczeniu, spoglądając na windę, w której jechali Adrian, wózek i Jonatan. Kiedy spotkali się na dole, Bernat miał wrażenie, że Adrian widząc ich wszystkich ponownie, już nikogo nie rozpoznawał. Przeraził się.

Sytuacja stała się nagląca w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Zaalarmowała ich Caterina, kiedy Adrian zabłądził we własnym domu. W dziale literatur słowiańskich rozglądał się dookoła, przestraszony.

– Gdzie chce pan iść?

– Nie wiem. Gdzie jestem?

– W domu.

– W czyim domu?

– W swoim. Poznaje mnie pan?

– Tak.

– Kim jestem?

– No, ta, jak jej tam. – Po długiej przerwie, spanikowany: – Prawda? Raczej dopełnienie bliższe! Chyba podmiot! Podmiot, prawda?

W tym samym tygodniu przetrząsał lodówkę coraz bardziej zaniepokojony i niezadowolony, a kiedy Jonatan, pielęgniarz, który w tamtym tygodniu miał nocny dyżur, zapytał, czego tam szuka po nocy, odpowiedział:

– Skarpetek. A niby czego miałbym szukać?

Jonatan powiedział o tym Plàcidzie, która z kolei poinformowała Caterinę. A Plàcida dodała jeszcze od siebie, że Adrian chciał, żeby mu ugotowała książkę. Całkiem mu odbiło, no nie?

A teraz, przy literaturach słowiańskich, Caterina znów powtórzyła pytanie Adrianie, wie pan, kim jestem?, a on na to: dopełnienie bliższe. No więc spanikowała i zadzwoniła do doktora Dalmau i do Bernata. A doktor Dalmau przestraszył się i zadzwonił do kliniki, do doktora Vallsa; powiedział mu wydaje mi się, że już czas. W następnych dniach przeprowadzone zostały dokładne badania, testy i analizy, których wyniki omawiane były dyskretnie. Cisza. Dopełnienie dalsze, coś takiego! Wreszcie doktor Dalmau wezwał na rozmowę Bernata i kuzynów z Vic. Bernat zaprosił wszystkich do siebie i zadbał, żeby nie zabrakło wody mineralnej w szklankach. Doktor Dalmau wyjaśnił im, jakie należy podjąć kroki.

– **Ale przecież ten człowiek...** – Xevi buntował się jeszcze, nie mogąc się pogodzić z przeciwnościami losu – ten człowiek mówi siedmioma czy ośmioma językami!

– Trzynastoma – sprostował Bernat.

– Trzynastoma? Wystarczy chwila nieuwagi, a ten już opanowuje kolejny język. – Zaświeciły mu się oczy: – Widzi pan, doktorze? Trzyznaście języków! Ja jestem ze wsi, jestem od niego starszy, a ledwie

znam półtora. Gdzie tu sprawiedliwość? Co?

– Kataloński, francuski, kastylijski, niemiecki, włoski, angielski, rosyjski, aramejski, łacina, greka, niderlandzki, rumuński i hebrajski – wyliczał Bernat. – A czytać ze zrozumieniem mógł w kolejnych sześciu czy siedmiu.

– Widzi pan, doktorze? – Xevi Ardèvol szermował tym bezdyskusyjnym medycznym argumentem, trzymając się desperacko swojej linii obrony.

– Pański kuzyn był kimś wyjątkowym – przerwał mu grzecznie doktor. – Wiem bardzo dobrze, bo byłem z nim blisko. Pozwolę sobie nazwać się jego przyjacielem. Ale teraz wszystko się skończyło. Mózg mu wysycha.

– Jaka szkoda, jaka szkoda, jaka szkoda...

Po paru kolejnych minutach daremnego buntu zgodzili się, że najlepiej będzie, jeśli teraz uporządkują życie Adriana, stosując się do dyspozycji, które on sam wydał, kiedy jeszcze miał jasny umysł. Bernat pomyślał jakie to smutne rozporządzać sprawami z myślą o czasie, kiedy już ciebie nie będzie; pomyśleć i utrwalić na piśmie zostawiam mieszkanie w Barcelonie moim kuzynom Xavierowi, Francescowi i Rosie Ardèvol do równego podziału. Co do biblioteki zarządzam, by w czasie, kiedy już nie będę mógł z niej korzystać, decyzję o tym, czy przejąć ją na własność, czy przekazać w darze, według potrzeb, Uniwersytetowi w Tybindze i Barcelońskiemu, podjął Bernat Plensa. Niech on się tym zajmie, jeśli tylko się zgodzi, ponieważ to on pomagał mi ją urządzić dawno temu, kiedy obaj braliśmy udział w Stworzeniu Świata.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Xevi, skonsternowany, w dniu, kiedy wybrali się do adwokata.

– To taki żart Adriana. Obawiam się, że tylko ja to rozumiem – wyjaśnił Bernat.

– Zarządzam, by pani Caterinie Fargues wypłacić równowartość wynagrodzenia za dwa lata z góry. Jednocześnie upoważniam Bernata Plensę, aby zatrzymał sobie, co uzna za stosowne, a co nie zostało wymienione w testamencie, który bardziej niż testament przypomina instrukcję obsługi. Niech zadecyduje i zadysponuje losami pozostałych przedmiotów, również tych, które mają dużą wartość, jak kolekcja monet i zbiór rękopisów, chyba że uzna za stosowne przekazać je w darze wymienionym uniwersytetom. Sugeruję, by zastosować się w tej kwestii do sugestii profesora Johannesesa Kameneka z Tybingi. Co do autoportretu Sary Voltes-Epstein, powinien zostać przekazany jej bratu, Maksowi Voltes-Epstein. Chciałbym, żeby obraz Modesta Urgella z jadalni, przedstawiający klasztor Santa Maria de Gerri, otrzymał brat Julian z klasztoru Sant Pere del Burgal, który jest odpowiedzialny za wszystko.

– Słucham? – Xevi, Rosa i Quico zareagowali jednocześnie.

Bernat otworzył usta i zaraz je zamknął. Adwokat jeszcze raz spojrzął na tekst i potwierdził tak, tak tu jest napisane: brat Julian z Sant Pere del Burgal.

– Co to za jeden – odezwał się nieufnie Quico z Tony.

– I co to znaczy, że jest winny? Winny czego?

– Nie, nie: tu jest napisane odpowiedzialny.

– Odpowiedzialny za co?

– Za wszystko – odpowiedział adwokat, sprawdzwszy uprzednio zapis.

– Sprawdźmy to – odezwał się Bernat. I gestem zachęcił adwokata, żeby kontynuował.

– A gdyby nie chciał przyjąć albo gdyby nie udało się go odnaleźć, proszę go podarować pani Laurze Baylinie z Uppsali. Gdyby nie chciała przyjąć, zostawiam panu Bernatowi Plensie znalezienie najlepszego rozwiązania. Wyżej wymieniony Bernat Plensa ma też przekazać wydawcy, tak jak uzgodniliśmy, książkę, którą ode mnie otrzymał.

– Nowa książka? – zapytał Xevi.

– Tak. Zajmę się tym, możecie być spokojni.

– Mamy rozumieć, że był całkiem zdrowy, kiedy to pisał?

– Musimy założyć, że tak – odpowiedział adwokat. – Tyle tylko, że teraz już niczego nam nie wyjaśni.

– Kim jest ta pani Zupsala? – zapytała Rosa. – Istnieje ktoś taki?

– Tym proszę się nie przejmować: ja ją odnajdę. Istnieje.

– A na zakończenie mała refleksja adresowana do was i do innych obecnych. Powiedziano mi, że nie będę tęsknił ani za książkami, ani za muzyką, w co trudno mi uwierzyć. Powiedziano mi, że nie będę was poznawał: nie bądźcie dla mnie zbyt okrutni. Powiedziano mi, że nie będę cierpiał. Dlatego też nie trzeba, żebyście wy cierpieli z mego powodu. I postarajcie się traktować z wyrozumiałością moją degradację, która będzie stopniowa, ale nieuchronna.

– Bardzo dobrze – powiedział adwokat po przeczytaniu tego, co Adrian Ardèvol zatytułował „Praktyczne instrukcje postępowania w końcowym okresie mojego życia”.

– Został jeszcze kawałek – odważyła się odezwać Rosa, wskazując papier.

– Tak, przepraszam: to słowa pożegnania.

– I co tam jest?

– Mówi, że co się tyczy instrukcji duchowych, wszystkie zebrałem osobno.

– Gdzie?

– W książce, którą napisał – powiedział Bernat. – Ja się tym zajmę, nie martwcie się.

Bernat otworzył drzwi, starając się nie robić hałasu. Jak złodziej. Obmacywał ścianę, szukając kontaktu. Przekręcił, ale światło się nie zapaliło. Gówno. Wyciągnął z teczki latarkę i poczuł się jak stuprocentowy złodziej. W przedpokoju znalazł korki czy jak tam je teraz nazywają. Kiedy je wkręcił, światło zapaliło się w przedpokoju i gdzieś w głębi mieszkania, może w korytarzu prozy w językach germańskich i wschodnich. Stał tak przez kilka sekund, wsłuchując się w milczenie tego mieszkania. Skierował się do kuchni. Lodówka była wyłączona, a w środku, przez otwarte drzwi, nie widać było żadnej skarpetki. Zamrażalnik też był pusty. Przeszedł wzdłuż prozy w językach słowiańskich i nordyckich, w kierunku zapalonego światła. Światło paliło się w dziale sztuk pięknych i encyklopedii, w pracowni Sary, która wcześniej należała do Małej Loli. Stały w niej jeszcze sztalugi, jakby Adrian ciągle wierzył, że pewnego dnia Sara wróci i znów zacznie rysować i brudzić sobie palce węglem. I imponujące teczki ze szkicami. W ramach, wyeksponowane jak na ołtarzu, In Arcadia Hadriani i Sant Pere del Burgal: sen, dwa pejzaże, które Sara podarowała Adrianowi, a Bernat, nie mając szczegółowych instrukcji, postanowił przekazać Maksowi Voltes-Epsteinowi. Zostawił zapalone światło. Rzucił okiem na dział religii i starożytności, a wracając korytarzem wzdłuż języków romańskich zajrzał do poezji i zapalił tam światło. Wszystko było w porządku. Następnie przeszedł do działu esejów literackich i zapalił światło: w jadalni wszystko było bez zmian. Słońce oświetlało klasztor Santa Maria de Gerri od strony Trespui. Z kieszeni płaszczu wyciągnął aparat fotograficzny. Odsunął kilka krzeseł i stanął przed obrazem Modesta Urgella. Zrobił kilka zdjęć z fleszem i kilka bez. Opuścił eseje literackie i skierował się do gabinetu. Wszystko było tak, jak pozostawili, wychodząc. Usiadł na krześle i zastanowił się, ile razy tu wchodził, zawsze w towarzystwie Adriana, dyskutując przede wszystkim o muzyce i literaturze, ale również o polityce i o życiu. Wcześniej, w dzieciństwie i w młodości, wyobrażali sobie, jakie się tu kryją tajemnice. Zapalił lampę stojącą przy fotelu do czytania. Włączył drugą, tę przy sofie, i jeszcze żyrandol pod sufitem. Tam, gdzie kiedyś wisiał autoportret Sary, teraz była pustka, która przyprawiła go o zawrót głowy. Zdjął płaszcz, przetrął twarz dłońmi, gestem podpatrzonym u Adriana, i powiedział do dzieła. Stanął po drugiej stronie biurka i pochylił się nad sejfem. Spróbował kombinacji sześć, jeden, pięć, cztery, dwa, osiem. Nic z tego. Spróbował siedem, dwa, osiem, zero, sześć, pięć i sejf otworzył się bezszelestnie. W środku nie było nic. Tylko jakieś koperty. Wyjął i położył je na biurku, żeby spokojnie obejrzeć. Otworzył jedną.

Przejrzał strona po stronie: spis postaci. On też tam był: Bernat Plensa, Sara Voltes-Epstein, Ja, Mała Lola, ciotka Leo... osoby... no, raczej postaci, z datą urodzenia i w niektórych przypadkach z datą śmierci. Kolejna kartka: schemat, tak pokreślony, jakby go odrzucił. Kolejna lista i nowe postaci. I tyle. Musiały to być notatki Adriana spisane w nagłym przebłysku pamięci, pobudzonej skojarzeniami. Umieścił je ponownie w kopercie i włożył do swojej teczki. Spuścił głowę, siłą woli powstrzymując łzy. Odetchnął głęboko parę razy, aż się uspokoił. Otworzył następną kopertę. Zawierała kilka zdjęć: na jednym z nich była Sara fotografująca samą siebie w lustrze. Jaka ładna. Nawet teraz nie chciał się przyznać przed sobą, że zawsze trochę się w niej podkochiwał. Na innej fotografii Adrian przy pracy, siedzący w tym miejscu, gdzie on teraz. Adrianie, przyjacielu. I jeszcze parę zdjęć: ilustracje przedstawiające szkic twarzy jakiegoś maleństwa. Również szereg zdjęć Viala, obfotografowanego ze wszystkich stron. Umieścił je ponownie w kopercie i odłożył do teczki, teraz z grymasem gorzkiego rozczarowania, wywołanego myślą o utraconym instrumencie. Zajrzał jeszcze raz do sejfu. Nic więcej. Zamknął drzwi, ale nie ustawił kombinacji. Zajrzał jeszcze do działu historii i geografii. Na nocnej szafce Carson i Czarny Orzeł trzymali nikomu niepotrzebną wartę. Zabrał ich obu, siedzących na koniach, do swojej teczki. Wrócił do gabinetu i usiadł w fotelu, który służył Adrianowi do czytania. Przez dobrą godzinę patrzył w pustkę, odnajdując w niej wszystkie nostalgiczne wspomnienia, nie powstrzymując łez, które co chwila spływały mu po policzku. Minęło sporo czasu, zanim Bernat Plensa się otrząsnął; kiedy rozejrzał się wokół siebie, rozplakał się na dobre łzami, które wypływały z głębi jego duszy. Zasłonił twarz rękami. Kiedy się uspokoił, wstał z fotela i wkładając płaszcz, jeszcze raz rozejrzał się uważnie po gabinecie. Żegnaj, adéu, ciao, à bientôt, adiós, tschüss, vale, dag, bye, avtío, noká, la revedere, viszlát, head aega, lehitraot, tchau, maa as-salama, puis beixlama, drogi przyjacielu.

Wesłaś do mojego życia łagodnie, tak jak za pierwszym razem, i nie myślałem już dłużej o Edwardzie i Otylii ani o moich kłamstwach, tylko o twojej cichej, kojącej obecności. Adrian powiedział jej weź w posiadanie mój dom, weź mnie w posiadanie. Dał jej do wyboru dwa pokoje na pracownię, książki, ubranie i życie, jeśli tylko zechcesz, ukochana Saro, ale nie wiedziałem, że na całe życie Sary trzeba by o wiele więcej szaf, niż on mógłby jej zaoferować.

– Ten jest dobry. Większy niż moja pracownia w Paryżu – powiedziałaś, stojąc na progu pokoju Małej Loli.

– Jest jasny i cichy. Od podwórka.

– Dziękuję – powiedziała, odwracając się w moją stronę.

– Nie musisz mi dziękować. To ja jestem ci wdzięczny.

Zostawiła mnie na progu i weszła do pokoju. Tuż przy oknie, na wolnej części ściany wisiał obrazek z żółtymi gardeniami, na powitanie.

– Ale skąd...

– Prawda, że go lubisz?

– Skąd wiedziałaś?

– Podoba ci się czy nie?

– To jest przedmiot, który najbardziej mi się podoba w tym domu.

– Teraz jest twój.

Podziękowała po swojemu, zastygając na dobrą chwilę w podziw przed gardeniami.

Następną czynnością, która dla mnie była niemal liturgiczna, było dopisanie nazwiska Sary Voltes-Epstein na skrzynce na listy; po dziesięciu latach samotności, teraz, kiedy czytałem czy pisałem, znów słyhać było kroki, łyżeczkę stukającą o ściankę szklanki, pogodną muzykę dochodzącą z jej pracowni, i wtedy myślałem, że możemy być szczęśliwi. Ale Adrian nie pamiętał, żeby rozwiązać inną otwartą kwestię: gdy zostawia się niedomkniętą teczkę, trzeba być przygotowanym na poważne problemy. Wiedziałem o tym, wiedziałem, ale nadzieja była silniejsza niż ostrożność.

Najtrudniej przyszło zaakceptować Adrianowi w nowej sytuacji obecność stref zastrzeżonych, jakie Sara wyznaczyła w ich życiu. Uświadomił to sobie, kiedy zaskoczyła go jej reakcja na zaproszenie do ciotki Leo i kuzynów z Tony.

– Lepiej nie mieszać do tego rodziny – uznała.

– Dlaczego?

– Nie chcę mieć kłopotów.

– Chcę ci przedstawić ciotkę Leo i kuzynów, jeśli ich zastaniemy. Nie mam zamiaru przedstawiać ci żadnych kłopotów.

– Wolę unikać problemów.

– Nie będzie problemów. Dlaczego miałabyś je mieć?

Kiedy dotarł jej bagaż, te wszystkie grafiki i niedokończone szkice, sztalugi do rysunków, węgle i kolorowe ołówki, oficjalnie zainaugurowała swoją pracownię, podarowując mi rysunek przedstawiający gardenie Mignona, które powiesiłem w miejscu oryginału i już tam zostały na stałe. Zabrałaś się do pracy, bo miałaś zaległe zlecenia na ilustrację książek dla dzieci z paru wydawnictw francuskich. Dni upływały w ciszy i spokoju, ty rysowałaś, ja czytałem lub pisałem. Mijaliśmy się w korytarzu, odwiedzaliśmy się od czasu do czasu, spotykaliśmy się rano przy kawie w kuchni, patrzyliśmy sobie w oczy bez słowa, żeby nie naruszyć kruchego szczęścia, które niespodziewanie

odzyskaliśmy.

Kiedy Sara uporowała się z najpilniejszymi zleceniami, z pomocą boską i ludzką udało mu się w końcu zabrać ją do Tony sześćsetką, którą Adrian kupił z trzeciej ręki, kiedy wreszcie udało mu się zaliczyć jazdę, po uprzednim sześciokrotnym oblaniu egzaminu praktycznego. W Garridze musieli wymienić koło, a w Aiguafreda Sara chciała się zatrzymać przed kwiaciarnią, skąd wyszła po chwili z małym, uroczym bukietem, który bez słowa położyła na tylnym siedzeniu. A na zboczach Sant Antoni, w Centelles, zagotowała im się woda w chłodnicy, ale poza tym wszystko poszło świetnie.

– To najpiękniejsze miasteczko na świecie – powiedział Adrian rozmarzony, kiedy sześćsetka dotarła do skrzyżowania Quatre Carreteres.

– Najpiękniejsze miasteczko na świecie jest raczej brzydkie – odparła Sara, kiedy zatrzymali się przy ulicy Sant Andreu, po gwałtownym wciśnięciu przez Adriana hamulca ręcznego.

– Powinnaś spojrzeć na to moimi oczami. Et in Arcadia ego.

Kiedy wyszli z samochodu, powiedział popatrz, kochanie, zamek. Z tamtej strony, spójrz w górę. Prawda, że śliczny?

– No... nie wiem, co ci powiedzieć...

Zauważył, że jest zdenerwowana, ale nie wiedział, co zrobić, żeby...

– Powinnaś spojrzeć na to moimi oczami. Widzisz ten brzydki dom i ten drugi, z pelargoniami?

– Tak...

– Tam była farma Can Casic.

Tak to powiedział, jakby miał ją przed oczami, jakby garbaty Josep z niedopałkiem w ustach, który ostrzy noże na klepisku, w pobliżu krzywego stogu, wyglądającego jak nadgryzione jabłko, był w zasięgu ręki.

– Widzisz? – zapytał Adrian. Wskazał ręką stajnię mulicy. Zawsze nazywano ją Estrella; w podkowach na obcasie głośno stuknęła na kamieniach przykrytych gnojem, kiedy próbowała opędzić się od much; słyszał nawet, jak szczeka Viola, rozwścieczona bezczelnym milczeniem bezimiennego białego kota, który puszy się przed nią swoją wolnością, poza zasięgiem jej naciągniętego łańcucha.

– Kurde, smarkacze, nie możecie iść bawić się gdzie indziej, kurczę.

A oni wtedy chowali się za białą skałą i życie było ekscytującą przygodą, bo zamiast ćwiczyć palcówki arpeggia w tonacji As-dur, można było wdychać smród gnoju, słuchać stukania sabotów Marii z Can Casic, kiedy wchodziła do gnojowni, a w końcu lipca oglądać wracających z pola spalonych słońcem żniwiarzy z sierpami i kosami w garści. Suka na farmie zawsze nazywała się Viola i zazdrościła dzieciom, że nie muszą przebywać na uwięzi tak jak ona, ograniczona postronkiem, który zawsze mierzył dokładnie sześć i pół metra.

– Kurczę to eufemizm od kurde, a to z kolei jest eufemizmem od kurwa.

– Ej, słuchajcie, Adrian powiedział kurwa!

– Owszem, ale ja i tak go nie rozumiem – narzekał Xevi, kiedy ześlizgiwali się z boczem prosto na drogę, przeoraną kołami wozów i zafajdaną plackami Bastúsa, muła śmieciarza.

– Mówisz w taki sposób, że nie wiem, o co ci chodzi – zarzucił mu Xevi, kiedy już byli na dole.

– Przepraszam. Po prostu głośno myślę.

– Dobrze, co mi tam...

Nie otrzepywali z kurzu zabrudzonych spodni, bo w Tonie wszystko było dozwolone, rodzice byli daleko i nawet mogłeś bezkarnie rozbić sobie kolano.

– Oto Can Casic, Saro – streścił swoje myśli, stojąc na tej samej ulicy, na którą kiedyś sikał Bastús, teraz pokrytej asfaltem, i nawet nie zauważył, że niegdysiejszy Bastús teraz już nie jest mułem, tylko iveco diesel, ciężarówką jak malowanie, która nie przeżuwa ani źdźbła słomy i nie śmierdzi gnojem.

A wtedy, z bukietem w ręce, stanęłaś na palcach i nieoczekiwanie dałaś mi całusa, po którym myślałem tylko et in Arcadia ego, et in Arcadia ego, et in Arcadia ego, z namaszczeniem, jakby to była

litania. Niczego już się nie lękaj, Saro, tu jesteś bezpieczna, u mojego boku. Rysuj sobie spokojnie, a ja tymczasem będę cię kochał i oboje razem nauczymy się budować naszą Arkadię. Zanim zapukaliśmy do drzwi folwarku Can Ges, włożyłaś mi do ręki bukiet kwiatów.

W drodze powrotnej Adrian przekonywał Sarę, że powinna wyrobić sobie prawo jazdy, że na pewno będzie miała więcej szczęścia na egzaminie niż on.

– Zgoda. – Po następnym kilometrze milczenia: – Wiesz, spodobała mi się ciotka Leo. Ile ma lat?

Laus Deo. Zauważył, że kiedy upłynęła godzina od wizyty w Can Ges, Sara rozluźniła się i uśmiechała do siebie.

– Nie wiem. Ponad osiemdziesiąt.

– Jest bardzo sympatyczna. Nie wiem, skąd czerpie energię. Cały czas jest w ruchu.

– Zawsze taka była. Ale umiała wszystkich przywołać do porządku.

– W końcu musiałam wziąć słoik oliwek, bez dyskusji.

– Cała ciotka Leo. – Zbierając się na odwagę: – A może pojechalibyśmy któregoś dnia do twojej rodziny?

– Nie ma mowy – ucięła krótko i zdecydowanie.

– Dlaczego, Saro?

– Nie akceptują cię.

– Ale ciotka Leo cię zaakceptowała.

– Twoja matka, gdyby jeszcze żyła, nie pozwoliłaby mi nawet przekroczyć progu twego domu.

– Naszego domu.

– Naszego domu. Ciotka Leo, zgoda. W końcu polubię ją, czemu nie. Ale ona się nie liczy. Liczy się twoja matka.

– Nie żyje. Zmarła dziesięć lat temu!

Cisza aż do Figueró. Po tym milczeniu Adrian zdecydował się mocniej naciągnąć strunę i zapytał Saro.

– Co.

– Co ci o mnie powiedzieli?

Cisza. Po drugiej stronie rzeki Congost pociąg jechał w stronę Ripoll. A nas tymczasem nasza rozmowa doprowadziła na brzeg przepaści.

– Kto?

– U ciebie w domu. Żeby zmusić cię do ucieczki.

– Nic.

– A co takiego napisałem w tym słynnym liście?

Przed nimi wlokła się bez pośpiechu ciężarówka firmy Danone. Adrian musiałby jeszcze trzy razy się zastanowić, nim zdecydowałby się wyprzedzić. Albo ciężarówka, albo rozmowa. Zrezygnował z wyprzedzania i nalegał co, Saro? Jakie kłamstwa usłyszałaś na mój temat? Co ci o mnie opowiedzieli?

– Nigdy więcej mnie o to nie pytaj.

– Dlaczego?

– Nigdy więcej.

Teraz zaczynał się prosty odcinek drogi. Włączył kierunkowskaz, ale nie zdecydował się wyprzedzić.

– Mam prawo wiedzieć, co...

– A ja mam prawo zamknąć ten rozdział.

– Mogę o to zapytać twoją matkę?

– Lepiej, żebyś jej nigdy nie spotkał.

– Cholera.

Niech inni wyprzedzają. Adrian nie zdobył się na wyprzedzenie powolnej ciężarówki z jogurtami przede wszystkim dlatego, że oczy zaszyły mu łzami, na co nie pomagają żadne wycieraczki.

– Bardzo mi przykro, ale tak będzie lepiej. Dla nas obojga.

– Nie będę nalegał. Wydaje mi się, że nie będę nalegał... Ale chciałbym poznać twoich rodziców.

I twojego brata.

– Moja matka jest taka sama jak twoja. Nie chcę jej do niczego zmuszać. Za wiele ma niezagojonych ran.

Voilà: ciężarówka z jogurtami na wysokości Molí de Blancafort skręciła w stronę Garrigi i Adrian poczuł się, jakby samodzielnie ją wyprzedził. Sara dodała:

– Ty i ja mamy swoje życie. Jeśli chcesz, żebyśmy byli razem, nie otwieraj tej skrzynki. To puszka Pandory.

– Jak w bajce o Sinobrodym. W ogrodzie pełno owoców, ale jeden pokój jest zamknięty i nie wolno do niego wchodzić.

– Coś w tym rodzaju, tak. Jak owoc z zakazanego drzewa. Zgadzasz się?

– Tak, Saro – skłamałem po raz nie-wiem-już-który. Najważniejsze, żebyś mi znowu nie uciekła.

W ich gabinecie w instytucie stały trzy biurka na czterech wykładowców. Adrian nie miał własnego, bo odmówił na samym początku: wydawało mu się niemożliwe pracować w miejscu innym niż dom. Miał tylko szafkę i kącik, gdzie mógł zostawić teczkę. Jednak biurko by się przydało i teraz żałował, że tak się pospieszył z odmową. Dlatego kiedy Llopis był nieobecny, siadał na jego miejscu.

Wszedł, nie mając pojęcia, co zastanie. Tym razem Llopis był, poprawiał jakieś wydruki czy coś w tym rodzaju. Laura podniosła głowę znad swoich papierów. Adrian stanął niezdecydowany. Nikt się nie odezwał. Llopis rozejrzał się ostrożnie, popatrzył na nich oboje, napomknął, że wybiera się na kawę, i przezornie opuścił pole bitwy. Usiadłem na krześle Llopisa, vis-à-vis Laury i jej maszyny do pisania.

– Muszę ci coś wyjaśnić.

– Zebrało ci się na wyjaśnienia?

Sarkastyczny ton Laury nie zapowiadał łatwej konwersacji.

– Chcesz, żebyśmy porozmawiali?

– No wiesz... Od paru miesięcy nie odbierasz moich telefonów, unikasz mnie w pracy, a jak się przypadkiem spotykamy, słyszę teraz nie mogę, teraz nie mogę...

Zamilkli oboje.

– Pewnie powinnam ci podziękować, że wspomniałomyślnie dzisiaj się zjawiłeś – dodała tym samym tonem urażonej dumy.

Spojrzenia spod oka, niezręczne. Wtedy Laura przestawiła maszynę Olivetti, jak zbędną przeszkodę między nimi, i takim tonem, jakby zakasywała rękawy, gotowa na wszystko, wypaliła:

– Jest jakaś inna kobieta, prawda?

– Nie.

No owszem, jest we mnie coś, czego sam nie potrafię zrozumieć: całkowita nieumiejętność wzięcia byka za rogi. Co najwyżej udaje mi się go złapać za ogon, a wtedy narażam się na śmiertelny kopniak bestii. Nigdy się nie nauczę; dlatego powiedziałem nie, nie, nie, cholera, Lauro, nie ma innej kobiety... To moja wina, chodzi o to, że wolałbym nie...

– Jesteś żaloszny.

– Nie obrażaj mnie – powiedział Adrian.

– Żaloszny to nie obraza. – Wstała, tracąc panowanie nad sobą: – Powiedz prawdę, do cholery. Powiedz, że mnie nie kochasz!

– Nie kocham cię – powiedział Adrian dokładnie w chwili, gdy pani Parera otworzyła drzwi, a Laura wybuchnęła płaczem. Kiedy Parera usłyszała jesteś skurwysynem, jesteś skurwysynem, jesteś skurwysynem, zamknęła drzwi i zostawiła ich samych.

– Wyrzuciłeś mnie jak zużytą chusteczkę.

– Tak. Wybacz mi.

– Idź do diabła.

Adrian wyszedł z gabinetu. Przechylna przez barierkę nad dziedzińcem, Perera dla zabicia czasu paliła papierosa niczym fajkę pokoju, może już opowiadała się po którejś stronie, nie znając szczegółów sprawy. Przeszedł obok niej i nie odważył się powiedzieć ani dziękuję, ani nic innego.

W domu Sara popatrzyła na niego zdziwiona, jakby ta przykra kłótnia zostawiła ślad na jego twarzy czy na ubraniu, nie robiąc żadnych komentarzy; jestem pewien, że rozumiałaś wszystko, wystarczyło ci jednak zdrowego rozsądku, żeby nie wyciągać tej sprawy, i kiedy słysząc słowa muszę ci coś powiedzieć, Adrian spodziewał się nowej burzy, zamiast dać mu do zrozumienia, że wiesz o wszystkim, stwierdziłaś tylko wydaje mi się, że powinniśmy zmienić piekarnię, ten chleb jest jak z gumy. Co o tym sądzisz?

Aż któregoś dnia Sara odebrała telefon i rozmawiała półgłosem przez aparat w jadalni, a kiedy tam zajrzałem, zobaczyłem, że płacze cicho, trzymając jeszcze rękę na aparacie po odłożeniu słuchawki.

– Co się stało? – Żadnej odpowiedzi. – Saro?

Spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. Szybko cofnęła rękę, jakby słuchawka ją poparzyła.

– Mama nie żyje.

O mój Boże. Nie wiem, dlaczego, ale przypomniałem sobie wtedy dzień, kiedy ojciec powiedział tych kapitalnych zbiorów mamy w domu za dużo. A ja usłyszałem letalnych i pomyślałem o trupach. Teraz byłem już dorosły, ale nadal ciężko mi było pogodzić się z tym, że tworzywem życia jest śmierć najbliższych.

– Nie wiedziałem, że...

Patrzyła na mnie przez łzy.

– Nie chorowała: to się stało nagle. Ma pauvre maman...

Nie mogłem się z tym pogodzić. Nie wiem, jak to ująć, Saro, ale nie mogłem się pogodzić z tym, że wokół mnie umierali ludzie. Nie mogłem się pogodzić, mimo że w miarę upływu czasu wcale nie zmieniało się to na lepsze. Pewnie po prostu nie umiem brać życia takim, jakie jest. Dlatego zbuntowałem się w sposób głupi, niebezpieczny i nielojalny. Jak złodziej, jak Pan, wkroczyłem do świątyni. Zająłem dyskretnie miejsce w głębi synagogi. I znów zobaczyłem twojego ojca, którego nie miałem okazji oglądać od czasu tamtej brutalnej rozmowy, kiedy zniknęłaś bez śladu, a mnie została tylko desperacja. Adrian mógł też podziwiać do woli kark Maksa, który był o dwie dłonie wyższy od siostry, mniej więcej wzrostu Bernata. Widział Sarę, wciśniętą między obu mężczyzn, wśród innych członków rodziny, którym nigdy nie zostaną przedstawiony, bo ty sobie tego nie życzysz, ponieważ jestem synem mojego ojca i krew jego grzechów spadnie na jego synów i synów jego synów aż do siódmego pokolenia. Pomyślałem, Saro, chciałbym mieć z tobą dziecko. Pomyślałem, na twoich warunkach. Ale jeszcze nie odważyłem się wspomnieć ci o tym. Kiedy powiedziałaś mi, lepiej żebyś nie był na pogrzebie, wtedy Adriana ogarnął cały ogrom awersji, jaką wywoływało u państwa Epstein wspomnienie Feliksa Ardèvola.

Tymczasem dystans między mną i Laurą utrzymał się na dobre, chociaż zawsze myślałem o niej biedna Laura, to wszystko moja wina. Uspokoilem się dopiero, kiedy przy spotkaniu na dziedzińcu uniwersytetu powiedziała mi jadę do Uppsali dokończyć pracę doktorską. I najprawdopodobniej zostanę tam na zawsze.

Bum. Jej błękitne oczy świdrowały mnie oskarżycielsko.

– Życzę ci szczęścia: zasługujesz na nie.

– Skurwysyn.

– Wszystkiego najlepszego, naprawdę, Lauro.

Nie widziałem jej i nie myślałem o niej przez cały długi rok, w okresie żałoby po pani Voltes-Epstein.

Nie masz pojęcia, jak jest mi przykro, że muszę mówić o twojej matce pani Voltes-Epstein. Pewnego dnia, kilka miesięcy po pogrzebie, umówiłem się z panem Voltesem w kawiarni w pobliżu uniwersytetu. Najdroższa, nigdy ci się do tego nie przyznałem. Nie miałem odwagi. Dlaczego to zrobiłem? Ponieważ nie jestem moim ojcem. Ponieważ mam na sumieniu wiele rzeczy. Ale, choć czasami mogłoby się wydawać inaczej, to nie moja wina, że jestem synem mojego ojca.

Nie podali sobie ręki. Kiwnęli tylko głową na powitanie. Usiedli bez słowa. Obaj starali się unikać nawzajem swojego wzroku.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej małżonki.

Pan Voltes kiwnął głową, przyjmując kondolencje. Zamówili dwie herbaty i poczekali, aż kelnerka sobie pójdzie, i nadal trwali w milczeniu.

– Czego chcesz? – odezwał się wreszcie pan Voltes po dłuższej chwili.

– Wydaje się, że po prostu chciałbym zostać zaakceptowany. Chciałbym być z wami w rocznicę śmierci wujka Chaima.

Pan Voltes obrzucił go krótkim, zdziwionym spojrzeniem. Adrianowi mocno utkwiło w głowie wspomnienie tamtego dnia, kiedy Sara powiedziała jadę do Cadaqués.

– Jadę z tobą.

– Wykluczone.

Co za rozczarowanie; po raz kolejny wyrosła między nimi bariera.

– Ale przecież jutro nie ma ani Jom Kippur, ani Chanuki ani żadnej bar micwy.

– To rocznica wujka Chaima.

– Aha.

Religijność państwa Voltes-Epstein była raczej wątła i ograniczała się do wizyt w synagodze przy ulicy Avenir podczas sabatu. Rosz ha-Szana czy Sukkot obchodzili tylko po to, żeby nie zapomnieć, że są Żydami na ziemi gojów. I nigdy nie przestaniemy nimi być. Ale nie ze względów... Mój ojciec nie jest Żydem, powiedziała mi kiedyś Sara. Ale zachowuje się tak, jakby nim był: wyemigrował w trzydziestym dziewiątym. Nie wyznaje żadnej religii; zawsze mówi, że tylko stara się nie czynić zła.

Teraz pan Voltes siedział naprzeciwko Adriana, mieszając cukier łyżeczką. Spojrzał Adrianowi w oczy, co go skłoniło do reakcji; powiedziałem panie Voltes, naprawdę kocham pańską córkę. Przestał mieszać herbatę i odłożył bezszelestnie łyżeczkę na talerzyk.

– Sara nigdy ci o nim nie mówiła?

– O wujku?

– Tak.

– Trochę.

– Co znaczy trochę?

– No że... Jakiś nazista wyciągnął go z komory gazowej, żeby go zbadał.

– Wujek Chaim popełnił samobójstwo w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim i zawsze zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego, skoro wytrzymał to wszystko i wrócił do rodziny... do tych, którzy przeżyli... chcemy być sami, kiedy wspominamy to pytanie bez odpowiedzi. – Adrian z całą arogancją, jaką daje wysłuchanie nieoczekiwanego zwierzenia, odpowiedział, że wujek Chaim popełnił samobójstwo, bo nie mógł znieść tego, że przeżył; ponieważ miał poczucie winy z tego powodu.

– Patrzcie go, mądrała się znalazł. Sam ci to wyjaśnił? Może się znaliście?

– Przepraszam. Nie chciałem pana obrazić.

Pan Voltes znów wziął łyżeczkę i zaczął mieszać herbatę, żeby ułożyć w głowie myśli. Kiedy Adrian był już przekonany, że rozmowa dobiegła końca, pan Voltes zaczął mówić monotonnym tonem, jakby recytował modlitwę, jakby jego słowa stanowiły część rytuału upamiętniającego dzień śmierci wujka:

– Wujek Chaim był człowiekiem wykształconym, znanym lekarzem, który po powrocie z Auschwitz po wojnie nie chciał nam spojrzeć w oczy. Przyjechał do nas, bo tylko my mu zostaliśmy. Był kawalerem.

Jego brat, dziadek Sary, nie przeżył podróży wagonem bydlęcym w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. W pociągu, który wysłali Francuzi z Vichy, żeby się przyłożyć do etnicznej czystki świata. Jego brat. Jego bratowa nie przeżyła tego wstydu i zmarła w więzieniu w Darcy jeszcze przed podróżą. A on, dużo później, wrócił do Paryża do jedynej rodziny, jaka mu pozostała, do swojej bratanicy. Porzucił na zawsze zawód lekarza. A kiedy się pobraliśmy, przekonaliśmy go, żeby zamieszkał z nami. Kiedy Sara miała trzy latka, wujek Chaim powiedział Racheli, że idzie na szklaneczkę pastisu do Auberge, podniósł do góry Sarę, ucałował ją, ucałował Maksa, który wrócił właśnie z przedszkola, włożył czapkę i wyszedł z domu, pogwizdując andante z siódmej symfonii Beethovena. Pół godziny później wiedzieliśmy już, że rzucił się do Sekwany z Pont-Neuf.

– Bardzo mi przykro, panie Voltes.

– Obchodzimy ten dzień. Czcimy wtedy pamięć wszystkich zmarłych w Shoah. Właśnie w tym dniu, bo to jedyna znana nam data śmierci czternastu bliskich krewnych, którzy zostali zgładzeni bez cienia litości w imię nowego świata.

Pan Voltes wypił łyk herbaty i zamyślił się. Chociaż na drodze jego spojrzenia był Adrian, on widział tylko wujka Chaima.

Nie odzywali się dość długo, aż wreszcie pan Voltes podniósł się z krzesła.

– Muszę już iść.

– Jak pan sobie życzy. Dziękuję za poświęcony mi czas.

Samochód był zaparkowany przed drzwiami kawiarni. Otworzył drzwi, zastanowił się chwilę i w końcu zaproponował:

– Mogę cię podwieźć.

– Nie, ja tu...

– Wsiadaj.

To był rozkaz. Wsiadł. Jechali bez celu przed siebie, przez zatłoczone ulice dzielnicy Eixample. Wcisnął klawisz i rozległ się łagodny dźwięk sonaty na skrzypce i fortepian Enescu. Nie wiem, czy to była druga, czy trzecia. Niespodziewanie, kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonych światłach, wrócił do opowieści, która w jego głowie na pewno ciągnęła się nieprzerwanie:

– Kiedy jego kondycja lekarza pozwoliła mu uniknąć wejścia pod prysznic, spędził dwa dni w baraku numer dwadzieścia sześć; spało tam sześćdziesiąt wychudzonych milczących osób z nieobecny spojrzeniem; kiedy wychodzili z baraku do pracy, zostawał sam z rumuńskim kapo, który nieufnie przyglądał mu się z daleka, jakby się zastanawiał, co ma zrobić z tym nowym, który jeszcze zdrowo wygląda. Trzeciego dnia rozwiązał mu ten dylemat jakiś pijany Hauptsturmbannführer. Wsadził nos do pustego baraku i zauważył doktora Epsteina, który siedział na pryczy i starał się być przezroczystry.

– A ten co tu robi?

– Rozkaz Sturmbannführera Barbera.

– Hej, ty!

To ty odnosiło się do niego. Odwrócił się powoli i spojrzał oficerowi w oczy.

– Stań na baczność, kiedy do ciebie mówię!

Ty stanął na baczność, bo mówił do niego Hauptsturmbannführer.

– Dobrze. Zabieram go.

– Ależ proszę pana – próbował coś powiedzieć kapo, czerwony jak burak – Sturmbannführer Barber...

– Sturmbannführerowi Barberze powiesz, że go sobie zatrzymałem.

– Ależ proszę pana!

– Sturmbannführer Barber może się pocałować w dupę. Teraz rozumiałeś?

– Tak, proszę pana.

– Hej, ty, ruszaj, teraz się zabawimy.

Zabawa była przednia, ubaw po pachy. Bardzo intensywna. Zorientował się, że jest niedziela, kiedy

usłyszał od oficera, że gości u siebie kilku przyjaciół. Zabrał do strefy, w której mieszkali oficerowie; wepchnięty do czegoś w rodzaju piwnicy, gdzie skierowało się na niego osiem czy dziesięć przerażonych par oczu, zapytał co tu się dzieje?, ale nie został zrozumiany, bo były tam jakieś Węgierki, a on potrafił tylko powiedzieć köszönöm, ale nikt mu nie odpowiedział uśmiechem. I wtedy otworzyły się drzwi piwnicy, i okazało się, że nie była pod ziemią, tylko na wysokości długiego, wąskiego dziedzińca, i jakiś Unterscharführer z czerwonym nosem ryknął mu nad uchem ty i ty, kiedy usłyszycie już, macie biec do przeciwległej ściany. Kto przybiegnie ostatni, przegrywa. Już!

Osiem czy dziesięć kobiet i Ty zaczęli biec, jak gladiatorzy w cyrku. Za sobą słyszeli śmiechy podochoconej publiczności. Kobiety i Ty dobiegli do ściany w głębi. Tymczasem jedna staruszka pokonała dopiero połowę trasy. Rozległ się dźwięk trąbki, a w ślad za nim strzały. Węgierska staruszka upadła na ziemię, podziurawiona jak sito pół tuzinem kul, za karę, że była ostatnia, biedna anyóka, biedna öreganyó, no proszę, żeby nawet nie dobiec do połowy, zapchlona brudaska. Ty odwrócił się, przerażony. Na podwyższonej trybunie zauważył trzech oficerów ładujących broń i czwartego, też z bronią gotową do strzału, któremu jakaś pijana kobieta zapalała cygaro. Mężczyźni o czymś dyskutowali zażarcie i jeden z nich rzucił krótki rozkaz podoficerowi z czerwonym nosem, który im go przekazał, głośno krzycząc, że teraz mają wrócić do schronu, powoli, że ich rola jeszcze się nie skończyła, i dziewięć zapłakanych węgierskich kobiet i Ty wracali, starając się ominąć ciało staruszki i patrząc z przerażeniem, jak jeden z oficerów trzyma ich na muszce, i w miarę jak zbliżali się do schronu, i czekali na strzał, drugi oficer, uprzedzając zamiar pierwszego, uderzył go ręką w momencie strzału i Ty poczuł, jak kula, wymierzona w wychudzoną dziewczynę, przeszła tuż obok jego głowy.

– A teraz znów biegnijcie do ściany. – I do wujka, popychając go: – Ty tu stań, kurwa!

Spojrzał z dumą, solidaryzując się ze swoją zajęczą ekipą, i krzyknął:

– Jeśli któryś skurwysyn nie będzie biegł zygzakiem, nie dotrze na miejsce. Start!

Byli tak pijani, że ledwo udało im się ustrzelić trzy kobiety. Ty dobiegł do przeciwległej ściany żywy, z poczuciem winy, że nie stał się ochronną tarczą dla żadnej z trzech kobiet, które leżały w połowie drogi. Jedna z nich była ciężko ranna i doktor Ty od razu zauważył, że strzał w szyję przeciął jej wewnętrzną żyłę szyjną; i jakby na potwierdzenie jego obserwacji kobieta znieruchomiła, leżąc na rozlewającej się wokół niej kałuży krwi jak na posłaniu. Mea culpa.

Było jeszcze więcej rzeczy, które opowiedział tylko mnie, i nie miałem odwagi wspominać o nich ani Racheli, ani dzieciom. Nie mógł już tego wytrzymać i zaczął krzyczeć, że naziści są podli, a najmniej pijany z nich zaczął się śmiać, wycelował w najmłodszą z tych kobiet, które przeżyły, i zagroził jeżeli się nie zamkniesz, do kurrwy nędzy, powystrzelam je wszystkie. I Ty się zamknął. Kiedy wracali do piwnicy, jeden z myśliwych zaczął wymiotować i słyszał, jak kolega go upominał widzisz?, widzisz, po co ci było mieszać tyle słodkich likierów, durniu. Pewnie z tego powodu musieli przerwać zabawę; w pogrążonej w ciemności piwnicy słyhać było tylko jęki przerażenia, znak obecności towarzyszy niedoli. Z zewnątrz dochodziły zaniepokojone krzyki i chaotyczne rozkazy, których Ty nie mógł zrozumieć. Chodziło o to, że nazajutrz miała się zacząć ewakuacja obozu, bo Rosjanie zbliżali się szybciej, niż przypuszczano, i w ogólnym bałaganie nikt nie myślał o tych sześciu czy siedmiu zajęcach, które trzymano w piwnicy. Niech żyje Armia Czerwona, powiedział po rosyjsku Ty, kiedy zrozumiał sytuację; jedna z kobiet zrozumiała go i przekazała wiadomość innym zajęcom. Jęki ustąpiły miejsca nadziei. I w ten sposób Ty ocalał życie. Ale czasem myślę, że ocalenie było gorszą karą niż śmierć. Rozumiesz mnie, Ardèvol? Dlatego zostałem Żydem, mimo że nim nie jestem z urodzenia, o ile mi wiadomo, ale z własnej woli, tak jak za Żydów uważa się wielu Katalończyków; czujemy się niewolnikami na własnej ziemi i poznaliśmy smak diaspory tylko dlatego, że jesteśmy Katalończykami. W tamtym dniu dowiedziałem się, że też jestem Żydem, Saro. Żydem ze względu na przekonania, na naród, na historię. Żydem bez Boga, chcącym żyć, nie czyniąc zła, jak pan Voltes, bo żyć, czyniąc dobro, to jest, jak mi się wydaje, zbyt pretensjonalne. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się to udało.

– Lepiej będzie, jeśli zachowasz dla siebie naszą rozmowę i nie będziesz o niej wspominał mojej córce – to były ostatnie słowa, jakimi mnie pożegnał pan Voltes, kiedy wysiadłem z samochodu. Dlatego aż do dnia, w którym to przelewam na papier, nic ci o niej nie wspomniałem. Zachowałem się w stosunku do ciebie nielojalnie również w kwestii tego sekretu. Naprawdę bardzo żałuję, że nie miałem już okazji spotkać się z panem Voltesem.

Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, to było w tym czasie, kiedy kupiłaś porró, karafkę z szyjką.

Minęło zaledwie parę miesięcy naszego wspólnego życia, kiedy zadzwonił do mnie Morral z nowiną: mam oryginał *Nie ma kto pisać do pułkownika*.

– Nie.

– Tak.

– Z gwarancją?

– Panie Ardèvol, niech pan mnie nie obraża.

A ja oznajmiłem normalnym tonem, ukrywając podniecenie, Saro, wychodzę na chwilę. Z głębi pracowni odezwał się głos Sary, która oderwała się od bajki o żabie śmieszce i zapytała dokąd idziesz?

– Do Ateneum (przysięgam, że Ateneum spontanicznie przyszło mi na myśl).

– Ach (cóż ona mogła wiedzieć, poveretta).

– Tak, długo tam nie zabawię (maestro dell'inganno).

– Dziś twoja kolej przygotowywania kolacji (innocente e angelicale).

– Tak, tak, pamiętam. Zaraz wracam (traditore).

– Masz jakiś problem? (compassionevole).

– Nie, skądże (bugiardo, menzognero, impostore).

Adrian wyszedł i nawet nie zauważył, że zbyt mocno zamknął drzwi, jak wiele lat temu jego ojciec, kiedy szedł na spotkanie ze śmiercią.

W małym lokalu kontaktowym Morralla mogłem obejrzeć rękopis w całej okazałości, wprost nadzwyczajny. Końcowa część napisana była na maszynie, ale Morral zapewniał mnie, że w rękopisach Garcíi Márqueza często tak bywa. Co za rozkosz.

– Ile?

– Tyle.

– Niesłychane!

– Jak pan uważa.

– Tyle.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza. Muszę być z panem szczerzy, doktorze Ardèvol. Zdobycie rękopisu wiązało się z pewnym, powiedzmy, ryzykiem, a za ryzyko się płaci.

– Chce pan powiedzieć, że jest kradziony?

– Po co zaraz używać takich słów... Zapewniam pana, że te papiery nie zostawiły żadnego śladu.

– No więc tyle.

– Nie: tyle.

– Zgoda.

Takich operacji nigdy nie przeprowadza się za pomocą czeków. Musiałem pohamować niecierpliwość i czekać do jutra; a nocą przyśnił mi się sam García Márquez, który zjawił się w domu, żeby mi wypomnieć kradzież; ja udawałem Greka, a on biegał za mną po całym mieszkaniu z długim nożem i ja...

– Co ci jest? – zapytała Sara, zapalając światło.

Była czwarta nad ranem, kiedy Adrian usiadł na łóżku, które teraz należało do nas. Ciężko dyszał, jak po pokonaniu długiego dystansu.

– Nic, nic... To tylko sen.

– Opowiedz mi.

– Nie pamiętam.

Znowu się położyłem. Odczekałem, aż zgasi światło, i przyznałem się, że to García Márquez gonił mnie po całym domu i chciał mnie zabić o, takim długim nożem.

Cisza. Nie: leciutkie drżenie łóżka. Aż wreszcie Sara roześmiała się w głos. Potem poczułem jej pieszczotliwy dotyk na mojej łysinie, jakiego nigdy nie doczekałem się od matki. Poczułem się brudny i grzeszny, bo ją oszukiwałem.

Następnego dnia siedzieliśmy w milczeniu przy śniadaniu, jeszcze nie całkiem przebudzeni. Aż do chwili, kiedy Sara znów zaniósła się śmiechem.

– A teraz z czego się śmiejesz?

– Że nawet twoje zmory muszą mieć odpowiedni ciężar intelektualny.

– Ale ja naprawdę się przestraszyłem. Muszę iść dzisiaj na uczelnię (impostore).

– Przecież dziś jest wtorek (angelicale).

– Wiem, wiem... Ale Parera czegoś ode mnie chce i prosił, żebym... pff... (spregevole).

– Jak trzeba, to trzeba (innocente).

Piętrząc kłamstwa na swojej drodze, udałem się do banku, podjąłem tyle, a stamtąd udałem się prosto do Morrala, z dotkliwym przeczuciem, że w nocy spalił się jego dom, że zmienił zdanie albo że ktoś hojniejszy mnie przelicytował... albo że został zatrzymany.

Nie. Pułkownik czekał na mnie cierpliwie. Z czułością wziąłem to do rąk. Już był mój i nie musiałem dłużej cierpieć. Mój.

– Panie Morral.

– Tak?

– A kompletny rękopis Nietzschego?

– Aha.

– Powie mi pan cenę?

– Jeśli tylko o to chodzi, żeby się targować, nie ma o czym mówić, bez obrazy.

– Chciałbym go kupić, jeśli będzie mnie stać.

– Niech pan zadzwoni za dziesięć dni, to powiem panu cenę, jeśli jeszcze nie będzie sprzedany.

– Co takiego!?

– A co pan myślał? Że tylko pan jest na świecie?

– Ale ja chcę go mieć.

– Dziesięć dni.

W domu nie pokazałem ci mojego skarbu. To były moje sekrety; ty miałaś swoje. Schowałem plik kartek na dnie szuflady. Chciałem kupić teczkę, w której można by oglądać całe dzieło kartka po kartce, z obu stron. Ale musiałem to zrobić w tajemnicy. Czarny Orzeł też miał coś do powiedzenia.

– No już, śmiało, mów.

– Przekroczyłeś zakazaną rzekę.

– Słucham?

– Wydajesz i będziesz wydawał na głupoty, a twoja squaw o niczym nie wie.

– Jakbyś zrobił skok w bok – dodał Carson. – Zmierzasz w bardzo złym kierunku.

– Nie umiem inaczej.

– Jesteśmy zdecydowani zerwać stosunki z białym przyjacielem, który nas u siebie gościł przez całe życie.

– Albo to, albo porozmawiamy z Sarą.

– Źle by się to dla was skończyło: wyrzucę was przez balkon.

– Odważny wojownik nie ulęknie się gróźb kłamliwej i tchórzliwej bladej twarzy. Poza tym nie

odważysz się tego zrobić.

– Odważy się – wtrącił swoje trzy grosze Carson. – Ogarnięci chorobą nie umieją liczyć. Nałóg trzyma ich w garści.

– Przysięgam, że kompletny utwór Nietzschego będzie ostatnim nabytkiem.

– I ja mam w to uwierzyć – odezwał się Carson.

– Ciekawe, czemu to ukrywasz przed swoją squaw – zastanawiał się Czarny Orzeł. – Kupujesz je za swoje złoto. Nie pochodzi od żadnego Żyda obrabowanego przez okrutnego białego człowieka uzbrojonego w kij ziejący ogniem ani z kradzieży.

– Coś w tym rodzaju, drogi kolego – poprawił go Carson.

– Ale squaw błada twarz nie musi tego wiedzieć.

Zostawiłem ich pogrążonych w tej dyskusji; nie potrafiłem się przyznać, że nie mam odwagi stanąć przed Sarą i oświadczyć to jest silniejsze ode mnie. Chcę posiadać rzeczy, które mnie interesują. Pożadam ich i gotów byłbym zabić, żeby je uzyskać.

– Dosłownie? – upewnił się Carson.

– Nie. Ale prawie. – I do Sary: – Chyba nie czuję się najlepiej.

– Biedny Adrianie; zaraz kładź się do łóżka, dam ci termometr (*compassionevole e innocente*).

Po dwóch dniach wysokiej gorączki zawarł sam ze sobą umowę (umowę, której Carson i Czarny Orzeł nie zgodzili się podpisać), na mocy której pozwalałem sobie, dla dobra naszego związku, nie wtajemniczać cię w szczegóły historii Viala, którą znałem tylko częściowo; wolałem, żebyś nie wiedziała, które przedmioty w domu, jak podejrzewałem, mogły być owocem okrutnej i drapieżnej aktywności mojego ojca. Przemilczałem też fakt, że wraz ze sklepem sprzedałem, czyli wziąłem na siebie, wiele grzechów ojca... czego zapewne sama się domyśliłaś. Nie starczyło mi odwagi, żeby się przyznać do kłamstwa, jakie popełniłem w dniu, kiedy przyjechałaś z Paryża z żółtą różą w dłoni i powiedziałaś chętnie napiłabym się kawy.

– Ten styl bardzo przypomina Hemingwaya – zawyrokowała Mireia Gràcia.

Bernat pochylał głowę, z pokorą przyjmując komentarz, który go dowartościował. Na chwilę przestał się przejmować znikomą popularnością, która wystarczyła na zgromadzenie w księgarni Pols de Llibres zaledwie trzech osób.

– Nawet nie myśl o urządzaniu prezentacji – odradzał mu Bauçà.

– Dlaczego?

– Tyle jest teraz uroczystości: zobaczysz, nikt nie przyjdzie.

– To ty tak uważasz. A może do każdego z trzech autorów przykładasz inną miarę?

Bauçà postanowił zachować dla siebie odpowiedź, którą chętnie rzuciłby mu w twarz, i powiedział, z widocznym znużeniem, którego nie starał się ukryć:

– Nie ma o czym mówić: podaj tylko dzień i osobę, która będzie cię przedstawiać. – Na uśmiech Bernata zareagował: – Ale jak nikt nie przyjdzie, żebyś nie miał do mnie pretensji.

W zaproszeniu można było przeczytać, że Heribert Bauçà i autor mają zaszczyt zaprosić na prezentację *Plazmy*, najnowszego zbioru opowiadań Bernata Plensy, w księgarni Pols de Llibres. Poza autorem i wydawcą w spotkaniu udział weźmie pani profesor Mireia Gràcia, która przedstawi autora. Na zakończenie zapraszamy na lampkę szampana.

Adrian odłożył zaproszenie na biurko i przez chwilę zastanawiał się, co też może powiedzieć Mireia Gràcia o tej książce. Że jest słaba? Że Plensa jeszcze nie nabył umiejętności przekazywania emocji? Że szkoda papieru i drzew, które na to poszły?

– Tym razem nie będę się obrażał – obiecał Bernat, prosząc go o prezentację książki.

– Jak mam ci uwierzyć?

– Bo wiem, że ci się spodoba. A jak ci się nie podoba, trudno; ja się zmieniłem. Wkrótce skończę czterdzieści lat i zaczynam rozumieć, że nie mogę się na ciebie gniewać z tego powodu. Zgoda? Przedstawisz książkę? W przyszłym miesiącu, w księgarni Pols de Llibres. To bardzo ważna księgarnia i...

– Bernat. Nie.

– Stary, najpierw może byś przeczytał, co? – obrażony, zaskoczony, przeczulony.

– Jestem bardzo zajęty. Oczywiście, że ją przeczytam, ale nie wiem, kiedy. Proszę, nie rób mi tego.

Bernat stał z otwartymi ustami, jakby do niego nie dotarło, co tamten mu powiedział, i wtedy usłyszał, zgoda, daj mi, przeczytam ją od razu. Jak mi się nie spodoba, powiem ci, i oczywiście nie wezmę udziału w prezentacji.

– Teraz mówisz jak przyjaciel. Dzięki. Spodoba ci się. – Wskazał książkę palcem niczym Brudny Harry. – I nabierzesz ochoty na jej prezentację.

Bernat był przekonany, że tym razem tak, że tym razem usłyszy: Bernat, zaskoczyłeś mnie, widzę tu siłę Hemingwaya, talent Borgesa, artyzm Rulfa i ironię Caldersa, a wtedy Bernat poczuje się najszcześniejszą osobą na świecie; do czasu, kiedy zadzwoniłem do niego trzy dni później i powiedziałem wszystko po staremu, postaci są dla mnie niewiarygodne i ich los nic mnie nie obchodzi.

– Co proszę?

– Literatura to nie gra. A jeśli ogranicza się tylko do gry, nie interesuje mnie. Rozumiesz?

– I niczego nie da się ocalić? Nawet ostatniego opowiadania?

– To jest najlepsze. Ale tylko jako rozbitek ocalały z katastrofy.

– Jesteś okrutny. Lubisz się nade mną pastwić.

- Sam powiedziałeś, że masz już czterdzieści lat i nie będziesz się obrażał, jeśli...
- Jeszcze nie miałem urodzin! Masz tak nieprzyjemny sposób mówienia, że ci się nie podoba, że...
- Inaczej nie potrafię.

– Mógłbyś powiedzieć nie podoba mi się i kropka.

– Przedtem tak mówiłem. Ale ty nie masz pamięci historycznej. Mogę stwierdzić nie podoba mi się i kropka. Ale wtedy ty zaczynasz swoje: I kropka? Tylko tyle? A ja muszę uzasadniać, dlaczego mi się nie podoba, i staram się to zrobić tak, żeby cię nie oszukiwać, żeby ci nie zaszkodzić, i mówię prosto z mostu nie starcza ci talentu, żeby stworzyć postać: to są puste imiona. Wszystkie mówią tak samo; żadna nie próbuje nawet zdobyć mojego zainteresowania. Żadna z tych postaci nie jest niezbędna.

– Co ty pierdolisz, jak to nie jest niezbędna? Gdyby Biel był zbędny, nie byłoby opowiadania *Szczury*.

– Nie chcesz mnie zrozumieć. Całe to opowiadanie jest zbędne. Nie przemieniło mnie, nie wzbogaciło, nic, zupełnie nic!

A teraz ta głupia Mireia mówiła, że Plensa ma siłę Hemingwaya, i Adrian, nie czekając, aż go porówna z Borgesem i Caldersem, ukrył się za regałem. Nie chciał, żeby Bernat go tam dostrzegł, w tej zimnej księgarni, gdzie z dwudziestu rozkładanych krzeseł zajęte były tylko trzy, a i to jeden mężczyzna sprawiał wrażenie, że znalazł się tam przez pomyłkę.

Jesteś tchórzem, pomyślał. Przyszło mu też do głowy, że skoro zawsze jego ulubioną perspektywą postrzegania świata i idei była historia, gdyby tę samą miarę zastosował do analizy jego przyjaźni z Bernatem, bezwzględnie doszedłby do stanu niemożności: Bernat byłby szczęśliwy, gdyby skoncentrował swoją potrzebę bycia szczęśliwym na skrzypcach. Uciekł z księgarni bezszelestnie i okrążył cały kwartał, zastanawiając się, co powinien zrobić. Czemu Tekla nie przyszła na prezentację? Ani jego syn?

– Dlaczego do cholery nie chcesz przyjść? Przecież to moja książka!

Tekla skończyła pić mleko z kubka i odczekała, aż Llorenç wróci do pokoju po szkolny tornister.

Odpowiedziała półgłosem:

– Gdybym musiała chodzić na wszystkie twoje koncerty i prezentacje...

– Przecież nie zdarza się to co tydzień. Od sześciu lat nie opublikowałem żadnej książki.

Cisza.

– Nie chcesz mnie wesprzeć.

– Chcę zachować proporcje.

– Nie chcesz przyjść.

– Nie mogę.

– Nie kochasz mnie.

– Nie jesteś pępkiem świata.

– Przecież wiem.

– Nie wiesz. Nie zdajesz sobie sprawy. Zawsze tylko żądasz i wymagasz.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Zawsze uważasz, że wszyscy powinni być na twoje usługi. Że ty jesteś najważniejszą osobą w domu.

– No wiesz...

Spojrzała na niego zaczepnie. Już miał powiedzieć oczywiście, że jestem najważniejszą osobą w rodzinie, ale jakiś szósty czy siódmy zmysł podpowiedział mu w porę, żeby się ugryzł w język. Stał z otwartymi ustami.

– No mów, mów – zachęcała go Tekla.

Bernat zamknął usta. Patrząc mu w oczy, powiedziała my też mamy własne życie: uważasz za oczywiste, że powinniśmy zawsze iść tam, gdzie nam każesz, i czytać, co napiszesz, co obowiązkowo musi się nam podobać i budzić nasz entuzjazm.

– Naturalnie przesadzasz.

– To dlaczego kazałeś Llorençowi przeczytać książkę w dziesięć dni?

– Czy to przestępstwo kazać dziecku czytać?

– Na litość boską, on ma dziewięć lat.

– I co z tego?

– Wiesz, co mi wczoraj powiedział przed spaniem?

Chłopak leżał już w łóżku; zapalił lampkę nocną, kiedy matka wychodziła z pokoju na palcach.

– Mamo.

– Nie śpisz jeszcze?

– Nie.

– Co ci jest?

Tekla przysiadła na brzegu pościela. Llorenç otworzył szufladę szafki i wyciągnął książkę.

Natychmiast ją rozpoznała.

– Zacząłem czytać, ale nic z tego nie rozumiem.

– To nie dla dzieci. Dlaczego czytasz?

– Ojciec mi powiedział, żebym przeczytał do niedzieli. Że to krótka książka.

Wzięła książkę do ręki.

– Nie przejmuj się nim.

Otworzyła książkę i bezmyślnie przerzuciła kartki.

– Ale on ma mnie z niej przepytwać.

Oddała książkę:

– Zatrzymaj ją sobie. Ale nie musisz jej czytać.

– Na pewno?

– Na pewno.

– A jak tato mi będzie zadawał pytania?

– Ja z nim porozmawiam.

– Ciekawe, dlaczego nie mogę zadawać pytań własnemu synowi? – Oburzony Bernat stuknął filiżanką o spodek. – Przecież jestem jego ojcem!

– Twoje ego tak się rozrosło, że ci przesłania świat.

Llorenç zajrzał do kuchni, już w kurtce i z tornistrem na plecach.

– Ojciec zaraz idzie, synu. Możesz już schodzić.

Bernat wstał, rzucił serwetkę na stół i wyszedł z kuchni.

Adrian ponownie znalazł się przed księgarnią, po okrążeniu całego kwartału. Nadal nie wiedział, jak się zachować. W tym momencie zgasły światła na wystawie. Zdążył zareagować na czas i oddalić się parę metrów. Mireia Gràcia wybiegła jak strzała i choć musiała przejść obok niego, nie zwróciła na niego uwagi, bo w tym momencie spojrziała na zegarek. Kiedy wyszli Bauçà, Bernat i jeszcze jakieś dwie czy trzy osoby, dołączył do nich pospiesznie, jak ktoś, kto się bardzo spóźnił.

– Ej!... Tylko mi nie mów, że już skończyliście! – Adrian zrobił rozczarowaną minę.

– Witaj, Ardèvol.

Adrian i Bauçà podali sobie ręce. Inni rozeszli się, każdy w swoją stronę. Wtedy Bauçà oświadczył, że na niego już czas.

– Nie dasz się zaprosić na kolację? – zapytał Bernat.

Bauçà wykręcił się nie, no wiesz, już za późno na kolację, i zostawił przyjaciół samych.

– No i jak? Jak poszło?

– Dobrze. Całkiem nieźle. Mireia Gràcia była bardzo przekonująca. Bardzo... dobrze, wiesz. Było sporo ludzi. Dobrze. Prawda?

– Cieszę się. Chciałem przyjść wcześniej, ale...

– W porządku, stary... Nawet zadawali mi pytania.

– A Tekla?

Szli obok siebie w milczeniu bardziej wymownym niż słowa. Kiedy znaleźli się na rogu, Bernat zatrzymał się nagle i spojrzał Adrianowi w oczy:

– Mam wrażenie, że piszę wbrew całemu światu: wbrew tobie, wbrew Tekli, wbrew mojemu synowi, wbrew wydawcy.

– Co cię teraz naszło?

– Gównu wszystkich obchodzi to, co piszę.

– Kurczę, przecież przed chwilą powiedziałeś mi, że...

– A teraz ci mówię, że gównu wszystkich obchodzi to, co piszę.

– A ciebie obchodzi?

Bernat spojrzał na niego nieufnie. Podpuszczał go?

– Wkładam w to całe moje życie.

– Nie wierzę. Przepuszczasz je przez zbyt wiele filtrów.

– Chciałbym cię kiedyś zrozumieć.

– Gdybyś pisał tak jak grasz, byłbyś wielki.

– To głupie, co mówisz. Skrzypce mnie nudzą.

– Ty nie chcesz być szczęśliwy.

– Mówiłeś, że to nie jest obowiązkowe.

– Zgoda. Ale gdybym ja umiał grać jak ty... zrobiłbym...

– Nic, gównu byś zrobił.

– Co się dzieje? Znow pokłóciłeś się z Teklą?

– Nie chciała przyjść.

Sprawa była zbyt delikatna. Co mam teraz powiedzieć?

– Chcesz wpaść do mnie?

– Może byśmy poszli na kolację?

– Ale...

– Sara na ciebie czeka.

– No, powiedziałem jej, że... Tak, czeka.

Tak się przedstawia historia Bernata Plensa: jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat. Od dawna mi zazdrości, bo mnie dobrze nie zna; od lat podziwiam jego grę na skrzypcach. Od czasu do czasu kłócimy się tak koszmarnie, jakbyśmy byli zdesperowanymi kochankami. Kocham go i nie mogę go oszukiwać, skoro pisze źle, bez wdzięku. Od momentu, kiedy po raz pierwszy podsunął mi swoje papiery pod nos, opublikował parę zbiorów kiepskich opowiadań. Mimo że jest inteligentny, nie przyjmował do wiadomości, że skoro nikomu się nie podobają, to może nie dlatego, że wszyscy totalnie się mylą, ale dlatego, że on nie ma nic ciekawego do powiedzenia. A jego żona... Nie jestem pewien, ale wyobrażam sobie, że życie z Bernatem może być trudne. Gra w concertino Orkiestry Miasta Barcelony. Uprawia też kameralistykę z grupą kolegów. Czego można chcieć więcej?, powiedziałyby większość śmiertelników. Ale nie on. Zapewne, jak wszyscy śmiertelnicy, nie umie dostrzec szczęścia, które ma w zasięgu ręki, bo oślepia go szczęście nieosiągalne. Bernat jest zbyt ludzki. A dziś nie mogłem pójść z nim na kolację, bo Sara jest smutna.

Bernat Plensa i Punsoda, świetny muzyk, upiera się, by szukać nieszczęścia w literaturze. Na to nie ma lekarstwa. Alí Bahr przyglądał się grupie dzieci, które bawiły się, szukając ochrony przed słońcem pod murem, który oddzielał ogród Białego Osła od drogi prowadzącej z al-Hisw hen daleko, aż do Bi'r Durb. Alí Bahr niedawno skończył dwadzieścia lat i jeszcze nie wiedział, że jedną z dziewczynek, tą właśnie, która krzyczała, uciekając przed chłopcem z poobijanymi kolanami, była Amani, która już za parę lat będzie sławna jako piękna Amani, tam i na całej równinie. Pogonił osła, bo za dwie godziny miał być w domu. Żeby wyładować energię, chwycił kamień leżący na drodze, nie za duży i nie za mały,

i z wściekłością pchnął go mocno przed siebie, jakby chciał wskazać osłū właściwy kierunek.

Dzieje *Plazmy* Bernata Plensy można streścić krótko: żadnej reakcji, żadnej recenzji, żadnej krytyki, żadnej sprzedaży. Na szczęście ani Bauçà, ani Adrian, ani Tekla nie powiedzieli mu wtedy widzisz, a nie mówiliśmy. Sara, kiedy jej o wszystkim powiedziałem, podsumowała mnie jesteś tchórzem, powinieneś tam być, wśród publiczności. Ja na to: ale to było upokarzające. Na to ona: nie, czułby wsparcie przyjaciela. Życie toczyło się dalej:

– To spisek. Traktuję mnie jak powietrze, jakbym nie istniał.

– Kto?

– Oni.

– Któregoś dnia musisz mi ich przedstawić.

– Ja nie żartuję.

– Bernat, nikt się na ciebie nie uwziął.

– Jasne, nikt nawet nie wie o moim istnieniu.

– Powiedz to tym, którzy cię oklaskują po koncercie.

– To nie to samo; mówiliśmy już o tym z tysiąc razy.

Sara przysłuchiwała się w milczeniu. Nagle Bernat popatrzył na nią i tonem z lekka oskarżycielskim zadał jej pytanie a co ty sądzisz o mojej książce?, to jedyne pytanie, którego, jak myślę, żaden autor nie może zadawać bezkarnie, nie wystawiając się na ryzyko, że usłyszy odpowiedź.

Sara uśmiechnęła się kulturalnie, ale Bernat uniósł brwi, dając do zrozumienia, że jego pytanie nadal wisi w powietrzu.

– Ja jej nie przeczytałam – odpowiedziała Sara, wytrzymując jego wzrok. I dodała, czyniąc ustępstwo, które mnie zaskoczyło: – Jeszcze.

Bernat otworzył usta ze zdziwienia. Bernat, nigdy się nie nauczysz, pomyślał Adrian. Wtedy zrozumiał, że ten człowiek jest niereformowalny i że będzie się potykał na tym samym kamieniu przez całe życie, nieskończenie wiele razy. Tymczasem Bernat wypił odruchowo pół kieliszka wspaniałego wina Ribera del Duero.

– Przysięgam wam, że rzucam pisanie – oświadczył, odstawiając kieliszek; jestem przekonany, że chciał w ten sposób wywołać w Sarze poczucie winy za swoją rezygnację.

– Poświęć się muzyce – powiedziałaś z tym uśmiechem, w którym ciągle jestem zakochany. – Dobrze na tym wyjdiesz.

I wypiął łyk wina z porrona. Ribera del Duero pity z karafki. Bernat przypatrywał ci się z otwartymi ustami, ale nic nie powiedział. Był zbyt przygnębiony. Na pewno tylko dlatego się nie rozpłakał, że był tam Adrian. W obecności kobiety, nawet takiej, która pije wino z karafki z szyjką, łatwiej się wypłakać. W obecności mężczyzny to żadna frajda. A wieczorem po raz pierwszy zrobił prawdziwą awanturę Tekli. Llorenç, przerażony, leżąc w łóżku, nasłuchiwał krzyków ojca i czuł się najniezwyklejszym dzieckiem na świecie.

– Chyba nie proszę o wiele, do cholery! – usprawiedliwiał się Bernat. – Tylko żebyś była łaskawa mnie czytać. To mi wystarczy. – Podnosząc jeszcze głos: – Czy to tak wiele? Co? Co?

Wtedy został zaatakowany z tyłu. Llorenç bosy, w piżamie, wtargnął do jadalni jak furia i rzucił się na ojca w momencie, kiedy ten mówił nie czuję twojego wsparcia w mojej przygodzie artystycznej. Ciężko obrażona Tekla wbiła wzrok w ścianę, oplakując swoją własną karierę pianistyczną, przerwana z powodu ciąży. Była ciężko obrażona. Nie chcę, żeby nasze życie sprowadzało się do podziwiania ciebie, jasne? W tym momencie nastąpił atak z tyłu: Llorenç zaczął okładać ojca pięściami, zamieniając jego plecy w worek treningowy.

– Co jest, do cholery. Przestań wreszcie!

– Nie krzycz na mamę.

– Idź spać – poleciała mu Tekla, gestem głowy próbując mu przekazać, że się z nim solidaryzuje. –

Zaraz do ciebie przyjdę.

Llorenç uderzył jeszcze parę razy. Bernat szeroko otworzył oczy, myśląc wszyscy są przeciwko mnie, nikt nie chce, żebym pisał.

– Mylisz się – pocieszał go Adrian, kiedy mu to opowiadał na ulicy Llúria; jeden szedł ze skrzypcami na próbę, drugi na wykład z historii idei, część druga.

– Nie myślę się! Nawet mój syn nie pozwala mi się poskarżyć!

Saro, najdroższa: mówię o tym, co się wydarzyło wiele lat temu, w czasie, kiedy byłaś treścią mojego życia. Gdybyś mnie teraz słyszała, jestem pewien, że pokręciłaś głowę zmartwiona, że Bernat się nie zmienił, nadal pisze nieciekawe historie. Nie wymagam, żeby pisał genialnie, ale w głowie mi się nie mieści, jak muzyk, który potrafi wydobyć z instrumentu dźwięk zdolny wywołać napięcie w atmosferze, nie potrafi zauważyć, że jego postaci i historie nikogo nie obchodzą. Po prostu dla nas to, co pisze Bernat, nie ma najmniejszego znaczenia, nie pociąga za sobą żadnych recenzji, żadnej krytyki, żadnej sprzedaży. I może dość już o Bernacie, bo całkiem zgorzknieję, a mam jeszcze inne sprawy na głowie, póki jeszcze jest czas.

Mniej więcej w tym samym czasie... Wydaje mi się, że mówiłem to przed chwilą. Zresztą, jakie może mieć znaczenie ścisłość chronologiczna w bałaganie, nad którym nie udało mi się zapanować do tej pory? Chodzi o to, że Mała Lola zaczęła gderać o byle co i uskarżać się, że tusz, węgiel i farby, których używa Saha, wszystko brudzą.

– Ma na imię Sara.

– Ona mówi Saha.

– No więc nazywa się Sara. Poza tym trzyma swoje węgle i całą resztę w pracowni.

– Akurat. Wczoraj kopiowała obraz z jadalni, ciekawe, co ona w tym widzi, w takim malowaniu bez kolorów. Oczywiście zostawiła po sobie takie plamy, że nie wiadomo, jak je usunąć.

– Mała Lolu.

– Caterina. Albo ręczniki w łazience. Zawsze ma brudne ręce... Pewnie to taki zwyczaj u żabojadów.

– Caterina.

– Co.

– Kobieto, artystom trzeba pozwolić tworzyć.

– Zaczyna się tak – powiedziała, pokazując kawałek palca, ale przerwałem, zanim zdążyła odmierzyć całe ramię.

– Sara jest gospodynią i ona tu rządzi.

Wiem, że obraziłem ją tym stwierdzeniem. Ale pozwoliłem, żeby ona i jej oburzenie opuściły mój gabinet w milczeniu i pozostawiły mnie sam na sam z intuicją, która pewnego dnia rzuci więcej światła na szkic *Woli estetycznej*, esej, który bardzo chciałbym napisać.

– Zrobiłaś kopię Urgella z jadalni?

– Tak.

– Mógłbym go zobaczyć?

– Ale jeszcze nie...

– Pozwól mi rzucić okiem.

Wahałaś się, ale w końcu ustąpiłaś. Widzę jakby to było teraz, jak z wahaniem otwierasz tę imponującą teczkę, ciągle zmieniającą miejsce, w której przechowujesz swoje wątpliwości. Położyłaś grafikę na stole. Słońce już nie zachodziło od strony Trespui, ale trzypiętrowa kampanila klasztoru Santa Maria de Gerri nabrała życia dzięki Sarze, tylko dzięki jej pociągnięciom węglem. Umiałaś odgadnąć wszystkie zmarszczki starości i blizny, jakie pozostawił upływ czasu. Rysujesz tak dobrze, najdroższa, że były tam wieki białoczarnej historii, z tysiącami odcieni szarości, które wyszły spod twoich palców.

Był pejzaż i kościół, i zarys brzegu rzeki Noguera. Wszystko to miało taki urok, że nie brakowało mi ciemnych, smutnych, magicznych kolorów Modesta Urgella.

– Podoba ci się?

– Barrrdzo.

– Barrrdzo?

– Najbarrrdziej na świecie.

– Daję ci go – powiedziała, zadowolona.

– Naprawdę?

– Spędzasz tyle czasu przed obrazem Urgella...

– Ja? Też coś.

– Niby nie?

– Nie wiem... Nie zdawałem sobie sprawy.

– To dla upamiętnienia godzin, które spędzasz na obserwacji. Czego tam szukasz?

– Nie wiem dokładnie. Robię to odruchowo. Podoba mi się.

– Nie pytam, co tam znajdujesz, tylko czego tam szukasz.

– Myślę o klasztorze Santa Maria de Gerri. Ale przede wszystkim myślę o małym klasztorze Sant Pere del Burgal, położonym w pobliżu, którego nigdy nie widziałem. Pamiętasz ten pergamin opata Delligata, który ci pokazywałem? To był akt założycielski klasztoru w Burgalu, a było to tak dawno temu, że czuję puls historii, kiedy dotykam pergaminu. Myślę o mnichach wspinających się pod górę i schodzących w dół przez całe wieki. Mnichach modlących się od stuleci do Boga, którego nie ma. I o kopalniach soli w Gerri. I o wzniosłych tajemnicach, jakie kryje Burgal. I o wieśniakach, nękanym przez głód i epidemie, o dniach, które upływają powoli, ale bezlitośnie, o miesiącach i latach, i czuję wzruszenie.

– Nigdy nie słyszałam, żebyś powiedział tyle słów naraz.

– Kocham cię.

– Czego jeszcze tam szukasz?

– Nie wiem; naprawdę nie wiem, czego tam szukam. To bardzo trudno wyjaśnić.

– No, to co tam znajdujesz?

– Dziwne historie. Dziwnych ludzi. Chce mi się to wszystko przeżywać i oglądać.

– Może byśmy pojechali obejrzeć go w naturze?

Pojechaliśmy do Gerri de la Sal sześćsetką, która spasowała na przełęczy Comiols. Jakiś gadatliwy mechanik z Isony wymienił nam część głowicy nie pamiętam już czego i zasugerował, że najlepiej szybko zmienić samochód, żeby uniknąć problemów. Straciliśmy cały dzień na te życiowe porażki i do Gerri dotarliśmy już nocą. Następnego dnia, kiedy z okien zajazdu zobaczyłem obraz Urgella w naturze, wzruszenie chwyciło mnie za gardło. Przez cały dzień oglądaliśmy go, fotografowali, rysowali i przyglądali się, jak wchodzą i wychodzą z niego duchy mnichów, wieśniaków i górników z kopalni soli, aż wreszcie doczekałem się zjawy dwóch mnichów, którzy wyruszali do Sant Pere del Burgal po klucz, żeby przypieczętować zamknięcie tamtego odizolowanego, małego klasztoru, po setkach lat nieprzerwanego życia zakonnego.

Następnego dnia sześćsetka rekonwalescentka zawiozła nas dwadzieścia kilometrów na północ, do Escaló, a stamtąd wyruszyliśmy pieszo, stromą ścieżką od strony południowej, przez Barraonse, jedyną drogą, jaką można było dotrzeć do ruin Sant Pere del Burgal, klasztoru z moich fantazji. Sara nie pozwoliła, żebym niósł jej plecak ze szkicownikiem, ołówkami i węglem do rysowania w środku: to był jej ciężar.

Po paru minutach, mniej więcej w połowie drogi, znalazłem ostry ułamek skały, nie za duży, nie za mały; Adrian zamyślił się nad nim i po raz pierwszy wyobraził sobie piękną Amani i jej smutną historię.

– Czym szczególnie wyróżnia się ten kamień?

– Nic, nic – wykręcił się Adrian, chowając kamień do plecaka.

– Wiesz, jakie robisz wrażenie? – powiedziałaś, ciężko dysząc na stromiznie, którą właśnie pokonywaliśmy.

– Aha?

– No właśnie. Nie pytasz, jakie wrażenie, tylko mówisz aha.

– Teraz się pogubiłem. – Adrian, który szedł przodem, zatrzymał się, spojrzał na zieloną dolinę, wsłuchał się w odległy szum Noguery i odwrócił się do Sary. Ona też się zatrzymała, roześmiana.

– Zawsze jesteś zamyślony.

– Tak.

– Ale krążysz myślami daleko stąd. Zawsze jesteś w jakimś innym miejscu.

– Coś takiego... Przepraszam.

– Nie szkodzi. Taki już jesteś. Ja też jestem szczególnie przypadkiem.

Adrian podszedł do niej i pocałował ją w czoło, z taką czułością, Saro, że do tej pory czuję wzruszenie, kiedy to wspominam. Nie wiesz, jak bardzo cię Kocham i jak mnie zmieniłaś. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz, ty, która jesteś prawdziwym arcydziełem.

– Ty miałabyś być szczególnie przypadkiem?

– Jestem dziwna. Mam wiele kompleksów i tajemnic.

– Kompleksy... dobrze ukrywasz. Tajemnice... na to jest rada: możesz mi je zdradzić.

Teraz Sara spojrzała za siebie na pokonaną drogę, żeby uniknąć jego wzroku.

– Jestem bardzo skomplikowana.

– Nie musisz mi opowiadać niczego, co wolałabyś ukryć.

Adrian już miał podjąć dalszą wspinaczkę, ale zatrzymał się i odwrócił:

– Chciałbym wiedzieć tylko jedno.

– Co takiego?

Wydaje się to niewiarygodne, ale zapytałem ją co ci o mnie powiedziała twoja matka i moja. Co takiego ci powiedziały, że im uwierzyłaś.

Twoja radosna twarz zachmurzyła się i uświadomiłem sobie, że zrobiłem błąd. Odczekałaś parę sekund, po czym zbolalym tonem powiedziałaś, przecież cię prosiłam, żebyśmy do tego nie wracali. Prosiłam cię...

Zmartwiona, chwyciłaś kamień i cisnęłaś go w dół.

– Nie chcę, żeby tamte słowa wróciły. Nie chcę, żebyś je poznał; chcę ci ich oszczędzić, bo masz pełne prawo ich nie znać. A ja mam prawo o nich zapomnieć. – Zgrabnie poprawiłaś sobie plecak. – Nie zapominaj, że to zamknięty pokój z bajki o Sinobrodym.

Stanowczy ton Sary pozwalał się domyślać, że ta sprawa nigdy nie przestała jej dręczyć. Już od dłuższego czasu mieszkaliśmy razem, a ja zawsze miałem to pytanie na końcu języka: zawsze.

– Dobrze – powiedział Adrian. – Nigdy więcej cię o to nie zapytam.

Ruszyli w górę. Jeszcze tylko jeden stromy odcinek i wreszcie dotarliśmy, z ciężarem moich trzydziestu sześciu lat na karku, do ruin mojego wyśnionego klasztoru Sant Pere del Burgal i brat Julian z Sau, który w dawnych czasach, jako dominikanin, był bratem Michałem, wyszedł nam na spotkanie z pękiem kluczy w ręku. Ze Świętą Skrzynią w ręku. Ze śmiercią w ręku.

– Bracia, pokój Pański niech będzie z wami – powitał nas.

– Pokój Pański niech też będzie z tobą – odpowiedziałem.

– Co mówisz? – zapytała Sara, zaskoczona.

Vita condita

ZAPISANE OŁÓWKIEM NA ŚCIANIE ZAPIECZĘTOWANEGO WAGONU

Tu w tym transporcie
ja, Ewa,
z synem moim Ablem.
Jeśli zobaczycie mojego starszego
– syna człowieczego, Kaina,
to mu powiedzcie, że ja

DAN PAGIS

- Kiedy człowiek zakosztuje piękna artystycznego, jego życie się zmienia. Zmieniasz się, kiedy usłyszysz chór Monteverdiego. Zmienia się twoje życie, kiedy zobaczysz Vermeera z bliska; po przeczytaniu Prousta nie jesteś już tym samym człowiekiem. Nie wiem tylko, dlaczego.
- Napisz o tym.
- Jesteśmy przypadkowi.
- Co takiego?
- Łatwiej by było nie być, a jednak jesteśmy.
- ...
- Pokolenie za pokoleniem trwa frenetyczny taniec plemników ścigających komórki, przypadkowe poczęcia, śmierć, unicestwienie... a teraz ty i ja siedzimy tu naprzeciw siebie, jakby nie mogło się zdarzyć inaczej. Jakby było możliwe tylko jedno drzewo genealogiczne.
- No dobrze, to logiczne, prawda?
- Nie. To kurrewski przypadek.
- No wiesz...
- Więcej ci powiem; twoja wspaniała gra na skrzypcach to jeszcze bardziej kurrewski przypadek.
- Zgoda. Ale... – Cisza. – To, co mówisz, przyprawia o lekki zawrót głowy, no nie, jak się nad tym zastanowić?
- Tak. Dlatego staramy się zapanować nad chaosem, wprowadzając porządek przez sztukę.
- Napiszesz o tym, prawda? – zainteresował się Bernat, popijając herbatę.
- Czy siła sztuki kryje się w samym dziele, czy w jego oddziaływaniu na człowieka? Co o tym sądzisz?
- Że powinieneś o tym napisać – nalegała Sara parę dni później. – W ten sposób sam lepiej to zrozumiesz.
- Dlaczego Homer mnie paraliżuje? Dlaczego kwintet klarnetowy Brahmsa zapiera mi dech?
- Napisz o tym – natychmiast zareagował Bernat – będę ci bardzo wdzięczny, ja też chcę to wiedzieć.
- Jak to jest, że nie potrafię przed nikim uklęknąć, a wystarczy, żebym usłyszał *Pastoralną* Beethovena i gotów jestem ją wielbić?
- *Pastoralna* to efekt ciężkiej pracy.
- Akurat. Wiesz, skąd się wywodzi Beethoven? Ze stu ośmiu symfonii Haydna.
- I z czterdziestu jeden symfonii Mozarta.
- Naturalnie. Ale Beethoven potrafił skomponować tylko dziewięć. Ponieważ prawie wszystkie mają wysoki poziom złożoności moralnej.
- Moralnej?
- Moralnej.
- Napisz o tym.
- Nie możemy zrozumieć dzieła sztuki, dopóki nie zobaczymy jego ewolucji. – Umył zęby i wypłukał usta. Wycierając twarz, mówił głośno przez otwarte drzwi łazienki: – Ale zawsze jest konieczny dotyk geniuszu artysty, dzięki któremu dzieło ewoluuje.
- A więc moc tkwi w człowieku – odpowiedziała mu Sara; leżała już w łóżku i nie starała się ukryć ziewnięcia.
- Nie wiem. Van der Weyden, Monet, Picasso, Barceló. To dynamiczna linia rozwoju, która zaczyna się w jaskiniach wąwozu Valltorta i której końca jeszcze nie widać, bo ludzkość nadal istnieje.
- Napisz o tym. – Parę dni później Bernat skończył herbatę i delikatnie odstawił filiżankę na spodek. –

Dobrze?

– Chodzi o piękno?

– Co?

– Czy przyczyną jest piękno? Czym jest piękno?

– Nie wiem. Ale umiem je rozpoznać. Dlaczego o tym nie napiszesz? – powtórzył Bernat, patrząc mu w oczy.

– Człowiek niszczy człowieka, ale także komponuje *Raj utracony*.

– Tak, to nie do pojęcia. Powinieneś o tym napisać.

– Muzyka Franza Schuberta przenosi mnie do lepszej przyszłości. Schubert potrafi powiedzieć, za pomocą niewielu elementów, wiele rzeczy. Ma niewyczerpaną siłę melodyczną, pełną uroku i czaru, a jednocześnie pełną energii i prawdy. Schubert to prawda artystyczna i musimy się jej uchwycić, bo ona nas ocali. To niewiarygodne, że był schorowanym syfilitykiem, bez grosza przy duszy. Na czym polega siła tego człowieka? Jaką ma nad nami moc? Ja, tu gdzie mnie pan widzi, klękam przed sztuką Schuberta.

– Brawo, Herr Obersturmführer. Przeczuwałem, że jest pan wrażliwym człowiekiem.

Doktor Budden zaciągnął się papierosem i wypuścił delikatną strużkę dymu, odtwarzając w myśli początek tria opus 100 i zanucił go z niewiarygodną precyzją.

– Chciałbym mieć taki słuch, Herr Obersturmführer.

– To nie moja zasługa. Mam wykształcenie muzyczne.

– Zazdroszczę panu.

– Nie ma czego. Poświęciłem tyle godzin na naukę, dzieląc czas między medycynę i fortepian, że odnoszę wrażenie, jakbym wiele w życiu stracił.

– Teraz odzyskuje pan wszystko hurtem, jeśli wolno mi tak powiedzieć. – Oberlagerführer Höss rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał nimi objąć wszystko wokół. – Znalazł się pan w samym środku życia.

– Tak, jasne. Jak się nad tym zastanowić, to mam go nawet za dużo naraz.

Zapadło milczenie, mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Aż wreszcie doktor się zdecydował i, gasząc papierosa w popielniczkę, pochylony nad stołem, zapytał, zniżając głos:

– Cemu chciał mnie pan widzieć, panie Obersturmbannführerze?

Wtedy Oberlagerführer Höss, tym samym przyciszonym głosem, jakby nie miał zaufania do ścian we własnym mieszkaniu, powiedział chciałem z panem porozmawiać o pańskim przełożonym.

– O Voigcie?

– Aha.

Cisza. Prawdopodobnie kalkulowali ryzyko. Höss zdecydował się na konkretne pytanie co pan o nim sądzi, tak między nami.

– No, ja...

– Proszę pana... Wymagam od pana szczerości. To rozkaz, drogi panie Obersturmführerze.

– Szczerze mówiąc... to głupek.

Kiedy Rudolf Höss to usłyszał, odczuł wyraźną satysfakcję. Rozparł się na krześle. Patrząc mu w oczy, powiedział doktorze Budden, podjąłem pewne kroki, żeby wysłać tego głupka Voigta gdzieś na front.

– A kto będzie nadzorował...

– Pan, oczywiście.

Ups. To znaczy... A właściwie, dlaczego nie ja?

Wszystko zostało powiedziane. Nowe przymierze bez pośredników między Bogiem a jego ludem. Trio Schuberta nadal brzmiało w tle. Żeby przerwać niezręczne milczenie, doktor Budden powiedział wie pan, że Schubert skomponował to cudo parę miesięcy przed śmiercią?

– Napisz o tym. Naprawdę, Adrianie.

Ale na razie wszystko pozostało w zawieszaniu, ponieważ Laura wróciła z Uppsali i życie

na uniwersytecie, a zwłaszcza w ich pokoju w instytucie, stało się trudne do zniesienia. Po powrocie było widać radość w jej wzroku; Adrian upewnił się dobrze się czujesz?, a ona tylko się uśmiechnęła i poszła do sali piętnastej, wymijając go bez słowa. Adrian zinterpretował to na swój sposób, że tak, że czuje się dobrze i świetnie wygląda. Była ładną dziewczyną, wróciła jeszcze ładniejsza. Adrian dosiadł się do biurka Parery, które wykorzystywał w tym semestrze, ale przeglądając swoje zapiski i dywagując na temat piękna, tak się pogubił, że po raz pierwszy w życiu spóźnił się na zajęcia. Ejże, a piękno Laury, piękno Sary, Tekli... czy też powinien je brać pod uwagę w swoich rozważaniach?

– Moim zdaniem raczej tak – odpowiedział ostrożnie Bernat. – Piękno kobiety jest faktem niepodważalnym. Prawda?

– Vivancos powiedziałyby, że to męski szowinizm.

– No, na tym to ja się nie znam. – Bernat zamilkł stropiony. – Przedtem mówiło się o drobnomieszczańskiej mentalności, a teraz o męskim szowinizmie. – I ciągnął przyciszonym tonem, żeby nie usłyszał go żaden sędzia: – Ale kobiety mi się podobają. Są piękne: tego jestem pewien.

– Tak. Ale nie wiem, czy warto o tym mówić.

– A właśnie, kim jest ta Laura, na którą się powołujesz, mówiąc o kobiecym pięknie?

– Że co?

– Ta Laura, którą wymieniałeś.

– Nie, myślałem o Petrarce.

– I powstanie z tego książka? – zapytał Bernat, wskazując papiery rozrzucone na biurku do czytania rękopisów, jakbym zamierzał je przeanalizować szczegółowo przy użyciu lupy mojego ojca.

– Nie wiem. Na razie mam trzydzieści stron i nieźle się bawię, błądząc po omacku.

– Jak się miewa Sara?

– Dobrze. Uspokajam się przy niej.

– Pytam cię, jak ona się czuje, nie, jak na ciebie wpływa.

– Ma dużo pracy. Wydawnictwo Actes Sud zamówiło u niej ilustracje do cyklu dziesięciu książek.

– Ale jak się czuje?

– Dobrze. Dlaczego?

– Bo czasami wygląda na smutną.

– Są sprawy, których nie da się rozwiązać nawet za pomocą odrobiny miłości.

Dziesięć czy dwanaście dni później stała się rzecz nieunikniona. Rozmawiałem z Parerą i nagle zapytała mnie słuchaj, jak się nazywa twoja żona? W tym momencie Laura weszła do pokoju, uginając się pod ciężarem papierów i myśli, właśnie wtedy, gdy Parera wymawiała słowa słuchaj, jak się nazywa twoja żona? A ja, z rezygnacją, spuściłem oczy i powiedziałem Sara, ma na imię Sara. Laura rzuciła swoje rzeczy na stół, powiększając panujący tam bałagan, i usiadła.

– Jest ładna, co? – drążyła dalej Parera, jakby wbijała mi nóż w serce. A może w serce Laury.

– Aha.

– Długo już jesteście małżeństwem?

– Nie. Prawdę mówiąc, nie...

– Dobrze, pytam, od jak dawna jesteście razem.

– Nie, nie tak długo.

Przesłuchanie dobiegło końca nie dlatego, żeby towarzyszka komisarz KGB nie miała więcej pytań, ale musiała już iść na zajęcia. Eulaliewna Parerowa wyszła z pokoju, ale zanim zamknęła za sobą drzwi, jeszcze zdążyła mi powiedzieć dbaj o nią, bo nigdy nic nie wiadomo...

Zamknęła za sobą drzwi delikatnie, nie czując potrzeby szczegółowego wyjaśnienia, dlaczego nic nie wiadomo. Wtedy Laura wstała, położyła rękę na krawędzi swojego wiecznie zabałaganionego biurka, na którym piętrzyły się skoroszyty, prace, książki, notatki i pisma, i zepchnęła wszystko na ziemię, na środek pokoju, z wielkim hałasem. Adrian patrzył na nią skruszony. Usiadła, nie patrząc w jego stronę.

Wtedy w pokoju zadzwonił telefon. Laura nie odebrała, nic mnie nie denerwuje bardziej niż telefon, którego nikt nie odbiera, przysięgam. Podszedłem do biurka i podniosłem słuchawkę.

– Słucham? Tak, proszę zaczekać. Lauro, to do ciebie.

Stałem z telefonem w rękę, a tymczasem ona wpatrywała się w pustkę, nie mając zamiaru podnieść słuchawki na swoim biurku.

– Nie ma jej teraz.

Wtedy Laura odebrała i powiedziała tak, słucham. Odłożyłem słuchawkę; powiedziała hej, skarbie, co robisz? Po czym rozległ się jej krystaliczny śmiech. Zabrałem moje notatki na temat sztuki i estetyki, ciągle jeszcze bezimienne, i uciekłem.

– Muszę się nad tym zastanowić – powiedział doktor Budden; wstał od stołu i poprawił swój nieskazitelny mundur Obersturmführera – bo jutro mamy dzień przyjęć. – Spojrzał na Oberlagerführera Hössa i uśmiechnął się; z pełną świadomością, że tam-ten go nie zrozumie, dodał: – Sztuka jest niepojęta. – Wskazał swojego gospodarza: – Co najwyżej możemy powiedzieć, że jest dowodem miłości, jaki artysta składa przed ludzkością. Jak pan sądzi?

Kiedy wychodził z domu Oberlagerführera na przejmujący do szpiku kości mróz, wiedząc, że tamten przetrawia teraz powoli jego słowa, słyszał jeszcze dochodzące z domu coraz cichsze dźwięki finału tria opus 100 seraficznego Schuberta. Bez tej muzyki życie byłoby straszne, powinien był powiedzieć swemu amfitrionowi.

Zacząłem się denerwować, kiedy już praktycznie skończyłem redakcję *Woli estetycznej*. Poprawa szczotek, tłumaczenie na niemiecki, które mnie motywowało do uzupełniania oryginału, komentarze Kameneka do mojego przekładu, które też pociągały za sobą konieczność zmian uwzględniających niuanse, wszystko razem wprawiło mnie w stan rozdrażnienia. Bałem się, czy ten esej przyniesie mi satysfakcję. Powtarzałem ci to wiele razy, Saro: tę książkę lubię najbardziej; nie wiem, czy jest najlepsza, ale mnie najbardziej się podoba. Podporządkowując się wymaganiom mojej niezadowolonej duszy, których skutki odbiły się również na tobie, w czasie, gdy Sara wprowadzała do mojego życia spokój, a Laura udawała, że mnie nie zna, Adrian obsesyjnie poświęcał całe godziny storioniemu, co było tak samo dobrym sposobem jak każdy inny na opanowanie nerwów. Jeszcze raz przeżywał ciężkie chwile, jak za czasów pani Trullols; wracały nieprzyjemne wspomnienia o mistrzu Manlleu. Po kilku miesiącach namówił Bernata, żeby razem zagrali sonaty z opusu 3 i z opusu 4 Jean-Marie Leclaira.

– Dlaczego Leclair?

– Nie wiem. Lubię go. I ćwiczyłem to.

– Jest trudniejszy, niż się wydaje.

– Ale chcesz spróbować czy nie?

Przez dwa miesiące, w każdy piątek po południu dom wypełniał się muzyką skrzypcową obu przyjaciół. A w ciągu tygodnia Adrian spędzał czas wolny od pisania na studiowaniu partytury. Tak jak trzydzieści lat temu.

– Trzydzieści?

– Może dwadzieścia pięć. Ale już cię nie prześcignę.

– No wiesz, tylko tego by brakowało. Przez całe życie nie robię nic innego.

– Zazdrość ci.

– Nie pieprz, stary.

– Zazdrość ci. Chciałbym grać jak ty.

Tak naprawdę Adrian chciał odpocząć od *Woli estetycznej*. Chciał wrócić do tych dzieł sztuki, które go zainspirowały do refleksji, z jakich składała się książka.

– Tak, ale dlaczego Leclair? Czemu nie Szostakowicz?

– To nie mój poziom. Jak sądzisz, dlaczego ci zazdrość?

Oba instrumenty, storioni i thouvenel, zaczęły napełniać dom tęsknotą, jakby życie mogło się zacząć

od nowa, jakby chciało dać im drugą szansę. Podarować mi rodziców z prawdziwego zdarzenia, innych, bardziej... I... nie wiem, co jeszcze. A tobie? Ej?

– Co? – Bernat unikał mojego spojrzenia, skupiał się na napiętym smyczku.

– Jesteś szczęśliwy?

Bernat rozpoczął sonatę numer 2 i nie pozostało mi nic innego, jak do niego dołączyć. Ale kiedy skończyliśmy (po drodze były moje trzy koszarne błędy i tylko jedna reprimenda Bernata), wznowiłem atak:

– Ej.

– No co.

– Czy jesteś szczęśliwy.

– Nie. A ty?

– Też nie.

Druga sonata, numer 1, wypadła jeszcze gorzej, z mojej winy. Ale udało nam się dobrać do końca bez przerywania.

– Jak ci się układa z Teklą?

– Dobrze. A tobie z Sarą?

– Dobrze.

Cisza. Po długiej chwili:

– No więc... Tekla... Nie wiem dlaczego, ale zawsze się na mnie gniewa.

– Bo żyjesz w swoim świecie.

– I kto to mówi.

– Tak, ale to nie ja ożeniłem się z Teklą.

Później przymierzyliśmy się jeszcze do *Etudes Caprices* opus 18 Henryka Wieniawskiego. Biedny Bernat, grając pierwsze skrzypce, skończył zlany potem, ale ja byłem zadowolony, mimo trzech ostrych reprimend, które od niego usłyszałem, analogicznych do moich uwag na temat jego pisaniny, wypowiedzianych w Tybindze. Zazdrościłem mu bardzo, och, jak bardzo. Nie mogłem się powstrzymać i powiedziałem, że zamieniłbym moje teksty na jego talent muzyczny.

– Zgadza się na zamianę. I byłbym zachwycony, wiesz?

Najgorsze jest to, że żaden z nas się nie roześmiał. Tylko obaj popatrzyliśmy na zegar, bo zaczęło się robić późno.

Rzeczywiście, noc była krótka, tak jak przewidywał doktor, bo pierwsze dostawy towaru dotarły o siódmej rano, kiedy jeszcze było ciemno.

– Ta – wskazał Budden Oberscharführerowi Barabbasowi. – I tamte dwie. – Szybko wrócił do laboratorium, bo miał niewyobrażalny nawał pracy. Również z innego, mniej oczywistego powodu: w głębi duszy wściekał się, patrząc na sznur kobiet i dzieci, którzy posuwali się w karnym porządku przed siebie, jak owieczki, bez odrobiny godności, która by ich popchnęła do buntu.

– Nie, zostawcie mi je! – zaprotestowała stara kobieta, trzymająca w ramionach jakąś paczkę, przypominającą futerał skrzypiec, którą przyciskała do siebie, jakby to było dziecko.

Doktor Budden nie zainteresował się tą szarpaniną. Kiedy się oddalał, zauważył, że doktor Voigt wychodzi z kantyny oficerskiej i udaje się w stronę, skąd dobiegały protesty. Konrad Budden nawet nie próbował ukrywać grymasu pogardy na widok swojego przełożonego, którego zawsze pociągały awantury. Wszedł do swojego gabinetu, w którym jeszcze panował spokój. Zaraz potem usłyszał strzał z pistoletu Luger.

– A ty skąd jesteś? – zapytał szorstkim głosem, nie podnosząc głowy znad papierów. W końcu jednak musiał ją podnieść, ponieważ zmieszana dziewczynka patrzyła na niego w milczeniu. Miętosił tylko w rękach brudną szmatkę, aż doktor Budden się zdenerwował i krzyknął:

– Uspokoisz się wreszcie?

Dziewczynka znieruchomiała, zachowując cały czas wyraz zdziwienia na twarzy. Lekarz westchnął, nabrał powietrza i uzbroił się w cierpliwość. W tym momencie zadzwonił telefon na biurku.

– Tak? / Tak, Heil Hitler. / Kto? – zdziwiony. / Proszę mnie z nią połączyć. (...) – Heil Hitler. Halo. – Zniecierpliwiony: – Tak, słucham? / O co tym razem chodzi? – zde gustowany. / Jakiego Lothara? – wkurzony. / Ach! – zgorszony: – Ojciec tego podłego Franza? / I czego ode mnie chcesz? / Kto go zatrzymał? / Ale dlaczego? / No wiesz... A co ja tu mogę... / Jestem teraz bardzo zajęty. Chcesz, żebyśmy wszyscy mieli przez niego problemy? / Coś musiał przeskrobać. / Słuchaj, Herta: kto naważył piwa, niech je teraz wypije.

Spojrzał na dziewczynkę z brudną serwetką:

– Holländisch? – upewnił się. I do telefonu: – Nie wiem jak ty, ale ja pracuję. Mam za dużo pracy, żeby się przejmować takimi głupotami. Heil Hitler!

Odłożył słuchawkę. Zatrzymał wzrok na dziewczynce, czekając na odpowiedź.

Dziewczynka kiwnęła głową, jakby Holländisch było pierwszym słowem, które zrozumiała. Doktor Budden ściszył głos, żeby nikt nie zauważył, że nie mówi po niemiecku, i posługując się niderlandzkim, językiem swoich kuzynów, zapytał, z jakiego miasta pochodzi; odpowiedziała, że z Antwerpii. Chciała mu powiedzieć, że jest Flamandką, że mieszkała przy ulicy Arenberg, i zapytać, gdzie jest ojciec, dokąd go zabrali. Ale zastygła z otwartymi ustami, patrząc na mężczyznę, który teraz się do niej uśmiechał.

– Masz mówić tylko to, o co cię pytam.

– Boli mnie tutaj. – Pokazała kark.

– To nic takiego. A teraz słuchaj.

Patrzyła na niego z zaciekawiona. Lekarz powtórzył z naciskiem:

– Musisz mnie słuchać. Zrozumiałaś?

Dziewczynka pokręciła głową przecząco.

– Bo ci urwę nos. Teraz do ciebie dotarło?

Patrzył spokojnie, jak dziewczynka, przerażona, gwałtownie kiwnęła głową, że tak.

– Ile masz lat?

– Siedem i pół – odpowiedziała z przesadną dokładnością, żeby uchodzić za starszą.

– Imię?

– Amelia Alpaerts. Ulica Arenberg dwadzieścia dwa, trzecie piętro.

– Dobrze, dobrze.

– Antwerpia.

– Wystarczy! – zdenerwował się. – I przestań wreszcie miętosić tę zasraną chusteczkę, bo zaraz ci ją zabiorę.

Dziewczynka spuściła wzrok i instynktownie schowała ręce za plecami, tak jakby chciała ochronić serwetkę w niebieską kratkę. Nie udało się jej powstrzymać łez.

– Mamo – skarżyła się cichutko.

Doktor Budden stuknął palcami w stół i jeden z bliźniaków, który podpierał ścianę w głębi gabinetu, bezceremonialnie pociągnął dziecko za sobą.

– Proszę ją przygotować – rozkazał lekarz.

– Mamo! – krzyknęła.

– Szybko, następna – odpowiedział doktor, nie podnosząc głowy znad karty, która leżała przed nim na stole.

– Holländisch? – usłyszała jeszcze dziewczynka z serwetką w biało-niebieską kratkę, kiedy zamknęły się za nią drzwi pomieszczenia przesiąkniętego intensywnym zapachem lekarstw, a ja nie potrafiłem zdobyć się na nic więcej: żadnego usprawiedliwienia, żadnego wyjaśnienia, ponieważ Laura nie zażądała ich ode mnie. Spokojnie mogła mi powiedzieć jesteś zasranym oszustem, przekonywałeś mnie, że nie ma

innej kobiety; mogła mi powiedzieć, co stało na przeszkodzie, żeby mnie o tym poinformować, mogła mi powiedzieć jesteś tchórzem; mogła mi powiedzieć cały czas mnie wykorzystywałeś; dużo mogła mi powiedzieć. Ale nie: w naszym pokoju życie toczyło się nadal swoim rytmem. Przez kilka miesięcy prawie tam nie zaglądałem. Parę razy minęliśmy się na dziedzińcu albo w barze. Stałem się przezroczystry. Trudno mi było się do tego przyzwyczaić. Przepraszam, Saro, że wcześniej ci o tym nie mówiłem.

Doktor Budden, po miesiącu intensywnej pracy, zdjął okulary i przetarł oczy. Był wyczerpany. Usłyszał stuknięcie obcasami przed swoim biurkiem i podniósł głowę. Oberscharführer stał przed nim na baczność, wyprostowany, w pełnej gotowości, czekając na rozkazy. Zmęczonym gestem doktor wskazał mu wypchaną teczkę, z nazwiskiem Doktora Ariberta Voigta, żeby ją zabrał. Kiedy podoficer głośno stuknął obcasami, doktora przeszedł dreszcz, jakby ten stukot rezonował w jego głowie. Barabbas wyszedł z gabinetu ze szczegółowym sprawozdaniem, wyjaśniającym, że niestety eksperyment regeneracji więzadła rzepki, który polegał na odsłonięciu ścięgna, przecięciu go i zastosowaniu maści doktora Bauera, żeby sprawdzić, czy wywoła ona proces regeneracji bez pomocy szwów, nie dał spodziewanych rezultatów ani u dorosłych, ani u dzieci. Nie liczono na skuteczność tej metody u ludzi starszych, ale istniała nadzieja, że w młodych, rozwijających się organizmach regeneracja przy użyciu maści Bauera da rewelacyjne efekty. Ta porażka przekreślała możliwość triumfalnego obdarowania ludzkości cudownym lekarstwem. Wielka szkoda, bo gdyby udowodniono jego skuteczność, korzyści, jakie by z tego tytułu osiągnęli Bauer, Voigt i on sam, byłyby nie tylko triumfalne, ale i nieprzeliczalne.

Nigdy jeszcze nie przychodziło mu tak ciężko zakończenie eksperymentu. Po miesiącach oglądania jęczących królików doświadczalnych – jak ten chłopiec z ciemną karnacją czy ten drugi, albinos, który powtarzał Tewie, Tewie, Tewie, skulony na łóżku, z którego nie dało się go wyciągnąć żadną siłą, i w końcu musieli go zlikwidować na miejscu, czy ta pieprzona mała z brudną szmatką, która nie potrafiła utrzymać się na nogach bez kul i która, jeśli nie dostawała środków uśmierzających, wyła z bólu, wkurzając cały personel, jakby nie dość było problemów z odpowiedzialnością za przebieg eksperymentu i brutalną presją tego głupka, który był jego zwierzchnikiem i najwyraźniej musiał być nieźle ustosunkowany, bo nawet samemu Hössowi nie udało się go pozbyć, wysyłając na jakikolwiek front, Budden musiał wreszcie przyjąć do wiadomości, że nie doczekają się pozytywnej reakcji chrząstki na kurację maścią Bauera. Dwadzieścia sześć królików doświadczalnych, chłopców i dziewcząt, i żadnego przypadku odtworzenia tkanki, to prowadziło do jednoznacznej konkluzji, jaką z bólem serca dzielił się teraz z profesorem Bauerem. A sam doktor Voigt pewnego pięknego dnia bez uprzedzenia odleciał samolotem pocztowym. Było to bardzo dziwne, bo nie zostawił im żadnych instrukcji co do dalszego przebiegu eksperymentów. Doktor Budden zrozumiał wszystko w południe, kiedy zaczęły do nich docierać alarmujące sygnały o szybkim zbliżaniu się Armii Czerwonej i słabej skuteczności niemieckiej linii obronnej. Jako najważniejszy w hierarchii lekarz w obozie podjął decyzję, że trzeba skutecznie posprzątać po eksperymencie. Najpierw, przy pomocy Barabbasa, przez pięć godzin palił dokumenty i zdjęcia, niszczył wszelkie dowody pozwalające się domyślać, że w Birkenau dokonywano eksperymentów na dziewczynkach, które desperacko trzymały się brudnej serwetki. Żadnego śladu po zadanym bólu, który był zbyt nieprawdopodobny, żeby weń uwierzyć. Wszystko spalone, Barabbasie, a tamten wałkoń tylko powtarzał co za szkoda, tyle godzin, tyle pracy i wszystko ma pójść z dymem. Żaden z nich nie myślał wtedy o ludziach, którzy poszli z dymem w tym miejscu, zaledwie dwieście metrów od laboratorium. Gdzieś w Ministerstwie Zdrowia musiały być kopie przekazane przez departament do spraw badań naukowych, ale kto by ich teraz szukał, kiedy najważniejszy był problem, jak ocalić własną skórę.

Z rękami poczerniałymi od dymu wykorzystał ciemność nocy i wszedł do sypialni królików w towarzystwie Barabbasa. Każde dziecko na swoim legowisku. Robił zastrzyki dosercowe bez żadnych wyjaśnień. Jedyne temu chłopcu, który zapytał, co to za zastrzyk, odpowiedział, że ma uśmierzyć ból

kolan. Inni umierali, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że wreszcie odchodzą. Tylko dziewczynka z brudną szmatką czekała na niego, nie śpiąc, z tym oskarżycielskim spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Ona też zapytała, po co. Ale sformułowała to w inny sposób. Mimo swoich siedmiu lat potrafiła zadać pytanie, po co było to wszystko. Zapytała dlaczego i spojrzała mu w oczy. Tygodnie bólu pozbawiły ją lęku; siedząc na łóżku, rozpięła koszulę, żeby Barabbas mógł trafić w odpowiedni punkt. Ale ona patrzyła na doktora Buddena i pytała dlaczego. Tym razem to on, chcąc nie chcąc, musiał spuścić oczy. Dlaczego. Waarom. Powtarzała to, aż pociemniały jej wargi, naznaczone śmiercią. Siedmioletnia dziewczynka, która nie wpada w panikę w obliczu śmierci, musi być bardzo zdesperowana i udręczona. Bo jak inaczej wyjaśnić taką siłę charakteru. Waarom.

Kiedy razem z innymi oficerami skończył przygotowania do porannej ucieczki z obozu, po raz pierwszy od wielu miesięcy doktor Budden źle spał w nocy. Z powodu jednego waarom. I wąskich warg ciemniejących w jego obecności. Widział Oberscharführera Barabbasa, jak z uśmiechem wbija mu igłę przez mundur, i uśmiechał się wargami naznaczonymi śmiercią, która nie nadchodziła, bo sen trwał dalej.

Rano, zanim zorientował się Oberlagerführer Rudolf Höss, dwudziestu oficerów i podoficerów, w tym doktor Budden i Barabbas, bez hałasu wyruszyło w drogę, przed siebie, byle jak najdalej od Birkenau.

I Barabbas, i doktor Budden mieli szczęście, bo w ogólnym zamieszaniu udało im się na tyle oddalić od miejsca pracy i od Armii Czerwonej, że mogli przed Brytyjczykami udawać żołnierzy wracających z frontu ukraińskiego, którzy tylko marzą o tym, by wojna skończyła się jak najszybciej, a oni mogli wrócić do domu, do żony i dzieci, jeśli rodzina przeżyła. Doktor Budden stał się Tilbertem Haensem, tak, panie kapitanie, ze Stuttgartu, nie, nie miał żadnych dokumentów, które by to potwierdzały, bo wiadomo, była kapitulacja, i dlatego. Chcę wrócić do domu, panie kapitanie.

– A gdzie pan mieszka, doktorze Konradzie Budden? – zapytał przesłuchujący go oficer, kiedy tylko tamten skończył się tłumaczyć.

Doktor Budden aż otworzył usta z wrażenia. Zdołał tylko wydusić z siebie co?, z bardzo zaskoczoną miną.

– To: gdzie pan mieszka – powtórzył z naciskiem sierżant brytyjski, z tym swoim okropnym akcentem.

– Co pan powiedział? Jak pan mnie nazwał?

– Doktor Budden.

– Ależ...

– Nigdy pan nie był na żadnym froncie, doktorze Budden. A już zwłaszcza na wschodnim.

– Dlaczego tytułuje mnie pan doktorem?

Oficer brytyjski otworzył teczkę leżącą przed nim na stole. Wojskowe dane osobowe. Ta pieprzona mania porządkowania i archiwizowania wszystkiego. Widział siebie na zdjęciu, trochę młodszy, ale to był on, z tym spojrzeniem, które nie patrzyło, tylko przeszywało na wylot. Herr Doktor Konrad Budden, chirurg, promowany w 1938. Ach, i jeszcze poziom zawodowy z pianistyki. Ja pierdołę, doktorze.

– To jakiś błąd.

– Tak, panie doktorze. Wielki błąd.

Dopiero pod koniec trzeciego roku więzienia z zasądzonych pięciu, bo jakimś niewiarygodnym cudem nie wyszło na jaw jego powiązanie z Auschwitz-Birkenau, doktor Budden zaczął płakać. Był jednym z niewielu więźniów, których do tej pory nikt nie odwiedził: jego rodzice zginęli podczas bombardowania Stuttgartu, a on nie życzył sobie, żeby zawiadamiać mniej lub bardziej odległych krewnych. Na pewno nie tych z Bebenhausen. Nie potrzebował odwiedzin. Spędzał dni, wpatrując się w ścianę, zwłaszcza odkąd zaczęły się powtarzać bezsenne noce. Jak łyk zsiadłego mleka odbijały mu się czkawką twarze pacjentów, wszystkich razem i każdego z osobna, którzy przeszli przez jego ręce, kiedy był podwładnym doktora Voigta w gabinecie naukowych badań medycznych w Birkenau. Narzucił sobie

zadanie przypomnienia jak największej liczby twarzy, jęków, łez i krzyków przerażenia i tak mijały całe godziny, a on siedział bez ruchu przy pustym stole.

– Że co?

– Że nadal chce pana odwiedzić pańska kuzynka Herta Landau.

– Powiedziałem, że nie chcę żadnych odwiedzin.

– Urządziła strajk głodowy przed więzieniem. Dopóki jej pan nie przyjmie.

– Nie chcę nikogo widzieć.

– Tym razem będzie pan zmuszony. Nie chcemy skandalu na ulicy. Pańskie nazwisko już zaczęło pojawiać się w prasie.

– Nie możecie mnie zmusić.

– Możemy. Wy dwaj, weźcie go pod pachy i, kurrrwa, niech się wreszcie skończy szopka z tamtą wariatką.

Umieścili doktora Buddena w sali odwiedzin. Posadzili go naprzeciwko trzech roślących żołnierzy australijskich. Doktor musiał czekać pięć długich minut, zanim w otwartych drzwiach pojawiła się postarzała Herta i powoli zaczęła do niego podchodzić. Budden spuścił wzrok. Kobieta stanęła przed nim; dzieliły ich tylko trzy piędzi stolika. Nie usiadła. Powiedziała tylko w imieniu Lothara i w moim własnym. Wtedy Budden podniósł wzrok i w tym właśnie momencie Herta Landau, która pochyliła się w jego stronę, plunęła mu w twarz. Nie dodała nic więcej, odwróciła się i wyszła, trochę żywszym krokiem niż wcześniej, jakby strząsnęła z siebie parę lat. Doktor Budden nie zrobił nic, żeby oczyścić twarz. Przez jakiś czas patrzył przed siebie, aż wreszcie usłyszał, że szorstki głos mówi zabierzcie go stąd, a jemu się wydało, że słyszy zabierzcie stąd to ścierwo. I znów był sam, w celi, znów wróciły we wspomnieniach twarze pacjentów, jak gorzki smak w ustach po zsiadłym mleku. Wszystkich pacjentów. Poczynając od tych trzynastu, na których wypróbowywali skutki gwałtownej dekompresji, poprzez wielu tych, którzy odrzucili przeszczepy i umierali na zakażenie, aż po grupę dzieci, na których sprawdzali, czy potwierdzą się przypuszczenia o dobroczynnym działaniu maści Bauera. Z całą pewnością najczęściej widział twarz flamandzkiej dziewczynki, która pytała go waarom, nie rozumiejąc sensu takiego bólu. W końcu przyzwyczał się celebrować to wspomnienie niczym akt liturgiczny: siadał przed pustym stołem, rozkładał szmatkę tak brudną, że trudno było na niej rozpoznać białe i niebieskie kwadraty, nierówno uciętą z jednego boku, który teraz się pruć, i wpatrywał się w nią tak długo, jak długo mógł wytrzymać, nie mrugając. Pustka, jaką czuł w sobie, była tak intensywna, że jeszcze nie czuł się zdolny do płaczu.

Po kilku miesiącach powtarzania każdego dnia, rano i wieczorem, tych samych gestów, mniej więcej w trzecim roku więzienia, w jego sumieniu pojawiły się szczeliny: oprócz jęków, krzyków, szlochu i łez wywołanych strachem, zaczynał sobie przypominać zapach każdej twarzy. Nadszedł taki moment, kiedy nocą już nie mógł zasnąć, jak tych pięciu Łotyszy, których udało się utrzymać w stanie czuwania przez dwadzieścia dwa dni, aż zmarli z wyczerpania, z oczami przekrwionymi od wpatrywania się w światło. Którejś nocy z jego oczu popłynęły łzy. Ostatni raz płakał jako szesnastolatek, kiedy Sigrid na jego propozycję chodzenia ze sobą obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem; później Konrad Budden nie płakał już nigdy. Łzy płynęły powoli, jakby były zbyt gęste albo jakby ciężko im było ujawnić się po tak długiej nieobecności. Minęła godzina, a one nadal powoli płynęły. A kiedy na zewnątrz różanopalca jutrzienka zabarwiła ciemne niebo, nie mógł pohamować szlochu, któremu nie było końca, a tymczasem jego dusza powtarzała waarom, jak to możliwe, warum, dlaczego wtedy nie przyszło mi do głowy rozplakać się w obecności tamtych smutnych oczu, warum, mój Boże.

– Dzieła sztuki wywodzą się z nieskończonej samotności, mawiał Rilke.

Trzydzieści siedem par studenckich oczu wpatrywało się w niego w milczeniu. Profesor Adrian Ardèvol wstał, zszedł z katedry i zaczął iść powoli w górę sali amfiteatralnej. Jakiś komentarz?, zapytał.

Nie, nikt nie miał nic do powiedzenia. Moi studenci nie mają nic do powiedzenia, kiedy ich prowokuję

tą myślą o dziełach sztuki i nieskończonej samotności. A gdybym im powiedział, że dzieło sztuki jest tajemnicą nie do ogarnięcia rozumem?

– Dzieło sztuki jest tajemnicą, której żaden rozum nie może ogarnąć.

Dotarł do środka sali. Niektóre głowy odwróciły się w jego stronę. Dziesięć lat po śmierci Franco studenci stracili chęć, by zaangażować się w cokolwiek bez głowy i bez sensu, ale za to z pasją.

– Ukryty sens rzeczy i sens życia można odczytać, w przybliżeniu, dzięki dziełom sztuki, choćby wydawały się niezrozumiałe. – Popatrzył na nich, obracając się za siebie, żeby ogarnąć wszystkich wzrokiem. – W enigmatycznym wierszu słychać echa nierozwiązywalnego konfliktu.

Podniosła się jedna ręka. Dziewczyna z krótkimi włosami. Podniosła się jedna ręka! Może go zapyta, czy ta niezrozumiałość, o której mówi, będzie na jutrzejszym egzaminie; może powie, że chce wyjść do toalety. Może go zapyta, czy przez sztukę możemy uchwycić to wszystko, czego człowiek się wyrzekł, żeby zbudować obiektywny świat.

Zrobił zachęcający gest w kierunku dziewczyny z krótkimi włosami i powiedział słucham, słucham.

– Na wieczną hańbę, pańskie imię będzie zawsze wspominane wśród tych, którzy przyczynili się do horroru upodlającego ludzkość. – Powiedział to po angielsku, z akcentem z Manchesteru, oficjalnym tonem, nie przejmując się, czy tamten go zrozumiał. Brudnym palcem wskazał mu miejsce na formularzu. Budden podniósł brwi.

– Niech tu podpisze – niecierpliwił się sierżant, próbując swoich sił w niemieckim. Stuknął parę razy brudnym palcem w formularz, pokazując właściwe miejsce.

Budden podpisał i oddał dokument.

– Jest pan wolny.

Wolny. Kiedy wyszedł z więzienia, uciekł po raz drugi, też bez konkretnego celu. Zatrzymał się w jakimś mroźnym miasteczku nadbałtyckim, w pobliżu klasztoru kartuzów, i spędził zimę, wpatrując się w ogień na kominku w cichym domu, gdzie został przyjęty i utrzymywał się z pracy fizycznej wykonywanej w domu i w miasteczku. Prawie się nie odzywał, bo nie chciał, żeby wyszło na jaw jego wykształcenie, i robił wszystko, by stwardniały od pracy jego dłonie pianisty i chirurga. W domu, gdzie zamieszkał, też niewiele się rozmawiało, bo małżonkowie przeżywali żalobę po śmierci Eugena, jedyne go syna, na froncie rosyjskim podczas tej przekłętej wojny wywołanej przez przekłętego Hitlera. Dla Buddena była to bardzo długa zima; zamieszkał w pokoju opłakiwanego syna, w zamian za wykonywanie wszystkich możliwych prac; przebywał tam całe dwa lata, nie zamieniając z nikim więcej słów, niż to było konieczne, jakby był jednym z mnichów z pobliskiej kartuzji; podczas samotnych spacerów pozwalał, by ostry jak brzytwa wiatr znad Zatoki Fińskiej smagał mu twarz; płakał, kiedy nikt go nie widział, i robił wszystko, by niesprawiedliwy czas nie rozwiązał obrazów, które go dręczyły, ponieważ pamięć była jego pokutą. Pod koniec tej dwuletniej zimy udał się do kartuzji w Usedom i tam, na kolanach, błagał o spowiedź brata furtiana. Po chwili wahania spowodowanej tą niezwykłą prośbą, wyznaczono mu spowiednika, mnicha w podeszłym wieku o szarym spojrzeniu, oswojonego z milczeniem, w którego mowie dało się wyczuć lekki akcent litewski za każdym razem, kiedy decydował się wypowiedzieć więcej niż trzy słowa. Od momentu, gdy wybiła tercja, Budden nie oszczędził mu żadnego szczegółu, mówiąc monotonnym głosem, ze spuszczoną głową. Nieszczęsny mnich, którego zbulwersowane spojrzenie wbijało mu się w kark, w pierwszej godzinie spowiedzi przerwał mu tylko raz. – Jesteś katolikiem, synu? – zapytał go.

Przez następne cztery godziny spowiedzi nawet nie pisnął. Był taki moment, kiedy Budden odniósł wrażenie, że tamten bezgłośnie płacze. Kiedy rozległ się dzwon wzywający mnichów na modlitwę wieczorną, spowiednik powiedział drżącym głosem ego te absolvo a peccatis tuis, pozostała część formuły mamrocząc po cichu, i z wahaniem zrobił znak krzyża. Potem nastąpiła cisza, w której słychać było jeszcze echo dzwonu, ale penitent nie ruszył się z miejsca.

– A pokuta, ojcze?

– Odejdź w imię... – Nie odważył się wypowiedzieć imienia Bożego nadaremno; kaszlnął, żeby ukryć zmieszanie, i mówił dalej: – Nie ma takiej pokuty, która mogłaby... Takiej pokuty, która... Żałuj za grzechy, synu. Żałuj za grzechy... Wiesz, co o tym myślę tak naprawdę?

Budden podniósł głowę, przejęty, ale też zdziwiony. Spowiednik łagodnie pochylił głowę na bok i z zainteresowaniem zaczął przyglądać się jakiejś rysie na drewnie.

– Co ojciec o tym myśli?

Budden podążył za nim wzrokiem, z trudem wpatrując się w rysę w coraz słabszym świetle wieczoru. Spojrzał na spowiednika i przestraszył się. Ojczy?! – powiedział. Ojczy?! Miał wrażenie, że widzi przed sobą tamtego litewskiego chłopca na pryczy w głębi sali, który jęczał i powtarzał Tewie, Tewie! Spowiednik był martwy i nie mógł mu już pomóc, choćby go nie wiem jak błagał. Zaczął się modlić pierwszy raz w życiu, wymyślając jakąś modlitwę i prosząc o pomoc, na którą nie zasługiwał.

– Jeśli mam być szczerą... ani wiersze, ani piosenki nie wywołują u mnie takich skojarzeń.

Adrian się ucieszył, bo dziewczyna nie zapytała go, czy to obowiązuje do egzaminu. Aż jej oczy zabłysły.

– Zgoda. A jakie wywołują?

– Żadnych.

Ktoś się roześmiał. Dziewczyna odwróciła się, speszona reakcją kolegów.

– Uciszcie się – uspokoił ich Adrian. Patrzył na dziewczynę z krótkimi włosami, zachęcając ją, żeby mówiła dalej.

– No więc... – powiedziała – nie skłaniają mnie do myślenia. Wywołują we mnie uczucia, których nie potrafię nazwać. – Cichym głosem: – Czasami... – jeszcze ciszej – skłaniają mnie do płaczu.

Teraz nikt się nie roześmiał. Trzy czy cztery sekundy milczenia, jakie zapadło po jej słowach, były najważniejszą chwilą tego kursu. Zepsuł wszystko woźny, który otworzył drzwi, informując, że czas już kończyć.

– Sztuka jest moim zbawieniem, ale nie może zbawić ludzkości – odpowiedział profesor Ardèvol w stronę pleców woźnego, który zamykał drzwi, zawstydzony przez tego szalonego profesora.

– Sztuka jest moim zbawieniem, ale nie może zbawić ludzkości – Sara powtórzyła to samo zdanie przy śniadaniu w jadalni, przed obrazem Urgella, który też się budził do nowego dnia.

– Nie, ludzkość nie ma lekarstwa.

– Nie smuć się, kochana.

– Nie mogę żyć bez smutku.

– Dlaczego?

– Ponieważ mam wrażenie, że...

Cisza. Wypiła łyk herbaty. Zadzwoił dzwonek i Adrian wstał, żeby otworzyć.

– Ostrożnie, niech pan się odsunie.

Weszła Caterina i od razu udała się do łazienki z ociekającą parasolką.

– Pada deszcz?

– Nawet gdyby padał śnieg czy były pioruny – odezwała się z łazienki – pan by i tak niczego nie zauważył.

– Przesada.

– Ja przesadzam? Pan to by nawet nie znalazł wody w morzu.

Wróciłem do jadalni. Sara kończyła śniadanie. Adrian położył dłoń na jej ręce, żeby nie wstawiała od stołu.

– Dlaczego nie możesz żyć bez smutku?

Milczała. Wytarła usta serwetką w biało-niebieską kratkę i starannie ją złożyła. Ja czekałem, stojąc, a tymczasem z drugiego końca mieszkania, gdzie była Caterina, dochodził odgłos codziennej krzątania.

– Bo mam wrażenie, że gdy smutek minie... zgrzeszę przeciw pamięci moich bliskich. Pamięci wujka. Pamięci... Mam wielu zmarłych.

Usiadłem, nie wypuszczając jej dłoni.

– Kocham cię – wyznałem. A ty popatrzyłaś na mnie smutna, pogodna i piękna. – Zdecydujemy się na dziecko – odważyłem się wreszcie powiedzieć.

Przecząco pokręciła głową, jakby nie śmiała powiedzieć tego głośno.

– Dlaczego nie?

Podniosłaś brwi i powiedziałaś uf.

– To by było życie przeciw śmierci, nie wydaje ci się?

– Nie czuję się na siłach. – Przecząco pokręciłaś głową, powtarzając nie, nie, nie, nie, nie.

Przez długi czas zastanawiałem się, skąd taka zdecydowana niechęć wobec posiadania dziecka. To jedno z najintymniejszych moich zmartwień, że nie widziałem, jak rośnie podobna do ciebie dziewczynka, której nikt nie powie siedź spokojnie, do cholery, bo ci urwę nos, która nigdy nie będzie musiała miętosić nerwowo szmatki w biało-niebieską kratę. Albo chłopiec, który nie wpadnie w panikę i nie będzie wołał płaczkliwie Tewie, Tewie.

Po tej tak drogo opłaconej spowiedzi na mroźnej wyspie Uznam, Budden opuścił krzesło przed kominkiem i zostawił za sobą lodowate miasteczko na wybrzeżu bałtyckim, uprzednio zaopatrując się w dowód tożsamości nieodżałowanego Eugena Müssa, skradziony łatwowiernym gospodarzom, żeby zaoszczędzić sobie problemów z alianckimi władzami okupacyjnymi, i rozpoczął swoją trzecią ucieczkę, jakby się obawiał, że jego nieszczęsny spowiednik może go zza grobu oskarżyć przed swoimi zgębionymi braćmi w Bogu o jakąkolwiek zasłużoną winę. Tak naprawdę nie chodziło o kartuzów i ich milczenie. Nie bał się pokuty, której nie otrzymał; ani też nie lękał się śmierci; nie zasługiwał na samobójstwo, bo wiedział, że musi naprawić krzywdę. Doskonale zdawał sobie sprawę, że czeka go wieczne piekło i że nie ma prawa przed nim się bronić. Ale musi jeszcze wykonać zadanie, zanim tam pójdzie. „Sam musisz dojść do tego, synu”, powiedział mu spowiednik przed udzieleniem rozgrzeszenia i przed śmiercią, w jedynym krótkim pouczeniu podczas długiej spowiedzi bez końca, „w jaki sposób możesz naprawić uczynione przez ciebie zło”. Dodał jeszcze, ścisząc głos: „Jeżeli takie zadośćuczynienie jest możliwe...”. Po kilku sekundach wahania ciągnął: „Niech mi przebaczy Bóg, którego miłosierdzie jest nieskończone, ale nawet jeśli spróbujesz naprawić zło, nie sądzę, żebyś wszedł do raju”. Podczas ucieczki Eugen Müss zastanawiał się nad naprawą zła. Innym przyszło to łatwiej, wystarczyło im przed pierwszą ucieczką zniszczyć archiwum, on musiałby zniszczyć ciała, dowody zbrodni, a raczej ciała. O, mój Boże.

W trzech klasztorach, do których zapukał, dwóch czeskich i jednym węgierskim, zbyli go dobrym słowem. Przyjęli go w czwartym, po uprzednim długim okresie postulatu. Poszło mu lepiej niż tamtemu biednemu braciszкови, który uciekał przed lękiem i trzydzieści razy prosił, aby mu pozwolono zostać jednym z mnichów, a ojciec przeor z Sant Pere del Burgal dwadzieścia dziewięć razy, patrząc mu w oczy, odmówił. Aż pewnego deszczowego, szczęśliwego piątku poprosił o przyjęcie po raz trzydziesty. Müss nie uciekał przed lękiem, lecz przed doktorem Buddenem.

Ojciec Klaus, ówczesny opiekun nowicjatu, miał też pieczę nad aspirantami. Uznał, że ten jeszcze całkiem młody mężczyzna odczuwa duchowe pragnienie, potrzebę modlitwy i pokuty, które zakon trapistów może zaspokoić. W ten sposób został pełnoprawnym postulatem w klasztorze marienwaldzkim.

Życie w modlitwie zbliżyło go do Boga, choć lęk sprawiał, że w jego obecności nie czuł się godny nawet oddychać. Osiem miesięcy później zdarzyło się któregoś dnia, że idący przed nim ojciec Albert padł jak długi, przechodząc przez wirydarz do kapitułarza, gdzie ojciec opat miał z nimi omawiać zmiany w harmonogramie dnia. Brat Eugen Müss nie zastanawiając się nad konsekwencjami, widząc leżącego na ziemi ojca Alberta, powiedział to atak serca i udzielił dokładnych wskazówek tym, którzy przybiegli

mu na pomoc. Uratował ojcu Albertowi życie, ale zdziwieni bracia odkryli, że nowicjusz Müss nie tylko miał medyczną intuicję, ale po prostu był lekarzem.

– Dlaczego to przed nami ukryłeś?

Cisza. Wzrok wbity w ziemię. Chciałem zacząć nowe życie. Nie sądzę, żeby ta informacja miała jakiegokolwiek znaczenie.

– To ja decyduję, co ma znaczenie, a co jest nieistotne.

Nie mógł znieść spojrzenia ojca opata ani ojca Alberta, kiedy poszedł go odwiedzić w czasie rekonwalescencji. Co więcej, Müss był przekonany, że ojciec Albert w momencie, kiedy dziękował za pomoc, która ocaliła mu życie, odgadł jego sekret.

Medyczna sława Müssa rosła z miesiąca na miesiąc. Po złożeniu pierwszych ślubów i zmianie imienia Eugen, które też nie było jego, na Arnold, teraz już zmuszony Regułą, na znak pokory, skutecznie i z poświęceniem rozwiązał przypadek zbiorowego zatrucia, co utwierdziło jego prestiż. Dlatego kiedy hen daleko, na zachodzie, nawet w innym państwie, brat Robert zaczął przeżywać kryzys, jego opatowi nie przyszło nic lepszego do głowy, jak polecić brata Arnolda jako doświadczonego lekarza. I znów wróciła dawna rozpacz.

– Muszę się też odnieść do opinii, że pisanie poezji po Auschwitz jest niemożliwe.

– Kto to powiedział?

– Adorno.

– Zgadza się.

– A ja nie: pisze się poezję po Auschwitz.

– No nie, ale chciałem powiedzieć... że nie powinno się pisać.

– Nie. Po Auschwitz, po wielu pogromach, po eksterminacji katarów tak dokładnej, że nie został ani jeden, po mordowaniu ludzi w każdej epoce i w każdym miejscu... Od tylu wieków okrucieństwo jest wszechobecne, że historia ludzkości byłaby historią niemożności tworzenia poezji „po”. Natomiast nigdy tak nie było, no bo... właśnie, kto potrafi wyjaśnić Auschwitz?

– Ci, którzy go przeżyli. Ci, którzy go stworzyli. Ci, którzy prowadzą badania.

– Tak, to wszystko zostało udokumentowane, powstały muzea, żeby to upamiętnić. Ale brakuje jednego: prawdy przeżytego doświadczenia: tego nie da się przekazać w badaniach naukowych.

Bernat zamknął maszynopis, spojrzał na przyjaciela i powiedział i?

– To może przekazać tylko sztuka; literacka sztuczność, która jest najbliższej przeżytego doświadczenia.

– O kurde.

– Tak. Poezja jest potrzebna, zwłaszcza po Auschwitz.

– To dobre zakończenie.

– Tak, myślę, że tak. Zresztą nie wiem. Wydaje mi się, że stąd się bierze siła i wytrwałość woli estetycznej w historii ludzkości.

– Kiedy ukaże się drukiem? No wiesz, nie mogę się doczekać.

Po kilku miesiącach ukazała się *Wola estetyczna*, jednocześnie po katalońsku i po niemiecku, przetłumaczona przeze mnie i przejrzana pod lupą przez cierpliwego Johannes Kameneka. Jedna z niewielu rzeczy, z których czuję się dumny, najdroższa. A tymczasem wyobraźnia podsuwała mi historie i pejzaże, które zachowywałem w pamięci. Aż pewnego dnia wróciłem do Morrala w tajemnicy przed tobą i przed samym sobą.

– Ile?

– Tyle.

– Tyle?

– Tak. Jest pan zainteresowany, panie doktorze?

– Gdyby to było tyle, tak.

– Co pan sobie wyobraża! Tyle.

– Tyle.

– No dobrze, niech będzie, zgoda: tyle.

Tym razem była to własnoręczna partytura *Allegro de concierto* Granadosa. Przez parę dni starałem się unikać spojrzenia szeryfa Carsona i dzielnego wodza Arapaho, Czarnego Orła.

Franz-Paul Decker zapowiedział dziesięć minut przerwy, bo zdaje się, że go wzywali do dyrekcji w jakiejś pilnej sprawie, a dyrekcja była zawsze pilniejsza niż wszystko inne, nawet druga próba czwartej symfonii Brucknera. Bernat zaczął rozmawiać z nieśmiałym, milczącym waltornistą, któremu Decker kazał powtórzyć początek części „Bewegt, nicht zu schnell”, w której waltornia ma budzić nowy dzień, żeby cała orkiestra usłyszała, jak brzmi waltornia, kiedy brzmi dobrze. A on, kiedy dyrygent kazał mu się popisować po raz trzeci, pozwolił sobie na fałszywą nutę, coś, czego waltornista boi się bardziej niż śmierci. Rozbawił wszystkich. Decker i waltornista też się śmiali, ale Bernat poczuł się niezręcznie. Ten chłopak, nieśmiały, niski, raczej przysadzisty blondyn, który był w orkiestrze od niedawna i siedział zawsze w swoim kąciku ze spuszczonego wzrokiem, jak się okazało, nazywał się Romain Gunzbourg.

– Bernat Plensa.

– Enchanté. Pierwsze skrzypce, prawda?

– Tak. Jak się panu podoba nasza orkiestra? Abstrahując od tych popisów, do których pana zmusił dyrygent.

Podobała mu się bardzo. Pochodził z Paryża, chciał lepiej poznać Barcelonę, ale spieszno mu było odwiedzić miejsca związane z Chopinem na Majorce.

– Pojadę tam z tobą – zaoferował się Bernat bez zastanowienia, jak to on. Powtarzałem mu to z tysiąc razy, Bernat, do cholery, zastanów się, zanim coś powiesz. Albo nie przywiązuj takiej wagi do słów, nie obiecuj, że...

– Dałem słowo i... Poza tym ten chłopak jest tu sam, a mnie jest go trochę żal...

– Tekla robi ci awanturę, czy ty tego nie rozumiesz?

– Przesadzasz. Niby o co miałyby się awantuować?

Bernat wrócił do domu po próbie i oświadczył wiesz, Tekla, jadę do Valldemossy na parę dni, z waltornistą.

– Co takiego?

Tekla wyszła z kuchni, wycierając w fartuch ręce przesiąknięte zapachem krojonej cebuli.

– Jutro jadę z Gunzbourgiem pokazać mu miejsca związane z Chopinem.

– Co to za jeden, ten Gunzbourg?

– Już ci mówiłem, waltornista.

– Co?

– Z naszej orkiestry. Chcemy wykorzystać dwa wolne dni...

– Tak po prostu, bez uprzedzenia?

– Właśnie cię uprzedzam.

– A urodziny Llorença?

– Kurde, o tym nie pomyślałem. Cholera. Mhm... Ale...

Bernat pojechał z Gunzbourgiem do Valldemossy, a potem upili się obaj w pubie muzycznym, gdzie Gunzbourg improwizujący przy pianinie dał się poznać jako znakomity wirtuoz, a Bernata majorkański gin skłonił do wykonania kilku standardów Mahalii Jackson.

– Dlaczego grasz na waltorni? – zadał wreszcie pytanie, które chodziło mu po głowie, od kiedy tamten po raz pierwszy wyciągnął instrument z futerału.

– Ktoś musi, nie? – odpowiedział, kiedy wracali do hotelu w świetle wyłaniającego się zza czerwonej linii horyzontu słońca.

– Ale przecież ty przy pianinie...

– Daj spokój.

To był początek prawdziwej przyjaźni, ale Tekla była na niego obrażona przez następny miesiąc i dopisała kolejną pretensję do długiej listy. Sara zwróciła uwagę, że Bernat nigdy nie dostrzega, kiedy Tekla ma do niego pretensje, dopóki te pretensje nie nasilą się tak, że musi dojść do kryzysu.

– Dlaczego Bernat to robi? – zapytałaś któregoś dnia.

– Nie wiem. Może chce pokazać całemu światu, jaki z niego kozak.

– Uważasz, że facet w jego wieku może jeszcze kozaczyć?

– Bernat tak. Będzie umierał, a jeszcze będzie się popisować.

– Biedna Tekla. Ma powody, żeby narzekać.

– On żyje w swoim świecie. To równy facet.

– Łatwo powiedzieć. Z tego by wynikało, że to ona jest antypatyczna.

– Nie spieraj się ze mną, proszę – Adrian się zirytował.

– Ma trudny charakter.

– Słuchaj, Tekla, przepraszam, ale kurczę, ja mu obiecałem! Nie ma się o co obrażać. Cholera, nie rób z tego tragedii! To były tylko dwa dni na Majorce, kurczę blade!

– A Llorenç? To twój syn! Nie syn waltornisty.

– Kurde, ma już przecież dziewięć czy dziesięć lat, nie?

– Jedenaście.

– No właśnie: jedenaście. Nie jest dzieckiem.

– Jeśli sobie życzysz, to ci opowiem, czy jest dzieckiem, czy nie.

– No, słucham.

Matka i syn w milczeniu ukroili sobie po kawałku urodzinowego tortu. Llorenç zapytał mamę, a ojciec? Odpowiedziała, że pojechał służbowo na Majorkę. Dalej jedli w milczeniu.

– Smaczny, prawda?

– E tam. Szkoda, że nie ma ojca.

– Tak więc teraz natychmiast pójdziesz po prezent, który mu się należy.

– Ale ty na pewno już mu coś dałaś...

– Natychmiast! – wrzasnęła rozwścieczona Tekla, z trudem powstrzymując łzy.

Llorenç, smutny z powodów, które go przerastały, długo oglądał z zewnątrz bardzo ładną książkę kupioną przez Bernata, nie ośmieliwszy się ściągnąć folii, w którą była zapakowana. Spojrzał na ojca, potem na zdenerwowaną matkę, która robiła wszystko, żeby nie wybuchnąć.

– Dziękuję, tato, jaka piękna – powiedział, patrząc na efektowne opakowanie. Następnego dnia rano, kiedy przyszła budzić go do szkoły, chłopiec spał, tuląc w ramionach książkę owiniętą w folię.

– Rrzzrrzzrrzzrrzz.

Caterina poszła otworzyć i zastała przed drzwiami elegancko ubranego młodego człowieka z niewielką teczką w ręce; zwróciła uwagę na bardzo wyraziste szare oczy i uśmiech sprzedawcy filtrów do wody. Zinterpretowała jej milczenie jako pytanie i odpowiedział tak, ja do pana Ardèvola.

– Nie ma go.

– Jak to nie ma? – zdziwił się: – Przecież mi powiedział, że... – Spojrzał na zegarek, dezorientowany: – To naprawdę bardzo dziwne... A pani?

– Pani też nie ma.

– Coś takiego. To znaczy, że...

Caterina gestem dała mu do zrozumienia, że jest jej przykro, ale nic na to nie poradzi. Ale sympatyczny młodzieniec, prawdę mówiąc, całkiem przystojny, wskazując ją palcem, powiedział do tego, co mnie tu sprowadza, być może nawet nie będzie konieczna państwa obecność.

– O co panu chodzi?

- Przychodzę dokonać wyceny.
- Co takiego?
- Wyceny. Nic pani nie powiedzieli?
- Nie. Jakiej znowu wyceny?
- To znaczy, że nic pani nie wie? – zmartwił się rezolutny młodzieniec.
- Nie.

– Wyceny skrzypiec. – Gestem dał do zrozumienia, że chce wejść: – Posso?

– Nie! – Caterina zastanawiała się parę sekund. – Ja nic o tym nie wiem. Państwo nic mi nie mówili.

Rezolutny młodzieniec nie wiadomo kiedy już postawił obie stopy na progu i jeszcze szerzej się uśmiechnął.

– Pan Ardèvol jest bardzo roztargniony. – Uśmiechnął się do niej uprzejmie i porozumiewawczo i ciągnął: – Rozmawialiśmy o tym jeszcze wczoraj wieczorem. Chodzi tylko o krótkie oględziny instrumentu, najwyżej pięć minut.

– Niech pan posłucha. Lepiej będzie, jak pan przyjdzie kiedy indziej, kiedy państwo...

– O przepraszam: specjalnie przyjechałem z Cremony, Lombardia, Włochy, jasne? Mówi to coś pani? Proszę zadzwonić do pana i poprosić o zgodę.

– Ja go teraz nie znajdę.

– Coś takiego...

– A poza tym ostatnio trzyma je w sejfie.

– Rozumiem, że zna pani szyfr.

Cisza. Sympatyczny młodzieniec już stał obiema nogami w mieszkaniu, ale nie nalegał. Milczenie Cateriny ją zdradziło. Żeby jej pomóc, otworzył zamykaną na zamek teczkę i wyciągnął z niej plik banknotów po pięć tysięcy.

– To zawsze odświeża pamięć, szanowna Caterino Fargues.

– Siedem dwa osiem zero sześć pięć. Skąd pan zna moje imię?

– Powiedziałem już, że jestem taksatorem.

Uznawszy to za niepodważalny argument, Caterina Fargues cofnęła się o krok i wpuściła sympatycznego młodzieńca.

– Proszę za mną – powiedziała. Najpierw jednak mężczyzna wcisnął jej do ręki plik banknotów, które ona mocno ścisnęła w dłoni.

W moim gabinecie mężczyzna założył cieniutkie rękawice, taksatorskie, jak jej wyjaśnił, otworzył sejf kombinacją siedem dwa osiem zero sześć pięć i słysząc, jak Caterina mruczy pod nosem jeżeli myśli sobie, że mu pozwoli zabrać skrzypce, to mnie nie zna, odpowiedział kobieto, już pani mówiłem, że jestem taksatorem. Stwierdziła, że lepiej będzie się nie odzywać. Umieścił skrzypce pod moją lampą z lupą, obejrzał dokładnie etykietę, przeczytał Laurentius Storioni Cremonensis me fecit, a potem powiedział mille settecento sessantaquattro, puścił oko do Cateriny, która stojąc przy jowialnym taksatorze, chciała odpracować otrzymane pieniądze, dając do zrozumienia, że ten człowiek, mimo że taki jowialny, nie wyjdzie z domu ze skrzypcami w ręku. A jego szare oczy były nie tyle wyraziste, co zimne jak stal. Taksator zatrzymał się nad podwójną rysą pod Cremonensis i serce mu zabiło tak gwałtownie, że ta idiotka musiała coś zauważyć.

– Va bene, va bene... – powtarzał jak lekarz, który kończy oględziny pacjenta i na razie wstrzymuje się z postawieniem diagnozy. Odwrócił instrument, obejrzał dokładnie drewno, rysy, krzywizny, słoje, powtarzając machinalnie va bene, va bene.

– To jest coś warte? – Caterina cały czas ścisnęła mocno w dłoni zwinięty plik, dowód swojej winy.

Taksator nie odpowiedział; wdychał właśnie zapach werniksu skrzypiec. Zapach drewna. Zapach starości. Zapach piękna. Wreszcie delikatnie odłożył skrzypce na stół i wyciągnął z teczki Polaroid. Caterina odsunęła się na bok, nie chcąc, żeby jakkolwiek ślad na fotografii ujawnił jej niedyskrecję.

Pięć zdjęć, wykonanych z całkowitym spokojem, każdym lekko pomachał, żeby szybciej wyschło, cały czas z uśmiechem przyklejonym do warg, ze wzrokiem śledzącym kobietę i słuchem nastawionym na wyłapanie jakiegokolwiek hałasu dochodzącego ze schodów. Kiedy skończył, wziął instrument i odłożył go z powrotem do sejfu. Nie zdjął rękawiczek. Caterina poczuła ulgę. Jowialny mężczyzna rozejrzał się wokół. Podszedł do regału. Tak, tak, kiwnął głową i po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzął Caterinie w oczy:

– Skończyłem, proszę pani.

– Przepraszam: skąd pan wiedział, że ja znam, no ten? – zapytała, wskazując głową sejf.

– Nie wiedziałem.

Wychodząc bezszelestnie z mojego gabinetu, mężczyzna odwrócił się tak gwałtownie, że zderzył się z Cateriną. Powiedział:

– Ale teraz wiem, że pani wie, że ja wiem.

Wyszedł po cichu, nie zdejmując rękawiczek, i sam zamknął za sobą drzwi, pozdrawiając uprzednio Caterinę lekkim skinieniem głowy, co ona, mimo oszołomienia, uznała za szczyt elegancji. Pani wie, że ja wiem, że; nie, jak on to powiedział? Kiedy została sama, otworzyła dłoń. Plik banknotów po pięć tysięcy. Nie: tylko na górze było pięć tysięcy, pozostałe to... no coś takiego, co za skurwysyn z tego jowialnego taksatora, ja pierdzielę! Otworzyła drzwi, gotowa na... Gotowa na co, debilko? Na wywołanie skandalu wokół faceta, którego sama wpuściła? Pan nadejdzie jak złodziej. Słyszała jeszcze równe, pewne, jowialne kroki tajemniczego złodzieja na ostatnich stopniach schodów, przy wyjściu na ulicę. Caterina zamknęła drzwi, spojrziała na plik papierów i stała tak przez chwilę, powtarzając nie, no nie, w głowie się nie mieści. Poza tym nawet porządnie się nie przyjrzała tym szarym oczom, ukrytym pod brwiami tak gęstymi, że wyglądał jak pies na łańcuchu.

Dostałem list z Oksfordu. Mam wrażenie, że odmienił moje życie. Zmusił mnie, bym znów zaczął pisać. W rzeczywistości, niczym iskra powodująca wybuch, dostarczył mi witamin niezbędnych, bym zakasał rękawy i zabrał się do pracy nad czymś, co miało stać się dziełem długim jak dzień bez chleba, a które przyniosło mi prawdziwą satysfakcję, nie wspominając o samej przyjemności pisania: *Historia myśli europejskiej*. To był mój sposób udowodnienia sobie widzisz, Adrianie?, zrobiłeś coś zbliżonego do *Historii greckiego ducha*, a więc możesz się czuć choć odrobinę bliższy Wilhelmowi Nestle. Bez tego listu nie starczyłoby mi sił, żeby to napisać. Adrian oglądał kopertę zaintrygowany: poczta lotnicza. Odruchowo sprawdził nadawcę: I. Berlin. Headington House. Oxford. England. UK.

– Saro!

Gdzie się podziała Sara? Adrian błędził chaotycznie po Stworzonym Świecie, wołając Sara, Sara, aż dotarł pod zamknięte drzwi jej pracowni. Otworzył. Sara pracowała nad szkicami twarzy i domów, w gorączce, która czasem ją nachodziła jak atak, podsuwając irracjonalne pomysły natychmiast przelewane na papier, które później przez kilka dni analizowała, żeby ocenić, co z pół tuzina szkiców nadaje się do wyrzucenia, a które pomysły warto rozwinąć. Na uszach miała słuchawki.

– Saro!

Kiedy Sara się odwróciła i zobaczyła roztrzęsionego Adriana, zdjęła słuchawki i zapytała co się dzieje, co ci jest? Adrian podsunął jej pod nos list, a ona zdążyła tylko pomyśleć nie, tylko nie to, znowu zła wiadomość.

– Co się dzieje? – zapytała zaalarmowana.

Sara patrzyła, jak blady, roztrzęsiony Adrian siada na jej taborecie i wyciąga do niej list. Wzięła go do ręki i zapytała kto to? Adrian gestem wskazał jej odwrotną stronę koperty. Sara odwróciła ją i przeczytała: I. Berlin. Headington House. Oxford. England. UK. Spojrzała na Adriana i zapytała kto to taki?

– Isaiah Berlin.

– A kim jest Isaiah Berlin?

Adrian wyszedł na parę sekund; wrócił z czterema czy pięcioma książkami Isaiaha Berlina, które położył obok szkiców Sary.

– To ten – powiedział, wskazując książki.

– A czego chce?

– Nie wiem. Ale jak to się stało, że do mnie napisał?

Wtedy wzięłaś mnie za rękę, zmusiłaś, żebym usiadł, i tonem nauczycielki, która uspokaja niesfornego ucznia w klasie, powiedziałaś wiesz, co trzeba zrobić, żeby się dowiedzieć, co jest w liście? No, Adrianie? Tak, najpierw musisz go otworzyć. A potem powinieneś go przeczytać...

– Ależ to sam Isaiah Berlin!

– Nawet gdyby to był car Wszechrusi. Musisz otworzyć.

Dałaś mi nóż do papieru. Starannie i ostrożnie rozcinałem list, starając się nie uszkodzić ani papieru w środku, ani samej koperty.

– Ale czego może ode mnie chcieć? – mówiłem, wpadając w histerię. Zamiast odpowiedzi, wskazałaś mi kopertę. Ale Adrian po otwarciu odłożył list na stół Sary.

– Nie chcesz go przeczytać?

– Boję się.

Podowałaś mi kopertę, a ja, jak dziecko, wziąłem ją z twoich rąk i wyciągnąłem list. Jedna kartka, zapisana odręcznie, a na niej tekst: Oxford, kwiecień 1987, szanowny panie, pańska książka ogromnie mnie wzruszyła, et cetera, et cetera, et cetera, i mimo że czytałem ją jakiś czas temu, zapadła mi w pamięć. I tak aż do końca, gdzie mnie prosił niech pan nie przestaje myśleć i proszę od czasu do czasu te myśli przelewać na papier. Z poważaniem, Isaiah Berlin.

– O kur...

– Wspaniale, prawda?

– Ale o jakiej książce mówi?

– Z jego komentarzy wynika, że o *Woli estetycznej* – powiedziała Sara, biorąc kartkę do ręki, żeby spokojnie wszystko przeczytać. Oddałaś mi list, uśmiechnęłaś się i poprosiłaś teraz mi spokojnie wyjaśnisz, kim jest ten Isaiah Berlin.

– Ale jakim cudem trafiła do niego moja książka?

– Weź, zachowaj ten list i nie zgub go – powiedziałaś. Od tamtej chwili trzymam go wśród moich najcenniejszych skarbów, choć wkrótce nie będę już pamiętał, gdzie on jest. Tak, ten list przekonał mnie i zabrałem się do pisania; następne kilka lat, poza prowadzeniem zajęć, w minimalnej liczbie, jaką dla mnie przewidziano, wypełniła mi historia myśli europejskiej.

Jedyny pas do lądowania nierówno pokryty asfaltem spowodował takie wstrząsy samolotu, że można było zwątpić, czy w ogóle dotrą żywi do hali odbioru bagażu, jeżeli było coś takiego na lotnisku w Kikwit. Żeby zrobić wrażenie na siedzącej obok ze znużoną miną młodej kobiecie, udawał, że czyta, choć jego głowa była zajęta czym innym: starał się przypomnieć sobie, gdzie jest najbliższe wyjście awaryjne. To był już trzeci samolot na jego trasie, która rozpoczęła się w Brukseli. W tym był jedynym białym, ale nie przejął się specjalnie, że się wyróżnia. Taką miał pracę. Samolot wysadził ich ponad sto metrów od niewielkiego budynku. Tę odległość trzeba było pokonać pieszo, starając się nie stracić po drodze obuwia, bo kleiło się do rozgrzanego asfaltu. Odebrał niewielką torbę podróżną i przekupił taksówkarza, który gotów był sprzedać siebie, swój samochód terenowy i kanistry z benzyną, lecz po trzech godzinach jazdy wzdłuż Kwilu zażądał od niego więcej dolarów, bo właśnie wjeżdżali w niebezpieczną strefę, Kikongo, sam pan rozumie. Nie protestował i zapłacił, bo wszystko było zaplanowane i przewidziane w budżecie, łącznie z kłamstwami. Minęła kolejna długa godzina jazdy po wybojach, podobnych jak na lotnisku. Coraz więcej było drzew, coraz wyższych, coraz bujniejszych. Samochód zatrzymał się przed zmurszałym drogowskazem.

– Bebenbeleke – oświadczył tonem zniechęcającym do dyskusji.

– Gdzie tu do cholery jest szpital?

Taksówkarz ruchem nosa wskazał czerwony krąg słońca. Budynek zбитy z czterech desek na krzyż. Nie było tu tak gorąco jak na lotnisku.

– Kiedy mam po pana przyjechać? – zapytał.

– Będę wracał pieszo.

– Chyba pan zwariował.

– Tak.

Wyciągnął torbę i ruszył w kierunku czterech desek na krzyż, nie odwracając się za siebie, żeby pożegnać taksówkarza. Tamten splunął na ziemię szczęśliwy, że trafiła mu się wyjątkowa gratka, bo mógł teraz zajechać do Kikongo do kuzynów, gdzie może mu się nadarzy jakiś nieprawdopodobny klient do Kikwit, i już nie będzie musiał pracować przez cztery czy pięć dni.

Nie odwracając się za siebie, odczekał, aż ucichnie szum silnika. Ruszył w kierunku dziwnego, samotnego drzewa, drzewa, które na pewno miało jakąś niemożliwą do zapamiętania nazwę, i zabrał stamtąd wypchany worek z wojskowego brezentu w kolorach ochronnych, który najwyraźniej czekał tam na niego ułożony na gałęzi jak ktoś, kto właśnie odbywa sjęstę. Zaraz za zakrętem znalazł to, co mogło uchodzić za główne wejście do Bebenbeleke. Pod długim daszkiem siedziały na leżakach trzy kobiety i uważnie, w milczeniu śledziły upływające godziny. Drzwi nie było. W środku nie znalazł niczego, co by przypominało recepcję. Był tylko ciemny korytarz z jedną żarówką dającą pulsujące światło, zasilaną z generatora. I kura, która na jego widok uciekła migiem na zewnątrz, jakby zdawała sobie sprawę, że przyłapano ją na gorącym uczynku. Wszedł z powrotem na ganek i zwrócił się do wszystkich trzech kobiet naraz.

– Doktor Müss?

Jedna z nich, najstarsza, wskazała głową, że jest w środku. Najmłodsza potwierdziła, dodając, że jest w sali po prawej stronie, ale teraz przyjmuje pacjentów.

Wrócił do środka i w korytarzu skręcił w prawo. Szybko odnalazł salę, a w niej starszego mężczyznę w białym, nieskazitelnym fartuchu, zwracającym uwagę wśród wszechobecnego kurzu. Właśnie osłuchiwał dziecko, niezadowolone z takiego rozwoju sytuacji, rzucające błagalne spojrzenia w kierunku

stojącej obok matki.

Siadł na jaskrawozielonej ławce, obok dwóch kobiet; podniecone wydarzeniem, które zakłóciło rutynę Bebenbeleke, przez dłuższą chwilę powtarzały w kółko te same słowa, jak litanię. Położył pod nogami duży worek, w którym zachrząścił metal. Robiło się ciemno. Doktor Müss, kiedy skończył przyjmować ostatniego pacjenta, po raz pierwszy podniósł głowę i spojrzał w jego stronę, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

– Pan też chce się zbadać? – zapytał na dzień dobry.

– Chciałem się wypowiedzieć.

Dopiero teraz przybysz zorientował się, że to nie starszy człowiek: to zgrzybiały staruszek. Poruszał się w taki sposób, jakby miał wewnątrz niewyczerpaną energię, i to go zmyliło. Ale ciało nie mogło oszukać – wyglądał na kogoś, kto dawno przekroczył osiemdziesiątkę. Na zdjęciu widział mężczyznę, który mógł mieć najwyżej sześćdziesiąt lat.

Jakby to było czymś oczywistym, że jakiś Europejczyk przybywa wieczorem do szpitala w Bebenbeleke, żeby się wypowiedzieć, doktor Müss umył ręce w umywalce, która, o dziwo, miała kran z bieżącą wodą, i gestem zaprosił przybysza, żeby szedł za nim. W tym momencie dwaj pewni siebie mężczyźni w ciemnych okularach zajęli miejsce na ławeczce, przeganiając stamtąd podekscytowane kobiety. Doktor zaprowadził gościa do niewielkiego pomieszczenia, które mogło być jego gabinetem.

– Zostanie pan na kolacji?

– Nie wiem. Nie robię tak odległych planów.

– Słucham pana.

– Trudno było pana odnaleźć, doktorze Budden. Trop się urwał w klasztorze trapistów i ciężko było sprawdzić, dokąd się pan stamtąd udał.

– Więc jak pan tu trafił?

– Zaglądając do ksiąg archiwalnych zakonu.

– Ach, ta obsesja, żeby wszystko dokumentować i archiwizować. Dobrze pana potraktowali?

– Myślę, że do tej pory nie zorientowali się, że u nich byłem.

– I co pan tam znalazł?

– Poza fałszywym tropem bałtyckim była jakaś wzmianka o Stuttgarcie, o Tybindze i o Bebenhausen. W tej miejscowości udało mi się powiązać wątki dzięki pomocy pewnej miłej staruszki.

– Mojej kuzynki Herty Landau, prawda? Zawsze była gadatliwa. Musiała być zachwycona, że ktoś ją pociągnął za język. Przepraszam, proszę mówić dalej.

– No, to już wszystko. Minęło wiele lat, zanim mi się udało zebrać to w całość.

– I dobrze: dzięki temu zdążyłem naprawić odrobinę tego zła, które wyrządziłem.

– Mój klient wolałby, żeby to poszło szybciej.

– Dlaczego mnie pan nie aresztuje i nie postawi przed sądem?

– Mój klient jest w podeszłym wieku; nie może sobie pozwolić na zwłokę, bo wkrótce umrze, jak sam twierdzi.

– Aha.

– A nie chciałby umrzeć, dopóki nie dowie się o pańskiej śmierci.

– Rozumiem. Jak pan mnie odnalazł?

– Och, na to się składa wiele czynności o charakterze czysto technicznym. Moja praca jest nudna: tracę mnóstwo godzin na węszenie tu i tam, zanim uda się powiązać różne wątki. I tak mijał dzień za dniem, zanim się zorientowałem, że to Bebenhausen, którego szukam, nie leży w Badenii-Wirtembergii. Czasem nawet mi się wydawało, że ta nazwa była czymś w rodzaju wskazówki dla kogoś, kto chciał pana śledzić.

Zauważył, że doktor mimowolnie się uśmiechnął.

– Jak się panu podobało w Bebenhausen?

– Bardzo.

– To mój raj utracony. – Doktor Müss strząsnął ręką pyłek jak odległe wspomnienie i teraz uśmiechnął się otwarcie: – Bardzo pan zwlekał.

– Już panu mówiłem... Kiedy otrzymałem zlecenie, był pan świetnie ukryty.

– Żeby móc pracować nad zadośćuczynieniem. – Z zainteresowaniem: – Jak działa rynek tych zleceń?

– To czyste zawodowstwo, czyste i bardzo... zimne.

Doktor Müss wstał i z szafki, która okazała się lodówką, wyciągnął miskę czegoś nieokreślonego, co mogło być jedzeniem. Postawił ją na stole, a obok dwa talerze i dwie łyżki.

– Jeśli nie ma pan nic przeciw temu... W moim wieku człowiek musi się odżywiać jak wróbelek... Mało, a często. W przeciwnym razie mógłbym zemdleć.

– Mają tu zaufanie do tak sędziwego lekarza?

– Nie ma innego. Mam nadzieję, że po mojej śmierci nie zamkną szpitala. Właśnie pertraktuję w tej sprawie z władzami Beleke i Kikongo.

– Przykro mi, doktorze Budden.

– Aha. – Wskazując na nieokreśloną zawartość miski: – To proso. Zapewniam pana, lepsze to niż nic.

Nałożył sobie i podsunął miskę swemu rozmówcy. Kontynuował z pełnymi ustami:

– Co pan miał na myśli, mówiąc o pracy bardzo czystej i bardzo zimnej?

– No, różne rzeczy...

– Nie, proszę mówić, naprawdę mnie to interesuje.

– No, na przykład, że nigdy nie znam swoich klientów. Ani oni mnie, rzecz jasna.

– To wydaje się logiczne. Ale jak to się odbywa?

– Och, to bardzo skomplikowane. Kontakt pośredni zawsze jest możliwy, ale trzeba być bardzo ostrożnym i upewnić się, że ma się do czynienia z właściwą osobą. Trzeba się nauczyć zacierać za sobą ślady.

– To też wydaje się logiczne. Ale dziś pan przyjechał samochodem Josepha Makubulo, który jest niepoprawnym gadułą i do tej pory już zdążył wszystkim opowiedzieć, że...

– Opowiada to, co chcę, żeby mówił. Podaję mu jak na tacy fałszywy trop. Przepraszam, ale nie będę wchodził w szczegóły... A skąd pan wie, że przyjechałem z tym taksówkarzem?

– Założyłem szpital w Bebenbeleke czterdzieści lat temu. Rozpoznam tu każdego psa po szczekaniu i kurę po gdakaniu.

– Czyli przybył pan tutaj bezpośrednio z Marienwaldu.

– Naprawdę to pana interesuje?

– To fascynujące. Miałem dużo czasu, żeby o panu myśleć. Zawsze pracuje pan sam?

– Nie pracuję sam. Zanim wstanie słońce, już przychodzą do pacjentów trzy pielęgniarki. Ja też wstaję wcześniej, ale nie aż tak.

– Przykro mi, że zabieram panu czas.

– Nie sądzę, żeby ta dzisiejsza przerwa w pracy miała jakiegokolwiek znaczenie.

– A co pan robi poza tym?

– Nic. Poświęcam wszystkie moje siły, żeby pomagać potrzebującym przez wszystkie godziny życia, jakie mi pozostały.

– To brzmi jak religijne ślubowanie.

– No... Po części ciągle jestem mnichem.

– Nie porzucił pan klasztoru?

– Opuściłem zakon trapistów, klasztor, ale ciągle się czuję mnichem. Mnichem bez wspólnoty.

– I odprawia pan mszę i takie tam?

– Nie jestem księdzem. Non sum dignus.

Wykorzystali chwilę milczenia, żeby opróżnić miskę prosa.

– Niezłe – powiedział przybysz.

– Jeśli mam być szczerzy, mam tego powyżej uszu. Tęsknię za różnymi potrawami. Na przykład za kiszoną kapustą. Nie pamiętam już, jak smakuje, ale za nią tęsknię.

– Ojej, gdybym wiedział...

– Nie, to, że tęsknię, nie znaczy, że... – Przełknął łyżkę prosa. – Nie zasługuję na kiszoną kapustę.

– Chyba pan przesadza... No nie wiem, takie zero jak ja nie będzie pana osądzać...

– Zapewniam pana, że nie jest pan zerem.

Otarł usta wierzchem dłoni i otrzepał fartuch, ciągle nieskazitelny. Odsunął tacę z jedzeniem, nie pytając tamtego o zdanie. Siedzieli teraz naprzeciwko siebie, przedzieleni tylko blatem stołu.

– A fortepian?

– Porzuciłem. Non sum dignus. Nawet samo wspomnienie o muzyce, którą kiedyś czciłem, teraz wywołuje u mnie wymioty.

– Chyba pan trochę przesadza, co?

– Niech mi pan powie swoje imię.

Cisza. Przybysz przez chwilę się zastanawiał.

– Po co?

– Z ciekawości. Nie będę mógł tego wykorzystać.

– Lepiej nie.

– Pan tu rządzi.

Mimo woli obaj się uśmiechnęli.

– Nie znam mojego klienta. Ale podał mi słowo, które pana naprowadzi na trop, jeśli pan ciekaw. Nie chciałby pan się dowiedzieć, z czyjego polecenia przychodzę?

– Nie. Kimkolwiek by był ten, który pana przysyła, jest pan mile widziany.

– Mam na imię Elm.

– Dziękuję, Elm, za zaufanie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale muszę pana prosić, żeby zajął się pan czym innym.

– Kończę ostatnie zlecenia. Przechodzę na emeryturę.

– Cieszyłbym się, słysząc, że to pańskie ostatnie zadanie.

– Tego nie mogę panu obiecać, doktorze Budden. Chciałbym panu zadać jeszcze jedno niedyskretne pytanie.

– Proszę bardzo, ja też nie byłem wobec pana dyskretny.

– Dlaczego nie oddał się pan w ręce sprawiedliwości? To znaczy wtedy, gdy pan wyszedł z więzienia, jeśli uważał pan, że nie oczyścił się wystarczająco z win... więc...

– W więzieniu ani martwy nie mógłbym odkupić zła.

– Kiedy zło jest nie do naprawienia, to co chce pan odkupić?

– Jesteśmy wspólnotą, która mieszka na skale dryfującej w przestrzeni, jakbyśmy szukali Pana Boga we mgle.

– Nie rozumiem.

– Domyślam się. Chciałem powiedzieć, że zawsze możesz zadośćuczynić jednej osobie zło popełnione wobec innej. Ale trzeba je naprawić.

– Chyba również nie był pan zadowolony, że pańskie nazwisko...

– Tak. Też mi się to nie podobało, to prawda. Moje życie, od kiedy wyszedłem z więzienia, polegało na ukrywaniu się i czynieniu zadość. Chociaż wiedziałem, że nigdy nie naprawię zła, które popełniłem. Od sześćdziesięciu lat noszę to w sobie i nikomu się z tego nie zwierzałem.

– Ego te absolvo, i tak dalej. Prawda?

– Niech się pan nie śmieje. Już kiedyś tego próbowałem. Ale problem w tym, że mój grzech nie może zostać odpuszczony, bo jest zbyt wielki. Poświęciłem całe życie, żeby go odpokutować, wiedząc, że kiedy nadejdzie dzisiejszy dzień, ciągle będę w punkcie wyjścia.

- O ile pamiętam, jeżeli skrucha jest wystarczająco...
- Niech pan nie opowiada bajek. Co pan może o tym wiedzieć!
- Otrzymałem religijne wykształcenie.
- I na co się zdało?
- I kto to mówi!

Znów obaj się uśmiechnęli. Doktor Müss sięgnął ręką pod fartuch, do kieszeni koszuli. Tamten zareagował błyskawicznie, przechylił się przez stół i unieruchomił mu rękę, chwytając go za ramię. Lekarz powoli wyciągnął złożoną brudną szmatkę. Kiedy przybysz się zorientował, o co chodzi, uwolnił jego ramię. Doktor położył na stole szmatkę, która musiała być jedną z dwóch części większej serwetki przeciętej na pół, i rozłożył ją z niemal liturgicznym namaszczeniem. Miała półtorej piędzi na półtorej piędzi i dawało się w niej jeszcze odróżnić białe i niebieskie nitki układające się w kratkę. Przybysz obserwował go zaintrygowany. Popatrzył na doktora: tamten zamknął oczy. Modlił się? Wspominał?

- Jak mógł się pan zdobyć na to, co pan zrobił?

Doktor Müss otworzył oczy.

- Pan nie wie, co zrobiłem.

– Zebrałem dokumentację. Należał pan do grona lekarzy, którzy sprzeniewierzyli się przysiędze Hipokratesa.

- Pan mimo uprawianego zawodu jest wykształcony.

- Podobnie jak pan. Nie chciałbym stracić okazji, żeby panu powiedzieć, że brzydzę się panem.

– Zasługuję na pogardę morderców. – Zamknął oczy i powiedział takim tonem, jakby recytował: – Zgrzeszyłem przeciw człowiekowi i przeciw Bogu. W imię idei.

- Wierzył pan w nią?

- Tak. Confiteor.

- A uczucie litości i współczucia?

- Zabijał pan dzieci? – Doktor Müss spojrzał mu w oczy.

- Przypominam, że to ja tu zadaję pytania.

- Aha. Czyli wie pan, co się czuje.

– Jak można mimo płaczu dziecka zdzierać mu na żywcą skórę z ramienia, żeby badać skutki zakażenia, i nie czuć współczucia.

- Nie byłem wtedy człowiekiem, ojcze – wyznał doktor Müss.

- Skąd więc, u kogoś, kto nie jest człowiekiem, wyrzuty sumienia?

- Nie wiem, ojcze. Mea maxima culpa.

- Żaden z pańskich kolegów nie żałował, doktorze Budden.

- Bo wiedzieli, że grzech był zbyt wielki, żeby prosić o przebaczenie, ojcze.

- Jedni popełnili samobójstwo, inni uciekli i pochowali się jak szczury.

- Nie mnie ich sądzić. Jestem jednym z nich, ojcze.

- Jedyńm, który chce naprawić zło.

- Nie przesądzajmy, nie muszę być jedynym.

- Wszystko dokładnie sprawdziłem. A właśnie, Aribert Voigt.

- Co?

Mimo opanowania doktor Müss nie mógł uniknąć wstrząsu na sam dźwięk tego nazwiska.

- Złapaliśmy go.

- Zasłużył na to. Niech mi Bóg przebaczy, ojcze, bo ja też na to zasługuję.

- Został ukarany.

- Cóż mam powiedzieć. To wszystko mnie przerasta. Wina jest zbyt wielka.

- Złapaliśmy go już wiele lat temu. To pana nie cieszy?

- Non sum dignus.

– Płakał i prosił o przebaczenie. I zesrał się ze strachu.

– Nie będę płakał po Voigcie. Ale też nie cieszą mnie szczegóły, które mi pan podaje.

Przybysz przez chwilę wpatrywał się uważnie w doktora.

– Jestem Żydem – powiedział w końcu. – Pracuję na zlecenie, ale z przekonaniem. Rozumiemy się?

– Doskonale, ojcze.

– Wie pan, co o tym myślę tak naprawdę?

Konrad Budden otworzył szeroko oczy zaalarmowany, jakby nagle zobaczył starego kartuza, który wpatrywał się uważnie w kratę lodowatego konfesjonału. Miał teraz przed sobą niejakiego Elma, człowieka z twarzą pooraną wieloma historiami, który nie wpatrywał się w konfesjonał – wpatrywał się w niego, patrzył mu prosto w oczy. Müss wytrzymał to spojrzenie:

– Tak, ojcze, wiem, co ojciec myśli: że nie mam prawa wejść do raju.

Przybysz popatrzył na niego zdziwiony, nie wiedząc, co powiedzieć. Konrad Budden mówił dalej:

– I ma pan rację. Grzech jest tak odrażający, że prawdziwym piekłem jest to, które sam wybrałem: przyznać się do win i żyć dalej.

– Niech pan nie liczy na to, że pana zrozumiem.

– Nie w tym rzecz. Nie szukam usprawiedliwienia ani w idei, która nam przyświecała, ani w zatwardziałości serca, dzięki któremu łatwiej było znieść stworzone przez nas piekło. Nie oczekuję, że ktokolwiek mi przebaczy. Nawet Bóg. Prosiłem tylko o możliwość odkupienia tego piekła.

Zasłonił twarz rękami i powiedział doleo, mea culpa. Każdego dnia przeżywam to samo, z taką samą intensywnością.

Cisza. Na zewnątrz szpital pogrążał się w łagodnym spokoju. Przybyszowi wydawało się, że słyszy gdzieś w oddali przytłumiony dźwięk telewizora. Doktor Müss zapytał innym tonem, po cichu, starając się ukryć emocje:

– Czy po śmierci moja tożsamość pozostanie tajemnicą, czy podana zostanie do publicznej wiadomości?

– Mój klient chce to zachować w tajemnicy. Kto płaci, wymaga.

Cisza. Tak, to telewizor. Dziwnie brzmiał w tym miejscu. Przybysz odchylił się do tyłu:

– Nie chce pan wiedzieć, kto mnie przysyła?

– Nie muszę tego wiedzieć. Przybywa pan w imieniu wszystkich.

Delikatnie, niemal uroczyście położył otwarte dłonie na brudnej szmatce.

– Co to za szmata? – zapytał tamten. – Serwetka?

– Ja też mam swoje sekrety.

Doktor, trzymając ręce na szmatce, powiedział jeśli pan sobie życzy, ja już jestem gotowy.

– Będzie pan tak uprzejmy i otworzy usta...

Konrad Budden zamknął nabożnie oczy i powiedział jestem gotowy, ojcze. Zza okna dobiegało głośne gdakanie kury biegnącej do kurnika. Z dalszej odległości dochodziły śmiechy i oklaski z telewizora. Wtedy Eugen Müss, brat Arnold Müss, doktor Konrad Budden otworzył usta, żeby przyjąć wiatyk. Usłyszał energiczne pociągnięcie zamka błyskawicznego torby. Usłyszał metaliczny dźwięk, który przeniósł go do piekła, i przyjął go jako dodatkową pokutę. Nie zamknął ust. Również nie usłyszał wystrzału, bo nastąpił zbyt szybko.

Przybysz umieścił pistolet za pasem, a z torby wyciągnął kałasznikowa. Zanim opuścił gabinet, złożył starannie rytualną szmatkę tamtego człowieka, jakby i dla niego miała podobną wartość, i schował ją do kieszeni. Ofiara siedziała ciągle wyprostowana na krześle, z roztrzaskaną twarzą, praktycznie nie krwawiąc. Nie poplamiał białego fartucha. Za stary, żeby krwawić, pomyślał, odbezpieczając automat i przygotowując się do zacierania śladów. Oceniał kierunek, z którego dochodził dźwięk telewizora. Wiedział, że tam właśnie powinien się udać. Było jasne, że śmierć doktora ma przejść niezauważona, ale żeby to osiągnąć, zdecydował, że ma być głośno, i to bardzo, o czym innym. Takie tam profesjonalne

szczegóły techniczne.

To wszystko, o czym mówię, drodzy przyjaciele i koledzy, wydarzyło się przed *Historią myśli europejskiej*. Osobom zainteresowanym szczegółowymi informacjami o naszym gościu polecam zwłaszcza dwa źródła: *Gran Enciclopèdia Catalana* i *Encyclopaedia Britannica*. Ta ostatnia, łatwiej u nas osiągalna, w piętnastym wydaniu podaje:

Adrian Ardèvol i Bosch (Barcelona, 1946). Profesor teorii prądów estetycznych i historii idei, doktorat w 1976 roku w Tybindze, autor *Rewolucji francuskiej* (1978), idealistycznego oskarżenia przemocy, w którym podważa historyczne znaczenie Marata, Robespierre'a czy samego Napoleona i za pomocą kunsztownej figury intelektualnej zestawia ich z takimi krwiożercami z dwudziestego wieku jak Stalin, Hitler, Franco czy Pinochet. W rzeczywistości w tamtym czasie młody profesor Ardèvol miał gdzieś historię; kiedy pracował nad książką, był ciągle pod wrażeniem zniknięcia, na wiele lat, swojej ukochanej Sary ↑Vóltes-Epstein (Paryż, 1950 – Barcelona, 1996), bez słowa wyjaśnienia, i czuł się oszukany przez świat i życie. Nie potrafił wyjaśnić tego wszystkiego swemu najbliższemu przyjacielowi, Bernatowi ↑Plensa i Punsoda (Barcelona, 1945), który sam natomiast często wypłakiwał przed nim swoje nieszczęścia. Książka wywołała niesmak w kręgach intelektualistów francuskich, którzy odwrócili się od niego i dzieło popadło w zapomnienie. Dlatego następny tytuł, *Marks?* (1980), też przeszedł bez echa, niezauważony nawet przez nielicznych katalońskich stalinowców, gotowych go zmasakrować. Przy okazji odwiedzin u Małej Loli (Barceloneta, 1910–1982) odnalazł trop swojej ukochanej Sary (vid. supra) i w jego życiu znów nastał pokój, jeśli nie liczyć pojedynczych epizodów z Laurą ↑Bayliną (Barcelona, 1959?), z którą, jak sam przyznaje, nie umiał zerwać w sposób cywilizowany i postąpił z nią bardzo niesprawiedliwie, mea culpa, confiteor. Od wielu lat chodzą słuchy, że rozmyśla nad *Historią złą*, ale ponieważ ciągle nie ma jasnej koncepcji, odkłada na później realizację tego projektu, jeżeli w ogóle zdoła się z nim zmierzyć. Kiedy wreszcie odzyskał spokój wewnętrzny, mógł zaangażować całą swoją energię w pracę nad dziełem, które on sam uważa za najbardziej udane w swoim dorobku, *Wolą estetyczną* (1987), przyjętym z entuzjazmem przez Isaiaha ↑Berlina (cf. *Personal Impressions*, Hogarth Press 1987, 2 wyd. Pimlico 1988), a kolejne lata gorączkowego wysiłku zostały zwieńczone monumentalną *Historią myśli europejskiej* (1994), dziełem, które cieszy się największym uznaniem na forum międzynarodowym i to właśnie z jego powodu zgromadziliśmy się w auli Brechtbau, na Wydziale Filozofii i Literatury naszego Uniwersytetu. Czuję się zaszczycony, mogąc się przyczynić tym małym wprowadzeniem do uświetnienia uroczystości. Trudno mi było nie przywołać tu subiektywnych wspomnień osobistych, jako że moja znajomość z doktorem Ardèvolem wywodzi się z dawnych czasów, kiedy spotykaliśmy się na korytarzach, w salach i gabinetach naszej uczelni. Ja dopiero zaczynałem swoją karierę w Tybindze (tak, też byłem kiedyś młody, drodzy studenci!), a student Ardèvol był młodzieńcem, którego desperacja, wynikająca z problemów sercowych, przełożyła się na nieokiełznane pieprzenie się na prawo i lewo w pierwszych miesiącach pobytu, aż do nawiązania skomplikowanego związku z niejaką Kornelią ↑Brendel (Offenbach, 1948), z którą miał krzyż pański, ponieważ ta panienska, wcale nie taka ładna, jak mu się wydawało, chociaż trzeba przyznać, że wyglądała na taką, którą warto przelecieć, postawiła sobie za cel zbieranie nowych doświadczeń, co dla takiego namiętnego południowca jak doktor Ardèvol było nie do przyjęcia. No, powiedzmy sobie szczerze, tak jak dla zimnego i ograniczonego Germanina. Nie mówcie mu tego pod żadnym pozorem, bo mógłby się obrazić, ale muszę się przyznać, że niżej podpisany też dołączył do kolekcji owej Brendel. Tytułem wyjaśnienia: kiedy po olbrzymim koszykarzu i Finie, który grał w hokeja na lodzie, i po zawszonym malarzu Brendel zaczęła szukać doświadczeń w innym kierunku, jej wzrok padł na mnie i postanowiła zaliczyć profesora. Tak

więc muszę wyznać, że byłem tylko łowieckim trofeum i moja głowa, ozdobiona biretem doktorskim, zajmuje poczesne miejsce nad kominkiem w jej zamku, obok głowy Fina w jaskrawoczerwonym kasku. I dość już na ten temat, bo dziś nie mówimy o mnie, tylko o doktorze Ardèvolu. Powiedziałem, że związek z Brendel to był krzyż pański, a wyzwolił się z niego, uciekając w naukę. I z tego to powodu powinniśmy wznieść niejakej Kornelii Brendel pomnik nad rzeką Neckar. Ardèvol skończył studia w Tybindze, przedstawiając pracę doktorską na temat Vico, która, pozwolę sobie w tym miejscu przypomnieć, mimo że państwo doskonale o tym wiecie, była bardzo chwalona przez profesora Eugena Coşeriu (vid. Eugenio Coşeriu-Archiv, Eberhard Karls Universität), światłego, energicznego staruszka, który siedzi w pierwszym rządzie i niecierpliwie wymachuje nogą, jednakże z zadowoloną miną. Skądinąd wiem, że dysertacja doktora Ardèvola jest jedną z prac najczęściej wypożyczanych przez studentów historii idei naszego uniwersytetu. I nie przeciągam dłużej, bo mógłbym wychwalać doktora Ardèvola bez końca. Proszę teraz o zabranie głosu zarozumiałego i pewnego siebie doktora Schotta. Uśmiechnięty Kamenek przesunął mikrofon w stronę profesora Schotta, puścił oko do Adriana, po czym wygodnie rozsiadł się na krześle. W sali amfiteatralnej było około stu osób. Barwna mieszanina wykładowców i zaintrygowanych studentów. Sara pomyślała, że świetnie wygląda w nowej marynarce.

To była światowa inauguracja marynarki, której zakup postawiła jako warunek, jeśli chciał liczyć na jej towarzystwo w Tybindze podczas prezentacji *Historii myśli europejskiej*. Adrian, siedzący przy stole prezydialnym, obok szacownych osobistości, które go przedstawiały, spojrzał w jej stronę i pomyślałem Saro, życie moje, to chyba sen. Nie, żadna z tych rzeczy nie jest cudem, Saro. Ani solidna, rzeczowa i życzliwa prezentacja, w którą Kamenek wplótł dyskretnie drobne ustępstwa na rzecz lżejszego, bardziej osobistego i subiektywnego tonu; ani entuzjastyczna wypowiedź profesora Schotta, który zapewniał, że *Die Geschichte des europäischen Denkens* jest refleksją najwyższej próby, którą należy rozpowszechnić we wszystkich europejskich uniwersytetach, którą, proszę, przeczytajcie jak najszybciej. Proszę? Zobowiązuję was do jej przeczytania! Nie na darmo profesor Kamenek odwołał się do Isaiaha Berlina i do jego *Personal Impressions* (vid. supra). Do tego należy jeszcze dodać, jeśli kolega pozwoli, bezpośrednie odniesienia do Ardèvola, które znajdziemy zarówno w rozmowie Berlina z Jahanbegloo, jak i w kanonicznej biografii Ignatiewa. Nie, Saro, nic z tego nie było cudem. Ani lesung, który z pewnością zajmie dobrą godzinę. Nie, Saro, nie w tym rzecz. Cudem jest widzieć cię w tym miejscu, na krześle, w którym wielokrotnie sam siedziałem, z ciemnymi włosami ujętymi w koński ogon, który opada ci na plecy, z tłumionym uśmiechem na wargach; odczytywać w twoim spojrzeniu myśl, że świetnie wyglądam w nowej marynarce, no więc, profesorze Ardèvol?

– Słucham, profesorze Schott?

– Jakie jest pańskie zdanie na ten temat.

Zdanie na jaki temat. Mój Boże.

– Miłość porusza słońce i gwiazdy.

– Co takiego? – Zdziwiony profesor objął wzrokiem publiczność, po czym skierował zdezorientowane spojrzenie na Adriana.

– Po prostu jestem zakochany i natychmiast gubię wątek. Czy mógłby pan powtórzyć pytanie?

Setka zgromadzonych w sali osób nie wiedziała, czy się śmiać, czy nie. Niepewne spojrzenia, tłumione uśmiešky, pokerowe twarze, aż w końcu Sara wybuchnęła szczerym śmiechem i wszyscy inni z ulgą poszli jej śladem.

Profesor Schott powtórzył pytanie. Profesor Ardèvol odpowiedział precyzyjnie i w oczach wielu osób zabłysło zainteresowanie, a ja pomyślałem życie jest cudowne. Później przeczytałem trzeci rozdział, najbardziej subiektywny, ten, w którym opisałem moje odkrycie, historyczną naturę poznania, dokonane, zanim jeszcze zacząłem czytać Vico. Jaki przeżył szok, kiedy dokonał odkrycia, inspirując się uwagami profesora Rotha, którego niestety nie ma dziś wśród nas. Czytając, nie mógł zapomnieć, że dwadzieścia lat temu Adrian uciekł do Tybingi, żeby wylizać się z ran po nagłej, niezrozumiałej dezercji Sary, która

teraz śmiała się zadowolona, siedząc naprzeciw niego, że dwadzieścia lat temu snuł się po Tybindze i pieprzył się bez opamiętania na prawo i lewo, jak słusznie zauważył jego przedmówca, a w dziewczynach, które spotykał w uniwersyteckich aulach, szukał czegokolwiek, co by mu przypominało Sarę. A teraz, w sali 037, miał ją przed sobą, bardziej dojrzałą, wpatrzoną w niego z lekką ironią, kiedy zamknął książkę i oświadczył, na taki tom jak ten potrzeba wielu lat pracy; mam nadzieję, że nie przyjdzie mi już do głowy znów zabrać się do pisania przez wiele, wiele lat, amen. A słuchacze z entuzjazmem stukali kulturalnie knykциями w pulpity. Później była kolacja, w której wziął udział profesor Schott, pani dziekan Vartten, wzruszony Kamenek i jeszcze dwie nieśmiałe, milczące panie. Jedna z nich, chyba ta niższa, odezwała się cichutko, żeby podzielić się wzruszeniem, jakie w niej wywołał bardzo osobisty sposób portretowania doktora Ardèvola przez Kameneka, a Adrian wychwalał wrażliwość profesora Kameneka, który skromnie spuścił wzrok, zmieszany nieoczekiwanymi pochwałami. Po kolacji Adrian zabrał Sarę na spacer do parku, gdzie ostatnie blaski dnia wyostrzały zapach zimnej, budzącej się wiosny, a Sara mówiła jakie to piękne. Pomimo chłodu.

– Mówią, że spadnie dziś śnieg.

– Nie szkodzi, i tak mi się podoba.

– Zawsze kiedy byłem smutny i myślałem o tobie, przychodziłem tu na spacer. Przeskakiwałem przez mur cmentarza.

– Można?

– Można. Widzisz?

Nie zastanawiając się długo, przeskoczyła ogrodzenie. Kiedy trzydzieści metrów dalej zobaczyli otwartą kratę bramy, Sara z trudem powstrzymała nerwowy śmiech, jakby wstydziła się śmiać w domu zmarłych. Aż doszli do grobu na końcu alejki i zaintrygowana przeczytała napis na grobie.

– Co to za jedni? – zapytał dowódca bez dystynkcji.

– Niemcy z ruchu oporu.

Dowódca podszedł do nich bliżej, żeby się im lepiej przyjrzeć. Mężczyzna był w średnim wieku i wyglądał raczej na urzędnika niż na partyzanta, a kobieta sprawiała wrażenie potulnej gospodyni domowej.

– Jakim cudem dostaliście się aż tutaj?

– To długa historia. Potrzebne nam są materiały wybuchowe.

– Skąd, do cholery, się wzięliście i co sobie, do cholery, wyobrażacie?

– Himmler ma odwiedzić Ferlacha.

– Gdzie to ma być?

– W Klagenfurcie. Tu niedaleko, po drugiej stronie granicy. Znamy ten teren.

– I?

– Chcemy go odpowiednio powitać.

– W jaki sposób?

– Chcemy go wysadzić w powietrze.

– Nie da się.

– Wiemy, jak to zrobić.

– Nie macie o tym pojęcia.

– Owszem. Jesteśmy zdecydowani umrzeć, byle tylko go zabić.

– Możecie mi przypomnieć, kim jesteście?

– Nie przedstawiliśmy się. Naziści rozbili nasz oddział ruchu oporu. Zabili trzydziestu towarzyszy. Nasz przywódca popełnił samobójstwo w więzieniu. Chcemy zrobić coś, żeby śmierć tylu bohaterów nabrała sensu.

– Kim był wasz przywódca?

– Herbert Baum.

– Wy jesteście z oddziału...

– Tak.

Dowódca bez dystynkcji spojrzał znacząco na adiutanta z jasnymi wąsami.

– Kiedy ma być ta wizyta Himmlera?

Przystąpili do dokładnego studiowania samobójczego planu; tak, wyglądał realnie, bardzo realnie. Dlatego przydzielili im hojną porcję dynamitu i nadzór w osobie Danila Janicka. Ponieważ było ich niewielu, zdecydowali, że po pięciu dniach Janicek wróci do partyzanckiego oddziału, niezależnie od powodzenia operacji. Janicek jako wasz dowódca nie popełni z wami samobójstwa.

– To niebezpieczne – zaprotestował Danilo Janicek, niezbyt zachwycony planem, który mu przedstawiono.

– Tak. Ale jeżeli się uda...

– Czarno to widzę.

– Janicek, to rozkaz. Weź ze sobą kogoś, kto będzie krył tyły.

– Ksiądz. Potrzebne będą silne ramiona i celne oko.

Drago Gradnik wspinał się teraz stromymi ścieżkami Jelendolu, dźwigając krośnjar wypełniony materiałami wybuchowymi aż po brzegi z taką samą radością, jakby niósł łyżki i drewniane talerze. Ładunek dotarł w całości do miejsca przeznaczenia. Mężczyzna cienki jak makaron przyjął ich w ciemnym garażu przy ulicy Waidischerstrasse i potwierdził, że wizyta Himmlera u Ferlacha odbędzie się na pewno za dwa dni.

Nikt nie potrafił wyjaśnić, jak doszło do tragedii. Nawet sami bojownicy z oddziału Herberta Bauma do tej pory nie mogą tego zrozumieć. To się stało w nocy poprzedzającej wybraną datę, kiedy Danilo i ksiądz przygotowywali ładunek.

– Ale to był nietrwały materiał.

– Nie. Używany był do operacji wojskowych; był trwały i koniec.

– Jestem pewien, że się pocił. Nie wiem, czy wiesz, ale jeżeli dynamit się poci...

– Wiem, ale materiał był w porządku.

– No to oni byli niezręczni.

– Nie sądzę. Ale trudno to inaczej wyjaśnić.

To się stało o trzeciej nad ranem, kiedy już zapakowali ładunek do plecaków, z którymi członkowie samobójczego komanda mieli zamiar wylecieć w powietrze, w towarzystwie Himmlera, i Danilo, zmęczony i zdenerwowany, powiedział kurwa, nie dotykaj tego, a ksiądz, zmęczony i wkurzony tonem tamtego, odstawił gwałtownie plecak, który skończyli pakować. Zrobiło się jasno i głośno i po trwającej jedną dziesiątą sekundy iluminacji ciemny garaż wyleciał w powietrze wraz z szybami, ściankami działowymi i szczątkami Danila i księdza Gradnika, zmieszany z gruzem.

Kiedy władze okupacyjne próbowały zrekonstruować wydarzenia, znalazły tylko szczątki co najmniej dwóch osób. Jedna z nich miała stopy wielkości pajdy wiejskiego chleba. Wśród żelastwa, wnętrzości i krwawych plam znalazła się przywiązana do szerokiej szyi blaszka identyfikacyjna zaginionego Obersturmführera SS Franza Grübbe, który według jedynej uznanej za prawdopodobną wersji, przedstawionej przez Hauptsturmführera Timotheusa Schaafa, był główną, nikczemną przyczyną upokarzającej klęski, jaką poniosła dywizja Waffen-SS, rozbita mimo heroicznej walki na rogatkach Kranjskiej Gory, ponieważ kiedy tylko usłyszeli pierwsze strzały, Grübbe pobiegł w stronę wroga z podniesionymi rękami, błagając o litość. Esesman, który prosi o litość bandę komunistycznych partyzantów! Teraz wszystko stało się jasne: nikczemny zdrajca znów się pojawił, wplątany w przygotowanie haniebnego zamachu na Reichsführera Heinricha Himmlera.

– A kim jest ten Grübbe?

– Zdrajcą ojczyzny, Führera i świętej przysięgi, którą uroczyście złożył, wstępując do Schutzstaffel. Hauptsturmführer SS Schaaf będzie mógł podać więcej szczegółów.

– Niech okryje się hańbą na wieki.

Telegram, który odebrał Lothar Grübbe, był krótki i konkretny; informował o haniebnym czynie popełnionym przez ich nikczemnego syna, który planował zamach na swojego najwyższego zwierzchnika, Reichsführera, ale manipulując przy materiałach wybuchowych został rozerwany na tysiąc nikczemnych kawałków. Następnie informował, że zostało aresztowanych dwunastu niemieckich zdrajców należących do rozbitej grupy nikczemnego Żyda Herberta Bauma. Wstyd i przekleństwo Rzeszy niech spadnie na pańskiego nikczemnego syna na całe tysiąclecia.

Lothar Grübbe uśmiechał się przez łzy, a nocą powiedział Annie widzisz, kochana, nasz syn przemyślał to sobie. Nie chciałem ci o tym mówić, ale niestety nabili mu głowę całym tym hitlerowskim gównem; coś jednak musiało mu uprzytomnić, że jest w błędzie. Na nas spadło odium reżimu, czyli największa radość, jaką można było sprawić rodzinie Grübbe.

Żeby uczcić pamięć małego Franza, bohatera rodziny, jedyne jak dotychczas człowieka, który dzielnie przeciwstawił się tej bestii Rzeszy, poprosił Güntera Raue, żeby zrewanżował mu się za przysługę, tak, teraz, po tylu latach. Günter Raue przekalkulował za i przeciw i dał odpowiedź tak, Lothar, przyjacielu, pod jednym warunkiem. Jakim? Na litość boską, zachowajcie dyskrecję. Powiem ci, jaki masz dać napiwek grabarzom. Lothar Grübbe odpowiedział zgoda, wydaje mi się to rozsądne. Pięć dni później, kiedy się rozniosło, że na froncie zachodnim zaczęły się problemy, nie mówiąc już o klęsce na Białorusi, gdzie matka ziemia pochłonęła całe armie, na spokojnym cmentarzu w Tybindze, na parceli rodziny Grübbe-Landau, w obecności smutnego mężczyzny i jego kuzynki, Herty Landau, z Landauów z Bebenhausen, została pochowana, w pustej trumnie, pamięć o dzielnym bohaterze, którego w lepszych czasach będziemy czcić kwiatami tak białymi jak jego dusza. Jestem dumny z naszego syna, kochana Anno, który już do ciebie dołączył. Ja też nie będę zwlekał, bo nic tu po mnie.

Zrobiło się ciemno. Wyszli zamyśleni przez okratowaną bramę, która jeszcze była otwarta; wzięła go pod rękę i szli w milczeniu w stronę latarni oświetlającej alejkę w parku, a kiedy do niej doszli, odezwała się wydaje mi się trafne spostrzeżenie profesora Schotta.

– Powiedział wiele rzeczy.

– Nie, to, że twoja *Historia myśli europejskiej* to naprawdę ważna książka.

– Sam nie wiem. Chciałbym, żeby tak było, ale nie mogę tego sprawdzić.

– Jest, jest – upierała się Sara. – A poza tym kocham cię.

– Już od jakiegoś czasu chodzą mi po głowie różne pomysły.

– Jakiego rodzaju?

– Nie wiem. Historia zła.

Kiedy oddalali się od cmentarza, Adrian powiedział problem w tym, że nie mogę znaleźć punktu zaczepienia. Jestem niezdolny do podjęcia prawdziwej refleksji. Przychodzą mi do głowy, no, nie wiem, przykłady, ale brak mi koncepcji, która...

– Po prostu pisz, a ja będę cię wspierać.

I pisałem, a Sara mnie wspierała i była przy mnie blisko, zajmując się rysowaniem. Zostało nam niewiele czasu, za mało, na przebywanie jedno obok drugiego, na pracę, na życie, na oswojenie naszych lęków. Ja pisałem, a ty byłaś przy mnie. Sara ilustrowała bajki i rysowała węglem, a Adrian był przy niej, podziwiając jej kreskę. Sara prowadziła koszerną kuchnię i pouczała go o jej różnorodności, a Adrian rewanżował się nieśmiertelnym omletem z ziemniakami, ryżem na sypko i kurczakiem z patelni. Od czasu do czasu przychodziły od Maksa przesyłki z winem wybornych roczników. Śmiali się bez powodu. Wchodził do jej pracowni, kiedy przez dobre dziesięć minut wpatrywała się skupiona w sztalugi z białym arkuszem, rozmyślając o swoich sprawach, swoich tajemnicach, swoich sekretach, swoich łzach, których nie pozwala mi otrzeć.

– Ja też cię kocham, Saro.

Odwracała się wtedy i przenosiła wzrok z pustego papieru na moją bladą twarz (bladą jak kreda, według dzielnego Czarnego Orła) i mijały ze trzy sekundy, zanim się do mnie uśmiechnęła, bo trudno jej było się oderwać od swoich spraw, swoich tajemnic, swoich sekretów, swoich tajemnych łez. Ale byliśmy szczęśliwi. A teraz, kiedy wychodziliśmy z cmentarza w Tybindze, powiedziała mi ty pisz, a ja będę cię wspierać.

Kiedy jest zimno, nawet wiosną, nocne kroki brzmią inaczej, jakby zimno było głośnie, pomyślał Adrian, gdy w milczeniu szli w stronę hotelu. Nocne kroki dwojga szczęśliwych ludzi.

– Sie wünschen?

– Adrian Ardèvol? Adrian? To ty?

– Mhm. Tak. Bernat?

– Cześć. Możesz rozmawiać?

Adrian spojrzał na Sarę, która właśnie zdjęła kurtkę i zaciągała zasłony w ich pokoju w hotelu Am Schloss.

– Co się dzieje? Czego chcesz?

Sara zdążyła umyć zęby, włożyć piżamę i położyć się do łóżka. Adrian powtarzał aha, tak, jasne, jasne, tak. Po pięciu minutach milczenia spojrzał na Sarę, która patrząc w sufit, pozwalała się ukołysać ciszy.

– Słuchaj, ja teraz... Tak. Tak. No jasne.

Kolejne trzy minuty. Wydaje mi się, że ty, najdroższa, myślałaś o nas obojgu. Co chwilę rzucałem spojrzenia w twoją stronę i widziałem, jak pojawia się i znika zadowolony uśmiech na twoich ustach. Mam wrażenie, najdroższa, że byłaś ze mnie dumna, a ja czułem się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

– Że co?

– Stary, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Jasne, że tak.

– Więc tak to wygląda. Ja już nie mogę...

– Bernat, może powinieneś pomyśleć o separacji. Jak się nie da, to się nie da. – Pauza. Adrian słyszał oddech przyjaciela po drugiej stronie. – No nie?

– Ale wiesz, ja...

– A jak ci idzie pisanie powieści?

– Nie idzie mi. Myślisz, że mogę się skupić, mając na głowie cały ten syf? – Cisza w oddali: – Poza tym nie umiem pisać, a na dodatek ty oczekujesz ode mnie separacji.

– Nie oczekuję od ciebie separacji. Niczego nie oczekuję. Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

Minęło jeszcze trzy i pół minuty, zanim Bernat powiedział dziękuję, że mnie wysłuchałeś, i zdecydował się odłożyć słuchawkę. Adrian jeszcze przez chwilę siedział przy telefonie. Później wstał i odsłonił brzeg delikatnej firanki. Na zewnątrz cichutko padał śnieg. Poczuli się bezpiecznie u boku Sary. Poczuli się bezpiecznie przy tobie, Saro: wtedy było dla mnie nie do wyobrażenia, że teraz, kiedy do ciebie piszę, będę wystawiony na kaprysy żywiołów.

Wróciłem z Tybingi nadęty jak balon i dumny jak paw. Patrzyłem na ludzkość z wysoka, zastanawiając się, jak reszta świata może prowadzić tak przyziemne życie. Aż do momentu, kiedy poszedłem na kawę do baru uniwersyteckiego.

– Hej, cześć.

Była coraz ładniejsza. Przypadkiem stanąłem obok niej przy barze.

– Hej, co słychać?

Tak, była coraz ładniejsza. Od paru miesięcy nie irytowała się już tak na mój widok. Może jej się znudziło. Może ułożyła sobie życie.

– Dobrze. A u ciebie? Wiadomo: świetnie ci poszło w Niemczech, nie?

– Tak.

– Ale mnie bardziej się podoba *Wola estetyczna*. O wiele bardziej.

– Mnie też; ale nie mów tego głośno.

Cisza. Ja: łyk czarnej kawy; ona: łyk kawy z mlekiem.

– Jesteś bardzo dobry – powiedziała po chwili.

– Słucham?

– Już powiedziałam. Jesteś bardzo dobry.

– Dziękuję. Ja...

– Nie. Nie psuj tego. Zajmuj się myśleniem i pisaniem książek co jakiś czas. Ale ludzi nie tykaj. Trzymaj się z daleka, rozumiesz?

Skończyła swoją kawę z mlekiem jednym haustem. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej, ale zrozumiałem, że byłoby głupotą drażnić temat. Tym bardziej że jeszcze ci o niej nie wspomniałem, o Laurze. Nie odezwałem się, kiedy można było to zrobić bez problemów. A teraz ona, zamiast przypuścić atak na całym froncie, chwaliła mnie. Miesiąc temu, po przemeblowaniu naszego gabinetu, kiedy wreszcie doczekałem się własnego miejsca, ona wybrała biurko naprzeciw mojego. Musiałem się przyzwyczaić do nowych układów z Laurą. Nawet przyszło mi do głowy, że nie będzie potrzeby, żeby w ogóle wspominać ci o tej kobiecie.

– Dziękuję, Lauro – powiedziałem.

A ona stuknęła dwa razy knykциями w barowy blat i poszła sobie. Musiałem odczekać chwilę, żeby nie spotkać się z nią na schodach. Ale ucieszyłem się, że teraz nie będzie już na mnie krzywo patrzeć. A Omedes powiedział wiesz, Laura Baylina, no, ta słodka blondynka, którą chciałoby się schrupać, podobno prowadzi fantastyczne zajęcia. Podbiła studentów. Cieszę się, pomyślałem. Pomyślałem też, że wszystkie moje świństwa wyszły jej na dobre. Omedesowi odpowiedziałem tak, słyszałem o tym; czasem musi się trafić jakiś dobry wykładowca, nie sądzisz?

Adrian Ardèvol wstał i okrążył czterokrotnie obszerny gabinet. Myślał o słowach Laury, wypowiedzianych tego ranka. Zatrzymał się przed inkunabułami, uświadamiając sobie, że nie wiedział, czemu tak studiuje i studiuje bez końca. Żeby zaspokoić niezwykle pragnienie. Żeby zrozumieć świat. Żeby zrozumieć życie. Sam nie wiem, po co. Przestał się nad tym zastanawiać, kiedy usłyszał rrrrrrrrrrrrrrr. Odczekał chwilę, licząc na to, że Mała Lola pójdzie otworzyć, i znów zasiadł nad Lewisem. Przeczytał cztery linijki refleksji na temat realizmu w literaturze.

– Hauk.

– Co.

– Caterina.

– Rzzzzzzzzzzzzzzzzzz.

Podniósł głowę. Caterina pewnie już wyszła. Spojrzał na zegarek. Za piętnaście ósma. Niechętnie oderwał się od Lewisa.

Otworzył drzwi i zobaczył Bernata z torbą sportową w ręku, który go przywitał słowami cześć, mogę wejść?, i wszedł, zanim zdążył powiedzieć wchodź, stary, wejdz.

Godzinę później wróciła Sara i już z przedpokoju zawołała radośnie dwie baśnie braci Grimm!; zamknęła za sobą drzwi i poszła prosto do pracowni obładowana rysunkami, pytając po drodze nie wstawileś jeszcze warzyw na kolację?

– Hej, witaj, Bernat – dodała. Zauważyła torbę sportową.

– No bo... – zaczął tłumaczyć się Adrian.

Sara zrozumiała, o co chodzi, i powiedziała Bernat, zjesz z nami. Powiedziała to tak, jakby to był rozkaz. I do Adriana: po sześć ilustracji do każdej baśni. Po czym wyszła zanieść materiały do pracowni i przygotować kolację. Bernat rzucił Adrianowi nieśmiałe spojrzenie.

– Zamieszkasz w pokoju gościnnym – Sara przerwała milczenie; siedzieli we troje przed klasztorem Santa Maria de Gerri, jaśniejącym w słońcu padającym od strony Trespui, mimo że była noc. Obaj mężczyźni, zaskoczeni, podnieśli głowy znad talerzy.

– No dobrze: wyobrażam sobie, że chcesz się u nas zatrzymać parę dni, prawda?

Prawda jest taka, Saro, że Bernat jeszcze mnie o to nie poprosił. Domyślałem się, że o to mu chodzi, ale z niewiadomego powodu nie ułatwiałem mu tego.

– Jeśli nie będę wam przeszkadzał.

Zawsze chciałem być taki jak ty, Saro – bezpośredni. Niestety, w moim charakterze nie leży umiejętność brania byka za rogi. Teraz, kiedy wyjaśniliśmy sobie to, co najważniejsze, dalszy ciąg kolacji przebiegał swobodnie. Bernat czuł się w obowiązku tłumaczyć się przed nami, że on nie chce separacji, ale z każdym dniem coraz bardziej się kłócimy i przykro mi, że Llorenç, który...

– Ile on ma lat?

– Nie wiem. Siedemnaście albo osiemnaście.

– To dużo, nie sądzisz? – stwierdziłem.

– Dużo jak na co? – Bernat zaczął się bronić.

– Jak na waszą separację.

– A mnie martwi – wtrąciła się Sara – że nie wiesz, w jakim wieku jest twój syn.

– Tak jak mówiłem, siedemnaście czy osiemnaście lat.

– Siedemnaście czy osiemnaście?

– No...

– Kiedy ma urodziny?

Skruszone milczenie. Ale ty, kiedy chcesz trafić w sedno, łatwo się nie zniechęcasz, drążyłaś dalej:

– Chwileczkę: w którym roku się urodził?

Po chwili zastanowienia Bernat odpowiedział: w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym.

– Latem, jesienią, zimą czy wiosną?

– Latem.

– Ma siedemnaście lat. Voilà.

Nie powiedziałaś nic więcej, a spokojnie mogłaś wylać kubek pomysł na kogoś, kto nie wie, ile lat ma jego syn; biedna Tekla, żyć z takim roztargnionym facetem, który zajmuje się tylko sobą, a wszyscy mają mu się podporządkować, co?, i dalej w tym stylu. Ale ty tylko pokręciłaś głową i komentarz zachowałaś dla siebie. Spokojnie dokończyliśmy kolację. Sara szybko poszła spać i zostawiła nas samych, żeby Bernat mógł się przede mną wygadać.

- Rozstań się z nią – poradziłem.
- To moja wina. Nie znam wieku mojego syna.
- No, nie kpij sobie: rozejdźcie się i spróbuj być szczęśliwy.
- Nie będę szczęśliwy. Będzie mnie zżerać poczucie winy.
- Winy z jakiego powodu?
- Tak ogólnie. Co czytasz?

- Lewis.
- Kto?
- Clive Staples Lewis. Mądry facet.

– Aha. – Bernat przekartkował książkę i odłożył ją na biurko. Spojrzał na Adriana i oświadczył ale ja ją nadal kocham.

- A ona ciebie kocha?
- Wydaje mi się, że tak.
- Zgoda. Ale krzywdzicie siebie nawzajem i krzywdzicie Llorença.
- Nie. Ja przecież... Nieważne.
- Dlatego uciekasz z domu, co?

Bernat oparł się o biurko, zakrył twarz dłońmi i zaczął płakać, szlochał całym ciałem. Trwało to dość długo, a ja nie wiedziałem, jak zareagować – podejść, objąć go, poklepać go po ramieniu czy opowiedzieć mu dowcip. Nie zrobiłem nic. A raczej tak. Odsunąłem książkę C. S. Lewisa, żeby mi jej nie poplamiał. Czasami sam siebie nienawidzę.

Otworzyła mi Tekla, która przez dobrą chwilę wpatrywała się we mnie w milczeniu. Wpuściła mnie do środka i zamknęła drzwi.

- Jak on się czuje?
- Zagubiony. Załamany. A ty?
- Zagubiona. Załamana. Przychodzisz jako mediator?

Prawdę powiedziawszy, Adrian nigdy nie wiedział, o czym rozmawiać z Teklą. Za bardzo się różnili. Niepokoił go jej wzrok. Była bardzo ładna. Czasem wydawało się, że ją samą peszy ta uroda. Teraz miała włosy zebrane byle jak w koński ogon i aż kusilo, żeby ją pocałować z języczkiem. Nie prowokując go, skrzyżowała ramiona i spojrzała mu w oczy, zachęcając do rozmowy, no, mów wreszcie; chciała usłyszeć, że Bernat jest załamany i że pada przed nią na kolana, żeby mu pozwoliła wrócić do domu; zrozumiał, że jest nie do zniesienia, ale stanie na głowie, żeby... i owszem, owszem, wiem, że wyszedł, trzaskając drzwiami, że to on cię zostawił, a nie ty jego, że... Ale prosi, błaga na klęczkach, żebyś pozwoliła mu wrócić, bo nie może żyć bez ciebie i...

- Przyszedłem po skrzypce.

Tekla znieruchomiła na parę sekund, a kiedy oprzytomniała, ruszyła w głąb korytarza, powiedziałbym, że chyba obrażona. Zanim się oddaliła, zdążyłem jeszcze dorzucić i nuty... Te w grubej, niebieskiej teczce...

Wróciła ze skrzypcami i z wypchaną teczką i rzuciła wszystko na stół w jadalni, może zbyt gwałtownie. Była o wiele bardziej obrażona, niż przypuszczałem. Uznałem, że lepiej będzie tego nie komentować. Spakowałem nuty i skrzypce.

- Jest mi bardzo przykro z powodu tej sytuacji – powiedziałem na pożegnanie.

– Mnie również – powiedziała na do widzenia. Trzaśnięcie drzwiami też było nieco za głośne. W tym momencie zauważyłem Llorença, który wbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie, ze sportową torbą przewieszoną przez ramię. Wszedłem szybko do windy, nim chłopak zdążył zauważyć, kto się przed nim chowa w tak żałosny sposób. Tak, wiem, jestem tchórzem.

Drugiego dnia po południu Bernat zaczął grać i wreszcie w naszych ścianach znów słyhać było muzykę skrzypcową z prawdziwego zdarzenia. Adrian w swoim gabinecie wpatrywał się w sufit, koncentrując się na muzyce. Bernat w swoim pokoju, przy oknie wychodzącym na podwórko grał sonaty Enescu. Wieczorem poprosił mnie o storioniego i wydobył z niego wszystko przez dwadzieścia czy trzydzieści rzewnych i rozkosznych minut. Zagrał którąś z sonat tonton Leclaira, ale tym razem bez mojego udziału. Przeszło mi przez myśl, że powinienem mu podarować Viala. Że on potrafi z niego zrobić użytek. Ale powstrzymałem się w porę.

Nie wiem, czy muzyka mu pomogła. W każdym razie po kolacji długo jeszcze gawędziliśmy we troje. Sara zaskoczyła mnie, wspominając wujka Chaima, a od wujka przeszliśmy do tematu banalności zła, bo niedawno zachłannie czytałem Hannah Arendt i teraz wiele rzeczy krążyło mi po głowie, i nie wiedziałem, jakie znaleźć dla nich ujście.

– Dlaczego tak cię to nurtuje? – zapytał Bernat.

– Jeżeli zło może być bezinteresowne, to już po nas.

– Nie rozumiem.

– Jeżeli mogę czynić zło, bo taką mam ochotę, i nic się nie dzieje, to znaczy, że ludzkość nie ma przyszłości.

– Masz na myśli nieumotywowaną zbrodnię, bez powodu.

– Zbrodnia bez powodu jest czymś najbardziej nieludzkim, co można sobie wyobrazić. Widzę człowieka czekającego na autobus i zabijam go. Przeróżające.

– Nienawiść usprawiedliwia zbrodnię?

– Nie, ale ją wyjaśnia. Zbrodnia bezinteresowna, oprócz tego, że jest przerażająca, jest nie do pojęcia.

– A zbrodnia w imię Boga? – wtrąciła się Sara.

– To też zbrodnia bezinteresowna, ale z subiektywnym alibi.

– A w imię wolności? Postępu? Przyszłości?

– Zabijać w imię Boga czy w imię przyszłości to to samo. Kiedy pojawia się ideologiczne usprawiedliwienie, znika empatia i współczucie. Zabija się na zimno, bez najmniejszego zaangażowania sumienia. To coś jak bezinteresowna zbrodnia psychopaty.

Zamilkli na chwilę. Nie patrzyli sobie w oczy, jakby przytłoczył ich ciężar rozmowy.

– Są rzeczy, których nie potrafię zrozumieć – ciągnął Adrian ponurym głosem. – Okrucieństwo. Jak usprawiedliwić okrucieństwo. To może opisać tylko narracja.

– Czemu nie spróbujesz? – zapytałaś, patrząc na mnie tym wzrokiem, który jeszcze teraz mnie świdruje.

– Nie umiem pisać. Pisanie to specjalność Bernata.

– Nie kpij sobie ze mnie, nie jestem w formie.

Dyskusja przygasła i poszliśmy spać. Pamiętam, najdroższa, że tego dnia podjąłem decyzję. Po bezsennej godzinie z szeroko otwartymi oczami wstałem, starając się nie robić hałasu, i wróciłem do gabinetu. Wziąłem kilka czystych kartek, pióro i zabrałem się do dzieła, zaczynając od czasów bardzo odległych, w nadziei, że krok po kroku dotrę do współczesności, i napisałem kamienie nie powinny być zbyt małe, bo wtedy nie są groźne. Ale też nie powinny być za duże, żeby nie skróciły zbytnio cierpienia skazańca. Ponieważ mówimy o karaniu winnych, nie możemy zapominać o tej zasadzie. Wszyscy ci dobrzy ludzie, którzy podnoszą palec, pragnąc wziąć udział w kamienowaniu, powinni pamiętać, że cierpienie ma być odkupieniem winy. Tak jest i zawsze tak było. Dlatego, gdy ranicie kobietę wiarołomną, wybijając jej oko, i pozostajecie niewrażliwi na jej płacz, podobacie się Najwyższemu, Bogu jedynemu, Miłosiernemu i Litościwemu.

Alí Bahr nie zgłosił się na ochotnika: on oskarżał i jego przywilejem było rzucenie pierwszego kamienia. Przed nim zhańbiona Amani, wkopana w ziemię, z której wystawała tylko jej bezwstydną twarz, teraz zapłakana, która już za długo powtarzała nie zabijajcie mnie, Alí Bahr was okłamał. Alí Bahr, niecierpliwy, rozdrażniony słowami wypowiedzianymi przez winną, wysunął się do przodu na znak

dany przez kadiego i rzucił pierwszy kamień, żeby ta kurrwa zamknęła się raz wreszcie, na chwałę Najwyższego. Kamień, który miał uciszyć dziewczynę, zbliżał się do jej głowy powoli, jak on, kiedy wszedł do domu Amani pod pretekstem sprzedaży kosza daktyli. Amani, kiedy zobaczyła mężczyznę, zasłoniła twarz tym, co miała pod ręką, kuchenną ścierką, i zapytała kim jesteście, panie, i co tu robicie.

– Przyniosłem daktyle, żeby je sprzedać Azizzadehowi Alfalatiemu, kupcowi.

– Nie ma go teraz; wróci dopiero wieczorem.

Była to informacja, którą Alí Bahr chciał potwierdzić. Co więcej, udało mu się zobaczyć jej twarz: piękniejsza, o wiele piękniejsza, niż mówiono mu w gospodzie w Murrabashu. Bluźniercze kobiety są zwykle najpiękniejsze. Alí Bahr odstawił kosz na ziemię.

– Nie zamawialiśmy ich – powiedziała, zdziwiona. – Nie jestem upoważniona do...

Podszedł do kobiety dwa kroki bliżej i rozkładając ramiona, z poważną miną, oświadczył chęć tylko odsłonić twój sekret, mała Amani. Z roziskrzonymi oczami dokończył stanowczo:

– Przychodzę w imieniu Najwyższego, by odsłonić bluźnierstwo.

– O co wam chodzi? – przestraszyła się piękna Amani.

Podszedł do dziewczyny jeszcze bliżej:

– Jestem zmuszony odkryć twój sekret.

– Mój sekret?

– Twoje bluźnierstwo.

– Nie wiem, o czym mówicie, panie. Mój ojciec... On... Będziecie się przed nim tłumaczyć.

Alí Bahr nie starał się ukryć iskier, jakie rzucały jego oczy. Zażądał brutalnie:

– Rozbieraj się, heretycka suko.

Sprytna Amani, zamiast go posłuchać, uciekła w głąb mieszkania i Alí Bahr musiał pobiec za nią i chwycić ją za gardło. A kiedy zaczęła wołać o pomoc, musiał zatkać jej usta jedną ręką, podczas gdy drugą rozrywał jej ubranie, żeby pokazać zarzewie grzechu.

– Patrz, heretyczko!

I zerwał jej medalik, który miała na szyi. Zranił ją do krwi.

Mężczyzna oglądał medalik, trzymając go w dłoni. Postać ludzka: kobieta z dzieckiem w ramionach, a w tle jakieś nieznane, bujne drzewo. Po drugiej stronie chrześcijańskie pismo. A więc było prawdą to, o czym plotkowały kobiety: że piękna Amani oddawała cześć fałszywym bogom, a nawet jeśli nie, to przekroczyła zakaz rycia, rzeźbienia, rysowania, malowania, kupowania, noszenia, posiadania czy ukrywania jakiegokolwiek ludzkiego wizerunku, nigdy, w żadnym przypadku, na chwałę Najwyższego.

Schował medalik w fałdach swojej szaty, ponieważ miał zamiar dobrze na nim zarobić, odsprzedając go kupcom zmierzającym nad Morze Czerwone i do Egiptu, ze spokojnym sumieniem, ponieważ on nie wyrzył, nie wyrzeźbił, nie narysował, nie namalował, nie kupił, nie nosił, nie chwalił się posiadaniem ani nie ukrywał żadnego przedmiotu, na którym byłaby przedstawiona ludzka postać.

Kiedy o tym myślał, chowając wisiołek, zauważył, że piękna Amani, w porwanej odzieży, ukazuje część tego lubieżnego ciała, które samo w sobie było grzechem. Mieli rację mężczyźni, którzy pod sugestywnym kształtem szat domyślali się wyjątkowych rozkoszy.

Na zewnątrz rozległo się nawoływanie muftiego wzywające na modlitwę Zuhr.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć, to cię zabiję. Nie zmuszaj mnie do tego – ostrzegł.

Przechylił ją przez skrzynię, w której trzymali ziarno, nareszcie całkiem naga, olśniewającą, zapłakaną. I ta krowa pozwoliła, żeby Alí Bahr wszedł w nią, mimo tych ciągłych szlochów, z rozkoszą, której nie zaznam nawet w raju, a ja wpadłem w takie uniesienie, że zamknąłem oczy, ulegając fali niewyobrażalnej rozkoszy, chwała niech będzie... no, wiadomo komu.

– I wtedy poczułem to straszne ukłucie, a kiedy otworzyłem oczy i wyprostowałem się, czcigodny kadi, zobaczyłem nad sobą oszalałe oczy i rękę, która mi wbiła dłuto i nie wypuszczała narzędzia zbrodni. Ból był taki, że musiałem przerwać Zuhr.

– A jaka waszym zdaniem była przyczyna, że zaatakowała was, pogrążonego w południowej modlitwie?

– Myślę, że chciała mi ukraść kosz daktyli.

– Przypomnij mi, jak się nazywa ta kobieta?

– Amani.

– Przeprowadźcie ją – rozkazał bliźniakom.

Dzwony kościoła Niepokalanego Poczęcia wybiły godzinę dwunastą, a potem pierwszą. Ruch na ulicy już dawno zamarł, a Adrian nie wstawał nawet, żeby się wysikać czy zaparzyć sobie rumianek. Chciał się dowiedzieć, co powie kadi.

– Przede wszystkim powinnaś wiedzieć – cierpliwie wyjaśnił kadi – że tu ja zadaję pytania.

A następnie zapamiętaj sobie, że jeżeli będziesz kłamać, zapłacisz za to życiem. Odpowiedz:

– Czcigodny kadi: nieznany mi mężczyzna wszedł do domu.

– Z koszem daktyli.

– Tak.

– Które chciał ci sprzedać.

– Tak.

– A dlaczego nie chciałaś kupić?

– Ojciec mnie do tego nie upoważnił.

– Kim jest twój ojciec?

– Azizzadeh Alfalati, kupiec. Poza tym nie mam pieniędzy, żeby cokolwiek kupować.

– Gdzie jest twój ojciec?

– Został zmuszony do tego, by wypędzić mnie z domu i nie opłakiwać mnie.

– Dlaczego?

– Bo zostałam zhańbiona.

– I tak spokojnie się do tego przyznajesz, bez wstydu?

– Czcigodny kadi: powiedzieliście, żebym nie kłamała, pod groźbą śmierci.

– Dlaczego się zhańbiłaś?

– Zostałam zgwałcona.

– Przez kogo?

– Przez mężczyznę, który chciał mi sprzedać daktyle. Nazywa się Alí Bahr.

– A dlaczego to zrobił?

– Jego o to zapytajcie. Ja nie wiem.

– Nie masz prawa mówić mi, co mam robić.

– Wybaczcie, czcigodny kadi – pochyliła jeszcze niżej głowę. – Ale ja nie mogę wiedzieć, dlaczego to zrobił.

– Kusiałaś go?

– Nie. Nigdy w życiu! Jestem skromną kobietą.

Zapadła cisza. Kadi przypatrywał się jej z uwagą. W końcu podniosła głowę i powiedziała już wiem: dlatego, że chciał mi ukraść klejnot, który miałam na szyi.

– Jaki?

– Wisiołek.

– Pokaż.

– Nie mogę. Ukradł mi go. A potem mnie zgwałcił.

Dobrotliwy kadi, kiedy ponownie stanął przed nim Alí Bahr, odczekał cierpliwie, aż usuną kobietę sprzed jego oblicza. Kiedy zamknęły się drzwi za bliźniakami, zapytał, nie podnosząc głosu jest jakiś wisiołek, który ukradłeś, Alí Bahr?

– Wisiorek? Ja?

– Nie ukradłeś Amani żadnego wisiora?

– Kłamczucha! – Podniósł ręce: – Możecie mnie zrewidować, panie.

– A więc to kłamstwo.

– Obrzydliwe kłamstwo. Nie było żadnego klejnotu, tylko dłuto, które wbiła człowiekowi, podczas gdy ten pod jej dachem przerwał rozmowę, aby odmówić Zuhr, a może Asr, już nie pamiętam dokładnie.

– Gdzie jest to dłuto?

Alí Bahr wyciągnął dłuto ukryte w fałdach szaty i podał je na otwartej dłoni, jakby składał ofiarę Najwyższemu.

– Tym mnie zaatakowała, dobrotliwy kadi.

Kadi wziął do ręki dłuto, jedno z tych, których się używa do nabijania na ruszt kawałków jagnięciny, obejrzał je i ruchem głowy nakazał Alí Bahrowi, żeby wyszedł. Cekał zatopiony w rozmyśleniach, podczas gdy bliźniacy znów wprowadzili zbrodniczą Amani przed jego oblicze. Pokazał jej dłuto:

– To twoje? – zapytał.

– Tak! Skąd je macie?

– Przyznajesz się, że jest twoje?

– Tak. Musiałam się bronić przed mężczyzną, który...

Kadi zwrócił się do bliźniaków, którzy podpierali ścianę:

– Zabierzcie stąd to ścierwo – rozkazał, nie podnosząc głosu, znużony całym złem świata, które musi znosić.

Kupcowi Azizzadehowi Alfalati zabroniono, pod groźbą kary, choćby jednej łzy żalu, bo kto oplakuje kamienowaną kobietę, popełnia grzech, który obraża Najwyższego. Nie wolno mu też było w żaden sposób okazywać żałoby, chwała niech będzie Miłosiernemu. Nie pozwolono mu też się z nią pożegnać, ponieważ jako przyzwoity człowiek musiał ją potępić za to, że dała się zgwałcić. Azizzadeh zamknął się w swoim domu i nikt się nie dowiedział, czy płakał, czy rozmawiał z żoną, zmarłą wiele lat temu.

Wreszcie pierwszy kamień, nie za mały i nie za duży, przy wtórce wściekłego ryku, wywołanego wspomnieniem bólu, jaki odczuwał, od kiedy morderczy cios wbił mu się w brzuch, sięgnął lewego policzka tej kurwy Amani, która jeszcze krzyczała Alí Bahr zgwałcił mnie i okradł. Ojcze! Mój ojcze! Lut, nie rób mi krzywdy, przecież ty i ja... Na pomoc! Czy nie znajdzie się tu nikt miłosierny? Ale kamień jej przyjaciela Luta uderzył ją w skroń i ogłuszył ją, a ona, wkopana w ziemię, nie mogła poruszyć ręką, żeby się bronić. A Lut cieszył się, że celnością dorównuje Drago Gradnikowi. Zaczęły lecieć odłamki skały, nie za duże i nie za małe, teraz rzucane przez dwunastu ochotników, a twarz Amani zabarwiła się na kolor tak czerwony, jak barwiczka, którą dziwki malują sobie usta, żeby kusić mężczyzn i sprowadzać ich na manowce. Alí Bahr już nie rzucał kamieni, bo Amani przestała krzyczeć i spojrzała mu w oczy. Przeszyła, przekłuła, przewierciła go wzrokiem, jak Gertruda, dokładnie tak, jak Gertruda, i ból brzucha dał o sobie znać z większą siłą. Teraz piękna Amani nie mogła już płakać, ponieważ odłamek skały wybił jej oko. A drugi, większy, ostry kamień trafił ją w usta i dziewczyna dusiła się własnymi wybitymi zębami, ale największy ból powodowała zaciętość dwunastu mężczyzn, którzy bez przerwy rzucali w nią kamieniami, a jeśli któryś z nich nie trafił z tak bliskiej odległości, klął w duchu i kolejnym razem bardziej się starał. A imiona tych dwunastu sprawiedliwych były takie: Ibrahim, Bâqir, Lut, Marwan, Tâhar, Uqba, Idris, Zuhayan, jeszcze jeden Tâhar, jeszcze jeden Bâqir i Mâhir, chwała niech będzie Najwyższemu, Litościwemu i Miłosiernemu. Azizzadeh zamknięty w domu słyszał wrzaski dwunastu ochotników i wiedział, że trzej z nich byli z ich wioski i że bawili się z jego córką, póki nie pojawiła się u niej pierwsza krew, kiedy musiał ją ukryć, na chwałę Miłosiernego. A kiedy usłyszał ogólny ryk, zrozumiał, że jego Amani, po tej strasznej kaźni, już jest martwa. Wtedy nogą przewrócił taboret i jego ciało opadło, przytrzymywane tylko za szyję sznurem do pakowania paszy. Przez chwilę poruszało się jeszcze w konwulsjach, ale zanim ucichł ryk, Azizzadeh był już martwy i wyruszył po swoją córkę, żeby

odprowadzić ją do odległej małżonki. Martwe ciało nieszczęsnego Azizzadeha Alfalatiego oddało moc na koszt daktyli, w przedsionku sklepu. A kilka ulic dalej za duży kamień przetrącił kręgosłup Amani; przecież was uprzedzałem, te są za duże! Widzicie? Już nie żyje. Kto to zrobił? A dwunastu ochotników wskazało ruchem głowy Alí Bahra, który już miał dość ślepego spojrzenia tej dziwki, wpatrującej się w niego tym okiem, jakie jej pozostało, jakby chciała się zemścić: zostawić po sobie spojrzenie, którego się nie pozbędzie ani na jawie, ani we śnie. I jeszcze napisałem, że zaraz następnego dnia Alí Bahr znalazł karawanę kupiecką udającą się do Aleksandrii w Egipcie, gdzie mieli zamiar handlować z marynarzami chrześcijańskimi, teraz, kiedy miasto wpadło w ręce Brytyjczyków. Alí Bahr podszedł do tego, który wydał mu się najbardziej zdeterminowany, i otworzył przed nim dłoń, upewniając się wcześniej, czy nie ma w pobliżu żadnego tubylczego świadka. Tamten spojrzał na wisiołek i wziął go do ręki, żeby mu się lepiej przyjrzeć; Alí Bahr gestem nakazał ostrożność, a tamten natychmiast usunął się w cień za odpoczywającym wielbłądem. Mimo nakazów prawa, mimo świętych słów Koranu, był zainteresowany robieniem interesów. Kupiec obejrzał dokładniej wisiołek i przesunął po nim palcami, jakby go chciał oczyścić.

– To złoto – powiedział Alí Bahr. – Łańcuszek też.

– Wiem. Ale to kradzione.

– Jak śmiesz! Chcesz mnie obrazić?

– Myśl sobie, co chcesz...

Chciał zwrócić wisiołek pięknej Amani Alí Bahrowi, ale tamten nie przyjął go z powrotem; pokręcił głową i opuścił ręce, pewnie dlatego, że to złoto już mu paliło wnętrzości. Musiał się zgodzić na zaproponowaną cenę i dał się oszukać kupcowi. Kiedy Alí Bahr oddalił się, kupiec mógł spokojnie obejrzyć medalik. Chrześcijańskie litery. W Aleksandrii wezmą go z pocałowaniem ręki. Zadowolony, przesunął ręką po powierzchni, jakby chciał ją oczyścić z nagromadzonego brudu. Przez chwilę zastanawiał się, odsunął lampkę oliwną, którą go oświetlał, i powiedział, patrząc na młodego Brocie:

– Znam ten medalik.

– No, to jest... Matka Boska z Moeny, moim zdaniem.

– Matka Boska Kwietna. – Odwrócił medalik, żeby pokazać młodzieńcowi rewers: z Pardàcu, widzisz?

– Naprawdę?

– Nie umiesz czytać. Jesteś jednym z Muredów?

– Tak, panie – skłamał młody Brocia. – Potrzebne mi pieniądze, bo się wybieram do Wenecji.

– Ach, Muredowie, trudno wam usiedzieć na miejscu. – Nie przestając oglądać medalika, dodał: – Chcesz zostać marynarzem?

– Tak. Chcę jechać daleko. Do Afryki.

– Ścigają cię, prawda?

Jubiler położył medalik na stole i popatrzył mu w oczy.

– Co przeskrobałeś?

– Nic. Ile mi za niego dacie?

– Wiesz, że morze bywa niebezpieczne dla lądowych szczurów?

– Ile mi dacie za ten medalik, kumie?

– Zachowaj go sobie na ciężkie czasy, synu.

Instynktownie młody Brocia rozejrzał się niespokojnie po warsztacie tego ciekawskiego Żyda. Byli sami.

– Chcę pieniędzy teraz, jasne?

– Co się stało z Jachiamem Muredą? – zainteresował się stary złotnik z Plany.

– Dołączył do swoich, do Agno, Jenna, Maksa, Hermesa, Josefa, Theodora, Micury, Ilse, Eriki, Kathariny, Matyldy, Gretchen i ślepej Bettiny.

– Cieszę się. Naprawdę.

– Ja też. Wszyscy są razem, pod ziemią, zżerani przez robaki, które gdy uporają się z mięsem, dobiórą się do ich duszy. – Zabrał mu wisiołek z rąk. – Kurrrwa, kupujecie wreszcie ten medalik czy mam wyciągnąć nóż?

W tym momencie dzwony kościoła Niepokalanego Poczęcia wybiły trzecią nad ranem i Adrian pomyślał jutro będę do niczego.

Niczym od ziarnka piasku dramat może się zacząć również od niewinnego gestu bez znaczenia. Tym razem był to komentarz, na który pozwolił sobie Adrian następnego dnia po kamienowaniu, przy kolacji, pytając, no i jak, zdecydowałaś się już?

– W jakiej kwestii?

– No, czy... Po prostu, czy wracasz do domu czy / Czy szukam sobie pensjonatu. Dobrze.

– Ej, nie obrażaj się. Tylko chciałem wiedzieć, czy... jasne?

– Spiesz ci się? – wtrąciłaś się, surowo, stanowczo i zdecydowanie stając po stronie Bernata.

– Nie, nic, nic nie mówiłem.

– Nie przejmujcie się. Jutro się wyprowadzę.

Bernat patrząc na Sarę, powiedział jestem wam bardzo wdzięczny za przyjęcie mnie na te parę dni.

– Bernat, ja nie chciałem...

– Jutro po próbie przyjdę zabrać rzeczy. – Uciał moje niezdarne przeprosiny. – Masz rację, najwyższy czas ruszyć tyłek. – Uśmiechnął się do nas. – Żeby mi nie przyrósł do miejsca.

– Co masz zamiar zrobić? Wrócisz do domu?

– Nie wiem. W nocy to sobie przemyślę.

Bernat się zastanawiał, a Adrian czuł, że milczenie Sary, podczas gdy zakładała pizamę i myła zęby, nie wróży najlepiej. Dotychczas chyba tylko raz widziałem cię tak wkurzoną. Dlatego zasłoniłem się Horacym. Leżąc na łóżku, czytałem *Solvitur acris hiems grata vice veris et Favoni / trahuntque siccias machinae carinas...*

– Ale się popisałeś! – odezwała się Sara, rozgoryczona, wchodząc do sypialni.

ac neque iam stabulis gaudet pecus aut arator igni. Adrian podniósł wzrok znad ody i powiedział co?

– Popisałeś się przed twoim przyjacielem.

– Dlaczego?

– Jeżeli to taaaki serdeczny przyjaciel...

– Ponieważ to taaaki serdeczny przyjaciel, zawsze mówię mu prawdę.

– Podobnie jak on, kiedy mówi ci, że podziwia twoją wiedzę i że jest dumny, widząc, jak rozchwytyją cię europejskie uniwersytety, jak twoje nazwisko robi się znane i...

– Bardzo bym chciał móc powiedzieć to samo o Bernacie. Mógłbym o jego muzyce, ale na tym mu nie zależy.

Wrócił do Horacego i przeczytał *ac neque iam stabulis gaudet pecus aut arator igni / nec prata canis albicant pruinis.*

– Bardzo dobrze. Fantastycznie. Merveilleux.

– Co? – Adrian znów podniósł głowę, a w myśli powtarzał *nec prata canis albicant pruinis.* Sara patrzyła na niego wściekła. Chciała coś powiedzieć, ale zdecydowała się wyjść z sypialni. Przymknęła drzwi – energicznie, ale nie robiąc hałasu. Nawet kiedy się gniewałaś, zachowywałaś umiar. Poza tamtym dniem. Adrian patrzył na przymknięte drzwi, nie do końca uświadamiając sobie, co się dzieje. Niczym gwałtowna ulewa jego myślami zawładnęła teraz lektura i znów czytał słowa *dum gravis Cyclopus / Volcanus ardens visit officinas,* z ody obrażonej za ciągłe przerywanie.

– Mówiłeś coś? – zapytała Sara, otwierając drzwi, z ręką na klamce.

– Nic, przepraszam. Głośno myślałem.

Znów przymknęła drzwi. Musiała stać tam po drugiej stronie. Nie lubiła wychodzić w koszuli nocnej, kiedy w domu byli obcy. Nie wiedziałem, że miałaś wtedy dylemat, czy dotrzymać danego słowa, czy przypuścić na mnie frontalny atak. Wybrała wierność danemu słowu, i wróciła. Położyła się do łóżka i powiedziała dobranoc.

Dla kogo puszczasz włos płowych warkoczy, prosta w stroju?^[2], przyszła Adrianowi do głowy absurdalna myśl, kiedy zmieszany patrzył na swoją Sarę, odwróconą do niego plecami, obrażoną nie wiadomo o co, z rozpuszczonymi czarnymi włosami opadającymi na ramiona. Z niewymuszoną elegancją. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć, i zdecydowałem się zamknąć książkę z odami i zgasić światło. Długo leżałem z otwartymi oczami.

Następnego dnia, kiedy Sara i Adrian wstali, o zwykłej porze, po Bernacie nie było ani śladu, znikły też jego skrzypce, nuty i ubranie. Zostawił tylko kartkę na stole, że dziękuje, drodzy przyjaciele. Naprawdę, dziękuję. W pokoju starannie złożył na łóżku swoją pościel. Odszedł definitywnie, a ja poczułem się fatalnie.

– Hauk.

– Co.

– Pokpiłeś sprawę, drogi towarzyszu wspólnych łowów.

– Nie pytałem cię o zdanie.

– Ale wszystko spieprzyłeś. Prawda, Carsonie?

Adrian usłyszał tylko nieprzyjemny odgłos energicznego splunięcia na ziemię dzielnego szeryfa.

O dziwo, Sara, kiedy zauważyła ucieczkę Bernata, nie robiła mi wyrzutów. Życie toczyło się dalej utartym trybem. A ja potrzebowałem paru lat, żeby to zrozumieć.

Adrian przesiedział całe popołudnie, wpatrując się w ścianę gabinetu, niezdolny do napisania choćby jednej linijki. Nie mógł skoncentrować się na lekturze; obserwował ścianę, jakby spodziewał się znaleźć na niej wyjaśnienie swojego stanu. Kiedy wreszcie stwierdził, że nie spędził pożytecznie nawet dziesięciu minut, zdecydował, że zrobi herbatę. Z kuchni zawołał chcesz herbaty?, a mhm, które usłyszał w odpowiedzi z pracowni Sary, zinterpretował jako tak, dziękuję, świetny pomysł. Kiedy wszedł z parującą filiżanką do pracowni, spojrzał na jej kark. Zebrała włosy w koński ogon, jak zawsze przy rysowaniu. Kocham twój warkocz, twój koński ogon, twoje włosy, w każdej fryzurze. Sara pochłonięta była rysowaniem na podłużnym arkuszu domów, które tworzyły coś w rodzaju opuszczonego miasteczka. Teraz rysowała folwark na drugim planie. Adrian wypił łyk herbaty i patrzył z otwartymi ustami, jak powoli rozrastało się domostwo; tak, też opuszczone. Z cyprysem przełamany na pół, pewnie przez piorun. Nie kończąc folwarku, Sara wróciła do domów przy ulicy na pierwszym planie, po lewej stronie rysunku, i dorysowała kliniec otaczający okno, którego wcześniej tam nie było. Rysowała tak szybko, że Adrian musiał zadać sobie pytanie, jak to możliwe, że Sarze udało się dostrzec okno tam, gdzie on widział tylko biały papier, a teraz, kiedy już powstało, to jakby znajdowało się tam od zawsze; miał wrażenie, że już kiedy kupowała papier w sklepie Terricabres, sprzedali go jej z tym oknem; pomyślał, że ten talent Sary to prawdziwy cud. Sara porzuciła okno i wróciła do folwarku, żeby przyciemnić otwarte drzwi wejściowe i dom, który do tej pory ograniczał się do szkicu, zaczął nabierać kształtów, jakby cień rozmazanego węgla pozwolił na wyobrażenie sobie życia toczącego się wewnątrz. Adrian znów pociągnął łyk z filiżanki Sary, pełen podziwu.

– Skąd ci się to wszystko bierze?

– Stąd – odpowiedziała i zostawiła czarny ślad na czole, którego dotknęła pobrudzonym palcem.

Teraz przystąpiła do postarzania drogi, przywracając koleiny, które przez całe dziesięciolecia żłobiły na niej koła wozów, pokonujących odległość z folwarku do miasteczka, a ja jej pozazdrościłem mocy twórczej. Kiedy skończyłem pić herbatę, którą jej przyniosłem, powrócił stan konsternacji, który nie pozwalał mi się skupić przez całe popołudnie. Kiedy Sara wróciła od ginekolożki, zostawiła w przedpokoju otwartą torebkę i szybko weszła do łazienki; Adrian zajrzał do środka, szukając pieniędzy, żeby nie iść do bankomatu, a kiedy znalazł informację pani doktor Andreu przeznaczoną dla lekarza rodzinnego, nie mógł się powstrzymać i rzucił okiem, tak, mea culpa, ona mi tego nie pokazała. Przeczytałem. Ponieważ macica pacjentki, pani Voltes-Epstein, która przeszła tylko jedną ciążę, była całkowicie zdrowa, mimo sporadycznych metrorrhagii, dlatego podjęta została decyzja o usunięciu wkładki domacicznej IUD, która jest najbardziej prawdopodobną przyczyną metrorrhagii. Znów po kryjomu musiałem zajrzeć do słownika, jak wtedy, kiedy sprawdzałem, co znaczy lupanar i pedał, i przypomniałem sobie, że metro- jest prefiksem pochodzącym od greckiego słowa *mētra*, co znaczy macica, a -rhagia było formą sufiksovą pochodną od greckiego słowa *rhēgnymi*, czyli wypływać. Wypływająca macica, tak mogłaby się nazywać kuzynka Czarnego Orła, ale nie: to były krwotoki, którymi tak się przejmowała. Nie pamiętał, że Sara miała iść z tym do swojej lekarki. Dlaczego mi o tym nie powiedziała? Następnie Adrian przeczytał ponownie przeszła tylko jedną ciążę, i zrozumiał, skąd to milczenie. O cholera.

A teraz Adrian stał przed nią, gapiąc się jak głupi, popijając jej herbatę i podziwiając niezwykłą umiejętność tworzenia głębi w dwu tylko wymiarach, i jej upór, żeby zachować dla siebie wszystkie sekrety.

Drzewo figowe; wyglądało jak drzewo figowe. W rogu folwarku rośło drzewo figowe, a na ścianie

wisiał koło od wozu. Sara odezwała się będziesz tak stał mi nad głową przez cały dzień?

- Lubię patrzeć, jak rysujesz.
- Jestem nieśmiała, a ty mnie peszysz.
- Co ci powiedziała lekarka? Prawda, że miałaś dzisiaj wizytę?
- Nic, wszystko w porządku. Że jestem zdrowa.
- A krwotoki?
- To przez IUD. Na wszelki wypadek usunęła mi wkładkę.
- Czyli możemy się nie martwić.
- Tak.
- Musimy się zastanowić, co teraz.

Co miała na myśli lekarka, mówiąc, że twoja macica przeszła tylko jedną ciążę? Co, Saro? No co?

Sara odwróciła się i spojrzała na niego. Na czole miała czarną plamkę. Czyżbym myślał głośno? – pomyślał cichutko Adrian. Sara popatrzyła na filiżankę i pokręciła nosem ej, wypijeś mi całą herbatę!

– Cholera, rzeczywiście, przepraszam! – Zaśmiała się dźwięcznie tym śmiechem, który przypominał mu szum strumyka. Wskazałem rysunek: – Co przedstawia ta scenka?

– To fantazja na temat tego, jak w twoich opowieściach z dzieciństwa wyglądała Tona.

– Cudowne... Ale wygląda jak opuszczone miejsce.

– Ponieważ pewnego dnia dorosteś i opuściłeś je. Widzisz? – Pokazała drogę. – Tu potknąłeś się i rozbiłeś sobie kolana.

– Kocham cię.

– Ja bardziej.

Dlaczego nic nie powiedziałaś o tej ciąży, w której byłaś, przecież dziecko to coś najważniejszego na świecie. Czy twoje dziecko żyje? Umarło? Jak miało na imię? Naprawdę się urodziło? Chłopiec czy dziewczynka? Jakie było? Wiem, że masz prawo nie opowiadać mi wszystkiego o swoim życiu, ale nie mogę się zgodzić, byś zachowywała dla siebie całe cierpienie; chciałbym je z tobą dzielić.

– Rzzrzzrzzrzzrzzrzz.

– Idę otworzyć – powiedział Adrian. Patrząc na rysunek: – Jak skończysz, rezerwuję sobie pół godziny na podziwianie.

Kiedy otwierał drzwi kurierowi, trzymał jeszcze w ręce pustą filiżankę.

Do kolacji napoczęli butelkę, chyba najdroższą z tych, które im przysłał Maks. Sześć butelek czerwonego wina, każda inna, a wszystkie najwyższej jakości, opisane w folderze, który Maks wydał własnym sumptem, z komentarzami na temat smaku wina, opracowanymi przez niego samego. Eleganckie wydanie, z mnóstwem wspaniałych zdjęć, było czymś w rodzaju poradnika dla amatorów, adresowanego do niecierpliwego podniebienia północnoamerykańskich smakoszy.

– Do degustacji lepszy będzie kieliszek.

– Ale mnie bawi picie z porrona.

– Saro: gdyby twój brat się dowiedział, że pijesz jego wino z porrona...

– Zgoda. Ale tylko łyk. – Wzięła kieliszek. – Co o nim pisze Maks?

Adrian z całą powagą nalał wino do kieliszków i trzymając jeden z nich za nóżkę, z namaszczeniem zabrał się do czytania tekstu; jak przez mgłę przypominał sobie szkołę, te momenty, gdy z powodu jakiejś zmiany w planie lekcji zostawał na mszy i przyglądał się kapłanowi przy ołtarzu, celebrującemu w otoczeniu paten, kielichów i ampułek szeptane po łacinie misterium. Rozpoczął modlitwę słowami domina mea, dojrzałe wino z Prioratu to aksamitny i złożony trunek. Ma intensywny aromat, który przypomina o gwoździach i osmalonym drewnie, dzięki wyśmienitej jakości dębowych beczek, w których leżakowało.

Dał znak Sarze i oboje posmakowali łyk wina, tak jak im pokazywał Maks w dniu, kiedy uczył ich, jak

się degustuje, i mało brakowało, a skończyliby, tańcząc kongę na stole w jadalni.

– Wyczuwasz nutkę spalenizny?

– Nie. Wyczuwam ruch na ulicy València.

– Skup się – polecił jej Adrian, cmokając językiem. – Ja... mnie się wydaje, że czuję coś jakby ślad smaku kokosa.

– Kokosa?

Czemu nie chcesz mi wyjawić swoich sekretów, Saro? Jaki posmak zostawiło twoje życie, te epizody, których nie znam? Smak truflి czy jeżyny? A może posmak dziecka, którego nie poznałem? Ale przecież dziecko jest czymś normalnym, czego każdy pragnie. Co masz przeciwko życiu?

Jakby usłyszała moje myśli, Sara powiedziała patrz, patrz, patrz, patrz, co mówi Maks: ten priorat jest męski, złożony, intensywny, silny, z mocną strukturą.

– Ja pierdołę.

– Jakby mówił o samcu rozplodowym.

– Smakuje ci czy nie?

– Tak. Ale jest za mocne jak na mój gust. Trzeba by je ochrzcić.

– Niech cię ręka boska broni. Maks chyba by cię zabił.

– Nie musi o tym wiedzieć.

– Ja mu doniosę.

– Mouchard, salaud.

– Tylko żartowałem.

Piliśmy dalej i czytaliśmy prozę poetycką, jaką Maks raczył swoich amerykańskich klientów, amatorów wina z regionów Priorat, Coster del Segre, Montsant i sam już nie wiem jakich jeszcze, i w końcu byliśmy tak zawiani, że ogłuszający hałas odpalanego motoru na ulicy zamiast nas oburzyć, sprawił, że pękaliśmy ze śmiechu. I w końcu piłaś ze swojego porrona, i ochrzciłaś je, mimo całego szacunku dla Maksa, który nigdy się o tym nie dowie. Nie zdobyłem się na pytanie, o co chodziło z tym dzieckiem czy z tą ciążą. Może ją usunęłaś? Czyje było to dziecko? Wtedy zadzwonił przeklęty telefon, który pojawia się w moim życiu w najmniej odpowiednich chwilach. Nie zdobyłem się na to, żeby z niego zrezygnować, ale sądząc po skutkach, moje życie bez telefonu byłoby o wiele znośniejsze. Cholera, kręci mi się w głowie. Nie, nie, już odbieram. Słucham.

– Adrianie.

– Maks?

– Tak.

– A to dopiero. Właśnie fetujemy jedno z twoich win! Przysięgam, że Sara nie pije z karafki, rozumiesz? Zaczęliśmy od wina z Prioratu, męskiego, silnego, złożonego i, kurde, nie wiem, co jeszcze, takiego, które powinno się pić po kropelce. Dziękujemy za prezent, Maks.

– Adrianie.

– Słuchaj, jest niesamowite.

– Zmarł ojciec.

– I folder jest rewelacyjny. I zdjęcia, i teksty.

Adrian przełknął ślinę, ciągle nieco oszołomiony, i zapytał co takiego? W tym momencie odezwała się Sara, jak zawsze czujna: o co chodzi?

– Ojciec umarł, słyszysz, Adrianie?

– O cholera.

Sara wstała i podeszła do telefonu. Powiedziałem: twój ojciec, Saro. I do słuchawki: zaraz przyjedziemy, Maks.

Informacja o śmierci każdego z twoich rodziców dotarła do nas przez telefon, jak grom z jasnego nieba, chociaż pan Voltes już od paru lat był w słabej formie, serce odmawiało mu posłuszeństwa

i byliśmy przygotowani, że w jego wieku można się spodziewać najgorszego. Maks był bardzo poruszony, bo pomimo że to on opiekował się ojcem, mieszkając u rodziców, nie przewidział, że to już koniec, i w chwili, gdy ojciec umierał, był poza domem, a kiedy wrócił, pielęgniarka powiedziała mu tylko panie Voltes, pański ojciec. Czuł się winny z niewiadomego powodu; wziąłem go na stronę, żeby mu powiedzieć Maks, byłeś idealnym synem, zawsze oddanym swoim rodzicom. Nie krzywdź samego siebie, bo to by było niesprawiedliwe i... ile miał lat? Osiemdziesiąt?

– Osiemdziesiąt sześć.

Nie ośmieliłem się powołać na podeszły wiek jako argument mający przynieść ulgę jego sumieniu. Powtórzyłem tylko kilkakrotnie osiemdziesiąt sześć, nie wiedząc, co jeszcze mógłbym dodać, spacerując po ogromnym salonie w mieszkaniu państwa Voltes-Epstein w towarzystwie Maksa, który mimo że o głowę ode mnie wyższy, sprawiał wrażenie niepocieszonego dziecka. Tak, tak, stać mnie było na słowa otuchy. Jak łatwo jest dawać rady innym.

Tym razem mogłem towarzyszyć rodzinie w synagodze i na cmentarzu. Maks wyjaśnił, że ojciec chciał być pochowany zgodnie z żydowską tradycją, dlatego zawinięto go w biały całun; na nim umieszczony został tałes, który członkowie bractwa Chewra Kadisza kazali Maksowi, pierworodnemu synowi, porwać na strzepy. Na żydowskim cmentarzu w dzielnicy Corts został pochowany w ziemi, obok Racheli, twojej matki, której nie wolno mi było darzyć uczuciem. Saro, jaka szkoda, że sprawy tak się potoczyły, myślałem, słuchając, jak rabin recytuje El Male Rachamim. A kiedy nastąpiła cisza, Maks i Sara wysunęli się do przodu, wzięli się za ręce i odmówili kadysz za Pau Voltesa, a ja rozplakałem się w tajemnicy przed samym sobą.

Sara przeżywała w tych dniach wielki ból, a pytania, które chciałem ci zadać, przestały być pilne, bo właśnie miało nam się przytrafić coś, co unieważniło wszystko.

Okolice Headington House były spokojne i urocze, takie, jak Adrian je sobie wyobrażał. Zanim Sara nacisnęła dzwonek, spojrzała na niego, uśmiechnęła się i Adrian poczuł się najbardziej kochanym człowiekiem na świecie. Miał ochotę natychmiast obsypać ją pocałunkami i ledwo się powstrzymał, bo już służąca otwierała drzwi i na progu ukazała się wspaniała sylwetka Aline Gunzbourg. Sara i jej daleka ciotka objęły się w milczeniu, jakby były starymi przyjaciółkami, które nie widziały się od lat, albo dwiema koleżankami, które darzą się głębokim szacunkiem, ale które jednak rywalizują ze sobą, albo jak dwie dobrze wychowane panie, jedna dużo młodsza od drugiej, które z jakiegoś profesjonalnego powodu muszą się traktować z wyszukaną uprzejmością, albo jak ciotka i siostrzenica, które nigdy wcześniej się nie spotkały, albo jak dwie osoby, które zdają sobie sprawę, że uniknęły o włos wpadnięcia w szpony Abwehry, gestapo i SS, bo kalendarz życia nie postawił na ich drodze niefortunnych miejsc czy czasów. Zło bowiem stara się zniszczyć wszystkie szczęśliwe plany, choćby najskromniejsze, i robi wszystko, żeby siać jak największe zniszczenie w swoim zasięgu. Frenetyczny taniec plemników i komórek jajowych, przedwczesne zgony, podróże, ucieczki, znajomości, nadzieje, wątpliwości, zerwania, powroty, przemieszczenia i tyle innych przeszkód, które piętrzyły się na drodze, by nie dopuścić do tego spotkania, zostały unieważnione tym serdecznym uściskiem dwóch obcych sobie, dojrzałych kobiet, jednej czterdziestosześcioletniej, drugiej po siedemdziesiątce, obu milczących, obu uśmiechniętych, na progu Headington House, na moich oczach. Jakie dziwne jest życie.

– Zapraszam.

Podawała mi rękę z uśmiechem. W milczeniu uścisnęliśmy sobie dłonie. Dwie partytury Bacha, oprawione, cieszyły wzrok gości przy wejściu. Spróbowałem się uspokoić i uśmiechnąć kulturalnie do Aline Gunzbourg.

To były dwie niezapomniane godziny w gabinecie Isaiaha Berlina, na piętrze Headington House, wśród książek, a czas na zegarze nad kominkiem płynął zbyt szybko. Berlin był bardzo przygnębiony, jakby już wiedział, że umrze sześć miesięcy później. Słuchał Aline, uśmiechał się pod nosem i powtarzał mi już niewiele zostało czasu. Teraz wy musicie kontynuować dzieło. Później powiedział nieco ciszej śmierć nie budzi we mnie lęku, tylko gniew. Niepokoi mnie, ale nie przeraża. Gdzie ty jesteś, śmierci nie ma, gdzie jest śmierć, nie ma ciebie. Dlatego szkoda czasu na lęk. Było dla mnie jasne, że się boi, chyba tak samo jak ja, bo za dużo mówił na ten temat. Dodał jeszcze Wittgenstein twierdził, że śmierć nie należy do życia. Adrianowi przyszło wtedy do głowy pytanie co go w życiu najbardziej zaskoczyło.

– Zaskoczyło? – Tykanie zegara zdominowało atmosferę w pokoju i nasze myśli, a Berlin zastanawiał się, jakby powoli powracał z daleka. – Zaskoczyło... – powtórzył. Odpowiedział zdecydowanym tonem: – Tak, sam fakt, że udało mi się zachować radość życia i pogodę ducha, pomimo tylu horrorów, w najgorszym wieku w dziejach ludzkości. Bo pod względem zła wyraźnie zdystansował on wszystkie inne. Nie tylko ze względu na Żydów.

Spojrzał na mnie niepewnie, i, jakby się wahał, przez chwilę szukał odpowiedniego słowa, aż wreszcie dokończył myśl bywałem szczęśliwy, ale zawsze towarzyszył mi głos sumienia i poczucie winy kogoś, kto przeżył.

– Co? – zapytały Aline i Sara jednocześnie.

Uświadomiłem sobie, że te ostatnie słowa wypowiedział szeptem po rosyjsku. Przetłumaczyłem, nie odwracając głowy, nie odrywając od niego wzroku, bo Berlin kontynuował. Teraz, już po angielsku, podjął przerwany wątek, mówiąc co zrobiłem, żeby ująć całość? – Pokręcił głową: – Niestety, większość Żydów w dwudziestym wieku żyje przytłoczona tym ciężarem.

– Myśle, że to samo czuli Żydzi w innych epokach – wtrąciła się Sara.

Berlin spojrział na nią i otworzył usta, ale tylko pokiwał głową w milczeniu. Chwilę później zainteresował się publikacjami profesora Adriana Ardèvola, jakby chciał rozproszyć smutne myśli. Widać było, że przeczytał z zainteresowaniem *Historię myśli europejskiej* i że mu się podobała, ale nadal uważał *Wolę estetyczną* za prawdziwy klejnocik.

– A ja ciągle się zastanawiam, jak ta książka do pana dotarła.

– Och! To sprawka waszego przyjaciela. Prawda, Aline? Tych dwóch cudaków, jeden coś ze dwa metry, drugi półtora w kapeluszu... – Uśmiechnął się na samo wspomnienie, patrząc przed siebie, na ścianę. – Dziwna para.

– Isaiah...

– Byli przekonani, że może mnie zainteresować, i dlatego mi ją przywieźli.

– Isaiah, prawda, że masz ochotę na herbatę?

– Tak, słucham...

– Macie ochotę na herbatę? – Teraz tante Aline zwróciła się z pytaniem do wszystkich.

– Jacy moi dwaj przyjaciele? – zdziwił się Adrian.

– Jeden z Gunzbourgów. Nie wiem... Aline ma tylu krewnych, że czasami mi się mylą.

– Gunzbourg... – powtórzył Adrian, dalej nic nie rozumiejąc.

– Chwileczkę...

Berlin podniósł się z pewnym wysiłkiem i podszedł do regału w kącie. Zauważyłem wymianę spojrzeń między Aline Berlin a Sarą i wszystko stało się dla mnie jeszcze bardziej zagadkowe. Berlin wrócił z egzemplarzem mojej książki. Poczułem się dumny jak paw, dostrzegając pięć czy sześć zakładek. Otworzył, wyciągnął jakąś kartkę i przeczytał Bernat Plensa z Barcelony.

– Ach tak, no jasne, rozumiem – powiedział Adrian, nie wiedząc, co mówi.

Niewiele więcej pamiętam z tej rozmowy, bo w tym momencie urwał mi się film. Zaraz potem weszła służąca z ogromną tacą pełną wszelkiego rodzaju naczyń i przyborów koniecznych do prawidłowego rozkoszowania się herbatą, jak Bóg i królowa przykazali. Rozmawiali o różnych sprawach, po których zostało mi tylko mgliste wspomnienie. Co za rozkosz, co za luksus, ta niespełna godzina rozmowy z Isaiah Berlinem i tante Aline...

– Skąd mam wiedzieć! – Sara trzykrotnie odmawiała odpowiedzi na uporczywe pytanie Adriana, w trakcie podróży powrotnej, czy wie, co Bernat ma wspólnego z tym wszystkim. Za czwartym razem zasugerowała mu czemu nie zaprosisz go na angielską herbatę?

– Mmm... Wspaniała. Herbata angielska zawsze inaczej smakuje. Prawda?

– Wiedziałem, że przypadnie ci do gustu. Ale nie zmieniaj tematu.

– Ja?

– Tak. Kiedy byłeś u Isaiaha Berlina?

– U kogo?

– U Isaiaha Berlina.

– A co to za jeden?

– *Pokrzywione drzewo człowieczeństwa. Dwie koncepcje wolności. Rosyjscy myśliciele.*

– O czym ty mówisz? – Do Sary: – Co mu jest? – Zwracając się do obojga, podniósł filiżankę i powtórzył: – Świetna herbata. – I podrapał się po głowie.

– *Jeź i lis* – spuścił trochę z tonu Adrian, dostosowując się do poziomu prostego człowieka.

– Kurczę, co cię napadło. – Do Sary: – Od dawna to ma?

– Isaiah Berlin powiedział mi, że to dzięki tobie przeczytał *Wolę estetyczną*.

– Co ty mówisz?

– Bernat, o co tu chodzi?

Adrian popatrzył na Sarę, skupioną na dolewaniu herbaty, o którą nikt nie prosił.

– Saro, o co chodzi?

– Co?

– Coś przede mną ukrywacie... – Nagle sobie przypomniał: – Ty i jakiś bardzo niski osobnik. „Bardzo dziwna para”, tak was określił Berlin. Kim był ten drugi?

– Tamtemu facetowi najwyraźniej odbiło. I przyjmij do wiadomości, że nigdy nie byłem w Oksfordzie.

Cisza. Brakowało tylko zegara nad kominkiem, który by ją odmierzał swoim tik-tak. Ale czuć było delikatny powiew wiatru, emanujący z obrazu Urgella na ścianie jadalni, a słońce jeszcze nie zaszło za dzwonnice klasztoru Santa Maria de Gerri. I szmer strumienia płynącego od Burgalu. Nagle Adrian wskazał Bernata palcem i spokojnie, tonem szeryfa Carsona, powiedział:

– Pokpięś sprawę, mały.

– Ja?

– Nie masz pojęcia, kim jest Berlin, nigdy o nim nie słyszałeś, ale jakimś cudem wiesz, że mieszka w Oksfordzie.

Bernat spojrział na Sarę, która spuściła oczy. Adrian przyjrzał się im obojgu i powiedział tu quoque, Saro?

– Ona quoque – poddał się Bernat. Ze spuszczoną głową powiedział wydaje mi się, że zapomniałem ci wspomnieć o pewnym drobiazgu.

– Śmiało. Zamieniam się w słuch.

– To się zaczęło jakieś... – Bernat spojrział na Sarę – pięć czy sześć lat temu?

– Siedem i pół.

– Tak. Ja z datami... mam problem... Siedem i pół roku temu.

Gdy tylko weszła do baru, położył przed nią egzemplarz niemieckiego wydania *Woli estetycznej*. Popatrzyła na książkę, popatrzyła na Bernata, oddała mu ją z miną nie wiem o co chodzi, i usiadła przy stole.

– Co pani sobie życzy? – z usługowym uśmiechem z ciemności wyłonił się łysy kelner.

– Dwa razy wodę mineralną proszę – odprawił go zniecierpliwiony Bernat. Kelner odszedł z obrażoną miną, cedząc przez zęby ojciec miał rację: im wyższy, tym głupszy. Bernat przeszedł do rzeczy:

– Wiesz, mam pewien pomysł. Chciałem go z tobą omówić, ale musisz mi przyrzec, że nie piśniesz ani słowa Adrianowi.

Zacząły się negocjacje: jak mam cokolwiek przyrzekać, skoro nie wiem, o co chodzi. Po prostu on nie powinien się dowiedzieć. Dobrze, ale najpierw powiedz mi, w czym rzecz, zanim się do czegokolwiek zobowiązę. To przecież szaleństwo. Tym bardziej lepiej się powstrzymać z przysięgami, chyba że to naprawdę totalne szaleństwo warte zachodu. To jest totalne szaleństwo warte zachodu. Kurczę, Bernat. Liczę na ciebie, Saha.

– Nie nazywam się Saha. – Obrażona: – Mam na imię Sahha.

– Och, przepraszam.

Po tej przepychance uzgodnili, że przysięga Sary będzie warunkowa, z możliwością wycofania się, gdyby pomysł okazał się tak tak tak zwariowany, że hej.

– Mówiłaś kiedyś, że twoja rodzina zna Isaiaha Berlina. To nadal aktualne?

– Tak jakby... Jego żona jest... chyba jest jakoś spowinowacana z dalekimi kuzynami ze strony Epsteinów.

– Czy dałoby się... Czy mogłabyś mnie z nią skontaktować?

– Co chcesz zrobić?

– Przekazać mu książkę, żeby ją przeczytał.

– Słuchaj, ludzie tak nie...

– Na pewno mu się spodoba.

– Jesteś szalony. Jak możesz oczekiwać, że przeczyta coś autorstwa kogoś zupełnie nieznanego, kto...

– Już ci mówiłem, że to szaleństwo – przerwał jej. – Ale chcę spróbować.

Sara zastanawiała się przez chwilę. Wyobrażam sobie, że zmarszczyłaś czoło, jak zawsze, gdy się zastanawiasz. Widzę, jak siedzisz przy stole w jakimś barze, patrząc na Bernata Szalonego, nie wierząc własnym uszom. Widzę, jak mówisz do niego zaczekaj, jak kartkujesz notes z adresami, jak znajdujesz telefon tante Chantal, jak dzwonicz z aparatu w barze, na żetony; Bernat prosi kelnera o dwanaście sztuk, które zaczynają znikać, zanim zdążyła powiedzieć allô, ma chère tante, ça marche bien? (...) Oui. (.....) Oui. (.....) Aoui. (.....) Aaooui. (.....), a dzielny Bernat prosi kelnera o następne żetony, ponagłając go, to bardzo pilne, i zostawia na ladzie banknot stu pesetowy jako gwarancję wypłacalności, a Sara ciągle powtarza Oui. (.....) Oui. (.....) Aoui. (.....), w końcu kelner daje znak, że finito, co sobie myśli, to nie poczta, nie ma więcej żetonów, i wtedy wreszcie Sara przechodzi do rzeczy i zadaje ciotce pytanie o pana i panią Berlin; zaczyna coś notować i powtarzać oui, oui, ouiii!..., i w momencie, gdy już dziękuje, ma chère tante, za nieocenioną pomoc, telefon robi klik i przerywa połączenie z braku żetonów, a ona zostaje z niemiłym wrażeniem, że nie mogła się pożegnać ze swoją chère tante Chantal.

– Co ci powiedziała?

– Że spróbuje porozmawiać z Aline.

– Z jaką Aline?

– Z żoną Berlina. – Sara zajrzała do notatek nabazgranych nieczytelnym pismem: – Aline Elisabeth Yvonne de Gunzbourg.

– Świetnie. Mamy go!

– Ejże, mamy dopiero kontakt. Trzeba jeszcze...

Bernat wyrwał jej notes:

– Powiedziałaś, że jak się nazywa?

Sara zabrała mu notes, zajrzała do notatek i powiedziała:

– Aline Elisabeth Yvonne de Gunzbourg.

– Gunzbourg?

– Tak, bo co? To rodzina bardzo... Pół na pół, Rosjanie i Francuzi. Baronowie i tacy tam. Oni naprawdę są bogaci.

– O mój Boże.

– Cicho, nie wzywaj imienia Bożego nadaremno.

Bernat dał ci całusa, ba, dwa albo trzy czy cztery, bo zawsze podejrzewałem, że trochę się w tobie podkochiwał. Teraz ci to mówię, kiedy wiem, że już nie będziesz się ze mną kłócić; dowiedz się, że moim zdaniem wszyscy faceci musieli się w tobie podkochiwać. A ja kochałem cię na zabój.

– Ale Adrian powinien o tym wiedzieć!

– Nie. Już ci mówiłem, że to totalne szaleństwo.

– Owszem, totalne szaleństwo, ale on powinien o tym wiedzieć.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– To mój prezent dla niego. Mam wrażenie, że będzie bardziej udany, jeśli o niczym się nie dowie.

– Ale skoro nie będzie wiedział, nie będzie mógł ci podziękować.

Kiedy padły te słowa, kelner, po drugiej stronie lady, musiał uśmiechnąć się pod wąsem, widząc, że mężczyzna oświadczył nieco głośniejszą rozmową zakończoną, pani Voltes-Epstein. Taka jest moja wola. Teraz możesz mi przysiąc?

Po paru sekundach pełnego napięcia milczenia mężczyzna przyklęknął na jedno kolano przed kobietą, z błagalną miną. A wtedy elegancka pani spuściła oczęta i powiedziała:

– Bernat, przysięgam.

Kelner przejechał ręką po łysej czaszce i doszedł do wniosku, że zakochani zawsze są niepoważni. Gdyby mogli na siebie spojrzeć moimi oczami... Ale trzeba oddać sprawiedliwość: przed taką urodą nie wstyd paść na kolana, ot co. Ja też dla niej chętnie bym się ośmieszył.

Okazało się, że i owszem, wzorowy waltornista z orkiestry Franza-Paula Deckera, Romain Gunzbourg, nieśmiały, niski blondyn, niespełniony pianista, pochodził z tych Gunzbourgów, i owszem, znał Aline Elisabeth Yvonne de Gunzbourg. Romain pochodził z biednej gałęzi rodu, ale jeśli chcesz, zaraz zadzwonię do tante Aline.

– Kurczę... Tante Aline!

– Tak. To ta, która wyszła za mąż za jakiegoś tam, no, ważnego filozofa czy coś w tym guście. Ale od zawsze mieszkają w Anglii. A o co chodzi?

Bernat ucałował go w oba policzki, mimo że nie był w nim zakochany. Jego plan nabierał rumieńców. Okazja nadarzyła się dopiero wiosną, pod koniec małej, zagranicznej fuchy ich orkiestry, ale poprzedziły ją długie rozmowy, jakie Romain przeprowadził z tante Aline, aż udało mu się ją przekonać do naszego planu. Kiedy znaleźli się w Londynie, któregoś dnia pod koniec tournée wsiedli do pociągu i przed południem stawili się w Oksfordzie. Headington House wydawał się opuszczony, kiedy przycisnęli dzwonek przy drzwiach, który odezwał się nobliwym echem wewnątrz domu. Popatrzyli na siebie, czekając, ale nikt nie otwierał drzwi, mimo że umówili się na konkretną godzinę. Nie. Tak, usłyszeli lekkie kroki. Wreszcie drzwi się otworzyły. Elegancka kobieta patrzyła na nich zdziwiona.

– Tante Aline – powiedział Romain Gunzbourg.

– Romain?

– Tak.

– Ależ urosłeś! – skłamała. – Byłeś wtedy o taki... – Zatrzymała dłoń na wysokości talii. W końcu wpuściła ich do środka, rozbawiona swoją rolą konspiratorki.

– Przyjmie was, ale nie mogę zagwarantować, że przeczyta.

– Dziękuję pani. Z całego serca – odezwał się Bernat.

Wpuściła ich do niewielkiego przedpokoju. Na ścianach wisiały oprawione w ramy partytury Bacha. Bernat wskazał jedną z reprodukcji ruchem głowy. Romain podszedł bliżej i powiedział cicho:

– Mówiłem ci, że ja jestem z tych biedniejszych. – Odnosząc się do oprawionej partytury: – To na pewno jest oryginał.

Otworzyły się drzwi i tante Aline wprowadziła ich do obszernego pomieszczenia, od góry do dołu wypełnionego książkami, było ich dziesięć razy więcej niż w domu Adriana. I jeszcze stół zawalony wypchanymi kartonowymi teczkami. I rząd książek z długimi paskami papieru w roli zakładki. A przy stole, w fotelu, siedział Isaiah Berlin z książką i patrzył zaintrygowany na tych dwóch, którzy przekroczyli próg jego sanktuarium.

– Jak wam poszło? – zapytała Sara po powrocie.

Berlin wydawał się zmęczony. Mówił niewiele i kiedy Bernat wręczył mu egzemplarz *Der ästhetische Wille*, wziął książkę do ręki, obejrzał ją ze wszystkich stron, żeby ocenić jej wygląd, a następnie otworzył na spisie treści. Przez długą minutę nikt nawet nie pisnął. Tante Aline puściła oko do siostrzeńca. Kiedy Berlin skończył oglądać, zamknął książkę i trzymając ją w ręce, zapytał:

– Dlaczego uważa pan, że powinienem ją przeczytać?

– No, ja... Jeśli pan nie chce...

– Niech pan się nie poddaje, młody człowieku! Dlaczego chce pan, żebym ją przeczytał?

– Bo jest bardzo dobra. Jest świetna, panie Berlin. Adrian Ardèvol to człowiek dociekliwy i inteligentny. Ale mieszka zbyt daleko od centrum świata.

Isaiah Berlin odłożył książkę na stolik i powiedział codziennie czytam i codziennie uświadamiam sobie, jak wiele mi zostało do przeczytania. A od czasu do czasu wracam do poprzednich lektur, ale

czytam ponownie tylko te książki, które rzeczywiście zasługują na ten przywilej.

– A co decyduje o przyznaniu tego przywileju? – Teraz Bernat upodobił się do Adriana.

– Umiejętność wywołania fascynacji czytelnika; podziw dla inteligencji, jaką odnajduję w ponownie czytanej książce, lub dla piękna, które z niej emanuje. Chociaż w powrocie do już przeczytanych książek jest pewna sprzeczność.

– Co masz na myśli, Isaiah? – wtrąciła się tante Aline.

– Książki, która nie zasługuje na ponowne przeczytanie, nie warto było czytać w ogóle. – Spojrzał na swoich gości. – Zapytałaś ich, czy mają ochotę na herbatę? – Rzucił okiem na książkę i natychmiast zapomniał o swojej praktycznej propozycji. Mówił dalej: – Ale dopóki jej nie przeczytamy, nie wiemy, czy zasługuje na drugie czytanie. Takie okrutne jest życie.

Rozmawiali o tym i owym, siedząc na brzeżku sofy. Nie pili herbaty, bo Romain dał znak ciotce, że lepiej nie tracić czasu. Rozmawiali o tournée orkiestry.

– Waltornista? Dlaczego grasz na waltorni?

– Zachwyca mnie jej dźwięk.

Powiedzieli mu, że następnego dnia wieczorem mają koncert w Royal Festival Hall. Zapewnił, że będzie ich słuchać przez radio.

W programie była *Leonora* (numer III), druga symfonia Roberta Gerharda i czwarta Brucknera z partią solową Gunzbourga i paroma dziesiątkami wykonawców. Koncert był udany. Wdowa po Gerhardzie, obecna na koncercie, bardzo się wzruszyła, kiedy otrzymała bukiet przeznaczony dla Deckera. Następnego dnia wracali do domu wyczerpani po pięciu koncertach w Europie, dyskutując, czy takie minitournée w sezonie to dobry pomysł, czy lepiej zorganizować porządne tournée w czasie wakacji, kosztem fuch większości muzyków, czy w ogóle żadnych ekstra koncertów i żadnego zawracania głowy, za te pieniądze, jakie nam płacą, i tak robimy łaskę, przychodząc na próby, nie?

Kiedy Bernat dowiedział się w hotelu, że ktoś go pilnie poszukiwał, przestraszył się, że coś się stało Llorençowi, i wtedy po raz pierwszy martwił się o syna, może dlatego, że jeszcze pamiętał o książce, której tamten nie śmiał rozpakować.

To była wiadomość od Mister Isaiaha Berlina utrwalona kaligrafią recepcjonisty z wieczornej zmiany – pilne wezwanie do Headington House, najlepiej jutro, w bardzo ważnej sprawie.

– Tekło.

– Jak wam poszło?

– Dobrze. Była Poldi Feichtegger. Czarująca: osiemdziesiąt lat z hakiem. Bukiet kwiatów był większy od niej.

– Wracacie jutro, prawda?

– No więc ja... Chodzi o to, że... Muszę tu zostać dzień dłużej, ponieważ...

– Ponieważ co?

Bernat, którego specjalnością było komplikowanie sobie życia, pozostał wierny tej zasadzie i zamiast powiedzieć Tekli, że Isaiah Berlin wezwał go na rozmowę o mojej książce, która go bardzo, ale to bardzo zainteresowała, przeczytał ją w parę godzin i już zaczynał czytać ponownie, ponieważ odnalazł w niej wiele sugestii, które uznał za błyskotliwe i głębokie, i bardzo chciał mnie poznać. Jak łatwo było to powiedzieć. Ale Bernat nie byłby sobą gdyby wszystkiego nie komplikował. Uznał, że Tekla nie będzie umiała dochować tajemnicy, i tu się z nim zgadzam. Wolał więc nie wspominać o tej sprawie i odpowiedział ponieważ trafiło mi się tu pilne zlecenie.

– Jakie zlecenie?

– Takie jedno. To jest... skomplikowane.

– Upić się do nieprzytomności z waltornistą?

– Nie, no co ty. Muszę jechać do Oksfordu w sprawie... Chodzi o pewną książkę, która... Czyli wrócę pojutrze.

– Wymienią ci bilet?

– Ach, faktycznie.

– No wiesz, nie zaszkodziłoby się tym zainteresować, jeśli chcesz wracać samolotem. O ile chcesz wrócić.

I odłożyła słuchawkę. Cholera, pomyślał Bernat, znów pokpiłem sprawę. Ale następnego dnia wymienił bilet na samolot, wsiadł do pociągu do Oksfordu i Berlin powiedział mu to, co miał do powiedzenia, oraz wręczył list adresowany do mnie, w którym pisał szanowny panie, pańska książka głęboko mnie poruszyła. Całe to rozważanie o istocie piękna. I jak ta istota była rozumiana w poszczególnych epokach dziejów ludzkości. I o niemożliwości abstrahowania od niewytłumaczalnej obecności zła. Właśnie ją poleciłem z entuzjazmem kilku moim kolegom. Kiedy ukaże się po angielsku? Z wyrazami szczerego uznania, Isaiah Berlin. Jestem ogromnie wdzięczny Bernatowi, nie tylko za zainspirowanie tej lektury i wszystkie jej konsekwencje, których wagi nie sposób przecenić, ale przede wszystkim za determinację, z jaką zawsze troszczył się o moje sprawy. A ja mu się rewanżuję za cały ten wysiłek, wypowiadając się bezceremonialnie o jego pisaniu, co go doprowadza do głębokiej depresji. Przyjacielu, jak trudno jest żyć.

– Przysięgnij jeszcze raz, że nigdy o tym nie powiesz Adrianowi. – Rzucił jej gniewne spojrzenie. – Zrozumiałaś mnie, Saro?

– Przysięgam. – Po chwili: – Bernat.

– Mhm?

– Bardzo ci dziękuję. W imieniu Adriana i w swoim.

– Żadne dziękuję ani proszę. Ja zawsze jestem dłużnikiem Adriana.

– Co mu jesteś winien?

– Nie wiem. Różne rzeczy. To mój przyjaciel. To facet, który... Mimo że jest taki mądry, nadal chce być moim przyjacielem i znosi moje kryzysy. Od tylu lat.

Wissarion Grigoriewicz Bielinski ponosi odpowiedzialność za to, że już po pięćdziesiątce postanowiłem odświeżyć swój rosyjski, bardzo przeze mnie ostatnio zaniedbywany. Żeby zdystansować się od bezowocnych badań nad naturą zła, dokonałem samobójczej próby połączenia w jednej książce Berlina, Vico i Lulla i ku memu zaskoczeniu stwierdziłem, że to ma sens. Jak to się zdarza przy nieoczekiwanych odkryciach, musiałem na jakiś czas odłożyć badania, żeby się upewnić, że ta intuicja nie była mirażem, i dlatego spędziłem parę dni, przeglądając książki innego rodzaju, wśród których znalazł się Bielinski. To właśnie Bielinski, badacz i zapalony propagator Puszkina, sprawił, że nagle poczułem przemożną chęć czytania po rosyjsku. Bielinski pisał o Aleksandrze Siergiejewiczu Puszkynie, nie o samych jego dziełach. Zrozumiałem, że zainteresowanie literaturą tworzoną przez innych sprawia, że nieświadomie sam uprawiasz literaturę. Tak wielkie wrażenie zrobiła na mnie pasja Bielinskiego, że dopiero po jego lekturze poruszyły mnie znane mi wcześniej utwory Puszkina, które teraz przeczytałem ponownie. W głośnej recytacji stanęli przede mną jak żywi Rusłan i Ludmiła, Farlaf, Ratmir, Rodgaj, a także Czernomor i Strażnik, dzięki przemianie, jakiej dokonał we mnie Bielinski. Czasem myślę z lękiem o sile działania sztuki i studiowania sztuki. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie rzucają się sobie do gardła, skoro jest tyle rzeczy do zrobienia. Myślę, że pod poetycką naturą ukrywamy zło i dlatego nie ma dla nas ratunku. Problem w tym, że nikt nie ma czystych rąk. Albo prawie nikt, mówiąc dokładniej. Całkiem nieliczni. Wtedy weszła Sara, a Adrian, dla którego wiersze o zazdrości i miłości stanowiły w tym momencie nierozzerwalną całość z językiem rosyjskim, nie podnosząc wzroku, wyczuł blask w jej oczach. Spojrzał na nią.

– Jak ci poszło?

Odłożyła na sofę teczkę z próbką portretów.

– Robimy wystawę – powiedziała.

– Brawo!

Adrian wstał i uściśnął Sarę, patrząc na nią wzrokiem zamglonym nieszczęściem Ludmiły.

– Trzydzieści portretów.

– A ile masz?

– Dwadzieścia osiem.

– Wszystkie w węglu.

– Tak: taki będzie motyw przewodni: dusza odmalowana węglem czy coś w tym rodzaju. Muszą znaleźć jakieś ładne hasło.

– Oby tylko wcześniej skonsultowali to z tobą; żeby się nie ośmieszyć.

– Nie widzę nic śmiesznego w duszy odmalowanej węglem.

– Ależ skąd! Ale właściciele galerii to nie poeci. A ci z Artipèlagu... – Wskazał ręką teczkę na sofie: – Jestem bardzo zadowolony. Zasługiwałaś na to.

– Brakuje mi dwóch portretów.

Wiedziałem, że chcesz mnie sportretować. Nie byłem entuzjastą tego pomysłu, ale cieszył mnie twój entuzjazm. W moim wieku zaczynałem rozumieć, że ważniejszy niż same rzeczy jest entuzjazm, który w nie wkładamy. To nas czyni ludźmi. A Sara przeżywała właśnie wyjątkowy moment: jej rysunki cieszyły się coraz większym uznaniem. Dwukrotnie pytałem ją, czemu nie spróbuje malarstwa, a ona, z właściwą sobie subtelną determinacją, dwukrotnie odpowiedziała mi zdecydowanie nie, Adrianie, naprawdę szczęśliwa czuję się tylko, rysując węglem lub ołówkiem. Moje życie jest czarno-białe, może ze względu na pamięć o bliskich, którzy żyli w takiej właśnie tonacji. A może...

– Może to nie wymaga wyjaśnień.

– Z całą pewnością.

Podczas kolacji powiedziałem jej, że wiem, jakiego jeszcze portretu jej brakuje, a kiedy się zainteresowała, jakiego?, powiedziałem: autoportretu. Ręka z widelcem zatrzymała się w połowie drogi, a Sara zaczęła się zastanawiać nad pomysłem; zaskoczyłem cię, Saro. Nie pomyślałaś o tym. Nigdy o sobie nie myślisz.

– Wstydzę się – powiedziałaś wreszcie po kilku długich sekundach milczenia. I włożyłaś napoczęty krokiet do ust.

– Musisz ten wstyd przezwyciężyć. Jesteś już dorosła.

– Czy to nie pycha?

– Wręcz przeciwnie; to przejaw pokory: obnażasz dusze dwudziestu dziewięciu osób, ale sama też poddajesz się takiej samej analizie. Tak jakbyś przywracała porządek rzeczy.

Zaskoczyłem cię w momencie, gdy podnosiłaś widelec do ust. Odłożyłaś go i powiedziałaś wiesz, że chyba masz rację? Dzięki temu dzisiaj, kiedy do ciebie piszę, mam przed sobą ten niezwykle autoportret, tuż obok inkunabułów, na centralnym miejscu mojego świata. To najcenniejsza rzecz w tym gabinecie. Twój autoportret miał być ostatnim w kolejności obrazem na wystawie, którą tak starannie przygotowałaś, a w której wernisażu nie mogłaś uczestniczyć.

Dla mnie dzieła Sary są czymś w rodzaju okna na jej wewnętrzną ciszę. Są zaproszeniem do introspekcji. Saro, kocham cię. Pamiętam, jak zastanawiałaś się nad kolejnością trzydziestu dzieł, jak po kryjomu robiłaś pierwsze szkice do swojego autoportretu. A ci z Artipèlagu, trzeba przyznać, pokazali, na co ich stać: *Sara Voltes-Epstein. Rysunki węglem. Okno duszy*. I wspaniały katalog, po którym nabierało się ochoty, żeby niczego nie przegapić. Albo żeby kupić wszystko hurtem. Twoje dojrzałe dzieła, które gromadziłaś przez dwa lata. Bez pośpiechu, w sposób naturalny, z przerwami, tak jak postępowałaś w każdej sprawie.

Nad autoportretem pracowało się jej najtrudniej. Zamykała się w pracowni, bez świadków, bo wstydziła się, że ktoś mógłby widzieć, jak się ogląda w lustrze i na papierze; jak pracuje nad szczegółami, nad łagodną linią przedłużającą kąciki ust czy małymi porażkami, które zapisały się w zmarszczkach, i nad niepowtarzalnymi kurzymi łapkami wokół oczu, jedynymi w swoim rodzaju, i nad wszystkimi maleńkimi znakami, których nie potrafię odtworzyć, ale wiem, że to one sprawiają, że twarz, podobnie jak stare skrzypce, przemienia się w pejzaż, w długą zimową podróż ze wszystkimi szczegółami i z całym bezwstydem, o mój Boże. Niczym okrutny tachograf, rejestrujący życie kierowcy, twoja twarz wyraża nasze wspólne smutki, twoje łzy wylane beze mnie, których przyczyny nie znam dokładnie, łzy nad nieszczęściami twojej rodziny, twoich bliskich. A także radości, widoczne w żywym spojrzeniu, rozświetlające tę wspaniałą twarz z portretu, towarzyszącą mi podczas pisania tego długiego listu, który miał się ograniczyć do paru stron. Kocham cię. Odkryłem cię, potem cię straciłem i znów odzyskałem. A przede wszystkim zaczęliśmy się razem starzeć, co uważam za przywilej. Aż do momentu, kiedy do domu weszło nieszczęście.

W tym czasie była niezdolna zająć się ilustracjami i jak nigdy dotąd zaczęły się gromadzić zaległe zlecenia. Wszystkie jej myśli krążyły wokół portretów węglem.

Kiedy brakowało już tylko miesiąca do otwarcia wystawy w Artipèlagu, ja przed powrotem do Vico, Llulla i Berlina, od Puszkina i Belinskiego przeszedłem do Hobbesa i jego ponurej wizji natury ludzkiej, zawsze skazanej na zło. A między jednym i drugim zatrzymałem się nad jego przekładem *Iliady*, który czytałem w rozkosznym wydaniu z połowy dziewiętnastego wieku. Tak, i to nieszczęście.

Thomas Hobbes usiłował mnie przekonać, że powinienem dokonać wyboru między wolnością a porządkiem, bo jeżeli nie, to przyjdzie ten wilk, którego tyle razy widziałem w ludzkiej skórze, śledząc

historię dziejów lub myśli. Usłyszałem, jak się przekręca klucz w zamku, drzwi zamknęły się bezszelestnie i nie był to wilk Hobbesa, tylko Sara, która lekkim krokiem weszła do gabinetu i przez parę sekund stała nieruchomo w milczeniu. Podniosłem wzrok i od razu zorientowałem się, że mamy problem. Sara usiadła na sofie, mojej szpiegowskiej bazie, spoza której wysłedziłem tyle tajemnic w towarzystwie Carsona i Czarnego Orła. Ciężko jej było zacząć. Widać było aż nadto wyraźnie, że szuka odpowiednich słów; Adrian ściągnął okulary i żeby ją ośmielić, zadał pytanie jej, Saro, co się dzieje?

Sara wstała, podeszła do szafy z instrumentami i wyciągnęła Viala. Położyła go na stole obok moich lektur, z emfazą, niemal rzucając na Bogu ducha winnego Hobbesa.

– Skąd je masz?

– Ojciec je kupił. – Pauza wypełniona nieufnością. – Przecież ci pokazywałem certyfikat zakupu.

Dlaczego pytasz?

– Skąd je wziął twój ojciec?

– To jest Vial, jedyny storioni, który ma imię własne.

Sara milczała, gotowa słuchać.

Guillaume-François Vial postąpił krok naprzód i wyszedł z cienia, żeby pasażer powozu mógł go zobaczyć. Woźnica zatrzymał konie dokładnie przed nim. Otworzyły się drzwi pojazdu i Monsieur Vial wskoczył do środka.

– Dobry wieczór – powiedział La Guitte.

– Już może pan je przynieść, Monsieur La Guitte. Wuj zgodził się na tę cenę.

La Guitte zaśmiał się w duchu, dumny, że miał nosa. Nie na darmo znosił przez tyle dni upały w Cremonie. I żeby się upewnić:

– Mówimy o pięciu tysiącach florenów.

– Mówimy o pięciu tysiącach florenów – uspokoił go Monsieur Vial.

– Jutro dostarczę panu do rąk własnych skrzypce słynnego Storioniego.

– Niech pan mnie nie nabiera, Monsieur La Guitte: Storioni nie jest sławny.

– W Italii, w Neapolu, we Florencji... o nikim innym się nie mówi.

– A w Cremonie?

– Bracia Stradivari są bardzo niezadowoleni, że pojawił się ten nowy warsztat.

– Już mi o tym opowiadałeś... – przerwała zniecierpliwiona Sara, stojąc przede mną jak surowa nauczycielka, która słucha, jak będzie się usprawiedliwiał niesforny uczeń.

Adrian, jakby jej nie słyszał, kontynuował mon cher tonton!... – wykrzyknął z przesadną emfazą, wchodząc do salonu następnego dnia rano. Jean-Marie Leclair nie uznał za stosowne podnieść głowy; nadal wpatrywał się w płomienie na kominku. – Mon cher tonton – powtórzył Guillaume-François Vial, z nieco mniejszym entuzjazmem.

Leclair odwrócił się w jego stronę. Nie patrząc mu w oczy, zapytał, czy przyniósł skrzypce. Vial położył je na stole. Palce Leclaira natychmiast pospieszyły ku instrumentowi. Jakby wprost z malowidła na ścianie wyłonił się służący z krzywym nosem, ze smyczkiem w dłoni, a Leclair przez dobrą chwilę sprawdzał wszystkie możliwości dźwiękowe storioniego na fragmentach trzech swoich sonat.

– Są bardzo dobre – powiedział na koniec. – Ile cię kosztowały? – Hauk. – Dziesięć tysięcy florenów, a ponadto nagroda, którą otrzymam od wuja, pięćset monet za zdobycie tego skarbu.

– Hej, hauk!

Władczym gestem Leclair odprawił służących. Położył rękę na ramieniu siostrzeńca i uśmiechnął się. Usłyszałem, jak dosięgło ziemi energiczne splunięcie szeryfa Carsona, ale nie wyciągnąłem z tego wniosków.

– Prawdziwy skurwysyn z ciebie. Nie wiem, skąd się taki wzięłeś, synu parszywej suki. Czy masz to po matce, chociaż nie sądzę, czy po tym skończonym łajdaku twoim ojcu. Jesteś oszust i złodziej.

– Dlaczego? Przecież ja... – Ostra wymiana spojrzeń. – Zgoda. Mogę wyrzec się nagrody.

– Czy ty sądzisz, że po tych wszystkich oszustwach, jakie nazbierały się przez lata, jeszcze mam do ciebie zaufanie?

– To dlaczego wuj kazał, żebym...

– Żeby cię sprawdzić, ty głupi synu zdechłej, parszywej suki. Tym razem nie unikniesz więzienia. – Odczekał parę sekund, żeby uzyskać lepszy efekt: – Nie wiesz, jak bardzo czekałem na tę chwilę.

– Hauk, Adrian, pogrążasz się! Zobacz, jaką ma minę!

– Zawsze wuj pragnął mojej zguby, tonton Jean. Wuj mi zazdrości.

– Cholera jasna, mały. Posłuchaj Czarnego Orła! Ona to wszystko już wie. Już jej o tym opowiadałeś.

Jean-Marie Leclair spojrział zdziwiony na Carsona i wskazując go palcem, powiedział:

– Nie będzie mi tu jakiś zasrany cowboy otwierał gęby w mojej obecności. Ty worku pcheł!

– Ejże, ejże... Nic do pana nie mówiłem. Proszę mi nie uwłaczać.

– Idźcie obaj w cholere, ty i ten twój koleżka z piórami na głowie, który wygląda jak indyk.

– Hauk.

– Hauk co? – wkurzył się Leclair.

– To, że zamiast zawierać nowe znajomości, lepiej by pan zrobił, wracając do przerwanej rozmowy z pańskim siostrzeńcem, zanim słońce się schowa za skałami na zachodzie.

Leclair popatrzył na Guillaume'a Viala zdziwiony. Skoncentrował się i wskazując go palcem, zapytał:

– Czego twoim zdaniem miałbym ci zazdrościć, ty wszawy, zafajdany wypierdku?

Vialowi, który poczerwieniał jak piwonia, zabrakło refleksu, żeby się popisać szybką ripostą.

– Lepiej nie wchodźmy w szczegóły – odezwał się, żeby coś powiedzieć.

Leclair patrzył na niego z pogardą.

– Nie mam nic przeciw szczegółom: wygląd fizyczny? Postura? Obycie? Urok osobisty? Talent?

Postawa moralna?

– Skończmy już tę rozmowę, tonton Jean.

– Skończymy, kiedy ja powiem. Inteligencja? Kultura? Majątek? Zdrowie?

Leclair wziął do ręki skrzypce i zaimprovizował pizzicato. Spojrzął na instrument z szacunkiem.

– Adrianie.

– Co?

Sara usiadła naprzeciwko. Usłyszałem cichy głos szeryfa Carsona uważaj, mały, to nie żarty; żebyś mi potem nie mówił, że cię nie ostrzegaliśmy. Spojrzałaś mi w oczy:

– Przecież ci mówię, że ja to wszystko wiem. Już mi to kiedyś opowiadałeś!

– Tak, tak, i wtedy Leclair powiedział skrzypce są bardzo dobre, ale są mi zupełnie obojętne, rozumiesz? Potrzebne mi były tylko, żeby cię wsadzić do więzienia.

– Wuj jest złym człowiekiem.

– A z ciebie kawał skurwysyna, którego w końcu udało mi się zdemaskować.

– Dzielny wojownik, sprawdzony w tylu potyczkach, teraz zupełnie stracił głowę. – Suche splunięcie towarzyszyło sentencji, którą wygłosił dzielny wódz Arapaho.

Leclair pociągnął pas dzwonka i przez ukryte w tapecie drzwi do pokoju wszedł służący z ptasim nosem.

– Zawiadom komisarza. Już może przyjść. – I do siostrzeńca: – Siadaj, poczekamy na Monsieur Bójarta.

Nie zdążyli usiąść. Guillaume-François Vial w tym właśnie momencie podszedł do kominka, chwycił pogrzebacz i wbił go w głowę swego ukochanego tontona. Jean-Marie Leclair, zwany Aîné, nie mógł już nic powiedzieć. Upadł i nawet nie jęknął, z pogrzebaczem wbitym w głowę. Krew trysnęła na drewniany futerał skrzypiec. Vial, ciężko dysząc, odruchowo otarł ręce o płaszcz i powiedział nie wiesz, jak bardzo czekałem na tę chwilę, tonton Jean. Rozejrzał się wokół, wziął skrzypce, włożył je do poplamionego futerału i wyszedł przez balkon połączony z tarasem. Kiedy uciekał w biały dzień, przyszło mu jeszcze

do głowy, że kiedyś, gdy wszystko się uspokoi, trzeba będzie złożyć wizytę, niezbyt przyjacielską, temu donosicielowi, panu La Guitte. A ojciec kupił je, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie, od niejakiego Saverio Falegnami, legalnego właściciela instrumentu.

Cisza. Ja, niestety, nie miałem już nic do powiedzenia. A raczej nie było w moim interesie drażnienie tego tematu. Sara wstała.

– Twój ojciec kupił skrzypce w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym.

– Skąd wiesz?

– Kupił je od uciekiniera.

– Niejakiego Falegnami.

– Który był uciekinierem. I który na pewno nie nazywał się Falegnami.

– Tego nie wiem. – Wydaje mi się, że widać było na kilometr, że kłamię.

– A ja wiem. – Z rękami na biodrach pochylałaś się w moją stronę: – To był bawarski nazista, który musiał uciekać i któremu dzięki pieniądзом twego ojca udało się zniknąć.

Kłamstwo czy półprawdę, czy kilka kłamstw powiązanych ze sobą w tak spójny sposób, że wydają się prawdopodobne, da się utrzymać przez pewien czas. Nawet przez długi czas. Ale nigdy przez całe życie, bo istnieje niepisane prawo o godzinie prawdy, która kiedyś nieuchronnie nadejdzie.

– Skąd ty to wiesz? – Starał się nie sprawiać wrażenia pokonanego, tylko zdziwionego.

Cisza. Ona ciągle milczała, niczym posąg, lodowata, stanowcza, pewna siebie. Mówiłem dalej, jak desperat:

– Nazista? To chyba lepiej, żeby skrzypce były u nas niż u jakiegoś nazisty, prawda?

– Ten nazista skonfiskował je jakiejś belgijskiej czy holenderskiej rodzinie, która miała taki kaprys, żeby pojawić się w Auschwitz-Birkenau.

– Skąd to wiesz?

Skąd to wiedziałaś, Saro... Jak dowiedziałaś się czegoś, co tylko ja wiedziałem dzięki zapisanemu po aramejsku przez ojca wyznaniu, które z całą pewnością tylko ja czytałem?

– Musisz je oddać.

– Komu?

– Właścicielom.

– Ja jestem właścicielem. My oboje.

– Mnie do tego nie mieszaj. Musisz je zwrócić prawdziwym właścicielom.

– Nie znam ich. Mówiłaś, że to Holendrzy?

– Albo Belgowie.

– To dużo wiemy. Stanę sobie w Amsterdamie na placu ze skrzypcami w ręku i będę pytał, kto z państwa do nich się przyzna, dames en heren?

– Nie udawaj cynika.

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Co miałem powiedzieć, skoro zawsze się obawiałem, że kiedyś przyjdzie ten dzień. Nie znałem szczegółów, ale wiedziałem, że skończy się to tak, jak scena, którą właśnie przeżywałem: ja siedzę, z okularami w dłoni, mój storioni leży na stole, a Sara z rękami na biodrach mówi to zbadaj sprawę. Od tego są na świecie detektywi. Możemy się udać do centrum odzyskiwania dóbr zrabowanych podczas wojny. Na pewno istnieją dziesiątki żydowskich organizacji, które mogą nam pomóc.

– Wystarczy, że zrobisz jeden krok, a już w domu zjawi się pełno naciągaczy.

– Albo zjawią się właściciele.

– Mówimy o czymś, co zdarzyło się pięćdziesiąt lat temu, no nie?

– Właściciele skrzypiec mają potomków bezpośrednich lub niebezpośrednich.

– Którzy mają instrument w nosie.

– Pytałeś ich o to?

Powoli ton twojego głosu rdzewiał, a ja czułem się atakowany i obrażany, bo rdza w twoim głosie oskarżała mnie o winę, za którą dotąd nie czułem się odpowiedzialny: straszny błąd, jaki popełniłem, stając się synem mojego ojca. Ponadto twój głos się zmieniał, wyostrzał się, jak zawsze kiedy mówiłaś o swojej rodzinie, albo o Szoah, albo kiedy rozmowa schodziła na wujka Chaima.

– Nie ruszę nawet palcem, dopóki się nie dowiem, czy to, co mówisz, jest prawdą, czy nie. Skąd o tym wiesz?

Już od pół godziny Tito Carbonell siedział za kierownicą samochodu zaparkowanego na rogu ulicy. Widział, jak wychodzi jego wuj, z przerzedzonymi włosami na czubku głowy, z teczką w ręce, i skręca w ulicę València, w stronę uniwersytetu. Tito przestał bębnić palcami po kierownicy. Z tyłu odezwał się głos Ardèvol z każdym dniem coraz bardziej łysieje. Tito uznał, że nie musi tego komentować, sprawdził tylko godzinę na zegarku. Właśnie uspokajał go głos z tyłu zaraz powinna przyjść, cierpliwości, kiedy strażnik miejski pozdrowił ich, przykładając dwa palce do daszka czapki i nachylił się do kierowcy, mówiąc proszę państwa, tu nie wolno się zatrzymywać.

– Ale już właśnie wychodzi ta osoba, na którą... O, to ona – zaczął improwizować.

Kiedy Tito wysiadł z samochodu, uwagę strażnika przyciągnął wóz dostawczy Coca-Coli, który do rozładunku potrzebował dobre pół metra chodnika ulicy Llúria. Tito wrócił do samochodu i kiedy zobaczył, że z domu wychodzi Caterina, oświadczył jowialnym tonem oto słynna Caterina Fargues. Głos z tyłu nie zareagował. Jeszcze cztery minuty i wreszcie Sara stanęła przed domem, rozglądając się wokół. Rzuciła okiem na drugą stronę ulicy, zobaczyła zaparkowany samochód i podeszła zdecydowanym krokiem.

– Niech pani szybko wsiada, bo kazali nam się stąd zabierać – powiedział Tito, wskazując głową tylne drzwi. Przez chwilę się wahała, po czym wsiadła do samochodu, z tyłu, jak do taksówki.

– Dzień dobry – odezwał się głos.

Sara zobaczyła starego mężczyznę, bardzo szczupłego, otulonego ciemnym płaszczem, który patrzył na nią z zainteresowaniem. Otwartą dłonią uderzył parę razy wolne miejsce obok siebie, zapraszając ją, żeby usiadła.

– A więc pani jest tą słynną Sarą Voltes-Epstein.

Sara usiadła i Tito natychmiast ruszył. Kiedy mijali strażnika, kierowca podziękował mu ruchem głowy i włączył się do ruchu, jadąc w górę ulicy Llúria.

– Dokąd jedziemy? – zapytała lekko przestraszona.

– Spokojnie: jedziemy do miejsca, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał w rozmowie.

Miejsce, gdzie nikt nie przeszkadza w rozmowie, okazało się luksusowym barem przy ulicy Diagonal. Mieli zarezerwowany stolik w ustronnym zakątku sali. Usiedli i przez parę sekund wszyscy troje patrzyli na siebie w milczeniu.

– To jest pan Berenguer – powiedział Tito, wskazując starszego, chudego mężczyznę. Tamten lekko pochylił głowę na powitanie. Wtedy Tito wyjaśnił, że jakiś czas temu sprawdził osobiście, że mieli w domu skrzypce storioni, zwane Viałem

– Można wiedzieć, jak pan to sprawdził?

– które miały dużą wartość i które, niestety, zostały skradzione pięćdziesiąt lat temu prawowitym właścicielom

– Właścicielem jest pan Adrian Ardèvol.

– chodzi o to, że od dziesięciu lat szuka ich prawowity właściciel i wszystko wskazuje na to, że wreszcie je odnaleźliśmy

– A ja mam w to uwierzyć?

– wiemy, że prawowity właściciel nabył ten instrument piętnastego lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku w mieście Antwerpii. Wtedy został wyceniony o wiele poniżej rzeczywistej wartości. Później instrument mu skradziono. Skonfiskowano. Prawowity właściciel poruszył niebo

i ziemię, żeby go zlokalizować, a kiedy mu się to udało, potrzebował kilku lat na refleksję, i wszystko wskazuje na to, że teraz zdecydował się o niego upomnieć.

– Więc niech się upomni na drodze sądowej. Niech udowodni tę dziwną historię.

– Są pewne problemy formalne. Nie chcę pani męczyć.

– Wcale nie jestem zmęczona.

– Nie chcę pani zanudzać.

– Aha. A jak znalazł się u mojego męża?

– Pan Adrian Ardèvol nie jest pani mężem. Ale jeśli pani sobie życzy, mogę wyjaśnić, jak się znalazł u pana Adriana Ardèvola.

– Mój mąż ma certyfikat własności instrumentu.

– Widziała go pani?

– Tak.

– Jest fałszywy.

– A dlaczego miałabym wam wierzyć?

– Kto był właścicielem, według tego certyfikatu?

– Jak mam pamiętać? Widziałam go dawno temu.

– Nie ma w tym ładu ani składu – powiedział Adrian, nie patrząc Sarze w oczy. Instynktownie dotknął skrzypiec i natychmiast cofnął rękę, jakby go poraził prąd.

Byłem bardzo mały, kiedy ojciec zabrał mnie do gabinetu w tajemnicy przed wszystkimi, chociaż nikogo wtedy nie było w domu. Powiedział przypatrz się dobrze tym skrzypcom. Vial leżał na stole. Skierował na niego lampę z lupą i kazał mi go obejrzeć. Włożyłem rękę do kieszeni, a szeryf Carson uprzedził mnie uważaj, mały, to ważna chwila. Cofnąłem rękę, jakbym się sparzył, i zacząłem oglądać skrzypce przez lupę. Skrzypce, zadrapania, małe smugi. Mikroskopijne wgniecenie na płycie górnej. Krzywizny, może niedokładnie pokryte lakierem...

– Wszystko, co tu widzisz, to historia instrumentu.

Pamiętałem, że już parę razy mówił mi w ten sam sposób o skrzypcach. Dlatego nie zdziwiłem się, gdy usłyszałem hauk, jakbym to już słyszał. Dlatego odpowiedziałem tak, ojczu, to ich historia. Co chcesz mi powiedzieć?

– Że w swojej historii przeszły przez wiele domów i miały kontakt z wieloma ludźmi, których nigdy nie poznamy. Pomyśl, że od millesettecentosessantaquattro aż do dziś minęło...

– Mmmm... Vediamo... Centonovantaquattro anni.

– Właśnie. Widzę, że zrozumiałeś.

– Nie, ojczu.

Osiem miesięcy temu zacząłem się uczyć

– Uno.

– Uno.

– Due.

– Due.

– Tre.

– Tre.

– Quattro.

– Quattro.

– Cinque.

– Cinque.

– Sei.

– Sei.

– Sette.

- Sette.
- Otto.
- Octo.
- Othtto!
- Othtto!
- Bravissimo!

bo włoski sam wchodzi i wystarczą cztery lekcje, możesz mi wierzyć.

– Ależ Feliksie... Przecież chłopiec uczy się już francuskiego, niemieckiego, angielskiego...

– Signor Simone to wspaniały nauczyciel. W ciągu roku mój syn będzie mógł czytać Petrarke. Koniec dyskusji.

Wskazał mnie palcem, żeby nie było wątpliwości:

– Więc już wiesz: jutro zaczynasz włoski.

Teraz, kiedy oglądając skrzypce, powiedziałem centonovantaquattro anni, ojciec spojrział na mnie z nieukrywaną dumą, a ja muszę wyznać, że poczułem się całkowicie usatysfakcjonowany i wynagrodzony. Wskazał jedną ręką instrument, drugą położył mi na ramieniu i powiedział teraz jest mój. Przeszedł przez wiele rąk, a teraz jest mój. Potem będzie należał do ciebie. I do twoich dzieci. Do moich wnuków. I do prawnuków, bo nigdy nie wyjdzie z naszej rodziny. Przysięgnij.

Zastanawiam się, jak można przysięgać w imieniu tych, którzy jeszcze się nie narodzili. Ale wiem, że przysięgłem w swoim imieniu. I za każdym razem, kiedy biorę Viala do ręki, przypominam sobie o tej przysiędze. A kilka miesięcy później zabili ojca z mojej winy. Doszedłem do wniosku, że z winy skrzypiec.

– Pan Berenguer – powiedział Adrian, patrząc na nią oskarżycielskim wzrokiem – kiedyś pracował w naszym sklepie. Pokłócił się z ojcem i z matką. Ze mną też. Jest oszustem, wiedziałaś o tym?

– Jestem przekonana, że to typ spod ciemnej gwiazdy, który źle ci życzy. Ale wie doskonale, w jaki sposób twój ojciec nabył skrzypce: on przy tym był.

– A niejaki Albert Carbonell jest moim przyszywanym krewnym, który każe się nazywać Tito i który teraz prowadzi sklep. Nie wydaje ci się, że są w zмовie?

– Jeśli to, co mówią, jest prawdą, nie obchodzi mnie ich zмова. Tu masz adres właściciela. Wystarczy, że się z nim skontaktujesz i w ten sposób ty i ja rozwiążemy wątpliwości.

– To podstęp! Podany przez nich właściciel musi być ich współnikiem. Chodzi im o to, żeby zdobyć skrzypce, czy ty tego nie widzisz?

– Nie.

– Jak możesz być tak zaślepiona?

Zdaje się, że ten komentarz cię uraził, ale ja byłem pewien, że działania pana Berenguera nie mogą być bezinteresowne.

Podowała mu złożoną kartkę. Adrian wziął ją do ręki, ale nie otworzył. Trzymał w dłoni przez dłuższą chwilę i w końcu odłożył na stół.

– Matthias Alpaerts – powiedziała.

– Co?

– Nazwisko, którego nie chcesz przeczytać.

– Nieprawda. Właścicielka nazywa się Netje de Boeck – powiedziałem wściekły.

Zdemaskowałaś mnie, jakbym był pięcioletnim brzdącem. Spojrzałem na kartkę, gdzie zapisane było nazwisko Matthias Alpaerts i ponownie odłożyłem ją na stół.

– To wszystko jest śmieszne – powiedział Adrian po długim namyśle.

– Teraz, kiedy mógłbyś naprawić zło, które zostało wyrządzone, ty odmawiasz.

Sara wyszła z gabinetu i już nigdy nie usłyszałem jej śmiechu.

Od trzech czy czterech dni w domu panowało milczenie. To straszne, kiedy dwie mieszkające razem osoby milczą, bo nie chcą, nie mają odwagi powiedzieć sobie niczego, co mogłoby okazać się bolesne. Sara skoncentrowała się na przygotowaniach do wystawy, a ja nie nadawałem się do niczego. Jestem przekonany, że to lekko zasmucone spojrzenie na autoportrecie wzięło się stąd, że kiedy go rysowałeś, w domu panowała cisza. Ale nie mogłem ustąpić. Dlatego Adrian zdecydował się wybrać na Wydział Prawa, żeby zasięgnąć opinii doktora Grau i Bordas w sprawie problemu, jaki ma jeden mój znajomy z cennym przedmiotem, który jego rodzina nabyła wiele lat temu i który prawdopodobnie został zrabowany podczas wojny, a doktor Grau i Bordas najpierw masował sobie podbródek, słuchając, co też się przytrafiło memu znajomemu, a następnie zaczął dywagować ogólnie, co stanowi prawo międzynarodowe w kwestii nazistowskich grabieży; już po pięciu minutach Adrian zdążył się zorientować, że ten facet nie ma o tych sprawach zielonego pojęcia.

W uniwersyteckim Instytucie Muzykologii doktor Casals udzielił mi wielu informacji o rodzinach lutniczych z Cremony i polecił mi sensownego lutnika, który był prawdziwą kopalnią wiedzy w zakresie dawnych skrzypiec. Możesz mu zaufać, Ardèvol. – Zadał pytanie, które miał na końcu języka od momentu, kiedy tamten otworzył futerał: – Mogę spróbować?

– Ty też grasz na skrzypcach?

Na korytarzu czterech studentów zatrzymało się, żeby posłuchać enigmatycznej, słodkiej muzyki, jaka dochodziła z jednej z pracowni. W końcu doktor Casals odłożył skrzypce do futerału i powiedział nadzwyczajnie; jak *Gesú Paganiniego*, naprawdę.

Adrian zabrał skrzypce do swojego pokoju w instytucie i postawił je w kącie. Musiał się zająć dwiema studentkami, które chciały poprawić ocenę. I jeszcze jedną, która chciała wiedzieć, czemu mi pan dał trójkę, skoro byłem na wszystkich pańskich zajęciach. Pani? Tak, na prawie wszystkich zajęciach. Ach, tak? No, na niektórych. Kiedy dziewczyna sobie poszła, weszła Laura i usiadła przy biurku naprzeciw niego. Była taka ładna, a on powiedział cześć, nie patrząc jej w oczy. Pozdrowiła go nieokreślonym gestem i otworzyła teczkę pełną notatek, prac do poprawiania czy czegoś równie nudnego. Przez dłuższą chwilę byli sami w pokoju, zajęci swoimi sprawami. Dwa, nie, może trzy razy oboje równocześnie podnieśli wzrok i ich spojrzenia porozumiały się ze sobą nieśmiało. Dopiero za czwartym razem ona zapytała jak leci. Czy to był pierwszy raz, kiedy przejmowała inicjatywę? Nie pamiętam. Wiem tylko, że pytaniu towarzyszył lekki uśmiech. To było oczywiście zaproszenie do zawieszenia broni.

– Phi. Tak sobie.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle.

– Ale przecież stałeś się sławny.

– Nie kpij ze mnie.

– Nie: zazdroszczę ci. Podobnie jak połowa instytutu.

– Czyli naprawdę sobie kpisz. A tobie jak leci?

– Phi. Tak sobie.

Zamilkli i uśmiechnęli się, każdy do swoich myśli.

– Piszesz coś?

– Tak.

– Można wiedzieć co?

– Przerabiam trzy wykłady.

Z uśmiechem poprosiła, żebym mówił dalej, a ja posłusznie powiedziałem Lull, Vico i Berlin.

– No proszę.

– Tak. Ale wiesz? Piszę je na nowo, bo chciałbym z tego zrobić nową książkę, wiesz? Nie trzy wykłady, tylko...

Adrian zrobił nieokreślony gest, jakby głośno myślał:

– Musi być coś, co łączy ich wszystkich.

– Znalazłeś to coś?

– Może. Prawo historyczne. Nie jestem pewien.

Laura zaczęła porządkować papiery, jak zawsze wtedy, kiedy się nad czymś zastanawiała.

– To te słynne skrzypce? – pokazała ołówkiem instrument w kącie.

– Słynne?

– Słynne.

– No owszem.

– Kurczę, nie zostawiaj ich na wierzchu.

– Nie przejmuj się: zabiorę je ze sobą na zajęcia.

– Chyba mi nie powiesz, że masz zamiar grać przed... – powiedziała rozbawiona.

– Ależ skąd, coś ty.

A może jednak. Właściwie, czemu nie? Nagle podjął decyzję. Jak wtedy, gdy poprosił Laureę, żeby mu towarzyszyła do Rzymu jako jego adwokatka. Laura inspirowała go do zwariowanych posunięć.

Adrian Ardèvol podczas kursu historii idei estetycznych na Uniwerstytecie Barcelońskim miał czelność rozpocząć zajęcia w drugim semestrze od partity numer jeden, którą zagrał na swoim storionim. Z pewnością żaden z trzydziestu pięciu studentów nie zauważył pięciu niewybaczalnych błędów ani tego momentu, kiedy się pogubił i musiał improwizować w części *Tempo di Borea*. A kiedy skończył, włożył ostrożnie skrzypce do futerału, położył je na stole i zapytał jaki jest waszym zdaniem związek między działalnością artystyczną a sposobem myślenia. Nikt się nie odezwał, bo, kurczę, skąd mamy wiedzieć.

– Teraz wyobraźcie sobie, że mamy rok tysiąc siedemset dwudziesty.

– Po co? – odezwał się chłopak z brodą, który siedział na samym końcu, daleko od innych, jakby bał się zarazić.

– Rok, w którym Bach skomponował to, co ja tak nieudolnie zagrałem.

– I sposób myślenia miałby się zmienić?

– Chociażby to, że pan i ja nosilibyśmy peruki.

– Ale to nie wpływa na sposób myślenia.

– Nie wpływa? Mężczyźni i kobiety chodzimy w perukach, pończochach i na obcasach.

– Dlatego, że estetyka osiemnastego wieku była inna niż obecnie.

– Tylko estetyka? W osiemnastym wieku jeżeli nie przyszedłeś w peruce, z makijażem, na obcasach i w pończochach, nie wpuściliby cię na salony. Dzisiaj mężczyzna z makijażem, w peruce, w pończochach i na obcasach od razu trafi do więzienia, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć.

– Chodzi o moralność?

Odezwał się nieśmiały głos z pierwszego rzędu, należący do drobnej dziewczyny. Adrian, który był na środku sali, odwrócił się.

– Dobre pytanie – powiedział. Dziewczyna zaczerwieniła się, najwyraźniej źle interpretując moje słowa. – Estetyka, choćby bardzo się starała, nigdy nie występuje w próżni.

– Nie?

– Nie. Ma wyjątkową łatwość pociągania za sobą innych form myśli.

– Nie rozumiem.

Koniec końców, byłem zadowolony z tej dyskusji, bo pozwoliła mi przygotować grunt do programu zajęć na kilka następnych tygodni. Nawet na chwilę zapomniałem, że w domu Sara i ja mamy ciche dni.

Adrian żałował, że nie zastał Laury w pokoju, kiedy wrócił tam po wykładzie zabrać swoje rzeczy, bo chciał opowiedzieć o sukcesie, jaki odniósł jej pomysł.

Kiedy tylko lutnik Pau Ullastres otworzył futerał, od razu oświadczył to są autentyczne skrzypce z Cremony. Wystarczył sam zapach i wygląd. Mimo że Pau Ullastres nie znał szczegółów historii Viala; coś mu się tylko obilo o uszy, i tak uważał, że ten storioni mógł kosztować kupę forsy i że to duża nieostrożność z mojej strony, że dotychczas nie dałem go do wyceny. Ze względu na ubezpieczenie, rozumie pan? Minęło parę sekund, zanim to do mnie dotarło, bo poddałem się spokojnemu nastrojowi panującemu w tym miejscu. Ciepłe światło, czerwonawe, w kolorze werniksu, potęgowało wrażenie spokoju, zaskakującego w samym sercu dzielnicy Gràcia. Okno wychodziło na dziedziniec wewnętrzny, na otwarte drzwi magazynu i suszące się w nim drewno. Wyciszało się tam powoli, podczas gdy świat, teraz już okrągły, kręcił się wokół własnej osi jak uparty bączek.

Spojrzałem na lutnika przestraszony: nie dotarło do mnie, co powiedział. Uśmiechnął się i powtórzył jeszcze raz.

– Nigdy mi nie przyszło do głowy oddawać instrument do wyceny – odpowiedziałem. – Był w naszym domu od zawsze, jak jeden z mebli. Nigdy nie myśleliśmy o sprzedaży.

– Co za szczęśliwa rodzina.

Nie powiedziałem mu, że co do tego akurat mam wątpliwości, ponieważ Pau Ullastres nic na to nie mógł poradzić ani też nie mógł przeczytać tych słów, które wtedy jeszcze nie zostały zapisane. Lutnik zapytał, czy może zagrać na instrumencie. Wychodziło mu to o wiele lepiej niż doktorowi Casalsowi. Skrzypce brzmiały prawie tak, jakby na nich grał Bernat.

– To prawdziwe cudo – powiedział. – Porównywalne z *Gesú* Paganiniego: to ten rząd wielkości.

– Wszystkie instrumenty Storioniego są takie dobre?

– Nie sądzę, żeby wszystkie, ale ten na pewno. – Zamknął oczy i wciągnął zapach. – Trzyma je pan w zamknięciu, prawda?

– Od pewnego czasu już nie. Ale był taki okres, kiedy...

– Skrzypce są żywe. Drewno skrzypiec jest jak wino. Pracuje powoli i dobrze mu robi, kiedy czuje napięcie strun; zyskuje, kiedy się na nich gra, lubi czuć łagodną temperaturę, musi oddychać, unikać wstrząsów, trzeba przestrzegać czystości... Niech pan je zamyka, tylko udając się w podróż.

– Chciałbym się skontaktować z poprzednimi właścicielami.

– Ma pan dowód własności?

– Tak.

Pokazałem potwierdzenie transakcji kupna i sprzedaży dokonanej przez mego ojca i signora Saverio Falegnami.

– A certyfikat autentyczności?

– Tak.

Pokazałem dokument spreparowany przez dziadka Adriana i przez lutnika Carlosa Carmonę w czasach, kiedy za niewygórowaną sumę z trzema zerami mogłeś udowodnić nawet autentyczność podrabianych banknotów. Pau Ullastres oddał mi go bez komentarzy. Zastanowił się przez chwilę:

– Chce je pan teraz dać do wyceny?

– Nie. W rzeczywistości chcę się tylko upewnić, kim byli poprzedni właściciele. Chciałbym ich poznać.

Ullastres spojrzał na tytuł własności:

– Saverio Falegnami, według tego dokumentu.

– Do kogo należały wcześniej.

– A mogę wiedzieć, w jakim celu chce się pan z nimi skontaktować?

– Sam nie wiem. Dla mnie te skrzypce zawsze należały do rodziny. Nigdy nie zaprzętałem sobie głowy

ich drzewem genealogicznym. Ale teraz...

– Wątpi pan w ich autentyczność?

– Tak – skłamałem.

– Jeśli to panu pomoże, mogę dać głowę, że to instrument z najlepszej epoki Lorenza Storioniego. Nie ze względu na ten certyfikat, lecz to, co widzę, słyszę i czuję.

– Powiedziano mi, że to są pierwsze skrzypce, jakie zrobił.

– Najlepsze są pierwsze skrzypce Storioniego. Mówią, że to z powodu drewna, jakim wtedy dysponował.

– Drewna?

– Tak. Było nadzwyczajne.

– Dlaczego?

Ale lutnik pieścił moje skrzypce i nie odpowiedział. Poczułem się zazdrosny o te czułości. Wtedy Ullastres spojrział na mnie:

– A co właściwie chce pan zrobić? I w jakiej właściwie sprawie pan do mnie przyszedł?

Trudno jest prowadzić dochodzenie, jeśli nie mówi się całej prawdy tym, od których oczekuje się pomocy.

– Chciałbym odtworzyć drzewo genealogiczne właścicieli skrzypiec, od samego początku.

– Świetny pomysł... Ale będzie kosztować majątek.

Nie potrafiłem mu powiedzieć, że chciałem sprawdzić, czy pan Berenguer i Tito wymyślili sobie tego Alpaerts. I sprawdzić, czy nazwisko podane przez ojca, Netje de Boeck, było prawdziwe. Albo upewnić się, że nazwiska nie były autentyczne, a skrzypce były moje od zawsze. Bo stawało się dla mnie jasne, że jeżeli był jakiś legalny właściciel przed nazistą, powinienem nawiązać z nim kontakt, kimkolwiek by był, paść przed nim na kolana i błagać, by mi pozwolił je zatrzymać do śmierci, bo na samą myśl, że Vial mógłby odejść z domu na zawsze, dostawałem dreszczy. I byłem skłonny kombinować, żeby do tego nie dopuścić.

– Tak jak pan słyszał, panie Ardèvol. Majątek.

Vial był autentyczny. Lutnik rozproszył wszelkie wątpliwości. Może tylko w tym celu odwiedziłem Ullastresa: żeby się upewnić, że kłóciłem się z Sarą o cenne skrzypce, a nie o cztery deski w kształcie skrzypiec. Nie, tak naprawdę nie wiem, po co tam poszedłem. Ale wydaje się, że od momentu wizyty w pracowni Ullastresa zaczęło mnie intrygować drewno wysokiej jakości Jachiana Muredy.

Na obiad była mdła kasza manna. Przyszło mu do głowy, że powinien powiedzieć, że nie lubi takiej kaszki, jak ta, którą tu dawali, temu, no, jak mu tam... kurrrewska kaszka. Ale sprawa nie była taka prosta, bo nie wiedział, czy to z powodu słabego wzroku, czy z innej przyczyny, coraz trudniej było mu czytać i zapamiętywać cokolwiek. Pieprzony sufit. Zapamiętywać rzeczy. Zapamiętywać.

– Nie masz apetytu, serdeńko?

– Nie. Chcę czytać.

– Ciebie powinni karmić zupą z liter.

– Tak.

– Śmiało, zjedz trochę.

– Mała Lolu.

– Wilson.

– Wilson.

– Czego chcesz, Adrianie, serdeńko?

– Czemu jestem taki otępiały?

– Powinieneś tylko jeść i odpoczywać. Już się napracowałeś.

Dał mu pięć łyżek kaszki i uznał, że Adrian zaliczył obiad.

– Teraz możesz trochę poczytać. – Spojrzał na podłogę: – Oj, co za syf nam się tu zrobił przez tę kaszkę. Jakbyś miał ochotę na sjęstę, wystarczy powiedzieć, to pościelę ci łóżko.

Adrian posłusznie poczytał trochę. Czytał powoli, jak Cornudella interpretuje poezję Carnera. Czytał z otwartymi ustami. Ale po chwili ogarnęło go coś jakby nie wiem, co się ze mną dzieje, Mała Lolu, i zmęczył się, bo Carner i Horacy dwoili się przed nim na stole. Zdjął okulary i przeciągnął ręką po zmęczonych oczach. Nie wiedział, czy ma spać na wózku, czy w łóżku, czy... chyba mi tego nie wyjaśnili dokładnie. A może na oknie?

– Adrianie.

Bernat wszedł do cinquantaquattro i patrzył na przyjaciela.

– Gdzie mam spać?

– Jesteś senny?

– Nie wiem.

– Wiesz, kim jestem?

– Mała Lola.

Bernat pocałował go w czoło i rozejrzał się po pokoju. Adrian siedział w wygodnym wózku inwalidzkim przy oknie.

– Jonatan?

– Co?

– Ty jesteś Jonatan?

– Jestem Bernat.

– Nie: Wilson!

– Wilson to ten sympatyczny Ekwadorczyk?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że... – Popatrzył na Bernata zmieszany: – Teraz mi się wszystko pomyliło – przyznał w końcu.

Na zewnątrz było pochmurno, wiał wiatr i było zimno; ale szyba dzieliła oba światy tak skutecznie, że równie dobrze dzień mógł być słoneczny i radosny. Bernat podszedł do nocnej szafki i otworzył

szufladę: włożył do niej Czarnego Orła i Carsona, żeby nadal trzymali wartość, nieskuteczną, ale wierną; spoczęli na brudnej szmatce, na której jeszcze dało się odróżnić szachownicę jasnych i ciemnych kwadratów z dużą blizną na środku; szmatkę, która bardzo intrygowała lekarzy i długo rozprawiali, dlaczego pan Ardèvol nie pozwala jej sobie odebrać i trzyma ją kurczowo w obu rękach. Brudna, zmięta szmatka, tak, doktorze. Dziwne, prawda? Co to za szmatka, powiesz nam, skarbie?

Adrian próbował zeszkrobać paznokciem jakąś plamkę na oparciu wózka. Bernat odwrócił się, słysząc zgrzyt, i zapytał dobrze się czujesz?

– Nie sposób tego usunąć. – Podrapał z większą siłą: – No widzi pan?

Bernat podszedł bliżej, założył okulary i obejrzał plamkę, jakby było w niej coś interesującego. Ponieważ nie wiedział, jak się zachować i co mówić, zdjął okulary i powiedział nie przejmuj się, to się nie powiększa. I znów usiadł naprzeciwko Adriana. Po kwadransie milczenia, którego nikt nie przerywał, bo życie jest sumą samotności, które nas prowadzą do

– No dobrze: spójrz na mnie. Adrian, spójrz na mnie, na litość boską.

Adrian przestał skrobać i spojrzał na niego spłoszony; uśmiechnął się przepaszająco, jakby go ktoś przyłapał na gorącym uczynku.

– Skończyłem przepisywać twoje papiery. Bardzo mi się podobało. Bardzo. To, co jest na odwrocie kartek, też. Wydamy to. Twój przyjaciel Kamenek mówi, że warto.

Spojrzał mu w oczy. Adrian, przestraszony, jeszcze mocniej skrobał oparcie wózka.

– Ty nie jesteś Wilson.

– Adrianie. Mówię o tym, co napisałeś.

– Przepraszam pana.

– Nie musisz mnie za nic przepaszzać.

– To jest dobre czy złe?

– To, co napisałeś, bardzo mi się podoba. Nie wiem, czy jest bardzo dobre, ale mnie się ogromnie podoba. To niesprawiedliwe. Prawdziwy z ciebie skurwysyn.

Adrian popatrzył na swego rozmówcę, znów zaczął skrobać plamę, otworzył usta i zaraz zamknął. Uniósł ramiona, zmieszany:

– Co mam teraz robić?

– Słuchaj. Przez całe moje życie. Przepraszam: przez całe moje kurrrewskie życie starałem się napisać coś przyzwoitego, żeby poruszyć czytelnika, a ty, któremu nigdy na tym nie zależało, bierzesz pióro do ręki i od razu wkładasz palec w najbardziej wrażliwą ranę duszy. Przynajmniej mojej duszy. Kurczę, co za niesprawiedliwość.

Adrian Ardèvol nie wiedział, czy dalej skrobać plamę, czy patrzeć na rozmówcę. Wybrał patrzenie w ścianę, zmartwiony:

– Myślę, że pan się myli. Ja nic nie zrobiłem.

– To niesprawiedliwe.

Adrianowi spłynęły po policzku dwie wielkie łzy. Nie chciał patrzeć na gościa. Potarł ręce.

– Co mam robić? – błagał.

Bernat, zamyślony, nic nie odpowiedział. Wtedy Adrian na niego spojrzał i poprosił:

– Proszę pana, niech pan mnie posłucha.

– Nie mów do mnie proszę pana. Ja jestem Bernat, twój przyjaciel.

– Bernacie, niech pan posłucha.

– Nie: ty mnie słuchaj. Bo teraz już wiem, co o mnie myślisz. Nie skarzę się; potrafiłeś mnie rozgryźć, a ja na to zasłużyłem; ale mam jeszcze tajemnice, o które mnie nawet nie podejrzewałeś.

– Przykro mi.

Zamilkli. Wtedy wszedł Wilson i zapytał wszystko w porządku, skarbie? Wziął Adriana za podbródek, żeby spojrzeć mu w twarz, jak dziecku. Otarł łzy jednorazową chusteczką i dał pastylkę

i pół szklanki wody, którą Adrian wypił z zachłannością, której Bernat nigdy u niego nie widział. Wilson powtórzył wszystko w porządku, patrząc na Bernata. Ten gestem dał mu do zrozumienia fantastycznie, stary, a Wilson tylko rzucił okiem na kaszkę rozlaną na ziemi. Próbował zebrać ją papierową chusteczką, ale poddał się i wyszedł z pokoju zde gustowany, z pustą szklanką, gwizdząc jakąś nieznaną melodię na sześć ósmych.

– Naprawdę tak ci zazdroścę, że...

Upłynęło dziesięć minut w ciszy.

– Jutro zaniosę papiery do Baućy. Zgoda? Wszystkie: te zapisane zielonym atramentem. Te pisane czarnym atramentem dostał Johannes Kamenek i twoja koleżanka z uczelni, niejaka Parera. Opublikujemy obie strony, zieloną i czarną. Zgoda? Twoje wspomnienia i twoje refleksje. Zgoda, Adrianie?

– Tu mnie swędzi – Adrian wskazał ścianę. Spojrzał na przyjaciela: – Jak to możliwe, żeby swędziała mnie ściana.

– Będę informował cię na bieżąco.

– Nos też mnie swędzi. I jestem bardzo zmęczony. Nie mogę czytać, bo wszystko mi się miesza w głowie. Nie pamiętam już, co do mnie mówiłeś.

– Podziwiam cię – powiedział Bernat, patrząc mu w oczy.

– To się więcej nie powtórzy. Obiecuję.

Bernatowi nie było do śmiechu. Patrzył na niego w milczeniu. Wziął go za rękę, która co chwilę walczyła z krnąbrną plamą, i ucałował ją, jak się całuje na znak przyjaźni rękę ojca czy wuja. Popatrzył mu w oczy. Tamten wytrzymał jego spojrzenie przez parę sekund.

– Wiesz, kim jestem – upewnił się, prawie przekonany, Bernat. – Prawda?

Adrian patrzył na niego uważnie. Kiwnął głową, że tak, i lekko się uśmiechnął.

– Kim jestem? – Bernat oczekiwał z nieśmiałą nadzieją.

– No jasne, wiem... Ten... no jak ci tam. Prawda?

Bernat podniósł się, poważny.

– Nie? – zmartwił się Adrian. Popatrzył na gościa, który stał teraz obok niego. – Ale ja wiem. Ten, który... Tylko nie mogę sobie przypomnieć imienia. Pana nie kojarzę, ale jest tu taki jeden, i jego tak, wie pan, jego tak. Taki jeden, który się nazywa... teraz nie pamiętam, ale go znam. Dobrze się mną opiekuje. Bardzo dobrze. Taki jeden, który mnie nazywa... nie pamiętam, jak się do mnie zwraca, ale tak, to musi być on.

I dodał po przykrej przerwie:

– Prawda, proszę pana?

Coś poruszyło się w kieszeni Bernata. Wyciągnął komórkę. SMS: „Gdzie się podziewasz?”. Pochylił się i pocałował chorego w czoło.

– Do widzenia, Adrianie.

– Pozdrawiam. Proszę przychodzić, jak tylko będzie pan miał chęć...

– Nazywam się Bernat.

– Bernat.

– Tak, Bernat. I nie gniewaj się na mnie.

Bernat wyszedł na korytarz i oddalił się, ocierając mimowolną łzę. Rozejrzał się ukradkiem wokół siebie i wybrał numer.

– Gdzie, do diabła, się podziewasz? – usłyszał głos Kseni, nieco zmieniony.

– Ej, nie, nic.

– Gdzie jesteś?

– Nic. Obowiązki.

– Prawda, że dziś nie masz próby?

- Nie, ale coś mi wypadło.
- No już, pospiesz się, strasznie mi się chce z tobą pieprzyć.
- Zajmie mi to jeszcze z godzinę.
- Jeszcze jesteś w urzędzie skarbowym?
- Tak. Przepraszam, muszę kończyć, dobrze? Cześć.

Rozłączył się, zanim Ksenia zdążyła zadać kolejne pytanie. Obok przeszła sprzątaczką z wózkiem z detergentami i spojrzała na niego z wyrzutem, z powodu telefonu. Przypominała panią Trullols. Bardzo. Kobieta mruczała coś pod nosem, oddalając się korytarzem.

Doktor Valls złożył ręce jak do modlitwy i pokręcił głową:

- Na obecnym etapie rozwoju medycyna nie potrafi nic więcej zrobić.
- Ale przecież on jest uczonym! Jest inteligentny. Wyjątkowo uzdolniony! – Miał niemiłe wrażenie *déjà vu*, przypomniał mu się Quico Ardèvol z Tony. – Zna dziesięć czy piętnaście języków, lekko licząc!
- To już minęło. Mówiliśmy o tym wielokrotnie. Jeśli atlecie utną nogę, nie będzie więcej bił rekordów. Rozumie pan, prawda? W tym przypadku jest podobnie.
- Napisał pięć ważnych rozpraw z dziedziny historii kultury.
- Wiemy, wiemy... Problem w tym, że choroba ma to wszystko gdzieś. Taka jest prawda, panie Plensa.
- To się nie cofnie?
- Nie.

Doktor Valls spojrzał na zegarek niezbyt ostentacyjnie, ale jednak tak, żeby Bernat zauważył. Mimo to nie od razu zrezygnował.

- Czy ktoś go tu odwiedza?
- Prawdę mówiąc...
- Ma kuzynów w Tonie.
- Czasem przyjeżdżają. To przykry widok.
- I nikt inny, kto by...
- Niektórzy koledzy uniwersyteccy. Czasem jeszcze ktoś, ale... dużo czasu spędza sam.
- Biedny.
- O ile wiemy, to do niego nie dociera.
- Może żyć wspomnieniami.
- Niestety nie. Nic nie pamięta. Żyje chwilą. Natychmiast zapomina.
- Chce pan powiedzieć, że już nie pamięta, że przyszedłem go odwiedzić?
- Nie tylko nie pamięta, że pan go odwiedził, ale moim zdaniem nie wie, kim pan jest.
- Wydaje mi się, że ma wątpliwości. Gdybyśmy go zabrali do domu, może by się ocknął.
- Panie Plensa, ta choroba polega na powstawaniu włókien między neuronami...

Doktor zamilkł i zastanawiał się przez chwilę.

- Jak by tu panu wyjaśnić... – Myślał jeszcze parę sekund, a potem dodał: – Neurony przekształcają się w grube włókna w formie węzłów... – Spojrzał w prawo i w lewo, jakby szukał pomocy. – Proszę sobie wyobrazić, to jest tak, jakby mózg był zalewany cementem w sposób nieodwracalny. Nawet gdyby pan zabrał pana Ardèvola do jego domu, niczego tam nie rozpozna i nic nie będzie pamiętał. Mózg pańskiego przyjaciela jest zniszczony na zawsze.
- Czyli – nalegał Bernat – on mnie nie poznaje.
- Zachowuje się kulturalnie, bo tak go wychowano. Na tym etapie przestaje rozpoznawać ludzi i wydaje mi się, że nie zna nawet samego siebie.
- Jeszcze czyta.
- To już się kończy. Wkrótce o tym zapomni. Czyta i nie pamięta przeczytanego akapitu, musi go

powtórzyć, rozumie pan? I dalej nic nie wie. Tylko czuje się zmęczony.

– Czy możliwe jest, że nie cierpi, skoro niczego nie pamięta?

– Tego nie mogę zagwarantować. Wygląda na to, że nie. Wkrótce proces degeneracji opanuje inne funkcje życiowe.

Bernat wstał ze łzami w oczach; jeden etap zamykał się na zawsze. Na zawsze. On też częściowo umierał wraz z powolną śmiercią przyjaciela.

Pani Trullols weszła do cinquantaquattro z wózkiem z detergentami. Przetawiła wózek inwalidzki Adriana do kąta, żeby jej nie przeszkadzał.

– Witaj, skarbie. – Spojrzała na podłogę: – Zobaczmy, gdzie się stało nieszczęście?

– Witaj, Wilson.

– Aleś tu nabrudził!

Kobieta zabrała się do zmywania podłogi w miejscu, gdzie rozlała się kaszka, i powiedziała no, zobaczymy, czy nie trzeba będzie oduczyć cię tak świnić, a Adrian spojrzał na nią wystraszony.

Ze ścierką w ręce pani Trullols zbliżyła się do wózka, do Adriana, który ją obserwował, bliski płaczu z powodu tego łajania. Wtedy odpięła mu górny guzik koszuli i odsłoniła łańcuszek z medalikiem, tak samo jak Daniela czterdzieści lat wszeźniej.

– Jaki ładny.

– Tak. To moje.

– Nie: to moje.

– Aha. – Zdezorientowany, nie miał argumentów.

– Oddasz mi go, prawda?

Adrian patrzył na kobietę, nie bardzo wiedząc, czego od niego oczekuje. Ona spojrzała w stronę drzwi i delikatnie wzięła łańcuszek, i przeciągnęła go przez głowę Adriana. Jeden szybki rzut oka i łańcuszek zniknął w kieszeni fartucha.

– Dziękuję, kochaneczku – powiedziała.

– Nie ma za co.

Sam mu otworzył. Dużo starszy, chudy jak zawsze, z tym samym świdrującym spojrzeniem. Adrian poczuł intensywny zapach wnętrza, jeszcze nie wiedział, przyjemny czy nieprzyjemny. Przez kilka sekund pan Berenguer stał w otwartych drzwiach, jakby miał trudności z rozpoznaniem gościa. Otarł krople potu z czoła białą chusteczką, starannie złożoną. W końcu powiedział:

– No, no. Ardèvol.

– Mogę wejść? – zapytał Ardèvol.

Jeszcze parę sekund wahania. W końcu go wpuścił. W środku było jeszcze cieplej niż na zewnątrz. Przedpokój był całkiem spory, zadbane, wręcz imponujący, ze wspaniałym wieszakiem na ubrania, dzieło Pedrella z tysiąc osiemset siedemdziesiątego, musiał kosztować majątek, ze stojakiem na parasole, lustrem i mnóstwem ornamentów. Ukoronowaniem całości była konsola chippendale w kącie, z bukietem suchych kwiatów w wazonie. Wprowadził go do salonu, gdzie na jednej ścianie wisiały obok siebie obrazy Utrilla i Rusiñola. Sofa, prawdziwy unikat, była zapewne jedynym przedmiotem, który ocalał z pamiętnego pożaru pracowni Braci Torrijos. Na drugiej ścianie podwójna kartka rękopisu, bardzo starannie oprawiona. Nie śmiał podejść bliżej, żeby sprawdzić, co to takiego. Widziana z daleka wyglądała na tekst z szesnastego albo z początku siedemnastego wieku. Adrian nie umiałby wyjaśnić, na czym to polegało, ale ten bezdyskusyjny, nieskazitelny porządek wskazywał na brak damskiej ręki. Wszystko było zbyt perfekcyjne, zbyt profesjonalne, żeby dało się tu mieszkać. Wbrew sobie podziwiał komplet mebli w salonie, z uroczą maleńką sofą chippendale w rogu. Pan Berenguer dał mu czas, żeby się spokojnie rozejrzał, nie ukrywając dumy. Usiedli. Wentylator, który na darmo próbował odświeżyć powietrze, wyglądał jak anachronizm w złym guście.

– No, no – powtórzył pan Berenguer.

Adrian spojrzał mu w oczy. Teraz zrozumiał, że intensywny zapach odczuwalny w upalnym powietrzu był zapachem sklepu; tym samym, który zapamiętał z czasów, kiedy w nim bywał, pilnowany przez ojca, przez Cecylię albo przez samego pana Berenguera. Mieszkanie zapachem i atmosferą przypominało sklep. Mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat pan Berenguer najwyraźniej nie myślał o emeryturze.

– Co to za historia z właścicielem skrzypiec? – zapytałem zbyt obcesowo.

– Samo życie. – Spojrzał na mnie, nie ukrywając satysfakcji.

– Jak to samo życie? – splunął szeryf Carson.

– Jak to samo życie?

– Znalazł się, po prostu.

– Ma go pan przed sobą: to ja.

– Nie. To pewien mężczyzna z Antwerpii, w podeszłym wieku. Naziści odebrali mu skrzypce, gdy tylko znalazł się w Auschwitz. Kupił je w trzydziestym ósmym. O szczegóły jego trzeba pytać.

– A niby jak miałyby to udowodnić?

Pan Berenguer uśmiechnął się zamiast odpowiedzi.

– Musiał pan dostać niezłą prowizję.

Pan Berenguer przetarł czoło chusteczką, nadal milczał i uśmiechał się.

– Mój ojciec nabył je legalnie.

– Twój ojciec ukradł je w zamian za parę dolarów.

– Skąd pan to może wiedzieć?

– Bo byłem przy tym. Twój ojciec był bandytą, który żerował na kim się dało: najpierw na Żydach, którzy uciekali w panice, potem na nazistach, którzy uciekali planowo, dobrze zorganizowani.

I na każdym, kto się zrujnował i pilnie potrzebował pieniędzy.

– Z pewnością takie były wtedy reguły gry. A pan na pewno brał w tym udział.

– Twój ojciec był człowiekiem bez skrupułów. Zniszczył certyfikat własności, który był wewnątrz skrzypiec.

– Wie pan co? Nie wierzę panu, w żadne pańskie słowo. Bardzo jestem ciekaw, jak wszedł pan w posiadanie tych unikatowych mebli z warsztatu Braci Torrijos czy Pedrella.

– Niech cię o to głowa nie boli. Wszystko tu jest legalne i udokumentowane. Nie jestem takim amatorem jak twój ojciec. Koniec końców sam położył głowę pod topór.

– Co? – Cisza. Pan Berenguer nie starał się ukryć złośliwego uśmiechu. Żeby zyskać na czasie i trochę się zastanowić, Carson kazał mi go zapytać, czy dobrze pana zrozumiałem, panie Berenguer?

Signor Falegnami, zdenerwowany, wyciągnął mały damski pistolet i wymierzył w Feliksa Ardèvola. Ten nie ruszył się z miejsca. Demonstracyjnie uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową, jakby się poczuł zdegustowany tą sceną:

– Jest pan sam. Jak pan się pozbędzie ciała?

– Z prawdziwą przyjemnością zajmę się rozwiązaniem tego problemu.

– Zostanie panu jeszcze jeden, poważniejszy: jeżeli nie wyjdę stąd na własnych nogach, ci, którzy na mnie czekają na dole, będą wiedzieli, co trzeba zrobić. – Wskazując pistolet, upomniał go surowo: – A teraz wezmę skrzypce za dwa tysiące. Nie wie pan, że jest jedną z dziesięciu osób najpilniej poszukiwanych przez aliantów? – Powiedział to tonem, jakim karci się nieposłuszne dziecko.

Doktor Voigt patrzył, jak Ardèvol wyciąga zwitek banknotów i kładzie je na szafce. Opuścił pistolet, z niedowierzaniem wpatrując się przerażonym wzrokiem:

– Tu jest tylko tysiąc pięćset!

– Niech pan nie wystawia na próbę mojej cierpliwości, doktorze Voigt.

To był doktorat Feliksa Ardèvola z przeprowadzania transakcji. Pół godziny później podążył zwawym krokiem ulicą ze skrzypcami w ręku, zadowolony, że tak dobrze mu poszło; tylko serce biło mu trochę szybciej niż zwykle. Nikt z tych, którzy wiedzieli, co mają robić, jeżeli nie wyjdzie stamtąd o własnych siłach, nie czekał na niego na dole. Poczł się dumny ze swego podstępu. Ale nie docenił notesu, którego używał Falegnami. Ani pełnego nienawiści spojrzenia, jakim go pożegnał. A po południu nic nikomu nie mówiąc, nie oddając się w opiekę Boga ni szatana, ani pana Berenguera, ani ojca Morlina, Feliks Ardèvol zadenuncjował portiera z Ufficio della Giustizia e della Pace, niegroźnego, tęgiego, łysego mężczyznę z nieobecnyim spojrzeniem i rozdętym nosem, o którego działalności lekarskiej nie wiedział, jako ukrywającego się doktora Ariberta Voigta, oficera Waffen-SS. Podobnie jak doktora Buddena, również doktora Voigta nie dało się powiązać z Auschwitz-Birkenau. Ktoś spalił właściwe papiery. W czasie, gdy wszystkie inkwizytorskie spojrzenia skierowane były na zaginionego doktora Mengele i jego otoczenie, pracowici badacze zajmujący się pozostałymi obozami mieli czas zniszczyć kompromitujące dowody. A jeśli do tego dołożymy jeszcze bałagan, długie listy oskarżonych, niekompetencję starszego sierżanta O'Rourke, odpowiedzialnego za sporządzenie raportu, a trzeba wziąć pod uwagę, że był on przeciążony pracą, wszystko to sprawiło, że nie ujawniła się prawdziwa osobowość i charakter działalności doktora Voigta, skazanego na pięć lat więzienia jako oficer Waffen-SS, któremu nie udało się udowodnić udziału w żadnym działaniu wojennym ani akcji likwidacyjnej w okrutnym stylu, właściwym dla większości jednostek SS.

Parę lat później na ulicy del Sol tłoczyli się mężczyźni w burnusach wychodzący z majestatycznego meczetu Omajjadów, którzy dzielili się refleksjami na temat sury przypadającej na ten piątek czy po prostu komentowali oburzającą podwyżkę cen obuwia, herbaty i warzyw. Było też sporo ludzi, którzy wyglądali, jakby nigdy nie przekroczyli progu meczetu. Siedzieli na wąskich tarasach kawiarni Concòrdia czy kawiarni Tisoires i spokojnie paląc margile, woleli nie zastanawiać się, czy w tym roku znowu będzie zamach stanu.

Dwie minuty dalej, ukryci w labiryncie uliczek, siedzieli na kamieniu przy fontannie Cérvol ze wzrokiem wbitym w ziemię dwaj milczący mężczyźni, nieobecni, sprawiający wrażenie strażników słońca, które wędrowało na zachód, w stronę Bab al-Jabiya nad Morzem Śródziemnym. Jakiś roztargniony przechodzień mógłby pomyśleć, że ci dzielni mężczyźni czekają, aż cień zastąpi słońce udające się na spoczynek, i w tej magicznej chwili, kiedy nie można odróżnić białej nitki od czarnej, zacznie się Mawlid an-Nabi, niech imię Proroka będzie zawsze wspominane i czczone. I nastał moment, kiedy oko ludzkie przestało odróżniać białą nitkę od czarnej. Mimo że wojsko nie wzięło sobie tego do serca, całe miasto Damaszek zaczęło obchodzić Mawlid an-Nabi. Mężczyźni nie ruszyli się z miejsca, dopóki nie usłyszeli niepewnych kroków. Jakiś cudzoziemiec z Zachodu, sądząc po sposobie poruszania się, niepotrzebnym hałasie, po sapaniu. Popatrzyli na siebie bez słowa i wstali. Zza rogu ulicy Mosques wyszedł tęgi mężczyzna z dużym nosem, który ocierał czoło chusteczką, jakby noc Mawlid an-Nabi była ciepła. Podeszedł prosto do nich.

– Jestem doktor Zimmermann – przedstawił się cudzoziemiec.

Mężczyźni nie odezwali się ani słowem i ruszyli przed siebie szybkim krokiem przez płataninę uliczek w okolicy bazaru, a tęgi mężczyzna musiał bardzo uważać, żeby nie stracić ich z oczu na każdym rogu, gdy mieszały się z ostatnimi przechodniami, którzy jeszcze kręcili się w tej okolicy. Aż stanęli przed uchylonymi drzwiami sklepu z miedzianymi naczyniami, a on tuż za nimi. Szli przed siebie w głąb lokalu wąskim korytarzykiem między stosami nagromadzonych naczyń, aż do kotary, za którą był dziedziniec oświetlony tuzinem świec, gdzie czekał na nich niski łysy mężczyzna w burnusie, przechadzając się wte i wewte, wyraźnie zniecierpliwiony. Kiedy weszli, nie zwracając uwagi na przewodników, uściśnął rękę cudzoziemcowi i powiedział a już się martwiłem. Obaj przewodnicy zniknęli równie bezszelestnie, jak się pojawili.

– Miałem problem z celnikami na odprawie na lotnisku.

– Już w porządku?

Mężczyzna zdjął kapelusz, jakby chciał się pochwalić łysiną, i użył go jako wachlarza. Kiwnął głową, że tak, że już w porządku.

– Ojczy Morlinie.

– Tu zawsze jestem David Duhamel. Zawsze.

– Monsieur Duhamel. Co się udało ustalić?

– Wiele rzeczy. Ale jeszcze chcę postawić kropkę nad i.

Ojciec Feliks Morlin stojąc, stawiał kropkę nad i w świetle dwunastu świec, cudzoziemiec słuchał uważnie wszystkiego, co tamten szeptał mu do ucha, jakby chodziło o spowiedź bez konfesjonału. Powiedział, że Feliks Ardèvol nadużył jego zaufania i, wykorzystując sytuację pana Zimmermanna, praktycznie ukradł mu tamte cenne skrzypce. Nie tylko pogwałcił święte prawo gościnności, ale jeszcze wydał pana Zimmermanna i jego kryjówkę aliantom.

– Z powodu tego niesprawiedliwego donosu zostałem skazany na pięć lat ciężkich robót za to, że służyłem mojemu krajowi w czasie wojny.

– Wojny przeciwko ekspansji komunizmu.

– Tak, przeciw ekspansji komunizmu.

– Co chce pan teraz zrobić?

– Odnaleźć go.

– Dość już przelewu krwi – deklamował ojciec Morlin. – Proszę sobie zapamiętać, że choć Ardèvol jest niezrównoważony i zaszkodził panu, nadal jest moim przyjacielem.

– Chcę tylko odzyskać moje skrzypce.

– Powiedziałem, dość już przelewu krwi. Bo inaczej jeszcze pan o mnie usłyszy.

– Nie mam w tym żadnego interesu, żeby mu coś zrobić. Nie spadnie mu włos z głowy. Rycerskie słowo honoru.

Uznając te słowa za definitywne świadectwo moralności, ojciec Morlin przytaknął ruchem głowy, wyciągnął z kieszeni spodni złożoną kartkę papieru i podał ją Herr Zimmermannowi. Tamten ją rozłożył, przybliżył do świecy, szybko przeczytał, złożył ponownie i szybko schował do kieszeni.

– Przynajmniej taką mam korzyść z tej podróży. – Wyciągnął chusteczkę i otarł nią twarz, narzekając na kurrrewski upał; nie mam pojęcia, jak ludzie mogą mieszkać w tych krajach.

– Z czego się pan utrzymuje po wyjściu z więzienia?

– Pracuję jako psychiatra, oczywiście.

– Aha.

– A pan czym się zajmuje w Damaszku?

– Sprawy związane z zakonem. Pod koniec miesiąca wracam do mojego klasztoru Santa Sabina.

Nie przyznał się, że starał się reaktywować szczytną siatkę szpiegowską, którą wielebny Benigni założył wiele lat temu, a później musiał rozwiązać z powodu krótkowzrocznej polityki władz watykańskich, które nie chciały przyjąć do wiadomości, że jedynym realnym niebezpieczeństwem jest komunizm, rozprzestrzeniający się teraz po całej Europie. Nie powiedział mu też, że następnego dnia będzie obchodził czterdziestą siódmą rocznicę wstąpienia do zakonu dominikańskiego ze świętym i mocnym postanowieniem służenia Kościołowi nawet z narażeniem życia, gdyby zaszła taka potrzeba. Tak, minęło już czterdzieści siedem lat od chwili, gdy poprosił o przyjęcie do zakonu w Liège. Feliks Morlin urodził się zimą 1320 roku w tym samym mieście Gironie, gdzie się wychował w atmosferze żarliwej pobożności w rodzinie, która zbierała się codziennie na modlitwę po zakończeniu pracy. Nikogo nie zaskoczyła decyzja młodzieńca, gdy wybrał niedawno powstały zakon dominikański. Studiował medycynę na Uniwersytecie w Wiedniu i jako dwudziestojednoletni chłopak wstąpił do Narodowosocjalistycznej Partii Austrii, przyjmując imię Alí Bahr. Był zdecydowany podjąć naukę, żeby zostać dobrym kadim lub mufim, wzorując się na mądrości, rozwadze i sprawiedliwości swoich mistrzów i niedługo potem wstąpił do SS z numerem 367744. Najpierw służył na polu bitwy w Buchenwaldzie pod rozkazami doktora Eisela, a 8 października 1941 został mianowany szefem służby medycznej na niebezpiecznym froncie bitewnym w Auschwitz-Birkenau, gdzie pracował z poświęceniem dla dobra ludzkości. Niedoceniony, doktor Voigt musiał uciekać pod przybranymi nazwiskami, jako Zimmermann czy Falegnami, i gotów jest czekać, wraz z wybranymi, aż odzyskają Ziemię, która znów będzie płaska, kiedy szariat ogarnie cały świat i tylko wierni będą mieli prawo na niej mieszkać, w imię Miłosiernego. Wtedy granice świata będzie wyznaczać tajemnicza mgła, a my znów będziemy zarządzać tą tajemnicą, z wszelkimi jej konsekwencjami. Niech tak się stanie.

Doktor Aribert Voigt instynktownie pomacał kieszeń. Ojciec Morlin powiedział lepiej, żeby do Aleppo jechał pan pociągiem. Stamtąd do Turcji też pociągiem. Taurus Express.

– Dlaczego?

– Musi pan unikać portów i lotnisk. A gdyby linia kolejowa została przecięta, co też może się zdarzyć, proszę wynająć taksówkę: tu dolar czyni cuda.

– Wiem, jak sobie radzić.

– Wątpię. Przyleciał pan samolotem.

– Z zachowaniem wszystkich środków ostrożności.

– Nigdy te środki nie są w stu procentach pewne. Przecież zatrzymano pana na lotnisku.

– Chyba pan nie przypuszcza, że mnie tu śledzą.

– Moi ludzie zrobili wszystko, żeby to uniemożliwić. A mnie nigdy pan nie widział.

– To oczywiste; nigdy nie naraziłbym pana na niebezpieczeństwo, Monsieur Duhamel. Moja wdzięczność jest bezgraniczna.

Dopiero teraz, jakby wcześniej nie przyszło mu to do głowy, rozpiął spodnie. W dosztytm od spodu pasku z materiału ukrywał jakieś małe przedmioty. Wyciągnął miniaturowy czarny woreczek i wręczył go Merlinowi. Ten rozciągnął sznurek i zajrzał do środka. Trzy duże łyzy odbiły pomnożony wielokrotnie

blask świec. Woreczek zniknął natychmiast w jakiejś skrytce dzellaby Morlina, w czasie gdy doktor Voigt zapinał spodnie.

– Dobranoc, panie Zimmermann. Już od szóstej rano odjeżdżają pociągi na północ.

– Kurrewski upał – odpowiedział pan Berenguer i wstał, żeby ustawić wentylator frontem do siebie.

Adrian takim samym cichym tonem, jakiego używał pan Berenguer, kiedy groził ojcu w scenie, którą szpiegował ukryty za sofą, powiedział panie Berenguer, jestem prawowitym właścicielem skrzypiec. Jeśli ktoś chce iść w tej sprawie do sądu, proszę bardzo, ale uprzedzam, że jeśli tak się sprawa potoczy, pociągnę za odpowiednie sznurki i zostanie panu figa z makiem.

– Jak sobie życzysz. Masz taki sam charakter jak twoja matka.

Nikt mi jeszcze tego nie mówił. Ani ja tak wtedy nie myślałem. Czuję tylko nienawiść do tego człowieka, który sprawił, że Sara się ze mną pokłóciła. Mógł mówić, co chciał.

Wstałem, bo musiałem zrobić odpowiednie wrażenie, żeby nadać odpowiednią wagę moim słowom. Gdy tylko się podniosłem, od razu pożałowałem wszystkiego, co powiedziałem, i sposobu, w jaki podszedłem do sprawy. Rozbawione spojrzenie pana Berenguera popychało mnie naprzód; z lękiem, ale brnąłem dalej.

– Niech pan zostawi moją matkę w spokoju. O ile pamiętam, pokazała panu pańskie miejsce w szeregu.

Kiedy ruszyłem w kierunku przedpokoju, uświadomiłem sobie, że zachowałem się jak kretyn: co właściwie osiągnąłem podczas tej wizyty? Nic nie udało się wyjaśnić. Tylko jednostronnie wydałem wojnę, nie wiedząc, czy mam ochotę ją prowadzić. Ale pan Berenguer, idąc za mną do przedpokoju, pomógł mi:

– Twoja matka była stuprocentową suką, która uparła się, żeby uprzykrzyć mi życie. W dniu, kiedy zmarła, otworzyłem butelkę szampana Veuve Cliquot. – Czuję oddech pana Berenguera na karku, kiedy szedł za mną do przedpokoju. – Codziennie piję łyk. Już stracił moc, ale w ten sposób zmuszam się do myślenia o kurrewskiej pani Ardèvol spod ciemnej gwiazdy. – Westchnął: – Kiedy wypiję ostatnią kroplę, będę mógł umrzeć.

Znaleźli się w przedpokoju; pan Berenguer stanął przed nim. Gestem pokazał, jak pije.

– Codziennie, plim!, do gardła. Żeby uczcić fakt, że tamta suka jest martwa, a ja jeszcze żyję. Zdajesz sobie sprawę, Ardèvol, że twoja żona nie zmieni zdania. Żydzi są przeczulenii na tym punkcie...

Otworzył drzwi.

– Z twoim ojcem dało się rozmawiać i zostawiał mi wolną rękę dla dobra interesu. Twoja matka była tytanem pracy. Jak wszystkie kobiety; ale wyjątkowo złośliwa... A ja, plim!, codziennie jeden łyk.

Adrian wyszedł na schody i odwrócił się, żeby wygłosić jakieś pełne godności zdanie stosowne do okoliczności, na przykład dużo pana będą kosztować te obelgi, czy coś w tym rodzaju. Ale zamiast ironicznego uśmiechu pana Berenguera zobaczył ciemny lakier drzwi, które pan Berenguer zatrzasnął mu przed nosem.

Tego popołudnia po powrocie do domu w samotności grałem sonaty i partity. Niepotrzebne mi były nuty, mimo upływu lat, przydałyby się natomiast sprawniejsze palce. Przy drugiej sonacie Adrian zaczął płakać, bo czuł się smutny z wielu powodów. W tym momencie zajrzała do gabinetu Sara, która właśnie weszła do domu. Kiedy upewniła się, że to ja gram, a nie Bernat, wyszła bez słowa.

Dwa tygodnie po rozmowie z panem Berenguerem zmarła moja siostra. Nie wiedziałem, że była chora, tak samo jak kiedyś było z matką. Mąż Daniela powiedział, że ani ona, ani nikt nie zdawał sobie sprawy z choroby. Skończyła siedemdziesiąt jeden lat i chociaż nie widziałem jej od dawna, w trumnie nadal sprawiała wrażenie eleganckiej kobiety. Adrian nie umiał nazwać swoich emocji: smutek, dystans, coś dziwnego. Nie wiedział, co przeżywa. Bardziej przejmował się nastrojami Sary niż swoimi uczuciami do niejakej Daniela Amato de Carbonell, jak wypisano na klepsydrze.

Nie powiedziałem Saro, zmarła moja siostra. Kiedy zadzwonił do mnie Tito Carbonell, żeby mnie poinformować o śmierci swojej matki, czekałem na nowe informacje w sprawie skrzypiec i nie od razu do mnie dotarło, że podaje mi coś tak banalnego jak adres domu żałoby w dzielnicy Corts, gdybyś chciał przyjść, jutro pogrzeb, a ja odłożyłem słuchawkę i nie powiedziałem Saro, zmarła moja siostra, bo wydawało mi się, że zapytałabyś ty masz siostrę? A może nic byś nie powiedziała, bo w tamtych dniach ty i ja nie rozmawialiśmy ze sobą.

W domu żałoby było dużo ludzi. Na cmentarzu Montjuïc tylko dwadzieścia osób. Z grobu Daniela Amato rozciąga się wspaniały widok na morze. Co jej z tego przyjdzie, słyszałem, jak komentuje ktoś za mną, podczas gdy grabarze zamykali grób. Nie było Cecylii; albo jej nie zawiadomiono, albo już nie żyła. Pan Berenguer przez cały czas udawał, że mnie nie widzi. A Tito Carbonell stał przy nim, jakby chciał zaznaczyć swoje terytorium. Miałem wrażenie, że jedyną osobą zasmuconą i naprawdę przejętą tą śmiercią był Albert Carbonell, który w nowej roli wdowca nie zdążył się jeszcze oswoić z samotnością, jaka go czekała. Adrian widział go zaledwie parę razy w życiu, ale zrobiła na nim wrażenie rozpacz tego człowieka, który wyraźnie się postarzał. Kiedy schodziliśmy na dół długimi alejkami cmentarza, Albert Carbonell podszedł do mnie, wziął mnie pod ramię i powiedział dziękuję, że przyszedłeś.

– To oczywiste. Przykro mi.

– Dziękuję. Chyba tylko tobie. Inni są tu z wyrachowania.

Zamilkliśmy; słyhać było tylko odgłos kroków naszej grupy na niewybrukowanej alejce, zakłócany szeptami na ucho, narzekaniem na upał w Barcelonie czy jakimś kaszlnięciem, aż do chwili, gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie zaparkowaliśmy samochody. Tymczasem Albert Carbonell tak cicho, jak tylko się dało, jakby chciał wykorzystać okazję, powiedział mi uważaj na tego farbowanego lisa Berenguera.

– Pracował z Danielą w sklepie?

– Dwa miesiące. Daniela musiała wyrzucić go siłą. Od tej pory znienawidził ją śmiertelnie i nie pominął żadnej okazji, żeby jej to okazać.

Zrobił pauzę, jakby trudno mu było jednocześnie mówić i iść. Przypomniałem sobie jak przez mgłę, że chyba był astmatykiem. A może to sobie wymyśliłem. W każdym razie po chwili mówił dalej, że z Berenguera niezły ptaszek, że to człowiek chory.

– W jakim sensie?

– W jedynym możliwym. Ma coś nie w porządku z głową. I nienawidzi wszystkich kobiet. Nie znosi, kiedy kobieta przewyższa go inteligencją. Albo gdy decyduje za niego. To go rani i zostawia mu bliznę wewnątrz. Uważaj, żeby ci nie zrobił krzywdy.

– Uważasz, że byłoby go na to stać?

– Z Berenguerem nigdy nic nie wiadomo.

Pożegnaliśmy się przy samochodzie Tita. Podaliśmy sobie ręce, a on mi powiedział uważaj na siebie; Daniela wiele razy mówiła mi o tobie z sympatią. Szkoda, że nie byliście ze sobą bliżej.

– Kiedy byłem mały, byłem w niej zakochany przez jeden dzień.

Powiedziałem to, kiedy już wsiadał do samochodu, i nie wiem, czy mnie usłyszał. Siedząc w środku, pomachał mi na pożegnanie. Nigdy więcej go nie spotkałem. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

Dopiero wracając do domu i zastanawiając się, czy powinienem ci to powiedzieć, czy nie, znalazłszy się w samym środku gęstego ruchu na rondzie wokół pomnika Kolumba, fotografowanego przez turystów, uświadomiłem sobie, że Albert Carbonell był pierwszą osobą, która nie mówiła pan Berenguer o panu Berenguerze.

Kiedy otworzyłem drzwi, Sara mogła mnie zapytać, skąd wracasz, a ja odpowiedziałbym z pogrzebu mojej siostry, na to ona to ty masz siostrę? Na to ja tak, przyrodnią. Ona: mogłeś mi o tym powiedzieć; ja: przecież nigdy mnie o to nie pytałaś; wiesz, nie byliśmy ze sobą blisko. A dlaczego teraz nie powiedziałaś mi o jej śmierci? Ponieważ musiałbym ci mówić o twoim przyjacielu, Tito Carbonellu, który chce mi ukraść skrzypce, i znów byśmy się pokłócili. Ale kiedy otworzyłem drzwi, nie zapytałaś mnie, skąd wracam, a ja ci nie odpowiedziałem, że z pogrzebu siostry; ty też mnie nie zapytałaś to ty masz siostrę? Wtedy zauważyłem, że w przedpokoju stoi twoja torba podróżna. Adrian popatrzył na nią zdziwiony.

– Wybieram się do Cadaqués – odpowiedziała Sara.

– Jadę z tobą.

– Nie.

Odjechała bez żadnych wyjaśnień. To się stało tak szybko, że nie zdążyłem uświadomić sobie, jakie to będzie miało znaczenie dla nas obojga. Kiedy Sara wyszła, Adrian, ciągle skonsternowany, z biciem serca otworzył szafę Sary i nagle poczuł ulgę: były tam jej ubrania. Uświadomiłem sobie, że zabrałaś tylko ubranie na zmianę.

Ponieważ Adrian nie wiedział, co ma zrobić, nie robił nic. Sara znów go opuściła; ale tym razem wiedział, dlaczego. Była to tylko chwilowa ucieczka. Chwilowa? Żeby się nad tym dłużej nie zastanawiać, zajął się pracą, ale trudno mu było się skoncentrować na ostatecznej wersji eseju *Llull, Vico, Berlin, trzech mistrzowie organizacji idei*, książki, która miała niezręczny tytuł, ale którą musiał napisać z wewnętrznej potrzeby, żeby się zdystansować od *Historii myśli europejskiej*, która go przytłoczyła, może dlatego, że poświęcił jej wiele lat, łączył z nią wiele nadziei, a później spotkała się z odzewem u ludzi, których podziwiał... Ideą przewodnią nowej książki, jedną z idei, które nadawały jej spójność, było pojęcie rozwoju w historii. Całkowicie przeredagował wszystkie trzy eseje. Pracował nad tym od miesięcy. Znów do tego wróciłem, najdroższa, kiedy zobaczyłem w telewizji przerażający obraz zniszczeń biurowca w Oklahoma City, efekt działania bomby podłożonej przez Timothy'ego McVeigha. Nic ci nie mówiłem, bo w tych sprawach najlepiej jest najpierw zrobić swoje i dopiero potem się chwalić, jeśli jest czym. Zabrałem się do tego tematu, bo zawsze uważałem, że ci, którzy zabijają w imię jakiejś idei, nie mają prawa brukać historii. Stu sześćdziesięciu ośmiu zabitych ma na sumieniu Timothy McVeigh. I tysiące nieszczęść, tragedii i cierpień, których statystyki nie wykazują. W imię jakiego nieprzejednania, Timothy? Nie wiem, na zasadzie jakich skojarzeń wyobraziłem sobie innego nieprzejednanego, reprezentującego inne nieprzejednanie, jak pyta, dlaczego, Timothy, spowodowałeś taki ogrom zniszczeń, skoro Bóg jest Miłością?

– Rząd amerykański może mnie pocałować w dupę.

– Timothy, synu, jaką wyznajesz religię?

– Dać w dupę tym, którzy niszczą nasz kraj.

– To żadna religia – pouczył go cierpliwie Ramon Llull. – Znamy trzy religie, Timothy: a mianowicie judaizm, który straszliwie błądzi, za przeproszeniem pana Berlina; islam, który jest fałszywym wierzeniem wrogów Kościoła, i chrześcijaństwo, jedyna wiara sprawiedliwa i prawdziwa, ponieważ wyznaje Dobrego Boga, który jest Miłością.

– Ja się na tym nie znam, dziadku. Ja zabijam rząd.

– Te czterdzieścioro dzieci, które zabiłeś, to był rząd? – zapytał Berlin, przecierając okulary chusteczką.

– Skutki uboczne.

– Teraz ja nie rozumiem.

– 1:1.

– Co?

– Jeden do jednego.

– Pułkownik, który dopuszcza do wymordowania kobiet i dzieci w jakiejś miejscowości – osądził Vico – jest godzien potępienia.

– A jak ograniczy się do zabijania mężczyzn, to nie? – Berlin z ironią zwrócił się do swojego kolegi, zakładając okulary.

– Możecie mnie wszyscy pocałować w dupę, jasne?

– Ten młodzieniaszek ma jakąś obsesję słowną na punkcie dupy – zauważył Llull ze zdziwieniem.

– Timothy, wszyscy, którzy mieczem wojują, od miecza zginą – przypomniał Vico na wszelki wypadek. I miał już powiedzieć, który to wiersz w Ewangelii świętego Mateusza, ale zapomniał, bo za dużo upłynęło lat.

– Odpieprzcie się z łaski swojej ode mnie, starzy pierdziele, którzy nawet porządnie pierdnąć nie

macie siły, kurwa!

– Jutro cię zabiją, Tim – przypomniał Llull.

– 168:1.

I rozplątał się w powietrzu.

– Co on powiedział? Zrozumieliście coś z tego?

– Tak. Sto sześćdziesiąt osiem, dwukropek, jeden.

– To mi wygląda na kabałę.

– Nie. Ten chłopak nigdy nie słyszał o kabale.

– Sto sześćdziesiąt osiem do jednego.

Llull, Vico, Berlin to była książka napisana w gorączce, pospiesznie, która mnie wyczerpała, ponieważ codziennie rano i wieczorem otwierałem szafę Sary i sprawdzałem, czy jest tam jej ubranie. Ciężko się pisze w takich warunkach. Jednak pewnego dnia skończyłem pisanie, co nie jest równoznaczne z ukończeniem książki. Adrian miał ochotę wyrzucić wszystkie kartki przez balkon. Ale tylko zapytał Saro, *ubi es?* Później, po kilku minutach zastanowienia, zamiast otworzyć balkon, zebrał wszystkie notatki w jednym miejscu, odłożył je na stół i powiedział wychodzę, Mała Lolu, nie zdając sobie sprawy, że Cateriny już nie ma, i poszedł na uniwersytet, żeby się odprężyć.

– Co robisz?

Laura się odwróciła. Szła w takim tempie, jakby chciała krokami zmierzyć dziedziniec.

– Myślę. A ty?

– Odprężam się.

– Jak ci się pracuje nad książką?

– Właśnie skończyłem.

– Wow! – zawołała uradowana.

Wzięła go za rękę, ale natychmiast wycofała się, jakby się sparzyła.

– Ale wcale nie jestem pewien. Bardzo trudno jest połączyć ze sobą trzy tak silne osobowości.

– No to skończyłeś czy nie?

– Niby tak. Ale teraz muszę wszystko przeczytać od początku i na pewno znajdę sporo problemów.

– Czyli jeszcze nie jest skończona.

– Nie. Tylko napisana. Teraz wystarczy dokończyć. Ale nie wiem, czy to się da opublikować, naprawdę.

– Nie poddawaj się, tchórze.

Laura uśmiechnęła się do niego i rzuciła spojrzenie, które go trochę speszyło. Zwłaszcza że miała rację, nazywając go tchórzem.

Dziesięć dni później, w połowie lipca, zaatakował go flegmatyczny Todó ej, Ardèvol, co z twoją książką, wydajesz czy nie? Obaj patrzyli z pierwszego piętra na zalany słońcem dziedziniec, pustawy o tej porze roku.

Trudno mi pisać, kiedy nie ma Sary.

– Nie wiem.

– Cholera, jeżeli ty nie wiesz...

Nie ma jej. Pokłóciliśmy się o jakieś cholerne skrzypce.

– Trudno jest połączyć dwie osobowości tak... tak...

– Tak silne, owszem: to jest wersja oficjalna, którą wszyscy znają – przerwał mu Todó.

Dlaczego nie odczepicie się ode mnie, do cholery?

– Wersja oficjalna? A skąd wszyscy wiedzą, że piszę...

– Stary, jesteś gwiazdą.

Skurczybyk.

Znów chwila milczenia. Długie rozmowy Ardèvola były pełne ciszy, jak donoszą wiarygodne źródła.

– Llull, Vico, Berlin – wyrecytował Todó, sprawdzając, czy pamięta.

– Tak.

– Cholera. Vico i Llull, rozumiem, ale Berlin?

Nie, nie, błagam, odczep się ode mnie, ty pieprzony natręcie.

– Tym, co ich łączy, jest chęć uporządkowania świata przez naukę.

– Cholera, to może być całkiem interesujące.

Dlatego się tym zająłem, pieprzony kretynie, przez ciebie zebrało mi się na wulgaryzmy.

– Ale myślę, że będę musiał na to poświęcić jeszcze sporo dni. Nie wiem, czy uda mi się skończyć:

możesz to uznać za wersję oficjalną.

Todó przechylił się przez kamienną barierkę.

– Wiesz? – powiedział po namyśle. – Ogromnie mi na tym zależy. – Spojrzał na niego z ukosa. –

Bardzo bym chciał przeczytać taką książkę.

Poufale poklepał go po ramieniu i poszedł do swojego gabinetu, za rogiem. Adrian z zazdrością popatrzył na parę przechodzącą przez dziedziniec; trzymali się za ręce, obojętni na resztę świata. Wiedział, że skoro Todó powiedział, że bardzo by chciał przeczytać taką książkę, to nie dlatego, że chciał mu się podlizać, ani wcale go nie obchodziło czytanie o tym, co niewyraźne, dowodzenie, że wielcy myśliciele podążali tą samą drogą co Tołstoj, tyle że na gruncie idei. Todó miał umysł słabej gramatury i tylko dlatego tak bardzo mu zależało na książce, która jeszcze nie powstała, że od paru lat dążył do osłabienia pozycji doktora Bassasa w instytucie i na uczelni, a najlepszym sposobem było lansowanie nowych idoli, z dowolnej dyscypliny. Gdyby nie ty, może nawet odebrałbym jako komplement fakt, że jestem wykorzystywany przez innych w walce o władzę. Skrzypce należą do rodziny, Saro. Nie mogę tego zrobić mojemu ojcu. Umarł z ich powodu, a teraz chcesz, żebym je sprezentował komuś obcemu, kto twierdzi, że do niego należą? Nie rozumiesz tego, bo kwestia żydowska jest głucha na argumenty. Dajesz sobą manipulować takim gangsterom jak Tito i pan Berenguer. Eloi, Eloi, lema sabachthani.

W pustym gabinecie przyszedł mu do głowy pomysł. A raczej podjął nagłą decyzję, pod wpływem euforii, jaką wywołało zamknięcie tego etapu pracy nad książką. Wykręcił numer i czekał cierpliwie, myśląc oby była, oby była, oby była, bo jeżeli nie... Spojrzał na zegarek: prawie pierwsza. Na pewno przeszkodził im w obiedzie.

– Słucham.

– Maks, to ja, Adrian.

– Słucham.

– Może podejść do telefonu?

Moment wahania.

– Zobaczmy. Poczekaj.

To znaczyło, że tam jest! Nie uciekła do Paryża, do huitième arrondissement, ani do Izraela. Moja Sara była ciągle w Cadaqués. Moja Sara nie chciała za bardzo się oddalać... Po drugiej stronie linii telefonu panowało milczenie. Nie słyhać było kroków ani szeptu rozmów. Minęło kilka bardzo długich sekund. W słuchawce znów usłyszałem głos Maksa:

– Słuchaj, mówi że... Przykro mi... Pyta, czy już oddałeś skrzypce.

– Nie, chcę o tym porozmawiać.

– Ale... Mówi, że w takim razie... że nie chce z tobą rozmawiać.

Adrian mocno ścisnął słuchawkę. Poczł, że zaschło mu w gardle. Nie znajdował odpowiednich słów. Maks, jakby odgadł jego stan, powiedział przykro mi, Adrian. Naprawdę.

– Dziękuję, Maks.

Odłożył słuchawkę w momencie, gdy otworzyły się drzwi gabinetu. Laura okazała zdziwienie na jego

widok. W milczeniu podeszła do swego biurka i przez parę minut grzebała w szufladach. Adrian nie ruszył się z miejsca, patrzył w pustkę, a taktowne słowa brata Sary brzmiały ciągle w jego uszach jak wyrok śmierci. Po chwili westchnął ciężko i spojrzał na Laurę.

– Wszystko w porządku? – zapytała, przekładając ciężkie teczki, bez których nigdzie się nie ruszała.

– Jak najbardziej. Zapraszam cię na obiad.

Nie wiem, czemu to powiedziałem. To nie miał być rewanż. Wydaje mi się, że chciałem pokazać Laurze i całemu światu, że nic się nie dzieje, że wszystko jest pod kontrolą.

Siedząc vis-à-vis niebieskich oczu i doskonałej cery Laury, Adrian zostawił na talerzu połowę makaronu. Żadne z nich nie starało się przerwać milczenia. Laura napełniła jego szklanke wodą, a on podziękował jej gestem.

– No, co tam u ciebie słychać? – Adrian zadał uprzejme pytanie, rozpoczynając rozmowę.

– W porządku. Jadę do Algarve na dwa tygodnie.

– Ale ci dobrze. Nie uważasz, że Todó jest trochę stuknięty?

– Nie, dlaczego?

Po paru minutach dyskusji doszli do wniosku, że chyba jednak trochę tak; i że proszę, lepiej nie rozmawiajmy o mojej książce, której jeszcze nie ma, bo najgorzej jest pisać, kiedy wiesz, że wszyscy się zastanawiają, czy ci się uda połączyć Vico z Llullem i tak dalej.

– Za dużo mówię, wiem.

Jakby chciała to udowodnić, zaczęła opowiadać, że poznała bardzo fajnych ludzi i że spotka się z nimi w Algarve, bo właśnie objeżdżali półwysep na rowerach i

– Ty też jeździsz na rowerze?

– Już z tego wyrosłam. Uprawiam leżenie brzuchem do góry. Żeby się oderwać od zatęchłej atmosfery uniwersyteckiej.

– I trochę poflirtować.

Nie odpowiedziała mu. Jeden rzut oka wystarczył jej, żeby zrozumieć, co się ze mną dzieje, bo wy, kobiety, macie takie wycucie, że tylko pozazdrościć.

Co mam ci powiedzieć. Tak jakoś wyszło, Saro. W mieszkaniu Laury, mikroskopijnym, ale ładnie urządzone, panował kontrolowany bałagan, z epicentrum w sypialni. Bałagan, ale nie chaos, raczej jak przed podróżą. Ubranie ułożone w kostkę, ekspozycja obuwia, kilka przewodników turystycznych i aparat fotograficzny. Jak pies i kot, nadrabiali miną.

– Elektroniczny? – upewnił się Adrian, biorąc ostrożnie aparat.

– Aha. Cyfrowy.

– Ty zawsze jesteś na czasie.

Laura nie schylając się, ściągnęła buty i włożyła klapki, w których wyglądała uroczo.

– Ty pewnie ciągle jeszcze chodzisz z leicą.

– Nie mam leiki. Nigdy nie miałem.

– A wspomnienia?

– Tutaj. – Adrian wskazał głowę. – Niezawodne. I zawsze pod ręką.

Powiedziałem to bez ironii, bo nie umiem przewidzieć niczyjej przyszłości.

– Mogę nim zrobić dwieście zdjęć. – Wyjęła mu aparat z rąk, starając się nie okazywać zniecierpliwienia, i położyła go na nocnej szafce, obok telefonu.

– Brawo – odpowiedział, bez entuzjazmu.

– A potem mogę je przenieść do komputera. Częściej oglądam w komputerze niż w albumie.

– Bravissimo. Ale do tego potrzebny jest komputer.

Laura spojrzała na niego wyzywająco.

– No i co? – zapytała, stojąc przed nim z rękami na biodrach. – Chcesz, żebym ci teraz zrobiła wykład o zaletach fotografii cyfrowej?

Adrian spojrział w jej błękitne oczy i objął ją. Trwali tak dość długo, aż poczułem, że mam łzy w oczach. Na szczęście ona tego nie zauważyła.

– Dlaczego płaczesz?

– Nie płaczę.

– Kłamca. Dlaczego płaczesz?

Do wieczora zdążyli zamienić w chaos kontrolowany bałagan w sypialni i spędzić dobrą godzinę, odpoczywając na łóżku i wpatrując się w sufit. Laura obejrzała dokładnie medalik Adriana.

– Czemu zawsze go nosisz?

– Bo tak.

– Ale ty nie wierzysz w...

– Przywołuje wspomnienia.

– Jakie wspomnienia?

– Nie wiem.

Wtedy odezwał się telefon. Dzwonił na nocnej szafce, po stronie Laury. Spojrzeli na siebie w milczeniu, z poczuciem winy, jakby pytali siebie nawzajem, czy ktoś miał do nich zadzwonić. Laura nie ruszyła się z miejsca, z głową na piersi Adriana, i oboje słuchali, jak telefon monotonicznie nalega, nalega, nalega. Adrian patrzył na włosy Laury, czekając, aż odbierze. I nic. Telefon ciągle dzwonił.

Stabat Mater

Wszystko, czego się obawiamy, kiedyś nas spotka.

HELÈNE CIXOUS

Dwa lata później zadzwonił nagle telefon i Adrian się przestraszył, jak zawsze, kiedy go słyszał. Długo patrzył na aparat. W domu było ciemno; paliła się tylko lampka do czytania w gabinecie. Włożył zakładkę do książki Raymonda Carra, zamknął ją i jeszcze przez parę sekund wpatrywał się w telefon, który darł się jak opętany, licząc na to, że uciszy go spojrzeniem. Pozwolił mu jeszcze chwilę pohłasować i kiedy ten, który dzwonił, udowodnił, że nie da za wygraną, Adrian Ardèvol przetarł twarz dłońmi, podniósł słuchawkę i powiedział słucham.

Miał smutne, wilgotne oczy. Osiemdziesięcioletni, wyniszczony i ogromnie przygnębiony mężczyzna stał przed drzwiami, ciężko oddychając. Trzymał mocno małą torbę podróżną, tak jakby kontakt z tym przedmiotem utrzymywał go przy życiu. Odwrócił się, kiedy usłyszał, że Adrian powoli wchodzi po schodach. Przez parę sekund obaj mierzyli się wzrokiem.

– Mijnheer Adrian Ardefol?

Adrian otworzył drzwi i zaprosił go do środka, a tymczasem tamten w języku przypominającym angielski potwierdził, że to on dzwonił dziś rano. Byłem przekonany, że z tym nieznanym wkraczała do domu smutna historia, ale nie miałem już wyboru. Zamknąłem drzwi, żeby sekrety nie rozniosły się po całej kamienicy. Jeszcze zanim usiedliśmy, zaproponowałem, żebyśmy mówili po niderlandzku, i zauważyłem, że jego wilgotne oczy na chwilę rozbłysły, kiedy podziękował Adrianowi ruchem głowy, a ten musiał pilnie odkurzyć swój przyrdzewiały niderlandzki, żeby zapytać nieznanego o powód wizyty.

– To długa historia. Dlatego pytałem, czy będzie pan miał dla mnie czas.

Zaprowadził go do gabinetu. Zauważył nieukrywany podziw w oczach mężczyzny, który po wejściu do środka poczuł się jak zaskoczony turysta w Luwrze na progu sali pełnej niespodzianek. Stojąc na środku pokoju, przybysz powiódł wzrokiem wokół siebie, patrząc na regały pełne książek, na obrazy, inkunabuły, szafę z instrumentami, oba stoły, twój autoportret, a na biurku Carr, którego nie zdążyłem doczytać do końca, i rękopis pod lupą, ostatni nabytek: sześćdziesiąt trzy strony opowiadania *The Dead* z ciekawymi komentarzami na marginesie, najprawdopodobniej autorstwa samego Joyce'a. Kiedy już wszystko sobie obejrzał, skierował wzrok na Adriana, nie przerywając milczenia.

Adrian wskazał mu miejsce po drugiej stronie stołu, naprzeciw siebie, i przez parę sekund zastanawiałem się, jak wymierne musiało być cierpienie, żeby zapisać się na twarzy nieznanego grymasem bólu, rzucającym się w oczy. Tamten uporał się nie bez trudu z zamkiem błyskawicznym torby i wyciągnął z niej coś zawiniętego starannie w papier. Ostrożnie rozwinął zawiniątko. Adrian zobaczył szmatkę pociemniałą od brudu, na której jeszcze można było domyślić się szachownicy jaśniejszych i ciemniejszych kwadratów. Nieznajomy odsunął papier i zaczął rozkładać szmatkę na stole, z takim namaszczeniem, jakby celebrował liturgię, tak ostrożnie i uroczyście, że można było się spodziewać jakiegoś cennego skarbu ukrytego w środku. Sprawiał wrażenie kapłana rozkładającego korporał na ołtarzu. Kiedy czynność dobiegła końca, z pewnym rozczarowaniem stwierdziłem, że w środku nie ma nic. Pośrodku przebiegał szew dzielący materiał na dwie równe części, jak granica. Nie umiałem dostrzec w nim wspomnień. Wtedy nieznajomy zdjął okulary i papierową chusteczką przetarł prawe oko. Docenił pełne szacunku milczenie Adriana i ciągle patrząc mu prosto w oczy, uspokoił go, że nie płacze, że od paru miesięcy cierpi na dokuczliwą alergię, która wywołuje u niego et cetera, et cetera, i uśmiechnął się przepaszająco. Rozejrzał się po gabinecie i wyrzucił chusteczkę do kosza na śmieci. Następnie gestem nieco liturgicznym wskazał starą, brudną szmatkę, rozkładając nad nią obie dłonie.

Jakby zachęcał do zadania pytania.

– Co to jest? – zapytałem.

Nieznajomy trzymał przez kilka sekund rozłożone dłonie na szmatce, jakby w duchu odmawiał jakąś doniosłą modlitwę, i powiedział zmienionym głosem niech pan sobie teraz wyobrazi, że je obiad w domu, z żoną, teściową i trzema córeczkami, teściowa trochę niezdrowa, i nagle...

Nieznajomy podniósł głowę; teraz naprawdę miał oczy pełne łez, nie z powodu alergii czy czegoś w tym rodzaju. Jednak nie zrobił żadnego gestu, żeby otrzeć łzy bólu, tylko patrzył przed siebie skupiony i powtórzył jeszcze raz niech pan sobie wyobrazi, że je obiad w domu, z żoną, zakatarzoną teściową i trzema córeczkami, na stole nowy obrus, w biało-niebieską kratę, bo dziś mała Amelietje, najstarsza, obchodzi urodziny, i nagle ktoś wywala drzwi wejściowe, nawet nie próbując zapukać, i wchodzi uzbrojony po zęby, a za nim jeszcze pięciu żołnierzy, którzy wszystko depczą i cały czas krzyczą schnell, schnell i raus, raus, i wyrzucają cię na zawsze z twojego domu w połowie obiadu, na całe życie, nie pozwalając obejrzeć się wstecz, i odświętny obrus, nowy, który moja Berta kupiła dwa lata temu, i nie możesz niczego zabrać, tylko to, co masz na sobie. Co znaczy raus, ojczu, pyta Amelietje, a ja nie mogłem jej ochronić przed uderzeniem w kark kolbą karabinu zniecierpliwionego żołnierza, który uparcie krzyczał raus, raus, jakby niemiecki był sam przez się zrozumiały, jako najważniejszy język, a kto twierdzi, że nie rozumie, mówi w złej wierze i będzie miał za swoje. Raus!

Dwie minuty później byli już na ulicy; teściowa kaszłała i przyciskała do siebie skrzypce w futerale, które jej córka, wracając z próby, zostawiła w przedpokoju, dziewczynki z przerażeniem w oczach, moja Berta, blada, ścisłała w ramionach małą Juliet. Żołnierze popychali nas przed sobą, zmuszając do biegu, jakby im się bardzo spieszyło; milczące spojrzenia sąsiadów w oknach, a ja trzymałem za rączkę Amelię, która dziś skończyła siedem lat i która płakała, bo od uderzenia kolbą bolał ją kark, i bała się niemieckich żołnierzy; biedna Trude, pięcioletnia, prosiła mnie, żebym wziął ją na rękę, a Amelia musiała biec, żeby za nami nadążyć, i tak aż do placu Vidre, gdzie była ciężarówka; dopiero wtedy zauważyłem, że ciągle ścisłam w dłoni serwetkę w biało-niebieską kratkę.

Później się dowiedziałem, że byli i ludzcy oprawcy. Ci, którzy mówili możecie zabrać ze sobą dwadzieścia pięć kilo, macie pół godziny, żeby się spakować, schnell, jasne? Wtedy myślisz o wszystkim, co jest w domu. Co ze sobą zabrać? Co zabierzesz, nie wiedząc, dokąd? Krzesło? Książkę? Pudełko po butach ze zdjęciami? Naczynia? Żarówki? Materac? Mamo, co znaczy schnell. Ile to jest dwadzieścia pięć kilo? W końcu bierzesz ten całkiem zbyteczny breloczek na klucze wiszący w przedpokoju, który, jeśli przeżyjesz, jeśli nie będziesz musiał go wymienić na zapleśniałą skórkę chleba, stanie się świętym symbolem szczęśliwego, normalnego życia, jakie wiodłeś przed nieszczęściem. Mamo, dlaczego to wzięłaś? Cicho, cicho, odpowiedziała teściowa.

Opuścić dom na zawsze, w takt rytmu wybijanego przez żołnierskie kamasze, opuścić swoje życie razem z pobladłą żoną w panice, przerażonymi dziewczynkami, teściową bliską omdlenia i moją bezradnością. Kto na nas doniósł, przecież mieszkaliśmy w chrześcijańskiej dzielnicy. Dlaczego. Skąd wiedzieli. Jak wywąchali Żydów. W budzie ciężarówki, żeby nie patrzeć na rozpacz dziewczynek, zastanawiałem się, kto, jak i dlaczego. Kiedy ładowano nas na ciężarówkę, pełną przerażonych ludzi, zepchnięto na bok dzielną Bertę z małą w ramionach i mnie z Trude. Widzieliśmy teściową i słyszeliśmy jej kaszel, a wtedy Berta zaczęła krzyczeć gdzie jest Amelia, Amelietje, córeczko, gdzie jesteś, nie zgub się, Amelio, i mała rączka precyzyjnie się między ludźmi i uczepiła się nogawki moich spodni, i wtedy biedna Amelia, przerażona, jeszcze bardziej przerażona po tym, jak znalazła się przez chwilę sama, spojrzała na mnie z dołu, błagając o ratunek, ona też chciała, żebym ją wziął na rękę, ale nie prosiła o to, bo Truu była młodsza, i tego spojrzenia nie mogłem nigdy zapomnieć, przez całe życie, nigdy, ratunek, o który błaga cię twoja córka, którego ty nie potrafisz, nie możesz jej udzielić, i pójdiesz do piekła, bo nie pomogłeś w potrzebie swojej córeczce. Przyszło mi tylko do głowy, żeby dać jej serwetkę w biało-niebieską kratkę, a ona chwyciła ją obiema rączkami i spojrzała na mnie z wdzięcznością,

jakbym jej podarował cenny skarb, talizman, który sprawi, że nigdy się nie zgubi, dokądkolwiek pójdzie.

Talizman nie spełnił swojej roli, bo kiedy już wytrzęsła nas jazda ciężarówką, kiedy przeżyliśmy dwa, trzy czy cztery dni w dusznym, śmierdzącym, zapieczętowanym wagonie towarowym, mimo mojej desperacji wyrwali mi z rąk Truu, i kiedy dostałem w głowę cios, który mnie całkiem ogłuszył, mała Amelia gdzieś zniknęła, chyba przepłoszona przez psy, które bez przerwy ujadły. Nie wiem, gdzie się podziewała Berta z małą Juliet w ramionach, i nawet nie mogliśmy wymienić ze sobą ostatniego spojrzenia, choćby po to, żeby sobie przekazać niemą rozpacz, w którą zamieniło się nasze tak ciężko zapracowane szczęście. Gdzie była matka Berty, która ciągle kaszłała, kurczowo przyciskająca do siebie skrzypce, i Trude, gdzie jest Truu, którą pozwoiliem wyrwać sobie z rąk. Nie zobaczyłem ich nigdy więcej. Chwilę po tym, jak wypędzili nas z wagonów, straciłem na zawsze moje kobiety. Rzzrrzzrrzz. I chociaż mnie popychano i wykrzykiwano rozkazy nad uchem, wykręcałem szyję, zrozpaczony, rozglądając się, gdzie one mogą być, i wtedy zobaczyłem, jak żołnierze z papierosem w ustach wyrwali matkom z rąk niemowlęta, takie jak moja Juliet, i uderzali nimi o ściany wagonu, żeby wreszcie, kurrrra, do kobiet dotarło. Wtedy zdecydowałem się zaprzestać rozmów z Bogiem Abrahama i z Bogiem Jezusa.

– Rzzrrzzrrzz. Rzzrrzzrrzz.

– Przepraszam... – musiał mu przerwać Adrian.

Mężczyzna spojrział na niego zdziwiony, nieobecny. Pewnie nawet nie uświadamiał sobie, że siedzi przede mną, jakby historię, którą mi opowiadał, powtarzał tysiące razy, szukając ukojenia bólu.

– Ktoś dzwoni do drzwi... – usprawiedliwił się Adrian i wstał, spoglądając na zegarek. – To przyjaciel, który...

Wyszedł z gabinetu, zanim tamten zdążył zareagować.

– Szybko, szybko, szybko, szybko, to bardzo ciężkie... – powiedział Bernat, wnosząc do mieszkania dużą paczkę; z jego pojawieniem się nastrój prysł. – Gdzie mam postawić?

Zdziwił się, kiedy wszedł do gabinetu i zastał tam nieznanego mężczyznę.

– Och, przepraszam.

– Na stole – powiedział Adrian, idąc za nim.

Bernat położył paczkę na stole i uśmiechnął się nieśmiało do nieznanego.

– Dzień dobry – przywitał się.

Starzec pozdrowił go ruchem głowy, ale nie odezwał się.

– Może byś mi pomógł? – zasugerował Bernat, usiłując wyciągnąć komputer z kartonu. Adrian przechylił pudło i monitor wysunął się, przytrzymywany rękami Bernata.

– Teraz jestem...

– Widzę. Może przyjdę później?

Ponieważ rozmawialiśmy po katalońsku, mogłem sobie pozwolić na wyjaśnienie, że to nieoczekiwana wizyta i że moim zdaniem prędko się nie skończy. Umówmy się na jutro, jeśli ci pasuje.

– Nie ma sprawy. – I dyskretnie wskazując na nieznanego gościa, zapytał: – Jakiś problem?

– Nie, nie.

– To świetnie. No to do jutra. – Mając na myśli komputer: – Tylko żebyś w nim nie grzebał.

– Nie mam najmniejszego zamiaru.

– Tam jest klawiatura i mysz. Zabieram duże pudło. Jutro przyniosę ci drukarkę.

– Dzięki, stary.

– Podziękuj Llorençowi, ja jestem tylko pośrednikiem.

Rzucił okiem na nieznanego i powiedział do widzenia. Tamten znów go pozdrowił ruchem głowy. Bernat wyszedł, mówiąc nie musisz mnie odprowadzać, już ci nie przeszkadzam.

Wyszedł z gabinetu i usłyszeli, jak zamyka drzwi wejściowe. Znów usiadłem naprzeciwko mojego gościa. Wymownym gestem i słowem przeprosiłem go za krótką przerwę. Ruchem dłoni zachęciłem go, żeby mówił dalej, nie zważając na wtargnięcie Bernata, który przyniósł mi stary komputer Llorença, żeby

sprawdzić, czy wreszcie zdecyduję się porzucić niezdrowy nałóg ręcznego pisania wiecznym piórem. Dar obejmował również zobowiązanie przeprowadzenia intensywnego kursu składającego się z x sesji, a wartość x zależała w równym stopniu od cierpliwości obdarowanego co darczyńcy. W każdym razie naprawdę w końcu zdecydowałem się sprawdzić na własnej skórze, co to takiego ten komputer, którym wszyscy się zachwycają, a który mnie do niczego nie był potrzebny.

Na mój znak starzec wznowił swoją opowieść, najwyraźniej nie przejmując się tym, że mu przerwano, jakby znał tekst na pamięć, i powiedział przez lata zadawałem sobie pytanie, a właściwie wiele pytań, które sprowadzają się do jednego. Dlaczego akurat ja przeżyłem. Dlaczego, skoro nie sprawdziłem się jako mężczyzna, kiedy pozwoliłem żołnierzom, nie stawiając oporu, zabrać moje trzy córki, moją żonę i moją zakatarzoną teściową. Nie stawiając oporu. Dlaczego akurat ja miałem przeżyć, dlaczego, skoro moje dotychczasowe życie było całkiem bezużyteczne; prowadziłem księgowość firmy Hauser en Broers, wiodłem nudny żywot i jedyny pożytek ze mnie był taki, że spłodziłem trzy córeczki: jedną z włosami czarnymi jak gagat, drugą z brązowymi jak szlachetne drzewa w lesie i trzecią, w kolorze miodu. Dlaczego. Dlaczego na dodatek mam przeżywać za karę wielką niepewność co do ich losów, bo żadnej z nich nie widziałem martwej, nie wiem na pewno, czy rzeczywiście wszystkie nie żyją, trzy córeczki, żona i kaszłająca teściowa. Dwa lata poszukiwań po zakończeniu wojny zmusiły mnie do akceptacji wyroku sędziego, który oświadczył, że dowody i poszlaki – on mówił o niepodważalnych dowodach – jakie istniały, wskazywały jednoznacznie, że żadna z nich nie przeżyła i że na pewno zmarły w tym samym dniu, kiedy dotarły do Auschwitz-Birkenau, ponieważ w tych miesiącach, jak wynika z dokumentów skonfiskowanych w obozie, wszystkie kobiety, dzieci i starcy trafiali do komór gazowych, a uratowali się tylko mężczyźni zdolni do pracy. Dlaczego ja przeżyłem? Kiedy oddzielono mnie od moich dziewczynek i od Berty, myślałem, że to mnie prowadzą na śmierć, bo naiwnie uważałem, że stanowią dla nich niebezpieczeństwo, ja, nie kobiety. Tymczasem oni za niebezpieczne uważali kobiety i dzieci, zwłaszcza dziewczynki, bo przez nie przekłeta rasa żydowska może się rozprzestrzeniać i przez nie może nadejść w przyszłości wielka zemsta. Byli bardzo konsekwentni w realizowaniu tej teorii i dlatego ja ciągle żyję, jak na ironię żyję, teraz kiedy Auschwitz to już tylko muzeum, przesycone wonią śmierci. Może dlatego dożyłem dnia, w którym to panu opowiadam, że okazałem się tchórzem w dniu urodzin Amelietje. Albo dlatego, że tamtej dżdżystej soboty ukradłem w baraku skórę spleśniałego chleba staremu Mosze z Wilna. Albo dlatego, że niepostrzeżenie usunąłem się na stronę, kiedy Blockführer postanowił nas ukarać i zaczął bić na oślep kolbą karabinu; przeznaczony dla mnie śmiertelny cios dosięgnął chłopca, którego imienia nigdy już nie poznam, ale wiem, że pochodził z jakiejś ukraińskiej wioski w pobliżu Średniogórza Północnowęgierskiego i miał włosy czarne jak węgiel, jeszcze ciemniejsze niż moja Amelia, biedactwo. A może dlatego, że... Sam nie wiem... Wybaczcie mi, bracia, wybaczcie, córeczki, Juliet, Truu i Amelio, i ty, Berto, i ty, mamó, wybaczcie mi, że przeżyłem.

Przerwał opowieść, ale nadal wpatrywał się w pustkę, bo tego bólu nie sposób wyrazić, patrząc komuś w oczy. Przełknął ślinę, a ja, przyrośnięty do krzesła, nie pomyślałem, że nieznanemu łatwiej by się mówiło, gdyby miał szklanek wody. Tak jakby jej nie potrzebował, wznowił swoją opowieść, mówiąc i od tej pory szedłem przez życie ze zwieszoną głową, płacząc nad moim tchórzostwem i próbując jakoś naprawić wyrządzone przez siebie zło, aż przyszło mi do głowy ukryć się tam, gdzie wspomnienia nie będą mogły mnie prześladować. Szukałem azylu, co z pewnością było błędem, ale musiałem się gdzieś schronić i spróbować zbliżyć się do Boga, do którego straciłem zaufanie, skoro nie drgnęła mu nawet powieka, kiedy trzeba było ocalić niewinnych. Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć, ale bezgraniczna rozpacz doprowadziła mnie do podjęcia dziwnych kroków: chciałem wstąpić do zakonu kartuzów, ale oni próbowali mnie przekonać, że to nie jest dobry pomysł. Nigdy nie byłem zbyt pobożny; przez chrzest jestem chrześcijaninem, ale w moim domu religia była tylko społecznym obyczajem, a ja odziedziczyłem po rodzicach brak gorliwości w sprawach wiary. Ożeniłem się z moją ukochaną Bertą, moją dzielną małżonką, która była Żydówką, ale z rodziny obojętnej religijnie, i z miłości zdecydowała

się wyjść za mąż za goja. Przez nią stałem się Żydem z przekonania. Kiedy kartuzi mi odmówili, zacząłem kłamać i w innych miejscach, gdzie próbowałem szczęścia, nie wspominałem o przyczynach mojego bólu ani go nie okazywałem. Po każdej rozmowie byłem mądrzejszy o to, co należy mówić, a co przemilczeć, więc kiedy zapukałem do czwartych drzwi, do opactwa Świętego Benedykta w Achel, już byłem pewny, że nikt nie będzie miał zastrzeżeń do mojego późnego powołania, i prosiłem o zgodę, jeśli tylko nie jest to sprzeczne ze ślubem posłuszeństwa, abym mógł poświęcić się pokornej pracy w klasztorze. Od tego dnia zacząłem trochę, niewiele, rozmawiać z Bogiem i nauczyłem się wyzalać krowom. Wtedy do mnie dotarło, że cały czas dzwoni telefon, ale nie miałem odwagi podnieść słuchawki. Jeśli się nie mylę, po raz pierwszy od dwóch lat nie przestraszył mnie jego dźwięk. Nieznajomy, a właściwie już znajomy, bo wiedziałem, że się nazywa Matthias i że przez jakiś czas nosił imię brata Roberta, popatrzył na telefon i na Adriana, czekając na jakąś reakcję. Ponieważ gospodarz nie przejawiał chęci podniesienia słuchawki, mówił dalej.

– I tak to wyglądało – powiedział, jakby robił wstęp do dalszego ciągu. Może już wszystko zostało powiedziane, bo zaczął składać brudną szmatkę, jak straganiarz, który się zbiera do domu po ciężkim dniu handlowania na ulicy. Robił to starannie, angażując w tę czynność wszystkie pięć zmysłów. Zostawił złożoną szmatkę przed sobą. Powtórzył en dat is alles, jakby już niczego więcej nie trzeba było wyjaśniać. Wtedy Adrian, który dotychczas się nie odzywał, przerwał milczenie i zapytał czemu mi pan to opowiada, po co pan przyjechał? Dodał jeszcze co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

Żaden z nich nie zauważył, że w pewnej chwili telefon dał za wygraną i przestał niepotrzebnie dzwonić. Teraz dochodził tylko zza okna wyciszony szum pojazdów na ulicy València. Obaj milczeli, jakby nagle zainteresował ich ożywiony ruch uliczny barcelońskiej dzielnicy Eixample. W końcu spojrzałem starcowi w oczy, a on, unikając mojego wzroku, powiedział muszę panu wyznać, że nie wiem, gdzie w tym wszystkim jest Bóg.

– No, ja...

– Przez wiele lat, w zakonie, stanowił część mojego życia.

– Nic pan nie wyniósł z tego doświadczenia?

– Nie sędzę. Ale próbowano mnie pouczyć, że ból nie jest dziełem Boga, lecz konsekwencją ludzkiej wolności.

Teraz sam na mnie spojrzał i mówił dalej; podnosząc głos jak na mityngu, zapytał a trzęsienia ziemi? A powodzie? I dlaczego Bóg nie interweniuje, kiedy ktoś wyrządza zło? Co?

Położył dłonie na złożonej szmatce:

– Rozmawiałem o tym cały czas z krowami, kiedy byłem mnichem-rolnikiem. Zawsze dochodziłem do rozpaczliwego wniosku, że Bóg nie jest bez winy. Bo to niemożliwe, żeby zło brało się tylko z woli złoczyńcy. To zbyt proste. Nawet pozwala nam go zabić: nie ma psa, nie ma wścieklizny, mówi Bóg. To nieprawda. I bez psa wścieklizna utrzymuje się przez wieki wieków w naszym wnętrzu.

Rozejrzał się wokół, nie zwracając uwagi na książki, które zrobiły na nim takie wrażenie zaraz po wejściu. Kontynuował przerwany wątek:

– Doszedłem do wniosku, że jeśli Bóg wszechmogący pozwala na zło, to Bóg jest wymysłem w złym guście. I coś we mnie pękło.

– Rozumiem pana. Ja też nie wierzę w Boga. Winny ma zawsze imię i nazwisko. Nazywa się Franco, Hitler, Torquemada, Amalric, Idi Amin, Adrian Ardèvol czy jeszcze inaczej. Ale ma imię i nazwisko.

– Niekoniecznie. Narzędzie zła ma imię i nazwisko, ale zło, sama esencja zła... tego wszystkiego jeszcze nie rozgryzłem.

– Nie powie mi pan chyba, że wierzy w szatana.

Obserwował mnie w milczeniu przez parę sekund, jakby ważył moje słowa, co polechtało moją próżność. Ale nie: głowę miał zajętą czym innym. Z pewnością filozofia nie była jego mocną stroną:

– Truu brązowowłosa, Amelia z włosami jak gagat, i Juliet, najmłodsza, w kolorze słońca.

I zakatarzona teściowa. I moja ostoja, moja żona, miała na imię Berta, a teraz mam uwierzyć, że od pięćdziesięciu czterech lat i dziesięciu miesięcy nie żyje. Nie mogę przestać czuć się winny, że jeszcze żyję. Codziennie budzę się z myślą, że się na mnie zawiodły, dzień w dzień... a teraz, mając już osiemdziesiąt pięć lat, bo nie potrafiłem umrzeć, przeżywam ten sam ból, tak samo intensywnie jak pierwszego dnia. Dlatego, ponieważ mimo wszystko nie wierzę w przebaczenie, starałem się zemścić...

– Słucham?

– ...i przekonałem się, że zemsta nigdy nie może być zupełna. Możesz jedynie wyładować się na tym durniu, który dał się złapać. Zawsze zostaje niedosyt na myśl o tych, którzy pozostają bezkarni.

– Rozumiem.

– Nie rozumie pan – przerwał mi stanowczo. – Zemsta wywołuje jeszcze więcej bólu i nie daje satysfakcji. Dziwne: skoro nie mogę przebaczyć, dlaczego zemsta nie cieszy, co?

Zamilkł, a ja uszanowałem tę ciszę. Czy ja się kiedyś na kims zemściłem? Na pewno tak, wśród tysięcy złych uczynków, z jakich składa się życie codzienne, na pewno coś takiego się zdarzyło. Popatrzyłem mu w oczy, pytając:

– W której części pańskiej historii ja się pojawiaam?

Powiedziałem to spontanicznie, nie wiem, czy licząc na jakąś rolę w tym bolesnym życiu, czy chcąc przyspieszyć to, czego się obawiałem.

– Właśnie w tym momencie pan pojawia się na scenie – odpowiedział, tłumiąc uśmiech.

– Czego pan chce?

– Przyszedłem po skrzypce Berty.

Telefon zaczął dzwonić niczym żywiołowe oklaski dla wykonawców wyjątkowego recitalu.

Bernat włożył wtyczkę do gniazdka i włączył komputer, a kiedy czekaliśmy, aż pojawi się obraz na monitorze, opowiedziałem mu, co się wydarzyło poprzedniego dnia. W trakcie mojej relacji twarz mu się robiła coraz dłuższa z osłupienia.

– Że co? – krzyknął, tracąc panowanie nad sobą.

– To, co słyszałeś – odpowiedziałem.

– Ty jesteś... Ty jesteś... Jesteś kompletny wariat, idioto!

Podłączył mysz i klawiaturę. Ze złością uderzył pięścią w stół i zaczął miotać się po pokoju. Podeszedł do szafy z instrumentami i otworzył ją zbyt raptownie, jakby chciał się upewnić, że to, co powiedziałem, było prawdą. Zamknął ją z wściekłością.

– Uważaj, żebyś nie wybił szyby – ostrzegłem go.

– Do diabła z szybą. Kurwa, idź do diabła, czemu mnie nie zawiadomiłeś, do jasnej cholery?

– Bo byś mi to wybił z głowy.

– Oczywiście! Ale jak mogłeś...

– To było proste: mężczyzna wstał, podeszedł do szafy, otworzył ją i wyciągnął z niej storionego. Pogłaskał instrument, na co Adrian patrzył z zaciekawieniem, nieco podejrzliwie. Rozplakał się, tuląc do siebie skrzypce; Adrian mu w tym nie przeszkadzał. Wyciągnął z szafy smyczek, napiął włosie, popatrzył na mnie, prosząc o zgodę i zaczął grać. Nie brzmiało to rewelacyjnie. Prawdę mówiąc fatalnie.

– Nie jestem skrzypkiem. To ona na nich grała. Ja tylko po amatorsku.

– A Berta?

– To była wspaniała kobieta.

– Tak, ale...

– Grała pierwsze skrzypce w Filharmonii w Antwerpii.

Zaczął grać żydowską melodię, którą już kiedyś słyszałem, ale nie umiałbym powiedzieć, gdzie dokładnie. Ponieważ jednak nie radził sobie ze skrzypcami, w końcu ją zaśpiewał. Dostałem gęsiej skórki.

– Nie pomyślałeś o mojej gęszej skórcie, oddając w prezencie skrzypce, cholera jasna!

– Tego wymagała sprawiedliwość.

– To był oszust, idioto! Czy ty tego nie widzisz? O mój Boże, cholera. Naszego Viala diabli wzięli.

Po tylu latach... Co by na to powiedział twój ojciec, co?

– Nie bądź śmieszny. Przecież nigdy go nie chciałeś.

– Ale aż mnie skręcało, kurde! Nie umiesz zinterpretować odmowy? Nie wiesz, że kiedy mi mówiłeś weź je, zabierz na tournée, Bernat uśmiechał się nieśmiało i odkładał instrument do szafy i kręcąc głową, mówił nie, nie można, to za duża odpowiedzialność, co?

– Nie znaczy nie.

– Nie znaczy tak, kurde. Znaczy, że aż mnie skręca, tak bardzo bym chciał! – Bernat spoglądał tak, jakby chciał się na mnie rzucić: – Czy to tak trudno zrozumieć?

Adrian przez chwilę w milczeniu próbował przetrwać tę życiową filozofię.

– Słuchaj, stary: trzeba być idiotą, żeby dać się nabrać jakiemuś oszustowi na łzawą historię.

Pokazał komputer:

– A ja tu przychodzę, żeby ci pomóc.

– Może byśmy się tym zajęli kiedy indziej, dobrze? Dziś jesteśmy... trochę...

– Kurde, stary, co z ciebie za kretyn, żeby oddać skrzypce pierwszej lepszej płaksie, jaka zapukała do drzwi! Wiesz, to się w głowie nie mieści.

Kiedy starzec skończył nucić melodię, odłożył skrzypce i smyczek do szafy i usiadł przy stole, z nieśmiałym komentarzem w moim wieku można grać na skrzypcach już tylko dla siebie. Wszystko nawala, palce odmawiają posłuszeństwa, a ramię nie ma siły, żeby utrzymać instrument.

– Rozumiem.

– Starcy są obsceniczni. Starość jest obsceniczna.

– Rozumiem.

– Nie rozumie pan. Chciałbym umrzeć przed żoną i córkami, a tymczasem stałem się zgrzybiałym starcem, jakby mi zależało na tym, żeby kurczowo trzymać się życia.

– Dobrze się pan trzyma.

– Bzdura. Ciało mnie zawodzi na całej linii. Powinienem być umrzeć pięćdziesiąt lat temu.

– To po jaką cholere temu durniowi skrzypce, skoro chce umrzeć? Nie widzisz w tym sprzeczności?

– Bernat, to moja decyzja. Już się stało.

– Skurwysyn. Powiedz, gdzie jest ten żalosny kretyn i już ja go przekonam...

– Skończyło się. Nie mam już storioniego. Mam wewnętrzne przekonanie, że... przyczyniłem się do wymierzenia sprawiedliwości. O dwa lata za późno.

– Czuję się fatalnie. Już wszystko rozumiem: to ty jesteś tym żalosnym kretynem.

Starzec usiadł, ale zaraz się podniósł. Nie mógł w to uwierzyć. Nie dawał za wygraną:

– Dlaczego o dwa lata za późno?

Usiadł. Ręce mu się trzęsły. Położył je na brudnej szmatce, która ciągle leżała na stole, starannie złożona.

– Nie myślał pan o samobójstwie? – udało mi się utrafić w ton lekarza, który pyta pacjenta, czy lubi rumianek.

– Wie pan, jak je zdobyła Berta? – odpowiedział starzec.

– Nie.

– Mogę się bez nich obyć, Matthias, kochanie. Mogę żyć dalej tak jak...

– Tak, oczywiście. Możesz grać na swoich starych skrzypkach i nic się nie stanie. Ale wierz mi, warto zdobyć się na ten wysiłek. Moja rodzina może nam dać połowę sumy.

– Nie chcę mieć żadnych długów u twojej rodziny.

– Nie tylko mojej, również twojej, Berto! Dlaczego nie chcesz tego zaakceptować...

Wtedy teściowa wzięła sprawę w swoje ręce; to było, zanim jeszcze się przeziębiła. Między jedną wojną a drugą, kiedy życie wracało z impetem, a muzycy mogli grać, zamiast gnić w okopach; w czasach, kiedy Berta Alpaerts spędzała wiele godzin, wypróbując nieosiągalne skrzypce Storioniego, o pięknym, pewnym, głębokim brzmieniu, które jej proponował Jules Arcan za niezbyt rozsądną cenę. To było w dniu, kiedy Trude, druga z kolei, skończyła pół roku. Jeszcze nie mieliśmy Juliet. Była pora kolacji i po raz pierwszy, od kiedy zamieszkaliśmy razem, teściowej nie było w domu i gdy wróciliśmy z pracy, nie czekała na nas kolacja. Właśnie coś naprędce improwizowaliśmy z Bertą, kiedy weszła teściowa z pakunkiem i położyła wspaniały, ciemny futerał na stole. Zapadła głucha cisza. Pamiętam, że Berta spojrzała na mnie, oczekując odpowiedzi, której nie umiałem jej udzielić.

– Otwórz, córko – powiedziała teściowa.

Ponieważ Berta nie miała odwagi, matka zachęciła ją:

– Wracam z pracowni Julesa Arcana.

Wtedy Berta rzuciła się do futerału i wreszcie go otworzyła. Pochyliliśmy się nad nim, a Vial puścił do nas oko. Teściowa uznała, że dobrze ją przyjęliśmy w naszym domu i że może poświęcić swoje oszczędności na spełnienie marzenia córki. Biedna Berta na dobrych parę godzin oniemiała z wrażenia, nie było mowy, żeby cokolwiek zagrała, nawet nie śmiała wziąć do ręki instrumentu, jakby nie czuła się godna, aż wreszcie Amelietje, nasza najstarsza, która wtedy była jeszcze mała, ta z włosami jak gagat, powiedziała mamó, proszę, chciałabym usłyszeć, jak grasz. Jaki wspaniały dźwięk wydobyła ze skrzypiec moja Berta... Jak wspaniale grała... Pochłonęły wszystkie oszczędności mojej teściowej. Wszystkie. I jeszcze jakaś tajemnica, do której nie chciała się przyznać. Chyba sprzedała swoje mieszkanie w Schoten.

Mężczyzna zamilkł. Błądził wzrokiem gdzieś poza ścianą wypełnioną książkami. Wtedy, jakby wygłaszał konkluzję tej historii, powiedział zajęło mi to wiele lat, zanim dotarłem do pana, do skrzypiec Berty, panie Ardefol.

– Adrian, to żaden argument, cholera.

– Jak pan mnie znalazł? – zainteresował się Adrian.

– Dzięki cierpliwości i pomocy... Detektywi zapewnili mnie, że pański ojciec zostawiał za sobą wiele śladów wszędzie, gdzie był. Każde jego posunięcie robiło wiele hałasu.

– Minęło wiele lat od tego czasu.

– Przez wiele lat mogłem tylko płakać. Aż do tej pory nie byłem gotów na pewne działania, takie jak odzyskanie skrzypiec Berty. Dopiero dwa lata temu zacząłem się zastanawiać, czyby pana nie odwiedzić.

– Dwa lata temu mówili mi o panu dwaj oszuści.

– Nie z mojej inicjatywy. Chciałem tylko je zlokalizować.

– Próbowali być pośrednikami w sprzedaży – powtórzył z naciskiem Adrian.

– Niech mnie Bóg strzeże przed pośrednikami: miałem złe doświadczenia z tego typu ludźmi. – Spojrzał Adrianowi prosto w oczy. – Nawet przez myśl mi nie przeszło coś takiego jak sprzedaż.

Adrian zastygł bez ruchu i tylko go obserwował. Starzec pochylił się w jego stronę, jakby chciał usunąć dzielących ich pośredników:

– Nie przyszedłem, żeby je odkupić, przyszedłem, żeby je odzyskać.

– Adrian, zrobili ci wodę z mózgu. Dałeś się omamić sprytnemu oszustowi. Taki inteligentny facet...

Ponieważ Adrian się nie odezwał, mężczyzna mówił dalej:

– Kiedy pana zlokalizowałem, przede wszystkim chciałem pana poznać. W moim wieku nigdzie mi się nie spieszy.

– Dlaczego w taki właśnie sposób?

– Żeby się przekonać, czy mam pana pociągnąć do odpowiedzialności za udział.

– Od razu się przyznam, że czuję się winny.

– Dlatego musiałem pana przestudiować, zanim tu przyszedłem.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Przeczytałem *Wolę estetyczną* i tę drugą książkę, taką grubą. *Historia...*

– ...*myśli europejskiej* – odpowiedział Adrian z bardzo starannie ukrytą dumą.

– Właśnie. I zbiór artykułów, nie pamiętam tytułu... Czytałem je obsesyjnie w ciągu ostatnich miesięcy.

Ale niech mnie pan z nich nie przepytuje, bo...

Dotknął czoła, żeby pokazać, że z głową u niego nie najlepiej.

– Ale po co?

– Sam nie wiem. Chyba dlatego, że w końcu zacząłem pana szanować. I dlatego, że jak mi mówili detektywi, pan nie ma nic wspólnego z...

Nie chciałem wyprowadzać go z błędu. Nie miałem nic wspólnego z..., ale miałem wiele wspólnego z moim ojcem. Chyba jednak mówienie o moim ojcu nie mieściło się w konwencji tej rozmowy. Dlatego przemilczałem ten wątek. Powtórzyłem tylko dlaczego chciał mnie pan przestudiować, panie Alpaerts.

– Czasu mam w nadmiarze. A próbując naprawić zło, popełniłem wiele błędów: pierwszy, kiedy uwierzyłem, że jak się ukryję, ten horror zniknie; a największym było wywoływanie nowych horrorów wskutek braku przezorności.

Mówił przez kilka godzin, a mnie nie przyszło do głowy poczęstować go szklanką wody. Zrozumiałem, że za głębię jego cierpienia odpowiedzialne było splątanie różnych historii, które przez to, że były niewyjaśnione i nieuporządkowane, raniły głębiej, aż do krwi.

Matthias Alpaerts wszedł do mego domu po obiedzie, między drugą a za piętnaście trzecia. Nie ruszyliśmy się z gabinetu aż do dziewiątej wieczorem, pomijając krótkie przerwy na toaletę. Teraz już od jakiegoś czasu przez okna wpadał mrok i ruchomy blask reflektorów samochodów przejeżdżających ulicą. Wtedy spojrzeliśmy na siebie, a ja uświadomiłem sobie, że jestem bliski omdlenia.

Zważywszy na porę, nie było sensu negocjować: fasolka szparagowa, ziemniaki i cebula, wszystko gotowane. I omlet. Kiedy zająłem się przygotowaniem kolacji, zapytał, czy może skorzystać z toalety, a ja byłem zmuszony go przeprosić, że taki ze mnie marny gospodarz. Matthias Alpaerts zrobił usprawiedliwiający gest i pilnie udał się do łazienki. Włączyłem szybownik i wróciłem do gabinetu; położyłem skrzypce na stole i przyjrzałem się im uważnie. Zrobiłem im tuzin zdjęć swoim historycznym aparatem, który leżał tam, gdzie go zostawiłaś; aż skończyła się klisza. Płyta górna, płyta dolna, boczki, ślimak i główka, podstrunnica i jeszcze parę detali narożników. Został mnie w trakcie tej czynności Matthias Alpaerts, który wrócił z łazienki i przyglądał mi się w milczeniu.

– Dobrze się pan czuje? – zapytałem, nie patrząc w jego kierunku. Próbowałem właśnie sfotografować przez efę Laurentius Storioni me fecit.

– W moim wieku trzeba być ostrożnym; ale nic złego się nie dzieje.

Odłożyłem skrzypce do szafy i spojrzałem Matthiasowi Alpaertsowi prosto w oczy.

– Skąd mam wiedzieć, że mówi pan prawdę? Jaką mam pewność, że faktycznie jest pan Matthiasem Alpaertsem?

Podał mi jakąś nieokreśloną legitymację ze zdjęciem, którą wyciągnął z torby.

– Ja to ja, jak pan widzi. – Zabrał legitymację. – Obawiam się, że nie będę mógł panu dostarczyć żadnych dowodów na to, że mówię prawdę.

– Mam nadzieję, że pan rozumie: muszę się upewnić – powiedział Adrian, myśląc w tej chwili raczej o Sarze, jaka byś była zadowolona, gdybym zdobył się na odwagę i oddał skrzypce.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym panu pokazać... – powiedział Alpaerts lekko przestraszony, chowając legitymację do portfela. – Nazywam się Matthias Alpaerts i jestem jedynym, na moje nieszczęście, właścicielem tych skrzypiec.

– Nie wierzę panu.

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Sam pan rozumie, że w domu nie zachowaliśmy żadnego certyfikatu... Nie znalazłem nawet zdjęć rodzinnych, kiedy w końcu mogłem do siebie wrócić. Wszystko

było zdewastowane: zdewastowano moje wspomnienia.

– Za pozwoleniem, jednak panu nie ufam – wyrwało mi się mimo woli.

– Ma pan prawo – odpowiedział. – Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odzyskać instrument, który łączy mnie z moją historią i z historią moich kobiet.

– Ja to rozumiem, naprawdę. Ale...

Spojrzał na mnie, jakby się wyłonił z głębokiej studni swoich wspomnień, a ból rozlał się na całej jego twarzy.

– Opowiadając o tym wszystkim, musiałem wrócić do piekła. Nie chciałbym, żeby to był niepotrzebny trud.

– Rozumiem. Ale w dokumencie, jaki posiadam, nie figuruje pańskie nazwisko jako właściciela instrumentu.

– Nie? – Był taki zdziwiony i zagubiony, że aż żal.

Przez chwilę obaj milczeli. Z kuchni dochodził zapach warzyw gotujących się w szybkowarze.

– Ach! Oczywiście – podskoczył – musi być na nazwisko mojej żony, no, jasne; że też mi to nie przyszło do głowy!

– A jak nazywa się pańska żona?

– Nazywała się – poprawił, sam sobie zadając okrutny cios: – Nazywała się Berta Alpaerts.

– Nie, proszę pana. To również się nie zgadza.

Umilkliśmy. Nawet trochę żałowałem, że wdałem się w te rozpaczliwe targi. Jednak Adrian zachował milczenie. Wtedy Matthias Alpaerts wykrzyknął jasne, przecież kupiła je teściowa!

– Jak się nazywała pańska teściowa?

Zastanawiał się przez parę sekund, jakby mu było ciężko przypomnieć sobie coś tak prostego. Spojrzał na mnie z błyskiem w oku i powiedział Netje de Boeck.

Netje de Boeck. Netje de Boeck... Nazwisko, które podał mi ojciec i którego nieczyste sumienie nigdy nie pozwoliło mi zapomnieć. A teraz okazuje się, że Netje de Boeck to ta zakatarzona teściowa.

– Oszukali cię!

– Zamknij się, Bernat. Dla mnie to nazwisko przesądziło o wszystkim.

– Pieprzony kretyn.

Netje de Boeck, powtórzył przybysz. Wiem tylko, że skrzypce dotarły do Birkenau jako dodatkowy członek rodziny: w transporcie, w pociągu uświadomiłem sobie, że zakatarzona teściowa tuliła je do siebie jak wnuczkę. Było tak zimno, że zamarzały myśli. Z trudem przedostałem się tam, gdzie siedziała, obok innej starszej kobiety. Poczułem rączki Amelii kurczowo uczezione moich spodni; dziewczynka nie odrywała się ode mnie ani na chwilę podczas przepychania się przez wagon wypełniony smutnymi ludźmi.

– Mamo, dlaczego je zabrałaś?

– Nie chciałam, żeby je nam ukradli. Należą do Berty. – Netje de Boeck była kobietą z charakterem.

– Mamo, ale...

Wtedy podniosła na mnie swoje czarne oczy i powiedziała Matthias, nie widzisz, że nadeszły ciężkie czasy? Nie dali mi czasu na zabranie biżuterii, ale tych skrzypiec mi nie ukradną. Kto wie, czy...

Znów patrzyła przed siebie. Kto wie, czy któregoś dnia nie zamienimy ich na jedzenie, chciała powiedzieć teściowa. Nie miałem odwagi wyrwać jej skrzypiec i rzucić na przegniłą podłogę wagonu; powiedzieć, żeby się zajęła Amelią, bo dziewczynka uczepiła się nogawki i nie chciała mnie puścić. Na rękach trzymałem Truu, a Berty i Juliet nie zobaczyłem już nigdy więcej, bo jechały w innym wagonie. Jak pan może przypuszczać, że pana oszukuję, panie Ardefol? W innym wagonie, w niepewności, ku pewnej śmierci. Bo wiedzieliśmy, że zmierzamy ku śmierci.

– Tatusiu, bardzo mnie boli tam z tyłu.

Amelietje dotykała dłonią szyi. Jak mogłem, tak postawiłem Trude na ziemi i obejrzałem kark Amelii.

Duży guz i rana, gdzie już wdała się infekcja. Mogłem jej tylko zaaplikować bezsilny, czuły pocałunek. Biedactwo, od tego momentu przestała się skarżyć. Znow wzięłem małą na ręce. Po chwili Truu objęła moją twarz rączkami, żebym jej spojrział w oczy, i powiedziała tatusiu, jestem głodna, kiedy wreszcie dojedziemy? Wtedy powiedziałem małej Amelietje jesteś najstarsza i musisz mi pomóc, a ona odpowiedziała tak, tato. Z trudem umieściłem znow Truu na ziemi i poprosiłem jej siostrę o serwetkę, a następnie brzytwą, którą mi pożyczył milczący, brodaty mężczyzna, starannie przeciąłem ją na dwie równe części i dałem po połówce moim córeczkom, a mała Trude już nie marudziła, że jest głodna; Amelietje i Truu stały obok siebie oparte o moje nogi i ścisnęły mocno magiczną serwetkę.

Najokrutniejsza była świadomość, że sami prowadzimy córeczki na śmierć, trzymając je za ręce: byłem współnikiem zabójstwa córek, uczepionych mojej szyi czy nóg. Coraz trudniej było oddychać lodowatym powietrzem w wagonie; ludzie unikali patrzenia sobie w oczy, bo wszystkich nas dręczyły te same myśli. Tylko Amelietje i mała Truitje miały własny kawałek serwetki w kratkę. Matthias Alpaerts podszedł do stołu i położył dłoń na brudnej szmatce, już starannie złożonej. Tyle mi zostało z dnia urodzin Amelii, mojej najstarszej, która miała ledwo co skończone siedem lat, kiedy ją zabito. Truu miała pięć, Julietje dwa, Berta trzydzieści dwa, a Netje, moja zakatarzona teściowa, była po sześćdziesiątce...

Podniósł szmatkę i wpatrując się w nią, wygłosił z ferworem do tej pory nie wiem, jakim cudem udało mi się odzyskać obie połowy. Położył serwetkę na stole, znow z takim samym namaszczeniem, z jakim kapłan składa i rozkłada korporał na ołtarzu.

– Panie Alpaerts – powiedziałem nieco podniesionym głosem.

Starzec na mnie popatrzył, zdziwiony, że mu przerwałem. Przez moment wydawało się, że nie wie, gdzie jest.

– Musimy coś zjeść.

Zjedliśmy w kuchni, jakby łączyła nas wielka zażyłość. Mimo cierpienia Alpaerts jadł z apetytem. Obejrzał z zainteresowaniem naczynie do octu i oliwy; pokazałem mu, jak go używać, i polał obficie warzywa oliwą z oliwek. Zachęcony powodzeniem, wyciągnąłem twoją karafkę z szyjką, której od dawna nikt nie używał, od twojej śmierci, potem schowałem ją, żeby przypadkiem się nie stłukła. Wydaje mi się, że jeszcze ci o tym nie wspomniałem. Wlałem do niej trochę wina, pokazałem, jak się nią posługiwać, i po raz pierwszy i ostatni Matthias Alpaerts szczerze się uśmieł. Napił się z porrona, pobrudził się i rozbawiony powiedział bez związku bedankt, heer Ardefol. Może chciał mi podziękować za śmiech, do którego go sprowokowałem; wolałem się nad tym nie zastanawiać.

Nigdy nie będę wiedział na pewno, czy Matthias Alpaerts przeżył to wszystko, o czym mi opowiedział. W głębi duszy wiem, ale nigdy nie będę miał całkowitej pewności. W każdym razie uległem historii, która mnie pokonała, myśląc o tobie i o tym, co twoim zdaniem powinienem zrobić.

– Roztrwonieś rodzinny majątek, przyjacielu. Jeśli jeszcze mogę się nazywać twoim przyjacielem.

– Dlaczego tak się przejmujesz, skoro to moje skrzypce?

Bo zawsze myślałem, że je odziedziczę, gdybyś ty zmarł wcześniej niż ja.

– Bo wcale nie jest oczywiste, że historia opowiedziana przez tego faceta musi być prawdziwa. I nawet gdybyśmy przestali być przyjaciółmi, nauczę cię posługiwać się komputerem.

– Powiedział jeśli pan zajrzy przez otwór rezonansowy, mijnheer Ardefol, zobaczy pan napis Laurentius Storioni Cremonensis me fecit 1764, a obok dwa znaczki, jak dwie gwiazdki. A pod spodem Cremonensis jest nierówna kreska, z jednej strony grubsza, z drugiej cieńsza, która idzie od m do drugiego n. Jeśli dobrze pamiętam, bo minęło pięćdziesiąt lat.

Adrian wziął skrzypce, żeby sprawdzić. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, ale faktycznie tak było. Spojrzał na Matthiasa, otworzył usta, zamknął i zostawił skrzypce na stole.

– Tak faktycznie było – potwierdził Bernat. – Ale ja też o tym wiedziałem, choć skrzypce nie były moje, na nieszczęście.

Adrian zostawił skrzypce na stole. Teraz trzeba było podjąć decyzję. W gruncie rzeczy wiem, że dużo

mnie nie kosztowała. Ale spędziliśmy jeszcze razem parę godzin, zanim się pożegnaliśmy. Dałem mu oryginalny futerał, ten z ciemną plamą, którą trudno było usunąć.

– Jesteś kompletnym idiotą.

– Ogrom cierpienia sprawił, że Matthias Alpaerts żyje ciągle w dniu, kiedy wszystko stracił. Tym cierpieniem mnie pokonał.

– Pokonał cię swoją historią. Nie: swoją narracją.

– Może i tak. Co z tego?

Mężczyzna opuszkami palców pogładził delikatnie futerał. Ręka zaczęła mu drżeć. Schował ją, zawstydzony, i zwrócił się do mnie:

– Ból się kumuluje i staje się bardziej intensywny, gdy cierpi istota bezbronna. A pewność, że można było go uniknąć dzięki jakiemuś heroicznemu czynowi, nie daje spokojnie żyć ani umrzeć. Dlaczego nie krzychałem; dlaczego nie rzuciłem się do gardła żołnierzowi, który uderzył kolbą karabinu małą Amelię; dlaczego nie krzychałem; dlaczego nie zatrzymałem pociągu; dlaczego nie zabiłem tych esesmanów, którzy mówili ty na prawo, ty na lewo, hej ty, słyszysz?

– Gdzie są moje córki!

– Co mówisz?

– Gdzie są moje córki. Wyrwano mi je z rąk!

Matthias stał prosto, z rozłożonymi rękami, z przerażeniem w oczach, przed żołnierzem, który wezwał oficera.

– Nie zawracaj mi głowy. No już, ruszaj!

– Nie! Amelia z włosami jak gagat i Truu z włosami w kolorze leśnych drzew były tu ze mną.

– Ruszaj, powiedziałem. Idź na prawo i nie rób zamieszania.

– Moje córki! I Juliet ze złotymi lokami! Mała, rezolutna dziewczynka. Jechała w drugim wagonie, słyszy pan!

Żołnierz, który miał dość jego natręctwa, wymierzył mu cios kolbą karabinu w czoło. Oszołomiony padł na ziemię, gdzie dostrzegł jedną połówkę serwetki, natychmiast ją podniósł i ścisnął tak mocno, jak wcześniej ścisnęła szmatkę jego córeczki.

– Widzi pan? – pochylił głowę przed Adrianem, odsuwając na bok resztki włosów, które się jeszcze zachowały. Na czole było coś dziwnego, coś jakby dawna blizna, pamiątka po ciągle świeżym bólu.

– Albo dołączysz do szeregu, albo ci rozwalę łeb – usłyszał groźbę wypowiedzianą spokojnym głosem doktora Buddena, oficera, który położył dłoń na zamkniętej kaburze pistoletu. Było później niż zwykle i zaczynał się denerwować, zwłaszcza po rozmowie z doktorem Voigtem, który wymagał od niego jakichkolwiek wyników, cholera, niech pan coś wymyśli, czy to tak trudno. Muszę mieć sprawozdanie z wynikami. Matthias Alpaerts nie zobaczył oczu tamtej bestii, bo twarz była ukryta pod daszkiem czapki. Karnie stanął w szeregu po prawej stronie, nie wiedząc, że prowadzi on nie do komór gazowych, lecz do pawilonów sanitarnych na dezynsekcję, razem z tymi, którzy mieli stać się darmową siłą roboczą ad maiorem Reich gloriam. Tymczasem Budden, niczym flecista z Hameln, mógł spokojnie dokonać wyboru chłopców i dziewczynek. Voigt, parę metrów dalej, mógł roztrzaskać kulą z pistoletu głowę Netje de Boeck, zakatarzonej teściowej Matthiasa. A on sam opowiadał Adrianowi, że groźba tamtego oficera zmusiła mnie do pochylenia głowy i cały czas myślę, że gdybym się zbuntował, nie zmarłyby moje córki, Berta i zakatarzona teściowa. Berty z Juliet nie widziałem, od kiedy wpędzono nas do pociągu. Biedna Berta – nie mogliśmy wymienić spojrzeń na pożegnanie. Tylko raz spojrzeć, tylko popatrzeć, mój Boże, tylko popatrzeć, choćby z daleka. Popatrzeć... Moje najdroższe, opuściłem was. Nie mogłem pomścić strachu, jaki budziły te bestie w Truu, Amelii i Juliet. Wybaczcie mi, jeśli takie tchórzostwo zasługuje na wybaczenie.

– Niech pan się nie zdręczy.

– Miałem wtedy trzydzieści jeden lat. Mogłem walczyć.

– Rozwaliliby panu głowę, a pańska rodzina i tak by zginęła. Teraz żyją w pańskiej pamięci.

– Bzdury. To prawdziwe męczeństwo. Ten żałosny protest był jedynym aktem buntu, na jaki sobie pozwoliłem.

– Rozumiem, dlaczego powiedział: nie można uwolnić się od tej myśli. Tym, co mnie przekonało do Matthiasa Alpaerts, był jego ból. Doprowadzi go do śmierci dziś, jutro czy pojutrze. To, co się wydarzyło, było jego przyczyną i jeszcze to, że się uchylił przed śmiertelnym uderzeniem kolby, które dosięgło chłopca. I to, że nie dał skórki chleba towarzyszowi niedoli. Te wielkie grzechy drażą jego duszę.

– Jak Primo Levi?

Po raz pierwszy w ciągu całego popołudnia Bernat mnie nie atakował. Spojrzałem na niego, otwierając usta ze zdziwienia, a on dokończył chodzi mi o to, że się zabił, kiedy już był stary. Mógł to zrobić wcześniej, kiedy wyszedł z tamtego piekła. Albo Paul Celan, który też zwlekał przez całe lata.

– Popełnili samobójstwo nie dlatego, że przeszli przez piekło, tylko dlatego, że je opisali.

– Teraz się pogubiłem.

– Kiedy już je opisali, mogli umrzeć. Tak to widzę. Ale jednocześnie mieli świadomość, że opisując, przeżywają to ponownie, a przeżywanie przez kolejne lata całego tego piekła jest ponad ludzkie siły: zmarli dlatego, że opisali horror, przez jaki przeszli. I wreszcie, czy to nie sarkazm, że udało im się na tysiącu stron czy nawet w dwóch tysiącach wersów zmieścić tyle bólu i udręki, sprowadzając je do garści zadrukowanego papieru.

– Albo na takiej dyskietce – wtrącił się Bernat, wyciągając jedną z pudełka. – Cały przeżyty horror się na niej zmieści.

Wtedy już wiedziałem, że wychodząc, Matthias Alpaerts zapomniał o brudnej szmatce, leżała w gabinecie na stole. Albo ją zostawił. Albo mi ją podarował. Zauważyłem to, ale nie odważyłem się jej dotknąć. Cały przeżyty horror na brudnej szmatce, jak na komputerowej dyskietce. Jakby była tomikiem poetyckim napisanym po Auschwitz.

– Tak. Słuchaj, Bernat... Co do tego...

– Tak.

– Nie jestem teraz w nastroju do komputerów.

– Typowe. Widzisz monitor i wycofujesz się.

Bernat usiadł zniechęcony i przetarł dłońmi twarz, gestem, do którego ja przypisywałem sobie prawo własności. Wtedy zaczął dzwonić telefon i Adrian zadrżał.

– Jak powiedział Horacy: Tu ne quaesieris (scire nefast) quem mihi, quem tibi / finem di dederint, Leuconoe, nec Babylonios / temptaris numeros.

Cisza. Jedni patrzą przez okno, inni na podłogę.

– Co to znaczy, panie profesorze? – zapytała odważna dziewczyna z dużym warkoczem.

– Nie uczyła się pani łaciny? – zapytał Adrian, zdziwiony.

– No cóż...

– A pan? – do chłopaka przy oknie.

– No, ja...

Cisza. Adrian przerażony zwrócił się do wszystkich:

– Ktoś z was uczył się łaciny? Czy któryś student historii idei estetycznych zaliczył kiedykolwiek kurs łaciny?

Po ciężkich targach okazało się, że tylko jedna dziewczyna, ta z zieloną wstążką we włosach. Adrian wziął głęboki oddech, żeby ochłonać.

– Panie psorze, co znaczy ten cytat z Horacego?

– To samo, co mówią Dzieje Apostolskie, drugi list świętego Piotra i Apokalipsa.

Cisza jeszcze głębsza. Wreszcie odezwał się ktoś bardziej rozgarnięty i zapytał a o co chodzi w Dziejach Apostolskich i całej reszcie?

– W Dziejach Apostolskich i całej reszcie jest mowa o tym, że Pan przyjdzie jak złodziej w środku nocy.

– Jaki pan?

– Czy ktoś z was przeczytał Biblię, choćby jeden raz?

Ponieważ wolał uniknąć kolejnego trudnego do zniesienia milczenia, powiedział wiecie co? Zostawmy to. Albo nie: w piątek przynieście mi jedno zdanie wyjęte z jakiegoś utworu literackiego, w którym występuje ten topos.

– A co to jest topos, panie psorze?

– Na piątek proszę przeczytać jakiś wiersz. I pójść do teatru. Przepytam was z tego.

Na widok zdezorientowanych twarzy uczniów obudził się spanikowany. A kiedy sobie przypomniał, że to nie był sen, tylko wspomnienie ostatnich zajęć, miał ochotę się rozpłakać. W tej chwili uświadomił sobie, że z koszmaru wyrwał go dźwięk telefonu. Zawsze ten przekłety telefon.

Na biurku w gabinecie stał włączony komputer. Niewiarygodne. W świetle monitora twarze Llorença i Adriana, uważnie wpatrujących się w ekran, wydawały się blade.

– Widzisz?

Llorenç poruszał myszą i kursor na monitorze zmieniał położenie.

– Teraz ty spróbuj.

Adrian, wyciągając koniuszek języka, próbował poruszać kursorem.

– Jesteś leworęczny?

– Tak.

– Poczekaj. Podłączę ją po twojej stronie.

– Ej, słuchaj, brakuje mi podkładki, ta jest za mała.

Llorenç uśmiechnął się dyskretnie, ale nie uszło to uwagi Adriana.

– Nie śmiej się, naprawdę jest dla mnie za mała.

Kiedy już ta przeszkoda została pokonana dzięki krótkiemu treningowi, Adrian Ardèvol został wprowadzony w tajniki tworzenia dokumentu tekstowego, który był, z zachowaniem proporcji, czymś w rodzaju nieskończonego zwoju, czymś niezwykle, magicznym. Telefon znów zaczął dzwonić, ale Adrian nie zwracał na niego uwagi.

– Nie, ja rozumiem, że...

– Że co?

– Że to jest bardzo praktyczne urządzenie; ale mnie się wszystkiego odechciewa na sam jego widok.

– Potem nauczysz się jeszcze korzystać z poczty elektronicznej.

– Och, nie. Nie, nie... jestem bardzo zajęty.

– To bardzo proste. Poczta to sprawa zasadnicza.

– Umieć pisać listy, a skrzynkę mam tuż pod domem. A jak nie, to jest jeszcze telefon.

– Ojciec mówi, że nie chcesz mieć komórki. – Po chwili, z niedowierzaniem: – Czy to prawda?

Telefon zmęczył się bezowocnym dzwonieniem i ucichł.

– Nie jest mi potrzebny. Mam idealny telefon w domu.

– Ale go nie odbierasz, kiedy dzwoni!

– Nie – uciał Adrian. – Tracisz czas. Naucz mnie tylko pisać na tym czymś i... Ile masz lat?

– Dwadzieścia. – Pokazał zakładkę: – Tu masz kliknąć, żeby zapisać tekst, bo inaczej przypadnie to, co napisałeś.

– Tego właśnie się boję... Widzisz? Papier nie przypadnie.

– Oczywiście, że może przepaść. Może spłonąć.

– Wiesz, że cię pamiętam, gdy miałeś dwa dni, w klinice?

– Ach, tak?

– Twój ojciec szalał z radości. Był nie do wytrzymania.

– To mu zostało.

– Nie, ja miałem na myśli...

– Widzisz? – Llorenç pokazywał na monitorze: – Tu masz kliknąć, żeby zachować dokument.

– Nie widziałem, jak to zrobiłeś.

– Tak, popatrz.

– Dla mnie to za szybko.

– Spróbuj: weź mysz.

Adrian z obawą położył rękę na myszy, jakby ta bestia mogła go ugryźć.

– Trzymaj mocno. W ten sposób. Teraz naprowadź strzałkę tam, gdzie jest „zapisz jako”.

– Dlaczego uważasz, że jest nie do wytrzymania?

– Kto?

– Twój ojciec.

– Booo... No więc... – Zatrzymując jego rękę na myszy: – Nie, nie, w lewo.

– Ale ona nie chce iść w lewo.

– Ciągnij po podkładce.

– Kurde, to trudniejsze, niż się wydaje.

– Drobiazg. Parę minut ćwiczeń. Teraz kliknij.

– Co to znaczy kliknij?

– Naciśnij klawisz myszy. W ten sposób.

– Cholera jasna! Co ja zrobiłem? Och, wszystko znikło!

– Dobrze... Jeszcze raz.

– Dlaczego uważasz, że twój ojciec jest nieznośny? – Pauza, karkołomna próba przesunięcia kursora. –

Słyszysz, Llorenç?

– No, tak ogólnie.

- Wbrew twojej woli kazał ci grać na skrzypcach.
- Nie, nie w tym rzecz...
- Nie?
- No dobrze, to trochę też.
- Nie lubisz skrzypiec.
- Owszem, lubię.
- W której jesteś klasie?
- W siódmej, według starego planu.
- Nieźle.
- Według ojca powinienem zostać wirtuozem.
- Każdy ma własne tempo.
- Według ojca za mało się przykładam.
- Ma rację?
- No wiesz... Nie. On chciałby... Wróćmy do komputera, dobrze?
- Czego chciałby Bernat?
- Żebym był Perlmanem.
- A ty kim jesteś?
- Jestem Llorenç Plensa. Tego ojciec chyba nie potrafi zrozumieć.
- A matka?
- Ona tak.
- Twój ojciec to porządny facet.
- Wiem. Jesteście przyjaciółmi.
- Niezależnie od tego, jest porządnym facetem.
- Owszem, tak. Ale jest upierdliwy.
- Co studiujesz? Tylko skrzypce?
- Och, nie!... Zapisalem się na architekturę.
- Fajnie, nie?
- Nie.

- To dlaczego ją studiujesz?
- Nie powiedziałem, że studiuję. Powiedziałem, że się zapisałem.
- A dlaczego nie studiujesz?
- Taki był warunek ojca. – Przedrzeźniając Bernata: – Żeby w przyszłości mieć z tego jakiś pożytek.
- A co wolałbyś studiować zamiast architektury?
- Chciałbym być nauczycielem.
- Fajnie, nie?
- Tak? To powiedz to ojcu.
- Nie podoba mu się?

– To za mało dla jego syna. Chciałby, żebym był najlepszym skrzypkiem na świecie, najlepszym architektem i w ogóle żebym był najlepszy w jakiegokolwiek dziedzinie. To nie do zniesienia.

Chwila ciszy. Adrian z całych sił ścisnął mysz, która nie mogła się poskarżyć. Puścił ją, kiedy to sobie uświadomił. Odetchnął głęboko, żeby się opanować.

- A dlaczego mu nie powiesz, że chcesz być nauczycielem?
- Powiedziałem.
- I co?
- Nauczycielem? Ty, nauczycielem? Mój syn nauczycielem?
- O co chodzi? Masz coś przeciwko nauczycielom?
- Nic, co miałbym mieć? Ale dlaczego nie mógłbyś być inżynierem czy kimś takim, co?

– Chcę uczyć czytania i pisania. I tabliczki mnożenia. To takie wdzięczne zajęcie.

– Ja się z nim zgadzam – powiedziała Tekla, patrząc wyzywająco na męża.

– A ja nie. – Pełen powagi Bernat wytarł usta. Odłożył serwetkę na stół i wpatrując się w pusty talerz, oświadczył praca nauczyciela jest wyczerpująca i wiąże się z mnóstwem przykrości. Na dodatek marnie za nią płacą. – Kręcąc głową: – To nie jest dobry pomysł.

– Ale mnie się podoba.

– A mnie nie.

– Ej, ale to chłopak ma studiować, nie ty. Rozumiesz?

– Dobrze, dobrze... róbcie, co chcecie. I tak zawsze w końcu robicie swoje...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Tekla się wkurzyła: – No co?

– Nie, tylko... nie, nic.

– No nie, słucham... Co takiego zawsze robimy wbrew twojej woli?

Wtedy Llorenç wstał, wziął swój talerz, odniósł do kuchni, poszedł do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi, podczas gdy Tekla i Bernat długo jeszcze krzyżowali topory wojenne dłaczego powiedziałeś, że zawsze robię, co chcę, skoro to nieprawda! Wcale! Nigdy!

– Ale w końcu zapisałeś się na architekturę – podsumował Adrian.

– Możemy mówić o czymś innym?

– Masz rację. No dobrze, do czego jeszcze może mi się przydać ten komputer?

– Chcesz spróbować napisać tekst?

– Nie. Wydaje mi się, że na dzisiaj...

– Napisz jedno zdanie i zapiszemy je, jakby było cennym dokumentem.

– Dobrze. Wiesz, że byłby z ciebie dobry nauczyciel?

– Powiedz to mojemu ojcu.

Adrian napisał Llorenç Plensa uczy mnie, jak to działa. Kto szybciej straci cierpliwość, on czy ja? A może Mac?

– Oj, to prawdziwa powieść! Teraz zobaczysz, jak to zapisać, żebyś mógł otworzyć w dowolnej chwili.

Podczas gdy Adrian prowadzony przez cierpliwego Wirgiliusza stawiał kolejne kroki, żeby po raz pierwszy w życiu zachować dokument, zamknąć folder, zamknąć program i wyłączyć komputer, Llorenç powiedział wydaje mi się, że wyprowadzę się z domu.

– No... To jest krok, który...

– Tylko nie mów ojcu, dobrze?

– Nie, nie. Ale najpierw musisz sobie coś znaleźć.

– Mogę mieszkać z kolegami.

– To musi być męczące. A co ze skrzypcami, jeśli będą tam mieszkać inni?

– Dłaczego?

– Mogą im przeszkadzać.

– To ich nie zabiorę.

– No, chyba że zamieszkaś z dziewczyną.

– Nie mam dziewczyny.

– Tak tylko mówiłem...

Llorenç wstał, lekko wkurzony. Adrian próbował załagodzić:

– Przepraszam... To nie moja sprawa, czy masz dziewczynę, czy nie masz.

– Powiedziałem, że nie mam, jasne?

– Tak, słyszałem.

– Mam chłopaka.

Chwila konsternacji. Adrian potrzebował paru sekund, żeby zareagować.

– Świetnie. Ojciec o tym wie?

– Jeszcze jak! To stanowi część problemu. Ale jeśli mu powiesz, że rozmawiałem o tym z tobą...

Zabije mnie i ciebie.

– Nie martw się. I rób swoje, naprawdę.

Kiedy Llorenç uznał za skończoną pierwszą lekcję obsługi komputera z opornym i wyjątkowo tępym uczniem i zbiegł po schodach, Adrian pomyślał, jak łatwo się udziela rad cudzym dzieciom. Poczułem, jak bardzo pragnę syna, z którym mógłbym rozmawiać o życiu, tak jak przed chwilą z Llorençem. Jak to się dzieje, że my, przyjaciele, tak mało ze sobą rozmawiamy, dlaczego nic nie wiedziałem o Llorençem?

Byli w jadalni; telefon dzwonił i dzwonił, a Adrian nie mógł złapać się za głowę, że już ma tego dość, bo miał przed sobą Bernata, który mu przedstawiał swój plan. Żeby nie słyszeć sygnału, otworzył drzwi na balkon; wtargnął smród spalin i szum samochodów, zmieszany z krzykami dzieci i gruchaniem brudnych gołębi, które urzędowały piętro wyżej. Wszedł na balkon; Bernat za nim. W półmroku na obrazie w pokoju nad klasztorem Santa Maria de Gerri zachodziło słońce od strony Trespui.

– Nie musisz tego organizować! Od dobrych dwunastu lat masz wyrobioną pozycję jako zawodowy muzyk.

– Mam pięćdziesiąt jeden lat. To żadna zasługa.

– Grasz w Katalońskiej Orkiestrze Symfonicznej Miasta Barcelony.

– Że co?

– Że grasz w najważniejszej katalońskiej orkiestrze! – powtórzył głośniej.

– I co z tego.

– I jesteś w kwartecie Comy, cholera!

– Jako drugie skrzypce.

– Zawsze musisz się porównywać z innymi.

– Co?

– Że zawsze się porównujesz...

– Wejdźmy do środka.

Adrian wszedł do jadalni, a za nim Bernat. Telefon ciągle dzwonił. Zamknął drzwi balkonowe i hałas na ulicy przestał im przeszkadzać w rozmowie.

– Co mówiłeś? – zapytał Bernat, rozdrażniony uporczywym dźwiękiem telefonu.

Adrian pomyślał teraz mu powiesz, żeby się zastanowił nad swoim stosunkiem do Llorença. On się męczy i wszyscy się męczycie, prawda?

– Nic, tylko że zawsze porównujesz się z innymi.

– Nie sądzę. A nawet gdyby tak było, to co?

Twój syn jest smutny. Traktujesz go tak samo jak mnie mój ojciec, a to jest piekło.

– Mam wrażenie, że się bronisz przed najmniejszą choćby iskrą szczęścia.

– Do czego zmierzasz?

– Na przykład, jeśli zorganizujesz ten wieczór autorski, ryzykujesz porażkę. Ty będziesz wkurzony. I wszyscy wokół ciebie. Nie warto.

– To moja sprawa, warto czy nie warto.

– Jak sobie chcesz.

– Dlaczego uważasz, że to zły pomysł?

– Ryzykujesz, że nikt nie przyjdzie.

– Ale z ciebie skurczybyk. – Spojrzał przez okno na ruchliwą ulicę. – Słuchaj, dlaczego nie odbierasz telefonu?

– Bo teraz jestem z tobą – skłamał Adrian.

Spojrzał nieobecny wzrokiem na klasztor Santa Maria de Gerri. Usiadł w fotelu, przyglądając się

przyjacielowi. Teraz porozmawiam z nim o Llorençie, obiecał sobie.

– Ty przyjdiesz, jeśli coś zorganizuję, prawda? – Bernat kontynuował przerwany wątek.

– Tak.

– I Tekla. I Llorenç. To już trzy osoby na widowni.

– Tak: ja, Tekla, Llorenç, to już troje. Prowadzący, cztery. I ty, pięć. Bingo.

– Nie bądź taki złośliwy.

– Jak ci się układa z Teklą?

– Bez fajerwerków, ale jakoś leci.

– Cieszę się. A co u Llorença?

– Dobrze, dobrze. – Zastanowił się chwilę, zanim dodał: – Tekla i ja przeżywamy coś w rodzaju niestabilnej stabilności.

– Jak mam to rozumieć?

– Że od wielu miesięcy Tekla sugeruje separację.

– O kurczę...

– A Llorenç znajduje tysiące powodów, żeby jak najmniej bywać w domu.

– Przykro mi. A jak mu się układa?

– Ja staram się zachowywać ostrożnie, żeby wszystkiego nie rozpierniczyć, a Tekla uzbroiła się w cierpliwość, chociaż wciąż sugeruje, żebyśmy dali sobie spokój. To nazywam niestabilną stabilnością.

– No a Llorenç?

– Dobrze.

Cisza. Dźwięk telefonu najwyraźniej przeszkadzał tylko Bernatowi.

Teraz mu powiem, że zauważyłem podczas naszych ostatnich spotkań, jaki Llorenç jest smutny. Na to Bernat: on tak zawsze. Na to ja: nie, to twoja wina, Bernat, bo urządzasz mu życie, nie pytając go o zgodę. A Bernat odpowie krótko może lepiej żebyś się nie wtrącał. Na to ja: muszę się wtrącić, bo mi go żal. Na to Bernat, akcentując sylaby: nie-two-ja-spra-wa. Dotarło? A ja: w porządku, ale jest smutny: chciałby być nauczycielem. Dlaczego nie chcesz pozwolić, żeby twój syn był tym, kim chce? Wtedy Bernat wstanie taki wściekły, jakbym znów pozbył się naszego storioniego, i pójdzie sobie, cedząc przez zęby przekleństwa, i już nigdy się do mnie nie odezwie.

– O czym myślisz? – zainteresował się Bernat.

– Że... Że musisz to bardzo dobrze przygotować. Zapewnić sobie obecność ze dwudziestu osób. I wybierz salę na dwadzieścia pięć miejsc. Odniesiesz sukces.

– Bardzo sprytnie.

Zamilkli. Mam odwagę powiedzieć mu, że nie podoba mi się to, co pisze, ale nie umiem rozmawiać z nim o Llorençie. Znów wdarł się pomiędzy nich dźwięk telefonu. Adrian wstał, podniósł słuchawkę i odłożył ją na miejsce. Bernat tego nie skomentował. Adrian usiadł i podjął rozmowę, jakby nic się nie stało.

– Nie możesz spodziewać się tłumów. W Barcelonie codziennie odbywa się od osiemdziesięciu do stu wydarzeń kulturalnych, lekko licząc. Poza tym ludzie cię znają jako muzyka, nie jako pisarza.

– Nie znają mnie jako muzyka, jestem tylko jednym z wielu skrzypków grających na scenie. Jako pisarz jestem wyłącznym autorem pięciu zbiorów opowiadań.

– Których łączna sprzedaż nie osiągnęła w sumie tysiąca egzemplarzy.

– Samej *Plazmy* sprzedano tysiąc.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Jesteś jak mój wydawca: nic tylko mi dodajesz otuchy.

– Kto cię będzie przedstawiał?

– Carlota Garriga.

– To dobrze.

– Dobrze? Genialnie. Samo jej nazwisko przyciągnie tłumy.

Bernat poszedł sobie, a ja nie powiedziałem mu ani słowa o Llorençie. A on uparcie trzymał się straceńczej myśli o zorganizowaniu wieczoru autorskiego. Na zaproszeniach będzie: Twórczość literacka Bernata Plensy. Znów się odezwał przyczajony telefon i znów przestraszył Adriana.

Adrian postanowił wykorzystać jedne zajęcia z historii idei estetycznych do swoich celów i dlatego zaprosił studentów w inne miejsce, o nietypowej porze, jak wtedy, gdy się z nimi umówił w holu metra przy placu Universitat. Nie pierwszy raz robili dziwne rzeczy, które wymyślał ten zwariowany profesor, Ardèvol. Ponoć kiedyś zrobił wykład w uniwersyteckim parku od strony ulicy Diputació, wśród przechodniów, na których nie zwracał uwagi.

– Czy komuś ta godzina nie pasuje?

Trzy osoby podniosły ręce.

– Rozumiem, że wszyscy pozostali przyjdą punktualnie.

– Co będziemy robić?

– Słuchać. Zadawać pytania, jeśli będziecie chcieli.

– Ale czego będziemy słuchać?

– Odkrycie tego na miejscu stanowi część zadania.

– O której skończymy? – odezwał się siedzący w środku blondyn adorowany przez dwie dziewczyny, które teraz podziwiałały go za zadanie tak istotnego pytania.

– Czy to się będzie liczyć do egzaminu? – zapytał chłopak z kwakerską brodą, który zawsze siadał przy oknie, z dala od wszystkich.

– Mamy notować? – dziewczyna z dużym warkoczem.

Po wyjaśnieniu wszystkich wątpliwości zakończył tradycyjnie, zachęcając ich do czytania poezji i do chodzenia do teatru.

Kiedy wrócił do domu, zastał telegram od Johanna Kameneka, który prosił go o wykład w Tybindze w dniu jutrzejszym. Stop. W dniu jutrzejszym Stop? Kamenek chyba zwariował.

– Johannes.

– Och, nareszcie!

– Co się dzieje?

– Proszę cię o przysługę. – W głosie Kameneka dało się wyczuć niepokój.

– A skąd ten pośpiech?

– Musisz mieć wyłączony telefon. Albo ci się zepsuł.

– No, nie. Tylko że... Jeśli dzwoniś rano, jest tylko gospodyni, która...

– U ciebie wszystko w porządku?

– No wiesz. Przed twoim telegramem, tak. Prosisz mnie o wykład na jutro. To jakaś pomyłka?

– Nie, nie. Sytuacja awaryjna. Nawaliła mi Ulrike Hörstrup. Proszę.

– Coś takiego. A o czym mam mówić?

– O czymkolwiek. Publiczność będziesz miał zapewnioną, to uczestnicy sesji. Dotychczas wszystko szło świetnie. I w ostatniej chwili...

– A co się dzieje z tą Hörstrup?

– Trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Nie przyjechała. Będziesz miał bilety w domu dziś po południu.

– To musi być jutro?

– Tak, o drugiej. Powiedz, że się zgadzasz.

Powiedziałem, że nie, że jeszcze nie wiem, o czym mógłbym mówić, kurde, Johannes, nie rób mi tego, a on o czym chcesz, ale przyjeźdź, proszę, i wtedy musiałem powiedzieć tak, jakimś cudem dostarczono mi bilety do domu i następnego dnia leciałem do Stuttgartu, a stamtąd do mojej ukochanej Tybingi.

Na pokładzie samolotu zastanawiałem się nad tematem i przygotowałem konspekt. W Stuttgarcie czekał na mnie zamówiony taksówkarz Pakistańczyk, który jadąc jak wariat, błyskawicznie dowiózł mnie na uniwersytet, przekraczając po drodze wszystkie możliwe przepisy.

– Nie wiem, jak mam ci się zrewanżować za tę przysługę – powitał mnie Johannes, który na mnie czekał przy wejściu.

– Na tym właśnie polega przysługa, że nie wymaga rewanzu. Będę mówił o Coşeriu.

– Nie! Już była dziś o nim mowa.

– O kurwa.

– Powinienem był cię uprzedzić... Kurde, bardzo mi przykro. Może... nie wiem...

Johannes, z niepewną miną, trzymał mnie mocno pod rękę i ciągnął w kierunku auli.

– Będę improwizować. Daj mi parę minut, żebym / Nie mamy paru minut – odparł Kamenek, nie zatrzymując się.

– Pięknie. A mam czas, żeby się wysikać?

– Nie.

– Coś kiedyś słyszałem o śródziemnomorskiej improwizacji i o systematycznym charakterze Niemców...

– Masz rację, ale Ulrike to też było zastępstwo.

– Cholera, jestem daniem trzeciej świeżości. Dlaczego tego nie odwołacie?

– Niemożliwe. Nigdy tak nie robiliśmy. Nigdy. Mamy gości spoza, którzy...

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami auli. Objął mnie zawstydzony, powiedział dziękuję, przyjacielu i wprowadził do środka, gdzie trzydzieści procent z setki zgromadzonych uczestników sesji poświęconej lingwistyce i filozofii ze zdziwieniem spojrzało na dziwną kobietę, niejaką Ulrike Hörstrup, łysą i z wydatnym brzuszkiem, która nie miała w sobie za grosz kobiecości. W czasie gdy Adrian porządkował w głowie koncepcje, których nie miał, Johannes Kamenek przypominał obecnym o problemach zdrowotnych profesor Hörstrup i przekonywał, że spotkało ich szczęście w osobie profesora Adriana Ardèvola, który będzie mówił o... który teraz zabierze głos.

Usiadł koło mnie; myślę, że chciał w ten sposób okazać solidarność. Widziałem, jak w niemal fizyczny sposób uchodziło z niego powietrze i opadało napięcie. Biedny Johannes. Chcąc zyskać na czasie, żeby zebrać myśli, zacząłem recytować, powolutku i po katalońsku, ten wiersz Foixa, który zaczyna się od słów: „És per la Ment que se m’obre Natura / A l’ull golós; per ella em sé immortal / Puix que l’ordén, i ençà i enllà del mal, / El temps és u i pel meu ordre dura”. Przetłumaczyłem go dosłownie: „Umysł otwiera Przyrodę / przed moim zachłannym okiem; dzięki niej czuję się nieśmiertelny / kiedy ją porządkuję, z dala od zła, / Czas staje się jednią i trwa w moim porządku”. Od Foixa i znaczenia myśli i terażniejszości przeszedłem do dywagacji na temat natury piękna i dlaczego ludzkość od wieków do niego dąży. Profesor Ardèvol postawił wiele pytań, na które nie umiał albo nie chciał odpowiedzieć. W końcu musiało się pojawić, jakże by inaczej, zło. I morze, ciemne morze. Mówił o umiłowaniu wiedzy, nie przejmując się, czy się mieści w tematyce sesji na temat lingwistyki i filozofii. O językoznawstwie mówił niewiele, więcej o tym, że gdy myślę o naturze życia, narzuca mi się śmierć. I wtedy pamięć postawiła mu przed oczami pogrzeb Sary, i zobaczył wśród żałobników zakłopotanego i milczącego Kameneka. A kiedy powiedział dlatego Foix kończy swój sonet słowami: „...i poprzez wieki żegluję / Powoli, jak skała na ciemnym morzu”, właśnie upłynęło pięćdziesiąt minut. Natychmiast pobiegł do ubikacji, a wody zebrało się w nim więcej niż deszczówki w ciągu długiego, dżdżystego dnia.

Przed uroczystą kolacją, na którą zaprosił go komitet organizacyjny, Adrian miał do zrobienia w Tybindze dwie rzeczy, skoro samolot będzie dopiero następnego dnia. Sam, jeśli wolno. Naprawdę, Johannes. Chcę pobyć sam.

Bebenhausen. Klasztor jak nowy po odrestaurowaniu. Jeszcze organizowano tam zwiedzanie z przewodnikiem, ale nikt już nie pytał, co znaczy sekularyzacja. Jak przez mgłę przebiło się odległe

wspomnienie Bernata i jego książek. Od tego czasu minęło ponad dwadzieścia lat, ale nic się nie zmieniło: ani Bebenhausen, ani Bernat. A kiedy zaczęło się ściemniać, poszedł w Tybindze na cmentarz, gdzie kiedyś często spacerował sam, z Bernatem, z Sarą... Słyszał odgłos swoich kroków, suchy, mocny dźwięk na twardym gruncie. Idąc przed siebie bez celu dotarł do pustego grobu Franza Grübbe, na samym końcu alejki. Zobaczył przed sobą Lothara Grübbe i jego kuzynkę Hertę Landau z Bebenhausen, tę samą, która uprzejmie zgodziła się zrobić im zdjęcie; oboje składali właśnie róże białe jak dusza bohaterskiego syna i bratanka. Usłyszawszy kroki, Herta Landau odwróciła się; z trudem próbowała ukryć lęk, jaki poczuła na jego widok.

– Lothar... – odezwała się drżącym głosem, przerażona.

Lothar Grübbe odwrócił się. Przed nim stał oficer SS i na razie tylko czekał w milczeniu na ich wyjaśnienia.

– Sprzątam te groby – odezwał się w końcu Lothar Grübbe.

– Dokumenty – rozkazał SS-Obersturmführer Adrian Hartbold-Bosch, stojąc przed starcem i młodszą kobietą. Herta ze strachu nie potrafiła otworzyć torebki. Lothar był tak spanikowany, że próbował się ukryć za zasłoną obojętności, jakby już był martwy i już spoczywał przy twoim boku, Anno, i obok dzielnego Franza.

– Coś takiego... – zdziwił się. – Musiałem je zostawić w domu.

– Musiałem je zostawić w domu, panie Obersturmführerze! – poprawił go SS-Obersturmführer Hartbold-Bosch.

– Zostawiłem je w domu, panie Obersturmführerze! – krzyknął gromko Lothar, patrząc oficerowi w oczy z marsową miną. Porucznik wskazał grób.

– Co wy tu robicie, przecież to grób zdrajcy. No?

– To mój syn, panie Obersturmführerze! – powiedział Lothar. Wskazując na Hertę, zdrętwiałą ze strachu, dodał: – A tej pani nie znam.

– Proszę za mną.

Przesłuchanie poprowadził sam Obersturmführer Adrian Hartbold-Bosch. Żeby się przypadkiem nie okazało, że pomimo podeszłego wieku ten cały Lothar ma jakiś związek z grupą tego nikczemnika, Herberta Bauma. Przecież to starzec! (brat Michał). Starcy i dzieci też stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa Reichu. Wedle rozkazu (brat Michał). Wyciągnijcie mu z gardła wszystkie informacje. Za wszelką cenę? Za wszelką cenę. Zaczniście od przypiekania pięt. Jak długo? Na trzy zdrowaśki sumiennie odmówione. A potem madejowe łoże na czas credoinunumdeum. Tak, Ekscelencjo.

Herta Landau, która cudem uniknęła aresztowania, rozpaczliwie próbowała przez pół godziny nawiązać łączność telefoniczną z Berlinem, gdzie ją poinformowano, jak się dodzwonić do Auschwitz, i jakimś cudem, po długiej godzinie, wreszcie usłyszała głos Konrada:

– Heil Hitler. Halo. – Zniecierpliwiony: – Tak, słucham?

– Konrad, to ja, Herta.

– Kto?

– Herta Landau, twoja kuzynka. O ile jeszcze przyznajesz się do rodziny.

– O co tym razem chodzi?

– Aresztowali Lothara.

– Jakiego Lothara? – zde gustowany.

– Lothar Grübbe, twój wujek. A niby kto?

– Ach! Ojciec tego podłego Franza?

– Tak, ojciec Franza.

– I czego ode mnie chcesz?

– Zlituj się, pomóż. Mogą go torturować i zabić.

– Kto go zatrzymał?

- SS.
- Ale dlaczego?
- Za składanie kwiatów na grobie Franza. Zrób coś.
- No wiesz... A co ja tu mogę ...
- Na litość boską!
- Jestem teraz bardzo zajęty. Chcesz, żebyśmy wszyscy mieli przez niego problemy?
- Przecież to twój wujek!
- Coś musiał przeskrobać.
- Nie mów tak, Konrad!
- Słuchaj, Herta: kto nawążył piwa, niech je teraz wypije.

– Holländisch? – usłyszała Herta głos Konrada. I do telefonu: – Nie wiem jak ty, ale ja pracuję. Mam za dużo pracy, żeby się przejmować takimi głupotami. Heil Hitler!

Usłyszała jeszcze, jak ten skurwysyn Konrad Budden odkłada słuchawkę, przesądzając o losie Lothara. Wtedy zaczęła rozpaczliwie płakać.

Sześćdziesięciodwuletni Lothar Grübbe nie był niebezpiecznym osobnikiem. Jednak jego śmierć miała stać się przestrożą: ojciec podłego zdrajcy, który składa kwiaty na jego grobie, jakby to był pomnik wewnętrznego ruchu oporu? Grób, który...

Obersturmführer Hartbold-Bosch aż otworzył usta ze zdziwienia, kiedy to sobie skojarzył. No jasne! Do dwóch bliźniaków, którzy podpierali ścianę:

- Odkopać grób zdrajcy!

Grób podłego zdrajcy i tchórza Franza Grübbe był pusty. Lothar Stary zakpił sobie z władz, składając ukradkiem kwiaty w miejscu, gdzie nie było nic. Pusty grób jest o wiele groźniejszy niż grób z workiem kości: pustka sprawia, że staje się uniwersalny i urasta do rangi pomnika.

- Co mamy zrobić z więźniem, Ekscelencjo?

Adrian Hartbold-Bosch wziął głęboki oddech. Zamknął oczy i powiedział cichym, drżącym głosem powieście go na rzeźnickim haku. Tak w Reichu karze się zdrajców.

- Na pewno?... Może to zbyt okrutne. Przecież to stary dziadek.

– Bracie Michale... – głos Obersturmführera brzmiał groźnie. Kiedy zapadła cisza, spojrzał na swoich poddanych, stojących ze zwieszonymi głowami. Wtedy wrzasnął, wyrzucając z siebie słowa:

- Zabierzcie stąd to ścierwo!

Lothar Grübbe, przerażony rodzajem śmierci, jaka mu była pisana, został zabrany do celi tortur. Ponieważ nie codziennie wymierza się karę zdrajcy, musiano najpierw zamontować odpowiednie urządzenie, do którego został przymocowany hak, wcześniej dobrze naostrzony. W momencie, kiedy go podciągali na sznurze, pocił się spanikowany i dusił się, wymiotując ze strachu. Miał tylko tyle czasu, żeby powiedzieć spokojnie, Anno, nic się nie dzieje. Zmarł ze strachu pół sekundy wcześniej, zanim go nadziano na hak, z furią stosowną przy wbijaniu na pal zdrajców.

- Kim jest ta Anna? – zapytał jeden z bliźniaków.

- Co za różnica – odpowiedział mu ten drugi.

We wtorek za dwadzieścia ósma, kiedy ciemne chmury gromadziły się na niebie, młodzież wypełniła liczącą pięćdziesiąt miejsc Salę Sagrery w Ateneum i słuchała zamyślona nadmiernie przesłodzonej muzyki tła. Jakiś zagubiony starszy mężczyzna długo się zastanawiał nad wyborem miejsca, zanim się zdecydował na krzesło w głębi sali, jakby się bał, że na koniec odpytają go z lekcji. Dwie babcie w pierwszym rzędzie rozglądały się niezadowolone, że nie zanoszą się na koktajl po uroczystości, i komentowały to między sobą, wymachując wachlarzami. Z boku, na stoliku, wystawiono dzieła zebrane Bernata Plensy – wszystkie pięć książek. Tekla też przyszła i usiadła w pierwszym rzędzie, czym zaskoczyła Adriana. Odwracała się do tyłu, jakby sprawdzała, kto wchodzi. Adrian podszedł do niej i pocałował ją na dzień dobry; uśmiechnęła się do niego, po raz pierwszy od ostatniej kłótni, którą na próżno usiłował załagodzić. Rzeczywiście, dawno się nie widzieli.

– Dobrze, nie? – powiedział Adrian, ruchem brwi wskazując salę.

– Nie spodziewałam się. Na dodatek jest dużo młodzieży.

– Aha.

– Jak tam twoje lekcje z Llorençem?

– Super. Umiem już sporządzić dokument i zapisać go na dyskietce. – Adrian zastanowił się przez chwilę: – Ale nadal nie umiem pisać od razu na komputerze. Przyzwyczyliem się do papieru.

– Wszystko w swoim czasie.

Wtedy zadzwonił telefon, ale nikt nań nie zwrócił uwagi. Adrian rozejrzał się i uniósł brwi. Coś takiego, no popatrz, nikt nie reaguje, jakby nic się nie działo.

Na stole przydzielonym wystawiono frontem do publiczności pięć książek opublikowanych przez Bernata. Ucichła nadmiernie przesłodzona muzyka tła, ale nie dźwięk telefonu, teraz tylko trochę słabszy. Pojawił się Bernat, w towarzystwie Carloty Garrigi. Adrian zdziwił się, że nie niesie skrzypiec, i uśmiechnął się do swoich myśli. Autor i prezentująca książkę zajęli miejsca. Bernat puścił do mnie oko i z satysfakcją ocenił atmosferę na sali. Rozpoczęła Carlota Garriga, mówiąc, że zawsze podziwiała twórczość Bernata Plensy, a ten znów puścił do mnie oko i przez moment wyobraziłem sobie, że zorganizował całą tę szopkę specjalnie dla mnie. Dlatego postanowiłem się skupić i wysłuchać sumiennie, co też miała do powiedzenia pani doktor Garriga.

Codzienny świat, zaludniony przez postaci raczej nieszczęśliwe, które nie mogą się zdecydować, czy kochać, czy się wycofać, ukazany z dużą biegłością stylistyczną, charakteryzującą inny aspekt jego twórczości, ale o nim będę mówić później.

Po półgodzinie, kiedy Garriga poruszyła już wszystkie tematy, łącznie z wpływami, Adrian podniósł rękę i zapytał autora, dlaczego bohaterowie pierwszych czterech książek wykazują tyle fizycznych i psychicznych podobieństw, i natychmiast pożałował, że o to zapytał. Bernat, po kilku sekundach refleksji, potwierdził, mówiąc tak, tak, ma pan rację. To zamierzone. W ten sposób chciałem pokazać, że te postaci są prekursorami następnych, które się pojawią w mojej nowej powieści.

– Pisze pan powieść? – zapytałem zdziwiony.

– Tak. To jeszcze trochę potrwa, ale owszem.

Podniosła się ręka w głębi sali: dziewczyna z dużym warkoczem zapytała jaki system pan stosuje, wymyślając opowiadania, i Bernat aż sapnął zadowolony i powiedział och, świetne pytanie. Nie wiem, czy będę umiał odpowiedzieć. Ale mówił dobre pięć minut, w jaki sposób tworzy. Później zebrał się na odwagę chłopak z kwakerską brodą, który go zapytał o wzory literackie. Wtedy spojrzałem z satysfakcją do tyłu, na publiczność, i aż zdrętwiałem, bo w tym momencie na salę weszła Laura. Nie

widziałem jej od miesiący, bo wyjechała do jakiegoś miasta w Szwecji. Nie wiedziałem, że wróciła. Tak, była piękna. Nie, niemożliwe. Skąd się tu wzięła? Później wstał blondyn adorowany przez dwie dziewczyny i powiedział pan albo pani...

– Pani doktor Garriga – poprawił go Bernat.

– No właśnie – zgodził się blondyn adorowany przez dwie dziewczyny. – No więc słyszałem, jak ktoś z państwa przed chwilą wspomniał, że jest pan muzykiem. Nie rozumiem, jak to jest, kiedy oprócz muzyki jeszcze się pisze. To znaczy, czy można uprawiać wiele rodzajów sztuki jednocześnie. Może pan jeszcze ukradkiem maluje albo rzeźbi.

Wielbicielki rozbawił dowcip adorowanego przez nie chłopaka, a Bernat odpowiedział, że wszystko wywodzi się z głębokiego poczucia braku satysfakcji, jakie ogarnia duszę człowieka. Wtedy jego spojrzenie napotkało wzrok Tekli i wyczułem lekkie, leciutkie wahanie w jego głosie; Bernat natychmiast się poprawił nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał; chodzi mi tylko o to, że dzieło sztuki rodzi się z braku satysfakcji. Z pełnym brzuchem człowiek nie staje przy warsztacie artystycznym, tylko idzie się przespać. Niektórzy przyjęli jego uwagę z uśmiechem.

Kiedy skończył się wieczór autorski, Adrian poszedł przywitać się z Bernatem i usłyszał widzisz?, sala była pełna. Tak, stary, gratuluję ci. Tekla ucałowała Adriana; widać było, że jest spokojniejsza, jakby jej kamień spadł z serca, i zanim podeszła do nich Garriga, powiedziała wiesz, nie spodziewałam się, że przyjdzie tylu ludzi. A Adrian nie miał odwagi zapytać dlaczego nie przyszedł mój przyjaciel Llorenç. Garriga dołączyła do ich grupy; chciała pozdrowić doktora Ardèvola, którego nie miała okazji poznać osobiście, a Bernat zaproponował chodźmy wszyscy na kolację.

– Wiesz, nie mogę. Bardzo mi przykro. Naprawdę. Idźcie to uczcić, naprawdę zasłużyliście.

Kiedy wychodził, sala była już pusta. W holu Laura udawała, że czyta zapowiedzi kolejnych imprez na tablicy ogłoszeń; odwróciła się, gdy tylko usłyszała kroki Adriana:

– Cześć.

– Cześć.

– Zapraszam cię na kolację – powiedziała poważnym tonem.

– Nie mogę.

– Proszę...

– Naprawdę nie mogę. Mam wizytę u lekarza.

Laura otworzyła usta zdziwiona, jakby jej ktoś wetknął do gardła słowa, które zamierzała powiedzieć. Znacząco spojrzała na zegarek, ale bez komentarza. Trochę obrażona odpowiedziała zgoda, dobrze, nie szkodzi, w porządku. I z wymuszonym uśmiechem dobrze się czujesz?

– Nie. A ty?

– Też nie. Chyba zostanę na stałe w Uppsali.

– No proszę. Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej...

– Nie wiem.

– Moglibyśmy o tym porozmawiać kiedy indziej? – Adrian wymownie wskazał nadgarstek z zegarkiem.

– Idź, idź już do lekarza.

Adrian złożył niewinny pocałunek na jej policzku i szybko wyszedł, nie oglądając się za siebie. Usłyszał jeszcze zrelaksowany śmiech Bernata i poczułem się świetnie, naprawdę, bo Bernat zasługiwał na wszystko, co najlepsze. Na zewnątrz zaczynało padać i Adrian w okularach zmoczonych deszczem bezskutecznie rozglądał się za wolną taksówką.

– Przepraszam, stary. – Wycierał mokre obuwie na wycieraczkę przed wejściem.

– Nie szkodzi. – Poprowadził go korytarzem w lewo, prosto do gabinetu. – Już myślałem, że zapomniałeś.

Z mieszkania po prawej stronie dochodziły codzienne odgłosy, szcęk naczyń i sztućców. Doktor Dalmau przepuścił go przed sobą i zamknął drzwi. Już chciał wziąć z wieszaka fartuch, ale zrezygnował. Usiedli po obu stronach biurka. Patrzyli na siebie w milczeniu. Za doktorem wisiała reprodukcja Modiglianiego, w jaskrawożółtej tonacji.

– Mów, co się dzieje?

Adrian podniósł rękę, żeby zwrócić uwagę rozmówcy.

– Słyszysz?

– Co?

– Telefon.

– Tak. Zaraz ktoś odbierze. To na pewno do mojej córki. Przez najbliższych parę godzin będziemy odcięci od świata.

– Aha.

Faktycznie, telefon w głębi mieszkania przestał dzwonić i jakiś damski głos powiedział słucham? Tak, to ja, a niby kto?

– Co jeszcze? – zapytał doktor Dalmau.

– Tylko to: telefon. Ciągłe słyszę jakiś telefon.

– Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

– Bez przerwy słyszę dzwonek telefonu, dzwonek, który wywołuje u mnie poczucie winy i wierci mi dziurę w brzuchu. W żaden sposób nie mogę się od niego uwolnić.

– Od kiedy?

– Od dobrych dwóch lat. Prawie trzech. Od czternastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego.

– Quatorze juillet.

– Oui. Od czternastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego, kiedy zadzwonił po raz pierwszy. Dzwonił na nocnej szafce, po stronie Laury, w wielkim bałaganie, wśród otwartych walizek. Spojrzeli na siebie w milczeniu, z poczuciem winy, jakby pytali siebie nawzajem, czy ktoś miał do nich zadzwonić. Laura się nie poruszyła; leżała z głową na piersi Adriana i oboje słuchali, jak telefon monotonicznie nalega, nalega, nalega. Adrian patrzył na włosy Laury, czekając, aż odbierze. Nic. Telefon nie dawał o sobie zapomnieć. Wreszcie, jakimś cudem, zapanowała cisza. Adrian się zrelaksował i uświadomił sobie, jaki był spięty, póki dzwonił telefon. Przejechał palcami po włosach Laury. Nagle zatrzymał rękę, bo telefon znów zaatakował.

– Cholera, co za natręci – powiedziała i przytuliła się mocniej do Adriana.

Znów dzwonił długo.

– Odbierz – poprosił.

– Nie ma mnie. Jestem z tobą.

– Odbierz.

Laura wstała niechętnie, podniosła słuchawkę i powiedziała słucham stłumionym głosem. Kilka sekund ciszy. Odwróciła się i wręczyła mu słuchawkę, starając się ukryć zdziwienie.

– To do ciebie.

Niemożliwe, pomyślał Adrian. Ale wziął słuchawkę. Z podziwem zauważył, że telefon nie miał kabla. Z całą pewnością pierwszy raz w życiu rozmawiał z telefonu bezprzewodowego. Zdziwił się, że na to właśnie zwrócił uwagę i że teraz sobie o tym przypomniał, w gabinecie doktora Dalmau, prawie trzy lata później.

– Słucham.

– Adrian?

– Tak.

– Tu Bernat.

– Jak mnie znalazłeś?

– To długa historia. Słuchaj...

Zrozumiałem, że to wahanie w głosie Bernata nie wróży nic dobrego.

– Mów...

– Sara.

Wtedy wszystko się skończyło, najdroższa. Wszystko.

Za krótko trwały tamte dni przy tobie, sprowadzające się do mycia, ubierania, wietrzenia, błagania o przebaczenie. Dni, które spędziłem, starając się uczynić znośniejszym ból, który sam sprowokowałem. Dni drogi krzyżowej; przede wszystkim twojej i, przepraszam, bez obrazy, ale również i mojej, spowodowały, że stałem się innym człowiekiem. Wcześniej miałem jakieś cele. Teraz straciłem rezon i całymi dniami siedzę przy tobie, a ty wyglądasz, jakbyś spokojnie odpoczywała. Co wtedy robiłaś w domu? Wróciłaś, żeby mnie uścisnąć czy żeby się ze mną kłócić? Wróciłaś do mnie czy tylko po swoje ubrania, z myślą o huitième arrondissement? Powinnaś pamiętać, że dzwoniłem do ciebie, ale Maks mi powiedział, że nie chcesz podejść do telefonu. Tak, tak, wybacz: wiem, Laura; przez to cała sytuacja jest dla mnie jeszcze bardziej przykra. Nie musiałaś wracać – nie powinnaś była odejść, nie powinniśmy byli kłócić się o te zasrane skrzypce. Przysięgam, że oddam je właścicielowi, kiedy się dowiem, kim jest. Zrobię to w twoim imieniu, najdroższa. Słyszysz? Gdzieś muszę mieć tę kartkę, na której zapisałaś to nazwisko.

– Niech pan idzie się przespać, panie Ardèvol – powiedziała pielęgniarka w plastikowych okularach; miała na imię Dora.

– Doktor kazał mi do niej mówić.

– Ale pan mówi bez przerwy przez cały dzień. Biedna Sara musi już mieć głowę jak bęben.

Sprawdziła surowicę, uregulowała kroplówkę i w milczeniu obserwowała monitor. Nie patrząc mu w oczy, zapytała:

– O czym pan jej opowiada?

– O wszystkim.

– Już od dwóch dni ciągle pan do niej mówi.

– Nigdy nie przeszkadzało pani milczenie, jakie zapada między dwojgiem kochających się osób?

Dora obrzuciła wzrokiem całość i patrząc mu w oczy, powiedziała proszę, tak będzie najlepiej dla wszystkich, niech pan pójdzie teraz się przespać i wróci jutro.

– Nie odpowiedziała pani na pytanie.

– Bo nie znam odpowiedzi.

Adrian spojrzał na Sarę:

– A jeśli się obudzi pod moją nieobecność?

– Proszę się nie martwić, zadzwonimy do pana. Na pewno stąd nie wyjdzie.

Nie odważył się powiedzieć a jeśli umrze, bo to było nie do pomyślenia, teraz, przed wrześniowym wernisażem wystawy rysunków Sary Voltes-Epstein.

W domu dalej prowadziłem z tobą rozmowę, przypominając sobie, co ci powiedziałem wcześniej. A parę lat później znów piszę do ciebie w pośpiechu, żebyś nie umarła całkiem, kiedy mnie już nie będzie. Wszystko jest kłamstwem, wiesz o tym. Ale też wszystko jest wielką, głęboką prawdą, której nikt nigdy nie będzie mógł zaprzeczyć. To ty i ja. To ja z tobą, światłem mojego życia.

– Dziś przyjechał Maks – powiedział Adrian. Sara nie odpowiedziała, jakby jej to było obojętne.

– Hej, Adrian.

Skupiony na obserwowaniu Sary, powoli odwrócił głowę w stronę drzwi. Maks Voltes-Epstein, z absurdalnym bukietem róż w dłoni.

– Cześć, Maks. – Patrząc na róże: – Nie trzeba...

– Uwielbia kwiaty.

Trzyście lat spędziłem razem i nie wiedziałem, że uwielbiasz kwiaty. Wstyd mi za samego siebie.

Przez trzynaście lat nie zauważyłem, że co tydzień zmieniałaś bukiet w wazonie przy wejściu. Goździki, gardenie, lilie, róże, cokolwiek. Teraz nagle pamięć przywołała ten obraz, niczym oskarżenie.

- Zostaw je tutaj, tak, dziękuję. – Wskazałem nieokreślony kierunek: – Zaraz poproszę o wazon.
- Mogę tu zostać na popołudnie. Już sobie wszystko zorganizowałem, żeby... Jeśli chcesz odpocząć...
- Nie mógłbym.
- Wyglądasz na... Źle wyglądasz. Powinieneś przespać się parę godzin.

Obaj mężczyźni przez dłuższą chwilę patrzyli na Sarę w milczeniu; każdy z nich przeżywał swoją własną historię. Maks myślał gdybym z nią pojechał, nie byłaby wtedy sama. Skąd mogłem wiedzieć, skąd mogłem wiedzieć. A Adrian myślał gdybym nie poszedł z Laurą do łóżka, byłbym w domu i robiłbym poprawki w tekście o Llullu, Vico i Berlinie; usłyszałbym dźwięk rzzrzzrzzrzz, ja bym otworzył, ty postawiłabyś torbę podróżną na ziemi i w czasie wylewu krwi do mózgu, tego piekielnego udaru, podniósłbym cię z ziemi, zaniósł do łóżka i zadzwoniłbym do doktora Dalmau, do Czerwonego Krzyża, na pogotowie, do Medicus Mundi, a oni by cię uratowali; to moja wina, że w krytycznym momencie nie byłem przy tobie; sąsiedzi mówią, że wyszłaś jeszcze na schody, bo torba już była w środku, i tam cię znaleźli, spadłaś trzy czy cztery stopnie, a pani doktor Real powiedziała, że najpierw się skupili na ratowaniu ci życia, a teraz będą sprawdzać, czy czegoś sobie nie zwichnęłaś, czy nie masz, biedactwo, złamanego żebra, ale przynajmniej ocalili ci życie, dlatego któregoś dnia obudzisz się i powiesz mam ochotę na kawę, jak wtedy, kiedy wróciłaś po raz pierwszy. Po pierwszej nocy przy tobie w szpitalu, jeszcze z zapachem Laury na ciele, wróciłem do domu i znalazłem w przedpokoju torbę podróżną; sprawdziłem, że wróciłaś ze wszystkim, co zabrałaś ze sobą. Od tego czasu wolę myśleć, że wróciłaś na dobre. Mogę ci przysiąc, że usłyszałem twój głos, jak mówisz mam ochotę na kawę. Przekonują mnie, że jak się obudzisz, nie będziesz nic pamiętać. Nawet o upadku ze schodów. Państwo Mundó, sąsiedzi z dołu, usłyszeli cię i wszczęli alarm, a ja tymczasem pieprzyłem się z Laurą i wsłuchiwałem się w dźwięk telefonu, którego nie chciałem odebrać. Adrian przebył w myślach tysiąc lat i wreszcie się ocknął.

- Powiedziała ci, że wraca do domu?

Chwila ciszy. Czy zastanawia się nad odpowiedzią, czy nie pamięta?

- Nie wiem. Nic mi nie powiedziała. Nagle chwyciła torbę i wyjechała.

- A co robiła przedtem?

- Rysowała. I spacerowała po ogrodzie, patrzyła na morze, patrzyła na morze, patrzyła na morze...

Maks zwykle tego nie robił, nie miał zwyczaju się powtarzać. Musiał być bardzo strapiiony.

- Patrzyła na morze.

- Tak.

- Po prostu chciałem wiedzieć, czy zdecydowała się wrócić, czy...

- Jakże to ma teraz znaczenie?

- Duże. Dla mnie, duże. Bo mam wrażenie, że tak, że wróciła.

Mea culpa.

Adrian spędził ciche popołudnie z zakłopotanym Maksem, który ciągle nie mógł zrozumieć, jak to się stało. Następnego dnia wróciłem z twoimi ulubionymi kwiatami.

- Co to ma być? – powitała mnie niezadowolona siostra Dora.

- Żółte gardenie. – Adrian zawahał się przez chwilę: – Te kwiaty lubi najbardziej.

- Tu się kręcą różni ludzie.

- To najlepsze kwiaty, jakie mogłem jej przynieść. Towarzyszyły jej przy pracy przez wiele lat.

Dora z uwagą patrzyła na obraz.

- Czyje to dzieło? – zapytała.

- Abraham Mignon. Siedemnasty wiek.

- Cenny obraz, prawda?

– Tak, niezwykle cenny. Dlatego go jej przyniosłem.

– Tu nie będzie bezpieczny. Proszę go odnieść do domu.

Nie przejmując się jej słowami, profesor Roig włożył bukiet żółtych gardenii do wazonu i wlał wodę z butelki.

– Ja się tym zajmę.

– Pańska żona musi zostać w szpitalu. W najlepszym układzie kilka miesięcy.

– Będę przychodził codziennie. Będę tu przez cały dzień.

– Pan ma swoje życie. Nie może pan tu spędzać całego dnia.

Nie mogłem tam spędzać całego dnia, ale spędziłem mnóstwo godzin i zrozumiałem, że milczące spojrzenie może ranić bardziej niż ostry nóż; co za koszmar, to spojrzenie Gertrudy. Karmiłem ją, a ona patrząc mi w oczy, posłusznie połykała zupę. Patrzyła mi w oczy i oskarżała mnie bez słów.

Najgorsza była niepewność; to straszne, kiedy nie wiesz, czy. Świdruje cię wzrokiem, a ty nie umiesz zinterpretować spojrzenia. Oskarża mnie? Chce mówić o swoim ogromnym cierpieniu i nie może się wysławić? Chce mi powiedzieć, jak bardzo mnie nienawidzi? A może raczej, że mnie kocha i prosi o ratunek? Biedna Gertruda jest w głębokiej studni, a ja nie potrafię jej stamtąd wyciągnąć.

Codziennie Aleksander Roig chodził ją odwiedzać i długo się w nią wpatrywał; pozwalał, żeby go raniła spojrzeniem, ocierał jej pot z czoła i nie miał odwagi się odezwać, żeby nie pogarszać sytuacji. Minęła wieczność, zanim zaczęła słyszeć krzyk Tiberium in Tiberim, Tiberium in Tiberim, ostatnie słowa, jakie przeczytała, zanim zapadła w ciemność. Zaczynała dostrzegać jakąś twarz, dwie albo trzy twarze, które coś do niej mówiły, wkładały łyżkę do ust, ocierały pot z czoła, a ona pytała co się dzieje, gdzie jestem, czemu nic mi nie mówicie, i wtedy zobaczyła samą siebie w oddali, bardzo daleko, nocą, i najpierw nic nie rozumiała albo nie chciała rozumieć, i dezorientowana znów uciekała do Swetoniusza i mówiła *morte eius ita laetatus est populus, ut ad primum nuntium discurrentes pars: „Tiberium in Tiberim!” clamitarent*. Mówiła głośno, ale cały Swetoniusz skrywał się w jej głowie i najwyraźniej nikt nie mógł jej usłyszeć. Może dlatego, że mówiła po łacinie i... Nie. Tak. Kolejne stulecia upłynęły, zanim zaczęła kojarzyć, do kogo należała twarz, którą ciągle miała nad sobą i która coś do niej mówiła, nie wiem co, nie słyszę. Aż któregoś dnia zrozumiała to, co zapamiętała z tamtej nocy, skojarzyła fakty i ogarnęło ją przerażenie. I z całych sił zaczęła krzyczeć ze strachu. Aleksander Roig nie wiedział, co było gorsze – znosić milczenie nie do wytrzymania czy wreszcie stawić czoło konsekwencjom swoich czynów. Nie był pewien, czy dobrze robi, ale pewnego dnia,

– Doktorze, dlaczego ona nie mówi?

– Ależ mówi.

– Przepraszam, ale moja żona nie mówi, od kiedy wyszła ze śpiączki.

– Pańska żona mówi, panie Roig. Już od kilku dni. Nikt panu o tym nie powiedział? Nic nie rozumiemy, bo mówi w jakimś dziwnym języku, a my nie... Ale mówi. Jeszcze jak.

– Po łacinie?

– Łacina? Nie. Chyba nie. No nie wiem, ja, jeśli chodzi o języki...

A więc Gertruda mówiła, a milczenie rezerwowała tylko dla niego. To go przerażyło jeszcze bardziej niż spojrzenie ostre jak brzytwa.

– Czemu się do mnie nie odzywasz, Gertrudo? – zapytał, zanim zaczął ją karmić tą pieprzoną kaszką manną, jakby już nic innego nie mieli w tym szpitalu.

Ale żona tylko się w niego wpatrywała, tak samo intensywnie jak zawsze.

– Słyszysz mnie? Słyszysz mnie teraz?

Powtórzył to po estońsku i, na cześć jej dziadka, również po włosku. Gertruda milczała i otwierała usta, żeby przełknąć codzienną porcję kaszki, zupełnie niezainteresowana konwersacją.

– O czym ty opowiadasz innym?

Jeszcze jedna łyżka zupy. Aleksander Roig miał wrażenie, że Gertruda powstrzymuje ironiczny

uśmiech, i ręce zaczęły mu się pocić. Dokończył karmienia w milczeniu, starając się unikać jej wzroku. Kiedy skończył, pochylił się nad nią bardzo nisko, tak, że prawie mógł wywachać jej myśli, ale nie po to, żeby ją pocałować. Na ucho wyszeptał jej co ty takiego im opowiadasz, Gertrudo, czego nie chcesz mi powiedzieć. I powtórzył to po estońsku.

Dwa tygodnie temu wyszła ze śpiączki, dwa tygodnie temu usłyszał panie profesorze Roig, tak jak się obawialiśmy, doznane urazy doprowadziły u pańskiej żony do tetraplegii. Obecnie nie mamy na to lekarstwa, ale jest nadzieja, że może za parę lat znajdzie się jakiś sposób, żeby złagodzić czy nawet wyleczyć tego typu uraz, a ja oniemiałem, bo wokół mnie działo się zbyt wiele zbyt poważnych spraw i jeszcze nie dotarł do mojej świadomości prawdziwy ogrom nieszczęścia. Całe moje życie przewróciło się do góry nogami. I ten niepokój, że nie wiem, co takiego mówiła Gertruda.

– Nie, nie, nie. Taka lekka regresja u pacjentki mieści się w normie; to normalne, że mówi w tym jakimś języku, jakim mówiła w dzieciństwie. Szwedzki?

– Tak.

– Przykro mi, ale tu, wśród personelu...

– Nie szkodzi.

– Dziwne tylko, że nie rozmawia z panem.

Suka. Biedactwo.

Profesor Aleksander Roig osiągnął swój cel w ciągu zaledwie dwóch tygodni – pozwolono mu wreszcie zabrać żonę do domu. W kwestiach technicznych zdał się na Dorę, dobrze zbudowaną pielęgniarkę z doświadczeniem w opiece paliatywnej, poleconą przez szpital, i ograniczył się do karmienia Gertrudy zupą, unikania jej spojrzenia i rozmyślania co ty wiesz i co myślisz o tym, co ja wiem, ale nie jestem pewien, czy ty wiesz, i lepiej, żeby nikt o tym nie usłyszał.

– Dziwne, że z panem nie rozmawia – powtarzała Dora.

Nie tylko dziwne, to było alarmujące.

– Z dnia na dzień staje się coraz bardziej rozmowna, panie Roig, jak tylko się do niej podchodzi, od razu zaczyna mówić po norwesku, wie pan, jak ktoś, kto... Powinien pan się schować, żeby się przekonać.

I tak właśnie zrobił, w porozumieniu z matroną w czepku pielęgniarki, która opiekę nad Gertrudą wzięła sobie do serca i powtarzała jej codziennie Gertrudo, dziś jesteś jeszcze piękniejsza, a kiedy Gertruda mówiła, brała ją za bezwładną rękę i pytała co mówisz, kochana, ja cię nie rozumiem, nie widzisz, że nie znam islandzkiego, prosta ze mnie kobieta. A profesor Aleksander Roig, który o tej porze powinien pracować w swoim gabinecie, odczekał ile było trzeba w pokoju obok, aż Gertruda zacznie mówić, i po południu, o sennej porze, kiedy pielęgniarka, z którą się umówił, przyszła dokonać rytuału zmiany pozycji, Gertruda powiedziała dokładnie to, czego się obawiałem, i zacząłem drzeć jak osika.

Uchowaj Boże, to nie było zamierzone, mimo że w najczarniejszej głębi jego duszy istniało już to niewyznane pragnienie. To wszystko przez senność, ponad dwugodzinną monotonię ciemnej szosy. Gertrudzie siedzącej na fotelu obok co chwilę opadała głowa, a ja prowadziłem i zastanawiałem się rozpaczliwie, jak jej powiedzieć, że chcę od niej odejść, że bardzo mi przykro, naprawdę jest mi przykro, ale już podjąłem decyzję, tak to już jest, czasem życie nas zaskakuje i wszystko mi jedno, co powie rodzina czy koledzy z pracy, czy sąsiedzi, bo każdy zasługuje na drugą szansę, a ja teraz mam swoją. Gertrudo, jestem zakochany po uszy.

A kiedy wyłonił się ten zakręt, bez znaków ostrzegawczych, wtedy on, niczego nie planując, bezwiednie podjął decyzję, a że wszystko było pogrążone w ciemności, przyszło mu to łatwiej; otworzył drzwi, odpiął pas i wyskoczył na asfalt, a samochód jechał dalej, bez hamulców, i ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, był krzyk co się dzieje, co się dzieje, Saaaaandreee... i jeszcze coś, czego nie zrozumiał,

a potem przepaść pochłonęła samochód, Gertrudę i krzyk przerażenia, i od tej pory już nic, spojrzenie ostre jak brzytwa, i koniec. A ja w domu, sam, kiedy Dora wyrzucała mnie ze szpitala, myślałem o tobie, zastanawiałem się, co zrobiłem nie tak, i szukałem rozpaczliwie kartki, na której zapisałaś nazwisko właściciela skrzypiec, wyobrażając sobie, że jadę do Gandawy albo do Brukseli z Viałem w futerał przybrudzonej krwią, że stoję na progu zamożnego domu, wciskam dzwonek, który najpierw odezwie się dostojnym „klink”, a potem eleganckim „klank”; otworzy mi służąca w nakrochmalonym czepku i powie słucham pana.

– Przychodzę oddać skrzypce.

– Ach tak, proszę wejść. Najwyższy czas, nie sądzi pan?

Nadęta służąca zamknie drzwi i zniknie w środku. Słysząc będzie jej przytłumiony głos, proszę pana, przyszedł ktoś oddać Viala. Natychmiast pojawi się siwowłosa mężczyzna o wyglądzie patriarchy, w szlafroku w czerwono-czarną kratę, ściskający z całej siły kij bejsbolowy, i powie to pan jest ten skurczybyk Ardefol?

– Phi.

– I przyniósł pan Viala?

– Proszę.

– Feliks Ardefol, prawda? – mówi, unosząc kij nad głowę.

– Nie. Feliks to mój ojciec. Ja jestem ten skurczybyk Adrian Ardefol.

– A można spytać, czemu dopiero teraz? – Kij ciągle groźnie wisi nad moją głową.

– Proszę pana, to za długa historia, żeby ją... teraz jestem zmęczony, a moja ukochana jest w szpitalu, pogrążona we śnie.

Siwowłosa mężczyzna o wyglądzie patriarchy rzucił kij na ziemię, skąd go podniosła służąca; następnie wyrwał mi futerał, przykucnął i otworzył klamry, po czym wyciągnął storioniego. Wspaniały. W tym momencie pożałowałem swojego czynu, bo patriarchalny mężczyzna z siwymi włosami nie był godny tych skrzypiec. Budziłem się zły potem, wracałem do szpitala i mówiłem ci robię co mogę, ale nie wiem, gdzie się podziała tamta kartka. Nie, nie oczekuj, że zapytam o to pana Berenguera, bo nie mam do niego zaufania; tylko by wszystko zbrukał. Na czym skończyliśmy?

Aleksander Roig trzymał łyżkę z zupą. Przez kilka sekund, zanim Gertruda otworzyła usta, patrzyła mu oczy. No już, otwórz buzię, powiedziałem, nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia. Wreszcie otworzyła, chwiała Bogu, i mogłem nakarmić ją ciepłym rosołem z makaronem. Przyszło mi do głowy, że z pewnością lepiej będzie udawać, że nie słyszałem tego, co mówiła Dorze, przekonana, że nie ma mnie w domu, i powiedziałem Gertrudo, kocham cię, dlaczego ze mną nie rozmawiasz, co się z tobą dzieje, przecież wiem, że mówisz, kiedy mnie nie ma, dlaczego, jakbyś miała mi coś do zarzucenia. A Gertruda w odpowiedzi otworzyła usta. Profesor Roig dał jej jeszcze parę łyżek rosołu i spojrzął jej w oczy.

– Gertrudo. Powiedz mi, o co chodzi. Powiedz, o czym myślisz.

Po paru dniach Aleksander Roig był już pewny, że nie żał mu tej kobiety, raczej się jej bał. Przykro mi, że ci nie współczuję, ale tak w życiu bywa. Jestem zakochany, Gertrudo, mam prawo urządzić sobie życie na nowo i nie chcę, żebyś mi w tym przeszkodziła, ani biorąc mnie na litość, ani grożąc mi. Zawsze byłaś energiczną kobietą, zawsze chciałaś narzucić swoje zdanie, a teraz możesz tylko otworzyć usta i przełknąć zupę. I milczeć. I mówić po estońsku. Jak teraz będziesz czytać tych swoich Marcjalisów i Liwiuszy? Ten kretyn doktor Dalmau mówi, że regresja czasami się zdarza. Aż któregoś dnia Aleksander Roig, zaniepokojony, uznał, że musi mieć się na baczności – to nie regresja, to skurwysyństwo. Robi to, żeby się nade mną znęcać... Żeby się znęcać! Ale nie pozwolę jej stanąć mi na drodze. Ona nie chce, żebym się domyślił, co tam knuje w tej swojej głowie. Nie wiem, jak uprzedzić jej ruch. Nie wiem, jak. Znalazłem idealne rozwiązanie, ale ona się wykręciła. Rozwiązanie idealne, ale

bardzo ryzykowne, bo sam nie wiem, jak mi się udało wyskoczyć z samochodu.

– Nie zapiął pan pasów?

– Tak. Przypuszczam, że tak. Zresztą nie wiem.

– Nie widać, żeby pan się z nimi mocował, nie zostały zerwane.

– Może i tak. Nie wiem: ja wtedy byłem... Samochód tak gwałtownie podskoczył, że drzwi się otworzyły i wyskoczyłem na zewnątrz.

– Żeby się uratować?

– Nie, nie. Wyrzucił mnie impet samochodu. Kiedy się znalazłem na ziemi, zobaczyłem, jak samochód spada, później już nic nie widziałem i tylko dochodził jej krzyk Saaaaandreee.

– Skarpa miała trzy metry wysokości.

– To było tak, jakby samochód wtopił się w pejzaż. I chyba zemdlałem.

– Mówiła do pana Sandre?

– Tak. Dlaczego?

– Tylko pan przypuszcza, że zemdlał?

– Nie... Nie wiem, wszystko mi się miesza. A co z nią?

– Żle.

– Przeżyje?

Wtedy usłyszał od komisarza to, czego najbardziej się obawiał; powiedział nie wiem, czy jest pan wierzący, ale stał się prawdziwy cud; Bóg wysłuchał pańskich modlitw.

– Nie jestem wierzący.

– Pańska żona nie umrze. Ale...

– O mój Boże.

– Tak.

– Panie Ardèvol, proszę wyjaśnić, czego pan właściwie oczekuje.

Potrzebowałem chwili na uporządkowanie chaotycznych myśli. Spokój panujący w pracowni Paua Ullastresa pomógł mi się opanować. Wreszcie powiedziałem te skrzypce zostały zrabowane podczas drugiej wojny światowej. Przez pewnego nazistę. Wydaje się, że zostały zarekwirowane w Auschwitz.

– No, no.

– Tak. I z powodów, które nie mają w tej chwili znaczenia, od lat są w posiadaniu mojej rodziny.

– I chce pan je oddać – zaryzykował lutnik.

– Nie! Może i tak, sam nie wiem. Ale chciałbym się upewnić, komu zostały zarekwirowane. Kim był poprzedni właściciel. Wtedy porozmawiamy.

– Jeżeli poprzedni właściciel trafił do Auschwitz...

– Zgoda. Ale musiał mieć jakichś krewnych, prawda?

Pau Ullastres wziął skrzypce do rąk i zaczął grać fragmenty partity Bacha, nie pamiętam, której. Trzeciej? A ja czułem się brudny, bo już zbyt długo byłem sam; kiedy w końcu do ciebie dotarłem, wziąłem cię za rękę i powiedziałem wszcząłem kroki, żeby je zwrócić, Saro, ale na razie nic z tego nie wychodzi. Chcę je zwrócić prawdziwemu właścicielowi, a nie jakiemuś oszustowi. A lutnik szczerze mi doradzał panie Ardèvol, niech pan będzie ostrożny, tylko bez pośpiechu. Jest wielu drani, którzy polują na takie historie jak pańska. Rozumiesz, Saro?

– Gertrudo.

Kobieta nadal patrzyła w sufit; nawet nie spojrzała w jego stronę. Aleksander poczekał, aż Dora zamknie za sobą drzwi i zostawi ich samych, zanim zaczął mówić:

– To była moja wina – powiedział łagodnym tonem. – Wybacz mi... Chyba wtedy zasnąłem... To była moja wina.

Spojrzała na niego, jakby wracała z daleka. Otworzyła usta; wydawało się, że chce coś powiedzieć. Jednak po kilku nieskończonych długich sekundach przełknęła tylko ślinę i odwróciła wzrok.

– Nie zrobiłem tego umyślnie, Gertrudo. To był wypadek...

Spojrzała na niego i teraz to on przełknął ślinę; ta kobieta wie wszystko. Nigdy żadne spojrzenie nie zraniło go tak głęboko. Mój Boże. Gotowa jest opowiadać Bóg wie co pierwszej lepszej osobie, bo teraz już wie, że ja wiem, że ona wie. Obawiam się, że nie mam wyboru. Nie chcę, żeby stanęła na przeszkodzie szczęściu, na jakie zasługuję.

„Mój mąż chce mnie zabić. Tu nikt mnie nie rozumie. Proszę zawiadomić mojego brata, Osvalda Sikemäe; jest nauczycielem w Kundzie, niech mnie obroni. Bardzo proszę, boję się”.

– Nie...

– Tak.

– Powtórz – kazała Dora.

Agata rzuciła okiem na notatki. Odczekała, aż kelner się oddali, i powtórzyła mój mąż chce mnie zabić. Tu nikt mnie nie rozumie. Proszę zawiadomić mojego brata, Osvalda Sikemäe; jest nauczycielem w Kundzie, niech mnie obroni. Bardzo proszę, boję się. I jeszcze dodała jestem sama na świecie, sama na świecie. Niech ktoś, kto mnie rozumie, przemówi, tak, żebym i ja mogła zrozumieć.

– A ty co jej powiedziałaś? To była jej pierwsza rozmowa, od kiedy się nią zajmuję. Do tej pory mówiła do ściany, biedna kobieta. Co jej powiedziałaś?

– Proszę pani... to tylko nerwy...

– Mój mąż wie, że ja wiem, że chce mnie zabić. Bardzo się boję. Chcę wrócić do szpitala. Tutaj, sam na sam z nim... boję się wszystkiego... Nie wierzy mi pani?

– Oczywiście, że wierzę. Ale...

– Pani mi nie wierzy. On mnie zabije.

– Jaki miałby powód, żeby panią zabić?

– Nie wiem. Dotychczas między nami wszystko dobrze się układało. Nie wiem. Ten wypadek... – Agata przewróciła kartkę w notesie i próbowała odszyfrować swoje niewyraźne, pospieszne notatki... – Miałam wrażenie, że ten wypadek... Jak to możliwe, że on nie... – Podniosła głowę, poddając się: – Biedna kobieta, bredziła bez sensu.

– A ty jej wierzysz? – zapytała Dora, spocona z wrażenia.

– Skąd mam wiedzieć!

Spojrzały na trzecią kobietę, która dotąd się nie odzywała. Zinterpretowała to jako pytanie i po raz pierwszy zabrała głos.

– A ja jej wierzę. Gdzie jest Kunda?

– Na północnym wybrzeżu. W Zatoce Fińskiej.

– A ty skąd znasz estoński i tyle wiesz...? – Dora nie mogła wyjść z podziwu.

– Tak się złożyło...

Chciałam powiedzieć, że to przez Aadu Müür, tak, takiego przystojnego chłopaka, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ładnie się uśmiechał i w ogóle. Poznałam go osiem lat temu i zakochałam się jak pierwsza naiwna; zakochałam się w zegarmistrzu Aadu Müürze i pojechałam za nim do Tallinna, a pojechałabym i na koniec świata, tam, gdzie kończą się góry i zaczyna się straszne urwisko, i jak się zagapisz i poślizgniesz, spadasz od razu do piekła za karę, że kiedyś uwierzyłaś przez moment, że ziemia jest okrągła. Aż tam bym się wybrała, gdyby tylko Aadu tego ode mnie zażądał. W Tallinnie najpierw pracowałam w zakładzie fryzjerskim, a potem sprzedawałam lody w lokalu, w którym pozwalano nocą pić alkohol, i w końcu mówiłam po estońsku tak dobrze, że ludzie podejrzewali, że pochodzę z prowincji, na przykład z wyspy Saaremaa czy coś w tym rodzaju, a jak im tłumaczyłam, że to akcent kataloński, nie mogli uwierzyć. Mówią, że Estończycy są zimni jak lód, ale to nieprawda, bo jak im

wódka rozgrzeje ciało, robią się sympatyczni i gadatliwi. Aadu zniknął pewnego pechowego dnia i nie usłyszałam o nim nigdy więcej; no dobrze, usłyszałam, ale wolę tego nie wspominać, i wróciłam, bo nie miałam tam nic do roboty, na tym mrozie, bez zegarmistrza Aadu, poza sprzedawaniem lodów pijanym Estończykom. Jeszcze się nie pozbierałam po tym wstrząsie, a tu dzwoni Helena i pyta nie wiem, czy dobrze trafiłam, ty znasz estoński, prawda? I dalej, że ma przyjaciółkę, pielęgniarkę, nazywa się Dora, która ma problem... Jest przestraszona że... to może być coś poważnego... A ja teraz zrobiłabym wszystko, żeby tylko nie myśleć o Aadu, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, o jego niestałym, łagodnym charakterze, który pewnego pięknego dnia pokazał się z innej strony, powiedziałam tak, jeszcze dobrze pamiętam estoński; gdzie mamy pójść i co mam robić?

– Nie, nie... Chciałam powiedzieć... Skąd ty tyle wiesz? Bo mnie ciężko było ustalić, że mówiła po estońsku. Wiesz, ten język z niczym mi się nie kojarzył. Aż wreszcie powiedziała coś takiego, że zaczęłam pytać norweski? Szwedzki? Duński? Fiński? Islandzki? Wreszcie wymieniłam estoński i miałam wrażenie, że dostrzegam błysk w jej oczach. Tak, tylko dlatego. W ten sposób zgadłam.

– Problem w tym, że nie wiemy, czy to mąż jest seryjnym mordercą, czy żona jest obłąkana. Jest niebezpieczeństwo czy go nie ma, wiecie, co mam na myśli?

– Wydaje mi się, że nigdy nie widziałam tak przestraszonej kobiety – Helena odezwała się po raz drugi. Od tej chwili lepiej mieć się na baczności.

– Musimy zdobyć więcej informacji.

– Chcecie, żebyśmy znów z nią porozmawiała?

– Tak.

– A jeżeli on wejdzie... Co wtedy?

Aleksander Roig po krótkiej, ale namiętnej wizycie u swojej nowej kochanki dojrzał do podjęcia ostatecznej decyzji. Przykro mi, Gertrudo, ale ty sama nie dajesz mi wyboru – miej pretensje do siebie. Teraz moja kolej używać życia. Wychodził zamyślony z metra i powtarzał sobie to będzie ostatnia noc.

Tymczasem Gertruda mówiła i mówiła po estońsku, a Agata, przebrana za pielęgniarkę, mimo że mdlała na widok krwi, z duszą na ramieniu tłumaczyła wszystko Dorze; mówiła patrzyłam na niego w ciemności, widziałam jego profil. Tak, od wielu dni zachowywał się dziwnie, bardzo dziwnie, zastanawiałam się, co mu jest, i on zrobił tak, ścisnął drążki i biedna Gertruda chciała pokazać ręką, w jaki sposób, ale przypomniała sobie, że może poruszać tylko myślą, i wtedy powiedziała w tym momencie widziałam jego duszę jak na dłoni, że mnie nienawidzi tylko za to, że jestem. Stwierdził skończyło się, do diabła z tym wszystkim; tak, właśnie tak; skończyło się, do diabła z tym wszystkim.

– Powiedział to po estońsku?

– Co?

– Czy mówił po estońsku?

– Nie wiem... Wtedy zobaczyłam, że majstruje coś przy pasach, i samochód wyleciał w powietrze, a ja krzyknęłam Saaaaandreee, ty skuuuurwysyyyynu... I nic więcej, nic więcej... A kiedy się obudziłam, on był przy mnie i powtarzał to nie moja wina, Gertrudo, to był wypadek.

– Pani mąż nie mówi po estońsku.

– Nie. Ale rozumie. Nie, chyba jednak mówi.

– A pani nie mogłaby mówić po katalońsku?

– A niby w jakim języku teraz mówię?

Wtedy usłyszały szcęk zamka i wszystkie trzy kobiety zamarły ze strachu.

– Włóż jej termometr. Nie, masuj jej nogi!

– Jak to się robi?

– Kurwa, po prostu masuj. Ten facet nie powinien tu teraz być.

– O, mamy gości? – zapytał, starając się nie okazywać zdziwienia.

– Dobry wieczór, panie Roig.

Objął je obie wzrokiem. Wszystkie trzy. Krótkie, nieufne spojrzenie. Otworzył usta. Popatrzył, jak nieznajoma pielęgniarzka ugniata prawą nogę Gertrudy jak ktoś, kto się bawi plasteliną.

– To... Przyszła mi pomóc.

– Jak się czuje? – zapytał o Gertrudę.

– Jak zwykle. Bez zmian. – Wskazując Agatę: – To moja koleżanka, która...

Profesor Roig wszedł do pokoju, spojrzał na Gertrudę, pocałował ją w czoło, uszczypnął w policzek i powiedział kochanie, zaraz wracam, zapomniałem kupić ciasteczka. I wyszedł, nie odzywając się do pozostałych kobiet. Kiedy zostały same, obie wymieniły spojrzenia. Wszystkie trzy.

Saro, dziś w nocy znalazłem twój karteluszek z nazwiskiem. To Matthias Alpaerts. Mieszka w Antwerpii. Ale wiesz, w czym rzecz? Nie mam za grosz zaufania do twojego źródła informacji. To źródło zatrute resentymentem pana Berenguera i Tita. Pan Berenguer jest złodziejem, który pragnie się zemścić na moim ojcu, na matce i na mnie. Wykorzystał cię do swoich porachunków. Daj mi trochę czasu, żebym mógł to przemyśleć. Musiałbym wiedzieć... Sam nie wiem; Saro, przysięgam, że robię, co mogę.

Wiem, że chcesz mnie zabić, Sandre, chociaż mówisz do mnie kochanie i kupujesz mi ciasteczka. Wiem, co zrobiłeś; zobaczyłam to wszystko we śnie. Powiedziano mi, że byłam pięć dni w śpiączce. Dla mnie te pięć dni sprowadzały się do czystej, nieskończonej powolnej wizji wypadku: przyglądałam ci się w ciemności, bo już od wielu dni byłeś bardzo dziwny, jakby nieobecny, nerwowy, ciągle zamyślony. Pomyślałam wbił sobie do głowy jakąś kobietę – wizja innej kobiety to pierwsza rzecz, jaka przychodzi żonie do głowy, kiedy mąż tak się zachowuje. Tak, to było pierwsze ostrzeżenie, ale nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nie wyobrażałam sobie, że możesz zrobić skok w bok. I już pierwszego dnia wołałam na cały głos ratunku, wydaje mi się, że mąż chce mnie zabić, ratunku, wydaje mi się, że chce mnie zabić, bo w samochodzie miał dziwną minę i odpiął pasy, i stwierdził skończyło się, a ja krzyknęłam Saaaaandreee, ty skuuurwysyyyynu, a potem wolno płynący sen, w którym wszystko się powtarzało, i tak minęło pięć dni. Sama nie wiem, co mówię. Tak, kiedy po raz pierwszy odważyłam się powiedzieć na głos wydaje mi się, że chcesz mnie zabić, nikt nie zareagował, chyba mi nie uwierzyli. Ale patrzyli na mnie i ta Dora powtarzała w kółko co ty mówisz, ja ciebie nie rozumiem; tak, było jasne, ja mówiłam wydaje mi się, że mój mąż chce mnie zabić, już się nie wstydziłam, przerażona, że nikt mi nie wierzy i nie zwraca na mnie uwagi. Naprawdę czuję się, jakbym została pochowana za życia. To straszne, Sandre. Patrzę ci w oczy, a ty spuszczasz wzrok: co ty kombinujesz? Dlaczego mi nie mówisz tego, co mówisz innym, a przede mną to ukrywasz? Czego chcesz? Żeby mi powiedziała w twarz wydaje mi się, że chciałeś mnie zabić, wydaje mi się, że chcesz mnie zabić? Żeby mi powiedziała, wytrzymując twój wzrok sędzę, że chcesz mnie zabić, bo przeszkadzam ci w życiu i prościej jest usunąć mnie, tak jak się gasi świecę, niż się tłumaczyć? Na tym etapie, Sandre, tłumaczenia... chyba już nie są potrzebne, ale nie gaś płomienia świecy: nie chcę umierać. Jestem spokojna, żywcem pochowana w tej skorupie, i został mi tylko słaby płomień. Nie odbieraj mi go. Odejdź, poproś o rozwód, ale nie gaś płomienia.

Agata wyszła z domu, kiedy na schodach słychać było pierwsze odgłosy przygotowań do kolacji. Ciągle drżały jej nogi. Na ulicy przywitał ją smród spalin przejeżdżającego autobusu. Poszła prosto do metra. Spojrzała mordercy w oczy i nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. Pod warunkiem, że pan Roig był mordercą. Jeśli nim był. Kiedy już była na schodach, zabójca we własnej osobie, z oczami jak sztylety, stanął obok niej i powiedział proszę pani, proszę się zatrzymać. Zatrzymała się, zdrętwiała ze strachu. Uśmiechnął się do niej nieśmiało, poprawił ręką włosy i powiedział:

– Jak pani ocenia stan mojej żony?

– Źle. – Co mu miała powiedzieć?

– Czy to pewne, że nie ma nadziei, że z tego wyjdzie?

- Niestety... No, ja...
- Ale stwardnienie guzowate może ustąpić, jak słyszałem?
- Tak, oczywiście.
- Czyli pani też sądzi, że może ustąpić.
- Tak, proszę pana. Ale ja...
- Taka z pani pielęgniarka jak ze mnie rzymski kardynał.
- Słucham?
- Co pani robiła w moim domu?
- Przepraszam, spieszę się.

Jak się postępuje w takiej sytuacji? Co powinien zrobić morderca, kiedy zauważy, że ktoś wsadza nos w nie swoje sprawy? Kiedy ofiara nie jest pewna, czy to on jest mordercą? Oboje zastanawiali się nad tym przez parę sekund, jakby byli skończonymi łajdakami, aż Agata powiedziała do widzenia i szybko zbiegła w dół, a profesor Roig został w połowie schodów, nie wiedząc, co dalej. Agata wbiegła na peron. Dokładnie w tym momencie wjechał pociąg. Kiedy już była w środku, odwróciła się w stronę drzwi i spojrzała za siebie: nie, ten wariat jej nie śledził. Ale odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy zamknęły się drzwi wagonu.

W nocy, w ciemności, żeby nie napotkać jej wzroku. W nocy, kiedy Gertruda udawała, że śpi, zobaczyła cień Sandre, tego tchórza, i poczuła zapach poduszki, którą kiedyś, kiedy jeszcze żyła, podkładała sobie pod głowę na sofie, żeby wygodnie oglądać telewizję. Zdążyła tylko pomyśleć, że Sandre wybrał poduszkę, tak jak Tyberiusz, kiedy chciał zabić Augusta. Niewielki to wysiłek, bo ja już jestem w połowie martwa, ale dowiedz się, że jesteś nie tylko skurwysynem, ale i tchórzem. Nie potrafiłeś spojrzeć mi w oczy i powiedzieć żegnaj. Gertruda nie pomyślała już nic więcej, bo spazm spowodowany brakiem powietrza był silniejszy niż całe życie i w jednej chwili stał się śmiercią.

Dora położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała panie Ardèvol, niech pan idzie odpocząć. To rozkaz.

Adrian obudził się i rozejrzył wokół zdziwiony. Światło w pokoju było łagodne, a gardenie Mignona roztaczały magiczną jasność. Sara spała, spała i spała. Dora i jeszcze jakaś nieznajoma pielęgniarka dosłownie wykopały go ze szpitala. Z pastylką, którą Dora włożyła mu do ręki, żeby łatwiej było mu zasnąć, niechętnie wyszedł na ulicę, wszedł do metra na stacji Hospital Clínic w tym samym czasie, gdy profesor Roig na stacji Verdaguer rozmawiał z jakąś dziewczyną, która mogłaby być jego studentką, tak, na pewno była jego studentką, a najlepszy z detektywów, Elm Gonzaga, zatrudniony przez trzy odważne kobiety, śledził ich dyskretnie, uwieczniwszy uprzednio pocałunek tej pary takim aparatem, jaki miała Laura, cyfrowym czy jak tam go zwać, i wszyscy troje czekali na peronie, aż wjedzie pociąg. Szczęśliwa para śledzona przez detektywa weszła do wagonu, a na stacji Sagrada Família dosiedli się brat Mikołaj Eymeric i Aribert Voigt, rozprawiając z ożywieniem o wielkich ideach, które zaprzętały ich umysły. W kącie siedział doktor Müss, czy raczej doktor Budden, który wyglądał co jakiś czas przez okno wychodzące na ciemności tunelu, odrywając wzrok od książki Kempisa. Po przeciwnej stronie wagonu, w habicie Świętego Benedykta, drzemał brat Julian z Sant Pere del Burgal. Stojąc obok niego, Jachiam Mureda z Pardàcu patrzył z przerażeniem w oczach na ten nowy świat, który miał przed sobą, i na pewno myślał o całej rodzinie Muredów i o nieszczęsnej ślepej Bettinie. Tuż obok niego stał przestraszony Lorenzo Storioni, który nie wiedział, co się dzieje, i kurczowo trzymał się drążka na środku wagonu, żeby nie upaść. Pociąg zatrzymał się na stacji Hospital de Sant Pau, gdzie część pasażerów wysiadła. Tam wszedł Guillaume-François Vial w peruce przeżartej przez mole i wdał się w rozmowę z Drago Gradnikiem. Drago był bardziej korpulentny, niż to sobie wyobrazałem, i musiał schylić głowę, żeby wejść do wagonu. Uśmiechał się tak poważnie jak wujek Chaim, chociaż na portrecie, jaki mu zrobiła Sara, tego uśmiechu wcale nie widać. Wagon znów ruszył. Wtedy uświadomiłem sobie, że Matthias

z niezłomną Bertą, z Truu z włosami w kolorze leśnych drzew, z Amelią z włosami jak gagat i z Juliet, najmłodszą, tą w kolorze słońca, oraz dzielna Netje de Boeck, zakatarzona teściowa, rozmawiali na końcu wagonu z Bernatem. Z Bernatem? Tak. I ze mną, bo ja też z nimi jechałem. Opowiadali nam o ostatniej podróży, którą odbyli razem, w zapieczętowanym wagonie, a Amelietje pokazywała siniak na karku, ślad uderzenia kolbą karabinu, o tu, widzisz, widzisz?, a Rudolf Höss, który siedział sam, patrzył na peron i nie miał ochoty oglądać guza na jej karku. Wargi dziewczynki już przybrały ciemny odcień śmierci, ale jej rodzice tego nie zauważyli. Wszyscy byli dziarscy i młodzi, poza Matthiasem, on był stary, miał zażawione oczy i reagował z opóźnieniem. Wydawało mi się, że patrzyli na niego nieufnie, jakby im trudno było zaakceptować czy przebaczyć jego starość. Widać to było wyraźnie w spojrzeniu niezłomnej Berty, która czasami spoglądała jak Gertruda, a może nie, może jednak trochę inaczej. Dojechaliśmy do stacji Camp de l'Arpa, gdzie wsiadł Feliks Morlin, który rozmawiał z ozywieniem z moim ojcem. Nie widziałem ojca od tylu lat, że z trudem rozpoznałem jego rysy, ale wiem: to był on. Za nimi stał szeryf Carson w towarzystwie wiernego druha, Czarnego Orła. Obaj milczeli i starali się nie patrzeć w moją stronę. Zauważyłem, że Carson próbował splunąć na podłogę, ale dzielny Czarny Orzeł powstrzymał go stanowczym gestem. Pociąg stał, nie wiem z jakiego powodu, i wszystkie drzwi były otwarte. Zdążyli jeszcze wsiąść bez pośpiechu pan Berenguer i Tito – wydaje mi się, że trzymali się pod ręce – i Lothar Grübbe, który zastanawiał się, czy wejść do środka; matka i Mała Lola, które szły za nim, pomogły mu podjąć decyzję. Kiedy drzwi już się zamykały, siłą otworzył je Alí Bahr, który dobiegł w ostatniej chwili, sam, bez zhańbionej Amani. Drzwi się zamknęły, pociąg ruszył w kierunku Sagrery i po trzydziestu sekundach od wjazdu do tunelu Alí Bahr stanął na środku i zaczął krzyczeć jak opętany zabierz stąd, Panie miłosierny, całe to ścierwo! Rozchylił dzellabę, krzyknął Allah Akbar! i pociągnął za sznurek, który mu wystawał spod ubrania, a wtedy wszystko stało się białe i świetliste i nikt z nas nie mógł zobaczyć ogromnej kuli, która

Ktoś nim potrząsał. Otworzył oczy. Zobaczył nad sobą Caterinę.

– Panie Adrianie! Słyszysz mnie pan?

Potrzebował dłuższej chwili, żeby wrócić z odległych rejonów snu i zorientować się, gdzie jest. Kobieta nalegała:

– Adrianie, czy pan mnie słyszysz?

– Tak, co się dzieje?

Zamiast powiedzieć mu właśnie dzwonił ze szpitala czy ma pan telefon ze szpitala, czy po prostu ma pan telefon, zdaje się, że pilny, a nawet lepiej, zamiast powiedzieć telefon do pana i zająć się prasowaniem, co byłoby logiczne, Caterina, która zawsze chciała zasiadać w pierwszym rzędzie, powtórzyła Adrianie, słyszysz mnie pan, a ja na to tak, co się dzieje, a ona Saha się obudziła.

Wtedy ocknąłem się na dobre i zamiast pomyśleć obudziła się, obudziła, myślałem a mnie przy tym nie było. Adrian wstał z łóżka, nie zdając sobie sprawy, że jest nagi, a Caterina szybko obrzuciła krytycznym spojrzeniem jego wystający brzuch, ale powstrzymała się od komentarza.

– Gdzie mam iść? – zapytałem nieprzytomnie.

– Do telefonu.

Adrian odebrał telefon w gabinecie. Doktor Real pofatygowała się osobiście, żeby mu powiedzieć otworzyła oczy i zaczyna mówić.

– W jakim języku?

– Słucham?

– Czy da się ją zrozumieć? – I nie czekając na odpowiedź: – Zaraz tam będę.

– Musimy porozmawiać, zanim ją pan zobaczy.

– Bardzo dobrze. Zaraz tam będę.

Gdyby nie Caterina, która stanęła w drzwiach murem, pobiegłbym do szpitala nago, bo wypełniała

mnie radość i nie zwracałem uwagi na nieistotne okoliczności. Adrian płakał pod prysznicem, płakał i śmiał się przy ubieraniu, a do szpitala wyruszył uśmiechnięty. Zamykając mieszkanie, kiedy już skończyła prasować, Caterina stwierdziła ten człowiek płacze, kiedy trzeba płakać, i śmieje się, kiedy należałoby płakać.

Szczupła lekarka z nieco pomarszczoną twarzą zaprosiła go do swojego gabinetu.

– Najpierw chciałbym jej powiedzieć cześć.

– Chwileczkę, panie Ardèvol.

Poprosiła, żeby usiadł. Ona zajęła miejsce po przeciwnej stronie biurka i patrzyła na niego w milczeniu.

– Co się dzieje? – przestraszył się Adrian. – Przecież dobrze się czuje, prawda?

Wtedy lekarka powiedziała mu to, czego tak się obawiał; powiedziała nie wiem, czy jest pan wierzący, czy nie, ale tu zdarzył się cud: Bóg wysłuchał pańskich modlitw.

– Nie jestem wierzący – powiedziałem. – I nie modlę się – skłamałem.

– Pańska żona nie umrze. Ale jej urazy...

– O mój Boże.

– No właśnie.

– Przede wszystkim musimy sprawdzić, jakie konsekwencje spowodował wylew.

– Tak.

– Ale to nie koniec problemów.

– Jakich problemów.

– Parę dni temu zauważyliśmy objawy porażenia wiotkiego, rozumie pan?

– Nie.

– Owszem. Po tomografii komputerowej neurolog stwierdził uszkodzenie szóstego kręgu szyjnego.

– Co to wszystko znaczy?

Doktor Real pochyliła się w jego stronę i zmieniając ton głosu, powiedziała:

– To, że Sara ma poważny uraz rdzenia kręgowego.

– Chce pani powiedzieć, że jest sparaliżowana?

– Tak. – Po krótkim milczeniu, dodała cicho: – To tetraplegia.

Przedrostek tetra-, oznaczający cztery, i sufiks -plegia, od słowa *plēgē*, czyli uderzenie, również nieszczęście, opisały sytuację Sary. Moja Sara jest nieszczęśliwa do potęgi czwartej. Jak byśmy sobie poradzili bez greki? Nie moglibyśmy ogarnąć ani nazwać wielkich tragedii ludzkości.

Nie mogłem zerwać z Bogiem, bo w niego nie wierzyłem. Nie mogłem rzucić się na doktor Real, bo to nie jej wina. Mogłem tylko wołać do niebios, że mnie tam nie było i nie dane mi było rzucić się jej na ratunek; gdybym był, nie wyszłaby ponownie na schody, upadłaby tylko na podłogę, zraniła się w głowę i tyle. A ja w tym czasie pieprzyłem się z Laurą.

Pozwolono mu zobaczyć Sarę. Była jeszcze oszołomiona lekarstwami i z trudem otwierała oczy. Miał wrażenie, że się do niego uśmiechnęła. Powiedział jej, jak bardzo, bardzo, bardzo ją kocha, a ona otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Minęło kolejnych parę dni. Gardenie Mignona wiernie dotrzymywały jej towarzystwa, podczas gdy powoli ją wybudzano. Aż któregoś piątku psycholog i neurolog w towarzystwie doktor Real zamknęli się na dobrą godzinę w pokoju Sary, postawili w drzwiach Dorę w charakterze cerbera i absolutnie wykluczyli jego obecność. Mogłem tylko płakać w czymś w rodzaju poczekalni, a kiedy już wyszli, musiałem odczekać, zanim pozwolono mi ją pocałować, aż wyschną łzy na twarzy. A kiedy mnie zobaczyła, nie powiedziała miałabym ochotę na kawę, tylko Adrianie, ja chcę umrzeć. A ja poczułem się głupio z bukietem białych róż w dłoni i uśmiech zamarł mi na ustach.

– Saro, najdroższa – powiedziałem wreszcie.

Patrzyła na mnie poważnie, bez słowa.

– Wybacz mi.

Nic, żadnej reakcji. Wydawało mi się, że z trudem przełknęła ślinę. Ale nic nie powiedziała. Jak Gertruda.

– Oddam skrzypce. Mam już nazwisko.

– Nie mogę się ruszać.

– Tak, słuchaj. To tylko na razie. Trzeba sprawdzić, czy...

– Tak mi powiedzieli. Nigdy więcej.

– Co oni mogą wiedzieć?

Mimo wszystko na moją odpowiedź zareagowała czymś w rodzaju zrezygnowanego uśmiechu.

– Nie będę już mogła rysować.

– Ale, prawda, że możesz poruszać palcem?

– Tak, tym. I na tym koniec.

– To dobry znak, prawda?

Nie uznała za stosowne odpowiedzieć. Żeby przerwać niezręczną ciszę, Adrian kontynuował, udając ożywienie:

– Najpierw musimy zasięgnąć opinii pozostałych lekarzy. Prawda, pani doktor?

Adrian, trzymając ciągle białe róże, zwrócił się do wchodzącej właśnie doktor Real, jakby chciał jej wręczyć kwiaty.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała.

I wzięła od niego bukiet, uznając, że to dla niej. Sara zamknęła oczy; sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

Najpierw przyszli ją odwiedzić Bernat i Tekla. Skonsternowani nie wiedzieli, co powiedzieć. Sara nie miała ochoty uśmiechać się ani żartować. Powiedziała dziękuję, żeście przyszli, i już więcej się nie odezwała. Tymczasem ja mówiłem gdy tylko to będzie możliwe, wrócimy do domu i wszystko tak urządzimy, żeby jej było wygodnie, ale ona leżała i patrzyła w sufit i nawet nie próbowała się uśmiechnąć czy żartować. Bernat, z przesadnym ożywieniem, powiedział wiesz, Saro?, byłem w Paryżu z naszym kwartetem i grałem w Sali Pleyel, tej środkowej, tej, w której grał Adrian tysiąc lat temu.

– Ach tak? – zdziwił się Adrian.

– Tak.

– A skąd wiesz, że ja tam grałem?

– Sam mi powiedziałaś.

Czy powinniśmy mu powiedzieć, że przy tej okazji się poznaliśmy, ty i ja? Dzięki mistrzowi Castellsowi i twojej ciotce, nie pamiętam, jak ona się nazywa? Czy lepiej, żeby to pozostało naszą tajemnicą?

– Można powiedzieć, że tam właśnie się poznaliśmy, Sara i ja.

– Ach tak? Och, jakie to ładne – to o gardeniach Mignona.

Tymczasem Tekla podeszła do Sary i położyła jej rękę na policzku. Przez dobrą chwilę głaskała ją bez słowa, a tymczasem ja z Bernatem na wszelkie sposoby staraliśmy się zademonstrować, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Że też ten głupi Adrian sam na to nie wpadł – jeśli chciał, żeby ona, żeby Sara, żeby go poczuła, powinien dotykać jej twarzy, a nie martwych rąk. Nie są martwe. Raczej uspięne.

Później, kiedy zostali sami, Adrian położył jej rękę na policzku, ale ona bez słowa, zdecydowanie odrzuciła jego pieśczętę.

– Gniewasz się na mnie.

– Mam poważniejsze problemy niż gniewać się na ciebie.

– Przepraszam.

Zamilkli. W naszym życiu pojawiło się na ziemi stłuczone szkło i w każdej chwili można było się skaleczyć.

Nocą Adrian otworzył wszystkie balkony ze względu na upał i snuł się po domu jak duch, nie wiedząc, czym się zająć, zagniewany na samego siebie, bo wszystkie te zmartwienia sprawiły, że w głębi duszy miał poczucie, że to on jest ofiarą. Trudno mi było przyjąć do wiadomości, że w tej sytuacji ofiara jest tylko jedna, tylko ty. Dlatego dwa czy trzy dni później usiadłem przy tobie, wziąłem cię za rękę, stwierdziłem, że jest bez czucia, delikatnie odłożyłem ją na miejsce, dotknąłem twojego policzka opuszkami palców i powiedziałem Saro, podjąłem starania, żeby oddać skrzypce właścicielom. Nic mi nie odpowiedziała na te półprawdy, ale nie odtrąciła mojej ręki. Po długich pięciu minutach ciszy słabym głosem dochodzącym z bardzo daleka powiedziała dziękuję i poczułem, że mam łzy w oczach, ale na szczęście opanowałem się w porę, bo wiedziałem, że w tym szpitalnym pokoju nie mam prawa płakać.

– „Lub w stanie, który ja sama, dobrowolnie, uznam za nieodpowiedni dla siebie”. Zapisz to dosłownie.

– Łatwo powiedzieć.

– Nie: taka jest prawda. Ciężko mi było go sporządzić, ale to jest mój testament życia. Jestem w pełni władz umysłowych, żeby podjąć taką decyzję.

– Nie jesteś w pełni władz umysłowych. Jesteś zdesperowana.

- Co ma piernik do wiatraka.
- Co takiego?
- Jestem świadoma.
- Jesteś żywa. Możesz żyć nadal. Ja zawsze będę przy tobie.
- Nie chcę, żebyś był przy mnie. Chcę, żebyś był dzielny i zrobił to, o co cię proszę.
- Nie mogę.
- Tchórz.
- Tak.

Usłyszałem jakieś głosy, które mówiły cinquantaquattro. Tak, to tutaj. Otworzyły się drzwi i uśmiechnąłem się do ludzi, którzy w tym momencie weszli do pokoju i przerwali nam rozmowę. Przyjaciele z Cadaqués. Oni też pamiętali o różach.

- Saro, popatrz, jakie piękne – powiedziała kobieta.
- Bardzo piękne.

Sara uśmiechnęła się blado i starała się być uprzejma. Powiedziała, że dobrze się czuje, żeby się nie martwili. A przyjaciele z Cadaqués po półgodzinie wyszli spokojniejsi, bo wchodzili, nie wiedząc, co powiedzieć. Biedna dziewczyna.

Przez wiele dni różni goście przerywali naszą rozmowę, zawsze na ten sam temat. Po piętnastu czy dwudziestu dniach, odkąd się obudziła, którejś nocy, kiedy już się zbierałem do domu, Sara poprosiła mnie, żebym przybliżył jej obraz Mignona. Przez parę minut chłonęła go zachłannie, bez mrugnięcia. I nagle zaczęła płakać. Te łzy dodały mi odwagi.

Nie byłaś na wernisazu wystawy. Właściciele galerii nie mogli jej przenieść na inny termin, bo mieli kalendarz wypełniony na dwa lata, a Sara Voltés-Epstein i tak nigdy nie będzie mogła jej zobaczyć, więc bierzcie się do dzieła, a mnie opowiecie później, naprawdę. Przecież można wszystko nagrać, jeśli się nie mylę?

Kilka dni przed wystawą Sara wezwała do siebie mnie i Maksa i zakomunikowała, że chce dodać jeszcze dwa rysunki.

– Które?

– Dwa pejzaże.

– Ale... – zawahał się Maks. – Przecież to wystawa portretów.

– Dwa pejzaże – nalegała – dwa pejzaże wewnętrzne pewnej duszy.

Maks i Adrian popatrzyli na siebie zdziwieni.

– Które to? – zapytałem.

– Moja wizja Tony i apsyda kościoła Sant Pere del Burgal.

Zaskoczyłaś mnie swoją determinacją. Od razu zaczęłaś wydawać polecenia: oba rysunki są w czarnej teczce, która została w Cadaqués. Pejzaż z Tony będzie się nazywał *In Arcadia Hadriani*, a ten drugi – *Sen o Sant Pere del Burgal*.

– A czyją duszę portretują? – Maksowi wszystko trzeba było wyjaśniać.

– Kto ma wiedzieć, będzie wiedział.

– Anima Hadriani – powiedziałem, nie wiedząc, czy się rozplakać, czy skakać z radości, zresztą nadal nie wiem.

– Ale co na to właściciele galerii...

– Dwa dodatkowe rysunki, nie przesadzaj, Maks! Jeśli się nie mieszczą w kosztach, mogą być bez oprawy.

– Nie, nie, chodziło mi o koncepcję wystawy portretów...

– Maks, spójrz na mnie.

Pomogłem ci usunąć z czoła włosy, które próbowałaś sama zdmuchnąć. Usłyszałem dziękuję. Słuchaj, Maks, ja decyduję o tym, jaka będzie wystawa. Jesteście mi to winni. Trzydzieści portretów i dwa pejzaże dedykowane mężczyźnie, którego kocham.

– Nie, nie, ja tylko...

– Posłuchaj. To jest impresja na temat rajy utraconego Adriana. A te ruiny klasztoru to pejzaż, który z nieznanymi mi powodów Adrian zawsze nosił w duszy, choć zobaczył go na własne oczy całkiem niedawno. I tak macie zrobić. Dlatego, że ja o to proszę. Pomimo że nie zobaczę wystawy.

– Zabierzemy cię.

– Nie. Przeraza mnie cały ten cyrk z karetką pogotowia, noszami i tak dalej. Lepiej to dla mnie nagrajcie.

I tak wernisaz odbył się bez głównej bohaterki. Poprowadził Maks, starając się robić wrażenie silnego mężczyzny; powiedział choć nie ma z nami mojej siostry, to jednak jest. Dziś wieczorem pokażemy jej zdjęcia i wideo, które dla niej nagrywamy, a Sara, opierając się na poduszkach, zobaczyła po raz pierwszy wszystkie portrety i dwa pejzaże razem, na powtórce wernisazu w sali cinquantaquattro; towarzyszył jej Maks, Dora, Bernat, doktor Dalmau, ja i nie pamiętam, kto jeszcze. Kiedy kamera doszła do portretu wujka Chaima, Sara poprosiła zatrzymaj na chwilę. Przez kilka sekund wpatrywała się zamyślona w nieruchomy obraz, a potem obejrzała resztę. Ja na swoim portrecie czytałem z pochyloną

głową; ale nad tym obrazem nie chciała się zatrzymać. Podróż skończyła się na jej autoportrecie, tym z enigmatycznym spojrzeniem, którego też nie chciała oglądać. Z uwagą wsłuchiwała się w prezentację Maksa, który powiedział parę słów do zgromadzonych; zobaczyła, że było dużo ludzi, i kiedy znów kamera skupiła się na obrazach, powiedziała dziękuję, Maks, za te piękne słowa. Później skomentowała, że zauważyła Murtrę, Josée, Chantal Cases, państwa Riera z Andorri w komplecie, och, a ten to Llorenç, ależ urósł.

– A tu jest Tekla, widzisz? – powiedziałem.

– I Bernat. Jak miło.

– Och, a ten przystojniak? – wyrwała się Dora.

– To mój znajomy – powiedział Maks. – Giorgio.

Zapanowała cisza, którą przerwał Maks:

– Wszystkie prace zostały sprzedane, słyszysz?

– A ten? Zatrzymaj, zatrzymaj! – Sara jakimś cudem niemal się wyprostowała: – Ależ to Viladecans!

Wydaje się, że pożera wujka Chaima wzrokiem!...

– Tak, był tam, to prawda. Spędził tysiące godzin przed każdym portretem.

– Coś takiego...

Kiedy patrzyłem w jej błyszczące oczy, myślałem, że znów nabrała optymizmu, i łudziłem się, że możliwe jest nowe życie, z innymi priorytetami, w innym stylu, z inną oceną wartości wszystkiego. Czyż nie? Jakby usłyszała moje myśli, nagle spoważniała. Po kilku sekundach:

– Autoportret nie jest na sprzedaż.

– Co? – przeraził się Maks.

– Nie jest na sprzedaż.

– Ale poszedł jako pierwszy.

– Kto go kupił?

– Nie wiem. Zapytam.

– Przecież wam powiedziałam, że... – Zamilkła, skonfundowana.

Nie uprzedziłaś nas. Ale teraz w twoim świecie nakłada się na siebie to, co mówisz, z tym, co myślisz, czego pragniesz i co mogłoby być, gdyby nie.

– Mogę stąd zadzwonić? – zapytał zmartwiony Maks.

– Telefon jest naprzeciwko dyżurki pielęgniarek.

– Nie musisz do nich dzwonić – uciął Adrian, jakby go przyłapano na gorącym uczynku.

Zauważyłem, że skupiły się na mnie spojrzenia Sary, doktora Dalmau i Bernata. Czasem mam takie wrażenie, jakbym wszedł w życie bez zaproszenia i nagle wszyscy odkryli to oszustwo i oskarżali mnie wzrokiem, wbijając we mnie spojrzenia ostre jak ciernie.

– Dlaczego? – ktoś zapytał.

– Bo to ja go kupiłem.

Cisza. Sara zmarszczyła brwi.

– Ty głuptasie – powiedziała.

Adrian zrobił wielkie oczy.

– Chciałem ci go podarować – wymyśliłem na poczekaniu.

– Ja też chciałam ci go podarować. – Roześmiała się. Było coś nowego w jej śmiechu, czego nie pamiętałem sprzed choroby.

Wernisaż w szpitalu skończył się toastem, który wszyscy obecni wzniesli żalonym plastikowym kubkiem z wodą. Sara ani razu nie powiedziała chciałabym tam być. Ale spojrzałaś na mnie z uśmiechem. Jestem pewien, że pogodziłaś się ze mną dzięki tym półprawdom o skrzypcach. Nie byłem wystarczająco uczciwy, żeby je sprostować.

Kiedy wypięła rytualny łyk, przy mojej pomocy, poruszyła głową w obie strony i powiedziała bez

związku muszę obciąć krótko włosy, bo przeszkadzają mi na karku.

Laura wróciła z Algarve bardzo opalona. Spotkaliśmy się w naszym gabinecie w biegu między zamieszczeniem w szpitalu i pilnymi egzaminami w sesji wrześniowej; zapytała mnie o Sarę, powiedziałem no wiesz, a ona nie nalegała. Chociaż spędzaliśmy pod jednym dachem całe godziny, nie rozmawialiśmy ze sobą i udawaliśmy, że się nie widzimy. Po kilku dniach umówiłem się z Maksem na obiad, bo przyszło mi do głowy, żeby wydać książkę, pod takim samym tytułem jak wystawa, gdzie znalazłyby się wszystkie portrety, w formacie A4, co o tym sądzisz? To świetny pomysł. I oba pejzaże. Zgoda, z pejzażami. Album drogi, wydany starannie, bez pośpiechu. Zgoda, staranne wydanie. Pokłóciliśmy się, kto go sfinansuje, i uzgodniliśmy, że podzielimy się kosztami po połowie, a ja przystąpiłem do dzieła, z pomocą galerii Artipèlag i wydawnictwa Bauça. Łudziłem się, że być może potrafimy rozpocząć nowe życie, ty w domu, pod dobrą opieką, jeśli nadal będziesz chciała być ze mną, czego nie byłem pewien, pod warunkiem, że zgodziłabyś się na ten plan i porzuciła dziwne myśli. Rozmawiałem ze wszystkimi lekarzami; Dalmau uprzedził mnie, że w jego ocenie Sara jeszcze nie wydobrzała, żebym nie spieszył się z zabieraniem jej do domu, że w tym względzie zgadza się z doktor Real. I że dla zdrowia psychicznego wszystkich będzie lepiej, jeżeli na razie nie będziemy robić planów na przyszłość. Żebyśmy przez jakiś czas nauczyli się żyć powoli, z dnia na dzień, uwierz mi, tak będzie najlepiej. Laura zatrzymała mnie któregoś dnia na korytarzu na uczelni, żeby mi powiedzieć wracam do Uppsali. Zaproponowano mi etat w Instytucie Historii Języków i...

– To świetnie.

– To zależy. Wyjeżdżam. Gdybyś potrzebował adwokatkę, będę w Uppsali.

– Lauro, niczego nie potrzebuję.

– Ty nigdy nie wiedziałeś, czego chcesz.

– Zgoda. Ale teraz wiem, że nie wybiorę się do Uppsali, żeby się z tobą spotkać.

– Znasz moje zdanie.

– Nie możesz czekać, aż inni...

– Ejże.

– Co.

– To moje życie, nie twoje. Sama piszę instrukcję obsługi.

Stanęła na palcach i pocałowała mnie w policzek; o ile dobrze pamiętam, nigdy później już ze sobą nie rozmawialiśmy. Wiem, że mieszka w Uppsali. Wiem, że opublikowała sześć lub siedem całkiem niezłych artykułów. Tęsknię za nią, ale życzę jej, żeby znalazła kogoś bardziej prostolinijszego niż ja. A tymczasem zdecydowaliśmy z Maksem, że album z portretami ma być niespodzianką, przede wszystkim dlatego, żeby nie próbowała wybić nam tego z głowy. Chcieliśmy, żeby nasz entuzjazm wywołał u niej mały szok i żeby się jej udzielił. Dlatego poprosiliśmy o krótki wstęp Joana Pere Viladecansa, który ucieszył się z naszej propozycji. W kilku liniijkach przeanalizował tak wszechstronnie sztukę Sary, że poczułem nagły, gorączkowy przypływ zazdrości na myśl, ile to niuansów i szczegółów rysunków Sary uszło mojej uwagi. Tyle samo niuansów, co w twoim życiu, którego też nie potrafiłem ogarnąć.

Powoli, przyglądając ci się w szpitalu, odkrywałem kobietę, która mówiąc, rozkazując, sugerując, prosząc, błagając i wpatrując się we mnie tym wzrokiem, który do tej pory mnie świdruje i rani miłością i sam nie wiem czym jeszcze, była zdolna rządzić światem bez konieczności poruszania choćby jednym palcem. Ale ja miałem nieczyste sumienie. Na imię mu było Alpaerts. Nie miałem pewności, czy był prawdziwym właścicielem skrzypiec. Wiedziałem tylko, że w aramejskim testamencie ojca figurowało inne nazwisko. Nie mówiłem ci o tym, Saro, ale też nie zrobiłem nic, żeby to wyjaśnić. Confiteor.

Kiedy dobiegało końca tamto bezbarwne, długie popołudnie bez żadnych odwiedzin, które teraz stały się rzadsze, bo ludzie mają swoje sprawy, poprosiłaś zostać jeszcze chwilę.

– Jeśli Dora mi pozwoli.

– Pozwoli. Już to z nią załatwiłam. Muszę ci coś powiedzieć.

Zdażyłem zauważyć, że ty i Dora szybko znalazłyście wspólny język, od pierwszej chwili, rozumiejąc się niemal bez słów.

– Saro, nie uważam, żeby to było...

– Ej. Spójrz na mnie.

Spojrzałem zasmucony. Miała jeszcze długie włosy i była piękna. Powiedziałaś weź mnie za rękę. W ten sposób. Wyżej, tak, żebym widziała. O, tak.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zapytałem, obawiając się, że wróci do starego tematu.

– Miałam kiedyś córkę.

– Że co?

– W Paryżu. Miała na imię Claudine i zmarła po dwóch miesiącach. Przeżyła pięćdziesiąt dziewięć dni. Nie byłam wystarczająco dobrą matką, bo nie potrafiłam wyczuć niebezpieczeństwa. Claudine miała oczy czarne jak węgielki i płakała żałośnie. Pewnego dnia coś się jej stało. Zmarła w moich ramionach, kiedy wiozłam ją do szpitala.

– Saro...

– Najgłębszy ból, jakiego człowiek może doświadczyć, to śmierć dziecka. Dlatego nie chciałam mieć więcej dzieci. Wydawało mi się to nielojalne w stosunku do Claudine.

– Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłaś?

– To była moja wina; nie miałam prawa obarczać cię tym bólem. Teraz ją odnajdę.

– Saro.

– Co.

– To nie była twoja wina. I ty nie musisz umierać.

– Ale ja chcę umrzeć, przecież wiesz.

– Nie dopuszczę do tego.

– Tak samo mówiłam do Claudine w taksówce. Nie chcę, żebyś umarła, nie umieraj, nie umieraj, nie umieraj, nie umieraj, Claudine, słyszysz, maleństwo?

Płakałaś po raz pierwszy, od kiedy byłaś w szpitalu. Z powodu twojej córki, nie z własnego powodu, niezłomna kobieto. Nie odzywałaś się przez chwilę, pozwalając płynąć łzom. Otarłem ci je delikatnie chusteczką, bez komentarzy, z szacunkiem. Opanowałaś się i podjęłaś przerwana opowieść:

– Ale śmierć jest silniejsza niż my i moja mała Claudine zmarła. – Zamilkła, wyczerpana wysiłkiem. Jeszcze dwie łzy. – Wiem, że teraz ją odnajdę. Mówiłam do niej moja mała Claudine.

– Dlaczego twierdzisz, że ją odnajdziesz?

– Ja to wiem.

– Saro... przecież ty w nic nie wierzysz. – Czasem nie potrafię ugryźć się w język.

– Masz rację. Ale wiem, że matki odnajdują zmarłe córki. Gdyby tak nie było, życie byłoby nie do zniesienia.

Nic nie odpowiedziałem, bo jak zwykle miałaś rację. Adrian zamilkł również w przekonaniu, że to nie ma sensu. Przecież nie mógł jej powiedzieć, że zło jest zdolne do wszystkiego, a przecież jeszcze wtedy nie znał historii Matthiasa Alpaerts, dzielnej Bertie, zakatarzonej teściowej, Amelietje z włosami czarnymi jak gagat, Truu z włosami w kolorze szlachetnego drzewa i Juliet ze złotymi lokami.

Kiedy Sara wróciła do domu w huitième arrondissement, przetrząsnęła mieszkanie w poszukiwaniu Mruczka, zastanawiając się, gdzie on się podział, gdzie się podział, gdzie się podział, gdzie się podział.

Kot schował się pod łóżkiem, jakby wyczuł, że w domu źle się dzieje. Wyciągnęła go podstępem, okłamując go słowami, chodź tu, malutki, chodź do mnie, a kiedy Mruczek ufając swojej pani, wyszedł spod łóżka, złapała go, żeby wyrzucić przez okno, bo nie chcę mieć żadnego żywego stworzenia w domu. Nigdy więcej nikogo, kto mógłby umrzeć na moich rękach. Jednak żałosne miauczenie otrzeźwiło ją i uratowało kotu życie. Ostatecznie zaniósła Mruczka do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami,

ze świadomością, że kot niczemu nie jest winien. Przez kilka miesięcy Sara Voltes-Epstein przeżywała żalobę, rysowała czarne abstrakcje i spędzała ciche godziny, pracując nad ilustracjami bajek, które matki będą czytać swoim żywym, roześmianym córkom; obmyślała rysunki, których jej mała Claudine nigdy nie zobaczy, i walczyła z cierpieniem trawiącym ją od wewnątrz. Dokładnie rok później stanął na jej progu sprzedawca encyklopedii. Rozumiesz, dlaczego nie mogłam od razu do ciebie wrócić? Rozumiesz, dlaczego nie chciałam być z kimś, kto mógłby przy mnie umrzeć? Rozumiesz, że nie byłam przy zdrowych zmysłach?

Zamilkła. Zamilkliśmy oboje. Położyłem jej rękę na piersi i głaskałem ją po policzku: tym razem nie protestowała. Powiedziałem kocham cię i chciałem wierzyć, że to ją uspokoiło. Nie odważyłem się zapytać, kim był ojciec Claudine, czy mieszkał z tobą, kiedy dziewczynka zmarła. Przedstawiając mi tylko niektóre fragmenty własnego życia, jakbyś rysowała węglem, rzucałaś cienie, podkreślałaś wybrane elementy, walczyłaś o prawo zachowania dla siebie swoich sekretów, w zamkniętym pokoju Sinobrodego. A Dora pozwoliła mi zostać do naprawdę skandalicznie późnej pory.

W dniu, kiedy znów poprosiłaś mnie, żebym ci pomógł umrzeć, bo sama tego nie możesz zrobić, uprzytomniłem sobie z przerażeniem, że niestety nie przestałaś o tym myśleć. Wtedy Adrian powiedział chcesz umrzeć właśnie teraz, kiedy szykujemy dla ciebie niespodziankę? Jaka. Twoją książkę. Moją książkę; moją książkę? Tak, ze wszystkimi portretami; wydajemy ją razem z Maksymem.

Sara uśmiechnęła się i przez chwilę się zastanawiała. Powiedziała dziękuję, ale ja już się nastawiam na koniec. Choć to żadna przyjemność umierać, nie chcę być ciężarem i nie akceptuję tego życia, na które zostałam skazana, na oglądanie wiecznie tego samego kawałka pieprzonego sufitu. To chyba było pierwsze wulgarnie słowo, jakie usłyszałem z twoich ust. No, może drugie.

Ale. Tak, rozumiem wszystkie ale. Ja nie wiem jak. Ja wiem; Dora mi wszystko wyjaśniła, ale ktoś mi musi pomóc. Nie prosz mnie o to. Wolisz, żeby to zrobił ktoś inny? Nie; chcę powiedzieć, nie prosz nikogo o tę przysługę. To moje życie i ja nim rządę, nie twoje; sama piszę instrukcję obsługi.

Aż otworzyłem usta ze zdumienia. Jakby Laura i Sara miały coś wspólnego... Muszę się przyznać, że nie mogłem się opanować i rozpłakałem się rzewnymi łzami przy łóżku Sary, która, trzeba przyznać, z krótkimi włosami wyglądała prześlicznie. Nie znałem cię z krótkimi włosami, Saro. Ponieważ nie mogła pogłodzić mnie po głowie, żeby mnie pocieszyć, cierpliwie czekała, aż mi przejdzie, wpatrując się w ten pieprzony sufit. Zdaje się, że właśnie wtedy Dora weszła z lekarstwami, ale na widok tej sceny wolała dyskretnie się wycofać.

– Adrianie.

– Tak...

– Miłujesz mnie więcej niż inni?

– Tak, Saro. Ty wiesz, że cię kocham.

– To zrób to, o co cię proszę. – I znów za chwilę: – Adrianie.

– Tak.

– Miłujesz mnie więcej niż inni?

– Tak, Saro. Ty wiesz, że cię kocham.

– To zrób to, o co cię proszę. – I niemal natychmiast, po raz trzeci: – Adrianie, kochany.

– Słucham.

– Kochasz mnie?

Zasmucił się Adrian, że pyta go po raz trzeci, bo ja oddałbym życie za ciebie i za każdym razem, kiedy mnie o to pytasz, myślę tylko, że...

– Kochasz mnie czy nie?

– Ty wszystko wiesz, ty wiesz, że cię kocham.

– To pomóż mi umrzeć.

Wszedłem ze szpitala z nieczystym sumieniem. Chodziłem bez celu pośród Dzieła Stworzenia i bezmyślnie wodziłem wzrokiem po grzbietach książek. Kiedyś sam spacer wśród prozy romańskiej wywoływał wspomnienie miłych lektur, a wejście do działu poezji nieuchronnie kończyło się sięgnięciem po książkę i przeczytaniem wybranych losowo lub z premedytacją kilku wierszy, tak jakby Dzieło Stworzenia było Rajem, a wiersze – nigdy niezakazanym owocem. Zawsze gdy wchodziłem do działu eseistyki, miałem poczucie braterstwa ze wszystkimi, którzy kiedykolwiek starali się nadać porządek swoim rozmyśleniom, ale teraz, przygnębiony, plątałem się tam bez celu, nie zwracając uwagi na tytuły na grzbietach, bo miałem przed oczami tylko cierpienie Sary. Nie mogłem pracować.

Zasiadałem przed plikiem kartek rękopisu, starałem się wrócić do miejsca, w którym przerwałem pisanie, ale wtedy zjawiałaś się ty, mówiąc zabij mnie, jeśli mnie kochasz, albo ty, cierpliwa, zrównowazona, unieruchomiona na długie lata i ja przy tobie, który wychodzę co pięć minut z twojego pokoju, żeby wyładować wściekłość krzykiem. Zapytałem Dorę, czy zachowała warkocz po obcięciu włosów...

- Nie.
- Cholera!...
- Kazała nam wszystko wyrzucić.
- No tak, ale...
- Wiem, szkoda. Też mi to przyszło do głowy.
- Naprawdę potraktowaliście poważnie jej życzenie?
- Trudno nie traktować poważnie życzeń twojej żony.

Noce sprowadzały się do długiej bezsenności, aż musiałem stosować różne wybiegi, żeby zasnąć, na przykład czytać w języku hebrajskim, który zaniedbałem bardziej niż inne języki, bo rzadko miałem okazję z nim pracować. Znalazłem teksty z piętnastego i szesnastego wieku i pisma aktualne, a kiedy czytałem, przychodziła mi na myśl szacowna pani Assumpta Brotons w binoklach, zawsze z lekkim uśmiechem, który początkowo brałem za wyraz sympatii, a potem okazało się, że był to, o ile się nie mylę, jej stały grymas twarzy. I jej święta cierpliwość. I cierpliwość, jakiej wymagała ode mnie.

- Achat.
- Aszat.
- Achat.
- Ahat.
- Bardzo dobrze. Rozumie pan?
- Tak.
- Schtajm.
- Sztajm.
- Bardzo dobrze. Rozumie pan?
- Tak.
- Schalosch.
- Szalosz.
- Bardzo dobrze. Rozumie pan?
- Tak.
- Arba.
- Arba.
- Chamesch.
- Hamesz.
- Tak jest, bardzo dobrze!

Litery tańczyły mi przed oczami, bo było mi wszystko jedno, bo całą duszą byłem przy tobie, u twego boku. Kładłem się do łóżka po północy i leżałem do szóstej z otwartymi oczami. Zasnęłam na parę minut, ale przed przyjściem Małej Loli już byłem na nogach, wykąpany i ogolony, gotowy do wyjścia do szpitala, jeśli tylko nie miałem w tym dniu zajęć, z nadzieją, że ujrzę, na litość boską, jakiś cud.

Aż którejś nocy zrobiło mi się wstyd, że nie próbuję sam się postawić na miejscu Sary, jakbym tak naprawdę nie chciał jej zrozumieć. Następnego dnia Adrian niby przypadkiem wpadł na Dorę, która nie panikowała tak jak ja, ale była ostrożna, bo nie był to przypadek nieuleczalnej choroby, która wcześniej czy później skończy się śmiercią; to może się ciągnąć całymi latami... a ja czułem się zmuszony reprezentować punkt widzenia Sary, który sprowadzał się do jednego: zrób to dla mnie z miłości. I znów byłem sam. Sam wobec twojej prośby, twojego błagania. Nie mogłem się na to zdobyć. Którejś nocy

powiedziałem Sarze, że tak, że to zrobię, a ona się uśmiechnęła i powiedziała gdybym mogła się ruszać, wstałabym i pocałowałaby cię z języczkiem. A ja to powiedziałem z pełną świadomością, że kłamię, bo wcale nie miałem takiego zamiaru. W końcu, Saro, zawsze cię okłamywałem, i w tym, i w zapewnieniach, że podjąłem działania, żeby zwrócić skrzypce, według mnie bardzo zaawansowane, że miałem właśnie skontaktować się bezpośrednio z... To była żalosna piramida kłamstw, budowana tylko po to, żeby zyskać na czasie. Na co liczyłem? Że przewycięzę lęk, że jakoś to będzie, coś w tym rodzaju. Kiedy poruszyłem ten temat z doktorem Dalmau, poradził mi, żebym nie mieszał do tego pani doktor Real.

- Stary, mówisz o tym tak, jakby to było przestępstwo.
- Bo to jest przestępstwo. W tym kraju i przy obecnym stanie prawnym.
- To dlaczego mi pomagasz?
- Prawo to jedno, a przypadki, którymi prawo obawia się zająć, to drugie.
- Czyli zgadzasz się ze mną.
- Czego ode mnie oczekujesz? Że podpiszę oświadczenie?
- Nie, przepraszam. Ja... Cholera.

Wziął mnie za rękę, posadził na krześle i mimo że byliśmy w jego gabinecie i nikogo nie było w domu, zaczął mówić cicho i w milczącej obecności zgorszonego, żółtego obrazu Modiglianiego zrobił mi przyspieszony kurs na temat śmierci wspomaganej przez miłość. A ja wiedziałem, że nigdy nie wykorzystam tej wiedzy. Minęły dwa w miarę spokojne tygodnie, aż któregoś dnia Sara spojrzała mi w oczy i zapytała Adrianie, kiedy? Otworzyłem usta. Spojrzałem na pieprzony sufit, a potem na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Wydukałem rozmawiałem z... jestem... no...

Następnego dnia umarłaś sama. Zawsze będę wierzyć, że umarłaś sama, bo zrozumiałaś, że jestem tchórzem, a ty bardzo już chciałaś odejść; nie miałem odwagi, żeby ci towarzyszyć i ułatwić ostatni etap. Wersja doktor Real była taka, że powtórzył się krwotok, taki jak po wypadku, mimo terapii, którą stosowano. Mimo że byłaś pod opieką lekarską, nic się nie dało zrobić. Odeszłaś jeszcze przed zamknięciem wystawy twoich portretów. A Maks, któremu towarzyszył Giorgio, płakał i martwił się jaka szkoda, że nie wiedziała o książce, którą dla niej szykujemy, trzeba jej było powiedzieć. Tak to wyglądało, Saro. Ponieważ nie potrafiłem ci pomóc, odeszłaś sama, szybko, ukradkiem, nie oglądając się za siebie, bez pożegnania. Rozumiesz, jak podle się czuję?

– Adrian? – Po głosie Maksa od razu zorientowałem się, że coś jest nie tak.

– Tak, słucham.

– Dostałem faks.

– W porządku?

– Nie. Wręcz przeciwnie.

– Wiesz, nie jestem oswojony z tym urządzeniem... Musiałem wcisnąć niewłaściwy klawisz...

– Adrian.

– Tak.

– Faks przyszedł w idealnym stanie. Wcisnąłeś odpowiedni klawisz i wszystko dotarło.

– To świetnie. Problem rozwiązany, prawda?

– Problem rozwiązany? Czy ty wiesz, co mi przysłałeś? – Mówił takim tonem jak pani Trullols, kiedy kazała mi ćwiczyć arpeggio w G-dur, a ja zaczynałem w D-dur.

– Kurde, notkę biograficzną Sary.

– Tak. Od jakiej nuty miałaś zacząć? – denerwowała się pani Trullols.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Notkę, którą mam umieścić gdzie? – teraz usłyszałem Maksa.

– Na końcu albumu z portretami. Zadowolony?

– Nie. Teraz ci przeczytam, co mi przysłałeś.

To nie było pytanie; to było ostrzeżenie. I zaraz usłyszałem, jak czyta Sara Voltes-Epstein urodziła się w Paryżu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku i jako młoda dziewczyna poznała pewnego durnia, który się w niej zakochał i który, mimo dobrych chęci, nie potrafił jej uszczęśliwić.

– Słuchaj, ja...

– Czytać dalej?

– Wiesz, wolałbym nie.

Ale Maks przeczytał wszystko do końca. Był bardzo wkurzony i kiedy skończył, zapadła nieprzyjemna cisza. Przełknąłem ślinę i zapytałem Maks, naprawdę wysłałem ci coś takiego?

Cisza. Sprawdziłem papiery na biurku. Leżały tam niepoprawione prace egzaminacyjne z estetyki.

Widać, że Mała Lola tu buszowała. Jeszcze jakieś papiery i. Czekał. Znalazłem luźną kartkę, tę samą, którą wysłałem faksem, napisaną na maszynie Olivetti. Rzuciłem okiem na tekst.

– Cholera. – Cisza. – Naprawdę ci to wysłałem?

– Tak.

– Przepraszam.

Głos Maksa nieco złagodniał:

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, sam napiszę biogram. Zebrałem już dane na temat jej wystaw.

– Dzięki, stary.

– Nie ma za co. A ty nie gniewaj się, że... to nerwy... Bo wydawnictwo chce mieć tekst natychmiast, żeby album mógł się ukazać przed finisażem wystawy.

– Jeśli chcesz, spróbuję to...

– Wykluczone, sam się tym zajmę.

– Dzięki, Maks. Pozdrów ode mnie Giorgia.

– Pozdrowię. A tak przy okazji: dlaczego piszesz kurwa przez trzy „rrr”?

Odłożyłem słuchawkę. To było pierwsze ostrzeżenie, ale jeszcze się nie zorientowałem. Wróciłem

do przeglądania papierów na biurku. Był tam tylko ten tekst. Przeczytałem go ponownie, zażenowany. Brzmiał tak: Sara Voltes-Epstein urodziła się w Paryżu w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku i jako młoda dziewczyna poznała pewnego durnia, który się w niej zakochał i który, mimo dobrych chęci, nie potrafił jej uszczęśliwić. Po wielu bolesnych nieporozumieniach, po wielu zerwaniach i powrotach, w końcu zgodziła się spędzić wspólnie z wyżej wymienionym durniem długie (mimo wszystko zbyt krótkie) lata, najważniejsze w moim życiu. Najbardziej esencjonalne. Sara Voltes-Epstein zmarła w Barcelonie jesienią dziewięćdziesiątego szóstego roku. Doprawdy, co za kurrewska niesprawiedliwość, niechby chociaż dożyła pięćdziesiątki. Sara Voltes-Epstein rysując, opowiadała cudzym dzieciom, jak wygląda życie, i bardzo rzadko i niechętnie wystawiała swoje szkice ołówkiem i węglem, jakby chciała ograniczyć się do tego, co najistotniejsze: do kontaktu ołówka lub węgla z papierem. Była świetna, kiedy rysowała. Była świetna. Była.

Życie toczyło się nadal – smutniejsze, ale jednak życie. Publikacja albumu portretów Sary Voltes-Epstein wpędziła mnie w głęboką, bezgraniczną melancholię. Maks sporządził biogram krótki i perfekcyjny, jak wszystko, co wychodziło spod jego ręki. Później sprawy nabrały przyspieszenia: Laura nie wróciła z Uppsali, tak jak uprzedzała, a ja zamknąłem się, żeby pisać o złu, bo wiele rzeczy chodziło mi wtedy po głowie. Ale Adrian Ardèvol, mimo że pisał desperacko i wypełniał stronę za stroną, wiedział, że jakkolwiek postęp w pisaniu jest niemożliwy, kiedy cały czas dzwoni ci w uszach telefon: z tym drażniącym, długim re.

– Rrzzrrzzrrzzrrz. – Teraz to był dzwonek do drzwi.

– Nie przeszkadzam?

Adrian w końcu otworzył. Tym razem Bernat nie bawił się w dyplomację: miał przy sobie skrzypce i dużą torbę, w której zmieścił pół swojego życia.

– Znow się pokłóciliście?

Bernat wszedł do środka, nie dyskutując o sprawach oczywistych. Przez pierwsze pięć dni w ogóle się nie odzywał, a ja tymczasem bez powodzenia walczyłem z tekstem, atakowany cały czas przez uparty telefon.

Począwszy od szóstego dnia Bernat poświęcił kilka kolacji na przekonywanie mnie w dobrej wierze, żebym w końcu zaakceptował obecność komputera w moim życiu, i musiałem przypomnieć sobie to, czego nauczył mnie Llorenç, a co już wyleciało mi z głowy, z braku praktyki.

– No owszem, zasadę rozumiem. Ale żeby się nim posługiwać... musiałbym się nim posługiwać częściej, a ja nie mam czasu, rozumiesz.

– Nie czasu ci brak, tylko chęci.

– Jak mam się zabierać do komputera, skoro jeszcze dobrze nie opanowałem maszyny do pisania?

– Ale ciągle jej używasz.

– Bo nie mam sekretarza, który by mi wszystko przepisywał na czysto.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to oszczędność czasu.

– Nie wychowałem się na zwojach papierosowych czy elektronicznych, tylko na przewracanych kartkach kodeksu.

– Nie rozumiem.

– Jestem przyzwyczajony do przekładania osobnych kartek, nie do rozwijania niekończących się woluminów.

– Nadal nie wiem, o co ci chodzi. Ja tylko mówię, że mógłbyś zaoszczędzić sporo czasu.

Ani Bernat nie przekonał mnie do komputera, ani ja nie zdecydowałem się porozmawiać z nim o Llorençie i przestrzec go, żeby nie był takim ojcem jak mój. Aż pewnego dnia zauważyłem, że się pakuje; dokładnie dwa tygodnie od dnia, kiedy się u mnie zatrzymał. Wracał do siebie, bo, jak mi powiedział tuż przed odejściem, dłużej tak żyć nie można. Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć.

Wyprowadzał się prawie pogodzony z Teklą, a ja zostałem w domu sam. Na zawsze sam.

Pomysł długo dojrzewał w mojej głowie, aż któregoś dnia zadzwoniłem do Maksa i zapytałem, czy będzie w domu, bo chcę go odwiedzić. Pojechałem do Cadaqués zdecydowany dowiedzieć się wszystkiego.

Dom rodziny Voltes-Epstein jest duży, obszerny, może niezbyt ładny, ale pomyślany tak, żeby można było nacieszyć oczy widokiem zatoczek i homeryckim błękitem Morza Śródziemnego. To był raj, do którego wkraczałem po raz pierwszy. Było mi miło, że Maks mnie objął, kiedy tylko stanąłem na progu jego włości. Przyjąłem to jako oficjalne przyjęcie do rodziny, choć już post factum. Najlepszy w całym domu pokój po śmierci Voltesa seniora był teraz pracownią Maksa, w której zgromadził on imponującą bibliotekę enologiczną, ponoć najlepiej wyposażoną w całej Europie. Było tam wszystko, co ma jakikolwiek związek z winem: zbrocza o odpowiednim nasłonecznieniu, winnice, szczepy, liście, choroby, grona; monografie na temat cabernetu, ull de llebre, chardonnay, rieslinga, shirazu i tym podobnych; historia, regiony uprawy, momenty krytyczne, epidemie, filoksera, pochodzenie odmian, winnice, idealna długość i szerokość geograficzna. Wino i mgła. Wina z zimnych regionów. Rodzinki. Wino z gór i wino wysokogórskie. Poezja o zielonych winnicach nad morzem. Piwnice i magazyny w podziemiach, beczki, drewno dębu z Virginii i z Portugalii, siarczyny, lata dojrzewania, wilgotność, mrok, dęby korkowe, korki, rodziny zajmujące się produkcją korków, przedsiębiorstwa eksportujące wina, winogrona, korki, drewno na beczki, biografie dawnych enologów, rody winogrodników, albumy z fotografiami różnych odcieni winogron. Rodzaje gleby. Apelacje i denominacje: kontrolowane, kwalifikowane i zastrzeżone, z odnośnymi przepisami, listami, mapami, granicami i dziejami. Wyjątkowe, historyczne roczniki. Ziemie, regiony i strefy winne. Wywiady z enologami i przedsiębiorcami. Butelkowanie. Szampan. Cava katalońska. Wina musujące. Wino w gastronomii. Wino białe, czerwone, różowe, młode wino, wina dojrzałe. Wina słodkie i wyleżakowane. I dodatek na temat słodkich i wytrawnych likierów. Klasztory i likiery, chartreuse, koniaki, armaniaki, brandy, whisky z całego świata, bourbony, calvadosy, grappa, mocne alkohole, orujo, anyżówki, wódki; samo pojęcie destylacji. Wszystko o rumie. Temperatury. Termometry do wina. Znani sommelierzy... Kiedy Adrian tam wszedł, zrobił taką minę, jak Matthias Alpaerts na widok jego gabinetu.

– Niesamowite – podsumował. – Ty wiesz wszystko o winie, a twoja siostra mieszała je z wodą sodową i piła z karafki z szyjką.

– W rodzinie są tacy i tacy. Ale liczą się niuanse: nie mam nic przeciwko picciu z porrona. Gorzej z wodą sodową.

– Zostaniesz na obiad – dodał. – Giorgio jest znakomitym kucharzem.

Zasiedliśmy do obiadu w tym królestwie wina, czując presję niewyartykułowanego pytania, którego Maks wolał nie zadawać: czego oczekujesz, o czym chcesz rozmawiać, dlaczego. Jedliśmy w milczeniu, a morskie powietrze zachęcało do bezczynności, do poddania się spokojnemu rytmowi dnia, którego nie powinien zakłócać nikt, żadna komplikująca życie rozmowa. Nie było łatwo przystąpić do rzeczy.

– Czego ode mnie oczekujesz, Adrianie?

Trudno powiedzieć. Tak naprawdę Adrian chciał się wreszcie dowiedzieć, mhm, co takiego do cholery usłyszała o mnie Sara, że uciekła ode mnie tak z dnia na dzień, bez uprzedzenia, bez...

Zapadła cisza, którą zakłócała tylko lekka słona bryza znad morza.

– Ona ci tego nie powiedziała?

– Nie.

– A pytałeś?

– Nigdy więcej mnie o to nie pytaj, Adrianie. Lepiej, żebyś...

– Jeżeli ona tak uważała, ja...

– Maks, spójrz mi w oczy. Ona już nie żyje. Sara nie żyje! Chcę się dowiedzieć, co do cholery wtedy

się stało.

– Może już nie warto.

– Zapewniam cię, że warto. Moi i twoi rodzice też nie żyją. A ja mam prawo wiedzieć, o co się mnie oskarża.

Maks wstał, podszedł do okna, jakby nagle musiał sprawdzić z bliska jakiś szczegół morskiego pejzażu wpisanego w okienne ramy. Spędził tam chwilę skupiony na szczegółach. A może rozmyślał.

– Czyli nic nie wiesz – podsumował, nie odwracając się do mnie.

– Nie wiem nawet, o czym miałbym wiedzieć czy nie wiedzieć.

Zdenerwowała mnie jego ostrożność. Ciężko mi było zachować spokój. Przeszedłem do konkretów:

– Od Sary, kiedy ponownie zobaczyłem ją w Paryżu, usłyszałem tylko o liście, w którym ponoć nazwałem ją parszywą Żydówką i kazałem jej się wypchać swoją nadętą rodziną, co się puszy tak, jakby połknęła kij od szczotki i jeszcze go nie wysrała.

– Coś takiego. Nic o tym nie wiedziałem.

– W takich mniej więcej słowach, według niej. Ale ja tego nie napisałem!

Maks zrobił nieokreślony gest i wyszedł z gabinetu. Po chwili wrócił ze schłodzoną butelką białego wina i dwoma kieliszkami.

– Zobaczmy, czy będzie ci smakować.

Adrian musiał pohamować niecierpliwość, spróbować tego saint-émiliona i wysłuchać Maksa rozprawiającego o subtelnych niuansach smaku; w ten sposób opróżnili powoli pierwszy kieliszek, rozmawiając o aromacie, a nie o tym, co obie matki opowiedziały Sarze.

– Maks.

– Wiem, wiem.

Nalał sobie pół kieliszka i wychylił go nie jak enolog, ale jak zwykły pijak. Kiedy skończył, mlasnął językiem, zachęcił go nalej sobie i zaczął mówić Feliks Ardèvol zdziwił się na widok mężczyzny, z którym miał robić interesy, a ja ci to teraz opowiadam, najdroższa, bo według Maksa ty też nie znałaś szczegółów. Masz prawo wiedzieć wszystko: taką wyznaczyłem sobie pokutę. Dlatego muszę zacząć od tego, że w parku romantycznym w Ateneum Feliks Ardèvol zdziwił się na widok mężczyzny tak rachitycznego, że w kapeluszu na głowie wyglądał jak otwarty parasol.

– Pan Lorenzo?

– Tak – odpowiedział Feliks Ardèvol. – A pan zapewne nazywa się Abelardo.

Tamten usiadł, nie odpowiadając na pytanie. Zdjął kapelusz i ostrożnie odłożył go na stół. Z piskiem przefrunął między nimi kos i zniknął w gęstych zaroślach. Rachityczny mężczyzna odezwał się tubalnym głosem, w nazbyt poprawnej, wyuczonej hiszpańszczyźnie, że mój klient dostarczy tu przesyłkę jeszcze dziś. Pół godziny po moim odejściu.

– Dobrze. Ja mam czas.

– Kiedy pan wyjeżdża?

– Jutro rano.

Następnego dnia Feliks Ardèvol po raz kolejny wsiadł do samolotu. Kiedy dotarł do Lyonu, po raz kolejny wynajął stromberga i w parę godzin dotarł do Genewy. W Hôtel du Lac czekał na niego ten sam rachityczny mężczyzna mówiący głosem bułgarskiego basa i zabrał go do pokoju na górze. Ardèvol wręczył mu przesyłkę, a mężczyzna najpierw ostrożnie odłożył kapelusz na krzesło, a następnie starannie rozpakował paczkę i zdjął z niej taśmę ochronną. Powoli przeliczył pięć paczek banknotów. Zajęło mu to dobre dziesięć minut. Na osobnej kartce robił notatki i obliczenia, a wyniki skrupulatnie zapisywał w notesie. Nawet sprawdzał numery seryjne banknotów.

– Obmierzłe zaufanie – wycedził przez zęby zniecierpliwiony Ardèvol. Tamten nie uznał za stosowne odpowiedzieć, dopóki nie skończył liczenia.

– Co pan powiedział? – zapytał, pakując banknoty do walizki, ukrywając notes i drąc na strzępy swoje

zapisaki, które później pozbiierał co do jednego i włożył do kieszeni.

– Obmierzłe zaufanie.

– Jak pan uważa. – Wstał, podał mu paczkę, którą wyciągnął z walizki, i położył ją przed Ardèvolem.

– To dla pana.

– Teraz ja mam przeliczyć?

Mężczyzna przesłał mu zdechły uśmiech, podniósł parasol z krzesła, założył go sobie na głowę zamiast kapelusza i powiedział gdyby pan chciał odpocząć, pokój jest opłacony do jutra. Nawet się nie odwrócił, żeby się pożegnać. Feliks Ardèvol starannie przeliczył banknoty i poczuł, że kocha życie.

Powtórzył tę operację w różnych wariantach. Wkrótce znaleźli się nowi pośrednicy, a paczki były coraz grubsze. Zwiększyły się jego dochody. Ponadto zaczął wykorzystywać podróże na szperanie w różnych miejscach i obwąchiwanie półek w bibliotekach, archiwach i magazynach. Aż pewnego dnia rachityczny mężczyzna, który się przedstawiał jako Abelardo, miał głos jak piorun i posługiwał się nazbyt poprawną, wyuczoną hiszpańszczyzną, jakby sam siebie lubił słuchać, popełnił błąd. Zamiast schować do kieszeni, zostawił na stole w pokoju Hôtel du Lac podarty na strzępy papier z obliczeniami. W nocy Feliks Ardèvol cierpliwie układał na szklanym blacie łamigłówkę, aż dało się przeczytać tekst zapisany na odwrocie. Dwa słowa: Anselmo Taboada. I parę nieczytelnych bazgrołów. Anselmo Taboada. Anselmo Taboada.

Minęły dwa miesiące, zanim Feliks Ardèvol skojarzył z tym nazwiskiem konkretną twarz. Następnie pewnego dżdżystego wtorku zjawił się w kapitanacie i cierpliwie czekał, aż zostanie przyjęty. Długo siedział w korytarzu, przyglądając się wojskowym wszystkim stopni i wysłuchując fragmentów dziwnych rozmów, zanim wpuszczono go do gabinetu dwa razy takiego jak jego własny, ale bez żadnych książek. Za stołem zobaczył zaintrygowaną twarz podpułkownika Anselma Taboady Izquierdo. Niech żyje Franco. Niech żyje. Bez żadnych wstępów przeszli do budującej i konkretnej rozmowy.

– Według moich obliczeń, panie podpułkowniku, to jest suma, którą przewiozłem panu do Szwajcarii – powiedział Feliks, przesuwając po blacie kartkę gestem podpatrzonym u Abelarda, kiedy tamten wręczał mu kopertę z pieniędzmi.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Ja jestem Lorenzo.

– To jakaś pomyłka. – Wstał, zaniepokojony.

– To nie pomyłka. – Ardèvol, siedząc, spokojnie mówił dalej: – Właśnie zaszedłem do kapitanatu, żeby pana pozdrowić, bo było mi po drodze: wybieram się do mojego przyjaciela, cywilnego gubernatora Barcelony. To mój wielki przyjaciel, zaprzyjaźniony również z kapitanem generalnym, z którym sąsiaduje pan przez ścianę.

– Pan jest przyjacielem don Wenceslao?

– Bliskim przyjacielem.

Podpułkownik usiadł, skonsternowany, a tymczasem Ardèvol położył przed nim na stole prywatną wizytówkę cywilnego gubernatora i powiedział proszę zadzwonić, on panu poda szczegóły.

– Nie trzeba. Niech pan mi to wyjaśni.

Nie trzeba było wiele wyjaśniać, najdroższa, bo talent ojca do wciągania ludzi w pajęczę sieci był niezrównany:

– Och! – przymilny grymas ojca, który kłął w duchu, patrząc, jak gubernator cywilny zbierał z podłogi rozbitą terakotę, która rozpadła się na trzy części.

– Czy to było cenne? – zapytał.

– Warte miliony, Ekscelencjo.

Feliks Ardèvol musiał się opanować, żeby nie pokazać po sobie, jak bardzo zirytował go ten niezdara. Wenceslao González Oliveros położył trzy kawałki na stole i barwną hiszpańszczyzną, głosem wykastrowanego toreadora oświadczył każę to skleić porządnym klejem, tak jak zrobiliśmy z Hiszpanią

zranioną i zhańbioną przez buntowników.

– Broń Boże! – wyrwało się Ardèvolowi może nazbyt spontanicznie. – Sam to odrestauruję i za dwa dni będzie pan miał ten prezent w swoim gabinecie.

Wenceslao González Oliveros położył mu rękę na ramieniu i zatrafił nad uchem drogi panie Ardèvol, ten pogański bożek jest symbolem Hiszpanii zranionej przez komunizm, nacjonalizm kataloński, judaizm i masonerię, które popchnęły nas ku nieuchronnej wojnie przeciw złu.

W tym miejscu Ardèvol głęboko się zamyślił, co bardzo się spodobało gubernatorowi. O zgrozo, gubernator cywilny wziął teraz do ręki najmniejszy element, odłamane ramię figurki, żeby ją zademonstrować swemu uczniowi, mówiąc są również dwie Katalonie: jedna fałszywa, wiarołomna, cyniczna i posybilistyczna...

– Chciałem prosić o konkretną przysługę.

– ...pogrążona w materializmie, a przez to sceptycznie nastawiona do porządku religijnego i etycznego, ziemia bezpieczeństwa.

– W zamian za usługi, które ja mogę oferować. Coś, co dla pana jest błahostką: zgodę na swobodne przekraczanie granicy.

– Rodzi się teraz druga Katalonia, łagodna, wspaniała, zdrowa, żywotna, pewna siebie, niesłychanie wrażliwa, tak jak ta figurka.

– To jest punicka terakota, bardzo cenna; nabyłem ją za swoje oszczędności od żydowskiego lekarza, który gwałtownie potrzebował pieniędzy.

– Perfidna rasa żydowska, jak nas poucza Biblia.

– Nie, Ekscelencjo: o tym nas poucza Kościół katolicki. Biblia została napisana przez Żydów.

– Pięknie, panie Ardèvol. Widzę, że jest pan wykształcony, podobnie jak ja. Ale to nie umniejsza żydowskiej perfidii.

– Ależ nie, skądże znowu, Ekscelencjo.

– I proszę już ze mną nie dyskutować – oświadczył, podnosząc w górę palec, tak na wszelki wypadek.

– Oczywiście, Ekscelencjo. – Wskazując trzy odłamki terakoty: – Figurka punicka, bardzo wartościowa, bardzo droga, unikatowa, antyczna: Kartagińczycy i Rzymianie.

– Tak. Katalonia silna inteligencją, kraina, której bogactwem są szlachetne, znakomite rody...

– Zapewniam pana, że będzie jak nowa. To, co pan ma tu przed sobą, liczy sobie dwa tysiące lat. Jest bardzo droga.

– ...kraina owocnych inicjatyw, wyjątkowa dzięki rycerskim cnotom, uczestnicząca uczuciem, czynami i intuicją ...

– Mnie tylko chodzi o paszport bez restrykcji, Ekscelencjo.

– ...w losach Hiszpanii, matki, która otacza opieką wszystkie nasze narody. Katalonia, która z umiarem, ostrożnością i pokorą potrafi ograniczyć zasięg swojego uroczego dialektu do użytku domowego, żeby nie obrażać niczyich uczuć.

– Żebym mógł wjeżdżać i wyjeżdżać bez przeszkód z tego wielkiego kraju, jakim jest Hiszpania, mimo że w Europie jest wojna; właśnie dlatego, że jest wojna, dzięki której mogę przeprowadzać drobne transakcje.

– Jak sęp nad ścierwem?

– Tak, Ekscelencjo: wyrażę niezmierną wdzięczność w formie przedmiotów i obiektów jeszcze cenniejszych niż ta punicka terakota, za odpowiedni dokument wystawiony na moje nazwisko.

– Katalonia uduchowiona, dynamiczna, przedsiębiorcza, od której tak wiele może się nauczyć reszta Hiszpanii.

– Ja jestem zwykłym handlowcem. Ale mogę dostarczyć wiele radości. No właśnie, bez restrykcji terytorialnych, jakbym był dyplomatą. Nie, nie obawiam się o swoje bezpieczeństwo: zawsze wiem, do których drzwi zapukać.

– Usytuowana na dziobie – że tak powiem – wielkiego okrętu, który zmierza ku nowym horyzontom.

– Dziękuję, Ekscelencjo.

– Pod przewodnictwem Franco, naszego ukochanego Wodza, te horyzonty, niegdyś poczerńiałe i upodłone, teraz, w świetle promienistego poranka, znalazły się w naszym zasięgu.

– Niech żyje Franco, Ekscelencjo.

– Wolę gotówkę niż figurki, panie Ardèvol.

– Zgoda. Niech żyje Hiszpania. – I do podpułkownika Anselma Taboady Izquierdo, kilka tygodni później, w jego gabinecie bez książek: – Mam zadzwonić do Jego Ekscelencji gubernatora cywilnego?

Podpułkownik Anselmo Taboada zawahał się. Wtedy Feliks Ardèvol powtórzył jestem też zaprzyjaźniony z kapitanem generalnym. Czy teraz pan wreszcie kojarzy niejakiego Lorenzo?

Moment: w ciągu jednej sekundy podpułkownik przywołał na twarz szeroki uśmiech i powiedział ach, Lorenzo? Ależ proszę, proszę usiąść!

– Już siedzę.

Wystarczyło piętnaście minut rozmowy. Uśmiech zniknął z twarzy i po krótkich pertraktacjach podpułkownik Anselmo Taboada Izquierdo musiał się poddać, a Feliks Ardèvol podwoił swoją prowizję za kolejne trzy operacje i jeszcze uzyskał premię na koniec roku w wysokości

– Zgoda – pospiesznie zgodził się Anselmo Taboada. – Zgoda.

– Niech żyje Franco.

– Niech żyje.

– Będę milczeć jak grób, panie podpułkowniku.

– Tak będzie najlepiej. Dla pańskiego dobra, ma się rozumieć.

Nigdy już nie zobaczył rachitycznego mężczyzny z parasolem zamiast kapelusza, który przedstawiał się jako Abelardo, a teraz najprawdopodobniej trafił do kazamatów zawodowej niekompetencji. Natomiast Ardèvolowi udało się pozyskać kolegów nowego znajomego, w randze majora i kapitana, też z intendentury, a do tego jeszcze jednego sędziego i trzech przedsiębiorców, którzy mu przekazywali swoje oszczędności, żeby je ulokował w bezpiecznym miejscu, na wysoki procent. Zdaje się, że ten proceder trwał cztery czy pięć lat, podczas wojny w Europie i tuż po jej zakończeniu, powiedział Maks. W tym czasie zdążył się narazić wielu wojskowym i frankistowskim politykom, zasobnym w gotówkę. Może z tego powodu opanowała go mania rewanzu i postanowił złożyć donos na czterech czy pięciu profesorów uniwersyteckich.

Tak to wyglądało, najdroższa: zarabiał na wszystkich, a to, co zarobił, wydawał na nowe nabytki do swojego sklepu albo na rękopisy do prywatnej kolekcji... Najwyraźniej miał szósty zmysł, który mu pozwalał rozpoznać, kogo można przekupić, a kogo bezkarnie zniszczyć, bo ma zbyt wiele do ukrycia i za bardzo się boi. Maks powiedział mi, że wiedzieliście o wszystkim, bo jeden z waszych wujków, Epstein z Mediolanu, padł jego ofiarą. Przez oszustwa mojego ojca popełnił samobójstwo. To wszystko było jego dziełem, Saro. A matka wolała o niczym nie wiedzieć. Maksa dużo kosztowała ta szczerość, ale się przemógł i opowiedział wszystko do końca, żeby wreszcie się od tego uwolnić. A teraz ja zrobiłem to samo, wyrzucając z siebie ten sekret, który znałem tylko w połowie. Maks dokończył dlatego śmierć twojego ojca...

– Co sugerujesz, Maks?

– U nas się mówiło, że jeśli ktoś miał z nim jakiegokolwiek porachunki, frankistowska policja nie interweniowała.

Nie odzywali się przez chwilę, popijając wino, patrząc w pustkę, zastanawiając się, czy warto było podejmować temat.

– Ale ja... – odezwał się Adrian po dłuższej chwili.

– Owszem, zgoda. Ty nie miałeś z tym nic wspólnego. Ale on doprowadził do bankructwa rodzinę kuzyna moich rodziców. Do bankructwa i do śmierci.

- Nie wiem, co powiedzieć.
- Nie musisz nic mówić.
- Teraz lepiej rozumiem twoją matkę. Ale ja kochałem Sarę.
- Capuletti i Montecchi, Adrianie.
- Mogę jakoś naprawić zło spowodowane przez ojca?
- Możesz spokojnie dokończyć to wino. Co chcesz naprawiać?
- Ty nie jesteś do mnie uprzedzony.
- Moja siostra cię kochała, to wszystko zmienia.
- Ale jednak uciekła do Paryża.

– Bo była bardzo młoda. Rodzice zmusili ją do tego wyjazdu: jak się ma dwadzieścia lat, człowiek nie potrafi... Zrobili jej pranie mózgu. Po prostu.

Znowu zapadła cisza i pokojem zawładnęło morze, szum fal, krzyki mew, słony smak powietrza.

Tysiąc lat później:

- I znowu, kiedy się poróżniliśmy, uciekła ode mnie. Tym razem do Cadaqués.
- Płakała całymi dniami.
- O tym mi nie wspominałeś!
- Bo mi zabroniła.

Adrian dopił wino i pomyślał, że do obiadu znów trzeba będzie pić. Usłyszeli gong, taki jak na dziewiętnastowiecznych parowcach, i Maks wstał, zdyscyplinowany.

– Będziemy jeść na tarasie. Giorgio bardzo nie lubi czekać, gdy jedzenie jest gotowe.

– Maks. – Maks się zatrzymał, z tacą z kieliszkami w rękę. – Czy Sara coś o mnie mówiła, kiedy była tutaj?

- Nakazała mi absolutną dyskrecję.
- Zgoda.

Wychodząc z pracowni, Maks się odwrócił i powiedział moja siostra kochała cię do szaleństwa. – Mówił cicho, żeby nie usłyszał ich Giorgio. – Dlatego nie mogła się pogodzić z tym, że nie zrobiłeś nic, żeby zwrócić skradzione skrzypce. To jej dało do myślenia. Rozumiesz?

O mój Boże, najdroższa.

- Adrian?
- Tak?
- Gdzie jesteś?

Adrian spojrzał na doktora Dalmau i zamrugał powiekami. Popatrzył na obraz Modiglianiego, w jaskrawożółtej tonacji, który cały czas, podczas trwania wizyty, miał w zasięgu wzroku.

- Tak, słucham? – powiedział, zdezorientowany, wracając na ziemię.
- Zdarza ci się tracić kontakt ze światem?
- Mnie?

- Przez dobrą chwilę byłeś... nieobecny.
- Zamyśliłem się – Adrian próbował się usprawiedliwić.

Doktor Dalmau patrzył na niego z powagą i Adrian zmuszony był odpowiedzieć tak, często się odrywam od rzeczywistości. Wszyscy mi mówią, że jestem roztargnionym uczonym. – Wyciągając oskarżycielsko w kierunku gospodarza palec: – Ty również.

Doktor Dalmau lekko się uśmiechnął, a Adrian dalej trzymał się stereotypu:

- No, może nie uczonym. Ale z każdym dniem moje roztargnienie rośnie.

Rozmawialiśmy o dzieciach doktora Dalmau, to jego stały temat, podzielony na części. Z młodszym, Sergiem, żadnych problemów, ale Alicja... A ja miałem wrażenie, że spędziłem kilka miesięcy w gabinecie przyjaciela. Kiedy już się zbierałem do wyjścia, wyciągnąłem z teczki egzemplarz eseju *Llull, Vico i Berlin*, żeby mu ofiarować z autografem. Dla Joana Dalmau, który czuwa nad moim

zdrowiem, od kiedy zaliczył Anatomię II. Z wyrazami wdzięczności.

– Dla Joana Dalmau, który czuwa nad moim zdrowiem, od kiedy zaliczył Anatomię II. Z wyrazami wdzięczności. Barcelona, wiosna 1998. – Spojrzał na niego zadowolony. – Dzięki, stary. Wiesz, że bardzo cię cenię.

Wiedziałem, że doktor Dalmau nie czyta moich książek. Trzymał je w karnym porządku na górnej półce regału w swoim gabinecie. Na lewo od Modiglianiego. Ale nie dawałem mu ich po to, żeby czytał.

– Dziękuję, Adrianie. – Wskazał książkę. Wstaliśmy obaj.

– Nie ma pośpiechu – dodał – ale chciałbym cię dokładnie zbadać.

– Ach tak? Gdybym wiedział, że masz takie zamiary, nie przyniósłbym ci książki.

Pożegnali się w dobrym nastroju. Aż trudno uwierzyć, ale nastoletnia córka doktora nadal wisiała na telefonie, mówiąc dziewczyno, jasne, że to skończony cham, mówiłam ci to z tysiąc razy!

Nocne ulice dzielnicy Vallcarca powitały mnie wilgocią. Nieliczne samochody niefrasobliwie rozpryskiwały wodę z kałuży. Skoro nie potrafiłem wyjaśnić przyjaciołom, w jakim jestem stresie, nie było dla mnie ratunku. Minęło sporo czasu od twojej śmierci, kiedy przyjechałaś, żeby ze mną porozmawiać, a ja jeszcze się z nią nie pogodziłem. Żyję jak rozbitek uczepiony zmurszałej deski; nie potrafię żeglować w żadnym kierunku. Jestem zdany na byle podmuch wiatru i myślę o tobie, zastanawiając się, czy nie mogło być inaczej, myślę o tysiącu utraconych szans na to, by okazać ci więcej czułości.

Wtedy we wtorek w Vallcarce, w strugach deszczu, bez parasola, zrozumiałem, jakim jestem dziwolągiem. Albo jeszcze gorzej: że ja sam jestem pomyłką, zaczynając od tego, że przyszedłem na świat w niewłaściwej rodzinie. Wiem już, że nie mogę przerzucać na żadne bóstwa, przyjaciół czy lektury ciężaru moich myśli i odpowiedzialności za czyny. Ale dzięki Maksowi nie tylko dowiedziałem się więcej o moim ojcu, usłyszałem też coś, co mnie trzyma przy życiu: że kochałaś mnie do szaleństwa. Mea culpa, Saro. Confiteor.

...usque ad calcem

Starajmy się wejść w śmierć z otwartymi oczami...[\[3\]](#)

MARGUERITE YOURCENAR

Za dużo letalnych zbiorów mamy w domu, przekręcił kiedyś Adrian niewyraźne słowa ojca. Zbojętniało mu Dzieło Stworzenia, nie zwracał uwagi na grzbiety książek. W pracy stracił zapał do prowadzenia zajęć, bo cała jego energia wyczerpywała się w gabinecie, gdzie przesiadywał przed autoportretem Sary i rozważał twoją tajemnicę, najdroższa. Albo podziwiał w milczeniu obraz Urgella w jadalni, jakby chciał się stać niemożliwym świadkiem ucieczki słońca za horyzont od strony Trespui. Rzadko i niechętnie sięgał do pliku papierów na biurku, a wtedy wzdychał, dopisywał parę linijek lub odczytywał, nastawiony sceptycznie, to, co napisał poprzedniego dnia lub tydzień wcześniej, z bólem uznając to za nieistotne. Ale nie umiał się powstrzymać. Bo stracił wszystko, nawet apetyt.

– Adrianie, niech mnie pan posłucha.

– Tak?

– Od dwóch dni nic pan nie je.

– Proszę się nie przejmować: nie mam apetytu.

– Jak mam się nie przejmować.

Caterina weszła do gabinetu, wzięła go za ramię i zaczęła ciągnąć.

– Co pani robi? – odezwał się Adrian podniesionym głosem, zaskoczony.

– Może pan sobie krzyczeć. Natychmiast idziemy do kuchni.

– Ejże! Zostaw mnie w spokoju, kobieto! – bronił się oburzony Adrian Ardèvol.

– Nie. Proszę mi wybaczyć, ale nie. – Caterina krzyczała, oburzona jeszcze bardziej niż on: – Czy widział pan siebie w lustrze?

– Nie ma potrzeby.

– Idziemy, bez dyskusji – ucięła ostrym, zdecydowanym tonem.

On był Chaimem Epsteinem, a Mała Lola Hauptsturmführerem, który zabierał go do baraku dwadzieścia sześć, wbrew rozkazom Sturmbannführera Barbera, bo ktoś wymyślił świetną zabawę z polowaniem na króliki. Hauptsturmführer Katharine zabrała go do kuchni, gdzie zamiast pół tuzina przerażonych węgierskich kobiet czekała na niego zupa z ryżem i makaronem oraz filet z dwiema połówkami pomidora. Hauptsturmführer Katharine posadziła go przy stole i Chaim Ardèvol po raz pierwszy od kilku dni poczuł głód i zabrał się do jedzenia, z pochyloną głową, jakby bał się narazić na reprimendę Hauptsturmführera.

– Świetna – ocenił zupę.

– Jeszcze trochę?

– Tak. Dziękuję.

Podczas kolacji Katharine w czapce z daszkiem, pod którym ukrywała oczy, stała przy nim, uderzając pałką o cholewy wygłancowanych oficerek, pilnując, żeby więzień się nie wymknął. Udało się jej nawet wcisnąć mu jogurt na deser. Kiedy skończyli, więzień powiedział dziękuję, Mała Lolu, wstał i wyszedł z kuchni.

– Caterina.

– Caterina. Czy pani nie powinna być teraz w swoim domu, o tej porze?

– Tak. Ale nie chciałam zastać tu pana jutro gdzieś w kącie, zeschniętego na wiór.

– Przesada.

– Nie, proszę pana. Jak wiór: bardziej martwy niż Morze Martwe.

Adrian wrócił do gabinetu, bo był przekonany, że jego problem bierze się z braku wiary w sens zapisanych papierów. Za dużo spraw jak na jedną osobę. Tak mijały dni. I miesiące. Powoli, bez końca.

Aż wreszcie pewnego dnia usłyszał energiczne splunięcie i zapytałem czego chcesz, Carsonie.

– Dałbyś już sobie spokój, co?

– Jak mam dać sobie spokój, skoro czuję się...

– Jak się czujesz?

– Sam nie wiem.

– Hauk.

– Tak, słucham.

– Jeśli wolno mi się wtrącić...

– No już, mów, Czarny Orle.

– Wiatr nad bezkresnym stepem dobrze by zrobił twojej udręczonej duszy.

– Tak. Myślałem nawet o podróży, ale nie wiem, dokąd i po co.

– Wystarczy, żebyś przyjął zaproszenie do Oksfordu, Rennes, Tybingi i co tam jeszcze.

– Konstancja.

– No właśnie.

– Macie rację.

– Łupy będą obfite, jeśli szlachetny wojownik z otwartą pierśią dzielnie podejmie nowe wyzwania łowieckie i wojenne.

– Zrozumiałem, dziękuję. Dziękuję wam obu.

Zastosowałem się do sugestii moich doradców i przewietrzyłem się na bezkresnych stepach Europy, szukając nowych wyzwań. Potrzeba pisania wróciła nieśmiało, z wahaniem, może dzięki podróżom i zachętom, jakich mu udzielali ci, którzy pytali kiedy opublikujesz nową książkę, Ardèvol.

W końcu przejrzał plik jednostronnie zapisanych kartek, do których nie miał przekonania. Straciłem cały animusz. Nie wiem, gdzie jest zło, i nie umiem wyjaśnić moich agnostycznych wątpliwości. Brak mi narzędzi filozoficznych, żeby iść dalej w tym kierunku. Upieram się przy szukaniu korzeni zła, ale wiem, że nie znajdę ich w pojedynczym człowieku. Może w całej ludzkości? Czyżby zło było owocem perwersyjnej woli ludzkiej? A może jest całkiem inaczej: może pochodzi od Diabła, który zaszczepia je w ludziach według swego widzimisię, jak, zdaje się, uważał biedny Matthias Alpaerts z załzawionymi oczami. Problem w tym, że Diabeł nie istnieje. A Bóg, gdzie się podziewa? Surowy Bóg Abrahama, niepojęty Bóg Jezusa, Allah okrutny i kochający... Trzeba by o to zapytać ofiary każdego perwersyjnego czynu. Gdyby Bóg istniał, jego obojętność na konsekwencję zła byłaby czymś skandalicznym. Co na ten temat mają do powiedzenia teologowie? Choćby uciekali w poezję, prędzej czy później dochodzą do nieprzekraczalnej granicy: zło absolutne, zło relatywne, zło fizyczne, zło moralne, zło winy, zło cierpienia... O mój Boże. Te rozróżnienia byłyby śmieszne, gdyby nie fakt, że następstwem zła jest cierpienie. A klęski żywiołowe, czy one też są złem? Są innym rodzajem zła? A cierpienie, które wywołują, to inny rodzaj cierpienia?

– Hauk.

– Co.

– Pogubiłem się.

– Ja też, Czarny Orle – wyszeptał Adrian, patrząc na stos kartek zapisanych starannym, nieczytelnym pismem. Wstał i przeszedł się po gabinecie, żeby uporządkować myśli. Wiesz, na czym polegał mój problem, Saro? Że zamiast myśleć, krzyczałem. Że zamiast myśleć, płakałem lub śmiałem się, a tak nie można prowadzić badań. I wtedy przypomniałem sobie siedem, dwa, osiem, zero, sześć, pięć.

Żeby zaspokoić ciekawość, otworzyłem sejf ojca, do którego nie zaglądałem od lat. Siedem, dwa, osiem, zero, sześć, pięć. Nie pamiętałem już, co tam było. Znalazłem kilka kopert z różnego rodzaju dokumentacją, na pewno całkiem bezużyteczną, po ojcu i po matce: rewersy sprzed tysiąca lat, pospieszne notatki, które przestały być pilne pięćdziesiąt lat później. Były też akcje i papiery wartościowe, które odłożyłem do konsultacji z adwokatem, żeby zdecydował o ich losie. Osobno,

w niebieskiej teczce, leżało smutne i zapomniane pismo w języku aramejskim, list od ojca sprzed nazbyt wielu lat, przebrzmiałe, spóźnione przesłanie. Gdyby on się teraz dowiedział, że w końcu pozbyłem się Viala, zwymyślałby mnie i wymierzył porządnego kuksańca. W tej samej teczce znalazłem inny samotny talizman: list Isaiaha Berlina, efekt spisku Bernata. Dziękuję, Bernat, przyjacielu, który, jeśli wszystko dobrze pójdzie, przeczytasz te kartki wcześniej niż inni i będziesz mógł wyeliminować tę pożegnalną wylewność.

Było jeszcze coś w głębi. Koperta Kodaka. Otworzyłem ją z zainteresowaniem – były tam zdjęcia, które zrobiłem storioniemu w dniu, kiedy go zwróciłem Matthiasowi Alpaertsowi. Nie pamiętałem, że zaraz po wywołaniu odłożyłem wszystko do sejfu. Wtedy, podobnie jak teraz, jedna myśl zaprzętała mi głowę: czy nie popełniłem piramidalnego głupstwa, dając się uwieść opowieścią zbyt dramatyczną, żeby mogła być prawdziwa. Oglądałem zdjęcia jedno po drugim; pochodziły z czasów, kiedy opatrywało się je datą miesięczną i roczną. Patrzyłem na kolejne ujęcia skrzypiec: płyta górna i dolna, boczek, piękny ślimak i efy, i jeszcze zdjęcie, które zrobiłem, zaglądając przez efę do środka: słabo widoczny napis Laurentius Storioni Cremonensis me fecit. Uff. Wziąłem następne zdjęcie i aż otworzyłem usta ze zdumienia: zobaczyłem twoje odbicie w lustrze szafy. Rodzaj autoportretu, pewnie zrobiłaś je z myślą o przyszłym rysunku. Dwa lata wcześniejsze niż pozostałe. Zapomniałaś o nim? A może włożyłaś kliszę do aparatu i czekałaś, aż się skończy, żeby zanieść do wywołania? Było jeszcze parę innych zdjęć, też zrobionych przez ciebie. Adrianowi oczy zaszyły mgłą i musiał się bardzo starać, żeby się nie rozkleić. To on był fotografowanym obiektem, przy pracy, przy pisaniu, z głową pochyloną nad biurkiem. Zdjęcie zrobione z ukrycia, kiedy nie rozmawialiśmy ze sobą. Gniewałaś się na mnie i byłaś zła, ale jednocześnie ukradkiem mnie sfotografowałaś. Teraz uświadamiam sobie coś, nad czym nigdy wcześniej się nie zastanawiałem: że nasza kłótnia musiała zadać ci więcej bólu niż mnie, bo to ty ją wywołałaś. Może wylew był spowodowany udręką życia pod presją?

Kolejne zdjęcie przedstawiało grafikę na sztalugach w jej pracowni. Grafikę, której nigdy wcześniej nie widziałem, o której Sara nigdy nie wspominała. Ocalała tylko na tym zdjęciu, bo oryginał na pewno podarłaś na tysiąc kawałków. Biedactwo. Trudno mi było powstrzymać łzy. Postanowiłem, że jeśli tylko znajdę negatyw, jutro pójdę zrobić powiększenia. Obejrzałem je pod lupą. Było na nim sześć szkiców, sześć przymiarek do jednej twarzy. Sześć rysunków, coraz bardziej szczegółowych, przedstawiających niemowlę, en face i z boku. Nie wiedziałem, czy były to rysunki z natury, czy ćwiczenie pamięci, wspomnienie twarzy Claudine, na tyle, na ile mogła ją zapamiętać. A może z zimną krwią rysowała martwe dziecko. Przez cały czas to zdjęcie leżało w sejfie obok innych. Świadectwo twojego bólu. Po przeżyciu dramatu zdobyłaś się na to, żeby go zarejestrować; nie zdawałaś sobie sprawy, jak silna jest ta potrzeba. Pomyśl choćby o Celanie. O Primo Levim. Rysowanie, podobnie jak pisanie, jest ponownym przeżywaniem. W tym momencie odezwał się na wiwat przeklęty telefon i zadrzałem; naprawdę od razu poczułem się gorzej. Opanowałem się i zgodnie ze wskazówkami doktora Dalmau zmusiłem się do ciężkiego obowiązku podniesienia słuchawki:

– Słucham.

– Hej, Adrian. To ja, Maks.

– Cześć.

– Jak się masz?

– Dobrze. – Pięć sekund. – A ty?

– Dobrze. Słuchaj: nie miałbyś ochoty na degustację w Prioracie?

– No, no...

– Udało mi się napisać książkę... Z dużą liczbą zdjęć, nie taka jak twoje.

– O czym?

– O wyczuciu smaku...

– Musi być trudno opisać tak ulotne wrażenie.

– Poeci to potrafią.

Teraz go zapytam, co wie o Claudine i o cierpieniu Sary.

– Maks Voltes-Epstein, poeta wina.

– Miałbyś ochotę?

– Słuchaj. Chciałbym cię o coś zapytać... – Przeciągnął ręką po łysej czaszce i w porę zdążył się powstrzymać. – No, dobrze, to kiedy?

– W ten weekend, w ośrodku Quim Soler.

– Przyjedziesz po mnie?

– Czemu nie.

Maks odłożył słuchawkę. Nie miał prawa grzebać w życiu tak pogodnego faceta jak Maks. Może w ogóle nic o tym nie wiedział. Bo Sara mogła mieć tajemnice przed wszystkimi. Jaka szkoda: pomógłbym ci nieść ten ciężar. Jakie to pretensjonalne. Chciałem być twoją ostoją, ale nie mogłem; za mało o tobie wiedziałem. Jeśli w ogóle, to może ochroniłem cię przed paru nieistotnymi mżawkami, ale nie zaoszczędziłem ci żadnej gwałtownej burzy.

Zapytałem doktora Dalmau, w jakim tempie będzie postępował proces, jak bardzo powinienem się spieszyć, na ile to jest pilne, rozumiesz?, a on zacisnął usta, próbując się skupić.

– Każdy przypadek jest inny.

– Mnie, oczywiście, interesuje mój przypadek.

– Trzeba zrobić badania. Teraz mamy tylko symptomy.

– To naprawdę nieodwracalne?

– Na obecnym etapie rozwoju medycyny, tak.

– Co za skurwysyństwo.

– Owszem.

Zamilkli. Doktor Dalmau spojrział na przyjaciela siedzącego po przeciwnej stronie biurka w jego gabinecie. Adrian jeszcze nie zwiesił głowy; myślał gorączkowo i bronił się przed hipnotyczną siłą żółci Modiglianiego.

– Nadal pracuję. Dobrze mi się czyta.

– Sam przyznajesz, że masz niczym nieuzasadnione luki w pamięci. Że urywa ci się film. Że...

– Tak, tak, tak... Ale to się zdarza wszystkim starym.

– Obecnie sześćdziesiąt dwa lata to nie starość. Miałeś wiele ostrzeżeń. Wielu nawet nie zauważyłeś.

– Powiedzmy, że to trzecie ostrzeżenie. – Cisza. – Możesz mi podać jakiś termin?

– Nie znam żadnego. Nie ma konkretnej daty; to proces, który będzie się toczył w swoim tempie, różnym w każdym indywidualnym przypadku. Zastosujemy terapię. Ale powinieneś... – Zamilkł.

– Co powinienem?

– Powinieneś podjąć decyzje.

– Co masz na myśli?

– Powinieneś uporządkować... swoje sprawy.

– Myślisz o testamencie?

– No... Nie wiem... Nie masz nikogo, prawda?

– Wiesz, mam przyjaciół.

– Nie masz spadkobiercy, Adrianie. Sam musisz pomyśleć o wszystkim.

– Stary, ale jesteś brutalny.

– Tak. Będziesz musiał kogoś wynająć, żebyś jak najmniej przebywał sam.

– Dobrze, to we właściwym czasie.

– Zgoda. Ale melduj się u mnie co dwa tygodnie.

– Czemu nie – powiedziałem, naśladując Maksa.

Wtedy postanowiłem zrealizować pomysł, który przyszedł mi do głowy podczas tamtej dżdżystej nocy w Vallcarce. Wziąłem owe trzysta kartek, nad którymi tak długo ślęczałem, rozwodząc się na temat zła, równie trudnego do ujęcia w słowach i tajemniczego jak wierzenia, i wykorzystałem odwrotną stronę na rodzaj palimpsestu, rozpoczynając pisanie listu, który teraz, jak mi się wydaje, już kończę, bo dotarłem do *hic et nunc*. Pomimo wysiłków Llorença nie przyzwyczaiałem się do komputera, który przyczał się usłudze na rogu biurka. Te strony to systematyczny zapis chaotycznego toku myśli, w którym więcej jest łez niż atramentu.

Przez wszystkie te miesiące pisałem gorączkowo, mając przed oczami twój autoportret i dwa pejzaże, które mi podarowałaś: twoją własną wizję mojej Arkadii oraz małą apsydę ozdobioną maswerkiem z motywem czteroliścia klasztoru Sant Pere del Burgal. Wpatrywałem się w nie obsesyjnie i znam każdy ich detal, kreskę i cień. Pamiętam wszystkie opowieści, do których mnie zainspirowały. Przed tym ołtarzem utworzonym z twoich rysunków pisałem bezustannie, jakbym uczestniczył w wyścigu pamięci i zapomnienia, którego finał będzie moją pierwszą śmiercią. Pisałem, nie zastanawiając się, przelewając na papier wszystko, co da się ująć w słowa, w nadziei, że ktoś z temperamentem paleontologa – Bernat, jeśli się zgodzi – podejmie się odszyfrowania tekstu, żeby go dać sam nie wiem komu. Może to jest mój testament. Bardzo nieporządny, ale jednak testament.

Zacząłem od słów: „Dopiero wczoraj wieczorem, idąc mokrymi ulicami Vallcarki, zrozumiałem, że przyjście na świat w tej rodzinie było niewybaczalnym błędem”. A kiedy je napisałem, dotarło do mnie, że powinienem zacząć od początku. Na początku zawsze było słowo. Dlatego teraz wróciłem na początek i przeczytałem ponownie: „Dopiero wczoraj wieczorem, idąc mokrymi ulicami Vallcarki, zrozumiałem, że przyjście na świat w tej rodzinie było niewybaczalnym błędem”. Minęło wiele lat od tamtych przeżyć, upłynęło sporo czasu od skreślenia tamtych linijek. Teraz jest inaczej. Jutro już nadeszło.

Po załatwieniu formalności prawnych i notarialnych, po przekazaniu informacji kuzynom z Tony, którzy nie wiedzieli, jak mają mu dziękować za jego zaangażowanie i za wszystko, co robił dla Adriana, Bernat pojechał do Uppsali spotkać się z niejaką Laurą Bayliną.

– Bardzo mi przykro, żal mi Adriana.

– Rozumiem.

– Przepraszam, ale chyba się rozpłaczę.

– Płacz, nie musisz przepraszać.

– Nie. A na czym polega twoja misja?

Dmuchając na gorącą herbatę, Bernat wyjaśnił jej szczegóły testamentu w części, która dotyczyła jej bezpośrednio.

– Obraz Urgella? Ten z jadalni?

– Ach, więc go znasz?

– Tak. Byłam u niego w domu parę razy.

Ile spraw ukrywałeś przede mną, Adrianie. Aż do dziś nie miałem pojęcia o jej istnieniu. Ile spraw ukrywamy przed sobą, choć uważamy się za przyjaciół, pomyślał Bernat.

Laura Baylina była ładną, niską, sympatyczną blondynką. Powiedziała, że musi się zastanowić nad przyjęciem spadku. Bernat zapewnił ją, że to prezent, że nie ma w tym żadnego podstępu.

– Podatki. Nie wiem, czy stać mnie będzie na opłacenie podatków, jeśli przyjmę ten obraz. Podatku czy jak tam się nazywa to, co trzeba uiścić w tej sytuacji. Tu, w Szwecji, musisz najpierw wziąć pożyczkę, przyjmując spadek, zapłacić podatek i sprzedać obraz, żeby zwrócić dług.

Zanim zdążyła wystygnać herbata, Bernat Plensa rozstał się z Bayliną, dając jej czas na przemyślenie decyzji, a sam wrócił do Barcelony tylko po to, żeby załatwić w sekretariacie zwolnienie z dwóch kolejnych prób orkiestry, z powodu ważnych spraw rodzinnych; z niewzruszoną miną stawił czoło sceptycznie nastawionemu kierownikowi i wsiadł do samolotu, żeby po raz drugi w ciągu dwóch miesięcy wylądować w Brukseli.

Udał się prosto do domu spokojnej starości w Antwerpii. W recepcji uśmiechnął się do otyłej kobiety, która jednocześnie obsługiwała komputer i telefon; odczekał, aż skończy rozmawiać, i kiedy odłożyła słuchawkę, upewnił się, rozpluwając się w przesadnych uśmiechach, czy angielski, czy francuski, a kiedy recepcjonistka zdecydowała się na francuski, zapytał o pana Matthiasa Alpaerts. Kobieta spojrzała na niego zaintrygowana. Obserwowała go. Tak właśnie się poczuł: uważnie obserwowany.

– Jak pan powiedział? Kogo pan szuka?

– Pana Matthiasa Alpaerts.

Recepcjonistka zastanawiała się dobrą chwilę. Sprawdziła w komputerze. Przez pewien czas wpatrywała się w ekran. Dwukrotnie odebrała telefon, żeby połączyć z wewnętrznymi numerami, i nadal sprawdzała coś na ekranie. Aż wreszcie skojarzyła: no jasne, Alpaerts! Wcisnęła inny klawisz, spojrzała na ekran, potem na Bernata:

– Pan Alpaerts zmarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

– Coś takiego... Ja...

Już miał wyjść, ale wtedy przyszedł mu do głowy szalony pomysł:

– A mógłbym rzucić okiem na jego kartę?

– Pan nie należy do rodziny, prawda?

- Nie, proszę pani.
- Czy mogę wiedzieć, z jakiego powodu pan się interesuje...
- Chciałem kupić od niego skrzypce.
- Już wiem, kim pan jest! – zawołała, jakby nagle poczuła ulgę.
- Ja?
- Tak. Drugie skrzypce w kwartecie Antygona.

Przez moment Bernat zakosztował sławy. Uśmiechnął się zadowolony.

- Co za pamięć – odezwał się, żeby coś powiedzieć.

– Mam świetną pamięć do twarzy – odpowiedziała. – Ponadto, taki wysoki mężczyzna... –

Przeprosiła nieśmiało: – Ale nie pamiętam pańskiego nazwiska.

– Bernat Plensa.

– Bernat Plensa... – Podała mu rękę. – Liliana Moor. Słyszałam was w Gandawie dwa miesiące temu. Mendelssohn, Schubert, Szostakowicz.

– No proszę... Ja...

– Lubię siadać w pierwszym rzędzie, tuż obok artystów.

– Pani też muzykuje?

– Nie. Jestem tylko melomanką. A do czego był panu potrzebny pan Alpaerts?

– Chodzi o skrzypce... – Przez kilka sekund zbierał myśli. – Chciałbym tylko zobaczyć jego twarz na zdjęciu. – Uśmiechnął się. – Gdyby była pani tak miła, Liliano.

Po paru sekundach wahania panna Moor na cześć kwartetu Antygona odwróciła ekran komputera tak, żeby Bernat mógł go zobaczyć. Zamiast szczupłego mężczyzny z załzawionymi oczami, bujnymi białymi włosami i odstającymi uszami, którego milcząca obecność zelektryzowała go, kiedy spędził trzydzieści sekund w gabinecie Adriana w dniu, kiedy mu przyniósł komputer, na płaskim ekranie widział twarz owszem, smutną, która jednak należała do grubego, łysego mężczyzny, i oczy czarne jak gagat, takie jak u jednej z jego córek, nie pamiętał już, której. O kurwa.

Recepcjonistka odwróciła ekran w swoją stronę, a Bernat tak się zdenerwował, że aż się spocił. Na wszelki wypadek powtórzył wie pani?, chciałem, żeby mi sprzedał swoje skrzypce.

– Pan Alpaerts nigdy nie miał skrzypiec.

– Ile czasu tu spędził?

– Pięć lub sześć lat. – Spojrzała na ekran i poprawiła się: – Siedem.

– Jest pani pewna, że ten mężczyzna na zdjęciu to Matthias Alpaerts?

– Jak najbardziej. Pracuję tu od dwudziestu lat. – Zadowolona: – Pamiętam wszystkie twarze.

Gorzej z imionami.

– Czy miał jakiegoś krewnego, który...

– Pan Alpaerts był sam.

– Nie, ale może jakiś daleki krewny, który...

– Sam. Wymordowali mu całą rodzinę podczas wojny. Byli Żydami. Tylko on ocalał.

– Żadnego krewnego?

– Ciągłe opowiadał swoje dramatyczne przeżycia, biedaczek. Myślę, że w końcu stracił zmysły.

Ciągłe ta sama opowieść, ciągłe poczucie...

– Poczucie winy.

– Tak. Zawsze. Wszystkim. Ta historia stała się sensem jego życia. Żył po to, żeby opowiedzieć, że miał dwie córki...

– Trzy.

– Trzy? No to trzy córki, które nazywały się tak, tak i tak i które...

– Amelietje z włosami jak gagat, Truu z włosami w kolorze leśnych drzew i mała Juliet, w kolorze słońca.

– To pan go znał? – Zrobiła wielkie oczy, zdziwiona.

– W pewnym sensie. Czy dużo ludzi zna tę historię?

– Wielu pensjonariuszy naszego ośrodka. Ci, którzy jeszcze żyją, oczywiście. To się działo dobrych parę lat temu.

– Jasne.

– Najlepiej go naśladował Bob.

– Kto taki?

– Mieszkał z Apaertsem w jednym pokoju.

– Żyje jeszcze?

– Jak najbardziej. Nieźle daje nam w kość. – Ściszyła głos, całkiem już spoufalcona z drugim skrzypkiem z kwartetu Antygona, o wzroście świętego Pawła. – Organizuje nielegalne partyjki domina dla naszych pensjonariuszy.

– Czy mógłbym go...

– Tak. Obchodzę dla pana wszelkie przepisy...

– Dla dobra muzyki.

– No właśnie! Dla dobra muzyki.

W pokoju odwiedzin leżały czasopisma w języku niderlandzkim i jedno po francusku. Była jeszcze jakaś tania reprodukcja Veermera – kobieta przy oknie, która patrzyła zdziwiona na Bernata, jakby miał właśnie wejść do komnaty na obrazie.

Mężczyzna pojawił się po pięciu minutach. Szczupły, z załzawionymi oczami i bujnymi, białymi włosami. Z jego miny Bernat wywnioskował, że go nie rozpoznaje.

– Angielski czy francuski?

– Angielski.

– Dzień dobry.

Bernat miał przed sobą człowieka, któremu tamtego dnia udało się przekonać Adriana... A nie mówiłem, Adrianie, pomyślał. Przecież na kilometr można było wyczuć oszustwo. Nie udusił go od razu, tylko uśmiechnął się i zapytał czy słyszał pan kiedyś o storionim, który nazywa się Vial?

Mężczyzna, zamiast usiąść, zawrócił do drzwi. Bernat udaremnił ten manewr, barykadując wyjście swoim ciałem.

– Pan ukradł mu skrzypce.

– Mogę wiedzieć, kim pan jest?

– Policjantem.

Wyciągnął legitymację Katalońskiej Orkiestry Symfonicznej Miasta Barcelony i uściślił:

– Z Interpolu.

– O mój Boże – westchnął mężczyzna. Usiadł, pokonany. Powiedział nie zrobiłem tego dla pieniędzy.

– Ile pan dostał?

– Pięćdziesiąt tysięcy franków.

– Sporo.

– Nie chodziło o pieniądze. Poza tym to były franki belgijskie.

– Jaki pan miał motyw?

– Matthias Alpaerts zwracał mi głowę przez całe pięć lat, kiedy razem mieszkaliśmy. Dzień w dzień mówił o tych pieprzonych córeczkach i o zakatarzonej teściowej. Mówił o nich codziennie, patrząc w okno, nawet mnie nie dostrzegał. Codziennie. Aż zachorował. I wtedy zjawili się tamci panowie.

– Czyli kto?

– Nie wiem. Z Barcelony. Jeden chudy, jeden młody. Powiedzieli, że wiedzą, jak dobrze umiem go naśladować.

– Jestem aktorem. Emerytowanym, ale aktorem. Gram też na akordeonie i na saksofonie. I trochę na pianinie.

– Zobaczymy, czy rzeczywiście potrafisz go udawać.

Zabrali go do restauracji, nakarmili, upoili białym i czerwonym winem. Patrzył na nich i pytał zdziwiony, czemu nie rozmawiacie z Alpaertsem?

– Marnie z nim. Długo nie pociągnie.

– Co za ulga nie musieć przez chwilę wysłuchiwać o zakatarzonej teściowej.

– Nie żal go panu?

– Matthias twierdzi, że od sześćdziesięciu lat marzy o śmierci. Dlaczego miałbym go żałować, gdyby wreszcie umarł?

– Śmiało, Bob: pokaż, co potrafisz.

Bob Mortelmans zaczął niech pan sobie teraz wyobrazi, że je obiad, ze swoją Bertą, z zakatarzoną teściową i ze swoimi trzema słończkami: z Amelietje, najstarszą, która w tym dniu obchodziła siódme urodziny, z Truu, średnią, z włosami jak heban, i z Juliet, jasną jak słońce. I nagle ni stąd, ni z owąd ktoś wywala drzwi wejściowe i zjawiają się żołnierze, którzy krzyczą raus, raus, a Amelietje pyta co znaczy raus, ojczy?, a ja nie mogłem temu zapobiec i nie zrobiłem nic, żeby je ochronić.

– Doskonale. Wystarczy.

– Ej, ej, ej! Umiem jeszcze więcej...

– Powiedziałem, że doskonale. Chce pan zarobić dużą forszę?

Powiedziałem, że tak, i wsadzili mnie do samolotu, a w Barcelonie przećwiczyliśmy to jeszcze parę razy, różne warianty; ale zawsze to była ta sama historia tego pierdoły Matthiasa.

– A pański przyjaciel tymczasem leżał chory w łóżku.

– Nie był moim przyjacielem. Był jak zdarta płyta. Kiedy wróciłem do Antwerpii, już nie żył. – Chcąc nadać lżejszy ton rozmowie z wysokim policjantem: – Jakby za mną tęsknił, rozumie pan?

Tamten się nie odezwał. Bob Mortelmans spróbował podejść do drzwi. Bernat, nie ruszając się z krzesła, z kamienną twarzą powiedział jeśli będzie pan próbował uciec, skręcę panu kark. Zrozumiał pan?

– Mhm. Doskonale.

– Co z pana za kanalia. Skradł mu pan skrzypce.

– Ale on nawet nie wiedział, że ktoś je ma...

– Co z pana za kanalia. Żeby się sprzedać za sto tysięcy franków.

– Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. Za pięćdziesiąt tysięcy. Belgijskich franków.

– Również okradł pan nieszczęsnego Adriana Ardèvola.

– A co to za jeden?

– Ten człowiek z Barcelony, którego pan oszukał.

– Zapewniam pana, że nie zrobiłem tego dla pieniędzy.

Bernat przyglądał mu się zaintrygowany. Kiwnął głową, zachęcając go do mówienia. Ale tamten milczał.

– Więc dlaczego pan to zrobił?

– To była... niezwykła okazja... To była... moja życiowa rola. Dlatego się zgodziłem.

– Otrzymał pan za nią najwyższe w swojej karierze honorarium.

– To też prawda. Ale musiałem się bardzo napracować. Poza tym trzeba było improwizować, bo tamten facet wdał się w rozmowę i poza wygłaszaniem monologów, musiałem na poczekaniu wymyślać kwestie dialogu.

– I co?

– Poradziłem sobie. – Z dumą: – Potrafiłem całkowicie utożsamić się z moją postacią.

Bernat pomyślał teraz go uduszę. Rozejrzał się, czy nie ma świadków. Tymczasem Bob Mortelmans

wrócił do swojej ulubionej roli, zachęcony pełnym podziwu milczeniem policjanta. Grał, trochę szarżując:

– Może dożyłem do dzisiejszego dnia, w którym to panu opowiadam, bo okazałem się tchórzem w dniu urodzin Amelietje. Albo dlatego, że tamtej dżdżystej soboty ukradłem w baraku skórę spleśniałego chleba staremu Mosze z Wilna. Albo dlatego, że niepostrzeżenie usunąłem się na stronę, kiedy Blockführer postanowił nas ukarać i zaczął bić na oślep kolbą karabinu i ten cios, który miał mnie zranić, zabił chłopca, którego...

– Dość już!

Bernat wstał i Bob Mortelmans był przekonany, że zaraz go uderzy. Skulił się na krześle, zdecydowany współpracować z agentem z Interpolu i odpowiadać na wszystkie pytania.

Bernat powiedział otwórz usta. Adrian otworzył je tak jak Llorenç, kiedy miał roczek. Wsunął mu łyżkę do buzi, mówiąc o, jaka smaczna kaszka, prawda? Adrian popatrzył na niego bez słowa.

– O czym myślisz?

– Ja?

– Ty.

– Nie wiem.

– Kim jestem?

– No, tym tam.

– Zjedz jeszcze jedną łyżkę. Śmiało, otwórz usta, to już ostatnia. No, bardzo dobrze.

Otworzył pojemnik z drugim daniem i powiedział o, świetnie, gotowany kurczak. Na pewno lubisz.

Adrian obojętnie patrzył na ścianę.

– Kocham cię, Adrianie. I nie będę ci truł o skrzypcach.

Patrzył na niego spojrzeniem Gertrudy czy może raczej spojrzeniem Sary, w którym Adrian chciał widzieć wzrok Gertrudy. Albo spojrzeniem, w którym Bernat dostrzegał Sarę patrzącą na Adriana wzrokiem Gertrudy.

– Kocham cię – powtórzył Bernat. Wziął na widelec smętny kawałek bladego kurzego udka ze słowami och, jakie to smaczne, jakie smaczne. No już, otwórz buzię, Llorenç.

Kiedy skończyli kolację, przyszedł Jonatan po tacę i zapytał chcesz się położyć do łóżka?

– Ja się tym zajmę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Świetnie; gdyby potrzebna była pomoc, proszę tylko gwizdnąć.

Kiedy zostali sami, Adrian podrapał się po łysinie i odsapnął. Bezmyślnie wpatrywał się w ścianę. Bernat sięgnął do teczki po książkę.

– Problem zła – przeczytał tytuł. – Adrian Ardèvol.

Adrian spojrzał mu w oczy, a potem rzucił okiem na okładkę. Ziewnął.

– Wiesz, co to znaczy?

– Ja?

– Tak. To ty napisałeś. Prosiłeś, żeby tego nie publikować, ale na uniwersytecie przekonali mnie, że jednak warto. Pamiętasz jeszcze?

Cisza. Bernat wziął spłoszonego Adriana za rękę i trzymał tak długo, aż przyjaciel się uspokoił. Wtedy dodał, że redakcją tekstu zajęła się pani profesor Parera.

– Zrobiła kawał dobrej roboty. Przy współpracy Johannesesa Kameneka, faceta, który moim zdaniem pracuje więcej godzin, niż jest na zegarze. I który bardzo cię kocha.

Pogłaskał go po rękę i Adrian się uśmiechnął. Trwało to dobrą chwilę; siedzieli w milczeniu jak dwoje zakochanych. Adrian bezmyślnie rzucił okiem na okładkę książki i ziewnął.

– Przekazałem kilka egzemplarzy twoim kuzynom z Tony. Byli bardzo wzruszeni. Odwiedzą cię przed sylwestrem.

– Bardzo dobrze. A co to za jedni?

– Xevi, Rosa i jeszcze jeden, nie pamiętam imienia.

– Aha.

– Pamiętasz ich?

Za każdym razem, kiedy słyszał to pytanie, Adrian nerwowo cmokał, jakby był zagniewany czy obrażony.

- Nie wiem – przyznał, rozżalony.
- A wiesz, kim ja jestem? – zapytał Bernat, już po raz trzeci tego dnia.
- Ty to ty.
- A jak się nazywam?
- Ty. No, ten tam. Wilson. Jestem zmęczony.
- No to idziemy spać, bo już późno. Zostawiam ci twoją książkę na nocnej szafce.
- Bardzo dobrze.

Bernat chwycił wózek inwalidzki, żeby go przesunąć w stronę łóżka. Adrian odwrócił się, przestraszony. Odezwał się nieśmiało:

- Teraz sam już nie wiem... czy mam spać na wózku, czy w łóżku. A może przy oknie.
- W łóżku, stary. Tam ci będzie najwygodniej.
- Nie, nie, nie: chyba jednak przy oknie.
- Jak sobie życzysz, kochany – powiedział Bernat, prowadząc wózek w stronę łóżka. I jeszcze dodał:
- Wybacz mi, wybacz mi, wybacz.

Obudził go intensywny chłód, który wdzierał się wszystkimi szczelinami okna. Było jeszcze ciemno. Uderzając krzesiwem o krzemień zapalił knot świecy. Włożył habit, na wierzch narzucił podróżną pelerynę i wyszedł na wąski korytarz. Z jednej z cel od strony wzgórza Santa Bàrbara dochodziło słabe światło. Drżąc z zimna i z utrapienia, skierował się w stronę kościoła. Gromnica nad trumną, w której spoczywał ojciec Józef od Świętego Bartłomieja, dopaliła się. Postawił na jej miejscu swoją świeczkę. Ptaki, czując bliski świt, zaczęły śpiewać mimo zimna. Odmówił gorliwie *Ojcze nasz*, w intencji zbawienia duszy biednego ojca przeora. Chybotliwy płomień świecy wprawiał w niesamowity ruch malowidła apsydy. Święty Piotr, święty Paweł i... i... inni apostołowie, Matka Boska i majestatyczny Pantokrator przemierzali się na ścianie, w milczącym, powolnym korowodzie.

Zięby, dzwońce, kosy, wróble i szczygły śpiewały na cześć nowego dnia, tak jak przez całe wieki mnisi śpiewali na chwałę Bożą. Tak jakby zięby, dzwońce, kosy, wróble i szczygły radowała wieść o śmierci przeora klasztoru Sant Pere del Burgal. A może cieszyły się, że jest już w raju ten dobry człowiek. A może ptaki niebieskie nie zawracały sobie głowy takimi sprawami i śpiewały, bo nie umiały robić nic innego. Gdzie jestem. Od pięciu miesięcy żyję we mgle, a czasem zapala się światełko, które mi przypomina, że ty istn

– Bracie Adrianie – usłyszał za sobą. Podniósł głowę. Brat Julian stanął obok niego, trzymając chybotliwą świecę.

- Musimy go pochować zaraz po jutrzni – powiedział.
- Tak, oczywiście.
- Czy już przyszli ludzie z Escaló?
- Jeszcze nie.

Podniósł się z kolan i stanął obok drugiego mnicha, patrząc na ołtarz. Gdzie jestem. Ukrył odmrożone ręce w szerokich rękawach habitu. Zamiast zięb, dzwońców, kosów, wróbli i szczygłów było tylko dwóch mnichów, zasmuconych, bo rozpoczynał się ostatni dzień życia monastycznego w ich klasztorze, po tylu wiekach nieprzerwanego istnienia. Od wielu miesięcy już nie śpiewali; poprzestawali na recytacji, a niewinną radość śpiewu zostawiali ptakom. Zamykając oczy, brat Adrian wyszeptał słowa, którymi przez całe wieki przerywali wielkie nocne milczenie:

- Domine, labia mea aperies.
- Et proclamabo laudem tuam – odpowiedział mu brat Julian, też szeptem.

W tę wigilijną noc, pierwszą bez Missa in Nocte, dwaj świeccy braciszczowie mogli tylko odmówić jutrznię. Deus, in adiutorium meum intende. To był najsmutniejszy poranny śpiew ze wszystkich razem i każdego z osobna setek lat życia monastycznego w Sant Pere del Burgal. Domine, ad adiuvandum me festina.

Spotkanie z Tito Carbonellem nieoczekiwanie się przedłużyło. Kiedy zamawiali, Tito przyznał, że jest tchórzem, bo od ponad roku nie mógł zdecydować się na odwiedziny u zio Adriano w klinice.

– Jeszcze może pan spróbować.

– To ponad moje siły... Trzeba by mieć taki hart ducha jak pan. – Wziął kartę i dał znak kelnerowi: – A właśnie. Chciałem panu podziękować za czas i trud, jaki pan mu poświęca.

– Uważam to za przyjacielski obowiązek.

Tito Carbonell ze znużeniem przeprowadził go przez meandry karty; zamówili i zjedli pierwsze danie, prawie nie odzywając się do siebie. Niezręczna cisza utrzymała się aż do momentu, kiedy opróżnili talerze. To Tito zdecydował się przerwać milczenie:

– A tak właściwie, czego pan ode mnie chce?

– Chcę porozmawiać o Vialu.

– O Vialu? O skrzypcach zio Adriano?

– Tak. Kilka miesięcy temu wybrałem się do Antwerpii, odwiedzić niejakiego Boba Mortelmansa.

Tito zareagował na te słowa wesołym śmiechem:

– Już myślałem, że nigdy się pan nie zdecyduje o nim wspomnieć! – oświadczył. – A jaką część mojej wiedzy miałbym się z panem podzielić?

Odczekali, aż podadzą drugie danie; a wtedy, wobec milczenia Bernata, jego rozmówca, patrząc mu w oczy, powiedział:

– Tak, tak, to był mój pomysł, znakomity, owszem. Ponieważ znam zio Adriano, wiedziałem, że z panem Mortelmannem wszystko pójdzie jak z płatka. – Wymierzył nóż w jego kierunku: – I nie pomyliłem się!

Bernat jadł w milczeniu, patrząc na niego bez słowa. Tito Carbonell mówił dalej:

– Tak, tak, pan Berenguer sprzedał skrzypce Storioniego pierwszemu kupcowi, jaki się nadarzył; owszem, wzbogaciliśmy się; smakuje panu ten dorsz?, prawda, że nigdy nie jadł pan lepszego?, tak, co za szkoda trzymać w zamknięciu takie skrzypce. Wie pan, kto je kupił?

– Kto? – Widać było aż nadto wyraźnie, że pytanie, jak krzyk, wyrwało mu się spod serca.

– Joshua Mack. – Tito czekał na jakąś reakcję Bernata, który dokonywał heroicznego wysiłku, żeby się opanować. – Widzi pan? W końcu trafiły w ręce Żyda. – Zaśmiał się: – Przywróciliśmy sprawiedliwość, no nie?

Bernat policzył do dziesięciu, żeby nie popełnić jakiegoś głupstwa. Wściekły, powiedział tylko czując do pana wstręt. Tito Carbonell zignorował to.

– Jest mi obojętne, co z nimi zrobi Mack. Muszę się panu przyznać, że w całej tej operacji chodziło tylko o pieniądze.

– To ja złożę na pana donos – powiedział Bernat, piorunując go wzrokiem. – Niech pan sobie nie wyobraża, że można mnie przekupić.

Tito Carbonell przeżuł dokładnie to, co jadł, otarł usta serwetką, wypił łyk wina i uśmiechnął się.

– Ja miałbym pana kupować? Pana? – Cmoknął, zde gustowany. – Nie dostanie pan ode mnie ani grosza za milczenie.

– Nie przyjmę. Robię to wszystko w imię przyjaźni.

– Lepiej niech pan tak nie moralizuje, panie Plensa.

– Nie podoba się panu, że mam zasady?

– Nie, skądże znowu. To urocze. Ale niech pan nie zapomina, że ja też swoje wiem.

Bernat spojrział mu w oczy. Tito Carbonell znów się uśmiechnął i powiedział ja też trochę się rozejrzałem.

– Mógłby pan mówić jaśniej?

– Od miesiąca wydawca pracuje nad pańską nową książką.

– Obawiam się, że pan nie ma z tym nic wspólnego.

– Jak to nie? Ja też w niej jestem! Pod innym nazwiskiem, jako postać drugoplanowa, ale jestem.

– Skąd pan wie, że...

Tito Carbonell przechylił się, przybliżył swoją twarz do Bernata i zapytał to powieść czy autobiografia? Jeśli ją napisał zio Adriano, to autobiografia, jeśli pan ją napisał, to będzie powieść. Rozumiem, że zmiany, jakie pan wprowadził, są minimalne... Szkoda, że zmienił pan wszystkie imiona... Trudno będzie rozpoznać, kto jest kim. Jedyne imię, jakie się zachowało, to Adrian. Ciekawe. Ale ponieważ jest pan na tyle bezczelny, żeby przypisywać sobie cały tekst, musimy uznać, że mamy do czynienia z powieścią. – Cmoknął, udając zatroskanie. – I wtedy okaże się, że wszyscy jesteśmy czystą fikcją. Nawet ja! – Obmacywał swoje ciało, kręcąc głową. – Co mam panu powiedzieć? Wkurza mnie to...

Odłożył serwetkę na stół i nagle spoważniał:

– Więc lepiej niech mnie pan nie poucza o zasadach.

Bernat Plensa został z kawałkiem dorsza w ustach, w których nagle mu zaschło. Usłyszał, jak tamten mówi ja sobie przywłaszczyłem tylko połowę zysku ze sprzedaży skrzypiec. A pan zagarnął całą książkę. Całe życie zio Adriano.

Tito Carbonell odsunął krzesło, przyglądając się uważnie Bernatowi. Mówił dalej:

– Wiem, że książka, którą ponoć pan napisał, ma się ukazać za parę miesięcy. Teraz od pana zależy, czy zwołamy konferencję prasową, czy damy sobie spokój.

Rozłożył ramiona, zachęcając, żeby się zdecydował. Ponieważ Bernat nie wykonał żadnego ruchu, mówił dalej:

– Ma pan ochotę na deser? – Pstryknął palcami na kelnera. – Podają tu rewelacyjny pudding.

Bernat wszedł do sali cinquantaquattro, kiedy Wilson zakładał właśnie nowe adidasy Adrianowi, siedzącemu w wózku inwalidzkim.

– Proszę spojrzeć, jaki z niego przystojniak – powiedział pielęgniarz.

– Faktycznie. Dziękuję, Wilson. Cześć, Adrian.

Adrian nie zareagował. Wydawało się, że się uśmiecha. W pokoju nie zauważył żadnych zmian, mimo długiej nieobecności.

– Przyniosłem ci to – powiedział.

Wręczył mu grubą książkę. Adrian wziął ją do ręki lekko spłoszony. Patrzył na Bernata, nie wiedząc, co ma z nią począć.

– To ja napisałem – powiedział. – Jeszcze pachnie farbą drukarską.

– Świetnie, świetnie – odpowiedział Adrian.

– Możesz ją sobie zatrzymać. I wybac mi, wybac mi, wybac.

Adrian, widząc, że nieznajomy zwiesił głowę ze łzami w oczach, sam się rozplakał.

– Czy to moja wina?

– Nie, skądże. Płaczę, bo... Z różnych powodów, no wiesz.

– Przepraszam. – Patrzył na niego zmartwiony. – Proszę pana, niech pan nie płacze.

Bernat wyciągnął z kieszeni pudełko i wyjął z niego płytę CD, którą włożył do odtwarzacza. Ujął dłonie Adriana i powiedział: posłuchaj, to twoje skrzypce. Prokofiew. Drugi koncert. Słysząc było lament, jaki Joshua Mack wydobywał ze storioniego Adriana. Siedzieli zasłuchani przez dwadzieścia siedem minut, trzymając się za ręce, aż nagranie w sali koncertowej skończyło się burzą oklasków.

– Daję ci tę płytę w prezencie. Powiedz Wilsonowi, że jest twoja.

– Wilson!

– Nie trzeba, nie teraz. Sam mu powiem.

– Chłopcze! – upierał się Adrian.

Tak jakby tylko na to czekał, jakby ich podglądał, Wilson wsadził głowę do pokoju:

– Co się dzieje? Wszystko w porządku?

– To tylko... chodzi o to, że przyniosłem mu tę płytę i książkę. Jasne?

– Chce mi się spać.

– Skarbie, przed chwilą cię ubrałem!

– Zrobiłem kupę.

– Ale jesteś upierdliwy. – Do Bernata: – Zostawi nas pan na chwilę? Najwyżej pięć minut.

Bernat wyszedł na korytarz z książką. Skierował się na taras i zajął się przerzucaniem stron. Obok niego stanął jakiś cień:

– Dobra, co? – Doktor Valls mówił o książce. – To pańska, prawda?

– Może...

– Och nie! – przerwał mu lekarz. – Nie mam czasu na czytanie. – Dodał takim tonem, jakby mu groził: – Ale zapewniam pana, że któregoś dnia ją przeczytam. – Starał się być uprzejmy: – Nie znam się zupełnie na literaturze, jednakże poddam książkę bezlitosnej krytyce.

Z tej strony nic mi nie grozi, pomyślał Bernat, patrząc za oddalającym się doktorem. Zadzwoiła komórka. Usunął się w najdalszy kąt tarasu, bo nie wolno było używać telefonów na terenie kliniki.

– Słucham.

– Gdzie jesteś?

- W szpitalu.
- Mam tam do ciebie przyjechać?
- Nie, nie, nie – zareagował nieco zbyt spontanicznie. – O drugiej będę u ciebie.
- Naprawdę nie chcesz, żebym przyjechała?
- Nie, nie, nie... nie trzeba, naprawdę.
- Bernat.
- Słucham.
- Jestem z ciebie dumna.
- Ze mnie... dlaczego?
- Właśnie skończyłam czytać. Wspaniale oddałeś, jak mi się wydaje, charakter twojego przyjaciela...
- Noooo... dzięki, naprawdę. – Opanował się: – O drugiej będę u ciebie.
- Wstawię ryż, jak już będziesz w domu.
- Świetnie, Kseniu. Muszę już kończyć.
- Daj mu całusa ode mnie.

Kiedy się rozłączył i zaczął zastanawiać się nad niemożliwością butelki Kleina, Wilson właśnie wyprowadzał wózek Adriana na taras. Adrian osłonił ręką oczy, jakby oślepiło go słabe słońce.

– Cześć – powiedział Bernat. Do Wilsona: – Podjadę z nim pod glicynię.

Wilson wzruszył ramionami i Bernat pociągnął wózek w stronę kwiatów. Stamtąd widać było spory wycinek Barcelony i morze w tle. Klein. Usiadł i otworzył książkę na ostatnich stronach. Przeczytał: Minęło wiele lat od tamtych przeżyć, upłynęło sporo czasu od skreślenia tamtych linijek. Teraz jest inaczej. Jutro już nadeszło.

I po co ja ci to wszystko opowiadam? Bo gdyby brat Michał nie miał wyrzutów sumienia, wywołanych okrucieństwem świętego inkwizytora, gdyby nie uciekł i nie przeistoczył się w brata Juliana, tego od skrzydlaków klonu w kieszeni, to Guillaume-François Vial nie sprzedałby storioniego za astronomiczną cenę rodzinie Arcan.

- To storioni.
- Nic mi to nie mówi.
- Niech mi pan nie wmawia, że nigdy nie słyszał o Laurencie Storionim!
- Nie.
- U którego zaopatruje się dwór z Bawarii i Weimaru – improwizował na poczekaniu.
- Dla mnie jest nikim. Nie ma pan czegoś z warsztatu Cerutiego czy Pressendy?
- Na litość boską! – ostentacyjnie zgorszył się Monsieur Vial. – Przecież Pressenda uczył się zawodu razem ze Storionim!
- Albo Stainera?
- Nie mam teraz żadnego z nich. – Wskazał skrzypce leżące na stole. – Zostawiam panu na próbę.

Może pan grać do woli, heer Arcan.

Nicolas Arcan ściągnął perukę i ujął skrzypce z grymasem niezadowolenia czy wręcz pogardy, ale też z wielką chęcią, żeby je wypróbować. Smyczek zaczął przemawiać pod zręcznymi palcami skrzypka, który przybierał dziwną posturę w trakcie grania. Zwrócił uwagę na niezwykle brzmienie już od pierwszej nuty. Guillaume-François Vial musiał znieść upokorzenie i wysłuchać, jak flamandzki skrzypek gra z pamięci jedną z sonat znieawidzonego tonton Leclaira, z kamienną twarzą, bo wszak stawką w tej grze była transakcja. Kiedy po godzinie Guillaume-François Vial odbierał skrzypce z rąk Nicolasa Arcana, który ocierał pot z czoła i z łysiny, dałby sobie głowę uciąć, że już go ma w garści.

- Nie. Nie podoba mi się – powiedział skrzypek.
- Piętnaście tysięcy florenów.
- Nie mam zamiaru kupować.

Monsieur Vial wstał i wziął instrument. Ostrożnie włożył go do futerału, na którym widać było jakąś

plamę niewiadomego pochodzenia.

– Mam innego klienta, półtorej godziny drogi od Antwerpii. Wybacz pan, że wyjdę, nie składając osobiście wyrazów uszanowania pańskiej małżonce.

– Dziesięć tysięcy.

– Piętnaście.

– Trzydzieści.

– Czternaście.

– Zgoda, Monsieur Vial. – A kiedy już dogadali się co do ceny, heer Arcan przyznał po cichu: – Ma niezwykle brzmienie.

Vial postawił futerał na stole i znów go otworzył. Zwrócił uwagę na zachłanne oczy heer Arcana, który wyszeptał sam do siebie:

– Jednego jestem pewien: ten instrument dostarczy wielu radości.

Nicolas Arcan zestarzał się przy tych skrzypcach i przekazał je swojej córce, klawesynistce, a ta z kolei siostrzeńcowi, Nestorowi, który komponował słynne obrazki. Nestor zaś swojemu synowi, syn siostrzeńcowi, aż wreszcie po wielu dziesiątkach lat Jules Arcan tak niefortunnie zainwestował na giełdzie, że musiał wyprzedać się z całego majątku. A zakatarzona teściowa mieszkała w Antwerpii, podobnie jak Arcan. Wspaniałe dźwięki, proporcje, kształt, dotyk... Prawdziwe skrzypce z Cremony. I gdyby ojciec miał skrupuły, gdyby Voigt był człowiekiem honoru i nie zainteresował się skrzypcami, gdyby... ja nie mógłbym ci o tym teraz opowiedzieć. Gdybym nie miał storioniego, nie zostałbym przyjacielem Bernata. Nie poznałbym cię przy okazji koncertu w Paryżu. Byłbym kimś innym i nie rozmawiałbym teraz z tobą. Wiem: opowiedziałem ci to wszystko chaotycznie, ale to dlatego, że w mojej głowie też panuje bałagan. Dotarłem do tego miejsca, nie mając właściwie możliwości przejrzenia wszystkiego, co dotychczas napisałem. Nie mam odwagi spojrzeć wstecz, z jednej strony dlatego, że o niektórych sprawach pisałem przez łzy, z drugiej dlatego, że widzę, jak każdego dnia znika z mojej głowy a to jakieś krzesło, a to lustro. Staję się jedną z tych postaci Hoppera, które spoglądają przez okno, czy na przestrzał przez życie, pustym wzrokiem, z posmakiem tytoniu i whisky w ustach.

Bernat przyglądał się Adrianowi, którego zainteresował listek glicynii, na wysokości jego głowy. Po chwili zastanowienia zdecydował się zapytać:

– *Czy kojarzysz to, co ci przeczytałem?*

Adrian zawahał się, zanim mu odpowiedział z poczuciem winy:

– *A powinienem kojarzyć, proszę pana?*

– *Nie: proszę pana; jestem Bernat.*

– *Bernat.*

Ale liść glicynii był o wiele bardziej interesujący. Bernat kontynuował lekturę od miejsca, w którym przerwał; Adrian mówił najdroższa, chcę ci się przyznać do czegoś, co było moją obsesją przez całe życie: po wielu latach spędzonych na rozważaniach o historii kultury ludzkości i próbach opanowania instrumentu, który wiecznie stawiał mi opór, doszedłem do wniosku, że zarówno my wszyscy, jak i nasze uczucia, jesteśmy kurrewskim przypadkiem. Fakty splatają się z czynami i wydarzeniami; my, ludzie, natykamy się na siebie, odnajdujemy się, nie znamy się lub ignorujemy nawzajem też przez przypadek. Przypadek jest wszystkim: a może nic nie jest przypadkiem, może wszystko zostało zaplanowane. Nie wiem, na którą koncepcję się zdecydować, bo obie są prawdziwe. A skoro nie wierzę w Boga, nie mogę też uwierzyć w uprzedni plan, czy go nazwiemy przeznaczeniem, czy jakkolwiek inaczej.

Najdroższa: już późno, jest noc. Piszę przed twoim autoportretem, w którym zachowało się to, co istotne, co świetnie umiałaś uchwycić. I przed dwoma pejzażami mojego życia. Jeden z sąsiadów, chyba Carreres z trzeciego piętra, wiesz, ten wysoki blondyn, zatrząskuje właśnie drzwiami windy, trochę za głośno jak na tę porę. Żegnaj, Carreres. Przez wszystkie te miesiące pisałem na odwrocie rękopisu tekstu, w którym zgłębiałem, bez powodzenia, naturę zła. Strata czasu. Dwustronny papier kredowy.

Na jednej stronie – nieudany esej, na drugiej – opowieść o moich czynach i moich lękach. Opowiedziałem ci tysiące historii z mojego życia, niespójnych, ale prawdziwych. Tak samo, na podstawie domysłów czy mojej imaginacji, mogę mówić o życiu moich rodziców, których nienawidziłem, osądzałem, gardziłem nimi, a teraz trochę za nimi tęsknię.

Ta opowieść przeznaczona jest dla ciebie, żebyś mogła żyć w jakimś miejscu, choćby to było tylko moje opowiadanie. Ja jej nie potrzebuję, bo ja już nie mam jutra. Czuję się jak Anicius Manlius Torquatus Severinus Boethius, który urodził się w Rzymie około roku czterysta siedemdziesiątego piątego, obsypany zaszczytami dzięki życiu poświęconemu studiowaniu filozofii klasycznej; doktoryzowałem się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, a później byłem wykładowcą akademickim na Uniwersytecie Barcelońskim, piętnaście minut spacerkiem od domu. Opublikowałem różne książki, które były owocem mojego głośnego myślenia na zajęciach ze studentami. Wyznaczony do zadań politycznych, które powiodły mnie od sławy do nieszczęścia, zamknięty w więzieniu Ager Calventianus w Pawii, która wtedy jeszcze nie nazywała się Pawią, czekam na wyrok sędziów i wiem, że skazą mnie na śmierć. Dlatego zatrzymuję czas, pisząc *De consolatione philosophiae* i czekając, aż nadejdzie koniec; spisuję te wspomnienia, których nie sposób nazwać inaczej niż właśnie tak. Moja śmierć będzie powolna, nie taka jak Boecjusza. Cesarz, mój zabójca, nie nazywa się Teodoryk, tylko Alzheimer Wielki.

Per mea culpa, per mea culpa, per mea maxima culpa, jak nauczyli mnie mówić w szkole, choć wydaje mi się, że nawet nie jestem ochrzczony. I ozdobili to wszystko niewiarygodną historią o grzechu pierworodnym. Jestem wszystkiemu winny; jeśli trzeba, wezmę też na siebie odpowiedzialność za trzęsienia ziemi, pożary i wszystkie powodzie, jakie zna historia. Nie wiem, gdzie jest Bóg. Ani mój, ani twój, ani Bóg Epsteinów. Poczucie samotności sprawia ból, moja najdroższa, ukochana.

Nie ma zbawienia dla grzesznika. Co najwyżej, przebaczenie pokrzywdzonego. Ale czasem i z przebaczeniem trudno jest żyć. Müss zdecydował się na zadośćuczynienie, nie czekając, aż mu ktokolwiek przebaczy, ani człowiek, ani Bóg. Czuję się winny wielu rzeczy, ale próbowałem żyć mimo wszystko. Confiteor. Ciężko mi się pisze, na przekór zmęczeniu i ośpieniu, bo już zaczynam odczuwać niepokojące zaniki pamięci. Z tego, co mi daje do zrozumienia lekarz, kiedy te strony zostaną wydrukowane, moja najdroższa, ja już będę rośliną niezdolną poprosić nikogo, by już nie z miłości, ale ze współczucia, pomógł mi ze sobą skończyć.

Bernat spojrział na przyjaciela, a ten odwzajemnił mu spojrzenie bez słów. Przez chwilę przeraził się, bo wydawało mu się, że to było spojrzenie Gertrudy. Mimo wszystko czytał dalej, napisałem to z desperackiej potrzeby, żeby cię zatrzymać. Zszedłem do piekieł pamięci, a bogowie pozwolili mi cię wyzwolić pod niemożliwym do spełnienia warunkiem. Teraz rozumiem żonę Lota, która też odwróciła się w niewłaściwym momencie. Przysięgam, że odwróciłem się, żeby przestrzec cię przed tym nierównym stopniem schodów. Bezlitośni bogowie Hadesu zawrócili cię do piekła śmierci. Ukochana, nie potrafiłem cię ocalić, Eurydykę.

– Eurydyko.

– Co?

– Nie, nic, przepraszam.

Bernat nie odzywał się przez parę minut. Zimny pot. Przerazenie.

– Ty mnie rozumiesz?

– Co?

– Wiesz, co ci czytam?

– Nie.

– Naprawdę?

– Chłopczeeee!

– Chwileczkę – Bernat podjął decyzję. – Zaraz wracam. – Bez ironii: – Nie ruszaj się stąd. I nie

wołaj Wilsona, ja zaraz wrócę.

– Wilson!

Z bijącym sercem, z duszą na ramieniu Bernat wtargnął bez pukania do gabinetu lekarza i oświadczył doktorze Valls, on mnie poprawił.

Doktor podniósł głowę znad dokumentu, który właśnie studiował. Minęło parę sekund, zanim przetrwał otrzymaną wiadomość, jakby udzieliło mu się powolne tempo chorych:

– To odruch. – Zjrzał do swoich papierów, potem spojrzął na Bernata. – Pan Ardèvol nie może niczego pamiętać. Teraz już nie. To był czysty przypadek. Na nieszczęście dla nas wszystkich.

– Ale poprawił mi deklinację. Eurydyko zamiast Eurydykę.

– Przypadek. Zapewniam pana, że to był przypadek.

Bernat wrócił do przyjaciela, który cały czas tkwił w kącie przy glicyniach, i powiedział przepraszam cię, Adrian, jestem bardzo przejęty, ponieważ...

Adrian spojrzął na niego z ukosa.

– Czy to jest dobre, czy złe? – odezwał się, lekko spłoszony.

Bernat pomyślał biedny ten mój przyjaciel; przez całe życie rozmyślał i filozofował, a teraz potrafi tylko sformułować pytanie moralne. Czy to jest dobre, czy złe. Jakby całe życie można było sprowadzić do czynienia dobra lub nieczynienia zła. Może ma rację. Nie wiem.

Pomilczeli tak jeszcze chwilę, aż Bernat głośno i wyraźnie podjął przerwana lekturę od słów teraz już dotarłem do końca. To były miesiące intensywnego pisania, rachunek sumienia z całego życia, zdążyłem opowiedzieć wszystko, ale już nie mam siły, by uporządkować opowieść według jakichkolwiek zasad. Doktor mi wyjaśnił, że światło będzie dla mnie gasło powoli, w tempie, które trudno przewidzieć, bo każdy przypadek jest inny. Zdecydowaliśmy, póki jeszcze jestem sobą, że ta, no, jak jej tam, że będzie pracować w pełnym wymiarze, bo ponoć należy mnie pilnować. A niedługo trzeba będzie wynająć dwie inne osoby, na dwadzieścia cztery godziny... Widzisz, na co wydaję pieniądze ze sprzedaży sklepu? Zdecydowałem, że póki będę miał choć cień świadomości, nie rozstanę się ze swoimi książkami. Kiedy już ją utracę, obawiam się, że będzie mi wszystko jedno. Ponieważ ciebie nie ma, nie ty będziesz się mną zajmować; ponieważ Mała Lola odeszła w pośpiechu wiele lat temu... sam musiałem poczynić przygotowania. W klinice w Collserola, blisko mojej ukochanej Barcelony, będą opiekować się moim ciałem, kiedy ja już odejdę do innego świata; nie wiem, czy będzie to świat ciemności. Zapewniają mnie, że nie będę tęsknił za książkami. Jest w tym jakaś ironia losu, że spędziłem całe życie, starając się postępować świadomie; przez całe życie brałem na siebie wszystkie swoje liczne winy i winy całej ludzkości, a w końcu odejdę, nie wiedząc, że odchodzę. Żegnaj, Adrianie. Już teraz się z tobą żegnam, na wszelki wypadek. Rozglądam się wokół, po gabinecie, w którym spędziłem tyle godzin. „Jeszcze chwilę, popatrzmy razem na znane brzegi, na przedmioty, których już zapewne nie zobaczymy... Starajmy się wejść w śmierć z otwartymi oczami...”^[4], mówił cesarz Hadrian przed śmiercią. Maleńka duszyczko. Duszo delikatna i ulotna, Saro, towarzyszeko mojego ciała: pierwsza odeszłaś do miejsc bezbarwnych, mroźnych i pustych. Co za krewstwo. Odkładam pisanie, żeby zatelefonować. Wybieram numer komórki mojego przyjaciela: parę miesięcy temu straciłem z nim kontakt, kiedy odciąłem się od świata, żeby do ciebie pisać.

– Hej! To ja, Adrian. Co tam u ciebie? Cholera, już spałeś? Nie: która to godzina? Co? Czwarta nad ra...? Och, przepraszam!... Coś takiego... słuchaj, chciałem cię prosić o przysługę i wyjaśnić ci parę rzeczy. Tak. Tak. Nie, gdybyś mógł przyjść jutro: no dobrze, dzisiaj. Stary, lepiej, żebyś ty przyszedł do mnie, tak. O dowolnej porze, kiedy ci pasuje, oczywiście. Nigdzie się nie wybieram. Tak, tak. Dziękuję.

Kończę opowiadanie moim hic et nunc, które właśnie przeżywam. To ostatnie zdanie musiałem napisać w czasie teraźniejszym, z prawdziwą przykrością. Już jestem przy końcu mojego tekstu. Na zewnątrz różowe palce jutrenki malują wzory na ciemnym jeszcze niebie. Ręce zdrętwiały mi z zimna. Odsuwam

zapisane strony, kałamarz i piórnik i patrzę przez okno. Co za chłód, co za samotność. Bracia z Gerri nadciągną ścieżką, którą będę stąd widział, kiedy zwycięży jutrzenska. Patrzę na Świętą Skrzynię i myślę sobie, że nie ma nic smutniejszego niż zamknięcie klasztoru, który nigdy nie przestawał wyśpiewywać chwały Bożej. Nie mogę nie czuć się winny tej klęski, najdroższa. Tak, wiem. Wszyscy kiedyś umrzemy... Ale ty, dzięki wspaniałomyślności mojego przyjaciela, który cierpliwie znosił mnie przez tyle lat, ty przetrwasz w tych linijkach; będziesz żyła nadal za każdym razem, kiedy ktoś przeczyta te strony. A pewnego dnia, jak mi mówią, moje ciało też ulegnie degradacji. Przebacz mi, ale podobnie jak Orfeusz, nie mogłem iść dalej. Zmartwychwstanie zarezerwowane jest wyłącznie dla bogów. Confiteor, moja najdroższa. Leshana Haba'ah B'Ierushalayim. Jutro już nadeszło.

Ten długi list, który do ciebie napisałem, dobiega końca. Je n'ai fait celle-ci plus longue que parce que je n'ai pas eu le loisir de la faire plus courte. Po tylu intensywnych dniach przyszedł odpoczynek. Początek jesieni. Poranek zamyka bilans mojego życia. Jutro nastąpi na zawsze. Włączyłem telewizor i trafiłem na prezentera prognozy pogody, który z zasmaganą miną zapewnił mnie, że w najbliższych godzinach temperatury gwałtownie spadną i lokalnie wystąpią deszcze. Pomyślałem o Szymborskiej, która mówiła, że choć kolejny dzień zapowiada się słonecznie, tym, którzy ciągle żyją, przyda się jeszcze parasol. Mnie, oczywiście, nie będzie już potrzebny do niczego.

W pokoju obok cinquantaquattro jakieś anemiczne dziecięce głosiki zaśpiewały fum, fum, fum, ostatnie słowa kolędy, a następnie rozległy się ochocze brawa i kobiecym głosem ktoś powiedział:

– Wesołych świąt, tato. – Ciszka. – Dzieci, życzie dziadkowi wesołych świąt.

I wtedy zaczęła się bieganina. Ktoś, być może Jonatan, wyskoczył przestraszony z pokoju cinquantaquattro:

– Wilson!

– Tak.

– Gdzie jest pan Ardèvol?

– Niby gdzie ma być? W cinquantaquattro.

– Mówię ci, że tam go nie ma.

– Na litość boską. A gdzie ma być?

Wilson otworzył drzwi pokoju, naprawdę zaniepokojony, ze słowami skarbie, serdeńko. Ale wewnątrz nie było ani skarbu, ani serdeńka. Ani w łóżku, ani na wózku, ani na śwędzącej ścianie. Wilson, Jonatan, Olga, Ramos, Maite, doktor Valls, doktor Roure, kwadrans później również doktor Dalmau, Bernat Plensa i cały personel kliniki, który nie miał właśnie innych obowiązków, wszyscy przewracali klinikę do góry nogami, szukając na tarasach, w łazienkach wszystkich pokoi i w łazienkach personelu, w gabinetach, w pokojach, w szafach wszystkich pokoi, Boże, Boże, Boże, jak to możliwe, przecież ten nieszczęśnik prawie się nie porusza o własnych siłach? Ónde estás? Zadzwonili nawet do Cateriny Fargues, czy może ona ma jakiś pomysł. A potem przenieśli poszukiwania na teren wokół kliniki, i wtedy wkroczyła do akcji straż miejska, i zaczęli go szukać na terenie parku Collserola, za każdym drzewem, przy źródle, czy się nie zagubił w gęstym lesie, gdzie mogą być dziki, albo, Boże uchwaj, na dnie jednego z jezior, nie daj Boże. A Bernat myślał teño medo dunha cousa que vive e que non se ve. Teño medo á desgracia traidora que ven, e que nunca se sabe ónde ven. Adrianie, ónde estás. Bo Bernat był jedyną osobą, która mogła znać prawdę.

Tamtego dnia, po pogrzebie ojca przeora, mieli definitywnie opuścić klasztor i pozostawić go w samotności, na pastwę leśnych myszy, które, nie zwracając uwagi na obecność mnichów, i tak panoszyły się tam od wieków, niczym prawdziwi gospodarze tego świętego miejsca, tyle że bez benedyktyńskiego habitu. Podobnie jak nietoperze, które zdomowiły się w apsydzie, nad grobem hrabiów. A za parę dni rozgoszczą się tu również górskie kuny, czemu nie będą już mogli zapobiec.

– Bracie Adrianie.

– Tak.

– Źle wyglądacie.

Rozejrzał się wokoło. Byli sami w kościele. Drzwi wejściowe były otwarte. Niedawno, jeszcze przed świtem, ludzie z Escaló pochowali przeora. Skupił się na oglądaniu wewnętrznej strony własnych dłoni, w geście, który natychmiast sam uznał za nazbyt teatralny. Rzucił okiem na brata Juliana i odezwał się do niego, nie podnosząc głosu, co ja tu robię?

– To samo, co ja. Czynimy przygotowania do zamknięcia klasztoru w Burgalu.

– Ależ nie, nie... Ja mieszkam w... Ja nie jestem stąd.

– Nie rozumiem was.

– Co? Jak?

– Siadajcie, bracie Adrianie. Na nieszczęście, nigdzie nam się nie spieszy. – Wziął go pod ramię i zmusił, żeby usiadł na jednej z ławek. – Siadajcie – powtórzył, chociaż tamten już siedział.

Na zewnątrz różowe palce jutrzeńki malowały wzory na jeszcze ciemnym niebie i ptaki czyniły poranny rozgardiasz. Nawet jakiś kogut z Escaló dołączył swój głos do tego świętowania.

– *Adrian, serdeńko! Jak mogłeś tak sprytnie się ukryć?* – I dodał po cichu: – *A jeśli go porwano?*

– *Nie mów głupot.*

– Co mamy teraz robić?

Brat Julian spojrzał zdziwiony na drugiego mnicha. Zmartwiony, pominął jego niestosowne pytanie milczeniem. Ale Adrian nalegał; powtórzył, no co?

– No więc... trzeba przygotować Świętą Skrzynię, zamknąć klasztor, zabrać klucz i modlić się, żeby Bóg nam przebaczył. – Minęła wieczność, zanim znów się odezwał: – No i musimy czekać na braci z Santa Maria de Gerri. – Obserwował go zdziwiony: – Dlaczego mnie o to pytacie?

– Trzeba uciekać.

– Coś powiedział?

– Bracie, uciekaj.

– Ja?

– Wy. Przyjdzie ktoś, żeby was zabić.

– Bracie Adrianie...

– Gdzie jestem?

– Przyniosę wam trochę wody.

Brat Julian wyszedł przez drzwi prowadzące do małego wirydarza. Na zewnątrz ptaki i śmierć, wewnątrz śmierć i wygasła świeca. Brat Adrian zatopił się w pobożnej modlitwie, aż zapanowała jasność i Ziemia znów stała się płaska i miała tajemnicze granice, do których on nigdy nie dotrze.

– *Proszę sprawdzić wszystkie kontakty tego pacjenta. A kiedy mówię wszystkie, mam na myśli wszystkie, jasne?!*

– *Tak, proszę pana.*

– *I proszę nie zaprzestawać akcji. Poszerzcie krąg poszukiwań na całą górę i na Tibidabo. Z wesołym miasteczkiem włącznie.*

– *Ten człowiek ledwo się poruszał.*

– *Nieważne, przeszukajcie całą górę.*

– *Tak, proszę pana.*

Wtedy pokręcił głową, jakby się budził z głębokiego snu, wstał i ruszył do celi, żeby zabrać Świętą Skrzynię i klucz, którym przez trzydzieści lat zamykał bramę klasztoru po niesporach. Przez trzydzieści lat był odźwiernym w Burgalu. Zrobił obchód wszystkich pustych cel, zajrzał do refektarza i do kuchni. Zaszedł też do kościoła i do maleńkiego kapitułarza. Poczł się winny zamknięcia klasztoru Sant Pere del Burgal. Wolną ręką uderzył się w piersi, mówiąc confiteor, Dominus. Confiteor: mea culpa. Pierwsze Boże Narodzenie bez Missa in Nocte i bez jutrzeńki.

Zabrał sakiewkę z nasionami świerku i skrzydlakami klonu, desperacki prezent nieszczęśliwej kobiety, która miała nadzieję, że wręczając go, uzyska rozgrzeszenie za grzech braku wiary w miłosierdzie Boże, jakim było jej odrażające samobójstwo. Wpatrywał się przez chwilę w sakiewkę i wspominając biedną, nieszczęsną Guerxę, wyszeptał krótką modlitwę za jej duszę, jeśli w ogóle było możliwe zbawienie wątpliwej, i schował sakiewkę do przepastnej kieszeni habitu. Wziął Świętą Skrzynię i klucz i wyszedł na wąski korytarz. Nie mógł się oprzeć pokusie ostatniego spaceru po klasztorze, w samotności. Jego kroki odbijały się echem w korytarzu między celami, w kapitułarzu, w wirydarzu... Skończył obchód, zaglądając do miniaturowego refektarza. Jedna z ławek przysuniętych do ściany wyżłobiła wgłębienie w brudnym gipsie. Odsunął ją odruchowo. Zakręciła mu się w oku nieposłuszna łąza. Otarł ją rękawem i wyszedł na zewnątrz. Zamknął bramę klasztoru, czując, jak wwierca się w jego duszę dwukrotnie przekręcany klucz. Włożył go do Świętej Skrzyni i usiadł, żeby czekać na przybyszów, którzy wspinali się zmęczeni, mimo że zatrzymali się na noc w Soler. Mój Boże, co ja tu robię, skoro...

Bernat myślał to niemożliwe, ale nie widzę innego wytłumaczenia. Wybacz mi, Adrianie. Wiem, to moja wina, ale nie potrafiłem oprzeć się pokusie, stąd ta książka. Confiteor. Mea culpa.

Zanim wszystkie cienie zdążyły się wydłużyć o jedną piędź, brat Adrian wstał, otrzepał habit i zrobił kilka kroków w dół ścieżki, trzymając mocno Świętą Skrzynię. Wspinali się trzej mnisi. Odwrócił się ze łzami w oczach, żeby po raz ostatni spojrzeć na klasztor, i zaczął schodzić w dół, by zaoszczędzić braciom ostatniej stromizny. Wiele wspomnień odsyłał w niepamięć tym gestem. Gdzie jestem? Żegnaj, ukochany pejzażu. Żegnajcie, wąwozy, żegnaj, zimna wodo śpiewająca w strumieniach. Żegnajcie, bracia zakonni, żegnajcie, wieki śpiewów i modlitw.

– Bracia, pokój wam w dniu Narodzenia Pańskiego.

– Pokój Pański niech będzie z tobą.

Trzej nieznajomi. Ten najwyższy ściągnął kaptur. Ukazało się szlachetne czoło.

– Kim jest zmarły?

– Józef od Świętego Bartłomieja. Ojciec przeor.

– Bogu niech będą dzięki. A więc to wy jesteście Adrian Ardèvol.

– No, ja... – Pochylił głowę: – Tak.

– To wasz koniec.

– Już od dawna jestem martwy.

– Nie: dopiero teraz.

Sztylet zdążył zabłysnąć w słabym, zimowym słońcu, zanim pogrążył się w jego duszy. Świeca zgasła i nie zobaczył już ani nie przeżył nic więcej. Nic więcej. Nie mógł zapytać gdzie jestem, bo nie był już nigdzie.

Matadepera, 2003–2011

Uznałem tę powieść za definitywnie nieskończoną 27 stycznia 2011 roku, w rocznicę wyzwolenia obozu w Auschwitz. W latach, kiedy powieść wrastała w moje życie, prosiłem o opinię i pomoc wiele osób. Jest Was wielu i zwracam Wam głowę od tyłu lat, że boję się opuścić któreś nazwisko. Licząc na waszą wspaniałomyślność, wybieram podziękowanie ogólne i mam nadzieję, że się w nim rozpoznacie i że je przyjmiecie wszyscy razem i każdy z osobna. Jestem Wam niezmiernie wdzięczny.

Jaume Cabré

Polski przekład oddany został do druku 27 stycznia 2013 roku, w 68. rocznicę wyzwolenia obozu w Auschwitz.

Anna Sawicka

DRAMATIS PERSONAE

Adrian Ardèvol i Bosch
Sara Voltes-Epstein
Bernat Plensa i Punsoda
Czarny Orzeł – dzielny wódz plemienia Arapaho
Szeryf Carson z Rockland
Feliks Ardèvol i Guiteres – ojciec Adriana Ardèvola
Carme Bosch – matka Adriana Ardèvola
Adrian Bosch – dziadek Adriana Ardèvola
Vicenta Palau – babka Adriana Ardèvola
Mała Lola (Dolors Carrió i Solegibert) – prawa ręka Carme Bosch
Duża Lola – matka Małej Loli
Angeleta – szwaczka w domu państwa Ardèvol i Bosch
Cecylia – sprzedawczyni w sklepie Feliksa Ardèvola
Pan Berenguer – sprzedawca w sklepie Feliksa Ardèvola
Signor Falegnami / Pan Zimmermann – portier w urzędzie Ufficio della Giustizia e della Pace
Doktor Prunés z żoną – goście
Tekla – żona Bernata Plensy
Llorenç Plensa – syn Bernata Plensy
Ksenia – dziennikarka, przyjaciółka Bernata Plensy
Pani Trullols – nauczycielka Adriana Ardèvola i Bernata Plensy w klasie skrzypiec
Mistrz Joan Manlleu – profesor gry na skrzypcach Adriana Ardèvola
Herr Casals, Herr Oliveres, Herr Romeu, Mister Prats, Signor Simone, Pani doktor Gombreny – nauczyciele języków Adriana Ardèvola
Ojciec Anglada, ojciec Bartrina, pan Badia, brat Climent – nauczyciele Adriana Ardèvola w szkole jezuitów przy ulicy Casp
Esteban, Rull, Pedro, Massana, Riera, Torres, Escaiola, Pujol, Borrell – koledzy Adriana Ardèvola w szkole jezuitów przy ulicy Casp
Pan Castells i Antònia Marí – pianiści akompaniatorzy
Wujek Cinto z Tony – brat Feliksa Ardèvola
Ciotka Leo – żona Cinto Ardèvola
Rosa, Xevi i Quico – kuzyni Adriana Ardèvola
Eugen Coşeriu – lingwista, profesor Uniwersytetu w Tybindze
Johannes Kamenek – profesor Uniwersytetu w Tybindze
Doktor Schott – profesor Uniwersytetu w Tybindze
Kornelia Brendel – przyjaciółka Adriana Ardèvola w Tybindze
Sagrera – adwokat
Calaf – notariusz
Morrall – antykwariusz z hali targowej Sant Antoni
Caterina Fargues – następczyni Małej Loli
Gensana – kolega ze studiów Adriana Ardèvola
Laura Baylina – wykładowczyni na Uniwersytecie Barcelońskim i przyjaciółka Adriana Ardèvola
Eulàlia Parera, Todó, dr Bassas, dr Casals, Omedes – wykładowcy na Uniwersytecie Barcelońskim
Heribert Bauçà – wydawca

Mireia Gràcia – prezentująca książki Bernata Plensy
Saverio Jakiştam – lutnik z Rzymu
Daniela Amato – córka Karoliny Amato
Albert Carbonell – mąż Danieli Amato
Tito Carbonell Amato – syn Danieli Amato i Alberta Carbonella
Jascha Heifetz – skrzypek światowej sławy
Mistrz Eduard Toldrà – kompozytor i dyrygent Miejskiej Orkiestry Barcelony
Rachel Epstein – matka Sary Voltes-Epstein
Pau Voltes – ojciec Sary Voltes-Epstein
Maks Voltes-Epstein – brat Sary Voltes-Epstein
Giorgio – przyjaciel Maksa Voltes-Epstein
Franz-Paul Decker – dyrygent Katalońskiej Orkiestry Symfonicznej Miasta Barcelony (OBC)
Romain Gunzbourg – waltornista w OBC
Isaiah Berlin – filozof i historyk idei
Aline de Gounzbourg – żona Isaiaha Berlina
Pere Ullastres – lutnik w Barcelonie
Doktor Dalmau – lekarz i przyjaciel Adriana Ardèvola
Doktor Valls
Pani doktor Real
Jonatan, Wilson i Dora – pielęgniarze
Plàcida – służąca w domu Adriana Ardèvola
Eduard Badia – dyrektor Galerii Artipèlag
Bob Mortelmans – współlokator Matthiasa Alpaerts z domu starców
Gertruda – kobieta po wypadku
Aleksander Roig – mąż Gertrudy
Helena i Agata – przyjaciółki Dory
Oswald Sikemäe – brat Gertrudy
Aadu Müür – były narzeczony Agaty
Eugen Müss – lekarz w Bebenbeleke
Turu Mbulaka – wódz plemienia
Elm Gonzaga – detektyw
Bliźniacy

VIC I RZYM, 1914–1918

Josep Torras i Bages – biskup z Vic
Feliks Morlin z Liège – kolega ze studiów Feliksa Ardèvola
Drago Gradnik z Lublany – kolega ze studiów Feliksa Ardèvola
Faluba, Pierre Blanc, Levinski i Daniele D’Angelo, S. J. – profesorowie Feliksa Ardèvola w Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim
Karolina Amato
Saverio Amato – ojciec Karoliny Amato
Sandro – wuj Karoliny Amato
Muñoz – biskup z Vic
Ksiądz Ayats – sekretarz biskupa

BARCELONA, LATA CZTERDZIESTE I PIĘĆDZIESIĄTE

Komisarz Plasencia
Inspektor Ocaña
Ramis – najlepszy detektyw na świecie
Felipe Acedo Colunga – gubernator cywilny
Abelardo – klient Feliksa Ardèvola
Anselmo Taboada – podpułkownik
Wenceslao González Oliveros – gubernator cywilny

GIRONA, SANTA MARIA DE GERRI, SANT PERE DEL BURGAL (WIEK XIV I XV)

Mikołaj Eymeric – inkwizytor generalny
Michał z Susquedy – sekretarz inkwizytora
Ramon de Nolla – morderca działający na zlecenie inkwizytora
Julian z Sau – mnich w klasztorze Sant Pere del Burgal
Józef od Świętego Bartłomieja – przeor w klasztorze Sant Pere del Burgal
Guerxo z Salt
Guerxa z Salt – żona Guerxa z Salt
Brat Maur i brat Mateusz – mnisi z klasztoru Santa Maria de Gerri
Josep Xarom z Girony – lekarz żydowski
Dolça Xarom – córka Josepa Xaroma
Emanuel Meir z Warny – potomek Dolcy Xarom

PARDÀC, CREMONA, PARYŻ (WIEK XVII I XVIII)

Jachiam Mureda – brakarz akustyk
Mureda – ojciec rodziny Muredów
Agno, Jenn, Max, Hermes, Josef, Theodor i Micurà – bracia Jachiamy Muredy
Ilse, Erica, Katharina, Matilde, Gretchen i Bettina – siostry Jachiamy Muredy
Bulchanij Brocia – grubas z Moeny
Rodzina Brocia z Moeny – wrogowie rodziny Muredów z Pardàcu
Brat Gabriel – mnich w opactwie Grassa
Blond z Cazilhacu – pomocnik Jachiamy Muredy
Antonio Stradivari – lutnik
Omobono Stradivari – syn Antonia Stradivariego
Zosimo Bergonzi – lutnik, uczeń Antonia Stradivariego
Lorenzo Storioni – lutnik, uczeń Zosima Bergonziego
Maria Bergonzi – córka Zosima Bergonziego
Monsieur La Guitte – kupiec handlujący instrumentami muzycznymi
Jean-Marie Leclair, Starszy – skrzypek i kompozytor
Guillaume-François Vial – siostrzeniec Jean-Marie Leclaira
Żydowski jubiler

AL-HISW

Amani Alfalati
Azizzadeh Alfalati – ojciec Amani

Żona Azizzadeha
Alí Bahr – kupiec
Czcigodny kadi

OKRES NAZIZMU I DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

Rudolf Höss – SS-Obersturmbannführer (podpułkownik), komendant obozu w Auschwitz
Hedwig Höss – żona Rudolfa Hössa
Aribert Voigt – SS-Sturmbannführer (major), lekarz
Konrad Budden – SS-Obersturmführer (porucznik), lekarz
Brat Robert – nowicjusz w opactwie Świętego Benedykta w Achel
Bruno Lübke – żołnierz SS
Mathäus Rottenführer
Wujek Chaim Epstein – brat Racheli Epstein
Gawryłow – deportowany
Heinrich Himmler – Reichsführer
Elizawieta Mejrewa – więźniarka numer 615428
Hänsch Gefreiter (kapral)
Barabbas Oberscharführer (sierżant)
Matthias Alpaerts z Antwerpii
Berta Alpaerts – żona Matthiasa Alpaerts
Netje de Boeck – zakatarzona teściowa Matthiasa Alpaerts
Amelia, Trude i Julia Alpaerts – córki Matthiasa Alpaerts
Franz Grübbe z Tybingi – SS-Obersturmführer (porucznik) Dywizji SS Rzeszy
Lothar Grübbe – ojciec Franza Grübbe
Anna Grübbe – żona Lothara Grübbe
Herta Landau z Bebenhausen – kuzynka Konrada Buddena i Franza Grubbe
Vlado Vladić – serbski partyzant
Danilo Janicek – partyzant
Timotheus Schaaf – Hauptsturmführer (kapitan) Dywizji SS Rzeszy

PRZYPISY

- [1] Przełożył Walenty Prokulski, *Biblia Tysiąclecia*, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa 1980, s. 1156–1157.
- [2] Horacy, *Pieśń 1.5*, przeł. Lucjan Rydel, w: *Wybór poezji*, Ossolineum, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1975, s. 12.
- [3] Marguerite Yourcenar, *Pamiętniki Hadriana*, przeł. Hanna Szumańska-Grossowa, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2008, s. 304.
- [4] M. Yourcenar, *Pamiętniki Hadriana*, op. cit.

Tytuł oryginału: *Jo confesso*

© Jaume Cabré, 2011

© first published in Catalan by Raval Edicions, SLU, Proa, 2011

Published by arrangement with Cristina Mora Literary & Film Agency (Barcelona, Spain)

Copyright © for the translation by Anna Sawicka

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,

Redakcja: Maria Braunstein

Redaktor prowadzący: Dorota Koman

Korekta: Maria Braunstein, Dorota Koman

Projekt okładki, opracowanie typograficzne: Anna Pol

Zdjęcie na okładce: © Xabier Mendiola

ISBN 978-83-63656-24-9

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a, 01-540 Warszawa

tel./fax 48 22 839 91 27, 48 696 451 127

redakcja@marginesy.com.pl

Warszawa 2013

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



